

**John Marco**

**Szakał z Nar**

*(The Jackal of Nar)*

**Księga pierwsza cyklu Tyrani i królowie**

*Przeład Andrzej Sawicki*

*Dla Deborah,  
która jest światłem mojego życia*

## Podziękowania

Jak w przypadku każdego z debiutów i ta książka nie powstałaby, gdyby nie pomoc i wsparcie duchowe kilku bardzo ważnych dla mnie osób. Chciałbym im wszystkim złożyć gorące wyrazy wdzięczności.

Przede wszystkim mojej żonie Deborah, której poświęciłem tę książkę. Jest moim natchnieniem i jedyną miłością.

Mojej rodzinie – mamie, tacie, Christine, Donnie i dziadkowi – za to, że zawsze przy mnie byli i niezłomnie we mnie wierzyli. Dziękuję całej gromadce.

Mojemu wydawcy, Anne Lesley Groell, za jej dalekowzroczność i umiejętność wspierania początkujących pisarzy.

Russellowi Galenowi i Danny'emu Barorowi za to, że dzielili ze mną wizję tej książki i pomogli mi ją przekształcić w rzeczywistość.

Kristin Lindstrom, za to, że uczestniczyła w tym od początku.

Douglasowi Beekmanowi za wspaniałą okładkę.

I na koniec mojemu drogiemu przyjacielowi i towarzyszowi w sztuce pisarskiej, Tedowi Xidasowi, za to, że przekonał mnie, że da się to zrobić. Bez niego ta książka po prostu by nie powstała.

Raz jeszcze wszystkim dziękuję.

Z Johnem Marco możesz się spotkać w sieci na stronie  
[www.tyrantsandkings.com](http://www.tyrantsandkings.com)



**Kalak**

## Z dziennika Richiusa Vantrana

Śniłem o wilkach.

Sen stał się teraz wśród nas rzadkością. Niemal każdej nocy przychodziły bojowe wilki, a my nauczyliśmy się obawy przed snem, z którego mógł nas obudzić ich przerażający głos. Kazałem ludziom czuwać na zmianę przy ogniomiotach, tak, by przynajmniej niektórzy mogli wypocząć. Bestie zabiły już najlepszych ogniomistrzów. Zdumiewa mnie to, że wiedzą, jak w nas ugodzić. Ogniomioty wciąż jednak się sprawdzają i mamy jeszcze dość kerosyny, by tak zostało przez kilka dni. Do tego czasu być może dotrze jazda Gayle'a.

Wygląda na to, że Vorisa nie obchodzi, ilu z jego ludzi zginie. Drolowie nie są podobni do pozostałych Triinów. To fanatycy z ochotą idący na śmierć. Nie przerażają ich nawet ogniomioty. Ich rozkładające się ciała, leżące w stosach przed okopami, zaczynają już cuchnąć. Jeżeli wiatr szybko się nie zmieni, to wszyscy się pochorujemy od tego odoru. Naszych zabitych pogrzebaliśmy za okopami, tak żeby nie gnili tuż obok. Drolowie chyba nie dbają o swoich poległych. Widziałem, jak zostawiali swoich kompanów na pewną śmierć w sytuacjach, z których łatwo mogli ich wydostać w bezpieczne miejsca. Nawet, kiedy się ich zrani, nie wydają głosu, tylko samotnie odpełzają na tyły, podczas gdy nasi łucznicy spokojnie wybierają cele. Kiedy umierają, też czynią to w milczeniu. Lucyler twierdzi, że to szaleńcy i zdarzają się momenty, kiedy trudno mi w to nie uwierzyć. Ciężko jest nam, ludziom z Nar, zrozumieć Triinów i ich postępkę, nawet z pomocą Lucylera. Nie jest przesadnie religijny, bywają jednak chwile, kiedy staje się nieprzenikniony jak każdy inny Drol. Mimo wszystko, wdzięczny mu jestem za pomoc. Nauczył mnie wielu rzeczy o swoim dziwnym narodzie. Dzięki temu nie myślę już o nich wyłącznie jak o potworach. Jeżeli kiedykolwiek uda mi się wrócić do domu, jeżeli ta przekłeta wojna domowa kiedyś się skończy, opowiem ojcu o Lucylerze i jego narodzie. Powiem mu, że my, Narowie, zawsze mieliśmy błędne pojęcie o Triinach. Oni tak jak i my kochają swoje dzieci, a mimo swojej białej skóry, zranieni, też broczą czerwoną krwią. Nawet Drolowie.

Ta dolina stała się dla nas pułapką. Nie powiedziałem jeszcze tego ludziom, ale nie sadzę, by udało nam się długo odpierać Drolów od Ackle-Nye. Voris napiera zbyt ostro. Wie, że brak już nam sił. Jeżeli wkrótce nie przybędą posiłki, zostaniemy pokonani. Wysłałem wiadomości do ojca, muszę jednak jeszcze doczekać odpowiedzi, a tak naprawdę nie spodziewam się żadnej. Od kilku tygodni nie docierają do nas furaże, musieliśmy więc zacząć polowania, by mieć co jeść. Psują się nawet zbyt długo

przechowywane wojskowe suchary. Musieliśmy je wyrzucić daleko za okopy, by nie pozwolić na mnożenie się szczurów w obozie. Im nie przeszkadza, że mięso i suchary są stęchłe, i nie nękają nas, dopóki są syte. Zaczynamy jednak odczuwać głód, a w dolinie nie ma aż tyle zwierzyny, by nakarmić nią wszystkich. Może ojciec nie wie, jak tragiczne jest nasze położenie... a może przestało go to obchodzić. Tak czy inaczej, już wkrótce stoczymy ostatni bój w Ackle-Nye, i będzie po wszystkim. Voris mnie pobije.

Drolowie z tej doliny nadali mi przydomek Kalak. Lucyler wyjaśnił, że w języku Triin oznacza ono „szakal”. Wykazują przy tym niemałą zuchwałość. Słyszę, jak wołają do mnie z lasu, usiłując rozwścieczyć i wywabić z okopów. Kiedy atakują, czynią z tego przydomka okrzyk bojowy; biegną na nas, wywijając tymi swoimi jiiiktarami i co tchu w płucach wrzeszcząc: „Kalak”. Wolę jednak ten okrzyk bojowy od słyszanego wcześniej. Przedtem wykrzykiwali imię Vorisa, co mi przypominało o jego wiernych wilkach i długich, czekających nas jeszcze nocach.

Podczas porannego ataku zabito Lonala. Nikt nie ma pojęcia, jakim sposobem Drol, który go zabił, zdołał podejść tak blisko do ogniomiotu, ale kiedy go zobaczyłem, było już za późno. Musiałem zająć się działem, a wszystko stało się tak szybko, że nie zdołałem mu pomóc. Żył jeszcze chwilę po tym, jak zadano mu morderczy cios. Lonal stracił ramię; zostało na miejscu, podczas gdy jego samego odciągano na tyły. Spostrzegłem to dopiero, gdy było już po wszystkim. Razem z Dinadinem pochowaliśmy go w okopie na tyłach, a Lucyler wymówił nad jego zwłokami jakieś słowa, których żaden z nas nie zrozumiał. Lonal lubił Lucylera i wątpię, by przejął się tym, że nad jego grobem słowa modlitwy wymówił Triin. Obu nas trapiła jednak myśl, że nasz przyjaciel został zakopany niczym końskie ściervo, w odległym zakątku obcej doliny. Kiedy wrócimy do domów, powiem rodzicom Lonala, jak zginął ich syn, nie rzeknę jednak niczego o tym, że gnije w zbiorowym grobie, ani tego, że modlitwę nad jego ciałem wygłosił Triin. Uraziłaby ich myśl, że nad jego ciałem modlił się jeden z wrogów, i fakt, iż nie był Drole, nie miałby dla nich znaczenia. Wszystko to zresztą wywołały modły Triinów. Giniemy przez ich modlitwy.

Dinadin już się uspokoił, choć nigdy wcześniej nie widziałem go tak poruszonego śmiercią przyjaciela. W domu zawsze był hałaśliwy, rozwój wydarzeń skłonił go jednak do refleksji. Kiedy pogrzebaliśmy Lonala, powiedział mi, że powinniśmy zostawić tę dolinę Triinom, by powyrzynali się wzajemnie. Wszyscy popełniamy czyny, które przynoszą nam ujmę i o których nie będziemy opowiadali rodzicom, gdy wrócimy do domów. Może odpowiemy za nie przed naszym Bogiem. Dziś pozwolę Dinadinowi na żal, jutro jednak muszę przywołać go do porządku. Znów stanie się tym, który natchnie nasz oddział wolą walki, i będzie nienawidził Drolów, Vorisa i jego wojowników.

A jednak nie umiem oprzeć się myśli, że Dinadin ma rację. Słyszę rozmowy ludzi i obawiam się, że ich tracę. A najgorsze, że nie wiem, co mam im rzec. Nawet ja nie mam pojęcia, o co walczymy. Odpieramy ataki wojowników złego człowieka tylko po to, by inny zły człowiek mógł nadal utrzymywać się na tronie i tak zbyt rozległego Imperium. Ojciec na rację, że imperatorowi to miejsce jest do czegoś potrzebne... nikt jednak nie wie, do czego. Jednak to my umieramy, podczas gdy on czeka otoczony luksusami swego pałacu. Nikt z naszych ludzi nie uwierzy w to, że walczymy w obronie słusznej sprawy, a i Lucyler nie ufa swojemu Daegogowi. Wie, że dynastia królów Lucel-Loru jest skazana na zagładę, a Drolów i ich rewolucję zmiecie stary porządek. A jednak on i jego lojaliści walczą za swego tłustego króla, a my z Nar walczymy u ich boku, tylko po to, by wzbogacić kolejnego despotę. Nienawidząc Drolów, w jednym przecież przyznaję im rację: imperator wysysa krew z całego Triin.

Ale sza, mój dzienniku... o takich sprawach powinienem milczeć. A dziś w nocy powinienem odpocząć. Ten wieczór jest spokojny. Słyszę odgłosy wydawane przez żyjące w dolinie stworzenia, i te, które wykrzykują w lasach moje przezwisko... ale wcale mnie one nie przerażają. Przed snem może mnie powstrzymać jedynie myśl o wilkach. Wszyscy dziś polegli zostali pogrzebani. Czuję zapach tłuszczu pieczonych nad ogniskami ptaków, które udało nam się schwytać. Dobrze byłoby zapalić teraz fajkę alby wypić puchar wina z Ackle-Nye. Jeśli nic mi nie zakłóci snu, będę śnił o obu tych przyjemnościach jednocześnie.

Jutro zaś zaczniemy od nowa i być może po raz ostatni. Jeżeli Wilk tej doliny wie, jak jesteśmy słabi, z pewnością zaatakuje nas z całą watahą. Będziemy się bronili, wykorzystując jak najlepiej nasze umiejętności i żywiąc nadzieję, że w porę zjawi się jazda Gayle'a, by ocalić nasze karki. W dolinie słabo słychać, a jeźdźcy nie mogą się tu poruszać zbyt szybko. Wolałbym, żeby na ratunek przyszli moi ludzie, a nie zbiry tego łotrzyka. Jeżeli jednak to on mnie ocali, będzie się tym chełpił do końca życia.

Być może przetrwamy jutrzejszy dzień; pošlę wtedy kolejną wiadomość do ojca. Powiem mu, że nasze przeżycie zależne jest od rodu Gayle. Nie wiem, czy to wystarczy, by go przekonać. Wiem, że nie w smak jest mu cała ta wojna, ale jestem tutaj i musi mnie ratować. Jeżeli nie przyjdą żadne inne oddziały, cała dolina wpadnie w łapy Wilka. Przegrywamy tę wojnę, a powodem naszej śmierci może się stać spór, jaki wie dzie ojciec z imperatorem. Muszę go przekonać, że ta wojna warta jest walki.



## Jeden

Richiusa obudził zapach kerosyny. Z dala usłyszał znajomy okrzyk. Rozpoznał go, zanim jeszcze zdążył otworzyć oczy. „O Boże, nie...”

W jednej chwili poderwał się na nogi. Wokół niego wznosiły się czarne ściany okopu. Żółte palce nowego dnia zaledwie musnęły horyzont. Richius zmrużył oczy i rozejrzał się wzdłuż okopu. Gasnące już pochodnie rzucały mętną poświatę na ludzi w ubłoconych uniformach. W głębi, na końcu okopu, widać było grupkę tłoczących się żołnierzy. Richius ruszył ku nim chwiejnym krokiem.

– Co się stało, Lucylerze? – spytał swego białoskórego przyjaciela.

– To Jimsin – odpowiedział Lucyler. – Dopadły go we śnie.

Richius precisnął się przez krąg zbrojnych. Pośrodku wiło się coś, co nawet nie przypominało człowieka. Kilku żołnierzy bezskutecznie usiłowało unieruchomić jego beładnie poruszające się członki; Jimsin zaś nie przestawał monotennie wyć. Obok niego leżało wielkie, nieruchome ciało wilka. W ciele bestii zauważył kilkanaście ran, które zostawiły żołnierskie pchnięcia nożem.

– Dostał w krtani – odezwał się jeden ze zbrojnych, rosły, rudy mężczyzna o twarzy chłopca. Gdy Richius pochylił się nad Jimsinem, żołnierz przykląkł obok.

– Uważajcie – ostrzegł ich ktoś z boku. – Rana jest głęboka.

Kły wilka rozdarły gardło Jimsina, zostawiając ranę aż do szczęki. Rozerwana krtani ledwie się trzymała i poruszała w miarę świszczącego oddechu rannego. Gdy Richius pochylił się nad towarzyszem, w oczach Jimsina pojawił się błysk zrozumienia i nadziei.

– Nie ruszaj się, Jimsin – ostrzegł go Richius. – Lucylerze, co tu się, u licha, stało?

– To moja wina – ponuro przyznał zagadnięty. – Było ciemno. Bestia wpadła do okopu, zanim zdołałem ją zobaczyć. Pozwól, że pomogę...

– Wracaj na górę – uciął Richius. – Miej tam na nie oko. Wy wszyscy, precz, na górę!

Rosły rudzielec podał Richiusowi zwilżony bandaż. Richius pospiesznie owinał go wokół broczącej krwią rany. Z rozerwanej krtani wydobył się zduszony jęk bólu, a dłonie Jimsina chwyciły nadgarstki Richiusa, który szarpnął się, by odzyskać swobodę ruchu. Nagle znieruchomiał. Nie mógł przecież zwolnić nacisku na ranę.

– Nie, Jimsin. Dinadinie, pomóż mi go opatrzeć.

Dinadin szybko oderwał dłonie Jimsina. Udało mu się je utrzymać, podczas gdy Richius obwiązywał ranę. Okropny świst słychać było teraz ciszej, tłumił go bowiem niezbyt czysty bandaż. Kątem oka Richius spostrzegł, że Dinadin spogląda w bok.

– Nadciągają? – spytał, przyspieszając bandażowanie.

– Jeszcze nie – odparł ponuro Dinadin.

Richius wiedział, że kiepski humor Dinadina wywoływała świadomość, że pod koniec dnia Jimsin może leżeć obok Lonala.

– O Boże! – wzdrygnął się nagle Richius. – On się dusi!

Dinadin wciąż trzymał Jimsina za ręce. Usiłował utrzymać towarzysza na ziemi i patrzył, jak z rany bucha krew. Jimsin znów zajęczał, a z każdym dźwiękiem na bandażu zakwitała nowa plama purpury. Gwizdy z jego krtani następowały po sobie coraz szybciej. Spod jego powiek popłynął strumień łez.

– Pomóż mu, Richiusie!

– Robię, co w mojej mocy – odparł ponaglony z rozpaczą w głosie.

Jeżeli zdejmie bandaż, Jimsin niechybnie wykrwawi się na śmierć. Jeśli go zostawi, ranny się udusi. Bezradnym gestem sięgnął dłonią i delikatnie pogładził zalaną łzami twarz umierającego.

– Jimsinie – szepnął cicho, nie wiedząc nawet, czy ranny go słyszy. – Przykro mi, przyjacielu. Nie mam pojęcia, jak ci pomóc.

– Co robisz? – wrzasnął Dinadin, puszczając dłonie Jimsina. – Nie widzisz, że on umiera? Zrób coś!

– Przestań! – jęknął Richius, pochylając się nad rannym, by mocniej go objąć.

Dinadin zaczął rozwiązywać zakrwawiony bandaż. Richius jednak odepchnął go na bok.

– Richiusie, do kata! On się udusi!

– Zostaw to! – odparł Richius rozkazująco. Ostry ton w jego głosie zmusił Dinadina do odwrócenia głowy. – Wiem, że on kona. Nie przeszkadzajmy mu. Jeżeli rozwiążesz bandaż, pożyje tylko kilka chwil dłużej. Chcesz tego?

Oczy Dinadina były szklane i mętne, niczym oczy lalki. Cofnął się jak ogłuszony, a Richius skinieniem dłoni wezwał go bliżej.

– Jeżeli chcesz mu pomóc – zaczął Richius – to trzymaj go, by się nie ruszał. Bądź przy nim, gdy będzie konał.

– Richiusie...

– To wszystko, Dinadinie. Więcej zrobić nie możesz. Rozumiesz?

Dinadin wolno skinął głową. Objął Jimsina i mocno przytulił do siebie. Richius, zostawiając dwóch żołnierzy połączonych braterskim uściskiem, odwrócił się, by odszukać Lucylera.

Mimo kiepskiej widoczności w okopie z łatwością znalazł Triina. Jego blada skóra jaśniała z daleka, a białe włosy powiewały na wietrze niczym flaga rozejmu. Stał na

wciśniętych w ścianę okopu deskach posterunku obserwacyjnego. Uważnie wpatrywał się w widoczny w oddali, pogrążony w ciszy brzoźowy lasek. Kiedy Richius wspiął się i stanął obok niego, drgnął lekko i spytał:

– Skonał?

– Prawie – odpowiedział Richius.

Lucyler pochylił głowę.

– Jest mi ogromnie przykro – odezwał się znużonym głosem.

– Nie wiń siebie – skarcił go Richius. – To wina buntowników.

– Powinienem w porę dostrzec bestię.

– Jednego wilka w nocy? Nikt nie zdołałby go zobaczyć, Lucylerze. Nikt... nawet ty.

Lucyler zamknął oczy.

– Dlaczego tylko jeden? – mruknął na poły do samego siebie. – Voris nigdy nie posyła samotnych bestii...

– On chce nas złamać. Nie tocymy walki z ludźmi honoru, Lucylerze, o czym zresztą sam wiesz. Niech to piekło pochłonie! Sam mi to mówiłeś! To Drolowie! Oni są jak węże.

– Richiusie, Voris nigdy przedtem nikogo nie oblegał. Nigdy. Oni są gdzieś tam... i niedługo przyjdą.

Richius kiwnął głową. Gdy przychodziło do oceny postępowania przeciwników, zawsze polegał na opinii Lucylera. Nie był Drole, należał jednak do ludu Triin, a procesów chemicznych, jakie przebiegały w mózgach Triinów, i ich sposobu myślenia nie mogli rozszyfrować nawet najbardziej inteligentni spośród Narów. Można to było nazywać instynktem, można się było powoływać na pochodzenie, albo – jak to czynili Drolowie – mówić o „dotknięciu niebios”. Tak czy inaczej, Triinowie niekiedy wykazywali się niezwykłymi umiejętnościami. A umysł Lucylera był ostry niczym brzytwę – kiedy ten osobliwy Triin odczuwał strach, Richius nawet nie próbował się z nim spierać.

Lucyler był rodzajem daru, pomocą przyslaną przez zaniepokojonego Daegoga, który chciał się upewnić, że wojna o dolinę potoczy się właściwym torem. Był jedynym Triinem w kompanii, który nie urodził się w Dring, ale w Tatterak – niezbyt żyznym regionie Lucel-Loru, gdzie zesłano Daegoga. Złożywszy przysięgę wierności wodzowi Triinów Lucyler otrzymał od niego jedno zadanie – miał zapewnić Richiusowi zwycięstwo. Choć nie zawsze zgadzali się ze sobą, Richius czuł dozgonną wdzięczność dla Daegoga za to, że przysłał mu Lucylera. Okazał się najszybszym łucznikiem i potrafił dostrzec czerwone szaty Droła z odległości większej, niż sięgał sokoli wzrok.

Richius odwrócił się w stronę okopów. Dziesięć jardów za nimi ciągnął się rów

obsadzony przez ludzi Barreta, który pozdrowił dowódcę machnięciem ręki. Za okopem ze swymi ludźmi usadowił się Gilliam, a z tyłu, we własnoręcznie wykopanym okopie zajęli pozycje najmniej doświadczeni ludzie z kompanii, dowodzeni przez Ennadona.

Byli w kompanii tacy, którym nie podobało się, że Richius usadowił na tyłach niedoświadczonych rekrutów. Lucyler na przykład argumentował, że nowi jedynie w boju nauczą się tego, co powinni wiedzieć o wojnie. Richius jednak nie widział w tym żadnego pożytku. Z bolesną ostrością przypominał sobie pierwsze dni w Lucel-Lorze, kiedy wojną w dolinie dowodził pułkownik Okyle. Wysłał on Richiusa i tuzin innych niedoświadczonych młodzików na zwiady do lasu. Okyle, jak Lucyler, był pewien, że bitwa jest najlepszą nauczycielką wojennego rzemiosła, to zaś, iż Richius był synem króla pogorszyło tylko jego sytuację. Okyle powiedział mu wprost, że nie będzie nikogo faworyzował. Zmienił swoje nastawienie do nowych dopiero wtedy, gdy z misji wrócił jedynie Richius. Teraz jednak pułkownik już nie żył, a dowodzenie przejął Richius. I postanowił, że oszczędzi nowym zgrozy, przez którą jemu samemu kazano przejść zbyt wcześnie.

„Trzymaj ich na tyłach, a będą bezpieczni – powiedział sobie, dając znak Ennadonowi. – Niech najpierw Ennadon nauczy ich tego, co muszą wiedzieć. Na walkę przyjdzie jeszcze czas...

A jednak...”

Jeżeli Voris uderzy na nich z całą mocą, niewiele pożytku przyniesie nowym fakt, że obsadzono nimi okopy w głębi. Żaden nie znajdzie schronienia, jak dolina Dring długa i szeroka. Zostało mu jeszcze może z trzystu ludzi, ale nie miał pojęcia o tym, jakimi siłami dysponuje Voris. Tysiąc wojowników? Może więcej? Nawet Lucyler nie umiał tego odgadnąć. Jedno wiedzieli z całą pewnością: władca doliny miał dość sił, by ich zniszczyć.

„Cała nadzieja w ogniomiotach – myślał Richius gorączkowo. – Jeżeli wystarczy paliwa...”

Na obu krańcach okopu, gdzie ludzie zbierali się w niewielkie grupki, by porozmawiać i wspólnie podzielić się strachem, stały już na swoich pozycjach podgrzane ogniomioty. Z ich zaworów wylotowych unosiły się wąskie smużki dymu, a w nikłym świetle brzasku już coraz słabiej było widać czerwone zapalarki. Widok gotowych do działań dwuosobowych załóg wywołał na usta Richiusa nikły uśmiešek. Działanie tych machin miało zbawienne skutki. Coraz szybciej malejący zapas kerosyny zmuszał ich do bardzo oszczędnego używania broni, rad był jednak, że mają choć kilka sztuk. Naukowcy, którzy obmyślili ten oręż w pracujących na rzecz wojny laboratoriach Nar, przeszli samych siebie.

Ludzie z okopów darzyli je niemal boską czią. Triinowie z doliny, jak wojacy z Aramooru, mieli strzały, oszczepy i dziwacznie wyglądające miecze, niczego jednak nie mogli przeciwstawić ogniomiotom. Nawet magii – a obawa przed nią od dawna powstrzymywała potencjalnych najeźdźców – której istnienie trzeba jeszcze byłoby udowodnić. Choć wielu twierdziło – ba! wielu gotowych było przysiąc – że wódz Drolów, Tharn, był czarnoksiężnikiem, nikt z tych ludzi na własne oczy nie widział jego magicznych popisów, a Lucyler otwarcie wyrażał swój sceptycyzm. Wiara w „dotyk niebios” była tym, co różniło Drolów od pozostałych Triinów. I częściowo była odpowiedzialna za ich fanatyzm.

– Richiusie? – odezwał się Lucyler. – Czy powinienem posłać Dinadina do ogniomiotu?

– Kally i Crodin dadzą sobie radę.

– Dinadin jest najlepszym ogniomistrzem, który nam został. A jeżeli...

– Lucylerze, na Boga – przerwał mu Richius. – Spójrz na niego. – Wskazał miejsce, gdzie w głębi okopu siedział Dinadin, wciąż obejmujący ciało Jimsina. – Chcesz mu to powiedzieć?

Lucyler nie odpowiedział. Z trójki przyjaciół, którzy pozostali przy życiu, on był najtwardszy. Może należało przypisać to krwi Triinów, a może po prostu poznał smak wojny wcześniej, niż pozostali. Niezależnie od powodu, zawsze zachowywał się z powagą. Bywało jednak – jak w tej chwili – że jego rzeczowość i prostolinijność mocno irytowały Richiusa.

Dinadin też się zmienił. Wciąż jeszcze wykonywał rozkazy, ale w jego oczach tlił się opór i rodzaj smętnej dojrzałości, jakich nie było w nich wcześniej. Richius obiecał ojcu Dinadina, że o niego zadba i przywiezie go z powrotem z tego piekła. Któregoś dnia; mieli ponownie usiąść przy ognisku rodu Lott i śmiać się, wspominając lepsze dni.

– Będzie gotów, wierz mi – zapewnił Richius rozmówcę z udawaną pewnością siebie.

– Mam taką nadzieję. Będzie nam potrzebny, jeżeli...

Lucyler umilkł nagle, a jego oczy rozszerzyło zdumienie. Richius przeniósł spojrzenie na brzozowy las. Pomiędzy splątanymi gałęziami mi coś drgnęło. Zza drzew i skał wyłonił się huragan purpury. Na czele fali gnały plamki czerni z lśnącymi ślepiami.

Richius poczuł, że jakaś zimna łapa skręca mu wnętrzności w twardy węzeł.

– Zapalać ogniomioty! – zawołał.

W głębi okopu Kally uruchomił swoje działo. Ogniomiot jęknął, ozywając, i rzygnął w powietrze chmurą kerosyny. W następnej sekundzie z paszczy działa wyfrunął

płomień. Zaraz potem Crodin uruchomił drugi ogniomiot, wyostrzając pióropusz ognia w wąski niczym włócznia strumień. W okopach za nimi uruchomiono pozostałe działa, pompując w ich drugie paszcze kerosynę, która wylatywała w postaci płomienia. Mimo chłodu poranka, Richius poczuł przez zbroję żar ognia.

– Chronić ogniomioty! – wykrzyknął. – Nadchodzą!

To, co objawiło mu się niczym czerwona powódź, okazało się falą pędzących ku nim ludzi w szkarłatnych szatach. Przed nacierającymi gnały wilki. Dziesiątki wilków.

– Na Lorrisa i Pris – wyszeptał Lucyler. – Już po nas.

Za wilkami pędziło mrowie wojowników, z których każdy wywijał jiiiktarem o dwu ostrzach. Lucyler wyszczerzył zęby.

– Chodźcie, psie syny! – zawołał i mocno szarpnął środek swego jiiiktara, jednocześnie silnie go przekręcając. Broń rozdzieliła się w jego dłoniach, tworząc dwa lekkie, długie miecze.

Na całym przedpiersiu okopu żołnierze mocniej wparli nogi w ziemię. W powietrzu rozległo się pojękiwanie cięciw i świst strzał, które poszybowały ku wilkom, przebijając ich gęste czarne futro. Jedna ze strzał ugodziła bestię w pysk, trafiając ją prosto w rozdęte nozdrza. A jednak wilk nadal gnał ku ogniomiotom – tak, jak wyszkolił go Voris.

Łucznicy z lewej flanki natychmiast zajęli się zgrają. Kally, którego twarz znaczyły smugi czerni od sadzy z odrzutu, wymierzył wylot swego działa.

– Więcej paliwa! – ryknął.

Jego przyboczny przekręcił kurek na przewodzie zasilania. Kally nacisnął spust. Z wyloty rury ogniowej trysnęła smuga ognia. Płomień osmalił wilki i odrzucił je w tył. Przez ryk płomieni ogniomiotu przebiło się niesamowite wycie. Dla uszu Richiusa dźwięk ten zabrzmiał słodko niczym muzyka.

Dinadin wspiął się na przedpiersie i zerknął w dal. Jego twarz wciąż jeszcze była czerwona od płaczu.

– Przekłęci gogowie! – warknął, sięgając po strzałę do kołczanu.

– Nie! – syknął Richius. – Nie tutaj! Idź do działa.

– Już są obsadzone...

– Do działa, powiedziałem!

Dinadin mruknął coś pod nosem, ale posłusznie zsunął się z przedpiersia i precyzyjnie obok innych. Podczas wilczych ataków pierwsi zawsze ginęli ogniomistrzowie.

Okrzyk Lucylera zelektryzował wszystkich przed okopem. Triin wyciągnął jeden ze swoich mieczów, wskazując ciemną masę, która niczym gnana wichrem rwała w ich stronę. Wilk ze strzałą w paszczy zdołał jakoś się przedrzeć przez ognistą zaporę. Kłaki jego futra tliły się gdzieś tam, zostawiając za nim roziskrzony czerwony ślad.

Bestia z wyciem skoczyła. Z jego nozdrzy buchała krwawa piana. Lucyler krzyknął i ciął, opadając na jedno kolano. Jego miecz zamigotał błyszczącym łukiem. Richius cofnął się o krok i spadł z przedpiersia w okop. Poczul uderzenie, gdy napierśnik wbił mu się w żebra. Przebity strzałą łeb wilka chlupnął w błoto obok niego.

Richius szybko poderwał się na nogi i skoczył ku najbliższej drabinie. Zanim jednak zdołał postawić stopę na pierwszym szczeblu, usłyszał obok siebie dziki wrzask. Spojrzawszy w lewo, zobaczył Kally'ego, tak jak on zrzuconego do okopu przez wilka. Na ogniomistrzu leżała bestia. Dinadin zdążył już zeskoczyć obok i, biorąc rozmach, walił wilka w łeb drzewcem swego łuku. Richiusa nie przeraził jednak los Kally'ego; zmroził go widok nie obsadzonego ogniomiotu. Wilk zrzucił z podstawy działko, którego skierowany w niebo wylot, niczym ogromna ognista fontanna rzygał w górę płomieniem. Richius nie potrzebował wspinać się na przedpiersie, by wiedzieć, że wilki już odkryły szczelinę w liniach obronnych Narenów.

– Dinadinie! – ryknął. – Do działa!

Dinadin spojrzał na niego z grozą wymalowaną na twarzy. Kally wciąż jeszcze się ruszał.

– No już! Zabierz się za to przekłete działko! – powtórzył ochryple Richius.

Pewien był, że mimo ryku, jaki wydobywał się wylotu porzuconej broni, Dinadin go usłyszał. Jednak on raz za razem zaciekle i bezużytecznie okładał drzewcem wilczy łeb. Richius skoczył, odepchnął Dinadina i z rozmachem ciął bestię w kark. Trysnęła fontanna krwi; mimo to łeb nie odpadł całkowicie, trzymał się bowiem korpusu na pasku skóry. Martwy wilk runął na Kally'ego, który również znieruchomiał. Richius odwrócił się i wbił wściekły wzrok w Dinadina. Młodzieniec odpowiedział mu spojrzeniem, w którym strach szedł o lepsze ze zmieszaniem. Richius chwycił Dinadina za napierśnik i silnie nim potrząsnął.

– Co z tobą! – wrzasnął ochryple, ignorując deszcz iskier, który obsypywał ich obu. – Słyszałeś, że każę ci zająć się działem!

Dinadin milczał. Po jego twarzy spływały łzy, złościąc ścieżki na pokrytych sadzą policzkach. Richius przestał nim potrząsać.

– Dinadinie...

Ten milczał.

– No... Dinadinie, weź się w garść. Musimy zająć się działem.

Oczy Dinadina w końcu ożyły. Odskoczył od Richiusa i zagrzmiał:

– Do diabła z twoim działem! Miałem go zostawić, by zdechł?

– Na śmierć Boga! – zaklął Richius, przeciskając się obok Dinadina. – Działko jest ważniejsze! Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. – Zatrzymał się, osłaniając

przedramieniem twarz przed płomieniami.

– Richiusie, przestań!

To był Lucyler. Richius natychmiast puścił działo – i tak zresztą nie mógł odblokować zaklinowanego spustu. Triin szaleńczo wywijał rękoma, wzywając go ku sobie.

– W porządku, wynośmy się stąd – mruknął Richius, odwracając się od ogniomiotu.

– Ten okop jest już stracony.

Dinadin miał taką minę, jakby oskarżono go o wszystkie zbrodnie świata.

– Richiusie...

– Zapomnij o tym – uciął Richius, machnięciem dłoni nakazując odwrót. Tuż przed nimi w okop wskoczył Lucyler.

– Za wiele wilków! – zawołał Triin. – A za nimi idą wojownicy.

– Daj znak chłopcom z drugiego okopu, by osłonili nasz odwrót! – odkrzyknął Richius. – Dinadinie, dopilnuj, by wszyscy się stąd wynieśli!

Na drugim końcu okopu Crodin z trudem odpierał ogniem falę wilków i prących za nimi wojowników. Usłyszawszy rozkaz odwrotu odpowiedział Richiusowi radosnym uśmiechem ulgi. Richius i Lucyler przepchnęli się przez okop, zatrzymali obok niego i, wspinając się po drabinie, stanęli przy jego paliwowym, Ellisie. Wszyscy wokół pospiesznie opuszczali okop. Z lasu wciąż wylewali się Drolowie. Na wycofanie się zostało tylko kilka cennych chwil.

– Cro, przygrzej im ostatni raz i zmiotamy! – rzekł Richius, kładąc już dłoń na kurku, by odłączyć przewód paliwowy. – Lucylerze, razem z Ellisem zabierzcie zbiornik. My chwycimy działko.

Lucyler objął ramionami zbiornik. To samo zrobił Ellis, naprężając mięśnie, by unieść ciężar. W szeregach nadbiegających Drolów podniósł się wrzask: „Kalak!”

– Crodinie, przygotuj się – zarządził Richius. – Ellis, daj wszystko, co możesz.

– Macie wszystko – stęknął Ellis, otwierając zawór, który opróżnił zbiornik do pojemnika ogniomiotu. Kerosyna z sykiem popłynęła przez rurę.

Crodin nacisnął spust, wyzwalaając płomień, jakiego Richius nigdy przedtem nie widział. Wszystko przed nimi z hukiem stanęło w ogniu. Richius padł na kolana, osłaniając dłońmi uszy. Za nim, niczym dwa ścigane zające, biegli ku drugiemu okopowi Lucyler i Ellis, unosząc ze sobą zbiornik.

– Richiusie! – wrzasnął Lucyler i obejrzawszy się, puścił pojemnik.

– Nie zatrzymujcie się! – ryknął Richius, machnięciem dłoni nakazując obu uciekającym dalszy bieg.

Z trudem dźwignął się na nogi. Lucyler i Ellis gnali ku swoim, czego nie ułatwiał im



ciężki zbiornik, który nieśli. Żołnierze z drugiego okopu zaciekle wypuszczali strzały, by osłonić ich odwrót.

– Chodźmy, Richiusie! – ponaglił go Crodin, owijający rozgrzany ogniomiot szmatami. Zdażył już poluzować zatrzaski, które mocowały działko do desek pomostu przedpiersia. Richius musiał jednak unieść przewód zasilający. Klnąc zaczął gorączkowo szukać obejmy, która łączyła rurę z działkiem. Crodin szarpnął lufę ogniomiotu.

– Zostaw przewód! – wrzasnął. – Pociągniemy go za nami!

Richius chwycił za działko ze swojej strony. Uniósł ciężką rurę pod ramieniem i pognął do drugiego okopu. W ślad za nim biegł Crodin, za którym włókł się przewód zasilający. Barret był już na pomoście i wrzeszczał coś, wymachując dłońmi. Za nimi rozwiewał się dym zasłony ogniowej, jaką stworzyła im ostatnia salwa Crodina. Żołnierze Barreta znów wypuścili we wroga strzały.

Do przebiegnięcia zostało im już tylko kilka jardów. Z okopu wysypali się żołnierze, którzy szybko pomogli im wnieść działko na pomost. Wyczerpany Richius runął na deski obok Lucylera.

– Nic ci nie jest? – spytał, obrzuciwszy dowódcę szybkim spojrzeniem.

– Ustawcie działko pośrodku pozycji – wychrypiał Richius. – Postaw przy nim Ellisa i Dinadina.

Crodin już ustawiał ogniomiot na nowym stanowisku, korzystając z prowizorycznych podkładek, jakie Ellis zbudował z dwóch mieczy. Wbito je w deski, formując literę V, tak więc działko – choć dość niepewnie – wyglądało przez szczelinę w kształcie klina. Obok nich był już Dinadin, który palcami jednej dłoni zaciskał knykcie ręki, którą miał położyć na spuście.

Richius spojrział na pole bitwy. W odległości dziesięciu jardów wojownicy Drolów wspinali się już na deski pomostu pierwszego okopu i skakali w dół, gdzie znajdowali osłonę. Oczywiście łucznicy przeciwnika zabrali się do dzieła. Na przedpolu gorzały ognie – jedne małe, jak pożerane przez nie trupy, inne wielkie niczym wozy. Nad nimi unosiły się chmury błękitnego dymu, niosące z sobą smród spalonych ciał i kerosyny. Za pasmami dymu, ognistym piekłem i chmurą unoszących się nad nimi strzał, był brzozowy las pełen szkarłatno odzianych Drolów.

Crodin poprawił ogniomiot w jego niezbyt pewnym jarzmie. Lucyler cofnął się o krok i oceniał dzieło, a Dinadin przyłożył palec do bezpiecznika broni. Działko zakołysało się, ale nie spadło.

– Będzie działało – zawołał Lucyler do Richiusa. – Niezbyt długo, ale będzie.

– Musi wystarczyć – stwierdził szybko Richius. – Z trzema działkami powinniśmy ich na jakiś czas zatrzymać.

„A co potem? – zadał sobie pytanie. – Będziemy w nich ciskać kamieniami. Zaczyna nam brakować paliwa. Bez ogniomiotów...

Nie teraz – skarcił sam siebie. – Jest jeszcze coś do zrobienia”.

– Dinadinie! – zawołał. – Przygotuj się. Pierwszym strzałem daj im zdrowo do wiwatu, a potem trochę poluzuj...

Dinadin zdążył się już ochłonać. Jego twarz stała się szara. Skulił się za działkiem.

– Powoli i ostrożnie – ostrzegł go Richius. – Działko nie jest ustawione stabilnie, a nam brakuje paliwa. Jeżeli...

Przerwał mu wrzask z tylnych okopów. Odwrócił się. Usłyszał kolejny okrzyk, wysoki i dziwnie radosny.

– Co...

Z głębi doliny wyłoniła się gnająca ku nim jazda. Na czele konnych, ledwie widoczny na tle horyzontu, powiewał zielony proporzec. Z miejsca, w którym stał, Richius nie mógł go zobaczyć, wiedział jednak, że jest na nim wyszyty złotem, ozdobny, wyciągnięty w galopie koń. Był to sztandar Talistanu, godło rodu Gayle.

– Jeźdźcy! – zawołał Crodin.

Richius skrzywił się lekko, a miano rywalizującej rodziny zabrzmiało w jego ustach niczym nazwa choroby.

– Gayle.

– Richiusie, spójrz! – krzyczał Lucyler. – Ratunek!

– Na to wygląda – bez entuzjazmu odpowiedział Richius.

Jazda była dostatecznie liczna, by zmieść w nicosć dowolną liczbę Drolów. Ze swego miejsca Richius widział, że Drolowie zdążyli już spostrzec, co w nich za chwilę uderzy. Fala czerwieni jakby się zawahała i zwolniła.

– Powinniśmy uderzyć! – odezwał się zawsze niespokojny Dinadin. – Z tyłoma jeźdźcami z łatwością możemy ich roznieść!

Richius rzucił mu ciężkie spojrzenie.

– Utrzymujemy nasze pozycje. – Odwróciwszy się do Lucylera, dodał: – Chcę, by wszyscy zostali w okopach. Powinniśmy unikać walki.

– To niemożliwe! – zachnął się Lucyler. – Spójrz!

W głębi doliny wzniosły się kłęby kurzu. Jazda ruszała do ataku.

– O Boże! – jęknął Richius. – Oni naprawdę postanowili uderzyć!

Podniósł ręce w górę i dał znak swoim ludziom, by zwrócili na niego uwagę.

– Słuchajcie! – zawołał. – Jeźdźcy ruszają do ataku. My jednak wciąż jeszcze mamy pozycję do utrzymania. Niech nikt nie waży się opuścić okopu bez mojego rozkazu! Barret, upewnij się, że wszyscy twoi ludzie stoją, gdzie im kazano. Dinadinie, sprawdź,

czy to działko sprawuje się jak należy, kiedy Drolowie zorientują się, co na nich spadnie, może zechcą poszukać schronienia w naszych okopach.

– Będę gotów – odparł Dinadin, ustawiając się za ogniomiotem.

Jeźdźcy szybko zmniejszyli odległość dzielącą ich od wrogów. Drolowie, którzy zdążyli schronić się w okopie, przykucnęli w nim, bełkocząc coś w swojej mowie i wskazując pędzącą na nich jazdę. Proporzec powiewający na czele oddziału był już dobrze widoczny, a wyszyty na nim złoty, obleczonej w zbroję i gnający do ataku rumak poruszany wiatrem jakby ożył. Richius uśmiechnął się lekko. Rywale czy nie, ich wierzchowce świetnie się prezentowały, a dosiadający ich jeźdźcy w niczym nie ustępowali jeździe Aramooru. Jednak nie byli to jeźdźcy Aramooru.

Jeźdźcy wydobyli miecze. Miały paskudne zębate ostrza. Na głowach mieli hełmy przypominające oblicza demonów.

Jazda Talistanu.

– Miałeś rację – szepnął Lucyler. – Jestem pod wrażeniem.

Dinadin lekko się skrzywił.

– A jednak gwardziści Aramooru są lepsi, prawda, Richiusie?

– Owszem, ale niewiele... – niechętnie przyznał Richius.

Konie przeszły w galop, a uderzenia ich kopyt wstrząsnęły powietrzem. Rozdzieliwszy się na dwie grupy, jazda opłynęła okopy flankami. Nie zwolnili, nawet kiedy pierwsze szeregi dopadły do leżących na ziemi ciał. Jazda przeszła po nich ze sprawnością wynikającą nieuchronnie z częstych ćwiczeń – groby zostały zrównane z ziemią, a nad trupami rumaki po prostu przeskakiwały. Wkrótce obie grupy niczym grzmiąca fala minęły linie okopów, gnając na złamanie karku ku Drolom.

Richiusowi zdarzało się już wcześniej walczyć z konia i znał moc, jaką może nadać broni człowiek siedzący na gnającym z pełną szybkością bojowym rumaku. Uderzenie całkowicie ogłuszyło i oszołomiło Drolów. Wojownicy z doliny, mimo iż liczni i znający przecież wojenne rzemiosło, nie umieli przeciwstawić się jeździe. Wyszli na otwartą przestrzeń. Bestie, którym przyszło im stawić czoło, były hodowane do walki. Nie okazywały żadnego szacunku ludziom, jaki czuły wobec nich konie wykorzystywane w paradach. Nie zatrzymany szarpnięciem za wodze bojowy rumak nie zwracał uwagi na stojące naprzeciwko szeregi ludzi. W jednej chwili kopyta koni wdeptały w ziemię dziesiątki wojowników.

Jeźdźcy tymczasem opuścili ostrza mieczów na głowy Drolów, sterczące na wysokości ich pasów. Jiiktary starły się z obosiecznymi mieczami, a gołe pięści pancierzami, co Richius obserwował z poczuciem skrajnej niemocy. Chciał wyskoczyć z okopu i, przyłączywszy się do rzezi, wspomóc jakoś wybawców. Ale jak Dinadin i inni

obok niego stał tylko i powtarzał rozkaz:

– Trzymać pozycję!

Jeden z jeźdźców zatrzymał się i wolno ruszył ku okopowi. Był wyższy niż pozostali, rząd jego konia połyskiwał srebrem, a na szpecącej przyłbice hełmu gębie demona lśniły liczne klejnoty. W szeroki napierśnik miał wprasowany wizerunek złotego rumaka, a u boku nie tknięty krwią miecz. Gdy podjechał bliżej, Lucyler wskazał go Richiusowi kiwnięciem brody.

– Richiusie, czy to Gayle?

– We własnej osobie – przytaknął zapytany.

Jeździec zatrzymał konia tuż przy okopie. Podniósłszy przyłbicę, przez chwilę przyglądał się okopowi i obserwującym go zza przedpiersia ludziom. W końcu jego czarna broda pękła, ukazując uśmiech.

– Vantran?

– Tutaj! – Richius podniósł spoconą, brudną dłoń.

Gayle z Czarnej Kniei parsknął śmiechem.

– Cała dolina zna twoje imię, Vantranie. Ale nie bardzo wyglądasz na tego, o którym się tyle mówi.

– Baronie. – Uśmiech malujący się na twarzy Richiusa był mocno wymuszony. – Ciebie rozpoznałem bez trudu.

– Ilu gogów?

– Tylu, ilu widzisz, i znacznie więcej – odpowiedział Richius. – Voris zebrał wszystkie siły.

– To prawda. Cóż, Vantranie... Teraz to nasza sprawa. Zajmiemy się nimi. – Gayle opuścił przyłbicę hełmu i zawrócił konia ku bitwie. Potem zawołał, odwracając się przez ramię: – A może oczyścilibyście z robactwa i znów zajęli ten pierwszy okop, co?

Richius aż zgrzytnął zębami. Chciał zawołać coś za Gayle'em, cisnąć za zuchwalcem jakąś obelgę, ale tylko zaklął pod nosem. Ku swemu zdziwieniu, usłyszał, że stojący obok Dinadin również klnie, kipiąc z gniewu.

– Ależ z niego drań! – syknął. – Richiusie, nie pozwól się tak traktować!

– Dinadinie, wiesz przecież, że on nie dba o to, kim jesteśmy. To Talistańczyk, a my pochodzimy z Aramooru... i więcej mu o nas wiedzieć nie trzeba.

– Co teraz? – spytał Lucyler, ważąc słowa.

Richius zacisnął dłoń na rękojeści miecza i westchnął.

– Teraz oczyścimy z robactwa pierwszy okop.

## Dwa

O przydatności okopów na polu bitwy Richius dowiedział się od swego ojca. Weteran wielu wojen, starszy Vantran, korzystał z rowów i jam podczas wojny z Talistanem. Choć nie były niezdobyte, tkwiącym w nich ludziom wydawały się fortecą. Do okopu, który na przedpiersiu miał pomosty dla łuczników, niełatwo było dotrzeć i prawie nie sposób było przez nie przejść. Tylko one utrzymały kompanię Richiusa przy życiu podczas niezliczonych natarć Drolów. Aż do tej pory Drolom ani razu nie udało się do nich nawet dotrzeć.

Oczyszczanie pierwszego okopu okazało się ciężką pracą. Drolowie, nie chcąc uciekać ani dostać się do niewoli, postanowili się bić, co zostawiło Richiusowi jedną tylko możliwość: należało do nich zejść. Wydał rozkaz ujęcia w dłonie mieczów i tarcz i posłał ludzi na dół. Drolów wyrżnięto do nogi.

Kiedy ponure zajęcie dobiegło końca, słońce stało już wysoko nad ich głowami. Richius wy dostał się z okopu otępiały od rzezi i pokryty krwią Drolów. Pole, niedawno jeszcze pełne ludzi i wilków, usłane było trupami. Trupami Drolów. Leżeli wszędzie, gdzie spojrział – jedni w całości, inni poszatkowani na kawałki, jeszcze inni wdeptani w ziemię przez kopyta bojowych rumaków. Pokrywające pole błoto zabarwiło się czerwienią. Istoty, niedawno jeszcze będące ludźmi lub wilkami, płonęły tu i ówdzie; nad nimi unosił się cuchnący dym, a powietrze dodatkowo śmierdziało kerosyną. Poza sępami, na polu rzezi poruszała się jeszcze jedna żywa istota.

Gayle z Czarnej Kniei siedział na swoim koniu i uważnie oceniał szkody, które jego jeźdźcy zadali Drolom. W świetle zasnutego dymami poranka przyłbica jego hełmu ukształtowana w twarz demona lśniła złowrogo. Przy boku Gayle'a połyskiwał wciąż nie splamiony krwią miecz. Spostrzegł Richiusa i zwrócił ku niemu głowę.

– Vantranie! – zawołał, uderzając konia ostrogą. Potężny głos Gayle'a zabrzmiał spod hełmu, jak gdyby pan z Czarnej Kniei mówił z dna metalowej beczki.

Vantran nie zwrócił na niego uwagi. Dźwignął się na przedpiersie i pomógł wstać Lucylerowi. Za Triinem wyszedł Dinadin, który spojrzawszy na przedpole, wydał tylko gwizd podziwu. Gayle z Czarnej Kniei dotarł do nich w tej samej chwili, w której Dinadin zszedł z drabiny.

– Widzisz, Vantranie? – Gayle wypiął dumnie pierś. – Nie ma się czym martwić. Myślę, że za bardzo się przejęliście tymi Drolami z doliny.

– Doprawdy? – spytał zgryźliwie Richius. – A skąd ty o tym wiesz? Wyglądasz na... nietkniętego.

Gayle zeszywniał lekko. Jego ledwo widoczne przez szczeliny przyłbicy oczy rozbłysły gniewem.

– I ja mam swój udział w tej rzezi – zapewnił Richiusa. – I zabiję jeszcze wielu... jeżeli ich znajdziemy. Większość gogów tchórzliwie uciekła do lasu. Posłałem już za nimi swoich ludzi.

– Co takiego? Nie kazałem tego czynić!

– Vantranie, nie ty wydajesz rozkazy moim ludziom – zachnął się Gayle. Demonia przyłbica jego hełmu przesunęła się z góry na dół, kiedy mierzył Richiusa spojrzeniem. – I spojrzawszy na ciebie, Richiusie, nie sądzę, byś wpadł na pomysł ruszenia za nimi w pościg.

– Wcale nie chcę ich ścigać! – zagrział Richius. – A już na pewno nie w końskim siodle. Gdybyś zechciał zapytać, rzekłbym ci bez ogródek, jaki to głupi pomysł. Na tych leśnych ścieżkach nie ma miejsca dla koni. Twój ludzie będą mieli szczęście, jeżeli nie wpadną w zasadzkę.

– Chciałem poczekać z moją propozycją, aż skończycie – stwierdził Gayle. – To cała uprzejmość, jaką zamierzałem wam okazać. Nie będę się powtarzał.

– Gayle, dowództwo zostaje przy mnie – nalegał Richius. – Dolina to moja domena.

Gayle z Czarnej Kniei skrzywił się pogardliwie.

– Przywiodłem tu moich jeźdźców do walki i będą walczyli. Wy, jeżeli chcecie, możecie się kryć w swoich dziurach, zostawiając bitwę prawdziwym mężom.

– Ty arogancki ośle! W lesie nie można się bić z końskiego grzbietu! Te lasy są pełne Drolów. Jeżeli tam wjedziecie, spadną wam na karki, zanim twoi jeźdźcy zdążą wyciągnąć miecze!

– Dość! – zagrział Gayle. Unosząc miecz, zawrócił jednocześnie konia. – Nie masz nade mną władzy, Vantranie. – Wbijając ostrogi w boki konia, pognął go galopem ku lasom.

– Głupiec! – zawrzał gniewem Richius. – On nie ma pojęcia o tym, z czym przyjdzie mu się zetknąć. Ruszamy za nimi.

– A po co sobie nim zawracać głowę? – spytał Dinadin z goryczą w głosie. – Dlaczego nie zostawić go Drolom?

– Bo nie chcę, by wywołał jeszcze większe zamieszanie.

Konie kompanii trzymano po drugiej stronie obozu, tuż za okopami. Nie było ich wiele, ale koniuszy dał im trzy wierzchowce. Richius, zapominając o znużeniu, wspiął się na siodło.

– Zachowajmy ciszę – zwrócił się do pozostałych. – Nie powinniśmy uprzedzać Drolów o naszym nadejściu.

Szarpnąwszy wodze, ruszył przed Lucylerem i Dinadinem przez cuchnące dymem pole ku lasom. Choć wiedział, że Talistańczycy mocno ich wyprzedzili, liczył na to, że szybko ich znajdą.

Jechali przez tę część doliny, w której las nie był tak gęsty, jak gdzie indziej, grunt zaś okazał się dostatecznie równy, by konie się nie potykały. Ścieżki były jednak wąskie i kręte i trzej przyjaciele musieli uważać na to, gdzie ich wierzchowce stawiają kopyta. W tych lasach niejeden koń połamał sobie nogi, a Richius nie chciał dopuścić do śmierci żadnego z cennych zwierząt.

Ku swej uldze dość łatwo odnaleźli ślady jeźdźców. Miękka gleba doliny doskonale zachowywała odciski kopyt, i Lucyler bardzo łatwo wiódł ich ścieżką, którą ciężkozbrojna jazda zrobiła wśród drzew. Jechali powoli, czujnie nasłuchując i nieustannie spoglądając w las w poszukiwaniu czerwonych szat lub błysku jiiiktarów. Widzieli jednak jedynie zwykłych mieszkańców lasów – ptactwo i sarny, oraz rozmaite futrzaste zwierzęta, które przebiegały im drogę. Jechali tak godzinę, aż Richius poczuł ukłucie niepokoję.

– Do tej pory powinniśmy się już na nich natknąć – stwierdził. – Sądzę, że to niemożliwe, by przedarli się aż tak daleko.

– Tracą tylko czas – mruknął Lucyler. – Drolowie uszli głęboko w las. Ludzie Gayle’a nigdy ich nie znajdą, jeżeli będą się trzymali ścieżki.

– Lepiej będzie, jeżeli ich znajdziemy – odpowiedział Richius. – Niebezpiecznie jest zostawiać ich samych.

– Nam grozi większe niebezpieczeństwo – stwierdził Lucyler, rozglądając się dookoła. Las był tu bardziej gęsty, a ścieżka, którą podążali, mniej widoczna. – Richiusie, powinniśmy już wracać. Za daleko odbiliśmy od obozu.

Richius uparcie potrząsnął głową.

– Nie, jedziemy dalej. Musimy, jeżeli mamy dogonić Gayle’a.

– Ale po co? – sprzeciwił się Lucyler. – Jeźdźcy potrafią zadbać o swoje bezpieczeństwo.

– Lucylerze, mnie wcale nie chodzi o bezpieczeństwo jeźdźców.

Lucyler zrobił zdziwioną minę, ale nie odpowiedział. Kiwnął tylko głową i bez słowa ruszył za dowódcą w głąb lasu. Dinadin też nie otwierał ust, za co Richius czuł ogromną wdzięczność. Jechali tak przez dłuższy czas, aż w końcu Richius pierwszy przerwał milczenie. W powietrzu dawało się wyczuć lekki, nieznanomy zapach. Aromat tylko nieznacznie różnił się od zwykłych leśnych zapachów. Był tu jednak niewątpliwie i napełniał nozdrza słodkawą wonią drewna.

– Co to za woń?

Lucyler i Dinadin mocno pociągnęli nosami.

– Niczego nie czuję – pierwszy odpowiedział Dinadin.

– A ja tak. – Lucyler raz jeszcze wciągnął powietrze w nozdrza swego wyczulonego nosa. – Ja czuję. Myślę, że to dym.

Richius wciąż badał powietrze.

– Lucylerze, czy są tu w pobliżu jakieś wioski?

– Mogą być. W dolinie jest ich parę... – Lucyler znów wciągnął powietrze w nozdrza.

– Ale zapach jest zbyt mocny, jak na woń domowych palenisk.

Z tym Richius musiał się zgodzić. Woń była zbyt ostra. Teraz wyczuwał ją i Dinadin. Młodzieniec szarpnął głową w bok.

– Boże! – jęknął, przysłaniając nos przedramieniem. – Ale śmierdzi!

Richius spojrzał znacząco na Lucylera.

– Wiesz, czym mi to pachnie?

– Czym?

– Gayle'em.

Popędzili konie. Richius zmusił swego wierzchowca do galopu, licząc na to, że zwierzę samo poradzi sobie z niezbyt bezpiecznym terenem. Tuż za nim gnali Lucyler i Dinadin. Niedługo przyszło im czekać na to, by woń zgęstniała w smród – ale znacznie wcześniej z oczu popłynęły łzy. Już po chwili usłyszeli huk podobny do morskiego przyboju. Richius wiedział, że to nie woda. Źródłem hałasu był pożar. Vantran pognał wierzchowca na złamanie karku, pełen niedobrych przeczuć, i mając przed oczyma jeszcze gorsze wizje, podsuwane mu przez wyobraźnię.

Nagle wypadli na otwartą przestrzeń. Przed nimi leżało pole z gruntem pokrytym czerwonymi bulwami. Wszystkie, albo prawie wszystkie były wdeptane w ziemię końskimi kopytami. Za spustoszonym polem widać było zabudowania niewielkiej wioski. Budowle były typowe dla Triinów – wzniesione z drewna i papieru domki bez ozdób, pomiędzy którymi suszyła się rozwieszona na linach odzież. Wioskę przecinały wąskie, brukowane uliczki. I wszędzie było pełno jeźdźców z Talistanu.

Richius wyraźnie ich widział. Niektórzy podpalali domki, przytykając pochodnie do ich dachów, inni spędzali wieśniaków w niewielkie grupki, wyganiając ich z chat i obdzierając z całego dobytku. Na krańcach wioski, gdzie kończyły się zabudowania i zaczynały pola, w powietrze wzbijała się piekielna chmura czarnego dymu. Jeźdźcy ciskali w płomienie, co się tylko dało: meble, odzież, broń i rolnicze narzędzia, a żarłoczny ogień połykał wszystko.

– Boże... – jęknął Richius.

– Musimy ich powstrzymać! – odezwał się oszołomiony tym widokiem Lucyler i nie



czekając na Richiusa, pognął konia ku wiosce. Dinadin z Richiusem ruszyli za nim. Szybko dotarli do ogniska i zeskoczyli z koni. Zebrani przy ogniu żołnierze powitali ich chichotami.

– Co wy wyrabiacie? – zagrzemiał Richius.

Jeden z jeźdźców, trzymający w rękach rozpaczliwie wrywane się prosię, wystąpił przed resztę.

– A coś ty za jeden?

– Richius Vantran z Aramooru – oznajmił zapytany. – Żołnierzu, zadałem ci pytanie.

Żołnierz odwrócił wzrok.

– Więc? – naciskał Richius. Wokół nich zaczęli się zbierać inni żołnierze, piesi i konni.

– To nie twoja sprawa – odpowiedział wreszcie zagadnięty. – Nam rozkazy wydaje baron Gayle.

Richius postąpił krok naprzód.

– Wszystko, co się dzieje w tej dolinie, jest moją sprawą, Talistańczyku. Gayle z Czarnej Kniei nie ma tu nic do gadania. A teraz odpowiadaj.

– Szukaliśmy Drolów – odparł żołnierz nieufnie. – Podążaliśmy za nimi przez las, ale gdzieś się rozproszyli. Baron Gayle rozkazał przeszukać wioskę.

– I dlatego wioska płonie?

– Pełno tu buntowników – upierał się żołnierz. – Trzeba ją zniszczyć.

Zanim Richius zdążył otworzyć usta, przed niego wysunął się Lucyler.

– Tu nie ma ani jednego Droła. To zwykła rzeź. Ci ludzie w niczym wam nie zawinili.

– A to prosię? – pytał nieubłaganie Richius, wskazując podbródkiem trzymane przez żołnierza zwierzę. – Też je spalicie?

– Zwierzęta zabierzemy ze sobą – odpowiedział żołnierz. – I wszelką żywność, jaką znajdziemy u tych gogów. Baron Gayle kazał ją zanieść do waszych okopów i podzielić się nią z wami.

– Zostawcie to – uciał Richius. – Ci Triinowie nie są naszymi wrogami. Zimą będą potrzebowali zwierząt i żywności.

– Każdy z tych gogów może być Drolem – upierał się żołnierz. – Jeżeli czegoś nie zrobimy, lada moment rzucą się na nas. Baron Gayle mówi...

Richius podniósł dłoń.

– Pozwólcie, że wam coś wyjaśnię. Wiem, że jesteście tylko głupimi Talistańczykami, ale zróbcie, co w waszej mocy, by to zrozumieć. Widzicie tych tu ludzi? To wieśniacy. Oznacza to, że przez cały cholerny dzień zajmują się hodowlą

zwierząt i doglądaniem pól. Nie dostarczają broni Drolom i prawdopodobnie nic ich nie obchodzi, kto wygra tę przeklętą wojnę. Wszyscy więc teraz zawróćcie i wyniesiecie się stąd cicho i spokojnie. Zrozumiano?

Żołnierz się skrzywił.

– Wszyscy Triinowie w tej dolinie są pod kontrolą Vorisa. To czyni z nich Drolów.

– Nie! – Ta wymiana zdań zaczynała już Richiusa irytować. – To czyni z nich jego ofiary. I nie dopuszczę do żadnych rzezi tam, gdzie sięga moja władza. – Odwracając się przez ramię, zawołał ku swoim: – Lucylerze, zgaś ten ogień z Dinadinem i połóżcie kres temu, co się tu dzieje.

Żołnierz był zdziwiony.

– Co wy wyprawiacie? Nie możecie ot tak, po prostu...

– Milcz, głupcze. Imperator dał mi władzę, dzięki której mogę tutaj czynić, co mi się podoba. Teraz rozkaż swoim, by natychmiast przestali mordować tych ludzi, albo zadbam o to, byś pojechał do Nar w kajdanach. Pojmujesz?

Powołanie się na imperatora sprawiło, że żołnierz z trudem przełknął ślinę. Zatrzymał się, pochylił i puścił prosiaka wolno. Zwierzę kwiknęło dziko i pognało w pole.

– Rozumiem, Vantranie.

– Rozumiem, mości książe – Richius poprawił go, ruszając ku wiosce.

– Co takiego?

– Dla ciebie i twoich jestem księciem Vantranem.

Nie dbał o to, jaką usłyszy odpowiedź. Liczyło się jedynie to, że żołnierz okazał mu posłuszeństwo i skłonił swoich ziomków do zaprzestania rzezi. Poza tym chciał też odszukać Gayle'a.

Szybko odkrył, że wieśniacy bali się go tak samo, jak bali się jeźdźców. Większość odwracała wzrok, kilku rzuciło się do ucieczki, kiedy ich mijał. Uciekały przeważnie kobiety, najwidoczniej w obawie przed gwałtem. Richius wszędzie słyszał łoskot szybko zatrzaskiwanych drzwi. I wrzaski oraz płacz dzieci.

Przeszukując płonąca wioskę, Richius widział, jak jego towarzysze usiłowali uspokoić przerażonych wieśniaków. Ujrzał jak Dinadin przyklęka, by pocieszyć małą dziewczynkę, która histerycznie powtarzała coś w gardłowym języku Triinów. Podobnie jak Richius, Dinadin prawie nie znał tej dziwacznej mowy. Usiłując uspokoić dziewczynkę, bełkotał niewyraźnie kilka znanych sobie zdań w jej języku. Choć w duchu pochwalał wysiłki towarzyszków, Richius nie przyłączył się do nich i nie próbował uspokoić przerażonych ludzi. Zdeterminowany szedł przez cały ten chaos szybkim krokiem, ignorując niezrozumiałe prośby dzieci, które czepiały się jego nóg. Odganiał je

bezlitośnie, a widok każdego mijanego dziecka wzmagał tylko jego wściekłość.

Na zewnątrz jednego z niewielu stojących jeszcze cało domków stał samotny Talistańczyk ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami. Wokół nie było nikogo innego, a i chatka nie wyglądała na taką, w której mogło kogoś coś zainteresować. Ze środka jednak słychać było kobiece jęki, jakich nie sposób pomylić z innymi.

– Co tu robisz? – spytał, podchodząc do Talistańczyka i trzymając miecz na wysokości pasa. Widok dobytego ostrza natychmiast stłumił w żołnierzu wszelkie myśli o tym, by zostać bohaterem.

– Książę Vantranie – wybełkotał. – Postawiono mnie tu, bym strzegł tego domu.

– Kto wydał taki rozkaz?

Wartownik niedługo się wahał.

– Baron Gayle.

– Jest wewnątrz?

– Owszem. Ale... Książę, ja mam dopilnować, by nikt mu nie przeszkadzał.

– A to dlaczego? By mógł zgwałcić jakąś starą babę? Precz mi z drogi!

– Ależ proszę... – Wartownik usiłował zachować resztki godności, Richius jednak szybko odsunął go na bok i kopnął w drzwi, które, wyleciawszy z zawiasów, odsłoniły niewielki, słabo oświetlony pokój. W rogu, pod pojedynczą pochodnią, na ziemi poruszała się lśniąca srebrem sterta.

– Gayle!

Pan z Czarnej Kniei odwrócił się i spojrzął ku drzwiom. Jego oczy błyszczały osobliwą mieszaniną wściekłości i niezaspokojonej żądzy. Ujrawszy Richiusa zaklął. Leżąca pod nim dziewczyna szarpnęła się, Gayle jednak bez wysiłku przytrzymał ją pod sobą.

– Wynoś się stąd! – zaryczał baron, a potem dodał ze śmiechem: – Znajdź sobie inną!

Potem zwrócił się ku dziewczynie i ponownie wpił się wargami w jej szyję. Dziewczyna jęknęła i szarpnęła się z odrazą. Gayle zdał sobie sprawę z tego, że Richius nie odszedł, dopiero wtedy, gdy poczuł chłód ostrza miecza na karku.

– Wstawaj! – odezwał się zimno Richius. Swoje słowa poparł zwiększeniem nacisku na kark lubieżnika. Gayle znieruchomiał.

– Vantranie! – syknął ostrzegawczo. – W tej chwili zabierz miecz z mojego karku!

Richius porwał go za włosy i szarpnął w tył.

– Baronie, zechciej wstać – polecił, nie odejmując miecza od karku talistańskiego arystokraty.

Gayle z niezrozumiałym warknięciem podniósł się na kolana. Dziewczyna szybko wyczołgała się spod niego i skuliła w kącie, osłaniając piersi poszarpaną koszulą.

– Wiedziałem, że akurat coś takiego wpadnie ci do łba! – syknął Richius, nachylając się nad ramieniem Gayle’a. – Bydlak z ciebie!

– Ty bałwanie! – stęknął Gayle. Talistańczyk nadal nie ośmielił się wstać, czując na karku pocałunek ostrza Richiusa. – A jak myślisz, co my tu robimy? To wojna, chłopczyku.

– W tej dolinie ja decyduję o tym, co jest wojną, a co nią nie jest – odparł Richius, odejmując miecz od karku Gayle’a. – A teraz precz stąd!

Gayle wstał i spojrzał na Richiusa tak wściekle, że człowiek mniejszego ducha przestraszyłby się. Mimo że Talistańczyk był wyższy o dobrą stopę, Richius nawet nie drgnął. Odpowiedziawszy Gayle’owi nieugiętym spojrzeniem, minął go i podszedł do kąta, gdzie wciąż jeszcze tkwiła dziewczyna, która patrzyła na obu z nienawiścią w oczach.

– Nic ci się nie stało? – spytał łagodnie.

– Nie skrzywdziłem jej – zapewnił go pospiesznie Gayle, poprawiając napierśnik. – A zresztą, co cię to obchodzi? Jesteś większym miłośnikiem gogów, niż twój ojciec!

– Baronie – syknął Richius. – Opuść moją dolinę.

– Twoją dolinę? Usiłujecie utrzymać to miejsce od kilku miesięcy. Jeżeli odejdziemy, Voris pokona was w ciągu jednego dnia!

Niespodziewanie dla obu z rogu pomieszczenia rozległ się dziki wrzask. Richius odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, jak dziewczyna mija go ze sztyletem w dłoni. Wpadła na Gayle’a i uderzyła z okrzykiem wściekłości. Gayle zawył boleśnie, gdy ostrze sztyletu, ześlizgnąwszy się po jego napierśniku, rozdarło skórę i mięśnie ramienia.

– A... suka! – zaklął, odrzucając ją od siebie jednym zamachem ręki. Dziewczyna wyrzuciła się, a jej sztylet opadł na ziemię. Gayle ruszył na nią, ona zaś podniosła się szybko i, sycząc niczym kocica, sięgnęła ku jego krtani zakrzywionymi w szpony palcami. Odciągnął ją Richius, z trudem odrywając od rozjuszonego barona.

– Wynoś się stąd, Gayle! – zagrzemiał, z trudem trzymając dziko wrywającą się dziewczynę. Łatwiej byłoby mu chyba zapanować nad jednym z bojowych wilków Vorisa. Dziewczyna zasypywała barona przekleństwami z języka Triinów. Twarz Gayle’a z Czarnej Kniei wykrzywił gniew.

– Zabiję cię, ty mała... – warknął.

Dziewczyna kopnęła, trafiając go wysoko w udo. Richius szarpnął ją do tyłu i stanął pomiędzy nią a baronem.

– Wynoś się! – syknął do Gayle’a. – Ale już!

– Miłośnik gogów! – warknął Gayle. – Ty mały skur...

– Baronie, kazałem ci odejść!

– Jeżeli się stąd wyniesiemy, przegrasz, Vantranie – ostrzegł go Gayle. – Przysięgam, że przegrasz.

– Wolę przegrać, zachowując honor, niż zwyciężyć z twoją pomocą, Gayle.

Baron uśmiechnął się sarkastycznie.

– Jak sobie chcesz – powiedział i wyszedł wreszcie z chatki.

Richius spojrział na dziewczynę – dopiero teraz mógł to zrobić dokładnie. Była młoda, nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat. Miała długie białe włosy jak wszyscy Triinowie. Jej migdałowe oczy patrzyły z odrazą i nienawiścią. Wokół lewego nabrzmiewała już czerwona opuchlizna, która wkrótce miała się stać paskudnym siniakiem.

– Nic ci nie jest? – spytał Richius, wyciągając dłoń, by dotknąć jej twarzy.

Dziewczyna wyraziła sprzeciw szybkim szarpnięciem głowy.

– *Ee sassa ma!* – jęknęła, odsuwając rękę Richiusa i zaciągając ciasniej rozerwaną na piersiach koszulę. – *Sassa ma! Sassa ma!*

Richius cofnął się zaskoczony.

– Nie, nie – odpowiedział, wyciągając przed siebie otwarte dłonie. – Nie zamierzam wyrządzić ci krzywdy. Chcę ci tylko pomóc.

Dziewczyna błyskawicznie sięgnęła po swój opuszczony sztylet. Richius jednak był bliżej i nastąpił na niego nogą.

– Nie! – krzyknął, sięgając, by podnieść broń.

Dziewczyna cofnęła się lekko, nie odrywając od niego czujnego spojrzenia. Z jej ust wydobył się potok przekleństw, z czego Richius wywnioskował, że jego obecność jest tu mocno niepożądana. A jednak w dziewczynie było coś, co nie pozwalało mu tak po prostu odejść.

– Przestań – odezwał się prosiącym głosem. – Nic ci nie grozi. Nie zamierzam cię skrzywdzić.

Dziewczyna jakby go zrozumiała i nagle się uspokoiła. Oddychała wolniej, ale jej oczy nadal mierzyły Richiusa uważnym i podejrzliwym spojrzeniem. Vantran zmusił swoją twarz do skąpego uśmiechu.

– O tak, teraz już lepiej. – Opuścił dłoń, w której trzymał jej sztylet. – Nic ci już nie grozi. Przybyliśmy tu z pomocą.

Dziewczyna spojrzała tępo. W jej oczach dopiero teraz zaczynały malować się szok i zgroza. Richius widywał już takie spojrzenia, po raz pierwszy jednak patrzyła w ten sposób młoda dziewczyna, niemal dziecko. Znów zapragnął pogłodzić ją po policzku, ale zanim to uczynił, usłyszał, że ktoś na zewnątrz woła jego imię. Wołano z daleka, ale natychmiast rozpoznał głos Dinadina.

– Szukają mnie – mruknął, na poły do siebie. Wiedział, że dziewczyna nie rozumiała jego mowy, nie chciał jednak przerywać, by nie stracić jej choćby kruchego zaufania. – Słyszysz? To moje imię... Richius.

Dziewczyna nawet nie drgnęła, nadal mierzyła go spojrzeniem.

– Richius – powtórzył, wskazując na siebie. – Jestem Richius.

Dziewczyna przez chwilę jeszcze patrzyła na niego spokojnie, a potem w jej źrenicach pojawił się błysk zrozumienia.

– *Kalak?*

Richiusa jakby poraził grom.

– Nie! – zawołał, zrywając się na nogi. – Nie nazywaj mnie tym imieniem! Nie jestem waszym wrogiem! Przybyliśmy tu, by wam pomóc! My...

Przerwał. Dziewczyna wciąż patrzyła z bólem i zgrozą w oczach.

– Dlatego właśnie tu jesteśmy – rzekł ponuro i z żalem w głosie. – Ale wy nigdy w to nie uwierzycie.

Dziewczyna uparcie milczała. W izbie nagle zrobiło się bardziej mroczno – w drzwiach pojawiła się roślina sylwetka Dinadina.

– Richiusie?

Ten nie odrywał wzroku od skulonej u jego stóp dziewczyny.

– Co się stało?

– Gayle i jego ludzie odeszli, ale pożar wioski rozprzestrzeniła się. Myślę, że powinniśmy się stąd wynieść.

Richius kiwnął głową.

– Znajdź Lucylera.

– On już czeka na zewnątrz przy koniach – odpowiedział Dinadin, wkraczając do izby. – Kto to jest?

Richius odwrócił się od dziewczyny i ruszył ku drzwiom, ciskając sztylet na ziemię.

– Nikt.

\* \* \*

Dyana zaczekała, aż Kalak wyjdzie, i dopiero wtedy ośmieliła się na jakiś ruch. Jej ciało zeszywniało i pokrywał je brud. Koszula na piersiach była rozdarta. Dziewczyna ujęła ją w dłoń, zaciskając zęby i dławiąc łzy.

„Odetchnij! – rozkazała samej sobie. – Kalak już odszedł”.

Ale czy naprawdę? Na zewnątrz słyszała krzyki, wszystkie jednak były głosami Triinów. Do małego domku sączył się dym, a za ścianami słychać było trzask i huk

płomieni. Dziewczyna przeprowadziła szybkie oględziny swego ciała. Dotknęła palcem opuchlizny i skrzywiła się z bólu. Okolice oka nabrzmiewały coraz szybciej i niewiele mogła nim zobaczyć. Usłyszała własny płacz – płacz przerażonej, rozzłoszczonej dziewczynki.

I nagle pomyślała o swoim wuju. Gdzie jest? Dlaczego jej nie szuka? Wstała z trudem, czepiając się ściany. Poczowała mdłości i przez chwilę myślała, że dostanie torsji. Zastanawiała się też, czy napastnik nie złamał jej kości policzkowej. Ostrożnie, cał po cał, przesunęła się wzdłuż ściany ku drzwiom, tam przystanęła na chwilę, by nabrać sił, i wyjrzała na zewnątrz.

Słońce zasłaniał dym. Ze wszystkich stron runął na nią nawał okropnych krzyków. Koło niej z płaczem przebiegły dzieci, a uliczkami niesły się łkania starszych. Wydało jej się nagle, że cały świat stanął w ogniu, i nietknięta została jedynie skromna chatka jej wuja. Chwiejnie wyszła na zewnątrz, wstrząśnięta obrazami zniszczenia.

– Jaspinie! – zawołała, patrząc wzdłuż uliczki. – Jaspinie? Gdzie jesteś?

Zwróciła na nią uwagę jakaś starsza, nie znana jej kobieta, która spojrzała ze współczuciem na jej pokiereszowaną twarz, porwaną odzież.

– Nic ci nie jest, dziecko? – spytała i objęła ją ramieniem.

Dyana zaprzeczyła ruchem głowy, bo troska o siebie była teraz najmniejszym z jej strapiień.

– Muszę znaleźć wuja. I kuzynkę...

– Twoja twarz jest zboczona krwią – odpowiedziała kobieta. Uśmiechając się łagodnie, próbowała ukoić Dyanę. – Połóż się. Muszę się zająć twoim okiem.

– Nie! – zachnęła się Dyana. – Shani... Gdzie ona jest? – Wydało jej się, że słyszy swoje słowa z ogromnej odległości, nie mogła zresztą wymówić ich wyraźnie. – Proszę, zabierz mnie do niej. Muszę ją znaleźć i upewnić się, że nic jej nie jest. Ona jest maleńka...

Kobieta zbladła.

– Ty jesteś tą, która mieszka z Jaspinem?

– Tak, tak – odparła szybko Dyana. Machnęła ręką w stronę domu wuja. – Mieszkałam tam z nimi. Widziałaś ich?

– Och... dziecko! – Twarz kobiety zbladła jeszcze bardziej. Nieznajoma ujęła Dyanę za rękę i mocno ją uścisnęła.

– Co się stało? – nalegała Dyana. – Zaprowadź mnie do nich...

– Zrobię to, zrobię – odpowiedziała kobieta. – Chodź za mną.

I poprowadziła Dyanę przez uliczki pełne gorączkowego ruchu, mimo płonących chat, obok dzieci o nieprzytomnych spojrzeniach i zbitych w gromadki rodzin. Dyana

szła za swoją przewodniczką, a szalejąca w jej głowie burza emocji nie pozwalała jej prawie na myślenie. W końcu dotarli do kolejnego zgromadzenia, nieopodal domu Jaspina. Wśród stojących tu ludzi ujrzała kilka znajomych twarzy, na których malował się wyraz grozy i nieszczęścia. Ktoś pośrodku grupki, mężczyzna, wydawał jęki, jakby konał. Stara kobieta zatrzymała się i spojrzała na Dyane, a potem bez słowa wskazała jej grupkę nieszczęśników.

Dyana przepchnęła się pomiędzy ludźmi. Rozpoznała wśród nich Eamoka, sąsiada Jaspina. Spojrzał na nią, gdy jej podarta suknia musnęła jego policzek. Rozpoznał ją i na jego twarzy natychmiast pojawił się gniew. Potem powoli odsunął się na bok, otwierając przejście do środka. Jak podejrzewała – i co napawało ją przerażeniem – ujrzała Jaspina, którego ciałem szarpały łkania. W ramionach trzymał drobne, zmiażdżone ciało.

– Stratowali ją – usłyszała czyjś szept.

Dyana spojrzała z góry na drobną figurkę odzianą w sukienkę, na której końskie podkowy powyciskały krwawe plamy. Twarz małej była zakrwawiona, ale nietknięta – oprócz jednego oka, które wybite z oczodołu zezowało w inną stronę, nadając twarzyczce dziecka niesamowity wygląd. Dyana poczuła, że traci resztki hartu ducha, jakie jej zostały. Opadła na ziemię obok płaczącego stryja.

Mała Shani była bezwładna niczym laleczka, której poprzecinano więzy w stawach. Jaspin jęczał coś niezrozumiale i kołysał się w przód i w tył, tuląc do siebie ciało córeczki. Dyana objęła go ramieniem i uścisnęła.

– Biedna Shani – szepnęła. – Nieszczęsne dziecko.

Jaspin szarpnął się jak oparzony. Zaskoczona Dyana opadła na ziemię, wspierając się na obu dłoniach.

– Precz ode mnie, diablico! – wykrzyknął Jaspin.

– Jaspinie! – zdumiała się Dyana. – Co mówisz?

Wuj odsunął od niej martwe dziecko i wstając z kolan, spojrzał na nią z góry.

– Precz! – krzyknął raz jeszcze.

Podniósł obutą stopę i pchnął Dyane w pierś. Dziewczyna znów padła na ziemię.

– Przestań! – zawołała z rozpaczą w głosie. – Za co to wszystko?

– Bo to twoja wina, mała więdmo! – Podniósł dłoń zaciśniętą w pięść i zrobił ruch, jakby chciał ją uderzyć w twarz. – Bądź przeklęta! – jęknął, opuszczając dłoń. – Bądź przeklęta za to, co nam zrobiłaś!

– Ja? – zdumiała się Dyana. – Przecież...

– Popatrz na moje dziecko! – wrzasnął Jaspin, podsuwając jej pod twarz ciało Shani.

– Tharn chciał wziąć na tobie pomstę!

– Nie powinieneś pozwolić jej na to, by przyszła i z nami zamieszkała – odezwał się



Eamok, przyjaciel i sąsiad Jaspina. Jego twarz też była zalana łzami i malował się na niej ten sam wyraz szaleństwa, jakie ogarniało Jaspina. – To ona ściągnęła na nas to wszystko! Ostrzegałem cię, że tak będzie!

– To nie ja! – zawrzała gniewem Dyana. Czowała coraz silniejsze zawroty głowy. – I nie Tharn. To byli ludzie Kalaka!

Jaspin przytulił ciało córeczki do piersi.

– Dosięła cię zemsta Tharna. On wie, gdzie jesteś!

– Teraz przyjdzie i po nas! – dodał Eamok, zwracając się z tym okrzykiem do pozostałych zgromadzonych. – Nie jesteśmy już tu bezpieczni!

– Jaspinie, proszę... – Dyana wyciągnęła ręce, ale wuj odwrócił się od niej. – Proszę!

– Nie mów już ani słowa więcej, Dyano! Jesteś przeklęta. A ja... ja wiedziałem o wszystkim! Och, wiedziałem! To moja wina! – Opuścił głowę i zaniósł się płaczem. Jego słowa rozplýwały się wśród łkań i coraz trudniej było je zrozumieć. – Dziewczyno, nie należysz już do mojej rodziny.

Dyana oszołomiona rozwojem wydarzeń opuściła ręce.

– Ależ to nie ja! To sprawka Kalaka.

– Ty ich tu sprowadziłaś – warknął Eamok. – Ty i nikt inny... Jesteś przeklęta jak twój ojciec. Tamtych sprowadził tu gniew Drolów, gniew Tharna! – Położywszy dłoń na ramieniu dziewczyny, zaczął ją potrząsać. – Sami powinniśmy mu ciebie odesłać.

Dyana wyrwała się Eamokowi i uderzyła go w twarz.

– Nie dotykaj mnie! – zawołała rozplómienna gniewem. – Nigdy do niego nie pójdę. Przedtem się zabiję!

Eamok ruszył na nią, jakby chciał ją uderzyć.

– Sam chciałbym cię zabić! Widzisz, do czego doprowadziłaś? To twoja zuchwałość wobec pana ściągnęła tę śmierć na dom Jaspina. On ma za dobre serce, by ci to powiedzieć, ale nigdy cię tu nie chciał!

– Przestańcie! – załkał Jaspin. Odwrócił się wolno, by stanąć z Dyaną twarzą w twarz. Pokazał jej drobne, zmiażdżone ciałko Shani. – Dyano, spójrz na moją córeczkę. Popatrz, jak ją stratowali...

Dyana jednak nie mogła się zmusić do tego, by spojrzeć na ofiarę. Dla wuja Shani była całym światem. Była jego słońcem i księżycem. Teraz został zupełnie sam... bezdzietny wdowiec. To, czym żył, przepadło na wieki.

– Dziewczyno, jesteś głupia – odezwał się stryj. – Tharn dowiedział się, gdzie jesteś. – Szerokim gestem objął otaczające ich dowody klęski i zniszczenia. – Wszystko to jest znakiem. On pragnie cię mieć. Chce cię posiadać i nie możesz mu się oprzeć!

– I jest Drolem! – zagrzemiał Eamok. – Może odwołać się do bogów. Może nas

zniszczyć. – Odwrócił się do przyjaciela. – Jaspinie, odeślij ją! Odeślij ją do Tharna. Nie pozwól jej się tu już ukrywać. On znów po nią przyjdzie.

– Wszyscy jesteście szaleni – zawołała Dyana. Wiedziała, że nie ma sensu przekonywać tych ludzi, którzy wierzyli w moc Drola. Nagle jednak zawrzała gniewem, którego nie umiała powstrzymać. – Tharn jest tylko człowiekiem, podstępny i przebiegły, ale tylko człowiekiem. Wasz strach nie ma żadnych realnych podstaw!

– Posłuchaj jej tylko, Jaspinie! Kocha Narenów, jak jej ojciec. Odeślij ją!

Jaspin podszedł do Dyany i przez chwilę oboje wbijali w siebie wściekłe spojrzenia przekrwionych oczu. Twarz Dyany była twarda niczym oblicze z kamienia. Żal jej było dziewczynki, i bolało ją to, że ten żal nie był nikomu potrzebny.

– Wuju... – odezwała się, powstrzymując gniew. – Nie odpędzaj mnie.

Nie miała dokąd pójść, on zaś doskonale o tym wiedział. Nie mogła wrócić do Tharna. Nie umiała się jednak zmusić do błagań. Nie wobec nienawiści, jaką widziała w jego oczach.

– Niektórzy mówią o tym, by iść do Ackle-Nye – odpowiedział Jaspin. – Idź z nimi, albo ruszaj do Tharna, wszystko mi jedno. Ale odejdz.

– Do Ackle-Nye? Jaspinie...

– Ruszają rankiem. Nie chcą tu mieszkać pod władzą Tharna. Już wcześniej zadawałem sobie pytanie, czy nie powinnaś iść z nimi, a teraz wiem to na pewno. Dring nie jest miejscem dla ciebie, Dyano. To ziemia Vorisa. A my jesteśmy jego ludem. Idź do Ackle-Nye. Z innymi miłośnikami Narenów.

– Ale tam niczego nie ma! – sprzeciwiła się. – Tylko uchodźcy. Chcesz, by taki właśnie los przypadł mi w udziale?

Jaspin obojętnie wzruszył ramionami.

– Dyano, nie jestem ciekaw tego, co z tobą będzie. Przysięgam, że jesteś jak twój ojciec, który chyba nie był Triinem.

A potem odwrócił się i odszedł, nadal obejmując ciało córki. Znikł w tłumie wśród dymu. Eamok rzucił jej tryumfujące spojrzenie, sycąc się zwycięstwem, do którego dążył od chwili jej przybycia do wioski. Patrząc w ślad za odchodzącym wujem, Dyana zdała sobie sprawę, że oto odchodzi ostatni z żyjących członków jej rodziny. Od tej chwili zaczynała się jej prawdziwa samotność. Objęła się ramionami, opadła na ziemię i wreszcie zalała się łzami.

## Trzy

Rosnące w dolinie Dring maki były ogromne. Richius w całym swoim dotychczasowym życiu nie widział takich roślin. Wielkie kwiaty tłoczyły się jeden obok drugiego w dolinie, która przyrównana do bezbarwnych okopów wydała się młodzieńcowi oazą kolorów. W Aramoorze też były makowe pola. Purpurowe kwiaty z jego ojczyzny nie mogły się jednak równać z różnorodnością, która wyrastała z ziemi tutaj. Spojrzawszy na białe i fioletowe kielichy, westchnął. Ostatnie kilka dni żyło mu się tu cudownie.

Odłożył pióro do schowka i zamknął swój dziennik. Wdzięczny był losowi za to, że pozwolił mu się wyrwać z okopów i że może czuć na twarzy promienie słońca Lucel-Loru. Nie przejmując się szorstkością pnia drzewa, o które się opierał, uśmiechem odpowiedział na pieśczość. Ciepło słoneczne rozgrzewało go równie skutecznie jak pieśczość kobiety.

Po drugiej stronie gór nigdy nie mówiono o urodzie Lucel-Loru. Miejsce to było dla niego zagadką, a tych należało unikać. Richius nigdy przedtem nie widział żadnego z Triinów, ale jak wszystkie wychowane w Imperium dzieci słyszał opowieści o białoskórych wampirach i magach równie szybkich jak poranny wiatr i tak jak on nieprzewidywalnych. Kiedy podrósł, spytał ojca o Lucel-Lor. Danus Vantran, w swój zwykły, rzeczowy sposób odpowiedział synowi, że Triinowie różnią się od innych ludzi, niewolą kobiety i są gwałtowniejsi, niż książęta Nar.

– Jak Talistańczycy? – spytał wtedy Richius.

Odpowiedź na to pytanie sprawiła ojcu kłopot.

Od tamtej pory Richius uczył się czego tylko mógł o Triinach. Nie byli bestiami jak przedstawiano ich w Imperium, nie byli też kanibalami. Nawet Drolowie, choć byli religijnymi fanatykami, okazywali iskielki człowieczeństwa. Nie torturowali jeńców, jak to czynili w Nar, Czarnym Grodzie, i nie niewolili kobiet – przynajmniej nie w ogólnym znaczeniu tego słowa. Gorsze rzeczy Richius widywał w burdelach w Nar, gdzie nędza zmuszała kobiety do sprzedawania się dla uzyskania jakichkolwiek środków utrzymania.

Lekki wietrzyk poruszył kwiatami maków, co Richius odczuł jako łaskotanie gołych stóp. Zachichotał jak uczeń. Zakłopotany spojrzął w stronę, gdzie nieopodal siedzieli Dinadin z Lucylerem, którzy rozłożyli na trawie przed sobą planszę do jakiejś gry. Dinadin uważnie przyglądał się sytuacji i drewnianym pionkom, ale kiedy usłyszał chichot Richiusa, podniósł pytająco brew.

– Szczęśliwy?

– Owszem – odpowiedział Richius. – Po raz pierwszy od bardzo dawna...

Ziewnął, przeciągając się niczym kot. Ciepło sprawiło, że poczuł ogarniającą go senność i zaczął leniwie zastanawiać się nad tym czy się nie zdrzemnąć. Zachichotał ponownie nie wiadomo dlaczego rozbawiony tym pomysłem. Od napaści na wioskę minął niemal tydzień, a od tamtej pory jedynie spali i obżerali się. Dobrze wykorzystali czas spokoju, jaki dał im Gayle. Pogoda sprzyjała łowom. Nikt ich nie niepokoił – ani wilki, ani Drolowie, a każdy wysłany na łowy wracał z tłustym ptakiem, albo sarną, dzięki czemu wszyscy objedli się do syta. Richius poklepał się po brzuchu. Wspaniale było czuć się lekko ociążonym.

– Kto wygrywa? – spytał.

Dinadin wyjął czerwony kołek z otworu i przyglądając się pozycji, żuł leniwie jego koniec.

– A jak myślisz? – odpowiedział pytaniem na pytanie. – Nigdy mi się nie udało wygrać w tę przeklętą grę. – Szybkim ruchem wetknął koniec pionka w nowy otwór. Lucyler jęknął.

– Bo wcale o niej nie myślisz – odpowiedział, wyciągając pionek. – Popatrz, czerwone to twoi piesi. Nie możesz im kazać wykonywać skoków.

Dinadin wyrwał pionek z palców Triina.

– Niech ci będzie – uciał i nie patrząc nawet na planszę, wetknął kołek na chybił trafił w inny otwór. – Teraz lepiej?

– Graj poprawnie – w głosie Lucylera zabrzmiały nutki gniewu – albo nie graj wcale.

– To tylko gra, Lucylerze.

Lucyler skrzywił się i zaczął wyciągać pionki z otworów w planszy.

– Chłopcze, z Ejai mógłbyś się sporo nauczyć – stwierdził. – Rzecz w strategii i podstępach Gra taka jak ta mogłaby cię nauczyć, jak przeżyć.

– Jak do tej pory udawało nam się przeżyć bez pomocy Triina – odpowiedział Dinadin. – A zresztą jesteś jedynym Triinem jakiego widziałem i który walczy u naszego boku. Wszyscy pozostali jak myślę, to Drolowie.

– Jeżeli tak właśnie myślisz, Dinadinie toś głupi – odpowiedział Lucyler, wstając. – Jesteśmy liczniejsi niż wszystkie ludy waszego Imperium razem wzięte. Utknęliście w tej dolinie i myślicie że to już cała wojna. A ja widziałem wojowników Kronina walczących na północy. Byłem w Tatterak i to podczas upadku Falindaru. – Lucyler wymierzył w Dinadina palec. – A gdzie ty wtedy byłeś?

– Dość! – uciał Richius. – Chcę odpoczynku, nie sporów. Usiądź, Lucylerze.

Lucyler wahał się przez moment, ale w końcu opadł na trawę pomrukując coś pod nosem. Richius zwrócił się tymczasem do Dinadina.

– Dinadinie, powinieneś wiedzieć, że nie mówi się nikomu takich rzeczy. Edgard opowiedział mi o walkach w Tatterak. Jeżeli chciałbyś zobaczyć Triinów walczących dla Daegoga, to tam właśnie miałbyś okazję.

– Owszem, wiem – przyznał Dinadin. – Powiem tylko tyle, że chciałbym tu zobaczyć choć kilku tamtych wojowników. Bardzo by się nam przydali, zwłaszcza po odejściu konnych Gayle’a.

Richius skrzywił się lekko i z jego twarzy zniknął błogi wyraz. Dinadin powiedział prawdę, teraz jednak nie chciał o tym myśleć. Nie bardzo mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miał okazję zdjąć napierśnik i wyjść z okopów na kilka godzin. Dlatego nie chciał zakłócać chwili cennego spokoju rozmową o wojnie.

– Kronin nie może nam pomóc – stwierdził Lucyler. – Przysłałby tu wojowników, gdyby mógł. Nienawidzi Vorisa jak każdy z nas.

– Słyszałem o tym – stwierdził Richius. – Kiedyś mówił mi o tym Edgard. Waśń pomiędzy nimi ciągnie się od lat.

– Od wieku wieków, a w każdym razie trwała w najlepsze, zanim się urodziłem. Kronin nie jest Drolem i nigdy nim nie był. I od początku popierał sprawę Daegoga. Voris jednak urodził się jako Drol, w jednym z klanów podległych Tharnowi. Już to wystarczy, by rozgorzała pomiędzy nimi nienawiść.

– To tak jak my i Gayle – stwierdził Richius, uśmiechając się krzywo. Jak zawsze, ogromnie go ciekawiły przyczyny wrogości ludów zamieszkujących Lucel-Lor. Wojnę pomiędzy rodami Vantran i Gayle wywołały przyczyny polityczne i te same gorzkie uczucia podzieliły teraz Triinów. W końcu jednak Vantranowie i Gayle’owie zaprzestali wrogości i połączyli się w chwiejnym sojuszu pod sztandarami Nar. I choć wiedział, że jego bezwzględny imperator zamierza zdobyć cały Lucel-Lor, Richius uważał za nieprawdopodobne, aby pomiędzy wojowniczymi władcami Triinów kiedykolwiek zapanował pokój.

– Wiesz, że od takich myśli zaczynają się wojny – stwierdził Richius. – W Imperium nie bijemy się jedni z drugimi.

– Nie – przyznał Lucyler. – Na to nie pozwoliliby wasz imperator.

– Imperator utrzymuje pokój pomiędzy narodami Nar już od blisko dwudziestu lat – uciął zimno Richius.

– Napadając na inne ludy? Nar jest w stanie wojny z całym światem. Jak możecie utrzymać, że Arkus zachowuje pokój, podczas gdy wy siedzicie tutaj?

Zanim Richius zdążył odpowiedzieć, na nogi poderwał się Dinadin.

– Nasza obecność chyba ci tu nie przeszkadza, co, Lucylerze? Gdyby nie my, ludzie z Nar, ty i twój Daegog oglądalibyście świat przez kraty w więzieniu Drolów.

– Wasz imperator pomaga Daegogowi jedynie dlatego, że czegoś od niego potrzebuje – sprzeciwił się Lucyler. – Jesteście jak te pionki na planszy, przestawiane wedle woli i zamysłu gracza.

Richius musiał stłumić gniewną odpowiedź, po części dlatego, że mężczyzna miał rację. Nikt nie wiedział, dlaczego Arkus był tak skory do pomocy Daegogowi z Lucel-Lor. Apetyty imperatora, sięgające daleko poza granice Nar, były – jak i sama osoba władcy – tajemnicą dla każdego z Nar. Richius podejrzewał, że nawet sam Daegog nie wiedział, po co tak naprawdę przyszli tu Narenie. To samo jednak pytanie dręczyło od dziesiątek lat królów nareńskich. Arkus nigdy nie był zadowolony, działał niczym machina pożerająca całe narody. Nikt też nigdy nie kwestionował motywów, jakie kierują imperatorem – po prostu robili, co im kazał.

– A ty, Lucylerze? – spytał rozgrzany sporem Dinadin. – Czy nie uważasz, że to samo dotyczy ciebie? Tańczysz, jak ci Daegog zagra. Arkus może jest draniem, ale Daegog wcale nie jest od niego lepszy.

Lucyler ponownie zaczął wstawać, ale się zatrzymał.

– Pewnie macie rację.

– Nie gryź się tym – poradził mu Richius. – Tak już jest z nami wszystkimi. Zresztą nie trzeba nam pomocy Kronina. Już niedługo powinien wrócić Patwin z wieściami od mojego ojca z Aramooru. Jeżeli opowie ojcu, jak tu jest gorąco, ten przyśle nam potrzebne posiłki.

– Naprawdę? – spytał Dinadin. – Tak uważasz, czy mówisz nam to, co – jak sądzisz – chcielibyśmy usłyszeć?

– A cóż to? – zdziwił się Richius. – Bunt w szeregach? Czy po prostu tęsknota za domem zbudziła w tobie czerwia zwątpienia, który toczy pień twojej niezachwianej wiary we mnie.

Dinadin uciekł ze wzrokiem w bok.

– Nie da się ukryć, że tęsknię za domem.

– Nie ufasz mojemu ojcu? – naciskał Richius.

– Jako związany przysięgą honoru z naszym królem nie będę o nim źle mówić – odpowiedział Dinadin. – A już na pewno nie w twojej obecności. Po prostu... – Przerwał i przez chwilę zastanawiał się nad dalszymi słowami. – Słyszysz się to i owo...

– Na przykład?

– Może to nic nie znaczy... – odpowiedział Dinadin. – Sam pewnie zresztą już słyszałeś te plotki. Wszyscy wiemy, jak kiepsko idzie ta wojna. Nie mamy jednak dostępu do wieści, które twój ojciec przysyła tobie. I dlatego zastanawiam się, co też wypisujesz w tych twoich książkach i dziennikach. – Wskazał brodą tom leżący na

kolanach Richiusa.

– Ten dziennik? Uwierz mi na słowo, że nie ma w nim niczego, co uznałbyś za godne twojej pamięci. Zapisuję w nim tylko to, o czym już i tak wiesz, i nie piszę o niczym, czego byś nie mógł się spodziewać. – Richius podniósł tom i podał go Dinadinowi. – A zresztą przeczytaj sam, jeżeli masz ochotę.

Dinadin uśmiechnął się niewyraźnie.

– Po to, by przeczytać o tym, na co ludziska się uskarżają? Może powinieneś wrócić do Aramooru, Richiusie, i pisać o nas wojenne pieśni, podnoszące lud na duchu. Jeśli mówisz, że nie ma w tym dzienniku nic, o czym bym nie wiedział, to ci wierzę.

Richius nie bez ulgi ponownie ułożył dziennik na kolanach.

– Mów. Wiem, że coś cię trapi. O co chodzi? – Spojrzał uważnie na Dinadina, mrużąc lekko powieki. – Myślisz, że król o nas zapomniał?

– Może i tak – odpowiedział Dinadin. – Od dawna już prosisz o posiłki, których nie otrzymujemy. Co różni tę prośbę od poprzednich?

– Nigdy wcześniej nie byliśmy tak bliscy klęski – odpowiedział Richius. – Obawiam się, że mój ojciec pokłada we mnie zbyt wielkie zaufanie. Pewnie myśli, że uda nam się utrzymać dolinę z tą nieliczną obsadą, z jaką nas tu przysłał. Ale teraz napisałem bez ogródek...

Przerwał nagle, dostrzegłszy, że Dinadin rzuca znaczące spojrzenie Lucylerowi.

– O co chodzi? – zwrócił się do obu.

– Zmieńmy temat – zaproponował Lucyler, bawiąc się pionkami, które zbierał z planszy. – Masz rację, Richiusie. Cieszymy się pokojem, i przestańmy się spierać.

– Nie! – upierał się Richius. – Wy coś wiecie i nie chcecie mi tego rzec. Co to takiego?

– Richiusie – odezwał się pojednawczo Lucyler. – Nie jest tajemnicą fakt, że ojciec przysłał cię tu wbrew własnej woli. Zresztą, dlaczego miałby podchodzić do tej sprawy z entuzjazmem? Nikt nie będzie miał do niego pretensji, jeżeli zechce wycofać Aramoor z tej awantury.

– Och, dalibyście spokój... – Richius przerwał wywód Lucylera. – Wiem, że ojciec niechętnie nas tu posyłał, jest jednak posłuszny imperatorowi. Posłał do Lucel-Loru setki ludzi.

– Nikt nie próbuje temu przeczyć – niechętnie przyznał Dinadin. – Ale ostatnio nie przysyłał nam zbyt wielu ludzi i zapasów, prawda?

– Jeżeli twój ojciec usłyszał pogłoski o tym, jak kiepsko idzie ta wojna, to może doszedł do wniosku, że ją przegramy – dodał Lucyler. – Wieści z północy nie są dobre, a jeżeli znamy je my, w dolinie, z pewnością dotarły i do twego ojca.

Dinadin kiwnął potakująco głową.

– Słyszałem, że Tharn zmusił wojowników Kronina do panicznej ucieczki. Nawet niektórzy z naszych ziomków mówią o tym, że powinniśmy się wycofać.

– O, niewątpliwie – zaśmiał się Richius. – I gdzie to usłyszałeś, Dinadinie? Wśród ludzi Gayle’a?

– Owszem – odpowiedział Dinadin z dość głupią miną.

– I oczywiście im uwierzyłeś! Racz pomyśleć przez chwilę: gdyby wszyscy ludzie z Aramooru mieli się wycofać, z pewnością coś bym o tym wiedział. Może i prawdą jest to, że Tharn i Drolowie nieźle sobie radzą, ale żeby mieli wygrać wojnę? Wątpię. A ziemia Kronina jest rozległa, znacznie bardziej rozległa niż kraj Vorisa. Nie możemy oczekiwać, że nie dopuści tam Drolów.

Dinadin potrząsnął głową.

– Richiusie, Tharn zwycięża. Jeżeli Tatterak padnie, ugrzęźniemy w tej dolinie, mając na karkach z jednej strony Tharna, a z drugiej Vorisa. Utkniemy tu jak w pułapce. Trzeba coś z tym zrobić. Ty musisz coś z tym zrobić.

– Ludzie Kronina mogą zatrzymać Tharna – upierał się Richius. – Co o tym myślisz, Lucylerze?

Zagadnięty wzruszył ramionami.

– Kronin ma wielu wojowników – przyznał. – Ale Tharn ma ich nie mniej. Dobrze wiecie, że Voris nie jest jedynym, który oddał się w ręce Tharna. Przysięgi złożyli mu Nang, Shohar i Gavros... – Lucyler zawahał się na moment. – Myślę, że uczynili tak wszyscy wodzowie ze wschodu. Od upadku Falindaru niewiele tam zostało, na czym Tharn nie położył ręki.

– Jeszcze nie ma doliny Dring – sprzeciwił się Richius. – I nie będzie jej miał, jak długo my się tu utrzymamy, niezależnie od tego, jaką przysięgę złożył mu Voris Wilk.

– Wiecie co myślę? – spytał Dinadin. – Tharn planuje ostateczny atak na nas wszystkich, oddziały Narenów i popierających nas lojalistów. Teraz, kiedy jesteśmy słabi, może z nami skończyć. – Głos Dinadina zabrzmiał ciszej. – Może użyć swej magii.

– Magii? – skrzywił się Lucyler. – Nawet nie wiesz, jakie wygadujesz głupoty, Dinadinie.

– Akurat, głupoty! – odciął się Dinadin. – Wiem, co ludzie gadają. Tharn jest czarodziejem. Do kata, jest Drolem! On po prostu czeka na okazję, by nas zmiażdżyć.

– Tharn nie jest czarodziejem – sprzeciwił się Lucyler. – To święty mąż Drolów. Wy, Narenie, powinniście przestać wierzyć we wszystko, co usłyszycie. Dla was wszyscy Drolowie to czarodzieje.

– Wielbią złych bogów – upierał się Dinadin. – Wiem, co mówię, Lucylerze, nie



jestem takim głupcem, za jakiego mnie uważasz. Wierzą, że ich bogowie obdarzą ich mocą.

– Owszem, tak wierzą, co stawia ich głupotę na równi z twoją – Lucyler potrząsnął głową z niedowierzaniem. – Wiesz, dlaczego Drolowie wierzą w „dotyk niebios”? Bo są durniami. Wierzą w mity. Są oddani tej starej, głupiej, pełnej bzdur religii.

– Słyszałem, że sprawy mają się inaczej – Dinadin nadal był pewien swego.

– To tylko opowieści, przeznaczone do tego, by przstraszyć takich jak ty. Drolowie zresztą chcą, by wierzyli w to również ci, którzy poparli Daegoga. Ale nawet gdyby Tharn władał czarami – których oczywiście nie zna – to nigdy by ich nie mógł użyć do zabijania.

– A to dlaczego? – spytał Richius. Nie był przyzwyczajony do tego, by jego ludzie spierali się między sobą, i dyskusja lekko go irytowała. – Co cię skłania ku twierdzeniu, że ten szaleniec nie użyłby sztuki czarnoksiężskiej, gdyby mógł?

– Bo tego nie mógłby zrobić żaden Drol – stwierdził spokojnie Lucyler. – Oni wierzą, że ich magia ma boskie pochodzenie. Magia, czary – nazwij ten „dotyk niebios” jak chcesz – wszystko to, według tego, co mówią Drole, ma służyć uzdrawianiu, nie krzywdzie. Drolowie może są fanatykami, ale trzymają się zasad, które nasi przodkowie uważali za święte. Niezależnie od pobudek, jakie nim kierują, Tharn zostanie przeklęty, jeżeli użyje błogosławionego daru do niszczenia.

– Zajął jednak Falindar – stwierdził Richius.

– Owszem, zajął. Ale siłą oręża, a nie czarów. Richiusie, zechciej mnie zrozumieć. Tharn to czort wcielony. Widziałem, jaką rzeź zgotował w Falindarze. Jest też jednak Drolem, a żaden Drol, nieważne jak zły, nie użyje „dotyku niebios” do zabijania. Jeżeli wyśle swoje oddziały na Ackle-Nye, to będą to tylko ludzie z jiiiktarami.

– Nie jest to najgorsza rzecz z tych, jakie mógłbym usłyszeć – stwierdził Dinadin. – Ale nie miałbym niczego przeciwko wycofaniu się do Ackle-Nye, a ty, Richiusie?

– Może i nie – odparł zagadnięty. – Ale wolałbym nie walczyć o to, by sprowadzić Tharna tutaj. – Spojrzał na Lucylera.

Lucyler uciekł ze wzrokiem w bok. Był tu tej nocy, kiedy zaczęła się cała rebelia, kiedy powstańcy Drolów zaatakowali Falindar, by uwolnić swego tajemniczego przywódcę. Jak jego ojciec, a przed nim dziadek, Lucyler był w służbie Daegoga, był wojownikiem z królewskiej kasty, który poprzysiągł chronić władcę Triinów. Tharn był wtedy tylko więźniem gnijącym w lochach pod pałacem Daegoga.

Aż do tamtej krwawej nocy.

W bezksiężycową noc wojownicy Drolów, w większości fanatycy odziani w czerwień, zaatakowali pałac. Byli bezlitośni, jak zawsze Drolowie, ale ani jednej

chwili nie poświęcili na uratowanie Tharna. Tamtej nocy Lucyler miał szczęście – udało mu się niepostrzeżenie wymknąć z pałacu i przeprowadzić Daegoga w bezpieczne miejsce. Falindar dostał się w ręce Tharna a Daegog stał się wygnańcem. Za tę lojalność i odwagę Lucyler otrzymał nagrodę, jakiej niewielu mu zazdrościło – rozkazano mu zadbać o bezpieczeństwo doliny Dring. Miał też bacznie śledzić poczynania Richiusa.

Od upadku Falindaru niejedyn raz stawiali razem czoło grozie i przerażeniu, ale z całej trójki jedynie Lucyler stanął naprzeciw wodza Drolów w bitwie. Nawet Voris – choć ten przysięgał wierność swemu panu – nie mógł rościć praw do tego, że wiedział, jaką grozę potrafił wzbudzić Tharn. Wojenny wódz doliny miał jiktary, bojowe wilki i wojowników, którzy przysięgli pójść dla niego na śmierć. Wszystko to było w pewnym sensie naturalne. Bitewny szal i żądza krwi, jakie umiał wzbudzić w swoich ludziach Tharn, były legendarne. I na swój sposób magiczne.

Dinadin rozciągnął się na trawie, po raz pierwszy chyba rezygnując z możliwości sprzeczek z Lucylerem. Przez chwilę po prostu leżał i wpatrywał się w bezchmurne niebo.

– Może z powrotem Patwina dowiemy się czegoś o wojnie w Tatterak. Idę o zakład, że wracając, zatrzyma się w Ackle-Nye.

– Nie będę się spierał – uśmiechnął się szeroko Richius. – Patwin lubi kobiety niemal tak samo, jak ty.

– Wiesz... – odezwał się po chwili Dinadin, zdążywszy przetoczyć się na brzuch i oparłszy brodę na dłoniach. – Ackle-Nye jest tylko dwa dni drogi jazdy stąd.

– Nawet o tym nie myśl – ostrzegł go Richius.

– Ale dlaczego? Przecież nastąpiła przerwa w działaniach wojennych.

Richius jęknął w duchu. Wiele dałby teraz za możliwość cofnięcia obietnicy złożonej Dinadinowi, a dotyczącej wycieczki do Ackle-Nye, kiedy na froncie trochę się uspokoi. I teraz, zdaje się, nadeszła taka właśnie chwila.

– Dinadinie, nie możemy stąd odejść. Atak Vorisa może nastąpić w każdej chwili.

– Po tym laniu, jakie mu sprawił Gayle? – spytał Dinadin. – Mało prawdopodobne.

– Tak powiadasz? – Richius zmrużył oczy. – A ja jestem pewien, że Voris już wie, iż Gayle i jego ludzie stąd odeszli.

– I co z tego? Nie będziesz chyba twierdził, że Voris może tak szybko zebrać ludzi. Dobrze mówię, Lucylerze?

– Któż to wie? – odpowiedział sennym głosem zagadnięty. – Wilk nie myśli tak, jak inni wodzowie. Nie da się przewidzieć, co mu strzeli do głowy.

– I ma odpowiednie siły. Dolina Dring jest rozległa, Dinadinie, a Vorisowi zostały jeszcze dziesiątki wojowników.

Dinadin zmarszczył brwi i odwrócił głowę.

– Niech ci będzie, Richiusie – zgodził się, wstając i strzepując z siebie trawę. – Ale mógłbyś przynajmniej o tym pomyśleć. Drolowie i Tharn zdobywają coraz większe tereny i taka okazja może się nie powtórzyć.

– Przykro mi – odpowiedział Richius. – Po prostu nie możemy podjąć takiego ryzyka.

Aby wyrazić swe niezadowolenie Dinadin sarknął cicho, potem się odwrócił i opuścił towarzystwo przyjaciół. Richius spojrział w ślad za nim nie bez melancholii. Nie podobało mu się to, że musiał złamać obietnicę daną przyjacielowi, nie pocieszyły go też odpowiedzi Dinadina dotyczące źródeł jego nieufności. Poczul, że Lucyler trąca go w stopę jednym z drewnianych pionków.

– Jest młody – wyjaśnił Triin. – Wszystko, czego oczekuje od życia, to szansa na noc z kobietą.

– Nie – odpowiedział Richius ze smutkiem. – Chodzi o coś więcej. Nie jest sobą od kilku tygodni. Wątpi we mnie i już mi nie ufa, Lucylerze.

– Mylisz się. Jest tylko poirytowany. Czuje się tu uwięziony i wini cię za to, że nie robisz czegoś więcej.

– A co jeszcze możemy zrobić? Bóg mi świadkiem, że zrobiłem wszystko, co tylko się dało. Nie jest moją winą to, że ojciec nie przysyła nam liczniejszych posiłków. Nie prosiłem się o to stanowisko! – Skrzyżował ramiona i schylił głowę. – Lucylerze, odpowiedz mi na jedno pytanie, ale szczerze, dobrze? Jak szeroko rozeszły się te gadki o moim ojcu?

Lucyler spojrział mu w oczy z powagą.

– Mam rzec prawdę?

– Oczywiście!

Na twarzy Lucylera pojawił się jeden z jego rzadkich, niespodziewanych, przyjaznych uśmiechów.

– Nie wierzę, by twój ojciec w ogóle przysłał nam jakieś posiłki. Sam mi mówiłeś, z jaką niechęcią wysyłał tu ciebie. Gdyby nie wola waszego imperatora, ty, Dinadin i reszta waszej kompanii siedzielibyście teraz bezpieczni w Aramoorze.

– Ale...

– Richiusie, myślę, że ta wojna jest już przegrana – ciągnął bezlitośnie Lucyler. – Uważam zresztą, że ty też tak sądzisz. Dinadin ma pewnie rację. Tharn planuje ostateczne uderzenie. Może to potrwać miesiąc, ale przyjdą tu z pewnością. Żadnemu z nas nie zostało zbyt wiele czasu.

Richius milczał przez chwilę, pozwalając, by echo słów Lucylera tłukło mu się

w głowie. Lucyler patrzył uważnie, a jego szare oczy chłonęły całą prawdę, jaką zdradziła mu twarz Richiusa, wszystko to, co młody człowiek próbował ukryć przed innymi. W końcu Richius spojrzął na Lucylera, a w jego oczach pojawiła się prośba o przebaczenie.

– To właściwie nie było kłamstwo – stwierdził wreszcie.

– Nie.

– W Czarnym Grodzie są teatry, gdzie jedni ludzie udają, by zabawić innych. Nigdy tam nie byłem, ale słyszałem, że płacą całkiem godziwie. – Richius jęknął, opierając dłoń o sękaty pień drzewa. – Usiłowałem się popisać jako aktor, ale widzę, że nikt mi nie uwierzył.

– Nie mów tak, Richiusie. To nie w ciebie zwątpili. Każdy z naszych ludzi wie, że tylko dzięki tobie zostali przy życiu.

– Dinadin tak nie uważa – odparł Richius. – I kto wie, może ma rację. Może ma prawo do okazywania złości. Trzymam nas tutaj tylko po to, by Voris nie musiał wycinać rozproszonych po lasach, i dlatego, że zbyt się boję imperatora, by zarządzić odwrót. Zostaliśmy sami...

Lucyler wzruszył ramionami.

– Jest jeszcze Talistan. Może przyślą jakieś oddziały.

– Nie w dolinę, na której im nie zależy – stwierdził Richius. – I tak przysłali dwakroć liczniejsze oddziały, niż mój ojciec, a nawet gdyby zechcieli się w to mieszać, poszliby do Tatterak, by ratować Daegoga. Gayle raczej zadba o to, by nie uszedł z tej doliny żywy człowiek, zanim przyśle nam tu jakichkolwiek jeźdźców na pomoc.

Przez twarz Lucylera przemknęła jakby chmura i Richius ponownie pożałował słów, które wypowiedział w gniewie. Niezależnie od starej wrogości, dzielącej ich z Talistańczykami, powinien pozwolić jeźdźcom na pozostanie w dolinie. Teraz dolina może być stracona... A wszystko z powodu rodowej dumy.

– Przykro mi – odezwał się w końcu Richius. – Wiem, że nie powinienem przepędzać stąd Gayle'a.

Lucyler machnął dłonią.

– Nie, przecież mówiłeś mi o nim. Jestem pewien, że lepiej poradzimy sobie bez niego i jego dzikich jeźdźców.

– A co potem?

Rysy Triina wyostrzyły się jak zawsze, kiedy był rozgniewany i miał taką minę, jakby zastanawiał się, jak powiedzieć Richiusowi to, co musi zostać powiedziane, a jednocześnie oszczędzić mu najgorszego.

– Znamy się już ponad rok, Richiusie, a jednak nadal masz przede mną sekrety.

Próbuję ci pomóc, ale ty wciąż mi nie ufasz.

Dźwięcząca w głosie Lucylera gorycz szczerze zdumiała Richiusa. Nigdy wcześniej, podczas długich miesięcy znajomości i wspólnej walki, jego towarzysz nie przemówił do niego w ten sposób. Słowa zawisły w powietrzu, ale młodzieniec nie bardzo wiedział, co z nimi zrobić.

– Lucylerze, nie myl mojej skrytości z brakiem zaufania do ciebie. Pomogłeś mi bardziej, niż możesz to osądzić, ale to na mnie spoczywa ciężar dowodzenia. Nie mogę mówić podwładnym wszystkiego, o czym wiem.

– Ależ Richiusie, ja nie jestem jednym z twoich podwładnych. Nie musisz mnie oszczędzać, tak jak ich. Zapominasz, że jestem przedstawicielem Daegoga. Wiem o tej wojnie wszystko, i to nie zawsze dlatego, że ty mi o tym opowiedziałeś.

Richius przełknął zniewagę. Lucyler nie widział Daegoga z Lucel-Loru od wielu miesięcy. Obaj wiedzieli, że przywódca Triinów był w Tatterak z tymi, którzy zostali wierni Kroninowi, i prawdopodobnie był zbyt zajęty najazdem Drolów, by trapić się jeszcze o swego człowieka w dolinie Dring. W ocenie Richiusa wiarę Lucylera w to, że Daegog wciąż o nim pamięta, podtrzymywała w najlepszym razie potrzeba udowodnienia samemu sobie, że jest kimś znaczącym.

– Lucylerze, nawet ja nie wiem o wszystkim, co się dzieje poza doliną. Wracając do mojego ojca, o motywach jego postępowania nie wiem prawie nic.

Niemal w tej samej chwili pożałował tego, co powiedział. Jego ojciec nie był osobą, o której chciałby rozmawiać z kimkolwiek, choćby tym kimś był przyjaciel tak mu bliski, jak Lucyler. Ten jednak uniósł brwi i Richius zrozumiał, że nie da się uniknąć rozmowy o tym, o czym wolałby z nikim nie mówić.

– To mnie trochę dziwi – odezwał się Lucyler. – Tylko ty masz dostęp do listów, jakie ci przysyła ojciec. Inni mogą sobie tylko wyobrazać, co pisze.

– Mój ojciec nie lubi ubierać swoich myśli w liczne słowa. Gdybyś przeczytał te listy, nie podejrzewałbyś mnie o tajemniczość. Król pisze mi bardzo mało, a wszystko, co ja uznaję za ważne, omawiam z tobą.

– Ależ liczy się każde słowo! Jak mam ci doradzać, jeżeli nie wiem, co się dzieje i w jakim kierunku będą wydarzenia? Jeżeli mam nadal pracować u twego boku, muszę wiedzieć wszystko. Żądam tego!

Richius pojął, że Lucyler nie kłamie, ani nie próbuje go zwiść czczymi pogroźkami. Powinien o wszystkim mu powiedzieć, albo Lucyler ich opuści. A bez niego niechybnie stracą dolinę Dring.

– Więc to tak? – spytał ponuro. – Zostawisz nas tu samych na pastwę Wilka?

– Zostawię.

– A cóż mogę ci jeszcze rzec, o czym byś nie wiedział? To, że już przegraliśmy? Być może ojciec przyśle nam jeszcze parę oddziałów, choć tak naprawdę w to nie wierzę. Nigdy tak długo nie zwlekał z odpowiedzią. Domyślam się, że postanowił dać sobie spokój.

– Tego się obawiałem – stwierdził Lucyler. – Ale czy twój ojciec może sam podjąć taką decyzję? A co z imperatorem?

– Arkusa z moim ojcem nigdy nie łączyła zażyła przyjaźń. Sam to powiedziałeś. Gdyby nie imperator, mój ojciec w ogóle by nas tu nie przysłał. Tylko Talistan chętnie przysyła tu swoje oddziały, a to dlatego, że ród Gayle przypochlebia się imperatorowi. – Richius potrząsnął głową. – Mój ojciec w ogóle nie zamierzał wplątywać Aramooru w tę wojnę.

– Ale ty już tu jesteś. Dlaczego ojciec miałby z ciebie rezygnować?

– Bo przede wszystkim wciąż uważa siebie za króla Aramooru – odpowiedział Richius. – Zgodził się, by Aramoor został częścią Imperium tylko po to, by oszczędzić swemu ludowi wojny z Nar. – Westchnął, zdając sobie sprawę z gorzkiej ironii całej sprawy. – A potem imperator zwałił na niego ciężar tej wojny. Boże, już po nas.

– Może i tak – odpowiedział Lucyler. – Uważam jednak, że nie powinniśmy tracić nadziei. Jeszcze nie. Patwin przecież nie wrócił, a ty może źle oceniłeś pobudki, jakimi kieruje się twój ojciec. Może Patwin przywiezie nam dobre nowiny.

– Jesteś bardziej ufny, niż powinieneś, przyjacielu. Wiem, że mój ojciec i tak przysłał tu więcej wojska, niż zamierzał. I nie odwoła nas stąd. Wie dobrze, że gdyby to uczynił, imperator zniszczy Aramoor. Być może sądzi, że Arkus oszczędzi Aramoor, jeżeli po prostu przegramy tę wojnę.

– Ale własnego syna...

– To nie ma znaczenia – uciął Richius. – Nawet ja nie mogę od niego oczekiwać, by ze względu na mnie narażał życie swoich kolejnych podwładnych. I tak już zginęły dziesiątki żołnierzy, jeżeli nie więcej. Z tego, co słyszeliśmy, można wnioskować, że Aramoor w walkach pod Tatterak i Sheaze już poniósł straty liczone w setkach ludzi. Znam mojego ojca. Nie jest aż taki głupi, by otwarcie wystąpić przeciwko imperatorowi. Po prostu pozwoli, by tu nastąpił koniec...A to oznacza, że nas osaczono.

Richius zorientował się, że jego ponury nastrój opanował również Lucylera. Od wielu miesięcy krył prawdę przed swoimi najlepszymi przyjaciółmi, a teraz tak po prostu rozprawiał o tym, jak niewielkie mają szansę na zwycięstwo. Sklął się w duchu, pewien, że Lucyler dobrze przemyśli wszystko, co usłyszał. Nawet jeżeli przegrają, on sam, Dinadin i inni ciągle będą mieli szansę na powrót do domu. Ale Lucyler był u siebie i będzie musiał żyć pod takimi rządami, jakie Tharn i jego buntownicy narzucą całemu

Lucel-Lorowi. Świadomość ta w istocie była ciężkim brzemieniem.

– W takim razie odejdźcie – odezwał się Lucyler. – Posłuchaj Dinadina. Nie pozwól, by cię tu złapano jak w potrzask. Po prostu odejź.

– Nic z tego – odpowiedział Richius. – Chciałbym, ale to niemożliwe. Jeśli się stąd wycofamy, imperator pošle nas na śmierć, i zginieemy tak samo, jakby zabili nas Drolowie. A potem zajmie Aramoor, odbierze go Vantranom i może nawet odda pod władzę Gayle'ów. Dinadin jest zbyt prostoliniorny, by się orientować w zawiłościach polityki. Ale żał mi waszego ludu, przyjacielu. My, jeżeli przegramy, zostaniemy zabici i na tym koniec. Ale twój kraj zapłaci za to cierpieniami jego mieszkańców.

Lucyler uśmiechnął się smętnie.

– Richiusie, ja już wiem, że przegrałem swoje życie. Nie różnimy się wcale od siebie, ty i ja. Ty służysz imperatorowi, którego nienawidzisz. Ja przybyłem tu, by wspierać sprawę Daegoga.

– Którego nie cierpisz?

– Nie w tym rzecz. Niełatwo ignorować to, co o Daegogu mówią Tharn i jego zwolennicy. Pamiętaj, że mieszkałem w Falindarze. Daleko nam do doskonałości. Zdarzały się... wypadki. A Daegog potrafi być bardzo okrutny. Powiadają, że nie okazał cienia litości, torturując Tharna, i gotów jestem w to uwierzyć. On zresztą wie, że wasz imperator wcale nie życzy nam dobrze. Po prostu nic go to nie obchodzi. Tak jak Lucel-Lor jest potrzebne do czegoś Arkusowi, tak samo Daegog chce czegoś od Nar, czegoś ponad obronę przed Drolami.

– Czego?

– Może chodzi mu o broń. Wodzowie są mu posłuszni tylko dlatego, że ma tytuł. Sam jednak jest słaby i wie, że jego czas i tak się kończy, nawet bez pomocy Tharna. Nie wątpię, że poświęciłby nasze życie, aby dobrać się do mocy, której pożąda. A wasz imperator złożył mu wiele obietnic.

– Obaj są okrutnymi draniami – mruknął Richius. – Żądni władzy maniacy... Oto, kim są nasi władcy. Ale w takim razie, dlaczego mu służysz?

– A ty, dlaczego służysz swemu imperatorowi?

– Nie mam innego wyjścia. Gdybym mu wypowiedział posłuszeństwo, zniszczyłby Aramoor.

– Ze mną jest podobnie. Wiem, ile jest wart Daegog. Dobrze mi się żyło w Falindarze. Może za łatwo, ale było to piękne życie. Nie mam pojęcia, jaki porządek w Lucel-Lorze ustanowi Tharn i jego Drolowie, pewien jestem jednak, że będzie dużo gorzej. Czas martwej religii Tharna dawno już minął.

– Wygląda na to, że zamienicie jednego despotę na drugiego – stwierdził Richius.

– Może tak, ale nic na to nie poradzę. Daegogowi służył mój ojciec, tak samo, jak jego ojciec przedtem. I ja przysiągłem wierność Daegogowi. Nie umiem tego wyjaśnić, ale jestem tym, kogo ze mnie zrobiła ta przysięga.

Richius westchnął.

– W takim razie obaj jesteśmy skazani. Jeżeli, jak powiadasz, Tharn zdobywa nowe tereny w Tatterak...

– Tak się mówi, ale może to tylko plotki...

Richius zmarszczył brwi. Plotki i pogłoski były przekleństwem i trucizną niszczącą morale każdej armii. W jakiś sposób powinien się dowiedzieć, jak naprawdę rzeczy się mają.

– Utknęliśmy tu jak ślepcy – oznajmił z goryczą. – Wojna może się skończyć już jutro, ale my dowiemy się o tym nie wcześniej niż za tydzień. Musimy poznać prawdę.

Lucyler uniósł brew, zerknął na Richiusa i uśmiechnął się niespodziewanie.

– Jak Dinadin raczył powiedzieć, stąd do Ackle-Nye jest tylko dwa dni jazdy.



## Cztery

W jednym z zakątków doliny Dring, oddzielony od reszty świata gęstwiną winorośli i brzozowym lasem, stał solidnie już nadgryziony zębem czasu zamek. Była to budowla niepozorna, z licznymi wiszącymi pomostami, której mury obmywane były od tyłu przez wody krystalicznie czystego strumienia. Patrząc od środka przez pokryte kurzem okna komnat, można było zobaczyć pełen rzeźb zapuszczony ogród przechodzący od przodu w dziedziniec, będący cmentarzem porzuconych posągów pokrytych zielonymi liszajami mchu. W osnutych pajęczynami salach na przechodzącego ponuro wpatrywały się ze ścian portrety dawno nieżyjących ludzi, a z wysokich spękanych sklepień zwisały kandelabry z poczerńiałego już brązu. Wiezorami miejsce to rozświetlały liczne pochodnie i oliwne lampy, co stało się już rytuałem, po którym zawsze rozlegało się odległe wycie wilczych stad.

Mimo to, zapuszczony zamek wcale nie świecił pustkami. Zamek Dring stał się siedzibą Vorisa Wilka, wojennego wodza doliny. Stąd właśnie prowadził on wojnę przeciwko najeźdźcom z Nar i słabemu, zdradzieckiemu Daegogowi, który ich zaprosił. Tu wraz z posłuszną mu żoną Najjir wychowywał trzy córki. Nawet pośród najkrótszych godzin nocy zamek przepelniały zwykle odgłosy życia jego mieszkańców: płacz niespokojnych dzieci pragnących ukojenia, czy ukradkowe szepty odzianych w czerwień wartowników przemierzających kładki i pomosty. Do każdej z komnat i sypialni docierała też pierwotna muzyka nocy i ci, którzy chcieli odpocząć w zamku Dring, musieli się przyzwyczaić do hałasów, jakie towarzyszyły życiu jego nocnych i nieproszonych mieszkańców.

Ze wszystkich sal całego labiryntu komnat i prowadzących do nich korytarzy jedna tylko pogrążona była w całkowitej ciszy. Był to niewielki pokoik ukryty w głębi pałacu, pozbawiony okien – oprócz jednego, zamkniętego metalową kratą, która o świetle dzieliła światło na wąskie strugi, wypuszczając na zewnątrz pasma dymu z nieustannie płonącego tu dymu kadzidła. Sama komnatka była niemal pusta. Na kamiennej posadzce położono szkarłatny dywanik utkany na tyle grubo, by można było na nim klęczeć, a pod jedną ze ścian ustawiono złożony ołtarz. Na ołtarzu stały posągi mężczyzny i kobiety, którzy niegdyś byli śmiertelnikami, teraz zaś uznawano ich za bóstwa. U ich boku płonęło kadzidło, wysyłając ku niebu wąskie smużki mistycznego wołania.

Na zewnątrz już świtało. Tharn otworzył oczy i zerknął na kratę we wschodniej ścianie. Na metalu pojawiły się pierwsze promienie brzasku. Człowiek zamknął oczy i ponownie opuścił głowę. Bolały go plecy, i zupełnie nie czuł kolan, zdrętwiałych od

długiego klęczenia. Umysł miał jednak otwarty i czysty niczym niebo, oczekujący odpowiedzi na pytania, którymi przesycił nocne modły. Przybył do zamku Dring w nadziei, że znajdzie pociechę u swej adoptowanej rodziny, poszuka rady u Wilka i poprosi boga, któremu się oddał w opiekę, o wskazanie drogi. Teraz był wypoczęty i nakarmiony potrawami, które doskonale przyrządzała Najjir. Jego ciało było gotowe. Niepokoił go jednak stan umysłu i przerażała możliwość utraty duszy.

„Lorrisie – zawołał bezgłośnie. – Poprowadź mnie i ukaż mi drogę. Jestem twoim narzędziem. Zrobię, co mi każesz. Powiedz tylko, co mam uczynić”.

Do jego milczącej modlitwy wkradła się nutka dziecięcej skargi. Już o zmierzchu zaczął modły do boga Drolów, spodziewając się, że zmniejszy to dręczące go poczucie winy z powodu tego, co zamierzał zrobić. Bogowie Drolów byli jednak niestali. Lorris niekiedy do niego przemawiał, w innych wypadkach milczał jak głaz. Mówił zresztą tylko on sam, nigdy nie jego uwielbiana siostra, Pris. Pris była kobietą boginią Drolów i jak każda z ich kobiet, poświęciła życie mężowi i bratu, Lorrisowi. Nigdy do nikogo nie przemawiała, z wyjątkiem najbardziej pobożnych kobiet. Bóstwa troszczyły się jednak o wszystkich Triinów szukających boskiego przewodnictwa, a ludzie godzili się na znoszenie niedoli ciężkiego życia Drolów. Ci zaś wielbili Lorrisa i Pris ponad wszystkie inne bóstwa, zaś nieśmiertelne bliźnięta za to uwielbienie zsyłały im iluminacje, odwagę i miłość. I – niekiedy – „dotyk niebios”. To, co zechciały zesłać Tharnowi, było dla niego ponad wszelkie zrozumienie. Niemal go to zmiażdżyło... i pozostawiło w nieustannym oszołomieniu.

„Wzmocniłem się, Lorrisie – ciągnął Tharn. – Twój dotyk jest dla mnie jak ogień. Błagam, przerwij milczenie. Przemów do mnie, zanim uczynię tę straszną rzecz”.

Czekał w pokorze, ale nie usłyszał odpowiedzi. Przez chwilę myślał – jak niemal podczas całej nocy – że milczenie boga jest odpowiedzią i to odpowiedzią aprobującą. Nie może być inaczej, przekonywał sam siebie. Niebios dotknęły go mocno, silniej niż jakiegokolwiek innego Droła. „Dotyk niebios” był w nim mocniejszy niż w ich kapłanach. Lorris i Pris zesłali na niego dar i Tharn był teraz kimś więcej, niż tylko człowiekiem. Stał się częścią natury, jak ocean czy księżyc. Z kształtu liścia potrafił określić przeznaczenie drzewa. Słyszając cykanie świerszcza, umiał powiedzieć, czy jest on głodny, czy ogarnęło go pożądanie. Sny stały się niemal realne, mógł ich dotknąć lub przez nie przejść, tak więc teraz każde nocne marzenie było jak podróż.

Posłuszne było mu też powietrze. Kierowało się tam, gdzie chciał, a pomyślawszy o chmurach, mógł zaćmić najjaśniejszy słoneczny dzień. Potrafił sprowadzić wiatr, deszcz i mgłę; umiał wycisnąć wodę ze skały, zgniótłszy ją samą siłą woli i umysłu. Nie umiał latać, potrafił jednak uwolnić swą świadomość tak, że unosiła się niczym orzeł nad

górami i zanurzała jak ryba w głębie oceanu. Wszystko to mógł uczynić... i tak go to przerażało, że całe godziny spędzał na modłach, błagając bogów o wyjaśnienie.

„Zrobię to, Lorrisie, jeżeli taka jest twoja wola. Ale czy tego chcesz? Odpowiedz mi, proszę... Błagam...”

Nie dano mu tych nowych zdolności bez powodu. Powiedzieli mu to inni mędrcy, kapłani jak i on sam. Voris też chyba w to wierzył. Wszyscy od lat toczyli wojnę w Daegogiem i jego potężnym obrońcą, wodzem Kroninem. I mieli się na baczności. Lorris nie zesłał tych darów Tharnowi bez przyczyny. Nie tamci jednak mieli ponieść ciężar winy za zbrodnię, o której mówili. Brzemie miał ponieść wyłącznie Tharn... i za to ich znieawdził. Gdyby wszyscy się pomylili, Lorris ukarze tylko jego.

„Byłem ci tak wierny. I dałeś mi tak wiele. Czy teraz nie zechcesz mi rzec, po co to wszystko? Czyż nie jestem u ciebie w łaskach? Czy mam to zrobić dla ciebie, czy może zażadasz ode mnie czegoś innego?”

Tharn rozplótł palce złożonych do modlitwy dłoni i opuścił ręce. Zostało już niewiele czasu. Powiedział Vorisowi, że opuści zamek Dring o świcie, a Wilk zawsze był punktualny. Nadal jednak nie miał odpowiedzi, a nocne modły osłabiły go tak bardzo, że pragnął jedynie dopełnić do jednej z wielu znajdujących się w zamku pryczy i lec do snu, który niech by i trwał aż do końca wojny. Tharn był pewien, że Lorris ma swoje powody, by milczeć, ale i tak czuł się osamotniony i odrzucony.

– Pozwól mi odpocząć – wyszeptał. – I skończ ze mną, gdy już będzie po wszystkim. Daj mi spać w pokoju. Bez snów.

Zaczął się podnosić, ale zawiodły go kolana. Zapłonęły tak gwałtownym bólem, że poczuł ochotę, by zawyć. Ale zaraz potem pomyślał o Daegogu, o tym, że ten tłusty wódz odpowiada za jego poniewierkę i nagle, w jednym błysku gniewu, podjął decyzję, by jednak popełnić to zło, którego od niego się domagano. Po torturach jego kolana stały się słabe, niczym napełnione wodą. Kaci Daegoga lubili swoją pracę.

W głębi serca Tharn wiedział, że Daegog nie jest złym człowiekiem, choć teraz niemal wszyscy tak o nim myśleli. Jego imię stało się sławne wśród Triinów i Tharn marzył o dniu, w którym to się zmieni, kiedy udowodni swemu ludowi, że jego bogowie nadal istnieją i oczekują wiary od swoich dzieci. Lorris i Pris pragnęli dla Triinów samego dobra. Ci jednak ich odrzucili i szukając objawienia, zwrócili się ku demonom z Nar. Jak sam Daegog, Triinowie utyli, oddając się przyjemnościom, jakich nauczyli ich Narenie. Zapomnieli o swoim miejscu w dziele stworzenia, o służbie niebiosom, i popadli w grzech. Potrzeba im oczyszczenia... oczyszczenia w ogniu, który mógł im dać jedynie on.

„Jak Dyana” – pomyślał ponuro. Była najgorsza z nich wszystkich, wyzywająca

i bezczelna wobec samej Pris. I ją też trzeba będzie oczyścić, dać jej nauczkę, by wiedziała, co przystoi porządnej kobiecie Triinów. Poczł nagły przyplływ pasji i namiętności. Osobiście się tym zajmie.

U drzwi komnaty rozległo się pukanie, ciche, ale zdecydowane. Tharn je zignorował. Po chwili usłyszał skrzywienie otwieranych drzwi, a potem podłoga zatrzeszczała w znajomym takcie kroków Vorisa. W głosie przyjaciela zabrzmiały przepraszające nuty.

– Czy nie przerwałem twoich modłów? – spytał wódcz.

– Nic i nikt nie przerywa moich modłów – odpowiedział Drol. – Wejdz, proszę. Możesz mi pomóc...

Voris wszedł głębiej.

– Znowu twoje kolana?

– Znowu moje kolana – odpowiedział Tharn. Ujawszy szeroką, wyciągniętą dłoń Vorisa, dźwignął się na nogi. Ból w kolanach sprawił, że na jego twarzy pojawił się grymas. Voris patrzył uważnie i cierpliwie czekał, aż Tharn zapanuje nad zeszywniałym ciałem.

– Już świt – odezwał się w końcu wódcz. – Twoi mędracy są na zewnątrz i czekają.

– Jestem gotów.

Voris lekko się skrzywił.

– Wcale na takiego nie wyglądasz – zauważył. – Zbyt długo czuwałeś, a i te modły mocno cię osłabiają. Powinieneś najpierw odpocząć.

– Nie mamy już czasu – potrząsnął głową Tharn. – I zbyt wiele zostało jeszcze do zrobienia. A bardziej gotów niż teraz i tak nie będę.

– Co się stało?

– Nic – odpowiedział z goryczą Tharn. – Lorriss milczy.

– Więc nie zmieniłeś swojej decyzji?

– Nie – odpowiedział Tharn, ruszając ku drzwiom komnaty. – Nie widzę innego sposobu.

– To słusna decyzja, mój przyjacielu – uśmiechnął się Voriss. – Wszyscy cię za to szanujemy i oddamy ci honory w przyszłości. Wiem też, że taka jest wola Lorrissa.

– Wiesz na pewno? – spytał nagle Tharn ostro, zatrzymując się przy drzwiach i odwracając, by spojrzeć przez ramię na wodza. – I skąd to wiesz? Jak możesz to wiedzieć? To, co muszę zrobić, jest zbrodnią.

– Nie jest zbrodnią wypełnianie woli Lorrissa – odpowiedział Voriss. – Zostałeś wybrany, by tego dokonać. Nie zesłałby ci tych mocy, gdyby nie chciał, byś się nimi posłużył.

– Jego zamiary pozostają dla mnie tajemnicą! – zagrzmiął Tharn. – Ignoruje mnie!

Teraz odpowiada mi jedynie milczeniem. Vorisie, wszystko to może okazać się przekleństwem. Ty i ja razem dokonywaliśmy strasznych rzeczy.

– Dla szlachetnego celu – przerwał mu Voris. Takiego właśnie argumentu Tharn zresztą się spodziewał. – Zabijamy za pomocą rąk i jiiiktarów. Czyż i one nie są darem niebios? Dlaczego więc nie używać innych darów? – Prychnął z niesmakiem i skrzyżował ramiona na potężnie zbudowanej piersi. – Zabijanie wrogów w ogóle nie jest zbrodnią.

Tharn zaczerpnął tchu i podszedł do przyjaciela. Voris był znacznie starszy i on sam niekiedy zwracał się do niego jak do ojca, nie jak do wyznawcy, Wilk jednak nie był kapłanem Drolów.

– Zapisano w tekstach Lorrisa, że „dotyk niebios” można wykorzystywać jedynie dla dobra wszystkich Triinów, ci zaś, którzy będą z nim postępowali samolubnie albo za jego pomocą zaczną zadawać śmierć, zostaną na wieki przeklęci.

– Wiem to – odparł Voris, okazując niecierpliwość. – Co jednak w tekstach napisano o Daegogu? Co Lorris sądzi o człowieku, który zadaje się z diabłami z Nar? Lorris był wojownikiem, Tharnie. Jak my.

Na twarzy Tharna zakwitł melancholijny uśmiech. On nie był wojownikiem, tylko świętym mężem, który oddał się sprawie walki z tyranią.

– Lorris był też człowiekiem pokoju – poprawił rozmówcę. – Nie pozwólmy sobie na zapomnienie o tym fakcie. Pamiętasz przypowieść o lwie i dębie? Lorris dla pokoju zaryzykował życie swojej siostry.

– Tharnie, i ja nieustannie modłę się o pokój, który uzyskamy, jeżeli zrobisz to, co do ciebie należy. Zniszcz Kronina i Daegoga, a Szakala zostaw mnie.

Tharn podniósł dłoń, jakby chciał ostrzec rozmówcę przed popełnieniem błędu.

– Temu Narenowi nie może stać się krzywda – powiedział z naciskiem w głosie. – Rób, co musisz, ale weź go żywcem. Musi na własne oczy zobaczyć to, co zaplanowałem dla Daegoga. Trzeba tam zgromadzić wszystkich moich wrogów, a zwłaszcza Szakala. Musi uwierzyć w moją moc, tak by imperator poczuł strach.

– Będzie, jak mówisz – zgodził się Voris. – Powinieneś jednak wiedzieć, że jeźdźcy Talistanu opuścili dolinę. Prawdopodobnie wrócą do Tatteraku, by ponownie stanąć u boku Kronina i Daegoga.

Tharn uniósł brwi.

– Opuścili dolinę? A to dlaczego?

Voris wzruszył ramionami.

– Szakal jest człowiekiem zuchwałym. Może myśli, że już mu nie będą potrzebni? Ty jednak miej na nich baczenie. Są zaskakująco zajadli w boju.

– Biliśmy się z nimi już przedtem – stwierdził niewzruszenie Tharn. – Nie będą wielką przeszkodą. Jeżeli mi się uda, spróbuję schwytać z Kroninem ich dowódcę. Jeżeli nie zdołam, to go zabiję albo pozwolę mu uciec. Baron Gayle nie jest dla mnie wiele wart. Nie ma dostatecznie głębokiego umysłu, by pojąć to, co zaplanowałem. Potrzebuje tego człowieka z Aramooru.

– Jest twój – zapewnił Voris. W oczach wodza pojawiły się iskierki uśmiechu. – Schwytam Szakala dla ciebie, a ty złap dla mnie Kronina.

Twarz Tharna stężała nagle.

– Mój przyjacielu, czerpiesz z tego zbyt wiele przyjemności. Pamiętaj, kto jest naszym prawdziwym wrogiem.

– Pamiętam. Aż za dobrze.

– Naprawdę? – spytał Tharn. – Kronin nie jest złym człowiekiem. Służy temu nieprawemu synowi Daegogowi z lojalności i dlatego, że złożył przysięgę. Nie pozwolę, by twoja nienawiść do niego splamiła czystość naszej sprawy. Nie zabiję Kronina, jeżeli nie będę musiał.

– To mi wystarczy, Tharnie – odpowiedział Voris. – Zadowolę się jego upokorzeniem.

Tharn tylko westchnął. Wojenni wodzowie Lucel-Loru od wieków walczyli ze sobą, a powody niektórych waśni były tak odległe, że w zasadzie nie miały już znaczenia. Tharn wiedział, że tak już bywa z nienawiścią. A jego przyjaciela, Vorisa, nienawiść zaślepiła od dziesiątków lat. Dolina Dring i Tatterak, ziemia Kronina, rywalizowały teraz ze sobą o Las Agar, bezużyteczny skrawek ziemi, który stał się symbolem rzezi. I choć Voris był oddanym sprawie Drolem wykonującym polecenia Tharna bez pytań o powody, jego nienawiść do Kronina była występkiem, którego nie umiał się wyprzeć.

– Jest coś jeszcze, Tharnie – odezwał się Voris ostrożnie. – Coś, o czym powinniśmy porozmawiać...

– Tak, wiem – odpowiedział Tharn. – Ta kobieta. – Westchnął ciężko i opierając się o ścianę, spojrzał na sklepienie komnaty. – Szukałem jej. Sądziłem, że jest w twojej dolinie, ale...

– Co?

Tharn wzruszył ramionami.

– Nie wiem dokładnie, gdzie jej szukać. To, czego mogę dokonać, nie bardzo mi się przydaje w poszukiwaniach. Widzę ją...i nie widzę. Mignął mi jej obraz w jakiejś wiosce, ale teraz jej tam nie masz. Myślę, że jest gdzie indziej.

– Gdzie? Powiedz mi, a przywiodę ją do ciebie.

– Nie umiem. Być może jest gdzieś w Dring, może w jakiejś innej wiosce. Nie mogę

jej odnaleźć. Na razie nie mam dość sił, by używać tego „wzroku”.

– Niedobrze... – Voris zmarszczył brwi. – W Dring jest wiele wiosek. Jeżeli mam ją odnaleźć, musisz mi powiedzieć coś więcej.

– Nie mam niczego więcej, przynajmniej na razie. – Tharn spojrzał przyjacielowi w oczy. – Ty jednak nie przestaniesz jej szukać, prawda?

– Jeżeli tylko będę mógł – odparł Voris. – Może nie zdołam...

– Musisz – przerwał mu Tharn. – Nie możesz mnie zawieść. Dyana jest moja. Jest ze mną związana przysięgą i muszę ją mieć. – Ogarnęła go nagła fala gniewu, która go osłabiła. Znów oparł się o ścianę i przetarł czoło dłonią. Poczul pot i jęknął. – Jestem już na to zbyt zmęczony. Ale kiedy się wzmocnię, odnajdę ją i w razie konieczności sam pochwycę.

– Do tego właśnie nie wolno używać mocy, jakie dał ci Lorris – sprzeciwił się Voris. – Znajdź ją tylko, a ja się zajmę resztą.

Tharn kiwnął głową, ale nie odezwał się więcej. Wiedział, że Voris mówi prawdę. Nowych zdolności z pewnością nie dano mu do uwodzenia kobiet, wciąż jednak był pod wpływem uroku Dyany. Trwało to od chwili, w której zaręczyli ich ze sobą rodzice. Teraz zaś kipiał gniewem za każdym razem, kiedy którykolwiek z Drolów pytał, gdzie jest kobieta, która nim wzgardziła. Nie do niej należało łamanie obietnic, jakie w jej imieniu złożyli rodzice. Była kobietą. Niezależność kobiet była jedną z pozostałości po wpływach brudnych Narenów. Kiedy on i jego bunt odniosą zwycięstwo, również tej obrzydliwości położą kres.

– Jest moja – wyszeptał ponuro. – Będę ją miał, przyjacielu. I nauczę ją, co to znaczy być kobietą.

– Tak bardzo jest urodziwa? – parsknął śmiechem Voris. – Musi być, inaczej nie wzięłoby cię tak. To tylko dziewczyna, Tharnie. I z tego, co mi opowiedziałeś, wnioskuję, że to dzika kocica. Może byłoby ci lepiej bez niej. W Dring jest dość kobiet, dobrych, i znających swe miejsce u boku mężczyzny, kobiet Drolów. Znajdę ci jakąś, jeżeli zechcesz.

Tharn potrząsnął głową.

– Nie znasz jej. Nie widziałeś jej i nie wiesz, jaka ona jest... – Przywódca Drolów zamknął oczy. – Jak marzenie.

– Marzenie! – prychnął Voris. – Ukąsił cię chyba wąż, Tharnie. Dyana jest córką heretyka. Będzie z niej bardzo zła żona. Zapomnij o obietnicy, jaką ci złożył jej ojciec. – W tonie wodza pojawiły się nieco łagodniejsze nutki. – Znam cię przecież, Tharnie. Kobieta taka jak ona nie da ci szczęścia.

– Nie ma dla mnie innej kobiety – odparł Tharn cicho. – Ona jest częścią ciąży na

mnie klątwy. Nie chcę żadnej innej.

– Może nigdy cię nie pokocha. Jeżeli tego właśnie chcesz...

– Jest moja! – zachnął się Tharn. – Została mi przyrzeczona i będę ją miał!

– Powtórzę jeszcze raz: może nigdy nie obdarzy cię miłością. Nigdy. Uciekła, ponieważ się ciebie boi. Widziała, co zrobiłeś jej ojcu...

Oczy Tharna zapłonęły gniewem.

– Złamał dane mi słowo!

– Tharnie, zaręczono was, kiedy miałaś dwanaście lat. On nie mógł wiedzieć, kim się staniesz. Gdybyś był wtedy Drolem, nigdy w życiu nie oddałby ci córki.

– Tak właśnie Daegog i jego zwolennicy dotrzymują obietnic? Łamię słowo, kiedy jest im to wygodne? Jej ojciec zasłużył na śmierć, która go spotkała. Gdybym mógł, raz jeszcze zdjąłbym mu głowę z karku!

– I właśnie dlatego ona cię nienawidzi, przyjacielu. Dlatego zawsze będzie cię darzyć nienawiścią. Wszystko, w co wierzyłeś i co miałeś, umarło. Znajdź sobie inną.

– Nie umiem o niej zapomnieć – przyznał Tharn. – Aby zrozumieć, co mnie opętało, sam ją musisz zobaczyć.

Voris pokiwał głową z głębokim smutkiem.

– A więc znajdę ją dla ciebie, jeżeli zdołam. A teraz już chodź. Twoi ludzie spakowali się i są gotowi.

Voris otworzył drzwi przed przywódcą Drolów i obaj wyszli na pograżony w ciszy korytarz. Czekali tam na nich dwaj wojownicy Vorisa, odziani w czerwone szaty, z dwudzielnymi jiiiktarami przewieszonymi przez plecy. Ruszyli natychmiast za Tharnem i panem doliny. Szli przez mroczny korytarz, potem przez główne wejście do zamku i na dziedziniec, gdzie pomiędzy posągami czekało pięć osiodłanych koni. Na grzbietach dwóch koni siedziało już dwóch mędrców, kapłanów Tharna odzianych w należne swemu stanowi szafranowe szaty. Kiedy podszedł do nich ich mistrz, nie odezwali się i nie pozdrowili go nawet kiwnięciami głowy. Wojownicy Vorisa podeszli do swoich koni, szybko wskoczyli na siodła i odjechali nieco dalej, zostawiając wodza i Tharna samych, by mogli się pożegnać.

– Daleka droga przed tobą – odezwał się Voris. Na jego twarzy pojawiła się szczerą troską, co nieco złagodziło ostre rysy wodza. – Uważaj na siebie, przyjacielu. I nie trap się. To, co masz zrobić, jest słuszne i prawe.

Tharn spróbował się uśmiechnąć, co nie bardzo mu wyszło.

– Prawe czy nie, i tak będę przeklęty. – Podszedł do przeznaczonego dla niego konia i uniósł stopę, by wetknąć ją w strzemień, kiedy usłyszał okrzyk z głębi zamku:

– Poczekaj, *bhapo!*



Wódz postawił stopę na ziemi i obejrzał się przez ramię w kierunku zamkowej bramy. Z głębi wybiegła najmłodsza córeczka Vorisa, Pris, i z rozpostartymi ramionami ruszyła ku odjeżdżającym.

– *Bhapo*, nie odjeżdżaj – załkała. Usiłowała przebiec obok ojca, ten jednak chwycił ją za kołnierz i zatrzymał.

– Córko! – rzekł z naganą w głosie. – Wracaj do łóżka!

Pris podjęła próbę wyrwania się z dłoni ojca, Voris jednak miał mocny chwyt.

– Chciałam się pożegnać – stwierdziła błagalnie. – Z mojego okna zobaczyłam, że *bhapo* wyjeżdża. Proszę...

– Niech będzie – zgodził się Voris. – Ale pospiesz się. *Bhapo* musi jechać.

Tharn podszedł do dziewczynki i opadł na kolana. Poczul znów ból, ale zignorował go i spojrzał w twarz dziecka z uśmiechem.

– Pris, nie wyjeżdżam na zawsze – odezwał się łagodnie. – Nie martw się o mnie. Wrócę tak szybko, jak tylko będę mógł. Przedtem jednak muszę coś zrobić.

– Co takiego musisz zrobić, *bhapo*? – spytała dziewczynka. – Idziesz na wojnę, tak?

Tharn uwielbiał, kiedy nazywano go *bhapo*. Była to forma, w jakiej dzieci zwracały się do krewnych, a dokładniej znaczyła „wuj”, i zawsze wywoływała na jego twarzy uśmiech.

– Pris, muszę powstrzymać pewnego człowieka przed czynieniem zła. Muszę też pomóc innym. Ale obiecuję, że wrócę i wszystko będzie dobrze. Zgoda?

– Zgoda, *bhapo*. – Pris kiwnęła główką. – A jak wrócisz, przywieziesz mi jeszcze jedną książkę, dobrze?

– Spróbuję, Pris. Ale pozwól, że coś ci pokażę. Z pewnością ci się to spodoba.

Pris i jej ojciec patrzyli, jak Tharn podnosi z ziemi gałązkę, suchą i sękatą, która opadła z rosnącej na dziedzińcu brzozy. Szybko poodrywał boczne pędy i przez chwilę przyglądał się gałęzi, a potem połamał ją na kawałki. Każdy z kawałków położył na ziemi, aż utworzyły figurkę drewnianego człowieczka o dziwacznie powyginanych rękach i nogach.

– Spójrz – rzekł, zwracając się do dziewczynki. – Wiesz, co to jest?

Pris nie umiała ukryć swego rozczarowania.

– Nic – powiedziała kwaśno.

– Ależ nie. To człowiek.

Dziewczynka przechyliła głowę w bok i przez chwilę przyglądała się figurce.

– Naprawdę?

– Nie inaczej. – Tharn przesunął dłoń nad gałązką. – Popatrz.

Patyczki zadrżały, a potem drewniany człowieczek wstał, zachwiał się na swoich

nierównych nóżkach i zaczął się poruszać. Pris wydała okrzyk radości i zaczęła klaskać w dłonie. Tharn parsknął śmiechem i spojrzał tryumfalnie na Vorisa, który obserwował to wszystko z fascynacją i przestraciem. Pris klaskała, a drewniany człowieczek zaczął tańczyć, i wkrótce rozchichotali się nawet mędrzy, którzy powoli zaczynali się już przyzwyczajać do niesamowitych zdolności swego mistrza.

– Nie przestawaj klaskać, Pris – polecił dziewczynce Tharn. Wstał z kolan i ruszył w stronę swego konia. – On jeszcze ci zatańczy...

Dziewczynka tak była oczarowana nową zabawką, że nawet nie zauważyła, iż jej ukochany *bhapo* zbiera się do odjazdu. Do Tharna tymczasem podszedł Voris, i pomógł mu dosiąść konia. Na jego białej twarzy wciąż jeszcze malowało się zdumienie.

– Co to było? – spytał wojenny wódz.

Tharn wzruszył ramionami.

– Spytaj Lorrisa – odpowiedział i lekko poruszywszy wodze, odjechał. Po kilku chwilach, gdy znikł wśród drzew, drewniany człowieczek znieruchomiał i nagle rozpadł się na kawałki.

## Pięć

Nazywał się Nebarazar Gorandarr, ale nikt nie zwracał się do niego tymi imionami. Jego ród wydał licznych królów – więcej, niż mogli się tym poszczycić władcy Narenów, może z wyjątkiem samego imperatora – i mógł prześledzić swe pochodzenie, sięgając o tysiące pokoleń wstecz, do czasów, kiedy Triinowie byli zbieraczami owoców, a pierwsi Drolowie nie sprawiali żadnych kłopotów, uwielbiając swego mitycznego boga. Z powodu pochodzenia, a także zawłości imienia i nazwiska, ludzie dawno już nadali niegdyś potężnemu klanowi osobliwe miano.

Nazywano go Daegog.

Było to stare słowo oznaczające przywódcę i Daegoga z Lucel-Loru tytuł ten napawał dumą. Nie był Daegogiem Nebarazarem Gorandarrem, ale po prostu Daegogiem. Tak go nazywała żona i dzieci, a zwrócenie się do niego w jego obecności imieniem i nazwiskiem stało się najwyższą herezją. Ci, którzy mu służyli, nie czynili tego z miłości, ale kierowali się najgłębszą, wrodzoną lojalnością. Jego rodzina była szanowana i poważana w całej historii Triinów i, choć był najsłabszym jej ogniwem, nadal mógł się odwołać do honoru podwładnych – tych przynajmniej, którzy nie padli ofiarą sidła czarów tkanych przez Drolów.

Niektórzy nazywali go małostkowym. Wiedział o tym i w zasadzie nie uważał tego za obrazę. Był niezmiernie bogaty – zanim jego cytadela wpadła w ręce Tharna – i zawsze uważał, że posiadający mniej jedynie z zazdrości mogli nazywać go złośliwcem albo skąpcem. W jego umyśle wszystko to przytłaczała jedna, podstawowa wartość – był ostatnim z potomków wspaniałej, godnej hołdów rodziny.

Daegog z Lucel-Loru był dziś w szczególnie złym nastroju i chciał, aby każdy się o tym dowiedział. Bębnił więc swoimi pulchnymi palcami po stole, aż dzwoniły pokrywające je pierścienie. Daegog nienawidził wielu rzeczy, ale na czele długiej ich listy było czekanie. Za lepszych dni kazanie Daegogowi czekać na cokolwiek oznaczało popełnić zbrodnię. Te dni jednak minęły i nawet on pojmował, że znajomości takich subtelności etykiety nie sposób oczekiwać od tych prymitywnych, dzikich Narenów. Cekał więc, kipiąc w duchu gniewem, rozłożywszy się na poduszkach, które gładkością nie ustępowały jedwabowi. Jedna ze służących postawiła przez nim czarę pełną daktyli, on jednak jednym, niecierpliwym machnięciem dłoni odrzucił ją, rozsypując owoce po posadzce.

– Wynoś się! – syknął na służącą, która natychmiast uciekła. Tuż obok niego ujrzał, że Kronin się spał, ale wcale to go nie wzruszyło. Męczyło go już życie w tej namiastce

zamku i miał dość gościny wojennego wodza. Chciał wrócić do domu, a winę za upadek ukochanego Falindaru złożył na ramiona innych obecnych w tej sali. Jednoręki Edgard, aramoorski diuk, księżę wojenny, potarł swój kikut i posłał Kroninowi ukradkowe mrugnięcie. Daegog skrzywił się w duchu, pewien, że tamci dwaj mają go za idiotę.

– Chciałbym już zacząć – zwrócił się do Kronina. – Gdzie jest ten głupi baron. Idź i go odszukaj.

Kronin, wódz Tatteraku, stłumił gniewne warknięcie i wstał z posadzki. Lekko zaskoczony ruszył ku wejściu, gdzie spostrzegł barona Gayle'a. Wchodząc, baron odepchnął go bezceremonialnie i wkroczył butnie do komnaty. Skłonił się głęboko przed przywódcą Triinów. Był ogromnym mężem, ucieleśnieniem pojęcia nareńskiego barbarzyńcy, a kiedy się poruszał, towarzyszyły mu zgrzyt i skrzypienie części jego zbroi. Za nim szedł drugi z Talistańczyków, wszechobecny pułkownik Trosk o lisiej twarzy, który przed nikim, nawet przed Daegogiem nie zdejmował kapelusza z piórkiem.

– Daegogu – odezwał się baron z emfazą. – Zechciej mi wybaczyć spóźnienie. Dopiero przybyłem. Zatrzymały mnie ważne sprawy.

– Drogi Baronie, źle mi służy ten, kto każe mi na siebie czekać. Jak sądzisz, czy nie mam przez cały dzień nic lepszego do roboty? Siadaj.

Gayle dość niedbale kiwnął głową i wraz ze swoim pułkownikiem usiedli, krzyżując nogi i ugniatając pod sobą poduszki na posadzce. Nie próbowali pozdrowić Edgarda, Aramoorczyk też zresztą udał, że nie spostrzegł ich wejścia. Kronin bez słowa wrócił na swoje miejsce u boku Daegoga.

– Kobieto! – zagrzemiał Daegog w swoim języku, zwracając się do służącej po przeciwnej stronie sali. – Przynies nam jedzenie! Daktyle i napoje!

Po kilku sekundach kobieta była już przy nich, przynosząc tacę z owocami i srebrną karafkę. Postawiła naczynie na stole i dość nerwowo napełniła wyciągniętą ku niej szklanicę Daegoga jego ulubionym trunkiem, tokką. Potem dopiero zwróciła się do innych.

– Czy teraz – zaczął butnie Daegog – możemy zacząć?

– Oczywiście, o mądry – odpowiedział baron z nieszczerym uśmiechem na ustach. – Jeżeli inni też są gotowi...

– Czekaliśmy tylko na ciebie – warknął Edgard. Księżę wojenny spojrzał z oburzeniem na Gayle'a. – Myślę, że zrobiłeś to celowo, baronie.

– Odzywasz się, jak każdy z Aramooru – odciął się Gayle – zwłaszcza, że poza kolejnością. Mówisz śmiało, jak na męża o jednym ramieniu, księżę. Może zechcesz rozważyć ponownie brzmienie twej wypowiedzi? – Zerknął na swego przybocznego, który otwarcie pogładził rękojeść szabli. – To chyba nie jiiiktarem odjęto ci rękę?

Edgard zaczął już się unosić, kiedy Daegog uderzył pięścią w stół.

– Dosyć! – Zawołał. – Siadaj, książę Edgardzie! I nie gryźcie się więcej, gdy jesteście przy mnie. Już mnie tym zmęczyliście!

Aramoorczyk usiadł. Daegog splótł palce i oparł łokcie o stół, mierząc wszystkich gniewnym spojrzeniem. Gayle i Trosk po prostu beztrzesko się uśmiechali.

– Ostrzegam was, że nie będę tego już dłużej znosił – stwierdził Daegog. – Baronie Gayle, Kronin poinformował, że na południu powstańcy odnoszą sukcesy. Powiada, że wkrótce mogą tu do nas dotrzeć, na górę Godon. Miałaś pilnować tamtych ziem, prawda?

– Owszem, Daegogu – odpowiedział Gayle. – I to właśnie czynię, według moich sił i zdolności.

– Baronie, jeżeli tylko na to cię stać, to jesteśmy w opałach.

Gayle nieco się skrzywił.

– Daegogu, byłem w dolinie Dring. Młodemu Vantranowi potrzebne było moje poparcie. – Baron spojrzał na Edgarda. – Trzeba go było wydobyć z ognia. Ale przybyliśmy w samą porę.

– Czyli znów ma tam silną pozycję? – spytał Daegog.

– Silną? Och nie, Daegogu, on nigdy nie będzie miał dość sił. To szczeniak, którego sytuacja mocno przerosła. Jak zawsze mówiłem, to mnie należało oddać władzę w dolinie. – Westchnął. – Doprawdy, niekiedy zastanawiam się, po co w ogóle Aramoorczycy się tu zjawili.

Daegog obserwował nie bez gniewu, jak Edgard przełyka obrazę. Spośród dwóch „gości” wołał spokojnego Aramoorczyka od hałaśliwego barona. Edgard był przynajmniej uczciwy, i – choć może nie tak śmiały jak Gayle – Daegog zawsze dobrze wychodził na jego radach. Teraz jednak, obserwując, jak Edgard porusza się niespokojnie, zaczął się zastanawiać, czy baron przypadkiem nie ma racji. Talistańczycy byli nieokrzesani i brutalni, ale bez oporów poddawali się woli swego imperatora, co w Aramoorze zawsze napotykało na pewne trudności. Jedynym człowiekiem, któremu Daegog ufał bez zastrzeżeń był Kronin. Był głupcem, jak wszyscy wojenni wodzowie, ale mógł sprostać każdemu Narenowi.

– Opowiedz mi o Dring – polecił Daegog. – Co się tam właściwie dzieje.

– Źle się dzieje, o mądry – odpowiedział Gayle. – Ten szczeniak nie wie, co robi.

– Nie tak mi to przedstawił tamtejszy przedstawiciel – sprzeciwił się Daegog.

– Cóż więc mogę ci rzec? Vantran nie jest dobrym strategiem, ani taktykiem. Brak mu silnej woli i doświadczenia. Powinieneś popatrzeć na jego ludzi! Wygląda na to, że głodują! Są odziani w szmaty i brakuje im niemal wszystkiego. – Gayle potrząsnął głową ze smutkiem. – Naprawdę nie wiem, jak długo jeszcze się utrzymają.

– Godzi się jednak powiedzieć – wtrącił Trosk – że nam samym nie idzie lepiej. Też brakuje nam wszystkiego.

– Owszem – przyznał Gayle – ale jest coś jeszcze: demoralizacja ludzi. A za to odpowiada już wyłącznie Vantran.

– Jestem pewien, że Richius robi, co w jego mocy – mruknął Edgard.

– Nie mówię, Edgardzie, o tak bliskim ci książątku. Miałem na myśli Dariusa Vantrana, jego ojca. Nie przysyła synowi nowych ludzi ani zapasów. Sam zresztą też niczego ani nikogo nie dostałeś, prawda? Wasz król zdradził was.

Edgard nie odpowiedział na to oskarżenie i jego milczenie obudziło nagle czujność Daegoga.

– To całkiem inna rzecz – odezwał się przywódca Triinów. – Diuku Edgardzie, dlaczego nie masz wieści od swego króla? Gdzie są oddziały obiecano mi przez imperatora?

– Daegogu, to nie jest wina imperatora – podsunął mu usłużnie Gayle.

Daegog machnął dłonią, nakazując milczenie.

– Diuku Edgardzie, może zechcesz mi to wyjaśnić?

– Aramoor to niewielki kraj, Daegogu – odparł Edgard spokojnie. – Nie mamy środków, by toczyć tę wojnę. Jestem pewien, że nasz król przysyła nam wszystkich, których może tu przysłać.

– Łgarstwo! – warknął Gayle. – Twój król jest tchórzem. Mógłby przysłać więcej ludzi i broni, ale zachowuje się jak dzieciak, który nie znosi widoku krwi. Dlaczego pozwala, jeśli już o tym mowa, by jego własny syn zdychał z głodu w Dring! Aramoor włada przesmykiem Saccenne. To właśnie jest powód dla którego nie przechodzą do nas zapasy! Darius jest prymitywnym renegatem, który zawsze był kłopotem dla imperatora!

– Ty zaś bardzo wysoko cenisz sobie waszego imperatora – zauważył Daegog. Rozsiadł się wygodniej i rzucił Gayle'owi baczne spojrzenie, jednocześnie żując daktyla. – Zechciej mi rzec, baronie, czy wam, Talistańczykom, dobrze jest pod jarzmem Narenów?

– Daegogu, mówisz o protekcji – poprawił go Gayle. – Owszem, nie narzekam, jak zresztą i ty sam.

– I nie masz niczego przeciw temu, że wasz imperator jest bezwzględny zdobywcą, a jego podwładni mordują dla przyjemności?

– Zechciej wybaczyć, Daegogu, ale imperator chce wam jedynie pomóc. Troszczy się o ciebie i o wszystkich Triinów...

Daegog zamknął oczy, by ukryć płonący w nim gniew.

– Baronie, on jest zwykłym szaleńcem. Wie to cały świat.

– Tak? – spytał Gayle obraźliwym tonem. – Jeżeli jest tak niebezpieczny, dlaczego przyjąłeś z taką ochotą jego ofertę pomocy, Daegogu? Czy można o to zapytać?

– Nie, baronie, nie można. To sprawa pomiędzy mną i Arkusem. Wiedz jednak, że znam wasz język i wiem o wielu sprawach, o których ty nie masz pojęcia. Nie jestem dzikusem, którego możesz sobie owinąć wokół palca!

– Ależ o mądry, czy ja kiedykolwiek...

– Milcz! – zagrmiał Daegog. – Posłuchajcie mnie obaj. Wiem, że król Aramooru igra sobie ze mną. Wiem też, czego się spodziewa Arkus. Zechciejcie go więc powiadomić, że jeżeli chce otrzymać ode mnie to, czego pożąda, lepiej niech dopilnuje, by zjawiły się tu oddziały, które mi obiecał. I nie chcę Talistańczyków czy kolejnych mięczaków z Aramooru! Niech mi przyśle Narenów z Czarnego Grodu! Bo jeżeli ja upadnę, nigdy nie dostanie od Tharna tego, co chce mieć. Nigdy!

Gayle z Czarnej Kniei w końcu zamilkł. Zerknął na swego przybocznego, chudzielec jednak wzruszył tylko ramionami, co Daegog przejrzał bez trudu.

– I co? – naciskał Daegog. – Zechcesz mu to powiedzieć?

– Daegogu, to nie jest takie proste. Imperatorowi brakuje ludzi, tak jak i nam samym. Wciąż wojuje z Liss, a na północy Imperium wybuchają rebelie. Przysięgam ci, że gdyby mógł, przysłałby tu legiony...

– Nic mnie nie obchodzą rebelie, ani jego wojna z Liss – syknął Daegog. – Sam mam buntowników, z którymi jakoś muszę się uporać! Lada dzień pod bramami tego zamku może stanąć Tharn ze swoimi Drolami. Potrzebni mi ludzie, by ich stąd wyprzeć!

– Ależ Daegogu! – zachnął się Gayle. – Nam też potrzeba ludzi. Nie jest naszą winą, że król Aramooru każe nam się tu bić samotnie. Voris może zwyciężyć!

Na wzmiankę o swoim wrogu, Kronin poderwał głowę.

– Voris? – spytał Daegoga w języku Triinów. – Co on gada o Vorisie?

Daegog zaśmiał się niewesoło.

– Widzisz? – odezwał się do Gayle'a. – Widzisz, jacy głupcy mnie otaczają? Ten mój dureń obrońca potrafi tylko myśleć o swoim wrogu. Powinien myśleć o tym, że ma bronić mnie, on jednak chce przede wszystkim zabić Vorisa. Czy tak byłoby lepiej, baronie? Czy mam pozwolić Kroninowi przegrać w Dring, by pomóc Vantranowi?

– Nie, Daegogu – odparł zimno Gayle. – Nie o tym myślałem.

– To podpowiedz mi coś mądrego!

– Daegogu – odezwał się niespodziewanie Edgard. – Nadszedł czas, byśmy pomówili poważnie...

W jego głosie było tyle powagi, że Daegog spojrział na niego mocno zdumiony.

– Poważnie? – Odwrócił się do Edgarda. – Dobrze, diuku, to byłoby coś nowego.

Proszę...

– Będę mówił w twoim języku – stwierdził Edgard, używając mowy Triinów. – Kronin jest moim przyjacielem i zasługuje na to, by usłyszeć, co mam do powiedzenia.

– Co takiego? – dopytywał się Gayle. – Coś ty mu powiedział?

Edgard nawet nie zwrócił na niego uwagi.

– Pomówmy otwarcie, Daegogu. Wojna jest przegrana, nie tylko w Dring, ale i tu, w Tatterak. Wiesz o tym równie dobrze, jak pozostali. – Edgard spojrzał ostro na Kronina, który wyglądał na mocno zaskoczonego. – Aramoor nie przyśle więcej oddziałów. Może nie mogą, może nie chcą... I szczerze mówiąc, nie dbam o to. To już nie jest nasza wojna. Jeżeli masz jakieś układy z imperatorem, niech ci tu przyśle swoich ludzi, by za niego umierali. – Stary książę wojenny wstał powoli i zwrócił się do Kronina. – Żegnaj, mój przyjacielu. Powierzam cię opiece waszych bogów.

– Dokąd się udasz, Edgardzie? – spytał wódz.

– Wracam do domu, do Aramooru.

– Powieszą cię tam! – wypalił Daegog. – Nie możesz się wycofać. Twój imperator zabije cię, jeżeli to zrobisz!

– Być może – odpowiedział zimno diuk. – Ale wolę umrzeć z honorem w domu, niż polec tu w twojej obronie. Jesteś nędznikiem i okrutnikiem, Daegogu. Żałuję tylko, że przez ciebie zginęło tylu moich ziomków.

Kronin wstał także i objął Edgarda mocnym uściskiem.

– Zawsze byłeś mi druhem – rzekł, uśmiechając się przyjaźnie. – I będę się szczycił tym, że miałem honor stawać u twego boku.

Daegog rozjuszony poderwał się na nogi i potrząsnął pięścią tuż przed twarzą Edgarda.

– Ty głupcze! – zagrzmiął. – Wasz imperator zamieni za to Aramoor w pustynię!

Edgard zupełnie zignorował uwagę Daegoga. Odwrócił się i ruszył ku drzwiom, ale po drodze zatrzymał się i spojrzał z góry na zaskoczonego Gayle'a. Baron z Czarnej Kniei podczas całej sprzeczki siedział nieruchomo niczym głaz.

– Gayle, od tej chwili to twoja wojna. Może nie uwierzysz, ale życzę tobie i twoim ludziom jak najlepiej.

– Co takiego? – wypalił baron. – Daegogu, co to wszystko znaczy?

Zagadnięty prychnął z odrazą.

– Okazało się, baronie, że miałeś rację. Aramoorczycy to tchórze. On się wycofuje.

Gayle i Trosk podskoczyli, zaskoczeni.

– Wycofuje? Edgardzie, nie możesz tego zrobić? Twój ludzisko są nam potrzebni, zwłaszcza teraz. Co będzie z nami?



Edgard parsknął śmiechem.

– Gayle, radzisz sobie lepiej ode mnie. Nie martw się. Zawsze będziesz miał miejsce w sercu imperatora. To znaczy, jeżeli przeżyjesz.

– Diuku... – zawołał Daegog. Znacznie łagodniejszym głosem niż przedtem poprosił: – Edgardzie, nie rób tego. Jesteś nam potrzebny. Jeżeli zostaniesz, wciąż będziemy mieli szansę na zwycięstwo. Jeżeli odejdziesz... – Na pulchnym obliczy Triina pojawił się grymas strachu. – Tharn mnie zabije.

Książę Aramooru uśmiechnął się smętnie.

– Daegogu, każdemu kiedyś przyjdzie umrzeć, a gdybyś mnie zapytał, odpowiedziałbym, że prawdziwie na to zasłużyłeś. – Potem odwrócił się i wyszedł z komnaty ze słowami: – Odjeżdżam rankiem z moimi ludźmi.

\* \* \*

Tego wieczoru Daegog z Lucel-Loru usiadł na balkonie, spoglądając z góry na surowe okolice Tatteraku. Bezmyślnie popijał herbatę z parującego kubka, przegryzając biszkoptami. Był to zwyczaj Narenów, który zdążył polubić. Zza góry Godon wyglądał czerwony księżyc w pełni. Granitowa twierdza Kronina rzucała poszarpany cień na równinę, podczas gdy promienie księżyca obmywały kamienie i rzeźbiony mahoń balkonu, jakby je ożywiając. Daegog przytknął do ust krawędź pucharku, smakując miód czubkiem języka. W oddali widział wypłowiący proporzec oddziałów Edgarda. Ludzie zgromadzili się wokół pochodni, których płomienie tańczyły w podmuchach wieczornej bryzy. Było dość późno. Aramoorczycy niemal się nie poruszali. Daegog był pewien, że książę kazał im się ułożyć do snu, by odpoczęli przed długim marszem do domu.

– Tchórz – mruknął Daegog. Zawsze lubił Edgarda, tym bardziej więc piekła go gorycz zdrady. Do obrony został mu tylko Gayle i ci wojownicy, którzy zostali Kroninowi. W Dring był co prawda młody Vantran, ale i on niewątpliwie odejdzie, kiedy usłyszy, że Edgard się wycofał.

Daegog jęknął cicho. To była długa i niemiłosiernie przeciągająca się wojna, a jego sojusznicy kolejno go opuszczali. Każdego dnia dochodziły wieści o tym, że następny z wodzów przyłączył się do Tharna. Tamten był czarodziejem, który potrafił zamącić ludziom w głowach. Teraz jedynie Kronin i kilku innych nadal służyli Daegogowi, a jeśli Drole nacisną, prawdopodobnie będą mogli zepchnąć ich bez wysiłku w morze.

Dolał sobie herbaty, którą obficie posłodził miodem ze srebrnej łyżeczki, a potem usiadł wygodniej, by popatrzeć na Aramoorczyków. Zbierali się do domu, co dopeśniało miary jego nienawiści. Tęsknił za własnym pałacem w Falindarze, za jego

oszałamiającymi wieżyczkami i iglicami. Kronin był lojalnym człowiekiem, trudno go jednak było nazwać najlepszym z gospodarzy, a z powodu braków w zaopatrzeniu na górze Godon można było mówić o skromnym tylko zaspokojeniu wymogów gościa. Daegog przywykł do spędzania nocy na wykładanym rubinami łożu z kości słoniowej, tu zaś musiał się zadowolić siennikiem z szorstkiego samodziału. W Falindarze kręciły się wokół niego tuziny służby, młodych i doskonale ułożonych kobiet, które, kąpiąc go, nacierały jego stopy oliwką. Tu, na surowych zboczach góry Godon, każda kobieta, podobnie jak mężczyźni, w ten czy inny sposób zajmowali się wojną. Trzeba było przecież ostrzyć broń, toczyć maczugi i zbierać plony. A teraz, gdy Drolowie zaczęli palić pola na wschodzie, brak im było żywności. Dzień po dniu kurczył się zakres jego królewskiej władzy – i tego też nienawidził.

Pewien był, że Arkusowi z Nar takie problemy były obce. Arkus, jego nareński dobroczyńca, siedział wygodnie w swoim czarnym pałacu. Arkus, mistrz manipulacji ludźmi, który nigdy nie pokazywał światu swej twarzy, pozwalając przemawiać za siebie temu złotemu hrabiemu – obcemu zwanemu Biagio. Postanowił natychmiast wysłać wiadomość do Biagia i poinformować go o zdradzie Edgarda. Zażąda, by imperator przysłał do Lucel-Loru własne legiony, by wreszcie położyć kres tej wojnie. Daegog potarł policzek pulchnym palcem i uśmiechnął się do swoich myśli. Podziwiał Arkusa, ale wiek zaćmił zdrowy rozsądek starca, a jego obsesja na punkcie magii przekroczyła wszelkie granice.

– Magia! – prychnął Daegog. Narenowie byli upartymi durniami. Mieli w dłoniach naukę o świecie, budowali miasta i konstruowali oręż, o jakich Triinowie mogli jedynie marzyć, ale byli przesądni, jak każdy z najgłupszych Drolów. Teraz tylko on, Daegog wszystkich Triinów, mógł zwodzić Arkusa, że da mu to, czego tamten pragnie, a cena była wysoka.

– Wracaj do domu, Edgardzie – wyszeptał Daegog. – Wracaj w ramiona śmierci!

Odstawił szklanicę na stojący obok stolik pleciony z wikliny i ziewnął. Było już bardzo późno, on zaś odczuwał ogromne znużenie. Rankiem będzie musiał porozmawiać z baronem Gayle o sposobach obrony góry Godon, a dyskusje z Talistańczykiem zawsze go męczyły. Teraz zaś miał ochotę na sen.

Cofnąwszy się z balkonu, wszedł do swej sypialni – najobszerniejszej i najbardziej ozdobnej w całym zamku, i tak jednak wyglądającej nad wyraz nędznie w porównaniu z jego sypialnią w Falindarze. Daegogowi wydawało się, że w jego zamku wygodniej sypiali więźniowie w lochach. Dziś jednak był zbyt znużony, by myśleć o kolejnych utrapieniach. Zatrząskując podwójne drzwi wiodące z balkonu do sypialni, po raz ostatni wciągnął w płuca nocne, chłodne powietrze i skierował się ku łożu. Nieopodal ustawiono

świecę, którą zdmuchnął, kontentując się światłem księżyca, padającym przez okna. Już wcześniej wdział satynowe szaty, przeznaczone do snu, a gdy wślizgnął się do łoża, naciągnął koce aż pod brodę i zamknął oczy. Po kilku chwilach już spał.

Sen jednak wkrótce mu przerwano – i to w bardzo gwałtowny sposób.

Daegog usiadł na łożu, słysząc jakiś hałas na balkonie. Zaskoczony zasłonił twarz pościelą i zerknął ostrożnie ku balkonowi. Przypomniawszy sobie, że jest po północy – pora, w której przywoici ludzie głęboko śpią. Na zewnątrz coś migotało i iskrzyło się w blasku księżyca. Tuż za drzwiami unosił się jakiś cień, biały i podobny do człowieka. Daegog zakwilił przerażony, ale głos zamarł mu w krtani, gdy owo zjawisko, niczym upiór, przeniknęło przez szybki w oknie.

Cień kształtem przypominał człowieka, był jednak bezcielesny, a z jego głowy z jakąś przewrotną uciechą wpatrywało się w Daegoga dwoje oczu. Daegog poczuł, że serce zamiera mu w piersi. Zabrakło mu tchu, który mógł czerpać jedynie krótkimi, spazmatycznymi haustami. Beznogi korpus istoty, niezupełnie należącej do świata żywych, podpłynął do łoża władcy.

– Poznajesz mnie, beczko łożu? – spytało widmo.

Jego głos był pusty i w głowie Daegoga zabrzmiał niczym jęk pękniętego dzwonu. Władca przyjrzał się upiorowi, zobaczył szafranowe szaty i zaciętą twarz. Z na nowo rozbudzonym przerażeniem zrozumiał, że wie, kim jest jego nocny gość. Choć język zeszywniał mu z przerażenia, gospodarz zdołał jednak wycharczeć:

– Tharn!

Na widmowej twarzy pojawił się upiorny uśmiech.

– Jakże to miło, że raczyłeś zapamiętać. Ja, oczywiście, pamiętam o tobie, Daegogu. Choćbym nie chciał, przypominam sobie za każdym razem, gdy zbiera się na deszcz, a mnie zaczyna łamać w kolanach tak, że nie mogę się ruszyć.

Daegog cofnął się aż do wezłowania łoża.

– Kim jesteś, demonie?

– Stałem się mieczem Lorrisa – oznajmił Drol, a gdy to mówił, jego widmowe ciało rozbłysło mocniejszym blaskiem. – Jest we mnie „dotyk niebios”. Jestem powietrzem i wodą. Spójrz na mnie, tłusciuchu. Popatrz na mnie i zadrżnij ze strachu!

– Ależ ja drzę! – wybełkotał Daegog. – Oszczędź mnie, potworze. Weź co chcesz, ale zostaw mnie przy życiu...

Drol wybuchnął śmiechem.

– We mnie znalazłeś swój koniec, Nebarazarze Gorandarr. Dziś w nocy stałeś się niczym.

– Nie! – zakwilił Daegog. – Wybacz mi, o Tharnie. Nigdy nie życzyłem ci źle i nie

chciałem cię skrzywdzić. To nie ja, przysięgam ci!

– Kłamco! Pamiętam, że poprzez krew zalewającą mi oczy widziałem twoją twarz. Byłeś przy tym, kiedy mnie dręczono!

Daegog błagalnie podniósł dłonie.

– Powiedziano mi, że jesteś zbrodniarzem. Ja... ja się myliłem. Proszę, przecież możemy się jakoś dogadać.

– To ty popełniałeś zbrodnie, za które teraz odpowiesz, a ja nie rozmawiam z diabłami. – Upiór skinął przejrzystą dłonią ku balkonowi i rozciągającym się za nim ciemnościom. – Patrz dziś w nocy na niebo. Poczekaj na purpurową mgłę. Dziś jestem Siewcą Burz.

I nagle widno Drola rozpląnęło się, zostawiając rozdygotanego Daegoga samym. Musiała minąć dłuższa chwila, zanim zdołał się poruszyć, w końcu jednak wydostał się z pościeli i na czubkach palców ostrożnie podkradł się do balkonu. Otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Z dzbanka z herbatą nie unosiła się już smużka pary. Był wyziębiony i niemal oszroniony. Daegog spojrział na purpurowy księżyc, wiszący na niebie niczym trupia czaszka. Nad horyzontem unosiła się właśnie szkarłatna chmura.

## Sześć

Dolina Dring nigdy nie była spokojnym miejscem, nawet przed wojną z Narenami. Voris Wilk robił co mógł, aby sprostać swemu tytułowi wojennego wodza, i jego ludzie musieli wiele wycierpieć, tracąc synów w bitwach z ich sąsiadami z Tatterak, najbardziej rozległej i ludnej prowincji Triinu. Voris rządził żelazną ręką, a jego waśń z Kroninem ciągnęła się długie lata – nigdy nie udało im się osiągnąć porozumienia, żaden z nich też nie opanował znaczniejszej polaci spornego terytorium, Lasu Agar. Wszystko to opróżniło skarbiec w zamku Vorisa i sprawiło, że jego ludzie stali się pariasami wśród innych mieszkańców Lucel-Loru, którzy patrzyli na Drolów podejrzliwie, albo i wręcz wrogo.

A jednak Wilk był ulubieńcem całej doliny, co dla Dyany stanowiło trudną do pojęcia tajemnicę. Zastanawiała się teraz, wędrując wzdłuż krętej rzeki Sheaze w towarzystwie rozmaitych obdartusów i uciekinierów. Wszyscy byli uchodźcami, ludźmi z doliny – nieliczną garstką tych, którzy jakoś nie mogli dopatrzeć się w Wilku znamion boskości. Jak wszyscy uchodźcy mieli brudne twarze, poszarpaną i postrzępioną odzież. Nie byli podobni do Triinów. Wyglądali jak duchy: chudzi i bladzi. Wlokąca się obok wozu Dyana zagryzała wargi ze złości, ponieważ wiedziała, że swoją poniewierkę zawdzięczali Tharnowi i jego sługusowi, Vorisowi. Zdumiewała ją głupota ludzi, którzy byli gotowi podążać za takimi przywódcami.

Jak na przykład jej wuj, Jaspin.

Nie tęskniła za doliną Dring, a przynajmniej nie tak, jak tęskniła za Tatterakiem. Dring było dla niej miejscem, gdzie schroniła się z konieczności, ponieważ wiedziała, że gdzie indziej nikt jej nie przyjmie. Jaspin otworzył przed nią drzwi swego domu, nigdy jednak nie otworzył przed nią serca, nie nazwał jej „bratanicą” i nie czuła się tam dobrze. Bał się jej, jak przedtem bały się jej matka i siostry. I odepchnął ją z resztą wygnańców, nazywając wszystkich niebezpiecznymi heretykami. Oni jednak nie byli heretykami. Potrafili bić się i przetrwać – a Dyana rada była, że jest wśród nich.

Każdy dzień był podobny do poprzedniego. Według rozeznania Falgera, jak do tej pory, podróżując z prędkością ślimaka, przebyli połowę drogi do Ackle-Nye. Mieli tylko dwa konie, więc większość grupy szła pieszo, z wyjątkiem dzieci i chorych, którym pozwolono jechać na ciągniętym przez muły wozie, który dodatkowo obciążono niewielkim dobytkiem grupy. Przed wszystkimi szedł Falger. Prowadził swego konia przez bezdroża, pozwalając słabszym jechać na jego grzbiecie. Sam wspinał się na siodło wyjątkowo rzadko, tylko wtedy, gdy był zbyt zmęczony, by iść.

Falger był starszym człowiekiem o zasłużonej reputacji dziwaka. Jeśli wśród odtraconych znajdował się jakiś heretyk, był nim Falger. Sam mówił o sobie, że nienawidzi bogów, nie wahał się też nigdy przed wyśmiewaniem pobożności wieśniaków, którym nieustannie wytykał daremność ich modłów. Podobnie jak Dyana, gardził Drolami i ich rewolucją z zaciekłością, o której sądził, że nikt mu w niej nie dorówna. Ta dzielona wspólnie pogarda zrodziła pomiędzy nimi osobliwą więź i Falger szybko stał się jej jedynym obrońcą, ponieważ nawet uciekinierzy niechętnie widzieli wśród siebie narzeczoną Tharna. Okazywali jej jednak szacunek, a Dyanie więcej nie było trzeba. Oprócz tego zależało jej jedynie na znalezieniu drogi do Nar.

Nikt z nich dokładnie nie wiedział, co zastaną w Ackle-Nye, spodziewali się jednak, że znajdą tam wolność i okazję, by dotrzeć do Imperium. Oczywiście i tam mieli być wyrzutkami, ale przynajmniej wolnymi od tyranii Drolów. Dla Dyany Nar mogło oznaczać nowe życie. Być może będzie tam mogła spełnić marzenie swego ojca i stać się samodzielną kobietą, zapominając o jakże jej nienawistnej roli kury domowej, czego od kobiety wymagano w społeczności Drolów. W Nar sama będzie mogła wybrać męża, a nie zostać sprzedaną. Miała nadzieję, że nie wszyscy Narenie są podobni do Kalaka i jego morderców.

Promienie południowego słońca niemiłosiernie prażyły jej odkrytą głowę. Dyana, drepcząc obok wozu, raz jeszcze pomyślała tym wszystkim, znajdując w tych marzeniach pociechę i wsparcie przeciwko trudom nie kończącej się wędrówki. Często wybiegała myślą ku Nar i cudom, z jakimi się tam zetknie. Ojciec opowiadał jej, że Imperium to rozległe i bogate miejsce, z machinami budynkami wzniesionymi ze zdumiewającą biegłością. Opowiadał, że w Czarnym Grodzie był pałac równie piękny, jak w Falindarze, z którego zasiadający na żelaznym tronie imperator Arkus mądrze rozsądza sprawy pomiędzy wieloma królestwami.

Dyana zaśmiała się cicho, przypominając sobie rozpromienioną twarz ojca. Nigdy nie był w Nar. Mimo że należał do największych bogaczy w Tatterak, nigdy nie zapuścił się poza przesmyk. Zbyt był zajęty, jak mawiał. Zakładał rodzinę i troszczył się o żonę, która go zdradziła; pomagał Daegogowi w układaniu się z reprezentantami Narenów, którzy nieustannie przyjeżdżali z Czarnego Grodu. Zajmował się wszystkim i wszystkimi – tylko nie samym sobą. Uśmiech Dyany znikł z jej warg. Tęskniła, a ból straty bywał czasami trudny do zniesienia. Co gorsza, niemal każdej nocy słyszała jego krzyk, a kiedy o nim śniła, wizja zawsze kończyła się w ten sam sposób: widziała jego głowę, wpatrujące się w nią martwe oczy i Tharna stojącego nad bezgłowym korpusem ojca. Mijały lata, ale ten obraz ciągle pozostawał w jej pamięci wyraźny i niezatarty. Wiedziała, że ta wizja będzie ją zawsze prześladowała, te koszmary były jej

przeznaczone. Tak jak samotność.

Podróżowali tak jeszcze kilka godzin, deptając ziemię w milczeniu, aż w końcu słońce zaczęło osuwać się w dół i Falger okrzykiem zatrzymał wymęczoną kolumnę. Wszyscy byli radzi odpoczynkowi, siadali tam, gdzie stali wzdłuż brzegu rzeki i łąpczywie gasili pragnienie. Potem każdy starannie napełnił ponownie bukłak. Zgodnie z tym, co mówił Falger, idąc wzdłuż rzeki Sheaze mieli trafić prosto do Ackle-Nye, żaden z nich jednak nigdy nie był w niesławnym mieście żebraków, woleli więc nie ryzykować i każdy miał własny zapas wody. Żywność jednak stanowiła problem zupełnie innego rodzaju. To, co zabrali ze sobą, szybko ubywało, zbierali więc wszystko, co znaleźli na krzakach i pod drzewami: orzechy, jagody, grzyby i korzenie dziko rosnących jarzyn. Falger wziął na siebie odpowiedzialność za rozdzielanie żywności i na każdym postoju wydawał mizerne porcje chleba, wystarczające zaledwie na to, by powstrzymać dzieci od płaczu. Od czasu, gdy Tharn zaczął palić plony na polach, wszędzie w Lucel-Lorze brakowało żywności. Było to jeszcze jedno z dziwactw przywódcy Drolów i jeszcze jedna zbrodnia, której się dopuścił w imieniu niebios.

Zmęczona Dyana usiadła na brzegu i zzuła z nóg buty z sarniej skóry, po czym opuściła rozognione stopy w chłodne wody Sheaze. Wrażenie było tak bardzo przyjemne, że westchnęła z rozkoszy i zamknęła powieki. Wokół niej ludzie zabrali się do rozbijania obozu. Jedni ruszyli w krzaki, poszukując chrustu na ogniska, inni zajęli się rozkładaniem posłań na noc. Kobiety natomiast krzątały się niestrudzenie przy dzieciarni, która z okrzykiem ruszyła ku rzece, by się pobawić w wodzie. Dyana obserwowała wszystko z uśmiechem. Wśród dzieci było sześciu chłopców i trzy dziewczynki. Spostrzegła, że bawią się razem – w ich wieku nie było jeszcze różnic. Dziewczynki miały dopiero poznać ukłucia żądał męskiej dominacji, chłopcy zaś widzieli w towarzyszkach kogoś więcej, niż tylko podmioty do zaspokajania żądzy. Ale już wkrótce wszystko się zmieni – niech tylko dorosną...

– Dyano?

Podniosła głowę i ujrzała stojącego nad nią Falgera. Podawał jej kromkę chleba. Dziewczyna uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Dziękuję – powiedziała, przyjmując chleb. Odgryzając niewielki kęs, zaczęła go starannie przeżuwać, powoli, by przyjemność trwała jak najdłużej. Smakował cudownie. Po chwili dopiero zorientowała się, że Falger nie odszedł, tylko, patrząc na nią z góry, uśmiechał się osobliwie.

– Mogę się przysiąść? – spytał.

– Nie potrzebujesz o to pytać, Falgerze – zachichotała Dyana i poklepała dla zachęty ziemię obok siebie. – Siadaj.

Falger opadł na ziemię i przeciągnął się. Rozluźniwszy mięśnie na karku, ziewnął jak lew. Sam nie zachował porcji chleba dla siebie, przygryzał tylko żdźbło trawy.

– Nie jesz? – spytała Dyana.

Falger potrząsnął głową.

– Pomyślałem, że poczekam z tym aż do rana. Teraz niech dzieciaki zjedzą trochę więcej.

Dyana spojrzała z poczuciem winy na swoją porcję.

– Jedz! – ponaglił ją starszy. – Nie próbuję grać bohatera. Po prostu chcę, by wystarczyło dla wszystkich. Kto wie, co znajdziemy w Ackle-Nye?

– Jedzenie – odpowiedziała Dyana. – A może nie?

– Miejmy nadzieję. Z tego, co słyszałem, można wnosić, że wielu jest takich, jak my, Dyano. I Narenie, pamiętaj, sami są w opałach. Może trzeba będzie zadowolić się tym, co mamy.

Mieli zaś zapas, który był śmiesznie mały i z trudem wystarczyłby na dalszą drogę do Ackle-Nye. Dyana nie bez smutku wgrzyła się w swoją porcję. Jakże niewiele wiedziała o życiu...

– Nie przyszedłeś dziś do mnie, by porozmawiać – stwierdził Falger. – Brakowało mi ciebie.

– Rozmyślałam – odpowiedziała Dyana.

– O czym?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– O wszystkim. O Ackle-Nye, o Nar. Zastanawiałam się, jak tam będzie.

– Ciężko – rzekł Falger. – A przesmyk jest bardzo długi. I potrzebni nam będą Narenie, by nas przeprowadzić i dać trochę żywności. – Na twarzy Falgera pojawił się dość ponury wyraz. – Nie łudź się daremnymi nadziejami, Dyano. Do Ackle-Nye dotrzemy z pewnością. Ale co dalej? Któż to może wiedzieć?

– Ja wiem – odparła dziewczyna. – Dotrzemy do Nar, to mogę przysiąc. Dotrę tam, choćby to miało mnie kosztować życie.

Falger parsknął śmiechem.

– Czyżby? Więc według ciebie lepiej zginąć na przesmyku, niż umrzeć tu, w Lucel-Lorze?

– Lepiej umrzeć wolną, niż zostać żoną Tharna – poprawiła Dyana.

– On cię już nie znajdzie, Dyano – zapewnił ją Falger. – Jesteśmy zbyt daleko od Dring. Nawet Voris nie przyśle wojowników, by cię tu poszukali. – Spojrzawszy na coraz ciemniejsze niebo, ponownie się uśmiechnął. – Tutaj jesteśmy bezpieczni.

Bezpieczni... Cudowne słowo, ale Dyana nie bardzo w to wierzyła. Podczas tej nocy,



kiedy zabił jej ojca, Tharn dobitnie jej wyłożył, że nigdzie od niego nie ucieknie. Stała się jego obsesją – i tak było od samego początku. Oboje pochodzili ze znaczących rodzin, których połączenie wydało się doskonałym rozwiązaniem kierującym się dobrem dzieci rodzicom. Dyana nie bardzo teraz pamiętała, jakim człowiekiem był Tharn, zanim poczuł powołanie Drola. Kiedyś był uprzejmy i łagodny. Jeżeli nie zawodziła jej pamięć, to chyba był nieśmiały. Niełatwo było połączyć tamten wizerunek z aktualnym buntownikiem.

– Nie ma takiego miejsca, gdzie będę bezpieczna przed Tharnem – odezwała się ponuro Dyana. – Nie podoba mi się myśl, że mnie przepędzono z domu.

– Mnie też – odpowiedział Falger zgaszonym głosem. – Ale powiedz mi, czy mamy inny wybór? Już wkrótce Tharn odniesie ostateczne zwycięstwo, i nigdzie nie znajdziemy schronienia... my, którzy nie jesteśmy Drolami. Kiedy Kronin padnie, wszyscy zginieją. Musimy uciekać.

– Wiem – odparła Dyana. – Ale czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy szli z podniesionymi głowami, niż uciekali jak szczury? Czy nie byłoby znacznie lepiej?

Falger nie odpowiedział, Dyana zaś szybko poczuła ukłucie winy. Ujrzała urazę na twarzy starszego mężczyzny i pojęła, że go zraniła.

– Przepraszam – stwierdziła. – Nie powinnam tak mówić. Nie jesteśmy szczurami.

– Ale uciekamy – przyznał Falger. – Ten bękarci syn, Tharn, nas pokonał.

– Nie, wcale nie, Falgerze. Jak długo żyjemy i uciekamy, nie przyznam, że nas pokonał. A gdy dotrzemy do Nar, to my go pobijemy.

Jakiś chłopak wyskoczył z wody i ukląkł przed nimi, sapiąc ciężko i śmiejąc się jednocześnie.

– Ja pokonam Tharna! – oznajmił buńczucznie. – Mogę już walczyć.

– Naprawdę? – spytał Falger. – To dobrze. Zdobędziemy ci jakiś jiihtar i pošemy przeciwko niemu...

– Tak! – zawołał podniecony chłopczyk. – Dyano, pokonam go!

Dyana uśmiechnęła się niewesoło.

– Może lepiej będzie, jeżeli zostaniesz i nas obronisz, Lukenie. Możesz z nim walczyć, jeżeli tu przyjdzie.

– A tak! – stwierdził chłopiec zuchwale. – Niech sobie przychodzi. Wcale się go nie boję.

Do strachu nie przyznawał się żaden z chłopców. Wszyscy wybiegli z rzeki, wyciskając wodę w koszul i oznajmiając, że będą walczyć z Tharnem. Dziewczynki też wyskoczyły z wody i usiadły obok Dyany i Falgera, śmiejąc się z chłopięcych przechwałek.

- Opowiedz nam coś o nim, Dyano – poprosił Luken. – Opowiedz nam, jaki on jest.
- Lukenie – roześmiała się Dyana – to już tak dawno...
- Czy jest brzydki?
- Gruby?

Dyana otworzyła już usta do odpowiedzi, ale tymczasem z wody wyszła dziewczynka, której imienia Dyana nie mogła sobie przypomnieć, i zadała jej najbardziej niepokojące pytanie.

- Dlaczego on nas nienawidzi?

Nikt już nie zadał innego pytania. Dzieciarnia umilkła. Wszyscy wpatrzyli się w Dyana, czekając na mądrą odpowiedź, a ona poczuła, że nie umie im powiedzieć niczego rozsądnego.

– Nie wiem – odpowiedziała ze smutkiem w głosie. Ujęła dziewczynkę za rączkę i przyciągnęła do siebie, przytulając drobne ciało i nie dbając o to, że sama się przy okazji zmoczy. – Może tak naprawdę nie chodzi o nienawiść – odpowiedziała po chwili milczenia. – Może jest tak, jak z tym, co zdarzyło się w Lesie Agar. Znaście wszyscy tę historię, prawda?

Dzieci wbiły w nią zaintrygowane spojrzenia.

- Nie? Żadne z was nie wie, co się stało w Lesie Agar? Nawet ty, Lukenie?

Widziała, że chłopczyk chce skłamać, ale zamiast tego po prostu zmarszczył brwi.

– No dobrze, więc wam opowiem. Wiecie, że w tym lesie są ogromne brzozy. Ale historia o tym, jak wyrosły tak wysoko, jest najciekawsza. – Dyana przybrała dramatyczny ton. – Dawno, dawno temu, kiedy żadnego z nas nie było jeszcze na świecie...

- Nawet Falgera? – wtrącił jeden z chłopców.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

- Ależ co znowu... – zachnął się Falger z udaną urazą.

– O tak! – odpowiedziała Dyana. – To było znacznie wcześniej. Ta historia sięga czasów, kiedy nie było jeszcze Vorisa, ani Drolów... żadnego z nich. Nie było niczego, oprócz puszczy. Nie było zwierząt, ani ludzi. Tylko brzozy i sekwoje.

Luken zmarszczył nosek.

- Sekwoje? Sekwoi nie ma w Agar.

– No właśnie – przytaknęła Dyana. – Już nie. Przegrały wojnę z brzożami. Wiecie, drzewa też ze sobą walczą. A przynajmniej potrafiły to robić. Wtedy walczyły i rozmawiały zupełnie jak ludzie. Nie umiały się tylko dogadać z sekwojami, bo te były dla nich okrutne. Jak Drolowie dla nas.

- I co się stało? – spytała dziewczynka siedząca na kolanach Dyany.

– Wszystkie wiecie, jak wysokie są sekwoje. Naprawdę, naprawdę wysokie. – Dyana podniosła nad głowę dłonie ze splecionymi palcami. – Tak wysokie, że zasłaniały słońce. W Agar były ich tysiące, tak że biedne brzozy w ogóle nie miały światła. A kiedy zaczęły się skarżyć, sekwoje wpadły w gniew. Powiedziały brzozom, że są najpotężniejsze ze wszystkich drzew, takimi stworzyli je bogowie, i że bogowie lubią je najbardziej.

– Jak Drolowie! – stwierdził Luken.

– Nie inaczej. Ale brzozy były twarde i zahartowane, jak my. Nie chciały dopuścić do tego, by sekwoje całkowicie je zdusiły, zaczęły więc walczyć na swój sposób. Choć sekwoje były wyższe i silniejsze, brzozy – zebrawszy się razem – postanowiły zapuszczać korzenie jak najgłębiej w ziemię. Sekwoje, dumne i wysokie, nie raczyły nawet spojrzeć na to, co tam w dole wyrabiają małe, niepozorne brzozy. A brzozy sięgały coraz głębiej i głębiej, aż wreszcie ich korzenie stały się mocniejsze niż korzenie sekwoi. Wybrały całą wodę z ziemi i pozbawiły sekwoje ostatniej kropli wilgoci.

Dyana przerwała i spojrzała na dzieci.

– I co dalej? – spytał Luken.

– Jak to co? – Dyana wzruszyła ramionami. – Sam powiedziałeś, że w Agar nie ma żadnych sekwoi.

Wszystkie dzieci roześmiały się wesoło i nawet Falger zachichotał ubawiony tą historyjką. Dyana też się roześmiała, przypominając sobie czasy, kiedy tę opowieść usłyszała od ojca. Była wtedy w wieku Lukena, a Voris i Kronin od lat toczyli boje o Las Agar. Ale nie o to chodziło w jej opowieści.

– Rozumiecie? – spytała dzieci. – Te brzozy są jak my. Były małe, a popatrzcie na nie teraz. Są wysokie, mocne, i nie poddały się sekwojom. My też nie poddamy się Drolom. Teraz odchodzimy, ale wrócimy tu pewnego dnia i odbierzemy to, co nasze.

Dzieciom się to spodobało, podobnie jak ich matkom, które też usłyszały opowieść Dyany. Falger uśmiechał się szeroko i z dumą, a potem ukradkowo ujął dziewczynę za rękę i lekko ją uścisnął. Dyana uśmiechnęła się z wdzięcznością. Po wielu miesiącach, podczas których była cieniem, cieszyło ją wejście w krąg światła.

Tego wieczoru zjedli oszczędnie wydzielony im przez Falgera chleb, a potem każdy zaszył się w swoim zakątku obozu, by porozmawiać przy ognisku z najbliższymi, albo po prostu zasnąć i przygotować się na następny dzień wędrówki. Dyana zawsze spała samotnie, nie za daleko od Falgera i nie za blisko innych mężczyzn. Nadal wołała samotność. Zawsze koili ją chłód i spokój nocy, teraz zaś, gdy inni spali, cieszyła się, nasłuchując muzyki rzeki. Była pełnia. Mimo późnej pory i zmęczenia Dyana odkryła, że nie może zasnąć. Powodem była bliskość Ackle-Nye i podniecenie, z jakim wyobrażała sobie przyszłość. Tam będą Narenie. Ojciec ufał Narenom. Już wkrótce mogła odzyskać

wolność.

Usiadła i rozejrzała się dookoła. Falger spał, owinięty kocem. Na brzegu rzeki trzaskały płomienie dogasającego ogniska, z którego unosiły się cienkie smużki dymu. Słysząc było terkotanie świerszczy i szmer wody płynącej wśród kamieni. Dyana poczuła ogarniającą ją melancholię. To był wciąż jej dom, niezależnie od tego, co znajdzie w Ackle-Nye. Będzie tęskniła za tym krajem. Nie mogąc zasnąć, wstała, wzięła buty i cichutko przemknęła przez obóz, a potem, idąc wzdłuż brzegu rzeki, oddaliła się tak, że niemal straciła z oczu obozowe ogniska. Znalazła na brzegu spory kamień, usiadła na nim i zanurzyła dłonie w wodzie, skąd wyłowiła garść żwiru i kamyków. Potem zaczęła ciskać je w wodę, przyglądając się kręgom i nasłuchując plusków, a gdy zabrakło jej kamieni, poszukała kolejnych i powtórzyła zabawę. Dźwięk był miły dla ucha, regularny i kojący, i Dyana całkowicie oddała się przyjemności puszczenia kaczek po wodzie.

– Dyano...

Usłyszawszy swoje imię, zeskoczyła spłoszona z kamienia i natychmiast się odwróciła. Przez moment wydało jej się, że wisząca przed nią w powietrzu chmura to kłęb dymu, który zabłąkał się tu od ogniska, zaraz jednak zrozumiała, że wcale nie jest to dym, tylko niesamowicie migocząca sylwetka człowieka z mgły, ze zniekształconym korpusem i bez nóg. Dyana przestraszona cofnęła się, a bezcielesny człowiek podpłynął ku niej.

– Nareszcie cię znalazłem – odezwało się widmo. – Powiedziałem ci, że tak będzie.

Widmo tworzyła purpurowa mgła, trzymająca się kształtu człowieka. Przerażona Dyana szybko rozpoznała prześladowcę.

– Tharn!

– Minęło wiele lat, dziewczyno. Rad jestem, że mnie poznałaś.

– Tharn... – szepnęła, starając się odepchnąć od siebie czerwone widmo. – Czym ty się stałeś?

Tharn uśmiechnął się lekko. Nie wydawał się rozgniewany, tylko ogromnie z siebie zadowolony.

– Spójrz na mnie – powiedział, muskając bezcielesnymi dłońmi swoje ciało. – Jestem „dotykiem niebios”. Jestem tym, kim chciałem być.

Zaskoczona Dyana podeszła bliżej, nie starając się nawet ukryć odrazy.

– Tharnie, co to za czary? Coś ty zrobił?

– Zrobiłem to, co mi było przeznaczone, do czego wybrały mnie niebiosy.

Patrząc na niego, Dyana widziała go na wylot. Porzucił rodzinę, by zgłębiać nauki Narenów, potem szukał wiedzy wśród Drolów, stając się jednym z mędrców i buntownikiem. Ale ostatnie wcielenie zdumiało ją najbardziej. To było niepojęte.

– Czy to ty?

– Ja i nie ja. To mój bezcielesny umysł. Nie mogę ci tego objaśnić, Dyano. To po prostu... – widmo wzruszyło ramionami – ...ja.

– Ale dlaczego? – naciskała. – Czym się stałeś?

– Dość pytań! – Widmo zatrzęsło się na moment, widocznie gniew Tharna zakłócił jego koncentrację. – Nie mam odpowiedzi. Jestem mieczem Lorrisa. Jestem głosiцеlem jego woli. Tak, jak ci to przepowiedziałem.

Dyana spojrzała ze smutkiem w oczach.

– Jesteś szalony. A teraz, igrasz z tymi mocami i stajesz się potworem. Tharnie, jesteś...

– Wiem, kim jestem! – zagrzmiało widmom, nabrzmiewając niczym balon. – Zostałem „dotknięty przez niebiosy”! Szukałem tego przez całe życie, aż wreszcie znalazłem. Tacy jak ty, heretycy, nie będą mnie nazywali szaleńcem! Czy możesz, patrząc na mnie, rzec, że myliłem się co do bogów?

Dyana milczała.

– Możesz?

– Nie – przyznała. – Ale nie zawsze byłeś taki, Tharnie. Nie zawsze byłeś zabójcą. Pamiętam cię z dawnych lat. Pamiętam, że byłeś łagodny...

Od widma wionęło smutkiem.

– Dziewczyno, ja nadal jestem łagodny.

– Nie – sprzeciwiła się Dyana. – Nie jesteś. W imię swej sprawy skrzywdziłeś niezliczone rzesze ludzi. Twierdzisz, że jesteś Drolem, ale łamiesz ich najświętszą zasadę. Powiadasz, że jesteś „dotknięty przez niebiosy”? Czy nie powinienesz zatem używać tego daru dla pokoju?

– Owszem – przyznał Tharn. – Tak kiedyś myślałem...

– To dlaczego zabijasz? Co komu przyjdzie z tej brutalności?

– Dyano, myślę, że taka jest wola Lorrisa. Nie jestem łotrem. Mam swoje powody, dla których rozlewam krew, powody, których nie zrozumiesz, bo i ja ich nie rozumiem. Modliłem się nieustannie i żarliwie o odpowiedzi i ufam, że tego właśnie chce Lorriss. To wola nieba. W swoim czasie przekonasz się, że postępowałem słusznie.

– Nie, nie przekonasz mnie – odparła Dyana. – Odejdę stąd. A tam, dokąd się udam, nie zdołasz podążyć.

Tharn potrząsnął głową.

– Dyano, przybyłem, by cię ostrzec. Już prawie wygrałem tę przeklętą wojnę. Kiedy się skończy, przyjdę po ciebie. Nie zdołasz mi się oprzeć.

Dyana parsknęła śmiechem.

– Opierać się? Ja tobą gardzę! Nie będę niewolnicą żadnego mężczyzny!

– Jesteśmy zaręczeni, Dyano. Wiąże cię słowo twojego ojca. Powołam się na moje prawa.

– Twoje prawo nic dla mnie nie znaczy, Drolu. Umowa, jaką zawarli nasi rodzice też dla mnie nic nie znaczy. Wtedy zresztą nie byłeś Drole. Mój ojciec nigdy by mnie tobie nie obiecał, gdyby wiedział, jakim się staniesz łajdakiem. Jestem wolną kobietą.

– I po to właśnie idziesz do Nar? Żeby być wolna? Dziewczyno, jesteś głupia, jak twój ojciec. Nie ma tam nic, co mogłoby ci pomóc. Nar jest złem.

– Łzesz! – zawołała z pasją. – Dostanę się do Nar i poślubię kogoś innego. Urodzę mu dzieci, które nie będą Drolami i na samą myśl o waszej głupiej rewolucji wybuchną śmiechem.

Tharn westchnął – co jak na widmo było nie lada sztuką.

– Więc uciekaj, Dyano. Ale pospiesz się. To, co widzisz, to zaledwie początek. Moja moc rośnie, a gdy będę dostatecznie silny, wyciągnę po prostu dłoń i wezmę cię, gdziekolwiek znajdziesz.

– I będziesz nadal zabijał? A dzieci nadal będą głodne, bo spalisz zboża? Czy tak ma się objawić miłość, jaką nas darzą Lorris i Pris?

– To sprawy naszego ułomnego świata. Istnieją w nim zagrożenia, o których nie masz pojęcia, i wątpię, byś mogła je zrozumieć. Kiedy będziemy razem, zrozumiesz, zobaczysz prawdę.

– Tharnie, nigdy nie będę twoja.

– Będiesz. I posłuchaj uważnie tego, co powiem. Kiedy zostaniesz moją, nie ujrzysz we mnie potwora. Będę dla ciebie dobry i uczynię cię szczęśliwą.

Dyana skrzywiła się lekko.

– Proroctwo Drola?

– Nie proroctwo. Obietnica. Moja obietnica, którą składałam w twoje dłonie. Nie skrzywdzę cię, Dyano. Z mojej strony nic ci nie grozi. Zawsze cię kochałem.

– Kolejne wariactwo – odpowiedziała Dyana. Tharn nagle wydał jej się zakochanym smarkaczem, który wspina się na drzewo, by zaimponować wybrance. – Nie znasz mnie. Pokochałeś marzenie. Nie jestem osobą, o której marzyłeś. Pozwól mi odejść.

– Nie mogę. Jestem mędrce z Drolów, a ty zostałam mi przyrzeczona. Nie zniosę takiej niewdzięczności. Powtórzę raz jeszcze – kocham cię. Kiedy zwyciężę, dam ci cały naród i przekonasz się, jak bardzo jesteś mi droga.

Dyana potrząsnęła głową.

– Nie chcę narodu... i ciebie też nie chcę. Będę walczyć.

– No to uciekaj. – Tharn uśmiechnął się smutno. – Uciekaj szybciej niż wiatr.

Znikł równie niespodziewanie, jak się pojawił, rozplywając się w mroku, aż jedyny blask na brzegu okazał się lśnieniem rzeki. Dyana przez chwilę jeszcze wpatrywała się w pustkę – w miejsce, gdzie jego niewidzialne stopy nie zostawiły żadnych odcisków na piasku. Był już potęgą. Wkrótce rzeczywiście może osiąść taką moc, która pozwoli mu wziąć ją wbrew jej woli. Musi się spieszyć. Powinna dostać się do Ackle-Nye, zanim on skończy ponurą wojnę. A to oznaczało, że musi opuścić przyjaciół.

Cichutko wróciła do obozu, gdzie spali pozostali członkowie grupy. Ostrożnie, by nikogo nie zbudzić, zebrała cały swój majątek – wór z odzieżą na zmianę, bukłak na wodę i odrobinę chleba, jaką zostawiła po kolacji. Na koniec wzięła srebrny sztylet, który dostała od ojca. Wetknęła go w specjalnie przygotowaną pochewkę wszytą w cholewę buta. Była już prawie poza obozem, kiedy Falger ocknął się ze snu.

– Dyano?

– Sza! – ostrzegła go, podchodząc bliżej.

– Dokąd idziesz? Co się dzieje?

– Ruszam do Ackle-Nye, Falgerze. Muszę się spieszyć. Nie mam czasu do stracenia i nie mogę wędrować tak powoli, jak wy.

– Będziemy tam za kilka dni – stwierdził, niczego nie pojmujący Falger.

– Nie – stwierdziła Dyana łagodnym głosem. – Ja nie mogę czekać. – Chciała dodać jakieś wyjaśnienia, ale po namyśle, zrezygnowała. Była teraz dodatkowym niebezpieczeństwem dla całej grupki, i nie mogła się z tym pogodzić. – Proszę – dodała tylko błagalnie. – Pozwól mi odejść.

– Dyano, to szaleństwo. Samej nigdy ci się nie uda dotrzeć do Ackle-Nye. To zbyt daleko i niebezpiecznie.

– Dam sobie radę. Będę po prostu szła z biegiem rzeki.

– A co z jedzeniem? Czym się będziesz żywić?

– Mam trochę chleba w worku, a do Ackle-Nye powinnam dotrzeć za dzień, najdalej dwa. Tam mnie nakarmią.

– Nie możesz iść teraz! – stwierdził Falger. – Jest za ciemno!

– Poświeci mi księżyc. Widzę dość wyraźnie. Proszę, przestań się o mnie martwić. – Pocałowała go w policzek. – Ale dziękuję za troskę. Dziękuję za wszystko.

– Jak się dostaniesz do Nar? – spytał jeszcze Falger. – I co tam będziesz robiła?

– To, co będę musiała – odpowiedziała dziewczyna, odwracając się i ruszając w mrok.

## Siedem

Kiedy Richius powiedział Dinadinowi o wycieczce do Ackle-Nye, ten przyjął wiadomość jak dziecko, które usłyszało o zbliżających się wakacjach. W odróżnieniu od większej części nareńskich wojaków, przed przybyciem do Ackle-Nye wiedział, dokąd się udaje, nie miał więc okazji do skorzystania z wielu ofiarowanych przez miasto przyjemności przed wyruszeniem na wojnę. Zawsze tego żałował i nigdy nie omieszkął przypominać o tym Richiusowi, kiedy tylko nadarzała się okazja. Richiusowi zdawało się, że jego przyjaciel uważa, iż był mu coś winien za uchybienie rytuałowi przejścia, teraz więc z prawdziwą uciechą podzielił się z nim tą nowiną, gdy ten obejmował służbę. Richius zresztą na swój powściągliwy sposób też się cieszył na myśl o wycieczce. Choć Lucylerowi i Dinadinowi powiedział, że są ważne powody do podróży, on sam rad był okazji do choć krótkiego opuszczenia okopów. Do doliny Dring przybył prawie rok temu, a dom zostawił za sobą przed blisko dwoma laty. Jeżeli w Ackle-Nye będą jacyś Aramoorczycy, z zadowoleniem się z nimi zobaczy.

Wbrew sprzeciwom Lucylera, Richius postanowił, że w wycieczce powinni wziąć udział tylko on i Dinadin. Lucyler nie zamierzał jechać, ponieważ był zbyt pobożnym Triinem, by udawać się do Ackle-Nye, upierał się jednak, że podczas podróży bezpieczeństwo zapewni im jedynie jazda w większej grupie. Richius przemyślał te obiekcje, w końcu jednak zdecydował, że ważniejsze jest bezpieczeństwo ludzi, których zostawiał, niż jego własne, a na wypadek ataku Vorisa w okopach będą potrzebni wszyscy. Wyjaśnił to Lucylerowi, powiedziawszy mu najpierw, że to jemu przypadnie w udziale dowództwo kompanii. Triin nie sprzeciwiał się argumentom przełożonego, nie obyło się jednak bez zadbania o zapakowanie do ich juków takiej ilości suszonego mięsa i wojskowych sucharów, że zamiast dwóch dni mogliby przetrwać na zapasach kilka miesięcy. Richius się temu nie sprzeciwiał – choć był przełożonym, wiedział, że mimo pozornej surowości Lucyler traktował ich jak ojciec i, myśląc o tym, nie mógł się oprzeć wzruszeniu.

Ranek był pogodny, podobnie jak noc i poprzedni dzień. Dinadin stwierdził, że warunki idealnie nadają się do konnej wycieczki. W głębi doliny znajdowały się zaskakujące kolczaste, duszące rośliny i błotne jamy, w których koń miał połamać nogi. Tam jednak, gdzie jechali, dolina była przejezdna, i kompanijny koniuszy, podając Dinadinowi i Richiusowi wodze dwóch wierzchowców, łypał zazdrośnie na obu jeźdźców. Służba w dolinie była obowiązkiem wszystkich członków aramoorskiej gwardii, a konna przejażdżka stała się przywilejem, którego wielu im zazdrościło.



– Uważajcie na nie – ostrzegł koniuszy. – Jeżeli dostaniemy rozkaz odwrotu, będą nam potrzebne do ucieczki.

Richius pozwolił koniuszemu na drwinę, bo niezależnie od swoich prywatnych uczuć w niestącej pogodzie doliny Feldon utrzymywał kapryśne konie przy zdrowiu, radząc sobie z ich chorobami czy apetytem. W odróżnieniu od pozostających pod komendą Richiusa ludzi, konie wyglądały zdrowo i były syte. Richius uśmiechnął się uprzejmie, kwitując drobną złośliwość Feldona, i zapewnił go, że zadbają o konie.

Richius i Dinadin opuścili obóz ledwie słońce wzniosło się trochę nad horyzont. Kiedy żegnali się z Lucylerem, ten miał dość posępną minę.

– W każdym okopie utrzymuj warty – rzekł Richius. – Zwiadowców wysyłaj parami. Jeżeli przyjdą wilki, gotujcie się do odparcia ataku. I daj już znak do pobudki. Voris może uderzyć lada moment.

– Przestańcie – rzucił niecierpliwie Lucyler. – Wiem, co mam robić. Wróćcie po prostu jak najszybciej. My tu wciąż będziemy.

– Pięć dni, nie dłużej – zapewnił go Richius. – Dbaj o moich ludzi.

Lucyler kiwnął głową, ale nie odpowiedział, a Richius po raz ostatni spojrzął na obóz. Na krótko poczuł pragnienie, by zostać, ale kuksaniec ze strony Dinadina szybko przywrócił go do rzeczywistości.

– Jedźmy! – jęknął młody człowiek nagłaco. – Chcę tam dotrzeć, zanim wojna się skończy i wszystkie dziewczki wrócą do domu.

Lucyler przewrócił oczami.

– Nie przywieź niczego, czego się nie da wyleczyć – ostrzegł zgryźliwie.

– Będziemy uważali! – roześmiał się Richius, lekko uderzając konia wodzami. Machnął jeszcze dłonią Lucylerowi na pożegnanie i już wkrótce obu jeźdźców pochłonał las.

Ścieżka, w którą się zapuścili, była przejezdna, choć niezbyt dobrze utrzymana, ponieważ przerwa w dostawach zapasów z Aramooru sprawiła, że bujna roślinność zaczęła odzyskiwać teren. Konie jednak doskonale wyczuwały szlak i już wkrótce Richius i Dinadin rozluźnili się i zdali na koński instynkt. Richius poddał się poczuciu spokoju i bezpieczeństwa, a dotyk wodzów w jego dłoniach przekształcił się w lekki, przyjacielski uścisk. Pobyt w dolinie nie pozbawił go zapamiętanych z dzieciństwa nawyków jeździeckich. Dinadin z rozpromienioną twarzą jechał tuż za nim. Richiusowi wydało się, że całe wieki minęły od momentu, kiedy siedział w siodle i czuł pod sobą wspaniałego rumaka. W okopach był tylko żołnierzem, często tak zabloconym, że sam nie zdołałby poznać swego odbicia w kałuży. Kiedy jechał konno na dumnym, roslym aramoorskim ogierze, ponownie czuł się członkiem gwardii.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu, zadowolając się jedynie nasłuchiowaniem odgłosów wydawanych przez żyjące w dolinie zwierzęta, i bacznie nadstawiali ucha na każdy niezwykły dźwięk. Wiedzieli, że tę część doliny można uznać za bezpieczną, ale Voris od czasu do czasu przysyłał szpiegów również tu. Nie mogli pozwolić, by ich czujność uspiły ptasie trele. Dzień jednak był tak miły, a poczucie spokoju tak nieodparte, że obaj przygotowali się do długiej konnej przejażdżki w lekkim chłodnym wietrzyku. Pogoda przypominała tę w Aramoorze – słoneczny, chłodny poranek.

– Och, ależ mi tego brakowało – westchnął Dinadin. – Wiesz, gdyby nie to, że jesteśmy przyjaciółmi, dawno już bym zdezerterował.

Richius parsknął śmiechem.

– W Tatterak ludzie Edgarda mieli konie i nie powiodło im się lepiej, niż nam.

– Nie w tym rzecz. Oni mogą walczyć jak żołnierze, jak ich szkolono, my zaś taplamy się tylko w błocie niczym świnie. – Dinadin potrząsnął głową. – Ktoś powinien wypuścić strzałę prosto w łeb Vorisowi i skończyć z tym wszystkim.

– I oczywiście chciałbyś, żeby ten honor przypadł tobie – zauważył Richius. Podczas wielu bezsennych nocy rozważali tysięczne sposoby zabicia wodza Drolów. W tych marzeniach zawsze jednak oddzielali od tułowia głowę pozbawioną twarzy, bo żaden z nich nigdy nie widział Wilka osobiście.

– Gdybym mógł, poderznąłbym mu gardło we śnie – odparł Dinadin z uśmiechem. – I nie poczułbym wyrzutów sumienia.

– Ja nie. Ja bym raczej chciał go spotkać na polu walki, gdzie mógłbym sprawdzić, czy ma do jiktara taką smykałkę, jak ja do miecza.

Ta przechwałka wywołała uśmiech na ustach Dinadina.

– Jeżeli zechcesz zabić go osobiście, nie będę się wtrącał. Mnie wystarczy, że zobaczę jego trupa. Może wtedy moglibyśmy stąd odejść?

– Gdyby nie posłano nas tutaj, tkwilibyśmy w Tatteraku – stwierdził Richius obojętnie. – A wtedy mielibyśmy na karku Tharna.

– No to co? To wszystko dzieje się przez niego. Gdyby ktoś go zabił, skończyłaby się wojna, a ja mógłbym wrócić do domu, do ojca i braci. Może powinniśmy wesprzeć Edgarda w Tatterak i przestać tu zawracać sobie głowę byle kim.

Richius zaczął się śmiać, ale nagle przerwał. Przywykł do przechwałek przyjaciela, więc postanowił przemilczeć to, co właśnie mu przyszło do głowy. Ten „byle kto” nie dawał im spocząć niemal przez rok, a tak naprawdę niemal wyparł ich z doliny bez pomocy swego mistrza, Tharna. Ich nigdy nie widzianego przedtem przeciwnika można było nazywać rozmaicie, nie był jednak „byle kim”.

– Znam Edgarda od lat chłopięcych – zauważył Richius, usiłując odwrócić uwagę

Dinadina od Vorisa. – Też jest zbyt dumny na to, by poprosić o pomoc. Ojciec wielokrotnie mi opowiadał o tym, jak razem walczyli z Talistańczykami. Boże, co za opowieści! Można by pomyśleć, że staruszek jest nieśmiertelny.

– Gdybyś mnie zapytał, rzekłbym, że Edgard wyszedł na tym najlepiej – mruknął Dinadin. – Jest księciem wojennym. To jemu, nie tobie powinno się powierzyć zadanie utrzymania doliny.

– Przypuszczam, że ojciec uznał, iż sobie z tym poradzę, a Edgard jest już za stary, by razem z nami pełzać w błocie. Lepiej, by zabezpieczał zajęte już terytorium, niż próbował zdobywać dolinę.

– Kronin już zabezpieczył swoje ziemie – stwierdził Dinadin. – I jest człowiekiem Daegoga. Powinniśmy ruszyć na Falindar, jak tylko Tharn go zdobył. Ta wojna już dawno byłaby skończona.

– Może... – odpowiedział Richius.

Przed sobą mieli długą podróż, której nie zamierzał sobie zepsuć, spierając się z przyjacielem o rzeczy, na które nie mieli wpływu. Co więcej, teraz przysłała mu do głowy nieprzyjemna myśl, że ojciec bardziej sobie cenił życie Edgarda, niż jego własne, i zapragnął ją jak najszybciej pogrzebać na dnie pamięci. To jemu, nie Edgardowi, powierzono zadanie zdobycia doliny Dring, „wrót do Lucel-Loru”. Zrobi co w jego mocy, by pomyślnie ukończyć powierzone mu zadanie.

Późnym rankiem wyjechali z doliny i znaleźli się w tej części Lucel-Loru, do której nie rościł sobie praw żaden z wojennych wodzów. W ziemi było tu mniej wilgoci, drzewa rzadsze, a ścieżka gdzieniegdzie znikła wśród skał. Zatrzymali się na krótko, by napoić konie w strumieniu, który uznali za ostatni przed sporą połącią ogołoconej ziemi. Konie piły chciwie, równie jak jeźdźcy zadowolone z chwili odpoczynku. Richius, według starego zwyczaju gwardii, wykorzystał czas, by sprawdzić juki i upewnić się, że zabrali wszystko, co potrzebne. Wkrótce miała zapaść noc, więc sprawdził, czy wciąż ma przy sobie ogniste skały, które dał im Lucyler. Dzięki nim i pledom, które mieli gotowe, choć zwinięte, nie zbraknie im ciepła w nocy. Sprawdził także broń, choć niewielu tu było Triinów, którzy mogliby im zagrozić, i pieszczotliwie musnął palcami po zwisającej z końskiego boku kuszy. Sprawiał się z nią znacznie lepiej, niż z łukiem i każdy Drol, który chciałby ich skrzywdzić we śnie, wcześniej znalazłby bełt między żebrami.

Dinadin odzyskał już dobry humor i kwieście opowiadał o kobietach, które rzucił na łoża, gdy tylko się znajdą w Ackle-Nye. Gryząc chleb, nadal zabawiał Richiusa opowieściami o swoich spodziewanych fantastycznych wyczynach. Richius słuchał jednym uchem, ale rad był temu, że przyjaciel dał spokój rozmowom o polityce.

– Chcę znaleźć jakąś dziewczkę Triinów – rzekł Dinadin z westchnieniem, opierając się

o pień drzewa. – Wtedy naprawdę będę miał co opowiadać Lucylerowi.

– Nie masz na to szans – odpowiedział Richius, odnajdując w worku swój dziennik. – Wśród Triinów nie ma żywej dziewczyny, której bylibyśmy godni. Obawiam się, że będziesz się musiał zadowolić jakąś rozłożystą dziwką z Talistanu.

– Mylisz się, mój drogi – sprzeciwił się Dinadin. – Mówili o tym niektórzy z ludzi Gayle’a. Widzieli w mieście kobiety Triinów, jak się sprzedawały. – Przez chwilę milczał, a potem parsknął śmiechem. – Ostatnio ich bogowie nie traktowali ich łaskawie.

Wspinając się na siodło, Richius spojrzął na Dinadina i zmarszczył brwi.

– Nie wierzę. Większość kobiet Triinów to takie same fanatyczki, jak Drolowie. Mogłyby uczyć wstrzemięźliwości naszych kapłanów. One nawet nie patrzą na mężczyznę, który jest ich panem.

– Chyba za długo tkwiłeś w tej dolinie. A jak sadzisz, co się dzieje z ludźmi, którym spalono domy, albo ich wioskę zajęli Drolowie? Muszą przecież żyć, prawda?

– Boże! – syknął Richius, szarpiąc wodze. – I ty chciałbyś dodać upokorzenie do ich nędzy? Dinadynie, nie zapominaj, że jesteśmy tu po to, by pomóc tym ludziom.

Dinadin zrezygnował z odpowiedzi, co właściwie ucieszyło Richiusa. Jego przyjaciel po prostu wsiadł na konia i powoli ruszył za nim. Milczeli, Richius zaś zastanawiał się nad obrzydlistwem, które usłyszał od przyjaciela. Z tym większym zainteresowaniem zmierzał ku miastu, by się przekonać, czy plotki były prawdziwe.

Po południu następnego dnia zobaczyli Sheaze. Od wczoraj nie widzieli wody, noc zaś była bardziej chłodna, niż się spodziewali. Nad Lucel-Lorem wkrótce miała rozprzecz swoją białą opończę zima i widok rzeki sprawił im ulgę, ponieważ zrozumieli, że są już blisko końca podróży.

– Stąd powinniśmy skręcić ku północnemu zachodowi – stwierdził Richius, dziwiąc się znużeniu, jakie sam usłyszał w swoim głosie. Dinadin też wyglądał na wyczerpanego i stracił ochotę na przechwałki o swoich łózkowych przewagach. Richius uśmiechnął się do towarzysza. – Stąd już niedaleko.

Twarz Dinadina rozjaśniła się w uśmiechu.

– Sądysz, że uda nam się dotrzeć tam przed zmierzchem? Nie będę protestował, jeżeli dzisiejszą noc spędzę w łóżku.

Richius rozejrzał się, starannie badając otaczający ich teren. Nie znał tej części Lucel-Loru, ale wcale się tym nie przejmował. Przez cały czas, jaki spędził w Triin, niewiele widział, wiedział jednak, że rzeka doprowadzi ich do swych źródeł w Górach Żelaznych, gdzie znajdują Ackle-Nye.

– Nie wiem – stwierdził i ujrzał, że twarz Dinadina okrywa się chmurą. – Nielatwo stwierdzić, jak daleko na zachód się zapuściliśmy. W tych okolicach Sheaze jest bardzo

kręta.

– No to powinniśmy się ruszyć. Nie zamierzam spędzić kolejnej nocy pod gołym niebem.

Richius się zgodził i po krótkim odpoczynku, podczas którego napoił konie, ruszyli wzdłuż rzeki. Ziemia była tu wilgotna, porastał ją mech, a na płycznach, gdzie bulgotała woda, mogły się trafić łachy lotnych piasków, więc choć mieli ochotę popędzić konie, obaj wiedzieli, że lepiej nie ryzykować. Tak więc brnęli powoli, starannie wybierając drogę na usypanym skałkami brzegu i pocieszali się świadomością, że ich wędrówka już niedługo dobiegnie końca.

Późnym popołudniem dostrzegli na zachodniej połaci horyzontu to, czego Richius wypatrywał od kilku już godzin. Za drzewami, gdzie rzeka nikła za zakrętem, widać było Góry Żelazne. Choć zasnuła szaroniebieską mgłą, ich grzbiety były jednak miłym widokiem.

– Spójrz tam! – zawołał Richius, wskazując góry palcem.

– Dzięki ci, Boże! – westchnął Dinadin. – Już myślałem, że nam się nie uda.

– Chyba jednak twoje życzenia się spełnią, Dinadinie, Jeżeli się pospieszymy, prawdopodobnie zdążymy przed zmrokiem. Za godzinę powinniśmy zobaczyć miasto.

Pognali nieco konie, wciąż baczeni na to, by nie jechać zbyt szybko. Z niecierpliwością zerkali na poszarpane grzbiety Gór Żelaznych, wyłaniające się coraz wyraźniej z mgły. Za górami słońce pograżyło się dość głęboko i zabarwiło szkarłatem zachodnią połąc nieboskłonu. Richius wiedział, że minie jeszcze sporo czasu, zanim przyjazna poświata rozplynie się w mroku. Nie widział Gór Żelaznych ani Ackle-Nye od chwili przybycia do Lucel-Loru i niespodzianie przyszedł mu na myśl dom. Po drugiej stronie tych gór, bezpieczny od wojny, leżał Aramoor.

„Mógłbym po prostu nie zatrzymywać konia – pomyślał. – Kolejna pięciodniowa przejażdżka przez góry i byłbym w domu”. Zachnął się jednak i potrząsnął głową, by szybciej zapomnieć o tej pokusie. Szaleństwem była myśl, by tak po prostu wrócić do domu, porzucając towarzyszy broni. Nie wróci do Aramooru, dopóki nie skończy tego, co mu rozkazano zrobić.

Prowadził Dinadin, który niecierpliwie wiódł konia brzegiem rzeki, Richius zaś wiedział, że myśli przyjaciela krążą teraz wokół ciepłego łoża, które mógłby dzielić z ciepłą i chętną dziewczką. Młody Vantran zdał sobie nagle sprawę z faktu, że sam nie pomyślał jeszcze o tym, jak spędzi tę noc. Tak był zajęty rozważaniami, gdzie w tej wojnie było miejsce Aramooru, że pomysł, iż ktoś mógłby dotrzymać mu towarzystwa w łożu w ogóle nie przyszedł mu do głowy. Zachichotał nagle ubawiony myślą o tym, jakiego starca uczyniła z niego wojna.

Nie minęła godzina, podczas której szkarłatny blask na zachodnim niebie ustąpił czerni, gdy Richius usłyszał okrzyk Dinadina.

– Oto jest! Widzisz, Richiusie. To nie może być nic innego!

Richius ujrzał miasto. Ackle-Nye, miasto żebraków, widać było jak na dłoni, i swoimi blaskami rozjaśniało mrok zmierzchu. Leżące u widocznego już stąd źródła Sheaze, błyszczało pulsującym blaskiem tysięcy pochodni, które wabiły ich ku sobie.

\* \* \*

Większa część miasta była taka, jak ją Richius zapamiętał – ale niemal wszystko zmieniło się na gorsze. Przed dwoma laty, kiedy po raz pierwszy jego wzrok padł na miasto żebraków, wszystko, co ujrzał, mocno go oszołomiło. Znużonemu wędrowcowi po długiej jeździe pośród Gór Żelaznych miasto wydało się rajem. Dla jeźdźca wyłaniającego się z przesmyku było oazą, bramą wiodącą z surowych gór do żyznych ziem Lucel-Loru. Tu spotykały się narody Triin i ludy Imperium, a z tego połączenia zrodziło się dziecię fascynujące, jeżeli nawet nie niezwykle. Przedtem stały tu tradycyjne drewniane budowle Triinów i konstrukcje ziemne prostego ludu. Narenie do tego dodali moc i potęgę. Niezbyt zadowoleni z zastanych tu budowli Narenie sprowadzili własnych rzemieślników, którzy dłutem i młotem mieli przekuć to miejsce w rezydencję godną Nar. Triinowie niczemu się nie opierali.

Z biegiem czasu miasto się rozrastało. Przez przesmyk Saccenne wlewał się nieustannie potok ludzi z Imperium, ciekawych poznania swych od dawna milczących sąsiadów. Pojawili się kupcy, zwabieni możliwościami, jakie otwierały przed nimi nowe rynki i bliskość Sheaze. Z tego miejsca mogli rzeką łatwo docierać do południowych rejonów Lucel-Loru, do wszystkich ludów, którym można było sprzedać przywiezione przez kupców towary. Triinowie zaś nadal niczemu się nie sprzeciwiali.

Potem przybyli kapłani. Pewni, że jest to ziemia zamieszкана przez pogan, przybyli z Imperium święci mężowie, gotowi oddać Triinów pod władzę swego mściwego boga. W tym nie odnieśli sukcesu – i to raczej kapłani, niż kupcy, albo po prostu ciekawi świata wskrzesili Drolów.

Taka była historia tego miejsca, jaką znał Richius. Kiedy przybył tu po raz pierwszy, bunt jeszcze się nie rozprzestrzenił i Ackle-Nye miało dopiero poczuć na sobie ciężar żołdeckiego buta i uderzenia bicia wojny. Zostawił miasto takim, jakim je zastał, z mieszkańcami zastanawiającymi się, czy wystarczy miesiąc, by pokonać Drolów. Iluzję tę rozwiął Tharn i jego wodzowie, tacy jak Voris, a wojna trwała już ponad dwa lata. Teraz, wracając do Ackle-Nye, Richius widział już z daleka, że podczas jego

nieobecności miasto się zmieniło. Wszystko było zasnutę podejrzanym całunem nieszczęścia – choć miasto wyglądało bogato i groteskowo.

Richius i Dinadin puścili konie truchtem. Zapadły już głębokie ciemności i drogę wśród wąskich uliczek oświetlały im jedynie lampy w wysoko umieszczonych oknach domów. Miasto wyglądało na opustoszałe. Od czasu do czasu słyszeli gdzieś odgłosy zabawy, niezbyt wyraźne głosy kupców lub nareńskich rzemieślników, gdy ci chwiejnym krokiem podążali od jednej tawerny do drugiej. Nosami wyczuwali w powietrzu woń piwa, natarczywą słodycz wina, paskudny zapach wymiocin, a także okrutny smród moczu.

Wśród tego brudu Richius zobaczył żebraków. Gromadzili się w rogach każdej z budowli. Niektórzy, szczęśliwsi od innych, grzali się przy ogniskach. Patrząc na nich, przypomniał sobie, że widział ich podczas pierwszego przejazdu przez Ackle-Nye, wtedy jednak nie wzbudzili w nim niepokoju. Żebracy byli we wszystkich nareńskich prowincjach. Mówiono wręcz, że niemal rządzą Czarnym Grodem. Teraz jednak, ujrawszy ich w takiej masie, Richius poczuł osobliwe ukłucie niepokoju. Zaalarmowała go nie tylko ich ogromna liczba, ale było w nich coś, czego nie widział nigdy wcześniej. Nie potrafił jednak odkryć powodu swego niepokoju, dopóki nie podszedł do nich chwiejnym krokiem jeden z nędzarzy.

Richius prawie nie widział go w mroku, mógł jednak spostrzec, że ten żebrak był niewysoki i zgarbiony, jak starzec. „Tak – stwierdził w duchu. – To stary człowiek o białych włosach”. Ale kiedy żebrak stanął przed nimi i podniósł ku nim twarz, ujawniając migdałowego kształtu oczy, Richius pojął, że biel włosów nie miała źródła w starości, ale w pochodzeniu – mieli przed sobą Triina. Obaj zatrzymali konie.

– *Plaey guin min!*

Richius potrząsnął głową, patrząc na wyciągniętą ku sobie brudną dłoń proszącego. Mimo paskudnego akcentu, zaproszenie było dość oczywiste.

– Nie! – uciął Richius. – Odejdź!

Triin opadł na kolana. Złożywszy razem dłonie, wyciągnął je błagalnie ku nim, powtarzając swą rozpaczliwą prośbę.

– *Guin min, plaey guin min!*

Richius jęknął w duchu. Nie był pozbawiony współczucia, ale nie mieli też nadmiaru pieniędzy, a wiedział, że jeżeli da cokolwiek temu jednemu, natychmiast otoczą ich inni.

– Odejdź proszę – zwrócił się do żebraka. – Nie mamy dla ciebie niczego. Przykro mi.

Dinadin obnażył swój miecz.

– Co ty, głuchy jesteś? – wrzasnął, unosząc ostrze nad głową. – Precz z drogi, albo

ten twój paskudny biały łeb potoczy się po ziemi!

Triin odskoczył przerażony i, potykając się, odbiegł tak szybko, że Richius mógłby się założyć, iż to niemożliwe. Teraz jednak gapili się na nich wszyscy Triinowie, ze wszystkich gromad brudnych biedaków.

– Durne gogi! – Dinadin splunął na ziemię i schował miecz do pochwy. – Przyjechałem tu, by znaleźć kobietę, nie po to, by mnie zaczepiały jakieś brudasy.

Richius spojrzał na Dinadina ze zdumieniem w oczach.

– A to co znowu? Dinadinie, to tylko żebrak, na miłość boską! Musiałeś mu grozić bronią?

Dinadin nie odpowiedział, ale Richius mógł odczytać jego uczucia ze ściągniętej twarzy. Malowały się na niej gorycz, gniew i zgroza, nieodłączne towarzyski żołnierskiego życia w okopach. Tkwili w miejscu bez ruchu, aż w końcu Dinadin odezwał się pierwszy.

– Tam do kata, spójrz na tych wszystkich cholernych gogów. Wiesz, co to znaczy, prawda?

Richius nie odpowiedział. Oczywiście zdawał sobie sprawę, co oznacza widok tyłu uciekinierów, ale nie umiał się zmusić do przekształcenia myśli w słowa. Dinadin wierzył w opowieści o uchodźcach w Ackle-Nye, Richius miał nadzieję, że były przesadzone. Teraz, widząc te rzesze, przypomniał sobie wszystko, co mówił jego przyjaciel. Poczł zagrożenie, jak mysz, która widzi cień sokoła.

– Więc? – ponaglił go Dinadin. – Powiedz coś?

– A co mam rzec? – Richius opuścił głowę. – Co chcesz usłyszeć? To, że miałeś rację? Dobrze, niech ci będzie, miałeś rację. I co, zadowolony jesteś?

Dinadin zbliżył swego konia do boku rumaka Richiusa.

– To wszystko? Nie widzisz, Richiusie? Wojna jest już przegrana. Wiedzą to wszyscy ci ludzie. A ty nie?

– Dinadinie, nie ma tu żadnych wojsk. Widzisz gdzieś jakieś oddziały?

– Richiusie...

– Żadnych wojsk! Nikt się nie wycofuje! Wszystko to było kłamstwem! Co za różnica, czy zebrało się tu tysiąc Triinów, czy milion? Nic mnie to nie obchodzi. Imperatora też! – Richius przyłożył dłoń do czoła, jakby chciał powstrzymać napływającą gdzieś z głębi czaszki falę ciśnienia. Przebył tyle mil, by uzyskać odpowiedź, i wszystko na nic. Została mu tylko długa jazda powrotna.

– Chcę odpocząć – odezwał się słabym głosem. – Zajrzyjmy do jednej z tych oberży. Weźmiemy jakieś łóżka na noc. Rano wracamy do Dring.

Odwrócił się od kompana, ściągnął wodze i skierował swego konia wzdłuż brudnej



uliczki. Chciałby coś rzec Dinadinowi – na przykład przekonać go, że nie mają wyboru, muszą zostać w Lucel-Lorze i walczyć. Teraz, kiedy ujrzał tylu wynędzniałych Triinów, nie był pewien, czy zdołałby przekonać samego siebie. Znow poczuł się jak szczur w pułapce. Bez słowa mijał białowłosych żebraków.

Minęli kilka zatłoczonych oberży, aż wreszcie natrafili na taką, która, mimo późnej pory, jeszcze była otwarta. Stała przy dobrze oświetlonej ulicy, była obszerna, miała spiżowe ozdoby i potężne, dębowe drzwi otwarte na szeroki strumień klientów.

– Spróbujemy tutaj – odezwał się do Dinadina. Potem, niemal ukradkowym ruchem zsunął z palca swój pierścień i wrzucił go w jedną z kieszeni bluzy. Dinadin rzucił mu zaniepokojone spojrzenie.

– Co robisz?

– Nie chcę, by ktokolwiek się dowiedział, kim jesteśmy – odparł Richius. – Jeśli ktoś cię zapyta, zmyśl jakąś historyjkę. Mów, że jesteśmy kupcami z Aramooru albo Talistanu. – Wiedział, że po odzieży nikt ich nie pozna, mógł zaś tylko mieć nadzieję, że jego broda jest dostatecznie gęsta, by ukryć rysy zbyt dobrze znanej twarzy.

Dinadin szybko się pogodził z koniecznością ukrycia tożsamości i razem z Richiusem zeskoczył z siodła. Na zewnątrz oberży były i inne konie, w większości chude z braku paszy. Zajmował się nimi mały, miejscowy chłopak o białych włosach Triinów. Richius sięgnął do kieszeni i wyłowił z niej drobną monetę.

– Znasz język Narenów? – spytał, pochylając się ku twarzy chłopaka. Ten spojrział na niego ze zdumieniem, a potem wybełkotał coś niezrozumiałego. – Zrozumiałeś coś z tego? – zwrócił się Richius do Dinadina.

– Nie, ale to nic – odparł przyjaciel. – Daj mu monetę. Zadba o konie.

Richius ponownie spojrział na chłopaka.

– Zajmiesz się naszymi końmi, prawda?

Chłopiec pospieszenie kiwnął głową. Pewien, że dzieciak nawet nie wie, na co się godzi, Richius umieścił monetę w jego wyciągniętej dłoni.

– Nie trap się – rzekł Dinadin, pochylając głowę, by zerknąć do oberży. – Konie są w dobrych rękach. Chodźmy do środka.

Richius uwiązał wodze do palika wbitego w krawężnik. Upewniwszy się, że dobrze je zawiązał, ruszył za Dinadinem. Jego towarzysz wchodził już w drzwi oberży i wzywał go ku sobie skinieniem dłoni. Idąc w ślad za Dinadinem, Richius przeszedł przez potężne odrzwia do niemal pustej sali głównej. Zaraz po wejściu przywitał ich jakiś pulchny jegomość.

– Witajcie, witajcie! – zawołał, chwytając Richiusa za dłoń i potrząsając nią z podejrzaną serdecznością. – Wejdźcie i zechciejcie się rozgrzać.

Richius nie bez trudu wyrwał swoją dłoń ze spoconych łap jegomościa.

– Jesteś tu gospodarzem?

– Owszem, jestem – nadał się jegomość. – Tendrik, do waszych usług. Co mogę dla was zrobić, panowie? Mam wina z całego Imperium i dobre piwo z Aramooru.

Richius, któremu już się znudziła natarczywość oberżysty, zmierzył go zimnym spojrzeniem.

– Mój dobry człowieku, chcemy tylko czegoś się napić i jeżeli masz jakiś wolny pokój, to weźmiemy go na jedną noc. Zgoda?

– Jak panowie sobie życzą – odparł jowialnie Tendrik. – Mam na górze kilka miłych i tanich komnatek. – Przerwał, roześmiał się filuternie i spojrzał na Richiusa. – Oczywiście jeżeli zachcecie zaprosić do nich jedną z moich pań, to opłata będzie nieco wyższa.

Richius otworzył już usta, ale Dinadin dał mu z tyłu dość łagodnego kuksańca. Vantran jęknął, a potem powiedział:

– Daj nam dwa łóżka w oddzielnych izbach. O resztę zadbamy sami.

– Jeżeli tego właśnie panowie chcecie... – Oberżysta wzruszył ramionami. – Ale mam kilka pięknych kobiet. Młodych... Może zechcecie przemyśleć sprawę?

– Tylko pokoje – uciął Richius ostro. – Przygotuj je. Poczekamy tu, na dole.

Dość bezceremonialnie odepchnął gospodarza na bok i ruszył ku szynkwasowi. Obok lady był wykładany ceglami kominek, na którym buzował ogień. Ciesząc się ciepłem, Richius niemal się rozpląnął w jego objęciach. W izbie rozchodził się przyjemny zapach płonącego cedru. Młody Vantran rozejrzał się dookoła, patrząc na barwną, choć nie najlepiej wyglądającą gromadkę stałych klientów. Wokół okrągłego stołu rozsiedli się kupcy, którym – jak można było wnioskować z ich wyglądu – kiepsko ostatnio się wiodło i teraz hałaśliwie grali w karty. W kącie siedziało kilku mężczyzn, którzy podszczypywali kręcące się wokół nich zalotnie – choć bez przesadnego entuzjazmu – dziwki. Dinadin zerknął na dziewczęta i aż sapnął. Nie wyglądały na młódki – jak twierdził oberżysta – i z pewnością nie brak im było doświadczenia.

– Halo, tam! – zagrzemiał Dinadin. Zza baru spojrzał mężczyzna niewiele ustępujący tuszą Tendrikowi. Dinadin cisnął mu kilka monet. – Dwa piwa... Ale mają być z Aramooru, nie te końskie szczyzny, które piją Talistańczycy.

Richius przysunął usta do ucha przyjaciela.

– Do kata, Dinadinie! – syknął. – Co ty sobie myślisz? Mówiłem ci, że nie życzę sobie, by zwracano na nas uwagę. Zawrzyj gębę i uważnie słuchaj tego, o czym tu mówią.

– Przepraszam – rzekł Dinadin ze skrucą w głosie.

Karczmarz postawił przed nimi dwa kufle piwa. Dinadin łączywie schwycił swoje naczynie. Zanim jednak Richius sięgnął po swoją szklanice, powstrzymało go sapnięcie Dinadina:

– O Boże, Richiusie, czy ty widzisz to samo co ja?

Zaalarmowany Richius odstawił kufel i odwrócił się w stronę, w którą spoglądał Dinadin. Nie dostrzegł jednak niczego szczególnego. Jego puls wrócił do normy i Vantran wzruszył ramionami.

– Co mam widzieć? Dinadin wskazał palcem.

– Tam, przy minstrelu. Widzisz ją?

Richius przez chwilę zatrzymał wzrok na mężczyźnie grającym na lutni. A potem ją zobaczył – jakby nagle rozsunięła się przed nim kurtyna. Jej biała niczym alabaster skóra lśniła otulona zieloną jedwabną suknią. Włosy koloru mleka otaczały twarzyczkę, na której czerwoną szminką podkreślono wargi. Migdałowego kształtu oczy dziewczyny były szare i niezgłębione, jak ocean. Miała długie i smukłe ramiona, szczupłe, delikatne palce i doskonale proporcjonalne nogi. Siedziała na kolanach grającego w karty kupca, który traktował ją dość brutalnie. Na jej twarzy malował się wymuszony, sztuczny uśmiech początkującej dziwki.

– Jest piękna – powiedział Dinadin miękkim tonem, jakiego Richius nigdy u niego nie słyszał. Takim tonem jako minstrel uwiódłby każdą kobietę.

– I z narodu Triinów – dodał zdumiony Richius.

– Mówiłem ci – kiwnął głową Dinadin – że one też się tu sprzedają. – Zagryzł wargi i stęknął głucho. – Muszę ją mieć.

– Opanuj się – syknął Richius ostrym tonem. – Najpierw musimy uwinąć się z naszym zadaniem. I nie podoba mi się myśl o tym, że chcesz spędzić noc z triińską dziewczką. Mówiłem ci, że jesteśmy tu po to, aby tym ludziom pomagać.

– Przykro mi, stary – odpowiedział Dinadin. – Ale chcę właśnie ją!

Richiusa też zniewolił urok dziewczyny, łagodnie zaokrąglone biodra i niespokojne spojrzenia, jakimi obrzucała izbę. Vantranowi wydało się, że dziewczyna w ogóle nie pasuje do tego miejsca. Kupiec zaśmiał się i wargami łączywie poszukał jej szyi, a Richius ogromnie zawstydzony, ale i z jakąś niezdrową ciekawością patrzył, jak dziewczyna z obrzydzenia zamyka oczy. I nagle zauważył coś więcej. Porcelanową niemal biel twarzy nieznajomej plamił brzydki siniak wokół oka. W pierwszej chwili odepchnął od siebie myśl, jaka przemknęła mu przez głowę. Siniak musiał pochodzić od uderzenia, jakie zadał jej któryś z brutalnych klientów. I nagle przypomniał sobie Gayle'a i to, że nie dalej jak tydzień temu zdejmował barona z dziewczyny. To była ta sama dziewczyna.

– Jak sądzisz, Richiusie? – spytał Dinadin. – Wziąć ją na całą noc, czy tylko na godzinę?

– Nie tę, przyjacielu – odparł Richius z naciskiem w głosie.

Dinadin trzepnął Richiusa po ramieniu.

– Nie martw się, wziąłem ze sobą srebrny sztylet mojego brata. Powinno wystarczyć, by kupić tę dziewczynę dla nas obu.

– Nie to miałem na myśli. Nie chcę, byś ją brał do łóża, nawet na godzinę. Ona jest jedną z Triinów i powinniśmy ją traktować z pewnym szacunkiem. Jak sądzisz, po co tu jesteśmy? Po to, by się przekonać, ile triińskich dziwek możemy wychędożyć?

– A co to za różnica? – warknął Dinadin. – Popatrz na nią. Jak nie ja, to weźmie ją ktoś inny!

– No to niech to będzie ktoś inny. Jeden z tych pijusów, albo jeszcze lepiej, któryś z tych tchórzów Gayle'a. Może zresztą już jest chora, a ja nie chcę, by jeden z moich przyjaciół przyczynił się do krzywd, jakie zadaje się temu ludowi. – Richius milczał przez chwilę, a w końcu dodał: – Dinadinie, proszę cię...

Dinadin sapnął i opuścił kufel.

– Niech będzie po twojemu.

– Zależy mi na tym. Znajdź sobie dziewczkę z Imperium. Jestem pewien, że ten przygłup, który nas tu powitał, talistańskich dziwek ma na pęczki.

– No dobrze – zgodził się Dinadin. – Ale jeżeli Lucyler zapyta, powiem mu, że wychędożyłem przynajmniej z dziesięć jego rodaczek.

Richius smakował piwo, pozwalając, by zimny trunek powoli spływał do jego gardła. Minęło więcej niż sześć miesięcy od czasu, kiedy pił warzony w domu, szybko uderzający do głowy trunek i delikatna gorycz napitku sprawiła, że niemal zaskomlił z rozkoszy.

– Och... to mi dopiero trunek! – westchnął. – Już prawie zapomniałem, jak dobre piwo potrafią warzyć w domu.

Słowo „dom” sprawiło, że Dinadin zamrugnął. Richius spojrzał na twarz przyjaciela, dobrze teraz widoczną w blasku płomieni kominka i uśmiechnął się lekko. Kochał Dinadina. Obaj wychowali się i wyrosli razem, razem zostali gwardzistami i również teraz razem przyszło im stawiać czoło piekłu doliny Dring. Zawsze stawiali jeden na drugiego – od dzieciństwa. Richius nie umiał pogodzić się z myślą, że jego przyjaciel odczuwa ból.

– Dinadinie – odezwał się łagodnie i ostrożnie. – Chciałbym z tobą porozmawiać...

Dinadin nadal rzucał ukradkowe spojrzenia na triińską dziewczynę.

– Ona naprawdę robi wrażenie...

– Zapomnij o dziewczynie. Posłuchaj...

– A bo co?

Richius uśmiechnął się lekko.

– Nie zamierzasz mi ułatwić sprawy?

– Nie.

– Niech i tak będzie. Powiem wprost. Wiem, że chcesz wrócić do domu. Ale rozejrzyj się dookoła. Tu nie ma żadnych wojsk. Ani jednostek z Aramooru, ani Talistańczyków. Tylko horda triińskich żebraków.

– To nie żebracy – poprawił go Dinadin. – To uchodźcy. I nie przybyli tu bez powodu. Wiedzą, że już jest po wojnie. Nie miej do nich pretensji za to, że są bystrzejsi od ciebie.

– Wojna się nie skończy, dopóki Arkus nie powie, że jest skończona sprzeciwił się Richius. – Owszem, wcale mi się to nie podoba, ale nic na to nie poradzę. Musisz to zrozumieć. Żaden z nas nie wróci do domu, jeżeli nie chcemy, by na Aramoor spadł gniew imperatora.

– Żeby go piorun strzelił! – przeklął Dinadin. – Dla niego wszystko jest proste. Nie siedzi tu zamiast nas. Nie spędza każdej nocy w brudzie, i nie pełza po nim to cholerne robactwo. Wiesz, Richiusie, co myślę o naszym imperatorze? Myślę, że to stary maruda i dureń, który już stanowczo za długo rządzi. Myślę, że Aramoor powinien się zbuntować. Niech pośle na nas swoje legiony. Lepsze to, niż życie w niewoli.

Richius wyciągnął dłoń, by dotknąć ramienia przyjaciela.

– Dinadinie, posłuchaj choć przez chwilę tego, co mówisz.

– Nie! – sprzeciwił się nagle Dinadin. – Przestań mówić do mnie jak do idioty! Boże, już rzygam tym twoim rozsądkiem, Richiusie. Najpierw twój ojciec porzuca nas tu na pastwę losu, a teraz ty mi mówisz, że nie możemy wrócić. A to dlaczego? Do diabła z twoim ojcem! Niech się wypcha, razem z tym swoim imperatorem. Ja chcę wrócić do domu!

Teraz patrzyło na nich już kilku gości. Patrzyła na nich nawet ta piękna, triińska dziewczyna. Zaambarasowany Richius odwrócił się, oparł łokcie o bar i opuścił głowę.

– Dzięki za to, że zachowujesz rozsądek i nie wszczynasz awantur – stwierdził cierpko i zamknął oczy, by ukryć wrzący w nim gniew. – Robi się późno. Może byś poszedł na górę i znalazł jakieś łóżko?

– Richiusie...

– Dość – uciął Vantran. – Nie będzie odwrotu i tyle. Koniec dyskusji na ten temat.

Dinadin umilkł. Richius, nie patrząc, wiedział, że na twarzy przyjaciela pojawił się gniewny grymas.

– No dobrze – odezwał się w końcu Dinadin. – Ty też idziesz na górę?

– Nie. Zostanę tu jeszcze trochę i spróbuję się czegoś dowiedzieć.

Nie otwierał oczu, dopóki nie usłyszał gniewnego stęknienia, jakim pożegnał się z nim przyjaciel. Było już po północy. Miał mgłę w oczach i musiał tłumić ziewnięcia. Myśl o miękkim sienniku wywołała na jego ustach tęskny uśmiech. Na górze będzie ciepło i sucho. Jeżeli jest tu jakieś jedzenie, przekupi oberżystę, by zdobył mu rano trochę chleba i miodu. A po śniadaniu ponownie ruszą do doliny.

Nagły skurcz we wnętrzościach powiedział Richiusowi to, co wiedział i bez niego: bał się. Na myśl o tym, że powinien wrócić do tego piekła, niemal poczuł mdłości, a kufel w dłoni zdrzął. Teraz będą sami, i może tylko Talistańczycy przyślą im kilka oddziałów wsparcia. Jego ojciec z powodów, których nie umiał zgłębić, zupełnie o nich zapomniał. On sam zaś tkwił w pułapce, zmuszony przez imperatora, którego zupełnie nie znał, do walki o coś, o czym nie miał pojęcia.

Minęła godzina, podczas której wypił jeszcze kilka kufli piwa, a w izbie zrobiło się przestronniej. Zostali tylko najbardziej zagorzali pijacy i podszczypujący dziwki.

Richius przeszukał wzrokiem izbę, rozglądając się za piękną dziewczyną Triinów. Jego nastrój jeszcze się pogorszył. Dziewczyna była w tym miejscu jedyną godną uwagi istotą, a teraz odeszła. Osuszył kufel, wspominając lśnienie jej skóry kontrastującej z zielenią sukni. Minęły miesiące od chwili, kiedy był z kobietą.

I nagle zatrzymał się, klnąc pod nosem. Ona była z ludu Triinów, który przysiągł ochraniać.

„Boże, dopomóż! Nie jestem lepszy od Gayle’a z Czarnej Kniei”.

I wtedy przypomniał sobie to, co mu powiedział Dinadin. Cokolwiek by uczynili, ona i tak pozostanie już sprzedaną dziewczką. Z pewnością dziś w nocy trafi do czyjegós łóża. Dlaczego tym kimś nie miał zostać on? Bez słowa skargi znosił wszystkie niedole, jakie przygotowała dla niego dolina. Obywał się bez jedzenia i czystej bielizny, spał w błocie, podczas gdy szczury dobierały mu się do uszu. Nadal jednak pozostał mężczyzną. Voris Wilk odjął mu prawie wszystkie ludzkie cechy, ale tego pozbawić go nie zdoła.

Oberżysta był pod ręką – wycierał tuż obok podłogę. Richius podszedł do niego i wyjął mu z dłoni ścierkę.

– Na górze jest kobieta – stwierdził młody Vantran. – Triinka.

– Triinka? A, mówisz, panie, o Dyanie.

– Należy do ciebie? – spytał Richius.

– Owszem – odpowiedział oberżysta z dumą. – Jest nowa w tym fachu, ale jestem pewien, że cię zadowoli.

Richius włożył mu w dłoń złotą monetę.

– Przyślij ją do mojej izby.

\* \* \*

Znalazszy się w swoim maleńkim pokoiku, Dyana padła na wyświechtany siennik. Była tak wyczerpana, że nawet utrzymanie się na nogach przychodziło jej z trudem. Nie chciało się jej nawet rozbierać i nic ją nie obchodziło, że suknia się pogniecie czy poplamie. Teraz myślała tylko o jednym – chciała się wyspać.

„Dokonałam tego – powiedziała sobie, zamykając oczy. – Udało mi się przeżyć dzień”.

Jednak z trudem. Inne dziewczęta, z którymi dzieliła komnatkę, zabawiały w tej chwili gości. Uniosła delikatnie dłoń do twarzy i musnęła palcami siniak nad okiem. Prawdopodobnie szpecił ją i dlatego nikt jej dziś nie chciał. Jak źle to wyglądało? Nie miała pojęcia, wiedziała tylko, że boli. Bolało cały dzień i czuła się tak, jakby jej skroń przeszywał nóż. Nawet chciwy oberżysta kwestionował jej wartość. Zamknęła oczy i zaśmiała się cicho. Jakie to dziwne, że zachowanie dziewictwa zawdzięczała próżności Narenów.

Wokół zapadła cisza, Dyana zaś wróciła myślami do Falgera i jego grupki. Prawdopodobnie wciąż jeszcze dreptali ku temu nędznemu miastu. A gdy przyjdą, doznają okrutnego rozczarowania. Nie znajdą tu żadnej z rzeczy, których pragnęli: wolności, jedzenia czy drogi do Nar. Chyba, że ich kobiety zechcą się sprzedawać, w co Dyana mocno wątpiła. Być może Falger poprowadzi ich z powrotem do doliny. Był dumnym człowiekiem, który nigdy nie pogodzi się z koniecznością zebrania. Prawdopodobnie najpierw umrze, zanim zechce się przyłączyć do tego chóru przeklętych, jaki powitał ją przy wejściu do miasta.

Dyana westchnęła z rezygnacją. Widok ten prześladował ją nieustannie, gdy tylko zamknęła oczy. Przybyła do Ackle-Nye zmęczona, głodna i wyczerpana, a pierwsze twarze, które ujrzała, należały do tych żebraków – puste, zimne i zbolące, z wyrazem niemej rozpaczki w oczach. Triinowie. Byli w Ackle-Nye wszędzie – armia uciekinierów z każdej prowincji Lucel-Loru. Wszyscy tu przybyli w poszukiwaniu marzenia, które nie miało się ziścić – wolności od ucisku Drolów. Tym, co znaleźli – jak w przypadku Dyany – była pogarda i upokorzenie. Narenie mieli własne kłopoty i po prostu nie życzyli sobie, by ktokolwiek zawracał im głowy. Chyba, że Triinowie mieliby coś na wymianę. Oprócz sztyletu zaś Dyana miała tylko jedną rzecz, która nadawała się na sprzedaż.

Przewróciła się na plecy i powiodła wzrokiem po izdebce. Rada była, że choć na

krótko, ma ją tylko dla siebie. Dwie kobiety, z którymi ją dzieliła, obrzuciły ją rano nieprzyjawnymi spojrzeniami. Ta duża, Carlina, uparła się wziąć dla siebie najbardziej wypchany siennik. Wyglądało na to, że boi się jej nawet Tendrik. Ale dlaczego miały się jej nie bać? Carlina była Narenką, a jak Dyanę zapewniał jej ojciec, wszystkie kobiety Narenów miały swoje prawa. Dlatego Narenie byli dobrzy dla swoich kobiet.

– Kiedy zostanę jedną z nich, też będę miała swoje prawa – syknęła. – Jak wilczyca!

Oparła głowę o poduszkę. Dziś w nocy będzie śniła o Nar. Jurto może straci jedyną rzecz, jaka została nietknięta, dziś jednak wciąż pozostawała sobą i zamierzała pomyśleć o lepszych dniach.

– Chciałabym, ojczy, żebyś był ze mną – szepnęła w mrok. – Z pewnością zrozumiałbyś, dlaczego to robię. Wybacz mi.

Usłyszała w duchu to, co odpowiedziałby jej ojciec. Czowała pewność, że byłby z niej dumny. Oczywiście, nie z powodu tego nieczystego aktu. Tego nigdy by nie zaaprobował. Uczył ją jednak, jak polegać na sobie samej i być niezależną od męskich kaprysów. Mężczyźni pozbawili ją wszystkiego, ale wciąż miała jedną broń, jeden sposób na wykupienie sobie wolności od Tharna. Ona i jej ojciec nie bardzo byli Triinami – co zresztą powtarzali wszyscy, którzy ich znali. Byli heretykami, jak ogłosili Drolowie. Teraz sprzedawała swe ciało, by kupić przejazd przez przesmyk. Nigdy nie będzie mogła wrócić do domu. Nigdy.

Ze wszystkich córek ojca Dyana była jego ulubienicą. Tylko ona dzieliła z nim wizje o zjednoczeniu z Nar. Tylko ona poprosiła go, by zechciał ją nauczyć dziwnego języka Narenów. Nie wiedziała, czy jej siostry jeszcze żyją, i nic ją to nie obchodziło. Nie zadały sobie trudu odszukania jej, gdy zabito ich ojca. Dyana zresztą nie szukała u nich schronienia ani pomocy. Przeżyła ostatnie miesiące dzięki swojemu sprytowi, przemykając od jednego krewniaka do drugiego, zawsze w nadziei, że wyprzedza Tharna choć o krok. Dziś dotarła do Ackle-Nye. Nareszcie go wyprzedziła.

– Pokonam cię – wyszeptała w mrok. – Będę wolna.

Nagle pukanie do drzwi przywróciło ją rzeczywistości. Usiadła, przerzucając nogi przez siennik. Drzwi uchyliły się lekko i do środka zajrzał pulchny oberżysta, Tendrik. Zauważył, że dziewczyna siedzi na łóżku, i uśmiechnął się promieniście.

– Dyano, jesteś jeszcze ubrana? To dobrze. – Wszedł do izby, nie zamykając za sobą drzwi, i skinieniem dłoni ponaglił ją, by wstała. – Pospiesz się, mam kogoś dla ciebie.

Dobry nastrój Dyany natychmiast prysł.

– Co? Chcesz mnie? Ale jest już tak późno...

Tendrik chwycił ją za ramię i popchnął ku drzwiom. W jego oczach lśniła chciwość i pożądanie – te same, które w nich zobaczyła, gdy przyszła wcześniej, prosząc, by ją



wpuścił.

– Na dole czeka na ciebie pewien kupiec – wyjaśnił. – Człowiek z Aramooru. Nie wygląda na brutala, więc nie musisz się o nic martwić. Zrób po prostu, co zechce, tak, by był zadowolony. Jeżeli chcesz, możesz zamknąć oczy.

Dyana szarpnęła się.

– Nie. Nie dzisiaj. Nie jestem... nie jestem gotowa.

Stręczyciel parsknął śmiechem.

– Dziewczyno, żadna z was nie jest gotowa, kiedy przychodzi ten pierwszy raz, ale zanim się spostrzeżesz, będzie po wszystkim. Jest tak pijany, że wątpię, czy cokolwiek mu wyjdzie...

– Nie! – zachnęła się Dyana, tym, razem bardziej stanowczo. Nagle zaczęła żałować, że w ogóle tu przysłała. – Nie dzisiaj! Jutro, proszę... Nie teraz.

Dobry humor Tendrika też nagle gdzieś przepadł.

– Posłuchaj, dziewczko – odezwał się szorstko, obejmując jej kibić mocnym chwytem. – Dał mi za ciebie sztukę złota. Zapłacił za całą noc i nie zamierzam mu zwracać tych pieniędzy. Teraz zbieraj tyłeczek i idź na dół. A jeżeli przyjdzie do mnie ze skargą...

Dziewczyna usiłowała się wyrwać, ale grubas miał żelazny uścisk.

– Puść mnie! – warknęła ostrzegawczo.

Tendrik chwycił ją jeszcze mocniej i przyciągnął do siebie, chwytając drugą dłonią za włosy Dyany. Brutalność oberżysty obudziła w niej dziką kocicę i Dyana wydała wściekły okrzyk, uderzając go w twarz.

– Puszczaj! – Przeorała paznokciami jego policzek.

Tendrik zaryczał z bólu, ale nie puścił, tylko pchnął ją na ścianę i przygniótł, aż jego zaczerwieniona z wysiłku twarz znalazła się tuż naprzeciwko jej twarzy.

– Ty dziwko! – syknął. – Zrobisz, co ci każę!

Dyana zacisnęła zęby.

– Natychmiast zabieraj swoje brudne łapy, ty nareński wieprzu!

Podniosła kolano i z całej siły uderzyła go w krocze. Tendrik wybałuszył oczy i wyrzucił z siebie potok obrzydliwych przekleństw. Dyana śmignęła ku drzwiom, on jednak natychmiast rzucił się za nią i, chwyciwszy ją za włosy, ponownie przygniótł do ściany. Uderzyła o ścianę z impetem, który wybił jej powietrze z płuc. Zaraz potem poczuła na gardle spoconą dłoń oberżysty.

– Ty triiński wycieruchu! – syknął, wzmacniając uchwyt. – Zrobisz to!

Dziewczyna splunęła na ścianę, a Tendrik parsknął śmiechem.

– Nie chcesz? Dobrze! Nie, to nie! Wracaj na ulicę i jedz odpadki, jak reszta waszych ludzi. Żyj na ulicy. Nie trzeba mi takich dziewczek, które nie są powolne klientom. –

Pchnął ją ku drzwiom. – Wynoś się! Sama znajdź drogę do Nar.

– Ty draniu! – syknęła Dyana. – Dobrze wiesz, że nie mam dokąd pójść.

– A co mnie do tego? Ja prowadzę oberżę, a nie przytułek dla bezdomnych. Mówiłaś, że zrobisz wszystko, co każę. To był jedyny powód, dla którego cię przyjąłem. Jeśli odmawiasz, nie będę miał z ciebie żadnego pożytku.

– Mogę robić co innego – podsunęła Dyana. – Mogę gotować, szyc odzież. Jeśli chcesz, będę służyła na dole...

– Dziewczyno, nie potrzeba mi pomocy kuchennej. Potrzeba mi ciał. Zanim otworzyłaś usta, wiedziałem, że masz wszystko, czego chcą klienci. A teraz idź do niego albo się wynoś. Moja oberża nie jest przytułkiem dla uchodźców... no, chyba że potrafią zarobić na swoje utrzymanie. Taki już los. Rób, co ci każę, albo się wynoś.

Tu ją miał. Bez niego nie znajdzie sposobu na przedostanie się do Nar i nie ucieknie przed Tharnem. Miał rację. Zgodziła się robić te przeciwne naturze rzeczy. Gdyby tego nie zrobiła, zostawiłby ją jej losowi. Utkwi tu na dobre. I cóż zrobi, kiedy przyjdą Drolowie?

– Idź! – Tendrik wskazał wyjście. – On na ciebie czeka.

Dyana ostrożnie wytknęła głowę na korytarz. W mrocznej głębi widać było kilka zamkniętych drzwi do izb. W jednej z nich była Carlina. Dyana mogła nawet usłyszeć pozbawione entuzjazmu pojękiwania dziewczyny. Poczowała mdłości. Zdołała jednak jakoś je stłumić. Ważniejsza i silniejsza była wola przetrwania.

– Która izba?

– Ta z żółtymi drzwiami. Po prostu zapukaj, a on cię wpuści.

– Całą noc?

– Za tyle zapłacił. Nie martw się. Nie wydusi z siebie więcej energii, niż na jedną obłapkę. Potem po prostu zaśnij. Możesz wyjść rano, zanim on się obudzi.

Niewielka pociecha. Dyana wymknęła się na korytarz. Chciałaby zapytać tłuszciocha, czy to będzie bolało, czy nie zajdzie w ciążę albo się czymś nie zarazi, jak Carlina. Ale ten okrutny, spocony człowiek nie był jej ojcem. Nie dawał rad przestraszonym dziewczętom. Dla niego była po prostu lśniącą złotą monetą. Jakoś udało jej się zrobić pierwszy, drżący krok wzdłuż korytarza. Minęła czerwone drzwi, za którymi gardłowo pojękiwała Carlina i niebieskie, za którymi inna dziewczyna najwidoczniej już skończyła z klientem. Żółte były na końcu. Dyana stanęła przed nimi i przez chwilę nasłuchiwała. Obejrzała się przez ramię ku swemu pokoikowi i zobaczyła, że Tendrik zachęca ją skinieniem dłoni. Zza drzwi nie usłyszała żadnych głosów.

„Śpi” – pomyślała i już miała zawrócić, kiedy usłyszała ponaglenia Tendrika:

– Zapukaj!

Lekko zapukała do drzwi, od których odprysła odrobina żółtej farby. Wewnątrz izby ktoś się poruszył. Dziewczyna cofnęła się, a drzwi skrzypnęły i lekko się uchyliły. Stał w nich młody człowiek, częściowo rozebrany. Przechylił głowę na bok i patrzył na nią mętным wzrokiem. Był ciemnowłosy i nawet urodziwy na swój cudzoziemski sposób. Miał szczupłą twarz ze śladami niedawnych niedoli, miał też brudną odzież i nieświeży oddech. W jego oczach rozbłysła iskierka zainteresowania.

Nie odezwał się nawet jednym słowem. Patrzył na nią po prostu swoimi niezwykłymi oczami. Dyana poczuła ogarniającą ją falę strachu i osunęłaby się na ziemię, gdyby nie podtrzymały jej jego dłonie. Dotyk był szorstki, bo nieznajomy miał ręce pokryte odciskami, i niemal sparzył jej skórę. Na ustach mężczyzny pojawił się nikły uśmiezek. Delikatnie pociągnął ją w głąb izby i zamknął drzwi.

## Osiem

W dolinie Dring deszcz lał nieustannie od poprzedniego dnia. Był to dość niespodziewany kaprys niebios, na który ludzie w okopach byli zupełnie nie przygotowani. Jamy, które wykopali w ziemi, nie należały do trwałych nawet podczas suszy, a w deszczu po prostu spływały na żołnierzy, okrywając wszystkich warstwą błota. Burze jednak nie były czymś niezwykłym w dolinie i ludzie radzili sobie jak mogli, okrywając się opończami i tłukąc szczury łopatami. W deszczu szczury zawsze się jakby mnożyły. Znacznie gorsza jednak była konieczność nieustannego podtrzymywania ognia w zapalarkach, w przeciwnym wypadku przy takiej pogodzie ogniomioty byłyby zupełnie bezużyteczne. Kiedy tylko spadły pierwsze krople deszczu, Lucyler rozkazał, zęby działka były suche i podgrzane – co oczywiście zwiększało wydatek kerosyny.

Nieprzewidziany deszcz zniszczył też wiele z zapasów żywności, a tę niewielką ilość, jaka została, pożarły szczury. W przeciwieństwie do ludzi, one tylko przytyły. Dwóch ludzi było już bliskich śmierci. Lucyler podejrzewał, że zjedli chleb albo mięso, po którym szczury łążąc, rozniosły zarazę.

Trinn przejął dowodzenie kompanią z powagą i sumiennie. Choć nie mógł liczyć na to, że zdobędzie dostateczną ilość pożywienia dla swych ludzi, wysłał już kilku z nich na łowy. Lucyler nie był człowiekiem uchylającym się od wykonywania tego co do niego należało i, kierując innych do łowów na względnie spokojnych terenach otwartych, sam podjął się trudniejszego zadania. Na równinie można było coś ustrzelić, ale na prawdziwie grubego zwierza można się było natknąć tylko w lesie. Niewiele dla niego znaczyło to, że w brzozowym zagajniku równie łatwo można się było spotkać Drola. Aby przeżyć, potrzebne im było mięso, i to w dużej ilości. Lucyler wiedział, że tylko w puszczy można było liczyć na obfitość zwierzyny.

Ruszał samotnie i właśnie przekładał na plecy łuk obok jiktaru, kiedy przyłączył się Crodin. Nie należał do najlepszych myśliwych, i, w przeciwieństwie do Lucylera, przedkładał porażający wszystko w dość szerokim obszarze wybuch płomieni ogniomiotu nad precyzję posłanej z dobrego łuku strzały. Potrafił jednak równie dobrze jak inni przekradać się przez błotnistą puszcę i doszedł do wniosku, że lepiej nie puszczać Lucylera samotnie.

Z pierwszymi promieniami brzasku obaj weszli do brzozowego zagajnika. Lucyler wdzięczny był Crodinowi za towarzystwo, ale jeszcze bardziej cieszyły go panujące w lesie spokój i cisza. Ku jego ogromnej uldze nigdzie nie widać było śladu wojowników Vorisa, i choć podczas pierwszej godziny bacznie wsłuchiwali się w każdy dźwięk,

wkrótce przyzwyczaili się do niespiesznego rytmu życia lasu. W południe Crodin miał już dwa ptaki przytroczone do pasa. Będący znacznie bieglejszym łucznikiem Lucyler ustrzelił cztery ptaki i po pewnym czasie zaczęli układać zdobycz pod kocem na niewielkiej polance, którą oczyścili z porastającego ją zielska.

Przez resztę dnia było podobnie. Łowy szły bardzo dobrze, mimo kiepskiej pogody, żaden z nich zaś nie zobaczył śladu pobytu wrogich wojowników, czy zwiadowców. Wkrótce ciężar upolowanych ptaków przerósł znacznie ich możliwości i o zmierzchu postanowili zatrzymać się na małej polance. Noce w dolinie bywały zdradzieckie i obaj doszli do wniosku, że powrót do obozu lepiej będzie odłożyć do rana.

Sen ukołysał Crodina znacznie szybciej niż Lucylera. Ze wszystkich ludzi w kompanii jedynie Crodin posiadał umiejętność zasypiania niemal natychmiast i to w każdych warunkach. Owinąwszy się opończą, oparł głowę o osobliwie gładki kamień i zasnął, zanim Triin zdążył uporać się z układaniem zdobyczy w trokach. Kiedy w końcu Lucyler położył się obok przyjaciela, ten chrapał już tak potężnie, że Triin skwitował to chichotem. Czując jednak, że jego własne ciało przeszywają tysięczne igiełki bólu, łatwo mógł zrozumieć jego słabość. Polowali nieustannie przez cały dzień, a od obozu odbili na znaczną odległość. O świcie mieli wrócić do kompanii, a do przeniesienia ubitego ptactwa potrzebne im będą wszystkie siły.

Lucyler nie chrapał jednak tak głośno jak Crodin. Kiedy był chłopcem, był pewien Daegog, który został przywódcą wszystkich Triinów. Jego władzy poddali się nawet wojenni wodzowie, a Lucyler zasypiał pod drzewami, do których nikt nie rościł sobie żadnych praw. Zmieniły to czas i rewolucja. Teraz, choć pozostał Triinem z krwi i kości, w wielu zakątkach swej ojczyzny nie mógł czuć się bezpiecznym. Myśli te dręczyły go szczególnie dzisiaj, kiedy smagały go strugi deszczu. Pomimo iż ogromnie ciążyły mu powieki, Lucyler leżał pogrążony w dziwnym stanie pomiędzy snem i jawą, wsłuchując się w monotonne odgłosy nocnego życia lasu. Słyszał skrzydlate stworzenia w baldachimie liści nad głową i widział ich lśniące niczym gwiazdy ślepie. Nie czuł jednak niepokoju. Pogrążony we własnych myślach zaledwie je dostrzegał. W końcu zapadł w sen, pełen wizji i wspomnień...

I nagle się obudził. Wyglądało na to, że jego czujności nie poruszyło nic szczególnego, a jednak, nie wiadomo dlaczego, otworzył oczy. Nie drgnął nawet, tylko wsłuchał się w odgłosy życia dziczy i czekał, aż to, co go zaniepokoiło, objawi się ponownie. Nic jednak nie usłyszał. Spojrzał przez ramię na Crodina. Przyjaciel leżał pogrążony we śnie; miał otwarte usta, do których wpadały krople dżdżu. Znajomy widok nieco uspokoił Lucylera. Westchnął i odwrócił się na drugi bok.

I w tej samej chwili, gdy zamknął oczy, ponownie usłyszał ów dźwięk. Teraz był

rozbudzony i usłyszał go wyraźnie, mimo że głos był stłumiony przez szum deszczu. Usiadł i, przechyliwszy głowę, natężył słuch. Trzask... jakby jakieś wielkie zwierzę przedzierało się przez płot. Znał ten dźwięk. Cały dzień towarzyszył im samym, gdy przedzierali się przez lasy.

Lucyler pochylił się ostrożnie nad Crodinem i przyłożył usta do jego ucha.

– Obudź się – szepnął, jednocześnie dając śpiącemu kuksańca w żebra. Crodin przewrócił się na drogi bok. – Niech cię licho, Crodinie! Wstawaj! – powtórzył Lucyler.

Crodin nadal nie zamierzał się obudzić. Rozjuszony Triin wdusił śpiącemu kciuk i palec wskazujący pod ucho i ścisnąwszy mocno potrząsnął głową przyjaciela, aż ten nagle otworzył oczy.

– Co...

Lucyler szybko przykrył mu usta dłonią.

– Nie rób hałasu! – ostrzegł przyjaciela, a potem cofnął dłoń.

Crodin spojrział na niego ze strachem w oczach.

– Co się stało? – stęknął, patrząc jak Lucyler powoli wyciąga z błota swój jiiktar.

Lucyler zignorował pytanie – dał tylko dłonią znak Crodinowi, by siedział cicho, a sam bacznie badał wzrokiem pograżony w mroku gęsty las.

– Na Boga, Lucylerze! – powtórzył Crodin. – Co się stało?

– Cisza! – warknął Lucyler i zaraz potem skłął się w duchu, za to, że odezwał się głośniej. Jeżeli miał rację, cokolwiek skradało się w mroku, jeszcze ich nie zauważyło. Powoli i bezgłośnie dźwignął się na kolana, cały czas pilnie wpatrując się w mrok. Szukał najsłabszych choćby oznak ruchu. Jednocześnie nasłuchiwał, wstrzymując oddech, tak że na polance rozlegał się jedynie szum deszczu. I nagle Lucyler znów usłyszał ten dźwięk. Znacznie bliżej, niż przedtem.

– Co się dzieje? – spytał Crodin, z trudem się podnosząc.

Lucyler porwał go za kołnierz i ponownie wcisnął go w błoto.

– Nie wstawaj! – syknął.

Crodin posłusznie upadł w błoto, a potem, lekko uniósłszy głowę, rozejrzał się z przestrachem dookoła. Ku wielkiej uldze Lucylera, zachował przy tym ciszę.

Przez blisko minutę obaj pozostawali w tej samej pozycji, klęcząc w błocie i patrząc w las. Na koniec w labiryncie drzew pokazała się szkarłatna iskierka. Lucyler zmrużył oczy – potwierdziły się jego najgorsze obawy: wojownicy. Szkarłatne szaty zdradziły ich obecność nawet w nieprzeniknionym mroku lasu.

– O Boże – jęknął cicho Crodin. – Myślisz, że nas widzieli?

Lucyler potrząsnął głową.

– Nie, jeszcze nie. Pewien jestem, że nie spodziewają się nas tu znaleźć.

– Możesz określić, ilu ich tam jest?

– Nie – przyznał Lucyler. – Bierz miecz. Musimy ostrzec naszych.

– Co? Nie możemy się ruszyć. Jak nas tu znajdują, obedną żywcem ze skóry!

Lucyler odwrócił się i gniewnie spojrzął na Crodina.

– Ci wojownicy zmierzają do naszego obozu. Mogą pozabijać wszystkich naszych ludzi!

– Ale jak mamy wrócić? – zachnął się Crodin, wstając z ziemi. – W tych przeklętych ciemnościach nie znajdziemy drogi!

– Podążaj za mną – rzucił mu Lucyler przez ramię. Już przedzierał się ku przodowi. Po chwili usłyszał podążające za nim mlaskanie błota pod butami Crodina.

Niemal niewidoczny zza chmur księżyc niewiele rzucał blasku, Lucyler jednak ruszył biegiem i wyciągając przed siebie jiktar, zdał się na oręż. Czuł, jak podwójne ostrza tną liście i gałęzie, które bez tego wykłułyby mu oczy. Jednak i tak podarły mu rękawy, a zaraz potem ciernie wgryzły się w jego ramiona. Lucyler poczuł, że po ramionach spływają mu ciepłe strumyki krwi. Zignorował ból, przypominając samemu sobie, że jest Triinem. Jak wojownicy, z którymi się ścigał, do biegu przez las nie potrzebował światła słonecznego.

– Zwolnij! – jęknął z tyłu Crodin.

Lucyler skrócił krok i obejrzał się przez ramię. Ledwo widoczna w mroku twarz Crodina była czerwona z wysiłku.

– Nie! – odparł szybko. – Nie zostawaj w tyle!

– Nie mogę! – wycharczał Crodin. Ledwo dyszał. – Nie jestem cholernym Triinem!

Lucyler zaklął, zatrzymał się i odwrócił do Crodina. Crodin stał w miejscu, oparłszy dłoń o kolana. Wyglądał, jakby lada moment miał dostać torsji.

– Crodinie, posłuchaj – zaczął Lucyler. – Ci wojownicy zmierzają do naszego obozu. Musimy ostrzec kompanię, by przygotowała się do odparcia ataku. Jeżeli nie możesz dotrzymać mi kroku...

– Idź sam – przerwał mu Crodin, łapiąc z trudem oddech. – Ja ruszę za tobą... i postaram się biec tak szybko, jak tylko zdołam...

Lucyler bez słowa odwrócił się i ruszył dalej przez puszcę. Chciał coś rzec, rzucić druhowi przez ramię pocieszenie, ale wiedział, że nie ma na to czasu. Wojownicy Vorisa już go wyprzedzali i jeżeli miał dotrzeć do obozu przed nimi, musiał dać z siebie wszystko.

Biegł jak we śnie. Nie zwracał uwagi na nic – nie docierały do niego pohukiwania nocnych stworzeń, nie czuł dotyku drapiących go gałęzi, nie mogły go zatrzymać deszcz ani błoto. Nie dbał o hałas, jaki towarzyszył jego biegowi, nie przejmował się też tym, że

mogą go usłyszeć inni Triinowie. Poruszał się z kocią pewnością siebie, niczym lampart albo jeden z ogromnych lwów Chandakkaru; przeskakiwał bez trudu pnie obalonych drzew i nurkował pod gałęziami, które sięgały, aby go skrępować. Biegł coraz szybciej, trzymając przed sobą obnażony jiiktar... aż świat rozplątał się w rozmazaną, ruchomą, mroczną mgłę.

Biegł nieustannie, zapomniawszy o upływie czasu.

I nagle wypadł z lasu na otwartą przestrzeń, gdzie ziemia usłana była osmalonymi korpusami ludzi. Wyczerpany runął na kolana, a słodkie szaleństwo biegu opuściło go równie nagle, jak przedtem na niego spadło. Nieopodal widział płomienie obozowych ognisk i iskierki zapalarek ogniomiótów. Wstał, drżąc z wyczerpania, i ignorując ból mięśni, pobiegł w stronę obozu. Teraz widział już okopy i zgromadzonych w nich ludzi, którzy nie mieli pojęcia o tym, co na nich ciągnie. Wartownicy nie zauważyli go.

– Pobudka! – zaryczał. – Barret! Gilliam! Wstawać!

Jego krzyk rozruszał wartowników na deskach pomostu przedpiersia. Ujrzawszy go, unieśli łuki. Lucyler podniósł ręce i biegnąc ku okopom, zaczął nimi wymachiwać nad głową. Wartownicy jednak zaczęli odciągać cięciwy – on jednak nieustannie parł do okopów. Spodziewając się, że lada moment dostanie kilka strzał w pierś, biegł jak przedtem, wołając głośno swoje imię i machając wartownikom.

– Stać! To ja, Lucyler!

Od pierwszego okopu dzieliło go już tylko kilka kroków. Widział, że zdezorientowani wartownicy na pomoście nawołują się nawzajem, usiłując odgadnąć, kim jest ów białoskóry Triin, który gna na oślep ku okopom. A potem jeden z nich opuścił łuk.

– Lucyler? – wrzasnął. – To ty?

Lucyler natychmiast rozpoznał chrapliwy głos Gilliama.

– Tak, Gilliamie! – odkrzyknął. – Budź ludzi! Zaraz tu będą wojownicy Vorisa!

Pozostali wartownicy natychmiast opuścili łuki i wytrzeszczyli oczy, wpatrując się w mrok. Lucyler wskoczył na pomost i poślizgnął się na mokrych deskach. Zanim zdążył wpaść do okopu, podtrzymał go Gilliam. Lucyler chwycił go za ramię.

– Wojownicy! – wycharczał Triin. – Tuż za mną. Musimy obudzić wszystkich i przygotować się do odparcia ataku...

Gilliam kiwnął głową, a potem odwrócił się ku pozostałym i wybuchnął rozkazami.

– Budzić ludzi! Gotować ogniomioty! – Powietrze wypełniły zgrzyty wyciąganych z pochew mieczów i syk ożywających ogniomiótów. Pomost zadrżał od ciężaru zbrojnych, którzy zajmowali pozycje. Ujrzawszy wykonanie rozkazów, Gilliam zwrócił się do Lucylera.



– Gdzie jest Crodin? – spytał.

– Nie wiem – przyznał Lucyler. – Myślę, że biegnie za mną. Nie mógł mi dotrzymać kroku, a ja musiałem was ostrzec. Musiałem go zostawić.

– Nie przejmuj się tym – odpowiedział spokojnie Gilliam, kładąc dłoń na ramieniu Lucylera. – Crodin świetnie sobie radzi w lesie. Znajdzie drogę powrotną. Ilu tam jest Drolów?

– Widziałem kilkunastu – odparł Lucyler. – Ale mają na sobie czerwien wojowników. Będzie tu ich więcej.

– Pewnie masz rację – zgodził się Gilliam. – Szpiedzy nie noszą szkarłatu. – Gilliam spojrzał uważniej na Lucylera, dostrzegając zadrapania na jego ramionach. – A co z tobą? Jesteś ranny?

Lucyler już miał odpowiedzieć, że nic mu nie będzie, kiedy z pomostu rozległ się okrzyk.

– Nadchodzą!

Lucyler i Gilliam jednocześnie spojrzeli na przedpole. W nikłym świetle księżyca zobaczyli kogoś gnającego ku okopom. Gilliam ponownie podniósł łuk, ale Lucyler wyciągnął rękę i zmusił go do pochylenia broni.

– Nie! Niech nikt nie strzela! To Crodin!

Crodin gnał jak człowiek ścigany przez stado wilków. Nieustannie się potykał i oglądał przez ramię, jakby w obawie, że to, co go goni, zaraz go dopadnie. Mimo mroku Lucyler widział malujące się na twarzy ogniomistrza przerażenie. Gorsze było to, że wśród wiatru i deszczu nie mógł usłyszeć, co Crodin ku nim woła.

I nagle Crodin się zatrzymał. Uczynił to tak nagle, że Lucyler pojął, co się stało, dopiero gdy zobaczył błyski czerwieni na skraju lasu. Crodin opadł na kolana, przez chwilę tkwił tak bez ruchu, a potem runął twarzą w błoto. W jego plecach tkwiły brzechwy kilkunastu strzał. W tym czasie biel brzoźowego lasu splamiła czerwien szat Drolów.

Każdy mroczny zakątek pod drzewami pełen był odzianych w czerwień wojowników. Wy płynęli z lasu niczym mgła, milcząca i złowroga. Wszyscy trzymali łuki i jiktary. Wśród nich były i sfory bojowych wilków. Czerwonookie bestie warczały głucho i rwały łańcuchy, na których je trzymano. Lucyler patrzył ze zgrozą na wylewającą się z lasu falę ludzi i zwierząt. Widział ich teraz bardzo wyraźnie. Niektórzy trzymali pochodnie oraz łuczywa i chwilami biel brzoź zupełnie ginęła za czerwienią szat wojowników. Stali tam i obserwowali, czekając po prostu na pozostałych, których nieustannie wypluwał brzoźowy las.

– Już po nas – wyszeptał Gilliam. Zobaczywszy tę niewiarygodnie liczną gromadę

wrogów, opuścił bezsilnie łuk.

Umysł Lucylera pracował gorączkowo, szukając strategii, która mogłaby ich ocalić. Jego ludzie byli wyczerpani głodem, a przeciwnik przewyższał ich liczebnie. Nawet ogniomioty nie na wiele się zdadzą przeciwko takiej potędze. Deszcz zmniejszał ich zasięg o połowę, Triin zresztą był pewien, że na dłuższą bitwę nie wystarczy im paliwa. Odwrócił się i spojrzął na okopy. Wszyscy żołnierze stali zmrozeni przerażeniem, tym samym, które poraziło i jego. Tak jak on rozumieli, że nie mają szans na zwycięstwo.

„Richiusie – pomyślał Lucyler, obarczony poczuciem winy. – Przykro mi, przyjacielu, zawiodłem i stałem się przyczyną naszej zguby”.

– Na co oni czekają? – spytał niespokojnie Gilliam. – Dlaczego nie atakują?

Lucyler wiedział.

– Mają świadomość, że im się nie wymkniemy. Chcą, żebyśmy się poddali.

– Prędej piekło zamarznie! – parsknął Gilliam. – Raczej sobie gardło poderżnę, niż się poddam tym bydlakom.

Lucyler skupił uwagę na zgrupowaniu wojowników na przedpolu. Spomiędzy nich wyłonił się samotny człowiek, który powoli ruszył ku okopom. Wołał coś w języku Triinów, Lucyler jednak nie mógł zrozumieć wezwania, ponieważ słowa zagłuszał szum deszczu.

– Popatrz uważnie – powiedział Gilliam, na którego twarzy pojawił się nikły, złowrogi uśmieszek. Podniósł łuk i przyciągnąwszy cięciwę do ucha, wymierzył grot w nadchodzącego Drola. – Żegnaj, gogu!

– Nie! – sprzeciwił się Lucyler. – Nie zabijaj go. On nam chce coś powiedzieć.

– A co gada?

– To w języku Triinów – odpowiedział jeden ze stojących na pomoście żołnierzy. – Lucylerze, co on mówi?

Lucyler wzruszył ramionami. Odgłosy burzy wciąż zagłuszały słowa Drola. Zrozumiał dopiero, kiedy mówca znalazł się w odległości kilku kroków od okopu.

– *Kalak! Oonal ni Kalak?*

Usłyszawszy to pytanie Lucyler się wzdrygnął. „Szakal! Gdzie jest Szakal?”

– Lucylerze? – napierał żołnierz.

– Richius – odpowiedział zimno. – Oni wołają Richiusa.

– Mój Boże! – sapnął Gilliam. – Dzięki Wszechmogącemu, że Richiusa tu nie ma. Lucylerze, proszę – zwrócił się do pełniącego obowiązki dowódcy Triina. – Pozwól mi go zabić. Umrze, zanim raz jeszcze zdąży otworzyć gębę.

– Nie! – odparł Lucyler tonem rozkazu. – Zobaczmy, czego chcą jeszcze?

– A po co? Wiadomo, czego chcą! Jak tylko się poddamy...

– Cisza w szeregach! – warknął Lucyler.

Drol był już tuż przy pomoście. Stał bez żadnych obaw, i choć musiał wiedzieć, że wzięło go na cel przynajmniej kilkunastu łuczników, na jego bladej twarzy malował się wyraz pogardy. Jego ciało spowijała ta sama jaskrawoczerwona, świecąca tkanina, w jaką oblekali się wszyscy wojownicy Vorisa. Kiedy się zatrzymał przed pomostem, Lucyler wystąpił na przód. Dopiero wtedy na twarzy Drola pojawiło się zdumienie i niedowierzenie.

– Jesteś Triinem?

– Nie inaczej – odparł Lucyler w jego języku.

– Zdrajca! – syknął wojownik.

Lucyler umilkł na moment i znieruchomiał, porażony ogromem obrazy. Żeby taki Drol, fanatyk, który z własnej woli przyłączył się do Tharna, zbuntowanego zbira, który ośmielił się wystąpić przeciwko królewskiej krwi Lucel-Loru, nazywał go zdrajcą...

– Masz dla nas wiadomość – stwierdził zimno, gdy odzyskał zdolność mowy. – Gadaj!

Wojownik uśmiechnął się do Lucylera, patrząc bezczelnie i wesoło. Jego szare oczy pełne były uciechy.

– Przynoszę słowa Vorisa, wojennego wodza doliny Dring i doradcy Tharna. Mój pan żąda, by zdrajca Richius, Szakal z Nar, poddał się sądowi. W zamian za to, mój pan daruje nędzne żywoty reszcie imperialnych najeźdźców.

Lucyler podziękował w duchu bogom za to, że Richius jest bezpieczny w Ackle-Nye.

– Spóźniłeś się ze swoją zemstą, Drolu – odparł ze śmiechem. – Richius nie żyje.

Wesołość natychmiast znikła z twarzy wojownika.

– Któż więc tu dowodzi? – spytał. – Kto zajął miejsce Szakala?

Teraz uśmiechnął się Lucyler.

– Ja – odpowiedział dumnie.

Wojownik przez chwilę rozważał to, co usłyszał.

– Voris jest litościwy – odrzekł w końcu. – Ty możesz zastąpić swego pana, zdrajco.

– A oszczędzicie moich ludzi?

– Jeden z was będzie musiał odpowiedzieć za zbrodnie przeciwko ludowi Dring. Jeżeli mój pan stwierdzi, że jesteś odpowiednią osobą, pozostałym tchórzom daruje życie.

– Wynoś się więc stąd, Drolu – odparł Lucyler. – Powiedz swemu panu, że Lucyler z Falindaru z radością umrze za sprawę Daegoga. Powiedz mu też, że jeżeli go to nie zadowoli, będzie musiał brać nas siłą – umrzemy co do jednego, a każdy z nas będzie próbował zabić jego.

Brwi wojownika uniosły się w górę. Rzucił Lucylerowi osobliwe spojrzenie, a potem odwrócił się i ruszył ku swoim. Lucyler cofnął się do okopu. Na pomoście natknął się na spojrzenia Gilliama i pozostałych.

– I co? – spytał Gilliam. – Czego chcą? Mamy się poddać?

Lucyler powoli potrząsnął głową.

– Nie wszyscy. Tylko ja. Jeśli oddam się w ręce Vorisa, reszta będzie oszczędzona.

Twarz Gilliama przybrała barwę popiołu.

– Nie, Lucylerze. Nawet o tym nie myśl. Nie możesz! Zabiją cię, będą torturować...

– Daj spokój – odpowiedział Lucyler. Rozmyślał już o tym, jakie poniżenia szykuje dla niego Voris, co niczego nie zmieniało. – Proszę, nic już nie mów. Muszę to zrobić. Jeżeli się poddam, wszystkim wam daruję życie.

– I ty im wierzysz? – spytał Gilliam. – Jak możesz im ufać? Lucylerze, oni są podstępni jak węże...

Lucyler położył dłoń na ramieniu Gilliama. Łagodnym, uspokajającym głosem, powiedział:

– To Drolowie. Cokolwiek o nich myślisz, wiem, że nie kłamią. Gilliamie, proszę, wykonaj mój ostatni rozkaz. Nie próbujcie z nimi walczyć.

Gilliam uśmiechnął się ponuro.

– Prosisz o rzecz niemożliwą. – Potem, obserwowany przez setkę ponurych spojrzeń, mocno objął Triina i serdecznie go uściskał. – Idź z Bogiem, mój przyjacielu.

– I was niech bogowie mają w opiece.

Gilliam nie zdążył wypuścić Lucylera z objęć, kiedy wzruszający moment przerwał okrzyk jednego z ludzi.

– Spójrzcie! Tam!

Z mroku wyłoniła się grupa wojowników. Kroczyli dumnie jak zdobywcy, doskonale widoczni w blasku pochodni, które nieśli. Lucyler szybko policzył, że było ich pięciu – wszyscy w szkarłacie i z jiiiktarami w dłoniach. Grupka nie wyróżniała się niczym szczególnym, oprócz jednego, idącego pośrodku człowieka. Ten był wyższy od pozostałych, a jego szata była obrębiona złotogłowiem. Nie miał też zwykłej grzywy białych włosów Triinów, tylko gładko wygoloną, lśniąca w świetle księżycy głowę. Obok niego dumnie kroczyły dwa białowłose wilki. Bez żadnych obroży czy kagańców, zwierzęta szły przy nim jak oswojone i udomowione psy. Lucyler wstrzymał oddech. To mógł być tylko jeden człowiek.

– Voris!

Istotnie był to Voris Wilk, przywódca wojowników doliny Dring, który jak gdyby nigdy nic stanął w odległości dziesięciu kroków od okopu, z którego każdy łucznik mógł

posłać mu strzałę prosto w serce. Uniósł dłoń i cała grupa stanęła.

– Lucylerze z Falindaru!

Głos miał jak grzmot gromu w czasie burzy. Usłyszawszy swoje imię, Lucyler podniósł głowę. Ignorując prośby i chwytły usiłujących go zatrzymać ludzi, zszedł z pomostu i stanął naprzeciwko Vorisa.

– Oto jestem! – odparł równie gromko. W twarzy Vorisa ujrzał błysk niedowierzania.

– Zdumiewające – stwierdził Voris. – Ilekroć to widzę, nie przestaje mnie to dziwić. Jak do tego doszło, zdrajco? Jak możesz stawać u boku tych barbarzyńców, którzy zadają gwałt naszej ziemi?

Lucyler pozwolił sobie na zimny uśmiezek.

– Rzeźniku, zjawilem się na twój „sąd”. Twoje słowa mnie nie dotkną. Po prostu ich nie słyszę.

Voris poczerwieniał z gniewu.

– Ośmielasz się mnie nazwać rzeźnikiem? Ty, zdrajca własnej rasy?

– A ty zdradziłeś swego Daegoga! – krzyknął Lucyler. – To wy przynieśliście zniszczenie temu krajowi, nie ja. To ty zdradziłeś królewską krew Lucel-Loru.

– Daegog jest największym ze zdrajców, ci zaś, którzy idą za nim, są największymi z głupców. Tharn ukaże ci prawdziwe oblicze spraw...

– A ty, Vorisie, jesteś pieskiem Tharna. Zabawką uzurpatora. – Gdzieś w głębi ducha Lucyler znalazł jeszcze trochę sił, by się roześmiać. – Osądź mnie według swej sprawiedliwości, Wilku. Ale proszę, nie wysilaj się na łgarstwa.

Voris zawrzał gniewem i powodowany kipiącą w nim furią uderzył Lucylera w twarz. Lucyler zachwiał się i potknął, padając w błoto. Potrząsnawszy głową, poczuł piekący ból w rozbitej wardze i z trudem dźwignął się na nogi. Spojrzał na Vorisa.

– Twój wyrok, wodzu – odezwał się spokojnie. – Miałeś wydać wyrok w sprawie tych ludzi.

– Oszczędzę te nareńskie psy – odparł Voris, trzęsąc się z gniewu. – Będzie tak, bo taka jest moja wola, i tak życzył sobie Tharn. Ale ty, zdrajco, nie staniesz przed moim sądem. W twojej sprawie wypowie się Tharn.

– No to mnie bierzcie – ponaglił Lucyler. – Zawieźcie mnie do tego... Siewcy Burz. Teraz, kiedy zwyciężył, z ochotą przyjmę śmierć.

Voris uśmiechnął się szeroko.

– On nie jest Siewcą Burz. Teraz jest Dawcą Pokoju. Ale, jeżeli pożyczysz dostatecznie długo, zobaczysz burze, które rozpęta.

## Dziewięć

W ciasnej izdebce pojawiła się oznaka brzasku – wąska smuga światła. Richius patrzył, jak przechodząc przez mętne okno, oświetla wirujące pyłki kurzu i pada łagodnie na białą, nieruchomą twarz kobiety śpiącej w jego łóżku. Światło wcale jej nie obudziło. Spała dalej, wyczerpana aktem, któremu oddali się wieczorem. Richius dołożył starań, by jej nie zbudzić. Leżał nagi pod kocami, mimo że sam nie spał od godziny. Po tym, co jej zrobił, chciał, aby spała dalej.

Wyciągnąwszy palec musnął jej policzek. Była piękna – piękniejsza, niż jakakolwiek Narenka czy Triinka, które kiedykolwiek widział. Teraz jednak doskonałość rysów jej twarzy szpecił siniak, ale nie tylko. Siniak był dziełem Gayle'a, nie jego. To, co on jej zrobił, było bardziej godne pogardy. Co gorsza, było nieodwracalne. Siniak pociemnieje, żółknie, a potem zniknie bez śladu. Ot, drobne, chwilowe zeszpecenie. Dziewictwa jednak, oddanego z dobrej woli, czy wziętego siłą, dziewczyna nie odzyska.

Myśli te kłuły go niczym igły. Niewiele też mu przyszło z tego, że próbował przekonać samego siebie, iż nie on tu zawinił. Nie był dostatecznie pijany, by zrzucić wszystko na trunek. Jedyłą odpowiedzią na pytanie, dlaczego to zrobił, była ta, że kierowała nim żądza, za co wzgardził sobą jeszcze bardziej. Była Triinką, jedną z tych, którym przysiągł obronę, a jednak sam ją skrzywdził. Nie mógł sobie nawet przypomnieć jej imienia, choć był pewien, że oberzysta mu je wyjawiał. Teraz zaś, gdy minęła pasja, cała sytuacja wydała mu się nierzeczywista i absurdalna. Zaledwie pamiętał ekstazę krótkiego uniesienia, a potem opadło go poczucie winy. Ale był zmęczony... tak bardzo zmęczony...

Ona zaś nie protestowała. Zapłacił oberżyscie za spędzenie z nią całej nocy, dziewczyna zaś, podobnie jak on, musiała być zmęczona. Teraz spała, zaskakująco cicho, spokojnie i – miał nadzieję – pogodzona ze światem.

– Przepraszam – szepnął, wodząc palcem wokół jej podbitego oka, tak jednak, by nie dotknąć skóry.

A potem jego palec znieruchomiał. Richius zobaczył plamę krwi na pościeli.

„Ona musi mnie pamiętać – pomyślał. – Czy jest jakiś inny powód, dla którego mogłaby to wytrzymać? Nagrodziła mnie swoim jedynym skarbem, a ja go wziąłem jak ten talistański pies”.

Pochylił głowę i leciutko pocałował ją w policzek. Powieki dziewczyny rozwarły się nagle. Przez chwilę leżała spokojnie, częściowo jeszcze odurzona snem. Potem spostrzegła Richiusa, powiodła wzrokiem po ciasnej izdebce i z okrzykiem przerażenia

wyskoczyła z łóżka. Porwała prześcieradło i zakryła nim swoją nagość. Zapominając o tym, że sam również jest nagi, Richius wyskoczył w łóżka.

– Poczekaj – zawołał.

Dziewczyna zupełnie go zignorowała, szybko badając wzrokiem izdebkę. Znalazła swoje ubranie i podniosła je z podłogi.

– Nie! – zaczął Richius błagalnym tonem, podchodząc do niej i chwytając ją za rękę.

– Poczekaj, proszę...

Dziewczyna uwolniła rękę jednym szarpnięciem. Odrzuciła prześcieradło i spojrzała ukradkowo ku drzwiom, natychmiast jednak zauważyła, że Richius zamyka jej drogę odwrotu. Zatrzymała się więc i stojąc bez ruchu, mierzyła go wściekłym, wrogim spojrzeniem. Zasłaniała się nie wdzianą jeszcze suknią.

– Proszę... – stwierdził Richius. – Nie zrobię ci krzywdy. Naprawdę, żadnych więcej krzywd i upokorzeń. Przykro mi z tego powodu, co się stało. Ale mogę ci pomóc. – Przysunął do siebie nogą spodnie, potem kucnął i włożywszy palce w kieszeń, wyjął z niej kilka srebrnych monet. Potem wstał i podał jej pieniądze. – Masz, to twoje.

Dziewczyna przez chwilę patrzyła na monety, a potem plunęła Richiusowi w twarz.

– Nic mi po twoich pieniądzach!

Zdumiony Richius opuścił dłoń, pozwalając, by monety wyslizgnęły się ze zdrętwiałych palców. A potem powoli otarł twarz ze śliny.

– Rozumiesz mnie?

– Owszem, znam język Narenów – odpowiedziała, nadal okrywając łono suknią.

– Słyszałaś więc, co mówiłem. Nie zrobię ci krzywdy. – Przerwał, pochylił się i podniósł leżące na podłodze monety. – Proszę, zechciej wziąć te pieniądze. Chcę, byś je zatrzymała.

– Nie! – syknęła z gniewem. – Nie chcę mieć z tobą nic do czynienia... chyba, że Tendrik każe inaczej.

– Oberżysta? Och, nie, źle mnie zrozumiałaś. Ja już nic od ciebie nie żądam. Te pieniądze to... – skrzywił się żałośnie – przeprosiny.

Wrogość w oczach dziewczyny jeszcze się pogłębiła.

– Wziąłem coś, czego już nigdy nie odzyskasz – ciągnął Richius. Skinieniem dłoni wskazał jej plamę krwi na leżącym u jej stóp prześcieradle. – Ogromnie mi przykro. Nie wiedziałem, aż nastał ranek i mogłem to zobaczyć. Gdybym wiedział... – Zawahał się i przez chwilę milczał, rozmyślając, jak się najlepiej wytłumaczyć z tej koszmarnie niezręcznej sytuacji. – Gdybym wiedział, że jesteś dziewczicą, nie zrobiłbym tego. Wybacz mi. Nie lepszy ze mnie człowiek niż ten dzikus, przed którym cię uratowałem.

– Ty mnie uratowałeś?

– Nie pamiętasz?

– Nie znam cię. I nie jestem dziwką. Ty pierwszy mnie wzięłeś od czasu, kiedy tu przybyłam.

– Nie, jednak nie rozumiesz – stwierdził, podchodząc o krok bliżej. – Nie jestem klientem. Niedawno tu przybyłem. Jestem Richius. Z tamtej wioski, pamiętasz? Napadł cię żołnierz. Oderwałem go od ciebie.

Na twarzy dziewczyny pojawił się nagle wyraz zgrozy.

– Och, nie! Nie! – Opadła na kolana i zaniosła się płaczem. Puściła przy tym suknię, ale nawet tego nie zauważyła. – Ty jesteś Kalak!

Richius stał jak rażony gromem. Jakże mogła tego nie wiedzieć? Podszedł do niej i przykląkł na jedno kolano.

– Nie trap się – powiedział. – Obiecuję, że cię nie skrzywdzę. Jesteś bezpieczna, nic ci nie grozi.

– Ty jesteś Kalak! – rzuciła mu w twarz, czerwieniąc się z wściekłości.

– Posłuchaj, dziewczyno – nalegał Richius. – Nie jestem twoim wrogiem.

– Jesteś! – rzuciła mu w twarz, niezręcznie zbierając z ziemi suknię i cofając się. – Jesteś najgorszy z nich wszystkich! Kalak! Szakal! Morderca!

Richius też cofnął się z urazą.

– Jak możesz tak mówić! Chciałem tylko pomóc waszemu narodowi.

Dziewczyna ruszyła na niego niczym wcielenie furii i próbowała odepchnąć go na bok. Richius jednak ani drgnął.

– Przestań – odezwał się błagalnie. – Przysięgam, że nic ci nie grozi. Chcę ci tylko pomóc.

– Pomóc! – zawrzała gniewem dziewczyna. – Znam cię, wiem, kim jesteś i widziałam, co zrobiłeś w mojej wiosce. A teraz jeszcze mnie zhańbiłeś!

– Przykro mi z tego powodu – odpowiedział. – Ale mylisz się, myśląc, że jestem waszym wrogiem. Jedynie Drolowie mają powód, by się mnie obawiać. – Spojrzał w jej oczy. Dziewczyna uciekła wzrokiem w bok. – Mówię prawdę, a tego, co ci zrobiłem wczoraj wieczorem, będę żałował do końca życia.

Dziewczyna zrobiła wzdargliwą minę, a Richius zrobił krok ku niej. Pochylił się, a ona nagle śmignęła dłonią, i paznokciami przeorała mu policzek. Jej długie malowane paznokcie były ostre niczym brzytwy i Richius zachwiał się, szarpnięty nagłym bólem.

Tego tylko jej było trzeba. Poderwała się na nogi i skoczyła ku drzwiom, nadal osłaniając swą nagość sukienką. Richius spróbował ją zatrzymać, ale była zbyt szybka. Otworzyła drzwi i wypadła z izdebki na korytarz.

– Zaczekaj! – zawołał za nią Richius. Wyskoczył na korytarz i zdążył jeszcze



zobaczyć, jak dziewczyna niknie mu z oczu, zbiegając po trzeszczących schodach. Chłodny przeciąg dmący korytarzem przypomniał mu, że i on jest nagi. Z czerwoną ze wstydu i piekącą z bólu twarzą cofnął się do izdebki i zamknął drzwi. Poczł strumyczek ciepłej krwi, spływającej po policzku, i otarł ją grzbietem dłoni. Jej zielone buciki leżały na podłodze, w miejscu gdzie je rzuciła wieczorem. Zamknawszy oczy, Richius zaklął. Łóżko ciągle jeszcze zachowało jej zapach. Przez chwilę stał i pozwalał, zęby jej woń sączyła mu się w nozdrza. Niewiarygodna słodycz. Włosy miała takie same – piękne i miękkie, mógł utopić w nich całą twarz. Jej skóra drżała pod jego dotykiem, jego zaś to niemal parzyło. Wszystkie wrażenia uderzyły w niego z nową siłą: sposób, w jaki legła na plecach, pozwalając jego niezgrabnym dłoniom na wszystko, co mu przyszło do głowy... i jęk, jaki wydała, gdy w nią wszedł. A potem mrok i całkowite wyczerpanie.

– O Boże! – jęknął, kryjąc spoconą twarz w dłoniach – Za co ona mnie tak nienawidzi?

„Bo jesteś Kalakiem – odpowiedział sam sobie. – I jeszcze dlatego, że jesteś obcy.”

Ale przecież nie był jej wrogiem. Zastanawiał się, co sprawiło, że takim go widziała.

Podniósł z podłogi własną odzież i szybko się ubrał. Dinadin powinien się już obudzić. Miał nadzieję, że będzie sam. Nadal bosy Richius wyszedł na korytarz. Czerwone drzwi do pokoju Dinadina były zamknięte. Richius przystawił ucho do desek i przez chwilę słuchał uważnie. Usłyszał tylko znajome, potężne chrapanie Dinadina. Ostrożnie pchnął drzwi i zajrzał do środka. Przyjaciel leżał na niewielkim łóżku, na poły zagrzebany w splątanej pościeli. Richius ostrożnie wsunął się do środka i zamknął za sobą drzwi.

– Dinadinie – odezwał się półgłosem. – Obudź się.

Dinadin mruknął coś niepoehlebnego i odwrócił się na drugi bok, ukazując Richiusowi plecy.

– Dinadinie! – powtórzył Richius nieco głośniej i bardziej nagłaco.

– Co jest? – jęknął przyjaciel.

Richius usiadł na krawędzi łoża i potrzęsnał ramieniem rosłego przyjaciela.

– No dalej! Wstawaj. Muszę z tobą pogadać.

Dinadin wyciągnął rękę i odepchnął dręczyciela.

– Richiusie, błagam, daj mi spać. Jestem wykończony.

Richius przesunął się na tył łoża.

– Pośpisz później. Teraz musimy porozmawiać.

– Która godzina?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Richius. Spojrzał w brudne okno i zauważył pierwsze, nikłe promienie słońca. – Chyba świta...

– Świta? To za wcześnie. Wyjdź i daj mi spać.

– Nie! – nalegał Richius. – Ocknij się! Chcę ci coś powiedzieć. – Ponownie chwycił Dinadina za ramię i spróbował go odwrócić ku sobie.

– Co jest? – stęknął Dinadin. – Gadaj szybko, tak żebym jeszcze zdążył się zdrzemnąć przed wyjazdem.

Richius uśmiechnął się nikło.

– Nie trap się wyjazdem. Na razie nigdzie się nie ruszamy.

To nareszcie przyciągnęło uwagę Dinadina.

– Nie wyjeżdżamy? A to dlaczego!

Richius nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

– Ja... to jest... spotkałem kogoś.

– O Boże! – jęknął Dinadin. – A Lucyler myślał, że to spadnie na mnie! – Usiadł na łóżku i skinieniem dłoni zachęcił przyjaciela do dalszych zwierzeń. – Gadaj! Wydałeś całą forszę w jednym miejscu?

– Dinadinie!

– Wiesz, ostrzegaliśmy cię, że to się zdarza młodym żołnierzom, ale ty nigdy nie chciałeś nas słuchać. Ciekaw jestem tylko, co na to wszystko powie twój ojciec.

– Dinadinie, przestań. Mówię poważnie, naprawdę.

– Aaaa poważnie – rzekł Dinadin z przekąsem. – No dalej, mów. Kim ona jest? Mam nadzieję, że nie zakochałeś się w tej maciorze, Carlinie. Wlazła do twego pokoju, jak skończyła ze mną?

– Nie – odpowiedział Richius. – Nic z tych rzeczy. Ta jest piękna... Ona... – Przerwał, przypominając sobie, że Dinadin widział dziewczynę – To Triinka – odezwał się ostrożnie.

Dinadin wbił w niego ostre spojrzenie.

– Triinka? Ta, którą widzieliśmy wczoraj wieczorem?

Richius machinalnie kiwnął głową.

– Ta, którą ja chciałem? – zagrział Dinadin. – Jak mogłeś?

– Nie bardzo wiem, jak to się stało – zaczął się usprawiedliwiać Richius. – Zobaczyłem ją, byłem trochę pijany, a potem spytałem o nią oberżystę. Przykro mi, Dinadinie. Wiem, że postąpiłem paskudnie. Ale ty miałaś rację. Ona była... niewiarygodna.

– Opowiedz mi o tym – zażądał Dinadin cierpkim głosem. Wskazał podbródkiem podrapany policzek przyjaciela. – Musiałaś ją poskramiać?

Richius dotknął dłonią policzka. Krwawienie ustało.

– A, to. Nie, to zrobiła później. Właściwie całkiem niedawno, jak wychodziła.

– Taaa... widzę, że bardzo jej przypadłeś do serca. – Dinadin spojrział w bok. – Richiusie – powiedział przez zęby. – Jestem wściekły!!

– Wiem, że jesteś. I bardzo mi przykro. Sam nie wiem, co mnie napadło.

– Pożądanie, ot co – odpowiedział Dinadin. – To samo, z którego drwiłeś, gdy dręczyło mnie. No dobrze, udowodniłeś, że chwacki z ciebie chłop. Ale teraz, kiedy ona już przywykła do Narenów, to pozwól, że ja jej dogodzę. Wtedy będziemy kwita. No, jak?

Richius cofnął się pod ścianę.

– Dinadinie, ty niczego nie rozumiesz! Ta dziewczyna stała się dla mnie kimś szczególnym. Nie chcę...

Przerwał, widząc wbite w siebie spojrzenie Dinadina.

– Dobrze – stwierdził spokojniejszym tonem. – Pozwól ze ci to wyjaśnię. Nie chodzi mi tylko o ciebie. Po prostu nie chcę, by stało się jej coś złego. Ona nigdy przedtem nie była z mężczyzną. Byłem jej pierwszym...

– Ale z pewnością nie będziesz ostatnim. Mogłaby się zacząć przyzwyczajając.

– Nie! – Richius poderwał się z łóżka. – Nie chcę, by się przyzwyczajala! Nie rozumiesz, o czym mówię?

– A o czym, jeśli łaska? – odpalił Dinadin. – Mam uwierzyć, że się zakochałeś w dziewczynie po spędzeniu z nią jednej nocy? Stary, zacznij myśleć. Masz pojęcie, ilu chłopów tu przychodzi, a wszyscy myślą, że znaleźli idealną kobietę. – Zsunął nogi z łóżka i spojrział ostro na towarzysza. – Posłuchaj, nie myślisz trzeźwo i może to po części moja wina. Zapomnij o tym, co ci mówiłem wczoraj w nocy. Naprawdę uważam, że jest inaczej. Wiem, że starasz się, jak możesz. Wracajmy do Dring. Przerznię się z tobą spierać i zobaczysz, jak szybko zapomnisz o tej dziwce.

– Ona nie jest dziwką! – zachnął się Richius. – I nie wracamy do doliny... przynajmniej nie dziś. Chcę ją zobaczyć jeszcze raz. Dziś wieczorem.

– Richiusie, czekają na nas inni. Lucyler będzie się martwił.

– Mówiłem mu o tym, żeby czekał pięć dni. Jeżeli ruszymy jutro rano, możemy zdążyć na czas.

– Tak po prostu? Żebyś mógł jeszcze raz zaciągnąć dziewczynę do łóżka? Richiusie, chciałbym żebyś mógł sam siebie usłyszeć. Co ci naszło? Musimy wracać.

Richius usiadł na łóżku obok Dinadina i wbił wzrok w podłogę.

– Nie wiem, czy zdołam ci to wyjaśnić ale muszę ją jeszcze raz zobaczyć. Ona wie, kim jestem. Pamiętasz jak przepędziłem Gayle'a z tamtej wioski. Ona tam była. Znalazłem ją w jednym z domów. Gayle chciał ją zgwałcić i ja go z niej zdjąłem.

– I za to dała ci po pysku. Rozumiem...

– Nie wiem, dlaczego dała mi po pysku. Ale rzuciła mi w twarz miano Kalak. Trzeba ci było ją zobaczyć... Ten gniew w jej oczach. Nienawidzi mnie, Dinadinie, a ja nie chcę, by mnie nienawidziła.

– Richiusie, ona jest mieszkanką doliny. Wszyscy nas tu nienawidzą.

– A nie powinni – upierał się Richius. – Przynajmniej ona powinna to wiedzieć.

Twarz Dinadina zmarszczył lekki uśmiezek.

– Wiesz, jak mi to brzmi?

– Jak?

– Jakbyś chciał ją uratować.

Richius nachmurzył twarz, Dinadin jednak podniósł dłonie.

– Nie, nic nie mów. Wiem, co myślisz. Zastanawiasz się, jak ją wziąć pod opiekę. Nic z tego nie wyjdzie, mój przyjacielu. Ona jest tutaj, bo stara się jakoś przeżyć, ale niczego dla niej nie zdołasz uczynić, chyba że zechcesz przebudować cały Lucel-Lor, przeorawszy go najpierw do dna. Ona już jest zgubiona.

– Proszę, nie mów tak.

– Ale to prawda. Miałeś rację w tym, co mówiłeś mi poprzedniej nocy. Po prostu dodajemy kolejne nieszczęście do biedy tych ludzi. Im szybciej Narenie odejdą z Lucel-Loru, tym szybciej Triinowie będą mogli zacząć budować nowy kraj.

– Choćby pod władzą Tharna?

– A owszem, dlaczego nie? Ty i Lucyler uważacie mnie za ignoranta w tych sprawach, ja jednak nie żywię złudzeń. I wiem, że robisz z siebie durnia, właściwie bez powodu. Ta dziewczyna zaś nienawidzi cię nie bez powodu. Dla niej jesteś po prostu Kalakiem – Szakalem, który morduje ludzi z jej doliny. Nie łudź się ani przez chwilę, że zdołasz to zmienić, bo nic z tego nie wyjdzie.

– Muszę przynajmniej spróbować – rzekł Richius. – Muszę się z nią zobaczyć jeszcze raz. Do tego zaś potrzebuję twojej pomocy.

– Co takiego?

– Powinienem zrobić dla niej coś szczególnego, by wyrównać krzywdę, jaką jej wyrządziłem.

– A! I potrzebujesz pieniędzy, prawda?

– Tak – przyznał Richius, patrząc w podłogę. – Zostały ci jeszcze jakieś? Ja mam tylko kilka monet. Ale ty... cóż...

– Wciąż mam mój sztylet – odparł Dinadin. – Carlina nie była warta dziesiątej części jego wartości, dałem więc oberżyscie srebro. Jeśli chcesz, możesz wziąć sztylet.

Richius powitał propozycję radosnym uśmiechem.

– Dziękuję. Obiecuję, że oddam ci wszystko, czego nie zdołam wydać. Z oberżystą

będę się zaciekle targował.

– Nie spodziewaj się, że zostanie zbyt wiele – ostrzegł go Dinadin. – Będziemy musieli zapłacić za pokoje na jeszcze jedną noc, a jak oberżysta się zorientuje, że ci zależy na tej triińskiej dziewczynie, podbije jej cenę.

– Zrobię, co się da – obiecał Richius. – Oddam ci wszystko, co zostanie, jeśli cokolwiek zostanie...

– Kiepski interes, bo teraz i tak wszystko jest moje – odpowiedział Dinadin. Wstał z łóżka i przeciągnął się, ziewnął niczym lew i podszedł do okna. – Już jest jasny ranek. Oberżysta... – Umilkł i przycisnął nos do mętnej szyby.

Zaintrygowany przedłużającym się milczeniem przyjaciela Richius spojrzał na niego z ukosa.

– Co tam widzisz, Dinadynie?

– Richiusie, podejdź tutaj...

Dinadin odstąpił na bok i dopuścił do okna Richiusa. Szyba była zasnutą wieloletnią warstwą kurzu, ale można było przez nią sięgnąć wzrokiem aż po horyzont ku terenom na wschód od miasta. Na brzegu Sheaze zebrało się zgrupowanie ludzi i koni. Ustawiono tam namioty i wielkie pawilony, widać było unoszące się nad ogniskami dymy, a ponad wszystkim dumnie powiewał spłowiwały niebieski proporzec. Richius zamrugał i przyjrzał mu się dokładniej. Na proporcu wyszyto godło jaskrawego złotego smoka.

Richius cofnął się od okna. Odwracając się do przyjaciela, zobaczył, że ten patrzy na niego wyraźnie zaskoczony.

– Richiusie – odezwał się Dinadin cichym głosem. – Czy wiesz czyje to godło?

Richius nie odpowiedział. Ze wszystkich flag, jakie mógł zobaczyć w Ackle-Nye, nie spodziewał się tej jednej. Był to proporzec aramoorskiego księcia wojennego. Proporzec Edgarda.

\* \* \*

Richius i Dinadin ruszyli konno ku rozbitemu pod smoczym proporcem obozowi, kiedy poranne światło rozjaśniło już nieco mgliste niebo. Przeciskali się wolno przez ciżbę ludzi i koni i tak jak Richius nie poznawał młodych podkomendnych diuka, tak i oni nie poznawali jadącego wśród nich Vantrana. Żołnierze byli zajęci rozbijaniem obozu i tylko kilku zerknęło na przejeżdżających, a i ci rzucali im obojętne spojrzenia i szybko wracali do swojej pracy. Pomimo znacznej liczby czynili niewiele hałasu i w pewnej chwili Richiusowi wydało się, że jedzie przez obóz duchów. To, że ci ludzie byli aramoorskimi gwardzistami, przypominały jedynie czarne, zdobione złotem

uniformy, które zresztą były zabrudzone i wyświechtane. Na wychudłych żołnierzach mundury wisiały jak na kołkach. Wszyscy sprawiali wrażenie dzieci, które poubierały się w ojcowskie szaty.

W obozie pełno też było mocno wyświechtanych namiotów i baraczków, z których każdy nosił na sobie ślady surowego klimatu Tatteraku. Powietrze było tu gęste, nieruchome, przepojone kwaśnym zapachem męskiego potu i brudnych koni, które mieszały się z woniami pobliskiego Ackle-Nye.

– Wielkie nieba! – nie wytrzymał Richius. – Co im się stało?

Dinadin się nie odzywał, ale z wyrazu jego twarzy Richius mógł wysnuć wniosek, że przyjaciel podziela jego zdumienie. Jakiegokolwiek nieszczęścia i złe koleje losu spotkały tych ludzi w Tatterak, zostawiły ich w poczuciu takiej klęski, że nie zachowali nawet dość dumy i godności, by zadbać o swój wygląd. Przestali się golić, mieli brudne, podarte mundury i wymizerowane blade twarze. To właśnie widok tych wychudzonych twarzy uderzył Richiusa najbardziej. Nawet jego własnym ludziom w dolinie musiało ostatnio powodzić się lepiej. Kiedy ustały dostawy i nie mogli już liczyć na pomoc z Aramooru, obfitość łownej zwierzyny w Dring pozwalała im na życie z niemal pełnymi brzuchami. W Tatterak nie można jednak było polować. W przeciwieństwie do żyznej doliny Vorisa, jego nieprzyjaciel, Kronin, władał surowym, skalistym krajem, a żyjący tam Triinowie byli plemieniem potrzebującym do przetrwania wytrzymałości i umiejętności oszczędzania na wszystkim. Richius wiedział, że bez pomocy Imperium żadne oddziały tam nie przetrwają.

– To absurd! – nie wytrzymał wreszcie. – Wjeżdżamy, ot tak, do obozu, i nikt się nie pofatyguje, by nas zapytać, kim jesteśmy! Co to, gwardia czy jakaś banda?

Sapnął z niesmakiem i wtedy zauważył, że mija ich jakiś człowiek. Żołnierz, który przeszedł obok nich, jakby byli mgłą, miał zgarbione ze znużenia ramiona. Wlókł się apatycznie i nawet nie spojrzął na dwóch jeźdźców. Odziany był tak samo niechlujnie jak pozostali i Richius nie zwróciłby na niego uwagi, gdyby nie złote, kapitańskie naszywki na rękawie.

– Hej, ty! – zawołał Vantran, zatrzymując konia. – Jesteś w tej armii kapitanem?

Żołnierz podniósł wzrok zaskoczony władczy tonem, jakim zadano pytanie.

– A bo co? – odpowiedział, mrużąc oczy.

Richius ujrzał, że białka miał mętne i żółtawe z głodu.

– Kim jesteś, żołnierzu? – spytał Richius. Mężczyzna dopiero teraz przypomniał sobie, kim jest.

– To ja powinienem zadać ci to pytanie, przybyszu. Nikomu z miasta nie wolno wkraczać do obozu. Musicie natychmiast się stąd wynieść. – Obszedł dookoła konia

Richiusa i dodał spokojnie: – Nie mamy złota, cokolwiek byś nam za nie ofiarowywał.

Richius zorientował się nagle, że cywilne ubrania, jakie mieli na sobie z Dinadinem, nie zdradzały, kim są, i patrzący na nich kapitan nie mógł się domyślić nawet tego, że obaj są żołnierzami. Skórzane kubraki mieli mocno zabłocone, ich konie też nie wyglądały najlepiej, i łatwo ich można było wziąć za kupców z Imperium.

– Kapitanie! – zawołał Richius, obracając konia, by dostosować go do kierunku, w jakim oddalał się oficer. – Nie jesteśmy kupcami. Jestem Richius Vantran.

Oficer zatrzymał się i spojrzał na Richiusa, otwierając ze zdziwienia usta. Richius sięgnął do kieszeni i wyjął pierścień, sygnet z godłem rodu Vantranów. Paski złota i onyksu mogli mieć w godle tylko członkowie królewskiego rodu. Richius już kilkakrotnie się przekonał, że pierścień jest bardzo pożyteczny w miejscach, w których wszyscy byli anonimowi.

– Panie? – odezwał się oficer ostrożnie, starannie badając pierścień. Po chwili pochylił głowę i powiedział: – Wybacz mi, Wasza Książęca Mość. Nie wiedziałem, że tu jesteście. Nie było żadnych wieści o waszym przybyciu.

– Przybyliśmy do Ackle-Nye dopiero wczoraj. Zamieszkaliśmy w obozisku i zobaczyliśmy wasz obóz z okien. A wy dotarliście tu w nocy?

– Późno w nocy – odpowiedział kapitan znużonym głosem. – Właściwie nad ranem.

– Należycie do oddziałów Edgarda?

– Owszem, książę. Jest tutaj we własnej osobie. Książę, czy dostaliście jakieś wieści z domu?

Richius smutnym uśmiechem skwitował nadzieję brzmiącą w głosie żołnierza.

– Myślę, że o tym, co się dzieje w kraju, wiem mniej niż wy, kapitanie...

– Conal, panie – odpowiedział żołnierz. – Jestem kapitanem ogniomiotów diuka Edgarda od czasu, kiedy zginął stary Sinius.

– Zabili Siniusia? – spytał Richius, przypominając sobie starego mężczyznę, którego zawsze widywano u boku Edgarda. – Kiedy to było?

Conal pochylił głowę, usiłując coś sobie przypomnieć, aż wreszcie stwierdził:

– Będzie ze dwa miesiące, może trzy. Zabito go w bitwie o Martwe Wzgórza, nieopodal Falindaru. Paskudna bitwa. Nawet diuk został ranny. Ponieśliśmy ogromne straty. A potem było jeszcze gorzej. Nie słyszeliście o tym w Dring?

Richius zerknął na towarzysza i ujrzawszy, że ten lekko potrząsa głową, odpowiedział:

– Kapitanie, w dolinie nie mieliśmy zbyt wielu wieści, ale z tego, co widzimy, można wywnioskować, że wszystko złe, o czym słyszeliśmy, jest prawdą. Powiadasz, że przybyliście nad ranem?

– Opuściliśmy Tatterak przed czterema dniami. Sprawy stały tam bardzo źle, Wasza Książęca Mość. Ale myślę, że o tym wszystkim dokładniej opowie wam diuk. Mogę was do niego zaprowadzić.

– Tak byłoby najlepiej – stwierdził Richius.

– Zajmę się waszymi końmi – obiecał kapitan. – A teraz pozwólcie za mną.

Richius i Dinadin zeskoczyli z siodeł, Conal zaś wziął wodze ich koni i powiodł przybyszów przez zasnuty dymami obóz. Znalazłszy młodego koniuszego, który czyścił czapraki dwóch innych zwierząt, kapitan oddał mu lejce i polecił zająć się znalezieniem schronienia dla rumaków gości. Młodzik początkowo zaprotestował, tłumacząc, że brak im paszy dla zwierząt, które przywiedli ze sobą, i że każdy przybysz z miasta sam powinien się zająć swoim wierzchowcem. Nie zdradzając tożsamości Richiusa, Conal po prostu zmienił ton na rozkazujący głos człowieka nawykłego do posłuchu i kazał młodzikowi zadbać o dwa nowe konie. Młody żołnierz usłuchał, choć zrobił to bez entuzjazmu i poprowadził konie w tłum, zostawiając Conalowi obowiązek zaprowadzenia gości do diuka.

– Przykro mi, książę – usprawiedliwił go Conal. – Chłopak jest przemęczony, a ostatnio nie działo się nam najlepiej. Ale rączcie się nie martwić, on zadba o wasze konie.

Richius zbył tę uwagę machnięciem dłoni. Wiedział, co mogła zrobić z żołnierza rozpacz i desperacja. Gdy szli spokojnie przez obóz, na niebie pojawiło się stado lecących ku nim gawronów. Ptaki przywiodły na myśl Richiusowi sępy lub krążące nad cmentarzyskiem nietoperze. Nadciągała zima i czas, w którym ptaki opuszczają letnie gniazda i ruszają na południe ku cieplejszym krajom. Richius wiedział, że jeżeli zostanie tu ze swymi ludźmi do pierwszych śniegów, nadchodząca zima może się okazać dla nich próbą ponad siły.

Pawilon Edgarda był po drugiej stronie obozu, najdalej od smrodu Ackle-Nye. Pomimo rangi księcia wojennego jego namiot wcale nie wyróżniał się wśród innych bogactwem czy też przepychem. Był tak samo poszarpany jak inne, a wysoką pozycję jego mieszkańca zaznaczał tylko wbity przed wejściem w ziemię proporzec ze smoczym godłem. Richius widział, że wewnątrz jest kilku ludzi – ich sylwetki dość wyraźnie się rysowały na ścianach namiotu w pierwszych promieniach słońca. Wśród rozbrzmiewających z wnętrza głosów jeden rozpoznał jako głos Edgarda.

Conal zatrzymał ich, kładąc Richiusowi dłoń na ramieniu.

– Proszę za mną, panowie. Powiem diukowi, że tu jesteście.

Namiot nie był strzeżony i wszyscy trzej spokojnie przeszli przez odchyloną klapę wejściową. Znajdujący się wewnątrz podnieśli spojrzenia, zerknęli w ich stronę, a potem



wrócili do przerwanej rozmowy. Stali wokół stołu, trzymając w dłoniach szklance i rozmawiali zbyt hałaśliwie i głośno, by można ich było uznać za trzeźwych.

Richius poznał Edgarda od razu. Miał krzepką budowę ciała, długie nogi, siwą brodę i grzmiący głos, który książę pamiętał jeszcze z dzieciństwa. Powitalny uśmiech Richiusa zamarł mu na wargach, gdy zobaczył, że lewy rękaw kurtki diuka jest pusty i przypięty do ramienia.

Vantran pomyślał, że Conal mówił prawdę – Edgard w istocie został ranny. Ale jak do tego doszło? Obowiązkiem księcia wojennego nie było branie udziału w bojach – on miał nimi dowodzić. To, że Drolowie zdołali zmusić aramoorskiego diuka do walki było rzeczą niesłychaną; Richius zresztą zdziwił się, że taka rana nie wpędziła Edgarda do grobu.

Conal opuścił Richiusa i Dinadina, podszedł do Edgarda i powiedział mu cicho coś, co niełatwo było im zrozumieć. Richius ujrzał, że Edgard spogląda w jego stronę i przywołał na wargi nieco wymuszony uśmiech. Edgard nie odpowiedział tym samym, Vantran uznał jednak, że trudno się temu dziwić. Wojna zmieniła i jego samego, nie mógł się więc spodziewać, że pozna go którykolwiek ze starych przyjaciół – nawet tak bliski jak Edgard.

Nie odejmując lekko zdumionego spojrzenia od Richiusa, Edgard pochylił się ku człowiekowi stojącemu obok niego i ujął go przyjaźnie pod ramię, pociągając bliżej i prosząc półgłosem – tak przynajmniej ocenił to Richius – by ten zostawił ich samych. Mężczyzna, którego Richius nie znał, spojrzał podejrzliwie, ale kiwnął głową, jakby przepraszająco, i wyszedł z namiotu. Edgard wbił ostre spojrzenie w Richiusa.

– Książę Richius? – spytał wreszcie niepewnym głosem. – Mój chłopcze, czy to ty?

Uśmiech wrócił na twarz Richiusa, który, nie czekając na zaproszenie, skoczył ku niemu z rozpostartymi ramionami.

– Tak, Edgardzie! – zawołał. – To ja!

– O, mój chłopcze! – odparł, obejmując go swoim jednym ramieniem i całując w policzek. – Jak ty się zmieniłeś! Ledwie cię poznałem. A cóż to takiego? – spytał, przykładając dłoń do policzka Richiusa i żartobliwie poszczypując jego krótką brodę. – Nosisz teraz brodę jak Talistańczycy?

– Chcesz powiedzieć, jak ty sam – odciął się Richius, wskazując nie ogoloną twarz pytającego.

Edgard zachichotał. Z jego pooranej zmarszczkami twarzy znikło już niedowierzenie i cała promieniowała teraz ciepłem i dobrocią. Było to powitanie, jakiego Richius się spodziewał po człowieku, który był mu bliższy niż jego rodzony ojciec.

– Och, cóż to za radość widzieć cię w dobrym zdrowiu, Richiusie – odezwał się

Edgard. Jego oczy błyszczały podejrzenie i młody Vantran nie umiałby rzec, czy należało to przypisać nikłemu światłu w namiocie, czy sentymentalizmowi lekko podchmielonego diuka. – Myślałem, że cię zabito. Gayle opowiadał niesamowite historie o wojnie w dolinie. Wycofujecie się stamtąd?

– Nie – odparł Richius pewien, że Edgard chciałby usłyszeć inną odpowiedź. Potem zełgał, by oszczędzić mu trosk: – Radzimy sobie dość dobrze, wuju. Po raz pierwszy od kilku miesięcy zmusiliśmy Vorisa do odwrotu. – Skinieniem dłoni wskazał Dinadina stojącego wciąż u wejścia do namiotu, który w milczeniu czekał na zaproszenie. – Czy mój towarzysz może wejść?

– Ależ oczywiście – zgodził się Edgard. – A kimże jest ów młody człowiek?

Richius już chciał przedstawić przyjaciela, który jednak postanowił zrobić to sam.

– Dinadin z rodu Lotts, diuku. – Skłonił się dwornie.

– Dinadin! – zagrział Edgard. Podszedł do młodzieńca i ucałował również jego. – Och, przepraszam. Musiałem być ślepy, że cię nie poznałem.

– Wszyscy jesteście trochę zbici z pantafyku, diuku – zaśmiał się Dinadin.

– Wuju, Dinadin okazał się jednym z moich najlepszych ogniomistrzów – stwierdził Richius. – Gdybym miał ze dwudziestu takich jak on, już parę miesięcy temu zająłbym całą dolinę Dring.

Usłyszawszy tę pochwałę, Dinadin zmieształ się.

– Richius przesadza.

– Bzdury! – huknął radośnie Edgard. – Obaj byliście doskonałymi wychowankami. Teraz usiądźmy i pogadajmy!

Edgard skinieniem dłoni zaprosił ich, by zajęli miejsca na rozchybotanych stołkach, rozstawionych wokół małego stolika. Na stoliku położono mapę o postrzępionych brzegach, wyblakłych napisach i okrągłych plamach po szklanicach. Stary pergamin był pełen plam od wina, Richius jednak wyraźnie jeszcze mógł dostrzec na nim mapę Lucel-Loru. Na stole stała też karafka z resztką wina. Kiedy usiedli przy stole, Edgard podniósł karafkę i podał ją kapitanowi.

– Conal – zwrócił się do oficera. – Zobacz, czy nie uda ci się znaleźć gdzieś jeszcze trochę tego trunku.

Conal, który czekał przy wejściu, wziął karafkę z dłoni diuka i wyszedł.

– Od przybycia nie robimy niczego innego – wyznał diuk. – Posłałem furazerów po prowiant do Ackle-Nye, ale wrócili tylko z winem i piwem.

Richius zmarszczył brwi.

– Trochę za wcześnie na wino, wuju – odezwał się pojednawczym tonem. – Zresztą wydaje mi się, że twoi ludzie potrzebują raczej żywności, niż wina i piwa.

– To prawda – zgodził się Edgard ponuro. – Ale tu, gdzie byś nie spojrział, nikt nie ma nadmiaru żywności. Nawet najbiedniejsi kmotkowie niczego nie chcą sprzedawać. Powinieneś zobaczyć, jak głodowali w Tatterak – przerwał i potrząsnął głową. – Powiadam ci, Richiusie, że nigdy niczego podobnego nie widziałem. Tharn zaczął palić plony na polach. Głodują nawet wojownicy Kronina. Ten Tharn to niezły drań. Dla zwycięstwa swojej rewolucji każe głodować własnym ziomkom.

– I dlatego przybyliście tutaj? – spytał Richius. – Nie mieliście co jeść?

– Ani jedzenia, ani wsparcia... Niczego nam nie przysyłano. Kilka miesięcy temu powiadomiłem twego ojca o tym, że Tharn wygrywa, ale nie dostałem żadnej odpowiedzi.

– A co z miastem? – naciskał Richius. – Z pewnością znajdzie się jakiś kupiec, który zechce wam sprzedać żywność.

– Moi ludzie przynieśli wieści, że nie. Nie ma już zresztą żadnego, który nie sprzedaje dziwek albo wina. Reszta po prostu czeka, by ruszyć na przesmyk.

Przesmyk, o którym mówił stary diuk, to Saccenne – wąskie pasmo ziemi łączące Lucel-Lor z Aramoorem i resztą Nar przez Góry Żelazne. Nie była to łatwa wycieczka i nie było sposobu, by podolał jej którykolwiek z kupców inwestujących pieniądze w wino. Na ustach Richiusa pojawił się sardoniczny uśmiezek. Według tego, co wiedział, tę wojnę wywołali właśnie kupcy... oni i kapłani. Daegog dał im wolną rękę, a ich chciwość i zaciekłość w głoszeniu wiary zrodziły Tharna i jego rewolucję, której celem było odwrócenie biegu historii Lucel-Loru. Teraz płacili za swoją chciwość i przewrotność. Mieli wybór, pomiędzy złym i jeszcze gorszym – albo wrócą do Nar bez grosza przy duszy, albo podejmą ryzyko i ugrzęzną tu w Ackle-Nye wraz z innymi. „I dobrze im tak” – pomyślał Richius nie bez satysfakcji.

– Tak więc – zaczął Richius powoli, usiłując łagodnie sformułować pytanie – nie mieliście wieści z Aramooru?

Edgard zmarszczył brwi, zanim jednak zdążył odpowiedzieć, wrócił Conal z pełną karafką w dłoni. Kapitan bez słowa postawił napitek na stole, po czym, świadom, że jego wejście przerwało rozmowę, szybko wyszedł. Zanim odpowiedział, Edgard poczekał na odejście podwładnego.

– Masz szczęście, Richiusie, do lojalnych podwładnych – stwierdził Edgard. Podniósłszy karafkę, wlał do szklanki Richiusa ciemnoczerwony trunek. – Po śmierci Siniusa nikogo już nie obdarzyłem swoim zaufaniem.

– Owszem – odpowiedział Vantran ze smutkiem w głosie, wspominając starego towarzysza Edgarda. – Twój kapitan powiedział nam już o jego śmierci. To był wspaniały człowiek.

– Najlepszy z najlepszych – stwierdził Edgard. – Conal też nie jest zły, ale daleko mu do Siniusa.

– Jak zginął? – spytał Dinadin.

– Dostał strzałę w plecy pod Martwymi Wzgórzami. A ja zarobiłem tam to. – Edgard wskazał kikut, który mu pozostał z lewego ramienia.

– Jiiktar? – spytał Richius.

– Tak... Oby Bóg przeklął je wszystkie. Te rzeczy są za szybkie, by zwykły człowiek mógł sobie z nimi poradzić. Rana była tak czysta, że o utracie ramienia dowiedziałem się dopiero wtedy, gdy zobaczyłem, że leży na ziemi obok mnie. Wtedy znalazł mnie Sinius, a jego odnalazła strzała.

Edgard przerwał i pociągnął ze swojej szklanki. Richius widział wyraźnie, że te wspomnienia wciąż są bolesne dla starego diuka. Zastanawiał się, czego jeszcze świadkiem był stary wojak? I czy było to tak okropne, że Edgard z Aramooru postanowił się wycofać?

– Edgardzie – odezwał się łagodnie. – A co z Aramoorem? Czy zostaliście odwołani?

– Nie – odparł z goryczą Edgard. – A przynajmniej nie przez twego ojca. Sam zdecydowałem o odwrocie. Nie słyszeliście o tym w Dring?

Richius potrząsnął głową.

– Nie. Gayle z Czarnej Kniei mówił tylko o tym, że sprawy w Tatterak stoją nie najlepiej. Ale nie miałem pojęcia... – Przerwał, i zdumiony ponad miarę potrząsnął głową. – Edgardzie, co się z tobą stało?

– Och, mój chłopcze – odpowiedział Edgard z powagą, odstawiając szklankę na stół i wbijając wzrok w pustkę. – Wojna w Tatterak już się skończyła. Tharn i jego wodzowie od tygodni zbierali siły. W tej chwili nie jestem pewien, czy w ogóle ostał się zamek Kronina. Odeszliśmy, gdy Drolowie zabierali się do jego oblężenia. Próbowali się dobrać do Daegoga. – Edgard parsknął śmiechem i znów napił się wina. – Mam też nadzieję, że go dostali.

– Jak to możliwe? – zdumiał się Dinadin. – Za Kroninem stoi większa liczba wojowników niż za Vorisem, i trzeba dodać do tego wasze posiłki. Są tam nawet oddziały talistańskie.

– Jest tak, jak mówiłem. Tharn zbierał siły od kilku miesięcy. Dla okolicznych wieśniaków on tam jest królem. Ba! Za Tharnem opowiedziały się niektóre z wiosek Kronina. A jeśli chodzi o Talistańczyków, to te dranie Gayle'a prawdziwą walką obarczyli nas. Większość z nich wycofała się w bezpieczniejsze zakątki Tatteraku. A sam Gayle na przykład ruszył, aby pomóc wam w dolinie, nieprawdaż?

– Owszem, raczył nam pomagać – przyznał Richius. – Tak długo, jak się na to

godziłem. I to ci powiem, że raczej wolę przegrać te cholerną wojnę, niż ją wygrać dzięki pomocy Gayle'a. Ale zarządzić odwrót? Edgardzie! Jak mogłeś podjąć taką decyzję, nawet, jeżeli nie miałeś wieści z domu?

– To była sprawa życia lub śmierci, Richiusie. Tej nocy, kiedy opuściliśmy górę Godon... – Edgard podniósł dłoń, sam sobie przerywając. – Lepiej będzie, jak zacznę od początku, bo nigdy nie uwierzysz w to, co powiem. Od kilku miesięcy słałem gońców do twego ojca, błagając go o pomoc. Nigdy mi nie odpowiedział. Zgaduję, że król chce położyć kres tej wojnie, nie odwołując naszych oddziałów. Może uznał, że jeżeli przegra wojnę w sposób zgodny z regułami, bez własnej złej woli, imperator nie zrzuci winy na niego. Tak czy inaczej, postanowiłem, nie bacząc na przyjaźń, wziąć sprawy w swoje ręce.

– Tak? – spytał Richius lekko wyzywającym tonem. – A co powiesz imperatorowi?

– To samo – odpowiedział spokojnie stary. – Jeżeli tak bardzo chce mieć Lucel-Lor dla siebie, niech przyjdzie i sam go zdobywa. Albo niech go zajmie dla niego Talistan. Niech ród Gayle'ów da się wyróżnić w pień. Nie będę brał udziału w beznadziejnej walce za Daegoga... i z pewnością nie za imperatora. Zresztą, to i tak bez znaczenia. Góra Godon została zajęta. Tharn ma Daegoga i możemy tylko czekać, aż reszta Lucel-Loru wpadnie w jego łapy.

Richius spojrział na Edgarda ze zdumieniem, wstrząśnięty pomysłem, by się wycofać bez zgody imperatora. Diuk jednak odpowiedział mu nieulekłym spojrzeniem, czego zresztą młody Vantran się spodziewał. Edgard był w końcu księciem wojennym Aramooru, i mimo niepozornej powierzchowności, dumą nie ustępował lwu. Nikt nigdy nie wydusi z niego słowa przeprosin.

– A więc odwrót – stwierdził Richius. – Wiesz, Edgardzie, nigdy bym nie pomyślał, że to właśnie od ciebie usłyszę te słowa...

– Richiusie, nie osądzaj mnie zbyt surowo, gdyż nie powiedziałem ci jeszcze najgorszego. Wycofaliśmy się w ostatnim momencie. Nie wojownicy Drolów zaatakowali górę Godon. To była magia.

– Magia? – wypalił Dinadin. – A więc widziałeś Tharna?

– Nie... ale widziałem, do czego on jest zdolny. Mój Boże, i pomyśleć, że wszystkie te opowieści uważałem za legendy. – Ujął mocniej szklankę w dłoń, jakby poczuł nagły chłód, który może ukoić jedynie dotyk kubka z trunkiem. – Widziałem rzeczy niewiarygodne...

Richius nakrył dłoń mężczyzny swoją i uścisnął ją lekko, jakby chciał dodać Edgardowi otuchy.

– Opowiedz mi o tym.

– Nie umiem... Nie mogę. Na to nie ma słów. On włada mocą, Richiusie. Może rozkazywać niebu i błyskawicom. Piekło go wydało na naszą zgubę.

Richiusowi zdało się w tej chwili, że staruszek bredzi. Pewien, że trzeźwości sądu pozbawił go ostatni napitek, Vantran siłą wyjął szklankę z palców Edgarda.

– Dość! – rzekł, odpychając szklankę na drugi kraniec stołu. – Powiedz mi, co widziałeś!

Edgard cofnął się i spojrział na Richiusa z błyskiem oczu. Potem westchnął i zaczął oddychać nieco wolniej.

– Było tak, jak ci mówiłem. Ci wojownicy od kilku już miesięcy zyskiwali pole w Tatterak. Moich ludzi dziesiątkowano. Gayle i Kronin też ponosili straty. Gayle nie ogłaszał odwrotu, bo umieścił swoich ludzi tam, gdzie wojna nie dawała im się tak we znaki. Cały jej ciężar spadł na moich żołnierzy i wojowników Kronina.

– Nie ma w tym nic dziwnego – stwierdził Richius. – Mow dalej.

– Ale ja miałem już tego dość. Prosiłem twego ojca o pomoc, i nie dostałem żadnej. W każdej bitwie z Drolami ponosiliśmy straty. Brali nas przewagą liczebną... było ich zbyt wielu. Wiedziałem, że góra Godon zostanie wkrótce wzięta i powiedziałem Daegogowi, że wycofuję z Tatterak swoich ludzi. To było przed tygodniem, zanim przyszła ta burza...

– Burza? – spytał Richius – Jaka burza?

– Ciesz się, że nigdy takiej nie widziałeś. Była jak zimowe sztormy w Aramoorze, tyle, że znacznie gorsza. Zjawiała się zza horyzontu w noc poprzedzającą nasz wymarsz. Wiatr dał tak, że zbijał ludzi z nóg. Myślałem, że porwie całą górę Godon i ciśnie do oceanu.

Do głosu Edgarda zakradły się nutki szaleństwa, ale Richius nie podjął próby uspokojenia mężczyzny. Twarz Edgarda była blada i przerażona.

– To wszystko? – spytał Richius. – Przestraszyliście się wiatru?

– O, gdybyż to tylko był wiatr – zachichotał Edgard. – Wichry były jedynie początkiem. On jakby wiedział, że sam wicher nie wystarczy, by nas złamać. Wtedy rzucił przeciwko nam błyskawice.

– Kto? – spytał Richius nagle zbity z tropu. – Kto posłał błyskawice?

– Tharn! – warknął diuk. – Wszystko to było jego dziełem. Jestem pewien. Triinowie w Tatterak nazywają go Siewcą Burz, lub jakoś tak. On umie kontrolować niebiosa!

Richius ujrzał jak brwi Dinadina unoszą się w górę z niedowierzaniem, poczuł zresztą, że jego własne robią to samo. W dolinie też słyszał opowieści o magu Drolów, ale zawsze traktował je jako historyjki, jakimi żołnierze zabawiają się przy ogniskach.

– Wuju... – zaczął, starając się mówić spokojnie i łagodnie. – Z pewnością była to

tylko ulewna burza Może przy zmianie pór roku...

– Nie! – zachnął się Edgard, uderzając pięścią w stół, aż szklanki podskoczyły, a stojące w nich wino bryznęło na mapę. – Nie mów mi, co widziałem! W jednej cholernej godzinie straciłem trzecią część ludzi. Tharn rzucił przeciwko nam błyskawice i wichry. Burza zachowywała się jak rozumna, myśląca istota i ani razu nie widziałem, zęby piorun godził w puste miejsce. Kiedy uderzał, za każdym razem przewracał wóz, konia lub zabijał człowieka. Za każdym razem!

– No dobrze – zgodził się Richius, choć to, co usłyszał, wcale go nie przekonało. – Ale jak to wyjaśnisz? Nigdy nie widziałem Triina parającego się magią, ani ja, ani żaden z moich znajomych. Nawet jeżeli Tharn jest swego rodzaju świętym mężem, nie istnieje człowiek, który potrafi rozkazywać żywiołom.

– Tharn potrafi.

Ani Richius ani Dinadin nie odezwali się słowem, patrząc jak na twarzy Edgarda wykwita niesamowity uśmiech. W łagodnym świetle poranka wyglądał jak szaleniec. A już z pewnością szalona była opowieść, do jakiej usiłował ich przekonać. Jeżeli Tharn miałby taką moc, po co czekał z jej okazaniem aż do jesieni. Nie, Richius doszedł do wniosku, że gdyby Tharn był aż tak potężny, dawno już skończyłby z tą wojną.

– Rozumiesz chyba, że nie mogę ci uwierzyć? – stwierdził Richius na koniec.

Edgard kiwnął głową.

– Wiem. Ale nie kłamię. I nie jestem tak pijany, jak sądzisz. Tej samej nocy zarządziłem odwrót. Burza cichła, a my zobaczyliśmy na horyzoncie wojowników Tharna. Były ich setki... może tysiące. Nie próbowałem ich nawet policzyć.

– Edgardzie! Zostawiłeś Kronina i Daegoga samych?

– I Gayle'a – dodał Edgard. – Prawdopodobnie wszyscy już są martwi. Niech Bog ma ich w swej pieczy. I wiecie co? W ogóle tego nie żałuję.

Richius wstał nagle.

– Nie? Sądzę, że powinienes. Co z ciebie za księżę wojenny? Kronin cię potrzebował Ufał ci!

Teraz poderwał się Edgard.

– Kronin znał powody, dla których postanowiłem się wycofać. Myślę nawet, że się ze mną zgadzał. Jak śmiesz mi mówić, co jest najlepsze dla moich ludzi. Nie wiesz nawet, z czym się zetknęliśmy!

– A czego się po mnie spodziewasz? Przybywasz niespodzianie do Ackle-Nye, opowiadasz jakąś zwariowaną historię o magu Drolów i sądzisz, że ci uwierzę? Tam do kata! Kronin ci ufał! A teraz prawdopodobnie już nie żyje. Daegog też. Bez Tatteraku zostają nam jedynie Sheaze i ziemie południowe.

– I twoja dolina – odparł Edgard z powagą w głosie. – Mówiłeś, że skończyły się tam wasze kłopoty z Vorisem?

– Pewnie nie potrwa to długo. Kiedy się dowie o upadku Tatterak, zacznie nam się dobierać do tyłków ze zdwojoną energią, a ma dość ludzi, by nas stamtąd wyprzeć.

– To musicie się stamtąd wynosić – rzekł Edgard z naciskiem. – Uciekajcie, dopóki możecie. W przeciwnym wypadku utkniecie w dolinie, z której nie ma wyjścia.

– Bez rozkazu imperatora? Nie mogę.

Edgard rzucił mu ostre spojrzenie.

– Richiusie, wojna jest skończona. Daegog nie żyje.

– Może tak – odpowiedział Richius – a może nie. Gdybyś został przy nim, wiedzielibyśmy to na pewno.

– Wtedy i ja byłbym martwy. Czy tego właśnie byś chciał?

– Oczywiście, że nie.

Twarz Edgarda złagodniała.

– Posłałem królowi wiadomość, że wycofuję się z Lucel-Loru. Ty musisz zrobić to samo. Nie bądź jak Gayle, który nie bacząc na koszty, wykonuje rozkazy Arkusa. Ratuj się.

– A potem co? – spytał Richius. – Zadyndam na stryczku za zdradę? Nie pomyślałeś o tym, co ci zrobi Arkus? Nigdy się nie zgodzi na to, byśmy się wycofali. Dla niego nie ma znaczenia to, że Daegog nie żyje. On posłał tu nas po coś innego. A co z Aramoorem? Jeśli się wycofamy, odbierze nam Aramoora. – Zdesperowany Richius potrząsnął głową. – Jesteś jak mój ojciec, Edgardzie. Kiedy obaj zrozumiecie, że Aramoora już nie należy do nas?

Twarz Edgarda pozostała niewzruszona.

– Richiusie, ja odpowiadam przede wszystkim za moich ludzi. Tak, jak Darius odpowiada za ludzi w kraju.

– Mój ojciec? Jak możesz mówić, że mój ojciec jest gotów do poniesienia jakiegokolwiek odpowiedzialności? Ten cały zamęt to jego wina. Gdyby nie on, moglibyśmy wygrać tę wojnę.

– Tak uważasz? – spytał Edgard z przekąsem. – Naprawdę chciałbyś, żeby twój ojciec przysyłał ludzi do tego piekła. Mało ci trupów?

– Ty i mój ojciec! Obaj żyjecie w świecie mrzonek! – zawołał Richius. – To, czego chcę, nie ma znaczenia. Liczy się jedynie wola imperatora. On teraz włada Aramoorem, z waszą zgodą, lub nie. Sprzeciwiając się jego woli, ty i mój ojciec ściągacie zagładę na nasz kraj!

– Twój ojciec usiłuje uratować Aramoora – upierał się Edgard. – Masz rację,



imperator unicestwi Aramoor, jeżeli król zarządzi odwrót z Lucel-Loru. Dlatego właśnie nie przysyła nam posiłków. Chce przegrać tę wojnę, nie przyznając się do tego, że ją przegrał. – Edgard rzucił Richiusowi zagubione spojrzenie. – Jeżeli dobrze się domyślam, to wielu z naszych od przybycia nam z pomocą powstrzymuje gotowość twego ojca na śmierć. Nie widzisz tego, Richiusie? On chce nam ocalić życie!

– Nie mów mi o ratowaniu życia! – zagrział Richius. – Niczym innym się nie zajmuję od dnia, w którym tu przybyłem, i nie ma w tym udziału mojego ojca! Każdego dnia brodę po kolana we krwi, podczas gdy on tam siedzi w Aramoorze i czeka, aż wojna wygaśnie sama z siebie.

– Nie! – sprzeciwił się Edgard. – Znam twego ojca od dzieciństwa i wiem, jakimi ścieżkami chadzają jego myśli. Jeżeli Darius ogłosi odwrót, imperator zgniecie Aramoor. Ale jeżeli po prostu pozwoli na to, by wojna się skończyła, może zdoła zachować nasz kraj w całości.

Richius parsknął cierpkim śmiechem.

– Arkus z pewnością nie jest aż takim idiotą, jak obaj sądzicie. Dowie się, dlaczego wojna została przegrana, i na nas złoży odpowiedzialność.

– Nie na wszystkich – stwierdził ostrożnie Edgard. – Obwini tylko króla.

Richius zmarszczył brwi.

– To już dla mnie zbyt skomplikowane. Pozwolić nam wszystkim tak po prostu zginąć...

– A dlaczego mielibyśmy ginąć? – zagrział Edgard. Przewyższał Richiusa o głowę i jego gniew zaskoczył młodego Vantrana. – Czy ty w ogóle mnie słuchałeś? Jeżeli w tej chwili się wycofasz, może wyniesiesz z tego głowę cało. Jeżeli nie, zginiesz tylko w powodu własnej dumy, bo ja ci przysięgam, że wojna jest skończona.

Richius wbił wzrok w ziemię. Czuł na sobie palące, pytające spojrzenie Dinadina. Przyjaciel błagał go o odpowiedź, on jednak jej nie miał. Głowę wypełniały mu nowe pytania. Jak ma się wycofać bez rozkazu imperatora? Edgard zbyt pochlebnie oceniał miłosierdzie Arkusa. Jego ojciec z pewnością zostanie powieszony. Jeżeli jednak oni wycofają się z Lucel-Loru bez zgody imperatora, on i Edgard zawisną obok niego.

– Nad czym się tu zastanawiać? – spytał spokojnie Edgard, kładąc dłoń na ramieniu Richiusa. – Może i obaj skończymy na stryczku, ale jeżeli tu zostaniesz, z pewnością zabije cię Tharn albo Voris. Zaryzykuj ze mną, a może uda ci się zachować życie.

Richius westchnął ponuro.

– Rzec więc tylko w wyborze rodzaju śmierci? – Spojrzał na Dinadina. – A ty, co sądzisz o tym wszystkim, Dinadine? Mam zginąć jak zdrajca? A może bardziej przystoi mi śmierć od pchnięcia jiktaru w plecy?

Dinadin poruszył się niespokojnie. Wybąkał coś niezrozumiałego, a potem umilkł.

– Nie jesteśmy tak zmęczeni, jak twoi ludzie, Edgardzie – odezwał się Richius. – Możemy jeszcze trochę wytrwać... może dostatecznie długo, by doczekać się wsparcia ze strony Czarnego Grodu. Kiedy Arkus się dowie, jak tu stoją sprawy, może przyśle własne oddziały i wtedy będziemy mogli się przeciwstawić Tharnowi, z jego magią lub bez.

– Richiusie, nie możesz wygrać.

– Ani ty, Edgardzie. Ale tak przynajmniej Aramoor może zostanie oszczędzony przed stawianiem czoła gniewowi imperatora. Mylisz się, sądząc, że jeżeli się wycofamy, Arkus obwini o to jedynie mojego ojca. Jeżeli się wycofamy, Aramoor zostanie unicestwiony... nie będzie już w nim żadnych diuków i książąt.

Słowa Richiusa prawdziwie Edgarda zdumiały.

– Nie mogę uwierzyć, mój chłopcze, że chcesz zginąć dla Arkusa. W imię czego chcesz oddać życie za człowieka, który wciska but w krtań twojej ojczyzny?

– Nie chcę ginąć dla Arkusa – poprawił go Richius. – Ale dla Aramooru – tak. Wuju, wyprowadź stąd swoich ludzi, a kiedy zobaczysz mojego ojca, powiedz mu, że postaram się wytrwać bez jego pomocy.

Twarz Edgarda stężała niczym granit.

– Powiem mu...

– Chodźmy, Dinadinie.

Dinadin poderwał się na nogi i stanął obok Richiusa. Kiedy obaj młodzieńcy odwrócili się ku wyjściu, usłyszeli za sobą cichy głos Edgarda.

– Richiusie, on ma swoje powody, by postępować tak, jak postępuje – stwierdził. – Postaraj się go zrozumieć.

Richius zatrzymał się i zamknął oczy.

– Nie obchodzą mnie jego powody – rzekł z goryczą. – Jestem, do cholery, jego synem.

I nie czekając na odpowiedź diuka, odwrócił się i wyszedł z pawilonu wraz z idącym tuż za nim Dinadinem. Rozejrzał się dookoła, szukając wzrokiem Conala, a nie zobaczywszy kapitana, ruszył prosto do stajen, gdzie spodziewał się znaleźć konie. Niemałym wysiłkiem woli powstrzymywał łzy. Edgard był jego wujem, mentorem i przyjacielem. Teraz ów stary przyjaciel opuszczał go, jak uczyniło to już wielu innych. Kiedy Dinadin chwycił go za ramię, Richius wyrwał się niecierpliwym gestem.

– Richiusie! – odezwał się ostro Dinadin. – Poczekaj!

Richius zatrzymał się i spojrzawszy na twarz Dinadina zobaczył, że przyjaciel jest zmieszany i zbity z tropu.

– No mów! – rzekł rozkazująco. – Wiem, że chcesz coś powiedzieć.

Dinadin przełknął ślinę.

– Richiusie... Edgard ma rację. Wiesz, że tak jest, i...

– I co?

– Ja chcę odejść razem z nim.

Rozpacz, z którą Richius do tej pory walczył dość skutecznie, wreszcie wzięła nad nim górę.

– Zostawiasz mnie samego, Dinadinie? To właśnie chcesz mi powiedzieć?

– Richiusie, przejrzyj wreszcie! Wojna jest skończona. Jest tak, jak mówi Edgard. Daegog nie żyje!

– Edgard nie wie tego na pewno. Nikt tego nie wie! Jeszcze nie skończyliśmy tu swoich spraw.

Dinadin potrząsnął głową.

– Ja skończyłem. Mam już dość pomagania imperatorowi w gromadzeniu większych bogactw. Nie zamierzam wracać z tobą do Dring, Richiusie. Wracam do kraju.

– Tak po prostu zostawiasz nas?

Dinadin chwycił Richiusa za klapę kurtki.

– Twój ojciec przecież zostawił nas wcześniej! Boże, czy nie dosyć ci tego? A może będziesz wreszcie rad, gdy legnie ostatni z nas? Lonał nie żyje, Jimsin też... Przepadła prawie połowa kompanii! I to z twojej, do diabła, winy!

– Nieprawda! – zachnął się Richius. – Niczemu nie jestem winien! Robiłem, co w mojej mocy.

– I gównu ci z tego wychodzi! Nie chcę być twoją kolejną ofiarą. – Sięgnawszy do pasa, Dinadin wyjął srebrny sztylet, ten, który obiecał Richiusowi wcześniej. Szorstkim gestem wcisnął go Richiusowi w dłoń. – Masz! Weź go i zapłać swojej drogocennej dziwce. Zabaw się dziś dobrze i po raz ostatni, bo jeśli wrócisz do doliny, zginiesz. – Dolna warga Dinadina zadrżała. – A ja nie chcę tego widzieć.

– Nie, Dinadinie... nie...

Ale Dinadin już się zdążył odwrócić i ruszyć przed siebie. Richius chciał pójść za nim, ale zatrzymał się, widząc, że jego przyjaciel podnosi dłoń do oczu. Dinadin płakał.

– Wracam do domu – krztusił się rosły mężczyzna. – Do domu.

Richius nie mógł się zdobyć na to, by go zatrzymać.

## Dziesięć

Kiedy Richius samotnie wracał do Ackle-Nye, słońce stało jeszcze wysoko nad głową. Miasto żebraków już się obudziło i wysyłało w powietrze chmury osobliwego, natrętnego smrodu. Uchodźcy wypełniali chodniki niczym łańcuch żywych śmieci, a sępy krążące wysoko nad nimi pilnie wypatrywały każdej okazji, do napchania brzuchów. W świetle dnia Richius mógł ujrzeć miasto takim, jakim było w istocie, i podziwiać resztki jego dawnej świetności. Piękne niegdyś płyty, którymi wyłożono ulice, poplamione były teraz uryną. Niektóre z dzieł nareńskich architektów osmalił dym. W pustej i jedynej miejskiej świątyni wiatr hulał pomiędzy powybijanymi płytkami mozaikowych witraży. Wszędzie, gdzie spojrzeł, widział grupy Triinów, łagodnie nagabujących pozostałych jeszcze w mieście Narenów.

Richius minął tych biedaków, kierując swego wierzchowca ku małej tawernie. Przybywszy na miejsce, znalazł tam tego samego chłopaka, który cierpliwie czekał na konie, którymi miał się zajmować. Rozpromienił się serdecznie, ujrawszy małą, podaną mu przez Richiusa monetę. Wziąwszy od księcia wodze, starannie i niemal czule przywiązał je do słupek. Potem obdarzył Richiusa szczerbatym uśmiechem.

– Zadbaj o niego – polecił mu Richius – a rano jeszcze coś ci wpadnie w dłoń.

Wewnątrz natychmiast zobaczył oberżystę Tendrika. Miejsce było puste, oberżysta jednak i tak niezłomnie tkwił za szynkwasem, ustawiając na półkach szeregi mętnych szklanek i kuflów. Ujrawszy księcia, cały się rozpromienił.

– Witajcie, panie – rozpląnął się w powitaniach. – Witajcie z powrotem.

Richius podszedł do baru i spróbował się uśmiechnąć.

– Mogę zabrać ci chwilę? – spytał. – Chcę, byś coś dla mnie zrobił.

– Jestem na wasze usługi, księżę Vantranie – odparł oberżysta.

– Wiesz, kim jestem?

– Wiem – odpowiedział oberżysta, usiłując zachować dyskrecję. – Powiedziała mi Dyana, ta dziewczyna, z którą spędziliście noc. Była bardzo rozgniewana i wytracona z równowagi tym, że kwiat jej dziewictwa zerwał Kalak! – Oberżysta wybuchnął serdecznym śmiechem. – Nie wiedziałem, że tak nazywają Waszą Księżęcą Mość w dolinie Dring. Ona powiedziała, że to znaczy „Szakal”. Szczerze mówiąc, nie uważam, by przydomek był trafny.

– Nie tobie oceniać nadawane mi przydomki! – uciął ostro Richius. Z niemałą satysfakcją przyglądał się przez chwilę, jak dobry humor Tendrika gdzieś się ulatnia. – I nikt poza nią i tobą nie musi wiedzieć, kim jestem. Czy to jasne?

– Jak słońce – odparł oberżysta. – A teraz, czego księżę potrzebuje? Izby na noc?

– Izby i tej dziewczyny. I chcę ją mieć dla siebie przez całą noc, niech więc nie odwiedza nikogo przede mną.

Twarz oberżysty spochmurniała.

– A... z tym to będzie kłopot, księżę. Widzisz, panie, tak cię polubiła, że raczej sobie poderżnie gardło, niż pójdzie do ciebie po raz drugi. Można by rzec, że czuje do ciebie silną niechęć. Co jest chyba zrozumiałe w tych okolicznościach, nie sądzisz, panie?

Richius przypomniał sobie słowa Dinadina.

– Cena poszła w górę?

– Księżę Vantranie, nie chodzi o pieniądze. Dyana jest bardzo gwałtowna i nawet ja mam kłopoty z opanowaniem jej wybuchów gniewu. – Tendrik wskazał szramę na twarzy Richiusa, a potem powiódł palcem po strupie na własnym policzku. – Widzisz, panie? Moja kotka ma pazury i wie, jak ich używać. I nie lubi, kiedy się ją kojarzy w parę bez jej zgody. Naprawdę nie sądzę, by pieniądze mogły ją skusić, aby zrobiła to jeszcze raz.

– Nie chcę z nią „robić tego” jeszcze raz – zachnął się Richius. – Chcę się z nią tylko zobaczyć i porozmawiać. Powiedz jej zresztą, co chcesz, ale niech się zgodzi!

Tendrik wytrzeszczył oczy.

– Chcesz z nią tylko porozmawiać, księżę? A mogę spytać, dlaczego ci tak na tym tak zależy?

– Nie!

– Twoja wola, panie. Ale cena jest taka sama, czy ją dotkniesz czy nie. A jak sobie przypomnę o tych wszystkich żołnierzach, którzy obozują pod miastem, to gotów jestem się założyć, że mógłbym jej zapewnić mnóstwo ruchu. – Oberżysta uśmiechnął się obleśnie. – I to dobrze, że jesteś księciem.

– Ile? – spytał Richius. – Zanim odpowiesz, wiedz, że chcę od ciebie jeszcze jednej rzeczy.

– Coś jeszcze? Myślałem, że chcesz tylko porozmawiać?

– Owszem, taki mam właśnie zamiar. Chcę jednak, byś zrobił dla nas coś szczególnego.

Oberżysta parsknął śmiechem.

– Królowie i księżęta mają dziwaczne zachcianki. Niech będzie. Pewien jestem, że zdołam uczynić, co zechcesz, księżę.

– Człowieku, nigdy nie wyrażaj zgody, dopóki się nie dowiesz, o co cię poproszą – stwierdził rzeczowo Richius. – Jak trudno jest tu zdobyć coś do jedzenia? Mam na myśli prawdziwą żywność, coś bardzo smacznego.

– Żywność? Z tym może być pewien kłopot – przyznał Tendrik. – Trzeba wiedzieć, dokąd się udać, a i to jest bardzo drogie. Mogę ją dla was kupić, ale to będzie bardzo duży wydatek.

Richius wyjął sztylet Dinadina i podsunął go pod nos oberżyscie, który na widok bogato zdobionej broni szeroko otwarł oczy.

– Wystarczy?

\* \* \*

Dyana przespała cały dzień. Wyczerpała ją wędrówka do Ackle-Nye, a potem jeszcze był Kalak. Oba doświadczenia znużyły ją tak, że mogłaby spać cały tydzień. Nie przeszkadzało jej nawet, że musi dzielić izbę z brudnymi nareńskimi dziwkami. Kiedy jednak się obudziła, okazało się, że nadal jest w Ackle-Nye, a to, co jej zrobił Kalak, było bolesnym wspomnieniem, które czuła między udami. Ocknęła się i zobaczyła spoconą twarz Tendrika. Oberżysta potrząsał jej ramieniem. Swoje imię słyszała jakby z oddali i wydawało się jej, że wołają ojciec. Teraz jednak poznała swego dręczyciela.

– Ocknij się – odezwał się tłusciuch. – Już noc i jesteś mi potrzebna.

Dyana usiadła. Wciąż jeszcze miała na sobie zieloną, satynową sukienkę.

– Noc? – zerknęła w okno i ujrzała ciemność. Nad horyzontem iskrzyła się samotna gwiazdka. – Nie jestem gotowa – odparła, licząc na to, że uda się jakoś odwlec nieuniknione. – Nie zdążyłam się umyć i nie mam co na siebie włożyć. – Nagle zrozumiała, że w izdebce są sami. – Gdzie pozostałe dziewczyny? Już pracują?

Tendrik uśmiechnął się, ukazując zepsute zęby.

– Nie, niezupełnie. Odesłałem je. Dziś będą pracowały gdzie indziej.

– Odesłałeś je? – spytała Dyana, w której zaczęła rodzić się coraz większa podejrzliwość. – Dokąd?

– Nie martw się, ciebie nie odeślę. Na dzisiejszą noc mam dla ciebie szczególnego klienta. – Twarz oberżysty spochmurniała. Dziewczyna zrozumiała, co próbuje przed nią ukryć.

– Nie! – wykrzyknęła. – Tylko nie on! Nawet o tym nie myśl!

– Dziewczyno...

– Nie oddam mu się po raz drugi! – zawołała, zeskakując z łóżka i ruszając na niego niczym tygrysica. – Nie zdołasz mnie zmusić!

Tendrik podniósł ręce, by ją uspokoić.

– Czeka! Pozwól, że coś ci wyjaśnię. Nie chodzi o to, o czym myślisz. Masz rację, to Vantran. Chce cię zobaczyć jeszcze raz. Ale wcale nie chce, byś się z nim kładła. Chce

tylko porozmawiać.

– Rozmawiać? Nie mamy o czym. Wszystko, co mu miałam do powiedzenia, usłyszał rano.

Tendrik zsunął się z łóżka i podszedł bliżej. Kiedy chciał, potrafił przybrać groźny wygląd.

– Nie słuchasz tego, co mówię. Zadał sobie sporo trudu, by znów się z tobą zobaczyć. Przygotował nawet dla ciebie coś w rodzaju miłej niespodzianki. Nie mogę ci rzec, co to takiego, uwierz mi jednak na słowo – spodoba ci się. I obiecał mi, że cię nie dotknie. Chciał, żebym ci to powiedział.

– Nie wierzę! – Dyana splunęła pogardliwie. – Kalak to bydlę. Łże jak pies!

– Wcale nie! – zapewnił ją Tendrik. Stali teraz twarzą w twarz i jego oddech parzył niemal jej policzki. – Wiem to. Widziałem. Zbyt surowo go osądzasz. To szczeniak, chłopiec. Nie ma w nim nic, czego byś się musiała obawiać.

– Nie zrobię tego!

– Owszem, zrobisz!

Tendrik chwycił ją za nadgarstki i przydusił do ściany. Dziewczyna próbowała się uwolnić, ale grubas gniótł ją tak niemiłosiernie, że zaczęła się obawiać, iż połamie jej kości. Odwróciła głowę, słysząc zwykłą groźbę, którą w takich wypadkach sęczył jej do ucha.

– Za trzy dni wyjeżdżam do Talistanu. Wezmę ze sobą Carlinę i inne. Jeśli chcesz jechać z nami, masz robić, co ci każę! Jeżeli nie... z radością zostawię cię tu Drolom. Oni zaś nie bardzo lubią triińskie dziwki.

Dyana skrzywiła się – jedna część jej duszy przepelniona była buntem, druga wiedziała, że ten człowiek ma rację. Była jego własnością, on zaś mógł jej stworzyć jedyną szansę wyjazdu do Nar. Postanowiła jednak spróbować jeszcze raz.

– Daj mu jakąś inną dziwkę. Daj mu tego wycierucha, Carlinę.

– Mała, nie pytaj mnie, co on takiego w tobie zobaczył. Widziałem szramę, którą ozdobiłaś jego twarz. Na jego miejscu kupiłbym sobie następną noc, by cię skatować. On tego nie zrobi, bo to mięczak. I z jakiegoś powodu zapłacił za ciebie dość, by zapewnić naszej grupce bezpieczny przejazd przez przesmyk. Nie zamierzam tych pieniędzy oddawać. Pierwej cię zabiję, dziewczyno.

– Puść mnie! – zażądała Dyana. – Natychmiast mnie puść.

– Zrobisz to, co ci każę? – spytał Tendrik, napierając jeszcze mocniej.

– Tak! – zawołała Dyana. Oberżysta złamał jej wolę. – Zrobię. A teraz mnie puść!

W końcu ją puścił, a Dyana omal nie upadła, ciężko dysząc. Wokół nadgarstków miała dwa nabrzmiałe czerwone kręgi. Machinalnie zaczęła je rozcierać.

– Gdzie on jest?

– Na dole. Chce tu przyjść za godzinę.

– Nie mam co na siebie włożyć! – Dyana oskarżycielsko wskazała na poszarpaną suknię. – Ta nie będzie dla niego dość dobra.

– No to się jakoś ogarnij! – zagrmiał oberżysta. – On nie płaci za noc z kuchennym pomiotem! Pożycz jakąś suknię od innej, i niech to będzie coś bardziej... eee... czystego. I zrób coś z włosami. Wyglądają jak szcurze gniazdo.

Wychodząc z izby, z całej siły trzasnął drzwiami. Dyana zaś podniosła jeden but i cisnęła nim w drzwi.

\* \* \*

Słońce zaszło, na niebie pokazały się gwiazdy i mała, brudna piwiarnia Tendrika przekształciła się w prawie idealne miejsce na romantyczną schadzke. Richius podniósł puchar i skosztował wina. Był to mocny, czerwony trunek z Gorkney i młody książę uśmiechnął się, smakując wino. Mały stolik w rogu pochodził z sypialni Tendrika, z kolekcji, którą oberżysta nabył – jak objaśniał z dumą – od pewnego nareńskiego szlachcica, który, przybywszy do Ackle-Nye, złapał jakąś paskudną chorobę płuc. Choroba położyła kres życiu szlachcica, a Tendrik zajął się resztą. Richius zgadywał, że ozdobne świeczniki też należały do szlachcica, miały bowiem na sobie godła Criisii, mniejszej, ale bogatej prowincji Imperium. Stół był pięknie zastawiony, a stojące na nim kryształowe puchary godne były królewskiego bankietu. Patrząc na to wszystko, Richius nie umiał powstrzymać uśmiechu. Tendrik był nieznośny, ale piękną zastawę umiał wydobyć spod ziemi. Młody książę był pewien, że Dyana będzie pod wrażeniem.

Na wszystko to Richius musiał wydać więcej niż cenę sztyletu Dinadina. Chciał mieć to miejsce dla siebie na całą noc, co oznaczało dla oberżysty poważne straty, a Richius mógł mu zrekompensować, jedynie opróżniając kieszenie i pisząc lis zastawny. Był to właściwie rachunek, który trzeba było przedstawić królowi Aramooru po przedostaniu się przez przesmyk. Richius wiedział, że ojciec nie będzie rad, ale zapłaci co do grosza. A gdyby miało to zirytować staruszkę, to tym lepiej.

Teraz w izbie był tylko on sam i lutnista. Muzykiem był nareński włóczęga, który zgodził się dla nich zagrać. Miał na imię Po, a jego usługi okazały się znacznie tańsze niż żywność. Kiedy Richius, nie mogąc się doczekać Dyany, usiadł i oparł się o ścianę, Po zaczął machinalnie trącać palcami struny swego instrumentu.

– Kim ona jest? – spytał muzyk. Też rozsiadł się wygodniej, kładąc długie nogi na sąsiednie krzesło. – Jakąś księżniczką?



– Nie, nie jest księżniczką – odparł Richius. – To zwykła dziewczyna.

– O, nie może być taką sobie zwykłą dziewczyną. Dla zwykłej dziewczyny nie zadawałbyś sobie, książę, tyle trudu. – Pochylił się bliżej i mrugnął. – Na pewno ma w sobie coś niezwykłego. Co?

– Owszem, ma. Ale proszę, zrób mi uprzejmość. Kiedy ona zejdzie ze schodów, z pewnością zauważysz, że mnie zależy na niej znacznie bardziej, niż jej na mnie. Zechciej nie zwracać na to uwagi.

– Dąsy kochanków, co?

– Niezupełnie.

Po w lot pojął, o co chodzi.

– Nie ma sprawy. Nawet nie zauważycie, że tu jestem. – Zajął się swoją lutnią, wydobywając ze strun cichą i łagodną melodię.

Richius wsłuchał się w dźwięki muzyki. Usłyszał odgłos kroków i przez chwilę myślał, że to Dyana, ale okazało się, że to tylko kuchcik wracający z kuchni. Kiedy zauważył, że Richius jest sam, zatrzymał się w połowie drogi do stołu.

– Jeszcze jej nie ma? – spytał chłopiec. – Wasz bażant...

– W porządku – powiedział Richius, kiwnięciem dłoni wzywając chłopca bliżej. – Zostaw wszystko na stole. Ona zaraz nadejdzie...

Chłopiec spełnił polecenie księcia, wykorzystując chwilę wolnego czasu, by nacieszyć się zapachem pieczonego ptactwa. Richius poczuł dreszcz emocji. Był pewien, że to zrobi na niej wrażenie. Lutnista powiódł wzrokiem po stole i również się uśmiechnął.

– Ładnie – skomentował. – Gdzie to znaleźliście?

– To Tendrik. – Odpowiedź księcia wywołała śmiech lutnisty.

– No tak, to wszystko tłumaczy. Ten człowiek potrafiłby znaleźć pieczoną szynkę pośrodku pustyni. Nie mam jednak pewności, co do wina. Da się je pić?

– Owszem, jest całkiem niezłe.

Po wzruszył ramionami.

– Powinniście jeszcze pomyśleć o białym.

– Wystarczy! – stwierdził Richius. – Dajże pokój, człowiecze! Nie widzisz, że się denerwuję? Graj!

– Jedzenie stygnie – oznajmił chłopiec.

– No to co? – westchnął Richius. – Ostatni świeży posiłek, jaki jadła, pewnie się jeszcze ruszał. Myślisz, że wzgardzi pieczonym bażantem na zimno?

– Mogę go jeszcze zabrać do kuchni...

– Nie trzeba. Po prostu siedź cicho, dobrze?

Kuchcik zaczął się usprawiedliwiać, Richius jednak przestał na niego zwracać uwagę. Ponad ramieniem chłopca zobaczył schodzącą ze schodów Dyanę. Podnosząc się, by ją powitać, poczuł przeszywający go dreszcz podniecenia. Bładość jej twarzy podkreślał lekki ton różu na policzkach, kontrastujący z jaskrawym szkarłatem jej sukni. Oczy dziewczyny ciskały iskry gniewu i pogardy. Schodziła ze schodów bezgłośnie, niczym widmo, i nie patrzyła na Richiusa, dopóki nie stanęła na ostatnim stopniu. Richius usłyszał, jak lutnista cichutko gwizdnął z podziwu, i uśmiechnął się.

Dyana nie odpowiedziała uśmiechem. Choć jej twarz pozostała bez wyrazu, całą swoją postawą wyrażała wyzwanie. Zimna i nieprzystępna podniosła w końcu wzrok, by na niego spojrzeć, ale kiedy zobaczyła zastawiony na jej cześć stół, doznała prawdziwego wstrząsu.

– Witaj! – odezwał się Richius, podając jej dłoń. – Dziękuję, że przyszłaś.

Muzyka, zapach pieczeni i wosku płonących świec poruszyły jej zmysły – jak się tego zresztą spodziewał. Stała oszołomiona, patrząc jak chłopiec podsuwa jej krzesło, i na jej ustach pojawił się bardzo nikły, ale jednak uśmiech.

– Co to ma znaczyć? – spytała. Nie przyjęła podanej jej dłoni, ale i nie cofnęła się. Richius sam więc wziął ją za rękę.

– To przeprosiny – wyjaśnił.

– Musisz postarać się znacznie bardziej, żebym zapomniała to co mi zrobiłeś, Kalaku. Przyszłam tylko dlatego, że zmusił mnie do tego Tendrik. Powiedział, że chcesz ze mną porozmawiać. O czym?

– A choćby o tym – odparł Richius, wskazując dłonią stół i kuchcika, który podsuwał jej krzesło. – Zechcesz usiąść?

Bez słowa podeszła do stołu. Zobaczyła smaczne pożywienie i jej wargi drgnęły łapczywie. Richius odwrócił lekko twarz, by ukryć uśmiech. Wszystko to przypominało zastawianie wymyślnej pułapki. Będzie musiał mówić jak anioł i wykazać się przebiegłością węża. Kiedy siadał, Dyana zmierzyła go szybkim, badawczym spojrzeniem. Niemal usłyszał burczenie w jej brzuchu, głośniejsze niż dźwięki lutni. A potem twarz dziewczyny stężała i odepchnęła od siebie talerz z jedzeniem.

– Nie jestem głodna – oznajmiła.

Co, jak Richius doskonale wiedział, było kłamstwem. Udał jednak zgodę.

– Ja właściwie też. Tak naprawdę to chciałem jedynie z tobą porozmawiać. Nie musimy jeść tego wszystkiego.

Z twarzy Dyany opadła maska obojętności.

– Chcesz mnie przekupić. Powinieneś wiedzieć, że nie jestem na sprzedaż. Mogę być dziwką, ale nie jestem głupia.

– Nie podoba mi się to słowo – zachnął się Richius. – Proszę, nie nazywaj tak siebie już nigdy więcej.

Przez chwilę wydawało mu się, że dziewczyna wstanie i odejdzie. Potem spojrzała na nakryty stół i westchnęła.

– Dlaczego kazałeś mnie tu sprowadzić? – spytała. – Tendrik ci powiedział, że za nic już nie pójde z tobą do łóżka, czy tak?

– Owszem, powiedział – odparł Richius. – Nie po to cię tu zaprosiłem.

– A więc po co?

– Aby porozmawiać. Żeby ci powiedzieć, jak bardzo żałuję tego, co ci zrobiłem. – Dotknął swej twarzy, wspominając zadrapania, które mu zadała. – Tego ranka, gdy uciekłaś, powiedziałem ci, że jest mi przykro, iż to ja odebrałem ci dziewictwo. Bardzo źle postąpiłem. Ale nie wiedziałem. Przysięgam, że nie wiedziałem. Gdybym wiedział, nigdy bym tego nie zrobił.

– Jak nie ty, to kto inny – odpowiedziała spokojnie.

– Ale dlaczego? – spytał Richius. – Co tu robisz... w takim miejscu?

– Zadajesz zbyt wiele pytań – zachnęła się dziewczyna.

Richius wzruszył ramionami.

– Po prostu jestem ciekaw. Chciałbym też wiedzieć, za co mnie tak nienawidzisz? Nazwałaś mnie Szakalem, ale przecież mnie nie znasz. Nie jestem twoim wrogiem.

– Ależ jesteś – poprawiła go szorstko. – Przynosisz ze sobą zniszczenie. Znałam ludzi z tamtej wioski. Niektórzy z nich już nie żyją. Zabili ich twoi ludzie. Oto dlaczego cię nienawidzę. Oto dlaczego jesteś Kalakiem.

– Głęboko się mylisz! To nie moi ludzie spalili tamtą wioskę! I nie z mojego rozkazu. Nikt z moich podwładnych nigdy nie zabił nikogo z twoich ziomków.

– Widziałam cię! – sprzeciwiła się dziewczyna. – A Kalak jest najważniejszym Narenem w Dring. Nawet Drolowie tak mówią.

– Ależ to nie ja! – upierał się Richius. – Ja byłem tym, który położył kres morderstwom i kazał gasić pożary. Uratowałem cię przed tamtym bydlakiem. To jego powinnaś nienawidzić, nie mnie!

– Zabijasz Triinów. Wiem, że ich zabijasz.

– Zabijam Drolów – odparł Richius. – Nie jestem z tego dumny, ale owszem, zabijam ludzi, by samemu nie zostać zabitym. Nie myśl, że sprawia mi to przyjemność. Cokolwiek twoi ludzie mówią o mnie, krzywdzą mnie, uważając za rzeźnika. Nie jestem nim. – Wspomniał Dinadina i uśmiech znikł z jego warg. – Po prostu ugrzęzłem tutaj bez możliwości wycofania się z honorem.

Dziewczyna spojrzała na niego z powątpiewaniem w oczach.

– Chciałeś mnie przeprosić, i przeprosiłeś. Czy mogę już odejść?

Richius nie bardzo wiedział, co na to rzec. W końcu jednak musiał coś powiedzieć. Skinął głową.

– Owszem, jeżeli tego właśnie chcesz. Ale wolałbym, żebyś została. Dziś wieczorem... nie chciałbym być sam.

To ostatecznie złagodziło jej rysy. Spojrzała na zastawiony stół, potem znów podniosła wzrok na Richiusa.

– Nie musisz ze mną rozmawiać, jeżeli nie chcesz – zapewnił ją. Czuł napływające mu do oczu łzy, choć nie miał pojęcia, co było tego powodem. – W ogóle nie musimy niczego robić. Ot, posiedzimy i posłuchamy muzyki.

Na twarzy dziewczyny pojawił się niezwykle wyraz – głód walczył o lepsze z dumą. W końcu głód zwyciężył.

– Chętnie bym coś zjadła.

Richius popatrzył jej w oczy.

– Ja też.

Była to cała zachęta, jakiej potrzebowała. Przyciągnęła ku sobie talerz, poczekała aż Richius zrobi to samo, potem sięgnęła po widelec i wbiła go w soczystą pierś bażanta. I oboje zaczęli zajadać się świetnie przygotowanym przez kucharza Tendrika ptakiem. Oczy dziewczyny rozblęły z zadowolenia. Żywności w Ackle-Nye nie było za wiele, Dyana zaś była taka szczupła... Richius zbyt dobrze znał objawy wygłodzenia, by ich nie rozpoznać. Dinadin miał rację. Chciał ją ratować.

Siedzący nieopodal Po trącał struny lutni, grając jakąś łagodną balladę. Podchwyciwszy wzrok Richiusa mrugnął do niego, jakby chciał mu dodać otuchy.

Jedli w milczeniu – Richius po prostu rad był temu, że Dyana jest obok. I nagle dziewczyna przestała jeść. Odłożywszy widelec na stół, spojrzała mu prosto w oczy. Richius pił wino i dostrzegł jej spojrzenie przez dno szklanki.

– Co się stało? – spytał.

– Masz rację – odpowiedziała. – Uratowałeś mnie. Teraz sobie przypominam. – A potem dodała, jakby wbrew samej sobie: – Dziękuję ci.

– Podziękowanie przyjęte. Ja zaś dziękuję, że zechciałaś ze mną zostać. Naprawdę, uwierz mi, nigdy już nie zrobię ci krzywdy. Jeżeli wczoraj w nocy bolało, to... Jak powiedziałem, żałuję.

– Bolało tylko trochę... i już mi lepiej.

– Napijesz się wina? – spytał Richius, by jakoś podtrzymać rozmowę. – Jest całkiem niezłe.

Natychmiast znów przyjęła pozycje obronną.

– Nie. Żadnych trunków.

– Tendrik mi powiedział, że masz na imię Dyana. Bardzo ładne imię. Tam, skąd pochodzę, nosi je wiele kobiet. Czy i wśród Triinów jest popularne?

– Imię dał mi ojciec – odpowiedziała Dyana, nie rozwijając tematu.

– Powiedziałaś, że do Ackle-Nye przybyłaś wczoraj. Pochodzisz z Dring?

Jej wargi drgnęły lekko, a potem odpowiedziała:

– Tak, z Dring.

– Dlaczego? Czy wioska aż tak bardzo została zniszczona?

Nagle na jej twarzy wyraz smutku i upokorzenia ustąpił gniewowi. Dziewczyna wstała.

– Muszę już iść.

– Zaczekaj! – zawołał Richius, zrywając się na równe nogi. – Proszę, nie odchodź!

– Muszę! – Kiedy ją dogonił, była już prawie na schodach. Spojrzała na niego dość osobliwie. – Nie prześladuj mnie. Nie mogę z tobą zostać.

– Nie chcę ci zrobić krzywdy, przysięgam. Dziś w nocy nie chcę od ciebie niczego. Po prostu dotrzyмай mi towarzystwa.

W jego słowach było coś, co kazało jej zostać. Może brzmiała w nich bolesna samotność, a może po prostu przeważył głód. Richius nie wiedział, co było przyczyną, ale kiedy ponownie otworzył oczy, przekonał się, że dziewczyna nadal stoi obok niego.

– W tej wiosce była moja kuzynka. Mała dziewczynka, dziecko. – Dyana objęła się ramionami. – Nie żyje.

W jednej chwili Richius zrozumiał zawartą w jej słowach nienawiść – i poczuł się skalany, jak najbardziej nikczemny z psów. Muzyka ucichła. Dyana stała i mierzyła go nienawistnym spojrzeniem. Richius podszedł ku niej i lekko musnął dłonią jej ramię.

– Przykro mi – wybąkał.

– Stratowano ją – ciągnęła Dyana, odwróciwszy wzrok. – Małą dziewczynkę, prawie dziecko...

– Dyano, przysięgam na Boga, że to nie moja wina. Żal mi was, ale to nie my. To Talistańczycy. Są rzeźnikami, nie tak jak my, z Aramooru. Musisz mi uwierzyć.

– Wierzę. Ale i tak muszę odejść. I tak już powiedziałam za wiele.

– Nie odchodź. Chcę ci pomóc. Nie musisz żyć tak, jak żyjesz.

Dyana potrząsnęła głową.

– To już nie potrwa długo. Zadba o to Tendrik.

– Tendrik? – spytał Richius. W głowie zaświtało mu paskudne podejrzenie. – Co masz na myśli?

– To już moja sprawa, Kalaku. Nie pytaj.

– Nie jestem Kalak! – warknął nagle rozeźlony. – Nigdy mnie tak nie nazywaj. Jestem Richius Vantran. Nie dbam o to, czy będziesz mi mówić Richiusie czy księżę. Ale nie nazywaj mnie Szakalem.

Dziewczyna zagryzła wargę.

– Nie wiem, jak się do ciebie zwracać. Dla mnie jesteś Kalak.

– Mów do mnie Richiusie. To moje imię.

– Nie mogę.

– Ten oberżysta... Co miałaś na myśli, mówiąc, że o ciebie zadba?

– Proszę... – odpowiedziała. – Wybacz, jeżeli cię uraziłam. Ale pozwól mi odejść.

Nic nas nie łączy.

– Tego zrobić nie mogę. Nie pozwolę ci odejść, dopóki mi nie powiesz, jaką władzę ma nad tobą ten... oberżysta. Znam takich jak on kupczyków. I założę się, że wiem, jaką przyszłość ci gotuje. Jeżeli sądzisz, że pracując dla niego, uda ci się uniknąć wojny, lub głodu, to się grubo mylisz. Będziesz po prostu niewolnicą, a już na pewno nią się staniesz, jeżeli cię zabierze do Imperium. O to chodzi? To ci obiecał?

– Nic nie rozumiesz. Muszę z nim jechać.

– Dokąd on cię zamierza zabrać? – nalegał Richius. – Do Czarnego Grodu?

– Nie – odpowiedziała. – Do Talistanu.

Spojrzał na nią porażony jej nieświadomością. Może i mówiła językiem Narenów, ale jasne było, że nigdy nie była w Imperium, a zwłaszcza w Talistanie. Żadna kobieta, choćby nie wiadomo jak zdesperowana, z własnej woli nie zgodziłaby się na taki los.

– Dyano, wróćmy do stołu. Przed nami cała noc, a ja naprawdę muszę z tobą porozmawiać. – Wyciągnął rękę, a dziewczyna spojrzała na nią podejrzliwie. – Zaufaj mi.

Zaskoczyło go to, że ujęła jego dłoń. Powiodł ją z powrotem ku jej krzesłu i skinieniem dłoni zachęcił Po, by ten grał dalej. Potem usiadł naprzeciwko Dyany.

– Powiedziałaś, że musisz z nim jechać. Dlaczego? Z powodu wojny? Jeżeli tak, to powinnaś zostać w Lucel-Lorze. Z tego, co wiem, jest już po wojnie. Jestem pewien, że udanie się do Talistanu będzie dużo gorszym wyborem, niż życie tu pod władzą Tharna.

– Mylisz się – odpowiedziała Dyana. – Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz.

– Nie – stwierdził Richius. – To ty się mylisz, sądząc, że w Talistanie będzie ci się żyło lepiej. Znam Talistan, Dyano. Będziesz żałowała tej decyzji do końca życia. Triinowie nie mają tam żadnych praw.

– Ale kobiety mają tam swoje prawa – upierała się Dyana. – Tak mi mówił mój ojciec.

– Mylił się. Jestem pewien, że mówiąc o Nar, nie myślał o Talistanie. W niektórych

provincjach Imperium kobiet nie traktuje się lepiej, niż w Lucel-Lorze. A w Talistanie jest najgorzej. Jeżeli pojedziesz tam z Tendrikiem, staniesz się po prostu jego własnością. Za sztukę złota sprzeda cię pierwszemu lepszemu.

– To nieprawda! – Widział, jak rośnie w niej irytacja, rozpacz i gniew. – Nie mów tak. Ojciec nigdy by nie skłamał. Kiedy dotrzemy do Talistanu, Tendrik pozwoli mi odejść. Tak obiecał.

– Niekiedy ojcowie nie wiedzą wszystkiego. Uwierz mi, wiem, co mówię. Jeżeli pojedziesz do Talistanu, do końca życia zostaniesz niewolnicą tego bałwana. Nigdy ci nie pozwoli odejść, bo wcale nie będzie musiał cię zatrzymywać. Naprawdę uważasz, że to lepsze, niż zostać tutaj?

– Ale tu nie ma dla mnie życia! – wybuchła gniewem dziewczyna. – Nie znasz mnie! Nie wiesz, dlaczego tu jestem, i dlaczego robię to, co robię!

– No to mi powiedz. Nie umiem znaleźć rozsądnego powodu, dla którego miałabyś godzić się na propozycję tego tłustego, wiecznie spoconego oberżysty. Co jest aż tak ważnego w Talistanie?

– Nie w Talistanie jest to coś, czego się boję.

– Aaa... I cóż to takiego?

– Tharn.

– Tharn? – powtórzył Richius. – Nie rozumiem. Dlaczego miałabyś się go obawiać?

Spojrzała na niego oczami przepełnionymi strachem i rozpaczą.

– Puść mnie. Pozwól mi odejść. Nie jesteś Triinem. Nie możesz wiedzieć, przez co przesłam, a ja nie umiem ci tego wyjaśnić.

– Przynajmniej spróbuj.

Dyana potrząsnęła głową.

– Nie.

– Nie pozwolę ci odejść, dopóki tego nie zrobisz – odpowiedział Richius spokojnie. – Wiem, że to dla ciebie nie ma sensu, ale nie mogę...

Dziewczyna zamknęła oczy.

– To trudne... Tak wiele się zdarzyło... tak wiele...

– Jeżeli mam ci pomóc, musisz spróbować mi zaufać.

– Chcesz mi pomóc? – spytała dziewczyna. – Dlaczego miałbyś to robić? Dostałeś już ode mnie wszystko, czego chciałeś...

Słowa te głęboko ugodziły Richiusa, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Proszę... – namawiał. – To nie takie trudne, jak myślisz. Może raz jeszcze opowiesz mi o swoim imieniu. Dlaczego ojciec dał ci nareńskie imię?

Wargi dziewczyny drgnęły, jakby się wahała. Richiusowi wydało się, że dziewczyna

zupełnie niepotrzebnie zastanawia się nad powodami jego ciekawości. W końcu jednak podjęła decyzję.

– Ojciec wierzył, że pewnego dnia Lucel-Lor i Nar staną się sojusznikami. Dał swoim dzieciom takie imiona, jakie nie będą raziły Narenów, tak byśmy mogli żyć wśród nich... i nie być obcy.

– Naprawdę? A więc popierał sprawę Daegoga – zachichotał Richius. – Widzisz... nie dzieli nas tak wiele, jak sądzisz. Gdzie teraz przebywa twój ojciec?

– Nie żyje.

Uśmiech Richiusa rozplynął się w nicość.

– Przykro mi...

– Bez powodu. Zabił go Tharn, nie Narenowie.

– Dlatego właśnie chcesz wyjechać? – spytał Richius. – Boisz się Tharna?

– Uciekam od wybuchu tej jego rewolucji. To wtedy zabił mojego ojca. Wiesz o Drolach, prawda?

– Nie za wiele. Wiem, że są fanatykami, którzy nienawidzą Narenów i Daegoga. Dlatego właśnie wystąpili do boju, by uwolnić Lucel-Lor od nareńskich wpływów.

– W zasadzie masz rację. Drolowie są fanatykami. I wrogami każdego, kto się im sprzeciwi. Mój ojciec był lojalnym poddanym Daegoga. Pomagał mu otworzyć kraj na wasze Imperium.

– I dlatego Tharn go zabił?

– Nie tylko – odparła Dyana z powagą w głosie. – Mój ojciec był bardzo wpływowym człowiekiem. Podobnie wpływowym człowiekiem był ojciec Tharna. Oboje z Tharnem byliśmy bardzo młodzi, kiedy nasi ojcowie nas ze sobą zaręczyli.

– Twój ojciec obiecał cię Tharnowi? Jak on mógł?

Dyana wzruszyła ramionami.

– Jak powiedziałam, było to dość dawno temu. Nikt wtedy nie wiedział, że Tharn stanie się tym, kim jest. Ojciec uważał, że układa dla mnie dobre małżeństwo. Sądził, że Tharn któregoś dnia zostanie znamienitym przywódcą, który wesprze sprawę połączenia Lucel-Loru i Nar. Później jednak, kiedy wybuchła rebelia, mój ojciec zachował wierność Daegogowi. On i Tharn stali się wrogami. Wtedy złamał swoją obietnicę i zerwał zaręczyny...

– I Tharn zabił twojego ojca?

Dyana skinęła głową.

– Od tamtej pory nieustannie przed nim uciekam. On zaś wciąż uważa, że wiąże mnie obietnica, jaką mu złożył mój ojciec. Jeżeli mnie znajdzie, zabije albo zmusi do małżeństwa. Wiesz już, dlaczego muszę uciekać aż do Nar? Słyszałam już o upadku



Daegoga. Jeżeli to prawda, to wkrótce Tharn będzie władał całym Lucel-Lorem. I nigdzie się tu przed nim nie skryję.

– Ale dlaczego jesteś sama? Nie masz innej rodziny? A matka?

– Matka opuściła ojca wiele lat temu. Była... przesadnie pobożna. Jak Drolowie, wierzyła, że Nar to wcielone zło. Któregoś dnia po prostu się obudziłam, a jej nie było. Miałam trzy siostrzyczki, które zabrała ze sobą. Od tamtego dnia ich nie widziałam. – Twarz Dyany zachmurzyła się jeszcze bardziej. – Może już nie żyją, albo przyłączyły się do Drolów... Nie wiem. Ale i one by mi nie pomogły, a ja nie chcę ich pomocy. Tylko Tendrik może mnie uratować.

– Nie – sprzeciwił się Richius. – Mam dla ciebie lepszą propozycję.

Podniósł dłoń, na której leżał rodowy pierścień i pokazał go Dyanie. Dziewczyna spojrzała ciekawie na sygnet.

– Co to takiego?

– Pierścień z godłem rodu Vantranów – odparł nie bez dumy. – Vantranowie władają Aramoorem. A ja jestem Vantranem.

– I co z tego? – Informacja nie zrobiła na Dyanie żadnego wrażenia.

Richius sięgnął po jej dłoń. Ku jego zdziwieniu dziewczyna nie cofnęła ręki, ale pozwoliła, aby włożył jej pierścień w palce.

– Mój ojciec jest królem Aramooru. Jeżeli pokażesz mu ten pierścień, pozna, że ja cię do niego posłałem. – Łagodnie zamknął jej rękę. – Tuż za miastem obozują ludzie z Aramooru, pod dowództwem mojego przyjaciela. Wkrótce ruszą do kraju. Mogę cię do nich zaprowadzić, a oni zabiorą cię do Aramooru i ochronią po drodze. W moim kraju będziesz bezpieczna, Dyano. Znacznie bardziej bezpieczna, niż w Talistanie.

Dyana zmrużyła podejrzliwie oczy.

– Dlaczego miałbyś zrobić dla mnie coś takiego? Niczego o mnie nie wiesz.

– Wiem, że jesteś sama – odpowiedział Richius. – I że potrzebujesz pomocy.

„I wiem, że jesteś piękna” – dodał w duchu. Patrzyła w milczeniu, zaskakująco szarymi oczami, w Richiusie zaś zapłonął ten sam ogień, który rozgorzał w nim poprzedniej nocy. Czuł ten ogień, kiedy ratował ją przed Gayle'em, i kiedy ponownie ujrzał ją w oberży. Wiedział, że nie będzie już tym samym człowiekiem. Myśl o jej odejściu wydała mu się nieznośną.

– Możesz się udać do Aramooru i zacząć tam nowe życie – zapewnił ją. – W jakimś miejscu, gdzie Tharn nigdy cię nie odnajdzie.

Palce Dyany mocno zacisnęły się na pierścieniu.

– Aramoor... – szepnęła. – Nie znam tego kraju...

– Talistanu też nie znasz – stwierdził Richius. – Uwierz, że mój wybór jest znacznie

lepsy...

– A ty, też tam wracasz?

– Nie – odpowiedział Richius ze smutkiem w głosie. – Nie mogę. W dolinie zostawiłem ludzi, którzy mnie potrzebują.

Dyana zmarszczyła brwi.

– Nie martw się – pocieszył ją. – Kiedy tylko będę mógł, wrócę do kraju.

– Jeżeli będziesz mógł – poprawiła go dziewczyna. – Ruszasz do Dring, prawda?

– Prawda.

– To możesz nie wrócić. Wiem co nieco o toczonej tam wojnie. To dla ciebie niebezpieczne. Powinniście stamtąd odejść, ty i twoi przyjaciele.

– Chciałbym – odpowiedział Richius. – Niełatwo to wyjaśnić, ale są powody, dla których jeszcze nie mogę wrócić do kraju. Ale jeszcze się zobaczymy.

– Co będziesz robiła w Aramoorze?

– Tym już zajmie się mój ojciec, jeżeli zechcesz. Przyznam, że niewiele możesz tam zdziałać, ale przynajmniej będziesz bezpieczna i nikt nie będzie rościł sobie do ciebie żadnych praw. – Spojrzał na nią i nagle zrozumiał jej ciche obawy. – Dyano, nie będziesz niewolnicą. Ani ja, ani nikt inny nie powie o sobie, że jest twoim panem. Zaufaj mi, proszę.

– Chciałabym... – odparła z trochę niepewnym uśmiechem. – Czy tam jest tak, jak mi mówił ojciec? Kobiety w Aramoorze są wolne?

– W Aramoorze tak. Ale nie w całym Nar. Mówiąc o Imperium, twój ojciec miał rację i mylił się jednocześnie. Są w nim piękne miejsca, ale są i takie, do których lepiej nie zaglądać. Jeżeli kiedykolwiek opuścisz Aramoor, możesz się znaleźć w niebezpieczeństwie. Nie wszędzie lubią Triinów.

Te słowa mocno Dyana zdumiały.

– Nie? Ale wasz imperator pomagał Daegogowi. To on was tu przysłał. Ojciec mówił, że to dobry człowiek.

– Twój ojciec miał dobre intencje, ale jego wiedza o Nar zawierała wiele nieścisłości. To prawda, że my z Aramooru przybyliśmy tu, by pomoc waszemu Daegogowi, ale ja myślę, że imperator chciał od was czegoś więcej, Dyano. Być może jest diabłem wcielonym...

– Co to znaczy? – zdziwiła się Dyana. – Teraz mówisz jak Drol. Chcesz powiedzieć, że Tharn ma rację?

– Nie – odpowiedział Richius tak szczerze, jak umiał. – Tharn też jest diabłem. Po prostu chciałem rzec, że świat poza granicami Lucel-Loru może okazać się inny, niż myślisz. W Nar może być ci trudno. Ale życie w Aramoorze jest dobre. Znajdziesz tam

bezpieczną przystań. I – mam nadzieję – szczęście.

– W takim razie pojedę do Aramooru – stwierdziła Dyana. – Nie jesteś taki, jak Tendrik. Ja... ja chyba ci zaufam.

Richius poczuł przemożną ochotę, by ją porwać w ramiona, ale zdołał się opanować. Zamiast tego patrzył, jak Dyana bada pierścień. Nawet w nikłym świetle migotał i skrzył się blaskami – i widać było, że dziewczyna jest nim oczarowana. „Nic dziwnego – stwierdził cierpko w duchu. – Ten pierścień jest dla niej przepustką do wolności”.

– Rankiem zaprowadzę cię do Edgarda – stwierdził. – Prawdopodobnie już niedługo zacznie się zbierać do powrotu.

– A co mam powiedzieć Tendrikowi? – dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Nic mu nie mów. I tak został sowicie opłacony. Nie sadzę, by poszedł do kogokolwiek na skargę. A teraz może zechcesz wrócić do kolacji? Kiedy skończymy, może pójdziemy na górę...

– Na górę? Po co?

– Porozmawiać – zapewnił ją. – I po to, żebyś się mogła porządnie wyspać. Wypoczynek będzie ci bardzo potrzebny. Droga przesmykiem jest bardzo długa...

– Ale tam jest tylko jedno łóżko – zaprotestowała. – I to dość wąskie.

– Jest też i krzesło – odpowiedział Richius. – Wystarczająco szerokie, bym mógł w nim spędzić całą noc, patrząc na ciebie.

Dziewczyna zaśmiała się melodyjnie.

– Richiusie Vantranie, czy ktoś już ci powiedział, że jesteś dziwnym człowiekiem?

## Jedenaście

– Nie jestem tchórzem, Edgardzie – stwierdził ochryple Dinadin. – I nigdy nie byłem.

Spojrząwszy w twarz diuka, pooraną zmarszczkami wyrytymi na niej przez wydarzenia i sprawy, których był świadkiem, wspomniął czasy, kiedy Edgard był pełen życia i wydawał się człowiekiem niepokonanym. Obaj z Richiusem byli wtedy dziećmi, bawili się wokół jego nóg i marzyli o przyszłości, w której staną się takimi jak on. Ale diuk się zmienił. Wszyscy się zmienili, bo wojna niszczyła nie tylko ludzkie ciała i wspaniałe budowle. Szpeciła ludzi, i odzierała ich z męstwa. Mogła też przekształcić przyjaciół we wrogów.

Siedzący na krześle Edgard odchylił się w tył, trzymając kubek pod brodą. Obozowa wrzawa na zewnątrz uciszyła się do łagodnego pomruku. Wkrótce miało zaświtać, na niebie jednak wisiał jeszcze księżyc, którego promienie przebijały się przez wyświechtany materiał okrycia namiotu. Jego światło mieszało się z żółtawym blaskiem płomienia pochodni, zabarwiając wino czernią i postarzając twarz Edgarda. Dinadin wychylił więcej kubków, niż mógł zliczyć, i zaczynała chwiać mu się już głowa. Ostatnia karafka była już pusta, i zostało z niej tylko kilka łyków w pucharze Edgarda.

– Wiem, że nie jesteś tchórzem – odparł Edgard. – To, co zamierzamy zrobić, wymaga męstwa.

– To dlatego czuję się jak tchórz? – spytał Dinadin. – Wiem, że to, co robimy, jest słuszne. Wojna w Dring jest z całą pewnością przegrana. Zostając tutaj, okazilibyśmy się durniami. Jak Richius.

– Już o tym mówiliśmy – stwierdził Edgard. – Opuszczasz przyjaciela. To nigdy nie jest łatwe. Ja zostawiłem Kronina na górze Godon. I żałuję tego czynu. Ale nie sposób było postąpić inaczej. Gayle tego nie rozumiał, nie rozumie i Richius. Ale to nie znaczy, by Richius był głupcem, Dinadinie. Lepiej się wstrzymaj z wygłaszaniem takich opinii.

– Przykro mi – stwierdził Dinadin ze smutkiem w głosie. – Nie powinienem tak mówić.

Wstał z miejsca, podszedł do wyjścia i, odchyliwszy płótno na bok, wyrzwał w ciemności. Noc była zimna i z przyjemnością wystawił twarz na podmychy wiatru. Na niebie płonęły miliony gwiazd. Nieopodal widać było pogrążone we śnie miasto żebraków – cmentarzysko opuszczonych budowli. Wokół niego rozciągał się obóz, gdzie wyczerpani jeźdźcy Edgarda drzemali, opierając głowy o zdjęte z koni juki. Od czasu do czasu któryś z nich, dręczony złymi snami, mamrotał coś pod nosem.

Zmęczony i lekko pijany Dinadin zaczął wędrówkę po wspomnieniach. Pomyślał

o swoim ojcu i małym braciszku, Alainie, którzy zostali w domu i pewnie się teraz zastanawiali nad tym, co się z nim dzieje. Ojciec ostrzegwał, że Triinowie są nieobliczalni i powinno się ich wygnać z Imperium. Uważał, że prawdopodobnie staną się przyczyną zguby Arkusa. Ojciec twierdził też, że Lucel-Lor było miejscem, gdzie uprawiano czarną magię. Wodząc wzrokiem po horyzoncie, młody wojak zastanawiał się nad tymi słowami i nad swoim miejscem w planach imperatora. W dzieciństwie ta ziemia go fascynowała, tajemnicza i niedostępna. Myślał wtedy, że pewnego dnia wraz z Richiusem przybędą tu jako poszukiwacze przygód i ludzie pragnący znaleźć fortunę... i że sami nauczą się czarów. Teraz był starszy i nigdzie nie widział magii, tylko mrok i śmierć. W pewnym osobliwym sensie jego ojciec, mówiąc o Triinach, nie mylił się. Cała ta krwawa zawierucha niszczyła wszystko, co wciągnęła w swój wir.

– Jestem zmęczony – stwierdził, mówiąc głównie do siebie. – Muszę już iść.

– Odpocznij jeszcze – zaproponował Edgard, przeciągając się, czemu towarzyszyły głośne trzaski w jego karku. – Myślę, że zrobię to samo.

– Dobranoc, Edgardzie – Dinadin chciał się pożegnać, ale zanim zrobił krok, diuk zawołał za nim:

– Dinadinie, poczekaj!

– Słucham?

– Znam cię od dawna... – stwierdził. – I znam twoją rodzinę. Nie ma pośród was tchórzy.

Dinadin uśmiechnął się smętnie.

– Dziękuję – stwierdził bez entuzjazmu, a potem odwrócił się do wyjścia.

Kroczył przez pogrążony we śnie obóz, ostrożnie mijając śpiących i rozstawionych dość przypadkowo wartowników. Był głodny, a wino uderzyło mu do głowy, gubił więc krok. Zimny powiew wiatru go otrzeźwił. Dinadin zadrżał i nagle pojął, że właściwie nie ma dokąd iść. Jedyńm jego majątkiem był koń, ruszył więc w stronę prowizorycznej stajni. Znalazł ją po drugiej stronie obozu. Stajenny chrapał oparty o skrzynię z żywnością. Na ziemi wokół niego leżały derki i fragmenty uprzęży. Szedł więc na tyle ostrożnie, na ile pozwalał mu jego otumaniony winem umysł. Znalazł konia tam, gdzie się spodziewał – zwierzę czekało ze zrezygnowanym spojrzeniem. Cicho minął stajennego i odwiązał wodze od palika.

– Witaj, przyjacielu – szepnął wierzchowcowi do ucha.

Usłyszawszy głos pana, zwierzę uniosło nieco głowę, witając go cichym parskaniem. Rodzina Lotts od wielu pokoleń hodowała najlepsze konie w Aramoorze, a może i w całym północnym Nar. Dobrze będzie wrócić do domu, choćby tylko po to, by ponownie zobaczyć łagodne wzgórza otaczające majątek jego ojca. Na jego cześć

zostanie wydana uczta – ojciec obiecał mu to przy wyjeździe. Będą tam bracia, a jego matka przygotowuje potrawy i zaprosi wszystkich przyjaciół i krewnych.

I nagle dobry humor Dinadina gdzieś się ulotnił. Nie wszyscy przyjaciele zejdą się na powitalnej uczcie. Niektórzy z nich już nie żyją, inni nadal będą tkwili w Dring. I oczywiście nie będzie Richiusa. Dinadin nagle zdał sobie sprawę z faktu, że być może tego akurat przyjaciela nigdy już nie zobaczy. Nigdy już razem nie wyprawią się na łowy w aramoorskie lasy, nigdy też nie pokłócą się o konie. Nie usiądą przy ognisku, piekąc dziczyznę, którą razem upolowali. A bez Richiusa Aramoor nie będzie już taki sam. W ogóle już nie będzie się tam czuł jak w domu.

– O Boże! – jęknął cicho. – Co mam robić?

Wyprowadził konia ze stajni. Zwierzę nie było osiodłane, stajenny jednak zostawił resztę uprząży na miejscu, kiedy więc Dinadin przeszedł nad chrapiącym chłopakiem, podniósł z ziemi grubą derkę i narzucił ją na koński grzbiet. Zamierzał podjąć krótką przejażdżkę, by nieco ochłonać i przemyśleć sprawy, a do tego nie było mu potrzebne siodło. Chciał po prostu odetchnąć świeżym powietrzem, innym od smrodu obozowiska, przejechać się samotnie w świetle księżyca, zanim na zawsze opuści to straszne miejsce. Wskoczył więc na koński grzbiet i ruszył na południe, ku rzece Sheaze. Pognał konia do galopu, by jak najszybciej oddalić się od obozu.

Wkrótce pochłonęła go dobiegająca kresu noc i mógł sycić się majestatem niebios. Zmusił konia do przejścia w trucht. Spojrzał na nieboskłon, który przytłoczył go swoim ogromem. Gwiazdy lśniły niezwykle jasno, migocąc jak odległe robaczki świętojańskie. Na wschodzie pojawiły się już pierwsze oznaki purpury wieszczące nadejście świtu. Dinadin czuł się lekko, jak pozbawiona ciała dusza. Nareszcie był wolny. Pomyślał o tym, że mógłby ruszyć na wschód, nie czekając na Edgarda, o podróży przez przesmyk bez starego diuka i jego rozbitej brygady. Nie chciał czekać, chciał już teraz pognać ku swej rodzinie.

– Żyję! – zawołał, wznosząc twarz ku bezkresnemu niebu i wybuchając śmiechem. Kochał Richiusa, ale życie kochał jeszcze bardziej, i teraz, kiedy ponownie należało do niego, czuł, że nigdy nie pozwoli sobie odebrać możliwości podejmowania własnych decyzji. Kiedy Arkus po niego przyjdzie, będzie gotów. Nie pozwoli się zresztą tak łatwo znaleźć.

Przez dłuższą chwilę w milczeniu siedział na grzbiecie swojego rumaka – sam przeciwko reszcie świata. Nie był tchórzem. Wiedział, że zrobił wszystko, co w jego mocy. Po prostu zrozumiał, że to nie jego wojna.

– Wracamy do domu – powiedział, zwracając się do konia. – Kiedy tam dotrzemy, będziemy jeździć do woli i...

Zamarł w pół zdania, ujrawszy nagle blask na niebie. Spojrzał na horyzont i zobaczył wschodzące słońce. Niebo jednak rozświetlił inny błysk, bezgłośny ale przerażający – błękitna błyskawica, która rozpromieniła cały nieboskłon. Zmrużywszy oczy, wbił wzrok w płonącą na krawędzi świata czerwień i zobaczył, że od wschodu nadciąga jakby purpurowa mgła.

– Boże Wszchemogący! – wyszeptał, przypomniawszy sobie to, co niedawno usłyszał. Szarpnąwszy wodze, obrócił konia w miejscu i uderzył go piętami w boki. Zapominając o obozie pod smoczym proporcem, pognał na zachód, w stronę miasta żebraków, gdzie był Richius.

\* \* \*

O świcie Richius nagle otworzył oczy. Po nocy spędzonej na krześle bolały go wszystkie kości, kiedy jednak zobaczył śpiącą na łóżku Dyane, odpoczywającą niczym niewinne dziecko, poczuł, że ból rozplywa się w nicość. Wyświechtane zasłony okienne były jeszcze zaciągnięte, Dyana jednak w półmroku była nie mniej piękna, niż w pełnym blasku dnia. Nie odeszła, ale ufnie poszukała bezpieczeństwa pod jego czujnym spojrzeniem.

Wierny swemu słowu, nawet jej nie dotknął. Nie poddał się nawet impulsowi, by się o nią – niby to przypadkiem – otrzeć. Nic zaufania, która ich połączyła, była bardzo wiotka i wiedział, że najmniejszy nacisk może ją zerwać. Odpoczęli w jego izbie, po prostu rozmawiając – i okazało się, że był to najbardziej romantyczny wieczór w dotychczasowym życiu Richiusa. Opowiedziała mu nieco więcej o swoim ojcu i o tym, jak uczył ją mowy Narenów. W zamian za to podzielił się z nią swoją rozterką wynikającą z faktu, że jego ojciec zostawił go samemu sobie w Lucel-Lorze.

Wkrótce po północy, akurat gdy Richius opowiadał o Dinadinie, dziewczyna zasnęła. Ponieważ temat był dość niewygodny, nie stropił się utratą audytorium. Dyana spała spokojnie, z wyjątkiem krótkiego epizodu koszmaru, który wydobył z niej jęk. Na szczęście koszmar nie trwał długo, i dziewczyna zaraz potem zapadła w głęboki sen. Richius, sam mocno zmęczony, odkrył wkrótce, że na krześle też się można zdrzemnąć. Całe godziny wpatrywał się na nią, ale w końcu sen go zmorzył i obudziły go dopiero pierwsze promienie słońca zagładającego do ich izdebki.

„Ojciec ją pokocha – pomyślał. – Będzie o nią dbał i dziewczyna znajdzie tam wreszcie odrobinę szczęścia”.

Szczęśliwa i bezpieczna. Niczego więcej dla niej nie pragnął. Sprawa tej dziewczyny była jedyną, co do której miał pewność, że postępuje godziwie, Dyana była jedyną osobą,

którą mógł uratować. Nie mógł ocalić Jimsina, Lonala i innych, którzy zginęli pod jego dowództwem. Ona nie zginie. W swoim czasie może mogłaby go nawet pokochać... ale to już byłoby za wiele szczęścia. Miał jeszcze wojnę do stoczenia i niełatwy wybór – albo się zhańbi, jak Edgard, albo zostanie szaleńcem, jak Gayle z Czarnej Kniei. Jeżeli nie będzie uważał, wojna pozbawi go resztek człowieczeństwa.

Ziewnął, głośniejsz niż zamierzał, i dźwięk ten obudził dziewczynę. Jej szare oczy nagle się otworzyły.

– Już rano – oznajmił rześko. Teraz ona ziewnęła.

– Naprawdę? – spytała. – Noc szybko minęła. Pospałeś choć trochę?

– Trochę pospałem.

Dyana usiadła i przełożyła nogi przez krawędź łóżka. Podwinęła jej się sukienka i Richius uprzejmie odwrócił wzrok.

– Zabiorę cię dziś do Edgarda – stwierdził. – Pójdziemy z samego rana, najpierw jednak coś zjemy. Jak sądzisz, czy Tendrik będzie miał dla nas jakieś śniadanie?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, ktoś z niebywałą energią załomotał w drzwi. Oboje podskoczyli jak spłoszone króliki. Richius ruszył w stronę łóżka, pod którym złożył swój pas i miecz. Był już w połowie drogi, kiedy usłyszał znajomy głos Dinadina.

– Richiusie! Jesteś tam?

– Kto to? – spytała Dyana.

Vantran parsknął śmiechem.

– Nie trap się. To Dinadin.

– Otwieraj, Richiusie! – grzmiał Dinadin zza drzwi. Kilkakrotnie szarpnął za klamkę, ale drzwi były zaryglowane. Dinadin ponownie uderzył pięściami w drzwi. Richius skoczył i odsunął rygiel. Drzwi stanęły otworem i do izdebki wpadł Dinadin. Był spocony i śmierdział jak rozlewnia wina. Richius podniósł dłoń do nosa.

– Przebóg, Dinadynie! – zawołał. – Co się stało?

Dinadin nawet nie pojrzał na Dyane, tylko zgiął się wpół i ciężko dysząc, wskazał dłonią okno.

– Tam – wychrypiał. – Na zewnątrz. Widziałeś, co się wyrabia?

– Co miałem zobaczyć? – spytał Vantran.

Dinadin podbiegł do okna i odciągnął na bok zasłonę.

– Patrz!

Na zewnątrz poranek ustąpił mrokowi. Przez brudne szyby nie sączyły się już żadne promyki słońca. Nad ziemią wisiał kobierzec czarnych chmur, gasząc światło wschodzącego słońca. Zaskoczony Richius podszedł do okna i spojrzał na ulicę. Triińscy żebracy wpatrywali się na niebo.



Zza zachodniej połaci horyzontu wypełzała ściana chmur, czarniejszych niż wszystko, co dotąd widział w życiu i płynąc ku nim, niczym mgła pożerała cały krajobraz. Front burzy wznosił się aż do niebios i wypluwał ku nim fontannę szkarłatnej mgły. Jej wierzchołek niczym wężowa korona wieńczyły błękitne błyskawice, a całe cielsko tego jakby żywego stworu przecinały eksplozje pomarańczowego ognia. Żywiół kipiał, wrzał i sunął ku miastu, emanując dziwną, niesamowitą aurą. Towarzyszący temu zjawisku głuchy grzmot sprawił, że w oknie zadrżały szyby.

– Mój Boże! – zachnął się Richius, odsuwając się od okna, by zjawisko mogli zobaczyć Dinadin i Dyana. – Co to takiego?

Dyana skoczyła do okna i przyciskając policzek do szyby, spojrzała ku wschodowi. Ujrawszy piekielną chmurę, zbladła i odskoczyła, jakby zobaczyła śmierć. Cofając się, wpadła na Richiusa, który chwycił ją w pól.

– Dyano, co to takiego?

– Śniłam o tym w nocy! – powiedziała. – Widziałam we śnie. To Tharn!

– Tharn? Ale jakże, u licha...

– Mówił do mnie – ciągnęła Dyana. – Powiedział, że po mnie przyjdzie.

Poczuł tchnienie grozy. Nagle przypomniał sobie wszystkie niewiarygodne rzeczy, jakie Edgard opowiedział o ich nieprzyjacielu. Zaskoczony ponownie wyjrzał przez okno. To, co widzieli, nie mogło być czymś innym, niż burzową chmurą. Po prostu nie było innego rozsądnego wytłumaczenia.

– Ależ Dyano... Nikt nie może czarami kontrolować pogody. To po prostu niemożliwe.

– To Tharn! – upierała się Dyana. – Przychodzi po mnie!

– Uspokój się – polecił Richius. – Nikt ci nie uczyni krzywdy. Nie dopuszczę do tego, obiecuję.

– Jest tak, jak mówił Edgard – jęknął Dinadin. – Dokładnie tak, jak opowiadał. To Tharn!

– To nie Tharn! – zagrzemiał Richius. – Nie mam pojęcia, co to takiego, ale z pewnością nie Tharn!

Rozjuszony uporem przyjaciela Dinadin ruszył na Richiusa.

– Zbieraj rzeczy! Musimy uciec z miasta, zanim uderzy w nie ta burza!

– Ruszemy do przesmyku – zgodził się Richius. – W górach są jaskinie, w których będziemy mogli się ukryć. Dinadinie, skocz na dół i przygotuj konie. Mój powinien czekać obok tego małego Triina. Musimy się pospieszyć.

– A co z Edgardem?

– Nie martw się o niego! Idę o zakład, że zdążył zobaczyć nadejście tej burzy. Jest

dostatecznie doświadczony, by poszukać schronienia w przesmyku. Pospieszmy się!

Bez jednego zbędnego słowa Dinadin wyskoczył z izby, i zaraz potem Richius usłyszał łomot jego butów na schodach. Na zewnątrz robiło się coraz mroczniej. Richius puścił Dyanę i schylił się po swoje buty.

– Chodź, Dyano – powiedział, wzuwając buty. – Jeżeli się pospieszymy, zdążymy skryć się przed burzą w górach przesmyku. Możemy tam przeczekać, aż...

Odwróciwszy się ku dziewczynie, zobaczył ją stojącą nieruchomo i patrzącą w okno.

– Za późno – stwierdziła z goryczą w głosie. – Lorrisie i Pris, on mnie w końcu znalazł.

Richius porwał ją za rękę i pociągnął ku drzwiom.

– Chodźże wreszcie!

Wyciągnął ją na korytarz.

– Nie będę się z tobą spierał – powiedział, gdy oboje zbiegali po schodach. – Już ci mówiłem, że nie dopuszczę, by cokolwiek ci się stało.

– Przestań, Richiusie – zawołała Dyana, zatrzymując się na półpiętrze. – To magia Drolów. Używa magii, by mnie znaleźć! Nie zdołam uciec. Musisz mnie zostawić, bo i ty zginiesz!

– Dyano! – Richius rzucił dziewczynie ostre spojrzenie. – Natychmiast skończ z tymi bzdurami. Dotarłaś aż tutaj. Nie poddawaj się! Nie pozwól, by ten drań zatryumfował.

Dyana zacisnęła wargi, a w jej oczach błysnęła odrodzona determinacja.

Na dole schodów odkryli, że gospoda jest pusta. Nawet Tendrik gdzieś przepadł. Drzwi wejściowe były szeroko otwarte i dał przez nie wiatr. Słyszeli dobiegający z zewnątrz ryk zbliżającej się nawałnicy i głosy przerażonych gapiów, którzy zebrali się na ulicach, by obserwować gnającą ku miastu zagładę.

– Posłuchaj – odezwał się Richius. – Znam miejsce w górach, gdzie będziemy bezpieczni, dopóki ta burza nie minie. Jest dobrze ukryte i nikt nas tam nie znajdzie. Nawet ten... Tharn. Ale musimy się pospieszyć.

Zanim zdążył odpowiedzieć, do tawerny wpadł Dinadin.

– Konie gotowe!

– Chodźmy! – rzekł Richius, kierując Dyanę ku drzwiom. Na zewnątrz zobaczył czekające i osiodłane konie. Dinadin już wspinał się na siodło.

– Ta burza jest coraz bliżej – stwierdził przyjaciel. – Musimy już ruszać.

Richius kiwnął głową. Mroczne, ołowianoszare czoło burzy było już nad dachami Ackle-Nye. Zjawisko tak naprawdę dotarło już znacznie bliżej, a po ulicach snuły się pasma mgły. Czuł, że kamienie bruku, na którym stał, drżą od nadzwyczajnej mocy burzy. Stojąca obok niego Dyana patrzyła, jak burza wyciąga swoje ramię nad miastem.

Richius delikatnie objął jej kibić.

– Nie martw się. Nasze konie wyprzedzą tę nawałnicę – obiecał jej. Skoczył na siodło i ujął w rękę przewieszoną przez jego łęk wodze. – Chodź – powiedział, wyciągając drugą dłoń ku Dyanie.

Dziewczyna ujęła rękę i szybko wskoczyła na koński grzbiet, oburącz obejmując Richiusa w pasie. Koń jakby zbudził się ze snu i parsknął rażno, czekając na polecenia, a w następnej chwili już gnali ulicami Ackle-Nye, aż echo niesło się po bruku starych zaułków. Mijali grupki zmartwionych i przestraszonych kupców oraz triińskich żebraków, którzy utkwili spojrzenia w zbliżającym się od wschodu olbrzymie. Richius jednak, gnając na zachód, nawet się nie obejrzał. Docierali już do granic miasta. Za kilka minut mieli dopaść do przesmyku i bezpiecznego schronienia w Górach Żelaznych. Żadna burza, magiczna czy nie, nie zdoła poruszać się tak szybko, jak oni.

Wkrótce dotarli do wylotu ostatniej uliczki. Teraz już wyraźnie widzieli góry, których nie przesłaniały żadne budowle Ackle-Nye. Richius uśmiechnął się tryumfalnie. Od przesmyku Saccenne dzielił ich tylko most na Sheaze.

– Richiusie! – zawołał nagle Dinadin. – Obóz Edgarda!

Richius obejrzał się przez ramię. W oddali widział obozowisko księcia wojennego. W przeciwieństwie do zwykłego widoku, wszystko było jakby zanurzone we mgle. Tumany nadciągającej burzy otuliły obóz migotliwą zasłoną. Choć Richiusowi wydało się przez moment, że widzi tam jakiś ruch, wiedział, że ludzie Edgarda są zgubieni.

– Mój Boże – westchnął, zatrzymując konia. – Co to jest?

Dinadin zatrzymał swego konia tuż obok wierzchowca Richiusa. W całym, pogrążonym w niesamowitej mgle obozie Edgarda migotały jakieś światełka. Ludzie i konie rozpierzchli się w daremnej ucieczce przed złowrogim cieniem burzowej chmury. Była już widoczna cała, a jej podobna do kowadła głowa nabrzmiewała, mrok nabierał głębi i Richiusowi wydało się nagle, że w stronę obozu diuka kroczy jakiś groźny stwór na łapach z dymu i kurzu.

– Możemy coś zrobić? – dopytywał się niespokojnie Dinadin.

Richius zagryzł wargę. Opanowało go obezwładniające poczucie własnej niemocy.

– Nic.

– Ale Edgard...

– Wiem! – krzyknął Vantran. – Niech im Bóg pomoże!

Burza była już nad obozem. Rozmigotana mgła gęstniała, zasnuwając cały teren nierzeczywistą kurtyną. Richius nie zwracał uwagi na szarpiącą go za koszulę Dyanę, ignorował też pełznące ku nim macki mgły. Tkwił w miejscu, rozdzierany pragnieniem ucieczki i chęcią pomocy towarzyszom broni. W głębi serca czuł jednak, że tamci są

zgubieni. Nie ruszał się więc, niezdolny do odwrócenia się do nich plecami... i nagle zobaczył, że niebo pęka niczym skorupka zgniecionej jajki.

Powietrze rozdarł huk, podobny do ryku tysięcy dział. Z gromowej korony runęły w dół macki błyskawic, które uderzyły w obóz, wyrzucając w górę piach, kamienie i strzępy porozdzieranego płótna, którym opinano namioty. Dyana zmrużyła oczy i odjąwszy dłonie od pleców Richiusa, zakryła sobie uszy. Richius i Dinadin uczynili to samo, ale choć błyskawice ich oślepiały, żaden z nich nie mógł odwieść wzroku od tego, co widzieli przed sobą. Zaraz potem uderzyły kolejne, potężniejsze gromy. Richius poczuł, że siła wybuchów odrzuca go w tył. Z burzowej chmury raz po raz biły pioruny, które mimo zasłony z mgły, bezbłędnie raziły w obóz.

– Ruszaj. Richiusie! – usłyszał Vantran nagłący okrzyk Dyany. – Pospiesz się!

Richius był niemal niezdolny do ruchu. Wiedział, że powinien zadbać o to, by jak najrychlej znaleźć kryjówkę, teraz jednak mógł tylko myśleć o Edgardzie. Miał w oczach łzy... po chwili jednak dotarło do niego ponowne wezwanie dziewczyny.

– Richiusie, ruszaj! Mgła jest coraz bliżej! Musimy uciekać!

Powoli Richius odwrócił się plecami do obozu diuka.

– Wybacz, przyjacielu – wyszeptał, a potem uderzył konia ostrogami, zmuszając go do galopu.

Tuż za nim pękał bruk uliczny, rozwierając szczeliny niczym głodne paszcze. Richius gnał konia w stronę mostu, a Dinadin pędził tuż za nim. Po kilku minutach ujrzeni most rozpinający nad rzeką swe długie, zbudowane przez Narenów przęsła. Richius słyszał grzmot fal Sheaze, przebijający się przez huk gromów i spostrzegł, że błyskawice na chwilę ustały. Zaintrygowany obejrzał się przez ramię, patrząc na miejsce, gdzie nie tak dawno rozłożyli się obozem ludzie Edgarda. Ziemię wciąż otulały pasma niesamowitej mgły, teraz jednak dostrzegał przez nią płonące wszędzie ognie pożarów. Ku niebu uniosły się widmowe pasma dymu. W obszarze ogarniętym mgłą zapanował niezwykle bezruch, a cały zniszczony obóz otuliła przerażająca cisza. Burzowa chmura, poganiana przez wzmagający się wichur, ruszyła teraz w ich stronę...

Richius zaklął i ponownie spiął konia ostrogami. Do mostu było już tylko kilka kroków. Obejrzał się przez ramię na ścigającego ich burzowego potwora. Czoło burzy zmieniło barwę na mgliście purpurową, jak wino. Migotało i drżało, wysuwając ku nim palce ze szkarłatnej mgły. Kopyta ich rumaków tonęły już w płytkim jeziorze oparów.

– Uda się! – krzyknął Richius. – Obyś szczeł, pokrako! Ruszaj!

Ale gdy czoło burzy wzniosło się nad nimi niczym niszcząca wszystko fala, Vantran zrozumiał, że nie uciekną. Dotarli do mostu, gdy chmura ich dopadała, otulając mgłami. W powietrzu wyczuł smród dymu i pierwsze podmuchy. Dyana objęła go mocniej,

przylegając do jego pleców. Gnający tuż za nim Dinadin zaryczał, wykrzykując jego imię. Odwrócił się ku przyjacielowi, zamiast niego jednak ujrzał tylko gęstniejącą szybko purpurę. Jego wierzchowiec, nie mogąc przedzierać się dalej, zarżał i szarpnął się wstecz. Richius podjął próbę zapanowania nad coraz bardziej przerażonym zwierzęciem, uderzając cugłami i szarpiąc wędzidło, kolejny podmuch wichury wyrzucił go jednak z siodła. Jak przez mgłę zobaczył, że Dyana jest tuż za nim. Zaraz potem pochłonęła ją mgła.

– Dyano! – wrzasnął, wyciągając na oślep ramiona. Odpowiedział mu jej krzyk, Vantran skoczył więc przed siebie, sięgając w stronę, z której dobywał się głos dziewczyny. Znów usłyszał swoje imię. Wiedział, że dziewczyna jest gdzieś tuż obok, wiatr jednak się wzmógł i młodzieniec z trudem utrzymywał się na miejscu. Poruszał się jak w sennym koszmarze, czując ołów w stopach, brak tchu i ból w napiętych mięśniach łydek. W końcu mignęła mu twarz Dyany. Leżała twarzą w dół na moście, usiłując wczepić się dłońmi w deski. Wyglądała tak, jakby dłoń niewidzialnego olbrzyma ściągała ją w otchłań.

– Pomóż mi, Richiusie! Coś mnie trzyma!

Richius rzucił się ku niej, z trzaskiem lądując na deskach. Zdołał złapać ją za palce w tej samej chwili, gdy dziewczyna uniosła się w powietrze.

– Nie puszczaj! – zawołał. – Trzymam cię!

– Nie dam rady! – zawołała, usiłując wzmocnić uścisk.

Richius, zaczepiwszy nogą o palik bariery, znalazł punkt oparcia i wyciągnął drugą rękę. Dziewczyna sięgnęła, próbując chwycić podawaną jej dłoń. Vantran usiłował wychylić się jeszcze bardziej, ale próba okazała się bezowocna. Zaklął w duchu mocniej i zacisnął dłoń na jej palcach. Usłyszał trzask pękających delikatnych kostek i okrzyk bólu Dyany, nie poddał się jednak, i spróbował wzmocnić chwyt. Dziewczyna podjęła ponowną próbę uchwycenia jego drugiej dłoni, cały czas jednak rozdzielała ich odległość równa może grubości włosa. Burza tymczasem naparła i zadęła z nową energią. Richius poczuł, że dłoń dziewczyny wysuwa się z jego spoconych palców. Teraz trzymał ją tylko za czubki palców.

– Richiusie!

– Nie!

Wymknęła mu się i znikła we mgle. Richius zawył, z trudem podnosząc się na nogi. I ku swemu zdumieniu poczuł, że napór burzy ustępuje. Oszołomiony patrzył, jak mgła spływa z mostu i unosząc się w górę, rozmywa w nicość. Przerażony ruszył za nią chwiejnym krokiem pewien, że Dyana jest tam gdzieś cała i nietknięta. Burza jednak ustępowała przed nim zbyt szybko – aż w końcu, z twarzą zalaną łzami, padł na kolana.

Chmura rozmyła się całkowicie. Z tyłu dobiegło go nawoływanie Dinadina. Richius nawet się nie odwrócił.

Odebrano mu Dyanę.

## Dwanaście

Lucyler ocknął się, czując na sobie łaskotanie pajęczych łapek. Otworzył oczy w samą porę, by zamknąć usta, do których najwyraźniej pajak zmierzał. Zaklął i zrzucił go z twarzy szybkim trzepnięciem dłoni. Pajak schował się w mokrej słomie siennika, zanim jednak znikł w jej pasmach, rozgniotła go dłoń Lucylera, czemu towarzyszyło nieprzyjemne mlaśnięcie. Triin spojrzał na mizerne resztki natręta, a potem strzepnął je z pryczy. Pajaki były plagą lochów pod Falindarem.

Podniósł wzrok i spojrzał na zasnute pasmami brudu sklepienie swojej celi. Zaczął się przyglądać krociom pajęczyn obciążonych pękami jajeczek. Tkwił tu dostatecznie długo, by móc oglądać wylęgi kilku pokoleń. Zaczął je nawet badać, z nadmiaru wolnego czasu przyglądając się godzinami, jak młode uwalniały się ze skorup. Ich tłusta matka nigdy im w tym nie pomagała, zamiast tego jednak każde małe nagradzała za wysiłki schwytaną stonogą. Była wielka i prawdopodobnie siała groźę w swoim miniaturowym światku. Miała po bokach żółtawe pasy i przypominała Lucylerowi ośmionogiego tygrysa. Kiedy ruszała z miejsca – co zresztą nie działo się zbyt często – sunęła wdzięcznie po perlistej od mgły pajęczynie, najczęściej, by zabić stworzenie, które miało nieszczęście trafić do jej sieci. Co dziwne, Lucyler przyzwyczyił się do niej i niemal ją polubił. Była jedynym towarzyszem, jaki mu pozostał.

Lucyler służył w Falindarze całe swe życie, od czasu, kiedy nauczył się władać jiiiktarem, nigdy jednak nie zajrzał do jego lochów. Jako jeden z wojowników Daegoga był zbyt wyniosły, czysty i szlachetny, by plamić dłonie tym, co się działo pod cytadelą. Do takich czynów Daegog miał innych. Byli to ludzie o mrocznych, posępnych umysłach i twarzach, którzy przemykali przez pałac niewidoczni dla nikogo, a swoją pracę wykonywali skrycie i bez rozgłosu. Oczywiście wojownicy widzieli jedynie to, co chcieli widzieć. Lucyler wiedział, że pod pałacem jego suzerena są nisko sklepione lochy, nigdy jednak nie zadał sobie trudu, by poznać je bliżej. Nie jego zresztą rzeczą było sprzeciwianie się zastanemu porządkowi.

Teraz jednak dla osadzonego w głębokich lochach Lucylera czas stracił wszelkie znaczenie. Wiedział, że od dnia, w którym Voris go tu umieścił, upłynęło wiele dni, wyrosła mu bowiem broda, nie potrafiłby jednak rzec, ile dokładnie. Mógł to być tydzień, mogło być i więcej. Początkowo próbował ocenić upływ czasu wsuwanymi przez kraty posiłkami, te jednak zjawiały się tak nieregularnie, że zupełnie zbijało go to z tropu. Wiedział z pewnością tylko to, że pajęczki leży się rankami. Udało mu się podsłuchać jedną z rozmów pomiędzy strzegącymi go Drolami, którzy rozmawiali o pięknie świtu.

Lucyler pamiętał świty w Falindarze. Istotnie, były wspaniałe.

Tu na dole nie było jednak ani słońca, ani księżycy i gwiazd. Jedyne drżące światło dawała pochodnia, wbita w ścianę tuż poza zasięgiem rąk więźnia. Niektórzy ze strażników gasili niekiedy pochodnię, zostawiając go samego w mroku, głębokim jak szaleństwo. Cela kurczyła się wtedy, a mrok napierał i dusił. W katakumbach tkwili i inni – Lucyler słyszał ich niewyraźny bełkot, w tym krętym labiryncie osadzono ich jednak zbyt daleko i wołając, nie mógł się doczekać odpowiedzi. Do rozmów została mu więc jedynie pajęczycza, która odpowiadała milczącym spojrzeniem swoich czarnych lśniących fasetkami oczu. W przeciwieństwie do Lucylera z łatwością mogła wyjść z celi, nigdy jednak tego nie robiła. Wystarczająco zadowalał ją jej mały, brudny świątek.

Od doliny Dring oddzielała ich daleka droga, podczas której Lucyler raz tylko widział Vorisa, na samym początku. Zaraz potem opaską zakryto mu oczy, związano go i jak zwój dywanu rzucono na tył wozu, podczas długiej, wijącej się wśród skał drogi do Falindaru. Nawet po przybyciu na miejsce nie zdjęto mu opaski, by mógł podziwiać strzeliste wieże niegdysiejszego domu. Nie miało to jednak już znaczenia. Poznał zapach cytadeli – osobliwy zapach. Była to gęsta od soli woń pobliskiego oceanu. Zrozumiał natychmiast, że przywieziono go do Tharna...

– W jakim celu? – zaczął się leniwie zastanawiać, mówiąc do pajęczycy. Nie usłyszał odpowiedzi, nie udzielił mu jej też żaden z patrolujących korytarze Drolów. Wszyscy nosili szkarłatne szaty klanu Vorisa, a przemawiali do niego jedynie wtedy, gdy zamierzali go obudzić lub splunąć mu w twarz z okrzykiem: „Zdrajca!” Wszystko inne ogarniał mrok tajemnicy – i gdyby w celi znalazł coś, z czego można by skrócić linę, albo odszukał jakikolwiek ostry przedmiot, od tygodni już byłby trupem.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w sklepienie, przyglądając się pająkom i ich misternie tkanym sieciom. Wspominał, jak dobre było niegdyś życie w Falindarze. Wszystkiego miał w nadmiarze: jedzenia, wina, towarzystwa pięknych kobiet... Jednym słowem miał to, czego kiedykolwiek może zapragnąć mężczyzna. Daegog był hojny dla tych, którzy mu służyli. Lucyler zamknął oczy i zaczął sobie wyobrażać, że je pyszny posiłek. Kończył właśnie delikatną pomarańczę, kiedy usłyszał jakiś dźwięk dobiegający z korytarza. Licząc na to, że jest to jeden z owych przypadkowych poczęstunków, podniósł się chwiejnie z pryczy i podszedł do zardzewiałych krat. Z głębi korytarza ktoś szedł ku niemu, powłócząc nogami.

To był jeden z drolskich kapłanów. Łatwo go było odróżnić od wojowników, miał bowiem na sobie szatę barwy szafranu. Szedł z wysoko uniesioną głową, z odrzuconymi na plecy długimi włosami. Kroczył dość niepewnie, jakby walczył z bólem, albo jakby go czymś oszołomiono. Jednak jego młode oczy spoglądały bystro i uważnie, a wyglądał na



młodsze od tych, którzy odczuli powołanie. Doszedł do celi Lucylera, przystanął i uśmiechnął się smutno.

– Nie trzeba mi klechy! – odrzekł ostro Lucyler. – Odejdź!

Mędrzec podszedł bliżej ku kratom.

– Czy Szakał w istocie jest martwy? – Jego głos był silny, dźwięczny i melodyjny.

Kiedy przemówił, w oczach pojawił mu się hipnotyczny blask.

– Owszem – odparł Lucyler i rozkaszał się okropnie.

Mędrzec poczekał, aż atak się skończy.

– Gdzie zginął? – spytał. – I jaką śmiercią?

Lucyler parsknął śmiechem.

– A co, przyszedłeś mnie wypytywać? Jeżeli tak, przyślijcie Tharna, może jemu pójdzie lepiej.

– To ja jestem Tharnem – odpowiedział przybysz.

Przyjęcie tego, co usłyszał, zajęło Lucylerowi kilka sekund, zaraz potem jednak całą swą osobą rzucił się ku kratom, wyciągając dłonie z zakrzywionymi w szpony palcami, Tharn jednak stał o włos za daleko. Rozdzielała ich odległość może cała, ale Tharn nawet nie mrugnął powieką.

– Diable nieczysty! – zagrział Lucyler, zwijając dłonie w pięści i potrząsając nimi tuż przez obliczem Tharna. – Czego ode mnie chcesz?

– Mówisz, że jesteś Lucylerem z Falindaru, czy nie tak?

– Nie inaczej – splunął Lucyler.

Tharn spokojnie otarł plwocinę z rękawa, jednocześnie uważnie przyglądając się Lucylerowi.

– Jeden z moich oprawców – stwierdził Drol. – Ale wcale cię nie pamiętam.

– Jestem wojownikiem! – oznajmił Lucyler, zbierając w sobie resztki godności. – Nie miałem niczego wspólnego z więźniami.

Odwrócił się od Drola, a potem usiadł na sienniku, zupełnie ignorując gościa.

– Jesteś jednak jednym z ludzi Daegoga – ciągnął Tharn. – Dobrze. Z pewnością więc docenisz zaszczyt obejrzenia jego ostatnich chwil.

Lucyler poderwał się.

– Co masz na myśli?

– Słuchaj uważnie tego, co powiem. Stało się tak, że nie tylko dolina Dring wpadła w moje ręce. Moja rewolucja zagarnęła i górę Godon. Daegog jest moim więźniem, jak i ty. W tych lochach osadziłem również Kronina, a także pozostałych wodzów, którzy mi się sprzeciwili. Ty masz odpowiedzieć za Kalaka.

– Drolu, odpowiadam jedynie przez Daegogiem!

– Przed Daegogiem? – zjadliwie spytał Tharn. – A to dlaczego? Dlaczego obdarzyłeś takiego człowieka swoją wiernością? Jest zdrajcą triińskiego ludu. Czyżbyś o tym nie wiedział?

Lucyler zaśmiał się cicho.

– Tharnie, to ty jesteś zdrajcą. Możesz przywdziewać płaszczyk tej twojej martwej religii, Triinowie jednak wiedzą, kim naprawdę jesteś.

– Tak? Więc kimże jestem?

– Szaleńcem.

Z twarzy Drola natychmiast znikł wyraz pozornej życzliwości.

– O tak, w Nar nas wszystkich uważają za szaleńców. Wiesz o tym? Czy wiesz także, że historie o nas rozpełzają się po Nar jak niesione wichrem, a małym dziatkom opowiada się bajki, w których przedstawiani jesteśmy jako potwory. Mówi się, że nasza skóra jest biała, bo taką mają wampiry... i malcy w to wierzą. Lucylerze z Falindaru, czy wiesz, kim byłeś w Nar? Wybrykiem natury!

Lucyler skrzywił się nieprzyjemnie.

– Ależ nie zaprzeczaj, wiesz, że mam rację! Mieszkałem wśród nich i widywałem wyraz zdumienia i odrazy na ich twarzach. O, z pewnością potrafia wznosić oszalamiające budowle, ale to ludzie miałkiego umysłu. Są też okrutni, a ich przywódca jest nienasyconym demonem. – Podszedł bliżej. – Zastanawiam, się czy znasz prawdę o ich imperatorze. Tak łatwo nazywasz ludzi szaleńcami. Jeżeli chcesz dowiedzieć się o nich czegoś więcej, zbadaj Arkusa z Nar.

– Ciekawe... – przyznał Lucyler. – Może jesteście bliźniakami.

– Twoja wiara w moje szaleństwo wynika z tego, że błędzisz. Przewidziałem to. Dlatego właśnie przyprowadzono cię tutaj, byś mógł na własne oczy przekonać się, jak jest naprawdę. Chodź, pozwól, że coś ci pokażę...

Początkowo Lucyler nie ruszył się ze swego siennika, potem jednak, ujrawszy co Tharn robi, wstał i podszedł do krat. Mędrzec rozwiązał pas i zsunął szatę z ramion.

– Pozwól, że ci ukazę szlachetność sprawy, za którą się biłeś – stwierdził Tharn. Obnażywszy całe plecy, odwrócił się ku celi, by Lucyler mógł wszystko zobaczyć wyraźnie. – Oto, jak wygląda dobroć twego Daegoga!

Plecy Tharna pokrywała sieć krzyżujących się ze sobą blizn. Każdy cal jego skóry znaczyły pasma nienaturalnej bieli – pozostałości po katowskim biczu. Na przemian białe i czerwone smugi łączyły się w jakąś ogromną, nabrzmiąłą bliznę, przypominającą bardziej gadzie łuski niż plecy człowieka.

– Piękne, prawda? – mruknął Tharn. Naciągnął już wierzchnią część szaty i patrzył teraz na Lucylera nieodgadnionym spojrzeniem. – Oprawcy Daegoga byli bardzo

rzetelni. A Daegog patrzył na to... i sycił się każdą chwilą. A nad kolanami pastwili się za pomocą bambusa. Kiedy pada, staje się kaleką, jak każdy ze starców.

Lucyler zamarł z przerażenia.

– Oto, co spotykało tych, którzy ośmielili się sprzeciwić twojemu Daegogowi, Lucylerze z Falindaru. – Tharn szerokim gestem wskazał otaczające ich katakumby. – To nie pozbawione wielu uroków miejsce było przez wiele miesięcy moim domem. Jak długo już tu siedzisz? Tydzień? Może trochę dłużej... A przecież niewiele już brakuje, byś oszalał bez reszty, prawda?

– Doznałeś wielu krzywd z jego strony – przyznał Lucyler.

– On sprowadził nieszczęście na wszystkich Triinów! – zagrział Tharn. – Dla własnych, samolubnych powodów ściągnął tu tych nareńskich diabłów! Żył jak król, gdy innym głód rozdzierał wnętrzności! Wiedziałeś o tym?

– Owszem, miał wady... wiem – odpowiedział Tharn. – Ty jednak okazałeś się nieszczęściem po stokroć większym! Twoi Drolowie to diabły wcielone!

– Jeżeli w to wierzysz – westchnął Tharn – to znaczy, że o moim narodzie wiesz mniej, niż sądziłem.

– Twój naród to głupcy, a oddanie, z jakim służą twojej religii, jest żalosne.

– Lucylerze z Falindaru, jesteś tu po to, by się przekonać i zaświadczyć o czymś całkowicie przeciwnym. Miał tu być Szakał...ale teraz ty go musisz zastąpić.

– Co mam zaświadczyć?

– Nie jestem człowiekiem, za jakiego mnie uważaliście – stwierdził Tharn. – A teraz muszę to pokazać wam wszystkim.

– Co może okazać się zadaniem ponad twoje siły – stwierdził Lucyler z przekąsem.

Tharn uśmiechnął się lekko. Był to piękny uśmiech, niewinny niczym u dziecięcia.

– Chciałem, żeby sam Kalak zobaczył to, co zamierzałem zrobić z Daegogiem. Chciałem, by zobaczył, co zamierzałem zrobić z Lucel-Lorem. Zajmiesz jego miejsce?

– A mam jakiś wybór? – spytał Lucyler z goryczą. – Jestem twoim więźniem. Możesz ze mną zrobić, co zechcesz.

– Ale tego właśnie nie pragnę. Prawdą jest, że jesteś więźniem, podobnie jak wodzowie, którzy opowiedzieli się przeciwko mnie. Ale osadziłem was tutaj nie po to, by zadawać wam cierpienia. Chciałem dać wam nauczkę. Chciałem, byście zrozumieli, jak to jest tu, na dole, gdy Daegog przychodzi, by się zabawić. Chciałem, byście poznali przynajmniej część mojego bólu... A na koniec chciałem, byście poznali prawdę o tym człowieku.

Lucyler musiał uciec ze spojrzeniem w bok. To, co uczyniono Tharnowi, było głupie, zbrodnicze i nie ulega wątpliwości. Niektórzy nawet mówili, że to dlatego przywódca

Drolów tak bardzo zniechęcił Daegoga. Patrząc na pociętą razami rzemienia skórę Tharna, Lucyler pomyślał, że mógłby podzielać tę nienawiść.

– Nie licz na to, że wyprę się Daegoga – odparł w końcu znużonym głosem. – Wygrałeś. Ciesz się swoim zwycięstwem.

– Nie jest to tylko moje zwycięstwo. To wielki dzień dla wszystkich Triinów. I ja ci to udowodnię. – Tharn przysunął się do krat. – Wiesz, dlaczego Daegog tam mocno związał się z tymi nareńskimi diabłami?

Lucyler otworzył już usta do odpowiedzi, wstrzymał się jednak, wiedząc, że by skłamał. Daegog głosił publicznie, że zadaje się z Narenami, by poprawić warunki życia wszystkich Triinów, prawdy jednak nie dało się ukryć. Daegog był tak samo żądny władzy, jak imperator Narenów.

– Jego pobudki nie mają dla mnie znaczenia – odpowiedział w końcu jeniec. – I nie trzeba mi o nich przypominać.

– O, i w tym bardzo się mylisz. Powody, którymi się kierowałeś, są równie mroczne, jak jego serce. Sam się do nich przyznał.

– Przyznał się? – zapytał Lucyler z przekąsem. – Więc znów bat był w robocie, tyle, że ty byłeś po jego drugiej stronie.

Tharn nie odpowiedział, ale błysk w oku Droła zdradził Lucylerowi, że jego domysł był trafny.

– Czy zemsta należy do cnót, jakimi szczyć się Drołowie? – naciskał Lucyler. – Czy to nie waszego boga, Lorrisa, nazywają ojcem przebaczenia?

– Nie drażnij mnie! – ostrzegł Tharn. – Lorriss był także mieczem niebios. I mnie wybrał na narzędzie spełnienia jego woli. Nie dopuszczę, by mi się sprzeciwiał heretyk.

Lucyler parsknął z odrazą.

– I ty naprawdę wierzysz w te brednie? A może to tylko sposób nakłonienia innych, by postępowali według twojej woli? Słyszałem opowieści o waszej sekcji jeszcze kiedy byłem małym chłopcem. Pięknie brzmiały. Ale to bajki dla dzieci, nie dla dojrzałych mężczyzn.

– Nie wierzysz w „dotyk niebios”? – spytał Tharn.

– Nie, nie wierzę. Tylko głupcy mogą uwierzyć w coś takiego.

Tharn uśmiechnął się lekko.

– Skąd czerpiesz tę pewność? Nigdy nie byłeś ciekaw, czy to czasami nie jest prawda?

– Ciekaw? – zdziwił się Lucyler. – Jakże możesz używać tego słowa? Zabijasz ot tak, z ciekawości, by zobaczyć, jak ludzie umierają?

Tharn westchnął.

– Nie próbuj zbyć mnie banałami. Posłuchaj, a coś ci opowiem.

– Zechciej mi tego oszczędzić, proszę...

Tharn jednak nie pozwolił sobie przerwać.

– Miałem szczęśliwsze dzieciństwo, niż większość chłopców. Jak ty, opowiadałem się po stronie Daegoga i bezmyślnie się obzerałem. Byłem pewnym siebie arogantem, takim jak ty teraz, ale potem, w miarę dojrzewania, zmieniłem się. Zacząłem szukać jakiegoś celu w życiu. Właśnie wtedy udałem się do Nar, by zająć się badaniami naukowymi i studiowaniem przeszłości.

– Wcale mnie to nie obchodzi – skrzywił się Lucyler.

– Wysłuchaj mnie! – zagrmiał Drol. – Będiesz słuchał, bo to ważne. W Nar znalazłem wiedzę, której uparczywie poszukiwałem, ale i bezdusność, o jaką nigdy nikogo nie podejrzewałem. Szukałem odpowiedzi wśród największych umysłów, ale odkryłem tylko nicość, marność i nienawiść. Nienawidzili mnie, bo byłem inny niż oni, i zrozumiałem, że ich wielkie słowa o pokoju i sojuszu z Lucel-Lorem były fałszem. Wtedy nie znałem przyczyny, ale teraz już wiem. Wróciłem do ojczyzny jako inny człowiek. I usłyszałem zew Lorrisa.

– Zew Lorrisa! – parsknął Lucyler. – Nie rozśmieszaj mnie!

Tharn uśmiechnął się gorzko.

– Wiesz, Lucylerze z Falindaru, że możesz okazać się najcięższym orzechem do zgryzienia ze wszystkich moich wrogów. Niech i tak będzie. Przyjmuję wyzwanie.

Tharn odwrócił się w głąb korytarza i wezwał strażników. Zaraz potem pojawił się jeden z odzianych w szkarłat wojowników Vorisa. Wyjął klucz i podał Tharnowi, który wetknął go w zamek celi i przekręcił. Rygiel ustąpił ze zgrzytem.

– Chodź ze mną – wezwał Tharn Lucylera.

Otworzył skrzypiącą furtę, tak by Falindarczyk mógł wyjść. Lucyler zaskoczony opuścił celę. Podszedł bliżej do Tharna i zdumiał się tym, że odziany w szkarłat wojownik nie podjął żadnej próby przeszkodzenia mu w zbliżeniu się do mędrca.

– Dokąd idziemy? – zapytał Lucyler.

– Na górę. Osłoń oczy, może porazić cię światło.

Idącemu za Tharnem Lucylerowi wydało się, że kręte korytarze pod twierdzą nie mają końca. Szedł tak szybko, jak mógł. Więzienie jednak pozbawiło go sił i szybko stracił oddech. Ale i Tharn kroczył powoli, doskwierały mu bowiem uszkodzone kolana. W końcu dotarli do porośniętych mchem kamiennych schodów, gdzie Tharn odwrócił się i wyciągnął dłoń do Lucylera.

– Przyjmij ode mnie pomoc – powiedział. – Schodów jest wiele i są śliskie.

– Nie potrzebuję – rzekł Lucyler. Wiedział, że sam sobie nie poradzi, wołał jednak

zdechnąć, niż przyjąć pomoc od wroga. Tharn wzruszył ramionami i wstąpił na schody, zostawiając ciężko sapiącego Lucylera na dole. Za Falindarczykiem został lekko zniecierpliwiony wojownik Drolów. Z każdym krokiem Lucyler zaczął doznawać coraz silniejszych zawrotów głowy. Usiłował chwycić się ściany, ta jednak była równie śliska i zdradliwa, jak kamienne stopnie. W końcu nie bez oporów pozwolił, by idący za nim wojownik wepchnął go niemal na górę. Na szczycie widział prostokąt światła, częściowo zasłonięty przez stojącego tam Tharna. Drol odstąpił na bok i pozwolił, by Lucyler na własnych nogach, choć chwiejnym krokiem, wydobył się z lochu.

– Witaj w domu – odezwał się Tharn.

Jeden rzut oka dookoła przekonał Lucylera, że istotnie jest w Falindarze. Nawet sala, na którą wyszli z korytarza, tak bliska przecież lochom, była wspaniała. Jej ściany wzniesiono z pobielanego kamienia, który niemal skrzył się wewnętrznym blaskiem. Była bardzo rozległa, zbyt wielka jak na mieszkanie śmiertelników. Wysoko nad ich głowami ściany przechodziły w szklane sklepienie, które wpuszczało do środka jasne snopy słonecznego światła. Lucyler przyłożył dłoń do oczu i mocno zacisnął powieki. Promienie słoneczne prawie go oślepiły.

– Możesz iść? – spytał Tharn.

Chwilę później Falindarczyk poczuł na ramieniu dłoń Drola.

– Chwileczkę – odpowiedział. – Moje... oczy...

– Zaraz ci przejdzie – zapewnił go Tharn i nie czekając na pozwolenie, ujął Lucylera za ramię. – Chodź. Czekają na nas...

Lucyler pozwolił Drolowi poprowadzić się przez pałac, który był jego domem – choć nie był zadowolony z pomocy Tharna, nie umiał się bez niej obejść. Oczy zasnuła mu mgiełka łez wywołanych przez słońce. Obaj szli wolno przez rozległe sale, mijając po drodze wojowników Vorisa gapiących się na nich ze zdumieniem. Niektórzy nawet proponowali pomoc swemu mistrzowi, Tharn jednak odmawiał, prowadząc ostrożnie Lucylera długimi korytarzami. W końcu się zatrzymali. Lucyler ostrożnie rozchylił powieki i przekonał się, że trafili do sali tronowej.

– Chodź! – rzucił Tharn tonem rozkazu, prowadząc go w głąb sali. Zgromadziły się w niej setki Drolów, którzy spojrzeli na Lucylera z wyrazem tryumfu w oczach. Wszyscy ustawili się po obu stronach sali, tworząc jak gdyby przejście do szklanego tronu, na którym rozpierał się Voris z Dring. U boku wodza siedział ogromny, biały wilk. Byli tam także Gavros z Garl, słynący ze swego okrucieństwa Shohar, wódz Jhoolów, który dość wcześniej przyłączył się do krucjaty Tharna. Wódz Nang o wystających kłach, przybył z Ognistych Stepów w towarzystwie trzech wojowników o nagich torsach. Byli też i inni, których Lucyler nie rozpoznawał, wszyscy pysznie odziani na długo oczekiwaną chwilę,

w której ich władca i mistrz zasiądzie na tronie Lucel-Loru.

I nagle serce Lucylera zamarło. Spozrzegł innych wodzów, którzy pozostali wierni Daegogowi. W klęczącym z pochyloną głową poznał długowłosego Kronina, o ściągniętej twarzy, któremu skuto nadgarstki razem z kostkami u nóg. Podobnie ponizono innych wodzów, w liczbie może pięciu – i wszyscy mieli na twarzach ten sam co Kronin wyraz przygnębienia. Umieszczono ich tuż przy tronie, obok złotego podnóżka. Przy każdym z nich stali po ich obu stronach Drolowie z obnażonymi jiiiktarami, czekając na rozkaz zdjęcia jeńcom głów z karków.

– Takie jest twoje miłosierdzie, oprawco? – syknął Lucyler, gdy Tharn wiódł go do tronu. – Urządzasz sobie zabawę?

Tharn pochylił się do ucha Lucylera.

– Widzisz go? – spytał szeptem, wskazując coś koło tronu.

Falindarczyk powiódł wzrokiem za palcem Drola. Za klęczącymi wodzami na podwyższeniu poruszała się niespokojnie jakaś postać. Był to władca Triinów, związany jak indyk, z wykręconymi za plecy i przywiązanymi do kostek ramionami. Leżał na boku, brocząc obficie kroplami potu z czoła. W usta wciśnięto mu grubą zwiniętą szmatę.

Lucyler jęknął, wyrwał ramię z uścisku Tharna i ruszył ku tronowi. W połowie drogi do podwyższenia stanął.

– Co mu zrobiliście?

Daegog był ciężko pobity. Na karku miał ślady po sznurze, którym go duszono, a policzki spuchły mu od siniaków. Jedno oko niedawnego władcy znikło prawie pod opuchlizną, z której sączyła się ropa, a białe włosy, skudłone w zakrzepłą od krwi masę, przylegały ciasno do jego czoła.

– Ty skurwysynu! – zawołał Lucyler, odwracając się do Tharna. – Taka jest sprawiedliwość Drolów?

– Stać! – zawołał rozkazująco Tharn, podnosząc władczy gestem dłoń, by powstrzymać podrywającego się już z wściekłym grymasem Vorisa. – Wybierz stronę, po której się opowiadasz, Lucylerze z Falindaru. Zaświadczysz prawdę. Czy staniesz obok swego Daegoga?

Lucyler nie wahał się ani chwili.

– Nie inaczej – odparł, prostując się dumnie.

– Podejdź więc ze mną do podwyższenia. Stań obok Kronina i reszty wodzów.

Tharn odwrócił się i ruszył ku podwyższeniu. Lucyler, niepewny co czynić, ruszył za nim do tronu. Kiedy doszedł do podwyższenia, zatrzymał się obok Kronina i patrzył, jak Tharn wspina się po stopniach i pochyla nad Daegogiem. Były władca zaskomlił niczym bity pies, kiedy Tharn postawił na jego piersi obutą stopę.

– Wodzowie Lucel-Loru! – zagrzemiał. – Oto ja, Tharn, „dotknięty przez niebiosą” Siewca Burz! – Oskarżycielskim gestem wymierzył palec w leżącego u jego stóp nieboraka. – Ten płaszczący się przede mną stwór to poprzedni Daegog Lucel-Loru. Wielkie są jego zbrodnie. Przyznał się do nich mnie, a teraz wyjawi je wam wszystkim.

Tharn przerwał i wyrwał knebel z ust Daegoga. Ten natychmiast odpowiedział jękiem bólu i wrzaskiem:

– Na pomoc! – zawył, charcząc okropnie, ponieważ gardło zalegała mu flegma. – On chce mnie zabić!

– Nie inaczej – odpowiedział Tharn z powagą w głosie. – Nie wcześniej jednak, nim się nie przyznasz do swoich zbrodni. – Wcisnął but w pierś Daegoga, pozbawiając go tchu. – Przyznaj się! Przyznaj się, a dam ci łagodną śmierć, choć na taką nie zasługujesz!

– Na pomoc! – zapiszczał Daegog. Ze łzami w oczach szarpał się teraz, usiłując pozbyć się więzów. Na twarzy Tharna pojawiły się niesmak i odraza. Jeszcze mocniej wparł stopę w pierś jeńca.

– Przyznaj się, tłusciuchu! Powiedz tym wszystkim pocziwcom, którzy cię popierali, jaką knułeś zdradę!

Wszyscy obecni umilkli. Wodzowie i ich wojownicy nadstawili ucha.

– Mów, Nebarazarze Gorandarr! – rozkazał Tharn. – Czy prawdą jest, że nauka Narenów była ci potrzebna jedynie po to, by pokonać zebranych tu mężów?

Daegog nie odpowiedział. Odwróciwszy głowę ku wodzom jak on związanym u podnóża tronu, zaczął bełkotliwie wzywać ich pomocy. Całe to widowisko tak bardzo mierziło Lucylera, że poczuł, iż pragnie, by Tharn położył mu kres. Zamiast tego jednak wódz Drolów cofnął stopę z piersi Daegoga i pochylił się nad jeńcem, przemawiając cicho, ledwo słyszalnym głosem. Lucyler stał na tyle blisko, że usłyszał jednak wyraźnie okrutne słowa Tharna:

– Powiedz im, Daegogu! – szeptał Tharn. – Powiedz im, albo resztę żywota spędzisz w tych lochach, w których każę szczerom, by wyżarły ci oczy!

– Nie! – jęknął Daegog. – Oszczędź mnie, potworze, błagam cię! Proszę...

– Milcz! – zagrzemiał Tharn, prostując się nad bezwładnie leżącym jeńcem. – Przynajmniej śmierć przyjmij jak mężczyzna! Nebarazarze Gorandarr, czy to prawda, że los ludu Lucel-Loru nic cię nie obchodził?

– Tak, tak... – zakwilił były władca. – A teraz daruj mi życie i wypuść mnie...

– Czy to prawda, że jesteś słabym, bezużytecznym władcą, i że nienawidziłeś i zazdrościłeś ludziom, którzy cię szanowali?

– Nie! Nie! Tego powiedzieć nie mogę! Nie zmuszaj mnie...

– Wyznaj swoje nieprawości! – zagrzemiał Tharn i kopnął Daegoga w twarz tak



mocno, że byłemu władcy wypadło kilka zębów.

Lucyler poczuł, że parę kropli krwi dotarło aż do jego policzków. Daegog znów jęknął, jakby miał za chwilę skonać. Falindarczyk nie zdołał się powstrzymać i rzucił się ku podwyższeniu.

– Przestań! – zawołał, zasłaniając Daegoga własnym ciałem. – Zabijasz go! Czy po to wzniecałeś tę całą swoją rewolucję?

Z tłumu wyrwał się Voris, za którym jak cień podążał jego oswojony biały wilk. Wódz Dring w jednej chwili dopadł do podwyższenia i chwyciwszy Lucylera, oderwał go od ciała Daegoga. Voris był potężnie zbudowanym mężczyzną, a kłapiące tuż obok twarzy Lucylera wilcze szczęki sprawiły, że Falindarczyk szarpnął się w tył.

– Bydlaku! – rzucił w twarz Tharnowi. – Nie dręcz go!

– Lucylerze z Falindaru, musisz poznać prawdę o tym człowieku. Musisz wysłuchać, jak sam się przyznaje do win. – Tharn ponownie spojrzał na wijącego się u jego stóp Daegoga. – Nabarazarze Gorandarr, ponownie stawiam cię przed wyborem. Powiedz prawdę, a umrzesz szybko i bez bólu. Rzeknij tym ludziom, po co zaprosiłeś tu te diabły z Nar. Pamiętaj, zdrajco, że ja znam prawdę. Nie możesz jej zresztą zmienić. Powiedz i bądź wolny...

Lucyler ze zgrozą patrzył, jak jego Daegog odwraca się, by powieść wzrokiem po twarzach otaczających go wodzów. Na obliczu władcy malował się wyraz będący mieszaniną nienawiści, pogardy, odrazy i politowania. Z kącika ust popłynęła mu strużka krwi, ale przemówił wyraźnym, choć chrapliwym głosem:

– On mówi, że mnie szanowaliście, ale tak naprawdę zawsze było inaczej – wycharczał. – Psy... wszyscy, co do jednego, jesteście nędznymi psami. Ja, Daegog Lucel-Loru, wasz najwyższy władca, pluję na was, nędznicy!

Voris warknął groźnie i podniósł dłoń, by uderzyć upokorzonego Daegoga, Tharn jednak położył my rękę na ramieniu i powstrzymał cios. Kronin wbił w twarz Daegoga spojrzenie bezbrzeżnie zdumionych oczu, a Delgar z Miradonu zalał się łzami. Daegog zaśmiał się okropnie, widząc łzy swojego wiernego poplecznika, i splunął na niego mieszaniną śliny i krwi.

– Wszyscy jesteście głupcami! – ciągnął były władca. – Sojusz z Nar nie był mi potrzebny ze względu na wiedzę, czy złoto. Chodziło o broń! I żaden z was nie miał dość oleju w głowie, by to dostrzec!

– Chciał was wszystkich zniszczyć, korzystając z nareńskiej broni – stwierdził Tharn. – Zawarł przymierze z ich imperatorem po to, by znaleźć środki i wyrzucić was z waszych ziem!

– To moje ziemie! – zachnął się były władca. – Ja jestem Daegogiem Lucel-Loru!

Tylko z mojej krwi rodzą się panowie tego kraju!

Lucyler cofnął się od Daegoga, czując nienawiść i obrzydzenie do samego siebie. Schodząc z podwyższenia, potknął się, ale w tej samej chwili poczuł podtrzymujące go ramię Tharna. Mędrzec podparł go i ponownie popchnął ku stopniom.

– Nie – szepnął Tharn. – Musisz wysłuchać tego do końca.

– Nie mogę – zachnął się Lucyler.

Daegog po raz ostatni szarpnął się, próbując zerwać więzy, a potem zaryczał nieludzkim głosem, unosząc w górę skrwawioną głowę.

– Umieram! – zawył. – I niech was wszystkich porwą Drole!

Tharn podszedł bliżej.

– Nebarazarze Gorandarr – powiedział łagodnym głosem. – Twoje dni dobiegły kresu.

Przesunął dłoń nad twarzą Daegoga, o cal może od jego nosa. I oto nagle Nebarazar Gorandarr umilkł, okrucieństwo i udręka znikły z jego oblicza, które przybrało wyraz spokoju. Oddech władcy zwolnił, wyrównał się i nagle ustał.

Daegog był martwy.

**Nar**

## Z dziennika Richiusa Vantrana

Ojciec umarł.

Minął prawie miesiąc, podczas którego niewiele ponad te słowa mogłem z siebie wydobyć. Wydały mi się dziwne. Aż do tej pory nie chciałem ich zapisać, jakby przez to miały być mniej prawdziwe. Ojciec jednak odszedł i muszę się z tym pogodzić.

Ostatni miesiąc minął mi jak we śnie i był koszmarem, z którego się wreszcie ocknąłem. Błogosławieństwem dla mnie okazało się towarzystwo Jojustina. Gdyby nie on, poddałbym się rozpacz, która pewnie by mnie zabiła. Leczył moją chorą duszę lepiej, niż mogłaby to zrobić najlepsza z matek. Łatwo było odgadnąć, dlaczego ojciec tak zawsze cenił sobie jego osobę. Jojustin twierdzi, że mam zostać królem. Jeżeli tak, to nie umiem sobie wyobrazić lepszego królewskiego sługi, niż on. To ze względu na niego usiłuję się jakoś pozbierać. Kiedy imperator obróci przeciwko nam swój gniew, Aramoorowi potrzebny będzie przywódca. Edgarda nie ma – i tylko ja zostałem z tych, którzy mogą podolać temu brzemieniu.

Jojustin mężnie zniósł cios, jakim niewątpliwie było dla niego zabójstwo ojca. Podczas minionych czterech tygodni, podczas gdy ja byłem bezużyteczny, on nie poddał się rozpacz i smutkowi, ale zajął się codziennymi potrzebami zamku. Wiem, że nie chciał dodawać mi zgryzot, ale mogę powiedzieć, iż to on zadbał o moje bezpieczeństwo. Usiłował trzymać mnie z dala od ogrodów i w zamkniętych pomieszczeniach. Żyjemy jak w więzieniu. Przez okna mojej sypialni widzę wartowników, których ustawił w bramie, i niespokojnie poruszającą się służbę. Wszyscy słudzy przestali plotkować radośnie po kątach, co doskonale pamiętałem i czego mi teraz brakuje. Większość z nich od dziecka służyła ojcu, i jego śmierć ugodziła w nich równie boleśnie, jak we mnie. Ale nie są jego krewnymi. Świadomość tego, że padł ofiarą morderstwa, pozostanie we mnie blizną, która chyba nigdy się nie zagoi.

Wciąż zdumiewa mnie i szokuje myśl o tym, że zabił go Triin. Przed upadkiem Ackle-Nye nigdy bym nie uwierzył, że którykolwiek z nich jest zdolny do takiej podłości. Nigdy też nie uważałem, że Drołowie są aż tak zdradzieccy. Okazywali mi wprawdzie pogardę, taką samą jak wszystkim Narenom, nie znali jednak prawdy o moim ojcu. Gdyby było inaczej, sam Tharn ogłosiłby go bohaterem. Zamiast tego przeklęto nas jako wrogów i mogliśmy tylko czekać na kolejnych zabójców, którzy zakradną się do naszych domów i ogrodów. Pozbawiono nas nawet możliwości wzięcia sprawiedliwego odwetu. Usiłowałem przekonać Jojustina, że nikt nie zdołałby pojmać mordercy, on jednak nie żył wśród Triinów i nie wie, jak potrafią być podstępni i zuchwali. Może

zdołałby go przekonać Lucyler – gdyby tu był. Potrafiłby się wspiąć na mur ogrodu, jak ów morderca, i pokazałby Jojustinowi, że niepotrzebnie obwinia się o zaniedbania w służbie.

Na ziemiach wokół zamku zapanował wreszcie spokój. Urwała się też nieustanna parada „życzliwych” ludzi. Wiem, że chcieli jak i najlepiej, ale ich nieustanne dopytywanie się o wojnę irytowało mnie i nużyło. Nie mają i nie mogą mieć nawet najsłabszego pojęcia o tym, przez co musieliśmy przejść.

Nachodzą mnie nawet weterani wojny z Talistanem, a ci są szczególnie dokuczliwi. Mam już serdecznie dość ich pytań i porównań. Wszyscy są doświadczonymi wojami, ale żaden z nich nie widział tego, co z człowiekiem potrafi zrobić jiktar. Słuchałem ich opowieści i zastanawiałem się, czy przedstawiciele rodu Gayle kiedykolwiek dopuszczali się takich bestialstw, jak Triinowie w Dring.

Nie wszystkie na szczęście rozmowy sprowadzały się do wojny. Niekiedy z niewielką pomocą alkoholu opowiadali mi o ojcu. Każdy zna o nim jakąś historyjkę, o której nie miałem pojęcia, i wszyscy mówili, jaki był ze mnie dumny. Zostawiali mi w głowie zamęt. Jakiż ojciec opuszcza w potrzebie syna, którego tak bardzo kocha? Pierwszy tę wątpliwość zasiał we mnie Edgard, potem Dinadin. Teraz Jojustin przekonuje mnie, że to prawda, ale jakoś nie mogę w to uwierzyć. Ojciec z pewnością nie zostawiłby mnie na daremną śmierć, nawet gdyby stawką było uratowanie całego Aramooru.

List ojca, który dał mi Patwin, otrzymałem jeszcze w górach. Jojustin namawiał mnie, bym go natychmiast przeczytał. Uważał, że pismo wyjaśni mi pewne sprawy, ale ja nie byłem jeszcze gotów na te wyjaśnienia. Bałem się zresztą, że jeżeli przeczytam, iż ojciec własnymi słowami potwierdza to, że się mnie wyrzeka, na zawsze splami to moją pamięć o nim.

Byłem wdzięczny Patwinowi za towarzystwo od czasu, kiedy do domu zaczęli wracać inni. Dobrze jest dzielić czas z kimś, kto rozumie. On jednak powoli odzyskiwał siły po długiej podróży, prawdopodobnie niedługo sam pomyśli o odejściu. Jego nieobecność stanie się przyczyną mojej samotności, a nie wiem, jak ją zniosę. Bez ojca wszystko tu jest jakieś... zbyt spokojne. Zamek i przedtem nie wydawał mi się rozległy, a nadciąga zima. Wkrótce zaczną się śniegi, a wtedy nikt z moich poddanych nie zechce narażać się na trudy podróży. Jakże bym chciał, aby był tu Lucyler! Zawsze myślałem, że kiedy wojna się skończy, on wróci ze mną do Aramooru. Wraz z nim i Dinadinem mieliśmy wyprawić ucztę, na jaką nigdy nie mogliśmy sobie pozwolić w dolinie, a potem zaczęlibyśmy snuć opowieści, jak przystało weteranom. On jednak odszedł, zabity jak ojciec i Edgard z powodu nienawiści Vorisa.

Przypuszczam, że nigdy się nie dowiem, jak zginął – śmiercią, która miała spotkać mnie. Gilliam i inni unikali tego tematu, ale sądzę, że Voris przygotował dla niego jakąś szczególnie okrutną torturę. Musi być z niego nie lada oprawca. Wszyscy teraz żyjemy ze świadomością śmierci Lucylera, i w ten sposób Voris zabił jakby i nas. Ale jeżeli tylko zdołam, zemszczę się któregoś dnia, wytnę podłe serce z piersi górskiego rebelianta i rzucę je na pożarcie jego własnym wilkom. Dinadin, na przykład, też by się tym ucieszył. Gdyby tych Drolów nie było tak wielu, do dziś siedziałby jeszcze w dolinie i przewracał skałę za skałą, byle tylko odnaleźć Vorisa. Aż do tej pory nie wiedziałem, jak bardzo lubił Lucylera.

Dinadin zmienił się od naszego powrotu do domu. Może to tylko zmiany, jakie wojna czyni w charakterze młodych ludzi. Rzadko się odzywał podczas całej długiej drogi powrotnej z Patwinem. Wiem, że żywi do mnie urazę, i przypuszczam, że słusznie. Lucyler zginął przeze mnie, Dinadin ma więc rację, zrzucając winę na moje barki. Voris chciał Kalaka, a zamiast tego na męki posłał Lucylera. Łączyła ich osobliwa przyjaźń, której nigdy chyba nie będę mógł Dinadinowi wyrównać. Od powrotu do domu nie zajrzał do zamku i bardzo mi go brakuje. Potrzebne mi jego poparcie i pomoc, by uporać się z tym, co mnie czeka. Jeżeli przyjdzie po nas imperator, musimy trzymać się razem. Liczę tylko na to, że z czasem przestanie mnie obarczać całą winą. Tak wielu naszych przyjaciół zginęło, że nawet moje wspomnienia wydają mi się obce...

Ona też odeszła.

Tę dziewczynę znałem jakby od lat. Mówi się, że nic tak nie podsyci płomienia miłości, jak wichry wojny. Co noc widzę ją w snach. Uspokajam się i zasypiam z bezgłośnymi modłami na ustach o to, by Bóg wyrwał ją z rąk tego diabła. Modlę się, by mi darowała wystawienie jej na niebezpieczeństwo. Myślę jednak, że Bóg jest głuchy i wcale mnie nie słucha. A może, jak mówią kapłani, odpowiada tylko na modły prawych Narenów. Jeżeli tak, wolę po wsze czasy tkwić w piekle.

Burza, która odebrała mi Dyanę, była dziełem złej, przeciwnej naturze magii. Nawet Dinadin twierdzi, że nie sposób było z nią walczyć. A jednak ciągle czuję żal i rozpacz. Straciłem tak wiele... Jimsina... Lucylera...

Cholernie długi rachunek do spłacenia.

Dziś jest spokojnie. Służba udała się na spoczynek, a Jojustin już dawno złożył mi życzenia dobrej nocy. W noce takie jak ta czuję dziwny niepokój. Przez okno widzę blask pochodni i wartowników przy bramie, co wcale mnie nie uspokaja. Dom nie jest już taki, jakim go pamiętam. Świat zewnętrzny oblekła ołowiana szarość. Zima nadciąga zbyt szybkimi krokami. Spodziewałem się, że Aramoor ucieszy mnie całym bogactwem jesiennych kolorów, te jednak szybko zbladły i poszarzały. Na różach ojca w ogrodzie są

tylko kolce. I Jojustin mówi, że mam panować w takim miejscu!

Teraz już i imperator dowiedział się o śmierci ojca. Z pewnością nie nosi po nim żałoby, jak my tu, w Aramoorze. Jedynie Arkus upierał się przy podboju Lucel-Loru i myślę, że nigdy już się nie dowiemy, jakie wspaniałe zamiary miał wobec Triinów, ani dlaczego kazał nam toczyć tę krwawą wojnę. Czegokolwiek od nich chciał, przepadło, i bardzo jest prawdopodobne, że postanowi nas za to ukarać. Może legiony już się zebrały do marszu. Może zresztą i Drołowie pałają żądzą zemsty i przyjdą po nas z za tych gór. A niech przychodzą! Nic już nie jest takie jak przedtem, ja zaś nie potrafię nawet stać się cieniem takiego władcy, jakim był mój ojciec. Nawet teraz trapi mnie niepokój. Każdej nocy słyszę wycie wilków i widzę w snach białe twarze. Dom wciąż jest bardzo daleko.

## Trzynaście

Obudziwszy się tuż przed południem, Richius spostrzegł, że spadł pierwszy śnieg. W tej części Imperium śniegi były rzeczą tak zwyczajną, jak zmiana pór roku, jesień jednak jeszcze się nie poddała i na zimę trzeba było poczekać. Szybko opłukał twarz zimną wodą, podszedł do okna i otworzył je na całą szerokość. Niezwykle stara, żelazna okiennica zazgrzytała przeraźliwie, a na dół posypały się płatki rdzy, które zaraz podchwycił dmący od północy wiatr. Richius zaczerpnął tchu, rozkoszując się czystością powietrza. Cieszył się smakiem poranka i jasnością słonecznych promieni, które prześwitywały przez jego zamknięte powieki. Śniegu nie było wiele i pokrywał ziemię delikatnym puchem, ale cały dziedziniec i wzgórza za zamkowymi murami kąpały się już w bieli. Widoczne na horyzoncie gigantyczne aramoorskie sosny były oszronione, a ich czuby przykrywały białe kaptury. Nieco niżej Richius widział zamkowe ogrody z uspionymi, zmarzniętymi krzewami róż, a tam, gdzie zaczynał się dziedziniec, zajmujący się bojowymi rumakami stajenni zdążyli już wydeptać w śniegu ścieżki. Richius westchnął. Nie widział śniegu od niemal dwóch lat i doskonały w swej czystości, rozciągający się z okna widok sprawił, że w jego głowie, niczym dźwięk dzwonu, zahuczało słowo „dom”.

Aramoor późną jesienią. Dom. Uśmiechnął się i odwrócił do wnętrza sypialni. W tej właśnie chwili dostał śnieżką w kark. Uderzenie i chłód sprawiły, że aż podskoczył. Obrócił się gwałtownie.

– Patwin!

Na dole Patwin zanosił się od śmiechu, którego dźwięki niosły się przez dziedziniec, zwracając uwagę stajennych i służby. Twarz Patwina była czerwona z uciechy.

– Przepraszam! – wykrztusił wreszcie figlarz. – Ruszyłeś się!

Richius skrzywił się okropnie, czując że strumyczek lodowatej wody spływa mu wzdłuż kręgosłupa.

– Idiota! – odpowiedział bardziej zaskoczony, niż rozgniewany. W końcu Patwin mógł ubić śnieżkę znacznie mocniej.

Patwin niezbyt pewnie dźwignął się na nogi. Po twarzy jeszcze spływały mu łzy śmiechu.

– Przepraszam. Chciałem cię tylko nastraszyć. Nie myślałem nawet, że stąd dorzucę...

– No i dorzuciłeś. Co ty tam robisz? Myślałem, że wyjechałeś z Jojustinem.

– Richiusie, już prawie południe. Właśnie wróciliśmy. A ty co? Spałeś aż do tej



pory?

Richius kiwnął głową i spojrział w niebo. Gdzieś tam, za zasłoną chmur świeciło słońce. Było już południe.

– Zejdź na śniadanie. Jenna przygotowuje jajka i miodowy chleb, dla mnie i dla Jojustina. – Patwin mrugnął szelmowsko. – Pewien jestem, że jak ją ładnie poprosisz, znajdzie coś i dla ciebie.

– Przestań – syknął Richius cicho, tak że tylko oni dwaj mogli to usłyszeć. – Już ci mówiłem, że nie jestem zainteresowany. A ty sprawdziłeś ogrodzenie przy zachodnim stoku?

– Ogrodzenie jak ogrodzenie. Jeżeli nie liczyć dziur, przez które przedzierają się wilki. Co prawda nie są dość duże, by mogły przez nie uciec konie, więc nie masz się o co martwić. Jojustin już kazał kilku chłopakom zająć się tymi dziurami, a Terril obiecał, że wytrzebi wilki. Więc jak, schodzisz?

– Wilki? Może Terril powinien zabrać ze sobą parę mastiffów?

Na twarzy Patwina pojawił się wyraz zrozumienia i współczucia.

– Nie martw się, Richiusie. Są daleko, na północnych rubieżach i pewnie myślą tylko o tym, co by tu zjeść. Wiesz jak to jest: głupieją z pierwszym śniegiem. Później, jeżeli sobie zyczysz, wezmę kilka psów i pójdę za Terrilem, ale wierz mi, nie ma sobie czym zaprzętać głowy. No to co z tym śniadaniem? Już zgłodniałem.

– Poczekaj, ubiorę się tylko i spotkamy się na schodach. Jeżeli chcecie, to zaczynajcie beze mnie.

– Zaczekamy. Jojustin chce o czymś z tobą pomówić, a Jenna niczego nam nie poda, jeżeli pomyśli, że potrawy mogą się wychłodzić. Spróbuj się po prostu pospieszyć.

– Spróbuję – obiecał Richius i zamknął okno, kończąc z przeciągiem. Aż do momentu, w którym Patwin wspomniał o śniadaniu, wcale nie czuł głodu – teraz jednak głośno zaburczało mu w brzuchu. Podczas ostatnich kilku wieczorów zadowalał się jedynie mizernymi kolacjami, aż stary sługa zaczął myśleć, że Richius się przeziębził. Richius wiedział jednak, że braku apetytu nie powinien przypisywać gorączce. Chęć do jedzenia odbierała mu apatia. Od powrotu do domu jedzenie nie miało dla niego takiego znaczenia, jak w dolinie. Nikt tu o nim nie mówił ani nie śnił. Tego ranka jednak wrócił mu apetyt. Być może był to nieuchwytny wpływ wczesnego śniegu. Richius rad był i temu.

Umył się pospiesznie i wdział doskonale skrojone i uszyte spodnie oraz koszulę, która była dziełem Jenny. Obiecała mu, że w tej koszuli będzie mu ciepło, nawet w takie ranki, jak ten. I w tym się nie myliła. Kiedy ją jednak wdział, pomyślał z niechęcią o satysfakcji, z jaką powita jego widok. Wszyscy wiedzieli, co Jenna do niego czuła,

i stawało się to już irytujące. Sytuacji nie poprawiało i to, że właściwie nic nie mógł na to poradzić. Jenna była zbyt miłą dziewczyną, by otwarcie jej rzec, jak sprawy stoją, i Richius podejrzewał, że gdyby podjął jakąkolwiek próbę, zadałby jej tylko niepotrzebne cierpienia. Cóż, będzie więc nosił ciepłą, dobrze uszytą koszulę i tyle. Chyba że Patwin znów zacznie sobie z niego dworować.

Kiedy skończył wygładzać zmarszczki na spodniach, wzuł wysokie buty do konnej jazdy i ruszył ku drzwiom, przejrawszy się przelotnie w zwierciadle. Matkujący mu Jojustin ostatnio mocno się trapił tym, że Richius się zaniedbuje, postanowił więc, że nie będzie dawał staremu słudze powodów do utyskiwań. Miał zamiar zjeść dziś solidne śniadanie, bez psucia komukolwiek humoru i dać wreszcie pokój rozmowom o przygnębieniu i chorobach. Dziś trzeba będzie rozstrzygnąć kilka ważnych spraw.

Kierując się zapachem miodu i jajecznicy zszedł po krętych stopniach z granitu obok kuchni do niewielkiej jadalni, gdzie zawsze spożywał posiłki. Prześlizgnął się obok Jenny – dołożył starań, by dziewczyna go nie zobaczyła, ani nie usłyszała. Rzecz nie była trudna, bo Jenna całą uwagę poświęcała garnkom i patelniom. W jadalni zastał Patwina i Jojustina. Obaj mieli jeszcze na sobie ubrania do konnej jazdy. Obaj też pociągali z baryłki z piwem.

– Miły ranek – stwierdził rozpromieniony Jojustin. Napełnił Richiusowy kufel i podsunął mu go.

Richius usiadł i chętnie przyjął poczęstunek. Stół zastawiony był kamionkowymi naczyniami, pomiędzy którymi ktoś położył bukiet astrów. Richius zerknął okiem na kwiaty.

– Jenna?

Jojustin uśmiechnął się jowialnie.

– Chłopcze, ona tylko chce ci okazać sympatię. Jeżeli chcesz, możesz udać, że niczego nie widzisz, ale nic jej nie mów. Sprawiłbyś jej tylko przykrość.

– To oczywiste, że niczego jej nie powiem. Chciałbym tylko, by wszyscy wreszcie przestali się o mnie martwić. Przyznaję, że przez kilka ostatnich tygodni bywałem nieco... drażliwy, ale to już przeszłość.

– Istotnie, lepiej dziś wyglądasz – przyznał Jojustin. – Dobrze spałeś?

– Owszem, dziękuję – odparł Richius, sącząc napój.

– W nocy spadł śnieg. Raczyłeś zauważyć?

– Raczyłem – stwierdził Richius, rzucając Patwinowi karcące spojrzenie. – Raczyłem go nawet poczuć.

Patwin zachichotał.

– Dobrze się czujesz, Richiusie? Z jednej strony gęby jakby poczerwieniałeś?

– Naprawdę? – spytał Jojustin, przechylając się przez stół, by lepiej przyjrzeć się swemu podopiecznemu.

Richius machnięciem dłoni pokazał, że nie ma o czym mówić.

– To nic takiego. Drobnny wypadek. Podaj mi chleb, dobrze?

Jojustin podał mu talerz z kromkami miodowego chleba. Zapach pieczywa i miodu był nieodparty. Richius wepchnął w usta spory kęs i przekazał talerz Patwinowi, który łapczywie schwycił dwie kromki.

– Pamiętasz Richiusie, jak Dinadin zamęczał nas przed snem opowieściami o jedzeniu? – spytał Patwin. Dalszą część opowieści skierował do Jojustina. – Każdej nocy częstował nas opowieścią, o jakimś nadzwyczajnym smakołyku, który przyrządziła dla niego matka. Mogła to być pieczona gęś, nóżki cielęce w galarecie... Opowiadał, aż rzucaliśmy się na niego z kocami, by go udusić. Boże, po czymś takim nie było sposobu, by zasnąć!

– A my mieliśmy do jedzenia jedynie stęchłe wojskowe suchary – dodał Richius, potrząsając głową. – Pamiętam...

– Stęchłe? – W jadalni zabrzmiał dźwięczny, nieco oburzony dziewczęcy głosik. – Ten chleb jest świeży jak dzisiejszy śnieżek!

Richius podniósł wzrok i natknął się na spojrzenie piwnych oczu dziewczyny.

– Jenno, ten chleb jest doskonały. Cudowny. – Zerknął na półmisek wnoszonych przez nią parujących jajek i kielbasy. – To też wygląda niezwykle smakowicie.

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie i jemu pierwszemu podała śniadanie, dwornie stawiając przed nim talerz na stole.

– Richiusie, wiem że lubisz kielbaski na słodko, poprosiłam więc Elenę, by przygotowała kilka specjalnie dla ciebie. Są akurat takie, za jakimi przepadasz. Nie za gorące. – Następny talerz postawiła przed Patwinem. – Musimy cię trochę odkarmić, byś nabrał ciała, jak ten tu byczek.

Patwin zeszywniał lekko urażony.

– Dość, moja panno. Nie ty włączyłaś się przez trzy tygodnie konno po całym Lucel-Lorze w poszukiwaniu Richiusa. Pod koniec tej wędrówki skończyły mi się zapasy i cztery dni musiałem wytrwać o pustym brzuchu. Kiedy w końcu znalazłem jego i Dinadina, byłem prawie martwy. – Patwin wymierzył widelec w młodego księcia. – No, dalej, odpowiedz jej...

– Nie bardzo to pamiętam – Richius rzucił Patwinowi przewrotnie figlarne spojrzenie.

– Tak właśnie myślałam – stwierdziła Jenna, podając ostatni talerz Jojustinowi. – Kolejna z twoich bajeczek, Patwinie. Czasami myślę, że jedyny powód, dla którego

kręcisz się po zamku jest taki, że lubisz dobierać się do mojej kuchni.

Patwin wyciągnął rękę i lekko trzepnął dziewczynę po tyłku.

– No, dosyć, dziewczko, nie sil się na żarty. Idź i podgrzej nam trochę korzennego wina. Richiusowi wrócił dziś apetyt. Co ty na to, Richiusie?

– Może być...

Gdy dziewczyna wyszła, Patwin przechylił się ponad stołem w stronę Richiusa.

– Dlaczego mi to zrobiłeś? Teraz ona pomyśli, że cały czas łągałem. Wiesz przecież, że mówiłem prawdę.

– Nie przesadzaj – ziewnął Richius. – Oczywiście, wiem, że to prawda. Wie i Jenna. Po prostu zażartowała sobie z ciebie. – I z nagłym błyskiem uśmiechu dodał: – Może ona wdzięczy się do ciebie?

Patwin cofnął się czerwony jak burak.

– Osobiście podejrzewam – rozsądził ich Jojustin – że ona jest dość dobra dla was obu. A ponieważ pochodzi z pracowitej rodziny, nie ma powodu, by kręcić nosem, mój Richiusie.

– Nawet mi to nie przyszło do głowy – skrzywił się Richius.

– A powinno. Dziewczyna jest urodziwa i byłaby doskonałą żoną. Musisz zacząć myśleć o takich sprawach, jak przystało królowi.

Na słowo „król” Richius wypuścił widelec z dłoni.

– Jojustinie, nie jestem królem! Jedynym królem Aramooru jest mój niestety nieżyjący ojciec. – Podniósł widelec i zajął się jajkami, kreśląc nim rozmaite wzory na ich żółtkach. – Przestań, proszę, mnie tak nazywać.

– Zechciej mnie wysłuchać, Richiusie – odpowiedział spokojnie Jojustin. – Unikałem ostatnio tego tematu, ale prędzej czy później będziesz musiał podjąć decyzję. Zostałeś królem w tej samej chwili, w której zabito Dariusa. I musisz ponieść konsekwencje tego faktu.

– W tej chwili jedyną rzeczą, jaką muszę się zająć, to przygotowania do obrony na wypadek ataku Arkusa. Powinniśmy zająć się ujeżdżaniem koni, szkoleniem jazdy, musimy też zebrać zapasy...

– Dość! – przerwał Jojustin. – Rozmowy o wojnie z Arkusem są bezcelowe. Posłałem mu wiadomość zaraz po śmierci twego ojca. Gdyby chciał posłać na nas swoje legiony, mielibyśmy je już na karkach. Richiusie, doprawdy, skąd u ciebie tak ponure myśli?

– Bo może mówimy o zdradzie stanu, Jojustinie. Czy naprawdę wierzysz w to, że imperator zechce nam wybaczyć? Nie sądzisz, że on się domyśla, dlaczego przegraliśmy tamtą wojnę?

Jojustin rzucił mu ostre spojrzenie.

– A jak myślisz?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Richius, opierając plecy o krzesło.

– Czy nie przyszło ci do głowy, by przeczytać list twego ojca i się dowiedzieć.

Zapadło milczenie. Richius czuł na sobie płonący wzrok Jojustina. Patwin przerwał jedzenie. W końcu młody Vantran odpowiedział cicho:

– Nie mogę się do tego zmusić. – Opuścił widelec i wbił wzrok w talerz pełen zimnych już jajek. – Dlaczego on mi to zrobił?

Jojustin ujął dłoń Richiusa w swoje ręce.

– Zrobił to, mój chłopcze, by ratować Aramoor. Może osądził sytuację na podstawie błędnych przesłanek, ale powodowało nim dobro kraju. Wiesz, jak bardzo cię kochał. Zostawienie cię swemu losowi nie przyszło mu łatwo. Wierz mi, że wiem, co mówię.

– A ty uważasz, że wprowadzono go w błąd?

– No cóż... – Jojustin zastanawiał się przez chwilę, a potem podjął wątek, starannie wybierając słowa. – Twój ojciec nigdy nie miał dobrych układów z imperatorem. Nie sądzę, by wszystko dobrze rozważył. Gdybyśmy wygrali tę wojnę, Aramoor zaskarbiłby sobie wdzięczność imperatora. – Na jego twarzy pojawił się wyraz niechęci. – Miło by było zająć w sercu Arkusa to miejsce, w którym teraz rozpierają się Talistańczycy.

– Ale obecnie staliśmy się jego wrogami – stwierdził Richius ponuro.

– Nie – sprzeciwił się Jojustin. – Myślę, że śmierć twego ojca uśmierzyła jego gniew. Nie sądzę też, by chciał rozpętać kolejną wojnę... nie wewnątrz Imperium. Jest zbyt zajęty walką z Liss, by robić sobie z nas wrogów. On potrzebuje tu króla. Kogoś pewnego, kto zajmie się sprawami kraju. Kogoś, za kim opowie się lud.

– Jednym słowem, kogoś takiego, jak ty, Richiusie – odezwał się Patwin z ustami pełnymi kielbasek. – Pomyśleć tylko – dodał dramatycznym tonem – Richius królem!

Richius zmarszczył brwi. Przypomniał sobie ostatnie, skierowane do niego słowa Edgarda. Stary diuk usiłował przekonać go, że Arkus zadowoli się śmiercią jego ojca. Triiński zabójca pozbawił imperatora satysfakcji, rezultat jednak był w końcu taki sam. Darius, człowiek który był cierniem w boku Arkusa, przez którego stracił niewyobrażalne bogactwa Lucel-Loru, został usunięty. Myśl ta była dość odrażająca, ale w końcu można ją było przyjąć do wiadomości.

– Nie mogę w to uwierzyć – odezwał się po długiej chwili milczenia. – Jeżeli Arkus planował uczynienie mnie królem, dlaczego do tej pory nie przysłał nam żadnych wieści?

– Chłopcze, takich decyzji nie podejmuje się z dnia na dzień. Imperator musi wziąć pod uwagę wszystkie polityczne konsekwencje. W Nar jest wiele ambitnych ludów, którymi władają królowie znacznie bardziej elastycznie niż twój ojciec pojmujący honor.

Gayle'owie, na przykład.

Patwin podniósł głowę.

– Richiusie, słyszałeś nowiny o Gayle'u z Czarnej Kniei?

– Jakie nowiny?

– Żyje. Terril spotkał kogoś, kto go widział po upadku Falindaru.

– Żyje? – zdumiał się Richius. Wszyscy uważali, że Gayle z Czarnej Kniei zginął ze swymi jeźdźcami pod górą Godon. Była to jedyna jaśniejsza iskierka na ogólnie czarnym tle ostatnich wydarzeń. – Jak to możliwe? Jojustinie, czy ty o tym coś wiedziałeś?

Zagadnięty skinął ponuro głową.

– Wiedziałem. I nie mogę rzec, bym był z tego rad.

– Nosi teraz maskę – ciągnął Patwin. – Pamiętasz ten ogień, który widziałeś. Jak się okazuje, nie tylko Edgardowi się tak dostało. Jeźdźcy Gayle'a oberwali tak samo w Tatterak. Powiadają, że Gayle stracił połowę twarzy.

– Tylko połowę? – warknął Jojustin. – Ten skurwysyn powinien się więc uważać za szczęśliwca! Udało mu się bardziej, niż Edgardowi.

– Żyje... – Richius nie zdążył jeszcze oswoić się z tą wiadomością. – W jaki sposób jego jeźdźcom udało się przetrwać tę zawieruchę?

– W tym sęk – stwierdził Patwin. – Jego ludziom się nie udało. Uciekł tylko Gayle.

– Chcesz powiedzieć, że zostawił swoich ludzi?

– Nie inaczej. Zostawił ich, by zdychali jak świnię w rzeźni. Zginęli wszyscy, oprócz pułkownika Troska. Słyszałem, że i on się wymknął.

– Trosk... – prychnął Jojustin. – To ci dopiero łotr, co się zowie. Taki sam z niego rzeźnik, jak z Gayle'a. Dziwi mnie, że nie są braćmi.

– Nadal trudno mi w to uwierzyć – stwierdził Richius. – Zostawić ludzi na taką śmierć... Niewiarygodne.

– Godne wszelkiej pogardy – poprawił go Jojustin. – Czyn haniebny, nawet jak na Gayle'a. – Wzruszył ramionami. – Ale głupcy nadal dają mu posłuch, a imperator nie gardzi jego radami.

– Prawdopodobnie to oni nastawili imperatora przeciwko mojemu ojcu – stwierdził Richius.

Jojustin kiwnął głową.

– To możliwe...

– Jeżeli Gayle'owie o czymś wiedzą, wie to i imperator. Dlaczego miałby się zastanawiać nad tym, czy pozwolić mi tu na własne rządy, skoro myśli, że ojciec go zdradził?

– Chłopcze, Arkus nic do ciebie nie ma. On uważa, zupełnie zresztą słusznie, że

robiłeś, co mogłeś, by wygrać dla niego tamtą wojnę w Lucel-Lorze. Może i podejrzewa, że Darius go zdradził, nie ma jednak na to dowodów. Wszystko, na czym może się oprzeć, to słowa tego rzezimieszka, Gayle'a. – Jojustin uśmiechnął się paskudnie. – A wszyscy wiedzą, jacy z nich łgarze, prawda?

– Prawda – potwierdził Patwin, mrugając porozumiewawczo. – Nie trap się, Richiusie. Nikt z nas nic nie wie.

– Więc po prostu wszystkiego się wyprzemy? – spytał Richius. – Będziemy udawać, że nic się nie stało?

Twarz Jojustina stężała.

– Nie inaczej. Arkus niczego nie zdoła udowodnić, i koniec na tym. Jego podejrzania nie mają znaczenia. Jesteś ostatnim z królewskiej linii Aramooru. Nikt inny nie może zgłaszać pretensji do tronu i Arkus doskonale o tym wie. Za kimże innym mieliby pójść ludzie? Za jakąś imperatorską marionetką? Nie, Richiusie. Chcesz czy nie, ty tu jesteś królem!

– Muszę rzec, że wcale mi się to nie podoba. Nawet jako chłopiec myślałem o tym dniu z niechęcią. Żaden ze mnie król.

– I po co te słowa? – spytał Patwin. – Przewodziłeś nam w boju i ocaliłeś nasze głowy.

– To nie to samo – upierał się Richius. – I nie wszystkim ocaliłem głowy, prawda?

– Na wojnie giną ludzie – stwierdził filozoficznie Jojustin. – Taki już jest porządek rzeczy. Ilu powiodłeś do Lucel-Loru? Blisko pięć setek, prawda?

– Ale wróciło tylko trzystu.

– Po niemal roku ciężkich walk – uściślił Jojustin. – I walczyliście przeciwko Triinom. – Ostatnie słowo zabrzmiało w jego ustach jak spluniecie. – A to diabły wcielone!

– Nie... to już śmieszne – zachnął się Richius. – Wcale nie są diabłami. To zwykli ludzie, tacy jak ty czy ja.

– Nie tacy jak ja! – odparł Jojustin z urazą w głosie. – Wiem, jakie z nich ptaszki. Wszyscy są czarownikami. I nie oddają czci Bogu.

– Mają swoich bogów – stwierdził Richius. – Ich bogowie są odmienni od naszego.

– O, tak, oczywiście. Cóż oni też tam czczą? Wężę? A Drolowie są z nich najgorsi. Mój chłopcze, dobrze zrobiliście, wycofując się z tego piekła. Powinniśmy wezwać kapłana, by wszystkim wam udzielił błogosławieństwa. – Ponownie ujął dłoń Richiusa. – Mój drogi, jestem z ciebie dumny. Bóg też pewnie jest z ciebie zadowolony. Lepszy z ciebie król, niż myślisz. Przeczytaj ojcowski list. Przeczytaj i pozbadź się tych ponurych myśli. Masz królestwo, które czeka na władcę!

Nagle do jadalni weszła Jenna z karafką wina. Na jej widok Richius szybko cofnął dłoń z palców Jojustina. Dziewczyna spojrzała ze współczuciem, które mocno mu dokuczyło.

– Twój puchar – poprosiła.

Richius podał jej naczynie i poczekał, aż je napełni purpurowym płynem. Podziękował jej, a dziewczyna zajęła się innymi, nie odrywając jednak spojrzenia od niego. Szybko skończyła i wyszła, zostawiając za sobą niemal namacalne milczenie.

„Boże! – pomyślał Richius. – Ona pewnie uważa, że zwariowałem”. Podniósł puchar do warg. „Może i ma rację”.

Pozwolił, by napój spłynął mu do gardła. Sycone korzeniami wino było nieznośnie gorące, łykał je jednak, aż opróżnił cały kielich. Wciąż był głodny, ale podczas rozmowy posiekał jajka w mało apetyczną masę, sięgnął więc po kolejną kromkę miodowca.

– Po śniadaniu przejadę się do Gilliana – oznajmił. – Muszę przygotować ludzi na wybuch kolejnej wojny.

– Richiusie, przestań gonić za przywidzeniami – skarcił go Jojustin. – Bez powodu nastraszyłeś tylko ludzi.

– Jeżeli mam być królem, muszę zadbać o mój lud. Czy możesz mi zaręczyć, że akurat w tej chwili Arkus nie zastanawia się, jak najlepiej i najsilniej nam dołożyć? Musimy być gotowi na przyjęcie legionów.

– Dobrze, niech ci będzie – zgodził się Jojustin. – Jedź. Może świeże powietrze rozjaśni ci w głowie i znowu zaczniesz myśleć, jak należy. Ale weź ze sobą Patwina.

Patwin uniósł głowę znad swego talerza.

– Mnie? Właśnie wróciłem z konnej przejażdżki. Dlaczego mam znowu jechać?

– Bo musisz zadbać o Richiusa. Nie sposób rzec, czy gdzieś tu w pobliżu nie czają się inni Triinowie.

– To niepotrzebne – sprzeciwił się Richius. – Sam potrafię zadbać o swoje bezpieczeństwo.

– Będę spokojniejszy, wiedząc, że masz towarzystwo. Aaa...jeszcze jedno. Jenna mi powiedziała, że widziała cię wczoraj w nocy w ogrodach.

– I co z tego?

– Poszedłeś tam w nocy? Sam wiesz, jakie to niebezpieczne. Jak mamy cię chronić i osłaniać, jeżeli będziesz się wystawiał na uderzenia? Mogli cię zabić.

– Wartownicy byli dostatecznie blisko, by w razie niebezpieczeństwa mi pomóc. I czasami dobrze jest wyjść z zamku.

– Racja – stwierdził Jojustin. – Wychodź, ile razy przyjdzie ci ochota. Ale dlaczego cię poniosło właśnie do ogrodu? – Stary wbił ponure spojrzenie w swój talerz. – Przecież



tam jeszcze nie zdążyły zblaknąć plamy po krwi twego ojca!

Richius nie odpowiedział. Pomimo tego, co ostatnio wydarzyło się w ogrodach, czuł do tego miejsca osobliwe przywiązanie, którego nie umiałby wyjaśnić. Może ciągnęły go właśnie te plamy krwi? Jak słusznie zauważył Jojustin, plamy były wciąż widoczne, niczym ślady po rozlanym winie na dywanie.

– Dobrze mi tam – odpowiedział wreszcie. – A poza tym, naprawdę nie sądzę, by jakikolwiek morderca spróbował się tam na mnie zasadzić. Nie przy tych wszystkich strażach i posterunkach.

– Obiecałem twojemu ojcu, że się tobą zaopiekuję – stwierdził Jojustin. – Nie mogę podjąć takiego ryzyka. Proszę, trzymaj się z dala od ogrodów. Przynajmniej w nocy...

– Spróbuję – odpowiedział Richius, licząc na to, że Jojustin zadowolony się niechętną obietnicą. Ta uporczywa, pełna miłości troska o jego dobro zaczynała mu już ciążyć.

– Dzięki, chłopcze – uśmiechnął się Jojustin, prawdziwie uradowany. – Nie zamierzam cię więzić. Wytrzymaj jeszcze kilka tygodni, zanim sprawy się nie ułożą. – Mężczyzna lekko się wzdrygnął. – Tylu ludzi zginęło bez potrzeby... Dlaczego...

Urwał nagle, lekko zeszywniał ze zdziwienia, a potem utkwiał wzrok w dłoni Richiusa, który właśnie odstawiał puchar na stół.

– Jojustinie... – odezwał się zaniepokojony jego milczeniem Richius. – Co się stało?

– Twój pierścień. Pierścień królów Aramooru. Gdzie on jest?

Richius przełknął ślinę. Usiłował ukryć stratę przed starym sługą od dnia, w którym wrócił do domu. Ogarnięty paniką wyrzucił z siebie pierwszą odpowiedź, jaka mu przyszła do głowy.

– Jest na górze. Zostawiłem go przy łóżku.

– Zostawiłeś? Richiusie, to do ciebie niepodobne. To twój królewski pierścień. Wiesz dobrze, że nie możesz go zdejmować ot tak sobie, kiedy ci przyjdzie ochota. Ty... – Staruszek spojrział mu w oczy. – Ty go zgubiłeś!

– Owszem... – z trudem odpowiedział Richius.

– Ależ Richiusie! Jak mogłeś?! Wiesz przynajmniej, gdzie to się stało?

– Nie wiem – zełgał Richius. Zdawał sobie sprawę w tego, że nigdy nie zdoła wytłumaczyć Jojustinowi, dlaczego dał pierścień Dyanie. – Najpewniej zsunął mi się z palca, kiedy uciekaliśmy z Ackle-Nye. Miałem go jeszcze, kiedy odnalazł nas Patwin, ale co się z nim stało potem, nie umiem sobie przypomnieć.

– Akurat! – zachnął się Patwin. – Miałem cię nawet o to spytać. Kiedy spotkaliśmy się w przesmyku, pierścienia na twoim palcu już nie było.

– No to może zgubiłem go w dolinie – stwierdził zniecierpliwiony Richius. – Może nie pamiętasz, ale toczyliśmy tam wojnę. W każdym razie, przepadł.

– Ale ten pierścień pieczętował twoje prawo do tronu! – stwierdził stary sługa. – Musisz go mieć!

– A to dlaczego? Czy bez niego nie będę mógł królować?

– Chodzi o tradycję! Ten pierścień świadczy, że jesteś członkiem i spadkobiercą królewskiej krwi Aramooru. Powinieneś go nosić aż do śmierci i zostać z nim pogrzebany, jak twój ojciec. Ludzie muszą go widzieć!

– No to trudno – odpowiedział młody książę. – Przepadł i nie wróci. To zresztą był tylko pierścień. Nie możemy kazać wykuć drugiego?

– Oczywiście, że możemy, ale nie w tym rzecz. Ten pierścień dał ci twój ojciec. Miałeś go zawsze nosić na palcu. To coś więcej niż korona.

Zanim Richius zdążył powiedzieć cokolwiek, Jojustin zerwał się z miejsca i rażno strzelił palcami.

– Czekaj! – rzekł, odsuwając swoje krzesło. – Mam coś akurat dla ciebie, mój chłopcze. Coś, czego nie pochowano z twoim ojcem. Nigdzie nie odchodź, wracam za chwilę...

Jojustin odwrócił się i wyszedł z sali, zostawiając młodych ludzi samych. Richius i Patwin wymienili zdziwione spojrzenia.

– O co chodzi? – spytał Patwin.

– Przyjął to lepiej, niż się spodziewałem. Zaczynałem już myśleć, że w ogóle tego nie zauważy.

– Richiusie, on widzi wszystko. Tylko, że ostatnio dziwnie się zachowywałeś. Daj mu trochę czasu. On się martwił głównie o ciebie. – Patwin chwycił kolejną kiełbasę, wetknął ją sobie do ust i powiedział: – Wszystkich nas niepokoił twój stan.

– Patwinie – odezwał się Richius ze znużeniem. – Zabierasz się do wszystkiego tak, że ciężko się na ciebie złościć. Ale możesz już się przestać o mnie martwić. Nic mi nie jest.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– To dlaczego nie chcesz przeczytać listu od ojca?

– O nie! I ty też?

– Bo, psia krew, nosiłem go niemal przez miesiąc. Mógłbyś go przynajmniej przeczytać...

– Ale dlaczego? – denerwował się Richius, którego wszystko to zaczęło już mocno irytować. – Dlaczego, do diaska, wtykacie w to nosy? Ojciec napisał list do mnie, nie do ciebie, Dinadina czy Jojustina. Moja rzecz, co zrobię z tym listem!

– Nie wściekaj się – przerwał mu Patwin. – My wiemy, co jest w tym liście, bo

dawno już to wszystko odgadliśmy. Czas, żebyś i ty się dowiedział. Nie będziesz mógł niczego zrobić porządnie, dopóki się nie dowiesz. – Twarz Patwina złagodniała. – Jojustin dobrze ci radzi, Richiusie. Przeczytaj list i daj spokój tym wariactwom. Zacznij królować.

Richius z trudem zdobył się na odpowiedź.

– Nie wiem, czy dam radę – odpowiedział prawie szeptem.

– Pomogę ci w miarę swoich sił. Wszyscy ci pomożemy. Dinadin też, jestem pewien.

– Tego akurat nie jestem pewien – rzekł Richius z przekąsem.

– Richiusie, on jest po prostu wściekły. To minie. Pewien jestem, że w głębi serca wie, jak sprawy się mają. A jeżeli będzie miał z tym trudności, pomogę mu w ich przypomnieniu. Nie jesteś winien śmierci Lucylera... Nikt nie mógł niczego na to poradzić. Nie wierz w te jego bzdury, które wygłasza, bo od tego tylko wariujesz.

– Patwinie, dobry z siebie przyjaciel, ale oceniasz mnie zbyt wysoko. Dinadin jest na mnie wściekły ze stu powodów, z których przynajmniej połowa jest prawdziwa. Mój ojciec nas opuścił... Ja trzymałem ludzi w Dring dłużej, niż było trzeba, a Voris zabrał Lucylera zamiast mnie. Gdybym tam był, to Lucyler zostałby przy życiu. Dinadin ma rację.

– Nie ma racji! – zachnął się Patwin. – Byłeś naszym wodzem. To ty musiałeś podejmować niełatwe decyzje, nie Dinadin. I przypomnij mi, bo może się mylę, ale czy to nie on zaproponował wycieczkę do Ackle-Nye?

Richius usiadł wygodniej i spojrzał ku uchylonym drzwiom jadalni. Jenna była w kuchni, skąd dobiegały odgłosy czyszczenia i mycia naczyń. Wiedział, że dziewczyna nie może ich usłyszeć, nie miał jednak pojęcia, kiedy wróci Jojustin.

– Słuchaj, Patwinie – odezwał się prawie szeptem. – Nie pojedę z Gilliamem, przynajmniej nie dziś. Zamierzam się udać do siedziby rodu Lotts.

– Do Dinadina?

Richius kiwnął głową.

– Chcę z nim pogadać i przekonać się, czy nie możemy położyć kresu temu paskudnemu nieporozumieniu. Masz rację, on będzie mi potrzebny. Aby obronić Aramoor przed Arkusem, wszyscy musimy trzymać się razem.

– Ty naprawdę sądzisz, że idą na nas jego legiony? – zdumiał się Patwin.

– Nie da się tego wykluczyć, a w takim razie lepiej będzie się przygotować. Wiesz, Patwinie, w Bogu nadzieja, że Jojustin się nie myli, ale jeżeli jest inaczej...

– To znów będziemy mieli wojnę – stwierdził rzeczowo Patwin. – Pojadę z tobą do Lottsów. Gilliam też może się zabrać z nami, jeżeli zechcesz.

Richius położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

– Zawsze będę wam rad...

W tej chwili do jadalni wpadł Jojustin dzierżący w dłoniach ogromny miecz. Wdarł się tak nagle, że Richius poderwał się z miejsca, zbyt zaskoczony, by wydobyć z siebie choć słowo.

– Oto jest! – Zawołał Jojustin.

Richius natychmiast rozpoznał trzymany przez niego oręż. Wiele razy widział ten miecz przytroczony do ojcowskich pleców. W całym zamku, pełnym przecież rozmaitej białej broni, nie było klingi równie złowrogiej, jak ta. Z wyszczerbionym ostrzem i wytartą rękojeścią wyglądał jak relikwiarz dawno minionych czasów. Nie lśnił jak inne miecze, bo wykuto go z szarej stali. Miał jednak swoją aurę, blask, który widzieli tylko ci, którzy znali jego przeszłość.

– Jessicane – stwierdził Richius cicho, biorąc miecz z dłoni Jojustina. Musnął ostrze palcami, czując zimny dotyk nierównej powierzchni. Jessicane. Imię kobiety, żony i matki, której Richiusowi nie dane było poznać i po której miecz wziął swoje miano. – Jessicane – powtórzył, zwracając się do miecza. – Byłem pewien, że pochowano cię razem z ojcem.

– Teraz jest twój – stwierdził Jojustin. – Tak więc nikt nie zaprzeczy, że jesteś królem.

Uniósł miecz do piersi. Głownia była dłuższa, niż te, do których przywykł – o całą stopę dłuższa niż jego miecz. Ale też ojciec był ogromnym mężczyzną, który bez trudu sprawiał się z takim orężem. Nawet jako dorosły Richius wyglądał przy ojcu niczym dziecko, a ponieważ dwuletni pobyt w Lucel-Lorze tylko go osłabił, odkrył, że niełatwo mu unieść miecz jedną ręką. W końcu jednak mu się udało i mimo lekkiego bólu w nadgarstku, podsunął miecz Patwinowi, który wbił w niego zdumione spojrzenie.

– Tym mieczem wygrano wojnę – stwierdził Patwin dramatycznie. – Nigdy nie myślałem, że ujrzę go z tak małej odległości. Mogę wziąć go do ręki?

– Chyba tak... – rzekł Richius, zręcznie podając miecz Patwinowi. Ten szybko wytarł zatłuszczone dłonie w koszulę i ostrożnie ujął miecz jak świętość, starając się nie poplamzić dobrze wyświechtanej rękojeści.

– Ależ ciężki! – sapnął, zmieniając uchwyt i badając każdy cal głowni, każdą plamkę i zadrę, ledwie przy tym oddychając. W końcu oddał miecz Richiusowi. – Piękna broń. Ale nie możesz się nią posługiwać. Jest zbyt stara.

– Bzdura! – zachnął się Jojustin. – Przesuń kciukiem po krawędzi i rzeknij mi, jak jest stara. Miecz jest tak samo ostry, jak w dniu, kiedy wycięto nim serce Gayle'a.

Nie było dla Richiusa tajemnicą, że wspomniany Gayle to Angiss Gayle, od dawna nieżyjący stryj Gayle'a z Czarnej Kniei i brat obecnego króla Talistanu. Usłyszawszy to

imię, Richius zacisnął zęby, rozumiał bowiem, że po raz kolejny przyjdzie mu wysłuchać bohaterskiej opowieści.

– Kiedy twój ojciec zabił tamtego Gayle’a, miał już prawie dwadzieścia siedem lat, Richiusie – zaczął Jojustin. – Nie był wiele starszy, niż ty teraz. – Oczy starego rozbłysły, gdy naszły go obrazy przeszłości. – Wszyscy trzej byliśmy wtedy młodzi – twój ojciec, Edgard i ja. Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy Darius przeszył mieczem Gayle’a. Obaj walczyliśmy u jego boku. Boże, cóż to był za dzień! – Jojustin westchnął ciężko. – Ale opowiadałem ci tę historię już chyba z tysiąc razy...

– Jeżeli nie ty sam, to razem z ojcem na pewno – zachichotał Richius. – Ale nie przejmuj się. Taki dzień powinno się pamiętać. – Przerwał, spoglądając na miecz z pełnego szacunku oddalenia. – Chciałbym tylko być przy tym, by to zobaczyć.

– Ciesz się, że cię tam nie było! – odparł Jojustin. – Twój ojciec miał dość rozumu, by zapragnąć wolnego kraju dla swoich dzieci. Dlatego właśnie zaczęliśmy wojnę z Talistanem, i jest to jedyny powód, dla którego mówimy o tym teraz. Pamiętaj o tym, Richiusie i nigdy nie zapominaj. A jeżeli nie zapomnisz, będziesz równie dobrym królem, jak Darius.

– Postaram się – stwierdził Richius, pojmując w jednej chwili, że rzeczywiście będzie się starał. Zrobi, co tylko w jego mocy, by godnie zająć tron zostawiony mu przez ojca, choćby nawet oznaczało to walkę z wszystkimi legionami Nar. Uśmiechnął się niezbyt wesoło. Darius Vantran o wolność Aramooru musiał się bić z Angissem Gayle’em. Teraz, w ćwierć wieku później, jego syn musiał stawić czoła Arkusowi z Nar.

– Wiem, że się postarasz, chłopcze – odezwał się Jojustin. – Ty, Patwin i inni chłopcy godnie zastąpiliście nas, weteranów. A teraz skończ śniadanie. Ja mam swoje zajęcia. – Odwrócił się i w drzwiach rzucił przez ramię: – Richiusie, zrób mi niewielką uprzejmość. Nie czynь wielkiej sprawy z wizyty u Gilliama. Nie ma sensu podrywać wszystkich na nogi z racji, które mogą się w ogóle nie ziścić.

– Nie martw się – odparł Richius. – Zachowam... dyskrecję.

– O nic więcej nie proszę – stwierdził Jojustin, wychodząc z jadalni.

Kiedy staruszek już wyszedł, młody Vantran znów spojrzął na miecz. Patwin miał rację. Głownia była stara, ale miała w sobie coś, co stawiało ją ponad upływem czasu. Poczuł pokrewieństwo z tą stalą, jakby płatnerz wtopił w metal duch obojga rodziców. Jessicane był wszystkim, co mu po nich zostało.

– Boże, ależ to wielkie ostrze – rzekł Patwin. – Naprawdę zamierzasz się z nim obnosić?

– A dlaczego nie? – Richius wzruszył ramionami. – Mój miecz też przepadł w Lucel-Lorze.

\* \* \*

Richius i Patwin zaraz po śniadaniu wyruszyli do Lottsów. W odróżnieniu od większości szlacheckich aramoorskich domów siedziba rodu Lotts znajdowała się na morzu, daleko od niepewnej granicy dzielonej z sąsiednim Talistanem. Richius pamiętał też, że była znacznie oddalona od jego własnego domu. Droga wiodąca z zamku na północ była jednak w dobrym stanie, a nocna wichura zdążyła przekształcić się w łagodną bryzę. Niebo nad nimi pokrywała łagodnie perłowa warstwa chmur, jak się Richius domyślał, nie niosąca już ze sobą śniegu. Młody Vantran był pewien, że przy odrobinie szczęścia, utrzymując stałe tempo, zdążą dotrzeć do Dinadina i wrócić przed wieczorem.

Po godzinie jazdy dotarli do granic rozległych posiadłości Vantranów. Po drodze mijali ogrodzone pastwiska dla koni i farmy. W końcu znaleźli się w miejscu, gdzie droga się zwężała, a po obu jej stronach rosły gęsto posadzone drzewa, jak wartownicy strzegący wejścia. Nad ich głowami zwarły się gałęzie jodeł, z których na gołe głowy jeźdźców kapą krople wody z topniejącego śniegu. Richius z przyjemnością nadstawiał karku pod zimne strumienie kropel. Dobrze było znaleźć się na otwartej przestrzeni, mieć pod sobą konia, a obok przyjaciela, z którym można było porozmawiać o drobiazgach. Świeża woń jodeł sprawiła, że szybko zapomniał o swoich troskach.

Nie umiałby nawet rzec, ile razy przejeżdżał tym szlakiem jako chłopiec, początkowo dzieląc koński grzbiet z ojcem, a potem na własnym rumaku. Często też przejeżdżał tędy samotnie, zbliżając się krętą drogą do tego skrawka morskiego wybrzeża, do którego rościł sobie prawa Aramoor, a skąd obserwował rybackie łodzie przebijające się przez siwe grzbiety grzywaczy. To tu, pośród tych starych drzew, uczył się dosiadania konia, co było celem każdego aramoorskiego mężczyzny. Tu po raz pierwszy ścigał się z ojcem w drodze z zamku do dworu, i tu Edgard pokazywał mu, jak najlepiej ciąć mieczem z końskiego grzbietu. Niedaleko stąd, na zboczu zbyt stromym dla młodego, ambitnego gwardzisty, Jojustin bandażował mu ramię po pechowym upadku z konia. Przypominając to sobie, odruchowo ruszył łokciem. Wciąż rwało, gdy zbierało się na deszcz. Uśmiechnął się. Darius Vantran był jedynakiem, ale jego wuj spisał się tak samo. Teraz z całej rodziny został mu tylko jeden krewniak – i dlatego białowłosy Jojustin był Richiusowi szczególnie bliski.

Nagły podmuch wiatru strząsnął im na głowy kolejną porcję śniegu. Richius wzdrygnął się lekko, dziękując w duchu Jennie za jej ciepłą koszulę. Zerknąwszy przez ramię na Patwina zobaczył, że przyjaciel odwraca twarz, unikając wiatru. Na jego

policzkach pojawiły się niezdrowe rumieńce. Patwin zaklął, gdy łąta śniegu wylądowała na ramieniu.

– Dobrze się czujesz? – spytał Richius. – Nie wyglądasz najlepiej.

Patwin odkaszlnął i dopiero potem odpowiedział.

– Nic mi nie jest – stwierdził, strząsając śnieg z ramienia. – Po prostu jeszcze nie nawykłem do tak długich przejażdżek.

– Powinienem jechać sam. Niedobrze, że tak wcześnie wyszedłeś na zewnątrz.

– Nie, Jojustin ma rację. To ty nie powinienesz jeździć samotnie... jeszcze nie. Nie martw się o mnie. Jestem tylko zmęczony.

Richius zmarszczył brwi. Zmęczenie było najłagodniejszym z określeń, jakimi Patwin mógłby opisać swój stan. Richius z daleka mógł dostrzec czerwone żyłki szpecące białka oczu przyjaciela. Patwin miał nieco ponad pięć stóp wzrostu, był drobnokościsty, szczupły, a trudy podróży do Lucel-Loru niemal go zabiły. I prawdą było to, co powiedział przy śniadaniu – niewiele brakowało, a dostarczenie Richiusowi listu od ojca przyplaciłby własnym życiem. Nawet jednak Richius uwierzył w to, że jego przyjaciel podczas minionego miesiąca niemal odzyskał siły, śpiąc i obżerając się doskonałymi potrawami Jenny. Teraz, widząc jak Patwin chwieje się w siodle, zrozumiał, jak bardzo się mylił.

– Patwinie, podczas takiej pogody można się przeziębnić i złapać gorączkę – stwierdził Richius. – Powinniśmy zawrócić, a ty połóżysz się do łóżka.

– Nic mi nie będzie – zachnął się Patwin, wskazując podbródkiem Richiusowego konia. – Choć dobrze by było, gdybyś trochę popędził swego rumaka. Przed zmierzchem chciałbym trafić pod jakiś dach.

Richius pochylił się nad końskim karkiem i pieszczotliwie klepnął swego konia po szyi.

– Nie przejmuj się. On jest po prostu wściekły na ciebie, bo urodą znacznie go przewyższasz.

– Powiedz mi, Richiusie, dlaczego wciąż jeździsz na tym samym koniu? Przecież on nie umie połowy sztuczek, bez jakich nie może się obejść rumak bojowy. Powinienesz znaleźć lepszego konia. Nie tak...

– Starego?

– Jeżeli już o tym mówimy, to tak. Jesteś gwardzistą. Potrzebny ci koń odpowiedni do twego stanu. Taki jak ten! – Klepnął po szyi tańczącego pod nim rumaka Ważkę. Był to jeden z koni Jojustina, piękny deresz o wdzięcznie wygiętym karku i równym kroku. Koń jak najbardziej odpowiedni dla aramoorskiego gwardzisty.

– Piorun mi wystarczy – sprzeciwił się Richius. – Byliśmy razem tak długo, że

trudno mi się z nim rozstawać. – Delikatnie podrapał konia za uchem. – Prawda, mój stary?

– Piorun! – sarknął Patwin. – Ten Piorun teraz przypomina nieszkodliwe uderzenie. Ile on ma lat?

Richius szybko policzył. Jego ojciec dał mu Pioruna na szesnaste urodziny, i był to najpiękniejszy podarunek, jakiego mógł się spodziewać aramoorski podrostek. To znaczy, że koń miał blisko...

– Czternaście lat, jak sądzę – odpowiedział, pewien prawidłowości swoich obliczeń.

– Czternaście? I co ty sobie wyobrażasz? Że będziesz do końca życia jeździł na tym koniu? – Patwin potrząsnął głową z niedowierzaniem. – Powinniśmy poprosić Dinadina, by ci wybrał jednego ze swoich. Jeśli wybuchnie wojna, nie będziesz przecież jeździł na tym truchle.

– Jest coś w tym, co mówisz – zgodził się Richius. Każdy stajenny z małą nawet praktyką mógł stwierdzić, że Piorun ma już młodość dawno za sobą. Był jednak rumakiem spokojnym, wytrzymałym w biegu, i myśl o tym, by go wymienić na jednego ze sławnych wierzchowców Dinadina, nie wydała się Richiusowi pociągająca. Jako aramoorski gwardzista dosiadał wielu koni, z których każdy był szybszy i wytrzymalszy niż Piorun w swoich najlepszych latach. Żaden jednak nie zajął jego miejsca. Piorun był mu drogi, jak stary przyjaciel, który w odróżnieniu od innych nigdy się nie skarżył i zawsze był w pobliżu.

– Jeżeli dojdzie do wojny – stwierdził wreszcie miody Vantran – to poproszę Jojustina, by mi znalazł jakiegoś konia. Jeżeli zechcesz, staruszek pozwoli ci zatrzymać Ważkę. Ja może wezmę Cienia, lub któregoś z pozostałych.

Wiedział, że niełatwo mu będzie dobrać odpowiedniego konia. Nie bardzo mu się podobał temperament większości rumaków bojowych. Nie były wprawdzie tak agresywne jak talistańskie, które zasłynęły szeroko i daleko z tego, że potrafiły gryźć swoich panów. Aramoorskie rumaki często były dzikie i nieposkromione, częściej ulegające biczowi niż pieszczocie. Co gorsza, długotrwały konflikt z Lucel-Lor opróżnił prawie aramoorskie stajnie. W razie wojny, pierwszym z problemów, jakimi trzeba się będzie zająć, może się okazać znalezienie koni odpowiednich do jazdy.

– Trzeba też będzie poprosić Dinadina, by nam pozwolił obejrzeć kilka swoich koni – stwierdził Patwin. – Nie możesz jako król jeździć na Piorunie.

– Może i nie – odparł Richius. – Ale wiesz, naprawdę uważam, że Jojustin robi wokół tego zbyt wiele hałasu. Niewielkie są na to szanse.

– Nie wiem, Richiusie – odpowiedział przyjaciel. – Jojustin ma ucho do tych spraw i wie, co w trawie piszczy. Jeżeli on powiada, że będziesz królem...



Richius zachichotał.

– A wiesz, wydaje mi się, że on w to naprawdę wierzy! Ale tak czy inaczej, byłby to cud. Ojciec nienawidził Arkusa jak zarazy, a imperator doskonale o tym wiedział. No, a Gayle'owie nieustannie sęczyli mu do ucha te swoje łągarstwa... – Młody Vantran potrząsnął głową. – Nigdy w życiu!

– A ty, co o tym myślisz? – spytał Patwin. – Nie chcesz być królem?

Richius wzruszył ramionami.

– Uważam, że lepsze to, niż wojna.

– Och, daj spokój – zachnął się Patwin. – Nie wierzę, byś naprawdę tak myślał.

– Nie jesteś księciem – odparł Richius ostrym tonem. – Gdybyś nim był, zrozumiałbyś, jak trudne bywają niektóre decyzje. Mogę sobie wyobrazić, co by się stało, gdybym został królem. Wszyscy by ode mnie czegoś chcieli, czegoś się po mnie spodziewali, a zwłaszcza Arkus. Jeśli zgodziłby się na to, bym został królem, z pewnością czegoś by w zamian zażądał.

– Przecież nie możesz wiedzieć tego z góry. Może Jojustin ma rację. Arkusowi potrzebny tu król, na którym mógłby polegać, ktoś, kto nie narobi mu kłopotów. Wciąż toczy wojnę z Liss, pamiętaj o tym. Nie może sobie pozwolić na walki wewnątrz Imperium.

– Możliwe – odpowiedział Richius.

Wojna pomiędzy Arkusem i wyspami Liss trwała już ponad dziesięć lat i nikt się nie spodziewał, że Arkus wycofa z niej swoje oddziały. Liss było ważne dla imperatora, ważniejsze nawet niż Lucel-Lor. Tajemnicą było, po co imperator wdawał się w podbój Lucel-Loru, wszyscy jednak wiedzieli, że Liss postanowił zdobyć niezależnie od tego, ile by mu przyszło za to zapłacić. To już nie była sprawa chciwości, ale osobistej ambicji i honoru. Liss jakoś udało się powstrzymać wojenną machinę Imperium, a był to wyczyn, jakim dotąd nie mógł się poszczycić żaden naród w Nar. Aramoor po zaciętych walkach musiał ugiąć kark przed legionami Arkusa, do tego samego zmuszony został Talistan, Gorkney i kilka innych państw. Liss zaś patrzyło w oczy smokowi i nie dawało się pożyć. Arkus nie umiał się z tym pogodzić, tym bardziej, że niepodległość Liss pozostawała dla niego zagadką. Dla Nar i wszystkich jego mrocznych ideałów, ten rodzaj zuchwałości mógł stać się złośliwym nowotworem.

– Musimy być przygotowani – stwierdził Richius. – Biorąc pod uwagę stan naszego wojska, nie mogę jakoś wyobrazić sobie, żeby Arkus się nas bał. Uderzając z Talistanu, jego legiony w jeden tydzień nas pokonają.

– Tym większy powód, by mieć nadzieję, że Jojustin się nie myli – stwierdził Patwin.

Richius skinął głową. Mimo że nie miał ochoty na królowanie, było to znacznie

lepsze, niż wojna z Arkusem.

– Jak się czujesz? – spytał, pragnąc zmienić temat rozmowy. – Nie jest jeszcze za późno na powrót.

– Żeby Jenna pomyślała, że wciąż jeszcze jestem chory? Daj spokój. Nie chcę, by wciąż się nade mną znęcała. Wszystko zresztą po to, by mnie wypytywać o ciebie.

– Aaa... – rzekł Richius obojętnym tonem. – I to cię irytuje?

– Skąd? To twój problem, nie mój.

– A może byś się jej lepiej przyjrzał? To bardzo ładna dziewczyna.

Patwin potrząsnął głową.

– Ja jej w ogóle nie obchodzę. To o tobie rozmyśla.

– To akurat może ulec zmianie. Gdybym, na przykład, z nią porozmawiał i opowiedział jej, jaki z ciebie dziarski chłopak...

– Myślisz, że robię do niej słodkie oczy? – jęknął Patwin obronnym tonem.

– Z pewnością stwarzasz takie pozory. A jak jest w istocie?

Twarz Patwina poczerwieniała. Uciekł wzrokiem w bok, a na jego wargach pojawił się niewyraźny uśmiech.

– Może trochę – przyznał w końcu. – Ale to nie ma znaczenia. Richiusie, ona jest zakochana po uszy w tobie. Jeżeli Jojustin wyda ją za któregoś nas, to tym kimś będziesz ty.

– Nie Jojustin będzie o tym decydował – zachnął się Richius. – Będę królem czy też nie, ale się nie ożenię. Ani z Jenną, ani z nikim innym. Będę to musiał wreszcie wbić mu do głowy.

– Richiusie, ależ ty się musisz ożenić! Koronie potrzeba dziedzica! Wszyscy na to czekają. – Patwin zachichotał. – Nie jestem pewien, czy w tej sprawie w ogóle będziesz miał jakikolwiek wybór. Nawet królowie muszą giąć kark w małżeńskim jarzmie.

– Ja się nie ożenię, Patwinie – zaoponował Richius. – Możesz być pewien.

– Ale dlaczego? Z Jenną to był oczywiście żart, to wcale nie musi być ona. Jako król będziesz mógł poślubić, kogo zechcesz. Wystarczy, że wymienisz imię i dziewczynę przywloką ci do łoża. Imperator już o to zadba, ani chybi.

Teraz Richius uciekł ze spojrzeniem w bok.

– To nie takie proste. I nawet Arkus nie zdoła zdobyć dla mnie kobiety, którą bym chciał mieć u swego boku.

– Hola, mój panie! – zacietrzewił się Patwin. – Czyżbyś w sekrecie przede mną miał jakąś ukochaną? – Mrugnął znacząco do Richiusa. – Przyznaj się stary, kim ona jest? Córka Terrila. Piękna dziewczyna. Przysięgam, że każdy chłopak na dworze śni o jej...hm... oczach. Ale nie masz się co martwić. Jako król...

– To nie córka Terrila – odparł spokojnie Richius. – Po powrocie do domu nawet jej nie widziałem.

– No to kto? Któraś z dworek?

– Nie, ona nawet nie pochodzi z Aramooru – odparł Richius. – Urodziła się... – przerwał, zastanawiając się nad dalszymi słowami – ...daleko stąd.

– Znam to miejsce?

– O tak.

– To gdzie? Proszę, powiedz. Nie w Talistanie, prawda?

– Oczywiście że nie! – zachnął się Richius.

– Dzięki Bogu i za to. Gdybyś powiedział Jojustinowi, że się zakochałeś w jednej z tamtych dziewczek, po kilku chwilach twoja głowa wisiałaby nad zamkową bramą. To skąd ona jest? Byłem wszędzie, gdzie ty bywałeś, i nigdy... – Nagle przerwał i odwrócił się w stronę Richiusa. – Och nie! Powiedz, że to nieprawda! Ona nie jest Triinką?

Richius milczał dość długo, by utwierdzić Patwina w tym, że jego domysł był prawdziwy.

– Richiusie! Nie może być! Triinka? Jak to się stało? Znaczący...w Dring nie było czasu na amory...

– W dolinie nie. Owszem, po raz pierwszy spotkaliśmy się w dolinie, ale wszystko stało się w Ackle-Nye.

– No dobrze. Kim ona jest? Jak ma na imię?

Richius uśmiechnął się nisko.

– Dyana. – Wymówił to imię po raz pierwszy od powrotu do domu. – Zanim zapytasz o resztę, przyznam od razu, że... trudniła się nierządem.

Z twarzy Patwina natychmiast znikło wszelkie zainteresowanie.

– Richiusie! Myślałem, że to coś poważnego. Każdy z nas kiedyś zakochał się w jakiejś dziwce. Zapomnij o tym. Przejdzie ci.

– Nic nie rozumiesz. To jest coś poważnego. Nie byłeś tam i nie widziałeś jej. Była... – z piersi Richiusa wydobyło się westchnienie – ...niewiarygodnie piękna. Nigdy w życiu nie widziałem tak pięknej dziewczyny.

– I dlatego się zakochałeś? – Patwin rzucił mu kosę spojrzenie.

– Może... Myślę o niej cały czas, kiedy jestem w swej komnacie, albo w ogrodzie. Nie mam sposobu, by o niej zapomnieć. Wierz mi, że próbowałem. Ale Bóg mi świadkiem, że wciąż ją wspominam. – Richius spojrzał na Patwina. – Ty byś to nazwał miłością fatalną, prawda?

– Miłością, albo jakimś zauroczeniem – zakpił Patwin. – Gdzie ona jest teraz? Jeżeli tak ci na niej zależy, dlaczego jej nie przywiozłeś do domu?

Richius otworzył usta do odpowiedzi... i nagle zamilkł. Zapisaną w jego dzienniku historię uprowadzenia Dyany znali tylko on i Dinadin. Nie bardzo był pewien, czy ma ochotę z kimś jeszcze o tym porozmawiać.

– No? – naciskał Patwin. – Co się z nią stało?

– Nie wiem – odpowiedział Richius ponuro. – W tym sęk, że nie wiem, i to jest najgorsze. Porwała ją burza, ta sama, w której zginął Edgard i jego ludzie. Próbowałem ją ratować, ale nie dałem rady. – Spojrzał w bok. – Uciekaliśmy oboje. Chcieliśmy skryć się przed żywiołami w górach, ale to było szybsze i mocniejsze.

Przerwał, nie mogąc mówić dalej. Niebo nad ich głowami zrobiło się bardziej mroczne. Konie szły ślimaczym tempem, jakby same chciały usłyszeć całe wyznanie.

– Richiusie – odezwał się Patwin surowym głosem. – Daj spokój tym bzdurnym myślom. Dinadin opowiedział mi o tej burzy. Z tego, co mówił, wysnułem wniosek, że nikt nie mógł jej przeżyć.

– Mnie się udało – stwierdził Richius z ponurym uśmiechem.

– Tak, to cud – rzekł Patwin.

– Oczywiście – przerwał mu Vantran. – Zawsze miałem takie psie szczęście, prawda? Mnie nigdy, na przykład, nie zaatakował żaden wilk, zawsze wybierały inną ofiarę. Zawiodłem ją, Patwinie, tak samo jak zawiodłem Lucylera.

– Nie zawiodłeś! – przerwał mu przyjaciel. – Jestem pewien, że zrobiłeś, co było w twojej mocy. Nie dręcz się już i nie oskarżaj. Niełatwo z tym żyć, ale musisz się tego nauczyć. Ona nie żyje i na tym koniec.

– Gdybym choć wiedział to na pewno... Uciekała przed Tharnem. Dlatego przyszła do Ackle-Nye, chciała mu się wymknąć. Ale on ją znalazł, jakimś diabelskim sposobem. Patwinie, ta burza to było jego dzieło. Ona mi mówiła, że Tharn jej szuka... że to on.

– Richiusie! – Patwin aż uniósł się w siodle. – Pomyśl o tym, co mówisz. To bluźnierstwo!

– Wiem, że to brzmi głupio i nie spodziewam się, że mi uwierzysz. Sam nie wierzyłem Edgardowi, kiedy mi o tym opowiadał. Ale wierzysz czy nie, to prawda. Tę burzę jakimś sposobem wywołał Tharn, po tym, jak się dowiedział, że Dyana jest w Ackle-Nye.

– I ty myślisz, że ona wciąż żyje? Mało prawdopodobne. Jeżeli, jak twierdzisz, porwał ją wicher, to pewnie już po niej. Przykro mi, Richiusie, ale nie ma się co łudzić. Ona nie żyje.

Vantran zamknął oczy.

– Wiesz co? Proszę Boga, byś miał rację – rzekł z naciskiem.

Alternatywą było... coś nie do pomyślenia. Przypomniał sobie, jak mała dłoń Dyany

wyślizgiwała się z jego palców. Powoli... powoli... usiłując ją utrzymać, ścisnął tak mocno, że usłyszał trzask pękających kosteczek. A jednak mu się wymknęła... Może w objęcia śmierci, a może w łapy Tharna. Przeklął się w duchu. Naprawdę ją zawiódł i żadne słowa Patwina nie zdołają go przekonać, że było inaczej.

W końcu otworzył oczy.

– Patwinie, czy Dinadin mówił ci coś o Dyanie?

– Nie – odpowiedział Patwin. – Niczego mi nie mówił. Rzekł tylko, że we dwojkę uciekliście z miasta, by ująć przed burzą. Ale o dziewczynie... nie, niczego nie mówił.

Richius zachichotał. Wiedział, że Dinadin jest w takich sprawach wyjątkowo małowówny, poczuł też nagły przypływ szacunku dla przyjaciela. Spodziewał się, że młody Lotts opowie całemu światu, jak to Richiusowi uprowadzono dziewczynę, ale ku swemu zaskoczeniu przekonał się, że cała ta sprawa pozostała ich własnym, wstydliwym sekretem.

– Powinieneś wiedzieć, Patwinie – odezwał się – że zabrałem mu tę dziewczynę. Byliśmy w oberży i ona mu się spodobała. Zażądałem, by się z nią nie zadawał, bo jest Triinką. Wiesz, jak podchodziłem do tych spraw.

Patwin nie odezwał się słowem, czekając na dalszy ciąg opowieści.

– No cóż, posłuchał. Nie spodobało mu się to, ale obstawałem przy swoim i Dinadin poszedł na górę, by znaleźć sobie inną dziewczkę. Ale mnie się to nie udało. Była zbyt piękna, a ja się upiłem i potrzebowałem kobiety. Nim się zorientowałem, co robię, zapłaciłem za nią oberżyście i wciągnąłem ją do łóżka.

– A Dinadin się o tym dowiedział?

– Sam mu powiedziałem, następnego dnia rano. Boże, ależ byłem głupi! Dinadin i bez tego był na mnie wściekły, bo nie chciałem się wycofać z doliny. I wiesz, co zrobił, kiedy opowiedziałem mu o Dyanie?

– Dał ci po pysku? – spytał drwiąco Patwin.

– Nie. Dał mi srebrny sztylet swego brata, bym mógł kupić ją na kolejną noc.

Twarz Patwina przekształciła się w maskę niesmaku.

– Richiusie...

– Tak, wiem. Wierz mi, nie jestem wcale dumny z tego, co zrobiłem. Ale ona była... kimś wyjątkowym, Patwinie, a Dinadin wcale jej nie znał. Chciał się z nią tylko zabawić po swojemu.

– A ty oczywiście chciałeś ją tylko potrzymać za rękę? – spytał drwiąco Patwin. – Skąd wiesz, czy i dla Dinadina nie byłaby kimś wyjątkowym?

– Patwinie, on ją widział tylko przez chwilę.

– Czasami i tego nie trzeba, by się zakochać. Szczególnie podczas wojny. Mówiłeś,

że była piękna. Może Dinadina wzięło tak samo, jak ciebie.

– Może... – odparł ponuro Richius. Aż do tej chwili nie pomyślał o tym, że Dinadin mógł czuć do Dyany coś innego, niż tylko pożądanie. Zapomniał o tym, że nie tylko on był tamtej nocy samotny i ogarnięty zwątpieniem. – Czuję się, jakbym go zdradził – ciągnął dalej Richius. – Najpierw ojciec, potem ja. Nie chciałem jednak, by sprawy zaszły aż tak daleko. Możemy się spierać o śmierć Lucylera, o wszystkie moje błędy, ale tego, co się stało, nic już nie odwróci. Ja...

Przerwał nagle, zauważając jakiś ruch na drodze przed nimi. W poprzek szlaku ustawilo się pięcioro zwierząt podobnych do psów, leniwie, z wywieszonymi jęzorami obserwując zbliżających się jeźdźców. Konie stanęły. Richius poczuł, jak mięśnie Pioruna tężeją. Ważka parsknął gniewnie. Wszystkie pięć bestii były do siebie podobne, i ludzie oraz konie natychmiast je poznali.

Górskie wilki.

– Richiusie...

– Widzę – syknął Vantran. – Nie ruszaj się! I nie pozwól Ważce ruszyć galopem.

Richius ściągnął wodze swojego konia. Wielki, bojowy rumak usłuchał i w obliczu wroga zachował całkowity spokój. Wilki wyglądały na głodne i niespokojne, rzucały jeźdźcom dzikie spojrzenia, przeszywające Vantrana dreszczem. Ze wzrastającą trwogą przypomniał sobie, co o tych zwierzętach mówił mu rano Patwin. „Głupieją z tym pierwszym śniegiem”.

„To nie są wilki szkolone do wojny – upomniał się. – Zachowaj spokój”.

Co mu się oczywiście nie udało. W brzuchu poczuł zimny węzeł, taki sam jak przed każdą bitwą. Już wcześniej stawiał czoło bojowym wilkom, stworzeniom znacznie roślejszym i daleko bardziej złowrogim niż te. Tamto jednak działo się w Lucel-Lorze, miejscu, gdzie takie rzeczy były na porządku dziennym. Pomyślał, że w tej sytuacji bardzo by mu się przydał ogniomiot.

– Co zrobimy? – spytał Patwin.

– Zachowaj spokój – poradził mu Richius.

Jechali prawie godzinę, a dwór Terrilów był zbyt daleko na północy, by mogli się spodziewać pomocy. Gdyby natychmiast spięli konie, wilki ruszyłyby w pościg. Dopadłyby ich, zanim dotarliby na odległość, która dawałaby szansę na wezwanie pomocy. Obejrzał się przez ramię – droga za nimi była pusta. Przez chwilę nasłuchiwał w nadziei, że usłyszy jakiś głos albo skrzypienie kół, ale wszystko tłumił śnieg. Byli zdani na samych siebie. Powoli sięgnął po rękojeść wielkiego. Nadszedł czas, by się przekonać, co potrafi zdziałać Jessicane.

– Spróbujemy zawrócić – rzekł. – Powoli...

Patwin kiwnął głową, niemal przypadkowym gestem kładąc dłoń na rękojeści swego miecza. Drugą ręką zręcznie pociągnął za wodze, kładąc Ważce się odwrócić. Koń lekko się zawahał, ale wykonał polecenie. Richius zrobił to samo. Gdy koń się obracał, Vantran obejrzał się przez ramię. Wilki leniwie ruszyły na nich.

– Cholera – syknął pewien, że zwierzęta zaatakują.

Słyszał o tym, że wilki i psy potrafią zwęszyć zapach strachu i wiedział, że od nich w nozdrza bestii musi bić silna woń. Wyciągnął Jessicane z pochwy. Wielkie ostrze ciążyło mu w dłoni, ale broń świetnie nadawała się do takiej właśnie potrzeby. Patwin też wyjął swój miecz. Przez chwilę obaj patrzyli na siebie w milczeniu.

– Gotów? – spytał Richius.

Patwin lekko skinął głową.

– Ruszajmy!

Richius wydał bojowy okrzyk i uderzył piętami boki Pioruna. Stary rumak jakby tylko na to czekał, ponieważ skoczył do przodu, zostawiając za sobą rozbity śnieg i błocko. Spod jego kopyt trysnął iskrzący się bielą śnieg. Richius zdumiał się, ujrawszy, że Patwin na Ważce już ich wyprzedził. Czuł smagający go po twarzy grad śniegu i grudek ziemi spod kopyt Ważki. Pochylił się w siodle, przylegając niemal do końskiego karku. Obejrzał się za siebie. Wilki były blisko, z łatwością ich doganiały.

– Zbliżają się! – zawołał, usiłując przekrzyczeć grzmot końskich kopyt.

– Szybciej! – wrzasnął Patwin.

– Nie mogę! – odpowiedział Richius.

Patwin zaklął i, szarpnąwszy za wodze, zmusił Ważkę do wolniejszego galopu. Wkrótce Piorun biegł bok w bok z bardziej roslym koniem, starając się dotrzymać tamtemu kroku.

– Nie! – zawołał Richius. – Nie zwalniam z mojego powodu! Gnaj dalej, Patwinie!

– Nie zdołamy im uciec! Musimy stanąć do walki!

Ważka zwolnił. Tuż za nimi rozległo się kłapanięcie szczęk, a potem głuchy trzask, gdy końskie kopyto ugodziło w wilczą czaszkę. Cios rzucił wilka w tył. Reszta nie zamierzała jednak odstąpić, oszalała z głodu i żądzy krwi. W chwilę później dopadły ich pozostałe cztery wilki, po dwa z każdej strony. Richius słyszał, jak suną ku końskim nogom, uderzając w ziemię łapami i szczękając kłami. Podniósł miecz.

„Jeszcze trochę, dranie”.

Wilk z prawej szykował się do skoku. Richius wiedział, że Piorun już się męczy i lada moment ulegnie znużeniu. Kiedy to nastąpi, wilk skoczy. Gładko, ruchem ćwiczonym od wielu lat odciągnął wodze w tył. Piorun zwolnił, wilk skoczył, a Richius opuścił miecz. Ciężka głownia Jessicane ugodziła w wilczą paszczę, rozcinając szczęki

i wpychając wybite kły w wilcze gardło. W tej samej chwili Richius odwrócił się ku drugiej bestii. Ta była już w locie. Na przedramieniu młodego Vantrana zwały się wilcze kły, rozdzierając grube sukno opończy i wbijając się w mięśnie. Richius poczuł potężne szarpnięcie, które wyrzuciło go z siodła. Zwalił się na ziemię i pociągnął za sobą Pioruna. Obaj runęli w śnieżną breję. Koń zarżał boleśnie, gdy jego przednia noga pękła z suchym trzaskiem.

Richius wciąż miał w dłoni miecz, więc uniósł twarz z blocka, usiłując zobaczyć cokolwiek przez krew i zalepiającą mu oczy maź. Słyszał, jak Patwin, wykrzykując jego imię, przemknął obok i słyszał niesamowitą skargę Pioruna. Okręcił się i przygotował do uderzenia, sądząc, że wilk jest tuż za nim. Wilk jednak w ogóle nie zwrócił na niego uwagi i zdążył już wgrzyźć się w koński kark. Niesamowite rzenie Pioruna wzmogło się... Koń usiłował podnieść się na połamanych nogach, wilk jednak nieubłaganie ciągnął go ku ziemi. Z końskich żył tryskały strumienie krwi.

– Patwinie! – zawołał Richius, drepcząc w śniegu w stronę powalonego konia. Skoczył na wilka, kopnął bestię ciężkim butem do konnej jazdy w żebra. Zwierzę odrzuciło w tył. Wilk nie zdążył przygotować się do następnego skoku, kiedy miecz Richiusa trafił go w bok łba, tnąc przez ucho i oko. Zwierzę odskoczyło, wyjąc boleśnie i potrząsając rozciętą paszczą. Jessicane ponownie smagnął z góry i uciszył bestię na zawsze.

Richius zawrócił do Pioruna. Dwa pozostałe wilki zrezygnowały z pościgu i wżarły się w boki jeszcze żywego konia. Patwin podjechał galopem do Richiusa i wyciągnął do niego rękę.

– Wskakuj! – warknął.

– Nie!

Z tym okrzykiem Richius skoczył na bliższego z drapieżników. Uniósłszy swój ogromny miecz, jednym cięciem odciął wilkowi łeb wraz z przednią łapą. Został jeszcze tylko jeden. Napastnik podniósł łeb znad karku Pioruna i wbił wzrok w oczy Richiusa, wydając niskie, groźne warknięcie. I powoli, jakby czując nieuchronność rozprawy, ruszył na Vantrana, skupiając na nim spojrzenie ciemnych, rozjarzonych furią oczu. Richius stał bez ruchu. Jego własna wściekłość niemal go zaślepiła.

– To moja ziemia, wilku! – syknął.

Bestia jakby go nie usłyszała, tylko warknęła i zebrała się do skoku, przysiadając na tylnych łapach.

– Zabiłem twoich braci! – ciągnął Richius, ujmując mocniej rękojeść miecza. – Teraz ty spróbuj się ze mną! – Ostatnie słowa wyrzekł głośno, groźnie i władczo.

Patwin podjechał do obu przeciwników na parsającym gniewnie i bijącym w ziemię



kopytami Ważce.

– Precz, bestio! – zagrział Patwin, potrząsając mieczem i spinając konia. – Wracaj w góry!

Wilk jednak nie zamierzał ustąpić. Ustawił się pomiędzy człowiekiem a zdychającym koniem i zazdrośnie strzegł posiłku, za który przyszło mu tak drogo zapłacić. Piorun znów zarżał boleśnie. Richius wydał okrzyk i skoczył na wilka, unosząc miecz nad głowę. Ważka nie pozwolił się wyprzedzić. Wilk przysiadł i po chwili wahania skoczył na Richiusa. Bestia była jeszcze w powietrzu, kiedy ostrze nieubłaganie, jakby ożywione furją i żądzą zemsty swego pana, śmignęło w dół. Metal i żywe ciało zderzyły się nagle i przez ułamek sekundy Richius widział tylko walące się na niego szare, wilcze kudły. Czuł jednak, że miecz ugodził głęboko, wbijając się w pierś wilka. Pod naporem bestii musiał się chwiejnie cofnąć, i usłyszawszy szcęk kłów tuż przy swojej twarzy, padł w śnieg. Runął na plecy, ale nie puścił rękojeści miecza i klnąc bluźnierczo, wbijał ostrze coraz głębiej w wilczy tors. Kopiąc i wierzgając, usłyszał wreszcie bolesne skomlenie, po którym napastnik – gdy głównia dotarła do serca – wyzionął ducha.

Z trudem wydobył się jakoś spod wilczego cielska. Bolało go całe ciało i czuł ciepło spływającej mu z przedramienia krwi – pierwsze myśli poświęcił jednak Piorunowi. Koń wciąż jeszcze żył. Jego przednie nogi drgały, w miarę jak uchodziło z niego życie. Richius, brnąc przez śnieg, podszedł bliżej i opadł na kolana przy końskim boku.

– Mój piękny... – jęknął. Nie zadał sobie trudu, by spojrzeć na rany wierzchowca, gdyż wiedział, że nieuchronnie go zabiją. Oparł głowę o koński kark i wsłuchał się w ostatnie, bolesne chrapnięcia Pioruna. – Przyjacielu, i cóż ja bez ciebie pocznę?

– Richiusie – odezwał się Patwin, który zdążył zeskoczyć z konia i podejść do boku towarzysza. – Jesteś ranny... Musimy znaleźć jakąś pomoc.

– Posłuchaj tylko – szepnął Richius. Koń nadal rżał i jęczał, prawie jak człowiek. – Zrób to za mnie, Patwinie – poprosił cicho. – Ja... nie mogę.

Twarz Patwina niewiele różniła się barwą od śniegu.

– Richiusie, on zaraz zdechnie. Ja...

– Proszę... – nalegał Richius, wciskając przyjacielowi w dłoń rękojeść swego miecza.

– Użyj Jessicane...

Patwin niepewnie wziął miecz w dłoń.

– Ale nie patrz, dobrze?

Richius kiwnął głową.

– Wybacz – szepnął i odszedł, kierując się ku miejscu, gdzie stał Ważka. Wielki rumak nawet nie drgnął, jakby zdawał sobie sprawę z powagi chwili. Richius zamknął oczy.

„Żegnaj, stary druhu”.

Otworzył powieki, gdy było już po wszystkim. Patwin ocierał rękawem głownię Jessicane. Spojrzał na Richiusa z niejakim lękiem.

– Już po wszystkim – odezwał się. – Boże, cóż to za paskudna robota...

Richius powoli podszedł do Pioruna i spojrzał na koński korpus. Patwin odciął łeb zwierzęcia, tak że stary koń leżał teraz w głębokiej kałuży szybko krzepnącej krwi. Znad końskiego trupa i otaczającego go bajorka unosiły się wąskie smużki pary. Na ten widok Richius poczuł, że wnętrzności skręcają mu się w ciasny węzeł i padł na kolana.

– O Boże! – jęknął, czując żółć w krtani.

– Odwróć się – polecił Patwin i ujął go pod ramię. – Przykro mi, Richiusie, ale Piorun odszedł. Musisz się z tym pogodzić.

Richius szarpnął się i wyrwał.

– Nie! – syknął, kryjąc twarz w dłoniach. – Czy to musiało się wydarzyć akurat tu i teraz? Podobno jestem u siebie!

Patwin opadł na kolana tuż obok Richiusa. Delikatnie ujawszy dłonie przyjaciela, odciągnął je od jego twarzy i spojrzał mu w oczy.

– Richiusie, posłuchaj. Jesteś ranny. Spójrz na swoje przedramię. Muszę zorganizować jakąś pomoc.

Richius kiwnął głową i bez sprzeciwu pozwolił, by Patwin obejrzał jego ramię. Bolało okropnie, ale prawie nie zwracał na to uwagi. Jakby z daleka usłyszał głos Patwina.

– Richiusie, jak daleko stąd do domu Dinadina? Możesz powiedzieć?

Richius spojrzał na swoje zakrwawione ramię, a potem uniósł wzrok i utkwiał go w twarzy Patwina.

– Zabierz mnie do domu – poprosił cicho. – Bardzo cię proszę, zabierz mnie stąd czym prędzej...

## Czternaście

Powrotna jazda do zamku była nużąca i przygnębiająca. Richius, którego bolało ramię obandażowane w wydarte z opończy szmaty, prawie się nie odzywał. Jechał niczym ogłuszony, pogrążony w jakimś osobliwym oszołomieniu, i oprócz tępego ćmienia w ramieniu prawie nic do niego nie docierało.

Po kilku minutach Ważka znalazł się w zamkowej bramie. Młody rumak bez wysiłku pokonał całą drogę z dwoma dorosłymi mężczyznami na grzbiecie. Zobaczyli zamek w tej samej chwili, w której rozwarły się nad nimi podwoje chmur i lunął deszcz.

– Jesteśmy! – rzekł Patwin. – Wkrótce zostaniesz opatrzony.

Richius, którego widok ścian rodowej siedziby nieco podniósł na duchu, uniósł głowę. Za potężnymi zamkowymi murami mógł zobaczyć trzy wysokie wieże wyraźnie rysujące się na tle coraz mroczniejszego nieba. W wielu komnatach zapalano już świeczniki. Richius wzdrygnął się, czując dość ostry chłód. Pomyślał o ciepłym łożu i Jennie, która przynosi mu talerz gorącej owsianki. Vantran wiedział, że dziewczyna narobi mnóstwa szumu nad jego raną, i ze zdziwieniem spostrzegł, że myśl o tym nie jest mu wcale niemiła. W tej chwili marzył wprost o tym, by go ktoś otoczył matczyną opieką.

Ważka niósł ich szybko i wkrótce znaleźli się przed żelazną zamkową bramą. Po zabójstwie ojca Richiusa, Jojustin rozkazał, by brama cały czas była zamknięta i strzeżona, i nawet Patwin nie miał wolnego wstępu na tereny zamku. Kiedy dotarli na miejsce, młodzieniec zaczął kląć i wezwał wartę. Olbrzymi wartownik z obosiecznym toporem w dłoni pojawił się jakby spod ziemi.

– Coście za jedni? – spytał ochryple, pilnie ich obserwując przez otwór strzelniczy.

– Otwieraj! – zawrzał gniewem Patwin. – Nie widzisz, że Richius jest ranny?

– Richius? – Małe oczka strażnika znikły niemal za powiekami, gdy przewiercał księcia wzrokiem. – To ty, książę?

– Ja! – potwierdził Richius. – Farenie, otwieraj!

Strażnik odstawił topór i wyjął klucz, który nosił na rzemieniu zwisającym mu z szyi. Przez chwilę jeszcze mocował się z ryglami, ale w końcu je otworzył.

– Wybacz, panie – odezwał się pokornie. – Jojustin rozkazał, by dziś w nocy zachować szczególną ostrożność. Mamy dość dziwnych gości.

– Gości? – zdziwił się Richius. – Kto raczył nasz zaszczyć?

Wartownik rzucił ukradkowe spojrzenie za siebie, na dziedziniec.

– Przyjechali z Nar, panie.

Richius spostrzegł obcych, gdy tylko przejechali pod bramą. Dwaj jeźdźcy, obaj w zielonych i złotych barwach Talistanu, opierali się leniwie o końskie karki, nie zwracając uwagi na dokuczliwą mżawkę. Był z nimi i trzeci – jeszcze nie zsiadł z konia i trzymał proporzec, którego czerń biła w oczy i była wszędzie natychmiast rozpoznawana. Był to po prostu jednolicie czarny kawałek płótna, bez żadnych ozdób czy naszywek. Barwy Nar, Czarnego Grodu. Gdy Richius i Patwin pojawili się na dziedzińcu, obaj Talistańczycy spojrzeli na nich z kpiącymi uśmieszkami na twarzach. Jeździec z Nar nawet nie drgnął. Teraz dopiero Richius spostrzegł czwartego rumaka. Jego boki okrywał czaprak w barwach Nar, ale w siodle nie było nikogo.

– Cóż to jest? – spytał Vantran, zsuwając się z grzbietu Ważki. – Kim oni są, Farenie?

Faren skinieniem dłoni wezwał Richiusa, by księżę podszedł bliżej, po czym nachylił się i szepnął mu w ucho:

– Biagio.

Richius lekko zmrużył oczy. Gdy w dobrym towarzystwie padało to imię, następowała pełna szacunku cisza. Było to imię, które w Imperium ma swoją wagę. Richius obejrzał się przez ramię, spoglądając na trzech jeźdźców. Dwaj Talistańczycy wciąż na niego patrzyli. Księżę szybko ukrył niesprawne ramię pod połami opończy.

– Wiesz może, po co tu przyjechał?

– Aby z wami pomówić, panie. Nie wiem natomiast, o czym będziecie gadali.

– Odprowadziłeś go do Jojustina?

– Prawie przed godziną. Kazał pozostałym czekać na zewnątrz.

– Dzięki Bogu i za to – odrzekł Richius.

Biagio okazał dość rozumu, by nie pozwolić wejść do zamku wszystkim Talistańczykom. Dostateczną zniewagą była ich obecność w Aramoorze. Trzeci człowiek, jak podejrzewał Richius, musiał być przybocznym samego Biagio, który uznał, że nic mu tu nie grozi. Vantran skrzywił się lekko. W obecnej sytuacji Aramoor nie stanowił zagrożenia prawie dla nikogo.

– Biagio! – imię zabrzmiało w ustach Patwina jak splunięcie. – A cóż ten pies robi tak daleko od swego pana?

– Też się nad tym zastanawiam – stwierdził Richius. Jako głowa Roshannów Biagio był jednym z najbliższych doradców Arkusa, członkiem tak zwanego Żelaznego Kręgu. W języku Wysokiego Nar, słowo „Roshann” znaczyło „porządek” i dokładnie tym zajmował się Biagio. Jego jurysdykcji podlegało każde więzienie i każdy obóz jeniecki w Nar, wszystkie miejsca ciężkich robót, w jego też imieniu i z jego rozkazu dokonywano w Nar wszystkich egzekucji. Krążyły plotki, że Roshannowie mają

szpiegów na każdym dworze w Nar – nawet w Aramoorze! – i choć Richius wiedział, iż niektórym z jego przyjaciół takie twierdzenia wydałyby się niemal bluźnierstwem, nie mógł ot tak sobie ich odrzucać. O Roshannach na pewno dało się powiedzieć tylko jedno – byli wszędzie.

– Farenie, zabierz naszego konia do stajen – polecił wartownikowi. – A ty, Patwinie, chodź ze mną.

– Ależ Richiusie! – wzbraniał się Patwin. – Twoje ramię! Trzeba je opatrzyć. Niech Biagio zaczeka.

– Właśnie, książę – zgodził się Faren, biorąc od Patwina wodze Ważki. – Powiem Jojustinowi, że wróciliście.

– Nie, nie chcę, by rozgłaszano o moim powrocie – sprzeciwił się Richius. – I nie mów Jojustinowi, że jestem ranny. Nikomu nie mów, Farenie. Nie życzę sobie żadnego zgiełku i zamieszania.

Rosły wartownik skinął głową.

– Pojmuję, panie.

– Tam do kata, Richiusie! – warknął Patwin, nie zwracając uwagi na stojących nieopodal żołnierzy. – Biagio przyjechał tu aż ze stolicy Nar! Nic się nie stanie, jak poczeka, aż zostaniesz należycie opatrzony.

– Nie – sprzeciwił się Richius. – Biagio nigdy jeszcze nie przyniósł nikomu dobrych wieści, Patwinie. Pewnie chce porozmawiać o moim ojcu. Nie życzę sobie, by ciężar wyjaśnień spadł na Jojustina. To moje zadanie.

– No tak – odparł niechętnie Patwin, idąc za Richiusem przez dziedziniec. Obaj Talistańczycy nadal pilnie się im przypatrywali. Mijani przez księcia, skwitowali go nieznaczными, lekko kpiącymi ukłonami.

– Dobry wieczór, książę – odezwał się jeden z nich.

Richius nie odpowiedział, tylko spojrzał na obu arogantów. Żaden z talistańskich żołdaków nie postawił stopy na aramoorskiej ziemi od dwudziestu lat i książę przelotnie zastanowił się, czy nie szczycą się przypadkiem tym niezwykłym osiągnięciem. Trzeci z jeźdźców, wyraźnie teraz widoczny, nie wyglądał na takiego, który chciałby się czymkolwiek chlępić. Siedział w siodle wyprostowany, a jego czarna zbroja rzucała mroczne blaski. Szerokie barki jeźdźca okryte były czarną opończą lamowaną szkarłatem i spiętą przy szyi złotą zapinką. Nieznajomy na chwilę tylko zwrócił głowę ku Richiusowi – chwila była jednak dostatecznie długa, by książę ujrzał przyłbicę jego hełmu. Twarz jeźdźca kryła się pod maską ukształtowaną jak trupia czaszka. Richius niemal otworzył usta ze zdumienia. Milczące, piękne w swej grozie widmo było Aniołem Cienia.

„A to ci dopiero przyboczny” – pomyślał Richius. Aniołowie Cienia byli osobistymi strażnikami samego Arkusa, elitarną grupą wojowników wybieranych ze względu na ich oddanie imperatorowi i biegłość we władaniu wszelką bronią. Byli najlepszymi z najlepszych – i nigdy bez rozkazu swego pana nie odzywali się do obcych. Richius tylko jeden raz widział Anioła Cienia i było to tak dawno temu, że prawie tego nie pamiętał. Teraz, stanąwszy twarzą w twarz z jednym z nich, zaczął się zastanawiać, jak długo Aramoorowi uda się bronić przed tymi ludźmi.

– Chodź, Richiusie – odezwał się Patwin, ciągnąc go za rękaw. – Wejźmy do środka.

Richius ruszył za Patwinem do zamkowego przedpokoju, który był niewielką komnatką, gdzie podróżny mógł otrzepać buty z błota przed wejściem na bardziej dworne sale. Tam Patwin uważnie obejrzał Richiusa i zbadał jego przedramię. Opatrunek był brudny, przesiąknięty wilgocią i poplamiony ziemią oraz krwią. Richius skrzywił się boleśnie, gdy Patwin tknął szmatę palcem.

– Oj! – jęknął. – To boli!

– Gotów jestem ci uwierzyć – stwierdził rzeczowo Patwin. – To potrwa tylko chwilę. Trzeba założyć na to czysty opatrunek.

Richius wyrwał ramię i cofnął się o krok.

– Dość. Wierz mi, nic mi nie jest. – Zdjąwszy z pleców pochwę Jessicane, zajął się zsuwaniem opończy, ostrożnie obchodząc się z rannym ramieniem. – Daj mi swój płaszcz – zażądał.

– Mój płaszcz? Po co ci on?

– Bo nie chcę, by ktokolwiek się dowiedział, że zostałem ranny. Jeżeli Jenna się dowie...

– Richiusie! – rozległ się nagle dziewczęcy okrzyk.

Richius poznał ten głos i zbladł. Do przedpokoju wpadła Jenna, poruszając się z taką szybkością, że było to niemal komiczne. Raz tylko spojrzała na jego ramię, a potem uniosła dłonie do jego twarzy.

– Boże! – jęknęła. – Co się stało?

– Wilki – odparł Patwin. – Dopadły nas na północnej przełęczy. Richiusowi się trochę... dostało.

– A to jest twój sposób opatrywania ran? – spytała dziewczyna ostrym głosem, zwracając się do Patwina. – To brud! Szybko, Richiusie. Musisz się przebrać i umyć.

– Nie! – sprzeciwił się. – Muszę znaleźć Jojustina. Gdzie on jest, Jenno? Z Biagio?

Jenna odpowiedziała skinieniem głowy i ujęła w dłonie ramię Richiusa.

– Owszem – odpowiedziała, starannie i uważnie oglądając ranę. – Niedobrze to

wygląda, Richiusie, Chodź za mną...

– Są w sali narad? – spytał Richius niecierpliwym tonem.

– Tak, ale nie możesz tam pójść w takim stanie.

– Muszę – odparł Richius. – Powinienem się dowiedzieć, jak sprawy stoją.

Wyciągnął rękę po opończę Patwina, którą ten podał mu niechętnie. Richius wsunął dłoń w prowizoryczny temblak, który pasował dobrze, szczególnie wobec rozmiarów jego opatrunku. Otrzepał resztki błota z kolan, rad że długa opończa okrywa większą część jego sylwetki, a potem ruszył w głąb korytarza. Jenna wołała coś za nim, on ją jednak zignorował. Ranami mógł się zająć później.

– Może powinienem cię zapowiedzieć, albo zrobić coś w tym guście – spytał Patwin z niepokojem w głosie. – Nie chciałbym im w czymkolwiek przeszkodzić.

– Patwinie, jesteśmy u siebie, a Biagio to gość. Nie upieramy się tu przy ceremoniach. Jeżeli Biagio szuka dworności, powinien wrócić do Nar.

Sala narad znajdowała się na parterze, na końcu długiego, cichego korytarza. Podobnie jak z sali tronowej rzadko z niej korzystano. Darius Vantran był królem bez zamięłowania do przepychu i w większości spraw, o których decydował, można było rozstrzygnąć bez konieczności zwoływania rady i w skromnym otoczeniu. Władał krajem hodowców koni oraz rolników i nie interesowały go śliskie ścieżki wielkiej polityki. Miał tron, ale był niewielki i rzadko z niego korzystano, najczęściej zresztą czyniono to na pokaz, kiedy musiał się pokazać obcym magnatom. Tak daleko na północy Imperium niewiele zresztą zdarzało się po temu okazji.

Gdy dotarli do sali narad, odkryli, że drzwi są dokładnie zamknięte. Richius przystawił do nich ucho i usłyszał docierające zza drzwi głosy. Ciche głosy ludzi, którzy mają dobre maniery i wiedzą, jak się zachować. Odetchnął z ulgą, rad że nie słyszy wywołanych irytacją krzyków Jojustina.

– Są tutaj – szepnął do Patwina. – Gotów?

– Tak. – Patwin nerwowo kiwnął głową.

– Nie trap się – Richius uśmiechnął się do przyjaciela, usiłując dodać mu ducha. Potem pchnął drzwi.

– ...zachowa pełnię władzy nad Aramoorem, czy tak?

Głos należał do Jojustina. Staruszek odwrócił się zaskoczony ku drzwiom, natychmiast zapominając o siedzącym po drugiej stronie stołu gościu.

– Richiusie! Rad jestem, że wróciłeś. Mamy gościa.

Hrabia Biagio natychmiast poderwał się z miejsca. Richiusa uderzyło spojrzenie jego jasnych niczym szafiry oczu. Gość w kilku długich krokach obszedł stół.

– Książę Vantranie... – zaczął, wyciągając dłoń do powitania. – Czuję się

zaszczycony. Udało nam się w końcu spotkać.

Richius ujął dłoń hrabiego i lekko nią potrząsnął. Liczne pierścienie, które Biagio miał na palcach, dość boleśnie wgrzyły mu się w skórę.

– Dziękuję... – odparł nieco speszony.

– Hrabia Renato Biagio – przedstawił się gość, uśmiechając się olśniewająco. – Z pewnością o mnie słyszeliście.

– Owszem – odpowiedział Richius, natychmiast puszcżając trzymaną dłoń. Poczł się tak, jakby ujął w palce bryłę lodu.

– Książę, zechćej mi wybaczyć chłód dłoni – odezwał się Biagio. – Dzień był zimny, a ja wychowałem się w warunkach znacznie bardziej sprzyjających. Te grubo tkane kilimy nie są dla nas, ludzi z Crote, dostateczną ochroną.

Richius kiwnął głową. Ojczyzna Biagio, Crote, leżała w południowej części Imperium. Jak wszyscy ludzie z Crote Biagio miał delikatną, miękką niczym jedwab skórę i żywił dość zrozumiałą niechęć do surowego klimatu Aramooru. Długie dnie spędzone na słońcu sprawiły, że jego włosy wyblakły na kolor jantaru. Mówił też jak gość z dalekiego kraju. A jego głos, przesadnie afektowany i nadmiernie przyjacielski, sprawiał, że Richius poczuł się niezręcznie. Najdziwniejsze były oczy gościa, podobne do dwóch drobno szlifowanych klejnotów – iskrzyły się i lśniły, jak oczy dziecka albo kota.

– Hrabio, jesteście daleko od swego domu – stwierdził Richius. Tonem głosu pytał: „Dla jakiej przyczyny trafiłeś aż tutaj?”

Jojustin podniósł się ze swego krzesła i szybkim krokiem podszedł do Biagia. Na twarzy starego sługi wyraźnie malowało się podniecenie.

– Richiusie – odezwał się Jojustin. – Hrabia ma dla ciebie nowiny. Panie hrabio? Może usiądziemy wszyscy, a pan zechce mu wszystko opowiedzieć?

– Ależ oczywiście – odparł hrabia. – Książę wygląda na zmęczonego. Powinien usiąść i może napić się wina? Książę, pozwól... – Biagio podszedł do stołu i wziął stojącą na nim karafkę z winem. Schwycił puchar, napełnił go szczerze i podał Richiusowi. – W twoje ręce, książę Richiusie. Może gdzieś tu znajdzie się jakiś pucharek i dla twojego przyjaciela? Przepraszam, nie wiem, z kim mam honor...

Richius wziął puchar i skinieniem dłoni wezwał Patwina do siebie.

– Hrabio, niechże mi będzie wolno przedstawić mojego przyjaciela, Patwina.

Ujrzawszy ukłon Patwina, Biagio natychmiast się rozpromienił.

– Żołnierz?

– Tak, mój panie – odpowiedział Patwin. – Z aramoorskiej gwardii.

– Aaa... – Westchnął Biagio z miną znawcy tematu. – Jeden z bohaterów Lucel-Lor. Imperator chciałby wam wszystkim okazać wdzięczność za to, czego tam dokonaliście.



Jest bardzo dumny z każdego z was.

– Naprawdę? – spytał Patwin z miną niewiniątka.

– Naprawdę. Wszyscy walczyliście niezwykle dzielnie. Imperator doskonale zdaje sobie z tego sprawę. – Biagio spojrział swymi dziwnymi oczami na Richiusa. – Wie, że zrobiliście dla niego wszystko, co było w waszej mocy.

– Tak właśnie było – wtrącił się Jojustin. – Dobrze jest słyszeć, że imperator to docenia.

Richius spojrział bacznie na starego sługę, na którego twarzy wciąż tkwił uśmieszek mówiący: „A nie mówiłem?” Biagio podszedł do krzesła, a gdy mu je podsuwał, młody Vantran zrozumiał, że Jojustin miał rację. Niemożliwe, ale prawdziwe. Wkrótce na tronie Aramooru zasiądzie nowy król. Kiedy w końcu wszyscy usiedli, hrabia Biagio zajął miejsce naprzeciwko Richiusa. Potem pochylił się i oparł podbródek na złożonych dłoniach.

– Książę Richiusie, mam dla was coś szczególnego. Bezcenny dar od samego imperatora.

– Co takiego? – zdziwił się Richius.

Biagio sięgnął pod połą swej opończy i wyjął cienki zwój żółtego pergaminu.

– To.

Richius ostrożnie wziął pergamin i złamał paznokciem pieczęć. Był to doskonały, mocny pergamin – jeden z tych, na jakich spisuje się traktaty. Książę rozwinął zwój i zaczął czytać.

Do Richiusa Vantrana.

Ze smutkiem przyjęliśmy wieści o śmierci waszego wielkiego ojca. Stawcie się w stolicy Nar na trzydziesty dzień zimy, byśmy mogli was koronować na króla Aramooru.

Podpis był prosty. „Arkus”.

Richius przez chwilę wpatrywał się w wezwanie. Nie tego się spodziewał; i zaskoczył go żal, jaki wyraził imperator. Ojciec i Arkus byli zajadłymi wrogami i sprzecznymi o każdy drobiazg dotyczący zarządzania Aramoorem. Choć Darius zawsze przegrywał w tych sporach, nigdy nie rezygnował z wyrażania sprzeciwu. Richiusa zaskoczyło i to, że imperator wspaniałomyślnie nazwał jego ojca wielkim. Podpis też był zagadkowy. Arkus podpisał się wyłącznie imieniem. Cały list był utrzymany w niemal przyjaznym tonie.

„Zbyt przyjaznym – pomyślał nieufnie Richius. – Jak Biagio”. Podał list Patwinowi,

który przeczytał go pospiesznie.

– Jak będzie, chłopcze? – spytał Jojustin. – Co ty na to?

– Jestem zaszczycony – odparł Richius. Poczyniwszy w duchu obliczenia, stwierdził, że trzydziesty dzień zimy przypada za dwa miesiące. Czasu było akurat tyle, by mógł dotrzeć do Czarnego Grodu.

– Szkoda, że wszystko to wydarzyło się w taki sposób – odezwał się Biagio. – Twój ojciec, książę, był wielkim królem. Zapewniam, że cały Nar boleśnie odczuwa jego stratę, imperator zaś szczególnie wziął ją sobie do serca.

Richius zmrużył oczy. Biagio łął mu w twarz i sprawiało mu to jakąś przewrotną uciechę.

– Hrabio – odparł po chwili milczenia. – Musisz podziękować imperatorowi za jego łaskawą propozycję. Jest dla mnie dość...niespodziewana.

– Czyżby? – zadrwił Biagio. – A to dlaczego? Książę Richiusie, z pewnością myślałeś o zajęciu tronu?

– Richius po prostu jest zaskoczony szybkością, z jaką się to wszystko dzieje – wtrącił Jojustin. – Taka wiadomość zaskoczyłaby każdego. – Jojustin spojrział nagle na Richiusa. – Prawda, mój książę?

– A tak... wszystko to mnie zaskoczyło – zgodził się z nim Richius. – Hrabio, jak powiedziałem, przekaz, proszę, imperatorowi moje podziękowania za tak wspaniałomyślną propozycję.

– Sam możesz mu to rzec, gdy przed nim staniesz. Imperator nie może się doczekać spotkania. Chciałby porozmawiać o wielu sprawach. Proszę jednak, nie nazywaj tego propozycją. Imperator chciałby w tym widzieć dar. – Oczy Biagia rozbłysły na krótką chwilę. – Dar z rodzaju tych, których nie sposób się wyrzec.

W komnacie nagle zapadła cisza. W końcu odezwał się Richius, patrząc przy tym prosto w oczy gościa:

– Hrabio, ale dlaczego miałbym odmawiać? Jak powiedziałem, zajęcie ojcowskiego miejsca traktuję jako zaszczyt.

– Rad jestem to słyszeć, książę. Są ludzie, którzy boją się podążać za przeznaczeniem Narenów. W Imperium nie ma dla nich miejsca. Dobry król musi mieć odwagę w sercu.

– Richius ma dość odwagi – rzekł Patwin. – Hrabio, gdybyś go widział w Lucel-Lorze, nigdy byś w nią nie zwątpił. Wszyscy jesteśmy pewni, że będzie dobrym królem.

Biagio spojrział na Patwina spod uniesionych brwi.

– Rzadkie oddanie. Dobrze to o tobie świadczy, książę, że masz poddanych skłonnych do takich komplementów. Ale godzi się powiedzieć, że nie kwestionuję twoich skrupułów. Wszyscy znamy historię wojny w Lucel-Lorze i wiemy, ile to cię

kosztowało, książę. – Biagio oblizał wargi koniuszkiem języka. – Ta wojna była bardzo brutalna, prawda?

– Owszem – odpowiedział Richius, starając się nie zdradzić tonem głosu żadnych emocji. – Była brutalna.

– A ten ogień, który wymiółł Ackle-Nye... Zechciej mi o nim opowiedzieć, książę.

– Nie ma o czym opowiadać.

– Niektórzy twierdzą, że to była magiczna burza. Czy też tak uważasz, książę?

Richius nie wiedział, co rzec. Był niemal pewien, że burzę, która pochłonęła Edgarda i jego oddział, oraz wydarła mu Dyanę, wywołano w magiczny sposób, ale czy powinien powiedzieć o tym hrabiemu? Nie bardzo nawet wiedział, co Biagio chce usłyszeć.

– Panie, Lucel-Lor jest pełen dziwnych zjawisk. Nawet ich pogoda nie jest taka, jak u nas w Imperium. Była to chyba jedyna burza z piorunami, jaką tam widziałem.

Biagio, nie do końca przekonany, wzruszył ramionami.

– Książę, nie tylko ty to widziałeś. Kilku Talistańczyków opowiedziało nam o burzy tak gwałtownej, o jakiej my tu, w Imperium, nawet nie mieliśmy pojęcia. – Arystokrata wparł się plecami w krzesło i spojrzał uważnie na Richiusa. – Przeciwnie naturze i bogom nawałnice. Jak sądzisz, co mogło wywołać takie burze?

– Nie mam pojęcia – odparł chłodno Richius.

– Czy służyli z tobą Triinowie? – pytał dalej Biagio.

– Tylko jeden.

– Czy kiedykolwiek widziałeś, by posługiwał się czarami?

– Nie, nigdy – odparł Richius z wyzwaniem w głosie. – A dlaczego pytasz, hrabio?

– Czy nie jest naturalną rzeczą, że imperator chce wiedzieć, jak to się stało, że przegraliśmy tę wojnę? – odparł Biagio pytaniem na pytanie. – Jeżeli, jak powiadasz, Drolowie nie użyli sztuki czarnoksięskiej... – Pozwolił, by pytanie ugrzęzło w ciszy i wbił w Richiusa spojrzenie swoich niesamowitych oczu.

Książę ponownie poczuł ukłucie niepokoju w sercu. Sądził, że uda mu się zwieść gościa, ale wpadł jak śliwka w kompot. Teraz zrozumiał, dlaczego Arkus wysłał do niego tego człowieka. List mógł przywieźć zwykły goniec, ale jedynie Biagio mógł podolać takiemu przesłaniu.

– Panie hrabio... – zaczął, patrząc gościowi śmiało w oczy. – Moim zadaniem było zdobycie doliny Dring. Nie spotkałem się tam z żadnymi czarami. Nie umiem rzec, czy pod Tatterak nie posłużono się magią. Tamte ziemie mieli opanować Talistańczycy. Może te pytania powinieneś skierować do nich?

– Niestety, prawie wszyscy zginęli pod górą Godon, broniąc Daegoga – odparł Biagio. – A ci, którzy przeżyli, powiedzieli mi, że owszem, byli świadkami czarów. W tej

dziwnej burzy zginął twój diuk. Czy i on nie brał udział w kampanii Tatterak?

– Brał.

– A ty widziałeś, jak zginął, prawda?

Richius mógł tylko skinąć głową.

– W takim razie... – rzekł Biagio, rozsiadając się wygodnie w swoim fotelu – ...ja tego wyjaśnić nie potrafię. A ty, książę?

– Nie.

Biagio się uśmiechnął i w tej chwili Richius poczuł się tak, jakby niewidzialne palce hrabiego zaczęły dotykać jego umysł. „Jojustin ma rację – pomyślał natychmiast. – Oni wiedzą o ojcu”. I nagle jak fale wodospadu, ogarnęły go gniew, a potem poczucie zdrady i opuszczenia. Na jeden, haniebny ułamek sekundy Richius znenawidził swego ojca, który skazał go na siedzenie w tej sali i wysłuchiwanie tego szaleńca. Nie mógł jednak niczego na to poradzić, ponieważ wszystko objawiło mu się nagle, jakby prawdę położono przed nim na stole nagą, ale widoczną tylko jemu i nikomu innemu. Ukradkowo opuścił rękę do ugryzionego przedramienia i musnął palcami opatrunek. Rany piekły go teraz i dawały o sobie znać wściekłym, pulsującym bólem.

– Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy – odparł wreszcie. – Aramoor to niewielki kraj. Z tak nielicznymi oddziałami walka była niemal niemożliwa, nawet przy wsparciu Talistanu. Być może, gdybyśmy otrzymali pomoc z Czarnego Grodu, dałoby się powstrzymać Drolów przed przejściem całego Lucel-Loru. – Mówił powoli, starannie ważąc każde słowo. – Wciąż jestem pewien, że Imperium mogło nam przysłać więcej ludzi. Sądzę jednak, że wojna z Liss jest poważnym obciążeniem dla imperatorskiego skarbcza.

Na wzmiankę o Liss twarz Biagia rozjaśnił arogancki uśmieszek. Jojustin nie mógł się powstrzymać.

– Hrabio, a co tam słysząc na froncie walk z Liss? – spytał głosem gładkim, jak z podręcznika uprzejmego dyplomaty. – Powiedz nam coś, hrabio, prosimy... Tak rzadko słyszymy w Aramoorze coś konkretnego. Co tam się dzieje?

– Wszystko toczy się ku ostatecznemu rozwiązaniu.

– Niewątpliwie to diabelskie bractwo – ciągnął Jojustin. – Nikt z nas się nie spodziewał, że to potrwa tak długo. Czy to prawda, że ich okręty zaczęły napaści na południowe wybrzeża? Mówił mi to przejezdny kupiec.

– To kłamstwo – stwierdził Biagio z naciskiem w głosie. – Nasze flotylle kontrolują cały akwen. Sam bym nigdy do tego nie dopuścił.

Richius westchnął współczująco.

– Gdyby przypadkiem okazało się to prawdą, na niebezpieczeństwo zostałyby

narażone i Crote, czy nie tak? Słyszałem, że okręty Liss są lepsze nawet od imperialnych. I mają ich więcej.

– To kolejne łągarstwa. Doprawdy, książę, zaczynam się zastanawiać, skąd je czerpicie? Imperator mniema, że zgniecie Liss w ciągu najbliższego roku. Wtedy się przekonamy, czyje okręty są lepsze.

Richius milczał przez chwilę, przypominając sobie wszystko, co wiedział o walecznych wyspiarzach z Liss. Pewne było, że Liss w końcu ugnie się przed Nar, ponieważ mimo odwagi i wspaniałych okrętów niewiele ponad to mogli przeciwstawić orężowi, jaki zebrał przeciwko nim Arkus. Zaskakujące było, że opierali się przez ostatnią dekadę, topiąc okręty Imperium w wodach labiryntu otaczających ich wysp i wysepek, po których tylko oni potrafili żeglować. Stawiali opór ogniomiotom, nie lękali się blokad, wytrzymali jakoś i to, że imperialna flota odcięła ich od tradycyjnych partnerów handlowych w Nar; mieli nawet śmiałość nazwać się „ostatnim wolnym ludem na świecie”. Richius nie wiedział, co o wyspiarzach myślano w Talistanie, w Aramoorze jednak bardzo ich szanowano. Kiedy przyjdzie mroczny dzień ich klęski, Aramoorczycy z pewnością ogłoszą dni cichej żałoby.

– Dość jednak rozmów o wojnie – oznajmił Jojustin. – Mamy okazję do radości. Powinniśmy ogłosić święto.

– A tak – zgodził się Patwin, poklepując Richiusa po ramieniu. – Wielki to dzień dla Aramooru. I dla ciebie, Richiusie. Będę zaszczycony, mogąc nazywać cię królem.

– I ja – dodał Jojustin. – Spróbuję ci służyć tak dobrze, jak służyłem twemu ojcu, chłopcze.

– Ty zaś dobrze przysłużysz się imperatorowi – stwierdził Biagio z powagą w głosie. – Gotów jestem za to poręczyć.

– Postaram się i zrobię, co w mojej mocy – odpowiedział Richius.

Do drzwi nagle ktoś zapukał. Richius poczuł ulgę i szybko wstał, by je otworzyć. Za drzwiami stała lekko speszona Jenna. Dziewczyna odważyła się nawet na jeden krok w głąb sali.

– Przepraszam wielmożnych panów – powiedziała cicho i złożyła ukłon. – Pomyślałam, że może poczuliście głód. Wiem, że nie pora na posiłek, ale pan hrabia ma za sobą długą podróż. – Głos Jenny lekko zadrżał. – Czy mogę coś podać?

– Ależ oczywiście – odezwał się Jojustin. – Dlaczego nie miałbyś, hrabio, zjeść dziś wieczorem z nami? Mamy komnaty dla ciebie i twoich ludzi. Możecie zostać na noc.

Biagio podniósł swe iskrzące się od klejnotów dłonie.

– Nie, dziękuję. Wasza propozycja jest bardzo hojna, ale naprawdę powinienem już jechać dalej.

– Ależ, hrabio... – upierał się Jojustin. – W taką noc jak dzisiejsza nie radziłbym jechać. Nie chcę nawet słuchać sprzeciwów. Imperator mógłby pomyśleć, że jesteśmy biedakami. Musicie zostać, choćby na jedną noc.

Biagio wstał z krzesła.

– Wybaczcie, ale to niemożliwe. Mam jeszcze kilka spraw i zapowiedziałem się już gdzie indziej. Czekają na mnie Gayle’owie w Talistanie. Będą się niepokoić, jeżeli nie wrócę.

– A dlaczego mieliby się niepokoić – nalegał Jojustin. Nie wstał jeszcze z miejsca, jak to uczynił hrabia. – Po prostu odeślijcie tych dwu jeźdźców z wieściami, że zostajecie u nas. Do Talistanu daleka droga, panie hrabio. A ta pogoda...

– Żałuję, ale będę obstawał przy swoim – odparł Biagio. – W Talistanie będzie mi wygodniej.

Twarz Jojustina stężała.

– Rozumiem – odezwał się lodowatym głosem, wstając tym razem z miejsca. – A zatem, panie hrabio, może jeszcze się zobaczymy w Nar.

– To prawie pewne. Imperator zamierza nadać koronacji godną oprawę. Chce, aby byli obecni wszyscy królowie z całego Imperium.

– Naprawdę? – spytał Richius, również wstając. – Po co tak wielu ludzi? Myślałem, że to będzie prywatna ceremonia, tylko dla towarzyszy broni i przyjaciół.

– Och nie, książę. Może nie w pełni pojmujesz szczyt, jaki ci czyni imperator. Ostatniego nowego króla mianowano w Nar sześć lat temu. Imperator życzy sobie, aby z tej okazji świętowano na całym kontynencie. Z Nar pojawią się przedstawiciele wszystkich rodzin królewskich. Będą najlepsze wina, potrawy i muzyka, jakiej jeszcze nie słyszeliście. Wspaniałe święto, i to z twojego powodu.

– Dla mnie brzmi to jak wyliczanie samych kłopotów – odpowiedział Richius. – Może imperator okazuje za wiele łaski. Takie nadzwyczajne wydatki...

– Nie, nie! – przerwał mu Biagio. – Tego właśnie chce imperator.

Richius z trudem powstrzymał się przez zmarszczeniem brwi.

– Czuję się zaszczycony – odpowiedział zwięźle. – Będę w Nar w wyznaczonym dniu.

– Doskonale. Imperator się bardzo ucieszy. Natychmiast wyślę gońca z wieściami o tym, że przybędziecie. Pamiętaj, książę: trzydziestego dnia zimy.

– Stawię się niechybnie – odpowiedział Richius, odprowadzając Biagia do drzwi. – Czy mogę zabrać ze sobą kilku ludzi? Droga jest długa i przydadzą się doradcy.

– Ależ oczywiście! – zgodził się Biagio. – To ma być święto! Przywieź ze sobą tylu, ilu zechcesz. W pałacu znajdzie się miejsce dla wszystkich. A ja, jeżeli zechcesz, pomogę

ci rozwiązać problem z transportem. Talistan ma port. Mogę do niego skierować okręt z Czarnej Floty.

Richius przez chwilę rozważał propozycję. Statek z pewnością byłby najszybszym środkiem transportu, jemu spodobał się jednak pomysł konnej wyprawy, podczas której będzie mógł obejrzeć kilka innych krain Imperium. Co więcej, obiecał sobie, że póki żyje, nie postawi stopy na talistańskiej ziemi.

– Dziękujemy, panie hrabio, ale z żalem musimy odmówić – odpowiedział. – Myślę, że całą drogę przejedziemy konno. Mamy czas, a poza tym obejrzymy Imperium. – Skinieniem dłoni wezwał Patwina. – Co o tym myślisz? Jesteś za konną wycieczką?

Patwin uśmiechnął się szeroko.

– Jeżeli zechcesz, bym ci towarzyszył...

– Cudownie. – Znów, nie wiadomo dlaczego, Biagio się rozpromienił. Obejrzał się na Jojustina. – Spodziewam się, że i ty tam będziesz, panie.

Jojustin nie podzielał entuzjazmu młodych.

– Panie hrabio, niełatwo mi opuścić zamek. Sam się rządzić nie będzie, a według słów Richiusa, daleka to droga. Ale, jeżeli zdołam, przyjadę.

– Musisz przyjechać – nalegał Biagio. – Imperator spodziewa się również ciebie. Będzie ogromnie rozczarowany, jeżeli cię nie zobaczy.

– Zobaczymy – odpowiedział Jojustin.

Wyprowadziwszy Biagia na korytarz, już bez słów powiódł go do zamkowego zabłoconego przedpokoju. Drzwi pomieszczenia były otwarte i wpadały przez nie silne poddmuchy wiatru, od których chwiały się płomienie pochodni. Na ściany słały się roztańczone cienie. Deszcz lejący na zewnątrz przeszedł w dokuczliwą mżawkę. Mokrzy Talistańczycy kulili się przy koniach i nie wyglądali już na zuchwalców. Anioł Cienia niewzruszenie siedział w siodle, a na widok Biagia nawet nie drgnął. Bez słowa patrzył, jak się zbliża. Biagio, widząc deszcz, ciałniej otulił ramiona opończę.

– Panie hrabio, zechciej raz jeszcze się zastanowić – odezwał się Jojustin. – Mamy ciepłe łoża dla ciebie i twoich ludzi.

– Nie, dziękuję – warknął Biagio. Potem, łapiąc się na nieuprzejmości, dodał bardziej łagodnym tonem: – Ujmująca to propozycja, ale nie mogę zostać tu na noc. Muszę ruszać do Talistanu. Czeka tam na mnie wiele spraw wagi państwowej.

– A więc życzę dobrej podróży – odparł Jojustin formalnym głosem.

– Dziękuję – rzekł Biagio. Odwrócił się do Richiusa i lekko skłoniwszy, powiedział: – Książę Richiusie, poznanie cię było dla mnie zaszczytem. Nie mogę się doczekać koronacji.

– Bezpiecznej podróży, hrabio – odparł Richius, który nie bez skrywanej satysfakcji

patrzył, jak gość wychodzi na deszcz.

Hrabia dosiadł własnego konia, uśmiechnął się po raz ostatni, zawrócił wierzchowca i ruszył w mrok. Anioł Cienia i Talistańczycy pomknęli tuż za nim. Kiedy oddalili się tak, że niemal znikli patrzącym z oczu, Jojustin wydał z siebie długie westchnienie ulgi.

– Dobrze, że te talistańskie świny wyjechały – rzekł. – Kiedy zobaczyłem, jak podjeżdżają pod bramę, niewiele brakło, a szlag by mnie trafił.

Patwin parsknął śmiechem i znów klepnął Richiusa po ramieniu.

– Wszystko poszło bardzo dobrze! A ty jak sądzisz, Richiusie?

– Myślę, że tak.

– Co takiego? – przerwał Jojustin. – Oczywiście, że wszystko poszło dobrze. Będziesz królem! Przestań się obnosić z tą ponurą miną! To był wielki dzień, naprawdę wielki dzień.

– Nie – odpowiedział cicho Richius. – Nie był.

Dotknął pogryzionego ramienia. Rany piekły nieznośnie i niemal czuł, że brud opatrunku sączy się coraz głębiej. Ale wciąż nie miał czasu, by się tym zająć. Gryzło go coś jeszcze.

– Dlaczego Biagio nie chciał zostać na noc? – spytał Jojustina. – Albo, skoro już o tym mowa, nie zjadł z nami żadnego posiłku?

– Nie pił też wina.

Richius spojrzał na staruszkę z uwagą.

– Przy tobie też?

Jojustin potrząsnął głową w niemym przeczeniu.

– Nie rozumiem – stwierdził Richius. – Dlaczego nie pozwolił się niczym poczęstować?

Twarz Jojustina złagodniała.

– Chłopcze, nie daj się zwieść. Jego przybycie do nas było ostrzeżeniem. Imperator zna prawdę o twoim ojcu. Chce, byśmy wiedzieli, że od tej chwili jego ludzie będą się bacznie przypatrywali wszystkiemu, co się dzieje w Aramoorze.

– I mimo tego chce, bym został królem?

– Jest tak, jak ci mówiłem. Arkus uczyni cię królem, czy tego chce, czy nie. Widziałeś, jak Biagio popatrzył na nas, gdy wspomnieliśmy o Liss. Wojna z nimi musi być dla Arkusa trudniejsza, niż myśleliśmy. – Jojustin uśmiechnął się szeroko. – Miałem rację. Wiedziałem, że Arkus nie zechce kolejnej wojny wewnątrz Imperium. Chciał tylko, byśmy wszyscy trzymali języki za zębami i nie rozgłaszali prawdy o twoim ojcu.

– Tak, miałeś rację – przyznał Richius. – Ale dlaczego on się u nas nie zatrzymał? Wyjechać z domu w taką noc...



Jojustin zaśmiał się krótko.

– Nocować pod dachem syna zdrajcy? – spytał. Potem wziął Richiusa w ramiona i delikatnie go uściskał. – Noś to miano z dumą.

Książę poczuł nagle skurcz w krtani.

– Nie omieszkam.

– Richiusie? – spytał Patwin. – Jesteś już gotów?

– Gotów? – zdziwił się Jojustin. – Na co?

Richius milczał i patrzył w bok.

– Chodź Richiusie – odezwał się Patwin z powagą. – Musimy się zająć ranami.

Twarz Jojustina w jednej chwili oblekła się cieniem.

– Co się stało? Co ci jest, Richiusie?

– W drodze do Lottsów opadło nas stado wilków – wyznał Patwin. – Richius został pogryziony.

– Pogryziony? Richiusie! Gdzie rany? Pozwól mi je opatrzyć!

– Nie – odezwał się Richius obojętnie. – Jeszcze nie teraz.

Wyjął pochodnię z żelaznej, osadzonej w ścianie kuny i nawet nie spojrzawszy na Patwina ani Jojustina, wyszedł w nocny mrok.

– Richiusie! – zawołał za nim Jojustin. – Dokąd idziesz?

– Mam jeszcze coś do zrobienia – odpowiedział Richius przez ramię. – Nie martw się, niedługo wrócę.

Ogarnęła go noc, ale ku jego uldze przyjaciele za nim nie poszli. Przy świetle pochodni, brnąc w błocie, przeszedł przez dziedziniec. Czuł, jak zimne strużki deszczu spływają mu po twarzy i chłodzą rany. Szybko minął zamkowe ogrody, obwieszone uspionymi już na zimę pędami róż, a potem przeszedł przez ich pięknie kutą w żelazie furtę. Zaraz potem dotarł do stajni, gdzie słychać było tylko miarowe pochrapywanie koni. Richius minął zabudowania, idąc ciężko, z wysiłkiem, ale miarowym krokiem. Wreszcie zobaczył swój cel.

Grobowiec.

Nie był wielki czy szczególnie ozdobny. Prosty grobowiec, wzniesiony przez kochającego króla dla jego żony, zwykłej królowej. Po śmierci żony Darius Vantran odkrył, że nie może się rozstać z ukochaną Jessicane, grobowiec zbudowano więc tuż przy zamku, na wzgórzu, gdzie był doskonale widoczny ze wszystkich trzech zamkowych wież. Przez niemal dwadzieścia lat była tam tylko jedna trumna. Ostatnio grobowiec krył już i drugą.

Zbliżając się do grobowca, Richius zwolnił i idąc równym krokiem, patrzył, jak budowla powoli wyłania się z mroku. Z reliefu na odrzwiach patrzyły na niego dwie

kamienne twarze. Obie powitały go uśmiechem. Richius przystanął.

– Ojczy – zwrócił się do jednej z nich, tej z twardszym spojrzeniem. Potem zerknął na drugą, której oczy niemal się śmiały. Młody Vantran odpowiedział uśmiechem. – Matko...

Przez chwilę stał w milczeniu, samotny w deszczu, jakby czekał na odpowiedź, która – dobrze to wiedział – nigdy nie miała nadejść. Potem westchnął i sięgnął pod połą koszuli. Płótno było mokre i poplamione krwią, ale koszulę utkała dla niego Jenna, więc dawała mu ciepło, chroniła przed wilgocią, a w jej kieszeniach przechowywał różne rzeczy. Richius szybko znalazł to, czego szukał: tuż przy piersi trzymał lekko pomięty list.

Gdy go wyjmował, zadrżały mu dłonie. Trzymał ten list przy sobie od miesiąca i wbrew temu, co wszystkim mówił, nie rozstawał się z nim, od czasu do czasu dotykając piersi, by sprawdzić, czy jest na miejscu. Nigdy jednak go nie przeczytał. Przez chwilę oglądał go w świetle pochodni. List był starannie złożony i nieco już przetarty na brzegach. Teraz zostawiały na nim plamki krople deszczu. Richius przełknął i otworzył list, natychmiast rozpoznając litery, nieco szerokie, ale starannie kreślone ręką jego ojca.

Mój drogi synu,

teraz już wiem, co Ci zrobiłem. Nie będę wykazywał słuszości mojego postępowania. Ze wszystkich obowiązków, do jakich zmuszał mnie urząd króla, żaden nie był tak ciężki, jak zostawienie Cię samemu sobie. Ta wojna nie toczy się po naszej myśli i wielu ludzi już na niej poległo, a ja nie mogę już dłużej być marionetką imperatora.

Patwin powiedział mi, jak ciężka i rozpaczliwa stała się obrona doliny. Jak do tej pory udało mi się trzymać imperatora z daleka od tej wojny. Zajmuje go Liss, a to, co dla niego robię, nie obejmuje obowiązku mówienia prawdy. Dopóki Gayle'owie nie przekonają go, że jest inaczej, mam nadzieję że uda mi się wmówić mu, że poświęcam wojnie wszystkie swe siły... dopóki jej nie przegramy. Wtedy już będzie za późno na posłanie legionów i nie trzeba już będzie składać życia Aramoorczyków na ołtarzu jego pychy. Za straty odpowiem osobiście, powiem mu też, że nikt nie wiedział o mojej zdradzie. Liczę jedynie na to, że Ty zachowasz życie i wrócisz do domu, zanim Arkus odkryje, iż go okłamywałem.

Może przyjdzie taki dzień, że zasiądziesz na tronie i przekonasz się, że postępowalem słuszenie. Brzemień korony jest ciężkie, obowiązki króla liczne i niemiłe, często zaś ci, którzy nie zasiadają na tronie, nie potrafią zrozumieć motywów, jakimi kieruje się władca. Zanim to przeczytasz, dotrą do ciebie rozmaite plotki, liczę jednak na

to, że pojdziesz, iż zostawiłem cię bez wsparcia jedynie dlatego, by oszczędzić życie naszych poddanych. Nigdy się nie cofałem przed sprawiedliwą wojną, ten konflikt jednak nie obiecuje nam żadnych zysków, które byłyby warte strat, jakie ponosimy, trzeba mu więc położyć kres. Uważam, że nie ma innego sposobu, by zakończyć walki i jednocześnie uratować Aramoor.

Kapłani imperatora twierdzą, że troskę o bohaterów należy zostawić Bogu. Jeżeli tak jest, to z pewnością troszczy się On o Ciebie. Może sprawi, że wrócisz do domu bezpiecznie, mój synu, i zażyjesz spokoju, jaki nie dany był mnie.

Twój kochający i szczerze żałujący  
ojciec

Richius starannie złożył list i wetknął go w kieszeń koszuli. Cały czas pilnie go obserwowało spojrzenie ojcowskich oczu.

– Ojcze, zrobię, co tylko będzie w mojej mocy – rzekł cicho i ruszył wolno ku swojemu zamkowi.

## Piętnaście

Alain miał zaledwie dziesięć lat, ale już żywił charakterystyczną dla całej rodziny miłość do łowów, a Dinadin wiedział, że jego brat będzie kiedyś znakomitym łucznikiem. Używał specjalnie dla niego zrobionego łuku, który był podarunkiem od ojca na ostatnie urodziny. Jak z innych łuków wykonanych z twardokrzewu, i z tego można było słać strzały dokładnie w cel. Dobry łucznik powinien trafiać w sam środek tarczy. Jeżeli działo się inaczej, należało poświęcać się lekcjom. Alain zaś potrzebował nauki wprost rozpaczliwie.

– Sam potrafię napiąć cięciwę! – upierał się chłopiec. Usiłował uwolnić się z uścisku brata, Dinadin stał jednak niewzruszenie za nim, pomagając mu w napinaniu łuku.

– Nie – odpowiedział spokojnie Dinadin. – Znów źle trzymasz cięciwę. Nie używaj całej dłoni. Spójrz...

Dinadin zwolnił cięciwę, a potem ułożył palce brata wokół strzały, układając ją pomiędzy drugim i trzecim. Potem pokazał, jak się ujmuje cięciwę i prawidłowo układając dłoń brata, odciągnął ją.

– Ale tak boli! – poskarżył się chłopiec. – Mój sposób jest lepszy.

– Tracisz kontrolę nad strzałą – skarcił go brat. – Dlatego nie trafiasz w cel.

Alain skrzywił się mocno, bo nie spodobała mu się taka ocena jego umiejętności, potem jednak uważniej spojrzął na odległy o kilkanaście jardów cel. Był nim snop słomy z niedbale zakreślonym pośrodku czerwonym kręgiem farby. Ani jedna strzała nie tkwiła w kręgu, snop zresztą też stał nietknięty. Na ziemi wokół leżało kilkanaście strzał.

– Nie mogę trafić – westchnął chłopak. – Po prostu nie jestem stworzony do łuku. Inaczej niż ty.

– Alainie, do tego trzeba praktyki – pocieszał go Dinadin. – Ja też uczyłem się dość długo. Tak, tak... dość długo to trwało i ciężko się nad tym napracowałem. Del też. Kiedy byliśmy w twoim wieku, uczył nas ojciec. Teraz przyszła kolej na twoją naukę.

– Nie umiem – odparł Alain, rzucając łuk na ziemię. – I nie chcę ćwiczyć. Chcę trafiać w cel. Już teraz!

Dinadin parsknął śmiechem. Alain zawsze był niecierpliwy i zasłynął tym w rodzinie, jeszcze zanim on sam ruszył na kampanię do Lucel-Loru. Cieszył się teraz, że chłopak się nie zmienił. W zasadzie po powrocie zastał dom dokładnie w takim stanie, w jakim go opuścił, co pomogło mu ukoić niepokój serca. Jeżdżąc konno z ojcem, spędzając czas z braćmi, nieustannie przysięgał sobie, że nie da się już stąd wyciągnąć na żadną awanturę. Podniósł z ziemi łuk Alaina i podał go chłopcu, ten jednak potrząsnął

odmownie głową.

– Nie chcę – rzekł kwaśnym tonem. – Ten łuk jest do niczego.

– Alainie, nie obarczaj winą łuku – skarcił go Dinadin. – Nic ci to nie pomoże.

– Jest za mały. Strzały nie dolatują do tarczy.

– Ależ skąd! Zaraz ci udowodnię...

Wyjął z leżącego na ziemi kołczanu kolejną strzałę i osadził ją na cięciwie małego łuku, następnie płynnym ruchem odciągnął cięciwę w tył, zamykając lewe oko. Czerwony krąg natychmiast jakby urósł i zbliżył się, niczym szaty Droła, a reszta świata znikła, zostawiając na miejscu tylko grot strzały i czerwony krąg. Dinadin puścił strzałę, która ze świstem utkwiała w celu, o cal od jego środka. Alain skwitował ten popis radosnym okrzykiem i klaśnięciem w dłonie.

– Widzisz? – spytał Dinadin, podając łuk bratu. – Łuk jest dobry. Ale ty musisz poćwiczyć.

Alain wziął broń z uśmiechem podziwu.

– Jesteś lepszy niż Del. Strzelasz nawet lepiej niż ojciec. Może jesteś najlepszy w całym Nar!

– Ależ skąd! – zaprotestował Dinadin, zakłopotany pochwałami, ale jednocześnie rad z siebie. Wciąż jeszcze potrafił przywołać uśmiech na twarz Alaina. – Jest wielu lepszych ode mnie.

– Nie znam żadnego – oświadczył brat.

– A ja znałem. Na przykład wśród Triinów. To najlepsi łucznicy na świecie. Są szybcy i zawsze czujni. Wszędzie wypatrują celu.

– Wielu ich znałeś? – Alain utkwiał w nim pytające spojrzenie dziecięcych oczu.

– Nie – odparł Dinadin. Jego dobry humor gdzieś się nagle ulotnił. – Tak naprawdę to znałem tylko jednego Triina.

– Był dobrym łucznikiem?

– O tak – odrzekł. – Chodź, chcę ci o nim opowiedzieć.

Ujął dłoń brata i poprowadził go w cień pobliskiego jaworu. Pod drzewem leżały stosy starannie zamiecionych liści, które zachęcały by na nie usiąść. Śnieg, który pojawił się na początku tygodnia, zdążył się już stopić i obecnie powietrze przesycił zapach wilgoci. Alain usadowił się na jednej stercie liści, Dinadin zaś zajął sąsiednią. Zielone oczy najmłodszego z Lottsów skrzyły się z podniecenia w oczekiwaniu na opowieść.

– Nazywał się Lucyler – zaczął dramatycznie Dinadin. – I był moim przyjacielem. – Zastanowiwszy się nad tym, co powiedział, dodał po chwili: – Nie, to nie tak. Był kimś więcej, niż przyjacielem. Można by rzec, że był dla mnie bratem.

– Jak ja?

– Trochę wyższym – zażartował Dinadin. – Ale... tak, traktowałem go jak Dela, albo ciebie.

– A Richius?

Uśmiech nagle znikł z ust Dinadina.

– Pozwól, że ci opowiem całą tę historię. Był najlepszym łucznikiem, z jakim kiedykolwiek się spotkałem, lepszym ode mnie, od naszego ojca, lepszym od wszystkich. Potrafił wziąć strzałę z kołczana, osadzić ją na cięciwie, wymierzyć, strzelić i sięgnąć po następną w czasie, który innym zajmowało wyjmowanie strzały. – Dinadin westchnął. – To było coś.

– Ojciec mówi, że gogowie są tak szybcy, bo jest w nich coś ze zwierząt.

– Nie, nie są zwierzętami. To ludzie, tacy jak ty czy ja. I nie nazywaj ich gogami.

Alain uniósł brwi.

– Ale ty sam tak ich nazywałeś? Nie pamiętasz?

– Teraz już ich tak nie nazywam – odparł starszy brat. – Ty też nie powinieneś tak o nich mówić. Ojciec w ogóle ich nie zna, więc zapomnij o tym, co ci kiedykolwiek mówił o Triinach. Jeżeli chcesz się czegoś o nich dowiedzieć, pytaj mnie. Powiem ci wszystko, co wiem, i nie będę owijał rzeczy w bawełnę.

– Co się stało z twoim przyjacielem? – spytał Alain. – Zginął?

– Tak.

– Jak to się stało?

– Alainie – odpowiedział Dinadin z powagą. – Tego akurat nie mogę ci opowiedzieć. Gdybym to zrobił, popadłbyś w rozterkę, bo wiele z tego, co uważasz za prawdę, mogłoby ci się ukazać w innym świetle. A tego bym nie chciał.

Alain nie ukrywał swego rozczarowania.

– Dinadinie, proszę, opowiedz...

– Nie mogę – upierał się starszy brat. – Nie mogę ci opowiedzieć wszystkiego. Niech ci wystarczy to, że go porzucono i dlatego został pojmany przez Drolów. Zabrali go i zabili, jak sądzę.

Alain podsunął się bliżej, szorując pośladkami po trawie.

– Brakuje ci go? – spytał.

– Owszem – odparł Dinadin ze smutkiem. – Brakuje. Brakuje mi wielu ludzi...

Wyciągnąwszy swe długie ramię, chwycił braciszka i objął go jedną ręką, mierzwiąc mu pieszczotliwie włosy drugą. Alain wrzasnął z udanym przestraczem i zaczął się szarpać, co sprawiło, że obaj zapadli się głębiej w liście. Wybuchając śmiechem, zaczęli oczyszczać czupryny z liści i drobnych gałązek, a potem wstali i już mieli rozpocząć wyścig, kiedy od strony zamku doleciał ich okrzyk wzywający Dinadina do powrotu.

Starszy brat spojrział w stronę zamku i natychmiast rozpoznał niewysokiego, jasnowłosego człowieka, który energicznie machał mu ręką z blanków otaczającego dziedziniec muru. Alain jednak zawołał pierwszy:

– Patwin! – Zaraz potem chłopak poderwał się na nogi. – Dinadynie, spójrz tylko!

– Widzę – odpowiedział starszy brat smętnym głosem.

Patwin czekał, aż gospodarz skinieniem dłoni poprosi, by zszedł na dół. Dinadin westchnął i zrobił to, czego się po nim spodziewano: machnął ręką wzywając gościa. Poczul z sercu tchnienie niepokoju. Dzień był piękny, a teraz na horyzoncie pojawiła się chmura. Patwin ruszył ku nim lekkim krokiem i z szerokim uśmiechem na twarzy. Alain wyskoczył mu na spotkanie, po czym owinąwszy ramiona wokół nóg gościa, zaczął go ciągnąć do brata. Dinadin został na miejscu i oparł plecy o pień jaworu.

– Witaj – odezwał się gość. Odsunął lekko Alaina i ujął jego dłoń.

– Patwin... – powitał go Dinadin. – Przyznam, że ta wizyta jest dla mnie nieco zaskakująca. Czy coś się stało?

– Nie, nic – odpowiedział Patwin. – Tak sobie zajrzałem...

– Oczywiście – odpowiedział Dinadin ponuro. – Cóż, rad jestem, że cię widzę.

– Owszem, twoja radość bije w oczy – parsknął śmiechem Patwin. Zmierzywszy wzrokiem Alaina dodał: – Mój Boże! Chłopcze, niedługo będziesz tak wysoki, jak twój brat.

– Mam już dziesięć lat – ucieszył się malec. – I uczę się strzelać z łuku. – Nie mogąc ustać w miejscu, podbiegł i podniósł łuk, by podać go Patwinowi. – Zobacz! Ojciec mi zrobił łuk, a teraz Dinadin uczy mnie strzelać!

– Świetnie – odpowiedział Patwin, oglądając podaną mu broń. Jego głos załamywał się lekko, jak dawniej. Była to ta sama sztuczka, którą zdobył sobie serce Alaina Richius. – Założę się, że jesteś naprawdę dobry. Jak twój brat.

Alain wzruszył ramionami.

– Nie, aż tak to nie. Ręce mi trochę przeszkadzają.

– Co takiego? – Patwin spojrział pytająco na Dinadina.

– Chłopak naciąga cięciwę całą dłonią, zamiast tylko palcami – wyjaśnił Dinadin. – Ale wychodzi mu coraz lepiej.

– O, tego jestem pewien – stwierdził Patwin, oddając łuk Alainowi. – Twój brat, Alainie, jest doskonałym nauczycielem. W naszej kompanii był jednym z najlepszych łuczników. Gdybyś tylko posłuchał o jego wyczynach...

Alain uśmiechnął się dumny z brata.

– Zostaniesz na obiad? – spytał Patwina. – Powiem matce, że jesteś.

– Ona już wie i sama mnie zaprosiła. Zanim tu zajrzałem, zdążyłem się zobaczyć

z nią i Delem. Powiedzieli mi, że jesteście na tyłach domu, pomyślałem więc, że mógłbym wyjść wam na spotkanie.

– Więc jak będzie? – spytał Dinadin. – Zostaniesz?

Patwin odwrócił się tak, by Alain nie mógł widzieć jego twarzy.

– To zależy... – odpowiedział poważnie. – Muszę z tobą pomówić, Dinadinie.

– Patwinie, zostań – zaczął prosić Alain. – Ojciec na pewno się nie sprzeciwi. Pójdę mu powiedzieć, że jesteś.

– Niezły pomysł – zgodził się Dinadin. – Alainie, idź powiedzieć ojcu, że Patwin zostanie na obiedzie. Daj nam trochę czasu na rozmowę.

Uradowany chłopak pobiegł w stronę domu. Kiedy się oddalił, Dinadin poklepał ziemię obok siebie, zapraszając Patwina do zajęcia miejsca na stosie liści. Gość rozsiadł się nie bez pewnej powściągliwości i po namyśle. Przez dość długą chwilę obaj milczeli, nie wiedząc, co powiedzieć i tylko patrzyli na siebie.

– Wiesz, naprawdę rad jestem, że przyjechałeś – zaczął w końcu Dinadin. – Ale nie chcę kłótni i sporów.

– Nie przyjechałem po to, by się spierać – odpowiedział Patwin. – Mam wieści.

– Dobre wieści?

– Owszem. A przynajmniej na takie wyglądają.

Dinadin skrzyżował ramiona na piersiach i ruchem podbródka zachęcił gościa, by mówił dalej. Wiedział już, że będą mówili o Richiusie.

– Słucham...

– Richius dostał wiadomości ze stolicy – oznajmił Patwin. – Imperator chce, żeby został królem. – Gość umilkł na chwilę, czekając na zmianę zaciętego wyrazu twarzy Dinadina. Nie zobaczywszy w twarzy przyjaciela tego, co chciał zobaczyć, podjął wątek. – Richius Vantran ma się stawić w Nar na trzydziesty dzień zimy. To będzie mniej więcej za dwa miesiące.

– Król... – stwierdził Dinadin dość obojętnym tonem. – To miło...

Na twarzy Patwina pojawił się nieco wymuszony uśmiech.

– Vantran zamierza zabrać ze sobą na tę podróż kilku ludzi. Mamy zamiar dobrze się zabawić, odpocząć i cieszyć się widokami. Ja jadę, a Richius oczywiście pomyślał przede wszystkim o tobie. Uważam, że powinieneś jechać z nami.

– Nie mogę – odpowiedział Dinadin. Podniósł z ziemi uschnięty liść i zaczął mu się przyglądać, obracając go w palcach. – Będę tu miał trochę pracy.

– Dinadinie, to kłamstwo.

Gospodarz wzruszył ramionami.

– Może i tak. – Unikając wymiany spojrzeń z Patwinem, uważnie oglądał liść. – Ale



tak czy inaczej, nie mogę pojechać.

– Nie możesz, czy nie chcesz?

– Jedno i drugie.

– Tam do kata, Dinadinie! – zachnął się Patwin. – Przestań się wygłupiać i powiedz, o co ci chodzi!

Dinadin zgniótł liść w palcach i spojrział na Patwina gniewnym wzrokiem.

– O czym mam gadać? O Richiusie? Już ci mówiłem, że to zamknięty temat. Coś ty sobie pomyślał? Że zjawisz się tu z wielką nowiną, o tym że on ma zostać królem, a ja o wszystkim zapomnę? – Dinadin odrzucił resztki liścia. – Richius królem! To nowina!

– Myślę, że on będzie bardzo dobrym królem. A ty jesteś durniem, Dinadinie. Jak długo jeszcze będziesz się obnosił ze swoją urazą? Richius będzie naszym królem. Jak długo możesz ignorować króla?

– Jak długo się da – odpowiedział nieprzejednany Dinadin. – Tym się różnimy, Patwinie, że ja pamiętam, co się zdarzyło.

– Naprawdę? – zaśmiał się gorzko Patwin. – Wygląda na to, że masz luki w pamięci. Może zapomniałeś, że nie kto inny, ale właśnie ty nieustannie molestowałeś Richiusa, by pojechać do Ackle-Nye. Jeżeli ktoś jest winien śmierci Lucylera, to powinieneś obciążać siebie równie mocno, jak Richiusa.

– Voris nie szukał mnie – odpowiedział zimno Dinadin. – Chciał Richiusa. A że go tam nie było, zapłacił za to głową Lucyler. Niech to piekło ogarnie! I tak mieliśmy zginąć. Ale czy Richiusa to obchodziło? Wcale! Pozwolił nam tam zdychać, a jego przekłety ojciec o nas zapomniał!

– Dinadinie, on robił, co tylko mógł...

– Jeżeli rzeczywiście robił, co tylko mógł, to Aramoor znajdzie się rychło w kłopotach. Boże! Nie mogę w nim widzieć króla! Nie po tym, jak nas wystawiał na śmierć w Dring!

Patwin cofnął się jak uderzony.

– Dinadinie, wiem, że nie możesz w to uwierzyć. Wściekasz się bez powodu. Każdy ma prawo do gniewu. Nikt nie lubi, kiedy się go porzuca. Ale musisz się przełamać. Richius spróbował, a przecież chodzi o jego ojca. Jak myślisz, łatwo mu się żyje ze świadomością, że Darius go porzucił?

Dinadin nie mógł się zdobyć na odpowiedź. Był już taki moment, kiedy pomyślał, że Patwin ma rację i powinien przemóc rozgorzenie i żal. Ale zginęło zbyt wielu jego przyjaciół, by tak po prostu o tym zapomnieć. I wciąż nie umiał zapomnieć o pojmaniu Lucylera, co budziło w nim gniew i poczucie winy. Gdyby Richius był przy żołnierzach, Lucyler mógłby jeszcze żyć. Nie chciał oczywiście, by zginął Richius, był to jednak

kolejny uśmiech przewrotnego szczęścia Richiusa, który zawsze potrafił okpić śmierć i wysłać w jej objęcia innych. Gdyby wycofali się miesiąc wcześniej, ocalałoby jeszcze kilkunastu przynajmniej ludzi, ale Richius nie pozwolił, by opuścili dolinę.

– Pewien jestem, że czuje się paskudnie – odrzekł wreszcie. – Ale czy nie sądzisz, że na to sobie zasłużył? Gdybyśmy się wycofali w porę, Lucyler jeszcze by żył. I Jimsin, i Lonal...

– Dinadinie, to przecież nie tak. Powierzono nam pewną misję, zadanie do wykonania. Richius doskonale o tym wiedział. Nie chciał tam być, ale nie dano mu wyboru. I masz rację, czuje się paskudnie. Do tego stopnia, że chciał tu przyjechać i cię przeproszać.

– Chciał tu przyjechać? Kiedy?

– Przedwczoraj – odpowiedział Patwin. – Chciał z tobą porozmawiać, przeprosić i spuścić na przeszłość zasłonę zapomnienia. Ale nic z tego nie wyszło.

– A co się stało? – spytał Dinadin. Choć bardzo się starał, nie umiał ukryć nutek niepokoju w głosie.

– Wilki – odpowiedział Patwin. – Rzuciły się na nas na drodze. Chcieliśmy im uciec, ale były za szybkie. Piorun nie dał rady...

– Och, nie...

– Piątka wilków – ciągnął bezlitośnie Patwin. – Dopadły Pioruna i go zagryzły.

Dinadin zamknął oczy i gwałtownie wciągnął powietrze.

– Przykro mi – odezwał się, starannie dobierając słowa. – Naprawdę mi przykro. Jak się ma Richius?

– Przyjął to tak, jak mógłbyś się tego spodziewać – odpowiedział Patwin. – Ale jeden z wilków rzucił się i na niego. Pogryzł mu ramię, choć rany nie są poważne. Teraz nasz przyjaciel odpoczywa, i za kilka dni powinien być na nogach. Dlatego właśnie tu przyjechałem, Dinadinie. Ponieważ on sam nie może się ruszać z zamku, ja zająłem się przygotowaniem do koronacyjnej podróży. – Patwin przerwał i wbił wzrok w Dinadina. – Powinieneś pojechać i się z nim zobaczyć. Richius by się ucieszył.

Dinadin potrząsnął głową.

– Nie, nie mogę – wymamrotał. – Przykro mi, Patwinie, ale po prostu nie mogę.

– Ale dlaczego? Posłuchaj, on mi opowiedział o tej dziewczynie z oberży. Wiesz, nawet tego żałuje...

– Nie chodzi o dziewczynę – zachnął się Dinadin. – Czy ty w ogóle mnie nie słuchałeś? Co z twoją pamięcią? Jeszcze trochę, a żaden z nas by nie wrócił! Jego ojciec zostawił nas własnemu losowi, a on wciąż nas tam trzymał! Na jego rękach jest zbyt wiele krwi, Patwinie. Przeprosiny to za mało.

Patwin zmarszczył brwi i uważnie spojrzął na Dinadina.

– Więc to tak? Nie pojedziesz z nami do Nar?

– Nie – odparł Dinadin. – Nie pojedę.

Patwin wstał z miejsca.

– Niech i tak będzie – uciął. – Nie będę cię prosił, byś zrobił to, co powinienes. Jestem pewien, że w głębi ducha wiesz doskonale, jak bardzo się mylisz. Ale on będzie twoim królem, Dinadynie. Nie zdołasz go unikać do końca życia. Jeżeli będziesz zbyt długo zwlekał, wasza przyjaźń może się już nie odrodzić.

Dinadin nie odpowiedział. Pozwolił Patwinowi stać nad sobą i mierzyć się wzrokiem z widocznym niesmakiem w oczach. Przyszło mu na myśl, że powinien wyciągnąć dłoń do zgody, ale ta idea znikła równie szybko, jak się pojawiła. Przepełniały go gorycz i żal, jak starego człowieka, i zastanawiał się, czy kiedykolwiek mu to przejdzie.

– No powiedz coś – nalegał Patwin. – Co ty na to?

– Alain zdążył już podrosnąć, prawda? Rad jestem, że go zobaczyłeś. Jeżeli zostaniesz na obiedzie, to może później zagramy w karty?

Twarz Patwina zamarła w lodową maskę.

– Nie, nie zostanę. Przekaż ojcu, że się z nim zobaczę, gdy przyjedzie powitać nowego króla.

Gość odwrócił się, by odejść, zanim jednak zdążył zrobić trzy kroki, usłyszał wołanie Dinadina.

– Patwinie, zatrzymaj się. Nadal przecież jesteśmy przyjaciółmi. Możesz tu przyjeżdżać kiedy tylko zechcesz, ale nie próbuj mnie znów przekonywać, że nie mam racji.

– Nie masz racji Dinadynie – odpowiedział Patwin. – Tyle, że na razie jeszcze tego nie dostrzegasz.

Dinadin patrzył za odchodzącym i zastanawiał się, czy czasem nie zerwał jeszcze jednej starej przyjaźni.

## Szesnaście

W pięć dni po wizycie Biagia Richius rozpoczął długą podróż do stolicy Nar.

Na przygotowania nie zostało im wiele czasu. Richius chciał, aby była to podróż, którą można się nacieszyć do woli, tak by zbytnio nie męczyć koni. Zostawił więc sobie tylko tyle czasu, by zdążyć zapakować podstawowe, potrzebne w podróży zapasy, podleczyć nieco pogryzione ramię i wybrać kilku towarzyszy podróży.

Dinadin był pierwszym, który odrzucił zaproszenie, i gdy Patwin wrócił do zamku z tą nowiną, Richius poczuł się tak, jakby ktoś rozdarł mu duszę. W głębi serca przeczuwał, że nigdy już nie zobaczy Dinadina i odbierał to jak stratę brata.

Jojustin też odmówił. Tłumaczył, że gdyby podróż mieli odbyć na pokładzie statku, to mógłby wszystko rozważyć, ale czasy, w których całe dni spędzał w siodle, miał już za sobą. To akurat Richius zrozumiał i nie protestował, ponieważ tak naprawdę nie spodziewał się, że staruszek będzie mu towarzyszył. Jojustin przekroczył już sześćdziesiątkę, i choć zawsze był dumny ze swoich umiejętności jeździeckich, nawet on przyznawał, że taka wycieczka była dla młodszych. Co więcej, Richius wiedział, że Jojustin nie miał ochoty na poznanie imperatora. Jak Edgard, był on symbolem czasów, kiedy na tronie Aramooru siedzieli buntownicy królowie.

Choć rozczarowany tym, że Jojustin nie zobaczy, jak jego czoło zdobią koronę, Richius był nawet w pewnym sensie rad z jego odmowy. Prawdą było przecież to, co Jojustin powiedział do Biagia: ktoś musiał zarządzać zamkiem, a tylko on miał dość praktyki, by to robić pod nieobecność Richiusa. Nie do pomyslenia było, by obaj naraz wyjechali, zostawiając Aramoor na tak długi czas. Po śmierci Dariusa Jojustin zdążył poznać niemal każdy aspekt władania Aramoorem, zostawiając Richiusowi swobodę w wyborze spraw, którymi miał się zajmować osobiście. Zdarzały się zresztą sytuacje, w których Richius odwoływał się do wiedzy i doświadczenia Jojustina, ponieważ jego długa nieobecność w kraju pozbawiła go znajomości wielu spraw kraju, a zwłaszcza tych, które wyłoniły się po wybuchu konfliktu z Triinami. Richius przekonał sam siebie, że lepiej będzie, gdy Jojustin zostanie, ponieważ był potrzebny Aramoorowi.

Istniała także możliwość, że rewolucja Drolów może się przedostać przez Góry Żelazne i dotrzeć do Aramooru. Kiedyś myśl taka wydałaby się Richiusowi absurdem, ale morderstwo Dariusa ukazało mu sprawy w innym świetle. Od powrotu do domu spędził więcej niż kilka bezsennych nocy, zastanawiając się, jak sobie poradzić z nieuchwytnym zagrożeniem. Regularnie wysyłał patrole, które miały sprawdzać przesmyk Saccenne, ale ku swej ogromnej uldze odkrył, że Góry Żelazne toną w błogim

spokoju. Irytowała go jednak i niepokoiła myśl, że Aramoor jest w gruncie rzeczy bezbronny, odarty przez wojnę z ludzi i oręża, a nie chciał zostawiać kraju zupełnie nie chronionego. Wiedział, że jeśli nadejdą Drolowie, znajdą w Aramoorze łatwą zdobycz, a było mało prawdopodobne, by Talistańczycy przyszedli im z pomocą. Dodawała mu jednak otuchy myśl, że zostawia kraj pod opieką Jojustina, który świetnie umiał sobie radzić w razie potrzeby, bo choć był zbyt wiekowy, by samemu ruszać w pole, miał przebiegły i podstępny umysł, a i źle wyszedłby ten, który miałby w nim przeciwnika, mającego wieloletnie doświadczenia wojenne namiestnika.

Kilku z towarzyszy Richiusa z ochotą przyjęło zaproszenie przyszłego króla. Pierwszym z nich był – jakżeby inaczej! – Patwin. Z Dinadinem i Lucylerem dzielił w Lucel-Lorze pozycję najbardziej zaufanych ludzi młodego księcia i myśl o tym, że go nie będzie na koronacji obu przyjaciółom nie powstała nawet w głowach.

Z powodu ran Richiusa przygotowaniami do podróży zajął się Patwin. Rany księcia dawały także Richiusowi powody do nieustannych utyskiwań, bo Jenna i Jojustin traktowali go jak dziecko. Wilcze kły zostawiły na jego przedramieniu paskudne blizny, ale rany goiły się dobrze i rankiem w dzień odjazdu Richius był pewien, iż wyzdrowiał na tyle, że poradzi sobie z podróżą.

Podczas gdy książę wracał do zdrowia, Patwin gromadził zapasy i przedmioty pierwszej potrzeby. Przede wszystkim jednak zwoływał towarzyszy podróży, ludzi, których kompanii życzył sobie Richius. Wkrótce po odjeździe Biagia po Aramoorze rozeszły się wieści, że młody Vantran zostanie nowym królem i okazało się, że każdy, kto choć trochę potrafi poruszać się w siodle, pragnie towarzyszyć przyszłemu władcy w jego podróży koronacyjnej. W większości byli to żołnierze, którzy wrócili cało z doliny Dring – około trzystu ludzi. Taka zbiorowa demonstracja uwielbienia i poparcia sprawiła, że Richius choć na chwilę zapomniał o wrogości Dinadina. Wiedział jednak, że nie może zabrać ze sobą tylu ludzi. Aramoor nie miał dostatecznej liczby koni, nie można też było zostawić kraju bez obrony – wobec możliwości ataku Drolów każdy wojownik potrzebny był na miejscu. Kiedy Richius zdał sobie sprawę z tego, że może zabrać ze sobą tylko kilku ludzi, wybór narzucił się sam.

Ze wszystkich, którzy towarzyszyli mu w dolinie, tylko trzem ufał na tyle, by powierzyć im trudne zadanie dowodzenia okopami. Byli to ludzie, którzy wielokrotnie udowodnili swoją odwagę i wierność, a powierzone im niełatwe zadania wykonywali z oddaniem i poświęceniem. Richius uważał, że wszyscy jego żołnierze byli dzielni i odważni, ale Barret, Ennadon i Gilliam odznaczyli się szczególnie. Uważał, że to oni zasłużyli, by towarzyszyć przyszłemu królowi w jego podróży po koronę i wziąć udział w późniejszych uroczystościach. Była to oczywiście skromna nagroda, bez porównania uboższa

niż to, na co w istocie zapracowali, stawiając czoło okropnościom wojny w Dring, ale Richiusa nie stać było na więcej.

Wszyscy trzej, jak się tego Richius spodziewał, przyjęli zaproszenia. Ennadon, najstarszy z całej trójki, podjął się nawet znalezienia Richiusowi konia, ponieważ wszyscy już się zdążyli dowiedzieć, jak okropny koniec spotkał Pioruna. Ennadon był wrażliwym człowiekiem, który zanim został zmuszony do wojaczki w Lucel-Lorze, był hodowcą bydła i koni, rozumiał więc ową osobliwą więź, jaka łączy konia z jeźdźcem. Richius był wdzięczny, ale w końcu powiedział Ennadonowi, by dał sobie spokój. W zamkowych stajniach było dość koni do wyboru, a zastąpić Pioruna i tak żaden nie zdoła. Ennadon się nie upierał, ale zapewnił Richiusa, że mimo wszystko znajdzie dla niego doskonałego konia.

Barret i Gilliam przybyli do zamku razem. Obaj byli nieznacznie tylko młodszy od swego księcia, który nie miał jeszcze dwudziestu pięciu lat. Obaj byli uradowani i rozpromienieni podziękowali Richiusowi za możliwość zobaczenia Nar. Jak większość Aramoorczyków, Barret i Gilliam byli po trosze prowincjuszami, którzy nie bardzo wiedzieli, jak wygląda świat za granicami ich kraju. Oczywiście słyszeli o Czarnym Grodzie i radzi byli możliwości sprawdzenia, czy opowieści zgadzają się z rzeczywistością. Byli w końcu aramoorskimi gwardzistami i dlatego tęsknili za jakąkolwiek możliwością konnej podróży i oglądania miejsc, których nigdy wcześniej nie widzieli. Ich entuzjazm zaraził nawet Richiusa, który zaczął niecierpliwie wyglądać rozpoczęcia podróży. Miała to być długa i uciążliwa wędrówka, ale było ich pięciu doświadczonych wojowników – i nie musieli się obawiać, że lada moment któryś z nich spadnie z siodła z triińską strzałą w plecach.

\* \* \*

Richius i jego towarzysze wyruszyli do Nar w piękny, jasny jesienny poranek. Ennadon, który nie przejął się protestami Richiusa, znalazł mu pięknego deresza o łagodnym charakterze, zaskakująco przypominającego Pioruna. Choć utrzymywał, że koń pochodzi z jego stajen, Patwin i pozostali dowiedzieli się prawdy i powiedzieli Richiusowi, że Ennadon kupił wierzchowca, sownie płacąc za niego złotem, od znajomego hodowcy koni. Richius, któremu podarunek ogromnie przypadł do serca, postanowił za radą Patwina nie zdradzić się przed Ennadonem, że wie, skąd pochodzi wierzchowiec. Zobaczywszy go, natychmiast dał mu nowe imię – Błyskawica.

W końcu wyruszyli z zamku, kierując się ku zachodowi w stronę morza Dhoon. Patwin wyznaczył dla nich prosty szlak, trzymał zresztą w jukach zwój map. Tak

naprawdę to nie potrzebowali ich, bo zawsze mogli poprosić miejscowych o wskazanie drogi do Czarnego Grodu, Patwin jednak lepiej się czuł, mając je przy sobie. W Imperium było powiedzenie: „Wszystkie drogi prowadzą do Nar”. Aby znaleźć Czarny Gród, potrzebowali tylko znać kierunek. Cokolwiek się mówi o żołnierzach Imperium, należy podkreślić, że stworzyli oni doskonałą sieć dróg. Drogi docierały wszędzie – nawet do Gorkney i Criisii leżących na północnych rubieżach kontynentu. Robiono z nich częsty użytek, z czego korzystali imperialni poborcy podatków.

Richius był zadowolony z planu podróży, jaki sporządził dla nich Patwin. Mieli podążać drogami Narenów na zachód aż do wybrzeża, gdzie leżał port Karva. Stamtąd skierować się na południe, przez wzgórza Locwala i po mniej więcej tygodniu powinni zobaczyć Czarny Gród. Według przybliżonych obliczeń Patwina podróż zajmie im siedem tygodni, nie potrzebowali więc się spieszyć. Oszczędzając konie, chcieli się cieszyć przyjemnościami wycieczki. Żywność i noclegi niechybnie znajdą w każdym z setek miasteczek i wsi, które leżały przy nareńskich drogach, wszędzie bowiem znajdowały się domy podrózne. Każdy z nich miał trochę złota, a gdyby czegoś nie udało się kupić, musieli po prostu obejść się bez tego dobra. W dolinie nauczyli się powściągliwości i oszczędności, i żaden z nich nie lękał się trudów tej podróży.

Kilka pierwszych dni upłynęło im spokojnie i beztrąsko. Zostawili za sobą Aramoor, ale wielkie równiny i lasy środkowego Nar leżały jeszcze przed nimi. Jak na tę późną porę roku pogoda była łagodna, więc podczas jazdy przepowiadali sobie, jakie też cuda i dziwy zobaczą w Czarnym Grodzie. Żaden z nich nigdy nie był w Nar, wszyscy jednak znali opowieści – jedne nieprawdopodobne, inne po prostu zwariowane – i za każdym razem, gdy je sobie opowiadali, bezwiednie popędzali konie. Richius powiedział, że Biagio obiecał im ucztę, jakiej nie potrafią sobie nawet wyobrazić, z pięknymi kobietami, boską muzyką i wszystkimi cudami imperialnego pałacu u stóp. Młody Vantran wiedział, że była to tylko po części prawda, ale warta opowieści, a po kilkakrotnym powtórzeniu sam zaczął w wierzyć w te rewelacje. W końcu, przekonywał sam siebie, miał zostać królem. Nic dziwnego w tym, że czyni się honory królowi i jego świcie.

Richiusa bardzo cieszyła cała podróż. Było jak w dzieciństwie, zanim zrozumiał, co naprawdę znaczy być księciem. Zagubiony wśród rozległych, pofałdowanych równin Imperium nie był księciem, czy królem, nie był nawet Aramoorczykiem. Był po prostu człowiekiem, którego troski ograniczają się do tego, gdzie spędzi najbliższą noc, albo ile piwa wypije razem z przyjaciółmi. Kochał rozległe przestrzenie, towarzystwo przyjaciół i noclegi pod gwiazdami, kiedy nie dało się dotrzeć do jakiejś wsi lub osady. Rad był rozmowom o drobnych, mało istotnych sprawach – kobietach, koniach i wojnach, w których nie musieli brać udziału. Przy obozowych ogniskach ostrzyli wprawdzie

miecze, ale nie rozmawiali o możliwościach ich użycia. Żadnemu z nich nie wspomnieli o Drolach, Lucel-Lorze czy Tharnie.

Dni szybko mijały. Po siedmiu tygodniach od wyjazdu z Aramooru dotarli do Karvy. Stąd mieli jeszcze, według oceny Patwina, około sześciu dni drogi na południe, wzdłuż wybrzeża. Na jakiś czas jednak postanowili się zatrzymać w Karwie, ponieważ mimo wolnego tempa podróży, poczynili znaczne postępy. Karva była niewielką osadą kupiecką przesyconą zapachem soli, starą, chylącą się ku ruinie, z mieszkańcami gotowymi wyrwać całe złoto z sakiewek znużonych podróżnych. Gdy dotarli do miasta, zbliżał się wieczór i zaczął padać drobny, chłodny deszcz. Była to zapowiedź trwającej trzy doby burzy, spędzili je więc na grze w karty z miejscowymi spryciarzami, spaniu i opychaniu się pysznymi wyrobami piekarzy. Kiedy w końcu burza ucichła i mogli wyruszyć na południe, przekonali się, że drogi pokrywało błoto, w innych zaś miejscach były przerywane. A na dotarcie do Nar zostały im cztery dni.

– Za cztery dni zostaniesz królem – odezwał się Patwin do przygnębionego nagłym atakiem melancholii Richiusa. – Czy to cię nie ekscytuje?

– Nie za bardzo – odpowiedział Richius, spoglądając w szare niebo. Deszcz minął, ale aż po horyzont widzieli nad sobą jednolitą pokrywą chmur. – Mam nadzieję, że zdążymy. Przed nami jeszcze daleka droga.

– Nie tak daleka, jak myślisz – odparł Patwin, uśmiechając się chytrze. Pochyliwszy się w siodle, podjechał bliżej. Barret, Ennadon i Gilliam wysforowali się o kilka kroków przed obu przyjaciół. – Wiedziałem, że tamtym nie w smak będzie rezygnacja z uciech stołu i łoża w Karwie, więc trochę przesadziłem. – Uśmiechnął się szerzej. – Powinniśmy zobaczyć mury Nar za trzy dni.

Richius spojrział ze zdumieniem.

– Trzy dni? Jesteś pewien?

– Jeśli chcesz, pokażę ci mapy – odparł Patwin. – Ale nie...ciebie mapy nie interesują, prawda? – dodał i westchnął ciężko.

Richius nie umiał powstrzymać śmiechu. Od wyjazdu z Aramooru jedynie Patwin troszczył się o kierunek jazdy i każdego wieczoru ślęczał nad mapami, by się upewnić, że jadą we właściwą stronę. Inni świetnie się przy tym bawili i nieustannie z niego żartowali, że prawdziwy aramoorski gwardzista wszędzie znajduje drogę, kierując się jedynie słońcem i gwiazdami. Teraz wydało się Richiusowi, że przyszła kolej na to, by śmiał się Patwin.

– Patwinie, wiesz przecież, jak się tym martwiłem. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Przyjacielu, słyniesz z tego, że lubisz zasiedzieć się w piwiarni. Gdybym ci



powiedział, moglibyśmy nie zdążyć. Zresztą dobrze się stało, bo mogliśmy przeczekać tę ulewę.

– Ale nadal musimy utrzymywać tempo – powiedział Richius, spoglądając na zabłoconą drogę. Błyskawica brnął niemal po pęciny w brudnej mazi. – To błocko przeszkadza koniom. Mam tylko nadzieję, że szlak nigdzie nie został zalany.

W godzinę później ku swemu niezadowoleniu odkryli, że niestety niektóre odcinki szlaku toną w wodzie. Były miejsca, gdzie ulewa była gwałtowniejsza niż ta, która zmusiła ich do zatrzymania się w Karwie. Szerokie drogi Narenów zamieniły się w błotniste bajora, co znacznie zmniejszyło tempo podróży.

– Niech to piorun strzeli! – zaklął Ennadon. – Wkrótce trzeba będzie dać koniom odpocząć. W tym błocie bardzo szybko się męczą.

Choć wizja kolejnej przerwy w podróży wcale się Richiusowi nie spodobała, musiał się na nią zgodzić. Było już po południu, oni zaś przebrnęli za ledwie część drogi, jaką sobie wyznaczyli na ten dzień. Ciężkie chrapanie Błyskawicy przekonało go jednak, że Ennadon ma rację, więc szarpnięciem za wodze zatrzymał wierzchowca, rad, że wyjechali z lasów, przez które brnęli rankiem. Na poboczu drogi dość było miejsca na odpoczynek. Zaraz potem usłyszał jakieś odległe wołanie. Przechyliwszy głowę, zaczął nasłuchiwać, jednocześnie unosząc dłoń, by zatrzymać resztę grupy.

– Cisza – powiedział. – Nadstawcie ucha. Czy ktoś coś słyszy?

Zaczęli nasłuchiwać. Wszyscy usłyszeli odległe rzenie konia przeplatane wykrzykiwanymi przekleństwami.

– No, no – odezwał się Barret. – Wygląda na to, że nie tylko my okazaliśmy się głupcami, którzy dziś rano wybrali się w drogę.

– Kimkolwiek jest ten człowiek, znalazł się chyba w tarapatach – dodał Patwin.

– Pewnie utknął w błocie – stwierdził Richius. – Sądzę, że powinniśmy mu pomóc.

Po kilku minutach, gdy minęli najbliższy zakręt, zobaczyli powóz, którego wysokie koła tkwiły po osie w błocie. Woźnica miotał groźby na parę koni w zaprzęgu, wyglądających tak, jakby za chwilę miały paść z wysiłku. Siedzący na koźle kłął niemiłosiernie i ciął konie batem.

– Hola, ty tam! – zagrział gniewnie Richius. – Daj sobie spokój z tym biczem. W ten sposób niczego nie zyskasz!

Woźnica, zaskoczony władcym brzmieniem głosu Richiusa, odwrócił się, by zobaczyć, kto mu rozkazuje. W tej chwili Richius zauważył w ocienionej głębi powozu lśnienie jasnych włosów, które zaraz przekształciło się w zaskakująco obfitą grzywę, gdy przez okno wytknęła głowę młoda kobieta.

– Och! – zawołała z podnieceniem w głosie, machając dłonią, by podjechali bliżej. –

Moglibyście nam pomóc? Utknęliśmy w błocie i nie możemy z niego wybrnąć.

Gdy wędrowcy ujrzeli twarz dziewczyny, rozległ się wśród nich niski pomruk uznania. Nawet z daleka widać było, że natknęli się na nie lada piękność. Jak powóz, którym podróżowała, była bardzo wytworna, a jej ramiona okrywała przetykana brokatem czerwona suknia. Z jej uszu zwisały piękne złote kolczyki, a na szyi lśnił naszyjnik ze szmaragdów. Dziewczyna nie mogła mieć więcej niż szesnaście lat, w swoim powozie jednak w każdym calu wyglądała na kobietę. Richius odruchowo poszukał wzrokiem herbu na boku pojazdu lub proporca obok powożącego. Proporca nie zobaczył, a godła, jeżeli było, nie dało się rozróżnić, gdyż drzwiczki powozu umazane były błotem. Młody Vantran nie wątpił jednak, że mają do czynienia z damą. Odpowiedział na pozdrowienie i uśmiechnął się szeroko.

– Pomożemy wam z ochotą – obiecał. – Rozkaż tylko twojemu człowiekowi, pani, by przestał dręczyć zwierzęta.

Mężczyzna wyprostował się z urazą.

– Wiem, co robię! – W jego głosie wyraźnie było słyhać szorstki akcent północny.

Dziewczyna wychyliła się z powozu i cicho, z naciskiem, poleciła mu odłożyć bat. Woźnica zastosował się do rozkazu, mamrocząc coś buntowniczo pod nosem.

– A to głupiec – syknął oburzony Ennadon. – Gotów jest pozabijać te zwierzęta, a i tak powozu nie wydobędzie z błota.

– Dobrze się stało, że akurat nadjechaliśmy – odezwał się Richius. – Patwinie, potrzebna będzie lina. Jest jakaś szansa na to, że zapakowałeś linę razem z twoimi mapami?

Patwin zrobił skruszoną minę, potrząsając jednocześnie głową.

– Przykro mi, Richiusie. Nie sądziłem, że będzie nam potrzebna.

– Ja mam sznur – odezwał się kwaśno woźnica. – Nie pierwszy raz grzęźniemy w błocie.

– Doskonale – odparł Richius, rad, że nie będą musieli sami wyciągać powozu z błota. Pojazd pograżył się niemal na trzy stopy, co wystarczy, by ratownicy mocno się ubłocili. – Połączymy liną łąki siodła – postanowił. – Razem z waszymi końmi powinniśmy bez trudu wyciągnąć powóz z błota. – Spojrzał na dziewczynę, jakby chciał dodać jej otuchy. – Pani, pozbądź się obaw. Zaraz wydobędziemy cię z tej opresji.

– Jestem wam bardzo wdzięczna, panowie – odparła. – Nawet nie wiecie, jaki to dla nas kłopot. Tkwimy tu już od godziny.

– Zaraz was uwolnimy – zapewnił ją młody Vantran. – Przede wszystkim powinniście wysiąść z powozu. Im mniejszy będzie ciężar, tym łatwiej uporają się z nim konie. Możesz, pani, otworzyć te drzwi?

Dziewczyna krytycznie spojrzała na otaczające powóz błoto i skrzywiła się z niesmakiem.

– Proszę się nie martwić – dodał szybko Richius. – Podjadę konno. Musisz, pani, się tylko wyslizgnąć na zewnątrz, zgoda?

– Zgoda – odpowiedziała dziewczyna nie bez wątpliwości w głosie.

Richius uśmiechnął się. Było dla niego jasne, że pannie obca była wszelka myśl o tym, iż mogłaby się pobrudzić. Cóż, zrobi co się da, by oszczędzić jej tego nieszczęścia. Woźnica, który grzebał w umieszczonej pod siedzeniem skrzyni, wyprostował się właśnie i cisnął Richiusowi zwój liny. Sznur był przesycony oliwą i nieco postrzępiony – musiał być ostatnio dość często używany. Richius szarpnął, by wypróbować wytrzymałość liny, a potem podał ją Patwinowi.

– Zbierz konie razem – polecił. – Przymocujcie liny do kółek jarzmowych przy siodłach i przywiążcie je do kłonicy.

Patwin wziął linę i jeden jej koniec cisnął powożącemu.

– Sięgniesz do kłonicy? – spytał.

– Spróbuję – padła odpowiedź.

Mężczyzna zajął się mocowaniem liny, a Richius skierował konia w błoto. Kopyta ugrzęzły niemal natychmiast, a po dwu krokach koń zapadł się po pęciny. Nie bez oporów ze strony konia podjechał jednak do boku powozu, gdzie czekała dziewczyna, wczepiona w drzwiczki tak silnie, że zbieleły jej knykcie palców.

– Trzymaj się, pani – dodał jej otuchy. – Zaraz cię wyciągnę.

– Nie umiem jeździć konno – stwierdziła coraz bardziej przestraszona dziewczyna.

– Trzymaj się tylko, to wszystko – odpowiedział Richius. – Ja się zajmę resztą.

Dotarł do niej po chwili, choć koń musiał zabrnąć głęboko w błoto. Wyciągnął rękę.

– Spokojnie – powiedział. – Po prostu puść drzwiczki, pani.

Dziewczyna ujęła podaną jej dłoń, odetchnęła głęboko i puściła drzwi. W tej chwili Richius objął ją w pasie i lekko unosząc, usadowił bokiem na siodle przed sobą.

– Trzymam cię, pani – zapewnił. – Tylko spokojnie.

Znalazszy się na koniu, dziewczyna uśmiechnęła się promiennie i spojrzała na Richiusa. Książę natychmiast spostrzegł, że uśmiech miała piękny i kuszący. Zapach jej perfum lekko go oszołomił, a pod suknią wyczuwał gibkie, sprężyste ciało. Ostrożnie poprawił uchwyt, starając się nie przygnieść dziewczyny i nie zrzucić jej z siodła.

– Dziękuję – powiedziała radośnie. Akcentowała wyrazy podobnie jak powożący, co zdradzało, że oboje pochodzą z północy. – Bałam się, że się nie wygrzebiemy.

– Wydaje się, że drogi w pobliżu Karvy nie są tak dobre, jak gdzie indziej w Nar – stwierdził Richius, prowadząc konia tak, by szybko wydobyć ich z błotnej sadzawki. –

Ale wy nie jesteście tutejsi, prawda?

– Oj! – jęknęła dziewczyna. – Zdradza mnie akcent, prawda?

– Owszem, trochę – przyznał Richius. – Pochodzicie z Criisii?

– Z Gorkney – poprawiła go. – Jechaliśmy do Nar i wpakowaliśmy się w tę dziurę.

– Do Nar? Ależ pani, jedziemy w tym samym kierunku. Także zmierzamy do Czarnego Grodu.

– Na koronację? – spytała.

Richius parsknął śmiechem.

– Nie inaczej – odpowiedział. – Z pewnością na niej będziemy. Imperator obiecał, że będziemy jego osobistymi gośćmi.

– Och, ależ to cudownie! Jedzicie z daleka?

– Z daleka, pani. Przebyliśmy prawie tak samo długą drogę, jak wy. Jesteśmy z Aramooru.

– Z Aramooru? Co za spotkanie! A ja przyjechałam na koronację waszego księcia. Opowiedz mi o nim, proszę. Znasz go?

– Znam – odpowiedział Richius. – Tak dobrze, jak siebie samego. Bo, moja pani, to ja mam honor być księciem Aramooru.

Na twarzy dziewczyny odmalowało się bezbrzeżne zaskoczenie.

– To ty jesteś księciem Richiusem?

– Już niedługo. Obawiam się, że już wkrótce będę królem Richiusem. Czy mogę teraz spytać, kim jesteś, pani?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Siedziała nieruchomo i bacznie przyglądała się Richiusowi.

– Pani? – nalegał Richius. – Czyżbym zadał niezręczne pytanie?

– Nie – odpowiedziała po chwili. – Wybacz, proszę. Zastanawiałam się tylko... – spojrzawszy w bok, nabrała tchu. – Znalazłam się w sytuacji dość... niespodziewanej. Ugrzęznąć w błocie po to, by zostać wyratowaną przez króla to, przyznasz sam, nie każdej dziewczynie się przytrafia.

– Pani, wstydzic się powinien wasz woźnica, nie ty. Nie powinien cię wieźć po takich drogach. Ale czy mogę się wreszcie dowiedzieć, jak brzmi imię kobiety, której przyszedłem z pomocą? Muszę wiedzieć, by się tym chełpić i przechwalać.

Uśmiech wrócił na wargi dziewczyny równie szybko, jak z nich przed chwilą znikł.

– Jestem Sabrina, córka diuka Gorkney.

– A zatem, lady Sabrino, miło mi cię poznać. Rad jestem, że aż tutaj dotarłaś, by wziąć udział w mojej koronacji. Przebyłaś całą tę drogę sama? Gdzie twoi przyboczni?

Dziewczyna roześmiała się i Richius poczuł, że się odprężyła.

– Mój panie, w Gorkney nie mamy przybocznych. To niewielki region. Nigdy tam nie byłeś, prawda? Z Aramooru do Gorkney droga nie jest daleka.

– Nie, nigdy tam nie byłem – odpowiedział Richius. Właśnie wyjeżdżali z bajora. – Ale słyszałem, że to piękny kraj.

Nie wiadomo dlaczego, dziewczyna uciekła ze spojrzeniem w bok, a jej twarz okryła się cieniem.

– Tak – stwierdziła ze smutkiem w głosie. – Piękniejszy niż ziemie, przez które przyjeżdżałam, by tu dotrzeć. – Uśmiechnęła się do Richiusa nie bez wysiłku. – Może któregoś dnia przekonasz się o tym sam.

– Bardzo bym chciał – zapewnił ją Richius.

Wydostali się już z błota. Patwin uporał się z zaprzęgiem koni do powozu i czekał, aż Richius dołączy do grupy. Książę opuścił lady Sabrinę na ziemię, starannie wybierając miejsce, tak by nie ubrudziła sobie błotem trzewików. Dziewczyna przez krótką chwilę trzymała jego dłoń w swojej ręce.

– Dziękuję – powiedziała. – Jesteś bardzo uprzejmy.

– Pani, to była przyjemność.

Zawróciwszy konia, podjechał do miejsca, gdzie Patwin czekał, by uwiązać ostatni kawałek liny do kółka przy siodle Richiusa. Kiedy obaj się upewnili, że węzły są mocne, Richius dał znak woźnicy.

– Gotów?

– Tak – odpowiedział sługa, ponownie biorąc lejce do rąk. – Teraz powoli...

– Owszem, powoli – przestrzegł Richius. Poczekał jeszcze, aż każdy z jego towarzyszy da znak, że też jest gotów. Gilliam, pierwszy przy linie, skinął głową. – No to ruszamy! – powiedział Richius.

Każdy łagodnie pchnął konia w przód i powóz prawie bez wysiłku zaczął wyjeżdżać z błota.

– Idzie, idzie! – stwierdził sługa. – Jeszcze trochę i się wygrzebiemy!

Richius poklepał Błyskawicę po karku. Koń mocniej wparł kopyta w miękką ziemię. Powóz zaskrzypiał i powoli wyjechał z bajora. Lady Sabrina zaczęła radośnie klaskać.

– Udało się! – zawołała, biegnąc ku Richiusowi.

– Dobra nasza – rzekł Richius słudze lady Sabriny. Zaraz potem zwrócił się do Patwina: – Czy będziesz tak uprzejmy i rozplączesz ten sznur?

Patwin mrugnął znacząco, bo Sabrina patrzyła na młodego księcia z wyraźnym uwielbieniem.

– Dziękuję. Uratowaliście nas.

– Pani, rzecz nie była trudna – stwierdził Richius. – Ale powinniście naprawdę

uważać. Dlaczego podróżujecie samotnie? Powinniście mieć eskortę.

Dziewczyna machnęła niedbale dłonią.

– Aż do dzisiejszego dnia podróżowaliśmy bez przeszkód. Nic nam nie będzie aż do Nar.

– Drogi nie są bezpieczne – upierał się Richius. – Będziemy wam towarzyszyć przez resztę drogi.

– Nie – sprzeciwiła się dziewczyna. – To nie byłoby... – przerwała, by zaraz się poprawić. – Nie ma potrzeby. Mój sługa, Dason, potrafi o mnie zadbać. Dowiezie mnie bezpiecznie do Nar.

– Byłbym spokojniejszy, gdybyś miała liczniejsze towarzystwo. Uwierz, pani, to dla nas żaden kłopot.

Dziewczyna uśmiechnęła się serdecznie.

– To bardzo miła propozycja – powiedziała, sięgając po jego dłoń. – Ale nie martw się o mnie. Jeszcze się spotkamy. Tymczasem jedźcie swoją drogą. Wierz mi, potrafię o siebie zadbać.

– Jesteś pewna, pani? – spytał raz jeszcze Richius. – Doprawdy, to żaden kłopot.

– Naprawdę nie ma potrzeby – zapewniła go Sabrina. – Mam opiekę, a do Nar jest dostatecznie blisko, by się nie obawiać niebezpieczeństwa.

– W takim razie zgoda – rzekł w końcu Richius. – Ale waszym koniom potrzebny jest odpoczynek. Zadbajcie przynajmniej o to, by ich nie minął.

Dziewczyna skinęła głową.

– Nie omieszkam. Dziękuję, Richiusie z Aramooru. Nie zapomnijcie o mojej obietnicy. Jeszcze się spotkamy...

Richius pochylił głowę w ukłonie.

– Z chęcią poczekam.

Lady Sabrina dygnęła, zachichotała tajemniczo, a potem odwróciła się i ruszyła do swego powozu. Otworzyła drzwiczki i znikła w kryjącym wnętrze półmroku. Sługa machnął im dłonią, bardziej z obowiązku, niż z przyjaźni.

– Dziękuję za pomoc – rzekł prawie szorstko, a potem odwrócił się do nich plecami. Strzeliwszy z bata, szarpnął lejce i wkrótce powóz znikł w oddali, uwożąc lady Sabrinę.

\* \* \*

Do wieczora jechali dość wolno, ale o świcie następnego dnia drogi już podeschły i znów mogli ruszyć szybciej. Poganiała ich wizja wspaniałej gościny w Nar. O zmierzchu następnego dnia dotarli do wzgórz Locwali.

Nad ziemią rozciągnęła już swoje mroczne palce noc, ale zachodnia część nieba płonęła jeszcze łososiową barwą słońca. Na wzgórzach Locwali panował spokój i cisza, w powietrzu jednak unosił się niepodobny do żadnego innego zapach miasta. Nie była to słodkawa woń wiejskich gospodarstw, ani słonawy aromat morskich portów. Zapach przywodził na myśl tajemnice, jakie kryło w sobie to na poły baśniowe miejsce. Metaliczna woń dymu przypominała zapach kuźni. Jadąc przez wzgórza, Richius myślał tym, jak wygląda kryjące się za nimi miasto i jak musi być wielkie, skoro wyczuł jego woń w głębi dziewiczej puszczy.

Dzień jutrzejszy miał być trzydziestym dniem zimy.

Książę jechał w milczeniu na czele grupy, prowadząc przyjaciół wzdłuż wąskiej drogi. W jego sercu wzbierała niecierpliwość, ponieważ wiedział, że miasto, do którego jechał tak długo i wytrwale, może się wyłonić choćby zza następnego wzgórza. Kiedy wreszcie ujrzał skalisty pagórek oświetlony z tyłu osobliwym blaskiem, zdał sobie sprawę z faktu, że Nar jest na odległość wyciągniętego ramienia. Powstrzymał konia. Patwin podjechał do przyjaciela i obaj przez długą chwilę patrzyli na światła odległego miasta.

– Nareszcie jesteśmy – szepnął w końcu Richius.

Patwin westchnął nie bez satysfakcji.

– Jedź przodem – zaproponował. – Pierwszy powinienes zobaczyć Nar.

Richius bez słowa skierował konia ku grzbietowi wzgórza, a kiedy koń trudził się z dość stromym podejściem, książę wspominał wszystko to, co słyszał o stolicy kontynentu. W końcu przekona się, czy te opowieści były prawdziwe – i ta myśl sprawiła, że zaczęły mu drżeć dłonie. Nawet jego ojciec nie widział Nar. Będzie pierwszym Vantranem, który zobaczy stolicę, w której panuje Arkus. Powoli wjechał na szczyt i widok wspaniałego Nar zaparł mu dech w piersiach. Z jego warg zerwał się ledwie słyszalny szept.

– Boże święty...

W końcu dotarł do Nar.

## Siedemnaście

Machina.

Oto czym było Nar. Ogromną, oszałamiającą swoimi rozmiarami machiną. Rozmyślając nad tym porównaniem i wspominając przyjazd do miasta, Richius bawił się węzłem swojej szarfy. Jibben, sługa i niewolnik Biagia, którego ten mu przydzielił, dał mu tę szkarłatną szarfę, by nosił ją podczas ceremonii. Wyglądała nieco dziwacznie na tle jego ciemnego ubrania, była z jedwabiu i śliski materiał węzła niemal nieustannie się rozwiązywał, gdy tylko Richius gwałtowniej się poruszył. Być może istniała jakaś sztuczka umożliwiająca zawiązanie szarfy, Richius jednak aż do tej pory jej nie poznał.

Słyszał, że Nar jest wielkim miastem, nigdy jednak mu nie przyszło do głowy, że może istnieć coś o takich rozmiarach. Opowieści o Nar nie potrafiły dokładnie opisać niezliczonych, strzelających w niebo wież, których było w nim nie mniej chyba niż gwiazd na niebie. Przy tych gigantach karłały wieże aramoorskiego zamku. Barret nazwał je niedawno dłońmi wyciągniętymi ku niebu z cmentarnego gruntu. Nawet Góry Żelazne nie pięły się na takie wysokości.

I ogień. Na taki widok nie był przygotowany. Widział je wszędzie, gdzie tylko skierował wzrok; wykwitwały z wysokich miejskich kominów i jak natrętne kule wisiały wysoko nad ulicami. Z miejsca na wzgórzu Nar, z tymi wszystkimi metalowymi rurami wypływającymi w niebo dym i ogień, wyglądało jak ogromny, niekształtny ogniomiot. Nawet nad odległymi wzgórzami unosił się kwaśny zapach, a powietrze ożywiały odległy grzmot miejskich palenisk.

Nie dowierzając własnym oczom, jechali ku miastu przez przesycone odorem moczu przedmieścia pełne brudu, obok wojennych warsztatów i pracowni, które zajęte produkcją oręża mającego rzucić Liss na kolana, wypływały w powietrze chmury czarnego, gryzącego oczy dymu. Milczeli, bo któż mógł cokolwiek powiedzieć wobec takich widoków? Stali w obliczu wspaniałego Nar i choć spodziewali się czegoś innego, miasto poraziło ich swoim bogactwem i przepychem. Na jego ulicach kłębiły się tłumy, w których można było znaleźć przedstawiciela każdego narodu i rasy, a otyli kupcy z mijanych przez nich kramów sprzedawali wszystko, o czym tylko mogliby pomyśleć – od najrozmaitszych trunków i napojów po niewolników. Richius i jego towarzysze poczuli się nagle bardzo mali wobec ogromu miasta, tak jak wieże Aramooru karłały wobec otaczających ich zewsząd gigantów. Nikt ze sprzedawców ich nie zaczepił, nikt też nie zwrócił na nich uwagi. Nie potrzebowali się zatrzymywać, by spytać o drogę do pałacu, ponieważ zewsząd był widoczny, jak onyksowy klejnot pośrodku miasta.



– Do licha! – zaklął Richius, walcząc z szarfą. Wydało mu się, że nie ma sposobu, by nosić tę rzecz właściwie i nagle zrozumiał, dlaczego ojciec niby przypadkiem zawsze zapominał o tej ozdobie. Królowie Nar powinni jednak nosić te szarfy na uroczystościach państwowych, znów więc spróbował zrobić na niej węzeł. Jego wysiłki niestety zostały zwieńczone splotem przypominającym węzły szubieniczników. Klął jeszcze, gdy do komnaty wszedł Patwin. W dłoniach miał piękną, usianą klejnotami pochwę na miecz z czarnej skóry. Z pochwy wystawała mocno wytarta rękojeść Jessicane.

– Dlaczego klniesz? – spytał niespokojnie. W swoim uniformie wyglądał wspaniale. Była to jedna z niewielu rzeczy, które starannie zapakował przed wyjazdem z Aramooru.

– Nie mogę zawiązać tej przeklętej szarfy. Jest z jedwabiu i węzeł za nic nie chce się trzymać. To ta pochwa? – wskazał Richius ruchem podbródka.

Patwin podał księciu pochwę.

– Owszem, Jest trochę ładniejsza od twojej, nie sądzisz?

– Owszem – odpowiedział Richius. Pragnął mieć przy koronacji Jessicane i rad był, że Biagio nie zgłosił sprzeciwu. Powiedział jedynie, że zamiast starej i wyświechtanej powinien mieć odpowiednią do okazji pochwę na miecz. Zobaczywszy rozmiary głowni, Jibben nie był jednak pewien, czy znajdzie odpowiednią dla niej pochwę – nawet zbrojownia Nar miała swoje ograniczenia.

– Piękna – przyznał Richius. – Skąd Jibben ją zdobył? Powiedział ci?

– To dar od Biagia. Powiedział mi, że Jibben nie mógł znaleźć nic odpowiedniego, a nie sposób pomyśleć, żeby przy koronacji Jessicane tkwił w starej podniszczonej pochwie. Myślę, że zamówił ją specjalnie dla ciebie. Niczego jednak mi o tym nie powiedział.

– Podarunek? – rzekł z zachwytem Richius, uważniej teraz przyglądając się pochwie. Była wspaniała, z czarnej tłoczzonej skóry, usianej wzdłuż klejnotami. Jessicane wyglądała w niej bardziej staro. – Skąd on ją zdobył? To go musiało kosztować fortunę!

– Kto jak kto, ale Biagio z pewnością nie musi się trapić wydatkami. Zamówił ją pewnie w jednej z tych kuźni, które mijaliśmy po drodze.

– Nie, to niemożliwe. Czegoś takiego nie wykonuje się ot tak, strzelając palcami. To pewnie któraś z jego własnych pochew.

– Będziesz ją nosił na szarfie? Wiesz, ta szarfa musi być widoczna.

– Wolałbym ją zamiast tej przeklętej szarfy! – mruknął gniewnie książę.

– Ale nie możesz... Pozwól, że ja spróbuję.

Patwin opadł na jedno kolano i zaczął rozwiązywać niedbały węzeł Richiusa. Richius patrzył w zwierciadło, by zobaczyć jak mu idzie.

– A inni są gotowi? – spytał.

– Owszem. Czekają na ciebie w sąsiedniej sali.

Richius kiwnął głową. Komnaty, do których wprowadził ich Jibben, były niezwykle rozległe i wcale go nie dziwiło to, że kilku ludzi w sąsiedniej sali mogło zostać nie zauważonych. Jak wszystkie sale w tym obszernym pałacu, sąsiednia komnata też miała ściany wyłożone kobiercami i pięknie tkane dywany na posadzce. W Aramoorze można było spotykać ludzi, których całe obejścia mogłyby się pomieścić w jednej takiej sali.

– Nareszcie! – oznajmił Patwin z dumą, wstając z podłogi.

Richius spojrzął w dół i zobaczył, że z jego boku zwisają idealnie równe końce szarfy. Zdumiony spojrzął na Patwina.

– Mam trzy młodsze siostry – wyjaśnił Patwin, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

– Ale to trochę... niemięskie, nie sądzisz? Mój ojciec nigdy czegoś takiego nie nosił.

– Twój ojciec nigdy nie został zaproszony do Nar – stwierdził rzeczowo Patwin. – Zresztą i tak musisz ją nosić. To oznaka twojej królewskiej władzy.

– Nie, Patwinie – poprawił go Richius. – Oznaką mojej władzy był pierścień Aramooru. Przede wszystkim jestem Aramoorczykiem. – Spojrzął na pochwę miecza. Choć piękna, była podarunkiem od łajdaka. – Nie chcę zapominać, kim jestem.

– Nie martw się, Richiusie. Nie zapomnisz. Jojustin nigdy ci na to nie pozwoli.

Richius parsknął śmiechem.

– A tak, Jojustin. Chciałbym, żeby był świadkiem tej uroczystości. Chciałbym tu widzieć wielu innych. Na przykład Dinadina.

– Zapomnij o nim – rzekł Patwin z wyrzutem, biorąc pochwę z rąk Richiusa i przekładając ją przez ramię i głowę księcia. – Zaprosiłeś go, on zaś odmówił. I dobrze. Jego strata. Jeżeli nadal zamierza żywić urazę, to niech sobie ją żywi. Może nauczy się okazywania szacunku, kiedy wrócisz do Aramooru jako król.

– Patwinie, chodzi nie o braku szacunku. Nie chcę, by każdy z was ograniczał się tylko do szacunku.

Patwin odstąpił o krok i przyjrzał się swemu dziełu, patrząc w lustro.

– Jak powiedziałem, Dinadin będzie miał mnóstwo czasu na przemyślenie sprawy. Odwróć się.

Richius posłusznie się odwrócił od zwierciadła i stanął, zwróciwszy twarz do przyjaciela. Oczy Patwina rozjarzyły się dumą.

– Wspaniale! Wyglądasz jak... jak król!

Richius skwitował zachwyty przyjaciela nikłym uśmiechem.

– Dziękuję.

– Nerwy?

– Trochę. Bardziej mnie niepokoi spotkanie z Arkusem. Byłem pewien, że zechce się

rozmówić ze mną przed koronacją.

– Wszystko, czego się od ciebie wymaga, to ucałowanie jego pierścienia, prawda?

– Tak właśnie przedstawił to Biagio. Mam pocałować jego pierścień i złożyć przysięgę wierności jemu i Nar. – Richius skrzywił się, bo do głowy przyszła mu niemiła myśl. – Mam nadzieję, że to, co robię, jest właściwe i słuszne.

– Tak jest w istocie. Będziesz dobrym królem. Wszyscy to wiemy. I wszyscy cię poprzemy, jak jeden mąż.

Zanim Richius zdążył odpowiedzieć, do komnaty wetknął głowę Ennadon. Zakłopotany wyraz jego twarzy sprawił, że Richius poczuł się jak panna młoda ubierana do ślubu.

– Richiusie?

– Wejdz, przyjacielu. – Richius zaprosił Ennadona do środka skinieniem dłoni.

Wyglądał wspaniale w swoim aramoorskim uniformie, z namaszczonymi oliwą włosami ujętymi w węzeł na karku. Jego wejście poprzedził powiew perfum.

– Przykro mi, że cię niepokoję, ale ktoś chce się z tobą zobaczyć.

– Biagio?

Ennadon kiwnął głową.

– Cóż – rzekł Richius, obracając się sztywno do Patwina. – Myślę, że nadszedł czas.

– Jesteś gotów?

– Chyba tak – odpowiedział książę, nerwowo obciągając kurtkę i wygładzając pas. Po raz ostatni zerknął w zwierciadło, a potem odwrócił się i przeszedł do przyległej sali.

Czekali tam Barret i Gilliam oraz Biagio. Choć komnata była jasno oświetlona blaskiem kandelabrow, uśmiech Biagia ją rozjaśnił jeszcze bardziej.

– Ach... pięknie wyglądacie, książę Richiusie! Prawdziwie majestatycznie. Imperator rad będzie, kiedy zobaczy, że macie na sobie jego szarfę.

– Dziękuję, hrabio. I oczywiście dziękuję za pochwę. Jestem zaszczycony.

– Nie ma o czym mówić. Pomyślałem, że powinniście mieć odpowiednią pochwę dla tak pięknego miecza. – Hrabia spojrzał na swój dar. – A jednak... Wygląda niezwykle, prawda?

– Jest piękna – przyznał Richius. – Nie wiem, jak się odwdzięczę...

– Uwierz mi, książę, że zmienisz zdanie, kiedy zobaczysz, jaką ucztę przygotował dla ciebie imperator. Wszystko już gotowe. Czekają tylko na ciebie.

– Czy będzie sam imperator? – spytał Richius. – Myślałem, że spotkamy się przed koronacją. Mówiłeś, hrabio, że Arkus zechce omówić ze mną kilka spraw.

– Obawiam się, że imperator nie pojawi się na uczcie. Ma wiele spraw niecierpiących zwłoki. Ale we właściwym czasie przyjmie cię, tego możesz być pewien.

– Na koronację jednak przyjdzie?

– Oczywiście – odparł Biagio. – Tę skromną uroczystość poprowadzi biskup, a potem w obliczu wszystkich zebranych lordów Imperium przysięgniecie wierność Nar.

Richius wykrzywił wargi tak, że przy odrobinie dobrej woli można to było uznać za uśmiech.

– Hrabio, to brzmi cudownie.

– Doskonale, a zatem chodźmy.

Biagio wyprowadził Richiusa i jego towarzyszy z pełnej przepychu sali na równie bogato zdobiony korytarz. Ulokowano ich w jednej z licznych zamkowych wież. Koberce na ścianach drżały od przeciągu. Zewsząd słyhać było muzykę i piękne głosy, a obok nich, kłaniając się pospiesznie, przemykali słudzy obciążeni tacami z mięsem i kosztami owoców. W powietrzu wisiał zapach wędzonego mięsa, korzennych sosów i słodczy oraz woń kwiatów.

– Ilu ludzi przybyło? – spytał Richius, by jakoś podtrzymać rozmowę. Nie podobała mu się perspektywa audiencji, ale się spodziewał, że widownia będzie liczna. Biagio nawet na niego nie spojrzał, choć zaśmiał się krótkim, uprzejmym śmiechem światowca.

– Dość, abyś poczuł się niepewnie, książę – powiedział. – Są tu prawie wszyscy królowie Nar, oczywiście z małżonkami i pozostałymi członkami rodzin. Przybył nawet król Panos z Goss. Przedstawię cię najważniejszym. Trzymaj się tylko w pobliżu.

– Spróbuję – obiecał Richius. Myśl o tym, by się „trzymać w pobliżu” Biagia podobała mu się mniej więcej tak, jak wzięcie do łoża bojowego wilczura, wiedział jednak, że hrabia przyda mu się nie tylko do zapamiętania twarzy dworzan, przygotował się więc na dzień pełen uścisków dłoni.

Podążali za Biagiem po krętych schodach w dół, starając się unikać kolizji z ludźmi, którzy ich mijali, spiesząc w obie strony. Zwalniali i zatrzymywali się tylko, kiedy spostrzegali, kogo spychają z drogi, i okazywali Biagiewi posłuszeństwo, jakie przysługiwało mu z racji jego stanowiska – ale trzeba było dopiero kilku lodowatych spojrzeń hrabiego, by wymusić na nich niechętnie wymruczane przeprosiny. Idący z tyłu towarzysze Richiusa niczym się nie przejmowali, tylko wygłaszali komentarze dotyczące boskich zapachów i muzyki. W końcu dotarli do podstawy wieży i weszli w wielki zamkowy główny korytarz. Jak ich zdążył zapewnić Biagio, korytarz łączył z zamkiem każdą z wież, co było nie lada osiągnięciem wobec liczby tych kłujących niebo monolitów.

Według oceny Richiusa było tu przynajmniej tuzin wież, z których każda miała kręte schody wiodące w dół ku głównemu korytarzowi. Zdobione przyciągającymi oko

freskami sklepienie korytarza zwierła się wysoko nad nimi i nad ścianami ozdobionymi złożonymi płaskorzeźbami, przedstawiającymi rozmaite wydarzenia z pełnej gwałtu i przemocy historii Nar. Wzdłuż tych ścian na polerowanych posadzkach stały posągi bohaterów o szerokich barach i w hełmach na głowie. Byli to ludzie o nareńskich imionach, wykręcających język każdego pieśniarza, ale których czyny opiewano wieczorami każdemu dziecku w Nar. Ściany korytarza udekorowano też girlandami kwiatów, konwalii i śnieżyczek, których słodki zapach uderzał wprost do głowy. Na południu Imperium kwiaty kwitły przez cały rok i mówiono, że imperator bardzo je lubi. Richius przez chwilę zastanawiał się nad tym paradoksem. Miłość do kwiatów była dość osobliwa u człowieka znanego ze swej dzikości i okrucieństwa.

Po przejściu mniej więcej stu kroków książę zobaczył otwierające się na końcu korytarza wejście do sali tronowej. Potężne kute w żelazie drzwi, zza których dolatywały dźwięki słodkiej muzyki, stały otworem. Richius zagryzł wargi, bo teraz na widok idących zaczęły się obracać głowy gapiów. Gasły też luźne pogawędki i rozmowy. Książę zwolnił kroku i odruchowo wyprostował się.

– Richiusie, jesteśmy z tobą – szepnął z tyłu Patwin i kiedy książę się odwrócił, zobaczył szeroki uśmiech przyjaciela.

– Mam nadzieję, że dopiszą nam apetyty – syknął.

– Zapowiem cię, kiedy wejdziemy – pochylił się ku niemu Biagio. – Nie martw się, panie, nie będziesz musiał nic mówić.

Kiedy dotarli do sali tronowej, tłum dworaków mocno się przerzedził, oni zaś przestąpili przez metalowe drzwi. I natychmiast zwróciły się ku nim tysiące głów. Richius zmierzył wzrokiem nieprzebrany tłum bogato odzianych ludzi. Kobiety dygały na jego widok, a mężczyźni unosili puchary. Nie widział wśród nich żadnej znajomej twarzy, wszyscy się jednak do niego uśmiechali jak najbliżsi krewni. Siedzący przy stołach wstali na ich widok i przyłączyli się do okrzyków, którymi skwitowano słowa Biagia.

– Lordowie i przyjaciele Nar! Przedstawiam wam Richiusa, młodego króla Aramooru!

Rozległy się oklaski poprzetykane brzękiem szkła. Gdzieś w głębi sali chór podniósł głos. Stojący przy drzwiach sługa wcisnął Richiusowi puchar w dłoń. Książę machinalnie go uniósł, kwitując tym gestem pozdrowienia zebranych. Patwin i jego towarzysze zaczęli poklepywać go po ramionach, co niemal wybiło księciu puchar z dłoni. Biagio nie dostrzegł niczego złego w wybuchu chlapiącego entuzjazmu kompanów Richiusa. Zaśmiał się jowialnie i wezwał służących, by przynieśli wino dla wszystkich. Jednocześnie klaskał w dłonie, w rytm coraz szybszej pieśni chóru.

Richius także parsknął śmiechem, czując że kręci mu się w głowie, przepełnionej nadmiarem barw, zapachów i dźwięków. Sala tronowa była udekorowana podobnie jak korytarz – kwiatami i kandelabrami wykonanymi z rzadkich metali. Pod ścianami nie widać było posągów, zamiast nich wszędzie poustawiano obszerne, mahoniowe stoły obficie zastawione jadłem. W każdym rogu stały baryłki wina i piwa. Wśród gości nieustannie krążyli niewolnicy w obrożach, zręcznie balansujący tacami pełnymi smakowitych kąsków. Wszystko było tak, jak to obiecał Biagio.

Obserwującemu zgromadzonych Richiusowi wydało się, że patrzy na przedstawicieli każdego narodu i ludu Nar. Biagio wiódł go powoli ku tronowi, zatrzymując się co chwilę, by powitać niektórych z gości. Zwracając księciu uwagę na tych, których uznał za godnych jego pamięci, delikatnie i dyskretnie wskazywał ich małym palcem, nie okazując braku manier polegającego na patrzeniu wprost. Richius zobaczył więc króla Panosa z Goss i jego małżonkę Mirandę, która rozstawiła męża tym, że zaciągnęła do królewskiego łóża połowę rycerstwa niedużego, ale jednak królestwa. Enli i Eneas, bracia diukowie Smoczej Paszczy znani byli w całym Imperium ze swej drugiej walki i rywalizacji o tron. Z dalekiej Criisii o surowym klimacie przybyła królowa Katiryn, a hrabia Johann z Zachodnich Wyżyn pojawił się z całym orszakiem odzianych w przejrzyste muśliny panien przybocznych. Richius pozdrawiał wszystkich z naiwnym młodzieńczym entuzjazmem. Zdumiewała go różnorodność strojów, od podkreślających kształt piersi lawendowych, bogatych sukien kobiet z Dahaar po skromne, niemal pozbawione jaskrawych barw stroje panien z Vosk. Ciemnoskórzy panowie z Crote mijali się z doriańskimi szlachcicami, których skóry wyblakły z powodu panujących w ich kraju prawie przez cały rok ciemności mroźnych zim. Najbardziej Richiusa zaskoczył ich świetny humor – nigdzie nie dostrzegł śladów wrogości, jaka według jego oczekiwań powinna dzielić wiele narodów w Nar. Uśmiechnął się w duchu. Arkus urządził przekonujące widowisko.

Kiedy pokonali już niemal połowę sali, zobaczyli chór. Na niewysokim podwyższeniu wzniesionym pośrodku komnaty stały ponad dwa tuziny jasnookich młodzików. Śpiewali pieśń, której Richius nie znał, bo słowa ułożono w języku Wysokiego Nar, ale podniosła, anielska melodia kazała mu się zatrzymać. Nigdy przedtem nie słyszał tak cudownej pieśni. Każda z nut była krystalicznie czysta, niczym kropla rosy. Opuścił puchar. Słuchając czystej, szlachetnej arii, wzruszył się niemal do łez. Biagio słuchał, popijając wino z pucharu. Kiedy w końcu pieśń ucichła, zamknął oczy i westchnął.

– Czyż to nie piękne?

– Tak – odparł szczerze Richius. – To chyba najpiękniejsza pieśń, jaką słyszałem. Co

to za utwór? Chyba go nie znam.

– *Boruso Decoyo* – odpowiedział Biagio. – Pieśń męczenników. Hymn ku czci tych, którzy polegli w służbie Imperium.

„Cóż, było ich dostatecznie wielu, by poświęcić im pieśń” – pomyślał Richius z goryczą. Uśmiechnął się jednak tylko i rzekł:

– Te dzieci muszą dużo ćwiczyć, by tak śpiewać. Doskonałe głosy.

– Ćwiczenia istotnie wiele znaczą – zgodził się Biagio. – Oczywiście, same ćwiczenia nie na wiele by się zdały bez procedury.

– Jakiej procedury? – spytał Richius. Patwin i inni zgubili się gdzieś w tłumie, rozglądał się więc, by ich odszukać. Nie zauważył więc zdziwienia Biagia, rozbudzonego jego pytaniem.

– Uwierz, książę, że takich wyników nie osiąga się łatwo. Nie sądzisz chyba, że aby śpiewać jak oni, wystarczą ćwiczenia?

Richius spojrział na chórzystów. Śpiewacy odchrząkiwali, szykując się do następnej pieśni. Poza tym, że mieli anielskie głosy, nie było w nich nic szczególnego – ot, zwykli młodzi ludzie w białoczerwonych szatach.

– A czego jeszcze trzeba? – spytał Biagia.

– Wypracowano odpowiednią procedurę, książę, dzięki której możemy cieszyć uszy tą muzyką. Posłuchaj ich, kiedy śpiewają. Każdy z nich śpiewa jedną, jedyną nutę. Wiesz dlaczego?

– Nie – przyznał Richius. – Dlaczego?

– Ponieważ nie mogą wydawać innych dźwięków. Kiedy byli dziećmi, określono, którą nutę każdy z nich śpiewa najlepiej i najbardziej czysto, a potem poprzecinano inne struny głosowe w ich krtaniach. Od tej chwili każdy może śpiewać tylko jedną nutę. Ale kiedy śpiewają razem... Cóż, ich śpiew mówi sam za siebie.

Niewiele brakło, a Richius zasłabłby ze wzburzenia. Te dzieci były tak bardzo podobne do chłopców, których przeganiał ze stajen, znających muzykę jedynie w postaci wojennych pieśni śpiewanych przez ojców. Jedyną różnicą było to, że ci chłopcy o anielskich głosach mieli pecha urodzić się w Nar. Ostrożnie podniósł puchar do warg, ciesząc się chłodnym smakiem wina.

– A co na to ich rodzice? – spytał, gdy minęło wzburzenie. – Czy są dumni z tego, co się robi ich dzieciom?

Biagio chyba nie usłyszał brzmiącego w głosie księcia sarkazmu, choć jego uśmiech jakby nieco się ochłodził.

– Dlaczego nie mieliby czuć dumy? Nie każde dziecko nadaje się do tego, by w taki sposób służyć imperatorowi. Wybiera się tylko najlepszych. To wielki zaszczyt,

a rodziny otrzymują rekompensatę.

Sługa ponownie napełnił Richiusowi puchar.

– Ta... procedura... musi być bolesna.

– Nie bardzo – stwierdził Biagio. – Poza tym dzieciom daje się środki na uspokojenie.

– Środki? – spytał Richius. – Jakie środki?

Biagio uderzył Richiusa spojrzeniem swoich osobliwych oczu, ale przez chwilę nie odpowiadał. W końcu powiedział cicho:

– Książę, mamy tu w Nar środki, które uśmierzają ból. Dzieci nie cierpią. Nie cierpi nikt, kto służy imperatorowi.

Richius otworzył usta, by coś rzec, ale w tej chwili pomiędzy niego i Biagia, wykorzystując zręczny ruch kształtnych bioder, wsunęła się mocno opalona kobieta. Richius, który uznał za pewnik, że Biagio zaraz coś powie o naruszaniu etykiety, cofnął się o krok, hrabia jednak jeszcze bardziej się rozpromienił.

– Ach, moja droga, wyglądasz zachwycająco – powiedział, ujmując dłoń kobiety. Skinieniem dłoni poprosił księcia, by podszedł bliżej. – Książę, niechże mi będzie wolno przedstawić moją żonę, Elliann.

Richius ujął podaną mu przez kobietę dłoń. Pochylając się, by ją pocałować, poczuł silną woń lakieru do paznokci.

– To dla mnie zaszczyt, pani – rzekł. Podniósł wzrok i ujrzał w jej oczach tę samą dziwną przejrzystość, jaką widział u Biagia. Patrzyła niby na niego, ale jakby go nie dostrzegała – był dla niej niczym przejrzyste szkło. Postanowił nie patrzeć ani w jej oczy, ani na jej kuszącą figurę. Hrabina Elliann powoli cofnęła dłoń, muskając pieszczotliwie palce Richiusa.

– Ależ nie, książę. Cała przyjemność po mojej stronie. – Mówiła wolno, leniwie i wyjątkowo słodkim tonem. Jej głos miał w sobie coś wabiącego i Richius raz jeszcze postanowił, że będzie unikał wzroku hrabiny. Śmiała kobieta poruszająca się z kocim wdziękiem świetnie pasowała do swego małżonka.

– Moja żona bardzo chciała cię poznać, książę – odezwał się Biagio. – Opowiadałem jej o waszych przygodach w Lucel-Lorze. Może potem zechcesz ją zabawić jedną lub dwiema historyjkami, książę?

– Może zechcę – odparł Richius, marszcząc brwi.

– To byłoby cudowne – stwierdziła hrabina. – Niewiele rzeczy lubię tak, jak krwawe wojenne opowieści, mówiono mi zaś, że wojna w Lucel-Lorze była wyjątkowo brutalna. Będziesz miał śmiałość, by opowiedzieć wszystko ze szczegółami, panie?

– Owszem – odpowiedział Richius. – Dlaczego nie?



– Ogromnie się cieszę – zapewniła go hrabina. – Mam tak wiele pytań, ale nikt nie chce mi niczego opowiedzieć. Nawet baron Gayle. – Pochyliła się bliżej i szepnęła: – On tam był, kiedy Tharn zdobywał Tatterak.

Niewiele brakło, aby Richius wypuścił puchar z dłoni.

– Gayle? Jest tutaj Gayle z Czarnej Kniei?

– Oczywiście – potwierdził Biagio. – Czy stwarza to jakikolwiek problem? Mówiłem ci, księżę, że będą tu wszyscy władcy z całego Nar.

Richius tymczasem już przeszukiwał wzrokiem ogromną salę. Zobaczył kilkunastu ludzi w złotych i zielonych barwach Talistanu, żaden z nich jednak nie był baronem. Młody Vantran przeklął pod nosem, dość głośno, by Biagio wszystko usłyszał. Była to obraza, jakiej nie potrafiłby sobie wyobrazić, ale której nie zamierzał puścić płazem. Do diabła z etykietą! Były rzeczy, na które nie pozwoliliby nawet Arkusowi! Patrzył na przechodzących obok ludzi, mając nadzieję zobaczyć gdzieś błysk srebrnej maski, którą – jak powiadano – nosił teraz Gayle. Nigdzie jej nie spostrzegł i westchnąwszy z ulgą, łyknął nieco wina, kiedy rozstała się przed nimi kolejna grupa gości. I wtedy spostrzegł stojącą po drugiej stronie sali dziewczynę. Była młoda, nie mogła mieć więcej, niż szesnaście lat, a jej włosy lśniły jak miód. I nagle przypomniał sobie jej imię.

„Sabrina”.

Lady Sabrina z Gorkney jeszcze go nie zobaczyła, zajęta bowiem była wycieraniem plamy wina z koszuli swego sługi. Dason wyglądał żałośnie i nie na miejscu w swoich wydeptanych butach i obszernej wełnianej kurtce. Miał niezbyt gładko przyczesane włosy, a jego brodzie bardzo by się przydała brzytwa, razila bowiem w otoczeniu świetnie wyglądającej szlachty. Sabrina jednak wyglądała olśniewająco. Doskonałą figurę podkreślała szafirowo błękitna jedwabną suknią, która sprawiała, że złote włosy dziewczyny lśniły niczym blask słońca na falach oceanu. Karminowe wargi wykrzywiał teraz nieco wymuszony uśmiech zakłopotania, gdy trzymaną chusteczką wycierała różową plamę na koszuli Dasona. Choć Richius spotkał ją poprzednio tylko raz, poczuł ulgę i sympatię do tej znajomej osoby. Nie myśląc o konsekwencjach, zrobił krok w jej stronę i pomachał przyjaźnie dłonią.

– Lady Sabrino...

Sabrina przerwała oczyszczanie koszuli Dasona i rozejrzała się niepewnie dookoła. Richius ponownie zawołał jej imię i tym razem dziewczyna go zobaczyła. W jej oczach pojawił się błysk rozpoznania, a potem szybko odwróciła twarz i znikła w tłumie, zostawiając oszołomionego sługę z jego kłopotem.

Richius już miał ruszyć za nią, ale nagle się zatrzymał. Z pewnością go rozpoznała... Więc skąd taka reakcja? Zmarszczył brwi jak odrzucony chłopiec, zastanawiając się, co

takiego zrobił, jaką popełnił gafę, że zareagowała tak dziwnie.

– Księżę Richiusie, znasz lady Sabrinę? – spytał Biagio. W jego głosie była nutka protekcyjności, która sprawiła, że Richius poczuł się niepewnie.

– Właściwie to nie. Wczoraj z przyjaciółmi pomagaliśmy jej wydobyć powóz z błota.  
– Richius ponownie spojrzął na tłum gości, szukając dziewczyny wzrokiem. – Byłem pewien, że mnie rozpoznała.

– Rozmawiałeś z nią?

– Krótko... Dlaczego pytasz, hrabio?

– To atrakcyjna dziewczyna.

– Nie będę przeczył.

– Ale tu jest wiele atrakcyjnych kobiet, czy nie tak, księżę? – spytała hrabina Elliann. Ujęła Richiusa pod ramię i lekko je uściśniła. – Mężczyzna taki jak ty, panie, musi uważać, bo łatwo wpadnie w pazurki jakiejś młódki.

– Moja droga, przestań straszyć gościa – zaśmiał się Biagio. Ujawszy żonę za rękę, uwolnił Richiusa z jej uścisku. – Zechciej wybaczyć mojej żonie, księżę. Ma upodobanie do przystojnych młodych ludzi.

– Pochlebia mi, że twoja małżonka za takiego mnie uważa, hrabio – powiedział Richius, jednocześnie składając ukłon hrabinie. – Pani, wybacz, ale muszę jeszcze przywitać się z wieloma gośćmi, a zdaje się, że straciłem z oczu moich ludzi. – Pochyliwszy się nad dłonią hrabiny, zmusił się do ucałowania jej palców. – Rad jestem, że mogłem cię poznać. Twój mąż, pani, jest szczęśliwym człowiekiem.

Hrabina udała, że się rumieni.

– Może porozmawiamy jeszcze... później...

– Będę czekał. Panie hrabio, chciałeś mi jeszcze przedstawić kilku innych gości, prawda?

– Istotnie – przyznał Biagio. – Chodźmy więc...

Richius ruszył za hrabią w labirynt uperfumowanych ludzi, mijając stoły pełne chleba i barwnych, układanych na podobieństwo tęczy owoców. Kiedy znaleźli się we względnie spokojnym rogu komnaty, Biagio wyjął puchar z dłoni Richiusa i postawił go obok własnego na pobliskim stole. Rozejrzał się ukradkowo dookoła, a jego twarz nagle spoważniała. Położył lodowatą dłoń na ramieniu księcia i przyciągnął go nieco ku sobie.

– Księżę, zaskakujesz mnie różnorodnością swoich talentów – powiedział cicho. – Jesteś znacznie lepszym dyplomata niż twój ojciec. Wokół mojej żony kręci się wielu durniów, niczym psy wężące za suką. Ty jesteś inny...

– Hrabio, racz uwierzyć, że nie zamierzałem nikogo urazić. Po prostu...

– Nie przepraszaaj, księżę. Doskonale sobie z nią poradziłeś. Niewielu ludzi

zdobyłoby się na to, by odmówić mojej żonie. Ale ty, książę, zrobiłeś coś więcej, prawda? Oczarowałeś ją. Myślę, że świetnie dasz sobie tu radę.

– Wybacz mi, hrabio, ale żądam wyjaśnień. Nie bardzo rozumiem, co mi chcesz powiedzieć.

Biagio przyciągnął Richiusa ku sobie, obejmując go po ojcowsku. Lekko speszony Richius, rozejrzał się dookoła w nadziei, że nikt teraz na nich nie patrzy. Wyglądało na to, że pozostawiono ich samym sobie – inni goście zajęli się własnymi konwersacjami. Biagio wyciągnął palec w stronę boku komnaty.

– Spójrz, tam, po drugiej stronie. Widzisz, książę?

I Richius zobaczył. Żelazny Tron Arkusa.

Nie był tak wspaniały, jak to sobie młody książę wcześniej wyobrażał. Mówiąc prawdę, Richiusa uderzyła prostota jego budowy. Nie ozdobiono go żadnymi klejnotami, na metalu nie wryto też żadnych runicznych znaków. Nie położono na nim poduszki, a jego oparcie nie wznosiło się pretensjonalnie ku sklepieniu. Cały tron zaskakiwał swoją zimną i odpychającą funkcjonalnością. Pusty i mroczny, stał na niewielkim podwyższeniu, dziwnie nie na miejscu w urządzonej z ogromnym przepychem komnacie – a jednak Richius natychmiast spostrzegł, że w całym Imperium próżno by szukać czegoś, co wyraźniej świadczyłoby o mocy i potędze niż ten mizerny właściwie i niewymyślny mebel.

– Piękny, nieprawdaż?

Richius musiał się zgodzić. Patrzył na mebel tak podobny do tronu ojca, że mimo woli zaczął się zastanawiać, jaki też jest człowiek, który na nim zasiada. Jak bardzo bezpośrednim władcą musiał być Arkus z Nar, który zadowalał się taką prostotą? Jaki był człowiek, który wezwał go do Nar?

– Wspaniały – rzekł w końcu. Chciał zapytać o wiele spraw dotyczących tego tronu, ale postanowił, że nie będzie pytał Biagia. Hrabia nie rozpoczął tej rozmowy bez przyczyny. – Panie hrabio, co właściwie chcesz mi powiedzieć?

– Książę, musimy pomówić o kilku sprawach. O rzeczach, które powinieneś wiedzieć, zanim poznasz innych.

– Innych?

– Takich jak ja. Jesteśmy tak bliscy imperatorowi, jak jego własne myśli.

– Myślę, hrabio, że wiem o kim mówisz. W Aramoorze nazywamy tych ludzi Żelaznym Kręgiem.

– Podobnie mówią o nas tu, w Nar – stwierdził Biagio. – My jednak wolimy myśleć o sobie inaczej.

– Mówisz, panie, tak, jakbym miał powody, by się czegoś obawiać ze strony tych

ludzi – rzekł Richius. – Mam powody?

Biagio zachichotał.

– Och, książę, nawet nie wyobrażasz sobie, jak wiele.

– Więc mi o nich opowiedz, proszę.

– Jesteśmy oczami i uszami imperatora. Kiedy mu doradzamy, on zwykle słucha.

– A więc?

– Więc byłoby dobrze, gdybyś w stosunku do pozostałych przyjął tę samą taktykę, jaką zastosował wobec mojej żony. Będziesz pilnie obserwowany. Będą się tobie przyglądać i szukać tej samej... skłonności do zdrady, jaką wykazał twój ojciec. Głupiec zdradziłby się i dał im to, czego chcą. Ty jednak, książę, nie jesteś głupcem, prawda?

Richius oniemiał. Nigdy się nie spodziewał, że Biagio tak po prostu przyzna, że wiedział o zdradzie jego ojca. Nie bardzo też wiedział, co odpowiedzieć.

– Hrabio – zaczął wreszcie. – Dlaczego mi to mówisz? Czego się po mnie spodziewasz?

– Książę, zapewniam, że życzę ci tylko sukcesów na tronie.

Richius znów nie umiał ukryć niedowierzania.

– Wątpisz w moją szczerość? – spytał Biagio. – Nie powinienes. Wiesz już, jak ważny jest dla nas wewnętrzny spokój w Imperium. Inni jednak nie wiedzą, że ty to wiesz. Nie są ciebie pewni, książę, i będziesz zmuszony się przed nimi wykazać.

– A jeżeli tego nie zrobię?

Biagio uniósł brwi.

– Byłoby bardzo niedobrze. Bo widzisz, książę, nikt w Imperium nie jest tak skłonny do przebaczenia jak ja. Ale mój wpływ na imperatora nie jest nieograniczony. Jeżeli zdołasz przekonać innych, że nie zamierzasz pójść w ślady swego ojca, nie będą mieli o czym zameldować imperatorowi. Bezpiecznie zatem wrócisz do swego królowania i do Aramooru, a ja będę mógł bez przeszkód zająć się swoimi sprawami.

– A co to za sprawy?

Biagio się uśmiechnął, choć w jego oczach nie było wesołości.

– Mam cię pilnować.

Pomiędzy dwoma mężczyznami zapadło milczenie, dostatecznie długie, by Richius przypomniał sobie pewne powszechnie znane w całym Imperium powiedzenie, które usłyszał po raz pierwszy, siedząc na ojcowskich kolanach. Minęło tyle lat, on jednak nadal się wzdygał, ilekroć je sobie przypominał.

„Roshannowie są wszędzie”.

– Niech i tak będzie – odpowiedział w końcu. – Wygląda na to, że nie mam innego wyboru. Muszę jakoś ułagodzić tych ludzi.

– Pomyśl o tym jak o działaniu dla dobra Aramooru, książę – rzekł Biagio, ponownie podając mu jego puchar.

– Nie omieszka. Więc gdzie oni są? Pokaż mi ich, proszę.

– Jeden stoi dokładnie za tobą, książę. Nie odwracaj się za szybko.

Richius powoli, pozornie niedbałym gestem odwrócił głowę ku tronowi, popijając jednocześnie wino z pucharu. Zastanawiając się, kto też go może obserwować, zatrzymał w końcu wzrok na niewielkim człowieczku stojącym naprzeciwko. Był ubrany w bogate szaty, podobnie jak Biagio. Miał mniej niż pięć stóp wzrostu i nie zwracał na nich uwagi, poświęcając ją w całości towarzyszącej mu długonogiej piękności, trzymającej swój puchar na wysokości jego nosa. Spojrzenie jego oczu, podobnych do oczu karalucha, nieustannie wędrowało z twarzy owej kobiety, na jej piersi.

– Co to za jeden?

Biagio odwrócił się szybko.

– Nie patrz wprost – powiedział ostro. – To niejaki Bovadin. Jest naszym ministrem wojny.

– Ach, tak? – powiedział Richius. „Człowiek, który dba o wojenne warsztaty”.

O tym niewysokim geniuszu słyszano nawet w Aramoorze. Jako twórca ogniomiotów, wozów bojowych i miotaczy kwasu, Bovadin miał wątpliwy honor reprezentowania nareńskiej nauki. Był stary, ale wcale nie wyglądał na swoje lata, co było kolejną ciekawostką, jaką zanotował w pamięci Richius. Podczas minionych dziesięcioleci jego wojenne maszyny, zwalając mury, rozbiły w pył dumę setek miast i grodów. Był to jeden z tych ludzi, którzy bez walki zmusili Aramoor, by ugiął się przed Arkusem. To dzięki Bovadinowi miecze i włócznie stały się równie nieskuteczne, jak pałki i kamienie.

– Chcesz, hrabio, bym mu się przedstawił?

– Nie, on nie lubi rozmów z innymi mężczyznami. Ale zostaniesz w Nar dostatecznie długo, by się z nim spotkać, książę. Kiedy zechce i uzna, że jest gotów, sam cię odszuka.

– Ale myślałem, że chcesz, bym porozmawiał z tymi ludźmi i przekonał ich o swojej lojalności.

– Chcę tylko, byś zapisał sobie w pamięci ich twarze. Zanim minie ten dzień, zdążysz poznać większość z nich. A gdy to się stanie, będziesz wiedział, kogo się strzec i przed kim nie mówić głupstw, książę.

Richius skinął głową ze znużeniem.

– Kto następny?

Biagio skierował spojrzenie ku drzwiom. Do komnaty wchodził właśnie człowiek w oślepiąco białej szacie, który szeroko rozłożonymi ramionami powitał tych, którzy

ruszyli w jego stronę.

– Biskup – rzekł Biagio.

Biskup Herrith przebijał się przez tłum z wypraktykowanym przez lata wdziękiem i zręcznością, poklepując ludzi po policzkach i rozdając rozgrzeszenia niczym słodycze. Był tęgim mężczyzną zręcznych i dostojnych ruchach. Ciągnął za nim sznur akolitów, których okryte kapturami głowy pochylone były w pełnym szacunku milczeniu. Richius poczuł się tak, jakby nagle rozbolał go ząb. Podobnie jak większość jego rodaków z Aramooru, nie był przesadnie pobożny i niewiele czasu poświęcał rytuałom nareńskich kapłanów. Nie było przypadkiem, że w dni świąteczne większość wzniesionych w Aramoorze kościołów świeciła pustkami. Ludzie tacy jak Herrith nieustannie przekonywali jego ziomków, że bogowie Nar i Aramooru są w istocie jednością, Vantranowie jednak robili, co się da, by rozwiać ten mit.

– Nie chcę się z nim spotykać – oznajmił Richius zimnym tonem. – Dość mamy klechów w Aramoorze.

– W przypadku biskupa nie liczy się to, czego chcesz, książę – odpowiedział Biagio kwaśnym tonem. Jego spojrzenie zatrzymało się na chwilę przy świętym mężu, co sprawiło, że Richius poczuł ukłucie podejrzania.

– Nie lubicie się, prawda – stwierdził. – Widzę, jak na niego patrzysz, hrabio.

Biagio wzruszył ramionami.

– Jest blisko z Arkusem. Podobnie jak ja.

– Ale ty go nie lubisz. Dlaczego?

– Do licha, książę, jesteś boleśnie bezpośredni, jak młody chłopiec. Herrith i ja jesteśmy... – Biagio przerwał na chwilę, a cień na jego twarzy jeszcze się pogłębił – ...sojusznikami.

– Tak czy inaczej, nie chcę z nim rozmawiać.

– Będziesz musiał, książę – nalegał Biagio. – Powinieneś się z nim spotkać, po ceremonii. Będzie miał kilka pytań. Chce wiedzieć, jaki masz plan w związku z kościołem i Aramoorem. Powiedz mu to, co chce usłyszeć.

– Co? Mam mu rzec, że wybuduję dla niego jeszcze kilka świątyń? To się nie stanie, hrabio. I powinieneś mnie zrozumieć, jako mieszkaniec Crote. Mieliście przecież własne wierzenia, prawda, hrabio?

– To nie ma znaczenia – stwierdził Biagio surowo. – Jeżeli chcesz, by biskup opowiedział się za tobą u Arkusa, musisz mieć dla niego dobre wiadomości, książę. Arkus bardzo lubi Herritha.

– Nie będę kłamał w niczym, co dotyczy przyszłości Aramooru! My mamy tam swoje sprawy. On nie może...

– Ciszej, proszę! – syknął Biagio, rozglądając się dookoła. – Książę Richiusie, mądrzej będzie posłuchać mojej rady. Pozwól się chronić. W przeciwnym razie może stać się tak, że nie będziesz miał królestwa do rządzenia, książę.

– Hrabio, wstrzymaj groźby. Wiem już, co Arkus może mi zrobić, jeśli okażę nieposłuszeństwo. Ale to ja mam rządzić Aramoorem. Wiem, co zdołają znieść moi przyszli poddani, może więc będzie lepiej, jeżeli to wy przyjmiecie moją radę. Mam być tylko marionetką?

– Wszyscy spełniamy wolę Arkusa – szczerze odparł Biagio.

Richius znał to zdanie. Był to cytat z poematu napisanego kilka dziesiątek lat temu, zanim Narenie zebrali siły wystarczające do wstrząsania podstawami tronów i decydowania o losie narodów. Książę zaśmiał się cicho i dokończył frazę za hrabiego.

– ...i kieruje nami mocarna jego dłoń.

– Doskonale, książę. Racz o tym pamiętać, a wszystko będzie dobrze. Jest tu jeszcze ktoś, kogo chcę tobie przedstawić, książę.

Ponownie weszli w tłum, Richius zaś zajął się utrzymywaniem udawanego uśmiechu na twarzy. Kobiety odpowiadały mu uśmiechami, a te, które nie miały męskiego towarzystwa, uśmiechały się dłużej i bardzo obiecująco. W końcu dotarli do stołu, przy którym gromadzili się ludzie w uniformach, a gdzie Biagio się zatrzymał.

– Danar?

Potęźnie zbudowany mężczyzna siedzący u szczytu stołu spojrział na nich i, kiedy dostrzegł Biagia, jego twarz rozpromienił szeroki uśmiech. Porwał się na nogi i wysunął ku niemu mocną dłoń.

– Renato! – zagrzemiał. – Gdzieś ty się podziewał? Minęło już kilka tygodni, od kiedy widziałem cię ostatni raz!

– Sprawy służbowe, Danarze – odparł Biagio, oddając uścisk dłoni.

– Stęskniłem się za tobą – stwierdził, przyciskając Biagia do piersi. Olbrzym miał na sobie wspaniałe ciemnoniebieskie uniformy wojennej floty Nar. Na jego piersi kołysał się pęk wstążek. – Mam dla ciebie sporo nowinek.

– Mam nadzieję, że to dobre wieści. Przedtem pozwól jednak, że cię komuś przedstawię. Domyślasz się może, kto to jest?

Gdy Biagio odstąpił w bok, odsłaniając stojącego za nim Richiusa, przyjazny wyraz natychmiast znikł z twarzy Danara. Na Richiusie spoczęło zimne, przenikliwe spojrzenie. Olbrzym patrzył na księcia niemal z obrazą w twarzy.

– Znam cię. Jesteś Vantran, prawda?

– Owszem – odpowiedział Richius.

– Danarze, już niedługo będziesz musiał nazywać naszego gościa królem Vantranem

– stwierdził Biagio wesoło, jakby drażniąc się z rozmówcą. – Księżę, niech mi będzie wolno przedstawić ci admirała Danara Nicabara, dowódcę Czarnej Floty.

Richius uklonił się dwornie.

– Jestem zaszczycony...

Nicabar nie odpowiedział.

– Twoje imię jest głośne w Aramoorze, admirale – ciągnął Richius. – Przybywające z Karvy statki często przywożą wieści o potyczkach z Liss.

– Jestem pewien – odezwał się ostro Nicabar – że Liss nie jest sprawą, o której chcielibyście rozmawiać.

– Admirał ma pewne plany dotyczące Liss, prawda, Danarze? Mógłbyś opowiedzieć księciu Richiusowi o twoich zamierzeniach.

– Z wielką przyjemnością – odparł Nicabar. – Budujemy trzydzieści nowych okrętów. Są większe niż te, które wodowaliśmy przedtem, mają grubszy pancerz i lepsze uzbrojenie. Bovadin opracował nowy rodzaj kilu, dzięki któremu będą mogły rozwijać większe prędkości. Nareszcie mamy okręty szybsze od szkunerów Liss.

– Admirał zamierza wiosną, kiedy tylko te okręty spłyną na wodę, przeprowadzić ostateczne natarcie na Liss – stwierdził Biagio. – Mówi, że na tych piratów przyszedł wreszcie koniec.

– Stawiam w zakład moją głowę – odezwał się Nicabar. – Te dranie nie mają żadnych szans!

– Opowiedz mi to, co lubię słyszeć – poprosił Biagio. – O tym, co zrobicie ich żeglarzom, kiedy weźmiecie Liss.

Uśmiech admirała rozlał się na jego twarzy jeszcze szerzej.

– Wszystkich utopię. Uważają się za najlepszych na świecie żeglarzy, więc zamierzam się przekonać, jak sobie radzą pod wodą.

Biagio zachichotał jak uczeń.

– A te kanały, Danarze? Opowiedz księciu o kanałach.

– Vantranie, nie wiesz o nich, bo tam nie byłeś, ale wokół tych wysp są kanały, które oni nazywają płyciznami... to istny labirynt. Straciłem tam kilkanaście okrętów. Wiesz, co zrobię z tymi kanałami?

Oszołomiony Richius potrząsnął przecząco głową.

– Zabarwię je na czerwono. Mężczyzn wrzucę do morza na karmę rekinom, ale kobiety i dzieci wykrwawimy na śmierć, aż każdy kanał wokół Liss zabarwi się szkarłatem!

Biagio zaniósł się śmiechem i zaczął uderzać Nicabara po plecach. Plany admirała tak go rozbawiły, że na jego policzkach pojawiły się łzy. Hrabia wyjął zza mankietu



barwną chustkę i ostentacyjnie zaczął nią wycierać oczy.

– Uwielbiam, Danarze, jak opowiadasz tę historię. Książę, czy to nie piękna zemsta?  
– spytał Richiusa.

Richius milczał. Zrozumiał już, dlaczego Biagio przedstawił mu admirała i czuł się jak głupiec prowadzony na powrozie. Pod badawczym spojrzeniem Nicabara przestąpił z nogi na nogę i skrzywił się w duchu, gdy Biagio objął go długim ramieniem.

– Książę jest chyba nieco znużony – stwierdził hrabia. – Może powinienem mu wskazać jakieś miejsce i namówić, by skosztował potraw? Danarze, baw się dobrze. Porozmawiamy później.

Admirał pochylił głowę i pozwolił księciu i hrabiemu na odejście od stołu. Zapadła chwila ciszy, a potem rozległy się chichoty, które sprawiły, że Richius zacisnął zęby. Kiedy oddalili się tak, że nikt nie mógł ich usłyszeć, Biagio przystawił wargi do jego ucha.

– No, książę, i co powiesz teraz?

– To było niepotrzebne! – zachnął się Richius. – Mówiłem, że wiem do czego zdolni są Narenie! Nie musiałeś, hrabio, przedstawiać mi tego rzeźnika!

– Wybacz moją szczerość, ale pomyślałem, że powinieneś to usłyszeć od kogoś innego. Danar nie jest takim durniem, jakiego udaje, i wcale nie był rad, kiedy się dowiedział, że twój ojciec, książę, przegrał wojnę w Lucel-Lorze. Całymi dniami opowiadał, co zrobi z Aramoorem, jeżeli tylko da mu się szansę. – I nagle Biagio spowaźniał. – Obaj się chyba zgodzimy, że lepiej będzie, jeżeli nie damy mu tej szansy.

Richius tylko kiwnął głową. Wiedział, że jako król będzie mógł robić wiele rzeczy, ale nie należało do nich opieranie się Arkusowi i jego Żelaznemu Kręgowi. Kroczył za hrabią w ponurym nastroju, zastanawiając się, co też by powiedział na to wszystko jego ojciec. Darius Vantran był niczym nieposkromiony ogier, buntowniczy i uparty, którego nie złamał nawet nareński bicz. Richius zawsze wyobrażał sobie, że kiedy przyjdzie pora zajęcia miejsca na ojcowskim tronie, on też stanie się takim ogierem, teraz jednak poczuł, że Biagio robi z niego durnia. Czując się bardzo źle, podniósł puchar i wypił resztki wina z jego dna. Wiedział, że pocieszenie znajdzie jedynie w butelce.

Po drugiej stronie ogromnej sali, nieopodal żelaznego tronu ustawiono pod ścianą stół. Choć był dość długi, by tuzin ludzi mógł przy nim ucztować, rozsiadło się przy nim tylko czterech gości, których głowy i twarze po części nikły za kosztami owoców i mięsivem. Richius odetchnął z ulgą rozpoznawszy wśród nich Patwina, który na widok księcia radośnie pomachał dłonią. Z trzymanego przez niego w dłoni baraniego udźca trysnęły na boki drobinki tłuszczu i sosu. Obok niego w głębokim krześle leniwie rozpierał się Barret, któremu dwie rozchichotane służące wrzucały do ust jagody winnego

grona. Tuż przy nim Ennadon gromadził jadło na największym talerzu, jaki kiedykolwiek widział Richius. Niepoprawny żarłok zgromadził kawałeczki rozmaitych mięs spiętrzone tak wysoko, że musiał je przytrzymywać – a jeszcze mu było mało i rozglądał się za innymi przysmakami. Gilliam też korzystał z gościnności Nar jak mógł. Śpiewał – fałszując niemiłosiernie – z chórem, choć najwyraźniej nie znał ani słów, ani melodii pieśni. Przed sobą, jak zdobyte w grze pionki, poustawiał puste kufle. Była to scena żywcem przeniesiona z Aramooru, kiedy to po udanych łowach myśliwi wracali do domu, by odpocząć i nasycić się trunkami, oraz kawałkami pieczonej dziczyzny. Richius rad był temu, że przynajmniej jego przyjaciele doskonale się bawią. Niewielka satysfakcja, ale choć tyle udało mu się osiągnąć.

– Książę – odezwał się Biagio. – Na chwilę pozostawię cię pod opieką przyjaciół. Do rozpoczęcia ceremonii zostało jeszcze trochę czasu, racz więc skorzystać z naszej gościnności. Tylko uważaj z trunkami i pamiętaj, o czym rozmawialiśmy.

– Nie omieszkam – mruknął Richius, oddalając się od Biagia.

Barret odsunął dziewczęta na bok i wstał z Patwinem, by powitać podchodzącego do stołu księcia.

– Gdzie się podziewałeś, Richiusie? – spytał Barret. – Czekaliśmy na ciebie. Chwyć kufel piwa, zanim Gilliam wszystko wyżłopie.

– Przykro mi, ale otrzymałem radę, by się wstrzymać z trunkami.

– Kto to powiedział? – spytał Patwin. – Biagio?

– Owszem. Wygląda na to, że wszyscy się na nas gapią. Biagio mi powiedział, żebym uważał... i przede wszystkim radził nikogo nie urazić.

– Niech więc tak będzie – powiedział Ennadon. – Siadaj i już nic nie mów. – Odłożywszy swój talerz podsunął Richiusowi krzesło. – Proszę.

– Usiądę z przyjemnością – jęknął Richius, praktycznie padając na krzesło.

Sługa przydzielony do ich stołu natychmiast postawił przed nim puchar z winem. Książę westchnął i spojrzał na powierzchnię trunku, gdzie zobaczył rozedrgane odbicie własnej twarzy. Nie poznawał szkarłatnej twarzy otoczonej kręgiem szkła, ale podniósł puchar i łyknął obficie, mając nadzieję, że Biagio wciąż go obserwuje.

„Niech cię piekło pochłonie, Biagio”.

Zdecydowanym ruchem postawił puchar na stole i odwrócił się nagle do Patwina.

– Wiesz, kto tu jest?

– Kto?

– Gayle. Czy uwierzysz, że zaproszono go na moją koronację?

Wszyscy obecni przy stole odwrócili ku niemu głowy. Zdumiony Ennadon otworzył usta, ujawniając kęs na poły przeżutego mięsa.

– Co takiego? – zdumiał się Patwin. – Widziałeś go?

Richius potrząsnął głową.

– Nie, ale Biagio mi powiedział, że gdzieś tu jest.

– Dlaczego go zaprosili? – zapytał Patwin, odsuwając talerz, bo nowina pozbawiła go apetytu. – Nie mogę uwierzyć, że on zechciał tu przyjechać... Nie na tę okazję...

– Wiem – odpowiedział Richius. – To nie do pomyślenia. Kto podbechtał tego drania, by nam zepsuł cały dzień?

– O Boże – przerwał im cichy głos Gilliama. – A otóż i on!

Co gorsza, Gayle szedł ku nim, przeciskając się przez tłum jak zielonozłoty golem. Guziki jego uniformu niemal głośno trzeszczały, by utrzymać w całości okropnie opiętą kurtkę na szerokiej piersi Talistańczyka. U jego skórzanego pasa wisiał miecz, objający się o podobne do pni drzewa uda idącego. Swe czarne gęste włosy naoliwił i związał na karku, spinając je szykowną złotą klamrą. Pomimo panującego w sali ciepła Gayle miał na ramionach płaszcz z wełny barwionej na szmaragdowo, lamowany futrem. Największe jednak wrażenie wywierała maska Talistańczyka. Tak jak Richiusowi opowiedziano, wykuto ją ze srebra i kryła lewą połowę twarzy Gayle'a. Przez mały otwór widać było zasnute krwią, nieruchome oko.

– Jest na co popatrzeć – szepnął cicho Patwin.

Żaden z nich nie widział pana z Czarnej Kniei od powrotu z Lucel-Loru, wszyscy jednak znali historię jego okaleczenia. Gdy patrzyli, jak ku nim idzie, wydali cichy pomruk satysfakcji. Gayle wykrzywił usta, co można było uznać za uśmiech. Jego broda przepadła, a na gładko teraz wygolonej twarzy widać było blizny po oparzeniach. Żle zagojone cętki widoczne były nawet na tej części twarzy, której nie kryła maska, a nabrzmiała skóra na czole popękała, cofając się ku łysej głowie. Gayle wyglądał bardziej monstrualnie niż przedtem – jak dobrze odziany trup, który uciekł z pogrzebowego stosu.

– Vantranie... – zadudnił baron. – Przyszedłem cię powitać.

Richius prawie się nie ruszył.

– Powitać mnie? Jakże to?

– Witam cię w rodzinie lordów Nar – odparł Gayle. – Imperator poprosił, bym ci złożył wyrazy szacunku.

– Rozumiem. Czy imperator kazał ci też przebyć całą tę drogę, byś mi to powiedział? Mogłeś po prostu przysłać list.

Kilku słuchaczy skwitowało tę uwagę stłumionym chichotem. Gayle wyprostował się dumnie i podszedł bliżej.

– Nie pochlebiaj sobie, Vantranie – rzekł ostro. – Nie myśl, że jesteś dla mnie taki

ważny. Do Czarnego Grodu sprowadziły mnie inne sprawy.

– Doprawdy? A cóż to za sprawy?

Zniekształconą twarz Gayle'a wykrzywił zły uśmiezek.

– Vantranie, wiesz, ile lat ma mój ojciec?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

– Prawie siedemdziesiąt. Jest nawet starszy, niż był dziadek, kiedy umarł... Boże bądź miłościw jego duszy – Gayle się przeżegnał, równie demonstracyjnie, co nieszczerze. – Nie ma też najlepszego zdrowia. Kiedy umrze, Talistanowi będzie potrzebny nowy król, a ja jestem pierwszy w kolejce do tronu.

– I co z tego?

– Jeżeli mam zostać królem, będę potrzebował dziedzica, a do tego muszę mieć żonę.

„Powodzenia” – pomyślał drwiąco Richius. Jedyną rzeczą, która do tej pory stała na przeszkodzie powiększania rodu Gayle'ów był fakt, że nie sposób było znaleźć kobietę dostatecznie głupią lub zdesperowaną, by przyjęła jego zaloty. Richius wiedział jednak, że wszystko jest kwestią czasu, choć Gayle'owi dawał niewielkie szansę na znalezienie partnerki w Nar. Łatwiej by mu ją było znaleźć w stajni niż w tej komnacie pełnej dam.

– Aaa... więc podjąłeś się tej podróży, by znaleźć żonę? Cóż, możesz wybierać. Pewien jestem, że któraś z tych pań zgodzi się na to, by udać się z tobą do Talistanu. Może jednak powinieneś najpierw zdjąć maskę, by wiedziały, na co się godzą...

– Ja już znalazłem kobietę – oznajmił Gayle zimno. – Dziewczyna wygląda całkiem przyjemnie. Może ją znacie... Gdzieś tu powinna być.

– Może ją znamy – powtórzył Richius. – Kim ona jest? Pokaż ją, choćby z daleka.

Gayle obejrzał się przez ramię i przez chwilę badał komnatę swoim jedynym okiem. I nagle wskazał swą obleczoną w rękawicę dłońią ku drzwiom.

– O, tam. Ta w niebieskiej sukni.

– Nie widzę tam żadnej dziewczyny... – odezwał się Richius, któremu nie chciało się wstać z krzesła i usiłując popatrzeć we wskazanym przez Gayle'a kierunku, musiał wyciągnąć szyję. – Niebieska, mówisz? Tam jest tylko...

Richius sapnął zdumiony, a Gayle parsknął śmiechem.

– Mówiłem, że to piękna dziewczyna. Ma na imię Sabrina i jest córką diuka Gorkney. – Jedyne oko barona promieniowało wprost drwiną. – Jest akurat w odpowiednim wieku. Co ty na to?

– Zgodziła się poślubić ciebie?

– Jeszcze nie, ale to nic. Skończyła szesnaście lat i jest do wzięcia, a słyszałem, że ojciec chętnie się jej pozbędzie. Wystarczy tylko, że poproszę imperatora, i dziewczyna będzie moja. – Gayle przesunął końcem języka po swoich poparzonych wargach. –

Popatrz tylko na jej biodra, Vantranie. Idę o zakład, że urodzi mi przynajmniej kilkunastu synów.

Od tej myśli Richiusa przeszły ciarki. Kolejni Gayle'owie oznaczali nie tylko kłopoty dla Aramooru, ale myśl o wyłaniających się z tak niewinnego łona potworach sprawiła, że zebrało mu się na torsje. A jednak przechwałki Gayle'a były prawdopodobnie czymś więcej, niż tylko przechwałkami. Sabrina niemal na pewno nie będzie mogła się sprzeciwić małżeństwu, jeżeli umówią je między sobą jej ojciec i imperator – i wszystko to nagle wydało mu się zbrodnią. Richius wiedział, że jeżeli do tego dojdzie, jej życie stanie się piekłem. Obejrzał się na Patwina i zobaczył, że twarz towarzysza zbieleła ze zgrozy i odrazy.

– Baronie... – odezwał się Patwin. – Może powinieneś się jeszcze zastanowić. Nie uważasz, że jesteś dla niej za wielki? Taka dziewczyna łatwo może umrzeć przy porodzie twoich synów. Może powinieneś poszukać kogoś, kto bardziej odpowiada ci rozmiarami.

– Bardzo śmieszne – skwitował Gayle. – Ale to już moja sprawa. A jeżeli którykolwiek z was, szczeniaki, na nią zerknie, niech wam nie strzeli do głowy nic głupiego. Ona jest moja.

Słowo „moja” zabrzmiało tak ostatecznie, że cierpliwość Richiusa pękła jak mydlana bańka. Wbił w barona gniewne spojrzenie.

– Przyszedłeś tu tylko po to, by nam to powiedzieć? Doprawdy, Gayle, nie masz się czym chełpić. Ja z pewnością nie wybrałbym tak wiotkiej dziewczyny. Zadowolasz się tylko tym? Mój Boże, jeżeli nie chce jej własny ojciec, to dlaczego akurat ty się do niej rwiesz?

– Dość! – uciął Gayle. – Przyszedłem, ponieważ Arkus nalegał, bym złożył ci życzenia. Przyjmij je albo nie, jak wolisz.

– Nie przyjmuję – odparł Richius. – I wcale mi się nie podoba myśl, że tu jesteś. Możesz powiedzieć imperatorowi, że w ogóle nie chcę cię widzieć, nigdy i nigdzie, Gayle'u z Czarnej Kniei. A jeżeli już o to chodzi, rzeknij mu też, iż na jego miejscu nie liczyłbym na to, że Aramoor kiedykolwiek wejdzie w sojusz z Talistanem.

– Sam to możesz mu powiedzieć – rozległ się mocny głos zza pleców Gayle'a. Wyłonił się stamtąd uśmiechający się tajemniczo Biagio. – Jesteś gotów, książę?

– Gotów? – zdziwił się Richius. – Na co?

– Na spotkanie z imperatorem oczywiście. – Hrabia spojrział na tkwiący w dłoni Richiusa puchar. – Mam nadzieję, że nie wypiełeś zbyt dużo, książę?

## Osiemnaście

Arkus z Nar znany był pod wieloma imionami i przydomkami.

Kiedy był młody – tak młody, że teraz ledwo to sobie przypominał – cieszył się z przydomków, które mu nadawali pokonani wrogowie. Były mocne i napętniające przeciwników strachem. Każdy naród, który ugiął się przed jego wojennymi machinami, nadawał mu kolejne miano, będące dla niego jakby przypinanym do pancerza odznaczeniem, tak że inni widzieli jak nadciąga, cały lśniący i gotów do kolejnego podboju. Po zdobyciu Goss mówiono o nim Lew, a kobiety ze zdobytej zrujnowanej stolicy Dorii nazwały go Dzieciobójcą. W wykręcającej wszystkie języki mowie Wschodnich Wyżyn był Niedźwiedziem, a Crotanie, którzy poddali mu się niemal bez walki, ochrzczili go mianem Byka. W wysokich, zasnuty chłodem wzgórzach Gorkney mówiono o nim Kozioł, a na pustyniach Dahaaru porównywano do Szerszenia. Był Zdobywcą w Casarhooonie, Morową Zarazą w Criisii i Bestią w Vosk. Bliźniaczy diukowie Smoczej Paszczy nazywali go Lordem Protektorem, a Gayle’owie z Talistanu łasili się do Ojczulka.

W Liss był Diabłem.

Z wszystkich tych zabawnych w gruncie rzeczy imion Arkus wybierał jedno – imperator. Był teraz stary i mniemał, że zapracował sobie na prostą godność, zawartą w tym tytule. Dawne, nadawane mu wojownicze przydomki już go przestały bawić, ale pragnął, by go szanowano i rozpoznawano. Setki wojujących ze sobą miast przekuł w jedno Imperium, zaprowadził na kontynencie oświecone rządy, które doprowadziły do największego rozkwitu w historii, ale nikt nie nazywał go Arkusem Wielkim – jak jego dziadka – i nie spodziewał się, by ktokolwiek pomyślał o tym, że przecież w jego wojennych pracowniach powstały również lekarstwa. Przed stu laty nie było oleju, który płonął teraz w lampach, rozjaśniał mroki nocy, nie mieli leków na krwawy kaszel i nie było dróg na północ. Nie istniał nawet codzienny porządek, który tak wielu uznawało teraz za coś naturalnego i danego im przez Boga. Wszystko to się stało, bo on to powołał do istnienia. Był – a przynajmniej sam tak o sobie myślał – wizjonerem.

„Oni jednak nigdy mnie tak nie nazwą” – pomyślał z goryczą. Rozsiadł się wygodniej w fotelu i patrzył, jak płyn sący się do jego żył. Był bardziej niż zwykle błękitny, kolor indygo przypominający inkaust. Dawka dwukrotnie większa niż zwykle, jak powiedział Bovadin. Arkus poczuł wstrząsający nim lekki dreszcz. Nawet on, imperator, musiał się spierać, by móc zażywać tak niebezpieczną dawkę narkotyku. Biagio zawsze pilnował, by nie stało mu się nic złego, a hrabia był bardzo wymowny.

Nikt dokładnie nie wiedział, czego może dokonać tak mocna dawka, nawet Bovadin. W końcu jednak makabryczna ciekawość uczonego przemogła troskę Biagia i ten ustąpił. Arkus był imperatorem, a jego słowo prawem, nieważne, ile samozniszczenia mogły nieść w sobie jego edykty.

Odwrócił do góry dnem niemal pustą fiolkę i zmusił się do wytrzymania ostatnich sekund. Kuracja zawsze była bardziej przykra, kiedy popadał w zły humor, dziś zaś miał salę pełną gości i nie mógł sobie pozwolić na torsje. Na domiar złego, popadł w melancholię i niełatwo mu było odzyskać spokój ducha. Był trzydziesty dzień zimy. Za ścianami jego wysokiej wieży panował ostry chłód, co powodowało, że jego ciało zaczynało się buntować i żądało większej dawki leku. I tak każdy król w Nar będzie mógł zobaczyć, jak bardzo go to irytuje. Ale jeżeli lek podziała tak, jak to przewidział Bovadin...

Ożywiony przyływem nadziei zamknął oczy. Chciał tak niewiele: zależało mu na tym, by wyglądać krzepko i zdrowo. Przez ostatnie dwa dziesięciolecia codziennie zadawał sobie trud nakłuwania nadgarstka, by nasycić ciało podtrzymującym życie eliksirem. Teraz był już uzależniony. Wszyscy byli. On jednak był znacznie starszy od pozostałych członków Kręgu. Bovadin z pewnością wyglądał na młodszego, niż był w istocie, a Biagio na zawsze zachowa swój wdzięk i urodę. Jedynie on, który umożliwił reszcie wieczne życie i którego wizja stworzyła pracownię, musiał żyć w ciele mumii. Było to niemal to samo ciało, jakie miał, gdy Bovadin po raz pierwszy odkrył eliksiry. Ale tylko niemal. Zacisnął zęby. Miał stare zęby, niezdolne do gryzienia mięsa, którym częstowali się jego goście.

– O, czasie! – mruknął. – Jakże cię nienawidzę!

Natychmiast się jednak skarcił w duchu. Potrzebny mu był odpoczynek. Wkrótce przywiodą do niego młodego księcia i dobrze będzie mieć do dyspozycji całą przebiegłość i bystrość umysłu. Na twarzy Arkusa pojawił się nikły uśmiezek. Przynajmniej miał jeszcze sprawny umysł. Bovadin go zapewniał, że ten się nigdy nie zdegeneruje. Było coś szczególnego w sposobie, w jaki lek działał na mózg. Utrzymywał tkanki przy życiu, choć reszta ciała powoli chyliła się w objęcia śmierci. I to był problem, najbardziej przeklęta tajemnica ze wszystkich...

Po drugiej stronie komnaty z uczuciem grała na harfie lady Penelope. Arkus rozsiadł się wygodniej i ujął w dłonie skórzane podłokietniki, pozwalając, by jej muzyka go ukołysała. W niczym nie przypominała przejmujących arii chórów. Też je lubił, ale te dźwięki były inne. Te uderzały mu do głowy niczym trunek. Lady Penelope miała dar, jakiego nie spotkał u nikogo innego, i zawsze była tą, która potrafiła go uspokoić, brała więc udział we wszystkich jego kuracjach. Kiedy była w pobliżu, lekarze okazywali się

niepotrzebni. W komnacie czuło się chłód, ona jednak nie zwracała na to uwagi. Jak i on sam, zagłębiła się w dźwiękach i muskała struny srebrnej harfy, nie zwracając uwagi na otoczenie. Na jej twarzy tańczyły błyski płomieni z kominka.

Prawie wszystkie popołudnia Arkusa były do siebie podobne, oboje zaś grali swoje role niczym wytrawni aktorzy. Imperator zapadł się w swój fotel i przyłożył igłę do nadgarstka. Potężny eliksir, przygotowany dla niego przez Bovadina, zaczął się sączyć w jego żyły. Arkus czasami krzyczał boleśnie, zanim eliksir ogarnął go swymi narkotycznymi objęciami. Przygasi lampy, ochłodzi się niewielką karafką wody i kiedy oboje zostaną sami, ona będzie grała, próbując pomóc przetrzymać kurację. Penelope powinna ujrzyć Arkusa takim, jakim nikt inny go nie widywał, skręconego z bólu i łapczywie przyssanego do życia, które nie było jego i do którego nie miał już prawa. Mogłaby zobaczyć, jak blask w jego oczach pojawia się ponownie, kiedy eliksir wyciąga go z grobu, w którym dawno już powinien leżeć. Lady Penelope nie miała jednak ujrzyć żadnej z tych rzeczy, ponieważ natura oferowała jej tragicznie błogosławiony dar.

Lady Penelope była niewidoma.

Nie dość, że nie mogła nikomu wyjawić, co widziała w komnacie władcy, była jeszcze wierną i spokojną niewolnicą, za co Arkus bardzo ją cenił. Potrafiła jako jedyna uczynić ponury akt odnowy ciała znośnym. Jej muzyka przenosiła go w miejsce, gdzie nie istniały wywołane narkotykiem nudności, gdzie znów był młody. Potrafiła też cudownie grać jego ulubione melodie, doskonale dobierając je do nastrojów imperatora. Dziś grała najpiękniejszą z nich – poważny, niemal mroczny utwór, którego nazwy nie umiał sobie przypomnieć. Arkus z Nar płakał, słuchając pięknej muzyki.

Wiedział, że był to wpływ eliksiru, a jednak nie umiał powstrzymać łez. Wszystkie wspomnienia stanęły mu przed oczami niezwykle wyraziście, jakby odkurzył je wiatr dmący korytarzami czasu. Dzieciństwo w Czarnym Grodzie, gwałtowne i dzikie kampanie wojenne z lat młodości, zaginieni i zabici towarzysze – wszystko to objęło go niczym nieodparty, czerwony strumień lawy. Jego oczy przeszywały iskierki tęczyowych blasków, feeria oszałamiających kolorów przeplatanych twarzami znanymi i jednocześnie budzącymi w nim grozę. W popękany zwierciadło swej pamięci ujrzał ojca: pierwszego króla Nar, który nadał sobie tytuł imperatora, zwanego przez innych Smoczym Sercem. Ujrzał matkę, której nienawidził, i brata, którego zabił. Niezliczonych, błagających o darowanie życie bratanków, siostrzenice i kuzynów, pozabijanych przez władzę miast, które chciały sobie zaskarbić jego łaski. Trofea, wzięte w niezliczonych bitwach – głowy pozatykane na piki – krzyczały do niego. Słyszał też wycie ukrzyżowanych przed miejskimi murami.

I kobiety. Tak wiele ich miał w życiu – jedno uwodził, inne po prostu brał do łóżka.



Piękne istoty o kruchych ciałach. Księżne, księżniczki i dziwki, podarunki od ambitnych ojców i bezimienne niewolnice. Tak wiele umalowanych twarzy. Wszystkie one były jego jedną wielką zbrodnią.

Przeklął w duchu swoje nieposłuszne i nie nadające się już do normalnych czynności ciało. Te przyjemności pozostawały poza jego zasięgiem. Bovadin i jego mędrcy desperacko usiłowali uleczyć jego impotencję, ale niestety nieustannie zawodzili. W tyglach z tygrysim mlekiem ucierali rogi ognistych jaszczurek i zasuszone płatki róż – te ingrediencje miały ponownie uczynić go mężczyzną. Żadna z nich jednak nie była na tyle skuteczna, by znów poczuł się młodo i mógł sprostać kobiecie. Pozostawało mu zadowolenie się widokiem ich wdzięków, bez dotykania. Wiedział zresztą, jak niesamowity musi być jego wygląd i jak odrażający wydaje się teraz kobietom. Mimo eliksirów, jakie zażywał, mimo wszelkich wysiłków Bovadina, gnął za życia. Eliksięry doskonale zwalniały upływ wewnętrznego czasu, nie potrafiły jednak zatrzymać go całkowicie. Jego stare kości przejmował przenikliwy chłód, gdy tylko przez okna wieży wpadał do komnaty jakikolwiek powiew wiatru. Niegdyś przypominające lwią grzywę włosy imperatora zbieleły zupełnie i przerzedziły się tak, że przypominały zasuszoną trawę. Ręce, którymi niegdyś skręcał karki, same teraz groziły złamaniem przy gwałtowniejszym ruchu, a palce miał tak słabe, że nie potrafił nawet wycisnąć nimi soku z owocu, nogi zaś ledwie utrzymywały jego ciężar.

Jedynie jego oczy nie zdradzały śladów piętna wieku. Były jasne i przejrzyste jak dawniej, niezgłębiony błękit oceanu. I lśniły osobliwie, jak oczy wszystkich, którzy zażywali wytwarzane w pracowniach Bovadina eliksiry. Był to uboczny efekt, którego Bovadin nie umiał wyjaśnić, ale który łączył ich wszystkich w stojące ponad wiekami i oszukujące czas towarzystwo.

Imperator westchnął słabo. Przestrzeń wokół niego przepełniały dźwięki harfy. Smukłe palce Penelope muskały teraz struny nieco zwawiej – utwór miał się ku końcowi. Po skończonym koncercie Penelope wyjdzie jak zawsze, zostawiając instrument na jutrzejszy koncert. Arkus poczuł tchnienie pokusy – zapragnął, by kobieta została i nadal dla niego grała. W tym dziwnym stanie ogarnęło go uczucie, jakiego rzadko zaznawał w życiu – strach. Dwie setki stóp poniżej zgraja młodych i pięknych szlachciców piła jego wino i obserwowała jego kobiety. W przepastnych gardłach znikwały tłuste kapłony, krwiste befsztyki, a wszystko to w rytmie pięknej melodii, jaką jego chór cieszył uszy obzartuchów. Od ostatniej koronacji króla w Nar minęło sześć lat, on jednak w tym czasie znacznie się zmienił. A właściwie postarzał się. Oprócz członków Żelaznego Kręgu nikt go nie widział od tamtej pory i myślał, że tylu gładkoliczych młodzików poczuje dla niego litość, doprowadzała go niemal do furii.

Nie... ta myśl go przerażała. Co gorsze, dziś musiał się zająć paskudną sprawą: przekonaniem księcia Richiusa, że Nar jest coś warte, i że nie straci czasu, słuchając tego, co mu powie jego stary, rozkładający się już imperator. Ale to nie będzie łatwe. Darius Vantran był jednym z najtwardszych orzechów do zgryzienia. Jeżeli jego syn choć w połowie odziedziczył po ojcu jego sceptycyzm...

Ale nie, to było nieprawdopodobne. Książę był zbyt młody na taki cynizm. I nie będzie się sprzeciwiał temu, co przygotowali dla niego w Nar, nie wtedy, kiedy alternatywą będzie utrata królestwa. Owszem, może kilka razy uniesie brwi, ale na koniec się zgodzi.

Stare serce Arkusa uderzyło nieco szybciej. Zastanawiał się, czy Biagio zrobił to, co mu zlecono. Arkus liczył, że tak. Ułatwi mu to ogromnie jego własne zadanie. Nie cierpiał gróźb, zwłaszcza wobec tych, których szanował. A ten młodzik zasługiwał na szacunek. Biagio bardzo dokładnie przeprowadził dochodzenie dotyczące Richiusa i wrócił z kilkoma raportami, które na imperatorze wywarły wrażenie. Zgodnie z tym, czego dowiedział się hrabia, młody Vantran odznaczył się w Lucel-Lorze, działając na rzecz Imperium w morderczych warunkach i przeciwko przeważającym siłom. Dwukrotnie ranny utrzymywał dolinę Dring przeciwko jej wojennemu wodzowi; wysłał nawet kilka listów do ojca, błagając go o wsparcie. Biagio podejrzewał, że książę doskonale zdawał sobie sprawę ze zdrady ojca, ale nic nie wskazywało na to, by sam ją popierał – i to była owa różnica pomiędzy młodym i starszym Vantranem. Arkus był przekonany, że cały plan może się udać.

Kiedy ostatnia kropla eliksiru wsączyła się w jego żyły, Arkus sięgnął do strzykawki i nie patrząc, wyjął igłę z nadgarstka. Jak zwykle, poczuł ból przeszywający ramię, ale nawet nie mrugnął. Wsłuchiwał się w dźwięki muzyki, łagodnie wznoszące się do kulminacji, a eliksir w jego krwi działał. Czuł się jak człowiek obmywany ognistym płynem, który zapalał tysiące iskier pod jego powiekami i niezliczonymi igłami wdzierał się w jego mięśnie i kości. Mózg przeszywał mu po stokroć znajomy ból regeneracji. W końcu znów poczuł, że żyje. Otworzył oczy i zobaczył, jak lady Penelope delikatnymi muśnięciami palców wydobywa z instrumentu ostatnie tony muzyki.

– Piękne – odezwał się.

Kobieta nie podniosła wzroku, ale na jej ustach pojawił się nikły uśmiech, który mu powiedział, że go usłyszała.

Pukanie do drzwi zepsuło cały nastrój chwili. Arkus podniósł głowę, ale harfistka niewzruszenie trącała palcami struny. Drzwi rozsunęły się bezdźwięcznie i do komnaty wszedł hrabia Renato Biagio. Przybyły cicho zamknął za sobą drzwi.

– Ostatnie akordy – odezwał się Arkus. – Poczekaj, proszę.

Grany przez lady Penelope utwór trwał jeszcze cztery minuty i przez cały ten czas hrabia nawet nie drgnął, a jego oddech był łagodniejszy niż powiew wietrzyku nad senną laguną. W końcu jednak lady Penelope odjęła dłonie od strun, wstała i skłoniła głowę.

– Dziękuję ci, pani – odezwał się Arkus. Słyszał już, że wraca mu władczość i siła głosu. Kuracja Bovadina skutkowałą. – Grałaś cudownie.

Lady Penelope jak zwykle nie odpowiedziała, tylko na jej policzkach pojawił się słaby rumieniec. Odwróciła się i ostrożnie, powoli ruszyła ku drzwiom, które otworzył przed nią Biagio. Lady Penelope zignorowała obecność hrabiego, którego pomoc ograniczyła się zresztą tylko do otwarcia drzwi. Arkusa zawsze zdumiewał fakt, że potrafiła wyjść z komnaty, nie dotykając nawet rąbkiem sukni żadnego mebla i nigdy nie usłyszał szelestu jej trzewików. Biagio patrzył za nią, dopóki nie wyszła. Po chwili zamknął za nią drzwi. Nawet w nikłym świetle płomieni kominka Arkus widział malującą się na twarzy hrabiego troskę.

– I co? – spytał Biagio. – Udało się?

Arkus zgiął i wyprostował palce. Czuł, że są mocniejsze.

– Światło – zażądał. – Podkręć je trochę.

Biagio uczynił, co mu kazano, podchodząc do najbliższego kandelabru i przekręcając mały kluczyk, zwiększył dopływ oleju do knotów. Jego cień na ścianie spotęźniał i wyostrzył swoje zarysy. Hrabia podszedł bliżej i uważnie spojrział na władcę.

– Wyglądasz, panie, znacznie lepiej – przyznał. – A jak się czujesz?

– Dość dobrze. Przyprowadziłeś go?

– Okropnie tu zimno – rzekł Biagio, zacierając dłonie. Normalnemu człowiekowi temperatura w komnacie wydałaby się ciepła. Hrabia podszedł do ogromnego kominka i westchnął z rozczarowaniem. – Doprawdy, panie – zaczął jakby odkrył źródło zdrady stanu – i ty się skarżysz na zimno?

Obok kominka leżał stos grubych kłód. Hrabia bez wysiłku podniósł kilka z nich i cisnął je w ogień, aż sypnęły skry.

– No... – oznajmił z dumą. – Teraz lepiej, prawda?

Rzeczywiście zrobiło się ciepłej. Jednym z niewytłumaczalnych efektów ubocznych zażywania eliksirów była niezwykła podatność na chłody. Wszyscy czuli się jak delikatne, nie osłonięte kwiatki w sercu zimy, gotowe drzeć przy pierwszym podmuchu chłodniejszego wiatru. Arkus sam zaczął rozcierać dłonie.

– Przywiodłeś go? – spytał znowu, odrobinę bardziej surowo niż za pierwszym razem.

– Czeka za drzwiami, ale najpierw chciałbym z tobą pomówić. Powiniennem cię ostrzec, panie... On może okazać się nie tym, którego się spodziewałeś.

– Ostrzegaleś mnie już tuzin razy – odparł Arkus, z trudem podnosząc się z łoża.

Biagio wysunął ramię, na którym imperator oparł się z wdzięcznością. Początkowo imperator lekko się zachwiał, w miarę jednak, jak krew poczęła żywiej krążyć w jego żyłach, jego ręce i nogi stały się silniejsze i po chwili stał już bez pomocy Biagia. Hrabia szybko zajął się usuwaniem narzędzi i śladów kuracji – pustą fiolką, rurką i igłą – zamykając wszystko w potężnej, dębowej szafie.

– Posłuchaj mnie, proszę – wtrącił Biagio. – Nie jestem pewien, czy twój plan się uda. Richius jest inny, panie, bardziej samodzielny i niezależny, niż myślałem. Nie uważam, by zrobił to, czego się po nim spodziewamy.

– Zrobi – stwierdził Arkus. – Nie będzie miał innego wyboru.

– Ale my mamy. Powinniśmy raz jeszcze zastanowić się nad Gayle’ami. Mają więcej ludzi, niż Aramoorczycy, i są bardziej nam oddani.

– Są też bardziej ambitni – dodał Arkus władczo. – Ambitni ludzie są niebezpieczni, mój przyjacielu. Nie można im zaufać.

– Z całym szacunkiem, ale wyrażam sprzeciw. Gayle’owie nigdy nie ośmielą się użyć broni Drolów przeciwko nam. Wierz mi, panie, wiem, co mówię. W tym ich Talistanie mówią o tobie jak o bogu. Uwielbiają cię i z pewnością chętniej niż Aramoorczycy zechcą wziąć pomstę na Drolach. Mówię ci, popełniasz pomyłkę, pokładając zaufanie w Richiusie.

– Co takiego? Mówiłeś, że da się nim pokierować.

– Myliłem się. Nie jest tym samym człowiekiem, którego poznałem w Aramoorze. Ma znacznie więcej pewności siebie i wzmocnił się wewnątrz. Za twoją radą przedstawiłem go Nicabarowi.

– I co?

– Nawet nie mrugnął. A potem miał mi czelność rzec, że nie spotka się z biskupem. Zostawiłem go samego tylko na chwilę, a kiedy wróciłem, rozmawiał z Czarnym Gayle’em. Panie, dobrze ci radzę, raz jeszcze zastanów się nad wyborem. Niech Gayle’owie otworzą nam drogę do Lucel-Loru. Ten chłopak Vantranów nie na wiele ci się przyda. Jest tak samo uparty jak jego ojciec.

– Lepsze to niż wina, jaka ciąży na Gayle’u – stwierdził Arkus. – Renato, Aramoor jest nam potrzebny. Przypomnij sobie, że to jedyna część Imperium, która graniczy z ziemią Triinów.

– W takim razie zajmijmy Aramoor. Poślij legiony albo daj go w zarząd Gayle’owi.

Arkus potrząsnął głową, jakby się dziwił tępotcie podwładnych.

– Nie! Nie chcę się wdawać w wojnę domową, dopóki Liss może nam zagrozić. Nie doceniasz Aramoorczyków. Będą wierni krwi Vantranów. Gayle nigdy nie zdoła nimi

władać bez stłumienia oporu, tego zaś nie osiągniemy bez ciężkich walk.

– I co z tego? Czym oni dla nas są? Bandą hodowców koni, niczym więcej.

– Nie pora na walki! – zagrział Arkus. – Popatrz na mnie, Renato! Zanim przenikniemy sekrety Lucel-Loru mogę być już martwy! – Ujrawszy urazę na twarzy hrabiego złagodził ton i pojednawczo dotknął jego ramienia. – Nie chodzi tylko o oręż Drolów. Muszę się dowiedzieć, czym jest ta magia, którą oni władają. Może mają coś, co mógłbym wykorzystać? Nie mamy czasu, by odbierać Aramoor rodowi Vantranów. Musimy uderzyć jak najszybciej, gdy tylko uporamy się z Liss.

– Ryzykujesz urazę, jaką poweźmie do nas wierny sprzymierzeniec. Baron Gayle przebył długą drogę, by się z tobą spotkać, panie. Nie spodoba mu się nowina o zamążpójściu lady Sabriny.

– Niech chodzi urażony – stwierdził Arkus. – Tym razem nie potrzebujemy rodu Gayle'ów. Książę Richius i tak zresztą nigdy nie zgodziłby się na sojusz z tymi rzeźnikami.

– I co zamierzasz mu powiedzieć, panie? – spytał Biagio z sarkazmem w głosie. – Prawdę?

Arkus spojrział na swego doradcę i rzekł głosem pełnym rezygnacji:

– Owszem. Jeżeli jest tak bystry, jak mówisz, nigdy nie uwierzy w jakiekolwiek łgarstwo. – Po chwili dodał, zachichotawszy bez cienia radości czy uśmiechu w oczach: – Wystarczy zresztą, że na mnie spojrzy... i odgadnie prawdę.

Biagio wzruszył ramionami.

– Jak sobie życzysz. Jeżeli taka jest twoja ostateczna decyzja, to ją poprę, oczywiście. Mam go przyprowadzić?

– Tak – stwierdził po prostu Arkus. – Jestem gotów.

Hrabia odwrócił się i wyszedł z komnaty. Arkus, który nareszcie został sam, podszedł do jedyne go okna w ścianie i odsunął ciężką zasłonę, wpuszczając do izby chłodne powietrze zimowego dnia. W oddali widać było paleniska pracowni i warsztatów, w których opracowywano nowe rodzaje oręża – wyloty kominów wypluwały w niebo pióropusze dymów. Za rzeką Kieł widział Katedrę Męczenników i jej metalowe łuki i przypory, a na leżących daleko w dole ulicach dzieciaki bawiły się ze swoimi brudnymi psami, a żebracy zaczynali łowy na szczury, które mieli zjeść na kolację.

Imperator westchnął ciężko. Daleko na wschodzie, za horyzontem, zbyt odległy, by mógł go dostrzec z Czarnej Wieży, leżał i wabił go ku sobie Lucel-Lor. Gdybyż tylko udało się go zająć za pierwszym razem...

## Dziewiętnaście

Wąski korytarz wiodący do komnat imperatora był cichy i skąpo oświetlony szeregiem oliwnych, wprawionych w ściany lamp. Richius stał samotnie pośrodku, czekając na powrót Biagia. Nigdy przedtem nie był w tak wysoko położonej części pałacu – i wyczuwał wściekły napór wiatru na zewnętrzne ściany. Na posadzce leżał cienki, szkarłatny dywan, a ze ścian korytarza gniewnie wpatrywały się w księcia portrety przodków. Były to podobizny królów oraz dawno poległych i zapomnianych bohaterów, ludzi w lśniących hełmach z brązu i z ostrymi mieczami w dłoniach. Wszyscy, oczywiście, byli dobrymi Narenami.

Młodzieniec przyglądał się podobiznom dość obojętnie, myśląc o wielu sprawach jednocześnie. Wdzięczny był Biagiowi, że ten zostawił go samego. Zwłoka dawała mu czas na zastanowienie się, po co też Arkus wezwał go do siebie. Jego krótki pobyt w pałacu składał się niemal z samych przyjemności, a Biagio dbał o jego potrzeby niczym najbardziej troskliwa z matek. Karmiono go, dbano o niego, pojono doskonałymi trunkami – a wszystko to mogło oznaczać tylko jedno: imperator czegoś od niego potrzebował.

Niespokojnie zatarł dłonie. Wewnętrzne ciepło, jakie pozostawiły w jego żyłach świetne wina już się rozeszło, tym bardziej więc odczuwał chłód. Wzdrygnął się. Biagio powiedział, że wieża imperatora miała trzysta stóp wysokości – co wcale nie było przesadą, biorąc pod uwagę zimno szczypiące czubki jego palców. On sam jednak przywykł do chłódów i zacierał dłonie raczej z przyzwyczajenia niż z prawdziwej potrzeby. Chciał wiedzieć, co też się dzieje na dole, w wielkiej sali. Biagio zostawił go samemu sobie kilka minut temu, prosząc uprzejmie, by się zatrzymał, i w miarę upływu czasu Richius zaczynał pojmować, że hrabia i imperator rozmawiają teraz o nim.

Pomimo przenikającego mury jęku wichrów, w korytarzu panowała uderzająca cisza. Richius nie słyszał żadnych odgłosów zabawy trwającej w sali tronowej, tak wysoko nie wzbijały się też wonie potraw. W zasadzie nie mógł tu uchwycić żadnego konkretnego zapachu, poza tymi, jakie jego nozdrza łowiły w rześki, zimowy poranek w górach. Stał sam i trwało to prawie przez cały czas, na jaki zostawił go Biagio. Kilka chwil temu drobnymi kroczkami przeszła obok jakaś kobieta, która go chyba w ogóle nie zauważyła – dopiero kiedy ją pozdrowił, ona zaś rozejrzała się z przestraszeniem dookoła, spostrzegł, że była niewidoma. Ale i ona nie odezwała się do niego ani nie przyjęła podanej ręki. Przemknęła obok i znikła za zakrętem – piękne widmo nawiedzające opustoszały korytarz.

„Jeszcze jedno z wariactw Nar” – pomyślał Richius, przypominając sobie wygląd pięknej i dziwnej nieznanym. Fakt, że ktoś niewidomy mógł przemieszczać się po tym korytarzu bez przewodnika zdał mu się szaleństwem. Na nieostrożną czyhały setki stopni, na których mogła się potknąć, jej suknie mogły się zająć ogniem od setek niewidocznych dla niej pochodni, a niewłaściwy wybór kierunku na niezliczonych zakrętach mógł ją posłać prosto na ścianę. A jednak, gdy ofiarował się jej z pomocą, kobieta cofnęła się ze zdumiewającą pewnością siebie. Musiała znać to miejsce nie gorzej od samego Arkusa.

Zaczynał się czuć zupełnie nieswojo, kiedy w końcu wrócił Biagio. Hrabia wyłonił się zza zakrętu ze swoim przylepionym do ust, olśniewającym uśmiechem.

– Książę? – spytał. – Jesteś gotów?

Richius odetchnął głęboko.

– Tak.

– Nie ma się czego bać – zapewnił go hrabia. – Znam imperatora od lat i wszyscy, którzy się z nim spotykali, czuli się jak ty teraz. Ale później sami przyznawali, że ich obawy były bezpodstawne. Imperator chce po prostu poznać cię bliżej. Z twoim ojcem to mu się nie udało... nie było okazji.

Wzmianka o ojcu sprawiła, że Richiusowi niemal zamarło serce w piersi. Rozmowa z Arkusem nie miała chyba dotyczyć tego tematu?

– Mam nadzieję, że imperator nie zamierza mówić źle o moim ojcu – stwierdził Richius, starannie dobierając słowa. – Bardzo bym chciał zapomnieć o minionych waśniach, ale...

Biagio zatrzymał się, a jego twarz nagle spoważniała.

– Książę, nie wierz wszystkiemu, co ci opowiadano o imperatorze. Ludzie często opacznie pojmują jego intencje. Nigdy by cię nie poprosił o splamienie pamięci ojca, stawiając jednego przeciwko drugiemu.

– Hrabio, nie ma potrzeby ukrywania prawdy. Wiem, co imperator myślał o moim ojcu. Sam mówiłeś, jak bardzo go nie lubił.

– Niczego takiego nie powiedziałem – sprzeciwił się Biagio. – Prawdą jest, że Arkus poczuł się zdradzony przez twojego ojca, ale plotki o wzajemnej nienawiści są bardzo przesadzone. Książę, ujmę to tak... Twój ojciec nie potrafił myśleć o przyszłości z takim rozmachem i na taką skalę, jak imperator. Nigdy nie umiał ogarnąć planów, jakie Arkus miał dla Nar. To jedyny powód ich sporów.

– Wiesz, hrabio, że się z tym nie zgodzę.

Uśmiech Biagia jakby nieco przyblakł.

– Imperator liczy na to, iż zdoła was przekonać, że było inaczej. Chodź, on już czeka.

Richius poszedł za Biagiem do końca korytarza, ku dębowym drzwiom z brązową kołatką. Wyrzeźbiono ją na kształt smoka, który trzymał zawias w pięknie wymodelowanych kłach. Biagio lekko ruszył kołatką, a potem pchnął drzwi, nie czekając na odpowiedź. Zza drzwi trysnęła smuga pomarańczowego blasku i na korytarz wylała się fala zapachu płonącego drewna. Biagio wszedł pierwszy i przytrzymał otwarte drzwi przed Richiusem. Książę ostrożnie przekroczył próg.

Komnata zupełnie nie przypominała innych w pałacu. Przede wszystkim była bardzo ciepła, ogrzewana przez ogromny kominek. Richius natychmiast też zauważył, że była nieduża – z pewnością znacznie mniejsza od tej, którą przydzielono jemu samemu – a jej ściany wyłożono płytami z rzeźbionego i gładzonego, przyjemnie lśniącego drewna. W rogu ustawiono ogromną srebrną harfę z pustym teraz stołkiem stojącym obok, a posadzkę i ściany zapełniały przedmioty, o których Richius nie umiał pomyśleć inaczej, jak o „rzeczach”. Niezliczonych, nie mających żadnego znanego mu przeznaczenia rzeczach. Na półkach poustawiano niewielkie bezwartościowe posążki i stopy zakurzonych ksiąg. Na ścianach wisiały obrazy bez widocznej wartości artystycznej: portrety pospolitych, nie znanych mu ludzi i pozbawione jakiegokolwiek artystycznego smaku pejzaże. Obok zwierciadła stała urna pełna wytartych monet. Tuż przy urnie widać było misę z czerwonymi, pozbawionymi blasku klejnotami i dwa popękane, matowe kryształowe puchary. O szafę oparto zestaw rozmaitego tępego już oręża, a nad kominkiem zawieszono największą czaszkę zwierzęcą, jaką Richiusowi kiedykolwiek zdarzyło się widzieć. Zbielałe kości należały do jakiegoś kota. W komnacie było tylko jedno okno. Przez mętne szyby widać było migoczące w dole światelka miasta. Obok okna stała drobna, widmowa niemal postać.

– O Wielki – odezwał się Biagio. – Oto książę Richius Vantran z Aramooru.

Stojący przy oknie odwrócił się powoli. Na jego pooranej zmarszczkami twarzy pojawił się nikły uśmiech. Arkus miał na sobie skromną szatę z szarego jedwabiu, która dość luźno okrywała wychudłe ciało. Powłóczysta szata była przepasana złotym sznurem. Władca nie był ani wysoki, ani niski, a jego długie włosy zwisały w nieładzie aż do ramion. Włosy miały barwę brudnego śniegu i były równie martwe, jak biała kocia czaszka na ścianie. Z czupryny władcy zwisały dwa niesforne kosmyki, opadając na pomarszczoną twarz, z której na obu gości spoglądały zaskakująco bystre i przenikliwe błękitne oczy. Arkus miał duże dłonie o długich i smukłych palcach. Stał prosto, choć nie bez pewnego wysiłku, i ujrzawszy nieznacznie zgięte plecy imperatora, Richius zrozumiał, że stoi oto w obliczu kogoś prawdziwie wiekowego.

Arkus z Nar był imperatorem dłużej, niż trwało życie większości z jego poddanych. Był Arkusem Wielbionym i Arkusem Starym. Richius nie umiał sobie wyobrazić, że



imperatorem mógłby być ktoś inny.

Młody człowiek odchrząknął i wyszedł zza pleców Biagio. Opadłszy na jedno kolano, pochylił głowę – miał nadzieję, że ten ukłon nie uchybi władcy.

– Najjaśniejszy Panie... – rzekł, patrząc w posadzkę.

– Wstań, królu Aramooru – odezwał się Arkus. Głos miał niespodziewanie silny, co było dość niezwykle u tak starego człowieka. Była w nim jakaś słodycz miodu – jak w głosie Biagio – i nieuchwytnie zabarwienie, o którym Richius mógłby rzec, że jest prawie kobiece. Młody Vantran powoli dźwignął się z klęczek. I zobaczył, że Arkus się do niego uśmiecha. – Witaj w Nar ciągnął imperator. – Rad jestem temu, że się nareszcie spotkaliśmy.

– Dziękuję, Wasza Miłość.

– Rozgościłeś się? – spytał Arkus, podchodząc do niewielkiej szafki, której Richius wcześniej nie zauważył. Wewnątrz był zestaw zakurzonych pucharów i karafek na wino. Imperator wyjął dwa puchary i podał jeden Richiusowi.

– Owszem, dziękuję Waszej Miłości – odpowiedział Richius, biorąc puchar. – Hrabia zadbał o wszystkie moje potrzeby.

– A twoi ludzie? Zadowoleni z wygód?

– Nie inaczej, Wasza Miłość, bardzo zadowoleni.

– To dobrze – stwierdził Arkus. – Mogą się zatem cieszyć uroczystością koronacji. – Zaraz potem wyjął z szafki osobiście małą butelkę i podał ją hrabiemu. Wyciągnawszy przed siebie puchar, pozwolił, by Biagio nalał mu porcję trunku. – Nie będę szczędził wydatków, królu Richiusie. Chcę, by ta koronacja na długo została w ludzkiej pamięci. Napijesz się?

– Dziękuję – rzekł Richius, gdy Biagio nalewał mu trunek o szlachetnej, bursztynowej barwie i bukiecie znamionującym wiek.

– Mam zostać, o Wielki? – spytał Biagio, wstawiając karafkę do szafki. – A może raczysz zostać z księciem sam?

– Odejdź, Renato – polecił Arkus. – Myślę, że choć na chwilę możemy zostać sami.

Biagio uśmiechnął się wyrozumiale i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. Richius poczuł dreszcz podniecenia. Oto został z imperatorem sam na sam, co nigdy nie udało się jego ojcu – i na co Darius Vantran nie śmiał nawet liczyć. Natychmiast pomyślał o Jojustynie i o tym, jak bardzo dumny byłby z niego teraz stary sługa. W końcu robił to wszystko dla Aramooru.

– Za powodzenie naszych planów, królu Richiusie – wzniósł toast Arkus. – Piję za przyjaźń i za sojusz.

– W ręce Waszej Miłości – odpowiedział Richius, dotykając swoim pucharem

kielicha imperatora. Podniósłszy szkło do warg, wypił niewielki łyk. Spojrzał nad brzegiem pucharu i natknął się na baczny wzrok Arkusa. – Doskonały trunek – stwierdził młody Vantran. – Nigdy nie piłem czegoś równie dobrego.

– Przysłano mi go z Goss. Pędzą tam najlepsze trunki w Imperium. Mam umowę z królem Panosem. Od czasu do czasu przysyła mi baryłkę. Jeżeli zechcesz, polecę mu, by taką samą wysyłał ci do Aramooru.

– Dziękuję, Wasza Miłość – odpowiedział Richius, przypominając sobie, jak Jojustin lubi dobre napitki. Ostatnio w zamku nie mieli za wiele tego dobra. – Jestem pewien, że moi przyjaciele w domu bardzo się z tego ucieszą.

– Zadbam o to... Ale chyba nie planujecie szybkiego wyjazdu z Nar. Powinniście tu trochę zabawić. Przynajmniej miesiąc.

– Owszem, Wasza Miłość, chcemy zostać kilka tygodni. Hrabia nam powiedział, że nie naruszy to etykiety, a natychmiastowe rozpoczęcie kilkutygodniowej wędrówki do domu nie bardzo nas zadowala.

– To bardzo dobrze – przyznał Arkus. – Chciałbym, żebyście ty i twoi przyjaciele zostali w mieście jak najdłużej. Pałac i wszystko, co się w nim znajduje, jest do waszej dyspozycji. Mamy tu świetne wierzchowce i pewien jestem, że Renato znajdzie wam odpowiedniego przewodnika. Wzgórza wokół miasta są pełne niezapomnianych widoków... Sam tam jeździłem, kiedy byłem młodszy.

– Owszem, widzieliśmy. Jadąc tutaj, przecięliśmy wzgórza Locwali. W istocie, było pięknie.

Arkus uśmiechnął się szeroko.

– Królu Richiusie, znajdziesz w Nar wiele rzeczy, które ci się spodobają. Jak powiedziałem, wszystko jest twoje. Nie myśl o złocie i cenach. Jeżeli gdziekolwiek zobaczysz coś, co ci się spodoba, powiedz tylko kupcowi, kim jesteś. Nikt się nie będzie targował. Ogłosiłem, że jesteś gościem stolicy.

– Och, Wasza Miłość – sprzeciwił się Richius. – Tego zrobić nie mogę. Mam dość złota. Jeżeli czegoś zapragnę, sam mogę za to zapłacić.

– Ależ nie – przerwał mu Arkus. – Podczas pobytu w Nar nie wydasz ani szeląga. Jeżeli to zrobisz, potraktuję to jako osobistą obrazę.

Imperator odstawił puchar i podszedł do ogromnego, wykładanego skórą fotela. Usiadł wygodnie, po czym skinieniem dłoni zaprosił Richiusa, by ten zajął miejsce w niniejszym fotelu, stojącym tuż obok. Richius zrobił, o co go poproszono, i natychmiast poczuł bijącą od ogromnego kominka falę ciepła. Łyknął nieco wina z własnego pucharu i odstawił go na stos książek. Arkus rozsiadł się wygodniej i westchnął.

– Jesteś taki młody – stwierdził nie bez żalu w głosie. – Nie trać czasu na stosowanie się do bzdur o tym, co jest prawe, a co nie. Bierz, co ci dają. Korzystaj z młodości i ze swej królewskiej władzy. Wierz mi, wszystko przemija znacznie szybciej, niż mógłbyś się spodziewać.

Na ułamek sekundy oblicze starca przeciął grymas bólu. Zaraz potem Arkus uśmiechnął się, jakby przepraszając Richiusa za okazanie słabości, a potem podjął watek:

– Młodzieńcze, musisz się nauczyć, co znaczy być królem w Nar. I jak korzystać z przywilejów, jakie daje władza.

– Ależ jestem uprzywilejowany – sprzeciwił się Richius. – Mam ziemię, którą kocham, i poddanych, którzy mnie szanują i cenią. Czego jeszcze mógłby żądać jakikolwiek król?

– Bogactwa, na przykład. Aramoor nie jest tak zamożnym krajem, jakim mógłby się stać. A co z władzą i potęgą? Nie mówię o władzy nad ludźmi, tę już masz. Ale czy masz moc tworzenia nowych rzeczy? Czy możesz swoją władzą zmieniać bieg wydarzeń?

– Nie wiem – odpowiedział szczerze Richius. Pomyślał o swoim ojcu i o tym, jak wielu ludzi z dobrej woli oddało życie za jego sprawę. Pomyślał o swoich ludziach w dolinie Dring, o Lucylerze i Dinadinie, którzy poszliby za nim choćby i do piekła. Czy o takiej władzy mówił imperator? Czy Arkus był imperatorem dlatego, że wszystkiego było mu mało? – Zawsze mniemałem – odezwał się w końcu książę – że mam władzę, i że dzięki temu działałem na świecie trochę dobra.

– Jestem pewien, że tak właśnie było. Wraz z twoim ojcem dokonaliście wielu rzeczy. Ale to już przeszłość, a ja chcę mówić o przyszłości.

Richius kiwnął głową.

– Hrabia Biagio już mi powiedział, że Wasza Miłość pragnie zacieśnić więzy z Aramoorem.

– Chcę czegoś więcej – odpowiedział Arkus. – Chcę, byśmy zaczęli działać razem. – Kiedy mówił, w jego oczach pojawił się jaśniejszy blask. – Rozejrzyj się po tej komnacie – powiedział, wykonując dość oszczędny gest ręką. – Co ci te wszystkie zgromadzone tu rzeczy przypominają?

Richius potoczył wzrokiem dookoła, niepewny odpowiedzi, jaką chciałby usłyszeć gospodarz. Miejsce wyglądało na zaniedbane, ale każdy z przedmiotów otoczono miłością. Prawda, malowidła były zakurzone, a oręza od lat nie pociągnięto oselką, ale jakoś jednych i drugich mówiła wiele o ich wartości. Richius usiadł, spojrzął na Arkusa i dał mu odpowiedź, jakiej imperator się po nim spodziewał:

– Wyglądają na rzeczy, które Wasza Miłość bardzo sobie ceni.

Arkus uśmiechnął się z uznaniem dla bystrości rozmówcy.

– Owszem, to dobre słowo, by określić mój stosunek do nich wszystkich. Mówiono mi, że niektóre z tych przedmiotów wyglądają jak rupiecie, ale to tylko dlatego, że rozmówcy nie znali historii związanych z każdym elementem tej komnaty. Wszystko ma tu swoje znaczenie. Te przedmioty są świadkami moich tryumfów i zwycięstw. W tej sali jest całe moje życie. – Imperator westchnął, spoglądając na swoją dziwaczną kolekcję. – Nie są to rzeczy dość cenne, by je wystawić na widok publiczny w pałacu, ale ja cenię je bardziej, niż złoto.

– Sądzę, że potrafię to zrozumieć – stwierdził Richius. Raz jeszcze spojrzął na każdą z osobliwości, usiłując odgadnąć jej prawdziwą wartość dla Arkusa. Kiedy był dzieckiem, jego ojciec rozdawał brązowe pierścienie żołnierzom, którzy wyróżnili się w boju. Pierścienie nie były cenne, ale każdy z weteranów dałby się zabić, niż zgodziłby się na sprzedaż odznaczenia, choćby oferowano kilkakrotną wagę pierścienia w złocie.

– Żyłem długo – stwierdził Arkus mrocznym tonem, wciąż wpatrując się w zgromadzone przedmioty. – I wiele dokonałem sam. Teraz jednak, królu Richiusie, będę potrzebował twej pomocy.

– Ja mam pomóc Waszej Miłości? Jakże to?

Arkus przeniósł spojrzenie na czaszkę wielkiego drapieżnika, umieszczoną nad kominkiem.

– Spostrzegłem, że kiedy tu wszedłeś, zatrzymałeś wzrok na tym czerepie. Wiesz, co to było?

– Nie – przyznał Richius, wstając i podchodząc do czaszki, by przesunąć palcami po jej zbiegającym sklepieniu i zdobnej w potężne kły szczęce. Na wzgórzach Aramooru żyły górskie lamparty, ale żaden nie mógłby się poszczycić tak wielką czaszką. – Wygląda na jakiegoś kota, ale nie słyszałem o żadnym, który byłby aż tak wielki.

– To czaszka bojowego lwa Triinów.

– Naprawdę? – spytał Richius, dokładniej się przyglądając. – Kiedy byłem w Lucel-Lorze opowiadano mi o nich, ale nigdy żadnego nie widziałem.

– Lwów dosiadają tylko Triinowie z Chandakkaru – stwierdził Arkus. – Mówi się, że żaden inny Triin nie poradzi sobie z taką bestią i tylko nomadzi z Chandakkaru potrafią je poskromić.

– Chandakkar nie brał udziału w wojnie – rzekł Richius. – Jest za daleko. Nie jestem nawet pewien, czy tamtejsi nomadzi w ogóle słyszeli o Tharnie. Ale... – Poklepał czaszkę nie bez smutku. – Chciałbym mieć tych nomadów po naszej stronie.

– Obecnie każdy mieszkaniec Lucel-Loru z pewnością już się o Tharnie dowiedział – stwierdził Arkus.

Richius kiwnął głową.

– Nie może być inaczej. Ale gdzie Wasza Miłość zdobył takie trofeum? Jeżeli te lwy można znaleźć tylko w Chandakkarze, jak ta czaszka trafiła w ręce Waszej Miłości?

– Usiądź – uśmiechnął się Arkus. – Chcę ci coś opowiedzieć.

Richius posłuchał i rozsiadł się wygodnie przy kominku. Na twarzy Arkusa mieszały się smugi światła płomieni i pasma dymu, nadając jej niesamowity wyraz, podkreślany jeszcze przez błękit oczu. Richius ponownie sięgnął po swój puchar. Zauważył przy tym nie bez zaskoczenia, że zaczyna przywykać do całej, ostatecznie dość niezwykłej sytuacji. Arkus też wyciągnął wychudłe ramię po swój puchar, upił nieco trunku, a potem spytał:

– Richiusie... mogę cię tak nazywać, prawda? Czy wiesz, że i ja byłem w Lucel-Lorze?

– Wasza Miłość może mnie nazywać, jak zechce.

– Nie jest to historia ogólnie znana, ale kiedy byłem młodym człowiekiem, popłynąłem do Lucel-Loru. Miałem wtedy chyba nie więcej niż szesnaście lat, a mój ojciec, który pragnął mnie osadzić na tronie Imperium, chciał ze mnie zrobić mężczyznę. Wysłał mnie tam więc, bym mu przywiózł łeb jednej z tych bestii. Bo widzisz, nikt tak naprawdę nie miał pojęcia, czy one istnieją, a mój ojciec bardzo chciał się tego dowiedzieć.

– Wysłał tam Waszą Miłość samotnie? – zdumiał się Richius.

– Nie – odparł Arkus. – Niezupełnie. Popłynąłem na południowe wybrzeże Lucel-Loru na pokładzie jednego z ojcowskich okrętów. Ale na brzeg udałem się sam... O tak. Byłem już wtedy nie lada myśliwym, a – jak powiedziałem – ojciec chciał mnie wypróbować. Nikomu z załogi nie wolno było udzielić mi pomocy, a gdybym nie wrócił... – Arkus umilkł znacząco.

– Ale Wasza Miłość wrócił – stwierdził Richius. – Z trofeum w postaci lwiej głowy.

– Owszem, wróciłem – przyznał Arkus. – Kapitan okrętu dostał rozkazy, by czekać, jak długo będzie trzeba, ponieważ nikt nie wiedział, ile czasu zajmie mi znalezienie jednej z tych bestii. Ale znalazłem, i to dolinę pełną lwów.

Oszołomiony Richius słuchał opowieści Arkusa o tym, jak w końcu wytropił jednego lwa, za którym trafił do ogromnej doliny, gdzie żyły ich setki, i jak krążąc wokół ich siedliska, przyłapał jednego poza doliną. Odciął mu drogę powrotu i zabił włócznią. Niewiele brakowało, a sam przypląciłby przygodę życiem, ale w końcu odciął nożem łeb zwierzęcia. Niemało się też natrudził, ciągnąc trofeum do wybrzeża. Po powrocie do Nar podarował ojcu trofeum na urodziny – ten zaś nigdy już nie kwestionował praw dziedzica do tronu.

– Widzisz więc, Richiusie – ciągnął imperator – że nie ty jeden zostałeś posłany do

Lucel-Loru, by samotnie stawić czoło jego niebezpieczeństwom.

– Owszem – odpowiedział cicho Richius, oczarowany prostą opowieścią. – I za to Wasza Miłość znenawidził swego ojca?

– Ależ skąd. Pokochałem go jeszcze mocniej. I wziąłem sobie to do serca jako naukę. Zobaczyłem Lucel-Lor, co zapaliło w moich żyłach pragnienie zostania największym wodzem, jaki kiedykolwiek panował krajem. Zapraǳnłem zostać imperatorem. Teraz ty musisz dokonać tego samego. Trzeba ci zapomnieć o przeszłości i zostać królem Aramooru, jakim nigdy nie mógł stać się twój ojciec, ponieważ nigdy nie zechciał podzielić ze mną mojej wizji.

Oczy Arkusa zapłonęły nagle szaleństwem. Richius zrozumiał, że imperator czegoś od niego potrzebuje. Nawet nie mrugnawszy, zadał nieuniknione pytanie:

– Wasza Miłość, powiedz, proszę, po co mnie tu wezwał. Wiem, że czegoś ode mnie chcesz, ale nie umiem się domyślić, co to takiego.

Arkus rozsiadł się wygodniej i zaczął się bawić trzymanym w dłoni pucharem.

– Już ci powiedziałem – stwierdził cichym, łagodnym głosem. – Kiedy byłem w Lucel-Lorze, ujrzałem rzeczy, w jakie nigdy bym nie uwierzył. Nie tylko lwy, choć i one zrobiły na mnie wrażenie. Ludzie. Widziałem, jak tkają czary i magię, zapalają ogień tylko wysiłkiem woli i ukazują się jedni drugim w snach. Żyłem wśród nich przez jakiś czas i usiłowałem się tego nauczyć. Ale nie potrafiłem. Kiedy wróciłem do Nar i opowiedziałem ojcu, co widziałem, nie chciał mi uwierzyć. Przysięgłem sobie wtedy, że któregoś dnia podbiję Lucel-Lor – co nigdy nie udało się mojemu ojcu – i zyskam ich bogactwa i umiejętności dla Imperium. Mojego Imperium.

– Ale nigdy do tego nie doszło – stwierdził Richius. – Co się nie powiodło?

– Złożyłem tę przysięgę, kiedy byłem młody i głupi. Nie miałem pojęcia, jak ogromny jest Lucel-Lor, przedtem zaś musiałem się uporać z tym krajem. Ale czekałem cierpliwie, i kiedy Daegog Lucel-Loru otworzył granicę, posłałem tam tylu Narenów, ilu zechciało się tam udać. Zbudowali Ackle-Nye i pilnowali dla mnie Triinów.

Richius podjął ryzyko zadania kolejnego pytania.

– Wasza Miłość wybaczy, ale muszę zapytać. Chciałeś czegoś od Triinów, prawda, panie? Nie chodziło tylko o podbój. Było coś jeszcze. Proszę, zechciej mi odpowiedzieć. Po co nas tam posłałeś?

Arkus zachichotał, wyciągnął dłoń i pieszczotliwie musnął palcem policzek młodzieńca.

– Miły z ciebie chłopak, ale niecierpliwy. Pozwól staremu opowiedzieć wszystko tak, jak chce, dobrze? Owszem, prawdą jest, że chciałem czegoś więcej, niż zwykłego podboju Lucel-Loru. Byłby to dodatkowy klejnot w koronie Nar, ale nie tylko w tym

rzecz.

Arkus sycił się opowieścią, wyraźnie ją przeciągając. Richius pojął nagle, jak samotnym człowiekiem musiał być stary tyran.

– Ale wtedy byłem już stary – ciągnął Arkus. – Nauczyłem się cierpliwości i czekałem, aż Daegog sam zacznie zacieśniać więzy łączące Nar z Lucel-Lorem. Jak powiedziałem, Lucel-Lor jest rozległy i wzięcie go siłą byłoby ogromnie kosztowne. Więc czekałem. Za długo czekałem. Wiesz, co się stało?

– Owszem – odpowiedział Richius. – Drolowie.

– Bystry z ciebie młodzian – stwierdził Arkus. – Drolowie. Słyszałem o nich i ich przywódcy, Tharnie, i byłem jak wszyscy wstrząśnięty wieścią o tym, że tam wybuchła wojna domowa. Pomyślałem, że wszystko przypadnie – okazja, by zdobyć ziemie w Lucel-Lorze i dostanie tego, co chciałem uzyskać od Triinów. Ci złowrodzy Drolowie pojawili się w najgorszej z możliwych chwil.

Richius słuchał, zdumiony złościami Arkusa i zastanawiał się, jaki też to wszystko miało związek z nim samym.

– I dlatego Wasza Miłość posłałeś Aramoorczyków do Lucel-Loru?

Arkus skinął głową.

– Nigdy nie myślałem, że Drolowie naprawdę zagrożą Daegogowi. Ale wtedy zostały nam tylko Aramoor i Talistan. Wszystkie nasze okręty zajęte by walką z Liss, a lojaliści ze Wschodnich Wyżyn też się buntowali. Nie mogłem odmówić Daegogowi. Była to szansa, na jaką czekałem przez całe życie. Wiedziałem, że jeżeli bunt Drolów odniesie sukces, nigdy już nam się może nie trafić druga szansa podbicia Lucel-Loru.

– Nadal jednak czegoś nie rozumiem – przyznał Richius. – Dlaczego Wasza Miłość w ogóle zapragnął podbić Lucel-Lor? Mówiłeś, panie, że sam się przekonałeś, jaki to rozległy kraj i jak może być niebezpieczny. Dlaczego podjąłeś to ryzyko?

– Dlaczego? – spytał Arkus z niedowierzaniem, jakby się dziwił głupocie rozmówcy. – Z powodu ich mocy! Mówiłem ci, co widziałem, gdy tam byłem. Czy umiesz sobie wyobrazić, jaką siłę mogłaby mi dać magia? Jaką moc mogłaby dać nam wszystkim? Gdybym władał magią Lucel-Loru, nie byłoby Liss, i nie wybuchałyby bunty na Wschodnich Wyżynach. Byłbym imperatorem całego świata! – Spojrzał na Richiusa płonąącym wzrokiem. – A ty byłbyś jednym z moich królów.

Richius bardzo ostrożnie odstawił puchar na stos książek.

– Ale przegraliśmy – powiedział. Patrzył na twarz imperatora, szukając w niej śladu zrozumienia. Oblicze Arkusa było jednak jak kamień.

– Owszem, przegraliście – stwierdził Arkus spokojnie. – Ponieważ byliście źle zaopatrzeni, a Drolowie mieli oręż, jakiego nikt z nas nie umiał sobie wyobrazić. –

Imperator pochylił się nagle i syknął zduszonym głosem: – Magię!

Richius poczuł się tak, jakby ktoś go uderzył. Magia. O to chodziło w tej awanturze. Cały czas uważał tego człowieka za kogoś lepszego, niż był w istocie, teraz jednak w jego uszach rozdzwoniły się ojcowskie przekleństwa, tak że poczuł tylko wstyd i gniew na samego siebie, jak ktoś, kto zaufał łajdakowi. Przypomnił sobie dziwaczną rozmowę z Biagiem w Aramoorze, podczas której hrabia wypytywał go o wszystko, co widział w Ackle-Nye, i z rosnącym gniewem wspomniął niezliczone dysputy, jakie wiódł ze swymi ludźmi przy obozowych ogniskach w dolinie Dring, podczas których wszyscy się zastanawiali, czego u licha Arkus chce od Triinów.

– Wasza Miłość coś mówił? – spytał Arkusa.

Imperator patrzył nieodgadnionym wzrokiem.

– Powiedziałem, że widzę, jak mnie oceniasz, młodzieńcze. Wstrzymaj się z osądem. Jeszcze nie skończyłem mojej opowieści. Ponieważ tak się złożyło, że nie tylko ja pragnąłem czegoś od Daegoga, ale i on chciał czegoś od nas. Chciał być Daegogiem w dawnym stylu. Wielkim i potężnym. Chciał mieć dość władzy, by skończyć z Drolami, ale też zamierzał obalić plemiennych wodzów.

Richius wzruszył ramionami, bo to akurat wcale go nie zdziwiło. Z tego, co Lucyler opowiadał mu o Daegogu, wynikało, że niewiele się różnił od Arkusa.

– Więc Wasza Miłość zawarł z nim ugodę?

– Kiepska to była ugoda – odpowiedział Arkus. – Daegog dowiedział się, że chcę zawładnąć magią jego ludu. Powiedział hrabiemu Biagio, że może mnie w niej wyszkolić, ale dopiero wtedy, gdy zniszczę Drolów i pomogę mu się uporać z wojennymi wodzami.

– Błagam Waszą Miłość o wybaczenie, ale jak mogłeś zawrzeć z nim taką ugodę? Nie wiedziałeś, panie, co z niego za gad?

Arkus spojrział na Richiusa surowym wzrokiem.

– Ta uwaga powinna mnie dotknąć, ale nie będę żywił urazy. Zaslugujesz na uczciwą odpowiedź, młodzieńcze. Owszem, wyraziłem zgodę. I owszem, wiedziałem, że jest wężem, któremu nie sposób zaufać. Ale ja już widziałem magię Triinów. Nikt nie chciał mi uwierzyć, nawet Biagio, ale ja wiedziałem, że ona istnieje. Daegog oświadczył, że nią włada i ja mu uwierzyłem. Może dlatego, że chciałem mu uwierzyć... sam już nie wiem.

– Jak mogłeś mu uwierzyć, Wasza Miłość? Gdyby władał magią, czy nie użyłby jej przeciwko Drolom?

– Nie, nie mógłby jej użyć przeciwko swoim poddanym. Wiem coś o tradycji i wierzeniach Triinów oraz, co sądzą o wykorzystywaniu magii do zabijania. Drolowie nazywają to „dotykaniem niebios”. Wszyscy Triinowie wierzą, że magia może służyć tylko



dobru. Z jej pomocą nie można nikomu wyrządzić krzywdy. To właśnie Daegog usiłował wyjaśnić hrabiemu. Nie miałem wyboru i musiałem mu uwierzyć. Ponieważ, gdyby Daegog został obalony, Drolowie nigdy nie zawarliby żadnego układu ze mną.

– Ale Daegog został obalony – przypomniał Richius imperatorowi. – Wasza Miłość, przykro mi to mówić, ale dałeś się zwieść.

– Naprawdę? – spytał Arkus. – Może przez Daegoga, przyznaję, ale nie myliłem się co do ich magii. A teraz, skoro wiem, nie odstąpię po raz drugi. Nic mnie nie powstrzyma! Chcę mieć Lucel-Lor, młodzieńcze, i będę go miał!

– Nie! – zachnął się Richius. To, co usłyszał, było bredniami szaleńca i zamierzał powiedzieć o tym władcy w oczy. – Nie mówisz chyba poważnie, Wasza Miłość?

– Przeciwnie, naprawdę zamierzam zdobyć Lucel-Lor. I ty mi w tym pomożesz.

– Nie! – wykrzyknął Richius po raz drugi, wstając z krzesła. – Nie wezmę w tym udziału. Wasza Miłość, musisz mnie wysłuchać. To, co proponujesz, to szaleństwo. Nie ma sposobu, by się oprzeć Drolom. Sam to przyznałeś, panie.

– Biagio mi powiedział, że widziałeś objaw ich magii. Mówiłeś, że to była burza, ale sam wiesz, iż tak naprawdę widziałeś coś innego. Powiedz mi teraz prawdę! Byłeś świadkiem działania magii. Sam widziałeś, co może zrobić z ludźmi.

Richius kiwnął głową, choć sam nie bardzo wiedział, czemu przytakuje. Nie umiał rzec, czy burza, która pochłonęła Edgarda, była orężem wyczarowanym przez przeciwne naturze czary Tharna, czy doświadczył po prostu gwałtu i dzikości niezwykłego zjawiska przyrody. Czymkolwiek jednak to było, wiedział, że w bogatym arsenale Arkusa nie ma niczego, co można byłoby temu przeciwstawić.

– Widziałem – przyznał. – Nie mam pojęcia, jak to nazwać ani czym to było. Może doświadczyłem działania czarów, może nie. Tak czy inaczej nie da się tego pokonać z konia i mieczem. Ta... rzecz, jak grom, może nas spopielić żywcem. Nie sposób z tym walczyć.

– Musimy ich pokonać – powtórzył Arkus, nie patrząc na Richiusa. – Musimy.

– Ale po co? – przerwał Richius. Opadł przed imperatorem na kolana. – Nie rozumiem! Czego Wasza Miłość od nich potrzebuje?

Arkus wyrwał się ze swego transu i spojrzał na Richiusa. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Imperator podniósł dłoń i lekko musnął palcami twarz klęczącego przed nim księcia. Dotyk był zimny, niczym muśnięcie martwego.

– Jesteś taki młody – stwierdził Arkus. – I taki piękny...

– Wasza Miłość, zechciej mnie wysłuchać...

– Słyszałem – władca machnął dłonią. – A teraz ty wysłuchaj mnie. Wiem, że jesteś człowiekiem honoru. I dlatego powiem ci prawdę. – Ponownie wyciągnąwszy rękę, ujął

dłoń Richiusa tak mocno, że jego lodowate palce zaczęły się ogrzewać. – Czujesz?

– Co?

– Nie sil się na uprzejmość. Powiedz mi, co czujesz?

Richius otulił palce starego swoimi. Były zimne. Niczym sopłe lodu. Pomyślał, że więcej jest ciepła w dłoni zmarłego. Więcej życia miały w sobie dłonie Biagia, choć też były zimne.

– Chłód – odpowiedział wreszcie. Bardzo delikatnie położył dłoń na kolanach imperatora.

– Tak jest, nie inaczej. To chłód starości, Richiusie. Starości i śmierci.

– Nie, to nie tak – sprzeciwił się Richius. – Już wcześniej dotykałem dłoni starców, ale żaden nie miał tak zimnych palców jak Wasza Miłość. Dlaczego macie tak zimne ręce? A hrabia? Co z nim? Dlaczego też ma tak zimne dłonie? I dlaczego jego oczy lśnią tak samo, jak twoje, panie? – Książę pochylił się i spojrzał Arkusowi prosto w twarz. – Co ze sobą robicie?

Imperator roześmiał się. Był to śmiech krótki i zupełnie pozbawiony wesołości.

– Usiłujemy przeżyć.

– W jaki sposób, panie? – napierał Richius. – Stosujecie jakieś czary?

– To nie czary – odpowiedział imperator. – Nauka. Wiedza. W laboratoriach prowadzących badania na rzecz wojny wytwarza się eliksir, który utrzymuje nas przy życiu. Nie patrz na mnie jak sędzia. Nie jestem tym, kim chciałem być. Popatrz na Biagia i innych. Sam spostrzegłeś, jacy jesteśmy do siebie podobni, prawda?

– Owszem, ale nadal nie pojmuję... Co to za eliksir?

– Odkrył go Bovadin, przed wieloma laty. Nie wiem dokładnie, czym jest. Nie sędzę nawet, czy wie to Bovadin. Czymkolwiek jest, potrafi zatrzymać proces starzenia się, utrzymuje nas więc przy życiu. Tyle, że tak naprawdę on tylko spowalnia procesy towarzyszące starości.

– Spowalnia? Jak?

– Nie wiem – odpowiedział Arkus. Zaczynał się jakby ożywiać. – Wiem tylko, że utrzymuje mnie przy życiu, podczas gdy dawno już powinienem leżeć w grobie. Richiusie, spójrz na mnie. Mam dobrze ponad sto lat! Słyszałeś kiedyś o kimś, kto żył tak długo, jak ja?

– Nie – przyznał Richius. – Ale co to ma wspólnego z podbojem Lucel-Loru? Czy stamtąd pochodzi ten eliksir?

– Nie – odpowiedział imperator. – Wytwarzają go w naszych laboratoriach. Ale ty mnie nie rozumiesz. Powiadam, że ten eliksir już mi nie służy. Wynaleziono go zbyt późno. Byłem zbyt stary, gdy zacząłem go przyjmować i teraz... – Przerwał, przyjrzał się

badawczo swoim dłoniom, a potem wyciągnął je do Richiusa. – Umieram, młodzieńcze.

Richius powoli wstał z klęczek i ponownie usiadł na krześle. Wszystko zaczynało się wyjaśniać.

– Wasza Miłość sądzi, że magia Triinów zdoła zatrzymać ten proces? Imperatorze, jesteś w błędzie. Jeżeli wolno mi tak rzec...wszystko to jest szaleństwem. Spędziłem w Lucel-Lorze trzy lata. Co noc zasypiałem przy ognisku obok Triina, który był moim przyjacielem, i szczerze powiem Waszej Miłości, że nigdy nie widziałem tam żadnych czarów... aż do tamtego ostatniego dnia. – Westchnął, czując wobec starego władcy coś na kształt litości. – Naprawdę mi przykro, ale się mylisz. W Lucel-Lorze nie znajdziesz żadnego leku. I mówiąc prawdę, nie wiem, czy tamci w ogóle władają jakąkolwiek magią.

– Oczywiście, że władają – odparł Arkus. – Cóż innego niż magia mogłoby wywołać burzę, która zabiła tylu ludzi. Nie masz na to odpowiedzi, prawda? Ale ja mam. Magia. Wiem, że to była magia. Był to znak, na który czekałem całe życie. Ta burza udowodniła, że miałem rację... Triinowie potrafią tkać czary. Musimy tam wrócić, Richiusie. I wrócimy.

– I jak mamy ich pobić? Jeżeli masz rację, Wasza Miłość, jeżeli to jakaś magiczna broń Drolów, to co im przeciwstawimy? Ostatnim razem z trudem uszliśmy, zachowując życie. To samo powiedzą ocaleli Talistańczycy.

– Tak, tyle że tym razem stanie za tobą cała potęga Nar! Nie będziesz już czekał na posiłki, których twój ojciec nigdy nie zamierzał wysłać! Nie będziesz już musiał walczyć bez paliwa do ogniomiotów. Obiecuję ci, Richiusie, że będziesz miał wszystko, co potrzeba, do pokonania tych Drolów. Pójdą za tobą moje legiony. I nie będziesz musiał się liczyć z Gayle'ami z Talistanu. Oni w ogóle nie wezmą udziału w podboju.

Richius poczuł się zdesperowany uporem imperatora. Najwyraźniej nie umiał go przekonać i wykazał bezcelowości tego planu. Nawet gdyby mieli tysiące najlepszych nareńskich wojowników, niewiele mogliby zdziałać przeciwko Drolom. Teraz z pewnością zawładnęli całym Lucel-Lorem, co oznaczało, że trzeba będzie stoczyć zaciekły bój, choćby po to, by zdobyć przyczólek. Przypomniawszy sobie Edgarda i jego przestrogi przed magią Tharna. A jednak Richius mu nie uwierzył. Nawet teraz nie bardzo wiedział, co o tym myśleć. Żaden człowiek nie mógł władać niebiosami. To było po prostu niemożliwe.

– Przykro mi – odezwał się na koniec. – Nie byłem na to przygotowany. Wszystko to mnie... zaskoczyło.

– Inaczej być nie może – stwierdził Arkus. – Ale nie proszę o to tylko dla mnie samego. Pomyśl o tym, co to może oznaczać dla ciebie. Stałeś się jednym z nas.

Wyjawilem ci dziś rzeczy, o których z nikim nigdy nie rozmawiałem, ponieważ chcę, byś się do mnie przyłączył. Razem możemy uczynić z Nar niezwycięzoną potęgę. Aramoor może stać się państwem, o jakim marzył twój ojciec, silniejszym niż Talistan, potężniejszym od dowolnego innego narodu w Imperium. A ty będziesz jego królem. Pomyśl tylko!

Richius rozważał propozycję Arkusa przez ułamek sekundy i natychmiast pojął, że jest szalona. Przyłączyć się do nienawistnego mu imperatora? W tej chwili nienawidził Arkusa bardziej niż Gayle'a, Vorisa lub nawet Tharna. A jednak coś go wstrzymywało przed otwartą odmową, i nie był to bynajmniej strach przed konsekwencjami sprzeciwu. Nagle bardzo jasno i wyraźnie przypomniała mu się Dyana i to, że właściwie nie miał pewności, czy dziewczyna nie żyje. Wiedział, że to absurd, nadzieja zrodzona z czystej desperacji, ale nie umiał się przed nią obronić. Ona przecież może jeszcze żyć i być więźniarką tego samego niegodziwca, którego tak rozpaczliwie chciał zniszczyć Arkus. Z pomocą imperatora może zdoła ją uratować.

Zagryzł wargę, przyglądając się w myślach ze wszystkich stron temu zuchwałemu planowi. Należało oczywiście rozważyć setki szczegółów, z których każdy mógł stać się przyczyną klęski. Otwarcie na nowo linii zaopatrzenia, wyszkolenie ludzi i koni. Największy z problemów stwarzała oczywiście obecnie toczona przez Arkusa wojna.

– A co z Liss? – spytał rozmyślnie rzeczowym tonem. – Czy nie będą przeszkadzać? Przedtem udało im się trzymać cię z dala od Lucel-Loru. Jak będzie tym razem?

– Liss nie będzie już robiło trudności – stwierdził Arkus zimnym głosem. – Zanim uderzymy na Lucel-Lor, skończymy z Liss. Potem możemy użyć naszych okrętów przeciwko Drolom.

– Ale kiedy zamierzasz posłać nas do walki? Wasza Miłość, jeżeli mam tym wszystkim pokierować, potrzebuję czasu. Aramoor nie jest gotów do walki. W ostatniej wojnie straciliśmy większą część żołnierzy i prawie wszystkie konie.

– Młdzieńcze, będziesz miał tyle czasu, ile będziesz potrzebował. Ja też potrzebuję czasu. Przede wszystkim musimy pokonać Liss, a to potrwa miesiące. Chcę, byś na jakiś czas został w Nar i odpoczął. Potem wrócisz do Aramooru i zajmiesz się przygotowaniem oddziałów. Wtedy Liss będzie już zgniecione, a okręty ruszą w stronę brzegów Lucel-Loru, by wesprzeć twoje działania.

– Dobrze – zgodził się Richius. Poczul, że żołądek ścisną mu jakaś zimna dłoń. Wszystko to działo się naprawdę, on zaś nie miał dość sił, by się przeciwstawić. Nie wiedząc, co począć, dopił resztę trunku z pucharu. Arkus patrzył na niego dość ostro, a na jego twarzy malowała się dezaprobata.

– Ty nadal nie rozumiesz, co tak naprawdę ci ofiaruję, prawda? – spytał Richiusa. –

Dla ciebie oznacza to tyle samo, ile dla mnie. Ofiaruję ci możliwość korzystania z mojego eliksiru, Richiusie. Zostaniesz członkiem mojego Kręgu.

– Wasza Miłość, wszystko rozumiem. Dlaczego jednak ofiarujesz to mnie? Są inni, którzy pomogą ze znacznie większą ochotą. Dlaczego nie polecisz tego Gayle’om, panie?

– Ponieważ to głupcy, którym nie ufam.

– I ponieważ Aramoor graniczy z Lucel-Lorem, a Talistan nie.

– Oczywiście, dlatego również – przyznał Arkus. – Nie będę cię okłamywał, młodzieńcze. Domyśliłeś się już, dlaczego do tego zadania wybrałem ciebie. Jeżeli Lucel-Lor ma zostać podbity szybko i skutecznie, uderzeniem musi dowodzić ktoś, kto ma doświadczenie w walce z Drolami i orientuje się w tamtejszych stosunkach. Ale chcę też, byś został jednym z nas. Rodowi Gayle nie można powierzyć sekretów magii Drolów. Ale ty...

„Jesteś młody i głupi” – pomyślał Richius z goryczą. Arkus jednak tego nie powiedział. Stary imperator rozparł się wygodniej i uśmiechnął się, jakby chciał dodać młodzikowi otuchy.

– Jesteś godzien zaufania. Wiem, jak wiernie służyłeś mi w Lucel-Lorze, Richiusie. Ty jeden mnie nie zdradziłeś. Nie zdradzisz mnie i teraz.

Richius milczał. Był dumny ze swej służby w Lucel-Lorze, szczyił się tym, że się nie zhańbił, unikając walki. Robił to jednak ze względu na honor Aramooru, a nie po to, by zadowolić tego żądnego władzy starego diabła. Aprobata Arkusa sprawiła, że poczuł, iż wystrychnięto go na dudka.

– Nie zdradzę was – powiedział cicho.

– Wiem, że mnie nie zdradzisz. A za swoją wierność zostaniesz nagrodzony. Będziesz mógł żyć wiecznie w tym pięknym, młodym ciele.

– Nie – stanowczo odpowiedział książę. – Poprowadzę tę wojnę dla dobra Aramooru. Nie życzę sobie jednak życia wiecznego.

Arkus spojrział na niego zagadkowo, marszcząc cienkie brwi.

– Byłaby to dość głupia decyzja. Nie odrzucaj tego, bo nie powtórzę mojej propozycji po raz drugi.

– Wasza Miłość okazał zbyt wiele łaski. Nie mogę przyjąć jeszcze i tej.

– Ale eliksir naprawdę działa! Jeżeli zacznie go zażywać ktoś tak młody i silny jak ty, nie sposób orzec, jak długo będzie żył! Zastanów się dobrze, zanim dokonasz wyboru.

– Nie ma potrzeby. Wiem, co mówię. Nie chcę żyć dłużej, niż mi przeznaczone. Ciężar korony jest za wielki, by go znosić dłużej, niż trzeba.

Arkus westchnął, jak ktoś, kogo spotkał wielki zawód.

– Niech będzie, jak chcesz – powiedział. – Nie zamierzam cię zmuszać. Ale muszę

rzec, że jestem rozczarowany. Żywiłem nadzieję, że nawiążemy lepsze stosunki niż te, jakie okoliczności wymusiły na mnie i twoim ojcu.

– Wasza Miłość, nic nie stoi temu na przeszkodzie – odpowiedział Richius. – Wystarczy, że dotrzymasz słowa i poprzesz moje działania w Lucel-Lorze. Nie podoba mi się to, co robią Drolowie. Zabili mojego ojca i wielu przyjaciół. Nic nie sprawi mi większej przyjemności, jak wywarcie na nich zemsty. Ale nie zdołam tego dokonać bez pełnego poparcia i wsparcia orężnego Waszej Miłości.

– Dotrzymam tego, co obiecałem – odpowiedział Arkus. – Kiedy przyjdzie czas, będziesz miał za sobą siłę całego Imperium.

– Proszę wierzyć, że będzie nam potrzebna. Jestem pewien, że do tej pory Drolowie umocnili się w całym Lucel-Lor, dlatego musimy uderzyć szybko i mocno.

– Owszem. Czas jest teraz dla mnie bardzo ważny. Trzeba to zrobić tak szybko, jak tylko się da.

– Zrobię, co w mojej mocy. – Wstał z miejsca i uśmiechnął się nikło do Arkusa. – Wasza Miłość wygląda na zmęczonego, a ja jestem potrzebny tam na dole. Czy wolno mi odejść?

– Jeszcze nie – stwierdził Arkus, wstając z miejsca. – Mam dla ciebie podarunek.

– Och nie, Wasza Miłość – zaprotestował Richius. – Proszę...

Arkus przerwał mu skinieniem kościstej dłoni.

– To coś bardzo szczególnego i pewien jestem, że ci się spodoba. – Położył Richiusowi swoje lodowate dłonie na ramionach, a jego oczy zaśniły zadowoleniem. – Znalazłem ci kobietę.

Richius poczuł się jak człowiek rażony gromem. Zamrugał, zastanawiając się, czy naprawdę usłyszał to, co usłyszał.

– Kobietę? – spytał oszołomiony. – Jaką kobietę?

– Żonę – odpowiedział Arkus. – Znalazłem ci piękną młodą żonę.

Richius umilkł i przez długą chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Patrzył oszołomiony na imperatora, którego twarz rozjaśniały radość i duma. On najwyraźniej się spodziewał, że jego propozycja zostanie przyjęta z entuzjazmem, ale Richius z trudem zdobył się na wybąkanie odpowiedzi.

– Wybraliście dla mnie żonę? Ale ja nie chcę się żenić! – Przerwał i podjął wątek, starannie dobierając słowa: – Wasza Miłość raczy wybaczyć, ale tego daru przyjąć nie mogę.

Arkus zdjął dłonie z Richiusowych ramion i spojrzał ostro ma młodego księcia.

– A to dlaczego? Masz już inną?

– Nie, ale...

– I bardzo dobrze! Lady Sabrina przebyła długą drogę, by zostać twoją żoną. Musiałem dać jej ojcu do zrozumienia, że życzę sobie tego związku, ale na tym świecie nie ma niczego za darmo. Obiecałem mu coś w zamian.

– Sabrina? Z Gorkney? Wybraliście ją dla mnie?

– Nie wpadaj w panikę, młodzieńcze. Jest piękną dziewczyną i powiedziano mi, że ma w sobie wiele uroku. Powinieneś uważać się za szczęściarza. Są w Nar inni, którzy o niej pomyśleli.

– Wiem, Wasza Miłość, ale ja nie chcę się żenić. Może kiedyś, w przyszłości, ale nie dziś.

– Richiusie, potrzeba ci żony! – skarcił go imperator. – Jesteś teraz królem i ostatnim z linii Vantranów. Musisz się ożenić i spłodzić synów!

Richiusowi odjęło mowę. Wszystko to spadło na niego tak nagle, niczym lawina – plany wojny, możliwość uratowania Dyany, a teraz jeszcze to! Małżeństwo w jego sytuacji było czymś nie do przyjęcia. Gdyby jakimś cudem udało mu się odnaleźć Dyanę, gdyby dziewczyna została przy życiu...

Potrząsnął głową niezdolny do dalszego snucia planów. Arkus tymczasem zajął się ustawianiem pucharów na zakurzonych półkach.

– Proszę... – zaczął Richius, czując się jak żebrak proszący o datek. – Nie chcę. Znajdź dla niej innego męża, panie. Może zechce ją któryś z moich ludzi.

– Twoich ludzi? Ona jest córką diuka! Może poślubić tylko kogoś z królewskiego rodu. Wybrałem ją dla ciebie, bo jest najpiękniejszą dziewczyną w całym Imperium. Pragnąłem, byś miał coś, czego ci wszyscy pozazdroszą. Jeżeli masz na oku jakąś kuchenną dziewczkę, lepiej o niej zapomnij. Ożenisz się z lady Sabriną.

– Wasza Miłość...

– Ani słowa więcej! – uciał Arkus. – Nie przyjąłeś już jednego daru, eliksiru. Nie pozwolę, byś wzgardził następnym.

Gdy Arkus się odwrócił, w komnacie zapanowała straszliwa cisza. Richius powoli ruszył ku drzwiom. Zanim do nich doszedł, usłyszał wezwanie imperatora.

– Młodzieńcze, zechciej tu podejść.

Arkus stał przy oknie z mętnymi szybami i uchyliwszy je lekko, patrzył na metalową metropolię Nar. Richius podszedł, by stanąć obok imperatora. Padał lekki śnieg, a jego płatki, wirując leniwie, nikły w ulicznym brudzie lub słupach dymu bijących z kominów wojennych warsztatów.

– Mogę ją oddać Czarnemu Gayle’owi – stwierdził Arkus spokojnie, nie odejmując wzroku od rozciągającego się niżej miasta. – Uczynię tak tylko wtedy, jeżeli mi odmówisz z pełną świadomością konsekwencji. Ten bydlak prawdopodobnie zatłucze ją

na śmierć, za co, jak sądzę, dziewczyna powinna ci być wdzięczna.

– Dlaczego nie komu innemu? Z pewnością są inni. Nie masz, panie, innego wyboru niż pomiędzy Gayle'em a mną?

– Mam tylko dwie możliwości. Zgodzisz się ją poślubić i oszczędzisz mi wstydu, jaki czułbym, ilekroć spotkałbym diuka Wallacha, albo oddam ją Gayle'owi. Decyduj się, bo muszę wiedzieć, co rzec jej ojcu.

Richius rozważył szybko możliwości. Sabrina w istocie była piękna i należała do najmilszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkał. Arkus miał rację mówiąc, że każdy mężczyzna byłby szczęśliwy, mogąc ją wziąć do łóża. Ale czy on sam będzie mógł ją pokochać? Czy zdoła być wiernym mężem? A co z Dyana? Martwa czy nie, wciąż mu się śniła po nocach. Z drugiej strony, skazać Sabrinę na niedolę i nędzę życia w Talistanie? Będzie tam kimś niewiele tylko lepszym od zwykłej niewolnicy, kolejną dziewczką w brudnej pościeli Czarnego Gayle'a. Mąż będzie ją brał jak ogier, wykorzystując, aż jej łono wyschnie lub dopóki nie umrze przy kolejnym porodzie. A jeżeli okaże się, że nie może dać mu męskiego potomka lub on nie będzie miał dość wigoru, by ją zapłodnić, po prostu zatłucze ją na śmierć.

Richius milczał i patrzył w okno. Z daleka widział niebotyczne wieże Katedry Męczenników i zastanawiał się, czy Bóg zwrócił się przeciwko niemu. Wyglądało na to, że tak.

– Nie rozmyślisz się, panie? – spytał imperatora.

– Nie. Sprowadziłem ją tu dla ciebie. Jeśli jej nie zechcesz, dam ją Gayle'owi. Może to mu pomoże jakoś się pozbierać. Nie będzie też rad, jeżeli się dowie, że poprosiłem cię, byś uderzył na Drolów bez jego udziału.

– Niech więc tak będzie – odparł Richius. – Jeżeli nie masz dla niej innego wyboru, niż tamten rzeźnik, to ja ją wezmę.

Arkus odwrócił się do Richiusa, który mógł przysiąc, że oczy władcy zapłonęły jeszcze silniejszym podnieceniem.

– Doskonale. Uszczęśliwiłeś mnie swoją zgodą. Jestem ci bardzo wdzięczny, Richiusie. Sam zobaczysz. Teraz jesteś tym wszystkim lekko oszołomiony, ale któregoś dnia mi podziękujesz. Ona zaś będzie dobrą żoną.

– Owszem – odpowiedział ponuro Richius. – Tego jestem pewien.

– Razem dokonamy wielkich rzeczy, Richiusie. Wielkich rzeczy!

Richius spróbował wykrzywić wargi w uśmiechu.

– O tak – wykrztusił wreszcie. – Wielkie rzeczy...



## Dwadzieścia

Richius powoli zbliżał się do ogrodu, dbając o to, by lady Sabrina go nie spostrzegła. Zgodnie z ustaleniami czekała na niego, zabawiając się z małym ptaszkiem, który przysiadł na jej palcu. Księżę zatrzymał się za posągiem i zaczął się przyglądać dziewczynie. Nie widział jej od trzech dni, od czasu koronacji, i teraz chciał się jej przyjrzeć w chwili, kiedy dziewczyna nie wie, że jest obserwowana. Chciał mieć pewność, że Sabrina rzeczywiście jest tak piękna, jak to zapamiętał. To, co ujrzał, nie rozczarowało go. Stojąca pośród kwiatów zimowych lili, z zaróżowionymi od chłodu policzkami, była piękna. Długa szafirowa suknia Sabriny poruszała się lekko, muskana powiewami wietrzyku. Malowane usteczka wyduły się lekko, gdy dziewczyna wydała wesoły gwizd. Kanarek na jej palcu lekko przechylił łepkę i wsłuchał się w melodię.

Zmierzch rozciągał już swoją mroczną oponę nad miastem. Za dziewczyną jednak skradające się chyłkiem ciemności rozjaśniało tysiące świec osadzonych w ogrodowych lampach. Cały balkon kąpał się w ciepłym bursztynowym blasku.

Jak wszystko w Nar, ogrody Arkusa były bardzo rozległe. Wisiały wokół pałacu jak gigantyczne, wielobarwne skrzydło i były prawdziwą puszcza wspartą na niewzruszonych granitowych fundamentach. Richius czuł się w nich nieswojo. Bardzo się różniły od ogrodów przy jego rodzinnym zamku, w których ojciec hodował róże. Tamte były zwykłymi ogrodami, w których nie rosło nic egzotycznego. Tu było zupełnie inaczej. Ogrody Arkusa były arcydziełem sztuki ogrodniczej, pracowicie tkanymi dywanami, których mistrzowie operowali roślinami, zamiast nici. Tak jak obiecał Biagio, było to idealne otoczenie dla romantycznego spotkania.

Richius przyglądał włosy i wypiął pierś. W nadmiarze otaczającego ich zewsząd kwiecia trzymany przez niego bukiet szkarłatnych dali wyglądał mizernie. Młodzieniec dawno już zapomniał o tym, jak się zdobywa dziewczęce serca i zastanawiał się, czy podarunek jest właściwy. Sabrina była w końcu księżniczką i niewątpliwie starających się o jej rękę było wielu. Richius z trudem stłumił ogarniającą go nagle panikę. Całe szczęście, że tego wszystkiego nie mógł zobaczyć Dinadin.

W końcu otrząsnął się z rozmyślań i wychylił zza posągu. Mały ptaszek na palcu Sabriny natychmiast zerwał się do lotu. Dziewczyna odwróciła się szybko, by stanąć z Richiusem twarzą w twarz.

– Przepraszam – odezwał się młodzieniec skruszonym tonem. – Nie chciałem przestraszyć ani ciebie, ani twojego małego przyjaciela, pani.

– Wcale mnie nie przestraszyłeś, mój panie – odpowiedziała dziewczyna. – Właśnie

na ciebie czekałam.

Uśmiech Sabriny dodał Richiusowi odwagi, podał jej więc bukiet, na który patrzyła wyczekująco.

– Hrabia Biagio powiedział mi – zaczął Richius – że lubisz kwiaty, więc pomyślałem sobie...

Sabrina wydała okrzyk zachwyty i utopiła twarz w kwiatach.

– Och, dziękuję, panie. Są piękne!

– Rad jestem, że ci się spodobały. Martwiłem się, że masz już ich pełną komnatę. Zepsułaś mi, pani, całą koronację... Znaczy, chciałem rzec, że wszyscy wpatrywali się w ciebie, zamiast we mnie, nawet moi ludzie!

– O, nie, pewna jestem, że się mylisz, panie. Większość ludzi wiedziała po prostu, że mam zostać twoją małżonką.

Dziewczyna urwała nagle, kiedy zorientowała się, co powiedziała, i w ogrodzie zapadła cisza. Sabrina uciekła ze spojrzeniem w bok i opuściła wzrok na kwiaty. Richius poczuł ulgę – ona powiedziała to pierwsza. Może już nawet przywykła do tej myśli, co oszczędzi mu okropności prób wyjaśniania jej złożoności całej sytuacji. W sprawie tego małżeństwa żadne z nich nie miało wyboru.

– Wyglądasz na zziębniętą – rzekł Richius łagodnie. – Jeżeli chcesz, możemy wejść do komnaty.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Ja lubię zimę, panie.

Richius podszedł bliżej, tak że stanął tuż przy dziewczynie i poczekał, aż ona się odsunie. Nie odsunęła się.

– Ta pogoda przypomina mi Aramoor – stwierdził. – Tęsknię za domem. A ty, pani, czy tęsknisz za Gorkney?

Sabrina zmarszczyła lekko brwi, a potem wzruszyła ramionami.

– Trochę tak – przyznała. – Ale z drugiej strony cieszę się, że stamtąd wyjechałam. W Gorkney są rzeczy, za którymi nie tęsknię. Słyszałam, że Aramoor jest bardzo podobny do mojej ojczyzny. – Przerwała i spojrzała na bukiet. Potem spoważniała, a uśmiech znikł z jej twarzy. – Chciałabym przeprosić za brak taktu okazany podczas twojej koronacji, panie. Źle się zachowałam i jest mi wstyd.

– Wstydzisz się? – zdziwił się Richius. – Czego?

– Proszę, nie oszczędzaj moich uczuć, panie. Nie jestem tego godna. Zlekceważyłam cię w niedopuszczalny sposób i obawiam się, że nie mam na to żadnego usprawiedliwienia. Prawdą jest jednak, że nie mieliśmy się spotkać, dopóki imperator nie zaproponuje tego małżeństwa, a ja zostałam zaskoczona. Nie wiedziałam, co zrobić, więc

cię zignorowałam, panie. Bardzo mi przykro.

– Rozumiem. Mogłem się domyślić, dlaczego tak się zachowałeś. W lesie, na drodze, kiedy się spotkaliśmy po raz pierwszy, wiedziałas, że mamy się pobrać, prawda?

Sabrina skinęła.

– Wiedziałam od kilku miesięcy – stwierdziła. – Od dnia, w którym skończyłam szesnaście lat. Do Gorkney przybył wysłannik imperatora z rozkazami. Powiedział mojemu ojcu, że imperator wybrał mnie na twoją żonę i że mam przybyć do Nar na koronację.

– A ja myślałam, że moja podróż do Nar uczyni ze mnie tylko króla – odpowiedział Richius. – Pani, przykro mi, że zrobiono ci coś takiego. Musiała to być niemiła niespodzianka i dla ciebie, i dla twojego ojca.

– Nie wspominaj o moim ojcu – rzekła nagle Sabrina. – Nie myśl o jego uczuciach. Córka nie na wiele się przydaje człowiekowi, który ma kilka akrów ziemi do zadbania. On wprost nie mógł się doczekać przybycia tego wysłannika.

Richius nie odpowiedział. Dziewczyna odwróciła się od niego, zaciskając rękę na łodygach kwiatów, aż te zaczęły giąć kielichy ku dołowi. Młodzieniec dość niezgrabnie ujął ją za rękę.

– Nie bardzo wiem, jaki ze mnie będzie mąż – wyznał. – Życie ze mną może nie być lepsze od życia u boku twojego ojca.

– Mój panie, zechciej mi wybaczyć. Wydaje się, że zdołałam cię jedynie obrazić. Naprawdę, nie to było moim zamiarem. Za wiele mówię. Może to właśnie było przyczyną, dla której chciał się mnie pozbyć ojciec.

– I dlatego wysłał cię bez należytej eskorty? Bo tak niewiele dla niego znaczysz? Może nie powinienem tak mówić, pani, ale wydaje mi się, że twój ojciec to łajdak. Nie umiem sobie wyobrazić człowieka, który nie byłby szczęśliwy, mając tak piękną i miłą córkę.

Sabrina pokraśniała, usłyszawszy komplement.

– Jesteś, panie, bardzo uprzejmy. Ale dotarłam tu bezpiecznie i cało.

– Z jednym sługą – stwierdził Richius, przypominając sobie rosnącego ponuraka, którego poznał w lesie. – Szaleństwem ze strony twojego ojca było wysłanie cię w tak daleką podróż bez eskorty. Mogli was obrabować, albo nawet zabić.

Sabrina wzruszyła ramionami.

– Ale nie obrabowali i nie zabili, możesz więc przestać się tym przejmować, panie. Dowiedz się jeszcze, że całkiem dobrze potrafię zadbać o swoje bezpieczeństwo.

– Naprawdę? Cóż, zatem dziwię się, że pozwoliłaś ojcu na to, by w ogóle dał ci towarzystwo, pani.

– Nie rozumiesz. Dason jest nie tylko moim sługą, ale i przyjacielem. Dbamy jedno o drugie.

– Wygląda na to, że tęskno mu do ciebie – zgodził się Richius. – Widziałem, jak się nim zajmowałaś, pani, w czasie koronacji.

– Potrzebujemy się nawzajem – poprawiła go Sabrina. – Jak daleko sięgam pamięcią, Dason był moim jedynym przyjacielem. Niekiedy trudno mi znieść jego utyskiwania, ale to dobry człowiek o szlachetnym sercu. Będzie mi go brakowało.

– Chcesz mieć go przy sobie, pani? – spytał Richius. – Możesz go zabrać do Aramooru. Jestem pewien, że znajdziemy tam dla niego jakieś zajęcie. Jeżeli jest ci tak drogi, nie widzę powodu, dla którego miałabyś się go wyrzekać.

Dziewczyna wykrzywiła usta.

– Myślisz, że jesteś uprzejmy? Wierz mi, że zadbałabym o to, gdyby to było możliwe. Ale Dason jest niewolnikiem, a jego właścicielem jest mój ojciec, nie ja.

– Wykupimy go i obdarzymy wolnością. Mamy w Aramoorze niewolników, a on nie będzie nas kosztował więcej niż kilka koni.

– Nic z tego nie będzie, choćbyś dawał za niego nie wiadomo jak wiele – stwierdziła Sabrina. – Ojciec go nie uwolni nawet za kilka tuzinów koni.

– Dlaczego?

Dziewczyna spojrzała mu prosto w oczy.

– Bo mój ojciec jest okrutnikiem. Nigdy nie uwolnił niewolnika i przysiągł, że nigdy tego nie zrobi. A z pewnością nie uwolni tego, na którym mi zależy, panie.

– Ależ to absurd – stwierdził Richius. – Dlaczego miałby być tak złośliwy, by nie uwolnić drogiego tobie niewolnika? Mógłby to nazwać ślubnym podarunkiem, na przykład.

Sabrina zaśmiała się perliście.

– Przepraszam, panie – rzekła w końcu. – Nie znasz mojego ojca, prawda? On nie ma zwyczaju dawania czegokolwiek, lub przyznawania komukolwiek łaski. A już szczególnie nie kobietom.

Richius zmarszczył brwi.

– Wydaje mi się, że twój ojciec jest, przykro mi to rzec, idiotą. Niełatwo mi uwierzyć, że zdołał wychować tak piękną i mądrą córkę.

– Wdałam się w matkę – stwierdziła rzeczowo Sabrina. – Ale dziękuję za waszą propozycję. Była bardzo łaskawa.

– Kilka ostatnich dni obmyślałem sposób ułatwienia ci wszystkiego, pani. Chciałbym, żebyś w Aramoorze znalazła szczęście.

– To również moje życzenie – odpowiedziała Sabrina. – Ale co z tobą, panie? Czy

jesteś zadowolony? Nie miałeś zbyt wiele czasu, by się oswoić z myślą o małżeństwie. Jak ci się podoba myśl o tym, że będziesz miał żonę?

– Szczerze mówiąc, jeszcze nie wiem. W ogóle nie myślałem dotąd o małżeństwie. Ale ty, pani, jesteś prawdziwie piękną panną i nie umiem sobie wyobrazić mężczyzny, który nie byłby z tobą szczęśliwy.

Sabrina się uśmiechnęła, najwidoczniej rada z usłyszonej odpowiedzi.

– Oboje czujemy lęk – powiedziała – ale może to i dobrze. Kiedy usłyszałam o tobie po raz pierwszy, pomyślałam że możesz być okropny, niewiele lepszy od mojego ojca. Widzę jednak, że wcale taki nie jesteś. Kiedy się spotkaliśmy, zrozumiałam, że jesteś łagodny i wcale nie muszę się ciebie bać.

– Bać się? – zdumiał się Richius. – A cóż to za pomysł! Chciałbym, żebyś czuła się szczęśliwa, pani. I nie będziesz w Aramoorze samotna. Znajdziesz tam wiele dziewcząt w twoim wieku, pani.

Richius umilkł nagle, zrozumiawszy, że mówi głupstwa. Pocieszał Sabrinę, jakby była małą dziewczynką, której jedyną troską jest znalezienie przyjaciółek do zabaw. Ale z drugiej strony dziewczyna w wielu sprawach wykazywała dziecięcą naiwność. Samotna i przestraszona, traciła oto jedynego przyjaciela, jakiego miała w życiu. I ufnie oddawała się jemu w opiekę. Pomyślał o Czarnym Gayle’u i o tym, jak tamten zadbałby o jej potrzeby. I przypomniał sobie Dyanę. Jej także obiecywał to samo, co teraz mówił Sabrinie: dom, opiekę, bezpieczeństwo i towarzystwo przyjaznych ludzi. Tamtych obietnic nie dano mu dotrzymać i nagle postanowił, że choćby niebiosy sprzysięgły się przeciwko niemu, nie zawiedzie Sabrinę.

Dziewczyna ponownie ujęła go za rękę.

– Chodź, panie – powiedziała, prowadząc go ku ogrodowi. – Przejdźmy się.

Unikając swoich spojrzeń, ruszyli wolno w głąb ogrodów. Wkrótce dotarli do balustrady balkonu i spojrzeli na rozciągające się niżej miasto. Wschodnia część grodu nurzała się już w nocy. Nad horyzontem unosiła się dymna kurtyna zasłaniająca błądy księżyc, w powietrzu zaś panowała przytłaczająca cisza. Na tej wysokości słyszeli jedynie pomruk miejskich palenisk, w których niszczone odpady i śmieci. Richius poczuł, że dech mu zapiera, jak zawsze, gdy patrzył z góry na Nar.

– Zdumiewający widok – stwierdził. – Gdy byłem chłopcem, chciwie słuchałem wszelkich wieści o Nar, nigdy jednak nie sądziłem, że zobaczę coś takiego.

Sabrina zadrżała lekko.

– To miasto mnie przeraża – powiedziała. – Jest w nim jakaś brzydota.

– Owszem, brzydota śmierci. Ale to zdumiewające miejsce, nie sądzisz?

– Jest zupełnie różne od Gorkney.

– I od Aramooru – stwierdził Richius. – Po powrocie do domu będę miał co opowiadać. To ogromny gród!

Sabrina odwróciła się od balustrady, marszcząc nos z niesmakiem.

– Nie lubię dużych miast. Kiedy byłam mała, trafiłam do Goss. Nawet tam nie czułam się dobrze. Wciąż pamiętam te hałasy i dziwnie poubieranych ulicznych kramarzy, z którymi mój ojciec nieustannie spierał się o ceny towarów. Wszystko to było ponad moje siły.

– Powinno ci się spodobać w Aramoorze. Nawet dzieci jeżdżą tam konno. Wiem, że jeszcze nie umiesz dosiadać konia, ale nauczę cię. Jeżeli chcesz znaleźć tam swoje miejsce, to niestety, ale będziesz musiała nauczyć się tego, czym żyją miejscowi. I jest tam ocean. Wybrzeże nie jest zbyt rozległe, ale skaliste i piękne, pewnie tak samo, jak w Gorkney. Jeżeli lubisz wodę, to mamy kilka łodzi. I są u nas góry... Góry Żelazne. Naprawdę, pani, myślę, że polubisz nasz kraj.

– Owszem – odpowiedziała rozmarzona Sabrina. – Wszystko to brzmi cudownie.

– Bo to wspaniałe miejsce – stwierdził Richius z zapalem. – Najlepsze ze znanych mi miejsc. Zechciej zauważyć, że widziałem różne krainy, ale żadna nie może się nawet równać z Aramoorem.

I nagle ogarnęła go fala głębokiej melancholii. Z tego wszystkiego niemal zapomniał o tym, jak nieprzyjemne sprawy czekają na niego w domu. Natychmiast puścił dłoń Sabriny.

– Panie? – spytała dziewczyna. – Czy stało się coś złego?

– Przepraszam – odezwał się Richius. – Nie powinienem opowiadać takich rzeczy. Aramoor może się okazać wcale nie tak wspaniałym miejscem, jak mówiłem.

– Jestem pewna, że to piękny kraj.

– Nie zrozumiałaś mnie. Jest coś, czego jeszcze nie wiesz i o czym muszę ci opowiedzieć.

Twarz Sabriny jakby przygasła.

– Cóż to takiego?

– Mówiłem o Aramoorze, jak o miejscu, w którym chciałabyś zamieszkać, ale łatwo się on może stać dla ciebie kolejnym więzieniem, pani. Czekają nas wojna z Triinami i ja mam być tym, który ją poprowadzi.

– Och, nie! – wykrzyknęła Sabrina, unosząc dłonie do twarzy. – Dlaczego?

– Ponieważ taka jest wola Arkusa. Gdy tylko wrócimy do domu, mam się zająć przygotowaniem kraju do wojny, która rozpocznie się wiosną.

– Ale dlaczego? – spytała znów Sabrina. – I co z naszym małżeństwem?

– Uwierz, pani, że wcale tego nie chciałem. Ale nie miałem w tym względzie niczego

do powiedzenia. Jesteśmy jedynym krajem, który graniczy z Lucel-Lorem i tylko my możemy to zrobić.

– Ależ to szaleństwo! Panie, wybacz zuchwałość, ale wszyscy wiedzą, że Aramoor nie zdoła pobić Triinów. Imperator chyba oszalał.

– W istocie, oszalał – przyznał Richius. – W Lucel-Lorze jednak jest coś, czego on pragnie, i mnie wyznaczył, bym to dla niego zdobył.

– Boję się – rzekła Sabrina. – Słyszałam o tym, co potrafią Triinowie. To czarownicy. Mogą cię tam zabić.

– Mnie nie tak łatwo zabić... – odpowiedział Richius, pocieszając dziewczynę. – Nie upadaj na duchu. Przeżyłem już jedną kampanię w Lucel-Lorze i mam zamiar przeżyć następną. I nie będziemy sami. Arkus obiecał mi zdać komendę nad swoimi legionami. Może zresztą nie powinienem ci o tym mówić. Wojna nie potrwa dłużej, niż kilka tygodni.

– Teraz to ty starasz się mnie pocieszyć – odparła Sabrina. – Nie ma sposobu, by uporać się z tymi Drolami tak szybko, i dobrze o tym wiesz, panie. Proszę, nie staraj się poprawić mi humoru, karmiąc mnie kłamstwami. Ty zresztą też się boisz, przecież to widać.

Richius uśmiechnął się nikło.

– Masz bardzo bystre oczy – stwierdził z westchnieniem, opierając dłonie na balustradzie balkonu. – Rzeczywiście boję się. Przysięgłem sobie, że nigdy tam nie wrócę. Straciłem tam zbyt wielu przyjaciół, dobrych, szlachetnych młodych ludzi. I teraz przyszło mi zaczynać od nowa.

– Odmów imperatorowi – poradziła Sabrina. – To, czego od ciebie żąda, to szaleństwo. Musisz go przekonać, że nie ma sposobu na podbicie Lucel-Loru.

– Próbowałem, ale on mnie nawet nie chciał wysłuchać! Niech to piekło pochłonie, Sabrino! Uwikłał mnie w taką sieć, że nie mam innego wyjścia!

W tej samej chwili w ogrodzie pojawił się wartownik. Był odziany w nareńską czerń, która czyniła go prawie niewidocznym wśród cieni rzucanych przez bujnie rozrośnięte listowie.

– Wszystko w porządku – stwierdził Richius. – Odejdź.

Żołnierz przez chwilę jakby się wahał i patrzył na nich w milczeniu. Na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiezek. Potem odwrócił się i znikł równie bezgłośnie, jak się pojawił. Richius, rozjuszony tym wtargnięciem, ruszył za nim.

– Tak! – zawołał za żołnierzem. – Idź i powtórz swoim panom, co powiedziałem! Powiedz im...

Mała dłoń Sabriny frunęła ku jego ustom, zamykając je delikatnie, ale stanowczo.

– Wstrzymaj się, panie! Ci wartownicy są wszędzie. Usłyszą cię jeszcze i... – Ująwszy go pod ramię, odprowadziła od balustrady. – Nie chcę, by cię spotkało coś złego.

– Masz rację, pani – przyznał Richius. – Powinienem być cicho. Zgodziłem się już na to wszystko i co się stało, to się nie odstanie. Mam tylko nadzieję, że zdołam cię uchronić przed niebezpieczeństwem. Jeżeli Drołowie zaatakują nas przez góry...

– Ja się o siebie nie martwię – odparła Sabrina. – I ty też nie powinienesz. Myśl o swoich ludziach i o przygotowaniach do wojny. Ja będę się trzymała na uboczu.

Richius potrząsnął głową.

– Nie zabieram cię do Aramooru po to, byś siedziała w kuchni albo tkwała w czeladnej sali. Na wojnę będzie dość czasu, ale ty przybędziesz do domu tylko raz. Chcę, byś zapamiętała tę okazję jako prawdziwe wydarzenie. Pośląłem już wieści mojemu przybocznemu słudze, że na wiosnę wracam do zamku z żoną. Przygotuje na nasze przybycie wszystko, co będzie trzeba.

– Więc zostaniemy sobie poślubieni przed wyjazdem do Aramooru?

Richius uniósł brwi w górę.

– Pani, ile ci powiedziano?

– Prawie nic. Mówiłam tylko z Biagiem, on zaś mi rzekł, że poczyniono pewne plany...

– No cóż – stwierdził Richius nie bez pewnej kpiny w głosie. – To lepiej zacznij się przygotowywać. Mamy się pobrać za dwa tygodnie.

Twarz Sabriny zbieleła z wściekłości.

– Dwa tygodnie? – westchnęła, czując budzącą się w niej furję. – I nikt nie raczył mnie powiadomić? Ależ... ależ ja nie miałam czasu, by się przygotować! Nie mam sukien, służby...

– Racz opanować swój gniew, pani – poprosił Richius. – Biagio uległ moim prośbom. To będzie mała, kameralna uroczystość. Tylko ty, ja i kilku moich najbliższych towarzyszy. Oczywiście możesz zaprosić, kogo chcesz. Może twój sługa?

– Owszem – zgodziła się Sabrina. – Dason powinien uczestniczyć w tej uroczystości. Potem i tak nie będę go widywała. Ale co z innymi sprawami? Co mam na siebie włożyć? Nie znam w Nar nikogo. Kto mi pomoże we wszystkich przygotowaniach?

– Jestem pewien, że wszystko załatwi Biagio. Ale zapytam go jeszcze o szczegóły, tylko po to, by się upewnić.

– Bardzo cię o to proszę – nalegała Sabrina. – Przypuszczam, że ślubu udzieli nam kapłan Narenów?

Richius skinął głową twierdząco.



– W Katedrze Męczenników. – Wskazał wysoką, połyskującą miedzią budowlę, wyraźnie górującą nad resztą coraz bardziej mrocznego miasta. – O tam, widzisz?

Katedra stała na przeciwległym brzegu szerokiej i krętej rzeki Kieł. Wspaniałą budowlę, niemal tak wysoką jak sam pałac Arkusa, łatwo było dostrzec nawet z daleka. Sabrina lekko się wzdrygnęła.

– Czy nie można tego zrobić gdzie indziej? – spytała. – Panie, podczas koronacji spotkałam się z biskupem Herrithem. Wydaje mi się, że to bardzo niemiły człowiek. Czy nie moglibyśmy poprosić o poprowadzenie ceremonii kogoś innego?

– Nie sądzę. Biagio zdążył mi powiedzieć, że Arkus wielce sobie ceni biskupa. Tego rodzaju prośba zostałaaby odebrana jako obraza.

– A więc dobrze – zgodziła się niechętnie. – Za nic nie chciałabym urazić imperatora. Jeżeli chcesz, by ci pomógł, będziesz potrzebować całej jego życzliwości.

Richius uśmiechnął się przyjaźnie.

– Pani, mówisz tak, jakbyś się znała na polityce. Czy tak jest w istocie?

– Nie inaczej – odpowiedziała Sabrina, wydymając usta. – Jestem córką króla, a żyjąc w pałacu, nie da się nie usłyszeć tego, czy owego. Ale jeżeli chcecie, bym nie zabierała głosu...

– Skądże znowu! – zachnął się Richius. – Po prostu jestem pod wrażeniem. Jesteś pierwszą znaną mi kobietą, która coś wie o polityce. Większość pań w naszym zamku... hmm... może najlepiej będzie, gdy powiem, że się nie interesują takimi sprawami. Ale zawsze rad będę, gdy zechcesz wypowiedzieć swoje zdanie. Bóg świadkiem, że potrzebna mi każda rada...

– Ale to może zostać źle odebrane – stwierdziła Sabrina. – Jesteś młodym królem. Twoi ludzie będą się spodziewać działań stanowczych i zdecydowanych. Co sobie pomyślą, gdy zobaczą, że szepczę ci rozkazy do ucha?

– Nie rozkazy – poprawił Richius. – Rady. Powtórzę raz jeszcze, że chętnie ich wysłucham. Tam, skąd pochodzę, kobiety traktowane są z szacunkiem. Moją matkę, niechaj spoczywa w pokoju, kochali wszyscy poddani, ojciec zaś zawsze wysłuchiwał jej rad. Chcę, by z nami było tak samo.

– Bardzo dobrze, mój panie. Jeżeli tego właśnie chcesz, zrobię, co w mojej mocy, by was uszczęśliwić.

– Doskonale – odpowiedział młodzieniec, kładąc dłonie na ramionach Sabriny. – I może zaczniemy od tego, że będziesz mnie nazywała Richiusem.

– Richius – odpowiedziała Sabrina, jakby syciła się dźwiękiem tego imienia. – Owszem, to mi się podoba. Ale jak mam cię nazywać, gdy się znajdziemy wśród innych? Czy powinnam cię tak nazywać przed twoimi ludźmi?

– Tym się nie przejmuj. W zamku wszyscy mówią mi po imieniu. W końcu to ludzie, którzy mnie karmili i zmieniali mi... eee...pieluchy. Obawiam się, że nie zachowujemy w Aramoorze przesadnej dbałości o formy. I, jeżeli mogę, pozwól, że będę cię nazywał Sabriną.

– Jak chcesz, Richiusie – uśmiechnęła się Sabrina.

Przez chwilę stali i patrzyli na siebie – dwoje przestraszonych obcych w obcym kraju. Richius nie zdjął dłoni z ramion dziewczyny. Przez ogrody przemknął powiew wiatru, poruszając rąbkiem sukni Sabriny. Usta dziewczyny zadrżały, lekko się rozchyliły, jakby prosząc, by się zbliżył. I nagle Richius pojął, że Sabrina jest w nim zakochana.

Natychmiast ją puścił i cofnął się o krok.

– Nie – wybąkał zakłopotany. – Nie teraz.

Sabrina zarumieniła się.

– Przepraszam, mój panie – szepnęła cicho. Potem wzięła się w garść, odetchnęła nieco głębiej i odwróciła, by po chwili znów spojrzeć mu w oczy. – Muszę już iść. Niedobrze, że tak wiele czasu spędzamy razem.

– Sabrino, nie miałem zamiaru...

– Nie – szepnęła błagalnie. – Ani słowa więcej. – Odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia z ogrodów.

Richius wyciągnął za nią dłoń, kiedy jednak zobaczył, jak stanowczym krokiem dziewczyna się oddala, zaniechał prób zatrzymania jej na dłużej. Chciał ją zawołać, poprosić, by się zatrzymała i pozwoliła mu wszystko wyjaśnić, ale nie wydobył z siebie głosu. W duszy miał zamęt, którego nie dało się objaśnić słowami. W następnej zaś chwili dziewczyna przepadła wśród kwiatów i liści.

Richius został sam.

Balkon otuliła martwa cisza. I wtedy wiatr przywiał młodemu królowi imię. Było to imię, które podczas ostatnich kilku dni często wspominał. Zamknął oczy i powtórzył je w myślach.

„Dyana...”

**Widma**

## Z dziennika Richiusa Vantrana

Mamy dziś ósmy dzień wiosny i na szczęście jestem sam, kiedy piszę te słowa. Nie słyszę rozpraszającego moją uwagę ryku rogów przybijających do pomostu okrętów, ani huku palenisk. Powietrze znów jest słodkie, a lasy wokół mnie pełne spokoju. Tak bardzo mi tego brakowało. Łatwo zapomnieć smak dobrego chleba, kiedy ma się do jedzenia tylko kawior – i podobnie jest z tymi lasami. Tutejsze drzewa są mi znajome, jak przyjaciele z dzieciństwa. Z miejsca, gdzie siedzę, mogę dojrzeć zamek, który w porównaniu z Nar jest maleńki, ale tu, na północy, całe moje miniaturowe królestwo jest piękne. Jest w nim doskonałość i gdyby Arkus przyjechał tu ze mną, nie potrzebowałby swojego eliksiru, by pozostać przy życiu.

Wróciłem do domu i doszedłem do wniosku, że to sam Czarny Gród przyprawia ich o szaleństwo. Zazwyczaj narkotyki, bo w tym mieście nie da się żyć. Jest zbyt rozległe, by można je było objąć umysłem. A każdy mieszkaniec jest jak mały gryzoń, który śmiertelnie lęka się zamieszkujących pałac jastrzębi. Jeżeli jest gdzieś na ziemi miejsce, które może rywalizować z Dring pod względem emanującego zła, to jest nim Nar. Nie dbam o to, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę to miasto, bo prawdę powiedziawszy ten jeden raz wystarczająco mną wstrząsnął. Teraz jestem częścią Imperium, bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Mam do wykonania zadanie, wyznaczone przez Arkusa. Ale przynajmniej jestem w domu, a nawet imperator nie ma dość mocy, by powstrzymać nadejście wiosny i odebrać zieleń pąkom.

Wczoraj w nocy znów śnił mi się Lucyler. Kolejny przeklęty koszmar. Od powrotu do domu ani razu porządnie się nie wyspałem i zaczynam się zastanawiać, co we mnie wstąpiło. Czuję się tak, jakby dobrały się do mnie jakieś nareńskie narkotyki. Te sny są bardzo wyraziste i tak podobne do moich wspomnień, że niełatwo je oddzielić od drugich. Przypuszczam, że wszystko to dzieje się z powodu poczucia winy, jakie mnie dręczy za sprawą Lucylera nawiedzającego mnie niemal każdej nocy. Mówi coś do mnie, ale nie mogę go usłyszeć, a może po prostu nie potrafię sobie przypomnieć jego słów po przebudzeniu. Cokolwiek to jest, chciałbym, by rzekł mi to wyraźnie i żeby się te sny skończyły. Martwi niech zostaną tam, gdzie są, i nie powinni nawiedzać żywych we snach.

Bycie małżonkiem okazało się czymś znacznie bardziej niezwykłym, niż się spodziewałem. Na przykład dzielenie z kimś łóżka. Sabrina okazała się cudowną dziewczyną. Wróciliśmy do domu zaledwie przed trzema tygodniami, ona jednak zdążyła już poznać zamek, jakby żyła tu od lat. A Jojustin i inni wprost ją uwielbiają. Dotrzymują

jej towarzystwa wieczorami, kiedy jestem poza domem, a ostatnio zdarza mi się to coraz częściej. Chłód okazuje jej jeszcze tylko Jenna. Najwyraźniej moje małżeństwo zaskoczyło ją bardziej, niż się spodziewałem. Od czasu mojego powrotu w ogóle niemal nie rozmawialiśmy, czasami tylko wymienialiśmy uprzejmości. Pewien jestem jednak, że z czasem wszystko się ułoży. Sabrina jest moją żoną i Jenna musi się z tym pogodzić. Mam tylko nadzieję, że nie potrwa to długo. Wkrótce będę musiał Sabrinę zostawić samą, a do przetrwania trudnego okresu przydadzą się jej przyjaciele.

Szczęśliwie Sabrina jakoś się tu odnalazła i czuje się dobrze. Poza Jenną wszyscy staraliśmy się jej ułatwić zmianę, pokazać kraj i nasze obyczaje i w miarę możliwości wciągaliśmy ją w nasze życie oraz sprawy. Początkowo była przygaszona, później jednak zaczęła coraz częściej zabierać głos przy posiłkach, a trzeba przyznać, że potrafi prowadzić interesujące rozmowy. Arkus miał rację. Większość mężczyzn gotowa jest mi zazdrościć tak pięknej młodej żony. Nie narzuca mi swego towarzystwa i pozwala mi się martwić, kiedy muszę, co ostatnio zdarza się coraz częściej. Choć na razie wygląda na to, że Drolowie zadowolili się Lucel-Lorem, musimy zaplanować nową kampanię, a Sabrina chyba wyczuwa moje obawy. Jenna opowiedziała jej o tym, że ojciec został zamordowany w ogrodzie, i teraz moja żona stała się bardziej natrętna od Jojustina, z jego próbami zatrzymania mnie w zamku. To tak, jakbym miał teraz ojca i matkę w jednej osobie. Wiem jednak, że ona naprawdę się o mnie niepokoi. Nie byłem z nią tak szczerzy, jak powinienem, i rzadko w ogóle przebywamy razem. Trudno mi było zresztą znaleźć wolną godzinę na to, by zapisać te słowa. Myślę jednak, że ona wszystko rozumie. To w ogóle niełatwe dla nas wszystkich.

Zrobiłem, co się dało, by utrzymać zuchwały plan Arkusa w sekrecie. Jak do tej pory wiedzą o nim jedynie mieszkańcy zamku. Spodziewałem się, że Jojustin będzie przeciwny, okazało się jednak, iż akurat jemu wszystko to spodobało się najbardziej. Myśl o nowej wojnie w ogóle nie zepsuła mu humoru. Może jest już zbyt stary, by pamiętać, jak naprawdę było na wojnie. Jak stary ojciec, odczuwa żal, że możemy zginąć na wojnie, ale jego żołnierskie serce przepelnia uciecha. Kiedy o tym mówi, błyszczą mu oczy. Opowiada mi o nowych żrebackach, legionach Arkusa i ładunkach okrętów z Nar z zapalem urzędnika, który chce wreszcie zobaczyć to wszystko w działaniu. Dla niego to po prostu druga szansa na pogrążenie rodu Gayle'ów i pokazania całemu światu, do czego zdolny jest Aramoor. Kiedy mu powiedziałem, że Talistan nie weźmie udziału w tej wojnie, ucieszył się jak uczeń. Jego nienawiść do Talistańczyków zupełnie go zaślepiała.

Mnie samego w ogóle to nie cieszy – uważam, że naszemu królestwu znacznie lepiej by się wiodło, gdyby Nar nie wtykało nosa w nasze sprawy. Jojustin ostatnio często

mówi mi, jak bardzo we wszystkim przypominam mu ojca. Powiada też, że teraz musimy się pogodzić z supremacją Narenów. Wolałbym jednak mieć w piersiach ojcowskie serce. Niech Gayle'owie dbają o łaski imperatora. Dla mnie nic one nie znaczą. Próbowałem wytłumaczyć Jojustinowi, że sympatia, jaką nam okazuje Arkus, jest nietrwała jak majowe śniegi, ale wydaje mi się, że tylko ja jeden widzę, co się naprawdę dzieje. Ostatnio otaczają mnie same napuszone pawie. Wszyscy dzielą z Jojustinem jego głupią dumę. Ogarnęła ona nawet Patwina. Może to właśnie przewidywał Arkus. Niełatwo nam było żyć ze świadomością, że nas upokorzono i pobito, ale uwierzyć, iż możemy teraz pokonać Drolów, to idiotyzm. Zgodziłem się na to szaleństwo, bo nie dano mi wyboru, inni jednak idą niczym barany na rzeź. To mnie przeraża. Ja przynajmniej nie pakuję się w tę awanturę tylko dla próżnego rewanzu. Ja przynajmniej mam osobiste powody.

Może zresztą nic z tego wszystkiego nie będzie i nikt z nas nie otrzyma swej mizernej satysfakcji. Wieści z Nar dochodzą do nas rzadko, ale kupcy z Innswick mówią, że Liss wciąż się trzyma. Boże błogosław tym biedakom. Jestem pewien, że Arkus i ten rzeźnik Nicabar spodziewali się, że do tej pory zdobędą już Liss. Może te nowe okręty nie okazały się tak skuteczne, jak myśleli. Tak czy inaczej, zyskujemy na tym trochę czasu. Przy odrobinie szczęścia, jeżeli Liss zdoła się oprzeć Arkusowi, może w ogóle nie będziemy musieli ruszać na wojnę? Posłałem list do Biagia z zapytaniem, jakie postępy czyni Nicabar. Odpowiedzi doczekam się nie wcześniej, niż za parę tygodni, a im dłużej przyjdzie nam czekać, tym lepiej dla nas.

To jednak też mnie niepokoi, ponieważ część mojej jaźni pragnie tej wojny. Wiem, że głupotą z mojej strony jest mieć nadzieję, ale może... może Dyana gdzieś tam jeszcze żyje. Może gdzieś tam w głębi Lucel-Loru ukrywa się w jakiejś jaskini, albo kuli w łożu tego diabła Tharna, i czeka na mnie. To jak sen, albo przecucie, że ktoś jest w niebezpieczeństwie: łatwiej zobaczyć powietrze. I jeżeli Liss jakoś się utrzyma, jeżeli jakimś cudownym zrzędzeniem losu oprą się Arkusowi, ja może nigdy już nie będę miał okazji zobaczenia Dyany. O tym wszystkim rozmyślałem podczas ostatnich miesięcy. Nigdy nawet szeptem nie zdradziłem imienia Dyany Sabrinie, wiem jednak, że ona się czegoś domyśla. Widziałem, jak mi się przygląda, gdy piszę, i wiem, że się zastanawia, o czym piszę. A gdy nie dotykam jej w nocy, o czym rozmyśla? Jest dziewczyną, o jakiej mógłby marzyć każdy mężczyzna, a jednak nie potrafię jej pokochać. Próbowałem jej unikać, zostawałem poza domem, dopóki nie zasnęła, ale jestem pewien, że ona już we mnie zwątpiła. Nie zasłużyła sobie zresztą na taki chłód ze strony małżonka.

I ja też nie jestem jej wart. Nie mogę jej rzec o okropnym wyborze, przed jakim postawił mnie Arkus, ale ostatnio zastanawiam się, czy nie traktuję jej gorzej, niż traktowałby ją Gayle. Dręczę ją tylko w inny sposób, który zresztą jest chyba dla niej

bardziej obraźliwy. Nie mogę jednak wykrzesać z siebie więcej miłości, niż mężczyzna może okazać siostrze.

Jurto wybieram się z Patwinem do Lottsów. Najwyższy czas, aby zacząć opowiadać innym rodom o wspaniałych planach Arkusa. Jestem pewien, że Dinadina ogarnie ta sama głupia żądza odwetu, której ofiarą padł Jojustin. On jest zbyt młody, by dostrzec, że imperator nami manipuluje. Terril i inni jak zwykle nie będą się odzywali – są dość doświadczeni, by się nie spierać, gdy przychodzi do rozmów o wojnie.

Ja zresztą już swoje powiedziałem. I nikt nie zechciał mnie wysłuchać.

## Dwadzieścia jeden

Sabrina obudziła się nagle i niespodziewanie.

Był wczesny ranek. Wprawione w ołów szybkie okien sypialni dzwoniły uderzane kroplami deszczu. Obok niej, pogrążony w głębokim śnie, leżał Richius, dość niedbale przykryty grubym kocem, zakrywającym mu nogi i pierś. Mamrotał coś niezrozumiałego, twarz miał bladą i pełną grozy, a szybkie ruchy gałek ocznych pod mocno zamkniętymi powiekami powiedziały młodej żonie, że jej mąż znów przeżywa jakieś senne koszmary.

Sabrina delikatnie odsunęła się od niego, zręcznie okrywając siebie kocami. Budzenie Richiusa byłoby pomyłką, której już więcej nie popełni. Obudzi się z tego sam, jak zawsze. I może nawet zaśnie ponownie, tym razem już spokojnie. Dziewczyna cicho zsunęła się z łoża, stając wprost na zimnej kamiennej posadzce – co nie było najlepszym sposobem rozpoczynania dnia. Za oknem dął lekki wietrzyk i drżąca z zimna Sabrina szybko podniosła suknię z wieszaka umieszczonego obok łoża. Wczesna wiosna w Aramoorze była dość chłodną porą roku, zwłaszcza gdy się go porównało z innymi częściami Imperium. Dziewczyna podeszła do okna i zerknęła w niebo. Było zasnuwane chmurami aż po horyzont. Z okna królewskiej sypialni Sabrina mogła dostrzec niemal każdy zakątek posiadłości Vantranów – dokładnie teraz pokrytej błotem.

„Zły dzień na wyjazd z domu – pomyślała, uśmiechając się w duchu. – Doskonale”.

Do dworu Lottsów było dość daleko i Sabrina pomyślała z nadzieją, że może Richius zrezygnuje z wyprawy. I wreszcie uda im się spędzić trochę czasu razem.

Dziewczęce marzenia przerwał krzyk męża. Dziewczyna natychmiast podbiegła do łóżka. Czoło i pierś Richiusa pokryte były warstwą potu. Mamrotał coś, powtarzając jedno słowo niewyraźnym głosem przerażonego człowieka. Sabrina nachyliła się, by lepiej zrozumieć pojedyncze, rwane sylaby. Co mówił? Imię? Tak, domyśliła się szybko, to było jakieś imię.

W końcu zły czar minął i Richius się uspokoił. Jego oddech odzyskał równy rytm oddechu śpiącego człowieka. Uspokojona Sabrina pochyliła się nad łóżkiem, by przyjrzeć się twarzy małżonka. Wciąż była blada, ale pot już wysychał, i kiedy na nią spojrzała raz jeszcze, zobaczyła, że maluje się na niej spokój. Dziewczyna pocałowała go w policzek, tak lekko i czule, że nie zbudziłaby tym śpiącego ptaka, a potem musnęła dłonią jego mokre włosy. Nie знаła swojej matki i nie miała pojęcia o macierzyństwie, pomyślała jednak w tej chwili, że musi ono przypominać jej troskę o śpiącego męża. Richius od kilku tygodni, a dokładniej od powrotu do domu, miał złe sny. Kiedy zasypiał, ogarniała go jakby złośliwa gorączka – co gorsza, nigdy z nią o tym nie mówił, tylko



przepraszał za związane z tym kłopoty. Czymkolwiek były te sny, uważał je za swoją sprawę osobistą i jego niechęć do podzielenia się z nią tymi strapieniami głęboko ją niepokoiła. W tym wielkim łożu zawsze spała sama.

Podeszła do okna, daremnie usiłując odgadnąć położenie słońca. W świetle poranka ziemia rozkwitała i z każdą chwilą robiło się coraz piękniej. Aramoor przypominał jej Gorkney i nagle chwycił ją niespodziewany atak tęsknoty. Brakowało jej domu. Tęskniła za Dasonem i jego wierną przyjaźnią. W jakiś niewytłumaczalny sposób brakowało jej nawet brutalności ojca. Chciałaby dziś zobaczyć cokolwiek znajomego i bliskiego.

– Uważaj – ostrzegła samą siebie ostrym głosem.

Po prawie trzech tygodniach pobytu w zamku tak naprawdę dostrzegał ją jedynie Jojustin. Staruszek zaproponował jej nawet, że nauczy ją jeździć konno. Była to obietnica złożona jeszcze w Nar przez Richiusa, ten jednak jej nie dotrzymał. Ale przecież nie w starym słudze była zakochana! Był miły i miał dobre chęci, ona jednak pragnęła towarzystwa młodego króla, pięknego i tak odległego, mimo dzielonego z nim łoża. Musiała znaleźć jakiś sposób, by przebić się przez zbroję obojętnej uprzejmości, jaką się otoczył.

Ponownie spojrzała w niebo. Padał drobny, ale uporczywy deszcz. Na dziedzińcu leżały przyniesione z wiatrem gałązki, a w rogach w błotnistych kałużach zbierała się woda. Wkrótce miał się zacząć ruch na dziedzińcu i w przyległych korytarzach. Na tę myśl zacisnęła zęby. Wszyscy będą czegoś chcieli od Richiusa. Niewiele było chwil, w których ktoś by go nie nachodził. A pod wieczór znów się do niej uśmiechnie i powie: „Miałem mnóstwo pracy”.

„Mnóstwo pracy? – pomyślała. – Nie dzisiaj”.

Dzisiaj sprzymierzy się z chmurami i zatrzyma go w domu dla siebie. Z pewnością z wyjazdem można poczekać – choć niepokoił się o tego swojego przyjaciela, Dinadina. Może zresztą załatwi to Patwin. Postanowiła, że go poprosi.

Ostrożnie, cal po calu, przemknęła po podłodze, unikając skrzypiących desek. Richius wciąż spał, nareszcie spokojny. Była już w połowie drogi między łóżkiem a drzwiami, kiedy uderzyła palcem bosej stopy w jakiś występ i niemal się przewróciła.

– Oj! – pisnęła i natychmiast zacisnęła zęby, w ostatniej chwili tłumiąc głośniejszy okrzyk. Upadła na kolana, a jej głowa znalazła się na poziomie materaca. Richius stęknął, ale się nie obudził. Dziewczyna szybko przeszukała wzrokiem podłogę. W schowku obok łóżka leżała niewielka książka w skórzanej oprawie. Dziennik Richiusa. Sięgnęła i wyjęła ją ze schowka. Zwykle rada była, gdy go zostawiał na widoku. Był to jedyny drobny gest zaufania, na jaki się zdobył, świadomie, czy nie, ale Sabrina była z niego zadowolona. Teraz jednak, gdy trzymała dziennik w drżącej dłoni, nagle pomyślała, jakby to było

pięknie, gdyby cisnęła nim za okno. Nawet tej niewielkiej książeczce poświęcał ostatnio więcej czasu, niż jej. W jednym ułamku sekundy dała się niemal porwać bezmyślniej nienawiści.

W następnej chwili pojawiła się w jej głowie jeszcze jedna, podlejsza myśl. Cokolwiek trapiło jej męża, prawdopodobnie zapisał to gdzieś na tych kartkach. Jedyne, co musiała zrobić, to otworzyć i przeczytać jego zapiski.

„Nie – pomyślała ogarnięta nagłym wstydem. – Nie mogę. Nie zrobię tego. On mi ufa. Naprawdę mi ufa i nie mogę go zawieść”.

Dziennik jednak nadal pozostał w jej dłoniach. Przez długą chwilę patrzyła tylko na niego, zastanawiając się, jakie też Richius skrył w nim sekrety. Były w nim pewnie imiona, pod którymi kryła się być może tajemnica dręczących go koszmarów. Mogłaby ją rozwikłać, gdyby przeczytała dziennik. I wyszłoby to na dobre im obojgu. Nie musiałby jej opowiadać o wojnie i tych wszystkich krzywdach, jakie go na niej spotkały; wszystko by zrozumiała. Mogłaby mu pomóc.

– Nie – szepnęła stanowczo.

Wetknęła dziennik na miejsce, pod łóżko. Poczowała lekki niesmak. Dziennik zawierał prywatne myśli Richiusa, które ten miał prawo zatrzymać dla siebie, nie dzieląc ich nawet z nią. Sabrina wstała. Z tego wszystkiego zdrętwiały jej kolana, roztarta je więc, dłonią osuszając jednocześnie łzy, które pojawiły się w jej oczach nie wiadomo skąd. Richius westchnął i obrócił się na bok, tyłem do niej.

Tuż obok sypialni był niewielki pokój, który Sabrina zajęła dla siebie. Komnatka pełna była sukni i klejnotów, stało w niej też zwierciadło, w którym mogła się cała przejrzeć. Weszła do ciemnej izdebki. Nie było tu światła, ona jednak i tak zamknęła drzwi, pogrążając komnatkę w mroku. Po omacku podeszła do miejsca, gdzie stało zwierciadło. Obok zwierciadła stała komoda z kilkoma szufladami. Choć w komnacie były setki sukien i części przyodziewku, poukładanych w stosy lub zwisających z wieszaków, Sabrina nie sięgnęła po żadną z nich. Większość z sukien i tak zresztą nie należała do niej. Uszyto je dla matki Richiusa, królowej Jessicane, ta zaś była wysoką kobietą. Gdyby Sabrina chciała założyć którąkolwiek z nich, trzeba by ją było najpierw przerobić. W komnacie jednak znalazło się kilka sukien, które przywiozła ze sobą z Gorkney. Trzymała je w skrzyni przy zwierciadle.

Otworzyła szufladę i po omacku sięgnęła do środka. Suknia szmaragdowej barwy, którą miała na sobie tego dnia, kiedy po raz pierwszy spotkała Richiusa, była dokładnie tam, gdzie ją położyła. Tamtego dnia w jego oczach było coś, co zamierzała znaleźć ponownie. Miała nadzieję, że pomoże jej w tym suknia. Zsunęła nocną koszulę na podłogę i wdziała suknię, nie bez kłopotów zawiązując taśmy z tyłu. Nawet przy świetle

dziennym niełatwo jej było zawiązać złote plecione sznury, które zwężyły suknię w talii, ale uporała się z nimi po kilku minutach. Z równą zręcznością odszukała trzewiki i wsunęła je na stopy, a potem zawiązała rzemienie. W końcu odszukała szczotkę do włosów. Cesała je, dopóki nie uznała, że może się już pokazać. Na koniec włożyła na nadgarstek ulubioną bransoletę i wróciła do drzwi.

Uchyliwszy drzwi, zajrzała do sypialni. Richius wciąż jeszcze spał. Nigdy nie zasypiał głęboko i Sabrina nieco się zdziwiła, że jeszcze nie usłyszał jej krzątania. Nadal leżał odwrócony do niej tyłem, dzięki czemu mogła się łatwiej wymknąć. Przechodząc obok na palcach, spojrzała na niego raz jeszcze. Był piękny, pomyślała ze smutkiem. Nawet we śnie.

Korytarz przylegający do sypialni był zimny i pusty. Nie było tu zresztą innych komnat, z wyjątkiem kwatery Jojustina, ten zaś zawsze wstawał wcześniej. Najpewniej był już na dole w jadalni, gdzie siedział przy stole i jak co dzień popijał poranny pucharek grzanego wina. Sabrina lekko się skrzywiła. Będzie tam pewnie i Jenna, zajmująca się przygotowaniem śniadania. Dom nie był wielki, w przeciwieństwie do tego, jaki zostawiła w Gorkney, ale wielu jego mieszkańców musiało wstawać wcześniej, by zadbać o potrzeby innych. Jeżeli miała uniknąć pytań, musiała się odwołać do całej przebiegłości, jaką w sobie miała. A suknia z pewnością wywoła ciekawość innych.

Schodząc po kamiennych schodach, słyszała echo własnych kroków. Drogę na dół oświetlały świece osadzone w żelaznych kunach, płonące już jasno, z czego wysnuła wniosek, że Jojustin w istocie już wstał i zajął się swoimi obowiązkami. Znalazła go w niewielkiej jadalni, gdzie zwykle wszyscy spożywali posiłki. Z kędziarów jego brody wystawał cybuch fajeczki, z której unosiły się smużki niebieskawego dymu, układające się w chmurkę wokół jego głowy. Gdy Sabrina weszła do komnaty, sługa rzucił jej baczne spojrzenie.

– Witaj, córeczko – rzekł radośnie.

Wstał z miejsca, Sabrina zaś nadstawiła policzek do pocałunku.

– Dzień dobry, wujaszku – odpowiedziała. Doskonale wiedziała, że Jojustin bardzo lubi, gdy tak się do niego zwraca, za każdym bowiem razem uśmiechał się jeszcze szerzej. Teraz podsunął jej krzesło. Sabrina usiadła i skrzyżowała w kostkach wyciągnięte przed siebie nogi.

– Wcześniej wstałaś – zauważył Jojustin. – Richius cię obudził?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Właściwie to nie. Obudziłam się sama. Może przez ten deszcz.

– A ja spałem jak dziecko, mimo deszczu – stwierdził Jojustin. – I chrapałbym do południa, ale mam przed sobą dzień pełen pracy. Ale gdzież to Richius się podziewa? Nie

wstał razem z tobą?

– Został na górze. Jeszcze śpi.

Jojustin uniósł brwi.

– Śpi? No, to lepiej będzie, jak go ktoś obudzi. – Zaprzeczając swej gotowości, rozsiadł się wygodniej i sięgnął po puchar korzennego wina. – Mamy dziś sporo zajęć i powinniśmy zaraz się do nich zabrać. Napijesz się wina?

Sabrina zakryła dłonią stojący obok niej pucharek.

– Nie, dziękuję. Ale po co go budzić? Wolałabym, by się wyspał.

– Dziś rano miał się wybrać z Patwinem do dworu Lottsów. Nic ci nie powiedział?

– To tak daleko? Trzeba ruszać skoro świt?

– Tak, córeczko, to dość daleko. Szczególnie przy takiej pogodzie. Są jeszcze inni, których muszą odwiedzić, na przykład Terril. Zajmie im to prawie cały dzień.

– A ja miałam nadzieję, że przynajmniej dziś zostanie w zamku. Na zewnątrz jest okropnie. Czy ta przejażdżka nie może poczekać do jutra?

– Sabrino, on ma na głowie bardzo wiele spraw. To, co planuje imperator, jest za dużą sprawą, by rzecz dała się utrzymać w tajemnicy. Nie chcemy, by inne rody dowiedziały się o tym z niewłaściwych ust. Powiadomienie ich o wojnie jest obowiązkiem króla.

Sabrina zmarszczyła brwi. „Król”. Niełatwo jej było połączyć w jedno ten tytuł i twarz męża. Był taki młody. Wojenne plany przypominały ten jego katowski miecz: zbyt wielki, by mógł sobie z nim poradzić.

– Dlaczego Patwin sam nie może powiadomić tego... Dinadina? – spytała. – Sam mówiłeś, jak niebezpieczne dla Richiusa są wyjazdy poza zamek. Co z tymi zabójcami, Drolami?

Jojustin parsknął śmiechem.

– Córeczko, to było kilka miesięcy temu! Wierz mi, wiedzielibyśmy, gdyby w Aramoorze przyczaili się jacyś Triinowie. Nie, Richius sam musi powiedzieć ludziom o czekającej ich wojnie. W takich sprawach nie wysyła się posłańców. Trzeba, żeby w Richiusie zobaczono wodza. Ma on też do Dinadina i osobistą sprawę.

– Tak przypuszczałam – stwierdziła Sabrina, przechylając głowę, by zajrzeć w głąb korytarza. Był ciemny i pusty. Z kuchni dolatywał brzęk misek i talerzy. Sabrina domyśliła się, że krząta się tam Jenna, przygotowująca śniadanie dla Jojustina. A tam, gdzie była Jenna, rychło natrafić można było na Patwina.

– Czy Patwin już wstał, wujaszku? – zapytała zwodniczo obojętnym tonem.

Staruszek podniósł na nią badawczy wzrok znad brzegu parującego pucharu.

– Jest na zewnątrz, gdzie szykuje konie do podróży. A dlaczego pytasz?

– Bez specjalnego powodu – odpowiedziała Sabrina. – Ot, chciałam z nim pomówić, to wszystko.

– Córeczko, niewiele wskórasz. Richius uparł się, że pojedzie dziś.

– Ależ ty jesteś podejrzliwy. Chciałam tylko...

Nagle wejście Jenny zbiło Sabrinę z tropu. Jenna wkroczyła do sali z talerzem chleba i jajecznicą. Jak zwykle miała na sobie prostą suknię z samodziału i aż otworzyła usta, ujrawszy szmaragdowy przepych królowej.

Sabrina jakby nigdy nic sięgnęła po karafkę.

– Dzień dobry, moja pani – odezwała się Jenna lodowatym tonem, stawiając talerz przed Jojustinem. On chyba nie dostrzegał wrogości, z jaką odnosiły się do siebie obie dziewczyny. Odłamawszy z bochna spory kawałek chleba umoczył go w winie i z westchnieniem satysfakcji wetknął go sobie do ust.

– Dzień dobry, Jenno – odpowiedziała Sabrina.

– Czy zechcecie pani zaczekać tu na śniadanie? Mogę przynieść talerz.

Sabrina odmówiła, potrząsając głową.

– Nie, dziękuję.

Jenna odwróciła się ku wyjściu, nie omieszkawszy przedtem rzucić jeszcze jednego spojrzenia na Sabrinę. Było to tak zimne spojrzenie, że młoda królowa mimo woli się wzdrygnęła. Nie darzyła Jenny nienawiścią, bo Jojustin wyjaśnił jej, jak przedstawiała się sytuacja, ale bardzo nie lubiła, jak ta właśnie służąca kręciła się w pobliżu. Zawsze dochodziło wtedy do spięć, drobnych i niewiele znaczących, takich jak kose, pełne zazdrości spojrzenia – i nie cierpiała sposobu, w jaki Jenna się do niej zwracała: „Moja pani”. Każdy mógł usłyszeć, ile jadu kryło się w tym tytule. W tym zamku, w którym nawet do króla wszyscy zwracali się po imieniu, tytuł był nie tylko okazaniem wyzwania. Był obrażą.

– Jenno... – odezwał się Jojustin, wyciągając dłoń, by zatrzymać wychodzącą. – Czy nie zechciałybyś skoczyć na górę i zapukać do drzwi Richiusa. Nie wstał jeszcze, a dziś naprawdę powinniśmy od razu zabrać się do dzieła. Nie martw się, on wie, że musi dziś wcześniej wstać.

– Na górę? – spytała Jenna, silnie się rumieniąc. I spojrzała na Sabrinę.

– Wszystko w porządku – stwierdziła Sabrina, usiłując przywołać na twarz uśmiech.

Jenna wzruszyła ramionami i wyszła z kuchni, kierując się ku schodom. Sabrina westchnęła i odstawiła karafkę na stół, nie nalewając sobie ani kropli.

– Przepraszam – odezwał się Jojustin. – Czasami palnę coś, nie zastanawiając się nad tym, co mówię.

– Nie przepraszaj – Sabrina zbyła go machnięciem dłoni. – Nic złego się nie stało.

– Córeczko... – odezwał się cicho Jojustin, pochylając się ku niej nad stołem. – Wszystko się ułoży, tylko musisz jej dać trochę czasu. Cierpi, ale to jej przejdzie. Wkrótce znajdzie sobie innego chłopaka, do którego będzie wzdychała, i wtedy zostanieie przyjaciółkami. Nie może być inaczej.

– Nie jestem pewna – odpowiedziała Sabrina. – Richius nie będzie z nią o tym rozmawiał, a ona nie zechce pomówić o tym ze mną. Nie mam pojęcia, co zrobić, by nam wszystkim to ułatwić.

– Czas rozwiąże wszystkie problemy – odpowiedział Jojustin. – To wszystko – stwierdził, po czym ponownie wetknął cybuch fajki w zęby i odchylił się w tył, uważnie patrząc na Sabrinę. W jego oczach mignął figlarny błysk.

– O co chodzi? – spytała Sabrina z udaną naiwnością.

– Wyglądasz dziś wyjątkowo pięknie – stwierdził stary sługa.

Sabrina odchrząknęła.

– Dziękuję.

– Czy dziś jest jakiś szczególny dzień, o którym powinienem wiedzieć?

– Przeciwnie. Dzień jest tak paskudny, że pomyślałam, iż przyda mu się nieco barw. Źle zrobiłam?

– Nie, skądże – odpowiedział Jojustin. – Wyglądasz bardzo ładnie, to wszystko. – Stary sługa uśmiechnął się przyjaźnie. W jego uśmiechu nie było śladu złośliwości, czy wrogości, tylko sympatia, jaką mógłby żywić wuj. – Posłuchaj, córeczko. Nie musisz ubierać się aż tak pięknie, by Richius zwrócił na ciebie uwagę. Jestem pewien, że on doskonale zdaje sobie sprawę z twej urody. Dziś jednak tracisz tylko czas, usiłując go zatrzymać w domu. On musi odwiedzić dwór Lottsów.

Sabrina wstała. Poczowała, jak jej twarz zalewa rumieniec zakłopotania.

– Powiadasz, że Patwin jest na zewnątrz?

– Oho! Nie gniewaj się. Siadaj i zjedz ze mną śniadanie.

– Czy znajdę go w stajniach?

– Sabrino, na zewnątrz leje. On wkrótce wróci i wtedy będziesz mogła z nim porozmawiać.

Sabrina jednak już wychodziła. Ignorując goniące za nią przeprosiny Jojustina, szybko przemknęła korytarzem i wkrótce znalazła się w zamkowym przedpokoju. Był to właściwie niewielki zadaszony taras, z którego można już było zobaczyć dziedziniec, a za nim zamglone w deszczu stajnie. W okienku stajni migotało światelko i widać było poruszający się cień. Sabrina zerknęła na swoje czyste trzewiczki, a potem spojrzała na ściany, szukając jakiejś opończy. Nie było żadnej. Mogła oczywiście wrócić i zabrać swoją z sypialni, ale to oznaczało ponowne spotkanie z Jojustinem, albo z Jenną.

Zmierzywszy wzrokiem odległość, oceniła, że stajnia nie jest wcale tak daleko.

Nabrała w piersi tchu i skoczyła w deszcz. Natychmiast ugrzęzła po kostki w błocie, a jej trzewiki napełniły się wodą. Poczowała uderzenia kropli deszczu na twarzy, zaraz też zmokły jej włosy i na plecy zaczęły się przesączać lodowate strumyki wody. Podniosła rękę nad głowę, by choć częściowo osłonić twarz. Na całe szczęście suknia nie była aż tak długa, by jej kraniec unurzał się w błocie, i gdy Sabrina dotarła do drzwi stajni, stwierdziła, że nie było tak źle i jest prawie sucha. Dopiero teraz wypuściła powietrze z płuc, wydając długie westchnienie ulgi. Natychmiast też zrozumiała, jaki popełniła błąd – zapach końskiego nawozu i mokrej słomy poraził jej nozdrza niczym uderzenie młota.

Musiała jeszcze wejść do środka, a smród był zaledwie początkiem. Sabrina rozejrzała się dookoła. W boksach stało kilkanaście koni i niektóre z nich zaczęły jej się bacznie przyglądać swoimi wielkimi, brązowymi ślepiami. Na drewnianych ścianach wisiały wykonane ze skóry i drewna elementy uprzęży i rzędów, niektóre o tak dziwnych kształtach, że dziewczyna nie umiała się domyślić, do czego służą. Lampa płonęła w pewnej odległości od paśników i bel siana. Jej nikłe światelko rzucało na przeciwległą ścianę tak wielki cień, jakby Sabrina była olbrzymką. Na drugim końcu, niemal schowany za czesany właśnie koniem stał Patwin. Nie zauważył wejścia dziewczyny i energicznie machał zgrzeblę, pogwizdując wesoło. Sabrina uśmiechnęła się do siebie. Lubiła Patwina – ze wszystkich przyjaciół Richiusa on był tym, z którym czuła się najbardziej swobodnie.

– Patwinie? – zawołała cicho, ruszając w głąb stajni.

Zaskoczony młodzieniec dopiero teraz ją zauważył. Mimo półmroku zauważyła, że ze zdumieniem rozgląda się dookoła.

– To ty, Sabrino? – zawołał.

Podeszła trochę bliżej. Patwin wyszedł zza konia, by się z nią przywitać.

– Co ty tu robisz? – spytał. – Czy coś się stało?

– Chcę z tobą porozmawiać – oznajmiła. – Mogę ci zająć trochę czasu?

Patwin uśmiechnął się, jakby chciał jej dodać otuchy.

– Sabrino, królowe nie pytają poddanych, czy mogą z nimi porozmawiać. Powiedz mi po prostu, czego chcesz.

– Chcę cię o coś prosić. O przysługę.

– Dobrze – odpowiedział, mierząc krytycznym spojrzeniem jej suknię i buty. – Ale nie powinnaś wychodzić na zewnątrz tak lekko odziana. Możesz się przeziębć.

Richius zdjął swój płaszcz i otulił nim ramiona Sabriny.

– Teraz jest dobrze – stwierdził. – Co mogę uczynić dla mojej królowej?

– Przede wszystkim przestań mnie tak nazywać. Nie lubię tego, a ty doskonale o tym

wiesz.

– Dobrze. I co jeszcze?

Sabrina zmieniła pozycję, przesuając po klepisku swoje zabłocone trzewiki. To, o co chciała poprosić Patwina, nagle wydało jej się głupie.

– Więc? Słucham – ponaglił ją łagodnie Patwin. – Pomogę ci, jeżeli to tylko będzie w mojej mocy. Chodzi o Richiusa?

– Skąd wiesz?

– A cóż innego może trapić młodą żonę, jeżeli nie zachowanie jej męża? Wierz mi, Sabrino, wszyscy wiemy, jakie to dla ciebie trudne. Nawet Richius. Jeżeli będę mógł, postaram ci się pomóc. W czym rzecz?

– Czy mógłbyś sam pojechać do dworu Lottsów? Muszę porozmawiać z Richiusem sam na sam.

Twarz Patwina okryła się cieniem.

– Przykro mi, ale nic z tego.

– Patwinie, proszę – nalegała Sabrina. – To dla mnie bardzo ważne. Wiem, że Richius musi załatwić pewne sprawy, ale ja też mam coś ważnego. Gdybym tylko mogła spędzić z nim kilka chwil sam na sam, bez tych wszystkich rozmów o wojnie...

Patwin ponuro potrząsnął głową.

– Nie mogę. Zresztą chodzi nie tylko o te nieszczęsne plany wojenne. Richius musi się rozmówić z Dinadinem, a tego nikt za niego nie zrobi. Muszą sobie wyjaśnić pewne sprawy.

– Jakie sprawy? – spytała Sabrina, może odrobinę zbyt ostrym tonem. – Co czyni tego Dinadina tak ważną osobą?

– Jest najbliższym z przyjaciół Richiusa – odpowiedział Patwin. – Nie rozmawiali ze sobą od kilku miesięcy, to znaczy od powrotu z Lucel-Loru.

– Nie rozumiem – stwierdziła bliska już też Sabrina. Jej głos załamywał się. – Co tam się stało, o czym nie chcą ze sobą rozmawiać? Czy dlatego Richius jest tak zamknięty w sobie?

Patwin zwiesił głowę.

– Sabrino, wiele się tam wydarzyło i zbyt długo by o tym mówić. I nie jestem pewien, czy to w ogóle twoja sprawa.

– Myślę, że tak – odparła. – Richius jest moim mężem. Mam prawo wiedzieć, co mu jest. Jeżeli to z winy tego Dinadina...

– Dinadin jest tylko drobną częścią problemów Richiusa – stwierdził Patwin. – I proszę, nie pytaj mnie o nic więcej. – Odwrócił się do konia i ponownie zaczął go czyścić. – I tak za wiele już powiedziałem.



Sabrina nagłym ruchem wyrwała mi zgrzebło z dłoni.

– Mówisz mi, że Richius będzie rozmawiał z tym Dinadinem, ale nie będzie rozmawiał ze mną? I ja mam się z tym pogodzić? Wiedz zatem, że się nie pogodzę! Chcę, żebyś mi natychmiast powiedział, co jest mojemu mężowi! Wiesz to, a ja wiem, że ty wiesz. Mów!

Patwin zacisnął zęby.

– W Lucel-Lorze zdarzyły się nam pewne rzeczy, o których nie wolno ci wiedzieć!

– Jestem jego żoną – cicho powiedziała Sabrina. Na jej policzkach pojawiły się palące łzy wstydu.

– To nie ma znaczenia – stwierdził Patwin. Mówił to jednak niemal błagalnym tonem. – Richius jest moim królem i moim przyjacielem. Nie mogę go zdradzić, mówiąc ci o sprawach, o których sam nie zechciał rzec!

Sabrina zerwała opończę Patwina z ramion i cisnęła ją w błoto, a potem odwróciła się od niego i wybiegła na zewnątrz. Patwin wołał za nią, ona jednak nie zwracała uwagi na niechciane przeprosiny.

Deszcz tymczasem zdążył się wzmóc. Jej włosy i suknia szybko nasiąkły wilgocią. Trzewiki znów ugrzęzły w błocie i szybko przemokły. Kiedy tak szła ku znienawidzonemu zamkowi, oślepiona przez krople deszczu mieszające się z jej łzami, poczuła się przeraźliwie osamotniona. Zaczęła ranek z niejasnymi nadziejami na znalezienie towarzystwa, tymczasem wszystko obróciło się przeciwko niej. Wyduсила z Patwina jedno, bardzo dla niej niemiłe wyznanie: Richius miał przed nią jakieś sekrety.

Dotarłszy do przedpokojów, zdjęła trzewiki i zostawiła je, by wyschły. Nie przejmując się chłodem posadzki, przeszła do kuchni. Zastała tam Jennę, która samotnie kończyła śniadanie. Ujrzawszy Sabrinę, służąca wstała. Suknia, którą rano tak podziwiała, była ciemna i przemoczona. Królowa nie zwróciła uwagi na zdumienie Jenny.

– Gdzie Jojustin? – zapytała.

– Z Richiusem – odpowiedziała. – Dobrze się czujesz, moja pani?

Sabrina nie odpowiedziała. Przyciągnęła ku sobie krzesło i usiadła. Deszcz przeniknął ją chłodem, a palce u nóg zdążyły już zdrętwieć. Kątem oka ujrzała na poły opróżniony puchar grzanego wina, którym nie tak dawno sycił się Jojustin. Sabrina chwyciła naczynie i wypila wino jednym haustem. Potem odstawiła puchar na stół z hukiem.

– Czy raczysz teraz zjeść śniadanie, moja pani? – spytała ostrożnie Jenna. Pytanie pozbawione było zwykłej złośliwości.

– Nie – stwierdziła krótko Sabrina. – Siadaj.

– Słucham?

– Siadaj – powtórzyła królowa. – Muszę z tobą pomówić.

Jenna usłuchała, patrząc na Sabrinę tak jak dziecko patrzy na zirytowaną matkę.

– Tak, moja pani – odezwała się cicho.

– Mam szesnaście lat – zaczęła Sabrina. – Czy uważasz, że jestem za młoda?

Jenna milczała przez chwilę, marszcząc czoło.

– Nie rozumiem, moja pani – stwierdziła po chwili.

– Pytam cię, czy nie sądzisz, że jestem za młoda dla Richiusa – wyjaśniła Sabrina. –

Czy nie o to chodzi? A może mnie nie cierpisz, bo pochodzę ze szlacheckiej rodziny, a ty nie?

Jenna wciąż milczała, z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

– Powiedz mi prawdę – naciskała Sabrina. – Chcę wiedzieć, co myślisz.

– Wybacz mi, moja pani – wybąkała wreszcie Jenna. – Nie chciałam cię urazić.

– Ależ chciałaś! Wiem o twoich uczuciach wobec Richiusa. Każdy w zamku o nich wie. Tak jak wszyscy wiedzą o tym, że i ja mam z nim problemy, prawda?

Jenna kiwnęła głową. Na ułamek sekundy ich spojrzenia się zetknęły – popatrzyły na siebie nie jak królowa i służąca, ale jak dwie kobiety zakochane w tym samym mężczyźnie. Sabrina poczuła żółć w gardle.

– Przekleństwo! – zatkała, zakrywając twarz połami mokrych rękawów. – Po co on mnie tu przywiózł? Chcę wracać do domu.

Ku swemu zaskoczeniu poczuła, że Jenna dotyka jej ramienia.

– Jesteś w domu – odezwała się łagodnie. Przemawiała teraz jak starsza siostra. – Teraz trzeba ci tylko czasu, Sabrino.

Młoda królowa chwyciła dłoń Jenny i ignorując szaleństwo swej wypowiedzi, zaproponowała:

– Zawrzyjmy przyjaźń. Jenno, jestem tu tak bardzo samotna. I boję się! Mój Boże, przecież już straciłam męża. Potrzebuję pomocy.

– Uspokój się – Jenna objęła Sabrinę i złożyła jej głowę w zgięciu swego łokcia. – Wcale nie jesteś sama. Twoje dobro wszystkim leży na sercu. Wybacz, że byłam tak podła w stosunku do ciebie. Myliłam się... nie wiedziałam...

– Nie – rzekła się Sabrina, rozpaczliwie łkając. – Wiem, że wiedziałaś.

– Kocham go – przyznała Jenna. – I poczułam, że mnie skrzywdzono.

– Wiem... Och, wiem!

Przez chwilę trwały w objęciach. Sabrina czuła jednocześnie wstyd i ulgę. Od czasu owego wieczoru w ogrodach imperatora Richius jej nie dotknął naprawdę i teraz z ochotą przytulała się do Jenny. Nagle poczuła się jak dziecko w objęciach matki, które nareszcie

może się wyplakać.

– Ja też go kocham – wyznała wreszcie. – Nie wiem, jak i skąd... ale go kocham. Tyle, że nie mogę do niego dotrzeć. Jest wobec mnie tak zimny.

– Ma na głowie mnóstwo spraw – Jenna niezbyt przekonująco usiłowała go usprawiedliwić. – Wojna...

– Nie, to coś innego – Sabrina cofnęła się i usiadła, pragnąc, by Jenna dobrze pojęła, o co jej chodzi. – On coś przede mną ukrywa. Wiem, bo Patwin przyznał się do tego. Nie sądzę, by chodziło o jego wojenne plany lub obawy przed powrotem do Lucel-Loru. Jest coś jeszcze... Coś, o czym wiedzą tylko Patwin i ten Dinadin.

– Mężczyźni – odpowiedziała Jenna, wydymając usta. – I dobrzy przyjaciele. Walczyli razem. Oczywiście, że mają swoje sekrety. Musisz się z tym pogodzić.

– Dobrzy przyjaciele? – spytała Sabrina, wycierając policzek rękawem sukni. – To dlaczego Dinadin od kilku miesięcy nie rozmawiał z Richiusem? I dlaczego Richius musi się z nim zobaczyć akurat dzisiaj? Nie! Powiadam ci, że chodzi o coś więcej. I z tego powodu tracę męża.

– Nie mów tak! – zachnęła się Jenna. – Przesadzasz, bo nie poświęcił ci należytej uwagi, jakiej się spodziewałaś. Posłuchaj, Sabrino. Znam Richiusa lepiej niż ty. Zapomnij o tym wszystkim, co sobie w związku z nim wyobrażałaś.

– Nie dotknął mnie od momentu, w którym przekroczyliśmy próg tego zamku! – stwierdziła Sabrina ostrym tonem. – Ani razu. I ty mi mówisz, bym się wyzbyła podejrzeń?

Jenna potrząsnęła głową.

– Strach ma tysiące sposobów na zabicie męskiej żądz. To przez te rozmowy o wojnie... i nic więcej.

– Mylisz się – odpowiedziała Sabrina. – Jeżeli mi nie wierzysz, spytaj Patwina. Będzie się wykręcał, tak samo jak w rozmowie ze mną. Spytaj go!

– Nie będę pytała – odpowiedziała ostro Jenna. – I ty też nie powinnaś. Jeżeli nawet jest coś, co Richius chce przed tobą ukryć, lepiej żebyś nie wiedziała. Sabrino, wojna robi z ludźmi dziwne rzeczy. Richius nie jest tym samym człowiekiem, który przed trzema laty ruszył do Lucel-Loru. Patwin też nie. Nie będziesz chciała wiedzieć, co ich tam spotkało. Kobieta nie powinna słuchać o takich sprawach.

Sabrina cofnęła się na swoje krzesło.

– Więc mi nie pomożesz? Po prostu nie przejęłaś się ani jednym słowem, które tu powiedziałam?

Jenna wstała, ostrożnie podniosła swój talerz i oba kubki, a potem zaczęła się cofać do kuchni. W połowie drogi do drzwi odwróciła się i spojrzała na Sabrinę.

– Sabrino, proszę – odezwała się błagalnie. – Zostaw to w spokoju.

– Jenno...

– Zostaw – powtórzyła służąca z naciskiem w głosie. Uśmiechnęła się lekko i wyszła do kuchni.

Sabrina w milczeniu odprowadziła ją wzrokiem. Czuła się tak, jakby wszyscy rano dziś powariowali, ona zaś jedna w zamku zachowała zdrowe zmysły. Pomimo jej pozycji w tym dworze, pomimo nowego, niezbyt pewnego sojuszu z Jenną czuła się bardziej osamotniona, niż kiedykolwiek przedtem. Machinalnie zaczęła wyciskać wodę z rękawów sukni, nie bacząc na to, że na podłodze tworzą się kałuże. Wzdrygnęła się, czując przebiegający ją dreszcz.

– Naprawdę jestem sama – szepnęła z goryczą i znów poczuła nieoczekiwany przypływ tęsknoty za Gorkney. Zapragnęła być w domu, w swojej izdebce, z której mogła przekradać się do piwnic, by poplotkować z Dasonem. Dasona jednak tu nie było, a jedyny pokój, jaki miała, musiała dzielić z Richiusem. „Gdyby choć nauczył mnie jeździć konno” – pomyślała smętnie. Mogłaby stąd odjechać.

Wstała powoli i potykając się, wyszła z małej komnatki. Po wąskich korytarzach hulały przeciągi, które sprawiały, że mokra suknia niemal zamarzła i Sabrina dostała gęziej skórki. Na górze czekała na nią sucha odzież i samotność we własnej sypialni. Richius z pewnością już gdzieś wyszedł. Przedostała się na górę najciszej jak mogła, wyglądając zza każdego rogu – nie chciała niespodzianie wpaść na męża. Wiedziała, że mocno by się zdumiał, ujrawszy ją w takim stanie, a potem musiałaby mu wszystko wyjaśnić. Ona jednak niewiele rzeczy nienawidziła bardziej, niż tłumaczenia się komukolwiek z czegokolwiek. Do sypialni dotarła, nie natykając się na nikogo, a gdy weszła do sypialni, na łóżku zobaczyła jedynie zmiętą pościel. Sabrina wysunęła się z przemoczonej sukni, rzucając ją na podłogę. Zaraz potem obok łóżka urósł stos mokrej bielizny. Wszystko upadło tuż przy dzienniku, który Sabrina rano wetknęła pod łóżko. Jakiś diabeł podszeptał jej, by go otworzyła.

Podbiegła do drzwi i wyjrzała ostrożnie na korytarz; choć była niemal naga, nie zwróciła na to uwagi. Korytarz był pusty. Bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi. Opadłszy na kolana obok łóżka, podniosła książkę o mocno już wytartej, skórzanej oprawie. Przepęniało ją obrzydzenie do siebie samej i strach, nie umiała jednak się powstrzymać. Przypomniała sobie ostrzeżenia Jenny. Czy naprawdę tego chciała? I natychmiast sobie odpowiedziała: „Tak!”

Dziennik otworzył się jak wysuszony, pożółkły kwiat. Z jego stron skoczyły na nią runy nieczytelnego pisma i imion nie do wymówienia. Zaczęła czytać, zdumiona i zaskoczona gwałtownością opisywanych przez męża uczuć i wydarzeń. Poczowała się tak,

jakby spojrzała wprost w duszę Richiusa. Przerzuciła strony, szybko przebiegając wzrokiem opisy bitew, aż dotarła do ostatnich stron.

– Dinadin – szepnęła, przeszukując nierówne pismo i patrząc za tym imieniem. Gdyby tylko mogła znaleźć w dzienniku to, co było pomiędzy nim i Richiusem...

I nagle się zatrzymała. Imię się pojawiło. Nie było to imię Dinadina. Należało do kobiety. Sabrina poczuła, że krew napływa jej falami do skroni. Z trudem zmusiła dłonie do spokoju, a palce do dalszego przewracania stron. Przeczując coś złego, zapragnęła odłożyć dziennik... i nie mogła. Oto natknęła się na coś, czego nie umiałyby sobie wyobrazić w najgorszych nocnych koszmarach. Czytała, choć kolejne słowa przebijały ją niczym ogniste ciernie. Czytała aż do końca, a potem opuściła dziennik na kolana, oszołomiona i zupełnie rozbita psychicznie.

Za oknami lało coraz mocniej. Sabrina spojrzała na nisko wiszące chmury i coraz ciemniejsze niebo. Nie mogła się podnieść, a całe jej ciało drżało z niemocy. Dowiedziała się tego, przed czym ostrzegała ją Jenna, mroczny sekret jej męża, który wyjawiał jej powód, dla którego Richiusa dręczyły złe sny i koszmary, i który pogrążał go w coraz bardziej ponurych myślach.

Chciała nazwać ten powód... i dowiedziała się imienia.

## Dwadzieścia dwa

– Jak było w dolinie Dring? – zapytała Sabrina niewinnie.

Pytanie to zawisło w powietrzu, jak ciśnięty kamień, rozbijając spokój dnia. Richius szarpnął ostro wodze, zatrzymując Błyskawicę.

– Co takiego? – spytał z niedowierzaniem w głosie.

Sabrina zatrzymała swego konia, kasztanową klacz nieco większą od kucyka i beztróskim gestem odrzuciła włosy na plecy. W siodle czuła się z każdym dniem lepiej i zupełnie już przypominała Jennę; zwłaszcza w pożyczonych od niej spodniach i butach do konnej jazdy. Na policzkach młodej królowej i na jej czole perlily się krople potu. Posłała mu uśmiech i zapytała:

– Dlaczego się zatrzymałeś? Idzie mi coraz lepiej.

Richius patrzył na nią bez słowa, czekając aż powtórzy poprzednie pytanie.

Sabrina skierowała swoją klaczkę tak, by móc spojrzeć mężowi w oczy, pociągając jedynie za lewy rzemień wodzów, tak jak ją uczył. Poczulby teraz dumę, gdyby nie przepełniała go wściekłość. A zapowiadało się na taki piękny dzień.

– Jak tam było? – Sabrina wreszcie powtórzyła pytanie. – Opowiedz mi.

– Myślałem, Sabrino, że wyraziłem się jasno. Nie lubię rozmawiać o Lucel-Lorze.

Dlaczego więc mnie o to pytasz?

Sabrina wzruszyła ramionami.

– Nie wiem... Ot tak, pytanie samo wpadło mi do głowy. Ostatnio wiele o tym myślałam.

– O czym myślałaś?

– O dolinie Dring, o Lucel-Lorze, o wszystkim... Martwię się o ciebie. Czy jest aż tak źle?

Richius potrząsnął głową. Jojustin miał rację... Sabrina czuła się opuszczona.

– Jestem nieco zmęczony – stwierdził. – Zatrzymajmy się tu i odpocznijmy. Jesteś głodna?

– Trochę – odpowiedziała Sabrina. Rozejrzała się po otaczającym ich lesie. Jechali wąską ścieżką, po obu stronach której rozciągały się trawiaste polanki, na których mogli się zatrzymać, zsiąść z koni i zjeść przygotowane przez Jennę śniadanie. Ostrożnie skierowała konia ku największej z nich i zawołała Richiusa. – Może tutaj?

– Może być – stwierdził. Zeskoczył z siodła i przywiązał wodze Błyskawicy do gałęzi najbliższego drzewka. – Pozwól, że ci pomogę.

– Mogę zsiąść sama.

– Nie, wolę ci pomóc.

Dziś rano spędził godzinę pokazując jej, jak ma dosiadać konia i jak nad nim panować, nie chciał więc teraz, by wszystkie nauki zniweczyła złamana kostka. Sabrina westchnęła, ale nie odpowiedziała i cierpliwie poczekała, aż mąż zsiądzie ze swego konia i podejdzie do niej.

– Teraz przypomnij sobie, co ci mówiłem. Oba rzemienie ujmij w lewą dłoń, a potem wyjmij stopę z prawego strzemiona.

– Pamiętam.

– Spokojnie – ostrzegł ją Richius, ujmując ją obiema dłońmi w pasie. – Teraz przełóż nogę nad grzbietem kłaczki. Trzymam cię.

– Wszystko w porządku.

Sabrina zgrabnie przeniosła nogę nad końskim grzbietem i zsunęła się prosto w ramiona czekającego Richiusa, który łagodnie opuścił ją na ziemię.

– Doskonale! – oznajmił z dumą. – Widzisz? Wiedziałem, że sobie poradzisz.

Pocałował ją w policzek, a potem wziął wodze kłaczki i uwiązał do tego samego drzewa, przy którym czekał już Błyskawica. Poszperawszy w jukach, wyjął pakunek z chlebem, serem i bażantem na zimno, który zabrali na drogę. Potem wyciągnął butelkę brandy. Trunek był podarunkiem od Arkusa, a dokładniej pochodził z piwnic króla Panosa z Goss. Wierny swemu słowu imperator zadbał o to, by w aramoorskim zamku nigdy nie brakowało tego napitku. Co tydzień otrzymywali kolejną beczułkę. Na koniec Richius wrócił do swego konia i zdjął z jego grzbietu ciasno zwinięty za siodłem wełniany koc. Podał go Sabrinie, która rozłożyła go na trawie. Był piękny, wiosenny wieczór, stanowiący przyjemną odmianę po niedawnych deszczach i Richius czuł zadowolenie, że wyjechał z żoną na konny spacer. Ożywiona przejażdżką Sabrina wyglądała pięknie, i młody król postanowił w duchu podziękować Jojustinowi za podsuniecie mu tego pomysłu. Powinien zaprosić Sabrinę znacznie wcześniej na taką wycieczkę.

– Prawda, że tu jest pięknie? – zapytał, siadając na kocu ze skrzyżowanymi nogami.

Wyciągnął rękę i pomógł Sabrinie zająć miejsce obok siebie. Dziewczyna skwitowała uprzejmość skinięciem głowy i zajęła się rozpakowywaniem jadła. Richius patrzył z rozbawieniem, jak usiłuje podważyć nożem korek butelki. Od jego wczorajszego powrotu z dworu Lottsów była cicha i spokojna. Miał nadzieję, że Sabrina na tej wycieczce odzyska wigor.

Gdy podała mu wyjęte z zawiniątka szklanki, Richius nalał brandy najpierw sobie, a potem jej. Odłożył butelkę i podniósł naczynie w toaście.

– Za ciebie, Sabrino – powiedział. – I za twoje wyczyny jeździeckie. Jestem pod

wrażeniem.

Sabrina dotknęła swoją szklanką brzeg jego naczynia.

– Dziękuję – powiedziała nieco formalnie. – Jesteś doskonałym, cierpliwym nauczycielem.

– Łatwo okazywać cierpliwość, gdy uczeń jest tak zdolny, jak ty. Radzisz sobie zaskakująco dobrze. Prawdę mówiąc, jestem zdziwiony.

– Mam po prostu ochotę do nauki – stwierdziła rzeczowo. – Chcę być bardziej samodzielna i wyjeżdżać, kiedy będę chciała.

Słowa zadźwięczały lodowato. Richius odstawił swoją szklankę.

– Przepraszam Sabrino – powiedział pospiesznie. – Świadom jestem tego, że nieco cię zaniedbywałem. Proszę, zrozum, byłem zajęty.

– Richiusie, nie musisz się przede mną tłumaczyć – stwierdziła. Oderwała kawałek chleba i podała go mężowi. – Wiem, że masz na głowie mnóstwo spraw.

– Jojustin i Jenna powiedzieli mi, że jesteś ze mnie niezadowolona. Czy to prawda?

– Jakże mogłabym być niezadowolona?

– Ale dzisiaj jesteś niezwykle milcząca.

– Doprawdy? Nie zauważyłam. Przypuszczam, że powodem jest to, iż całą uwagę musiałam poświęcić trzymaniu się w siodle.

– A zatem wszystko jest w porządku?

– Muszę się oswoić z nową dla mnie sytuacją – stwierdziła. – Nie jest mi miło, gdy wyjeżdżasz, ale wynajduję sobie jakieś zajęcia. Wczoraj na przykład rozmawiałam z Jenną. Mówiła ci o tym?

Richius kiwnął głową pewien, że Jenna nie opowiedziała mu wszystkiego.

– Miałaś rację, mówiąc, że to wspaniała dziewczyna – ciągnęła żona. – Naprawdę jesteś jej całym światem. Powiedziała mi, żebym się tak bardzo nie trapiła, że po prostu potrzebuję czasu, by do wszystkiego przywyknąć. I myślę, że ma rację. – Podała mu całego bażanta. – Możesz mi odciąć kawałek?

Richius zajął się krojeniem ptaka na porcje, oddzielając najpierw udka, potem piersi, a na koniec skrzydełka. Podczas pracy cały czas rzucał ukradkowe spojrzenia na Sabrinę.

– Moja droga, wczoraj musiałem wyjechać. Spotkałem się z kilkoma ludźmi. To naprawdę nie mogło już dłużej czekać. Z pewnością mnie zrozumiesz.

– Owszem, rozumiem – odparła zwięźle. – Mówiłam ci już w Nar, że się nie spodziewam, iż będziesz ze mną dzielił wszystkie sekrety. Jeżeli cię to zadowala, to i ja nie będę narzekała. – Przerwała by wziąć do ust kęs chleba. – A wczoraj, dobrze ci poszło?

Dla Richiusa wczorajsze spotkanie okazało się fiaskiem.



– Owszem – odparł po chwili. – Dość dobrze.

– Widziałeś się z tym... Dinadinem?

– Nie – odpowiedział. – Nie zastałem go w domu. – Poruszył się niespokojnie, pragnąc jak najszybciej zmienić temat.

– Naprawdę? Wyjechał gdzieś w tak paskudną pogodę? Jakież to dziwne. A więc trudziłeś się nadaremnie?

– Niezupełnie. Porozmawiałem z jego ojcem i powiedziałem mu o tym, co nam szykuje imperator. Dopiąłem więc swego, bo na tym mi najbardziej zależało.

– Och, to znaczy, że źle zrozumiałam Patwina. Powiedział mi, że bardzo ci zależało na spotkaniu z przyjacielem. Mówił, że musicie przedyskutować jakąś sprawę.

Richius poczuł, że na policzki wypęłza mu rumieniec. O co, u licha, ona go pytała? I co też napłócił jej Patwin? Nigdy nie rozmawiał z Sabriną o Dinadinie; był ogniwem, które łączyło go z Dyaną, a tego sekretu postanowił nigdy jej nie wyjawiać. Niespokojnie poruszył szklanką, patrząc jak kołysze się zawarty w niej bursztynowy płyn.

– Aaa... to nic ważnego – skłamał. – Dinadin to po prostu przyjaciel, którego dawno nie widziałem. Chciałem z nim tylko pogadać i wymienić najświeższe nowinki.

– I nie zastałeś go w domu? – naciskała żona. – Czy on nie wiedział, że przyjedziesz?

– Nie widziałem powodu, by go uprzedzać. Może powinienem posłać do Lottsów gońca, ale tego nie zrobiłem.

„I nie sądziłem, że na mój widok czmychnie jak królik – pomyślał z urazą. – Uparty dureń, ot co!”

– Szkoda, że się nie spotkaliście. Ale może pošlesz mu wiadomość i zaprosisz go do nas. Chciałabym się z nim spotkać.

I nagle cierpliwość Richiusa się wyczerpała.

– Sabrino, co to ma znaczyć? Skąd to nagle zainteresowanie Dinadinem? Powiedziałem ci już, że nie jest nikim ważnym. Przyjaciel, to wszystko.

Sabrina cofnęła się z wyraźną urazą.

– Przepraszam, nie zamierzałam wzbudzać twego gniewu. Po prostu chciałam ci pomóc. – Utkwiła spojrzenie w swojej porcji sera. – Masz rację, nie powinnam się wtrącać do męskich spraw.

– Sabrino, nie mów tak – odezwał się Richius po chwili milczenia. – Wybacz mój wybuch. Po prostu zirytowało mnie to, że tak się dopytujesz. Powiedz mi wprost, o co ci chodzi?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Właściwie o nic. Cokolwiek powiesz, będzie dobrze. Chciałam po prostu usłyszeć twój głos. Nie spędzamy za wiele czasu razem i pragnę wiedzieć, co się z tobą dzieje.

– Przyparłaś mnie do muru – stwierdził Richius. – Cały dzień cedziłaś słowo po słowie i nagle zalewasz mnie ich całym potokiem. Czujesz się aż tak bardzo zaniechana?

Podniosła na niego wzrok i spojrzała z takim smutkiem, że wystarczyło to za odpowiedź. Westchnął ciężko.

– Cóż... Od tej pory będzie inaczej, obiecuję – zaczął. – Sprawy zaczynają się toczyć własnym biegiem i nie muszę już poświęcać im aż tyle czasu. Zobaczysz. Od dziś będę z tobą spędzał każdy dzień... aż do wyjazdu do Lucel-Loru.

Sabrina skinęła głową.

– Rada to słyszę.

– To dobrze. Zacznijmy od zaraz. Spytaj, o co chcesz. Obiecuję, że odpowiem szczerze i bez uników.

– Nie... nie o to mi chodziło. Nie zamierzam być wścibska.

– Ale jesteś ciekawa, prawda? Chcesz się dowiedzieć czegoś o wojnie?

Sabrina znów skinęła głową z miną niewiniątka.

– No to pytaj – zachęcił ją Richius. – Pytaj, o co chcesz.

Sabrina wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy, Richius zaś natychmiast pożałował swej chępliwości.

– Mogę pytać o wszystko? – spytała szeptem.

– O wszystko.

– A więc, dobrze – odparła. – Chcę, byś mi opowiedział coś o dolinie Dring.

– O Dolinie? Ale dlaczego...

– Powiedziałaś, że mogę pytać o wszystko.

– Wiem, ale właściwie nie ma o czym opowiadać. To było okropne miejsce i cieszę się, że wyszedłem stamtąd cało i zdrowo. I nie da się rzec wiele ponad to.

– Nie, to nieuczciwe. Chcę dokładnie wiedzieć, co się tam wydarzyło. I chcę to usłyszeć od ciebie.

– Prawda wygląda paskudnie, Sabrino. I nie jest to opowieść dla dam.

– Więc nic więcej mi nie powiesz?

– Jeżeli nalegasz... – westchnął Richius. Mówił teraz ciszej, jak zawsze, gdy przychodziło do rozmów o Dring. – Ale to nie jest coś, o czym chciałbym pamiętać. Jeżeli spodziewasz się jakiejś bohaterkiej opowieści, to będziesz rozczarowana.

– Naprawdę były tam wilki?

Richius kiwnął głową.

– Patwin nazywał je wilkami bojowymi – ciągnęła Sabrina. – Powiedział mi, że szkolono je do zabijania.

– Patwin określił to bardzo łagodnie. Szkolono je tak, by rozdzierały gardła ofiar i zostawiały je, by te wykrwawiały się na śmierć. Wilki tymczasem rzuciły się już na kolejnego człowieka. Ćwiczone je w atakach na naszych ogniomistrzów, tak żebyśmy byli bezbronni podczas następującego zaraz potem ataku Drolów. Czy o tym także mówił ci Patwin?

Sabrina przełknęła ślinę i przecząco potrząsnęła głową.

– Tak właśnie myślałem. Pozwól, Sabrino, że coś ci powiem o dolinie Dring. Tam nie byliśmy ludźmi. Byliśmy po prostu karmą dla bestii Vorisa. Wiesz, po raz pierwszy w życiu tam właśnie zdałem sobie sprawę z faktu, że moje ciało to mięso.

Sabrina blada i przerażona uciekła spojrzeniem w bok.

– Chcesz wiedzieć więcej? – spytał z goryczą. – Jeżeli cię to ciekawi, mogę przytoczyć setki przykładów.

– Nie – szepnęła cicho. – Przepraszam...

Teraz jednak Richius nie zamierzał okazywać litości. Pochyliwszy się ku żonie rzekł cicho:

– Mogę ci opowiedzieć o każdym człowieku, którego tam straciłem. Znam ich wszystkich po imieniu. Chcesz wiedzieć, jaką śmiercią zginął Lonal? Albo Kally? Jimsinowi wilk rozszarpał gardło, Larenowi obcięto głowę...

– Przestań! – krzyknęła zrozpaczona Sabrina, zatykając uszy dłońmi. – Nie chcę tego słuchać!

Richius przerwał. Przepelniała go jakaś przewrotna satysfakcja. Poczul się jak ktoś, kto rzuca w twarz talistańskim weteranom wyznanie, że zbiera mu się na torsje, gdy słucha ich wojennych opowieści. Nikt się nie domyślał, przez co musiał przejść w Dring. W końcu wyciągnął rękę i pocieszająco poklepał Sabrinę po udzie. Dziewczyna nawet nie drgnęła; utkwiała spojrzenie w kocu.

– Wiesz już, dlaczego nie chcę o tym rozmawiać? – spytał. – Nie chodzi o ciebie, Sabrino. Nikt nie zdoła spokojnie wysłuchać moich opowieści.

– Czy nie masz stamtąd choć jednego dobrego wspomnienia? – spytała. – Wszystko było takie złe?

Richius zastanowił się nad pytaniem, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

– Wojna wydobywa z ludzi to, co w nich najlepsze i to, co najgorsze. Byłem w dolinie świadkiem czynów wielkiej odwagi, jeżeli o to chciałaś zapytać.

– Miałaś tam przyjaciół, prawda? Oprócz Dinadina i Patwina?

– Oczywiście. Miałem wielu przyjaciół.

– Byli wśród nich i Triinowie?

– Sabrino, nie rozumiem – stwierdził Richius. – Czego chcesz się dowiedzieć? Twoje

pytania mają jakiś cel, a ja nie wiem, dokąd zmierzasz. Powiedz mi po prostu, co cię martwi.

Sabrina znów się wyprostowała i obdarzyła go krótkim, ostrożnym uśmiechem.

– Przypuszczam, że się wygłupiłam. Po prostu pomyślałam sobie, że gdybyś podzielił się ze mną wspomnieniami, mogłabym cię lepiej zrozumieć. Chcę, żebyśmy się do siebie zbliżyli.

– Wielka w istocie jest łaska Arkusa – stwierdził Richius z westchnieniem. – Nie zasługuję na taką żonę jak ty. Sabrino, dotrzymam danego ci słowa. Teraz, gdy wiadomość o wojnie dotarła i do innych rodów, tamci mogą zająć się niektórymi sprawami za mnie. Będziemy mieli więcej czasu dla siebie. Zobaczysz.

Sabrina tylko skinęła głową, choć jej twarz nie zmieniła wyrazu. Zauważyła, że zachodnia część nieba zaczęła się powlekać rudawą mgiełką zmierzchu.

– Jesteśmy daleko od domu – stwierdziła. – Czy nie powinniśmy się zbierać do powrotu?

– Jeszcze nie – odpowiedział Richius, opierając się na łokciu. – Znam te ścieżki jak własną kieszeń. Mogę stąd wrócić do zamku po ciemku i w śnieżnej burzy. Odpocznijmy trochę, przecież miło jest być razem. Wiesz...

Nieopodal zamigotało nagle coś białego, co zwróciło na siebie uwagę zawsze czujnego Richiusa. Lśnienie w głębi lasu. Plama bieli wielkości człowieka. Richius znieruchomiał ze wzrokiem utkwionym gdzieś nad głową żony. Zjawisko, odległe o kilkanaście kroków, przypominało całun białej migotliwej mgiełki.

– Richiusie, czy coś się stało? – spytała Sabrina.

Mąż przyłożył palec do ust.

– Zachowaj spokój – ostrzegł. – Ktoś się czai w lesie za twoimi plecami.

Sabrina zamarła w bezruchu, a potem bardzo powoli zaczęła odwracać głowę. Jej rozszerzone nagłym przestrawem źrenice spróbowały prześledzić spojrzenie Richiusa. Potem znów znieruchomieli, jak dwoje przyłapanych na gorącym uczynku dzieci. Richius musnął językiem niespodzianie wyschnięte wargi. Cokolwiek to było, do złudzenia przypominało... Triina.

– Gdzie? – wyszeptała Sabrina. – Nikogo nie widzę.

Richius wskazał jej kierunek ruchem podbródka.

– Tam, przy zakręcie. Widzisz tę biel?

– Gdzie? – ponownie spytała Sabrina, mrużąc oczy.

Richius widział wśród drzew niewyraźną sylwetkę, unoszącą się jakby ponad ziemią porośniętą w tym miejscu mchem. Dziwaczne było to, że przy bezwietrznej pogodzie biała grzywa nieznajomego powiewała lekko, jak w podmuchach bryzy. W coraz bardziej

nikłym świetle dnia istota lśniła i drgała, patrząc na nich spokojnie, jakby rada ze spotkania. Richius zachnął się ze zgrozą, gdy wyciągnęło się ku niemu widmowe ramię.

– Mój Boże – wyszeptał, chwiejnie podnosząc się z ziemi.

Sabrina wyciągnęła dłoń, by ująć rękę męża.

– Co się dzieje? – spytała nagłaco.

– Nie widzisz go? – zdumiał się Richius. – Patrz, tam!

Sabrina spojrzała. Wstając z koca, schowała się za męża i popatrzyła raz jeszcze we wskazanym kierunku.

– Nikogo nie widzę! – jęknęła. – Powiedz mi, co to takiego?

Widmo wyszło spośród drzew i stanęło na drodze.

– Uśmiecha się do mnie! – stwierdził Richius. – On się do mnie uśmiecha!

Zjawa podeszła bliżej. Richius mógł się jej przyjrzeć lepiej niż przedtem. Doskonale znał te dobroduszne spojrzenie bystrych oczu i biały kosmyk włosów nad czołem. Znajomy mu był orli nos i charakterystyczne zmarszczenie brwi. Widmo patrzyło na niego nie jak na obcego, ale jak na starego towarzysza. Richiusa najbardziej zdumiał fakt, że wyraźnie mógł zobaczyć drzewa i krzaki za widmem, jakby było przezroczyste. Przejrzysta zjawa o uśmiechniętej twarzy przyjaciela.

– Boże, miej nas w swojej opiece! – jęknął, ujmując mocniej dłoń żony. – To Lucyler!

– Nikogo nie widzę... – wyszeptała Sabrina.

– Ależ on tu jest! O, tu! Co z twoim wzrokiem?

Sabrina szybkim ruchem cofnęła dłoń.

– Richiusie, widzisz widma! Tu nie ma nikogo!

– Jest! – upierał się Richius. I nagle zrozumiał. – Ty go nie możesz zobaczyć.

Ostrożnie postąpił krok do przodu. Lśniącą twarz Triina rozjaśnił stary, dobrze Richiusowi znany sarkastyczny uśmieszek. Wiedział, że to wszystko jest nierzeczywiste, ale poczuł ogromną radość. Podniósł dłoń, jak do powitania.

– Lucylerze? – zawołał. – To ty?

Widmo skinęło głową. Richius usłyszał słowa Sabriny, która gorączkowo przekonywała samą siebie, że mąż padł ofiarą nagłego ataku gorączki. Machnąwszy niecierpliwie dłonią, by uciszyć żonę, ruszył wolnym krokiem ku zjawie. Lucyler potrząsnął głową, jakby każąc mu się zatrzymać.

– Lucylerze? – zdziwił się Richius.

Znów ruszył w stronę widma, które i tym razem zmarszczyło brwi. Potem się odwróciło i zaczęło cofać pod osłonę drzew.

– Poczekaj! – zawołał Richius, ruszając chwiejnie za widmem. – Lucylerze, wróć! –

Zacisnął pięści i potrząsnął nimi w powietrzu. – Nie rób mi tego, zaraza na ciebie!

Wbił wzrok w las, licząc na to, że zobaczy gdzieś biel widma, widział jednak jedynie bezkresny labirynt gałęzi i liści. Lucyler odszedł albo skrył się gdzieś w gęstwinie drzew. I chciał, żeby Richius poszedł za nim. Było coś znaczącego w jego spojrzeniu, to samo chyba, co wołał do Richiusa w snach.

– Muszę pójść za nim – stwierdził. Obejrzał się na Sabrinę, która stała w miejscu, obejmując się ramionami. – Muszę z nim porozmawiać.

– Oszalałeś – stwierdziła żona krótko. – Richiusie, tam nikogo nie ma. Nikogo!

– Nie widzisz go, ponieważ on nie chce, byś go widziała. Chce porozmawiać tylko ze mną i z nikim innym.

– Kto chce z tobą porozmawiać? Kim jest ten Lucyler?

– Nie mogę ci powiedzieć, nie teraz. Nie widziałaś go, bo jest Triinem. To pewnie jakiś rodzaj tej ich magii, nie wiem. Ale muszę iść za nim.

– Richiusie, nie możesz mnie tu zostawić. Zaraz zapadną ciemności. A jeżeli...

– Wrócę przed zmierzchem. Po prostu poczekaj tu na mnie. Nie ruszaj się z miejsca. Zaufaj mi, znajdę cię.

– Richiusie, proszę... – zaczęła Sabrina błagalnie, mąż jednak już przepadł w lesie.

Słyszał jej głos, słyszał wołanie, nie zatrzymał się jednak, ani jej nie odpowiedział. Był na łowach, a zwierzyna zdążyła się już oddalić. Wokół niego zwierzał się coraz bardziej gęsty las, grube gałęzie starych dębów szarpały jego opończę i drapały twarz, więc przeciskając się przez gęstwinę, uniósł dłonie, chcąc osłonić oczy. Uważając na drzewa i spróchniałe pnie, jednocześnie pilnie nasłuchiwał śpiewu ptaków i rechotu ropuch. Wszystkimi zmysłami chłonał otaczający go świat i przepelniało go pragnienie życia, bardziej wyraźne niż kiedykolwiek od opuszczenia Lucel-Loru. Musiał tylko potwierdzić możliwość cudu – i gnała go wiara właściwa nowo nawróconym.

– Lucylerze! – zawołał. Przebiegł już ponad tysiąc kroków, nie natykając się na ślad przyjaciela. Ponownie zawołał imię Triina, licząc na to, że widmo pojawi się znowu. – Tu jestem! Pokaż się i przemów do mnie!

Odpowiedzią była cisza. Ciężko dysząc, pochylił się i zaczął badać wzrokiem otoczenie. Spływające mu z czoła krople potu zapiekły go w oczy, otarł je więc, by wyraźniej zobaczyć okolicę. Tuż obok przebiegł spłoszony królik. Richius poczuł, że miękną mu kolana i ukląkł na trawie.

– Niech cię licho porwie! – warknął. – Wiem, że cię widziałem. Wróc do mnie, proszę. Wróc...

Ogarnęła go rozpacz, taka sama jak wtedy, gdy się dowiedział o śmierci przyjaciela. Śmierci z rąk Vorisa. Śmierci, która była przeznaczona dla niego.

„Czy dlatego mnie nawiedzasz, przyjacielu?”

Powoli podniósł się z klęczek. Poczul, że zaraz opadną go torsje. Nogi, nad którymi nie umiał zapanować, drżały w kolanach osłabione biegiem i nagłą myślą, że oto zaraz opanuje go szaleństwo. Przecież duchy nie istniały, o czym słyszał jeszcze od ojca. Ci, którzy je widzą, to szaleńcy. Spojrzał w ciemniejące już niebo i przypomniał sobie o Sabrinie. Nie ma sposobu, by jej to jakoś wyjaśnić. Rano z pewnością wyśle list do Arkusa, prosząc go o anulowanie małżeństwa. O tym, że widział ducha, dowiedzą się też Patwin i Jojustin, którzy miłosiernie będą odwracać wzrok na jego widok – i któż może mieć do nich o to pretensje? Narzucono im króla wariata.

Wbił wzrok w ziemię i ruszył ku polance, na której zostawił Sabrinę. Przekonał się, że ma brudne buty i kolana, a sięgnąwszy dłonią ku głowie, znalazł liście we włosach, pokrytych kroplami żywicy, które kapały z gałęzi mijanych przedtem sosen. Gdyby nie pamięć o zagubionej w lesie Sabrinie, zostałby tu na zawsze. Była samotna i bezbronna. Mężczyznę zostawiłby samego, ona jednak była kobieta i jego żoną. Zaufała mu.

Przeszedł dziesięć kroków i zobaczył wychodzącego zza drzewa Lucylera. Ujrawszy go, zamarł.

– Jesteś... – odezwało się widmo niezupełnie ludzkim głosem. Dźwięczał nienaturalnie, ale był to bez wątpienia głos Lucylera, wyraźny, czysty i z niemożliwym do naśladowania triińskim akcentem. Bezbrzeźnie zdumiony Richius spojrział na widmową postać przyjaciela, która drgała lekko, jak odbity w wodzie wizerunek słońca. Bielszy od gołębiczy, cichy jak śmierć i przejrzysty jak błona oddzielająca jajko od skorupki. Niewypowiedzianie piękny. Zdumiewający. Richius zebrał całą swoją odwagę i ruszył zjawie na spotkanie.

– Żona myśli, że zwariowałem, duchu – wyszeptał. – Powiedz mi, że to nieprawda. Powiedz mi, że istniejesz niezależnie od mojego umysłu...

Lucyler, lub istota która się do niego upodobniła, parsknęła śmiechem.

– Słyszę cię – rzekł uradowany. – Na Lorrisa i Pris, słyszę cię!

– Kim jesteś? – spytał Richius. – Jesteś Lucylerem?

Widmo spojrzęło na swoje dłonie i rozpostarło palce.

– To naprawdę działa – oznajmiło. – Richiusie, naprawdę tu jestem! Niebypałe!

– Jesteś? Znaczy... To naprawdę ty?

– A któżby inny – odparła zjawa. – Lucyler!

Richius ogarnięty wątpliwościami cofnął się o krok.

– Jakże to? Przecież cię zabito.

– Nie bój się mnie – rzekło widmo błagalnym tonem. – Wcale nie jestem martwy. I nie patrzysz na ducha. To ja, we własnej osobie.

– Rzeczywiście, jest podobieństwo – stwierdził Richius, podchodząc znów bliżej. Sięgnął dłonią ku mglistej postaci przyjaciela i przekonał się, że przeszła na wylot.

– To nie ciało – wyjaśnił Lucyler. – Nie da się go dotknąć. Ale to ja, nikt inny, przyjacielu.

– Ale jak to możliwe? – wyszeptał Richius. – Czym jesteś, Lucylerze?

Lucyler wyciągnął ostrzegawczo rękę.

– Richiusie, nie mogę ci tego teraz powiedzieć. Niełatwo utrzymać ten kształt. Słuchaj więc uważnie, muszę się pospieszyć.

– To za mało – stwierdził Richius. – Powiedz mi, co ci się stało? Czym jest ten kształt? Jesteś gdzieś indziej?

– Tak, nic mi nie jest – odpowiedział Lucyler. – To wszystko, co ci mogę na razie powiedzieć. Musisz mnie wysłuchać...

– Gdzie jesteś? – dopytywał się dalej Richius. – Żyjesz, a jednak jesteś widmem? Wyjaśnij mi to... Natychmiast.

– Żadnych pytań! – wykrzyknął Lucyler. – Nie ma na to czasu. Mam ci coś do powiedzenia, a ty musisz mnie wysłuchać!

Richius parsknął śmiechem. Choć rzecz z pozoru była niemożliwa, to nerwowe widmo naprawdę było Lucylerem.

– Słucham – rzekł i wydało mu się, że Lucyler westchnął.

– To, co widzisz, to tylko projekcja. Powiedziano mi, że wydam ci się duchem, zapewniam cię jednak, że nim nie jestem. Od kilku dni usiłowałem do ciebie dotrzeć, ale aż do dziś mi się to nie udawało.

– Sny... – stwierdził Richius, pojmując nagle istotę dręczących go koszmarów.

Lucyler kiwnął głową.

– Opierałeś się. Przybrałem więc kształt, którego nie mogłeś zignorować.

– Ale moja żona cię nie widziała. Dlaczego?

– Przyjacielu, mogę się ukazać tylko tobie, a nie komuś, kogo nie znam. Nie pytaj mnie, dlaczego tak jest, bo sam tego nie wiem. Ale tracę tylko czas. Czy pamiętasz ten płaskowyż w górach, o którym mi opowiadałeś?

– Owszem, pamiętam – stwierdził Richius, przypominając sobie płaski pagórek przy Przesmyku Saccenne, krętym wąwozie przecinającym Góry Żelazne, przez który można się było przedostać z Aramooru do Lucel-Loru. Odkrył go sam, będąc jeszcze księciem. Planowali nawet, że się tam wycofają, jeżeli Tharnowi i jego poplecznikom uda się ich wyprzeć z Lucel-Loru. – I co z nim?

– Musisz tam jakoś dotrzeć – stwierdził Lucyler. Jego wizerunek zaczął się lekko rozmywać. Triin zmarszczył brwi, skupiwszy się na przekazaniu myśli. – Tam



będziemy mogli porozmawiać bezpiecznie. Weź ze sobą zapasy na długą podróż. Spotkamy się tam za trzy dni.

– Co takiego? Nie mogę teraz opuścić Aramooru, a ty nawet nie wiesz dokładnie, gdzie jest ów płaskowyż. Nigdy go nie znajdziesz.

– Znajdę – upierał się Lucyler. – Musisz się tam ze mną spotkać.

– Ale dlaczego właśnie tam? Dlaczego nie przyjedziesz do naszego zamku? Po co te wszystkie sekrety?

– Richiusie, błagam! Nie ma czasu na sprzeczki. Przyjedziesz, czy nie?

– Nie! – odpowiedział Richius gniewnie. – Chyba, że mi podasz konkretny powód. Jeżeli masz jakąś tajemnicę, wypłuj ją z siebie. Powiedz mi, co jest tak cholernie ważne!

Twarz Lucylera zaczęła się rozmywać.

– Richiusie, zaufaj mi! – poprosił. – Spotkajmy się w górach.

– Lucylerze! – zażądał Richius. – Powiedz mi prawdę. Czego ode mnie chcesz? Z jakiego powodu uciekasz się do tej przeklętej magii?

– Chcesz dowodu? – zapytał gniewnie Lucyler. – Doskonale. Powiem tylko jedno słowo. – Pochyliwszy się ku Richiusowi, rzekł wyraźnie. – Dyana.

Richius cofnął się o krok, jak rażony gromem.

– Mój Boże! – jęknął. – Co ty mówisz?

– Ta kobieta żyje – stwierdził Lucyler. – I wiem, gdzie można ją znaleźć.

– Skąd wiesz? W jaki, u diabła, sposób dowiedziałeś się jej imienia?

Widmo znów uniosło w górę przezroczyście ręce.

– Żadnych więcej pytań. Zrób, o co cię proszę, a odpowiem na wszystkie. Ale teraz nie pytaj już o nic. Richiusie, nie mogę już tu zostać. Gubię się...

– Nie! Do stu czartów, nie! Nie zostawiaj mnie teraz! Powiedz mi o niej!

– Przybędziesz na spotkanie?

– Gdzie ona jest?! – zagrzmał Richius.

– Bezpieczna, Richiusie, przysięgam, że jest bezpieczna. – Lucyler podpłynął nieco bliżej. – Przybędziesz na spotkanie?

– A mam jakiś wybór? – zaśmiał się gorzko Richius. – Zjawię się tam, gdzie chcesz. Ale... mój przyjacielu, zechciej przyjąć ostrzeżenie. Jeżeli spróbujesz mnie w jakikolwiek sposób podejść, zabiję cię. Słyszysz?

– Słyszę – odpowiedziało widmo. – Richiusie, z pewnością mi to wybaczysz. Wiem, że mi wybaczysz. – Widmo zaczęło się rozmywać w powietrzu. – Za trzy dni, pamiętaj.

– Za trzy dni – zgodził się Richius. – A jeżeli cię tam nie będzie, to cię poszukam. I nie skryje cię przede mną żadna magia ziemi, niebios czy piekieł.

Widmo uśmiechnęło się przepaszająco, zadrżało na chwilę, a potem znikło z cichym

trzaskiem, jak mydlana banieczka. Richius został sam w gęstniejących wokół niego ciemnościach. Krzywiąc się z bólu, zaczął wyplątywać gałązki z włosów, klnąc w duchu i zastanawiając się, czego tak naprawdę doświadczył. Był to niewątpliwie Lucyler, ale jakim cudem się tu znalazł? I dlaczego go nawiedził? Jakież niesamowite wieści miał dla niego Triin? Ogarnął go zimny gniew. Jeżeli ma uwierzyć zjawie, musi przyjąć, że Dyana wciąż żyje i może czeka na niego, jak to sobie wyobrażał we snach. Zamknął oczy, by odciąć się od zalewu pytań. Powinien spotkać się z Lucylerem, dowiedzieć się, gdzie przetrzymują Dyanę i...

I co dalej? Lucyler polecił mu spakować się do podróży. Czy go do niej zaprowadzi? A on sam, czy zdoła ją uratować? Lucel-Lor należał teraz do Tharna. Czy zdoła się przemknąć tak, by nikt go nie zobaczył?

Powoli zaczął przedzierać się przez poszycie, kierując się do miejsca, gdzie zostawił Sabrinę. Zmierzch nadciągał coraz szybciej, rzucając pokrętne cienie gałęzi na mchy podłoża. Gdzieś nad nim, wśród gałęzi, pohukiwała sowa szykująca się do nocnych łowów. Zbliżała się pora, gdy gryzonie kryły się w swoich norkach, a mądrzy ludzie zamykali drzwi. Ta myśl dodała Richiusowi skrzydeł. Sabrina po raz pierwszy chyba znalazła się samotnie w lesie i niewątpliwie drżała na myśl o nadciągającym zmierzchu. Będzie wściekła, on zaś jakoś musi to jej wyjaśnić. Śmigając od drzewa do drzewa, zastanawiał się, jakie kłamstwa najlepiej mu posłużą.

Po kilku minutach wypadł na niewielką polankę, w miejscu, gdzie z pewnością zostawił Sabrinę. Szybkim spojrzeniem obrzucił koc i częściowo zjedzony bochenek chleba. Wierzchowiec wciąż stał przy drzewie, do którego go uwiązał. Ale zwierzę było samo. Mała kłaczka, na której przyjechała tu Sabrina, gdzieś przepadła. Jego żona też...

\* \* \*

Wrócił do domu po zmierzchu i przekraczając bramę, skinął lekko głową wartownikowi przy bramie. Nie pognał do zamku na ośle, choć wiedział, że tak właśnie powinien zrobić. Zamiast tego wybrał szlak bardziej malowniczy i okrężny. Sabrina z pewnością już tam była, a jeżeli nie... cóż, na chwilę odwlecze moment tłumaczeń. Czekał na niego cały kocioł wrogości i zanim zacznie się w nim warzyć, postanowił uporządkować myśli. Wciąż mu drżały dłonie i czuł skurcze w żołądku. Bez przerwy też coś brzęczało mu w głowie, a każda jego myśl była zabarwiona odrazą do samego siebie. Prawie nie myśląc o tym, co czyni, rozsiodłał Błyskawicę i poprowadził konia do stajni. Na dziedzińcu panowała cisza. W oknach zamku płonęły już świece. Richius wiedział, że na niego czekano. Jojustin krążył już po korytarzach niczym inkwizytor. Richius jęknął.

Nie potrafiłby odpowiedzieć na żadne ze spodziewanych pytań.

Kiedy dotarł do stajni, ze zdziwieniem odkrył, że drzwi stoją otworem. W głębi, oświetlone światłem jednej lampy, widział jedno oblicze, które mierzyło go wściekłym spojrzeniem. Patwin tak silnie zacisnął zęby, że na skroniach wystąpiły mu mięśnie. Za nim stała mała kłaczka Sabriny, beztrąsko grzebiąca kopytem w podściółce. Usłyszawszy kroki wchodzącego, zwierzę podniosło głowę, spojrzało na Richiusa i wróciło do skubania owsa. Kłaczka była spokojna i wypoczęta – najwidoczniej Patwin czekał już dość długo.

– Wróciła bezpiecznie – stwierdził Richius, skinieniem dłoni witając przyjaciela. – To dobrze.

– Dobrze? – zachnął się Patwin. – I tylko tyle masz do powiedzenia?

Richius przeprowadził Błyskawicę obok, nie obdarzając Patwina ani jednym spojrzeniem.

– Tylko tyle.

Patwin chwycił go za ramię i obrócił ku sobie, wbijając w niego wściekłe spojrzenie zmrużonych oczu.

– Nie łzyj! – warknął ostrzegawczym tonem. – I tak będziesz musiał się dziś w nocy komuś tłumaczyć. Równie dobrze możesz zacząć ode mnie.

– Patwinie, okaż mi trochę litości – rzekł Richius błagalnie. – Nie będę się z tobą spierał, nie mam siły. Zostaw mnie, proszę, w spokoju.

– Pierwej piekło zamarznie! – syknął Patwin, przejmując od Richiusa wodze jego konia. – Chcę wiedzieć, co się tam stało. Sabrina wróciła zalana łzami i łkając, oznajmiła nam, że zwariowałaś. Twierdziła, że zobaczyła ducha. Wszyscy w zamku zaczęli się zastanawiać, co cię napadło. Jak mogłeś ją tak zostawić? Coś ty sobie pomyślał?

Richius cofnął się o krok i usiadł na snopie słomy, opadając niemal bezsilnie na kłującą masę. Potem przetrął dłońmi twarz. Nie bardzo wiedział, od czego zacząć. W jego opowieść trudno byłoby uwierzyć komuś przy zdrowych zmysłach, a to, co potem uczynił, nie dało się niczym usprawiedliwić. Patwin patrzył na niego z góry, nie okazując cienia współczucia. Czekał na jakąś odpowiedź, w którą mógłby uwierzyć, choćby to było wymyślne łągarstwo. Richius nie był pewien, czy przyjdzie mu do głowy coś przekonującego.

– Nie zostawiłem jej – stwierdził wreszcie załamującym się głosem. – To trwało tylko parę minut. A kiedy przyszedłem, już jej nie było. Czy wszystko z nią w porządku?

– Nie twoja to zasługa! – warknął Patwin. – Co tam się stało?

Richius otworzył już usta i nagle umilkł, nie potrafiąc znaleźć odpowiednich słów.

– Nie umiem rzec – wybąkał wreszcie. – Patwinie, gdybym ci opowiedział, za nic

byś mi nie uwierzył.

– Może będzie lepiej, jeżeli spróbujesz – sapnął Patwin. – Od powrotu Sabriny do domu czeka na ciebie Jojustin, a w życiu nie widziałem go tak rozjuszonego. On nie dba o to, czy jesteś królem, czy nie. Musisz mu udzielić odpowiedź dość dobrą, by go zadowoliła.

– Do diabła z nim – zgrzytnął zębami Richius. – Jest ostatnią osobą, o którą bym się martwił. Co ci powiedziała Sabrina?

– Że zwariowałeś – stwierdził krótko Patwin. – Zobaczyłeś jakiegoś Triina, którego tam wcale nie było, a potem pognałeś za nim do lasu. I co, Richiusie? Czy tak właśnie było? Bo jeżeli nie masz niczego lepszego, to się nie spodziewaj, że ci ktokolwiek uwierzy.

Richius podniósł wzrok na Patwina.

– Czy powiedziała coś jeszcze? Mówiła, kogo zobaczyłem?

– Nie mogła sobie przypomnieć – stwierdził Patwin. – Utrzymuje tylko, że był to jakiś Triin, którego znałeś w dolinie Dring. – Patwin zmrużył oczy. – Ale chyba się domyślam.

– To był Lucyler – rzekł Richius z naciskiem w głosie. – I powiem ci szczerze, że nie zwariowałem. Widziałem go, jak ciebie teraz. Był tam.

Wyraz niepokoju na twarzy Patwina jeszcze się pogłębił.

– Och, Richiusie... Proszę, wejdźmy do środka. Powinieneś odpocząć.

– Do jasnej cholery! – zawrzał nagle Richius, porywając się na nogi. – Widziałem Lucylera! Sabrina nie mogła go zobaczyć, bo nie chciał się jej ukazać. Nie wiem, jak tego dokonał, nie wiem, po co miałby sobie stroić takie żarty, ale tak naprawdę było... A jeżeli i ty mi nie uwierzysz, to istotnie łagodnie i cicho zwariuję! Musi mnie wreszcie ktoś wysłuchać!

– Niech tak będzie – rzekł Patwin pojednawczym tonem. – Siadaj i mów. Zamieniam się w słuch.

Richius westchnął i opadł na wiąznię siana. W głowie mu huczało i obronnym gestem przyłożył dłoń do czoła. Wiedział, że rano będzie bolała go głowa jak po najgorszym z napadów kaca. Uśmiechnął się jednak do Patwina, gdy ten siadał obok niego. W oczach towarzysza znów pojawiła się troska. Główną cechą, która go tak w nim ujmowała było to, że nigdy nie chował długo urazy.

– Nie bardzo wiem, od czego zacząć – stwierdził Richius w końcu. – Jedliśmy jakąś kolację na poboczu drogi, rozmawialiśmy i nagle... Zobaczyłem go.

– A o czym rozmawialiście? – spytał Patwin.

– O dolinie Dring – rzekł krótko Richius. – Nie udawaj, że Sabrina ci tego nie

powiedziała. Mój drogi, to nie wystarczy, żebym zaczął widywać duchy.

– Ale napięcie i zdenerwowanie...

– Posłuchaj! Nie zwariowałem! Sabrina uważa, że tak, ale ja cię zapewniam, że jestem przy zdrowych zmysłach! Lucyler nie podszedł do mnie tak sobie i nie powiedział: „Witaj”. To była zjawy. Nie umiem tego opisać, ale to przypominało go kształtem. On to określił jako... projekcję.

– Mówił do ciebie?

– Owszem. Kiedy zostawiłem Sabrinę i pognałem za nim w głąb lasu. Znikł, ale ja wiedziałem, przeczuwałem, że on chce mi coś powiedzieć, więc pobiegłem za nim.

– I wygląda na to, że go znalazłeś.

Richius kiwnął głową.

– Pokazał mi się ponownie i mogę chyba rzec, że nie było to dla niego łatwą rzeczą. Był jak duch, cały w bieli i niemal przejrzysty. Powiedział mi, że nie zdoła długo utrzymać tej formy. Wiesz, w pewnej chwili wydało mi się, że on jest tym wszystkim równie zaskoczony, jak ja.

– Ale co ci powiedział?

– Właściwie to niewiele. – Richius odwrócił się do Patwina i chwycił go za rękaw. – Patwinie, chcę cię o coś zapytać. Odpowiedz mi uczciwie i szczerze?

– Oczywiście – zapewnił go przyjaciel. – Pytaj, o co chcesz.

– Czy kiedykolwiek rozmawiałeś z Sabriną o Dinadinie? Pytała mnie o niego. Wydaje mi się, że ona wie znacznie więcej, niż powinna.

Patwin zbladł.

– Przepraszam cię, Richiusie. Myślę, że powiedziałem jej więcej, niż zamierzałem. Przyszła tu do mnie wczoraj rano i zaczęła wypytywać o Dinadina. Chciała zostać z tobą w domu, a ja rzekłem jej, że musisz wyjechać, by się z nim rozmówić. Chciała się dowiedzieć, dlaczego to takie ważne, a ja nie bardzo mogłem coś tak szybko wymyślić. Zaczęła coś podejrzewać.

– Ale o Dyanie nic nie wie?

– Boże, nie! A jeżeli już, to z pewnością nie ode mnie. Dlaczego pytasz?

Richius opadł na snop i zmarszczył brwi.

– Wypytywała mnie o dolinę Dring i o Dinadina. Kiedy jej rzekłem, że w zasadzie nie ma o czym opowiadać, nie bardzo chciała uwierzyć. Ona się czegoś domyśla, Patwinie. Nie wiem, skąd. Nigdy nie mówiłem jej niczego o Dinadinie, bo nie chciałem, by wydobyła z niego jakieś wiadomości o Dyanie. Ona jednak skądś się czegoś dowiedziała.

– Ja jej niczego nie powiedziałem – odpowiedział poważnie Patwin. – Przysięgam.

– Nie martw się, wierzę ci. Sęk w tym, czy ty mnie wierzysz?

– Chciałbym – odpowiedział Patwin ponuro. – Ale Lucyler nie żyje, Richiusie, został schwytany przez Vorisa. Jak mogłeś go widzieć? To nie ma sensu!

– On nie jest martwy. Widziałem go, a przynajmniej widziałem jakiś jego wizerunek. Jak ci już powiedziałem, nie mógł dostatecznie długo utrzymać tego kształtu, nie miał zbyt wiele czasu, by mi wszystko wyjaśnić. Ale to był on. Tego przynajmniej jestem pewien.

– I co ci powiedział? Jeżeli nie jest martwy, to gdzie się podziewa. Nic mu nie jest?

– Chyba nie – powiedział Richius z rozmysłem. – Tak przynajmniej mówił. Nie rzekł zresztą za wiele, tyle tylko, że powinniśmy pomówić. Mam się z nim spotkać na naszym płaskowyżu w górach za trzy dni.

– Co? – Patwin w ułamku sekundy stracił zimną krew. – Mówisz poważnie? Masz się spotkać z nim właśnie tam? Richius tylko kiwnął głową.

– I ty, tak po prostu zamierzasz jechać? Jeżeli naprawdę się nad tym zastanawiasz, to w istocie zwariowałeś! Dlaczego miałbyś pakować się w te góry?

– Muszę – odpowiedział Richius, wciąż niepewny, czy powinien wyjawić powód.

– To niebezpieczne! – stwierdził Patwin, zniżając głos. – Z tego, co wiemy, wśród tych gór mogą siedzieć Drolowie. Niechętnie to mówię, ale czy nie przyszło ci do głowy, że to może być pułapka. Nawet jeżeli był to Lucyler, którego znaliśmy, któż z nas wie, co się z nim działo po opuszczeniu przez nas doliny? Mógł nawet przystać do Drolów!

– Przestań! – przerwał mu Richius. – Nie mów nawet takich rzeczy! Lucylerowi zawierzyłbym własne życie. Ty też raz tak uczyniłeś, Patwinie! On nie jest zdrajcą i doskonale o tym wiesz. Jeżeli mówi, że musimy ze sobą porozmawiać, to znaczy, iż jest po temu powód.

– Naprawdę? – spytał Patwin. – I jakież to powód, jeżeli wolno zapytać? Jeżeli tak bardzo mu zależy na rozmowie z tobą, dlaczego po prostu nie przybył do zamku? Po co ta cała magia i te bzdury?

– Nie wiem – przyznał uczciwie Richius. – Nie potrafił mi tego wyjaśnić.

– Ach tak? Jakież to wygodne! Ale ty i tak pojedziesz. Richiusie, cóż mam rzec, żeby cię odwieść od tego zamiaru? To idiotyzm. Posłuchaj mnie, proszę, i zrezygnuj z tej podróży.

– Patwinie, nie powiedziałem ci wszystkiego – odparł Richius z desperacją w głosie.

– Nie pojechałbym, gdybym nie musiał, ale niestety muszę. – Pochylił się ku przyjacielowi i rzekł ochryplym szeptem: – On wie, gdzie trzymają Dyane.

Twarz Patwina zbladła.

– O mój Boże! – jęknął. – Tak powiedział?

– Tak powiedział.

– Więc gdzie ją trzymają?

– Tego mi nie zdradził. Chce, bym przybył na tamten płaskowyż. Wtedy mi powie, gdzie mam jej szukać. A przynajmniej tyle mi obiecał.

– I nie wydaje ci się, że to pułapka? Richiusie, pomyśl choć przez chwilę! Może użyli Dyany, jako przynęty, by ściągnąć cię w góry. Idę o zakład, że on nawet nie wie, gdzie jej szukać, ale wie doskonale, że za nią pójdziesz choćby do piekła!

Richius potrząsnął głową.

– Wcale tak nie uważam. Lucyler przecież nie wiedział, kim dla mnie jest Dyana. Po tym, jak ruszyłem do Ackle-Nye, nawet go nie widziałem. Kiedy spotkałem Dyane, on już pewnie był więźniem Vorisa. A poza tym, ufam mu. Lucyler nigdy by mnie nie zdradził.

Patwin głęboko odetchnął i wbił wzrok w podłogę stajni, kopiąc czubkami butów kępki siana.

– Cóż, nie mogę ci pozwolić, byś podjął tę szaleńczą wyprawę samotnie. Jeżeli ruszymy rano, zdążymy za trzy dni na ten płaskowyż. Ale powinniśmy wymyślić jakiś dobry powód dla Jojustina. I dla Sabriny.

Richius wyciągnął dłoń i położył ją na ramieniu przyjaciela. Przy każdej innej okazji byłby rad towarzystwu Patwina, wiedział jednak, że teraz podejmuje się niemal misji samobójczej i w żaden sposób nie mógł przyjąć oferty Patwina. Młodzieniec miał rację, Góry Żelazne były prawdopodobnie pełne Droli, czyhających tylko, by zabić kogoś takiego jak on. Tym razem musi samotnie stawić czoła Triinom.

– Podróż może mi zająć trochę czasu – powiedział. – I nie wiem, dokąd zabierze mnie Lucyler. Jeżeli Dyana wróciła do doliny Dring, będę musiał po nią pojechać. I może się okazać, że nie wrócę.

– Jeżeli usiłujesz odwieść mnie od zamiaru towarzyszenia sobie, to wybij to sobie z głowy. Będziesz mnie potrzebował.

– Owszem – przyznał Richius. – Prawdopodobnie tak. Ale nie mogę dopuścić, byś ryzykował życie dla Dyany. Tylko ja mogę to zrobić. Chcę, żebyś tu został i zadbał o Sabrinę. Ona też będzie cię potrzebować, może nawet bardziej, niż ja. Szczególnie, jeżeli nie wrócę.

– Richiusie... – zaczął Patwin, ale ten uniósł dłonie, by go uciszyć.

– Nie sprzeciwiaj mi się, Patwinie, nie teraz. Przemyślałem to wiele razy. Nie może być inaczej. Rano wyjeżdżam na płaskowyż. Sam!

– Nie! – zachnął się Patwin. – Jesteś królem. Ochrona twojej osoby należy do moich obowiązków.

Richius mocniej uściśnił ramię Patwina, usiłując go uspokoić.

– Do twoich obowiązków należy także słuchanie moich rozkazów. Sam wiesz, że niezbyt często je wydaję. Czy wykonasz choć ten jeden?

– Jakże mogę go wykonać? – spytał Patwin łamiącym się głosem. – Nie masz pojęcia, co zastaniesz tam w górach i co przygotował dla ciebie Lucyler. Może się okazać, że jedziesz prosto ku swojej zgubie.

– I oto jeszcze jeden powód, by tu zostać. Bez urazy, mój dzielny Patwinie, ale jeżeli Drole zechcą tam na mnie zapolować, to nie na wiele mi się przydasz. Zabiją i ciebie... i tyle będzie z tego pożytku.

– To zginę, broniąc mojego króla – oznajmił Patwin – jak przystało aramoorskiemu gwardziście.

Richius nie potrafił ukryć uśmiechu. Jasnowłosego przyjaciela będzie mu brakowało bardziej, niż kogokolwiek innego z zamku. W podjęciu ostatecznej decyzji pomogła mu wizja Patwina wiszącego na jednej z szubienicy Drolów. Wstał z miejsca, dumnie się prostując.

– Patwinie, wierz mi, że bardzo bym chciał, abyś mi towarzyszył. Kiepskim jednak okazałbym się przyjacielem, gdybym zażądał, byś zaryzykował życie dla kobiety, której nawet nie znasz. Zostań w zamku i zadbaj o Sabrinę. Ja postaram się wrócić tak szybko, jak tylko będę mógł.

Patwin spojrział ponuro.

– A co powiesz Sabrinie?

– W zasadzie niewiele więcej ponad to, co już jej powiedziałem. Ona i tak zresztą uważa, że zwariowałem. Nie sadzę, by była zdziwiona, kiedy jej oznajmię, że jadę się zobaczyć z Lucylerem.

– A o Dyanie jej powiesz?

W tym momencie Richius zagryzł wargę.

– Może. Jeżeli już wie o Dyanie, spróbuję jej to jakoś wyjaśnić. Jeżeli nie wie... – Zamilkł i wzruszył tylko ramionami.

– Jojustin jest bardziej rozjuszony, niż wilk w niedźwiedzim uścisku – ostrzegł go Patwin. – Jemu też będziesz musiał wszystko opowiedzieć. Może chcesz, bym poszedł z tobą?

– Nie – odpowiedział Richius, ruszając ku drzwiom. – Nie ma sensu, by cię w to wciągać, bo i tak siedzisz w tym po uszy. Sam się rozmówię z Jojustinem. Ty się lepiej prześpij. Zobaczymy się rano.

Wyszedł ze stajen i ruszył przez pogrążony już w mroku dziedziniec ku zamkowi. Na widok płonących w oknach świec poczuł, że jakaś zimna pięść zaciska mu się na



zołądku. Gdzieś tam, za tymi szybami, była Sabrina, która czekała na jego powrót. Pewnie się o niego martwiła, i Richius skłął się w duchu za to, że kazał jej czekać tak długo. Dlaczego od samego początku przysparzał jej tylko zmartwień? Szybko przeciął dziedziniec, gdyż spieszo mu było uciec przed nocnym chłodem, i cicho, jak tylko potrafił, wkradł się do przedsionka, licząc na to, że znajdzie Sabrinę, zanim zobaczy go Jojustin. Staruszek był jednak czujny niczym jastrząb. Wyłonił się z cienia w tej samej chwili, kiedy Richius zaczął zdejmować opończę.

– Gdzie byłeś? – zapytał lodowatym tonem. Szczupła, poorana zmarszczkami twarz starego sługi stężała z gniewu.

– Na przejażdżce – odpowiedział Richius, licząc na to, że uda mi się uniknąć tłumaczeń. – Gdzie Sabrina?

– Nie próbuj mi mydlić oczu! – ostrzegł go. – Jestem w bardzo złym humorze i chcę, byś mi odpowiedział, gdzie byłeś aż do wieczora?

– Jojustinie, jest już późno, a ja jestem zmęczony. Powinienem jeszcze porozmawiać z Sabriną. Gdzie ona jest?

– W kuchni, z Jenną. Wróciła do zamku w fatalnym humorze i bliska paniki. Richiusie, chcę wiedzieć, co między wami zaszło?

– Później... – rzucił Richius, niecierpliwie mijając sługę. – Porozmawiam z tobą rano.

Usłyszał, jak Jojustin sapie z gniewu, ale postanowił zignorować jego wściekłość. W całym zamku była tylko jedna osoba, której winien był wyjaśnienia. Jojustin mógł się dusić z gniewu przez kilka dni, ale tak naprawdę nie miało to znaczenia. Richius odpowiadał jedynie za żonę – a ją zawiódł. Krocząc mrocznymi korytarzami, układał rozmaite wersje tłumaczeń, starając się tak przedstawić sytuację, by oszczędzić Sabrinie upokorzenia. Nieustannie wracało do niego jedno, proste pytanie: czy żona wiedziała coś o Dyanie. Wydało mu się to oczywiste, choć nie umiał wyjaśnić, skąd to wie. Sekret jego miłości znali jedynie Patwin i Dinadin, on zaś był pewien, że żaden z nich nie zdradził go Sabrinie. I nagle przyszła mu do głowy bardzo nieprzyjemna myśl. Sabrina mogła poznać prawdę w inny sposób. Wszystko, co mu się przytrafiło w Dring, zapisywał starannie w swoim dzienniku. Jeżeli żona ośmieliła się do niego zajrzeć...

Pospiesznie ruszył do jadalni. Z kuchni usłyszał załamujący się głos Sabriny i łagodne, uspokajające słowa wypowiedane przez Jennę. Zamarł w bezruchu, usiłując zrozumieć coś z rozmowy dwóch kobiet. Zebrawszy się w sobie, wszedł do kuchni. Sabrina siedziała na stole, trzymając w dłoni luźno zwisającą chusteczkę. Obok niej stała Jenna. Na palenisku płonął niewielki ogień, napelniając kuchnię zapachem przypalonego tłuszczu. Gdy Richius wszedł do kuchni, obie dziewczyny spojrzały na niego oskarżycielsko. Sabrina miała zaczerwienione policzki, po których jeszcze spływały łzy.

Szybko otarła je chusteczką.

– Jenno – odezwał się Richius spokojnie – czy nie zechciałybyś zostawić nas samych?

Jenna spojrzała na Sabrinę, która skinieniem głowy wyraziła zgodę. Jenna pochyliła się i pocałowała królową w czoło.

– W razie potrzeby znajdziesz mnie na górze – powiedziała i wyszła z kuchni, nie obdarzając Richiusa nawet jednym spojrzeniem.

Znalazszy się sama, Sabrina wstała ze stołu i podeszła do zlewu pełnego brudnych garnków i mętnej, tłustej wody. Odwróciła się do męża plecami i zaczęła wycierać jakieś naczynie, nie zważając na kapiącą na jej stopy wodę.

– Cieszę się, że wróciłeś – odezwała się cicho. – Zaczynałam się już martwić.

– Przepraszam – stwierdził po prostu Richius. – Było to wszystko, na co umiał się zdobyć. – Nie chciałem, żebyś się martwiła. Za... zamyśliłem się.

Nie odwracając się od zlewu, skinieniem głowy potwierdziła, że usłyszała wyjaśnienie.

– Sabrino... – poprosił pokornie Richius. – Spójrz na mnie.

Sabrina zanurzyła obie dłonie w zbiorniku z brudną wodą i naczyniami. Pochyliła głowę.

– Nie mogę. – Jej opuszczone ramiona zaczęły drżeć.

Richius podszedł do żony i położywszy dłonie na jej ramionach, delikatnie odwrócił ją ku sobie.

– Proszę – zaczął błagalnie. – Pozwól mi wyjaśnić...

– Co chcesz mi wyjaśnić? – Sabrina zawrzała gniewem i szarpnęła się, usiłując uwolnić z jego objęć. – Richiusie, nie mam już ochoty na słuchanie twoich kłamstw! Oszczędź mi ich przynajmniej dzisiaj, błagam!

Richius nie wypuścił jej z ramion.

– Chciałbym, żebyś mnie wysłuchała, Sabrino. Masz prawo poznać prawdę.

– Tak uważasz? – Zaśmiała się z goryczą. – Dobrze! Możesz zaczynać! Opowiedz mi, jak to zobaczyłeś Triina, którego tam nie było i jak mnie zostawiłeś, bym sama mogła znaleźć drogę do domu. Opowiedz mi jeszcze trochę łgarstw o twoim przyjacielu Dinadinie i o tym, dlaczego nigdy o nim nie wspominałeś. – Podeszła bliżej i wbiła w niego gniewne spojrzenie. – I dlaczego nigdy nie raczyłeś mi opowiedzieć o tej twojej pięknej triińskiej dziwce!

Richius zacisnął zęby. Zaczekał chwilę, by się uspokoić.

– Opowiedział ci o niej Patwin, prawda?

– Nie – przyznała odważnie Sabrina. – Przeczytałam o niej w twoim przeklętym

dzienniku. Teraz wiem, dlaczego nigdy mi nie mówiłeś o Dinadinie. Bałeś się, że dowiem się o niej! – Zaśmiała się z goryczą. – Richiusie, jeżeli ktoś zamierza być tajemniczy, jak ty, nie powinien zostawiać wszystkiego na wierzchu!

– Nie miałaś prawa czytać mojego dziennika – uciął Richius. W jego głosie było więcej rozczarowania niż prawdziwej złości, potrafił ją jednak niemal usprawiedliwić. – Nie istniał żaden powód, dla którego miałbym ci to wszystko opowiadać.

– Istniał, i ty dobrze o tym wiesz! Chciałam wiedzieć, czym się trapi mój mąż, a ty mi o tym nie chciałeś powiedzieć. Inni też nie chcieli!

– I sądziłaś, że się dowiesz, przez co musiałem przejść, jeżeli przeczytasz mój dziennik? Sabrino, chciałem ci oszczędzić opisu tych okrucieństw. – Spojrzał w bok i potrząsnął głową. – Nigdy byś tego nie pojęła...

– Myślę, że jednak pojmuję – odpowiedziała Sabrina. – Kochasz tamtą kobietę. Dlatego jesteś tak nieszczęśliwy. Los związał cię ze mną, a ty pragniesz być z inną. Czy to tak trudno zrozumieć? Ja kocham cię, ale ty nigdy nie będziesz mój. To dokładnie to samo.

– Masz mnie przecież – sprzeciwił się Richius. – Jestem twoim mężem.

Sabrina znów parsknęła pełnym goryczy, krótkim śmiechem.

– Richiusie, cóż mi po ślubnym pierścieniu. Chcę człowieka, którego jednak mieć nie mogę, prawda?

Richius nie odpowiedział. Podeszedł do stołu, usiadł i wbił nic nie widzące spojrzenie w kuchenną podłogę. Świadomość, że żona wie o Dyanie, sprawiła mu niemal ulgę. Uważał, że Sabrina łatwiej przełknie resztę nowin, które musiał jej oznajmić.

– Trzeba, żebyś się dowiedziała czegoś o Lucylerze – stwierdził cicho.

– A, Lucyler? – odpowiedziała Sabrina. – To był on? I cóż, znalazłeś go?

– Owszem, znalazłem. I nawet z nim rozmawiałem.

– Tak? I co ci powiedział? Wpadnie do nas na obiad?

Richius spojrzał żałośnie na żonę, niezdolny do wykrzesania z siebie najbardziej nikłego uśmiechu. Smutek na jego twarzy stopił jej gniew i oblicze Sabriny wygładziło się, aż ujrzał ją znów piękną i spokojną, jak owego dnia, kiedy się poznali, przy tkwiącym w błocie powozie. Od tamtego czasu minęły miesiące, on zaś nagle zdał sobie sprawę z faktu, że prawie niczego o niej nie wie.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – spytała Sabrina.

– Muszę wyjechać na jakiś czas i nie wiem, jak długo to potrwa. – Sabrina spojrzała na niego rozszerzonymi ze zdumienia oczami. – Muszę się spotkać z Lucylerem w Górach Żelaznych za trzy dni. Ma dla mnie jakąś ważną wiadomość, której dziś nie mógł mi przekazać.

Sabrina znieruchomiała.

– Mam nadzieję, że nie potrwa to zbyt długo – ciągnął Richius – ale nie umiem powiedzieć, ile czasu mi to zajmie. Jest w tym i pewne niebezpieczeństwo. Tam w górach mogą na mnie czekać Drolowie. Ufam Lucylerowi, ale...

– O Boże! – jęknęła Sabrina, podbiegając do niego i rzucając się na kolana. Ujawszy jego dłoń, przyłożyła ją do policzka. – Nie mów mi już niczego więcej – szepnęła błagalnie. – Nie odchodź. Nie zostawiaj mnie!

Richius nie mógł cofnąć dłoni, którą żona zaczęła pokrywać błagalnymi pocałunkami. Spodziewał się wybuchu wściekłości, usprawiedliwiłby ją nawet, gdyby uderzyła go w twarz, ale ten wybuch uczucia pozbawił go możliwości stawienia oporu. Odrzucił głowę w tył i jęknął, przepelniony nienawiścią do samego siebie. W tej chwili Sabrina podniosła wzrok i spojrzała na niego. Przez ułamek sekundy wydało mu się, że klęczy przed nim posłuszna marionetka, pragnąca tylko zadowolić pana, który częstuje ją razami. Pociągnawszy ją za rękę, podniósł ją i mocno przytulił do siebie bezwładne ciało żony.

– Rankiem wyjeżdżam – powiedział łagodnie. – Nie umiem ci wyjaśnić, ale to coś, co muszę zrobić. Bardzo chciałbym, żebyś zrozumiała, że to konieczne. Zechcesz mnie wysłuchać?

Sabrina kiwnęła tylko głową, bo żal i rozpacz zamknęły jej usta. Oczekując na wyjaśnienia, ukryła twarz na jego ramieniu. Richius zebrał całą swoją odwagę, potrzebną mu teraz, jak nigdy wcześniej. Drżącymi dłońmi usadowił Sabrinę na swoich kolanach.

– Widzisz... – zaczął cicho – ten Lucyler był mi prawie bratem. Choć był Triinem, nie uważałem go tylko za żołnierza. Znaczył dla mnie tyle, co Patwin albo Dinadin. Był przyjacielem. Każdemu z nich mogłem zawierzyć życie, i nadal każdego z nich obdarzam najwyższym zaufaniem. Nawet teraz nie umiałbym rzec, w jaki sposób mi się ukazał. Triinowie mają czary, które potrafią zdziałać niezwykle rzeczy i może Lucyler wykorzystał któryś z nich, ale to był on... nikt inny, i chciał, bym się z nim spotkał.

– Ale w jakim celu? – spytała Sabrina. – Czego on od ciebie chce? Dlaczego po prostu nie mógł odwiedzić cię w zamku?

– Tego mi nie powiedział. Może nie zdążył. Z pewnością kryje się za tym jakaś tajemnica. – Richius zastanowił się. – Jest jeszcze coś, czego ci nie powiedziałem...

– To mi powiedz – zachęciła go Sabrina.

– Z pewnością niczego bym ci nie powiedział, gdybym nie musiał – ciągnął Richius. – Ale sama przyjaźń Lucylera to za mało, by mnie ściągnąć do Lucel-Loru. Ale powiedział mi coś, czego nie umiem zlekceważyć.

– Coś o niej?

Richius skinął głową.

– Sabrino, on wie, gdzie ją trzymają. Dyana żyje. Lucyler rzekł, że nie powie mi niczego więcej, jeżeli nie stawię się na tym spotkaniu w górach. A tam wyjaśni mi wszystko.

Sabrina milczała, co Richius odczuł jako oskarżenie.

– Pojmujesz? – spytał z nadzieją w głosie. – Mogę dotrzymać obietnicy, którą jej dałem. Mogę ją uratować.

– Wiem o tej obietnicy. Nie musisz mi niczego wyjaśniać. Wszystko było w twoim dzienniku.

Richius zamknął oczy.

– Chciałem ci tylko wyjaśnić... Chciałem, żebyś zrozumiała, dlaczego po nią wracam.

– Ależ ja wiem – odpowiedziała Sabrina. – Wracasz po nią, bo ją kochasz.

Richius poczuł się jak dziecko.

– Tak... – wykrztusił z trudem. – Kocham. Nie chciałem tego, ale stało się. Zobaczyłem ją... i pokochałem.

Twarz Sabriny wyrażała skrajną rozpacz.

– Tak... – wyszeptwała. – Tak to właśnie się dzieje...

– Sabrino, jestem jak zaczarowany – dodał Richius. – Ona...ona coś ze mną zrobiła. Nie umiem ci tego wyjaśnić, ale w dolinie byłem bardzo samotny. Każdego ranka budziłem się ze świadomością, że może to być ostatni poranek w moim życiu. Codziennie ginął któryś z moich przyjaciół. Traciłem wszystko i wszystkich...z każdym dniem więcej i szybciej. I nagle pojawiła się ona. Oddała mi się, a ja stałem się innym człowiekiem. – Richius ponownie wbił ponury wzrok w podłogę. – A teraz już nie chcę innej. Sabrino, jesteś taka piękna, ale... – Umilkł, mrużąc coś niezbyt wyraźnie.

Sabrina westchnęła, a potem zeskoczyła z jego kolan. Na jej twarzyczce pojawił się niepokojący uśmiech.

– Ta kobieta musi być niezwykłą osobą. Od miesięcy usiłowałam wydobyć z ciebie coś o Lucel-Lorze, ale nie zdawałam sobie nawet sprawy z tego, jakie to było dla was okropne. Jeżeli chcesz tam po nią wrócić... – Wzruszyła ramionami w geście pełnym rezygnacji. – Wycofuję się z rywalizacji.

Richius podniósł na nią spojrzenie wyrażające całkowity brak zrozumienia.

– Co mówisz?

– Jedź po nią – odparła spokojnie. – Nie mogę cię zatrzymać i nie będę nawet próbowała. To oczywiste, że bardzo ją kochasz. – Na jej wargach pojawił się smutny uśmiech. – Może nawet kochasz ją bardziej, niż ja ciebie...

Richius zwiesił głowę.

– Bóg świadkiem, jak mi przykro – powiedział. Słowa te jednak nie przyniosły mu ukojenia, tylko uczucie pustki. Udało mu się osiągnąć to, że Sabrina wyraziła zgodę na jego zwiariowany, bluźnierczy niemal plan. On jednak pragnął czegoś więcej. Chciał by go rozgrzeszyła. – Wybacz mi – zaczął błagalnie. – To coś, co muszę zrobić. Jeżeli zdołam ją uratować, może odzyskam spokój ducha.

– Nie mam ci czego wybaczać – stwierdziła Sabrina chłodno. Już nie płakała. – Myślę, że postępujesz dobrze, Richiusie. Sądzę, że umrzesz, jeżeli tego nie zrobisz. Zżera cię poczucie winy. Wystarczy na ciebie popatrzeć. A ja przecież cię kocham. Może któregoś dnia pokochasz mnie, ale nawet, gdyby to nigdy się nie miało ziścić, i tak cię będę kochała... a ty nigdy nie powiesz, że musiałeś się wyrzec prób ratowania Dyany. – Podeszła do niego, podniosła mu brodę palcem i złożyła na jego wargach leciutki pocałunek. – Chcę, żebyś wrócił cały i zdrowy. Obiecuj mi, że będziesz uważał.

– Obiecuję – wykrztusił Richius. – A ty? Będziesz tu na mnie czekała?

Sabrina odwróciła się i powoli ruszyła ku drzwiom.

– Jestem twoją żoną – stwierdziła. – Zostanę i poczekam.

– Nie odchódź! – zawołał Richius, zeskakując ze stołu. – Nie chcę, by takie właśnie było nasze pożegnanie. Mam ci jeszcze wiele do powiedzenia.

– Nie – ostrzegła go Sabrina. – Wszystko już zostało powiedziane. Przeczytałam to w twoim dzienniku. Pojmuję to jaśniej, niż myślisz. I nie żegnaj się ze mną. Wyjedź rano i nie oglądaj się wstecz. Ja tu zaczekam na twój powrót.

– Czy dziś w nocy zechcesz dzielić ze mną łóżko?

Sabrina potrząsnęła głową.

– Poczyliłam już przygotowania, by się przenieść do komnat Jenny. Nie chcę cię widzieć, dopóki nie wrócisz.

– Niech i tak będzie – odparł Richius apatycznie. – Ja wrócę, Sabrino, niechybnie wrócę. Niezależnie od tego, czy ją uratuję, czy nie. I, przysięgam, będę ci mężem, jakiego jesteś godna.

Sabrina nie odpowiedziała, tylko ponownie się do niego uśmiechnęła. Przed kilkoma chwilami to ona była jak dziecko błagające go o miłość. Teraz on starał się zdobyć jej aprobatę. Podjął daremną próbę odpowiedzi na jej uśmiech, ale wyszedł mu tylko niezbyt udatny grymas. Sabrina wyszła, upuszczając zmoczoną łzami chusteczkę.

\* \* \*

Wieczorem długo nie mógł zasnąć, dręczony ogromnym poczuciem winy. Sen

nawiedził go dopiero po północy, niespokojny i zasnuty wspomnieniami z Lucel-Loru. Widział na przemian Lucylera i Dyane, którzy znikali w nieskończenie głębokiej mgle stworzonej przez Tharna. Niekiedy się budził, zerwany ze snu jakąś bezimienną wizją, a kiedy sięgał ręką ku miejscu, gdzie jeszcze wczoraj spała Sabrina, czuł tylko chłód nietkniętej pościeli. Z ulgą powitał pierwsze blade promienie brzasku.

Podszedł do szafki i zaczął starannie wybierać ubiór, decydując się na wojenny zestaw z lekkim półpancerzem z tłoczonej skóry. Niezbyt ciężki, tak by nie doskwierał podczas jazdy, był jednak dość odporny i zdolny sprostać wszelkim zagrożeniom, jakie mogliby Richiusowi zgotować Drolowie. Na lewej piersi miał wyciśnięty symbol błękitnego uskrzydłonego smoka, godło aramoorskich gwardzistów. Ogon bestii owijał się wokół lewego rękawa kurtki. Gdy Richius ostatni raz widział diuka Edgarda, stary wojownik miał na sobie taki sam uniform. Richius przejrzał się w lustrze, tłumacząc sobie w duchu, że Edgard by go zrozumiał. Usiadł na łożu i zasznurował sięgające kolan buty do konnej jazdy, nowe i lśniące czernią. Na koniec przyszła kolej na Jessicane. Richius, zanim przytroczył miecz do pleców, przez chwilę sycił wzrok widokiem pysznej pochwy. Z niesmakiem przypomniał sobie, że był to dar od Biagia, którym hrabia usiłował go przekupić, by wrócił do Lucel-Loru i wymordował jeszcze parę tysięcy Triinów. Na szczęście opór, jaki stawiało Liss, odwrócił wykonanie tego rozkazu. Teraz zaś Richius stanął przed szansą powrotu do Dyany bez pomocy Arkusa.

Przez dość długą chwilę patrzył na swoje odbicie w lustrze, zastanawiając się, kim jest ten patrzący na niego z drugiej strony człowiek. Był królem Aramooru, Szakalem z doliny Dring, przede wszystkim jednak był zakochanym młodzieńcem. Być może była to miłość daremna, może Dyana już o nim zapomniała. W głębi duszy jednak czuł, że to nieprawda, wiedział, że ona czeka, i że los, bóg albo magia Triinów przekazała mu wieści od niej nie bez powodu. Obiecał sobie solennie, że ją odnajdzie, i jeżeli to możliwe, uratuje. Gdyby tylko zdołał ją jakoś sprowadzić do Aramooru, na zawsze byłaby już bezpieczna. Nie umiał przewidzieć, co jeszcze mogłoby się zdarzyć. Był żonaty i nie widział możliwości złamania ślubów lub swego ostatniego złożonego Sabrinie przyrzeczenia. Dyana będzie dla niego wieczną pokusą... ale żywą i bezpieczną w granicach Aramooru.

Uspokoiwszy sumienie, rzucił na łoże podróżny worek i zaczął przeglądać jego zawartość. Po powrocie z długiej podróży do Nar nawet go nie rozpakował i odkrył, że większość potrzebnych mu rzeczy wciąż tkwi w zakurzonych woreczkach i pojemnikach. Były tam opatrunki i maści, niewielki zestaw przyborów do jedzenia i gotowania, a nawet jakieś ozdobne drobiazgi, które przywiózł z Czarnego Grodu. Te ułożył starannie obok na stole. Były to w większości wypadków podarunki od składających mu życzenia

ślubne lordów: srebrny sztylet od króla Panosa, wąż o rubinowych oczach wyrzeźbiony z nefrytu znalezionej w Smoczjej Paszczy, amulet od Dahaara. Wszystkie były bardzo ciekawe, drogie i bezużyteczne, takie, w jakich lubował się Arkus. Jedynie Gayle z Czarnej Kniei miał dość rozumu, by go nie obdarzać takim drogim bezużytecznym prezentem. Tak naprawdę to Gayle nie dał mu żadnego podarunku, za co Richius czuł bezbrzeżną wdzięczność. Mdlilo go na samą myśl o konieczności wysłania listu z podziękowaniami. W końcu wyciągnął spod łóżka swój dzienniki i wetknął go głęboko do worka, umieszczając go pomiędzy talią kart i nożem w skórzanej pochwie. Uporawszy się z tym wszystkim, zawiązał rzemienie plecaka, przełożył go sobie przez ramię i ruszył ku drzwiom sypialni. Zatrzymało go uporczywe stukanie z drugiej strony.

– O Boże – jęknął, rzucając plecak na łóżko. Jeden tylko człowiek, z którym nie chciał rozmawiać wczoraj wieczorem, miał dość śmiałości, by zapukać o świcie do drzwi jego sypialni. Ciszę poranka przeszył poirytowany głos Jojustina.

– Richiusie, natychmiast otwórz! – zagrmiał. – Zanim odjedziesz, musimy porozmawiać.

„Odjedziesz?” – pomyślał Richius. Musiał mu powiedzieć Patwin albo Sabrina. Dobrze, to znacznie ułatwi mu pożegnanie. Otworzył drzwi. Jojustin nie czekał, aż zostanie zaproszony do środka, tylko wszedł do sypialni królewskiej jak do własnej i zamknął za sobą drzwi. Ujrawszy plecak na łożu, podniósł wzrok do nieba, jakby wzywał Boga na świadka królewskiej głupoty.

– Czy gotów już jesteś do rozmowy? – zapytał, krzyżując ramiona na piersiach.

Richius przybrał dokładnie tę samą, wrogą postawę.

– Wiesz oczywiście, co zamierzam uczynić – stwierdził. – Kto ci powiedział?

– Sabrina. Kiedy wyszła od ciebie wczoraj, zajrzałem do Jenny, by sprawdzić, jak się czuje. Powiedziała mi o wszystkim. Racz sobie wyobrazić moje zdumienie i zaskoczenie. Myślałem, że mamy króla, ale widzę przed sobą zakochanego szczeniaka.

– Nie przeciągaj struny – ostrzegł go Richius, licząc na uniknięcie sporu. – Chcesz usłyszeć moje wyjaśnienia, czy raczej zależy ci na tym, by się po prostu wykrzyczeć?

– Za twoje wyjaśnienia nie dam złamanego grosza, Richiusie! Jestem tu po to, by pomóc ci otrzeźwieć. Rzec w sumie jest bardzo prosta, chłopcze. Nie możesz nigdzie jechać.

Richius precyzyjnie się obok Jojustina i wziął plecak z łóżka.

– Wyjeżdżam – oznajmił. – Muszę.

– Nie! – wykrzyknął Jojustin i stanął tak, że odciął Richiusowi dostęp do drzwi. – Nie pozwolę ci na to. Nie rozumiesz, co chcesz zrobić.

– To ty nie rozumiesz, Jojustinie. Jesteś już tak stary, że zapomniałeś, co znaczy



miłować kobietę.

Twarz Jojustina stężała z gniewu.

– Chłopczku, miałem więcej kobiet, niż mógłbyś sobie wymarzyć. Nigdy jednak nie pozwoliłem żadnej z nich odwieść mnie od moich obowiązków. Nigdy, na przykład, nie porzuciłem mojego króla ani królestwa. A ty dla zwykłej dziewczki pakujesz się prosto w pułapkę Triinów. I nawet jeżeli nie dasz się zabić, to naprawdę nie ma znaczenia. Jak myślisz, co się stanie, kiedy Biagio dowie się, coś ty uczynił? Arkus pozdejmuje nam głowy z karków.

– Arkus niczego się nie dowie – stwierdził Richius. – Nie zaczniesz ataku na Lucel-Lor, dopóki Liss stawiać będzie mu opór. Przy odrobinie szczęścia zdążę wrócić, zanim z Nar nadejdą jakiegokolwiek wieści.

– A jeżeli nie? Co mamy rzec Biagio, jeżeli zjawi się tutaj i zaczniesz o ciebie wypytywać? On nas nieustannie obserwuje, Richiusie. Po tym, co zrobił twój ojciec...

– Nic mnie nie obchodzi, co mu powiecie. Możecie mu na przykład rzec, że wyjechałem na łowy albo coś w tym rodzaju.

– Na łowy! – wybuchnął starsuszek. – I co, sądzisz, że to mu wystarczy? Zapominasz, kim jesteś, Richiusie. Jesteś królem Aramooru, ot co! Nie możesz wyjechać jak pierwszy lepszy postrzeleniec! Odpowiadasz za cały kraj. Jeżeli Arkus się dowie, że wyjechałeś na spotkanie z jakimś Triinem... – sługa rozłożył bezradnie ramiona – ...będzie po nas!

– Nie będzie! – zaprzeczył Richius, modląc się w duchu, by jego przypuszczenia się sprawdziły. – Róbcie swoje i trzymajcie gęby na kłódki, a ja wrócę, zanim pojawi się tu ktoś, kto będzie o mnie pytał.

– A jak cię zabiją? – naciskał Jojustin. – Co wtedy? Jesteś ostatnim z Vantranów. Po tobie nie będzie już nikogo z królewskiej linii. – Potrząsnął głową. – Richiusie, nie mogę uwierzyć, że chcesz nam to zrobić, nie dla kobiety. I to dla kobiety Triinów! Chłopcze, powiem ci szczerze: straciłeś głowę.

– Proszę... – odezwał się Richius. – Spróbuj mnie zrozumieć. To coś, co muszę zrobić.

– Bzdura. Taka sama bzdura, jaką wymyślił twój ojciec, zostawiając cię w Lucel-Lorze bez posiłków. Popatrz tylko na siebie...w tym śmiesznym uniformie i z tym mieczem przytroczonym do pleców. Jakbym go widział... dzielnego, głupiego i zdecydowanego zniszczyć wszystko, co kochał. Czasami zastanawiam się, co jest w waszej krwi? Dlaczego królowie z rodu Vantranów wszyscy byli tak nieodpowiedzialni? Arkus może nas zniszczyć jednym ruchem dłoni, ale żaden z was tego chyba nie dostrzegął. Jeden Bóg wie, jak udało nam się przebrnąć przez to wszystko, bez ściągania na głowy imperatorskiego gniewu, a teraz ty chcesz mu dać nowy powód.

Dlaczego?

– Bo nie jesteśmy wolni! – syknął Richius. – Chcesz, żebyśmy tańczyli jak nam zagra, niczym Gayle’owie? Jojustinie, jestem dumny z tego, co zrobił mój ojciec. Teraz go rozumiem. Próbował nas ocalić... – Przerwał, a po chwili dodał cicho: – To właśnie próbuję uczynić. Ocalić życie jednej kobiety.

– Zdradzasz swój kraj – stwierdził Jojustin. – Udając się do Lucel-Loru bez zgody Arkusa, wywołujesz gniew Nar. Możemy stracić dosłownie wszystko.

– Jeżeli zginę, nie stracimy więcej, niż już straciliśmy. Arkus zdepcze Aramoor, niezależnie od tego, czy będę królem czy nie.

– Ale może już w ogóle nie być Aramooru! – sprzeciwił się stary sługa. – Może znów staniemy się częścią Talistanu. Pomyślałeś o tym?

Richius nie odpowiedział. Nie przyszło mu do głowy, że Aramoor znów mogą przejąć Gayle’owie, a teraz, gdy zdał sobie z tego sprawę, poczuł jeszcze bardziej nagłą potrzebę wyjazdu. Ruszył ku drzwiom, łagodnie odpychając Jojustina. Tuż przed wyjściem odwrócił się i po raz ostatni spojrzął na starego sługę. Wiedział, że winien jest mu jakieś wyjaśnienie, coś więcej niż miłość do kobiety.

– Jojustinie, od powrotu do domu miałem rozdartą duszę – powiedział cicho. – Możesz to nazwać poczuciem winy... jak sobie chcesz. Ale to mnie męczy. Nie jadę po prostu po to, by odbić tę dziewczynę. Jadę, by odnaleźć wewnętrzny spokój.

Twarz Jojustina powlekła się purpurą.

– Twoje życie jest tutaj! – warknął. – Nie musisz wyjeżdżać w imię jakichś głupich zasad! Powinieneś tylko przestać stroić się w szaty męczennika. Odwagi, człowieku! Weź się w garść!

– Nie umiem – stwierdził Richius słabym głosem. – Przykro mi, Jojustinie. Próbowalem, ale załamałem się i chyba nie potrafię sam się ze sobą uporać. – Rzucił starszemu mizerny uśmiech i ruszył do wyjścia. – Wrócę tak szybko, jak tylko się da. Pod moją nieobecność, zadbaj o Sabrinę.

– Nie omieszkam – stwierdził spokojnie Jojustin. – Zadbam o całą Aramoor. Zrobię to, co należy do ciebie.

Richius zignorował docinek i szybkim krokiem przeszedł korytarz, zostawiając za sobą starego sługę. Komnata Jenny leżała po drugiej stronie zamku, nie musiał się więc obawiać przypadkowego spotkania z Sabriną, nie miał też zamiaru odwiedzania żony. Chciał spełnić jej życzenie i wyjechać bez pożegnania. Była to dziwna prośba, ale postanowił ją uszanować, był jednak jeszcze w zamku ktoś, kogo chciał odwiedzić. Przeszedłszy przez mroczne, kręte schody i wielką halę na parterze trafił do małej jadalni. Znalazł w niej Patwina, śpiącego przy stole, na którym leżał jutrowy worek.

Kiedy Richius wszedł do komnatki, Patwin natychmiast otworzył oczy.

– Richiusie... – odezwał się. – Już pora?

– Świta – odpowiedział Richius, przeglądając zawartość worka. Wypełniały go suchary i wędzone mięso, które można było długo przechowywać na szlaku. Richius podziękował przyjacielowi uśmiechem. ■– Długo czuwałeś?

Patwin kiwnął głową.

– Niemal całą noc. Niełatwo mi było zasnąć, a nie chciałem się z tobą minąć. – Wstał powoli i przesunął worek w stronę przyjaciela. – Przygotowałem ci trochę jedła. Nie pomyślałeś o tym, prawda?

– Przyszło mi to do głowy dopiero teraz – przyznał Richius. – Dziękuję.

Przez chwilę obaj przyjaciele patrzyli na siebie w pełnej napięcia ciszy. Nie znajdując słów dla wyrażenia swego smutku, Richius po prostu wyciągnął dłoń. Patwin ujął ją i serdecznie uściskał.

– Błyskawica czeka na zewnątrz – stwierdził. – Jest podkuty i wypoczęty. Przy siodle znajdziesz też kuszę. Nie rozmyślałeś się?

– Nie – odpowiedział Richius. – Patwinie, to coś, czego nie umiem ci wyjaśnić, ale nie mogę tego tak zostawić. Muszę po nią wrócić. A przynajmniej powinienem spróbować.

– Wciąż jeszcze mogę z tobą pojechać – podsunął mu Patwin. – Wystarczy, że powiesz słowo...

Richius potrząsnął głową.

– Potrzebny mi jesteś tutaj, by strzec Sabriny. I pilnuj Jojustina, by się nie wpakował w jakieś kłopoty.

Patwin parsknął śmiechem.

– Wiele żądasz. – Po chwili dodał poważniejszym tonem: – Zrobię, co w mojej mocy.

– Wiem, że zrobisz – stwierdził Richius z lekkim uśmiechem. – Dziękuję za wszystko.

Patwin przyciągnął Richiusa i mocno go uściskał.

– Uważaj na siebie – szepnął mu w ucho. – Wracaj cały i zdrowy.

Po raz kolejny Richiusowi zabrakło słów. Pozwolił, by Patwin złożył na jego policzku braterski pocałunek, a potem odwrócił się i ruszył na dziedziniec, gdzie cierpliwie czekał osiodłany wierzchowiec.

## Dwadzieścia trzy

Ranek ogarniał góry niczym łagodna fala. Richius wstał, ubrał się, zjadł śniadanie złożone z przygotowanych mu przez Patwina zapasów i zapuścił się w Przesmyk Saccenne.

Przełęcz była dokładnie taka, jaką zapamiętał. Po obu jej stronach wznosiły się pokryte lodem zbocza niebotycznych gór, które rzucały głęboki cień na szlak. Z każdej strony leżały połamane koła wozów i worki na żywność, pozostałości po dniach, kiedy tą wąską szczeliną niczym strumień lawy płynęli Talistańczycy razem z wojakami aramoorskimi, gnani niezrozumiałą dla nich wtedy wolą imperatora. Były tu też przedmioty starsze, pozostałości po pierwszych Narenach, którzy pojawili się w Lucel-Lorze, kupcach usiłujących zwabić Triinów w uściski Arkusa. Wszystkie te śmieci powoli ulegały rozkładowi, niektóre jednak miały tu rdzewieć przez dziesiątki lat. Dla Richiusa były jak strony księgi historii, intrygującej, zwodniczej i niekompletnej. Księga każdemu, kto miał dość bystry słuch, w milczeniu opowiadała o smutnej, pełnej gwałtów historii Lucel-Loru.

Jechał przesmykiem przez kilka godzin, od czasu do czasu popijając wodę z bukłaka lub zatrzymując się na krótko, by dać koniowi zasłużony odpoczynek. Pod koniec dnia miał się zatrzymać nad strumieniem, gdzie razem z koniem będą mogli odnowić siły. Wiedział, że jeżeli chce dotrzeć do oazy przed zmierzchem, musi utrzymywać równe, niezmiennie tempo. Nieustannie też przeszukiwał okolicę czujnym wzrokiem, wypatrując spadających kamieni, i łowił słuchem każdy niezwykły dźwięk. W poprzek siodła ułożył napiętą kuszę, z bełtem na prowadnicy. Koń też czuł się nieswojo w tym otoczeniu. Rosły wierzchowiec parł przed siebie, pragnąc równie szybko jak jego pan wydostać się z tej szczeliny na otwartą przestrzeń. Obaj mieli jeszcze przed sobą wiele godzin podróży. Płaskowyż, ku któremu dążyli, był bliżej Lucel-Loru niż Aramooru i podczas owych trzech dni nie mogli stracić ani minuty, jeżeli mieli zdążyć na czas. Parli więc przed siebie, czujnie i bacznie, dzięki czemu pod koniec pierwszego dnia wędrówki przez przesmyk dotarli do strumienia. Byli mocno wyczerpani i z ulgą się zatrzymali.

Richius przypomniał sobie, że po raz pierwszy obozował tu cztery lata temu, jako zupełnie niedoświadczony rekrut pod dowództwem pułkownika Okyle'a. Był wtedy przerażony i żywił przekonanie, że nikomu z nich nie uda się wrócić do domu z niebezpiecznej misji, jaką narzucił im Arkus. Okyle już nie żył, a rola przywódcy przypadła Richiusowi. W Lucel-Lorze zginęło ponad tysiąc ludzi i gdyby Arkus zdołał dopiąć swego, żniwo śmierci byłoby jeszcze większe. Richius zaklął, napelniając bukłak

czystą wodą ze strumienia. Nazwał Gayle'a marionetką, ale tak naprawdę wszyscy – nawet on sam – byli kukielkami w dłoniach imperatora. Tańczyli do krwawego rytmu, jaki wygrywał im Arkus.

Okolo południa pierwszego dnia podróży przez przesmyk Richius nareszcie poczuł wewnętrzny spokój. Wiedział, że wywołująca ów nastrój cisza gór jest zwodnicza i niebezpieczna, rad był jednak tej zmianie. Dobrze było nie oglądać się za siebie po usłyszeniu każdego dźwięku. Nie podskakiwał już, słysząc krzyk polującego jastrzębia, i nie zrywał się z miejsca na trzepot ptasich skrzydeł, przekonany, że tuż za zakrętem czają się Drolowie. Nastrój psuły mu tylko myśli o Lucylerze. Jego przyjaciel Triin nie ukazał mu się po raz drugi i to go nieco niepokoiło. Podczas tej krucjaty postawił na kartę wszystko, co miał: żonę, królestwo i – być może – własne życie. Postanowił, że kiedy wreszcie spotka Lucylera, rzecz nie skończy się przyjacielską pogawędką. Chciał wiedzieć tylko, gdzie jest Dyana.

Błyskawica pokonywał stromizny przełęczy jak osioł, stawiając kopyta mocno i pewnie na niebezpiecznym szlaku. Podróżowali w dobrym tempie, gasząc pragnienie w małych strumykach, dopływach głównej strugi. Pomimo lodowych czap kryjących otaczające przesmyk szczyty, powietrze było łagodne i przyjemne. Tylko nocami Richius musiał okrywać się opończą, by nie zmarznąć. Siadywał wtedy na kamieniu, wyciągał oselkę i pogwizdując rażno, zabierał się do ostrzenia Jessicane. Od czasu do czasu, zapominając o grożącym mu nieustannie niebezpieczeństwie, zapadał w krótką drzemkę. Wieczór niepostrzeżenie przeszedł w ranek, a następny dzień minął niespodziewanie szybko.

Pod wieczór trzeciego dnia Richius zbliżył się do płaskowyżu. Był teraz bardzo blisko Lucel-Loru i wiedział, że zobaczyłby wrogi kraj, gdyby odważył się wspiąć na jeden z otaczających go szczytów. Zatrzymał konia, by uważnie obejrzeć otoczenie. Płaskowyż był właściwie tylko niewielkim występem, dziwaczną formacją geologiczną wyróżniającą się wśród niemal pionowych, otaczających go ścian. Doskonale nadawał się na schronienie podczas odwrotu i Richius natychmiast docenił go z wojskowego punktu widzenia. Edgard postanowił, że tam właśnie wycofają się Aramoorczy, gdyby Drolowie wzięli nad nimi górę. Ironią losu było to, że zginął, zanim dotarł do bezpiecznego schroniska, Richius zaś w drodze powrotnej po prostu przejechał obok.

– Już niedługo – obiecał, rozpoznając niezwykłą formację.

Usłyszawszy głos jeźdźca, koń zarżał radośnie.

– Jesteś gotów? – spytał, a potem lekko uderzył wierzchowca piętami, by pognać zwierzę naprzód. Ponownie wziął w ręce kuszę, układając ją w zgięciu ramienia. Gdyby Drolowie chcieli zgotować zasadzkę, zrobiliby to z pewnością tutaj, w odległości paru

mil od Ackle-Nye. Wyteżył słuch, łowiąc każdy podejrzany dźwięk, wzdrygając się na zgrzyt żwiru pod kopytami konia. Pilnie patrzył na krążące nad górami ptaki, bacząc, czy coś ich nie płoszy. Kiedy jednak dotarli do stromej, skalnej ściany, ptactwo pozostało na jej szczycie, nie przejmując się wcale obecnością konia i człowieka.

W kilka chwil później zobaczył i sam płaskowyż: gigantyczną półkę nieco już zwietrzałego wapienia, zwieszającą się na wysokości trzystu stóp nad wąskim szlakiem przesmyku. Wstrzymał krok wierzchowca do wolnego truchtu. Z miejsca, gdzie się znajdował, nie widział nikogo na płaskowyżu, a i ścieżka przed nim była pusta. Za sobą widział jedynie trop pozostawiony przez kopyta Błyskawicy. Wiedział, że Lucyler powinien pojawić się od wschodu, ale nawet to zaczynało mu się wydawać coraz bardziej nieprawdopodobne. Dziś mijał trzeci dzień od ich niezwykłego spotkania. Nagle zrozumiał, iż podświadomie oczekiwał, że Lucyler wybiegnie zza jakiegoś głazu i powita go radośnie, jak przystało na przyjaciela. Ponownie spiął konia i ruszył przed siebie, opuszczając kuszę swobodnie w dół. Nad nim rozciągał się mroczny płaskowyż. Nie wiodła do niego żadna ścieżka, o czym Richius dobrze wiedział. Jeżeli Lucyler czekał na górze, będzie musiał się tam wspiąć, co oznaczało zostawienie konia na miejscu. Wściekły na tę dodatkową trudność zeskoczył z siodła i spojrzał w górę, zwalczając głupią chęć wywołania Lucylera po imieniu. Z góry nie spadł ani jeden kamyczek.

– Do licha – syknął poirytowany. – Lucylerze, gdzie, do diabła, jesteś?

Zastanawiając się, co dalej, przetaił kark Błyskawicy. Jeżeli zdoła dotrzeć na płaskowyż, będzie miał z niego doskonały widok na przesmyk i sporą część Lucel-Loru. Pamiętał, że była tam droga, którą on i Okyle pokonali cztery lata temu. Ale płaskowyż był nieosiągalny dla koni. Miał być miejscem zbiórki, na którym rozproszeni żołnierze mieli się spotkać przed powrotem do domu. Błyskawica był wiernym koniem i z pewnością poczekałby na niego, Richius nie wiedział jednak, co tu mogło czekać na konia. Mógł skończyć podobnie jak przed nim Piorun, w paszczach głodnych wilków. W końcu jednak Richius zdecydował, że warto zaryzykować. Jeżeli gdzieś tu czekali Drolowie, i tak jeden człowiek i jeden koń niewiele przeciwko nim zdziałają.

Przeprowadził Błyskawicę na pobocze szlaku i przycisnął kamieniem końce wodzów. Kamień był dostatecznie ciężki, by utrzymać w miejscu wierzchowca o przeciętnym temperamencie, z drugiej zaś strony jego waga pozwalała uciec zwierzęciu, gdyby coś je spłoszyło.

– Nie uciekaj beze mnie – Richius ostrzegł konia, przypinając kuszę do rzemienia przy siodle. – Niedługo wrócę.

Kiedy podszedł do zbocza, zobaczył przed sobą trzysta stóp pokruszonej i spękanej skały. Płaskowyż wisiał nad nim, ukryty w cieniu. Słońce za plecami Richiusa zaczynało

już się chylić ku zachodowi, nadając skale niezdrowy, blady odcień. Wczepił dłonie w szczelinę i podciągnął się wyżej. Trzydzieści stóp nad nim wisiała wąska półka, po której będzie mógł dojść na płaskowyż. Pocąc się, klnąc i stękając z wysiłku, Richius wspinał się po stromej skale, zdobywając ją cał po calu tylko dzięki uporowi i sile mięśni. Kiedy w końcu dotarł do perci, przeciągnął się nad jej krawędzią i legł z ulgą. Tryumfalnie pomachał krytycznie patrzącemu na niego wierzchowcowi.

Uporawszy się z najtrudniejszą częścią wspinaczki, Richius ruszył ku płaskowyżowi. Szedł krętą, nieustannie pnącą się w górę ścieżką. Kiedy ścieżka się urwała, ponownie zaczął wspinaczkę, nie dbając o czystość butów i wciskając palce w szczeliny oraz występy skały. Po upływie blisko godziny dotarł do płaskowyżu. Wyczerpany stanął na kamiennym występie i spojrzał na rozpościerający się przed nim bezmiar przestrzeni. Na wschodzie widział przesmyk wijący się kreto wśród gór. Na zachodzie sięgał wzrokiem Lucel-Loru, gdzie pełne przewrotności Ackle-Nye było ledwo widoczną plamką na horyzoncie. Nad miastem piętrzyły się chmury, różowe z nitkami złota rzucanymi przez gasnące słońce. Richius wydał z siebie głębokie, pełne smutku westchnienie. Gdzieś tam w tym bezmiarze była Dyana.

„I Lucyler” – pomyślał z nagłym gniewem.

Odwrócił się, szukając wzrokiem Triina, był jednak zupełnie sam. Wzdłuż wąskiego szlaku przesmyku nie widział nikogo, a i od Lucel-Loru nie pokazali się żadni jeźdźcy. Przeszedł na krawędź płyty i spojrzał w dół. Zobaczył jednak tylko Błyskawicę, spokojnie czekającego na powrót pana. Zmełł w ustach przekleństwo. Trzeci dzień miał się już ku końcowi. Dotrzymał słowa i teraz poczuł się jak głupiec. Ze złością zaczął rozcierać zeszywniałe mięśnie ramion i ud. W ustach poczuł gorzycz, i splunął w dół.

– A niech cię! – syknął, myśląc o Lucylerze.

Pozostało już tylko czekanie. Zaszedł zbyt daleko, by się cofnąć, a z góry mógł równie łatwo zobaczyć swojego konia, jak i każdego, kto zechciałby go podejść. Nadciągał zresztą zmrok i wspinaczka w dół byłaby zbyt ryzykowna. Dzisiejszą noc spędzi na górze, nie rozpalając ogniska, i bez kojącego towarzystwa Błyskawicy. Rano zaś ruszy do domu, gdzie wysłucha śmiechu Jojustina i zacznie snuć niemożliwe do spełnienia plany zemsty na Lucylerze.

Przez godzinę lub dłużej obserwował horyzont, w nadziei, że spostrzeże jeźdźca. Słońce zniżało się coraz bardziej, aż w końcu znikło za horyzontem, rzucając ostatni błysk. Richius przeszedł ku kępie krzaków, które rosły nieopodal krawędzi płaskowyżu. Była to dość osobliwa zbieranina jałowców i kosodrzewiny. Wcisnął się pod gałęzie, osłaniając twarz dłońmi przed kolcami. Wiedział, że tu akurat będzie bezpieczny przed szukającymi go drapieżnikami – zwierzętami lub Drolami. Umościwszy sobie jakiś

posłanie, ostrożnie wyjął ogromny miecz z pochwy, ułożył go przed sobą, a potem wsparł głowę na zgiętym łokciu. Sen przyszedł szybko.

Budził się co jakiś czas, klnąc twardość podłoża i chłód, który na tej wysokości mocno mu doskwierał. Ostatnim razem ocknął się, by ułożyć ciało nieco wygodniej, po czym zapadł w drzemkę...

...i nagle obudził go jakiś dźwięk.

Otworzył oczy. Przez sklepienie z gałęzi dostrzegał migotanie gwiazd i nikły blask srebrnego księżycyca. Usłyszał także szmer, jaki wydają podeszwy butów ostrożnie idącego człowieka. Wstrzymał oddech i ujął rękojeść Jessicane. Powoli i ostrożnie przewrócił się na bok, usiłując coś dojrzeć przez gęstwinę, niewiele jednak mógł zobaczyć.

„Triin” – pomyślał przepełniony niepokojem. Nikt inny nie zdołałby się tu wspiąć po ciemku. Ale czy to był Lucyler? W smudze księżycowej poświaty pojawiła się ludzka sylwetka. Richius dostrzegł białą skórę i niespotykany u innych ludów błysk jiiktaru na plecach przybysza. Nieznajomy miał wzrost Lucylera. I szedł ku niemu. Zacisnął dłoń na rękojeści miecza i nawet nie drgnął. Zobaczył, że przybysz odwraca ku niemu głowę i błysk oczu zdradził mu, że został dostrzeżony. Przygotował się do skoku.

– Richius?

Richius zamknął oczy i sapnął ze zdziwienia. Głos Lucylera był równie wyraźny i głośny, jak jego własny.

– Richiusie, wyłaż. To ja, Lucyler.

– Już idę – odpowiedział Richius, wysuwając się spod krzaków. Miecz trzymał jednak w pogotowiu.

Lucyler podszedł bliżej, uśmiechając się szeroko. Jego włosy opadały luźno na ramiona, a zza pleców wystawała jedna z kling jiiktaru. Miał na sobie luźną, szafranowej barwy kurtkę z szerokimi rękawami, związaną w pasie złotym, grubo plecionym sznurem. Nie nosił już uniformu obalonego Daegoga. Miał na sobie tradycyjne szaty Triinów, które chętnie wdziewali Drolowie. Na widok Richiusa otworzył radośnie ramiona.

– Udało ci się! – rzekł z satysfakcją w głosie. – Jak się czujesz? Nic ci nie jest?

– Nic mi nie jest – odparł szorstko Richius. – Gdzie jest Dyana, Lucylerze?

Lucyler opuścił ramiona, ale uśmiech pozostał na jego twarzy.

– Wiem, że jesteś na mnie wściekły, Richiusie, ale obiecuję, że wszystko wyjaśnię.

– Jak mnie tu znalazłeś? – spytał Richius.

Lucyler kiwnął kciukiem, wskazując za siebie.

– Zobaczyłem na dole twojego konia. Wiedziałem, że wdrapiesz się tu na górę i będziesz próbował mnie znaleźć. Miałeś rację...ten płaskowyż nietrudno było odszukać.



Richius zagryzł wargi, bo ta uwaga wydała mu się obrażą. Jego przyjaciel się spóźnił i to mocno.

– Dobrze jest znów cię zobaczyć – ciągnął Lucyler. Podszedł bliżej i stanął naprzeciwko Richiusa. – Nie byłem pewien, czy zechcesz przyjechać.

– Jak widzisz, jestem. A ty masz mi wiele do wyjaśnienia. Możesz zaczynać.

Lucyler kiwnął głową.

– Owszem, muszę ci wiele wyjaśnić, ale najpierw rozpalmy ognisko.

– Nie nazbierałem chrustu – odpowiedział Richius nie bez irytacji w głosie. Odłożył swój miecz.

Lucyler wyjął zza pazuchy okrągły, czerwony kamień z ognistej skały.

– Przewidziałem to – powiedział i ruszył ku krzakom, w których niedawno schronił się Richius. Wkrótce zapłonęło ognisko promieniujące przyjemnym ciepłem. Richius wyciągnął dłonie i rozpostarł palce nad płomieniami, a Lucyler przykucnął obok.

– Jestem gotów – odezwał się Richius. – Mów.

Lucyler obrócił na niego poważne spojrzenie.

– Po pierwsze, ona jest bezpieczna. Nie masz się o co martwić.

– Ma ją Tharn?

– Jest z nim w falindarskiej cytadeli – odpowiedział Lucyler łagodnie. – Zabrał ją tam po zakończeniu wojny. – Triin umilkł na chwilę, jakby szukając odpowiednich słów. – Richiusie, oni są małżeństwem.

Richius zamknął oczy.

– O Boże! Jak do tego doszło? Zostałeś jednym z jego zwolenników?

– Przyjacielu, posłuchaj mnie uważnie. Nic nie jest takie, jak pamiętasz. Nic.

– Masz na sobie rzeczy Drolów – naciskał Richius. – Przystąpiłeś do nich?

Lucyler westchnął z desperacją.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Wyjaśnię ci wszystko, ale zechciej słuchać. Wiem, że masz do mnie mnóstwo pytań. Zrobię, co w mej mocy, by na nie odpowiedzieć.

Richius milczał.

– Przepraszam, że cię tu ściągnąłem. Może myślisz inaczej, ale naprawdę mi przykro. Zrozumiesz wszystko, kiedy usłyszysz, co ci mam do powiedzenia. Myślałeś, że mnie zabito, prawda?

– Owszem – odpowiedział Richius. – Gilliam powiedział mi, że gdy ja byłem w Ackle-Nye, zamiast mnie Voris zabrał ciebie. Wszyscy myśleliśmy, że kazał cię ściąć.

– Ja też tak myślałem... wtedy. Voris wziął mnie jako więźnia. Zabrał do Falindaru, gdzie miałem poczekać na powrót Tharna. Wiedział, że wojna się kończy, bo Tharn użyje swej mocy, by zniszczyć ostatnie oddziały Narenów w Lucel-Lorze. W zasadzie było to

dzieło paru dni.

– Wiem – odpowiedział Richius. – Widziałem, co się stało w Ackle-Nye. To wtedy Tharn porwał Dyanę.

– Wiem, że to się wydawało niemożliwe. Sam nie wierzyłem, dopóki go nie spotkałem. – Twarz Lucylera okryła się chmurą. – Spędziłem tydzień w lochach pod Falindarem, czekając na powrót Tharna, żeby mnie zabiło. Przypuszczam, że traktowano mnie całkiem dobrze, ale byłem sam. I w końcu Tharn przyszedł się ze mną zobaczyć. On chciał ciebie, Richiusie. Powiedział mi, że zebrał w Falindarze wszystkich swoich wrogów, na szczególną okazję. Nie wiedziałem, co ma na myśli, aż zabrał mnie do sali tronowej. Byli tam wszyscy plemienni wodzowie Lucel-Loru. Wiernych Daegogowi lojalistów, na przykład Kronina, sprowadzono w łańcuchach. Byli tam też oczywiście Voris i wodzowie Drolów. Przysięgam, myślałem, że nadszedł mój koniec.

– I co się stało?

– Tharn przedstawił nam Daegoga. Pojmał go, kiedy padł zamek Kronina na górze Godon, i związał jak wieprzka. Pokazał go nam wszystkim i oskarżył o zdradę ludu Lucel-Loru. A potem... – Lucyler umilkł, a jego spojrzenie uciekło w bok.

– Co? – naciskał Richius. – Co się stało?

– Tharn go zabił – odpowiedział Lucyler. – Nie wiem, jak to zrobił, ale powiódł dłoń nad Daegogiem, a ten umarł.

Richius otworzył usta ze zdumienia.

– Ot tak, po prostu?

– Nie inaczej. Daegog w jednej chwili był żywy i miotał przekleństwa, a w następnej był martwy. Pamiętam, że się przeraziłem. Wszyscy lojalni wodzowie zaczęli szeptać pomiędzy sobą, że my też umrzemy w ten sam sposób.

– Ale nic takiego się nie stało. Dlaczego?

– Kiedy Daegog padł martwy u stóp Tharna, ten wstąpił na tron. Powiedział, że nie ma między nami sporów, skoro jedyny prawdziwy wróg Lucel-Loru już nie żyje. Powiedział, że pragnie pokoju, a „dotykem niebios” obdarzono go po to, by zaprowadził wśród nas jedność. – Twarz Lucylera zajaśniała entuzjazmem. – Powiadam ci, Richiusie, on nie jest taki, jak myślisz. Naprawdę pobłogosławili go bogowie. Zjednoczył nas. Po raz pierwszy w historii wszyscy plemienni wodzowie słuchają jednego człowieka.

– Zostałeś Drolem! – zachnął się zdumiony Richius.

– Nie Drolem – sprzeciwił się Lucyler, przemawiając cierpliwie, jak do dziecka. – Ale teraz słucham Tharna. Dlatego zresztą przybyłem tutaj. Jest coś, o czym musimy pomówić.

– O tak, w istocie – stwierdził Richius. – Na przykład trzeba nam omówić, co dalej.

Przyszedłem, by odzyskać Dyane, Lucylerze, po nic więcej.

– Pozwól mi wyjaśnić...

– Nie trzeba niczego wyjaśniać. Już mi oznajmiłeś, że jesteś zdrajcą. Dobrze, niech i tak będzie, mogę się z tym pogodzić. Omówmy teraz kwestię wydarcia Dyany z rąk Tharna.

– Nie jestem zdrajcą – syknął Lucyler, któremu z gniewu nabrzmiały mięśnie na skroniach. – Daegog nie powinien wpuszczać waszego imperatora do Lucel-Loru, o czym dobrze wiesz. Był słabym i okrutnym władcą. Chciał jedynie uzyskać broń od Narenów, by zgnieść plemiennych wodzów i rządzić samowładnie całym Lucel-Lorem, jak dawni Daegogowie. Popelniłem błąd, kiedy podjąłem decyzję o tym, że będę mu służył, a teraz nie wstydzę się tego, że wzięłem stronę Tharna.

– A powinienes! – rzucił ostro Richius. – Tharn to potwór i dobrze o tym wiesz. Zawsze podejrzewałem, że Daegoga zabito, ale dopiero teraz uzyskałem potwierdzenie od ciebie. A ty stałeś i patrzyłeś, jak go mordują.

– Mylisz się, Richiusie. Usiłowałem mu pomóc. Błagałem Tharna, by przestał... Ale musisz zrozumieć, przez co przeszedł Tharn. Daegog go torturował, dla zabawy kazał połamać mu kolana. Chłostano go...

– Tak, tak – przerwał Richius. – Znam tę historię. Ale to niczego nie usprawiedliwia. Może Daegog zasłużył na to, co go spotkało, ale nie uniewinnia to Tharna.

– Richiusie, posłuchaj proszę. Tharn skończył z wojną. Przyniósł naszemu narodowi pokój. Darował wszystkim życie w akcie dobrej woli swej bogini. W Lucel-Lorze nikt już z nikim nie walczy. Po raz pierwszy od wielu dziesiątków lat.

– Darował ci więc życie – Richius machnął dłonią, jakby rzecz nie miała dla niego znaczenia. – Ale te jego moce zniszczyły niemal wszystkich moich rodaków. Możesz się z tym pogodzić? Bo ja nie.

– Ja też. Ale to była wojna, a na wojnie ludzie zabijają innych ludzi. Ja sam zabijałem Triinów. Moich rodaków. Oto, z czym ja muszę żyć. Nie oskarżaj mnie więc o zbrodnie, których nie rozumiesz.

Richius umilkł, przyglądając się przepelnionej bólem twarzy starego przyjaciela. Nagle zapragnął położyć kres tej pełnej goryczy sprzeczce.

– Powiedz mi coś jeszcze – poprosił. – Mówiłeś, że Dyana jest bezpieczna. Nic jej nie jest? Jak on ją traktuje?

– Łagodnie – odpowiedział Lucyler, lekko się uśmiechając. – Obchodzi się z nią jak z księżniczką. Uwierz mi, że niczego jej nie brakuje.

– A skąd się o niej dowiedziałeś? Nie widziałem się z tobą po tym, jak ją poznałem w Ackle-Nye. Czy to ona przysłała cię do mnie?

– Przysłał mnie Tharn – odpowiedział Lucyler. – Ona jednak wiedziała, że mam się z tobą zobaczyć. Poprosiła mnie, bym ci coś oddał... – Sięgnął za pazuchę, przez chwilę szukał czegoś w wewnętrznej kieszeni, a potem wyjął mały, lśniący przedmiot.

– Mój pierścień! – zdumiał się Richius. Wziął go szybko i włożył na palec. Wydało mu się, że lata całe upłynęły od chwili, w której dał pierścień Dyanie, by jej zapewnić bezpieczny przejazd do Aramooru. W jakiś zdumiewający sposób pierścień go odnalazł.

– Ona cię dobrze wspomina, Richiusie. I chciała, bym ci coś od niej powiedział. Powiedziała, że zrozumiesz.

– Co takiego? – spytał Richius.

– Dziękuję.

Richius uciekł ze spojrzeniem w bok.

– Rozumiesz? – spytał Lucyler.

– Tak. Ona mi dziękuje za to, że próbowałem ją ratować. Wiedziała, że Tharn jej szuka. Dlatego uciekła do Ackle-Nye. Chciała opuścić Lucel-Lor i ja jej obiecałem, że odeślę ją do domu z Edgardem. Ale twój nowy pan, to człowiek potężny, Lucylerze. Zabił Edgarda, zanim zdążyłem ją do niego odprowadzić, a potem porwał ją, korzystając z tej piekielnej burzy. Ona nie chciała go poślubić, i on zaś o tym wiedział. Ale nic go to nie obchodziło, prawda?

– Obchodziło – odpowiedział Lucyler spokojnie. – On nie jest rzeźnikiem, za jakiego go uważasz. Jest człowiekiem pokoju, któremu bogowie przeznaczyli uratowanie nas przed nami samymi. Dali mu moc, w którą przedtem nie wierzyłem, ale wiem teraz, że ją ma. On nie jest złym czarodziejem. Jest prorokiem.

Richius uśmiechnął się ponuro i spojrzał na Lucylera.

– Myślę, że to wszystko bzdury, i ty o tym wiesz.

– Nie musisz mi wierzyć. Nie przybyłem tu po to, by cię przekonywać.

– Jak ty to zrobiłeś, Lucylerze? Czym był ten twój obraz, który widziałem?

– Tharn nazwał to projekcją – odparł Triin. – To sposób na przeniesienie swego obrazu na wielkie odległości. To było bardzo trudne i dlatego nie mogłem rozmawiać z tobą dłużej. Ale wiedziałem, gdzie jesteś. Czulem cię. I twoją żonę. Była w... twoim umyśle. Widziałem jej twarz. Sprzeczałyście się, prawda?

Pytanie wzbudziło w Richiusie gniew.

– Na tym polega magia Drolów? Czy Tharn cię tego nauczył?

– To nie magia. Jedynie Tharn został obdarzony „dotykem niebios”. Ale musiałem jakoś się z tobą porozumieć i on mi pokazał, j» jak to zrobić. Powiedział, że zdołam tego dokonać, jeżeli uwierzę. Nadal nie rozumiem, jak to działa, ale zdołałem ci się ukazać.

W końcu Richius postanowił zadać kluczowe pytanie.

– Ale po co to wszystko, Lucylerze? Czego on chce ode mnie?

– Żebyś użył swoich wpływów – odpowiedział Lucyler. Oparł głowę na dłoni, wciskając łokieć w kurz i żwir. – Mniej więcej przed miesiącem do falindarskiej cytadeli przybył pewien człowiek. Cytadela wznosi się nad morzem, a ten człowiek przypłynął na niewielkim stateczku. Był agentem króla Liss i chciał rozmawiać z Tharnem.

– Przypłynął z Liss? – spytał Richius. O ile wiedział, żaden z wyspiarzy od dziesiątek lat nie zapuścił się tak daleko od swoich brzegów. – Nar trzyma blokadę wokół Liss. Jak on zdołał się przedostać?

– Przemknął nocą obok nareńskich okrętów, korzystając z ciemności. Miał ciężką podróż. Kiedy dotarł do Falindaru, był bliski śmierci głodowej. Ale przybył z Liss i przywiózł zapieczętowany list swego króla, który wręczył Tharnowi. – Lucyler przerwał i wbił ciężkie spojrzenie w Richiusa. – Wiesz, co było w tym liście?

– Nie mam pojęcia.

– Prośba o pomoc. Liss prosi o pomoc w ich wojnie z waszym Imperium. Przypuszczam, że dotarli do nich wieści o naszym zwycięstwie i o tym, że wyparliśmy Narenów z naszych ziem. Król Liss poprosił, byśmy zrobili to samo dla nich.

– Zdumiewające – odpowiedział Richius. – Ale bez sensu. Dlaczego Tharn miałby się godzić na udzielenie pomocy Liss? Niczego byście na tym nie zyskali.

– Mylisz się, Richiusie. To nie wszystko, co było w tym liście. Król Liss miał także interesujące wieści dla Tharna. Utrzymuje, że Nar szykuje kolejną inwazję na Lucel-Lor, która nastąpi, gdy tylko flota Arkusa zajmie Liss. Nareńscy żeglarze mówią każdemu pojmanemu Lisseńczykowi o tym, jak to sobie użyją w Lucel-Lorze, gdy zdobędą Liss. – Lucyler nachylił się ku Richiusowi. – Mówią, że do inwazji został już wyznaczony Aramoor. Czy to prawda, Richiusie? Powiedz mi, czy Nar planuje jeszcze jedna inwazję na Lucel-Lor?

Richius zaczerpnął tchu, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Spojrzawszy na Lucylera i zobaczywszy troskę w twarzy przyjaciela, szybko podjął decyzję.

– Prawda. Dowiedziałem się o tym przed kilkoma miesiącami, gdy byłem w Nar. Arkus chce ponownie uderzyć na Lucel-Lor i tym razem traktuje sprawę poważnie. Chce, żebym to ja przeprowadził inwazję.

Lucyler wzdrygnął się, zdumiony prostotą wyznania.

– I ty się zgodziłeś?

– Owszem. Po pierwsze, dlatego, że nie podzielałam twojej opinii o Tharnie. Dla mnie jest mordercą, i z przyjemnością popatrzę, jak go będą żywcem obdzierali ze skóry. Zechciej sobie przypomnieć, że przez niego zginął mój ojciec i wielu moich przyjaciół. Myślałem nawet, że zabił ciebie. Poza tym, stworzyło to okazję do powrotu do Lucel-

Loru i odszukania Dyany. I ten powód przeważył.

Lucyler zbladł.

– Coś rzekł o swoim ojcu? Czyżby umarł?

– A co, nie wiesz? – spytał z gniewem Richius. – Został zabity... zamordowany przez zabójcę Drola, zanim wróciłem do domu.

– Och nie! – zachnął się Lucyler. – To niemożliwe!

– Jak to, niemożliwe? On nie żyje!

– W to nie wątpię, nie będę się również sprzeciwiał twemu twierdzeniu, że go zamordowano. Ale nie zabił go żaden z Drolów. W to nigdy nie uwierzę.

– A ja wierzę – odpowiedział Richius. – Po jego śmierci zostałem królem Aramooru. Nie wiedziałeś?

– Richiusie, my w Lucel-Lorze mamy prawie żadnych wieści o tym, co się dzieje w Imperium. Ten agent z Liss był pierwszym gościem, który się pojawił u nas od czasu, kiedy wyszli ostatni żołnierze Imperium. Ale powtarzam jeszcze raz – twojego ojca nie zabił żaden z Drolów.

– Wierz sobie, w co chcesz – burknął Richius. – Niewiele mnie to obchodzi. Nadal jednak nie rozumiem, czego Tharn chce ode mnie? Wpływy, powiadasz? I co mam zrobić?

– Zakończyć tę wojnę. Tharn ma nadzieję, że udasz się do Nar i odwiedzisz imperatora od zamiaru najazdu na Lucel-Lor. Teraz jesteś królem. To nawet lepiej. Może Arkus da ci posłuch.

Pomysł wydał się Richiusowi tak zabawny, że wybuchnął gromkim śmiechem.

– Mówisz poważnie? Dlaczego, u licha, miałbym zechcieć zrobić cokolwiek dla Tharna?

– Bo to rzecz słuszna i prawa. Lucel-Lor żyje teraz w pokoju. Nie chcemy z nikim żadnej wojny. Myślę zresztą, że i ty też.

Śmiech zamarł Richiusowi na ustach.

– Owszem, masz rację. Ale myśl o wpływach na dworze Arkusa jest śmieszna. Mój ojciec nie miał żadnych, o czym dobrze wiesz. A ja chyba mam jeszcze mniejsze.

– Musisz jednak spróbować – nalegał Triin. – Powiedz imperatorowi, że nie może wygrać. Powiedz mu, co Tharn potrafi zrobić jego żołnierzom...

– Lucylerze, już mu to wszystko mówiłem. Nie chciał mnie słuchać. Zresztą, nawet gdybym mógł, nie zrobiłbym tego. Może Tharn rzucił na ciebie jakiś czar i teraz uważasz go za wielkiego człowieka, był jednak czas, kiedy nienawidziłeś go równie mocno, jak ja. Nie zrobię niczego, żeby pomóc jemu, ani jego rządcom.

– Więc godzisz się na to, by zginęło jeszcze więcej twoich rodaków? Będziesz toczył

kolejną wojnę dla twego imperatora?

– Przeciwno Tharnowi? Owszem, tak. Chętnie skorzystam z możliwości unicestwienia tego potwora i szansy uwolnienia Dyanę. On zresztą o tym wie, prawda? Właśnie dlatego przysłał cię do mnie. Wiedział, że cię wysłucham, jeżeli w ten sposób będę mógł jakoś pomóc Dyanie.

– Nie mylisz się – przyznał Lucyler. – Myślał jednak, że zechcesz mnie wysłuchać. Richiusie, dlaczego mi nie wierzysz?

– Jeżeli chciał, bym wam pomógł, powinien przysłać tu Dyanę – stwierdził Richius.  
– W ten sposób mógłby mnie prawie przekonać.

Lucyler z namysłem rozejrzał się dookoła.

– To długa wędrówka, Tharn zaś myślał, że ja sam zdołam cię przekonać. Ale może tak w istocie będzie lepiej. – Ponownie spojrzął na Richiusa. – Przyjacielu, czy zechciałbyś sam się o tym przekonać? Gdybyś ujrzał teraz Lucel-Lor, pewien jestem, że byś mi uwierzył. Jeżeli zdołam cię przekonać, że dalsza wojna jest bezcelowa, może zgodzisz się na rozmowę ze swoim imperatorem?

– Czy Tharn uwolni Dyanę, jeżeli pojedę z tobą do Falindaru? Powiedz mi prawdę. Czy ona będzie mogła wrócić ze mną?

– Nie wiem – stwierdził Lucyler ponuro. – Jest jego żoną. Nie mam pojęcia, jak bardzo mu na niej zależy i nie wiem, jakie są w istocie jego zamiary. Ale mogę ci rzec jedno – kiedy się z nim spotkasz, zrozumiesz, że jest dobrym człowiekiem. Zobaczysz, jaki pokój przyniósł Lucel-Lorowi i uwierzysz.

– Chcę tylko odzyskać Dyanę i to wszystko. Jeżeli mi ją odda, przemówię za nim do Arkusa. Ale pozwól mi rzec jedno, przyjacielu... Tharn głęboko się myli, jeżeli uważa, iż moje wpływy są tak wielkie, że zdołam imperatora przekonać. Nie ma sposobu, by odwieść Arkusa od inwazji. Uderzy na was nawet, jeżeli uzna, że ja się do tego nie nadaję, i co najwyżej na czele najeźdźców postawi kogoś innego.

– Ale moce, jakimi dysponuje Tharn...

– Właśnie tych mocy pożąda Arkus dla siebie – stwierdził Richius. – Słyszał o wszystkim i jest przekonany, że cały wasz kraj, Lucel-Lor, pełen jest takiej magii. Z tego właśnie powodu wybuchła ta wojna. To jedyna rzecz, której u was szukał. On umiera i myśli, że magia Triinów może go uratować. Nie dba o to, ilu ludzi zginie, by mógł dopiąć swego. Najlepiej zrobicie, Lucylerze, gotując się do wojny, bo spadnie na was, gdy tylko Narenie zajmą Liss. Twarz Lucylera nagle się zasępiła.

– No to będziemy mieli wielkie kłopoty. Tharn nie użyje ponownie swoich mocy przeciwko Imperium, i jeżeli uderzą na nas wasze wojska, będziemy musieli się bić bez jego pomocy.

– Naprawdę? – spytał Richius. – Czyżby moc go opuściła?

– Nie. Ale nigdy już jej nie użyje. Tak ślubował.

– Dlaczego?

Lucyler spojrzał na Richiusa z ukosa.

– Może lepiej będzie teraz o tym nie mówić. Zrozumiesz, kiedy się z nim spotkasz. – Triin wstał i przeciągnął się z widoczną przyjemnością. – Rankiem ruszamy do Falindaru. Powiedziałem już Tharnowi, że nie możesz nam pomóc, on jednak sądzi, że zdoła cię przekonać. Kiedy tam przybędziemy, zobaczysz Dyanę.

– Nie zależy mi na tym, by ją tylko zobaczyć – ostrzegł Richius przyjaciela. – Zamierzam ją zabrać ze sobą. Jeżeli chce, bym podjął próbę przekonania Arkusa, będzie musiał ją uwolnić. Chyba to rozumie, prawda?

Lucyler odwiódł wzrok od ogniska i spojrzał w ciemności.

– Tharn jest bardzo mądry – powiedział cicho. – Nie ma wątpliwości, że spodziewa się takiego żądania.



## Dwadzieścia cztery

Hrabia Renato Biagio wyglądał z satysfakcją przez niewielkie okienko na zalany pięknym światłem wiosennego dnia dziedziniec aramoorskiego zamku. Ilekroć miał okazję, wiosną zawsze z przyjemnością przyjeżdżał na północ; te ziemie były najpiękniejszą częścią Imperium. Rosły tu drzewa, jakich nie spotykało się nigdzie indziej w całym Nar, ziemia ta była pełna pięknych kwiatów i zwierząt. Aramoor był najpiękniejszy wiosną. Hrabia doszedł do wniosku, że powinien tu spędzać więcej czasu niż w sąsiednim Talistanie. Co prawda, Gayle'owie zawsze witali go chętnie i dawali mu okazje do pilnego baczenia na Aramoor, co było znacznie trudniejsze z odległej stolicy. Aramoor wiele znaczył dla Arkusa. Biagio miał nadzieję, że pilne wezwanie Jojustina nie zwiastuje kłopotów.

Wsuwając kolejną winną jagodę w usta, hrabia odchylił się na krześle i nie bez przyjemności patrzył na nieco zdenerwowaną służącą, która zręcznie układała kromki chleba na talerzu. Była bardzo ładna. Podobał mu się sposób, w jaki układała swe rozjaśnione przez słońce włosy, wiążąc je w długi warkocz. Kobiety w Crote nosiły się podobnie, a hrabia, ilekroć widział jakąś dziewczynę z północy z takimi włosami, mimowolnie się uśmiechał.

Jako syn swego kraju zawsze podziwiał wdzięczne kształty ludzkiego ciała. Jenna nie była idealnie zgrabna i nie przypominała posągów w jego domu, miała jednak drobne, atrakcyjne ciało i delikatną urodę, którą hrabia zawsze cenił u swoich kochanków, zarówno kobiet jak i mężczyzn. Dziewczyna, czując na sobie spojrzenie hrabiego, lekko zadrżała.

– Jenno? – zagadnął obojętnie, umieszczając obutą stopę na stole. – Czy nie zachciałabyś mi podać jeszcze trochę wina? Nie mogę stąd sięgnąć do butelki.

Patrzył z rozbawieniem, jak dziewczyna pospiesznie wzięła butelkę ze stołu i zaczęła napełniać puchar, drżąc pod bacznym spojrzeniem dwóch przybocznych, którzy stali za nim. Niewiele brakło, by wino przelało się przez brzegi pucharu, ale hrabia wreszcie podniósł dłoń.

– Wstrzymaj się! To drogi płaszcz. Chyba nie chcesz mi tkać nowego, prawda?

– Przepraszam, mój panie – wybąkała dziewczyna.

Podobało mu się, jak zerka ku drzwiom, czekając na kogoś, kto przyjdzie jej z pomocą. Miała pecha i pierwsza powitała go na dziedzińcu, a jego wyraźne żądanie zmusiło ją, by dotrzymała mu towarzystwa, kiedy Jojustin gotował się na przyjęcie gościa. Była to niedogodność, która w jakiś szczególny sposób mu odpowiadała. Nie

lubił nigdy na nikogo czekać, ale znosił to jakoś, gdy towarzystwa dotrzymywała mu piękna kobieta. Ta zaś wizyta była dla niego czymś niezwykłym. Nie przywykł do tego, by ktoś go wzywał do siebie, i nowość sytuacji mocno go intrygowała. List Jojustina dotarł do niego w Talistanie zaledwie wczoraj, był jednak dostatecznie nagłący, by Biagio natychmiast ruszył w drogę. Treścią rozmowy miały być „sprawy najwyższej wagi”, jak napisał stary sługa królów Aramooru. Hrabia wycisnął winną jagodę zębami i wypluł resztki na dłoń. Lepiej, żeby go nie zawiódł.

– Kiedy będę mógł zobaczyć króla Richiusa? – spytał dziewczynę. Nie widział go od czasu koronacji, nie miał też od niego żadnych wieści, a przecież powinien być na miejscu i gotować wojska do inwazji. Aż do dzisiejszego dnia uważał Richiusa za bardzo cierpliwego młodego człowieka. – Nie widziałem go, idąc przez korytarze. Czy powiedziano mu, że tu jestem?

– Nie wiem, mój panie – odpowiedziała Jenna cichym głosem.

„Straszna z ciebie kłamczucha” – pomyślał Biagio. Nie przejął się tym jednak, gdyż wiedział, że spodziewane odpowiedzi otrzyma od starego sługi. Zapewne nagłący list od Jojustina miał coś wspólnego z nieobecnością króla. Biagio zaczął wysysać sok z kolejnej winnej jagody. Dwaj Aniołowie Cienia stali za nim niczym czarne posągi, pilnie patrząc w okna i drzwi w oczekiwaniu na możliwy morderczy atak. Patrzyli też na Jennę, przyglądając się jej głodnym wzrokiem wyposzczonych mężczyzn. Biagio zanotował w pamięci, że jego przybocznicy istotnie zbyt długo już musieli się obywać bez kobiety. Trzeba będzie temu szybko zaradzić. Przed powrotem do domu można na przykład odwiedzić burdel w Talistanie.

W końcu drzwi się otworzyły i do sali wszedł Jojustin. Jenna westchnęła z ulgą. Biagio natychmiast spostrzegł, że staruszek jest niezwykajnie blady i pulsuje mu żyłka na skroni. Na powitanie gościa Jojustin ubrał się bogato, choć bez przepychu. Miał na sobie kamizelkę ze złotymi guzikami i wypolerowane trzewiki. Mimo wszystko unosiła się wokół niego miła Biagiówi aura strachu, jaka otacza skazańca tuż przed tym, jak otworzą pod nim klapę zapadni. Biagio odsunął puchar i wstał. Jenna cicho wymknęła się z komnaty, a Jojustin zamknął za nią drzwi.

– Panie hrabio... – zaczął niepewnym głosem. – Rad jestem, że zechciałeś przybyć tak szybko.

Biagio pochylił głowę.

– Wielmożny Jojustinie, twój list naglił i pomyślałem, że lepiej nie zwlekać z przyjazdem. – Zobaczył, że Jojustin obrzucił ukradkowym spojrzeniem obu jego przybocznych.

– Proszę, usiądź, panie – poprosił staruszek. – Twoi ludzie może zechcą coś

przekąsić lub wypić?

– To niepotrzebne – odparł Biagio, ponownie siadając. – Twoja córka, Jenna, już mi przypomniała o ich potrzebach.

Stwierdzenie to zaskoczyło Jojustina, ale go nie skomentował, tylko usiadłszy naprzeciwko hrabiego, nalał sobie szczydke wina do pucharu. Zanim zadał następne pytanie, łyknął trunek.

– Jak przebiegła podróż z Talistanu, panie hrabio? Ufam, że bez przeszkód.

– Bez przeszkód, wielmożny Jojustinie – uśmiechnął się Biagio. – Zastanawiam się, gdzie też przebywa młody król Richius. Spodziewałem się, że go tu zastanę.

Jojustin na ułamek sekundy zacisnął szczękę.

– Obawiam się, hrabio, że dziś się z Richiusem nie zobaczysz. Przykro mi.

– Och nie! Nie jest chyba chory?

Jojustin długo zwlekał z odpowiedzią, a kiedy wreszcie zaczął mówić, utkwiał wzrok w pucharze.

– Szczerze mówiąc, panie hrabio, nie umiem rzec. Być może rzeczywiście opanowała go jakaś choroba. Przykro mi, ale muszę ci, panie, powiedzieć coś strasznego...

– Słucham – zachęcił go Biagio.

Stary sługa poruszył się niespokojnie. Czujne spojrzenia hrabiego i dwóch Aniołów Cienia wzmagaly jego nerwowość.

– Richius... – królewski sługa przez chwilę szukał właściwego słowa – ...wyjechał.

– Wyjechał? Cóż to znaczy, mój panie? Dokąd wyjechał?

Jojustin przełknął ślinę.

– Do Lucel-Loru.

– Boże! – wybuchnął Biagio. – A co on tam robi?

– Panie hrabio... – odpowiedział Jojustin nieszczęśliwym głosem. – To długa historia.

– Mam czas, wielmożny Jojustinie. Opowiadaj!

– Proszę... – zaczął staruszek błagalnie. – Zechciej zachować spokój, hrabio. Wyjaśnię wszystko najlepiej, jak zdołam. – Usiadł wygodniej i zaczął palcami przeczesywać brodę, jakby układał myśli. – Cztery dni temu Richiusowi ukazał się jego przyjaciel, Triin, który walczył u jego boku w dolinie Dring. Człowiek ten powiedział Richiusowi, że musi z nim porozmawiać i że ma dla niego ważne wieści. Nie powiedział, jakie. – Jojustin spojrzał na Biagia, śledząc jego reakcję.

– Mów dalej – naciskał Biagio. – To fascynująca historia.

– Cóż... Ten Triin miał dla Richiusa pewne nowiny. Podczas pobytu w Lucel-Lorze Richius pokochał dziewczynę o imieniu Dyana. Stracił ją jednak. Odebrano mu ją

w czasie burzy, jaka spustoszyła Ackle-Nye, a o której wywołanie podejrzewacie Tharna. Ten Triin, który ukazał się Richiusowi, powiedział mu, że wie, gdzie przebywa jego ukochana. Z tego, co Richius powiedział mnie, swemu przyjacielowi Patwinowi i lady Sabrinie, wywnioskowałem, że tę Dyanę więzi Tharn. Myślę, że Richius ruszył jej na ratunek...

– Chcesz powiedzieć, że pojechał na spotkanie z Tharnem?

– Pojechał zobaczyć się ze swoim przyjacielem Triinem – odpowiedział Jojustin. Po chwili jednak dodał: – Ale masz rację, może i pojechał zobaczyć się z Tharnem. Jeżeli ten Triin powie Richiusowi, że tamten ma tę kobietę... – Stary umilkł i dość jednoznacznie wzruszył ramionami.

– Kiedy to było? – spytał Biagio.

– Wyjechał trzy dni temu, po tym jak mu się ukazał ten Triin.

– Mów z sensem. Cały czas powtarzasz, że ktoś mu się ukazał. Co to znaczy?

– Znaczą, że mu się ukazał – odpowiedział chłodno Jojustin. – Jak duch... tak przynajmniej utrzymywał Richius. Domyślam się, że była to magia Triinów.

Magia! Słowo to uderzyło Biagia niczym młot. To był powód wszystkiego: inwazji, uporu Arkusa, zaangażowania Aramooru w wojnę... A teraz dowiedział się o tym, że Richiusowi magicznie ukazał się jakiś Triin. Oszołomiony Biagio podniósł puchar i łyknął nieco wina, prawie nie zwracając uwagi na smak trunku. Musi natychmiast donieść o tym Arkusowi, tymczasem od stolicy dzieliła go wielotygodniowa podróż. Z pewnością Vantran dotrze do czarownika wcześniej. I nie było sposobu, by się dowiedzieć, o czym będą mówili. Jeżeli Vantran ostrzeże tamtego o inwazji...

Nie, to było nie do pomyślenia. Ogarnęła go fala wściekłości. Zaufali temu szczeniakowi jak durnie, osadzili go na tronie zdradzieckiego ojca, wszystko w imię wewnętrznego pokoju. Teraz zaś ten szlachetny gest zagrażał możliwościom zdobycia Lucel-Loru. Biagio powoli osunął dłoń po udzie, ku miejscu, gdzie trzymał ukryty w pochwie sztylet. Zatrząsk odskoczył, gdy tylko Biagio musnął go palcem.

– Miałaś rację, wielmożny Jojustinie, że mi o tym powiedziałaś – stwierdził hrabia z wymuszonym uśmiechem. – Mógłbym sobie tylko życzyć, żeby nie trwało to tak długo.

– Bo też niełatwa to była decyzja, panie hrabio – odpowiedział Jojustin. – Kocham tego chłopca. Próbowałem go zatrzymać, ale nie chciał mnie nawet słuchać. Zresztą wiedziałem, że prędzej czy później i tak się dowiesz, panie. – Pochylił się. – Zrobiłem to tylko i wyłącznie dla dobra Aramooru.

Biagio kiwnął głową.

– Doskonale to rozumiem.

– Proszę, zrozum coś jeszcze, hrabio. Richius nie jest zdrajcą, tylko po prostu

głupcem. Aramoor musi się jednak przystosować do obecnych czasów, a to oznacza akceptację władzy Nar.

– A ty jesteś lojalny wobec Nar, prawda? – spytał Biagio retorycznie. Pilnie patrzył, jak twarz starszka się odpręża i rozluźnia.

– Jestem. Jestem, bo muszę. Dla jakiegoś powodu Darius Vantran nie chciał okazywać tej lojalności i nie okazuje jej obecnie jego syn. Darius nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego, jaką szkodę wyrządza Aramoorowi. Nie chcę, by coś podobnego przydarzyło się raz jeszcze. – Jojustin opuścił wzrok. – Nie ma już więcej Vantranów. Po Richiusie będziemy musieli wybrać nowego wodza.

– Tak bardzo wdał się w ojca – stwierdził Biagio ze smutkiem w głosie. – Ale na szczęście mamy tu ciebie, prawda? W końcu, gdyby nie ty, mielibyśmy jeszcze do czynienia z Dariusem Vantranem.

Jojustin podniósł wzrok i utkwił go w oczach Biagia. Obaj popatrzyli na siebie ze zrozumieniem. Biagio uśmiechnął się ponuro.

– Rozumiemy się, prawda?

Jojustin spojrzał na czekających z boku Aniołów Cienia.

– Niech ich obecność cię nie trapi, wielmożny Jojustinie – uspokoił go Biagio. – Nie zrobią nic, dopóki nie wydam rozkazu, a dlaczego miałbym to zrobić? Uwolniłeś Nar od zdrajcy, a był to czyn, który nas samych napawał niesmakami. Dlaczego masz taką strapioną minę? Z pewnością wiesz, że Roshannowie są wszędzie. Nigdy nie wierzyliśmy, że morderstwo popełnił jakiś Triin. Nie sądzisz, że cały czas byłeś głównym podejrzanym?

Jojustin nie odpowiedział.

– Wykazałeś się – stwierdził Biagio. – Odetchnij z ulgą, w końcu zrzuciłeś to z serca.

Stary sługa szybko obejrzał się ku drzwiom, jakby chciał się upewnić, że są zamknięte.

– Sądzisz, hrabio, że to było łatwe? – spytał dramatycznym szeptem. – Nie jestem mordercą. To nie było tak, jak myślisz!

– Ależ nikt cię nie oskarża – zachnął się Biagio. – Jesteś raczej bohaterem.

Jojustin skwitował komplement grymasem.

– Zrobiłem to, co było trzeba, nic więcej. Darius wyniszczał Aramoor. Sprowadzał na nas gniew Nar i w ogóle się tym nie przejmował. Próbowałem przemówić mu do rozsądku, ale on upierał się przy tych bzdurach, co jest prawe i co się godzi... zupełnie jak jego syn. Ktoś musiał go powstrzymać.

– Proszę, przestań się usprawiedliwiać – przerwał mu Biagio. – Jak powiedziałem, zrobiłeś nam przysługę. I jakoś udało ci się uchronić od podejrzeń, czy to nie

nadzwyczajne? Wątpię, by ktokolwiek w zamku, nawet Richius, cię podejrzewał. Król doprawdy musi cię darzyć wielką miłością, jeżeli się nie zorientował.

Twarz Jojustina zszarzała.

– I co teraz będzie?

– Z tobą? – spytał Biagio radośnie. – Nic.

– Nie ze mną – warknął staruszek. – Z Aramoorem!

– A, to istotnie twardy orzech do zgryzienia. Nawet jeżeli młody Richius wróci, nie możemy go zostawić na tronie. Nie, potrzebny nam ktoś inny. Trochę już nad tym myślałem. W końcu nikt z nas w Nar tak naprawdę nie wierzył w lojalność Richiusa. Potrzebny nam ktoś godny zaufania, ktoś, kto rozumie postępowanie Nar.

Biagio wstał i podszedł do krzesła Jojustina, gdzie przyklęknął na jedno kolano, a potem pochylił się do ucha staruszka.

– Mam już kogoś na oku – szepnął kusząco. – Arkus zaś dał mi władzę, by zrobić, co trzeba, gdy zajdzie taka konieczność. Wygląda na to, że taka chwila właśnie nadeszła, prawda?

Jojustin skinął głową.

– Nie zrobiłem tego po to, by zostać królem – stwierdził stanowczo. – Zrobiłem to dla Aramooru.

– Królem? – syknął Biagio. Cicho wyjął sztylet z pochwy na udzie. – Chyba mnie źle zrozumiałeś, wielmożny Jojustinie!

W jednej nieuchwytej chwili Biagio chwycił siwe włosy Jojustina i odchyliwszy mu głowę do tyłu, ciął sztyletem po jego krtani. Skóra rozeszła się gładko; z rany natychmiast buchnęła krew. Jojustin, przerażony i zdumiony, wytrzeszczył oczy i, porwawszy się z krzesła, usiłował zatkać rozdarcie dłońmi. Potknął się, zagulgotał niezrozumiale i wyciągnął ku Biagio zakrwawioną dłoń. Hrabia odtrącił ją.

– Zabiłeś jednego z królów Nar – rzekł spokojnie. – To zawsze jest karane śmiercią.

Miał wrażenie, że Jojustin już go nie słyszy. Staruszek opadł na kolana, świszcząc oddechem przez otworzoną krtani. Wbił w Biagia płonące spojrzenie. Biagio patrzył zdumiony, bo nigdy nie widział tak zuchwałego spojrzenia w oczach konającego. Twardzi byli ci ludzie z Aramooru.

I nagle Jojustin runął na twarz, a na posadzce rozeszła się plama krwi. Biagio wytarł ostrze o kurtkę starego sługi. Przyboczni patrzyli na wszystko obojętnymi spojrzeniami. Zajęty czyszczeniem sztyletu hrabia nie usłyszał w porę kroków wchodzącego.

– Jojustinie? – rozległ się młodzieńczy głos. W uchylonych drzwiach pokazała się twarz pełna skruchy. – Przykro mi cię niepokoić, ale...

Trzymając zakrwawiony sztylet w dłoni, Biagio wstał i uśmiechnął się do

jasnowłosego intruza.

– Ha! Przyłapałeś mnie na gorącym uczynku.

Twarz młodzieńca zbladła jak płótno. Przez chwilę patrzył na Biagia ze zgrozą w oczach. Hrabia wzruszył ramionami, jak przyłapana na psocie mała dziewczynka.

– Zanieczyściłem wam podłogę. Macie tu jakiś ręcznik?

Młody człowiek zamarł bez ruchu w drzwiach, patrząc na niepojętą dla niego scenę. Biagio ruszył ku niemu, zręcznie przestępując nad trupem.

– Jesteś Patwin, prawda? Przyjaciel Richiusa? Bądź tak dobry i powiedz lady Sabrinie, że chcę z nią porozmawiać.

– O mój Boże! – jęknął Patwin. Jego wzrok przeskoczył z Biagia na ciało Jojustina i z powrotem. Zaczął jakieś pytanie i nagle wypadł z komnaty, wołając: – Sabrino!

Biagio zaklął i skoczył za młodzieńcem, który zdążył już dobiec do schodów. Hrabia szybkim gestem wezwał Aniołów Cienia, by mu towarzyszyli. Mroczni bliźniacy wydobyli miecze i ruszyli za uciekinierem. Biagio pognął za nimi.

– Ależ Patwinie, nie utrudniaj mi sprawy bardziej, niż to konieczne – zawołał, wspinając się po schodach. – Naprawdę nie lubię, kiedy sprawy posuwają się za daleko!

Kiedy dotarli do szczytu schodów, usłyszeli w głębi korytarza łoskot zatraskiwanych drzwi. Aniołowie Cienia podeszli do nich i stanęli po obu stronach, czekając na rozkazy swego pana. Z dołu Biagio usłyszał zdumione krzyki służby i rozpaczliwe jęki Jenny, która właśnie odkryła zwłoki Jojustina. Zdesperowany hrabia podszedł do drzwi i energicznie w nie zapukał. Zza drzwi usłyszał zdumiony okrzyk młodej kobiety i nalegania Patwina, by zachowała ciszę.

– Lady Sabrino? – zawołał Biagio. – Czy nie zechciałabyś wyjść na chwilę? Naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

Było w tej chwili coś rozkosznie zabawnego i hrabia zachichotał cichutko, dając jednemu z przybocznych rozkaz, by kopniakiem wyważył drzwi. Anioł Cienia podniósł stopę i uderzył nią w zamek, wyłamując go bez trudu. Gdy mordercy wpadli do komnaty, lady Sabrina wydała okrzyk gniewu i zaskoczenia. Patwin stał przed królową, osłaniając ją, choć przeciwko uzbrojonym Aniołom Cienia miał tylko gołe pięści. Przerażona Sabrina z Gorkney wyglądała zza jego ramienia. Biagio odczekał chwilę przed wejściem, potem wkroczył do środka, podnosząc ręce w ironicznym geście poddania.

– No dobrze, niech się wszyscy uspokoją. Patwinie, bądźże człowiekiem i pozwól mi porozmawiać z królową...

– Pierwej piekło zamrażnie! – rzucił Patwin wyzywająco.

– Czego chcesz? – zawołała Sabrina. – Co zrobiłeś Jojustinowi?

Biagio zmarszczył brwi.

– Cóż, to przemawia przeciwko mnie, prawda? Zechciej mi wybaczyć brutalną szczerłość, ale zabiłem go. I naprawdę bym nie chciał zrobić tego samego wam obojgu. Potrzebuję cię, moja pani. Widzisz, chodzi o twojego męża...

– Wynoście się wszyscy! – wykrzyknęła Sabrina. – Zostawcie nas w spokoju!

– Niestety, nie mogę – rzekł Biagio z udanym żalem. – Patwinie, zechciej odstąpić na bok.

– Nie!

Biagio podniósł wzrok do nieba.

– Dobry Boże! – westchnął.

Strzelił palcami. Jego odziani w czerń przyboczni błyskawicznie ruszyli na Patwina i przygnietli go do ściany. Jeden chwycił królową, a drugi zręcznym ruchem przyduśił Patwinowi krtań przedramieniem i wetknął mu czubek miecza pomiędzy zęby. Młodzieniec tylko jęknął, gdy zimna stal, kalecząc wargi, zraniła mu język. Podniósł ramiona na znak, że się poddaje. Biagio powoli podszedł do Patwina.

– No, spójrz tylko na siebie – powiedział. – Głupi szczeniak. Jak twój król.

– Puśćcie go! – krzyknęła Sabrina.

Anioł Cienia, który ją schwytał, wsunął swój miecz do pochwy i objął ją wężowym uściskiem, unieruchamiając ramiona i wyduszając dech z piersi. Królowa usiłowała się uwolnić, zyskała jednak tylko tyle, że oprawca ścisnął ją mocniej, tak że jęknęła z bólu.

– Spokojnie, przyjacielu – ostrzegł Biagio swego sługę. – To delikatny kwiatusek. Na razie nie zrywajmy mu płatków. – Hrabia wyciągnął zimną dłoń i musnął policzek Sabriny koniuszkami palców. Skóra królowej była nieskazitelnie gładka i ciepła. Biagio poczuł ukłucie zawiści. – Pani, jesteś mi potrzebna. Musisz przekazać pewną wiadomość swojemu mężowi.

– Nigdy w życiu! – sapnęła Sabrina zduszonym głosem. – Ty sukinsynu...

– No, no, cóż to za wyrażenie – zachichotał hrabia. – I to z ust tak dobrze urodzonej dziewczki! Zdumiewa mnie, jak wielu ludzi muszę przekonywać o tym, że trzeba mnie traktować poważnie. Może to z powodu mojej dobroduszości... Popatrz, proszę, bardzo uważnie, pani.

Odwrócił się do Patwina.

– Młodzieńcze, naprawdę jest mi bardzo przykro. To nie był twój najlepszy dzień.

Biagio dał jeszcze jeden znak swemu słudze. Anioł Cienia pchnął miecz i wbił Patwinowi w usta, przyszpilając go do ściany.

Rozpaczliwy krzyk lady Sabriny był najgłośniejszy, jaki Biagio kiedykolwiek usłyszał.



\* \* \*

Ród Gayle'ów miał swoją siedzibę na zielonym, kolistym pagórku porośniętym chwastami i otoczonym zielonkawą fosą, która przypomniała Biagowi o ich słynnej paranoi. Miejsce to nie wyróżniało się niczym szczególnym – nie było ani rozległe, ani wystawne, jego wygląd wyraźnie jednak świadczył o tym, że właściciele żyją samotnie i nienawidzą wszystkich bez wyjątku. U podnóża pagórka był dobrze ubity plac, gdzie jeźdźcy Talistanu mogli ćwiczyć zwroty i natarcia, a nieopodal zamku zbudowano ogromne stajnie, które mogły pomieścić wszystkie konie drużyny Gayle'ów. Była to szopa niezbyt pewnie zbita z surowych desek, od której w upalne letnie dni buchało niemożliwym smrodem. Przed samym dworem nad fosą wisiał dwudziestostopowy zwodzony most, z którego wjeżdżało się na zakurzony dziedziniec. Na dziedzińcu kręcili się niewolnicy i służba, pracujący na potrzeby zamku, a na otaczających go pomostach chodzili liczni wartownicy w tradycyjnych, złotozielonych barwach Gayle'ów. Pod obutymi stopami wartowników drewno pomostów podejrzanie trzeszczało. Dźwięk ten można było usłyszeć nawet w najgłębszych godzinach nocnych, bo wartownicy nieustannie patrolowali pomosty, czekając na napastników, którzy prawdopodobnie nigdy nie mieli się tu pokazać.

Biagio bardzo lubił wojowniczą rodzinę. Od lat odwiedzał ten dwór i zawsze zatrzymywał się w tej samej komnacie, którą król Talistanu zbudował, dla takich jak on imperialnych gości. Ilekroć miał jakieś sprawy na północy Imperium, zawsze szukał gościny u Gayle'ów, a ci za każdym razem chętnie ją ofiarowywali. Oczywiście nigdy nie obyło się bez podejrzeń z ich strony, to jednak było częścią ich rodzinnej polityki i Biagio nigdy ich za to nie winił. Gayle'owie byli lojalni i zawsze dobrze mówili o ideałach Narenów. Do niedawna byli też najwierniejszymi sojusznikami Arkusa.

Baron Gayle z Czarnej Kniei odchylił się teatralnie na swoim fotelu, tak że dwie przednie nogi krzesła oderwały się od marmurowej posadzki. Spojrzał przy tym w stronę okna, tak że smuga słonecznych promieni odbiła się od jego maski. Na stole stała karafka wina i półmisek z przekąskami, który niewolnicy pospiesznie ustawili, gdy w zamku pojawił się Biagio. Hrabia, którego poranne wyczyny zaskakująco wygłodziły, położył plasterk mięsa na kromce chleba i jadł z apetytem, w milczeniu spoglądając na gospodarza. Spodziewał się jego teatralnego zachowania, więc teraz cierpliwie czekał, aż Gayle skończy się popisywać. Stojący za nim Aniołowie Cienia również milcząco obserwowali Gayle'a przez szpary w swoich maskach śmierci.

– A to ci niespodzianka! – oznajmił Gayle. Udawał urazę koszmarnie, Biagio jednak pozwolił mu na kontynuację komedii. – Prawdę mówiąc, mój ojciec i ja myśleliśmy, że

o nas zapomnieliście. I oto słyszymy, że znów nas potrzebujecie... – Gayle westchnął przesadnie głośno. – Cóż mam rzec?

Biagio nalał sobie pucharek wina. Opróżnił go powoli, każąc Gayle'owi czekać na odpowiedź, a potem nalał jeszcze jeden. Pomimo wysokiej temperatury na zewnątrz w zamku panował chłód, którego hrabia nie znośli. Gayle doskonale o tym wiedział i dlatego otworzył okno, by do komnaty wpadał letni wietrzyk.

– Baronie, musisz wiedzieć, że imperator nie zamierzał cię urazić – odezwał się wreszcie Biagio. – Tylko Aramoor graniczy z Przesmykiem Saccenne, dlatego też dla rozpoczęcia inwazji był to wybór dość naturalny.

– Ba! – skrzywił się Gayle. – A ja myślałem, że Arkus zakochał się w tym szczeniaku. Widziałem, jaką mu przygotował koronację. Zawsze tak było z Vantranami. Potrafią oczarować ludzi, którzy nie dostrzegają ich zdradliwości. Mam nadzieję, że Arkus już przejrzał na oczy.

– To godne pożałowania – zgodził się Biagio.

Wyjaśnił baronowi to, co wiedział – a niewiele tego było – a ten rozpromienił się cały na wieść o zdradzie Richiusa. Podobnie jednak jak jego zdziecinniały już, stary ojciec, Gayle był wężem, który niechętnie nagiął się władzy Nar i spodziewał się w zamian czegoś wartościowego. Prawdą było to, co ludzie mówili o rodzie Gayle'ów – całe złoto w ich skrzyniach pochodziło z rabunków i łupieży.

– Godne pożałowania? – spytał Gayle. Odwrócił krzesło tak, by spojrzeć hrabiemu w twarz. – To wszystko, co masz do powiedzenia? Moja rodzina od lat była wierna Arkusowi. Szczerze ci powiem, hrabio, że poczuliśmy się urażeni. Pojechałem do Nar w dobrej wierze, nie tylko po to, by uczestniczyć w koronacji tego żalosego szczeniaka, ale by poprosić o rękę lady Sabriny. A Arkus zamiast mnie dał ją jemu!

Baron z każdym słowem mówił coraz głośniej i pod koniec wypowiedzi grzmiał już niczym burza. Biagio pomyślał, że może w istocie Talistańczyk poczuł się urażony. Okazywanie gniewu w obecności Aniołów Cienia znaczyło pewną śmierć. Biagio jednak nie spuszczał ze smyczy swoich przybocznych, milcząc po prostu, a potem uśmiechnął się do barona jednym ze swoich mrożących krew w żyłach uśmiechów.

– Baronie... – odezwał się przeciągle – ...uspokój się.

Gayle w końcu się opanował.

– Tak, oczywiście – odpowiedział już spokojniej. – Zechciej mnie jednak zrozumieć, hrabio. To nas przede wszystkim powinniście wybrać. Gdybyś zadał sobie trud i zapytał mnie, powiedziałbym ci, że Vantranom nie można ufać. Jestem zdumiony, że Arkus tego nie pojął po tym, co się przedtem wydarzyło w Lucel-Lorze.

– Tak, owszem, baronie, to bardzo interesujące. Ale teraz ty i ja mamy problem.

– Ty może tak. Ja nie.

„Zaczynasz się robić zuchwały, czyż nie?” – pomyślał Biagio. Przez chwilę trzymał barona pod zimnym spojrzeniem.

– Starzy przyjaciele powinni umieć zapominać o przeszłości – stwierdził, uśmiechając się czarująco, co wychodziło mu naprawdę znakomicie. – Obaj mamy teraz nowe, ważne zadanie. Arkus jest bardzo stary. Jakkolwiek bolesne to dla mnie stwierdzenie, niewiele czasu już mu zostało. Richius Vantran miał ruszyć na Lucel-Lor, by odnaleźć tam magię. Powinien poznać jej sekrety, by uratować imperatora. A teraz to zadanie przypadnie tobie, baronie Gayle’u z Czarnej Kniei.

Gayle skrzywił się niechętnie.

– Mówisz, hrabio, jakby to był zaszczyt. I byłby, gdyby to mnie wybrano jako pierwszego. Napęłniłbym dumą serca Narenów i imperatora. Pokazałbym wszystkim, co potrafi prawdziwy mężczyzna, a nie jakiś nieopierzony chłopaczek.

– Więc teraz masz szansę – stwierdził Biagio. Wiedział, że najlepszym sposobem na to, by uradować ponurego barona jest pochlebstwo, uciekł się więc do niego bez skrpułów. – Przyjacielu, doprawdy, wszyscy wiemy, że dokonałeś tam wspaniałych czynów. Imperator wybrałby ciebie z całą pewnością, Aramoor jednak graniczy z przesmykiem. Aramoorczycy zaś nigdy by nie pozwolili waszym oddziałom przejść przez swoje ziemie, nawet po to, by dotrzeć do przełęczy. To tylko polityka, nic więcej.

– Polityka! – wybuchnął baron. – A jeżeli imperator umrze? Zastanawiam się, jaki wtedy wykonasz ruch polityczny, hrabio? Będziesz miał własne problemy i Talistan zostanie sam, bez żadnych sprzymierzeńców w Nar.

– Baronie, imperator nie umrze. A ty masz o to zadbać. Przyszedłem tu w końcu z podarunkiem. Od dziś Aramoor należy do Talistanu. Pomyślałem, że to cię zadowoli.

– Jeżeli imperator umrze, i tak go sobie weźmiemy – odparował Gayle. – Tylko jego wola powstrzymywała nas przed zajęciem go ponownie siłą. – Zza srebrnej maski błysnęło przewrotnie oko barona. – Hrabio, odpowiedz na moje pytanie: a co będzie, jeżeli imperator jednak umrze? Czy potrafisz oprzeć się Herrithowi i innym członkom Żelaznego Kręgu?

Biagio uśmiechnął się obojętnie.

– Nie przywykłem do tego, by to mnie wypytywano, ale muszę rzec, że niewiele o to dbam. W gruncie rzeczy nic mnie to nie obchodzi.

Gayle odpowiedział mu podobnym uśmiechem.

– A jednak mądrze byś zrobił, gdybyś o tym pomyślał. Nikt nie żyje wiecznie, nawet imperator. Wiem, że Arkus jest ci bardzo drogi, hrabio, ale powinieneś rozważyć... inne możliwości. Nie tylko ze względu na mnie, ale i na siebie. W końcu Herrith nie jest

twoim przyjacielem. Jeżeli sięgniesz po tron, on się temu sprzeciwi.

– Baronie, biskup nie jest moim problemem. Jest nim Arkus. Ty masz zadbać o to, żeby nie umarł. Ruszysz do Lucel-Loru i znajdziesz magię, która go ocali. A jeżeli trafisz na Richiusa Vantrana, przywiedziesz go z powrotem. Żywego.

– I co dostanę w zamian za te bohaterskie wyczyny? Straciłem już ludzi, którzy dla Arkusa podjęli próbę pobicia Triinów. Dlaczego miałbym to robić jeszcze raz?

Było to pytanie, na które Biagio czekał. Teraz ostrożnie podjął przynętę.

– Więc... Aramoor wam nie wystarczy?

– Jak powiedziałem, Aramoor w końcu i tak będzie należał do nas. A ja potrafię okazać wielką cierpliwość...

– Cóż, mogę zatem osłodzić transakcję – powiedział Biagio. Skinął dłonią jednemu ze swoich przybocznych i ten wyszedł z komnaty. Gayle spojrział zdziwiony za strażnikiem, a potem zwrócił pytające spojrzenie na Biagia. Hrabia powoli splótł palce pod brodą i uśmiechnął się tajemniczo.

– Dokąd on poszedł? – spytał Gayle.

– Mam jeszcze jeden podarunek, który czeka w moim powozie. Okaż trochę swojej słynnej cierpliwości, baronie.

Obrażliwa uwaga natychmiast uciszyła Gayle'a. Wstał jednak i podszedł do drzwi komnaty, wyglądając przez nie na korytarz i czekając na powrót Anioła Cienia. Rozbawiony jego niecierpliwością Biagio roześmiał się i wezwał go do komnaty.

– Baronie, zechciej usiąść. To może chwilę potrwać.

Gayle usłuchał. Uspokoiwszy się, usiadł i czekał na powrót przybocznego, w miarę upływu minut coraz szybciej bębniąc po stole palcami. W końcu Anioł Cienia wrócił z kobietą. Ujrawszy ją, Gayle wstrzymał oddech. Choć miała więzy na nadgarstkach i stopach, a w usta wetknięto jej szmatę, poznał ją natychmiast. Hrabia Biagio z trudem ukrył satysfakcję na widok zdumienia barona. Obaj wstali, gdy Anioł Cienia cisnął wyrwijającą się kobietę do stóp Gayle'a.

– Panie baronie – odezwał się Biagio. – Mam zaszczyt przedstawić lady Sabrinę z Gorkney, do niedawna królową Aramooru.

– Mój Boże! – sapnął Gayle. Patrzył na przerażoną kobietę, a zaskoczenie i ogarniająca go żądza niemal odebrały mu mowę.

Sabrina, ujrawszy jego twarz, wybuchła płaczem.

– Nazwijmy to naprawieniem minionego błędu – odezwał się Biagio. – Czy to zdoła zmienić twoje nastawienie do sprawy, baronie?

– Chcesz powiedzieć, że ona jest moja? – spytał Gayle, który nie mógł oderwać wzroku od dziewczyny.

– Na razie tak. Ta dama ma przekazać pewną wiadomość ode mnie do jej ukochanego męża. Ale zanim do tego dojdzie, owszem, jest twoja. Jeżeli zgodzisz się spełnić moją prośbę.

– Co to znaczy, na razie? Niech ktoś inny przekaże twoją cholerną wiadomość, Jeżeli ma być moja...

– Zaraz, zaraz... – przerwał mu Biagio. – Lady Sabrina jest jedyną osobą, której Richius Vantran wysłucha. Ale nie muszę wysłać wiadomości dzisiaj, ani nawet jutro. Dopóki mi nie będzie potrzebna, jest twoja, baronie. Umowa stoi?

Na twarz Gayle'a wypełził okrutny uśmiezek.

– Stoi.

– Doskonale. – Hrabia podszedł do Gayle'a i objął olbrzymą swoim lodowato zimnym ramieniem. A potem wyszeptał mu prosto w ucho: – A teraz mnie posłuchaj. Jeżeli Arkus umrze, będziesz trupem. Jeżeli nie znajdziesz magii Lucel-Loru, będziesz trupem. Jeżeli Richius Vantran zdoła ci umknąć, będziesz trupem. – Uwolniwszy barona z zimnego uścisku, dodał słodkim głosem: – Trupem będziesz także, jeżeli zawiedziesz mnie w jakikolwiek inny sposób, baronie z Czarnej Kniei. Czy dobrze mnie zrozumiałeś?

Rosły baron kiwnął tylko głową.

– To bardzo dobrze – uśmiechnął się Biagio. – Jestem Roshannem, baronie. Nigdy więcej nie zapominaj, co mogę z tobą zrobić.

## Dwadzieścia pięć

W pobliżu Tatterak rozpościerały się wielkie połacie jałowych, nierównych stepów. Tatterak był skazą na obliczu Lucel-Loru, kolebką narodu Triinów i jego najbardziej niegościnnym terytorium. Człowiek mógł się tu beznadziejnie zagubić pośród pofałdowanych wzgórz i nigdy się nie dowiedzieć, jak blisko był morza, lub innej żywej istoty. Zupełnie różny od doliny Dring Tatterak był kamienistym, jałowym krajem, gdzie zimą wszystko bieleło od mrozu, a letnie skwary mogły spalić skórę jaszczurce. Były tu też słone wybrzeża północnego Lucel-Loru, zbielejące podczas tysiącleci. Był to kraj śnieżnych panter, drapieźnych kotów przepadających za ludzkim mięsem, które wypadały na żer z górskich jaskiń, kiedy inne drapieźniki miały dość rozumu, by zapaść z sen zimowy. Nocami nad Tatterakiem błyszczały tysiące gwiazd, a na szczytach kamienistych wydm połyskiwały ślepie dzikich, drapieźnych bestii, żołnierze zaś rzadko kiedy zasypiali bez sztyletu obok posłania. Daleko, nad brzegiem morza leżał Falindar, siedziba uzurpującego sobie władzę nad krajem Tharna, dom rodzinny Lucylera i więzienie Dyany.

Spoglądając na rozległe, rozciągające się przed nimi jałowe przestrzenie, Richius wydał z siebie ponure westchnienie. Jechali blisko trzy tygodnie, podążając krętymi wąwozami, którymi spływały wody topniejących szczytów. Miał już dość jazdy, a kiedy zobaczył rozciągające się po kraniec horyzontu jałowe stepy, poczuł ogarniającą go falę desperacji. Zaklął i zatrzymał konia. Lucyler też się zatrzymał.

– Tatterak – oznajmił Triin. W jego głosie brzmiała radosna nutka, jakby widok jałowych stepów dodał mu otuchy.

– Tatterak... – powtórzył ponuro Richius.

Sama nazwa brzmiała złowrogo. Podczas wojny wdarły się tu setki ludzi, walcząc u boku triińskiego wodza Kronina. To tu wojna była najbardziej krwawa i tu wielu Aramoorczyków znalazło śmierć. Teraz Richius patrzył na kraj nabrzmiewający wiosną i przypomniał sobie, co powiedział Lucyler. Lucel-Lor zażywał owoców pokoju.

– Muszę odpocząć – odezwał się do towarzysza. – Jestem zmęczony i boli mnie tyłek. Zróbmy niewielką przerwę.

Lucyler zmarszczył czoło, a potem zerknął na zamglone niebo. Słońce miało jeszcze spory kawałek drogi do zenitu. Mogli jeszcze podróżować przez wiele godzin.

– Nie wytrzymasz jeszcze trochę? Teraz, gdy dotarliśmy do tej rubieży, niedaleko mamy do Dandazaru. Tam spędzimy noc i możesz wtedy odpoczywać do woli.

– Lucylerze, konie też są zmęczone.

– Przed nami jeszcze tylko parę godzin podróży. Wiem, że dasz radę. Ale widzę, że coś cię trapi. Co takiego?

– Złe wspomnienia – uśmiechnął się Richius ponuro. – Od czasu, kiedyśmy opuścili Ackle-Nye wiele rozmyślałem. Dziwne to uczucie wrócić do Lucel-Loru. Kiedy stąd wyjeżdżałem do domu, przysiągłem sobie, że nigdy tu nie wrócę. Nie pragnąłem oglądać go jeszcze raz. – Przerwał, ogarnięty nagłym smutkiem. – To miejsce przypomina mi o Edgardzie.

– Przykro mi – odpowiedział Lucyler. – Ale musimy dziś dotrzeć do Dandazaru. Brakuje nam już niemal wszystkiego, a to jedyne miasto w okolicy. Jeżeli się tam nie zatrzymamy, padniemy z głodu, zanim dojedziemy do Falindaru.

Richius kiwnął głową. Dawno już zjadł wszystko, co mu przygotował Patwin, i teraz dzielili się żywnością Lucylera. Było jak w dawnych czasach, chudo i głodno.

– A z Dandazaru jak będzie daleko? – spytał Aramoorczyk. – Mniej więcej tydzień, prawda?

– Mniej więcej. Ale tydzień to długo, a żywności potrzebujemy już teraz. No i masz rację, mówiąc o koniach. Nie pociągną daleko bez solidnego odpoczynku.

– Sam ledwo się trzymam – przyznał Richius. – A więc, dobrze, zatrzymamy się w Dandazarze. Ale tylko na jeden dzień. – Poprawił na sobie grubą opończę, którą w Ackle-Nye kupił dla niego Lucyler, zasuważąc teraz kaptur niżej na twarz. Opończa ta ukrywała bardzo dobrze jego tożsamość, upodabniając go do jednego z miejskich trędowatych. – Wolę nie ryzykować.

– Ani ja – zachichotał Lucyler. Od wyjazdu z miasta żebraków odzież Richiusa była dla Triina źródłem nieustannej uciechy. Przebranie jednak, jak wyjaśnił Richiusowi, było konieczne, ponieważ jego rodacy nie przepadali za Narenami i mogli potraktować Aramoorczyka jak wroga. – Nie podnoś już kaptura – dodał Lucyler. – Mogą się tu kręcić jacyś jeźdźcy.

Richius owijał już wokół twarzy brudną chustę, tak że spod kaptura widać mu było tylko oczy. Jako trędowatego, czyli społecznego wyrzutka, z pewnością nikt go nie zaczepi. Będzie bezpieczny, jeżeli Lucyler weźmie na siebie przeprowadzanie rozmów.

– Boże, ależ tu jest gorąco – rzekł teraz. – Wynajmując jakiś pokój na noc, upewnij się, że w pobliżu nie będzie innych podróżnych. Nie zamierzam nosić tych szmat przez całą noc.

– Zrobię, co się da. Ale uważaj na to, co mówisz, i nie mów już: „Boże”. Triinom to słowo jest znane. Może cię zdradzić.

– Nie martw się – odpowiedział z irytacją Richius. – Będę trzymał gębę na kłódkę. A jeżeli zajdzie potrzeba, wrzasnę „Lorrisie i Pris”, jak wy to czynicie.

Lucyler odrzucił w tył swą białą grzywę i parsknął śmiechem.

– Jeżeli już masz się na kogoś zarzekać, to mów: „Lorrisie i Pris” – poprawił. – To są zresztą bóstwa Drolów.

– Bogowie Drolów czy Triinów... Wszyscy wydają mi się tacy sami. Moglibyście pomyśleć o uproszczeniu religii. Macie więcej bóstw niż pies pcheł.

– W istocie, jest ich wiele – zgodził się Lucyler. – Ale tak naprawdę liczy się tylko kilkoro z nich.

– A czy Lorris i Pris są ważni? – spytał Richius. Lucyler niewiele mówił o wierzeniach Triinów, a teraz Richius popadł w nastrój, w którym było mu wszystko jedno, czy urazi towarzysza, czy nie. I rzeczywiście, twarz Lucylera się nachmurzyła.

– Są ważni dla Drolów – padła krótka odpowiedź.

– Tylko dla Drolów?

– Poza Drolami nie mają zbyt wielu wyznawców.

– Dlaczego nie? – naciskał Richius. – W czym różnica?

Lucyler zmierzył go kosym spojrzeniem.

– Skąd tyle pytań? W dolinie niewiele cię to obchodziło.

Richius wzruszył ramionami.

– Mieliliśmy wtedy mnóstwo innych rzeczy na głowie. I chcę się dowiedzieć wszystkiego, co można, o Tharnie. Nie bardzo byłeś skłonny do rozmów o nim. Co to znaczy być Drolem? Skąd się wzięło to uwielbienie dla Lorrisa i Pris?

Lucyler westchnął.

– Richiusie, ja nie jestem uczonym. Spytaj Tharna, kiedy go spotkasz.

– Nic z tego – zachnął się Richius. – Chcę to wiedzieć, zanim się z nim spotkam.

Opowiedz mi o Lorrisie i Pris.

– A mogę opowiadać podczas jazdy?

Richius kiwnął twierdząco głową.

– No to jedźmy.

Spięli konie i ruszyli przed siebie. Lucyler zaczął opowiadać, jak ojciec pragnący uspokoić dziecko. Słuchając z zainteresowaniem, Richius natychmiast zapomniał o doskwierającym upale i drapiącej twarz chuście.

– Lorris i Pris przyszli na świat przed tysiącami lat – zaczął Lucyler dramatycznie – w mieście leżącym na południu Lucel-Loru.

– W jakim?

– W Chatti. To miasto już nie istnieje. Tak czy inaczej, byli bliźniętami, bratem i siostrą. Lorris był chłopcem, a Pris jego uwielbianą siostrą. Mówi się, że była piękna niczym bogini. Oboje wcześniej zostali sierotami i musieli sami zacząć się o siebie



troszczyć. Dbali jedno o drugie, kochali się coraz bardziej i hołubili, jak nikt inny na świecie.

– Co się stało z ich rodzicami? – spytał Richius.

Lucyler się obruszył.

– Czy będziesz mi wciąż przerywał, Richiusie? Pozwól mi opowiedzieć tę historię tak, jak ją poznałem. Żyli tak przez wiele lat, troszcząc się jedno o drugie, aż dorosli. Legenda mówi, że wielki bóg, Vikryn, ulitował się nad nimi i zadbał, by nie spotkała ich żadna krzywda.

– O Vikrynie słyszałem – oznajmił Richius.

– To najwyższy z bogów – stwierdził Lucyler – czczony przez większość Triinów. Mówi się że jest łagodny, kochający, i dlatego właśnie zajął się sierotami i ich obroną. W końcu zadbał nawet o to, by Lorris został królem swej ojczyzny, Chatti. Lorris i Pris rządili Chatti przez trzy lata. Lorris był królem, a Pris kochaną księżniczką. Ludzie wielbili oboje, ponieważ Lorris ich bronił, a Pris dbała o ich potrzeby. Dlatego są bóstwami wojny i pokoju. Drolowie wierzą, że we wszystkich ludziach żyją duchy obojga. Jak twierdzą, Lorris daje mężom siłę, a Pris uczy ludzi miłości. I niekiedy obdarzają swoich wyznawców szczególnymi zdolnościami i możliwościami.

– Mówisz o „dotyku niebios”, prawda?

– Prawda. Tharn został „dotknięty przez niebios”. Wybrał go Lorris i obarczył misją uwolnienia Lucel-Loru. „Dotyk” Tharna jest jednak bardzo rzadkim darem. Lorris zazwyczaj daje siłę, a jego siostra obdarza miłością.

– Idę o zakład, że Lorris to ulubieniec Drolów – zauważył z przekąsem Richius. – Nie przypominam sobie, by Voris okazywał nam miłość.

– Tak, wojownicy Drolów wielbią Lorrisa – przyznał Lucyler. – Ludzie tacy jak Voris modlą się do niego, prosząc o siłę i odwagę. Legendy mówią, że Lorris był wielkim wojownikiem, być może największym, jaki się narodził, i wielu Drolów pragnie stać się takim jak on. Ich żony za to podążają za przykładem Pris. Są kochające i czułe, takie jaka Pris była dla swego brata. Mają być także wierne, nie tylko swoim mężom, ale wioskom i miasteczkom.

– Większość kobiet Triinów taka właśnie jest – przyznał Richius. – Mów dalej. Co było potem?

– Jak powiedziałem, oboje rządili Chatti przez trzy lata, potem jednak pojawiło się zagrożenie ze strony innego miasta – Toor. Jego mieszkańcy byli wyznawcami Pradu, boga śmierci. Zechciej zrozumieć, że Pradu i Vikryn byli wrogami od narodzin czasu. Jeden daje życie, drugi je odbiera. Powiadają, że Pradu nienawidził Lorrisa i Pris, bo oboje byli ulubieńcami jego wroga, Vikryna. Za każdym jednak razem, gdy Pradu

usiłował zniszczyć oboje, powstrzymywał go Vikryn.

– Tak więc Pradu rozpoczął wojnę pomiędzy Toor i Chatti – stwierdził Richius z niesmakiem. Nie różniło się to wiele od tego, co zrobił Arkus.

– W to właśnie wierzą Drolowie – ciągnął Lucyler. – Pamiętaj, że dla Pradu wojna oznaczała, że więcej dusz trafiało do niego. Nie liczyło się to, że niektóre z nich pochodziły od mieszkańców miasta oddającego mu cześć. Armie Toor nie potrafiły jednak pokonać miasta Lorrisa. Lorris też nie potrafił wymazać ze świata Tooru. Przez pięć lat trwały krwawe boje...

Lucyler nagle urwał i spojrzał bacznie na Richiusa.

– Mów, Lucylerze! – ponaglił go Richius. – Co się stało?

– W Chatti i Toor zginęło wielu ludzi. Lorris i Pris desperacko chcieli położyć kres walkom. Niczego jednak nie mogli zdziałać. Mieszkańcy Toor byli równie źli, jak ich opiekun Pradu. Ignorowali wszelkie próby zawarcia pokoju ze strony Chatti. I oto pewnego dnia, gdy Lorris samotnie polował w lesie, ukazało mu się pewne zwierzę. Tym zwierzęciem był szakal.

– Szakal... – skrzywił się Richius. – Skądś znam to miano.

– Owszem, ale nie był to zwykły szakal. Był to bóg Pradu, który podał się za Vikryna. Powiedział, że ma wielki dar dla Lorrisa, taki, który pozwoli mu zakończyć wojnę z Toor, niszcząc wszystkich jego mieszkańców magicznym zaklęciem. Raz wypowiedziane miało zetrzeć Toor z powierzchni ziemi.

– I Lorris wypowiedział to zaklęcie?

– Oczywiście. Wierzył, że szakal jest Vikrynem, któremu bezgranicznie ufał. – Twarz Lucylera spochmurniała, a jego głos przeszedł niemal w syk. – Wypowiedział zaklęcie i w Toor wybuchnął wielki ogień, niszczący miasto i wszystkich jego mieszkańców.

– Zaklęcie się sprawdziło? – zdziwił się Richius. – Nie rozumiem. Powiedziałaś, że to był Pradu, nie Vikryn. Cóż się więc stało?

– W istocie był to Pradu i pan umarłych nie skłamał Lorrisowi, mówiąc o tym zaklęciu. Zaklęcie było skuteczne. Zniszczyło Toor. Pradu wiedział jednak coś, czego Lorris nie był świadom. Tego samego dnia, tylko nieco wcześniej, jego siostra Pris została pojmana przez szpiegów Toor, którzy zawiedli ją do swego miasta, by wziąć za nią sowity okup.

Richius wydał cichy gwizd.

– Została więc zabita przez czar Lorrisa?

– Nie inaczej. Lorris zaś, usłyszawszy o jej śmierci, załamał się i odebrał sobie życie. Legenda mówi, że mieszkał na szczycie niebotycznej wieży i tego samego dnia rzucił się

na dół. Bez przywództwa Lorrisa i Pris w Chatti wybuchł chaos, a najeźdźcy z innego miasta wdarli się i spalili je do gołej ziemi. Pradu zaś osiągnął to, czego zawsze pragnął: zabił ukochane dzieci swego wroga, Vikryna, i przyniósł śmierć tysiącom ludzi.

– To dlatego w dolinie Dring nazywano mnie Szakalem – dodał Richius ponurym głosem. – To zwierzę znienawidzone przez Drolów. Dlaczego nigdy mi tego nie powiedziałaś?

– A czy to miałoby jakiegokolwiek znaczenie? – spytał Lucyler. – To tylko legenda. Ale jest w niej coś jeszcze. Mówi się, że po śmierci Lorriss i Pris zostali wzięci do nieba, aby zamieszkać z bogami, i że Vikryn wciąż ich hołubi. Dzisiaj zaś Drolowie czczą ich jako bóstwa pokoju i wojny.

Richius uśmiechnął się z zadowoleniem. Legenda czy nie, historia była bardzo ciekawa.

– A jednak to smutne – zauważył. – Musieli naprawdę się bardzo kochać. – I natychmiast po tym spostrzeżeniu jego myśli wróciły do Dyany.

– Owszem, smutne – przytaknęła Lucyler. – Oboje jednak zostali w ludzkiej pamięci. Co roku Drolowie świętują Casadah, najważniejszy dzień w ich kalendarzu. Czas wspomnień o życiu i śmierci boskich bliźniaków. Uczują, słuchają muzyki, a mędrcy opowiadają historie o Lorrissie i Pris, tak by dzieci mogły je zrozumieć i zapamiętać.

– Mędrcy? Kim oni są?

– Święci mężowie Drolów, nazywani też mędrkami – odpowiedział Lucyler. – Są jak kapłani w Nar. Jednym z nich jest Tharn. Jest najważniejszy wśród Drolów. Zbliża się pierwsze święto Casadah od czasu, kiedy on zdobył władzę. Będzie zaledwie za tydzień. Moglibyśmy nawet zdążyć na nie do Falindaru.

– Mówisz tak, jakby cię to cieszyło – oznajmił Richius oskarżycielskim tonem. – Pamiętam, że mówiłeś, iż nie przystałeś do Drolów.

– Richiusie, to święto. Czas na powitanie wiosny. Nie tylko Drolowie lubią zabawy.

Richius prychnął pogardliwie. Nie spodziewał się, że przybędą w święto Drolów.

– Mnie na przykład wcale nie zależy, by na nie zdążyć. Nie zapominajmy, Lucylerze, po co przybywam do Falindaru. Jadę tylko dla Dyany.

Lucyler obrzucił Richiusa krótkim spojrzeniem.

– Zechciej sobie przypomnieć, że ty zapytałeś mnie o Drolów.

– Owszem, pamiętam. Ale nie chcę przybywać w dzień, kiedy Tharn będzie zajęty świętem. Mam do niego sprawę i chciałbym, żeby uważnie mnie wysłuchał.

– Wysłucha cię – zapewnił go Lucyler. – Uwierz mi, że nikt cię tam nie będzie lekcewał. Prawdopodobnie powita cię sam Kronin. Od zakończenia wojny mieszka w cytadeli razem z Tharnem. Wie, że wyjechałem z Falindaru, by cię odszukać.

– A co z nim? Czy teraz wielbi Lorrisa i Pris?

– Jak ja nie został Drolem – stwierdził Lucyler. – Nie musi nim być... Po prostu jak ja przystał do Tharna, pozostając przy swoich wierzeniach. To część układu pokojowego. Tharn nie żąda od wodzów plemiennych niczego. Dlatego pozwolił Kroninowi zatrzymać Tatterak, zamiast dać kraj Vorisowi z doliny Dring. Powiem ci, że jest w nim więcej skłonności do wybaczenia, niż w jakimkolwiek człowieku, którego znam. Oszczędził Kronina, mnie i wszystkich, którzy przeciwko niemu walczyli. Nawet Voris pogodził się z Kroninem.

Richius uniósł brwi, mocno zaskoczony. Wodzowie Tatteraku i doliny Dring od niepamiętnych czasów byli zawziętymi wrogami. Wiedzieli to nawet Narenowie. Myśl o tym, że Tharnowi udało się doprowadzić tych dwóch mężów do zawarcia pokoju wywarła na Richiusie spore wrażenie. Z drugiej strony, choć z każdym dniem ufał Triinowi coraz bardziej, słowa Lucylera na razie pozostawały tylko słowami. Richius postanowił, że nie da się odwieść od zamiarów fałszywymi nadziejami, czy minionymi przyjaźniami. Przekona się dopiero, gdy zobaczy, jak Kronin i Voris podają sobie dłonie.

– A jednak wciąż nie mogę uwierzyć, że Kronin żyje, nie po tym, co się zdarzyło w Tatterak. Gayle z Czarnej Kniei został zmuszony do ucieczki, a prawie wszyscy jego ludzie zostali zabici. Jak to się stało, że Kronin przeżył? Te burze... – Przerwał, widząc, że Lucyler zaciska wargi. Triin uciekł ze wzrokiem w bok i pilnie zaczął się przyglądać jałowej okolicy. Richius jęknął. Wszystko było tak oczywiste, że zrobiło mu się niedobrze.

– On nie użył swej magii przeciwko wojownikom Kronina, prawda? – Spytał nagłaco Richius. – Magii użyto tylko przeciwko Narenom!

Milczenie Lucylera upewniło Richiusa, że zarzut jest prawdziwy.

– Wielki Boże, ależ ze mnie dureń! Oczywiście, że Kronin wciąż żyje. Dlaczego miałby nie żyć? Tharn nigdy nie użył swej magii przeciwko własnym rodakom. O nie, to byłoby nie do pomyślenia! Jest Drolem, prawda? Ale wymordować garść barbarzyńców z Nar to inna sprawa!

Lucyler podniósł dłoń, jak gdyby chciał ostrzec towarzysza przed wyciągnięciem pochopnych wniosków.

– To nie tak – odezwał się, starannie dobierając słowa. – Tharn naprawdę chciał tylko uwolnić Lucel-Lor od wpływów Nar. Pamiętaj, że o to rozpętał się ten jego bunt.

– Idzie więc przed siebie i spopiela każdego, z wyjątkiem walczących przeciwko niemu Triinów? I ty uważasz, że to w porządku?

– Oczywiście, że nie! – rzucił Lucyler. – Ale w końcu w ten sposób wygrał tę wojnę i pokazał innym wodzom plemiennym, że pragnie pokoju. Oszczędzając wodzów

wiernych Daegogowi...

– Przestań! – uciął Richius. – Nie dam się przekonać.

Lucyler wzruszył ramionami w sposób mogący oznaczać i zaprzeczenie, i potwierdzenie.

– Zobaczmy...

Jechali w milczeniu przez blisko godzinę, podczas której gotujący się niemal z wściekłości Richius obserwował okolicę, zmieniającą wygląd w miarę, jak zapuszczali się coraz głębiej w Tatterak. Kamieniste równiny zostały za nimi, ustępując miejsca kamienistym wzgórzom. Wysoko nad ich głowami płonęła idealnie okrągła, pomarańczowa tarcza słońca, zalewając wszystko dziwnym światłem. Pobocza krętego szlaku porastały krzewy, wśród których kręciły się pracowite pszczoły. Richius poczuł ukłucie nieoczekiwanej melancholii. To miejsce miało niezwykle krwawą historię. Przed czterema laty Tharn podbił Falindar i strącił Daegoga z jego tronu, a Kronin i jego wojownicy rozpaczliwie usiłowali powstrzymać wzbierający napór Drolów. Z rozkazu Arkusa, wielu rodaków Richiusa chętnie przyszło im z pomocą, by stłumić bunt, który widzieli nie tylko jako zagrożenie dla Lucel-Loru, ale i dla samego Nar. Iluż tu zginęło ludzi, zastanawiał się Richius w duchu. Podobnie jak podczas zajadłej kampanii w dolinie Dring, Tatterak był polem krwawych starć, które rozdzierały naród Triinów. Teraz jednak nigdzie nie było tu widać śladów jego krwawej przeszłości. Pofałdowane wzgórza podbijała teraz zawsze zwycięska wiosna. Gdzieś pośród nich kryły się wioski, pełne zapalczywych, ale i serdecznych ludzi, którym w jakiś sposób udało się przeżyć okropności wojny domowej. Richius zamierzał się dowiedzieć, jak sobie teraz dawali radę.

Richius i Lucyler wznowili rozmowę, zanim jeszcze dotarli do przedmieść Dandazaru. Lucyler wskazał Richiusowi wyróżniającą to miejsce wśród innych regularną linię drewnianych i glinianych domków, wyraźnie widoczną na tle gór. Dandazar był raczej osadą, niż dużym miastem, ale tak czy inaczej w promieniu wielu mil zmęczeni podróżni nie mogliby znaleźć innego schronienia. Jak Ackle-Nye, Dandazar stanowił kluczową pozycję dla sił Aramooru i Talistanu, miejsce, gdzie oddziały mogły się zaopatrzyć w żywność i inne zapasy, niezbędne do przetrwania w surowym kraju. W odróżnieniu jednak od Ackle-Nye w Dandazarze nigdzie nie było widać nareńskich wpływów. Nie stawiano tu skomplikowanych budowli ani kamiennych monolitów, przypominających Czarny Gród. Wszystko zbudowano według zwyczajów Triinów, prosto i użytecznie. Nawet z daleka Richius mógł dostrzec białe dachy, gładkie piaskowe ściany, a dmący od miasteczka wiatr przynosił jedynie zapach zwierząt i dym ognisk. Wszystko wyglądało tak, jakby zatrzymali się tu członkowie jakiegoś wędrownego

plemienia i założyli tu stały bazar. Dandazar znany był w całym Tatteraku i zewsząd przybywali tu kupcy, by sprzedawać towary, albo wymieniać je na dobra, jakich potrzebowali.

Wkrótce zobaczyli z daleka niepodobne do innych białe czupryny Triinów. Richius naciągnął kaptur na twarz.

– Pamiętaj, żeby się nie odzywać – przypomniał mu Lucyler, gdy obaj truchtem zbliżali się do miasteczka. – Jeżeli ktokolwiek cię zagadnie, zignoruj go. I nie poruszaj się za szybko, masz wyglądać na chorego. – Przyjrzał się towarzyszowi. – Pochyl się w siodle – ponaglił go i pokazał mu, jak się garbić. – O, tak.

Richius pochylił się i zgarbił plecy, aż zaczął przypominać człowieka bliskiego śmierci.

– Tak dobrze?

– Dobrze. Ruszajmy. Potrzebny nam pokój na noc i stajnie dla koni. Kiedy znajdziesz się w jakiejś izbie, ja wyjdę i poszukam żywności i zapasów.

– Znajdź przede wszystkim jakiś oddzielny pokój – przypomniał mu Richius.

– Owszem, jeżeli mi się uda – odparł Lucyler. Znow zerknął krytycznie na Richiusa. – Ale to może być trudne. Jeżeli wezmą cię za trędowatego...

– No, to pięknie! – Richius wznosił obie ręce do nieba. – Jedźmy i znajdziemy żywność. Jeżeli nie da się inaczej, przenocujemy gdzieś tu na wzgórzach.

Lucyler podniósł dłoń, by uciszyć Richiusa. Znajdowali się już na wąskiej drodze wiodącej do miasta i jakieś bystre ucho mogłoby ich tu usłyszeć. Richius zgarbił się na grzbiecie Błyskawicy, unikając wzroku mijanych ludzi. Zewsząd słychać było język Triinów, rozbrzmiewający z ust starych targujących się zawzięcie kobiet oraz znudzonych kupców, a także dzieciarni biegającej na wyścigi wzdłuż uliczek i wypełniającej przejścia pomiędzy straganami. Były tu też zwierzęta, znane i nie znane Richiusowi, kozy, świnie i dzikie, drące się przeraźliwie w swoich klatkach ptactwo. Widział też egzotyczne ptaki z szafranowymi pióropuszcami i pręgowanymi dziobami. Były gady i psy, tłuste króliki i rozmaite rodzaje małp, niektóre siedzące w drewnianych skrzyniach, inne łąjące po ulicach, albo siedzące na ramieniu swoich panów. I koty, mnóstwo chudych kotów o ciałach wyćwiczonych w łowach na myszy, śmigających pod stołami, albo wygrzewających się w słońcu. Wszystko przypominało każde inne miasteczko w dzień targowy – z jednym wyjątkiem: nigdzie nie było widać Narenów. Wszędzie tylko Triinowie, białowłosi i jasnoocy. O ile Richius mógł się zorientować, patrząc spod kaptura, był jedynym Narenem w tym miasteczku.

– Spokojnie teraz – usłyszał obok głos Lucylera. – Trzymaj się mnie.

Richius postąpił zgodnie z radą towarzysza, jadąc za nim przez plac targowy

i starając się nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Tylko paru straganiarzy spojrzęło na nich, kiedy przejeżdżali obok, i chyba żaden nie zechciał się im nawet dokładniej przyjrzeć. Richius z trudem stłumił nagłe drżenie, kiedy sobie przypomniał, że nieufność wobec Narenów była kamieniem węgielnym przewrotu Tharna. Teraz zaś nie sposób było orzec, ile nienawiści wlał Drolowie w serca tych spokojnych z pozoru ludzi.

Podjechali do miejsca blisko środka bazaru, gdzie szczególnie głośny kupiec darł się, trzymając pozbawione głów kurczaki. Za kramem kupca stało kilka uwiązanych do bariery koni, a resztę terenu zajmowały worki z paszą i zbożem. Nie było tu zbyt wielu przechodniów i Lucyler zaryzykował zejście z konia. Podszedł do kupca, co Richius obserwował bacznie spod kaptura. Po krótkiej pogawędce z kupcem Lucyler odwrócił się plecami do Richiusa i zerknąwszy na niego przez ramię, skinieniem dłoni wskazał, że powinien zsiąść. Richius zawahał się na chwilę, ale zobaczywszy, że towarzysz mruga do niego ukradkowo, zrobił, co mu kazano. Powoli zsunął się z grzbietu Błyskawicy, udając osłabionego. Podał wodze towarzyszowi, który poprowadził konie do kupca. Lucyler pogrzebał w sakiewce i wyjął z niej kilka małych monet, które kupiec łączywie schwycił. Wymienili jeszcze kilka uwag i Lucyler wrócił do miejsca, gdzie czekał Richius.

– Zadba o konie w nocy – szepnął Triin towarzyszowi. – Powiedział też, że na końcu targu jest miejsce, gdzie możemy znaleźć posłania. Chodźmy.

Triin ujął Richiusa pod ramię jak starca i poprowadził go powoli przez zatłoczony bazar. Richius, pochyliwszy się tak, że poczuł ból w plecach, ruszył, utykając, jak to widział u żebraków w Ackle-Nye. Bez Błyskawicy pod sobą czuł się bezradny i bezbronny. Lucyler szedł spokojnie, prawie nie podnosząc wzroku, i łagodnie prowadził Richiusa pod ramię. Od czasu do czasu na ulicy robiło się tłoczno, w miejscach, gdzie gromadzili się ludzie, albo bydło, i obaj towarzysze musieli się zatrzymać, czekając aż szybsi przechodnie ich miną. Obok nich śmigały dzieci Triinów i koty, hałas zaś i gwar uliczny zaczynał ich wchłaniać, aż w końcu obaj doszli do wniosku, że wyglądają jak każda inna para znużonych wędrowców. Richius, jak idący obok Lucyler, wpatrywał się w ziemię, od czasu do czasu tylko podnosząc wzrok, by spojrzeć na odległość kilku kroków przed siebie. Kaptur naciągnął niżej na twarz, zakrywając ją dłońmi, gdy ktoś mijał ich z bliska.

Dotarli wreszcie do krańca bazaru. Lucyler zatrzymał się, rozejrzał dookoła i wciągnął Richiusa w jakiś róg. Były tu domy, które tłumy hałas dobiegający z bazaru. Aramoorczyk lepiej teraz słyszał towarzysza.

– Powiniennem znaleźć dom człowieka zwanego Cavool – stwierdził Lucyler. – Kupiec powiedział, że powinniśmy go znaleźć gdzieś w tej okolicy, on zaś może za

odpowiednią cenę wynająć nam izbę. Powiem mu, że jesteś chory, ale niegroźny dla innych. A potem dam mu to.

Zza pazuchy wyjął kolejną monetę, złotą i lśniącą, znacznie większą niż te, które dał kupcowi na bazarze. Richius pomyślał, że za taką cenę majątny człowiek mógłby sobie wynająć komnatę na miesiąc. Może dość tego było, by kupić osobny pokój dla trędowatego. Lucyler spojrzał na okoliczne domki, szukając określonych cech. A potem lekko zmarszczył brwi.

– Popytam o tego Cavoola – stwierdził wreszcie. – Poczekaj tu na mnie. Będzie szybciej, jeżeli poszukam sam.

Richius energicznie potrząsnął głową.

– To nie potrwa długo – odpowiedział Lucyler. – Jestem pewien, że jego dom znajduje się tu gdzieś niedaleko. Ty tymczasem z nikim nie rozmawiaj.

– Do kata, Lucylerze! – zaczął Richius, ale jego przyjaciel już odszedł, zostawiając go opartego o ścianę jednego z kilkunastu domków przyległych do uliczki. Richius poczuł nagle, że ogarnia go fala rozpaczliwej samotności i natychmiast schował się w cieniu, obawiając się, by nikt go nie zauważył, ani – co gorsza – do niego nie przemówił. Ludzie na ulicy ignorowali go jednak całkowicie, i zajmowali się swoimi sprawami, jakby był jednym z nich. Słyszał swobodne rozmowy Triinów, dobiegające z okien nad jego głową, i węchem wyczuwał egzotyczne zapachy gotowanych potraw. Kobiety wołały za swoimi dziećmi, staruszkowie zaś chichotali z niewiadomych powodów, pijąc i grając w kości w niewielkich grupkach na chodnikach. Gdy minął jakiś czas, Richius poczuł się głupio ze swoimi obawami. Zrozumiał, że ci ludzie nie tylko go nie widzieli, ale i w niczym mu nie zagrażali. Wokół niego nie kłębiły się hordy Drolów wywijających jiiiktarami, a mędracy Tharna nie zawadzili swoich modłów. Wszędzie wokół panował pokój i tak jak to mówił Lucyler, porządek – jakby wojna nigdy nawet nie tknęła tego miejsca.

Richius wychylił się z cienia i wyszedł na uliczkę. Zdał sobie sprawę z faktu, że nigdy tu nie był. Dotarł tu kiedyś, obozując na przedmieściach z brygadą Okyle'a, ale nie poznał życia mieszkańców Dandazaru i nawet mu nie przyszło do głowy, by to zrobić. Teraz zaintrygował go kipiący wokół miejski żywioł i nieoczekiwanie, jak podmuch przyjaznego wiatru, uderzyła go myśl, że mówiący o pokoju Lucyler wcale nie kłamał.

Wkrótce zaryzykował przechadzkę po uliczce, wciąż kryjąc wzrok, ale już nie patrząc w ziemię, i wolno idąc, zaczął mijać stragany i kramy wypełnione wytworami kultury, której prawie nie znał. Starał się nie odejść za daleko, ale ciekawość stopniowo zaczynała brać w nim górę nad ostrożnością. Co chwilę oglądał się przez ramię ku miejscu, gdzie miał czekać na Lucylera, i za każdym razem, nigdzie go nie dostrzegając,



robił kolejne kroki w głąb tłumu, aż ten w końcu zupełnie go ogarnął. Ze wszystkich stron słyszał tylko dziwaczny, gardłowy język tubylców. Po raz pierwszy od opuszczenia Aramooru poczuł coś na kształt szczęścia i zadowolenia, przemykał obok tych ludzi, jak niewidzialny, od czasu do czasu tylko zatrzymując się, by udąć jakiś objaw choroby lub lekko się potknąć. Przebranie wydało mu się nagle śmieszne i bezużyteczne. Nikt go tu nie znał i wszyscy byli zbyt zajęci własnymi sprawami, by zwrócić na niego jakąkolwiek uwagę. Uważał tylko, by nie zbliżać dłoni do przedmiotów wystawionych na sprzedaż, ponieważ wiedział, że choć kuszą go towary, może się zdradzić barwą skóry. Patrzył więc tylko, zafascynowany mnogością i różnorodnością ofiarowywanych towarów. Na stoliku przy końcu uliczki kupiec wyłożył bajeczną wprost kolekcję jedwabiu i innych tkanin, których tęcze kolory spletały się w uszytych z nich długich szatach i innych częściach odzieży. Richius podszedł to otoczonego tłumkiem straganu, spojrzął na wystawione towary i westchnął z zachwytem.

Za plecami kupca wisiała suknia w barwach srebra i szkarłatu, uszyta tak, by patrzącemu zaprzeć dech w piersiach. Richius uśmiechnął się jeszcze szerzej. Do Falindaru mieli zaledwie tydzień drogi i mało było prawdopodobne, by się gdzieś jeszcze zatrzymali. Aż do tej chwili młodzieniec nie zdawał sobie sprawy z faktu, że nie ma żadnego podarunku dla Dyany, ale ujrawszy tę suknię, natychmiast o tym sobie przypomniał. Byłoby cudownie, gdyby mógł jej ją podarować. Obejrzał się przez ramię na kupca, który niczym jastrząb wypatrywał możliwych klientów. Richius uciekł ze spojrzeniem w bok, usiłując coś wymyślić. Powinien tu przyjść z Lucylerem. Z pewnością mieli dość pieniędzy, by kupić tę suknię.

Rozmyślenia Richiusa przerwał nagle przeraźliwy wrzask. Obejrzał się tylko po to, by stwierdzić, że uliczka za nim eksplodowała paniką. Fala kłębiących się ludzi rozstąpiła się na boki i oczom Richiusa ukazał się zdumiewający widok. Cofnął się o krok, wpadając niemal na stół kupca. Pośrodku ulicy szarpał jakiegoś człowieka kot, podobny do ogromnego lamparta. Dwakroć większe od bojowego rumaka zwierzę pochylało się z obnażonymi kłami i krótką, zjeżoną brązową grzywą nad trzymanym w pazurach, rozpaczliwie wyjącym człowiekiem. W potężnej głowie drapieźnika lśniła złowrogo para żółtych oczu, a cętkowany ogon uderzał szybko o boki bestii. Kot, niczym jakiś stwór z nareńskiej mitologii, najeżył się i wydał gniewny syk, patrząc na skamieniały ze zgrozy tłum. Jego skrwawiona już ofiara jęczała głośno i w bezskutecznych próbach uwolnienia się z pazurów tłukła pięściami potężne, muskularne łapy.

Richius gorączkowo zastanawiał się, co zrobić. Kot był dostatecznie wielki, by stawić czoło kilku mężczyznom, z drugiej strony Aramoorczyk nie mógł beczynnienie

słuchać jęków trzymanej przez bestię ofiary. Wsunął dłonie pod opończę i dotknął rękojeści Jessicane. Ogromny miecz nagle wydał mu się małym nożykiem. I nagle zauważył, że kot miał na sobie uprzęż i siodło! Richiusa oszołomiła myśl, że ktoś mógłby ujeździć takie stworzenie. Przypomniał sobie ogromną czaszkę wiszącą w komnacie Arkusa, wyblakły czerep, który zgodnie ze słowami imperatora należał do bojowego lwa. Znał te stwory jedynie z opowieści, a oto jeden z nich szykował się przed nim do rozdarcia człowiekowi piersi. Rozejrzał się gorączkowo dookoła, szukając właściciela lwa, ale dostrzegł tylko przerażonych, jak on sam gapiów. Nie było nikogo, kto mógłby uratować nieszczęśnika, który za chwilę mógł być trupem.

Było to wszystko, czego Richius potrzebował do podjęcia decyzji.

Jessicane wyskoczył spod jego szat niczym srebrzysty wąż. Richius wydał bojowy okrzyk i skoczył przed siebie z uniesionym nad głową mieczem. Kot spostrzegł go natychmiast. Opuścił łeb i wydał złowrogi, gardłowy pomruk. Richius zatrzymał się w odległości pięciu stóp przed warczącym lwem i przesunął ostrzegawczo mieczem.

– Precz bestio! – zawołał. – Precz!

Lew machnął ogromną łapą, której szpony minęły pierś Richiusa może o cal lub dwa. Człowiek cofnął się o pół kroku i ciął mieczem. Ostrze Jessicane liznęło pierś bestii. Rozjuszony lew sięgnął ponownie i odbił miecz w bok, Richius jednak stał niezłomnie w miejscu i wykrzykując wszelkie znane mu obelgi, usiłował odciągnąć uwagę lwa od konającej ofiary. Obserwujący to wszystko gapie sapnęli jak jeden, po części ze strachu, po części z podziwu. Richius natarł, czując, że za chwilę serce wyskoczy mu z piersi. Gdzie podział się przeklęty lwi jeździec? Jeżeli bestia go zaatakuje, nie zdoła przed nią uciec, a stawienie jej czoła było wprost nie do pomyślenia. To nie był bojowy wilk, niewiele większy od psa. Miał do czynienia z potwornie rozrośniętym kotem. A jednak nieustannie drażnił zwierzę i dźgał mieczem, usiłując je odepchnąć od skulonej ofiary. Nieszczęśnik usiłował pomóc jakoś wybawcy, wrzeszcząc przeraźliwie, wierzgając i bijąc pięściami. Kot pozostał na miejscu, nie chcąc odstąpić i podnieść potężnej łapy. W końcu zdesperowany Richius postanowił zaatakować. Oburącz uniósł Jessicane. Jeżeli zdoła zadać dostatecznie głęboką ranę...

– *Kajiea!*

Richius zamarł w bezruchu. I nagle podbiegł do niego jakiś Triin, szarpnął go za opończę i niemal zbił z nóg. Oszołomiony Aramooreczyk spojrział na napastnika. Był niepodobny do Triinów, jakich Richius widywał wcześniej. Miał na sobie długie, wypłowiałe szaty, a jego pierwotnie biała skóra była nienaturalnie brązowa. Był też wysoki, a z jego szczupłej, smagłej twarzy patrzyły na Richiusa dzikie, groźne i lśniące jak rubiny oczy. Przyjrząwszy się Aramooreczykowi, zwrócił wzrok na lwa. Richius

zobaczył, że nieznajomy miał przytroczony do pleców w zwykły dla Triinów sposób jiktar.

Widok tego człowieka natychmiast uspokoił zwierzę. Opuściło łeb i schowało pazury a w jego oczach błysnęło rozpoznanie. Nieznajomy bez strachu podszedł do bestii i objąwszy ją za ciemną grzywę, zaczął coś mówić cicho i łagodnie. Wyglądało na to, że w ogóle nie zwraca uwagi na przyduszonego nieszczęśnika. Ten zaś jęczał coś jeszcze zamierającym głosem, a spod jego tułowia coraz szerszą plamą zaczęła się wylewać krew. Richius wstał z trudem i podszedł do lwiego jeźdźca. Wskazał na konającego.

– Jesteś szalony! – zagrzemiał. – Nie widzisz, że ten mężczyzna umiera? Puść go!

Usłyszawszy to wezwanie, Triin obejrzał się i przeszył Richiusa płomiennym spojrzeniem, a potem zerknął na wijącą się z bólu ofiarę i splunął. W końcu jednak powiedział coś do ogromnego kota, który niechętnie podniósł łapę z piersi nieszczęśnika. Richius natychmiast wykorzystał okazję, porwał go pod pachy i odciągnął od lwa. Lwi jeździec nie odrywał od Aramoorczyka swego ognistego wzroku. Ranny oddychał z najwyższym trudem.

– No i dopięliście swego! – syknął Richius. – Ten człowiek umiera.

Teraz zaczęli podchodzić bliżej inni Triinowie. Nad rannym zakreśliły się kobiety, zdejmując mu szaty i pojękując na widok głębokich ran. Richius wstał i spojrzał w twarz lwiego jeźdźca. Wielki kot obrzucił go obojętnym spojrzeniem, ale twarz jego jeźdźca nadal okrywała chmura gniewu. Kiedy Richius podszedł bliżej, nieznajomy wyprostował się dumnie i skrzyżował ramiona na piersi.

– Co z tobą, do diabła?! – warknął Richius. – Mogłeś go ocalić!

Wiedział, że Triin go nie rozumie, miał jednak nadzieję, że jego gniew pojmie bez trudu. Nieznajomy jednak tylko chrząknął.

– *Doula un dieata* – powiedział obojętnie. Potem sięgnął za plecy i wyciągnawszy swój jiktar, oburącz ujął jego rękonożę, ugiął lekko nogi, stając w charakterystycznej wyzywającej postawie. Richius z niedowierzaniem potrząsnął głową.

– Człowieku, tyś naprawdę oszalał – stwierdził z niesmakiem.

Wokół nich zbierał się coraz bardziej gęsty tłum, przyciągnięty perspektywą starcia.

Lwi jeździec z nie odstępującym go na krok kotem ruszył przed siebie i uderzył Richiusa w twarz. Richius cofnął się i poczuł na wargach krew. Natychmiast potem sięgnął po miecz.

– Ty draniu! – warknął. – Chcesz walki, czy tak? A więc dobrze, będziesz ją miał!

– Nie!

Obejrząwszy się w stronę, skąd doleciał okrzyk, Richius zobaczył idącego ku nim wielkimi krokami Lucylera. Na twarzy towarzysza malowała się niemal panika, gdy

rzucił się pomiędzy gotowych do walki przeciwników, odpychając ich od siebie.

– Nie próbuj z nim walczyć, Richiusie! – ostrzegł Lucyler towarzysza. Zaraz potem odwrócił się do lwiego jeźdźca. Nieznajomy uśmiechnął się jeszcze szerzej i odepchnął Lucylera swoim jiiiktarem. Lucyler ze złością odsunął ostrze na bok, po czym obaj obsypali się szybkimi słowami, których znaczenia Richius nie potrafił się nawet domyślić. Po chwili lwi jeździec opuścił swój jiiiktar, a Lucyler ostrożnie odstąpił krok do tyłu.

– Co tu się stało? – spytał Richiusa, odwracając ku niemu głowę przez ramię.

– Mnie pytasz? – obruszył się Richius, wskazując dłonią człowieka konającego na ulicy. – Chciałem tylko pomóc temu biedakowi. I wtedy wtrącił się ten brudny włóczęga. Może to jego powinienesz zapytać, co się stało?

– Spytałem – rzucił Lucyler niecierpliwie. Nadal nie odrywał wzroku od lwiego jeźdźca. – Powiedział, że zaatakowałeś jego lwa. Czy to prawda?

– Pewnie, że prawda! – zawrzał gniewem Richius. – A co miałem robić. Jego bestia darła tego biedaka na sztuki!

Lucyler znów się odezwał do nieznajomego, głosem znacznie bardziej uprzejmym i łagodnym. Lwi jeździec coś odpowiedział. Richius słuchał z napięciem, usiłując cokolwiek zrozumieć. Chudy obszarpaniec był już znacznie spokojniejszy i Richius nie bez ulgi przyjął fakt, że w pewnej chwili nieznajomy wsunął jiiiktar do pochwy na grzbiecie.

– Co on mówi? – spytał Aramoorczyk. Lucyler uniósł ostrzegawczo dłoń, by uciszyć towarzysza, bo obcy wciąż coś mówił. Wreszcie Triin ponownie zwrócił uwagę na Richiusa.

– Powinniśmy już odejść – powiedział spokojnie.

– Jak to odejść? Ot tak? Co on ci powiedział?

Lucyler ujął Richiusa pod ramię i powiodł przez coraz bardziej gęsty tłum. Kiedy oddalili się tak, że lwi jeździec nie mógł ich zobaczyć, Aramoorczyk wyrwał ramię z uścisku Triina.

– Czeka! – warknął gniewnie. – Co on ci powiedział?

– To lwi jeździec z Chandakkaru – oznajmił Triin. – Wiesz, co to znaczy?

– A powinienem?

– Richiusie, byłeś w ogromnym niebezpieczeństwie. Na Lorrisa i Pris, coś ty sobie pomyślał? Powiedziałem ci, żebyś poczekał na mnie przy tamtych domkach!

– Lucylerze! Ten lew rozdzierał człowieka! Co miałem robić?

– Te lwy nigdy nikogo nie atakują bez powodu, Richiusie. To właśnie mi tamten wyjaśniał. Ten człowiek usiłował skrzywdzić zwierzę, a może nawet chciał je ukraść.

– Tak ci powiedział? – spytał Richius, mając ochotę wybuchnąć śmiechem. – I ty mu uwierzyłeś?

– Nie wiesz niczego o lwich jeźdźcach. On mówił prawdę. I co ty chciałeś działać przeciwko takiej bestii?

– Chciałem tylko ocalić rannego. Walkę zaczął ten jeździec.

– Bo cię nie znał i zagroził jego lwu. Myślał, że działasz do spółki z tamtym drugim. – Lucyler uniósł wzrok do nieba, jakby wzywając je na świadka tego, że kończy mu się cierpliwość. – Mogłeś zginąć.

– Dałbym sobie radę – rzekł Richius ze złością.

Na tę przechwałkę Lucyler parsknął śmiechem.

– Niepodobieństwo! Nawet gdybyś do pokonał, ten lew rozdarłby cię na kawałki. One chronią swoich panów. O więzi między lwami i ich jeźdźcami opowiada się u nas legendy.

– No dobrze – odpowiedział Richius. – Nie wiedziałem, co robię. Ale nawet jeżeli tamten usiłował ukraść lub skrzywdzić lwa, czy trzeba go było karać w taki sposób? Nikt mu nawet nie próbował pomóc. Lucylerze, nie mogłem tak po prostu stać tam i się gapić.

Twarz Lucylera złagodniała. Położył dłoń na ramieniu Richiusa.

– Masz rację – rzekł spokojnie. – Nie powinienem się na ciebie wściekać. Ale teraz jesteśmy w niebezpieczeństwie. Zdradziłeś się, kim jesteś.

– Chodźmy do domu – zgodził się Richius. – Znalazłeś go?

Lucyler kiwnął twierdząco głową.

– Tak, ale teraz nie możemy się tam zatrzymać. Na noc musimy wracać pomiędzy wzgórz. Ja wrócę tu jutro i zdobędę potrzebne nam zapasy.

Richius westchnął z rezygnacją.

– Przykro mi, Lucylerze. To moja wina. Nie powinienem się oddalać. Ale ten przeklęty lew...

– Nie ma o czym mówić – mruknął Lucyler. – Po prostu jazdę do Falindaru odłożymy do jutra. Chodź już, musimy odebrać konie.

Richius kiwnął głową i obaj szybko ruszyli z powrotem do kupca u którego zostawili wierzchowce. Kupiec przecząco potrząsał natłuszczoną głową i nie chciał się rozstać z wziętymi już monetami. Obaj towarzysze mocno się jednak spieszyli, a Lucyler nie miał ochoty do targów. Wyprowadzili konie z bazaru, a na przedmieściach wskoczyli na siodła i ruszyli ku wzgórzom na północy, gdzie postanowili spędzić noc. Richius usiłował się spierać, tłumacząc przyjacielowi, że Triinowie z Dandazaru nie byli chyba groźni, Lucyler jednak stanowczo stwierdził, że powinni wyjechać, szczególnie po wypadku z lwim jeźdźcem.

– Może i wyglądają dobrodusznie, ale wierz mi, nie ufają Narenom – stwierdził Lucyler, gdy przekraczali granice miasteczka. – Ten Cavool nigdy by ci nie wynajął izby.

– A lwi jeździec? Co z nim? Myślałem, że ci ludzie są wyrzutkami. Ufają bardziej jemu niż mnie?

– To Triin. Choć trafił bardzo daleko od Chandakkaru, wszyscy mu tu sprzyjają znacznie bardziej, niż Narenom.

Richius wzruszył ramionami, nadal przestraszony myślą o wielkim kocie.

– Nigdy się nie spodziewałem, że zobaczę jednego z nich. I to tak daleko na północy! Dlaczego zapuścił się aż tutaj?

Lucyler spojrzał z kpina na towarzysza, a na jego wargach pojawił się lekki uśmiezek.

– Przyjacielu, mówiłem ci, że w Lucel-Lorze panuje pokój. To nie jest już kraj, jaki znałeś.

– Zaczynam podejrzewać, że masz rację – stwierdził Richius. – A skoro już o tym mowa, kiedy tu jutro wrócisz, to zajrzyj na stragan z ubiorami. Jest tam taka suknia...

## Dwadzieścia sześć

Dinadin Lotts przecisnął swoje rosłe ciało przez tłum i milcząc, ze zgrozą wpatrzył się w przybite do rynkowego muru ogłoszenie. Miał za sobą długą, ciężką jazdę z domu na aramoorski rynek, ponieważ we dworze usłyszał wręcz niewiarygodne wieści. Teraz, straciwszy dech, otoczony setkami wrzeszczących ludzi, czytał niewyraźne bazgrały z przybitego do ściany papieru. Richius Vantran był poszukiwany listem gończym. Na dole widać było wykonany nieco wyblakłym atramentem podpis hrabiego Renato Biagio. Dinadin cofnął się w głąb tłumy. Wokół słyszał zaskoczone oskarżenia wieśniaków i gorzkie złorzeczenia kobiet, a słowo „zdrajca” powtarzały nawet dzieci, zbyt małe, by rozumieć jego znaczenie.

– Zdrajca – wyszeptał Dinadin. Mówiono, że Richius opuścił Aramoor i udał się do Lucel-Loru, by zawrzeć diabelski układ z Tharnem. Bracia Dinadina usłyszeli tę wieść w drodze powrotnej z Innswick. I choć Dinadin ledwie mógł w to uwierzyć, zobaczył to teraz czarno na białym, w liście gończym, w którym jego przyjaciela i króla ogłaszano zdrajcą i przestępcą. – Mój Boże! – jęknął. – Coś ty zrobił, Richiusie?

– Zdradził nas! – odpowiedziała jakaś stojąca za nim stara kobieta. Tknęła Dinadina kosturem, a po jej twarzy spływały łzy gniewu. – Wydał nas Triinom, oto co zrobił!

– Nie! – zawołał Dinadin, odsuwając laskę od swoich żeber. – To kłamstwo! Nieprawda!

– Nieprawda? Jesteś jednym z jego popleczników? Chłopcze, zostaliśmy zdradzeni! Taka jest prawda!

Dinadin potrząsnął głową.

– Nie wierzę. Nie mogę uwierzyć. – Spojrzał na tłum w poszukiwaniu jakiejś znajomej twarzy. I ku swemu zaskoczeniu, znalazł jedną. Była to twarz Gilliama; był w uniformie aramoorskiej gwardii, lśniącym zuchwałą czernią na tle wiejskiego kubraka. Choć Dinadin od powrotu do domu nie widział starego wojaka, ruszył w jego stronę. – Gilliam! Tutaj! – wołał, przebijając się przez tłum.

Gilliam obrócił ku niemu twarz, która rozjaśniła się uśmiechem rozpoznania.

– Dinadin! – zawołał. Obaj podali sobie ręce. – Dzięki Bogu, że jesteś tutaj. Słyszałeś?

– Nie wszystko – odpowiedział Dinadin. – Dlaczego włożyłeś mundur? Co tu się dzieje?

Poirytowany Gilliam szarpnął wyłóg kurtki Dinadina.

– Co to znaczy, dlaczego? I co ty masz na sobie? Dlaczego nie włożyłeś swego

uniformu?

– A po co miałbym go wkładać? – spytał gniewnie Dinadin. – I co u licha się dzieje?

Gilliam przez długą chwilę patrzył na Dinadina i milczał.

– Niczego nie wiesz, prawda?

– Co niby mam wiedzieć? Do kata, mów wreszcie!

– Imperator ogłosił, że Gayle z Czarnej Kniei ma być gubernatorem Aramooru. Jego oddziały już zajęły zamek.

– Mój Boże... – wyszeptał Dinadin. – Więc o Richiusie to prawda?

Gilliam kiwnął głową.

– Owszem, ale nie cała. Talistańczycy powiadają, że on nas zdradził, ale jeżeli ruszył do Lucel-Loru to dla ważnego powodu. Ja go znam.

– Musimy dostać się do zamku – podjął szybką decyzję Dinadin. – Trzeba pomóc Patwinowi i Jojustinowi.

– Za późno – stwierdził ponuro Gilliam. – Obaj nie żyją. Patwina zabito, kiedy bronił królowej Sabriny. A Jojustin... – Głos zawiódł na moment starego wojaka i Gilliam na chwilę zamknął oczy, by wziąć się w garść. – Słyszałem, że egzekucji na nim dokonał sam Biagio. Nie wiem, co się stało z panią.

– Patwin nie żyje? – spytał Dinadin, który nagle poczuł się bardzo nijako. Zaledwie kilka dni temu rozmawiał z łagodnym towarzyszem.

– Nie chciał zerwać przysięgi danej Richiusowi – stwierdził Gilliam. – Tego żąda Gayle i te jego psy. Wszyscy, którzy zostaną wierni rodowi Vantranów, pójdą pod miecz. – Gilliam wyciągnął swój miecz i ucałował jego srebrne ostrze. – Na Boga, zabili już dziś zbyt wielu ludzi!

– I co, jadą tutaj? – spytał Dinadin.

– Tak mówią. I wygląda na to, że tylko nas dwóch stanie przeciwko nim.

Dinadin poczuł, że robi mu się gorąco.

– Gilliamie, nie wariuj. Teraz musimy się stąd wynosić, zebrać ludzi i dopiero wtedy...

– Dinadinie, nie ma innych ludzi. Większość została zabita na zamku. Reszta pilnuje swoich domów. Tylko my dwaj możemy stawić czoło tym łotrom tutaj. Wciąż jesteśmy gwardzistami Aramooru. Wiąże nas powinność...

Dinadin kiwnął głową, ale nie odpowiedział. Powinność czy nie, było ich tylko dwóch i z pewnością nie zdołają sprostać oddziałom, które do Aramooru wprowadził Gayle z Czarnej Kniei. Jeżeli zmierzali tu Talistańczycy, natychmiast zauważą Gilliama w uniformie, który w tych warunkach był wyzwaniem do walki. Dinadin stłumił jęk rozpaczy. Wszystko działo się zbyt szybko. Młody Lotts z trudem pogodził się



z odejściem Richiusa, ale narzucenie władzy Talistanu było nie mniej zaskakujące. Ród Vantranów władał Aramoorem od czasu powstania kraju i wielu było takich, którzy oddaliby życie w obronie dynastii. Jak Patwin i Gilliam, byli wierni Vantranom do grobowej deski. Był to zdumiewający aspekt życia w Aramoore, w który ostatnio Dinadinowi przychodziło wierzyć z coraz większym trudem. On sam popadł w głęboką desperację. Szykował się rozlew krwi. Wziął jabłko z jakiegoś wozu i wgryzł się w nie łapczywie, cały czas zawzięcie rozmyślając o sytuacji. Straganiarz albo nie zauważył kradzieży, albo wcale się nią nie przejął. Wszystkich zajmowały sprawy znacznie większej miary i handel na ryneczku ustał zupełnie. Gilliam rozmawiał właśnie z jakimś jasnowłosym młodym człowiekiem, który przyciskał do piersi bochen chleba. Młodziak słuchał jak zaczarowany starego wojaka i jego śmiałych słów. Wokół Gilliama zaczęli się zbierać ludzie, wszyscy zaś zadawali desperackie pytania, na które ten nie znajdował odpowiedzi. Mimo że zadawane różnymi głosami, pytania brzmiały podobnie, a ich sedno zawierało się w jednej kwestii: co z nami będzie?

„Właśnie, co?” – zapytał sam siebie Dinadin. Każą mu się wyrzec wierności wobec Richiusa, podobne słowa usłyszą jego ojciec i bracia. Rodowi Lottsów z pewnością nie zostanie to oszczędzone. Ród Dinadina miał za sobą długą historię utarczek i bojów z Talistańczykami i był Gayle’om równie dobrze znany jak Vantranowie. Tylko głupiec mógłby pomyśleć, że jakoś się z tego wykręca. Dinadin starannie przeżuł jabłko i odrzucił ogryzek przez ramię. Gilliam nadal był zajęty zbieraniem popleczników i odpowiadaniem na pytania, ale rezultat jego wysiłków był mizerny. W tłumie wyczuwało się prawdziwą wrogość i gorycz zrodzoną z poczucia zdrady. Słuchacze byli wieśniakami, nie żołnierzami, i wyglądało na to, że argumenty i wyjaśnienia Gilliama trafiają w próżnię.

– On nas nie zdradził! – wołał Gilliam. – Mogę przysiąc, że wróci.

Jednych przekonał, innych nie. Podczas gdy tamci się spierali, Dinadin zaczął się ostrożnie wycofywać. Bez silnego przywództwa Vantranów Aramoore rozsypie się na takie właśnie, skłócone grupki mizernych wieśniaków i rzemieślników. Wojsko przepadło, wyniszczone bojami w Lucel-Lorze, a ci żołnierze, którzy ocaleli, z pewnością będą musieli się opowiedzieć po stronie nowej władzy. Z nagłym przypływem gniewu Dinadin zrozumiał, że jak przedtem Darius Vantran, tak i teraz Richius porzucił ich na pastwę losu.

– Dlaczego to zrobiłeś, Richiusie? – szepnął przepełniony wściekłością. Był to jeszcze jeden z tych niewytłumaczalnych postępów jego przyjaciela.

Nagle na rynku rozległ się znajomy Dinadinowi grzmot końskich kopyt. Na plac wtargnęło kilkunastu jeźdźców, wszyscy w zielonozłoty barwach Talistanu i hełmach

z przyłbicami w kształcie trupiej czaszki. Oddział zatrzymał się przed tłumem. Dinadin nieznacznie opuścił dłoń na rękojeść miecza. Na rozkaz dowódcy kilku żołnierzy zsiadło z koni. Dowódca był chudzielcem, który zamiast hełmu miał na głowie szerokoskrzydły kapelusz z pióropuszem.

– Ludu Aramooru! – zawołał dźwięcznym, nawykłym do rozkazywania głosem. – Jestem Ardoz Trosk, pułkownik zielonej brygady. Wiecie już teraz o zdradzie waszego króla. Z rozkazu Nar wasz kraj przestaje istnieć. Od tej chwili nie ma już Aramooru. Stajecie się prowincją Talistanu i podlegacie prawom i dekretem wydawanym przez waszego nowego gubernatora, Gayle’a z Czarnej Kniei.

Zanim pułkownik podjął wątek, odczekał chwilę, by ucichły pomruki, których się zresztą spodziewał.

– Bądźcie posłuszni, nie podejmujcie prób buntu, a nie stanie się wam krzywda. – Machnął dłonią i ludzie z jego orszaku jednym ruchem wydobyli miecze. – Każdy sprzeciw będzie karany śmiercią.

– Sprzeciwiam się! – zagrział nagle głos przepełniony nienawiścią. Z tłumy wystąpił Gilliam trzymający oburącz miecz. – Nie dam sobie narzucić obcej władzy, ty psie! I wielu innych także!

Jego wystąpienie nie zrobiło żadnego wrażenia na Trosku. Westchnął lekko, co przypominało ziewnięcie.

– Wszyscy musicie wyrzec się lojalności względem Vantranów. Takie jest prawo Arkusa, żołnierzu. Odłóż miecz. Nie wolno wam już będzie nosić broni.

– Chodź i sam ją weź! – zagrział Gilliam. Podeszedł bliżej do kręgu złotozielonych żołnierzy i wyzywająco potrząsnął swoim ogromnym mieczem. Dinadin wstrzymał oddech i zdjął dłoń z rękojeści miecza. Nikt nie podjął próby przyjscia z pomocą dzielnemu durniowi.

– Dasz nam tylko darmowe widowisko – ostrzegł go Trosk. – Odłóż miecz natychmiast!

– Obyście wyzdychali! – warknął Gilliam i rzucił się na najbliższego Talistańczyka. Obcy miał się na baczności i błyskawicznie uniósł miecz, ale Gilliam uderzył znad głowy i jego ostrze przecięło gładko metal, rozrąbując żołnierzowi ramię. Tłum wrzasnął ze zdumienia, a Gilliam odwrócił się w miejscu, by stawić czoło uderzającym na niego niczym stado drapieżnego ptactwa Talistańczykom. Jego miecz zawirował, tnąc następnego żołnierza i przechodząc przez złocistą zbroję niczym skalpel. Przez jedną krótką chwilę patrzącym wydało się, że Gilliam może zwyciężyć...

Oczywiście jednak nie mógł. Pozostali żołnierze natychmiast otoczyli go kręgiem najeżonym stalowymi ostrzami. Ogromny mężczyzna ciężko dyszał. Obracał się

w miejscu, kręcąc głową i odbijając mierzące w niego ostrza. Talistańczycy uderzali pchnięciami, niczym wilcze stado, kłując go w plecy i uda, aż jego uniform zaczął spływać czerwienią. W końcu Gilliam padł na kolana, nadal miotając klątwy i wyzwania, ignorując płaczących za nim ludzi i matki zakrywające sukniami twarzyczki swoich dzieci.

– Dinadinie! – wrzasnął Gilliam. Rozglądał się dookoła ze zgrozą w oczach, widząc, że pętla Talistańczyków się zacieśnia. – Gdzie jesteś? Pomóż mi, chłopcze!

Dinadin stał unieruchomiony strachem. Gilliam jeszcze kilkakrotnie wzywał pomocy łkającym głosem, ale w końcu ucichł. Na czoło Dinadina padło kilka lepkich kropli. Nie zdołał opanować drżenia ani szczękania zębów – czuł się, jakby owiał go zimny górski wiatr. Talistańczycy rozstąpili się, zostawiając na ziemi krwawą masę, która jeszcze niedawno była aramoorskim gwardzistą, Gilliamem.

– Więc? – odezwał się Trosk, przeszukując tłum wzrokiem. – Który z was jest tym... Dinadinem?

Dinadin odmówił w duchu krótką modlitwę. W tłumie byli ludzie, którzy go znali, i z pewnością wskażą go, jeżeli zostaną zapytani. Zebrał się na odwagę i wystąpił z gromady.

– Ja jestem Dinadin z rodu Lottsów – oznajmił z pewnością siebie, której tak naprawdę nie czuł.

Pułkownik uniósł głowę nie bez satysfakcji.

– Lotts? Wspaniale! Ty więc będziesz pierwszy, chłopcze – Trosk wyjął miecz i zwiesił go luźno w ręce. – Podejdź bliżej.

Dinadin usłuchał i ruszył wolno i ostrożnie w stronę jeźdźca. Staął naprzeciwko rażno parsającego konia i rzekł ochryple:

– No, dalej. Nie zwlekajcie.

Trosk uśmiechnął się sardonicznie.

– Znasz prawo, Lotts. Czy mu się podporządkujesz?

Pytanie zawisło w powietrzu. Wszyscy utkwili wzrok w Dinadinie, czekając na jego reakcję. Miecz w ręce Troska, który czekał na odpowiedź, nadal zwisał luźno. Pułkownik jednym ruchem dłoni mógł ciąć Dinadina w krtań. Ten jednak milczał.

– Czy wyrzekasz się wierności wobec rodu Vantranów? – spytał zniecierpliwiony pułkownik. – Przysięgniesz lojalność Nar?

Po policzkach młodzieńca spływały gorące łzy. Zdesperowany Dinadin otarł je rękawem koszuli. Czuł na sobie palące spojrzenia zebranych, którzy czekali, zastanawiając się, co zrobi. Dinadin tymczasem myślał o swoim przyjacielu, Richiusie, królu, który go zdradził. Wszystko zaszło za daleko, pomyślał i podjął decyzję. Gdyby

nie zawiódł swego króla, może sprawy potoczyłyby się innym torem.

Powoli pochylił się i dotknął ostrza. Przemknęła mu myśl, żeby podciąć nim sobie żyły nadgarstka. Ale czy rzeczywiście był w tym jakiś wstyd? Czy śmierć Gilliana komukolwiek się na coś zdała? Wszyscy okazali się oszukanym narodem zdrajców. Może ceną za tę głupotę była niezależność narodu?

Ogarnięty żalem i gniewem pochylił się i ucałował miecz Talistańczyka.

## Dwadzieścia siedem

Richius i Lucyler dotarli do falindarskiej cytadeli w noc poprzedzającą Casadah, święty dzień Drolów. Falindar leżał w północnej części Tatteraku, gdzie chłodne morskie fale uderzały o kamieniste brzegi, a góry były wysokie i tajemnicze. Cytadelę wzniesiono na szczycie jednej z takich gór, tuż nad stromym, niemal pionowym zboczem, tysiąc stóp niżej obmywanym falami morza. Ku cytadeli wiodła tylko jedna droga, dość szeroka, by pomieścić królewskie procesje poprzedniego pana. Wzdłuż niej ustawiono monolity z pochodniami, tak że całe miejsce nawet w nocy było jednocześnie oświetlone i utkane cieniami. Cytadela Falindaru dominowała nad horyzontem jak budowle Narenów, a sierp księżycy rzucał na jej pięknie ukształtowane wieże lekko różowawą poświatę.

Przy wtórze westchnień wiatru Lucyler zatrzymał swego wierzchowca. Na jego znużonej twarzy ukazał się delikatny uśmiech.

– Zdążyliśmy – powiedział z powagą. W oddali w świetle księżycy widać było podobne do widm mewy, a lekki wietrzyk poruszał płomieniami pochodni.

– Witaj w domu – odezwał się Richius.

Patrzył z podziwem na cytadelę, oszołomiony jej nierzeczywistym pięknem. O tym miejscu słyszał rozmaite historie od czasu, gdy po raz pierwszy przybył do Lucel-Loru. Tu zrodził się bunt Tharna, dlatego w sercach wszystkich, którzy walczyli po stronie Arkusa, nazwa „Falindar” cieszyła się złą sławą. Widząc błysk w oczach Lucylera, zaczął się zastanawiać, czy podobny pojawi się w jego oku, gdy znów ujrzy Aramoor.

– Czy ci nie mówiłem, że jest piękna?

– Piękniejsza, niż oczekiwałem – przyznał Richius. – Nic dziwnego, że Tharn zatrzymał ją dla siebie.

– Richiusie, przestań – poprosił Lucyler. – Nie zaczynajmy sprzeczek od nowa. Nie teraz.

Richius kiwnął głową, ale nie zdołał w sobie do końca stłumić wyrzutów sumienia. Falindar padł pierwszej nocy buntu, gdy Drolowie podjęli próbę uwolnienia swego przywódcy z niewoli. Atak zmusił Daegoga do ucieczki i skazał go na wygnanie, rozrzucił też po całym Lucel-Lorze wiernych mu wodzów i wojowników, którzy musieli szukać schronienia, gdzie się dało. Tajemnicą dla Richiusa było to, w jaki sposób Lucylerowi udało się zapomnieć o tej hańbie. Spojrzawszy jednak na wspaniałą cytadelę po raz drugi, zrozumiał. Miejsce to przypominało diament lśniący wśród nocy. Było chyba najpiękniejszym ludzkim dziełem, jakie kiedykolwiek udało mu się zobaczyć, znacznie przewyższającym świętością Katedrę Męczenników w Nar. Czarny Gród, mimo

wspaniałych budowli i wciąż rozwijającej się nauki, nie miał niczego, co mogłoby się równać z pięknem Falindaru.

– Zazdroszczę ci – wyznał spokojnie. – A teraz jedźmy szybciej. Im prędzej załatwię tu sprawy, tym prędzej wrócę do domu.

– Richiusie, jest późno. Wątpię, czy uda nam się dziś zobaczyć z Tharnem.

– Późno? Spędziłem w siodle trzy tygodnie, aby się tu dostać. Jestem pewien, że twój pan zniesie jakoś odrobinę niewygodę z powodu utraty snu.

Lucyler otworzył już usta, by coś odpowiedzieć, uciszył go jednak widok jeźdźca, który nagle wyłonił się z mroku. Był to Triin odziany jak na wyprawę wojenną. Jego włosy nie były białe, lecz zabarwione na ogórkową zieleń, również połowa twarzy była pomalowana na zielono jakąś tłustą mazią. Miał na sobie kurtkę barwy indygo, przepasaną złotą wstęgą. Wokół głowy zawiązał wąski pasek ze skóry jakiegoś zwierzęcia, a łydki okrył wysokimi sznurowanymi butami. Zjawiając się w nocy, wydał się Richiusowi wcieleniem szaleństwa. Pędził ku nim, a luźna opończa powiewała niczym ogon komety.

– To człowiek Kronina – zauważył Richius. Wielokrotnie już widywał członków tego plemienia. – Posłaniec?

– Herold – odpowiedział Lucyler. – Zauważono nas.

Jeździec bez litości poganiał konia krętą drogą, a nieodzowny Triinom jiihtar rzucał blaski z jego pleców. Kiedy dotarł do przybyszów, zatrzymał konia, który parskaniem zdradził swoje niezadowolenie. Widok Richiusa wywołał na wymalowanej twarzy herolda szeroki uśmiech. Richius odpowiedział śmiałym spojrzeniem.

– *Joaala akka, Loocylr* – odezwał się wojownik, pochylając głowę z szacunkiem.

– *Joaala akka, Hakan* – Lucyler odpowiedział tak samo.

Herold zwrócił się do Richiusa, tym razem pochylając głowę wolniej i niżej. Nie podnosząc wbitego w ziemię wzroku, wygłosił dość długie i niezrozumiałe powitanie. Kiedy skończył, nie podniósł głowy, pozostając w głębokim ukłonie. Richius spojrzał pytająco na Lucylera.

– To Hakan – odpowiedział Lucyler. – Jest jednym z wojowników Kronina. Wita cię w Falindarze i powiada, że jest zaszczycony, mogąc cię pozdrowić... wielki królu.

Richius natychmiast poczuł do herolda cieplejsze uczucia.

– Jak mam mu odpowiedzieć?

– Możesz mu po prostu podziękować. Powiedz: „*Shay sar*”.

– *Shay sar*, Hakan – odpowiedział Richius, starając się jak najlepiej wymówić niezrozumiałe słowa.

Hakan w końcu podniósł głowę. Na jego twarzy malowała się jakaś niepokojąca

Richiusa ciekawość i lekki zawód, jakby spodziewał się zobaczyć znacznie więcej. W końcu Richius uciekł ze spojrzeniem w bok.

– Dlaczego on się tak we mnie wpatruje? Powiedziałem coś złe?

– Ostrzegałem cię, przyjacielu – zachichotał Lucyler. – Jesteś tu osobliwością. Powitanie wymówiłeś prawidłowo, a Hakana po prostu intryguje twój wygląd.

Lucyler zwrócił się do wojownika i powiedział kilka zdań, które tamten skwitował śmiechem i kiwnięciami głową.

– Powiedziałem mu, że rad jesteś z przybycia na miejsce – wyjaśnił Lucyler Richiusowi. – I że niemałe wrażenie zrobiła na tobie jego siedziba.

– Jego siedziba? Myślałem, że teraz mieszka tu Tharn. Czy są tu wszyscy ludzie Kronina?

– Jak widzisz, cytadela stała się domem dla wielu. Kronin jest teraz obrońcą Tharna i jego ludzie też. Po zakończeniu wojny, kiedy się okazało, że zamek Kronina na górze Godon został zniszczony, jego siedzibę przeniesiono tutaj, by stąd mógł władać Tatterakiem.

Hakan kiwnął głową twierdząco, jakby wszystko zrozumiał.

– *Kuaoa akei eiunb, Kalak.*

Richius poczuł się, jakby jego serce się zatrzymało. Kalak? Odwróciwszy się do Lucylera, ujrzał, że jego towarzysz zbladł jeszcze bardziej.

– Czy on nazwał mnie Kalakiem?

– On nie rozumie – odezwał się Lucyler, po czym zalał zaskoczonego wojownika potokiem szybkich słów.

Hakan ponownie pochylił głowę i wymamrotał coś przeproszającym tonem.

– Prosi o wybaczenie – przełożył Lucyler. – Nie rozumie, czym cię uraził. Nie miał takiego zamiaru.

– Najwyraźniej nie – odpowiedział Richius, ujęty i zakłopotany przeprosinami. – Hakanie – odezwał się głośniej. – Przestań. Lucylerze, powiedz mu, żeby przestał.

Lucyler przełożył jego polecenie i Hakan w końcu się wyprostował, a potem cicho zaczął coś wyjaśniać Lucylerowi. Potem herold skłonił się każdemu z nich i zawrócił pod górę, pnąc się coraz wyżej po słabo oświetlonej drodze.

– Powiadomi innych, że nadjeżdżamy – oznajmił Lucyler.

– Kalak! – splunął Richius. – Czy nigdy nie uwolnię się od tego imienia?

– Richiusie, pod tym imieniem jesteś tu dobrze znany, ale to nie obraza. Pamiętaj, że Kronin i jego ludzie nienawidzą Vorisa nie mniej niż ty. Oni nie są Drolami. Kiedy nazywają cię Szakalem, mówią to z dumą. Jesteś wrogiem ich wroga.

– Mam wrażenie, iż mówiłeś, że Kronin i Voris zawiesili broń.

– Owszem, zawiesili. Ale to nie znaczy, że się lubią. Ze względu na Tharna wstrzymują się od walk, i nic więcej.

– Ten twój Tharn musi być wspaniałym mężem, skoro tak wielu postanowiło pójść za jego przewodem – oznajmił sucho Richius. – Może jest lepszym czarodziejem, niż wszyscy sędzicie. Lucyler zignorował przytyk.

– Już niedługo sam się przekonasz.

– Właśnie. Nie pójde jednak tak źle ubrany – odpowiedział Richius, zdzierając z siebie śmierzące, powłóczyście szaty, w które się przebrał po wyjeździe z Ackle-Nye. Rozpinał guzik po guziku, aż w blasku księżyca zalśnił jego skórzany tłoczony pancerz. Potem zdjął kaptur z głowy i chustę z szyi, na koniec zsunął z siebie opończę, jak wąż skórę. Ponownie ukazał światu ciemny pancerz z dumnym błękitnym smokiem na lewej piersi. „Niech to zobaczy Tharn – pomyślał. – To mu przypomni zamordowanego przez niego Edgarda”.

– Tak! – oznajmił, rzucając przebranie na ziemię. – O wiele lepiej.

Lucyler sięgnął po jiihtar i zręcznie podniósł orężem wgardzoną przez Richiusa opończę, zaczepiając o nią zakrzywionym ostrzem.

– Co ty wyrabiasz? – zdziwił się Richius. – Przecież już tego nie włożę.

– To nie dla ciebie – odpowiedział chłodno Triin. – Jest wielu, którym się przyda i taka odzież. Nie powinno się tego marnować.

– Marnować? Ależ to zwykle szmaty!

Lucyler spokojnie wetknął usmoloną opończę w juki przy swoim siodle. Ujrawszy to, Richius nagle coś sobie przypomniał i zająrzył do własnych juków. Ucieszył się, ujrawszy na spodzie, pod własną bielizną, pasmo czerwonego jedwabiu. Przesuwając palcami po gładkim materiale, uśmiechnął się szczęśliwy jak dziecko. Pewien był, że suknia ogromnie się Dyanie spodoba.

– Gotów? – spytał pospiesznie Lucylera.

Triin odpowiedział krótko i obaj ruszyli ku cytadeli. W miarę, jak wjeżdżali coraz wyżej, powietrze robiło się chłodniejsze, przynosząc im jednocześnie rześki zapach morza. Słyszeli łoskot fal, uderzających gdzieś w dole o nabrzeżne skały, i okrzyki mew, które żeglowały w powietrzu po nocy. Dotarcie na szczyt zajęło im sporo czasu, a gdy się tam znaleźli, Richius poczuł się przytłoczony wspaniałością budowli. Fasadę cytadeli zdominowało dwoje ogromnych, spizowych skrzydeł bramy, po obu stronach której pięły się ku niebu bliźniacze srebrne wieże, niknąc gdzieś w czerni nad ich głowami. Każdą ścianę i każdy taras pokrywała bujna winorośl. Nie było tu żadnych umocnień, jedynie ukwiecone balkony, na których małe srebrne sylwetki lśniły w świetle księżyca, jak spotykający się nad rzeką kochankowie. Nikły blask pochodni rzucał na cytadelę rudawą



poświętę, i tworzył na srebrnych kamieniach ruchliwe cienie. Cytadela wydała się Richiusowi ożywiona i odnowiona, jakby wypolerowana do lustrzanej gładzi.

– Nie przesadzałeś – odezwał się Richius, unosząc głowę, by zobaczyć szczyty smukłych wież. – Nie umiem znaleźć słów.

Wrota cytadeli szeroko otwarto na ich powitanie. Nie czekając na przyjaciela, Richius pchnął Błyskawicę do przodu. Z głębi niezmiernie rozległego dziedzińca słyszał gwar głosów, wymieniających jakieś uwagi w tajemniczym języku Lucel-Loru. Gdzieś za tymi ścianami była Dyana. Czy czekała na niego? Rozejrzał się po dziedzińcu, koncentrując wzrok na twarzach. Gdy Richius ruszył pomiędzy Triinów, wszyscy nagle umilkli.

Spodziewał się zobaczyć tu szlachtę czy jakkolwiek Tharn zwał swoich służalców. Zamiast nich ujrzał wymizerowanych ludzi. Wyglądało to tak, jakby tym miejscu zebrali się wszyscy mieszkańcy Ackle-Nye.

– Lucylerze? – zawołał przez ramię. – A cóż to znowu?

Otoczający go ludzie zaczęli się do niego zbliżać. Patrzyli przy tym na niego z niemal dziecięcym zdumieniem i zachwytem. To miał być Falindar? Richius podniósł wzrok nad głowy tłumu brudasów i na ścianach zobaczył ciemne plamy, gdzie niedawno jeszcze – tego by pewien – wisiały cenne ozdoby. Nie było tu obrazów, posągów, ozdobnych świeczników ani kobierców. Zdumiony opuścił ponownie wzrok na otaczające go ludzkie mrowie. Wszyscy się do niego uśmiechali. Każda twarz była pomalowana dokładnie w taki sam wzór, jaki zdobił oblicze witającego ich herolda. W tym tłumie byli też wojownicy, wyróżniający się strojami z tłumu szarobrazowych opończy wieśniaków. Nikt się nie odezwał, jakby widok nareńskiego wielmoży wszystkich oczarował.

– Co to jest, Lucylerze? – spytał Richius ponownie. – Kim są ci ludzie?

– To ci, którzy przeżyli Tatterak – odpowiedział Lucyler. – Zrujnowani przez wojnę. – Sięgnąwszy do worka przy siodle, wyjął z niego żebraczą opończę i cisnął ją w tłum. Brudne szmaty błyskawicznie chwycił jakiś mały obdartus.

– Czy oni wszyscy tu mieszkają?

– Wszyscy, nie... Wielu osiedliło się na okolicznych wzgórzach, gdzie usiłują jakoś się utrzymać z pracy na roli. Ale niewiele dla nich zostało. Ludzie Gayle'a nie byli tacy łagodni jak twoi, czy Edgarda. Podczas ostatnich dni wojny i odwrotu niszczyli wszystko, co się dało, pałac wioski i nawet lasy, by ludzie nie mogli pobudować nowych chat. Większość z tych biedaków nie ma do czego wracać. Dlatego przybyli tutaj, szukając schronienia i żywności. Tharn zdecydował, że to miejsce powinno należeć do ludu.

– Ale minął już prawie rok. Z pewnością mogli odbudować swoje siedziby.

Lucyler ze smutkiem potrząsnął głową.

– Próbują, ale niewiele zostało materiałów, z których cokolwiek da się odbudować. Tatterak to prawie wyłącznie kamienie. Więc teraz pozwolono im się osiedlić w cytadeli, żyć tu, jeżeli chcą, albo po prostu jadać tu posiłki. Żywności zresztą nie jest za wiele, ale ją racjonują i każdy coś dostaje.

– Dobry Boże – wyszeptał Richius. – Nie miałem pojęcia, że sprawy aż tak źle stoją. Dlaczego mi nic nie powiedziałeś, Lucylerze?

– Bo nie chciałem, byś się trapił o tę kobietę. I pomyślałem jeszcze, że dobrze by było, gdybyś sam się o tym przekonał. Nie wierzyłeś mi, kiedy ci mówiłem, że Tharn to człowiek pokoju. Oto masz dowód. Wszystko, co wartościowe, zabrano z pałacu i oddano tym ludziom, by mogli wymienić na potrzebne im dobra. Cały kraj został zniszczony, Tharn jednak jakoś usiłuje przywrócić mu życie.

– Ale w Dandazarze nie było takiej biedy. – Wydało mu się, że znalazł słaby punkt w tłumaczeniach przyjaciela. – Dlaczego?

– Dandazar leży daleko od terenów głównych walk. Spustoszone cały kraj pomiędzy Falindarem a górą Godon. Prawie wszędzie toczyły się walki. Wszystko poszło z ogniem... Wszystko.

Richius podniósł obie ręce.

– Czegoś tu jednak nie pojmuję – powiedział z goryczą. – To przecież Tharn wywołał tę wojnę. Czy ci ludzie o tym zapomnieli? To on jest winien ich nędzy, a jednak go popierają. To dla mnie niezrozumiałe.

– Tharn ich zjednoczył – odparł Lucyler bez przekonania w głosie. – Niebiosa obdarzyły go swoimi łaskami.

– Bzdury. Spójrz tylko na nich. Nic z tego, co ich spotkało, nie przydarzyłoby im się, gdyby nie on. Powiedziałeś, że przyniósł Lucel-Lorowi pokój, ja jednak wszędzie widzę tylko spustoszenia wojenne. Uwolnił Lucel-Lor spod władzy Narenów po to, by go zrujnować. – Richius potrząsnął głową. – Gdzie jest Dyana? Czy ona żyje tu z tymi uchodźcami?

– Nie martw się – odpowiedział Lucyler. – Mieszka na górnych piętrach cytadeli we własnej komnacie. Mówiłem ci, że Tharn się o nią zatroszczył.

„Tak, jestem pewny! – pomyślał Richius z gniewem. – Pewnie tak samo, jak się troszczy o tych tutaj”.

– Chcę ją zobaczyć – zażądał. – Teraz.

– Przede wszystkim zobaczysz się z Tharnem – oznajmił Lucyler. – W końcu Dyana jest jego żoną.

– Dobrze. Oby to tylko nie trwało zbyt długo.

Właśnie mieli zsiąść z koni, kiedy z głębi wyłonił się jakiś człowiek. Ujrzawszy, że nadchodzi, tłum jakby zaczął się rozstępować. Richius natychmiast rozpoznał w przybyłym wojownika, jednak i kogoś znacznego. Przybyły był wyższy niż pozostali Triinowie, ale chudy jak trzcina. Jego białe włosy poprzetykane były szarymi niby wapień pasmami, a spod pasa zielonej farby, otaczającej jego twarz niczym maska, lśniły stalowej barwy oczy. Miał na sobie granatową kurtkę plemion Tatteraku, ale okalający jego biodra pas był z futra śnieżnej pantery. Taka sama skóra zwisała niby płaszcz z jego ramion. Pomiedzy otaczającymi go obszarpańcami nosił się prawdziwie po królewsku i Richius natychmiast odgadł, z kim mają honor.

– Kronin.

Był to w istocie Kronin, plemienny wódz Tatteraku i arcywróg Vorisa Wilka. Przechodził spokojnie przez tłum, unosząc wysoko głowę i patrząc prosto na Richiusa. Dwa złote łańcuchy przypięte do butów dzwoniły lekko przy każdym kroku, podobnie jak jego bransolety i długie misterne kolczyki. Podeszedł do nich szybko, a potem... Potem wódz Tatteraku opadł przed Richiusem na jedno kolano i pochylił głowę do ziemi. Następnie ostrożnie ujął dłoń Aramoorczyka i złożył na niej delikatny pocałunek. Richius, niepomiernie tym wszystkim zdumiony, obejrzał się na Lucylera, ten jednak okazał zaskoczenie nie mniejsze, niż jego własne. To było powitanie, jakiego mógł Richius oczekiwać od poddanego w Nar, nie od wodza jednego w plemion Lucel-Loru. Przybysza zdumiało i to, że Kronin znał ten obyczaj.

– *Joaala akka* – odezwał się Kronin jedwabistym głosem. – *Tew banney Totterahk jin joanay.* – Wódz wstał, nie czekając na odpowiedź. I spojrzał pytająco na Richiusa.

– Kronin cię wita, Richiusie – zaczął Lucyler. – Powiada, że możliwość goszczenia cię w Tatterak jest dla niego wielkim zaszczytem i że zawsze będziesz tu mile widziany.

Richiusa ogromnie to wszystko ujęło.

– Zechciej mu powiedzieć, proszę, że i dla mnie to wielki honor. Powiedz mu także, iż jego imię jest dobrze znane w Aramoorze i mówi się, że jest najdzielniejszym z wodzów Lucel-Loru.

Wysłuchawszy tłumaczenia, Kronin uśmiechnął się promiennie. Znów coś powiedział, zwracając się wprost do Richiusa.

– Powiada, że na zawsze zachowa w pamięci twoje słowa – przełożył Lucyler. – Mówi też, że chciałby być z tobą w dolinie Dring i że ty jeden mogłeś zabić Vorisa.

Richius roześmiał się, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Jak na człowieka pokoju, Kronin chyba za bardzo się zapamiętał w swej nienawiści do wroga. Kronin też się zaśmiał zadziwiająco niskim śmiechem jak na takiego chudzielca. Potem założył kciuki za swój futrzany pas i westchnął.

– *Eedgod* – powiedział ze smutkiem. Kiedy Richius wzruszył ramionami na znak, że nie rozumie, Kronin powtórzył to słowo i wskazał jednocześnie smocze godło na piersi przybysza. – *Eedgod*.

– Edgard! – zrozumiał nagle Richius. – Tak, Lucylerze, powiedz mu, że byliśmy towarzyszami broni.

Kiedy Lucyler przełożył słowa Richiusa, Kronin pokiwał głową, a potem zaczął szybko coś mówić, podnosząc dłonie i przykładając je do serca.

– Edgard był wielkim człowiekiem – tłumaczył Lucyler. – Wódz mówi, że wiadomość o jego śmierci przyjął z wielkim bólem.

Richius uśmiechnął się do Kronina ze współczuciem.

– Rozumiem. Dziękuję, Kroninie. *Shay sar*.

Usłyszawszy swój język w ustach przybysza Kronin zapał radośnie, jak chłopiec.

– *Tryn?* – spytał.

Lucyler potrząsnął głową.

– *Eya* – odpowiedział wodzowi. – Kronin chce wiedzieć, czy mówisz naszym językiem – wyjaśnił Richiusowi.

Teraz wódz wskazał palcem na siebie, potem na Lucylera, aż wreszcie na Richiusa. I przemówił wyraźnie i wolno, jakby chciał Richiusowi dać czas na zrozumienie tego, co powiedział.

– Co on mówi?

– Powiada, że będzie do twojej dyspozycji. Jeżeli będziesz czegokolwiek potrzebował, wystarczy że przyjdiesz i powiesz. Prosi też, byś zechciał usiąść obok niego na jutrzejszej uczcie.

– Na uczcie? O jakiej uczcie on mówi?

– Jutro jest święto Casadah, pamiętasz? Tharn odwiedził Tatterak, by wziąć udział w święcie. Falindar zostanie otwarty dla każdego, i oczywiście by uczcić ten dzień zostanie wydana wielka biesiada. Kronin prosi, byś zechciał mu dotrzymać towarzystwa.

Richius skinął sceptycznie, wskazując wieśniaków wypełniających dziedziniec.

– Czy Tharna stać na wydanie uczy? Ci ludzie wyglądają na głodnych.

– Na Casadah każdy zachował, co ma najlepszego – odpowiedział Lucyler. – A ci, którzy mają żywność, zostali już poproszeni, by ją jutro przynieśli i podzielili się z innymi.

Kronin kiwnął głową, udając, że rozumie o czym mowa. Wódz czekał na odpowiedź.

– Co mam mu rzec, Richiusie?

– Odpowiedz mu, że z chęcią dotrzymałbym mu towarzystwa, ale być może jutro będę już w drodze. Ale do tej pory będę rad z jego gościnności. Spytaj też, czy zechce mi

odpowiedzieć na jedno pytanie?

Lucyler przełożył słowa Richiusa i Kronin twierdząco kiwnął głową.

– Spytaj go, proszę, czy mogę się dziś zobaczyć z Tharnem. Powiedz mu, że mam wiele spraw do omówienia z jego panem.

Lucyler zawahał się na moment, ale przełożył pytanie. Uśmiech spelzł z twarzy Kronina. Odwróciwszy się do Lucylera, powiedział coś cichym i nieco strapionym głosem. Lucyler wymienił jeszcze z wojownikiem kilka zdań, a potem odpowiedział Richiusowi.

– Przykro mi, Richiusie – rzekł, starannie wybierając słowa. – Kronin mówi, że dziś w nocy nie będziesz mógł się zobaczyć z Tharnem.

– Dlaczego? Co, czy on nie wie, że już tu jestem?

– Nie, o tym mu powiedziano. Kronin jednak mówi, że Tharn jest dziś... zajęty.

Richius z trudem zdołał ukryć rozczarowanie.

– Zajęty? Czym jest zajęty? Spytaj jeszcze raz.

Lucyler potrząsnął głową.

– Nie ma potrzeby. Już mi to wyjaśnił. To po prostu niemożliwe.

– A co z Dyaną? Czy będę ją mógł zobaczyć?

Twarz Lucylera okryła się chmurą.

– To też jest niemożliwe.

Richius powiódł wzrokiem od jednego do drugiego, usiłując złożyć jakoś razem fragmenty rozmowy.

– On jest razem z nią, prawda?

– Tharn jest jej mężem – odpowiedział Lucyler. – Przykro mi, Richiusie. Posłuchaj, to nie tak, jak myślisz...

Richius parsknął krótkim, gorzkim śmiechem.

– O, z pewnością! Niechybnie masz rację. Jak sądzisz, czym się zajmują? Może zechcesz mnie przekonywać, że grają w karty?

– Uspokój się – ostrzegł go Lucyler. Kronin patrzył z napięciem na twarz Aramoorczyka, najwyraźniej zbity z tropu wybuchem jego gniewu. – Musisz mi zaufać. Nie dzieje się żadna z tych rzeczy, które sobie wyobrazasz.

– Lucylerze, jestem już dorosłym człowiekiem i nie musisz oszczędzać moich uczuć. Powiedz Kroninowi, że godzę się na jego propozycję i zobaczę się z nim jutro.

– Richiusie, pozwól, że ci wyjaśnię...

– Przekaż mu po prostu moje słowa.

Lucyler zrobił to, o co go poproszono. Kronin słuchał uprzejmie, pochylając głowę to ku jednemu, to ku drugiemu, a gdy Lucyler skończył, odwrócił się i znikł w tłumie.

Richius wydał głębokie westchnienie ulgi.

– Lucylerze, jestem bardzo zmęczony – zwrócił się do przyjaciela. – Czy możesz mi znaleźć jakąś kwaterę?

– Owszem, powinieneś odpocząć. Chodź, zaprowadzę cię do północnej wieży.

Lucyler powiódł przyjaciela przez dziedziniec do miejsca, gdzie mogli zostawić konie. Był tam człowiek, który obiecał o nie zadbać. Richius starannie rozkulbaczył Błyskawicę i zadbał o to, by zabrać wszystko ze sobą, nawet kuszę. Potem ruszyli długim labiryntem korytarzy, pozbawionych ozdób tak samo jak dziedziniec i przedsionek, a na koniec wspięli się po krętych schodach oświetlonych lampami oliwnymi. Wspinali się tak długo, że Richiusowi zaczęło się kręcić w głowie, a potem weszli w kolejny labirynt korytarzy.

– Tu znajdują się lepsze kwatery – stwierdził Lucyler. – Moja też jest tutaj.

Richius obojętnie rozejrzał się po ścianach – równie pozbawionych ozdób, jak w pozostałej części cytadeli. Rad był jednak myśli, że wkrótce odpocznie za jednymi z widocznych w głębi, wielu drzwi. A potem przyszło mu coś do głowy.

– Tharn też tu gdzieś mieszka?

– Nie – odpowiedział Lucyler. – Oni są w innym skrzydle cytadeli. Chodź, zabiorę cię do siebie. Możesz dziś spać u mnie. Jutro znajdę dla ciebie komnatę.

Na końcu korytarza znaleźli wąskie, zwieńczone łukiem drzwi. Obok drzwi w ścianie osadzono niewielki uchwyt na świecę. Była wypalona do połowy i zgaszona. Lucyler wyjął ją z obejmy i podszedł do najbliższej lampy. Zapalił knot. Kiedy otworzył drzwi, płomyk świecy objął wnętrzem ruchomym, drżącym kręgiem światła.

– Wejdz – łagodnie odezwał się do przyjaciela Lucyler, zapraszając go skinieniem dłoni.

Poza niewielkim kręgiem światła rzucanego przez świecę i smugą księżycowego blasku padającego od okna, Richius niewiele mógł zobaczyć. Komnatka nie była większa niż izba w gospodzie, i prawie i tak samo skromnie urządzona. Było tu jedno drewniane łóżko przykryte wypchanym trawą siennikiem, miska i dzban pełen wody obok i niewiele ponad to. Na podłodze leżały starannie ułożone części garderoby i kilka książek oprawionych jak te w Imperium. W rogu I stało krzesło, też przykryte przedmiotami, których Richius nie mógł rozpoznać w półmroku. Położywszy na podłodze swoje juki i kuszę, Aramoorczyk zaczął się zastanawiać, któremu z nich przyjdzie nocować na krześle.

– Nie ma tu za wiele miejsca – odezwał się Lucyler tonem przeprosin. Wetknął świecę w srebrny świecznik obok łóżka. W całej izbie była to chyba jedyna rzecz, mająca jakąś wartość.

– Nic nie szkodzi – odpowiedział uprzejmie Richius. – Tam do kata! Po tej mordędze z przyjemnością się położę choćby i na podłodze.

– Nie ma potrzeby. Kładź się na łóżko. Ja i tak dziś tu nie będę spał.

– A to dlaczego? – spytał Richius, starając się ukryć brzmiające w jego głosie zadowolenie. Usiadł na łóżku i zakołysał się kilkakrotnie, sprawdzając miękkość materaca, i odkrył, że jest całkiem niezła.

Przed udzieleniem odpowiedzi Lucyler zawahał się na moment.

– Mam pewne sprawy, które nie mogą czekać. Muszę powiadomić ludzi, że wróciłem.

Richius, który już zdążył zzuć buty, opuścił je z głośnym łupnięciem na dywan.

– Zobacysz się z Tharnem, prawda?

Triin skrzywił się wyraźnie zakłopotany.

– Nie tylko z Tharnem. Są i inni, z którymi muszę porozmawiać, dawno nie widziani przyjaciele. Jesteś głodny? Mogę ci coś przynieść.

– Zobacysz się z Tharnem?

Lucyler westchnął.

– Tak, jeżeli nie będzie zajęty.

– Zajęty... – stwierdził Richius. Znów ten okropny eufemizm. – Jeżeli go zobaczysz, powiedz mu, że chcę się z nim zobaczyć jutro tak wcześnie, jak to tylko będzie możliwe. Jeśli oczywiście nie będzie zajęty.

– Przyjacielu, uwierz mi, że nie masz się czym gryźć. Tharn z pewnością nie robi z Dyaną tego, co sobie wyobrażasz.

– Ciągle to powtarzasz, Lucylerze, ale tak naprawdę to niczego jeszcze mi nie wyjaśniłeś, a wypytuję cię o Tharna od kilku tygodni. – Richius legł na pościeli. – I co, jeszcze nie jesteś gotów, by mi coś powiedzieć?

Usłyszał, jak jego przyjaciel rusza ku drzwiom.

– Tharn będzie jutro na uczcie. Mógłbym ci odpowiedzieć, lepiej będzie jednak, jak zobaczysz sam. Zaufaj mi i nie trap się o Dyanę. Jeżeli mi uwierzysz, będzie ci łatwiej zasnąć.

– Jestem zbyt zmęczony, by się spierać – odparł potulnie Richius. Odwróciwszy się na bok, zdmuchnął świecę, tak że teraz mógł dostrzec tylko jasną twarz Lucylera stojącego w drzwiach.

– Odpocznij. Zobaczymy się jutro – powiedział Triin łagodnie i cicho zamknął za sobą drzwi.

Richius przez chwilę jeszcze słyszał oddalające się kroki przyjaciela na korytarzu, potem w izbie zapadła cisza, zakłócana jedynie poświstami wiatru i jego własnym,

regularnym oddechem. Zamykając oczy, ułożył głowę na materacu i spróbował przegnać z umysłu obraz Dyany. Nic z tego nie wyszło. Dzisiejszą noc miał spędzić na pełnym udręki myśleniu o tym, że jego ukochana leży teraz w objęciach innego.

\* \* \*

Wielka uczta z okazji święta Casadah miała się odbyć w przestronnej sali jadalnej na parterze cytadeli, blisko kuchni i rozległego przedsionka zamienionego na sierociniec. Richius przez cały dzień obserwował, jak cytadela szykuje się do uczty, zdumiewając się widokiem kobiet biegających ze stosami osobliwych naczyń i mężczyzn przekraczających zamkowe bramy z tuszami zabitych zwierząt na barkach. Pod nogami przybyszów kręciły się dzieciaki podniecone perspektywami uczty i bijącymi zewsząd smakowitymi zapachami, a z całego Tatteraku schodzili się ludzie, przynosząc kosze przysmaków i potraw. Z rozmaitych stron słychać też było dźwięki dziwnych instrumentów, na których grali wędrowni muzykanci, śpiewający powolne rytmiczne pieśni, a wśród tłumów krążyli święci mężowie, opowiadający historie o bliźniaczych bóstwach, którym ten dzień był poświęcony i nawołujący do modłów ku czci Lorrisa i Pris. Wszyscy przygotowywali się na to, czego doczekać się nie mógł i Richius – na przybycie Tharna.

Ranek był cichy i spokojny. Przez cały czas Lucyler pokazywał Richiusowi osobliwości Falindaru, starannie unikając rozmów o Dyanie i zachowując podejrzaną małomówność, gdy Aramooreczyk zadawał pytania dotyczące Tharna. Dotarli na sam szczyt cytadeli, gdzie stojąc wśród jej cudownie ukwieconych dachów, zastanawiali się, na ile mil w dal mogą sięgnąć stąd wzrokiem. Pogoda sprzyjała świętu Drolów. Z nieskazitelnie błękitnego nieba łagodnie spływały na ziemię promienie słońca, zalewając wzgórza i morze pięknym blaskiem. Ze szczytu górskiej cytadeli widzieli bezkresne równiny Tatteraku, ograniczone tylko z jednej strony falami oceanu uderzającymi o skaliste wybrzeże, na którym wzniesiono cytadelę. Widzieli też nie kończącą się procesję pielgrzymów, którzy ściągali tu całymi rodzinami, jedni pieszo, inni na grzbietach koni. W południe droga już była pełna, a tereny wokół zamku kipiały ruchem. Po zamkowych korytarzach ciągnęły zapachy egzotycznych potraw i ziół, na zewnątrz zaś kilkunastoletni Triinowie siłowali się z wojownikami Kronina i usiłowali chłopciami wdziękami oczarować ich kobiety. Wszystko to ogromnie się Richiusowi podobało, zgodnie z zapowiedziami Lucylera. Był tylko jeden wyjątek.

Nigdzie nie mógł spotkać Dyany.

Właściwie to nie bardzo się spodziewał, że gdzieś ją zobaczy. Powściągliwość



Lucylera była wyraźną wskazówką, że ujrzy ją dopiero po rozmowie z Tharnem, która nie miała nastąpić przed ucztą. Może to będzie dziś w nocy, uspokajał sam siebie. Pod wieczór miał już dość gapienia się na przygotowania do święta i uczy. Stojąc z Lucylerem na zatłoczonym dziedzińcu, patrzył wraz z innymi, jak słońce znika za górskimi szczytami. Według objaśnień Triina, to właśnie miało być sygnałem do rozpoczęcia uczy. Tłum uciszył się w oczekiwaniu na upragniony moment nadejścia najbardziej świętego ze świętych mężów.

– Możemy wejść do środka – odezwał się Lucyler. – Nie ma tam za wiele miejsca, ale niektórzy będą jeść po dachem. Reszta musi się zadowolić miejscem na dziedzińcu, albo wokół twierdzy.

– Czy będzie tam Tharn? – spytał Richius. – Chcę go najpierw zobaczyć.

– Po uczcie przemówi do ludu. Chodź, Kronin już się pewnie niecierpliwi.

Richius ruszył za Lucylerem do cytadeli, mijając ludzi, którzy przyglądali mu się z ciekawością. Sala biesiadna znajdowała się po stronie przyległej do oceanu i dzieliła ich od niej spora odległość, której przejście utrudniała konieczność ostrożnego mijania setek siedzących na ziemi ludzi. Kiedy w końcu do niej dotarli, przekonali się, że sala była zapchana do granic możliwości, a jej wielkie okna były prawie niewidoczne zza ciżby białoskórych Triinów. Przez chwilę Richius czuł się nieswojo. Jak okiem sięgnąć, widział przeważnie szafranowej barwy szaty, ulubione przez Drolów. Żółć gdzieś tam była poprutykana błękitem uniformów Kronina, ale nie było ich za wiele. Zatrzymał się u wejścia i stracił apetyt. Wszędzie widział samych mężczyzn, z długimi białymi włosami, jak u Lucylera, i poważnymi twarzami. Jedynymi kobietami w sali były skromnie i przyzwoicie ubrane służki roznoszące potrawy, które zręcznie przemykały wśród biesiadników z talerzami parujących dań.

Czy ci wszyscy poważni mężowie byli kapłanami Drolów? Richius nie spodziewał się, że zobaczy ich tak wielu. W końcu ostrożnie wsunął się do sali, licząc na to, że uda mu się jakoś przemknąć bez zwracania na siebie uwagi i uparcie rozglądał się za Kroninem. W końcu dostrzegł wysokiego wodza razem z innymi na przeciwległym krańcu sali, głośno rozmawiającego z trójką swoich ludzi. Kiedy pierwszy z gości zobaczył Richiusa, wszyscy zwrócili głowy w jego stronę. Rozmowy w sali niemal ucichły i teraz słychać było tylko ukradkowe, pełne zaciekawienia szepty.

– Nie przejmuj się – Lucyler dodał przyjacielowi ducha. – Dziś jesteś gościem Tharna.

Przeciskając się przez tłum ku Kroninowi, Richius nadrabiał miną. Nieopodal wodza stały dwa puste fotele. Ozdobny tuż obok siedziska Kronina niewątpliwie był przeznaczony dla Tharna.

– Rozmawiałeś z nim wczorajszej nocy? – spytał Richius.

– Owszem. I zaraz zobaczysz, co przed tobą ukrywałem.

Richius nie odpowiedział, rad z tego, że w końcu doczeka się jakichś odpowiedzi. W komnacie tymczasem na nowo wszczął się gwar rozmów. Kiedy doszli do Kronina, wysoki wódz szeroko rozłożył ręce do powitania.

– *Gaaye hoo, awakk!* – oznajmił, rozglądając się wyzywająco po sali. Ujawszy Richiusa za rękę, pociągnął go ku sobie i niespodziewanie dla gościa, złożył pełen szacunku pocałunek na jego policzku.

– Kronin ogłasza, że jesteś jego drogim przyjacielem – wyjaśnił Lucyler, chichocząc. – I chce, by wszyscy się o tym dowiedzieli.

– *Shay sar*, Kronin – rzekł Richius, ostrożnie cofając rękę.

Wojownicy, z którymi Kronin rozmawiał, oddalili się, składając wyszukane ukłony. Kronin wskazał przybyłym krzesła, po czym sam usiadł, dzwoniąc bransoletami i resztą klejnotów. Richius zajął miejsce obok pana Tatteraku, wdzięczny za to, że ma choć jednego sprzymierzeńca w komnacie pełnej Drolów. Przechyliwszy się ku Lucylerowi, spytał szeptem:

– Czy oni wszyscy są mędrkami?

Lucyler kiwnął głową.

– Owszem, przybyli świętować ze swoim przywódcą. Powinieneś wiedzieć, że spotkał cię wielki zaszczyt, Richiusie.

– Spodziewam się – stwierdził Richius przygaszonym głosem. W pewien sposób rzeczywiście poczuł się zaszczycony. Nie było tu Vorisa, ani innych plemiennych wodzów, którzy podczas wojny byli wierni Tharnowi. Poza mędrkami byli tu tylko on, Lucyler i Kronin – trzech najbardziej zaciekli wrogowie Tharna. Teraz myśl o buntowniku wywoływała uśmiechy na twarzach Kronina i Lucylera, ale tę tajemnicę wkrótce miał sam rozwikłać. Już niedługo spotka się z człowiekiem, który skradł mu ukochaną i zabił Edgarda.

„Wprowadźcie go – pomyślał zimno. – Jestem gotów”.

Wokół okrągłego stołu zajęły miejsca tuziny mędrców. Powoli cichł gwar głosów. Na zewnątrz za to potężniał głuchy pomruk tłumów. Wkrótce zagrzemiał powitalny ryk.

Richius wiedział, że jego przeznaczenie jest już blisko.

Aby uspokoić serce, kilka razy odetchnął głęboko, zelektryzowało go jednak towarzyszące chwili napięcie. Entuzjazm tłumu na zewnątrz szybko się pogłębiał – Tharn przeciskał się ku czekającym na niego mędrcom. Grzmiały wiwaty i pełne nadziei okrzyki – wszystkie na cześć człowieka, który przyniósł tym ludziom wojnę, a wiele żon uczynił wdowami. Richius nie umiał zgłębić istoty tego zapału. Nigdy wcześniej nie

zdarzyło mu się słyszeć tak serdecznego powitania władcy – nawet jego ojciec nie mógł się poszczycić taką miłością poddanych.

I nagle okrzyki ucichły, jakby Tharn zgasił je jednym machnięciem dłoni. Wszyscy obecni w sali biesiadnej wbili wzrok w wejście, a mędracy w milczeniu wstali z miejsc. Kronin i jego wojownicy zrobili to samo.

– Wstań! – syknął Lucyler, podnosząc się z krzesła.

Richius usłuchał, oczekując wejścia do sali giganta. To, co zobaczył, sprawiło, że zdumiony otworzył usta.

U wejścia pokazała się zgarbiona sylwetka człowieka, który w niemal uschniętej, roztrzęsionej ręce trzymał laskę. Był odziany w szafranowe szaty świętego męża Drolów, a twarz ukrył częściowo pod kapturem, który jednak prawie nie zasłaniał jego zniekształconych rysów. Po gładkiej posadzce poruszał się z widocznym wysiłkiem, jego kostur ledwie chronił przed upadkiem zgarbione ciało, które w dodatku ciągnęło za sobą bezwładną nogę. Twarz Tharna pokrywały strupy i blizny, a z prawie łysej czaszki opadały rzadkie strąki włosów. Spod kaptura lśniły żywo oczy, a ze zniekształconych strupami warg sączyły się krople żółtawego płynu. Lewe ramię Tharna zwisało bezwładnie u boku, a dłoń była zwinięta w nieruchomą pięść. Jak u ochranianych przez niego trędowatych i okaleczonych weteranów, jego ciało było zbiorowiskiem połamanych i źle zrosniętych kości oraz popękanej skóry. Gdy się poruszał, wszyscy widzieli jego gniew i rozpacz. Wyglądało to tak, jakby starość sprowadziła najgorsze dolegliwości na niedawno jeszcze młodego człowieka, niszcząc jego świetlaną przyszłość. Powiedzenie, że widok był groteskowy, należałoby potraktować jak komplement.

Richius patrzył z niesmakiem, jak Tharn wlecze się przez salę, i zdumiewał się temu, co widzi. W jaki sposób taka pokraka natchnęła Drolów wolą zwycięstwa? Przekonywał sam siebie, że to niemożliwe. We wszystkich opowieściach, które słyszał o Tharnie, nigdy nie wspomniano o jego fizycznej nikczemności. Z pewnością człowiek tak okaleczony i pokrzywdzony przez los dorobiłby się innego przezwiska, niż Siewca Burz. Bardziej odpowiednie byłoby określenie Tharn Pokraczny, ponieważ wyglądało na to, że ten człowiek, zamiast wywołać ulewę, nie mógłby wylać wody z miski. I nagle Richiusa olśniła prawda słów Lucylera – ten człowiek nie dalby rady kobiecie w łóżku. Zwykle przejście przez salę wyczerpywało go do cna.

Kiedy Tharn dotarł do połowy sali, Kronin wyszedł mu naprzeciw i pomógł dojść do przeznaczonego dla niego fotela. Upewniwszy się, że jego mistrz stoi pewnie, Kronin go puścił i wrócił, by stanąć za swoim krzesłem. Wszyscy pochylili głowy, Tharn zaś uniósł dłoń i przemówił.

Richius domyślił się, że to modlitwa. Lucyler pochylił głowę wraz z innymi i uniesione pozostało tylko czoło gościa z Aramooru.

Richius słuchał słabego głosu Tharna, który brzmiał jak brzęk strun rozstrojonej harfy. Zafascynowały go załamujące się dźwięki. Nawet mówienie sprawiało Tharnowi trudność. Nie był przecież stary, ale jego głos drżał, jakby rozbrzmiewał z głębin wieków, a chwilami zupełnie zanikał pod ciężkim oddechem. Tharn jednak nie przerywał, kontynuując modlitwę, aż wreszcie nie bez satysfakcji dobrnął do jej końca i dopiero wtedy usiadł. Potem skinieniem dłoni poprosił resztę biesiadników, by i oni zajęli swoje miejsca. Kronin klasnął w dłonie i zebrane w kącie służące ożyły. Zza drzwi pojawiło się jeszcze kilka kobiet, niosących wymyślne instrumenty muzyczne Triinów. Zaczęły się też zwykle w czasie uczyt rozmowy, a na twarzy Kronina pojawił się szeroki uśmiech. Wódz klepnął Richiusa dłonią w plecy niby to żartobliwie, dość mocno jednak, by młodzieniec uderzył kolanami o stół. Obaj z Lucylerem parsknęli śmiechem. Richius też się roześmiał, niepewnie, i przeniósł wzrok na kobiety strojące swe instrumenty.

„Typowe dla Triinów” – pomyślał cynicznie. Bogini Pris niewiele zrobiła, by poprawić los większości przedstawicielek swojej płci.

Kobiety zaczęły grać i śpiewać, Richius zaś się odprężył i w końcu zaryzykował spojrzenie w stronę Tharna. Władca cytadeli rozmawiał właśnie przez ramię z innym świętym mężem. Richius pochylił się do Lucylera.

- Tego się nie spodziewałem – szepnął. – Co mu się stało?
- Później – odpowiedział cicho Triin. – Kiedy zostaniemy sami.
- Ale...
- Cicho!

Tharn znów zaczął coś mówić. Podniósł pokrytą strupami dłoń i skinieniem wskazał Richiusa. Następnym gestem objął wszystkich siedzących przy stole. Pomiędzy gości rozproszyły się służące, kładąc przed głodnymi wojownikami Kronina talerze pełne jadła. Zabrali się do jedzenia, nie przestając słuchać.

- Co on mówi? – spytał Richius. – Coś o mnie?

Lucyler parsknął śmiechem.

– Owszem, przyjacielu. Zwraca się do świętych mężów z napomnieniem, żeby nie pozwolili sobie zepsuć humoru twoją obecnością. Spójrz, jakie mają miny.

To była prawda. Niemal wszystkie twarze w komnacie były ponure. Tharn znów wyciągnął rękę ku Richiusowi.

– Królu Vantranie – wychrypiał z trudem. Musiało minąć wiele czasu od chwili, kiedy ostatni raz mówił językiem Narenów, bo nawet dla Richiusa jego słowa zabrzmiały obco. Tharn odchrząknął i zaczął raz jeszcze, spojrzawszy przedtem przepaszająco na

gościa. – Witaj nam, królu Vantranie.

– Odpowiedz w swoim języku – odezwał się cicho Lucyler.

Richius się wyprostował, jakby przemawiał do monarchy.

– Mistrzu Tharnie, dziękuję za powitanie i za uprzejmość, jaką okazałeś, goszcząc mnie w dniu waszego święta.

Na twarzy Tharna ukazał się grymas, który od biedy można by było uznać za uśmiech.

– Inni nie są ci tak życzliwi, królu Vantranie. Musiałem im przypomnieć, że jesteś naszym gościem.

Richius wzruszył ramionami.

– To ich prawo, mistrzu Tharnie.

W gardle Tharna zachrypiał śmiech, który przeszedł w atak kaszlu.

– Nie inaczej, królu Vantranie, nie inaczej. – Uspokoiwszy się, spojrzał na Richiusa z powagą. – Wiem, że chciałeś ze mną porozmawiać. Lucyler powiedział, że bardzo ci... – przerwał, by poszukać odpowiedniego słowa – ...spieszno, prawda?

– Bardzo – odpowiedział Richius.

– Porozmawiamy – obiecał Tharn. – Jeszcze dziś w nocy. Ale na razie jedz, królu Vantranie. Casadah.

Richius odwrócił się i wziął puchar z jakimś parującym trunkiem podany mu przez służącą. Napitek był gęsty i palił w język jak doprawiony pieprzem ocet. Aramoorczyk uniósł puchar i uklonił się Tharnowi.

„Sam mnie tu zaprosiłeś, pamiętasz?” – pomyślał nieco zbity z tropu faktem, że Tharn zbył go tak łatwo. Podniósł jednak puchar i wypił trunek. Gorący płyn niemal poparzył mu podniebienie.

– Co to jest? – wychrypiał, odstawiając puchar na stół i dmuchając, by ochłodzić wargi. Czuł już niemal, jak na języku robią mu się pęcherze.

– Tokka – odpowiedział Lucyler, unosząc kielich w pozdrowieniu do Kronina. – Sycone korzeniami wino jagodowe. Musisz je pić bardzo ostrożnie.

– Albo wcale – mruknął Richius, odsuwając puchar.

– To tradycyjny napój mieszkańców Tatterak – odezwał się Lucyler ostrzegawczo, ponownie podsuwając puchar pod nos Richiusowi. – Obrazisz Kronina. Pij.

– Lucylerze, to okropne świństwo. Nie mogę.

– No to udawaj, że pijesz.

– *Tokka* – Kronin trącił Richiusa łokciem i gestem pokazał, jak należy pić ognisty trunek.

– Niech ci będzie – odpowiedział Richius bez śladu entuzjazmu w głosie. – Tokka.

Łyknął kolejną porcję niemożliwie wprost pieprznego trunku, tak paskudnego, że niewiele brakło, a był się zakrztusił ze wstrętu. Przydzielona do ich stołu służąca przynosiła coraz to nowe potrawy, z których każda wyglądała mniej apetycznie od poprzedniej. Były tam całe ryby gotowane w zielonkawym sosie, kipiące misy z jakąś czerwoną zupą i ułożone jedne na drugich płyty mięsa tak surowego, że wciąż jeszcze spływały z nich krople krwi. Choć Richius był głodny, nie mógł znieść tego widoku. Triinowie wszystko to podnosili do ust palcami, bo na stoły nie podano żadnych sztućców, tylko krążki pulchnego chleba do nabierania wszystkiego, czego nie dało się wziąć w palce. Lucyler i Kronin nieustannie sięgali do wspólnej misy umieszczonej przed Richiusem, a w całej komnacie słychać było dźwięk przesuwanych po stołach talerzy. Muzyka grała, kobiety śpiewały, wojownicy pochłaniali potrawy jak wygłodniałe psy, Richius zaś chwiał się lekko na swoim krześle, oszołomiony hałasem i nieznośnym odorem ostrych przypraw. Kronin bezceremonialnie trącił go łokciem w żebra.

– *Ish umlat halhara do?*

– On chce wiedzieć, dlaczego nie jesz – przetłumaczył Lucyler.

– Nie jestem głodny – stwierdził Richius uprzejmie.

Kronin skrzywił się, jakby przejrzał łgarstwo.

– Richiusie, to czy jesteś głodny czy nie, nie ma znaczenia. W Casadah wszyscy jedzą. Niektórzy się głodzili, by dotrzeć do tego dnia.

– Nie mogę jeść – zgrzytnął Richius. – Na widok tych potraw dostanę torsji.

Lucyler odchylił się najwyraźniej urażony, jakby usłyszał obelgę. Odłożył kromkę chleba, złapał Richiusa za rękaw i pociągnął go ku sobie.

– Przez ponad rok zjadałem rozmaite breje i przypalone ochłapy, jakie tylko potrafiliście przygotować z Dinadinem, i nie usłyszałeś ode mnie ani słowa skargi. Jedz!

Richius musiał się poddać.

– Masz rację – bąknął zmieszany. – Dinadin był bardzo złym kucharzem.

Obaj parsknęli śmiechem, po czym Lucyler wybrał coś, co według niego Richius mógłby wytrzymać – zupę z soczewicy z jarzynami, w której mógł maczać chleb. Potrawa nie była zbyt gorąca i Richius uznał, że zdoła ją jakoś utrzymać w żołądku. Słodczyce i sałatkę z macek ośmiornicy zostawił Kroninowi, który z przyjemnością pożerał wszystko, co egzotyczne. Apetyt wodza wydawał się nie do zaspokojenia – Kronin bardzo rzadko się odzywał, używając ust do bardziej użytecznego celu, a popatrzwszy na plamy zdobiące pierś jego kurtki, łatwo było powiedzieć, co mu najbardziej smakowało. Lucyler nie posuwał się aż tak daleko. Jadł zręcznie, tak jak to zawsze robił w dolinie Dring, starannie wybierając smakołyki. Zachowywał się jak jeden z mędrców, nie jak wojownik. Ci pochłaniali jadło, jakby za moment mieli stanąć do

walki z olbrzymami, a święci mężowie Drolów zajmowali się rozmowami, niewiele uwagi poświęcając obfitości pożywienia. Mówili łagodnymi głosami, niekiedy przepijali do Tharna, lub intonowali poważne, powolne pieśni, i zgodnie z poleceniem swego mistrza zupełnie przestali zwracać uwagę na obecnego wśród nich młodego Narena.

Wyglądało na to, że obecność Richiusa nie krępuje i samego Tharna. Rzadko na niego patrzył i w ogóle się do niego nie odzywał, i od czasu do czasu uśmiechając się tylko do Richiusa jednym ze swoich krzywych uśmiechów. Pan Falindaru w ogóle niczego nie jadł, zabawiając się tylko potrawami i pijąc wodę zamiast tokki. Richius postanowił pójść za przykładem Tharna i skinieniem dłoni; poprosił jedną ze służących, by napełniła mu puchar pozbawioną na szczęście smaku wodą. Płyn spłynął mu po gorejącym przelyku niczym wiosenna bryza. Gość odwrócił się, by to samo zaproponować Lucylerowi, ten jednak odmówił, obojętnie wzruszając ramionami.

– Nie mam pojęcia, jak ty możesz to jeść? – zdumiał się Richius. – To zbyt pikantne.

– Przyzwyczaisz się.

– Serdeczne dzięki, ale wolę nie. – Richius rozejrzał się dookoła i stwierdził, że pozostali biesiadnicy zdążyli się już niezłe opić i rozmawiali podniesionymi głosami. Doszedł do wniosku, że nadarza się niezła okazja, by kilka spraw sobie wyjaśnić. – Opowiedz mi o Tharnie – szepnął Lucylerowi tonem konspiratora. – Co mu się stało?

– Nie – zdenerwował się nagłym zwrotem rozmowy Lucyler. – Mogą nas usłyszeć.

– Nikt nie zamierza nas słuchać, a zresztą i tak niczego nie rozumieją. No dalej, mów. To jakaś choroba?

– To nie choroba – odpowiedział Lucyler. – To wyrok.

– Jak to wyrok? Ktoś mu to zrobił?

– Takim uczynili go bogowie.

– Bogowie? No nie, Lucylerze. Dajże spokój...

– Mów ciszej – upomniął go Lucyler. – Powiedziałem ci o jego mocach, ale zechciej też sobie przypomnieć, iż oznajmiłem, że on już ich nigdy nie użyje.

Richius kiwnął głową. Ze wszystkiego, co słyszał o Tharnie, to akurat było najdziwniejsze.

– Przypomnij sobie też to, co ci mówiłem o Drolach.

– Jeżeli sobie dobrze przypominam, powiedziałeś, że nigdy nie korzystają z magii na szkodę innej żywej istoty. I co z tego?

– Jak to co? – spytał Lucyler. – Spójrz tylko na niego.

– Lucylerze, on padł ofiarą trądu albo jakiejś innej choroby. Przecież to niczego nie dowodzi.

– Richiusie, on nie był zarażony, dopóki nie użył swej mocy, by zakończyć wojnę.

Wykorzystał ją do zabicia twoich rodaków, Narenów, i bogowie tak go pokarali.

Richius dramatycznie przewrócił oczami.

– Ty naprawdę dałbyś się za niego posiekać, prawda? Nigdy przedtem nie wierzyłeś w te idiotyzmy. To po prostu przypadek, nic więcej.

– To nie przypadek – sprzeciwił się Lucyler. – Jego moc pochodziła z niebios. Bogowie jednak użyczają potęgi dla powodów nie znanych nam, śmiertelnikom, i nigdy po to, by z jej pomocą zabijać. – Wskazał dłonią Tharna. – Oto konsekwencje. Uwolnił nas od obecności Narenów, ale teraz za to ciężko pokutuje.

– No to lepiej niech się przygotuje na kolejne męki – mruknął Richius. – Jeżeli chce pokonać Arkusa, znów będzie się musiał odwołać do tych mocy.

– Tego nie zrobi. Złożył przysięgę. Bogowie przemówili do niego przez jego ciało. Wie już, że to, czego się dopuścił, było złe.

– O, spodziewam się, że kiedy ujrzy legiony Nar, zechce przemyśleć sprawę – stwierdził Richius nie bez ironii w głosie.

– Nie! – Lucyler uderzył pięścią w stół, aż zadzwoniły stojące na nim puchary. Niektórzy zaczęli się na nich oglądać, Triin jednak ciągnął z pasją w głosie: – Nie widzisz, co tu się stało? On jest prorokiem, wizjonerem. Bogowie go zesłali, by zjednoczył cały Lucel-Lor. A kiedy postąpił niezgodnie z ich wolą, zesłali na niego cierpienie. Dla mnie to oczywiste.

– Dobrze więc – zgodził się Richius. – Wierzcie w co chcecie, nic mnie to nie obchodzi. Jestem tu jedynie z powodu Dyany. Rozmówię się z nim dziś w nocy. Jeżeli ją uwolni, zgodzę się przedstawić Arkusowi jego sprawę, rankiem więc ruszam w drogę. Mam tylko nadzieję, że mnie nie zwiedzie i przyjmie mnie dziś wieczorem, czy tak?

– On ma na głowie wiele spraw – odpowiedział Lucyler. – Istnieje powód, dla którego nie chciał cię widzieć wczoraj.

– A ty nie powiesz mi, jaki?

Lucyler spokojnie łyknął kolejną porcję ognistego płynu.

– Nie powiem.

– Naprawdę zmieniłeś zapatrywania na przyjaźń – odpowiedział Richius, bardziej zawiedziony niż rozzłoszczony. – Pamiętam, że nie tak dawno temu nie miałeś przede mną sekretów.

Lucyler westchnął.

– Czasy się zmieniły, przyjacielu. Nie znasz Tharna tak jak ja, przynajmniej na razie. Gdybyś go znał, potrafiłbyś go zrozumieć.

– Nie chcę go rozumieć, Lucylerze. Ja po prostu chcę stąd wyciągnąć Dyane.

Jedli dalej w milczeniu, aż do sali biesiadnej weszła niewysoka kobieta. Miała na



sobie prosty biały fartuch z przodu poplamiony krwią. Na jej twarzy widać było troskę i zakłopotanie. Przeszła przez całą salę, podeszła do Tharna i nachyliła się, by coś mu szepnąć do ucha. Odrażająca twarz proroka zbladła raptownie, a oczy rozszerzyło zdumienie lub strach. Wymienili szybko kilka zdań i Tharn z widocznym wysiłkiem zaczął dźwigać się na nogi, wzywając Kronina, by mu pomógł. Wódz natychmiast porwał się z krzesła i podskoczył do boku mistrza, pomagając mu się podnieść, a potem poprowadził go ku drzwiom. Muzyka i śpiewy ucichły, wszyscy zaś obecni utkwili pełne niepokoju spojrzenia w Tharnie, który kuszykał ku wyjściu, sięgając po resztki sił.

– Lucylerze, o co chodzi? – spytał Richius. – Co się dzieje?

– To, przed czym cię ostrzegałem – oznajmił Lucyler. – Przykro mi, Richiusie, ale i dziś wieczorem nie zobaczysz się z Tharnem.

## Dwadzieścia osiem

Jako chłopiec Renato Biagio żył otoczony bogactwem na południowej wyspie Crote, zamieszkałej przez niewielki naród znany ze swego wina, zamięłowania do sztuki i dobrej kuchni oraz temperamentu obywateli. Rodzina Biagiów władała wyspą od blisko dwóch stuleci, bogacąc się jej oliwą i niemiłosiernie uciskając wieśniaków, rządząc swoim państwkiem z marmurowej i połączanej willi. Pałac otaczały plaże, kryształowe wody mórz, a jego ściany przecinały ogromne okna, przepuszczające promienie gorącego słońca, które pokrywały skórę rodziny królewskiej złotą opalenizną.

W domu swoich przodków młody Renato korzystał w pełni z przywilejów królewskiego żywota. Każda jego zachcianka była natychmiast zaspokajana, a wszystko, co go zaciekało, od razu wyjaśniali mu liczni słudzy jego ojca. Kiedy dojrzał do lat męskich, znalazły się niewolnice gotowe zaspokoić jego najbardziej wyszukane żądze. Miał książki i sale pełne instrumentów muzycznych dla potrzeb ducha, pięknych niewolników i niewolnice dla potrzeb ciała, i całe bogactwo, z jakim croteańscy szlachcice wyruszali, by poznawać świat. Niestety, w tym właśnie czasie musiał tkwić w domu, ponieważ morza poza wodami jego wysepki najeżone były niebezpieczeństwami. Przez kontynent przewalała się fala Czarnej Odrodzenia i wkrótce maleńkiej wysepce przyszło odegrać swoją rolę w wielkich planach Arkusa. Zawsze niespokojny i pełen ambicji Biagio obserwował, jak Czarne Odrodzenie przetacza się przez kraje. Z młodzieńczą tęsknotą myślał o ideałach Narenów i ich ambitnego władcy, i nie mógł się doczekać chwili, w której nareńskie okręty przybiją do brzegów jego wyspiarskiego więzienia. Ojciec Biagia, człowiek o mizernej wyobraźni, nie potrafił nawet sobie wyobrazić, jakim militarnym geniuszem stanie się jego fircykowaty synalek.

Talistan w niczym nie przypominał Crote. Był to kraj zimny, skalisty, a jego mieszkańcy mieli skórę w kolorze trupiej błości. W dworze Gayle'ów panował jednak spokój, co dawało Biagiowi czas na rozważenie sytuacji. Gayle z Czarnej Kniei wyprawił się do Lucel-Loru kilka tygodni temu i zamek wydawał się opustoszały. Nieobecność barona i jego armii dawały hrabiemu czas na snucie planów. Rozmyślania przerywano mu rzadko, a czynili to głównie słudzy, którzy mieli zaspokoić jego liczne potrzeby. Nie widywał też wcale króla Talistanu, zdiecinniałego ojca Gayle'a. Jak jego syn, Tassis Gayle zawsze okazywał wierność Nar i bez żadnych oporów pozwolił przekształcić swój dom w siedzibę Arkusowych Roshanów.

Dowodził nimi Biagio. Podczas ostatnich tygodni pracował nad przyspieszeniem

wyjazdu Gayle'a z jego jeźdźcami do Lucel-Loru, by tam poszukali leku dla Arkusa. Zajął się zniewolonymi Aramoorczykami, oddając ich talistańskim panom, i wysłał lady Sabrinę do cytadeli falindarskiej, gdzie miała odnaleźć zbląkanego małżonka. Robiąc, co się da, by wspomóc ukochanego Arkusa, Biagio odczuwał umiarkowaną satysfakcję. Wezwał nawet do siedziby Gayle'ów starego przyjaciela.

Rankiem Biagio obudził się o tej samej porze, co zwykle, to znaczy tuż po świcie. Jak zwykle też usłużny niewolnik przyniósł lekkie śniadanie: herbatę, biszkopty i niewielki słój powideł. Przed nalaniem herbaty Biagio się ubrał, potem przeniósł parujący kubek do ogromnego okna i je otworzył, po czym wyszedł na znacznych rozmiarów balkon. Z jego komnat rozciągał się wspaniały widok na ocean, od którego ciągnęło chłodem, ale Biagio, choć nie cierpiał zimna, postanowił przez chwilę tu odpocząć, jako że bezmiar wody przypominał mu o odległym Crote. Wyciągnął więc na balkon krzesło. Popijając gorący napój i czekając, aż jego ciepło rozgrzeje mu zimną jeszcze krew, obserwował ocean. Dłoń lekko mu drżała i drżał trzymany w niej srebrny kubek. Hrabia przyłożył palce do czoła i pomacał skórę. Doszedł do wniosku, że jest z każdym dniem zimniejsza i już niedługo będzie mu potrzebna kolejna kuracja. Problem był niewielki, ponieważ nigdzie się nie ruszał bez porcji podtrzymującego życie eliksiru, ale kuracja była niezbyt przyjemna i kłopotliwa, szczególnie, że na rozstrzygnięcie czekały pilne sprawy. Powinien jednak zrobić to dziś, a najpóźniej jutro.

Rozmyślenia hrabiego przerwało ukazanie się na horyzoncie dużego obiektu. Biagio skupił swój bystry wzrok i rozpoznał okręt. Bardzo duży okręt. Biagio uśmiechnął się.

– Witaj, przyjacielu – powiedział, wstając. – Witaj w Talistanie.

\* \* \*

„Nieustraszony” dotarł do brzegu po około godzinie. Ogromny flagowy okręt Czarnej Floty pruł fale niczym lewiatan, rozdzielając bez wysiłku wodę swoim potężnym kilem. Rozpięte na trzech masztach ciemne żagle wydał wiatr, gnając nawę z szybkością, która wydawała się niemożliwa do osiągnięcia przez tak duży okręt. Na środkowym maszcie dumnie powiewała jednolicie czarna bandera.

Hrabia Biagio powitał pojawienie się „Nieustraszonego” z niekłamana radością. Od wielu miesięcy nie widział dumnego okrętu, na którego widok serce rosło. Okręt ten był chlubą Czarnej Floty i bezlitosnym wysłannikiem Arkusa. W wylotach ambrazur otwierały się paszcze ogniomiotów, a na pokładzie było wielu gotowych do walki mężczyzn. Nie mógł się z nim równać żaden statek prujący fale wszystkich mórz i oceanów świata. Jego dowódca też był jedyny w swoim rodzaju.

Admirał Danar Nicabar zgrabnie wyskoczył z szalupy, która dostawiła go na brzeg. Jego wyczyszczone do oślepiającego połysku buty natychmiast głęboko ugrzęzły w piaskach talistańskiej plaży. Na widok starego towarzysza broni oblókł swoją poraną zmarszczkami twarz w dość przewrotny uśmiezek. Był wysokim człowiekiem i rzadko zmieniał wyraz twarzy, by wyrazić zadowolenie. Jak jego okrętowi, admirałowi Nicabarowi nie sposób było cokolwiek zarzucić. Stał się wcieleniem tradycji Czarnej Floty, najlepszym z jej dowódców. Był członkiem Żelaznego Kręgu i jego oczy błyszczały tym samym błękitem, jaki można było zobaczyć w oczach Biagia. Była to wskazówka, że obaj używali tego samego eliksiru. Był okrutnikiem i Biagio zaliczał go do swoich najbliższych przyjaciół.

– Danarze... – odezwał się Biagio z szacunkiem, poczekawszy jednak, aż admirał wydostanie się z błota.

Objęli się serdecznie, Biagio złożył braterski pocałunek na policzku Nicabara, a potem, ignorując zaintrygowane spojrzenia wioślarzy, którzy przywieźli admirała na brzeg, ujął potężną dłoń i odprowadził przybysza w głąb lądu.

– Przybyłeś szybciej, niż się spodziewałem – oznajmił hrabia. – Jestem rad.

– A ja nie – odpowiedział szorstko Nicabar. – Renato, co ja tu robię?

Biagio znów się uśmiechnął. Prawdę mówiąc, właśnie takiej reakcji się spodziewał.

– Gdzie cię znalazła moja wiadomość? Nieopodal Liss?

Admirał potrząsnął głową.

– Za Casarhoon. Wracaliśmy do Nar. Mam wieści dla Arkusa, które chciałbym mu zawieść osobiście. – Nicabar spojrział na przytłaczający wszystko, widniejący niedaleko zamek Gayle’ów. – Renato, o co chodzi? Co takiego się stało?

– To długa historia – westchnął hrabia. Objął ramieniem barki Nicabara i powiódł go do zamku. – Chodź. Tu jest zbyt wiele uszu.

Nicabar nie protestował, pozwalając się dalej prowadzić. Po drodze Biagio naświetlił mu ostatnie wydarzenia w Aramoorze i Talistanie, opowiedział o zdradzie Richiusa Vantrana i o tym, jak skusił Gayle’a, by ten podjął się misji, której wyrzekł się Richius. Nicabar słuchał, nie przerywając. Kiwnął tylko ponuro głową, kiedy usłyszał wieści o złym stanie zdrowia Arkusa.

– Dlatego właśnie jadę do Nar – oznajmił. – Słyszałem już o tym, jak się ma imperator. Pomyślałem, że wieści z Liss mogą mu dodać ducha.

Biagio uniósł brwi.

– Pobijeś ich? Ostatecznie i nieodwołalnie?

– Prawie – odpowiedział Nicabar, dumnie się prostując. – Przestali się opierać i już nas nie atakują. Myślę, że wreszcie uporaliśmy się z ich szkunerami.

Biagio dyplomatycznie spojrział w bok.

– Przyjacielu, nie bierz sobie tego do serca, ale...

– Renato! – Nicabar przystanął i groźnie zmarszczył brwi. – Ja się nie mylę, nie tym razem. Powiadam ci, mamy ich! Daję słowo, że Liss upadnie w ciągu miesiąca. Potrzebne mi tylko zezwolenie Arkusa. Jeżeli je otrzymam, sam go zabiorę na wyspę, by zobaczyć ich klęskę.

– To dlatego jedziesz do Nar? – zaśmiał się Biagio. – Chcesz się wykazać? Ależ Danarze, imperator nie może podróżować, o czym doskonale wiesz. Doprawdy, to jeden z głupszych pomysłów, jakie ostatnio słyszałem.

– Naprawdę? Myślałem, że dobre wieści poprawią Arkusowi humor. Może pomogą mu bardziej, niż te przeklęte eliksiry.

Biagio ostrzegawczo podniósł palec.

– Posłuchaj. Nie wzywałem cię tu po to, by się z tobą spierać. Danarze, jesteś mi potrzebny. Jesteś też potrzebny Arkusowi.

– Do czego? – spytał lekko poirytowany admirał. – Mam swoje zadania...

– Dość. Misja w Liss zostaje odwołana. Przynajmniej na razie.

Danar Nicabar zbladł jak płótno.

– Co...

– Danarze, potrzebne mi są twoje okręty. To ważne.

– Do czego ich potrzebujesz? – warknął Danar. – Powiadam ci, że Liss jest już prawie pokonane. Jeszcze miesiąc i...

– Nie możemy czekać – przerwał mu Biagio. – Twoje okręty potrzebne mi są teraz.

– Nie! – zagrział Nicabar. – Moje okręty nie są łajbami do przewozu ludzi i towarów! To okręty bojowe! Nie pozwolę...

Biagio z najwyższym trudem opanował wybuch gniewu.

– Gayle z Czarnej Kniei jedzie teraz na czele swoich jeźdźców do Lucel-Loru. Wezwałem już legion z Nar, by wsparł go w działaniach. Ale to piesi, Danarze. Będą musieli zdobyć Ackle-Nye, potem zaś dolinę Dring. W ten sposób można się bawić z Triinami w nieskończoność. Potrzebujemy oddziałów, które wylądują na brzegach i zaatakują plemiennych wodzów jednocześnie. A do tego muszę mieć statki, które je przewiozą.

– Ja już mam zadanie, Renato – odezwał się Nicabar wyzywającym tonem. – Mam zająć Liss.

– Zmieniam twoje zadanie.

– Renato, nie jesteś nawet przedstawicielem admiralicji! Czy ty sobie wyobrażasz, że cię usłucham?

Pytanie było absurdalne i Biagio mógł sprawić, że Nicabar go pożałuje.

– Danarze, zawsze byłeś moim dobrym przyjacielem, dlatego uznam, że nie usłyszałem tego pytania.

Pokonany Danar Nicabar pochylił głowę. Był dowódcą Czarnej Floty, jednym z najwyższych stopniem wodzów w Imperium, ale niewiele to znaczyło wobec wpływu, jaki na Arkusa miał Biagio. Poza biskupem Herrithem, który potrafił niemal magicznie naginać imperatora do swej woli, Renato Biagio był największym ulubieńcem Arkusa. Do zmiany zadań imperialnej floty wcale nie była mu potrzebna kanclerska pieczęć.

– Danarze, nie proszę o to z lekkim sercem – ciągnął hrabia. – Wiem, iż uważasz, że waży się twój honor. Jeżeli jednak masz rację co do Liss, to poczekają.

Nicabar zamknął oczy i zgrzytnął zębami.

– Mogą odtworzyć flotyllę szkunerów. Bez blokady wyspy...

– Poczekają. Ważniejsza jest misja w Lucel-Lorze. Kraj Triinów jest zbyt rozległy, by go brać tylko od strony przesmyku. Jeżeli w porę mamy znaleźć dla Arkusa źródło ich magii, musimy cały kontynent zalać piechotą.

– Przyjacielu, wszyscy kiedyś umrzemy – stwierdził Nicabar. – Nawet Arkus.

– Nie. Arkus nie może umrzeć. On jest nieśmiertelny. Będzie trwał wiecznie. Jak jego Czarne Odrodzenie. – Biagio uśmiechnął się smętnie. – Już my o to zadamy, Danarze. Ty, ja i Gayle.

– Gayle to tchórz i błazen – skrzywił się Nicabar. – Nie powinieneś powierzać mu tak ważnej misji.

– Nie miałem wyboru. Ten młody Vantran nas zdradził i jedynym odpowiednim kandydatem okazał się Gayle z Czarnej Kniei.

Nicabar popukał koniuszkiem palca w skroń Biagia.

– Starcze, zaczynasz popełniać błędy. Czy ja cię nie ostrzegałem przed Vantranem?

– Owszem – przyznał Biagio. – A ja próbowałem ostrzec Arkusa. Ale i tak było za późno.

– A teraz on zrobił z ciebie durnia – zaśmiał się Nicabar. – Mój biedny Renato. Zastanawiam się, co sobie o tym wszystkim pomyśli Arkus. A Herrith? O, biskup z pewnością zdrowo się uśmieje. Nie sądzisz?

Biagio zamknął oczy i przywołał w pamięci obraz Richiusa Vantrana.

– Danarze, chłopakowi może udało się wygrać bitwę, ale to jeszcze nie koniec wojny. Posłałem mu już jego żonę z wiadomością. Kiedy ją otrzyma, pozna, co to znaczy igrać z hrabią Biagio.

## Dwadzieścia dziewięć

Trzeciego dnia po Casadah Richius wciąż czekał na zaproszenie do Tharna.

Długie godziny spędzał na wędrówkach po cytadeli i górze, zapisał też wiele stron w swoim dzienniku. W nocy tuż po święcie wyznaczono mu jego kwaterę – dość skąpo umeblowaną izbę w północnej wieży, niezbyt odległą od komnaty Lucylera, z oknem na ocean, przy którym mógł pisać, korzystając ze światła księżyca. Lucylera zresztą nie widział przez większą część owych trzech dni, Triin bowiem zajęty był jakimiś tajemniczymi sprawami, zostawiając Richiusowi czas na samotne poznawanie Falindaru.

Okazało się zresztą, że po Casadah w cytadeli panują znacznie większy spokój i porządek niż poprzednio. Po komnatach nie krążyli już niezliczeni pielgrzymi – zostali w niej tylko pozbawieni domów wieśniacy i ich dzieci, ci zaś trzymali się parteru i nigdy nie wchodzili na wyższe piętra, na których Richius mógłby ich usłyszeć. Tych niewielu słów, jakie padały z ust sług i mijanych przez niego wojowników i tak nie rozumiał, choć od czasu do czasu łowił uchem imię Tharna i zastanawiał się, jak się miewa pan Falindaru.

Pewien był, że na fartuchu tamtej kobiety widział krew. Lucyler przeczył, ale temu akurat Richius nie chciał uwierzyć. W cytadeli stało się coś okropnego i dostatecznie ważnego, by Tharn zrezygnował z wygłoszenia mowy do ludzi, którzy przybyli do Falindaru tylko po to, by go wysłuchać. Richius snuł przypuszczenia, że chodziło o Dyane. Błagał Lucylera, by ten powiedział mu coś więcej, Przyjaciel jednak karmił go oczywistymi łgarstwami, mówiąc, że wszystko jest w porządku. Richius chodził więc jak struty i martwiąc się losem Dyany, rozmyślał jednocześnie, kiedy Tharn dotrzyma obietnicy i się z nim spotka. Rozum mu podpowiadał, że czekać przyjdzie już niedługo. Nadciągała wojna. Jeżeli naprawdę zamierzał w jakikolwiek sposób jej zapobiec, musiał działać szybko.

Rankiem czwartego dnia obudził się, by zjeść śniadanie: chleb i miód, które po cichu Lucyler zawsze kładł obok jego łóżka, gdy on jeszcze spał. Każdego ranka posilał się, licząc na to, że już niedługo będzie mógł ponownie sycić brzuch ciasteczkami Jenny i palić przy kominku fajkę z Jojustinem. Chleb był w Falindarze wielką rzadkością i te niewielkie jego ilości, jakie jeszcze zostały, ściśle racjonowano. Richius jednak był gościem, jak mu to wyjaśnił Lucyler, i ponieważ nie mógł wprost przełknąć żadnego z innych specjałów triińskiej kuchni, dostawał tyle chleba, ile chciał. Był to przywilej, który młody Vantran wielce sobie cenił. Pod wieczór każdego dnia był głodny jak wilk, a po nocach śniły mu się obfite aramoorskie śniadania.

Tego dnia jadł podczas pisania. Pragnąc, by przyjemność trwała jak najdłużej, kroił drobno kromki chleba i zanurzał je w niewielkiej czarze z miodem, jednocześnie wtykając pióro w kałamarz. Do niejkiej komnaty wlewało się światło nowego dnia, Richius zaś wylegiwał się na swoim miękkim łożu, a taca ze śniadaniem leżała na krześle obok niego. Od przybycia do Falindaru napisał więcej, niż podczas kilku poprzednich tygodni. W podróży przez Lucel-Lor niewiele zostawało mu czasu na pisanie, a te nieliczne notatki, które poczynił, zapisywał przy świetle księżycy, dość szybko jednak zmęczenie brało nad nim górę. Teraz miał tyle czasu, ile tylko mu się spodobało, wykorzystał go więc do opisanie zmian, jakie zastał w Lucel-Lorze.

Dzisiejsze zapiski zaczął od niezbyt dla niego miłego wyznania: „Lucyler miał rację. W Lucel-Lorze panuje pokój, taki, jakiego nigdy nie umiałem sobie wyobrazić. Oni słuchają tego szaleńca i z radością wykonują jego polecenia”.

Przerwał. Czy Tharn w istocie był szaleńcem? Richius wciąż nie umiałby wydać w tej sprawie wyroku. Tharn był mordercą, to nie ulegało wątpliwości, ale nie potrafił ocenić, czy jest zdrowy psychicznie. „Być może – pomyślał Richius – dowiem się czegoś, jak z nim porozmawiam...”

I nagle ktoś zapukał do drzwi. Richius podniósł głowę, zaintrygowany tożsamością intruza. Od przybycia do Falindaru odwiedzał go tu tylko Lucyler, ten jednak nigdy nie pukał. Richius odłożył na bok ptasie pióro, dokładnie zaostrzone i służące mu do pisania, a potem podszedł do drzwi i ostrożnie je uchylił.

I spojrział prosto w oczy Kronina, który bez swego tradycyjnego malunku na twarzy zdał się Aramoorczykowi całkiem obcym człowiekiem. Wódz nie miał też na sobie zwykłych złotych ozdób a jedynie mocno pomiętą koszulę. Z jego twarzy patrzyły na Richiusa przekrwione oczy człowieka, który dawno nie zaznał snu. Gdy gość otworzył drzwi, wódz nisko się uklonił.

– *Tharn* – powiedział po prostu. Wskazał palcem na Richiusa, a potem wyciągnął dłoń ku pustemu korytarzowi.

– Teraz chce ze mną mówić? – spytał Richius. Kronin spojrział zdziwiony, zastanawiając się, co też usłyszał. – Ależ tak, oczywiście. – Szybko cofnął się w głąb izby, usiadł na łóżku i wciągnął buty, a potem porwał ze stołka kawałek chleba i wetknął go sobie w usta. Szybko zawiązał rzemienie butów i podał kęs chleba Kroninowi, ten jednak spojrział obojętnie i potrząsnął odmownie głową. Przed wyjściem z izby Richius wetknął do swego worka dziennik, ukrywając go pod suknią dla Dyany. Na koniec szybko przygładził palcami włosy i przyklepał je z tyłu. Ruszył za Kroninem.

Szli przez puste, pogrążone w ciszy korytarze. Tuż po świcie niewielu mieszkańców cytadeli było już na nogach, Richius szedł więc cichutko, starając się stąpać tak, by nie



pobudzić tych, którzy jeszcze spali. Szedł za Kroninem w dół po nie kończących się krętych schodach. W połowie drogi skręcili w kolejny korytarz. Wąski i pogrążony w półmroku, ciągnął się w głąb, aż doprowadził ich do kolejnych schodów.

Richius domyślił się, że to południowa wieża. Tu, jak mu powiedział Lucyler, swą kwaterę miał Tharn. Najpewniej tu też znajdzie Dyanę. Przeszył go dreszcz podniecenia, jak uczniaka idącego na pierwsze spotkanie z dziewczyną. Zbliżając się do niej, podświadomie wyczuwał jej obecność, i nieuchwytne wspomnienie zapachu jej włosów rozplomieniło mu zmysły. „Nareszcie – powiedział sobie w duchu. – Nareszcie”.

Przedtem jednak powinien rozmówić się z Tharnem. Gdy doszli do szczytu schodów, Richius zebrał się w sobie.

Jak korytarz wiodący do jego izby i ten był umeblowany według nowego falindarskiego stylu: gołe ściany i kilka świec oraz lampy. Domyślał się też, że wszystkie drzwi wiodły do równie jak jego oszczędnie umeblowanych izb. Wyostrzywszy słuch, usiłował złowić dźwięk znajomego głosu, dobiegający z którejś komnatki. Słyszał jednak tylko odgłosy chrapania.

Podeszli raz jeszcze w górę wąskimi schodami i dotarli w końcu do uchylonych lekko drzwi. Sączyła się zza nich smuga światła i słychać było ciężki, wymuszony oddech. Kronin zapukał, otworzył drzwi szerzej i odstał na bok, przepuszczając Richiusa przodem.

Komnata była większa od innych, choć nie mniej ciasna, ponieważ całą niemal wolną przestrzeń zastawiono sięgającymi sklepienia półkami pełnymi ksiąg i pergaminów. Piętrzyły się one też w stosach na posadzce. Po drugiej stronie, nieopodal jednego z trzech okien, umieszczono stół, też pokryty papierami. Siedzący przy nim człowiek podniósł wzrok i spojrzał na wchodzącego Richiusa.

– Wejdz – wychrypiął niemal bezdźwięcznie Tharn.

Ujrzawszy go, Richius pomyślał, że ma przed sobą człowieka ogromnie zmęczonego. Przy słonecznym świetle skóra gospodarza wyglądała jeszcze gorzej, niż na uczie. Obok stołu było puste krzesło – jedyny mebel wolny od stosów papieru. Tharn skinieniem dłoni zaprosił gościa, by usiadł.

– Dziękuję – odezwał się Richius, niepewny jak się ma zwracać do pana cytadeli. Zajął miejsce i spojrzał uważniej na Tharna.

Siedział przed nim bez kaptura, jakim osłaniał twarz na niedawnej uczie. Całą czaszkę przywódcy Drolów szpeciły czerwone nabrzmiałe blizny i żółte otwarte wrzody. W wielu miejscach Tharnowi powypadały włosy, które gdzie indziej zwisały w długich pasmach, zmierzwionych i pozbawionych zwyczajnego u Triinów połysku. Richius nie odrywał wzroku od twarzy gospodarza. Widywał już wcześniej ofiary trądu. Była to dość

powszechna choroba w Imperium i wśród zamieszkujących Ackle-Nye żebraków. W wilgotnej dolinie Dring żołnierzy jego oddziałów dręczyły okropne, bolesne gnilne czyraki. Tharn cierpiał jednak chyba na najgorszą odmianę trądu, z jaką Richius nigdy wcześniej się nie zetknął. Nie próbował nawet sobie wyobrazić nieznośnych cierpień, jakich musiał on doznawać. Przerazającą ironią losu było to, że imperator Arkus i członkowie jego czarciego kręgu, by utrzymać się przy życiu od lat musieli zażywać coraz większe dawki jakiegoś eliksiru. Zabawne było też to, iż sądzili, że ten udręczony przez los kaleka posiadał sekret wiecznego żywota. Ich narkotyk Tharnowi był potrzebny znacznie bardziej, niż im jego bezużyteczna magia.

Tharn poruszył się na swoim krześle i patrząc Richiusowi prosto w twarz, spróbował się wyprostować.

– Nie podziękowałem ci jeszcze za to, że tu przyjechałeś – odezwał się ochryplym głosem. – Uczyniłeś mi przysługę.

– Miałem swój powód – odparł Richius. – Wiesz, dlaczego tu jestem.

Tharn kiwnął głową.

– Chodzi o moją żonę.

– O Dyanę – poprawił go Richius. – Lucyler mi powiedział, że jest w dobrym zdrowiu.

– Owszem, to prawda.

– Mogę się z nią zobaczyć?

– Już niedługo.

– To znaczy, jak tylko ona będzie mogła? – zaryzykował Richius. – Czyżby zachorowała?

To logiczne w końcu przypuszczenie zaskoczyło i – nie wiadomo dlaczego – jakby zdziwiło Tharna. Wyglądało na to, że rozmyśla, co mu odpowiedzieć. W końcu usłyszał:

– W tej chwili nic jej już chyba nie grozi.

– Chciałbym się z nią zobaczyć – napierał Richius. – Co stoi na przeszkodzie?

– Nic. Teraz już nic. Ona po prostu odpoczywa.

Odpowiedź poruszyła Richiusa, co zresztą odbiło się na jego twarzy.

– Aby ją zobaczyć, przebyłem daleką drogę.

– Dlaczego? – spytał Tharn nie bez zainteresowania.

– Ona jest jedynym powodem, dla którego tu przyjechałem – odpowiedział Richius prosto i bez ogródek. – Wiesz to zresztą.

– Może mógłbym przytoczyć inne powody, dla których spełniłbyś moją prośbę. Mamy wiele do omówienia.

– Najpierw muszę zobaczyć Dyanę – odpowiedział Richius. Nie spodobała mu się

myśl o dyskusji z tym człowiekiem. Nie chciał nawet na niego patrzeć. – Obawiam się, że będę musiał nalegać.

Tharn odchylił się w tył i potarł zdrową dłonią palce bezwładnej ręki.

– Wybacz, królu Vantranie, ale tracimy czas. To było konieczne. Czy możesz okazać jeszcze trochę cierpliwości? Moja żona już niedługo odzyska siły, wtedy będziesz ją mógł zobaczyć.

– Zamierzam zabrać ją ze sobą – odpowiedział Richius bezlitośnie. – Chyba mnie rozumiesz?

– Owszem, tego się spodziewałem.

– Nie będziesz się sprzeciwiał?

Tharn nie odpowiedział.

– Mistrzu Tharnie – odezwał się Richius spokojnym głosem. – Ja wiem, czego ode mnie chcesz, ty z kolei wiesz, czego ja się po tobie spodziewam. Możemy podjąć wspólne wysiłki, jeżeli pozwolisz Dyanie na wyjazd ze mną.

– Królu Vantranie, spędziłem kilka lat w Nar. Nie nazwałbym go pięknym miejscem. Jesteś pewien, że ona zechce z tobą jechać? Należy do narodu Triinów i jej miejsce jest tutaj.

– Mój kraj jest lepszy niż reszta Nar.

– I znajdziesz tam dla niej jakieś miejsce? Lucyler mi powiedział, że już masz żonę. Co Dyana będzie robiła w Aramoorze?

Richius zmarszczył brwi, gdyż tego argumentu nie potrafił odeprzeć.

– Pozwól mi z nią porozmawiać. Niech ona sama podejmie decyzję – rzekł w końcu.

– Nie znasz naszych obyczajów – odpowiedział Tharn. – Nie do kobiet należy podejmowanie decyzji. Ale w swoim czasie oczywiście będziesz mógł z nią porozmawiać.

– Mistrzu Tharnie, nie mam aż tyle czasu. Już niedługo powinienem wyruszyć do Aramooru i, jeżeli to możliwe, chciałbym wyjechać jutro o świcie. Czeka na mnie wiele spraw. Wiesz, o czym mówię.

– Wiem. Dlatego właśnie cię tu zaprosiłem. Lucyler mi powiedział, że masz pewne wpływy w Imperium. Czy tak jest w istocie?

– Po części tak – skłamał Richius. Wiedział, że to jego jedyna szansa.

– Użyjesz ich dla naszej sprawy?

– Ja już podałem swoją cenę. Uwolnij Dyanę, a przemówię za tobą u Arkusa. Więcej uczynić nie zdołam.

Tharn pochylił się ku Richiusowi z wyrazem nadziei w oczach.

– Królu Vantranie, musisz się postarać. Powiedz mu, że nie ma tu niczego, co

miałoby dla niego jakąkolwiek wartość. Powiedz, że to będzie niebezpieczne. Mów zresztą, co chcesz, byle go odwieść od tego zamiaru.

Richius skinął głową, przypominając sobie, że raz już mówił imperatorowi to wszystko, a nawet więcej. Niestety, nic z tego, co mógłby rzec, nie wpłynie na Arkusa tak, by odwołał najazd na Lucel-Lor. Można oczywiście mówić Arkusowi o życiu tysięcy przyszłych ofiar, ale nie miało to znaczenia dla człowieka, który uważał, iż śmierć jego nieprzyjaciół warta jest wszelkich wysiłków.

– To nie będzie łatwe – ostrzegł Tharna. – Arkus uważa, że dzięki magii potrafisz czynić cuda. Co zresztą jest prawdą.

Tharn uciekł ze spojrzeniem w bok i odwrócił twarz.

– Mój dar na nic mu się nie przyda.

– Chodzi o coś więcej, niż o twój dar, jeżeli tak go chcesz nazywać. On myśli, że w Lucel-Lorze jest magia zdolna go uzdrowić i utrzymać przy życiu. Myśl o tej magii stała się jego obsesją i zrobi wszystko, co w jego mocy, by nią zawładnąć. – Richius skrzyżował ramiona i spojrzał Tharnowi w twarz. – Spróbuję pomóc ze względu na Dyanę, powinieneś jednak gotować się na odparcie najazdu, mistrzu Tharnie. Arkus po prostu może uderzyć beze mnie.

– Nie, nie może – wychrypiał Tharn. – Lucel-Lor zażywa owoców pokoju. Sam to widziałeś.

– Ależ to nie ma żadnego znaczenia dla Arkusa. Mądrze zrobisz, jeżeli rozważysz propozycję Liss. Jeżeli możecie połączyć siły, nie powinieneś się wahać.

Tharn zatrzęsł się z gniewu.

– Nie! Nigdy więcej wojny. Nie będę walczył. – Swą pokiereszowaną ręką chwycił Richiusa za mankiet koszuli. – Musisz się postarać. To twoja powinność.

Richius wyrwał rękę z uścisku.

– Powinność? Za wiele sobie wyobrazasz. To nie moja wojna i nie ja ją rozpocząłem.

– Masz powinność względem Aramooru – nalegał Tharn. – Wiem, że chcesz zapobiec wybuchowi tej wojny.

– Chcę jedynie pomóc Dyanie! – zawrzał gniewem Richius, zrywając się na równe nogi. – Przybyłem tu tylko dla niej. Nie dbam o ten kraj ani o twoje ideały i nic, do cholery, nie jestem ci winien. Nie zaznam też poczucia winy, jeżeli Nar was zmiążdży, Drolu. – Wypluł to słowo niemal jak przekleństwo. – Jeżeli zrobię coś dla ciebie i twojego kraju, to tylko z własnej woli. Cóż więc mi powiesz? Pozwolisz Dyanie wyjechać ze mną? Bo jeżeli nie, obiecuję ci zgubę. Zrobię, co się da, by ujrzeć, jak giniecie pod ciosami nareńskich legionów!

Oszołomiony nagłym wybuchem wściekłości gościa Tharn cofnął rękę.

– I po cóż ta nienawiść? – spytał niemal szeptem. – Czym na nią zasłużyłem?

– Czym? – syknął Richius. – Zabiłeś niemal wszystkich, którzy byli mi bliscy. Wolałbym się spalić w piekle, niż ci pomóc, ale chcę uwolnić Dyanę.

– Nie jestem mordercą – rzekł Tharn tonem usprawiedliwienia. – I wiem o twoim ojcu. Ale mylisz się, oskarżając mnie o tę zbrodnię.

Richius zazgrzytał zębami. Oto już po raz drugi usłyszał kłamstwo, które tak go rozgniewało, kiedy wygłosił je Lucyler.

– A któżby inny miał to zrobić? Mój ojciec był kochany w Aramoorze.

– Kochani przez lud królowie częściej padają ofiarami mordów, niż tyrani – stwierdził Tharn. – I wiem, że w Nar często tak się właśnie dzieje. Dlaczego na przykład nie posądzasz o tę zbrodnię waszego imperatora?

– Nie – sprzeciwił się Richius. – Mógłbym tak pomyśleć, i owszem, ale mój sługa widział zabójcę. Był nim jakiś Triin.

Tharn wzruszył ramionami, najwyraźniej nieprzekonany.

– Zechciej usiąść – poprosił łagodnie. – Sprzeczamy się właściwie o nic.

– Wcale nie – odpowiedział Richius, ponownie siadając. – Wszyscy mówią, że teraz jesteś człowiekiem pokoju, ale ja jakoś nie mogę w to uwierzyć. To ty przelałeś pierwszą krew. Być może jestem ostatnim z tych, którzy to pamiętają, ale ja to wiem i nie dam się przekonać. Przez ciebie ginęli moi przyjaciele. Jak w ogóle masz czelność prosić mnie o cokolwiek?

– Nie znam poczucia wstydu – stwierdził Tharn. – Wszystko, co robię, czynię dla mojego ludu i z woli moich bogów.

– Piękne słowa – odparł Richius. – Ale nie zmieniają przeszłości. To ty narobiłeś zamieszania i wypuściłeś diabła z butelki. Użyłeś magii na pokaz całemu światu. Teraz Arkus chce mieć twoją moc i nie spocznie, póki nie dopnie swego.

– Nie mów mi o magii! – warknął Tharn. – Kiedy gościłem w Nar, wszyscy widzieli we mnie czarownika, tylko dlatego że byłem Triinem. Wasz lud to ignoranci! Widzą magię we wszystkim, czego nie potrafią zrozumieć!

– Ale czy się mylą? Widziałem, jak Lucyler dokonuje rzeczy które można wytłumaczyć tylko magią. Powiedział mi, że to ty go nauczyłeś.

– To prosta rzecz – skrzywił się Tharn. – Gdyby twój umysł był otwarty i ty mógłbyś się tego nauczyć. Nikt jednak nie potrafi osiąść umiejętności, jakie mi umożliwia zła strona mojej natury. – Jakby zapominając o gościu, odwrócił kaleką twarz i wbił wzrok w posadzkę. – To „dotyk niebios”, przeznaczony tylko dla mnie. Nie mogę go oddać waszemu imperatorowi, ani przekazać mu związanych z nim umiejętności.

W jego głosie brzmiała szczerłość. Choć wszystko to wydało się Richiusowi bzdurą,

jasne było, że Tharn w to wierzy dla jakichś własnych, być może błędnie rozumianych powodów, a w całej tej historii był też rys tragiczny. Jako przywódca Drolów i swoich rodaków, prawdziwie wierzył, że bogowie zesłali na niego chorobę i kalectwo za to, że użył danej mu przez nich mocy do uwolnienia swego kraju od najeźdźców.

– Przekażę Arkusowi to, co mi tu powiedziałeś, mistrzu Tharnie – stwierdził Richius – jeżeli pozwolicie odejść Dyanie.

– Królu Vantranie, zechcesz podjąć ryzyko wojny z powodu jednej kobiety?

– A ty?

– Aramoor może ucierpieć na tej wojnie tak samo jak Lucel-Lor. Jesteś na to gotowy? A co z tym wszystkim, co tu widziałeś? Lucyler wiele mi o tobie opowiadał. Mówił na przykład, że smuciły cię rzeczy, jakich tu dokonywano w imieniu Imperium.

– To, co się tu działo, nie wynikało jedynie z obecności Narenów – odparł Richius. – To wy paliliście zboża na polach, to ty dałeś rozkaz do rzezi Falindaru. Ta wojna była twoim dziełem... Ten stos podpaliliście razem z moim imperatorem.

– Przyznaję, że to prawda – stwierdził Tharn z powagą. – Nikt nie jest doskonały. Popełniałem błędy.

– Dlaczego mówisz o tym w czasie przeszłym? – zadrwił Richius. – Zamierzasz popełnić kolejny? Przecież nie zechcesz uwolnić Dyany, prawda?

– Królu Vantranie, mówisz o niej tak, jakby była niewolnicą, a nią nie jest. To moja żona.

– Pewien jestem, że ona sama nie widzi żadnej różnicy.

– Nie będziemy o tym rozmawiać – odparł Tharn, wymawiając to zdanie tak, jak gdyby jednak w głębi ducha czuł swoją winę. – Ona jest kobietą i jej uczucia w tej sprawie nie mają żadnego znaczenia. Ten kraj żyje w pokoju, królu Vantranie. To wszystko, co powinieneś wiedzieć. I temu zaprzeczyć nie możesz, prawda? Sam to widziałeś.

– To dlatego kazałeś mi odbyć tę podróż, prawda? – spytał Richius z gniewem w głosie. – Myślałeś, że jak zobaczę żyjących tu w zgodzie ludzi, zdołasz mnie przekonać do spełnienia twojej prośby. – Ponownie wstał z miejsca, przepelnięny wściekłością. – Nigdy nie zamierzałeś puścić Dyany i pozwolić jej odejść ze mną...

– Królu Vantranie, powtarzam, że ona jest moją żoną.

– Nie chciała nią zostać! Dlatego zamierzałem ją zabrać do Aramooru, żebyś jej tam nie mógł osiągnąć!

– Byliśmy zaręczeni – odpowiedział Tharn, na którym wybuch Richiusa wcale nie zrobił wrażenia. Patrzył na gościa oczami pozbawionymi jakiegokolwiek wyrazu, jakby to, co usłyszał, nie miało żadnego znaczenia. – Chciała złamać obietnicę, jaką złożył jej

ojciec.

– Znam tę historię. Była zbyt młoda, aby zrozumieć, co jej zrobiono.

– Królu Vantranie, takie tu mamy obyczaje.

– Nie – odpowiedział Richius z gniewem w głosie. – Czy zapomniałeś, że byłem obecny przy tym, jak ją uprowadziłeś? Widziałem, co jej zrobiłeś. Nie ma tu takich obyczajów. Możesz być bohaterem w oczach innych, ja jednak wiem, kim jesteś w istocie. Jesteś tchórzem! W Nar nazywają cię diabłem wcielonym i myślę, że mają rację.

– W Liss diabłem nazywają Arkusa.

– Więc otaczają mnie same diabły, bo ty więzisz Dyane, tak samo jak Arkus niewoli narody.

– Jesteś pewien? – spytał Tharn. – Nie rozmawiałeś z nią przecież. Może ona nie będzie chciała z tobą wyjechać.

– Może – zgodził się Richius. – Ale chcę to usłyszeć od niej, nie od ciebie. Pozwól mi się z nią zobaczyć. Pozwól mi z nią pomówić.

– Zobaczysz ją w swoim czasie – odpowiedział Tharn. – Ale twoją odpowiedź muszę mieć już teraz, królu Vantranie. Zechcesz przemówić za nami u Arkusa? Pamiętaj, że mówimy też o pokoju dla Aramooru. Wiele ludzkich istnień...

– Mistrzu Tharnie, przedstawiłeś mi już swój punkt widzenia. Moja odpowiedź zależy od Dyany. Jeżeli ona sama zechce tu zostać, wezmę to pod uwagę. Jeżeli jednak postanowi odejść, a ty jej nie puścisz, nie będzie zgody między nami. I ostrzegam, że jeżeli się dowiem, iż w jakikolwiek sposób jej groziłeś...

– Nie będzie żadnych gróźb – odpowiedział Tharn zimno. Richiusowi wydało się, że nareszcie w jakiś sposób udało mu się przebić zbroję jego obojętności. Tharn odwrócił się od Vantrana, wziął pióro w dłoń i zajął się książkami. – Poślę po ciebie, kiedy ona będzie gotowa – stwierdził tylko. – I radzę, byś pomyślał o tym, o czym tu mówiliśmy.

– Ty zrób to samo – odciął się Richius. – Obaj mamy niewiele czasu. Z tego, co mówił wysłannik Liss, wynika, że Arkus już ich prawie pokonał. Kiedy to się stanie, ruszy natarcie na Lucel-Lor.

Tharn zbył go machnięciem dłoni, które jednak zdradziło jego rozterkę.

– Życzę ci dobrego dnia, królu Vantranie.

Richius wyszedł, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi. Kiedy znalazł się na zewnątrz, przystanął, by się uspokoić. Zza drzwi usłyszał świszczący oddech Tharna, po którym nastąpiła seria rozzierających kaszlnięć. W jakiś sposób władca Falindaru zdołał się powstrzymać podczas rozmowy z Richiusem, teraz jednak wyczerpanie wzięło nad nim górę.

„I bardzo dobrze” – pomyślał Richius złośliwie. Idąc wzdłuż korytarza, czuł taką wściekłość, że był gotów kopniakami wybijać kolejne drzwi, by w końcu znaleźć Dyanę. Jakże ten potwór śmiał go tu sprowadzać, każąc przebyć całą tę drogę tylko po to, by go ofuknąć! Nawet Lucyler go oszukał. Teraz ciężko kłął swoje miłosne zaślepienie. Powinien się domyślić. Tharn wyczarował tę burzę, by wyrwać Dyanę z jego rąk. Dlaczego miał ją teraz oddawać, skoro wiedział, że Richius pragnie pokoju tak samo, jak każdy z nich? Gniewnie zszedł w dół po schodach południowej wieży, tupiąc nogami tak, że odgłos jego kroków na kamiennych stopniach przypominał huk dział. Okazał się dziś takim durniem, że sam sobą gardził.

Przy końcu korytarza łączącego obie wieże trafił na schody wiodące do jego komnaty. Wstępował na nie ponury niczym zimowa noc. Niełatwo będzie wydostać stąd Dyanę. Wojownicy Kronina byli wszędzie i nie mógł już liczyć na pomoc Lucylera. Obu dawnych sprzymierzeńców, wodza i wypróbowanego przyjaciela, przenicował ten kaleki odmieniec, i swoimi opowieściami o pokoju sprawił, że zapomnieli o przelewanej przez niego w przeszłości krwi. Wszystko i wszyscy byli przeciwko niemu i aby wyciągnąć stąd Dyanę będzie musiał polegać wyłącznie na własnej pomysłowości.

Gdy szedł po schodach, minęło go kilku Triinów rannych ptaszków – głównie były to kobiety ruszające do swoich codziennych zajęć. Wszystkie były tradycyjnie poubierane w malownicze, choć skromne stroje i długie spódnice, które zakrywały nogi aż do kostek. Ich twarze były częściowo zakryte – osłonięte jedwabnymi szarfami przed wzrokiem wszystkich, oprócz ich mężów. Kiedy na ich drodze pojawiał się jakiś mężczyzna, skromnie odwracały głowy. Zwyczaj ten ogromnie Richiusa irytował. Kilka dni temu przestał się zatrzymywać i kłaniać na ich widok, ponieważ odkrył, że one go po prostu ignorują. Dzisiaj zaś myśl o tym, że Dyana też musi grać tak upokarzającą rolę podgrzała i bez tego kipiącą w nim krew.

Jego komnata była na końcu korytarza. Kiedy podszedł bliżej, zauważył coś, co go zatrzymało – uchylone drzwi. Czyżby zapomniał je zamknąć?

Ostrożnie ruszył w stronę drzwi. Jego komnatę rozświetliło już słońce i smuga promieni padała na przeciwległą ścianę korytarza. W powietrzu wisiała niepokojąca cisza. Wewnątrz ktoś był; Richius wyraźnie wyczuwał jego obecność. Pewnie Lucyler chciałby wiedzieć, czym się zakończyło spotkanie z Tharnem. Richius pchnął drzwi, przywołując jednocześnie na twarz wymuszony uśmiech, bo wcale go nie bawiła perspektywa rozmowy z przyjacielem, do którego stracił zaufanie.

I oto powitał go uśmiech wymizerowanego ducha z przeszłości. Richius zatrzymał się jak wryty w drzwiach, oszołomiony widokiem dziewczyny. Siedziała w milczeniu na jego łóżku, złożywszy przed sobą blade, wychudzone dłonie. Ktoś inny mógłby jej nie



rozpoznać, młody Vantran jednak od razu wiedział, przed kim stoi. Imię dziewczyny wyrwało się z jego ust niczym łkanie.

– Dyana.

Uśmiechnęła się cieplej i podeszła do niego, witając bez słów, ale serdecznie. Nie była to jednak dziewczyna, którą stracił w Ackle-Nye. Jej oczy były mniej lśniące, a biel włosów nie była tak śnieżna, jak przedtem. Delikatne dłonie Dyany lekko drżały, skórę miała zbyt bladą, nawet jak na kobietę Triinów. I chyba drżała, próbując utrzymać się na nogach. Ale mimo wszystko była nie mniej piękna, niż wtedy.

Richius ze ściśniętą wzduszeniem krtanią podszedł do dziewczyny i ukląkł przed nią, jak przed królową. Dyana wyciągnęła ku niemu obie ręce, on zaś ujął delikatnie jej dłonie i obie ucałował, a potem pochylił niżej głowę.

Dyana przez chwilę gładziła jego włosy, jakby chciała go ukoić łagodnym dotykiem. Słowa nie były im potrzebne. Zbyt silne emocje trzymały go na kolanach, jak przestraszone dziecko obawiał się unieść twarz i spojrzeć jej w oczy. Nagle zrozumiał, iż cały czas obawiał się, że ona zginęła, że nie żyje, i tylko strach powstrzymywał go przed wyrzuceniem tych obaw z siebie. A teraz klęczał przed nią, ona zaś dotykała go znowu, a woń jej perfum, jakimi zrosiła dłonie i łono, znów uderzały mu do głowy.

– Dyano – rzekł w końcu. – Tak mi przykro...

– Nic nie mów – odezwała się słodkim głosem.

Richius zamilkł. Głos Dyany był melodyjny, jak zawsze w jego snach. Dziewczyna powoli uniosła jego głowę, tak by spojrzeć mu w twarz. Na jej twarzy jakieś niewidzialne brzemie wyrzyło cienkie linie wokół ust. Była blada i nie wyglądała najlepiej. Włosy zwisały z jej czoła w luźnych kosmykach, a ręce drżały. Richius wyciągnął dłoń i sięgnął do jej policzka. Był niemal gorący. Dziewczyna cofnęła się.

– Co z tobą? – wyszeptał Richius. – Co on ci zrobił?

Dyana uśmiechnęła się nikło.

– On jest ponad to – szepnęła, mówiąc jakby do siebie.

Richius ponownie ujął ją za rękę i delikatnie uściskał, tak by nie sprawić jej bólu. Czuł, że dłoń Dyany lekko drży.

– Jesteś chora. Przecież to widzę. Co się stało?

– Rzeczywiście, jestem osłabiona – przyznała cicho. – Ale nie ma powodów, by się o mnie niepokoić. – Znowu się uśmiechnęła, opierając plecy o wezglowie łóżka. – Dobrze jest znowu cię zobaczyć.

– I ja się cieszę. Ale jak się tu dostałaś? Czy Tharn wie, że tu jesteś?

– Aż tak to on mnie nie pilnuje. Myśli zresztą, że odpoczywam.

– I powinnaś, ani chybi – stwierdził Richius. – Połóż się tutaj. – Podniósł się i ujął jej

drobne stopy, a potem dźwignął je bez wysiłku i ułożył na łóżku. Dyana się nie sprzeciwiała i widać było, że rada jest ze zmiany pozycji. Ułożyła się wygodniej. – Lepiej? – spytał Richius.

– Lepiej – odpowiedziała Dyana, zamykając oczy.

Richius zamknął drzwi małej komnatki, a potem oczyścił stojące obok łóżka krzesło z na poły zjedzonego śniadania i usiadł. Przez chwilę tylko patrzył, martwiąc się widocznym na twarzy ukochanej znużeniem. Nie zobaczył jednak blizn czy zadrapań, a jedynie cienie, jakie kładzie pod oczami zmęczenie. Oddychała równomiernie, co stwierdził nie bez zadowolenia, i miała odsłoniętą twarz, choć reszta jej sukni miała tradycyjny triiński krój.

– A co, jeżeli on odkryje, że cię nie ma?

– Będzie na mnie zły – stwierdziła Dyana obojętnym tonem. – On się o mnie martwi.

– Dlaczego? Chorowałaś?

Dyana otworzyła oczy i spojrzała na niego z uwagą.

– Powiem ci, ale najpierw muszę się dowiedzieć, jak jest z tobą. O twoim przyjeździe powiadomił mnie twój przyjaciel, Lucyler. – Opuściła wzrok na dłoń Richiusa. – Oddał ci twój pierścień.

– Owszem, oddał – stwierdził Richius, podnosząc dłoń, by mogła podziwiać klejnot.

– I przekazał mi wieści od ciebie. Nie powinnaś mi dziękować. Zawiodłem cię. Obiecałem chronić, a dopuściłem do tego, że cię porwano.

– Wiedziałaś, że wrócisz – odpowiedziała ze smutkiem. – Wiedziałaś, że sądzisz, iż mnie zawiodłeś i po mnie wrócisz. Ale posłuchaj. Nie zawiodłeś mnie. Wiem, że zrobiłeś, co było w twojej mocy. Widziałam cię na tym moście, kiedy mnie uprowadzono. Widziałam...

Przerwała i odwróciła głowę. Richius wstał, podszedł do niej i usiadł obok na łóżku.

– Dyano, teraz jestem tutaj – powiedział. – I zamierzam dotrzymać tamtej obietnicy, którą ci dałem. Zabiorę cię od niego.

Dyana potrząsnęła głową.

– Nie, tego zrobić nie możesz.

– Mogę i zrobię. Już o tym z nim mówiłem. On wie, że przyjechałem tu tylko po ciebie. Jestem pewien, że się zgodzi. A jeżeli nie, i tak znajdziemy jakiś sposób.

Dyana westchnęła.

– Richiusie, nie znam powodu, dla którego cię tu ściągnięto. Tharn prawie nic mi nie mówi. Co się dzieje?

– Nie wiesz? Lucyler ci nie powiedział?

– Nie. Rozmawiałam z nim tylko kilka razy. Raz wtedy, kiedy powiedziałam

Tharnowi o tobie, a drugi raz mniej więcej przed miesiącem. Wtedy, kiedy mi oznajmił, że zamierza się z tobą spotkać i cię tu sprowadzić. Dałam mu pierścień, by ci udowodnić, że żyję i nic mi nie jest. Nie mam jednak pojęcia, czym się kierował, postanawiając cię tu ściągnąć. Prosiłam, by mi powiedział, ale odmówił. – Twarz dziewczyny wyrażała ciekawość i zmieszanie. – Ostatni raz widziałam go wczoraj. Powiedział mi, że tu jesteś. Richiusie, co się dzieje? Po co Tharn cię tu ściągnął?

– Uspokój się – odpowiedział Richius. – Wyjaśnię ci to, co mogę. – Odetchnął głęboko. Jeżeli Dyana niczego nie wiedziała o nadciągającej wojnie, wiadomość ta z pewnością nią wstrząśnie. – Szykuje się jeszcze jedna wojna – zaczął. – Arkus chce ponownie najechać Lucel-Lor, a mój kraj ma mu w tym pomóc. Tharn dowiedział się o tych planach i teraz chce, bym odwiódł imperatora od jego zamiaru. Myśli, że jeżeli porozmawiam z Arkusem, to tamten mnie wysłucha.

– Bo teraz jesteś królem?

– Wiesz i o tym?

– Lucyler mi powiedział.

– Co ci jeszcze powiedział?

– Że masz żonę. – Dyana uważnie śledziła wyraz twarzy Richiusa. – Wiem o tym wszystkim, Richiusie, i nie mam żalu. Rozumiem.

– Nie, to nie tak – zachnął się Richius. – Dyano, przykro mi, ogromnie przykro. Nie chciałem się zenić. Nie mogłem o tobie zapomnieć, ale...

Dziewczyna pochyliła się i położyła mu palec na wargach.

– Przestań – poleciła. – Nie gniewam się.

– To dobrze, bo teraz naprawdę zamierzam dotrzymać obietnicy. Wydostanę cię stąd, w ten czy inny sposób. Dałem Tharnowi czas do namysłu do jutra. On wie, że jeżeli zechce cię tu zatrzymać, będzie to koniec pokoju pomiędzy nami.

Dyana zamknęła oczy.

– Och, Richiusie. Wolałabym, żebyś tu nigdy nie przyjeżdżał.

– Dlaczego tak mówisz? – zawołał Richius. – Dyano, przecież będziesz wolna. Zabiorę cię do Aramooru, jak obiecałem.

– Nie mogę – odpowiedziała. – Nie mogę z tobą wyjechać.

– Niech to piorun strzeli! Przestań się go bać! Tego właśnie chce ten podstępny, przewrotny drań! Tym razem nie pozwolę mu na to, by mi cię odebrał. Za mną stoi potęga całego Nar, o czym on doskonale wie. Musi się zgodzić.

Im bardziej jednak nalegał, tym gwałtowniej Dyana trzęsła przecząco głową, aż w końcu uniosła obie ręce, by go powstrzymać.

– Nie! – zawołała. – To niemożliwe. Nie mogę odejść.

Richius cofnął się zdesperowany jej uporem. Do jakich czarów odwołał się Tharn, by tak całkowicie złamać jej wolę? Nie była już niemal Dyana, jaką znał – dziewczyną, która wolała się sprzedawać, niż poślubić tego diabła, Tharna. Wstał i spojrzał z góry na jej piękną, pogrążoną w smutku twarz, usiłując zobaczyć w jej oczach coś, co mogłoby mu podsunąć dalsze argumenty. To, co w nich widział, było równie niezrozumiałe, jak jej słowa.

– Powiedz mi, dlaczego? – nalegał. – Dlaczego nie możesz go zostawić. Kochasz go?

– Nie.

– To w czym rzecz? Groził ci? Bo jeżeli tak...

– Richiusie, on traktuje mnie uprzejmie i łagodnie. Nigdy by mi czegoś takiego nie zrobił.

Richius znów podszedł bliżej.

– No to o co chodzi? Dyano, przebyłem dla ciebie długą drogę. Nie cofnę się i nie zrezygnuję, jeżeli nie podasz mi jakiegoś rozsądnego powodu.

Dyana nagle zeszywniała.

– Do kolejnej wojny nie można dopuścić – szepnęła jakby sama do siebie.

– Dlaczego nie możesz ze mną odejść? – napierał bezwzględnie Richius. W tej chwili z jego głosu ulotniła się wszelka czułość. Podniósł dłonią jej brodę, wyczuwając kość pod napiętą skórą. – Odpowiedz! – zażądał. – Jesteś chora? Boisz się? Dlaczego chcesz tu zostać?

– Chodź ze mną – odpowiedziała Dyana, wstając nie bez wysiłku z łóżka.

– Dokąd idziesz?

– Chodź za mną.

Patrzył, jak chwiejnie podchodzi do drzwi, a potem podszedł i otworzył je przed dziewczyną.

– Przecież ty ledwo idziesz – stwierdził, kładąc jej dłoń na ramieniu. – Czekaj, pomogę ci.

– Nie – przerwała. – Jeszcze ktoś zobaczy...

– Dyano!

– Nic mi nie będzie. Chodźmy.

Wyszedł za nią z komnaty, a potem oboje ruszyli korytarzem ku schodom, którymi Dyana zaczęła schodzić nie bez trudu, i gdzie w końcu, upewniwszy się, że nikt nie widzi, przyjęła ofiarowaną jej pomoc. Cytadela pogrążona była w ciszy i Richius bezgłośnie zniósł Dyaną na dół, aż dotarli do wejścia korytarza wiodącego do drugiej wieży.

– Prowadzisz mnie do swoich komnat?

Dyana przytaknęła, ale nie powiedziała ani słowa.

– A co z Tharnem? Przecież nas zobaczy.

– Moje komnaty są dość daleko od jego sypialni.

I rzeczywiście, komnaty Dyany znaleźli w południowej wieży, w znacznej odległości od kwater Tharna. W tej części korytarza były okna, przez które wpadały ciepłe promienie słońca, a posadzkę wyłożono kobiercami. Były grube, miękkie i Richius nawet przez podeszwy butów czuł ich ciepło. Ściany były wyłożone wytartymi złoceniami oraz ozdobami z kości słoniowej i jaspisu. W tej części cytadela prawdziwie przypominała królewską rezydencję, jaką niegdyś była. Zza drzwi dobiegały łagodne głosy kobiece. Richius zatrzymał się w obawie, że ktoś ich zobaczy.

– Kto tu jest? – spytał z obawą.

– Służące. Kobiety, które się mną zajmują.

Po tej odpowiedzi brwi Richiusa powędrowały w górę. Wyglądało na to, że gdy przychodzi do zaspokojenia potrzeb Dyany, Tharn nie szczędzi wydatków. Reszta mieszkańców cytadeli mieszkała i żyła jak mnisi, ale Dyanę rozpieszczano.

– To tu – odezwała się, podchodząc do otwartych drzwi.

Richius zerknął w głąb komnatki. W rogu stała kobieta niewiele starsza od Dyany, która pochylała się nad jakimś meblem, sięgającym jej do pasa. Komnata była dość rozległa i dziewczyna nie usłyszała nadejścia Dyany i Richiusa, dopóki nie podeszli bliżej. Ujrawszy mężczyznę, wydała cichy okrzyk przestachu i rzuciła się do Dyany. Ta ujęła ją za ręce i powiedziała kilka słów, tłumacząc najwyraźniej, że nic złego się nie dzieje. Dziewczyna, niezupełnie przekonana, wpatrywała się w Richiusa szeroko otwartymi oczami, aż nieco poirytowana jej zachowaniem Dyana wypchnęła ją z pokoju i zamknęła za nią drzwi. Gwałtowny ruch wyczerpał ją. Przyłożyła dłoń do czoła i oparła się o framugę drzwi, ciężko oddychając. Ujrawszy to, Richius podbiegł i objął ją opiekuńczo. Dyana nie zaprotestowała, pozwalając mu się podtrzymać. Richius znów wyczuł kruchość jej ciała, i zrozumiał, że coś jest nie w porządku.

– Dyano, co z tobą?

Dziewczyna skinieniem dłoni wskazała mu krzesło w pobliżu kąta, gdzie niedawno stała służąca.

– Zaprowadź mnie tam. Chcę usiąść.

Przy krześle stał wysoki, rzeźbiony mebel, przybrany koronkami i lnianymi wstążkami. Podpierały go cztery solidne nogi, a z jego szczytu zwieszały się lekko rozchylone zasłonki. Richius podprowadził Dyanę do krzesła i spojrzał zaintrygowany na dziwny mebel. Wyglądał jak skrzynia na koce. Przez rozchylone zasłonki widział wewnątrz zwoje miękkiego materiału. Kiedy Dyana usiadła, Aramoorczyk palony

ciekawością zajrzał do środka. Przywitało go spojrzenie równie zaciekawionych oczu.

– O mój Boże! – zakrzyknął młodzieniec. Spojrzał szybko na Dyanę, która uciekła wzrokiem w bok. – To dziecko! – wybąkał, czując, że niezwykłość chwili uderza go jak powiew chłodnego wiatru. – Dziecko! – wypalił ponownie. – Dyano...

– To moja córka – szepnęła dziewczyna cicho, jakby prosiła o wybaczenie.

Richius stał jak ogłuszony. Zebrawszy się w garść, zaryzykował ponowne spojrzenie w głąb kołyski. Zobaczył najmniejszą królewnę, jaką zdarzyło mu się widzieć, wiercąca się niespokojnie pod lekką, miękką kołderką i patrzącą na niego dość obojętnie. Pulchne policzki wydymał oddech. Na widok Richiusa dziewczynka wydała kilka niezbyt pochlebnych okrzyków.

– Piękna dziewczynka – stwierdził Richius ze smutkiem. Lucyler go okłamał i z trudem ukrył rozczarowanie. – Chyba się myliłem, co do Tharna. Lucyler mi mówił, że on cię nie... posiadał.

Dyana wyciągnęła rękę i palcami dotknęła jego dłoni.

– Przyjrzyj się jej bliżej – poprosiła.

Richius nieco zmieszany prośbą, posłusznie odsunął kołderkę na bok i zaczął oglądać dziecko. Przyszło na świat bardzo niedawno, zawyrokował w duchu. W domu zdarzyło mu się widywać noworodki i wiedział, że wszystkie mają tę samą, pulchną i różową cerę. Dziecko, na które patrzył, urodziło się przed kilkoma dniami. Główka dziewczynki była prawie pozbawiona włosków, za wyjątkiem kilku kędziorków z tyłu. Paluszki prawej dłoni mała zwinęła w piąstkę wielkości może orzecha. Richius bardzo ostrożnie, by nie wystraszyć dziecka, sięgnął w głąb kołyski. Dziewczynka podążyła wzrokiem za jego dłonią, a kiedy dotknął jej czoła, na jej wargach pojawił się pęcherzyk śliny. Richius parsknął śmiechem.

– Jak ma na imię? – spytał zbyt zafascynowany, by odwrócić twarz i spojrzeć na Dyanę.

– Shani – odpowiedziała dziewczyna nie bez dumy w głosie. – Po kuzyneczce, którą bardzo kochałam.

W jej głosie było coś, co kazało Richiusowi unieść głowę i spojrzeć na nią.

– Umarła?

– Tak – odpowiedziała Dyana ze smutkiem.. – Była jeszcze bardzo młoda. Kiedyś ci o niej mówiłam, pamiętasz?

Owszem, Richius pamiętał, choć wspomnienie było udręką.

– Zginęła w dolinie – wyszeptał. – Stratowana przez konie.

– A ja ciebie obwiniłam o jej śmierć. Nigdy bym nie pomyślała, że przyjdzie mi za to cię przeproszać.

– Nie ma potrzeby – stwierdził Richius. Ponownie spojrzął na dziecko. – Witaj, maleńka – powiedział łagodnie, gładząc dziecko po brzuszku tak, jakby głaskał szczeniaka. – Witaj – powtórzył i spojrzął na Dyana. – Jest piękna jak jej matka.

– I ojciec – powiedziała Dyana z naciskiem w głosie. – Patrzysz i nie widzisz, Richiusie. Przyjrzyj się lepiej.

– Po co? – spytał Richius, nagle zaniepokojony. – Jest chora? Czyżby odziedziczyła chorobę Tharna? – Spojrzął na dziecko z uwagą, szukając widocznych objawów choroby. Ale poza kilkoma zadrapaniami, świadczącymi o tym, że Shani z trudem przyszła na świat, nie widział w dziecku niczego osobliwego.

Z wyjątkiem oczu. Były ciemne i dziwnie ukształtowane. Nie były zniekształcone, czego można by się w końcu spodziewać po dziecku Tharna – były po prostu inne. Znacznie bardziej owalne, niż wąskie i nieco skośne oczy Triinów. Richius nigdy jednak wcześniej nie widział triińskiego niemowlęcia. Może to było normalne... może wszystkie miały takie oczy.

I nagle oszołomiony odskoczył w tył.

– Boże wielki – jęknął. – To moja córka!

Poczuł, że nagle drgnęła i zachybotła się pod nim posadzka. Odetchnął głęboko raz i drugi. Dyana patrzyła z niepokojem w oczach. Sięgnęła, chwyciła go za dłoń i spróbowała przyciągnąć ku sobie, on jednak skrzywił się gniewnie i szybko uwolnił.

– To moje dziecko! – zagrzmiał, podnosząc obie dłonie do skroni, bo wydało mu się naraz, że za chwilę głowa mu pęknie. – Niech to lichy. Ona jest moja. – Zamknął oczy, zacisnął szczęki i przycisnął obie pięści do skroni.

– Richiusie... – zdążyła wtrącić Dyana. – Ja...

– Trzymałaś to przede mną w tajemnicy! Oddałaś mi ten przeklęty pierścień, ale nie raczyłaś mnie powiadomić, że nosisz pod sercem moje dziecko! I Lucyler niczego mi nie powiedział, oby go za to piekło pochłonęło!

– Miałam nadzieję, że nie zechcesz przyjechać – powiedziała gniewnie Dyana. – Prosiłam Lucylera, by ci niczego nie mówił. Nie chciałam, żebyś wiedział.

– Jesteś tak samo szalona, jak twój małżonek! – rzucił rozjuszony Richius. – To moje dziecko. Trzeba mi było powiedzieć.

– A to dlaczego? Przecież nic na to nie poradzisz. Czy tego nie rozumiesz?

– Prędzej piekło zamarznie, niż się z tym pogodzę! – syknął Richius. – Zabiorę was obie. Shani też może zamieszkać w Aramoorze. Zadbam o was. Moja żona już wie o tobie, Dyano. Wie...

– Nic z tego nie będzie – sprzeciwiła się Dyana.

– Ależ może i będzie! – nalegał Richius. – Jestem teraz królem Aramooru. Potrafię

ochronić i ciebie, i dziecko. Niczego nie musicie się obawiać.

Dyana podniosła wzrok i Richius dopiero teraz zauważył, że miała zaczerwienione i nieco podpuchnięte oczy.

– On cię tu zwabił – stwierdziła. – Wiedział, że dla mnie przyjedziesz tu z pewnością. W ten sposób manipuluje ludźmi.

– I robi to skutecznie – przyznał młody Vantran. – Ale tak czy inaczej, jestem tu, on zaś wie, że jeżeli chce pokoju z Nar, musi się zgodzić na moje żądanie. W przeciwnym razie będzie wojna.

– On mnie nie puści, Richiusie – stwierdziła Dyana ze smutkiem. – Kocha mnie... zawsze kochał, jak ci już kiedyś powiedziałam. Kiedy byliśmy dziećmi, robił dla mnie różne rzeczy: przynosił mi kwiaty i podarunki. Aby mi zaimponować ujeżdżał konie, albo wspinał się na drzewa – Dyana roześmiała się cicho. – Był wtedy inny, a mnie jego starania się podobały. Nigdy jednak nie potrafiłam zrozumieć jego miłości. Zawsze było jej za wiele i wreszcie zaczęła mi ciążyć.

– Czy on wie, jakie są twoje uczucia?

– To nie ma znaczenia. On jest Drolem. Poślubił mnie i to zamyka sprawę. Nigdy nie pozwoli, by inny mężczyzna odebrał mu żonę. To byłoby dla niego największą hańbą. Teraz wiesz, dlaczego nie mogę stąd wyjechać? Wolałby zabić nas obie, niż pozwolić ci mnie stąd zabrać. Tego wymaga jego poczucie honoru.

– To uciekniemy bez jego zgody. Jeżeli będzie trzeba, wymkniemy się nocą.

– Znajdzie nas jak poprzednio. I wtedy wszyscy znajdziemy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nie mogę podjąć takiego ryzyka ze względu na Shani. Zostanę tutaj.

Była w tym wszystkim jakaś przewrotna logika. Dyana miała rację, z czego Richius doskonale zdawał sobie sprawę. Tharn z pewnością potrafiłby ich znaleźć, gdyby tylko zechciał, a wtedy życie Shani niewiele byłoby warte. Dyana przeżyła uprowadzenie przez Tharna dlatego, że była młoda i silna, ale w straszliwej, wywołanej przez Tharna burzy życie Shani zostanie zdmuchnięte, jak nikły płomyk świeczki. Richius zaklął i opadł na posadzkę, gdzie zaczął się kołysać w tył i w przód, oparłszy brodę na zaplecionych wokół kolan ramionach. Musiał coś wymyślić, ale nic rozsądnego nie przychodziło mu do głowy. Wszyscy troje tkwili w pułapce, pozbawieni przyjaciół i sposobów ucieczki. Tharn pobił go z kretesem.

– Obyś szczeł, Tharnie! – syknął z nienawiścią. Nawet po powrocie do Aramooru nie zdoła wymyślić sposobu na odwet. Obecność Dyany i Shani wiązała mu ręce i zabezpieczała Tharna przed wszelkimi próbami zemsty. – Dyano – jęknął. – Pomóż mi. Nie wiem, co robić!

– Musisz wrócić do swego kraju, Richiusie. Zostaw nas i wyjedź.



– Jakże mogę was zostawić w ręku tego szaleńca? – spytał. – Boże, przecież to moja córeczka!

– Tharn nie jest szaleńcem – odpowiedziała spokojnie Dyana. – Dbaj o mnie i obiecaj zatroszczyć się o Shani. Wie zresztą, że to twoje dziecko.

– Jesteś pewna? Czy nie istnieje możliwość...

– Nie – odpowiedziała. – Sam widziałeś, jaki jest chory. Richiusie, on nie jest zdolny do tego, by posiadać kobietę. Dlatego zresztą moje komnaty są oddalone od jego kwatery. – Dyana uśmiechnęła się, jakby próbowała dodać mu otuchy. – Proszę, uwierz mi. Zdążyłam go poznać. Jego choroba bardzo go zmieniła. Jest łagodny i dobry, jak ty. I już wcale się go nie boję.

– Ale go nie kochasz?

Dyana wzruszyła ramionami.

– Nie. Wiem jednak, że on kocha mnie. Nie było mi łatwo urodzić Shani. Myślę, że niewiele brakło, bym umarła. On jednak cały czas był przy mnie. Nie dbał o siebie, tylko mnie doglądał i nawet spał w tej samej komnacie.

– Casadah – stwierdził Richius. – Wtedy zaczął się poród, prawda?

– Tak – odpowiedziała Dyana i zadrżała. Richius widział, że wciąż jeszcze była osłabiona i paliła ją pamięć bólów. – Shani przyszła na świat rankiem następnego dnia. Niewiele zresztą z tego pamiętam. Było mnóstwo krwi, a Tharn krzyczał na służące, by mi jakoś pomogły. Myślał, że umrę. Ja też tak myślałam. Ale on był przy mnie. Był cały czas, dopóki Shani nie przyszła na świat.

– Śniłaś mi się, kiedy byłem w Aramoorze – odezwał się Richius cichym głosem. – Nie wiedziałem, czy żyjesz, czy nie... ale mogłem myśleć tylko o tobie. I byłem wściekły na siebie za to, iż dopuściłem, by mi cię wydarto, i że cię zawiodłem. A kiedy Arkus mi powiedział, że ponownie wysyła mnie do Lucel-Loru, pomyślałem, że może zdołam cię odnaleźć i sprowadzić do domu. – Parsknął śmiechem. Jakież to wszystko było żałosne. – Wielki Boże, ależ ze mnie dureń!

– Nie! – sprzeciwiła się Dyana. – Zrobiłeś więcej, niż można było się spodziewać. Po naszym ostatnim spotkaniu czułam, że znajdziesz sposób, by się tu dostać. Ale teraz to już koniec, Richiusie. Każde z nas ma swoje życie. Ja należę do narodu Triinów, ty jesteś Narenem i oboje jesteśmy związani małżeństwem z kim innym.

– Owszem – przyznał Richius. – Dobrze to ujęłaś: jesteśmy związani. – Pomyślał teraz o czekającej w Aramoorze żonie. Wiedział, że będzie czekała i się niepokoiła. Wiedział też, że nie jest wart Sabriny tak samo, jak przeklęty, wzgardzony mąż nie jest godzien Dyany. O losie jego i Sabriny przesądził Arkus, tak jak ojciec Dyany przesądził o losie córki, kiedy ta była jeszcze dzieckiem. Byli tylko kamykami na planszy gry, którą

prowadzili ich panowie, i żadne z nich nie potrafiło zatrzymać poruszających nimi dłoni. Richius przez chwilę bezsilnie wpatrywał się w posadzkę, jakby szukając na niej odpowiedzi, których nigdy nie miał odnaleźć. – I co ja mam teraz zrobić? – zapytał w końcu cicho.

– Zostaw nas naszemu losowi – odpowiedziała Dyana spokojnie i stanowczo. – Będzie nam tu dobrze, nie mam co do tego wątpliwości. Tharn to dobry człowiek. Troszczy się o mnie. Ty musisz wrócić do Aramooru. Musisz zrobić to, o co Tharn cię prosi. Możesz tego dokonać? Potrafisz zapobiec wojnie?

– Nie – odpowiedział Richius. – Imperator nie zechce mnie nawet wysłuchać.

Dyana obrzuciła go zdziwionym spojrzeniem.

– Jak to? Powiedziałeś Tharnowi, że możesz mu pomóc.

– Tharn sądzi, że Arkus mnie wysłucha, bo jestem królem Aramooru. I w tym się myli. Nie ma sposobu, żeby odwieść Arkusa od jego zamiaru.

– Ale spróbujesz, prawda?

Richius milczał. Oto żądano od niego, by został posłańcem Tharna, a na samą myśl o pomaganiu temu przekłętemu, zżartemu przez chorobę odmieńcowi wszystko w nim zaczynało się gotować. Teraz jednak musiał brać pod uwagę dobro Dyany i jej dziecka. Sprawy wyglądały inaczej, niż mu się wydawało, i nie bez gniewu przypomniał sobie, że już to słyszał od Tharna.

– Richiusie... – podjęła wątek Dyana, starannie dobierając słowa. – Tharn jest bardzo mądry. Nie prosiłby cię o to, gdyby sprawa nie była tak bardzo ważna. Przyniósł Lucel-Lorowi pokój. On...

– Proszę... – jęknął Richius, zakrywając dłońmi uszy. – I ty także? Nie chcę już tego słuchać. Wszyscy uważają go za wielkiego człowieka. Wybacz, ale ja to widzę inaczej.

– Nie uważam go za wielkiego człowieka – poprawiła Dyana. – Uważam go za dobrego człowieka. Nie znasz go Richiusie. On się zmienił, mogę to przysiąc. Jest taki sam, jakim go znałam, gdy byliśmy dziećmi. Troszczy się o swój lud. Jesteśmy dla niego wszystkim.

– Lucyler mi powiedział, iż on sądzi, że okaleczyli go bogowie. Ja myślę, że to zwykła choroba. A ty, jak myślisz?

– Uważam, że został obdarzony „dotykami niebios” – odpowiedziała Dyana. – Bogowie zrobili z niego kogoś szczególnego. Myślę, że on o tym wie i ta myśl nieustannie go dręczy.

Richius potrząsnął głową, jakby nie chciał uwierzyć własnemu słuchowi. Wszyscy tu padli ofiarą jakiejś choroby odbierającej zdrowy rozsądek. Czy przeszłość nic dla tych ludzi nie znaczyła? Powoli wstał i podszedł do kolebki Shani. Dziecko bawiło się swoimi

paluszkami.

– Moja córeczka – odezwał się ze smutkiem w głosie. – Jakże mogę ją zostawić? Dyano, żądasz ode mnie rzeczy niemożliwej.

– Inaczej być nie może – odpowiedziała Dyana. – Bardzo bym chciała, ale... – Wzruszyła ramionami i umilkła.

– Wiem – odpowiedział Richius. Sięgnął do kolebki i pogładził Shani po główce, zdumiewając się jedwabistością jej włosów. W tej chwili dziewczynka wydała mu się większym cudem niż wieże Nar, lasy Aramooru czy wspaniała cytadela Falindaru. Zabiłby dla niej tysiące Tharnów, ale niestety, nie miał broni, z pomocą której mógłby tego dokonać. W milczeniu zasunął kotary kolebki.

– Przed wyjazdem chciałbym ją jeszcze zobaczyć – rzucił przez ramię.

– Więc wyjeżdżasz? – spytała Dyana zza jego pleców.

Kiwnął głową.

– Porozmawiasz z waszym imperatorem?

– Wyjadę za kilka dni – odpowiedział Richius bezbarwnym głosem. – Chcę Tharnowi dać czas na to, by przemyślał to, co mu powiedziałem.

– Ale powiedz, czy porozmawiasz z imperatorem?

Richius odwrócił się i ruszył ku drzwiom. Tam zatrzymał się na chwilę, nie mogąc się zmusić do przekroczenia progu. Obejrzawszy się za siebie, zobaczył, że Dyana patrzy na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

– Richiusie?

– Dyano... – odezwał się cichym głosem. – Przez ostatnie kilka miesięcy myślałem tylko o tobie. Opętałaś mnie jak Tharna i nie umiem znaleźć w sercu dość sił, by o tobie zapomnieć.

– Musisz.

– Nie chcę. Kocham cię.

Twarz Dyany okryła się rumieńcem.

– Wiem, że to głupie uczucie – stwierdził Richius. – Zawsze jednak żywiłem nadzieję, że może kiedy się spotkamy, powiesz mi, że też o mnie myślałaś. – Usiłował się do niej uśmiechnąć. – Choćby przez parę chwil... Myślałaś?

Dyana odwróciła głowę.

– Nie możemy o tym mówić – odparła zimno. – Jestem żoną Tharna.

Nie była to odpowiedź, ale próba jej uniknięcia, co napełniło serce Richiusa nikłą nadzieją. Zrobił krok w stronę Dyany.

– Może choć przez jedną chwilę...

Dyana nie odwróciła twarzy, ale jakby się nagle zgarbiła.

– Kiedy nosiłam Shani pod sercem, zawsze był przy mnie Tharn, który dbał o moje potrzeby i dodawał otuchy, jak się godzi prawdziwemu mężowi. A kiedy zaczęłam rodzić, pielęgnował mnie i trzymał za rękę. Shani jednak zawsze kazała mi myśleć o tobie, Richiusie. Nawet wtedy, gdy była pod moim sercem. – Odwróciła w końcu twarz i spojrzała mu w oczy pełnym smutku wzrokiem. – Niełatwo o tobie zapomnieć, Richiusie Vantranie.

W sercu Richiusa zrodziła się nadzieja, która na jego usta przywołała uśmiech.

– Dyano...

– Taka jest moja odpowiedź – odrzekła zwięźle. – Niczego więcej nie mogę ci rzec. Jeżeli mnie kochasz, tak jak to mówisz, ze względu na mnie i dziecko zrób to, o co cię prosi Tharn. Pomów ze swoim imperatorem.

Richius w milczeniu wyszedł z komnaty.

## Trzydzieści

Na stromym zboczu góry zwieńczonej falindarską cytadelą, było miejsce, gdzie stok opadał niemal pionowo ku huczącej tysiąc stóp niżej morskiej kipieli. Nic tu prawie nie rośło i widok na bezkresny ocean zasłaniało tylko jedno drzewo. Było stare, wysokie, ciężko doświadczone przez nieustannie dmące wichry, ale z jego powyginanych gałęzi nigdy – nawet w zimie – nie opadały liście. Liście o barwie złotawej zieleni zmieniały tylko barwę w miarę zmiany pór roku, a jego pień u dołu kończyła płatanina korzeni, które z trudem wgryzały się w skaliste podłoże. Nikt nie wiedział, skąd się tu wzięło, ani w jaki sposób jego korzenie czerpią pożywienie z jałowej gleby, wszyscy jednak uważali je za dar duchów nieba, pomniejszych bóstw Triinów, które mieszkały wśród chmur i osiedlały się niekiedy na szczytach pięknych gór. Z tego powodu – i dla osobliwych owoców, które rodziło wczesną wiosną – drzewo było znane szeroko i daleko, i sądzono, że jest jednym z dowodów na istnienie bóstw, darzących miłością swoje śmiertelne dzieci.

Lucyler nie miał pojęcia, czy drzewo zrodziło się za przyczyną bogów, czy było osobliwym wybrykiem natury. Wiedział tylko, że darzy je głębokim uczuciem i bardzo lubił szukać w jego cieniu ukojenia. Doskonale mu się też tu myślało. Przed upadkiem Falindaru był jednym z ulubieńców Daegoga i chętnie tu przychodził, podnosił z ziemi jeden z podobnych do cytryny owoców i zjadał go, patrząc, jak woda atakuje skałę. Były to beztrudne czasy, kiedy dbał o bezpieczeństwo władcy i mógł się uskarżać jedynie na monotonię służby. Wszystko to na zawsze legło w gruzach za sprawą Tharna i jego rewolucji. Drzewo jednak pozostało, jego owoce również, i jedzący je Lucyler jak dawniej rozmyślał, patrząc na ocean.

Dzisiaj potrzebny mu był spokój, jakim tchnęło drzewo.

Sięgnął pomiędzy kolczaste gałęzie i zerwał dojrzały owoc. Puszczona przez niego gałąź odskoczyła sprężysto, wywołując drżenie wśród innych. Był spokojny poranek, jeden z tych, podczas których można było podziwiać piękno góry w całej jej krasie. Lucyler usiadł na skalnym występie, zwieszając nogi poza krawędź i zaczął delikatnie obierać skórkę owocu. W twarz uderzyło go kilka kropel soku. Uśmiechnął się.

Morze było bardzo spokojne. Patrząc na nie, jadł i rozkoszował się soczystym, podzielonym na segmenty owocem. Nad oceanem śmigły ptaki w nieustającej pogoni za pożywieniem, a na lazurowym niebie nie było widać żadnej chmurki. Powietrze przepełniał rześki zapach słonej wody, a twarz Lucylera muskały promienie słońca – tak ciepłe, że naszała go senność. Nie przyszedł tu jednak na drzemkę. Trzeba mu było

pomyśleć nad gryzącymi go sprawami, a to, co zrobił ostatnio, nie bardzo mu się podobało. Zdradził przyjaciela i dręczyło go poczucie winy.

Od rozmowy z Richiusem minęły dwa dni. Tharn poinformował obu o swojej decyzji, przyjmując każdego osobno, i teraz inicjatywa należała do Richiusa. Odkrycie istnienia córki sprawiło, że Richius stał się chłodny i nieprzystępny. Nie przychodził na posiłki, do nikogo się nie odzywał i nie odpowiadał na pukanie do drzwi. Brał zostawiane mu przez Lucylera posiłki dopiero wtedy, gdy usłyszał kroki odchodzącego. Wszyscy się tym martwili, nawet Tharn. Postanowiono jednak, że gość może robić, co zechce – nikt jednak nie wiedział, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami gościnnej komnaty.

„Nieszczęsny mój przyjacielu – pomyślał Lucyler ze współczuciem. – Jakże mi ciebie żal”.

Bolała go udręka, jaką musiał czuć Richius. Odtworzył w myślach kilka ostatnich tygodni, ponownie zastanawiając się nad swoim postępowaniem i szukając popełnionych przez siebie błędów. Żałował, że posłuchał tej kobiety. Teraz już wiedział, iż Dyana nie miała racji, ukrywając przed Richiusem nowinę o tym, że spodziewa się jego dziecka. Powinien o tym powiedzieć przyjacielowi na samym początku ich spotkania w przesmyku. Dyana jednak się spodziewała, że Richius w ogóle nie zechce przyjechać. Utrzymywała, że nie ma potrzeby powiadamiania go o dziecku, skoro nie przyjedzie i go nie zobaczy. Mogłoby to Richiusa tylko skłonić do podróży, a w Falindarze nie było niczego, co mogliby mu ofiarować.

Żując słodki miąższ, Triin zmarszczył brwi. Rozumowanie Dyany wtedy wydało mu się poprawne. Richius jednak zareagował nie tak, jak się tego po nim oboje spodziewali, i Lucyler był teraz pewien, że przyjaciel nim gardzi.

– Cholera – mruknął zły na samego siebie. Nie powinien się godzić na żądania Dyany. Stracił przez to przyjaciela, którego nikt mu nie zdoła zastąpić. I nie widział możliwości naprawienia błędu – wiedział, że Richius nie daruje mu oszustwa. W dolinie wypracowali pewne zasady postępowania, przestrzeganie których dodawało im otuchy i pomagało przeżyć tamto piekło. Teraz zaś złamał jedną z tych zasad. Wiedział, że ogromnie mu będzie brakowało przyjaźni Aramoorczyka.

I wtedy usłyszał, że nadchodzi, cicho jak letni wiatr. Odwrócił głowę i zobaczył Richiusa, stojącego w odległości kilku kroków, z ponuro zwieszonymi ramionami. Lucyler przesunął językiem po wargach, zlizując sok, a potem skinął dłonią, zapraszając przyjaciela, by podszedł bliżej.

– Siadaj – poprosił, gdy cień Richiusa padł na jego plecy. Wyczuł wahanie przyjaciela, który w końcu się przemógł i usiadł na krawędzi, zwieszając nogi nad przepaścią i spoglądając pustym wzrokiem w dal.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – spytał Richius. Nie odwrócił się, by spojrzeć na Lucylera.

– Sam już nie wiem... – Lucyler wzruszył ramionami.

– Nie bardzo chce mi się w to uwierzyć. Dyana powiedziała, że cię prosiła, byś niczego mi nie mówił. Czy to prawda?

Lucyler skinął głową.

– I ty jej posłuchałeś! Dlaczego, na miłość boską? Jak mogłeś zataić przede mną coś takiego?

– Powiedziałem, że sam już nie wiem – odpowiedział Lucyler. – Poprosiła mnie, a ja nie odmówiłem. Może popełniłem błąd.

– Owszem, popełniłeś błąd.

Lucyler odwrócił się i spojrzał na przyjaciela. Richius jakby się postarzał. Na jego twarzy widać było trzydniowy zarost i miał tłuste, pozlepiane potem włosy. Jego odzież była pomięta, a w oczach czaił się smutek. Siedział zgarbiony, splótnięty dłonie na brzuchu i machinalnie nadstawiał twarz na podmuchy wiatru.

– No dobrze – zgodził się Lucyler. – Myliłem się. I bardzo mi z tego powodu przykro. Myślałem, że postępuję słusznie. Dyana liczyła na to, że nie zechcesz tu wrócić, a wiedziała, iż wieść o dziecku ściągnie cię tu z pewnością.

– Ale ty wiedziałeś, że i tak przyjadę – odparł Richius. – Obmyśliliście wszystko z Tharnem.

– Nie, to nie tak – Lucyler energicznie potrząsnął głową. – Nigdy cię nie okłamałem.

– I co z tego? – Richius wreszcie odwrócił głowę i spojrzał na Triina. – Pytałem cię, czy Tharn wypuści Dyanę. A ty nigdy mi nie odpowiedziałeś przecząco. To tak samo, jakbyś zelgał. Nazywaj to sobie jak chcesz, ale pozwoliłeś mi wierzyć, że on ją uwolni. – Ponuro zwiesił głowę. – I to boli mnie najbardziej. Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

Lucyler poczuł się tak, jakby jego serce pękało na kawałki.

– Nie wolno ci w to wątpić – odezwał się spokojnie. – Możesz w to nie wierzyć, ale zapewniam cię, że jesteś mi bardzo drogi, Richiusie. Ale wtedy myślałem, że Dyana ma rację. I może ją miała. Co ci z tego przyjdzie, że będziesz wiedział, iż masz tu dziecko, z którym nie będziesz mógł dzielić przyszłości. Tak właśnie sobie pomyślałem. Wolałem, byś się tym nie gryzł.

– A co z Tharnem? Czy nie wiedziałeś, że on nie pozwoli Dyanie na wyjazd ze mną?

Usłyszawszy to pytanie, Lucyler się skrzywił. Wolałby skłamać i w ten prosty sposób uwolnić się od poczucia winy, zebrał jednak całą swą odwagę i odpowiedział szczerze:

– Tharn nigdy mi nie powiedział, że jej nie puści z tobą... Ale ja od początku go o to podejrzewałem. Tak, wiedziałem.

Richius zwiesił głowę jeszcze niżej. Zaraz potem Lucyler pospieszył z usprawiedliwieniami.

– Postaraj się zrozumieć, że był to jedyny sposób na to, by cię tu sprowadzić. Czy miałbyś ochotę na pertraktacje z Tharnem, gdyby Dyana tu nie było?

– Oczywiście że nie! – zachnął się Richius. – Wolałbym rozmówić się z diabłem.

– To znaczy, że rozumiesz – odpowiedział Lucyler, opuszczając owoc i wpatrując się w Richiusa błagalnym spojrzeniem. – Gdyby nie Dyana, to nie dałbyś się tu sprowadzić. Mówiłem ci o dobroci Tharna, o tym że w Lucel-Lorze panuje pokój, ale ty nie chciałeś tego nawet słuchać!

– To prawda – odparł Richius ostrym tonem. Podniósł głowę i spojrzał na Lucylera groźnym wzrokiem. – Lucylerze, chcesz wiedzieć, jak jest w istocie? Prawda jest taka, że żaden z was już mnie nie obchodzi. Gdybym tylko mógł, wróciłbym do Nar i opowiedział o was wszystko, co wiem: gdzie można was znaleźć, jak was ugodzić. Wszystko! Gdybym mógł, zniszczyłbym Falindar i każdego, kogo bym w nim zastał, bo na nic innego nie zasługujecie! Ale nie mogę tego zrobić, przez wzgląd na Dyana i dziecko. Nie mogę się zemścić tak, jakbym chciał.

Lucyler poczuł, że rozpała się w nim nikły płomyk nadziei.

– Więc wrócisz tam, by nam pomóc?

– Tylko o to ci chodzi, prawda? – spytał Richius kwaśnym tonem. – Czy ty mnie w ogóle słuchałeś?

– Słuchałem – odpowiedział Lucyler. – Ale ty nie słuchałeś mnie. Rozejrzyj się dookoła. Wojna się skończyła. W Lucel-Lorze panuje pokój. Dyana jest bezpieczna, i czy zechcesz się z tym pogodzić, czy nie, będzie dbała o twoje dziecko. Temu światu daleko do doskonałości, ale Tharn robi, co może. Troszczy się o tych ludzi, bardziej niż kiedykolwiek troszczył się o nich Daegog. Wiem, ponieważ znałem ich obu. Pod rządami Tharna życie będzie lepsze, bo jest silnym przywódcą i wodzowie pójdą za nim. A czy to się okaże trwałe, zależy teraz od ciebie.

– Ode mnie? – zawrzał gniewem Richius. – Jesteś taki sam, jak Tharn. Nie mam aż takiego wpływu na Arkusa, o czym dobrze wiesz!

– Ale możesz spróbować.

Zapadła chwila krępującego obu milczenia. Richius westchnął i przesunął dłonią po włosach. Lucyler pomyślał, że jego przyjaciel przypomina mu w tej chwili lisa usiłującego odgryźć sobie łapę, by uwolnić się z sideł. Przez chwilę czuł strach. Nie bał się o siebie, gdyż wiedział, że Richius nigdy, nawet w największej desperacji nie podniósłby na niego ręki. Bał się o Richiusa i o to, że pod wpływem udręki lada moment może postradać rozum.



– Richiusie – zaczął łagodnie – popełniłem błąd i źle cię oceniłem. Co gorsza, wykorzystałem cię, czego ogromnie się teraz wstydzę i żałuję. Nie proszę więc o wybaczenie. Nie pozwól jednak, by gniew odebrał ci zdolność podjęcia właściwej decyzji. Pomyśl o tych wszystkich, którzy nigdy cię nie oszukali, Richiusie. Dlaczego mają cierpieć, kiedy wybuchnie wojna? Pomyśl też o Aramoorze...

– Przestań! – przerwał mu Richius. – Tobie i Tharnowi wydaje się, że tak dobrze mnie znacie? Świetnie wiecie, co powiedzieć, bym zrobił to, na czym wam zależy.

– Richiusie, ja...

– Nie, Lucylerze, wiem, co mówię. Fatalnie dla mnie się składa, że obaj macie rację. Nie mam wyboru. Zdaję sobie z tego sprawę. Zadbaliście już o to z Tharnem. Dużo się od niego nauczyłeś, przyjacielu. Nauczyłeś się, jak manipulować ludźmi. Nie lada z niego mistrz, prawda?

– Po prostu nie było innego sposobu – stwierdził Lucyler. – Nie umiem rzec, czy postąpiłem dobrze czy źle, ale musiałem cię tutaj sprowadzić. Musiałem, żebyś zobaczył, jaka jest stawka.

– I zobaczyłem – mruknął Richius. – Zobaczyłem. – Spojrzawszy na leżący pomiędzy nimi na kamieniach owoc, podniósł go i zaczął oglądać. – Spadł z tego drzewa?

Lucyler kiwnął głową.

– Nazywają go owocem serca albo serdecznikiem. Dojrzewa tylko w ciągu kilku dni w roku. Ale jak dojrzeje... – Podniósł brwi. – Zresztą spróbuj sam.

Richius powąchał nadgryziony owoc.

– Pachnie przyjemnie – zauważył i odgryzł niewielki kęs. W jego oczach pojawił się cieplejszy blask. – Dobrze...

– Tak sobie pomyślałem, że je polubisz – stwierdził Lucyler. – Jeżeli chcesz, mogę ci zerwać kilka.

– Nie – odpowiedział Richius. – Zachowaj je dla innych. W Aramoorze mamy dość owoców. – Oddał serdecznik Lucylerowi. – Masz, zjedz do końca.

Lucyler wziął podany mu owoc i odłożył go na bok.

– Richiusie – odezwał się niepewnym głosem, jakby bał się tego, co może usłyszeć w odpowiedzi. – Powiesz mi, co postanowiłeś?

Richius uciekł ze spojrzeniem w bok.

– On się nie rozmyśli, prawda?

– Nie – odpowiedział Lucyler. – Bardzo mi przykro.

– Ale dlaczego? Wie, że ja ją kocham. Wie też, że ona go nie kocha. Dlaczego mu zależy, by nas rozdzielić?

– Nie jest całkowicie tak, jak mówisz – odpowiedział Triin. – Nie chodzi mu o to, by was rozdzielić. On ją chce zatrzymać przy sobie. Kocha ją, jak ty.

– Mówisz to z taką pewnością...

– Ona jest bardzo piękna, Richiusie. On zaś... powiedzmy, że nie jest aż tak piękny. Ale takie są tu zwyczaje, Richiusie. Posiadanie pięknej kobiety jest ważne dla ludzi tak znacznych jak on. Przyciąga to innych, którzy się za nim opowiedzą. Ale na twoje pytanie odpowiem wprost: tak, sądzę, że on ją kocha.

– Więc otoczy ją opieką? I dziecko też?

– Nie żywię cienia wątpliwości, Richiusie. Powinieneś go zobaczyć, kiedy jest przy niej. On wtedy się rozpromienia. Myślę, że jest przez nią bardziej opętany niż ty.

– Dyana już mi to mówiła – przyznał Richius. – Powiedziała, że on ją zawsze kochał, nawet kiedy jeszcze nie byli sobie zaręczeni. Wiesz, chyba bym wołał, by nie miała racji.

Lucyler potrząsnął głową.

– Ona się nie myliła, Richiusie. Dziwna rzecz, ta jego miłość do niej. Przez chorobę pokochał ją chyba jeszcze bardziej. Ona jest bardzo piękna. On zaś czuje się przy niej... mniej szkaradnym. Ale jest dla niej bardzo dobry i czuły. Nie powinieneś się o nią martwić.

Richius, pozornie usatysfakcjonowany, kiwnął głową, jakby pograżając się w myślach, a potem powiedział:

– No dobrze. Rano ruszam do Aramooru.

– Przemówisz za nami do Arkusa?

– Wiesz, że to zrobię. Nie mam wyboru. Nie mogę dopuścić do tej wojny, dopóki Dyana i Shani są w Falindarze. Ale nie łudź się, Lucylerze. Już sam mój przyjazd tutaj będzie potraktowany jako akt zdrady. Kiedy Arkus się dowie, nie zechce ze mną w ogóle rozmawiać. Będę mógł mówić o szczęściu, jeżeli z Czarnego Grodu uda mi się wynieść cało głowę.

– Wiem. Dlatego jadę z tobą.

– Co takiego?

– Nie mogę żądać od ciebie ryzykowania życia, nie narażając jednocześnie swojego. Powiedziałem już zresztą Tharnowi, że jadę z tobą. Już zdecydowałem.

– Musisz zmienić zdanie. Lucylerze, ty będziesz miał znacznie mniejsze szansę na przeżycie, niż ja. Jak myślisz, co się z tobą stanie w Nar? Arkus capnie cię jak głodny kot mysz i każe cię zamknąć w jednym ze swoich laboratoriów. Nic mu nie sprawi większej przyjemności, niż dostanie w ręce Triina.

– Jestem na to przygotowany – stwierdził Lucyler spokojnie. – Pojedziemy razem i razem stawimy czoło naszemu losowi.

– No to możesz już od razu zacząć się żegnać ze wszystkimi. Z pewnością tu nie wrócisz.

Lucyler tylko wzruszył ramionami. Przewidział argumenty Richiusa i doszedł do tego samego wniosku. Co zresztą niczego nie zmieniało. Albo zginie w Nar, usiłując zapewnić pokój Lucel-Lorowi, albo zginie na wojnie w Lucel-Lorze. Śmierć była udziałem każdego – liczyło się tylko to, jaka to była śmierć.

– Powiedziałem Tharnowi, żeby za wiele się nie spodziewał po naszej misji – stwierdził. – Ale wątpię, czy on mnie w ogóle słuchał. Obawiam się, że pokłada w nas wielką wiarę.

– Wiara. – Richius wymówił to słowo, jakby splunął. – Jest zatem głupcem. Powinien swoją wiarą wesprzeć Liss. Powinien podjąć walkę u ich boku, jak o to prosili. Z ich pomocą Lucel-Lor miałyby jakieś szansę. Chyba że zechce użyć swoich mocy.

– Nie rozumiesz – odpowiedział Lucyler. Męczyło go już wyjaśnianie Richiusowi subtelności życia Drolów. Wiedział, że nie wszyscy są zdolni je pojąć, a zwłaszcza ci, którzy nie byli Triinami, liczył jednak, że Richius okaże się bystrzejszy.

– Masz rację – stwierdził Richius. – Nie rozumiem. Chciałbym go widzieć takim, jakim widzisz go ty. Ułatwiłoby mi to zadanie.

– Richiusie, w swoim czasie zobaczysz w nim prawdę. Tak, jak ja.

„Akurat” – pomyślał Richius. Zamyślony potarł brodę, ścigając wzrokiem śmigające nad wodą ptaki. Przez dłuższą chwilę siedzieli ze zwieszonymi nogami nad przepaścią i napawali się rozwiewającą im włosy morską bryzą. Zza horyzontu nadciągały zwieńczone białą pianą grzywacze, przynoszące smaczną zdobycz czyhającym już na nią mewom. Na zboczu góry wyraźnie słyszeli szum fal i na chwilę zapomnieli o wszystkim, poddając się jej czarowi i kołysząc lekko w jej uwodzicielskim rytmie.

„Jutro” – pomyślał Lucyler ze smutkiem. Wszystko działo się zbyt szybko. Podczas długiej wycieczki do Aramooru bardzo tęsknił za Falindarem. Nie był jeszcze gotów na kolejne rozstanie – a tym razem mogło to być rozstanie ostateczne. Cisnął serdecznik za krawędź, mając świadomość, że może to być ostatni owoc, jaki jadł z tego drzewa. Owoc poleciał w dół i znikł im z oczu.

– Zobaczysz się z nim przed wyjazdem? – spytał Lucyler.

Richius obojętnie wzruszył ramionami.

– A po co? On już podjął swoją decyzję, a ja podjąłem swoją.

– Co z Dyaną i maleństwem?

– Pożegnaj się z nimi dziś wieczorem – odpowiedział Richius. – Naturalnie za zgodą Tharna.

– Oczywiście, że on wyrazi zgodę – stwierdził Lucyler. – Wystarczy, że go

poprosisz. Jeżeli chcesz, sam go o to poproszę w twoim imieniu.

– Nie – odparł Richius. – Ja to zrobię. – Zamknął oczy. – Lucylerze, czy jestem durniem?

– Co takiego? – zdumiał się Lucyler.

– Pytam, czy jestem durniem – powtórzył Aramoorczyk. – Tak właśnie się czuję. Nie powinienem tu przyjeżdżać. Nie wiem, czego się spodziewałem.

– A ja myślę, że wiesz – powiedział Lucyler łagodnie. – Spodziewałeś się, że Dyana chętnie z tobą wyjedzie. Wyobrażałeś sobie, że ona na ciebie czeka, prawda?

Richius otworzył oczy i spojrzał na przyjaciela.

– Boże, ależ ze mnie głupiec, prawda? Ona mnie przecież prawie nie zna. A i ja jej nie znam. Jednak ją kocham Lucylerze. Nie umiem tego pojąć, ale ją kocham. Pokochałem ją od pierwszego spojrzenia. Dla niej i tylko dla niej porzuciłem Aramoor. A przecież nigdy bym nie pomyślał, że istnieje sprawa, która mogłaby mnie tu ściągnąć z powrotem.

– Miłość to tajemnica, przyjacielu – stwierdził Lucyler filozoficznie. – Niekiedy trzeba lat, by dojrzała. Kiedy indziej wystarczy chwila.

– A czasami nie zakwita w ogóle – dokończył Richius.

Lucyler otworzył już usta do odpowiedzi, ale nagle je zamknął i przechylił głowę w kierunku cytadeli. Ktoś wołał jego imię, co w szumie fal i wiatru ledwie było słyhać. Triin wstał i spojrzał w dal. Po stromym stoku biegł ku nim jakiś człowiek, jeden z wojowników Kronina.

– Kim on jest? – spytał Richius, również wstając. Spojrzał w tę samą stronę, w którą patrzył Lucyler, aż dostrzegł biegnącego ku nim człowieka. Wojownik gnał ku nim, a jego nogi pracowały niczym tłoki.

Lucyler poczuł, że wnętrzości ścisła mu lodowata dłoń.

– Kłopoty – szepnął ponuro.

– *Loocylr!*

Okrzyk odbił się echem od skał, lecąc w dół niczym huk lawiny. Biegnący dramatycznie machał ku nim dłonią. Lucyler odpowiedział podobnym gestem, a potem skinął na Richiusa.

– Za mną – rzucił przez ramię, ruszając ku posłańcowi.

Richius skoczył tuż za nim.

Razem puścili się po zboczku ku miejscu, gdzie zatrzymał się wojownik odziany w złoto błękitny strój, o twarzy czerwonej z wysiłku i ociekającym potem czole. Gdy się zbliżyli, zaczął coś mówić chrapliwym, urywanym głosem. Lucyler słuchał, usiłując coś zrozumieć z nieskładnej mowy rodaka, który pokazywał raz Richiusa, raz cytadelę.

– Co on mówi? – nie wytrzymał Aramoorczyk.

– Że ktoś czeka na ciebie w cytadeli – stwierdził Lucyler drżącym głosem. – Tharn prosi, byś natychmiast wrócił.

– Ktoś na mnie czeka? Kto?

– On nie wie – rzekł Lucyler, jakby chciał usprawiedliwić posłańca, który wciąż jeszcze coś mówił. – Twierdzi, że Tharn czeka na ciebie w sali biesiadnej. To coś ważnego.

Ruszyli ku cytadeli długą, krętą drogą, zostawiając za sobą oszołomionego posłańca. Richius łatwo dotrzymywał kroku Lucylerowi, wbijając w ziemię obcasy swych ciężkich butów i posyłając w powietrze drobiny żwiru. Strach dodał im skrzydeł, szybko więc wspięli się po stromiznie i dotarli do względnie płaskiego terenu wokół cytadeli. Było tu pusto. Przyjaciele spojrzeli jeden na drugiego nie bez zdziwienia.

– Żadnego zbiegowiska – stwierdził Richius. – W takim razie, o co chodzi?

Lucyler wzruszył ramionami i skierował się w stronę krytego dziedzińca cytadeli. Nie biegli już, ale szli dość zwawo, uważnie przyglądając się mijanym ludziom i nie znajdując niczego niezwykłego. Wojownik powiedział, że mają się stawić w sali biesiadnej. Lucyler spojrział w głąb korytarza. Wszędzie panował spokój. Cokolwiek się zdarzyło, nie robiono rozgłosu. Po drodze minęło ich kilku ludzi, którzy poświęcili im zaledwie pojedyncze spojrzenia. Triin rzucił przyjacielowi zdziwione spojrzenie, a potem ruszył do sali biesiadnej. Richius szedł tuż za nim. W rozległej przestrzeni złowrogo huczał odgłos ich kroków. Aramoorczyk sapał, mocno wyczerpany. Na jego czole perlil się pot i niecierpliwie zagryzał wargi, wypatrując oznak niebezpieczeństwa. Zbliżywszy się do zamkniętych drzwi sali biesiadnej, zatrzymali się na chwilę. Lucyler przyłożył ucho do rzeźbionej płyty i na chwilę wstrzymał oddech. Usłyszał kilka niezbyt wyraźnych głosów, zbyt jednak stłumionych, by mógł je rozpoznać, czy zrozumieć słowa.

– Ktoś jest wewnątrz – szepnął. – Nie mam pojęcia, kto.

– Otwieraj – polecił Richius.

Lucyler dwukrotnie zapukał, a potem powoli zaczął rozchyłać odrzwia. I natychmiast zobaczył Tharna stojącego na wprost wejścia. Twarz mędrca wyglądała okropnie. Rozpoznawszy Lucylera, pan Lucel-Loru lekko skinął mu głową. Ku drzwiom zwróciły się twarze pozostałych obecnych na sali. Kronin i jego dwaj wojownicy stali niby spokojnie, ale wszyscy trzej trzymali w pogotowiu obnażone jiiiktary. Rozchyliwszy szerzej drzwi, Lucyler ujrzał w sali jeszcze jednego człowieka, którego nie znał. Miał na sobie lśniąca zbroję z tłoczonej skóry, czarny płaszcz i srebrny hełm. Był wysoki, szczupły, a gdy się odwrócił ku drzwiom, Triin ujrzał, że twarz nieznanego okrywa

maska śmierci – doskonale obrobione w metalu oblicze trupiej czaszki. Z pasa przybysza zwisał długi, wąski miecz. Lucyler stanął jak wryty. Przyjaciel wyszedł z za jego pleców i ujrawszy nieznanego, drgnął nerwowo.

– Mój Boże – szepnął Richius.

Zatrzymał się w progu. Obok niego stanął Lucyler. Obaj utkwili wzrok w złowieszczej sylwetce nieznanego.

– Kim on jest, Richiusie? Znasz go?

– Zbliżcie się! – rozkazał Tharn. W niemal pustej sali jego głos zabrzmiał donoście i groźnie. Na twarzy mędrca widać było powagę i gniew, a jego popękane i pokryte strupami wargi wykrzywił grymas. Patrzył uważnie na niezwykłego nieznanego, nie ukrywając odrazy. Kronin i dwaj jego przyboczni robili to samo, trzymając jiiiktary gotowe do ataku. I wtedy Lucyler zauważył szkatułkę leżącą na posadzce przed nieznanym.

Nie była wielka, wykuto ją z żelaza i dałoby się w niej ułożyć jedynie kilkanaście książek. Przez kilka rygli miała przewleczony solidny łańcuch, okręcony wokół parę razy i zamknięty na sporą kłódkę. Ujrawszy, że Lucyler patrzy na skrzynkę, nieznanomy odstał na bok, tak by obaj z Richiusem mogli się jej dobrze przyjrzeć. Przechylił przy tym głowę w bok i patrzącym wydało się, że na jego szkaradnej masce pojawił się złośliwy uśmiezek.

– Kim on jest? – powtórzył Lucyler szeptem.

Richius był zbyt oszołomiony, by odpowiedzieć.

– Wejdźcie – powtórzył Tharn. Sękata laska zadrżała w jego słabych dłoniach.

– Czy to król Vantran? – rozległ się jedwabisty głos spod srebrnej maski.

Tharn znów spojrzał z odrazą na nieznanego żołnierza, a potem zwrócił się do gościa.

– Richiusie, ten... stwór chciał z tobą mówić. Wiesz, kim on jest?

– Nie – odparł Richius drżącym głosem. – Ale wiem, czym się zajmuje.

Lucyler zrobił minę człowieka, który niczego nie rozumie. Wydało mu się, że wszyscy, oprócz niego, wiedzą, co się dzieje.

– Więc nam powiedz! – odezwał się nagłaco. – Czym on się zajmuje?

– To Anioł Cienia. Jest posłańcem Arkusa. I jestem pewien, że ma jakąś sprawę do mnie i tylko do mnie.

Lucyler ruszył naprzód i stanął pomiędzy dziwnym żołnierzem i przyjacielem.

– Jaką masz sprawę do króla?

Anioł Cienia skinieniem dłoni wskazał na leżącą na posadzce obok niego szkatułkę.

– Jestem tylko pokornym wykonawcą woli imperatora. Przyniosłem podarunek dla

króla Aramooru.

Richius podszedł bliżej, ale Lucyler zatrzymał go, wyciągając rękę.

– Co to za podarunek? – spytał. – I jak się tu dostałeś?

– Na pierwsze pytanie odpowiem tak: to dar Arkusa Wielkiego dla króla Aramooru.

Co do drugiego pytania, to powiem, że aby przekazać prezent imperatora, przypląnałem tu na pokładzie okrętu. – Anioł Cienia wsunął dłoń za pazuchę czarnej opończy, poruszając się powoli, by nie zaalarmować wojowników ani Kronina. Jego dłoń ukazała się ponownie, trzymając kopertę z surowego pergaminu. Posłaniec wyciągnął rękę do Richiusa. – To dla ciebie – powiedział, nieznacznie przechylając głowę.

– Lucylerze, daj mi to – odezwał się Richius z napięciem.

– Nie, Richiusie – zaproponował Lucyler. – Jestem pewien, że wyniknie z tego jakieś nieszczęście.

– Proszę... – rzekł Richius błagalnie.

Lucyler miał zamiar jeszcze się sprzeciwić, ale ujrzawszy determinację przyjaciela, przestał się wahać. Podał mu kopertę.

– Wewnątrz znajdziesz klucz – oznajmił Anioł Cienia. – Będziesz nim mógł otworzyć szkatułę.

Wszyscy patrzyli z napięciem, jak Richius łamie woskową pieczęć. Wewnątrz była niewielka kartka papieru i klucz. Czytając kartkę, Richius przełożył klucz do drugiej dłoni.

– Co w niej jest? – spytał Lucyler niespokojnym głosem. List wypadł z nagle zdrętwiałych palców Richiusa. – Richiusie... – nalegał Lucyler, bliski paniki. – Powiedz nam.

Richius jak ślepiec przeszedł obok niego do skrzyni. Anioł Cienia cofnął się. Kronin i jego wojownicy już mieli go złapać, ale powstrzymał ich rozkaz Tharna.

– Zostawcie go – odezwał się mędrzec w języku Triinów. Zadrzał, z trudem utrzymując równowagę. Upadłby, gdyby nie wsparł się na lasce. – Na razie... – dodał znacząco.

Richius ukląkł przed szkatułą i przez chwilę szamotał się z kłódką, nie mogąc trafić kluczem w otwór zamka. W końcu kłódka szczęknęła dźwięcznie i otworzyła się. Richius odsunął rygle i zdjął łańcuchy. Drżał silnie, a palce niemal odmawiały mu posłuszeństwa. Na jego czole pojawiły się krople potu, a oddech stał się krótki i urywany.

Wiek szkatuły uchyliło się lekko, ujawniając mroczne wnętrze. Lucyler przechylił się nad karkiem Richiusa, usiłując zajrzeć do środka. Nie dostrzegł niczego prócz ciemnej szczeliny.

– Wielkie nieba – jęknął Richius. – Nie... nie!

Nagłym szarpnięciem otworzył szkatułę, tak że jej wieko trzasnęło o posadzkę.

Lucyler ponownie podjął próbę zajrzenia do szkatuły, przeszkodził mu w tym jednak Richius, który zerwał się na nogi i podniósł obie dłonie do skroni. Z ust młodzieńca wydarł się okrzyk okropnej udręki.

Okrzyk przerodził się w jęk. Richius runął na plecy i wijąc się niczym wąż, zaczął odsuwać się jak najdalej od złowrogiej szkatuły.

W jednej chwili w komnacie rozpełtał się chaos. Kronin błyskawicznie uniósł swój jiihtar. Anioł Cienia wyprostował się jak struna, by godnie przyjąć cios. Tharn z wyciągniętymi rękoma rzucił się do Richiusa. Lucyler zaś zajrzał do szkatuły.

I natknął się na spojrzenie martwych oczu, które patrzyły z twarzy o ledwie rozpoznawalnych rysach, nabrzmiałej zgnilizną i na poły przykrytej grzywą jasnych, zmierzwionych włosów. Oczy były błękitne i szeroko otwarte, zastygłe w wyrazie przerażenia. Lucyler poczuł, że chwytają go torsje. Sięgnął w dół, na oślep chwycił wieko szkatuły i zatrzaskał je z hukiem, jednocześnie wydając okrzyk wściekłości.

– Zabijcie go!

Jiiktar Kronina jednym cięciem zdjął Aniołowi Cienia głowę z ramion. Rozległ się głośny, metaliczny łoskot, gdy srebrny hełm wraz z zawartością uderzył o posadzkę. Wszystko jednak niemal zagłuszył przeraźliwy krzyk Richiusa, który echami odbijał się od sklepienia sali.

\* \* \*

Kiedy w końcu uśmierzonego jakoś szamoczącego się Aramoorczyka i wyprowadzono go z sali, Tharn przestąpił bezgłowe zwłoki żołnierza z Nar i z trudem się pochylił, by podjąć z ziemi porzucony list. Kronin i jego wojownicy wstrzymali oddech, równie jak on ciekawi treści listu. Tharn zmrużył nabiegłe krwią oczy i przeczytał:

Szakałowi z Nar

Dziewczyna była wszystkim, czego chciałem i na co liczyłem. Śpij czujnie: idziemy po ciebie.

Z wyrazami najgłębszej nienawiści

baron Gayle z Czarnej Kniei,

gubernator Aramooru.



# **Wodzowie**

## Z dziennika Richiusa Vantrana

Poślubiono nas sobie w kościele, którego żadne z nas nie było członkiem, pewnego zimowego, ale pięknego dnia. Sabrina była najpiękniejszą panną młodą w całym Imperium. Jej białą suknię specjalnie dla niej uszyły krawczynie hrabiny Elliann, i kiedy odziana do ślubu Sabrina weszła do Katedry Męczenników, wszyscy się w niej natychmiast zakochali.

W imieniu ojca do ołtarza poprowadził Sabrinę hrabia Biagio. Pamiętam, jaki był z tego dumny. Nie wiem, czy ma własne dzieci, Sabrina jednak się temu nie sprzeciwiła i wyglądało na to, że uszczęśliwiła tym Biagia – wszyscy zresztą się zgodzili, że to dobry pomysł. Arkus nie zaszczyił nas swą obecnością, co mnie bardzo uradowało. Poza Biagiem, jego żoną i biskupem przy naszym ślubie byli obecni tylko moi przyjaciele. Patwin stał przy mnie cały czas i choć brakowało mi Dinadina, dobrze było mieć przy sobie drugiego z najbliższych przyjaciół.

Po ślubie Sabrina zwierzyła mi się, że chciałaby, aby obecny był jej ojciec. Nie wiem, dlaczego jej tak zależało na tym zimnym draniu, ale jego nieobecność boleśnie ją dotknęła. Miała oczywiście rację. Powinien asystować przy ślubie córki. Teraz już jej nigdy nie zobaczy.

Zastanawiam się, jak Arkus to wszystko wytłumaczy jej ojcu. Nie jest on ważnym diukiem, a Gorkney nie należy do znaczniejszych prowincji Imperium. Może Arkus wszystko przemilczy, a może jej ojciec nie dba o to, co się stało z jego córką. Nigdy o nią nie dbał, kiedy żyła, wątpię więc, czy przejmie się jej śmiercią. Ale czy Arkus potrafi w pełni zrozumieć, co zrobiono w jego imieniu? Z jakiegoś powodu jego brutalność wcale mnie nie zaskoczyła i nie uważam go już za człowieka.

Ale to nie Arkus zniszczył moje życie. Czy kiedykolwiek przedtem mógłbym pomyśleć, że to możliwe? Krzywię się teraz, kiedy wspominam moje zaślepienie. Opowieść Jojustina zawsze wydawała mi się nieskładna, ale chyba za bardzo go kochałem, by się nad nią zastanowić. Powiedział mi, że furta do ogrodu była zamknięta i że zabójca wspiął się po murze. Ale nasze ogrody nigdy nie były zamykane. Ojciec by do tego nie dopuścił, gdyż uważał je za wspólne dobro. Otwierał je przed stajennymi i służbą – i nawet groźba ze strony Drolów nie mogłaby go zmusić do ich zamknięcia.

Tak więc jedynym podejrzanym był Jojustin. Jedynie on ośmieliłby się powiedzieć komukolwiek o tym, że pojechałem na spotkanie z Lucylerem. Tylko jego miłość do Aramooru zaślepiła tak bardzo, że moje uczucie do Dyany uznał za zdradę. Gdybym mógł, znienawidziłbym go, ale myślę, że niewiele we mnie zostało miejsca na nienawiść.

Wszyscy zabijaliśmy w imię głupich ideałów, i te zabójstwa pogłębiały tylko nasze cierpienia. Jeżeli mój wuj jeszcze żyje, z pewnością cierpi katusze większe niż te, jakie ja mógłbym obmyślić. Żyje bowiem w Aramoorze takim, jaki zawsze był mu nienawistnym – pod zarządem Gayle'ów.

A może się mylę i źle go oceniam. Drogi mój Jojustinie, czy mogłeś mi to zrobić?

Wszyscy moi najwierniejsi przyjaciele odeszli. Widziałem, jak Arkus buduje swoje Imperium. Wiem, że zabijano każdego, kto ośmielił mu się sprzeciwić. Patwin najpewniej zginął pierwszy. Zawsze był mi ślepo wierny i postawię własną głowę na to, że poległ, broniąc Sabriny. Co do Gilliana i pozostałych, podejrzewam, że oddano ich katy. Służbę też, chyba że mieli dość rozumu, by się mnie wyprzeć. Jeżeli istnieje Bóg na niebie, to pozwolił im to przewidzieć. Z wyjątkiem Jenny. Dola kobiet w Talistanie jest ciężka i lepiej by jej było, żeby ją zabito, niż miałyby dzielić łóżko z Gayle'm.

I to może napawa mnie największą zgrozą. O Sabrinie wiem przynajmniej, że nie żyje. Okropności, jakie jej wyrządził Gayle, już się skończyły. Mogę jednak tylko zgadywać, jakim torturom ten łajdak poddaje resztę moich ludzi. W jakiś sposób, przez Jojustina, albo innego zdrajcę, Arkus dowiedział się o mojej podróży. Z jego punktu widzenia ta sama skaza, jaką miał mój ojciec, zniszczyła moją lojalność dla Nar. Tym razem jednak nie okaże Aramoorowi takiej litości, jaką wykazał się przedtem. Oddając nasz lud we władanie Gayle'om, zniszczył nas, być może na zawsze. Byłem jedynym obrońcą Aramooru, ale nie dano mi stanąć do walki. Teraz zaś moi rodacy muszą cierpieć pod rządami Gayle'a – a to jest rzecz, której tak bardzo bał się Jojustin. Obaj zawiedliśmy nasze królestwo, i obaj będziemy za to przeklęci.

Od tamtego dnia nie widziałem Dyany – nie mogę się do tego zmusić. Gdyby nie ta moja szalona, głupia i beznadziejna miłość, nigdy bym tu nie przyjechał, a Sabrina pozostałaby wśród żywych. Dyana przesłała mi wiadomości przez Lucylera: chce ze mną mówić. Przypuszczam, że zamierza mnie pocieszyć. Ale teraz to wydaje się bezcelowe. Nie powinienem nigdy przyjeżdżać do Falindaru, a teraz utkwilem tu na dobre. Nie wiem też, gdzie jest moje miejsce. Tharn okazał łaskę, jakiej się po nim nie spodziewałem. Dał mi kwaterę w cytadeli i oznajmił, że mogę tu zostać, jak długo zechcę. Na razie nie mam zbyt wielkiego wyboru. Nie ma już domu, do którego mógłbym wrócić, i choć miłsza byłaby mi gościna w piekle, niż u Drolów, jestem teraz człowiekiem bez ojczyzny i stałbym się bezdomnym włóczęgą, gdyby nie jego królewski gest. Wzgardziłem tronem mego ojca i teraz zasiada na nim najeźdźca. Być może któregoś dnia przegonię Gayle'a, ale przyjdzie na to poczekać, zwłaszcza że nie mam za sobą żadnej siły militarnej. Dziś zwycięstwo jest przy panu z Czarnej Kniei.

Ale kiedyś jeszcze dopadnę barona z Talistanu. Zabiję go za Sabrinę i pożałuje on

tego dnia, w którym postanowił wejść między nas.

Tharn zaczął gotować swój lud do kolejnej wojny. Teraz jest nieunikniona. Zdumiewa mnie to, że poprosił mnie o pomoc. Uważa, że moja znajomość taktyki Narenów może być użyteczna. Jakże słabo mnie zna! Teraz nadaję się tylko do miecza i niewiele innych rzeczy umiałbym robić. Sam już sobie nie ufam, a moje rady mogą jedynie zaszkodzić jego wojownikom. Tharn jest jednak uparty i wygląda na to, że nie przywykł do tego, by mu odmawiano. Potrafi też postępować z ludźmi. Wojownicy Kronina rwą się do walki. Lituję się nad ich niewiedzą. Pomimo swojego wykształcenia i przeczytanych ksiąg, Tharn nie ma pojęcia o machinach, które Arkus zgromadzi przeciwko niemu.

Nie potrafi też pojąć nieludzkiego niemal uporu, z jakim imperator trzyma się życia. Drolowie uważają śmierć za portal, przez który każdy przechodzi do innego świata. Nie boją się jej jak Narenie i nie potrafią pojąć pasji, z jaką Arkus stara się ją przechytrzyć. Próbowalem wyjaśnić to Tharnowi, on mnie jednak nie chciał słuchać. Mówi jedynie o obronie przed najazdem Narenów. Wygłasza wspaniałe mowy, których wszyscy słuchają z uwielbieniem, nie wiedzą jednak niczego o broni powstałej w naukowych pracowniach Imperium, ani o fanatycznym oddaniu legionów sprawie Arkusa. Pamiętają Aramoorczyków i jeźdźców Talistanu, więc sądzą, że to wszystko, na co stać Nar. Gdyby mieli lepszą wiedzę, poczuliby technienie grozy.

Anioł Cienia, który tu się pojawił, by wydać mi głowę Sabriny, przybył na pokładzie okrętu. Dla mnie oznacza to, że Arkus wreszcie uporał się z Liss. Wkrótce u brzegów Lucel-Loru pojawi się nareńska flota. Otoczą tę ziemię śmiertelną pętlą i zdławią wszelki opór. Jeżeli Tharn jest takim mędrce, za jakiego go tu uważają, powinien jak najszybciej zawrzeć pakt z Lisseńczykami. Może ich flota zdoła obronić te wybrzeża. Wtedy walki toczyłyby się na lądzie, gdzie Triinowie świetnie się spisują. Niewielką widzę dla nich nadzieję, są jednak liczni i potrafią walczyć. W sojuszu z Lisseńczykami te bitne plemiona mogą się okazać orzechem dość twardym, by legiony Nar skruszyły sobie na nich zęby.

## Trzydzieści jeden

To właśnie dzięki sukni Dyana zrozumiała, że Richius nie będzie z nią rozmawiał. A dokładniej, dzięki przypiętej do jej rękawa karteczce.

Przez siedem kolejnych dni Dyana posyłała Lucylera do Richiusa z wyrazami głębokiego współczucia, prosząc jednocześnie, aby przybył zobaczyć dziecko. Richius odpowiadał przez Lucylera uprzejmie, lecz odmownie, twierdząc, że wszystko już zostało powiedziane. Wreszcie przed trzema dniami Lucyler wrócił, przynosząc suknię z czerwonego jedwabiu, piękną mimo, że się pogniotła podczas podróży w jukach przy siodle. Na jej rękawie była kartka pisana ręką Richiusa. Kierowany dziwaczną, męską i bezsensowną logiką Richius wyjaśniał, że jeżeli ma zostać w Falindarze, to łatwiej im będzie, gdy nigdy się już nie zobaczą, on zaś przyjmie do wiadomości fakt, że jego ukochana należy do innego mężczyzny. Dalej wyjaśniał, że suknia ma być czymś w rodzaju przeprosin. Dyana przyjęła ją z niechęcią.

Myślała jednak o nim często, jak na przykład teraz, podając dziecku pierś i bojąc się, że Shani wyrośnie, zupełnie nie znając ojca, żyjącego nieopodal na innym piętrze. Doszła do wniosku, że jest dziwnym człowiekiem, pełnym nareńskich uprzedzeń, przed którymi ostrzegał ją jeszcze ojciec. Denerwowało ją, że nie chciał z nią rozmawiać. Wiedziała, że w ten sposób chciał okazać swą siłę, odsłaniając jednocześnie słabość. Z początku była pewna, że do niej przyjdzie, gdy otrząśnie się po śmierci żony, ale kolejne, uparte odmowy wskazywały na to, że za jego milczeniem kryje się coś więcej. Z jakiegoś powodu był równie zaślepiony miłością jak Tharn, to zaś sprawiało, że popełniał głupstwa.

Rozpięła koszulę i podała dziecku pierś. Uśmiechnęła się, gdy zaczęło ssać. Późne popołudnie był to czas, który mogły spędzać razem. W komnacie było chłodno, a służba odeszła do innych prac. Teraz, gdy przywykła do karmienia córeczki, nauczyła się cieszyć samotnością. Shani ssała pierś, moszcząc się w ramionach matki, Dyana zaś wyglądała przez okno, patrząc na morze.

Była już znacznie silniejsza. Nie potrzebowała mamki, która karmiła Shani podczas pierwszych dni jej życia. Mamka jednak była przy niej, dając jej bezcenne rady dotyczące macierzyństwa. Nauczyła Dyane, jak trzymać dziecko, jak dawać mu pić i jak często karmić, tak by nie wygłodniało i nie rzucało się gwałtownie na podawaną mu pierś. Pierwsze karmienia były dość bolesnym doświadczeniem, kiedy jednak Dyana do nich przywykła, odnalazła w nich akt napełniający ją zachwytem. Nigdy nie kochała córeczki tak mocno, jak wtedy, gdy podawała jej pierś do ssania.

– Shani – odezwała się, gładząc piękne włoski na głowie niemowlęcia. – Jesz dziś bardzo łapczywie.

Dziewczynka wierciła się w jej ramionach, gdy Dyana siadała wygodniej. Za oknem widać było błyski słońca na nadciągających niezmordowane falach. Przesączone się przez szybę promienie łagodnie pieściły kark i plecy Dyany, która teraz już bez wysiłku trzymała dziecko w zgięciu łokcia i patrzyła na bezkresy oceanu.

Ogarnęła ją melancholia. Tharn urządził jej tu wygodny dom, tak różny od chatki Jaspina w dolinie Dring. Poczła się tu znów jak dziecko, rozpieszczane przez zamożnego ojca. Wszystkie jej potrzeby zaspokajano, zanim zdążyła je wymówić, i życie płynęło jej niczym dzień, który się zaczął od pięknego świtu. Nie miała żadnego tytułu, ponieważ Tharn uparcie odmawiał wszystkim, jakie chcieli mu nadać jego zwolennicy, czuła się jednak jak królowa – jedna z tych, które w Nar malowały sobie paznokcie i miały niewolników kosztujących przeznaczonych dla nich dań. I choć Tharn nie był w pełni jej mężem, okazywał jej czułość i szacunek, jakim mogło się poszczycić niewiele triińskich kobiet. Nie była jego partnerką, oczywiście, niekiedy jednak zwracał się do niej z zaskakującą szczerością. Mędrcy Drolów rzadko rozmawiali z żonami o czymś innym, niż o posiłkach, Tharn jednak darzył ją niezwykłym szacunkiem, za co mu była wdzięczna. Na swój bezsilny sposób okazywał jej nawet miłość, zawsze jednak dbał o jej zdrowie bardziej, niż o własne – bez przerwy niemal bardzo złe.

Czegóż jej więc brakowało do szczęścia?

I wtedy przed oczami stanął jej wizerunek Richiusa. Ostatnio zresztą zdarzało się to coraz częściej, co wprawiało ją w zakłopotanie. Podjął decyzję. Nie miało znaczenia to, że ona się z nią nie zgadzała. Miała zresztą męża i dziecko, o które trzeba się było troszczyć. Richius zaś z pewnością potrafił zadbać o siebie sam.

Ale czuła, że go jej brakuje. Ku swemu zdziwieniu odkryła, że przywiązała się do tego dziwnego człowieka z Nar. Był czuły jak Tharn, choć bardziej wrażliwy i podatny na ciosy. W całej cytadeli mówiono o jego przeraźliwych okrzykach, kiedy odkrył śmierć żony, a ci, którzy mu usługiwali, opowiadali, że daleko mu do tego, by go nazwać zdrowym na umyśle. Dyana jednak nie podzielała ich opinii. Kiedy się dowiedziała o tym, co znaleziono w szkatule, płakała nad obojgiem nieszczęsnych małżonków. Było w nim coś natarczywie tragicznego, co sprawiało, że zawsze jakoś potrafił się wcisnąć pomiędzy jej myśli.

Spojrzała na Shani i pieszczotliwie obwiodła palcem uszko niemowlęcia. Shani miała jego oczy i kolor włosów. Do końca życia miało to określać jej miejsce na Lucel-Lorze. Miała też jednak odziedziczoną po matce delikatną budowę i rysy twarzy – co z kolei będzie widoczne wszędzie poza granicami kraju Triinów. W tym więc okazała się

podobna do Richiusa, niewinnego młodzieńca, którego okoliczności uczyniły bezdomnym wyrzutkiem. Była córką Szakala i jedynie łaska Tharna chroniła ją przed gniewem tych, którzy nienawidzili jej ojca.

Nastrój Dyany pogarszał się z każdą chwilą. Nadciągała nieunikniona wojna z Nar. Mogła w niej stracić wszystkich bliskich – Richiusa, Shani, również Tharna. Lucyler mówił, że nawet najwyższe z murów Falindaru nie osłonią ich przed orężem Narenów. Dyana odruchowo przytuliła córeczkę mocniej. Do tego, aby przetrwać, potrzebne im były cuda, i wszyscy powinni się modlić choć o jeden. Drol czy nie Drol, każdy z Triinów miał tę samą wiarę, która była wszystkim, co im pozostało.

Dyana nie była przesadnie religijna. Dopiero niedawno uwierzyła w istnienie bogów. Jej światopogląd uległ zmianie, gdy zobaczyła okaleczone ciało Tharna. Jak setki innych, była świadkiem mocy mędrca, wiedziała też, jak ciężkim brzemieniem obarczyli go władcy niebios. Tharn był dla niej oczywistym dowodem władzy bogów nad światem i jeżeli jej powie, żeby się modliła, będzie się modlić żarliwie i z nadzieją, że modlitwa dotrze do boskich uszu.

– Będę się modliła za ciebie – rzekła spokojnemu już teraz dziecku. Do Shani zawsze się zwracała w języku Triinów. Było to życzenie Tharna. – Będę się modliła o pokój dla ciebie i szczęście w życiu.

Ale czy to wystarczy? Ta myśl nieustannie ją trapiła. Wszyscy wiedzieli, że Tharn postanowił nie używać już swoich mocy. Tym razem niebiosą będą musiały im zesaść na ratunek kogoś innego. Tym razem mieli przeciwko sobie wszystkie demony z Nar i choć o Narenach wiedziała znacznie mniej, niż jej małżonek, dość tego było, by pojąć, jaką przedstawiali sobą siłę. Widziała, co potrafią zrobić z ludźmi ogniomioty. Triinowie mieli jedynie jiktary i swoje męstwo.

– I Tharna, który nas poprowadzi – dodała z namysłem.

Ta myśl podniosła ją na duchu. On był fanatykiem i potrafił zagrażać ludzi do wielkich czynów. Potrafił przecież wziąć w karby plemiennych wodzów i położyć kres ich odwiecznym sporom. Jeżeli to mu się udało, z pewnością potrafi zjednoczyć ich przeciwko Narenom.

– Tharn nas ocali – szepnęła córeczce. – Nie martw się.

Shani wcale nie wyglądała na zmartwioną. W ogóle niczym się nie przejmując, ssała i posapywała z zadowolenia. Dyana uśmiechnęła się. Shani była takim dobrym dzieckiem... zupełnie różnym od tych koszmarnych maleństw, o których nieustannie jej opowiadano, gdy była w ciąży. Nawet jej mamka dziwiła się niezwykle spokojnemu usposobieniu dziewczynki. Dyana zaś po prostu była z niej dumna.

Zaskoczył ją odgłos człapiących kroków za drzwiami. Szybko odsunęła dziecko od

piersi i zaciągnęła koszulę. Zaraz jednak rozpoznała odgłos kroków męża, gdy więc zapukał do drzwi, podniosła głowę i spojrzała w stronę drzwi.

– Mężu? – spytała. – To ty?

Drzwi zaskrzypiały i wychyliła się zza nich głowa Tharna. Przywódca Drolów spojrzał przeproszająco na żonę.

– Dyano, czy możemy porozmawiać?

Dyana cofnęła dłoń z koszuli, pozwalając, by jej poły się rozchyliły.

– Owszem – odpowiedziała. – Ale pozwolisz, że nadal będę karmiła Shani?

Tharn spojrzał na odsłoniętą pierś żony i patrząca mu w oczy Dyana dostrzegła błysk czegoś bardzo podobnego do żądz. Szybko jednak odwrócił wzrok i zaczął niezdarnie zamykać drzwi.

– Nie, nie krępuj się – odpowiedział. Odwrócił się jednak od niej i by nie myśleć o tym, co się dzieje za jego plecami, utkwił spojrzenie w przestrzeni za oknem.

„Biedak” – pomyślała Dyana, ponownie podnosząc córeczkę i podając jej pierś. Niemal fizycznie odczuwała jego rozterkę. Zawsze dobrze ją ukrywał, bywały jednak chwile, takie jak ta, kiedy pragnienia wypływały na powierzchnię, stając się czytelne dla każdej kobiety, która kiedykolwiek widziała błysk pożądania w oczach mężczyzny. Na swoje nieszczęście Tharn nie był zdolny do zaspokojenia swoich pragnień. Nawet jeżeli jej pragnął, nie umiał się zmusić do tego, by ją wziąć, i Dyana – co zaskakiwało ją samą – litowała się nad nim z tego powodu. Teraz starannie otuliła się koszulą.

– Wyglądasz tak, jakby cię coś trapiło – zauważyła.

Tharn zrobił lekko zaskoczoną minę.

– Naprawdę? Wybacz. Ostatnio jestem... trochę zajęty.

– Masz dla mnie jakieś złe wieści?

– Na razie nie – odparł Tharn ponuro. – Ale w Przesmyku Saccenne zbierają się wojska. Myślę, że już niedługo uderzą na Ackle-Nye. Kiedy to się stanie, prawdopodobnie będę miał dla ciebie złe wieści.

Dyana nie odpowiedziała. Wiedziała, że jeżeli Tharn czegoś od niej chce, powie jej to w swoim czasie. Mąż pokuszył się do okna i jakby zapominając o niej, przez chwilę patrzył na ocean.

– Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła – odezwał się w końcu. – W zwykłych warunkach nigdy bym cię o to nie poprosił, ale tylko ty możesz to zrobić.

– Zrobię, co będzie w mojej mocy – odpowiedziała Dyana.

– Dziecko ma się dobrze? – spytał.

Dyana kiwnęła twierdząco.

– Tak.



– Jest silne i zdrowe?

– Owszem, jest silne.

– A ty?

Wciąż na nią nie patrzył, co ją zaczynało irytować.

– Mężu, nic mi nie jest, nie martw się. Co mam dla ciebie zrobić?

– Ładny dzień mamy, nie za chłodny. Powinnaś zabrać dziecko na zewnątrz, by poczuło trochę słońca i świeżego powietrza.

– Czy o to ci właśnie chodzi?

– Nie – odpowiedział Tharn. – Nie, nie o to.

Odwrócił się ku niej, ona zaś zauważyła, że z jego spojrzenia znikło pożądanie. Podszedł bliżej, opierając się na swoim kosturze. Dyana spojrzała w jego poważne oczy i poczuła się niepewnie.

– Mężu?

Tharn podszedł jeszcze bliżej.

– Dyano, to, o co chcę cię poprosić, jest ważne, możesz jednak odmówić, jeżeli taka będzie twoja wola. Nie będę się gniewać. Rozumiesz?

Dyana kiwnęła głową. Tak naprawdę niczego nie rozumiała, ale ten gest sprawił, że Tharn podjął wątek.

– Ten twój mężczyzna z Aramooru... Nie jest z nim dobrze. Nie potrafi jasno myśleć. Wiesz o tym?

– Prawie z nim nie rozmawiałam – odpowiedziała Dyana, niepewna, ile Lucyler powiedział Tharnowi.

– To dlatego, że on w ogóle nie chce nikogo widzieć. Żono, wiem, że próbowałaś się z nim rozmówić. Możesz się przyznać... Nie przyszedłem tu, by ci robić wymówki.

– Mężu, ja...

– Nie kłam – ostrzegł ją Tharn. – Zbyt łatwo czytam w twoich myślach. Martwiłaś się o niego i chciałaś się z nim zobaczyć, nie zaprzeczaj.

Dyana udała, że zajmuje się dzieckiem. Nienawidziła tego, gdy tak się do niej zwracał. Zgrzeszyła nieostrożnością. Wiedziała, że powinna teraz przeprosić Tharna, nie mogła się jednak do tego zmusić. Wyglądało zresztą na to, że jej mężowi nie zależy na przeprosinach.

– Czego ode mnie oczekujesz? – spytał zimno.

– Chciałem skłonić Richiusa, by nam pomógł. Ma wiedzę, której potrzebujemy. On jednak nie zechce wysłuchać ani mnie, ani Lucylera. Ale myślę, że ciebie... Tak, ciebie chyba mógłby wysłuchać. Chcę, byś go skłoniła do przejścia na naszą stronę.

Dyana szybko podniosła głowę.

– Mój mężu, nic z tego nie będzie. On nie zechce się ze mną zobaczyć. Ty zresztą o tym już wiesz.

– Pewien jestem, że kiedy do niego pójdziesz, nie odeśle cię. Nie zdoła tego uczynić, bo cię kocha.

Dyana skwitowała to udanym śmiechem.

– Nie, mylisz się.

– Kobieto, nie mam czasu na to, by się z tobą zabawiać w grę słów – odparł szorstko Tharn. – Kocha cię tak samo, jak ja. I podejrzewam, że ty często o nim myślisz. Nie będę kłamał i powiem ci, że dręczy mnie zazdrość. A teraz, skoro już to sobie wyjaśniliśmy, czy możemy przejść do spraw prawdziwie ważnych?

– Owszem – odpowiedziała Dyana. – Ale nie będę go uwodzić. I nie oszukam tak, jak wy zrobiliście to z Lucylerem.

Twarz Tharna stężała.

– Nie drażnij mnie! Nie proszę cię o to, byś go oszukiwała albo uwodziła. Chcę tylko, byś go przekonała, że musi nam pomóc.

– Nie, mój mężu – upierała się Dyana. – Nie mogę się z nim zobaczyć.

Tharn cofnął się o krok.

– Dyano – odpowiedział spokojnie. – Już ci mówiłem, że nie będę się gniewał, jeżeli mi odmówisz. Chcę jednak najpierw wyjaśnić ci pobudki, jakie mną kierują. Jesteśmy w poważnych kłopotach. Jeżeli prawdziwe są wieści z Ackle-Nye, to w przesmyku zebrały się już tysiące oddziałów Narenów gotowe do uderzenia. Nikt zaś z nas nie zna ich tak dobrze, jak Richius. Może się okazać, że jest naszą jedyną nadzieją.

– Mylisz się...

– Jeszcze nie skończyłem – przerwał jej spokojnie. – Będą mieli ze sobą broń, jakiej żaden z nas jeszcze nie widział. A ich taktyka też będzie dla nas nowa. Tym razem zetrzemy się z legionami wybranymi spośród najlepszych oddziałów imperatora. Nie będą to tylko ludzie z Aramooru czy Talistanu. Richius może nam rzec, czego powinniśmy się spodziewać. Nawet jeżeli nie zechce się bić po naszej stronie, posiada wiedzę, która była by dla nas bezcenna. Ja już wyczerpałem swoje wiadomości o Narenach, zaczerpnięte zresztą tylko z ksiąg. On jest nam bardzo potrzebny.

Oparł się na lasce, wyczerpany przemową, ale i zadowolony.

– To już wszystko – zakończył. – Teraz możesz podjąć właściwą decyzję.

– A jeżeli powiem „nie”?

– Nie będę nalegał.

Dyana zaśmiała się nie bez goryczy.

– Ale ty będziesz rozczarowany.

– Będę – przyznał Tharn. – Uszanuję jednak twoją decyzję. – Podeszedł bliżej. – Wiesz, że mógłbym ci po prostu wydać polecenie. Jesteś moją żoną. Wielu mężczyzn w ogóle nie pomyślałoby o tym, by składać ci jakiegokolwiek propozycje.

– Mój mężu, nie jestem pewna, czy zdajesz sobie sprawę z tego, o co mnie prosisz – rzekła Dyana, śmiało unosząc głowę. – On już mi przekazał wiadomość, bym nie próbowała mu się narzucać. Nie chce mieć ze mną nic do czynienia, i choć przyznam, że nie bardzo to rozumiem, wiem, że naprawdę tak myśli. Prawdopodobnie znaczy to, że był też szczerzy wobec ciebie. Jeżeli nie chce ci pomóc, nie zdołam go do tego skłonić.

Na twarzy Tharna pojawił się wyraz nadziei.

– Dyano, jeżeli pójdziesz do niego z dzieckiem na rękę, jeżeli on zobaczy, o co walczy, pewien jestem, że cię posłucha.

– Z dzieckiem? Nie użyję wobec niego takiego podstępu!

– Nie ma innej rady – odpowiedział ostro Tharn. – Musimy sprawić, by przejrzał na oczy. To jego dziecko! Niech mu rzeknie w twarz, że się go wypiera. Nie sądzę, by się na to zdobył.

Była to straszna sugestia i Dyana zdumiała się, kiedy usłyszała ją z ust Tharna. Najgorsze ze wszystkiego było to, że rzecz mogła się udać. Tharn był bardzo przenikliwy. Wejrzał już w serce Richiusa i znalazł tam troskę, współczucie i miłość człowieka, który nie był potrafiłby porzucić swojego dziecka i pozwolić mu umrzeć.

– Wiem, że mu na nas zależy – odpowiedziała Dyana. – Ale może sądzi, że nie zdoła nam pomóc.

– Już mi to mówił – odpowiedział Tharn. – Ale to bzdura. Potrzebna mu tylko wiara w siebie, bodziec, który spowoduje, że zaufa swoim umiejętnościom. Dlatego musisz pójść ty, Dyano. Mnie nie zechce wysłuchać. Darzy mnie nienawiścią i być może nie bez powodu. Ale ciebie kocha. Zrobi to, jeżeli go porosisz.

To przypuszczenie sprawiło, że Dyana zachichotała.

– Masz o mnie wysokie mniemanie, mężu. On znalazł w sobie dość siły, by odmówić mojej prośbie o spotkanie.

– To idź do niego bez zaproszenia. Nie dopuść do tego, by ci odmówił. Jest w zieleńcu, gdzie dogląda swego konia. I jest sam.

– Chcesz, bym poszła od razu? Teraz?

– Jak tylko skończysz karmić dziecko.

– Nie – sprzeciwiła się Dyana. – To za wcześnie. Może kiedy przeboleje śmierć żony...

– Nie mamy czasu na przeczekanie jego żałoby – stwierdził Tharn. – Jeżeli zamierzasz to zrobić, to tylko teraz. Zgromadzone w przesmyku oddziały Narenów lada

moment uderzą na nas. Kiedy przekroczą granice Lucel-Loru, nie zdołamy ich zatrzymać. Musimy też pamiętać o ich flocie. – Tharn wyciągnął dłoń ku bezkresom wód, rozciągających się za oknem. – W każdej chwili mogą wysadzić tu wojska, prosto przed naszym domem. Moja żono, nie jesteśmy tu już bezpieczni. Nie wolno nam tracić czasu. – Na jego twarzy pojawił się łagodniejszy wyraz. Pochylił się ku Dyanie. – Przykro mi, ale jeżeli zamierzasz odmówić, muszę to wiedzieć już teraz. Muszę podjąć pewne decyzje, które nie mogą czekać. Już wezwałem wodzów na naradę. Będą tu za kilka dni, najwyżej tydzień. Muszę być gotów na ich przyjęcie i muszę wiedzieć, co im rzec.

Twarz Dyany nagle stężała.

– Wezwałeś wodzów? Kazałeś im się stawić tutaj? Wszystkich?

Tharn potwierdził spokojnym skinieniem głowy. Dyana widziała, że przejrzał jej obawy.

– Wszystkich, którzy mogą tu dotrzeć.

– I Vorisa? Co z nim?

– I jego wezwałem – padła chłodna odpowiedź.

Dyana zadrżała. Jak na mędrca, Tharn potrafił niekiedy okazywać niewiarygodną głupotę. Wiedział, jakie to stwarza niebezpieczeństwo dla Richiusa, uważał jednak, że potrafi sobie z tym jakoś poradzić. Trzeba jednak będzie uprzedzić Richiusa o zagrożeniu. Niestety, będzie się musiała jeszcze raz zobaczyć z Lucylerem i poprzez niego ostrzec Richiusa o przybyciu Vorisa Wilka z doliny Dring.

– Chcę, by Richius wziął udział w naradzie wojennej – stwierdził Tharn. – Może nam powiedzieć, czego powinniśmy się spodziewać. Potrzebuję go po naszej stronie, Dyano, a tylko ty i Shani potraficie go przekonać, by się do nas przyłączył.

Shani beknęła, a z jej usteczek ułała się strużka mleka. Dyana podniosła dziecko wyżej i uważnie mu się przyjrzała. Zdarzało się jeszcze, że nie potrafiła nakarmić dziecka, kiedy coś rozpraszało jej uwagę. Wstała i przeszła obok Tharna, nie zwracając na niego uwagi, a potem umieściła niemowlę w ozdobnej kolebce, starannie otulając je kocami.

– To trochę... niespodziewane – odezwała się w końcu. – Nie wiem, czy zdołam w czymś pomóc.

– Wybór należy do ciebie – odpowiedział Tharn. – Uszanuję go, jakkolwiek będzie.

– Powiedziałaś, że Lucyler nie zdołał go przekonać. A próbował?

– Kilka razy. Obawiam się, że Richius już mu nie ufa.

Dyana kiwnęła głową bez entuzjazmu.

– Wkrótce ci odpowiem – stwierdziła. – Najpóźniej do jutrzejszego ranka. – Niemal

usłyszała radosny uśmiech męża za jej plecami. Tharnowi zawsze udawało się dopiąć swego.

– Poczekam – odpowiedział i odwróciwszy się, wyszedł z komnaty i zamknął za sobą drzwi.

Dyana, ignorując gniewne gulgotanie córeczki, machinalnie zapięła guziki koszuli. Chciała iść do Richiusa, by ponownie pokazać mu córeczkę i usłyszeć jego płacz po zabitej żonie. Chciała usiąść przy nim i porozmawiać o rozmaitych drobiazgach, by poznać go tak, jak do tej pory nie było jej dane. Wszystko to jednak pozostawało i miało pozostać w sferze pragnień z powodu jednej przyczyny – była żoną Tharna, a Drołowie traktowali małżeństwo ze śmiertelną powagą. Mogła jedynie pójść i rozmawiać z Richiusem o wojnie, bitwach i śmierci. Niewielki miała wybór – mogła pomówić z nim o Tharnie, albo wcale.

Decyzja była zaskakująco łatwa.

\* \* \*

Zgodnie z tym, co powiedział Tharn, znalazła Richiusa w zieleńcu, gdzie doglądał roslęgo, gniadego konia. Zieleniec był w zasadzie porośniętym trawą zwróconym na południe stokiem góry, na której wzniesiono cytadelę. Bardziej był podobny do zapuszczonej farmy niż ogrodu, porośnięty dzikim kwieciami i zastawiony ulami. W tym romantycznym miejscu często wyznaczali sobie spotkania kochankowie.

Richius nie zauważył Dyany, gdy ta podchodziła bliżej. Czyścił lśniąca sierść konia zgrzebłem, a każde pociągnięcie wykonywał z rozmyślną powolnością. Wierzchowiec stał spokojnie, ciesząc się każdą chwilą uwagi pana. Podchodząca ostrożnie Dyana zwolniła kroku i osłoniła dłonią twarzyczkę Shani przed słońcem. Długi cień Richiusa równomiernie chybotał się wśród traw. Dyana stanęła za Aramoorczykiem.

– Dziękuję ci za suknię – odezwała się drżącym głosem. – Jest bardzo piękna.

Dłoń Richiusa zawisała na chwilę powietrzu, a potem opadła do jego boku. Młodzieniec opuścił głowę i westchnął ze znużeniem.

– Przeczytałaś moją kartkę – odpowiedział, nie odwracając twarzy. – Przykro mi, Dyano, ale ja naprawdę nie chcę już z tobą rozmawiać.

– Chciałam cię pokazać dziecko – rzuciła szybko Dyana.

Richius natychmiast się odwrócił. Na widok zawiniętej w koczek dziewczynki, jego twarz się rozjaśniła.

– Powiedziałeś, że będziesz przychodził, by się z nią widywać. Nie przychodziłeś, pomyślałam więc, że może ja przyniosę ją do ciebie.

– Dyano...

– Jesteś jej ojcem, Richiusie. Jeżeli zamierzasz tu zamieszkać, powinieneś ją poznać bliżej.

Richius miał bardzo przygnębioną minę. Opuścił zgrzebło na ziemię i podszedł bliżej, przenosząc wzrok z twarzyczki Shani na twarz Dyany, gdzie go wreszcie zatrzymał na dłużej.

– Rad jestem, że przyszedłaś – powiedział. – Tęskniłem za tobą.

„I ja za tobą” – pomyślała. Tego mu jednak nie powiedziała, tylko podała dziecko.

– Weź ją na ręce – poleciła. – Jeszcze tego nie robiłeś, a powinieneś.

Richius się zawahał.

– No, weź – dodała mu odwagi. – Pokażę ci, jak ją trzymać.

– Nie... – odpowiedział. – Wiem, jak trzymać dzieci. Tylko...

– Co?

– Boję się tego. Już ją pokochałem, Dyano. Boję się, że jak ją przytulę, nie będę mógł stąd odejść.

Dyana pospiesznie wsunęła mu dziecko w ramiona, bojąc się kolejnej odmowy. Zaskoczyło ją to, że Richius wprawnie ujął dziecko i przez chwilę poprawiał kocyk. Shani nawet nie zakwiliła. Twarz Dyany rozjaśniła się uśmiechem dumy.

– Już to robiłeś – stwierdziła. – Gdzie się tego nauczyłeś?

– W domu zawsze były jakieś dzieci – odpowiedział. – Któraś z kobiet zawsze też była brzemienna. – Parsknął śmiechem. – Mój ojciec ciągle się zgłaszał do opieki nad dziećmi służących. Służących, zechciej zwrócić uwagę. Był przecież królem! Kochał dzieci, ale kiedy przychodziło do zmiany pieluch, zawsze mnie wołał na pomoc. – Znów zachichotał. – Boże! Jak ja tego nie cierpiałem!

– Ale nieźle cię wyszkolił. Spójrz, ona się nawet nie przebudziła.

Oboje utkwili spojrzenia w twarzyczce Shani. Dziecko znieruchomiało i tylko maleńka strużka śliny różniła je od posągu. Richius łagodnie uniósł niemowlę i najdelikatniej, jak umiał, pocałował córeczkę w czoło. Bardzo długo nie otwierał oczu. Kiedy wreszcie rozchylił powieki, Dyana spostrzegła w nich coś, czego przedtem tam nie było.

– Dziękuję ci za to, że ją przyniosłaś – stwierdził po prostu. – Zastanawiałem się, czy ją jeszcze kiedykolwiek zobaczę.

– Wystarczy, żebyś poprosił. Nigdy bym ci nie bronila takich spotkań. Chciałam ci to właśnie powiedzieć. Dlaczego nie chciałeś ze mną rozmawiać?

Pożałowała pytania, gdy tylko spłynęło z jej warg. Wiedziała, dlaczego Richius nie chce się z nią widzieć. Już jej to wyjaśnił – a teraz miała powód wymalowany niemal na

jego twarzy. Kochał ją, nadal ją kochał. Bolesne było dla niego przebywanie w pobliżu ukochanej i świadomość, że należy do innego. Fakt, że nie odczuwała tego bólu równie silnie jak on sprawił, że poczuła nienawiść do samej siebie. Richius podszedł do konia, ujął w dłoń wodze i wrócił do Dyany. Wierzchowiec posłusznie szedł za swoim panem.

– Usiądźmy na chwilę – zaproponował.

Przez usiane kwiatami trawy doszli razem do krawędzi zbocza, gdzie wielokrotne poprzednie spotkania innych par wygładziły powierzchnię głazu niemal do połysku. Usiedli na występie. Błyskawica zatrzymał się za nimi. Richius trzymał dziecko w ramionach, kołysząc je łagodnie i śpiewając mu cicho jakąś kołysankę. Dyana milczała, zauroczona miłym brzmieniem jego głosu. Skończywszy, młodzieniec spojrział na nią z ukosa. W jego oczach widać było zakłopotanie.

– Ładne – stwierdziła Dyana. – Co to było?

– Aramoorska piosenka. Matka mi ją śpiewała, kiedy byłem mały, ale nie bardzo mogę przypomnieć sobie słowa.

„A ja cię prawie nie znam – pomyślała dziewczyna, czując nagły ucisk w piersi. – A tak bardzo bym tego chciała”.

– Zmarła, kiedy byłeś jeszcze mały?

Richius spochmurniał.

– Miałem mniej więcej pięć lat. Rak. Ojciec niewiele mi powiedział, ale pamiętam, że długo czekałem na jej powrót. Nie wróciła.

– To musiało być dla ciebie okropne.

– Było. Ale myślę, że ojciec przeżył to jeszcze bardziej. Przyjaciele mi powiedzieli, że po jej śmierci stał się innym człowiekiem. Chciał mieć wiele dzieci, ale matka była zbyt słaba, by urodzić mu choć jeszcze jedno. Wiesz, nie jest dobrze, gdy król ma tylko jednego syna. Zawsze próbował mnie chronić, ale kiedy przyszło do wojny w Lucel-Lorze, musiał posłać mnie. – Twarz Richiusa stężała. – Był dobrym ojcem – stwierdził cicho. – Miał swoje wady, ale wiem, że zrobił, co było w jego mocy.

– Głęboko ci współczuję, Richiusie – odezwała się Dyana. – Tak wiele straciłeś. Żal mi cię. – Przez chwilę milczała, a potem dodała szybko. – I twojej żony...

Richius podniósł wzrok znad Shani i spojrział jej w oczy. Jego oczy płonęły uczuciem, które Dyana znosiła z najwyższym trudem, a jednak rada była, że to powiedziała. „Żona”. Tak wiele chciała się dowiedzieć o brutalnie zabitej kobiecie, a nie знаła nawet jej imienia. Teraz zdziwiła się nagle, usłyszawszy własny głos.

– Jaka ona była... twoja żona?

Richius aż się cofnął, zdumiony śmiałością i natarczywością pytania. Jego źrenice rozszerzyło zdziwienie.

– Zadziwiająco, że o to pytasz – odpowiedział. – Ale odpowiem ci z radością, jeżeli sprawi to choć w małym stopniu, że Sabrina zostanie w ludzkiej pamięci. Była najpiękniejszą dziewczyną na świecie. Nie wiedziałem tego, dopóki... A małżeństwo ze mną było najgorszą rzeczą, jaka jej się w życiu przydarzyła.

– Była bardzo piękna?

Przez twarz Richiusa przemknął smutny uśmiech.

– Piękniejsza, niż się to da opowiedzieć. Każdy mężczyzna, który ją zobaczył, musiał ją pokochać... i każdy by ją poślubił, gdyby tylko mógł. Miała złote włosy, niebieskie oczy i twarz jak z obrazka. Tak, była piękna.

– Kochałeś ją?

– Cóż, odpowiedź na to pytanie nie jest taka prosta.

– Odpowiedz!

– Trudno jej było nie kochać – stwierdził Richius. – Myślę, że kochałem ją tak, jakby była moją siostrą, kimś potrzebującym mojej ochrony. Oczywiście nie zdołałem jej obronić, tak jak mi się to nie powiodło w twoim przypadku. Ale zależało mi na niej. Może nie tak, jak na to zasługiwała, ale zależało.

– Jesteś jak twój ojciec. Zawsze robisz wszystko, co możesz.

– Dyano, zawiodłem ją. Tak samo, jak zawiodłem ciebie. Ostatnio jedynie to potrafię robić dobrze. Czy w triińskim jest jakieś słowo oznaczające żalostnego durnia.

– Nie powiem ci – odpowiedziała Dyana. – Nauczę cię lepszego słowa. Powiedz *neensata*.

– Powtórz.

– *Neensata* – powtórzyła Dyana wolniej. – *Neensata*. Powiedz to.

Richius się skrzywił.

– Ninshata.

Dyana zachichotała.

– *Neensata* – powiedziała, wskazując Shani. – To znaczy „córeczka”. Shani to twoja *neensata*. – Potem wskazała na siebie Richiusa. – *Jayato* i *dayator*.

– Matka i ojciec – domyślił się Richius.

– Owszem. Dobrze ci idzie, Richiusie. Znasz więcej triińskich słów, niż myślisz. Jeszcze jedno – rzekła, wykonując ręką kolisty ruch, obejmujący całą trójkę. – *Kafife* – powiedziała i zrobiła rozczarowaną minę, kiedy ujrzała, że brwi Richiusa zbiegają się w namyśle.

– Nie rozumiem – odparł. – Jedno słowo na całą trójkę?

– Tak. My wszyscy. Ojciec, matka i córeczka.

Richius zastanawiał się przez chwilę, a potem na jego twarzy pojawił się smutek.



– Rodzina.

Dyana skinęła głową.

– Nie inaczej, rodzina. Jesteśmy rodziną, Richiusie.

– Nie – sprzeciwił się młodzieniec. – Nie jesteśmy. Poślubiono cię Tharnowi.

– To niczego nie zmienia. Shani jest naszą córeczką. Jesteśmy rodziną. *Kafife*.

– Dyano...

– Richiusie, myślisz, że zostałeś na świecie sam jak palec. To nieprawda. Jestem przy tobie. Zrobię dla ciebie, co będę mogła. Lucyler też. Jest twoim przyjacielem, nieważne, co o tym myślisz. Dbaj o siebie i trapij go twoja samotność. Wszyscy jesteśmy *kafife*.

Richius uśmiechnął się lekko.

– Dyano, jesteś bardzo uprzejma. Bardzo to sobie cenię. Aż do tej pory nie wiedziałem, jak mi była potrzebna rozmowa z tobą.

– Możesz nas odwiedzać, kiedy zechcesz – oznajmiła Dyana. – Tharn mi nie zabrania widywać się z tobą. Nie przychodź tylko bez zapowiedzi. Jeżeli zechcesz, prześlij mi wiadomość przez Lucylera, on wszystko ustali, a ja uprzedzę o twojej wizycie Tharna.

– On się nie zachowuje jak mężczyzna, prawda? – spytał Richius. – Mam na myśli to, że nie postępuje jak pozostali Drolowie, którzy trzymają swoje żony pod strażą.

– Ma do mnie zaufanie – wyjaśniła Dyana. – A raczej nie chce mi sprawić przykrości, krępując mnie zakazami. Już ci mówiłam, że jest bardzo dobrym człowiekiem.

– Sam to widzę. I godzi się rzec, że mnie to cieszy.

I wtedy Dyana uciekła ze spojrzeniem w bok. Przypomniała sobie, po co tu przyszła, i na jej twarz wypełził rumieniec winy. Wciąż jeszcze mieli do omówienia niezręczną sprawę planów Tharna. Powinna bardzo ostrożnie podejść do tematu. Była jednak zbyt prostolinijna, nie chciała też komplikować sobie życia kłamstwami. Ceniła sobie szczerość – tę, z jaką udzielał jej odpowiedzi, i chciała odpowiedzieć mu tym samym.

– Richiusie – odezwała się cicho. – Muszę ci coś wyznać. Będziesz na mnie zły...

Richius spojrzał pytająco.

– O co chodzi?

– Nie przyszłam tu tylko po to, by ci pokazać nasze dziecko – stwierdziła. – Musimy porozmawiać o czymś ważnym.

– O czym?

– Przyszłam tu na prośbę Tharna. Chciał, żebym cię do czegoś namówiła. Potrzebna mu twoja pomoc, Richiusie. On się spodziewa, że zdołam cię do tego nakłonić.

Richius parsknął krótkim śmiechem.

– Jest uparty, ten twój pan mąż. Próbował mnie już zwerbować przez Lucylera,

a potem sam dwukrotnie mnie nachodził w tej samej sprawie. A teraz ty? Boże, czy on nigdy z niczego nie rezygnuje?

– Uważa, że to, co wiesz o Nar, może się okazać bardzo dla nas użyteczne – stwierdziła Dyana. – Gniewasz się na mnie?

– Nie – odpowiedział Richius, spoglądając na Shani. – Nadal uważam, że bardzo dobrze zrobiłaś, przynosząc ją do mnie.

– Ale jest coś jeszcze, o czym powinieneś wiedzieć. Tharn organizuje naradę wojenną. Na rozmowy o zbliżającej się wojnie wezwał do Falindaru wszystkich plemiennych wodzów. Wszystkich, Richiusie.

Wyglądało na to, że Richius w ogóle jej nie usłyszał. Bawił się z dzieckiem, wsuwając palec pod kocyk i delikatnie je łaskocząc. Shani, która zdążyła się obudzić, gulgotała zadowolona i rada z nowej zabawy.

– Więc cóż? – spytał w końcu niecierpliwie.

– Nie słuchałeś mnie – stwierdziła z niepokojem w głosie. – Będzie tu Voris.

Na wspomnienie wodza doliny Dring cała radość natychmiast ulotniła się z twarzy Richiusa. Powoli wyciągnął palec spod kocyka Shani.

– Voris... – wyszeptał.

Dyana natychmiast pojęła jego gniew. Poza Tharnem niewielu było wśród wodzów ludzi, którzy budziliby po równi strach i nienawiść wśród zwolenników Daegoga.

– Będzie tu za tydzień – ciągnęła Dyana. – Wiem to od Tharna. Kiedy tu się pojawi, możesz się znaleźć w niebezpieczeństwie. Musisz bardzo uważać, Richiusie. Jeżeli Voris zachował dawne urazy, Tharn nie zdoła cię obronić.

– Sam Voris tu się pojawi – mruknął Richius. – Zdumiewające. Nie mogę uwierzyć, że zaryzykuje przyjazd do Tatteraku...nie wtedy, gdy żyje Kronin i ma w ręku swój jiihtar.

– Kronin niczego mu nie zrobi, a i Voris będzie uprzejmy wobec Kronina, przynajmniej na czas pobytu w Falindarze. Za namową Tharna zawarli pokój i żaden z nich otwarcie go nie zerwie. W twoim wypadku rzecz ma się inaczej. Przed utarczką z tobą nic Vorisa nie powstrzymuje. Nie jesteś Triinem. Może spróbować wziąć na tobie rewanż, nawet wbrew woli Tharna.

– Więc nie bez przyjemności będę się trzymał od niego z daleka – stwierdził Richius. – Może on nawet nie wie, że tu jestem. Szczerze mówiąc, nie widzę powodu, dla którego ktoś miałby mu o tym mówić.

Dyana zmarszczyła brwi.

– Niczego nie rozumiesz, Richiusie. Tharn chce, byś wziął udział w tej naradzie wojennej. I tam Voris na pewno cię wypatrzy.

– Wiem, czego chce Tharn. Po prostu tam nie pójde.

Dyana poczuła ostre ukłucie rozczarowania. Wyciągnawszy rękę, musnęła ramię Richiusa.

– Więc im nie pomożesz?

Richius potrząsnął głową.

– Nie mogę.

– Ale myślałam...

– Co myślałaś? Myślałaś, że jak tu przyjdiesz, to zmienię zdanie? Cóż, źle myślałaś. Rad jestem, że przyniosłaś dziecko, cieszę się z tego, że porozmawialiśmy, ale to niczego nie zmienia. Nie mogę pomóc Tharnowi i nie jestem pewien, czy pomógłbym, gdybym mógł.

– Richiusie, proszę, zechciej mnie wysłuchać. Tharn mi powiedział, że w przesmyku już się gromadzą oddziały. Wkrótce będą gotowe do uderzenia na Ackle-Nye, a potem już nie będzie sposobu na to, by zatrzymać Narenów. Ale ty znasz ich sposoby wojowania. Może będziesz mógł uratować tych biedaków. Bez twojej pomocy niechybnie zginą.

Richius spojrział na nią twardym wzrokiem.

– Zrozum, Dyano, i tak wszyscy zginą, z moją pomocą czy bez niej. Mówiłem już Tharnowi, że nie ma żadnych szans, on jednak jest zbyt uparty, by mnie wysłuchać. Najlepsze, co może zrobić, to poprosić Lisseńczyków o wsparcie i przedłużyć agonię. Tym razem w Lucel-Lorze nie ma nikogo, kto mógłby odeprzeć Narenów. Arkus wyśle na was wszystko, czym tylko dysponuje, uderzy na was wszystkimi swoimi siłami, zbrojnymi w najlepszy oręż. Przetoczą się przez ten kraj jak burza i wymordują wszystkich, ciebie, mnie i nawet tę małą. Ani ja, ani ty, ani nikt inny nie zdołamy temu zapobiec.

Dyana zmartwiała z przerażenia.

– Mówisz tak, jakbyśmy już byli zgubieni.

– Bo jesteśmy zgubieni! – powtórzył Richius. – Czego Tharn się po mnie spodziewa? Że zbuduję mu flotę? Zacznę robić eksperymenty, by mógł produkować ogniomioty? Jedynym powodem, dla którego garstka naszych utrzymała się w dolinie Dring tak długo, był ten, że mieliśmy nareńską broń przeciwko jego niezliczonym wojownikom. A teraz wyobraź sobie tysiące Narenów uzbrojonych w te same ogniomioty. Jak sądzisz, jaką szansę będą mieli ci biedacy? Oto czemu chce stawić czoło twój mąż. To beznadziejna sprawa.

– Nie beznadziejna – odparła Dyana z desperacją w głosie. – To wielki kraj, Richiusie. Jego mieszkańcy są liczni i potrafią się bronić. Nawet twój imperator nie zdoła

zabić wszystkich.

– A kto mu zabroni?

– Nie poddamy się bez walki. I nie mogę uwierzyć, że tak łatwo rezygnujesz. Przebyłeś tę drogę dla mnie i teraz nie zechcesz udzielić Tharnowi i Lucylerowi niewielkiej w gruncie rzeczy pomocy? Nie jesteś tym Richiusem, którego znałam!

– I to cię dziwi? Straciłem wszystko, co miałem: ojczyznę, przyjaciół, żonę... wszystko. To już nie jest moja wojna.

– I nie masz o co walczyć?

– Nie mam.

– A w Aramoorze istniało coś, o co warto było się bić?

– Oczywiście. Mój ojciec, na przykład, i moi wujowie. Byli moją rodziną.

Dyana uśmiechnęła się lekko, patrząc, jak twarz Richiusa nagle powleka się purpurą. Wyjęła mu z rąk córeczkę, która zakwiliła z niezadowoleniem, dobrze jej bowiem było w ramionach ojca. Potem odeszła, rzucając przez ramię tylko jedno słowo:

– *Kafife*.

## Trzydzieści dwa

Oblężenie Ackle-Nye trwało zaledwie jeden dzień, a kiedy dobiegło końca, straty Triinów według najniższych ocen sięgały trzech tysięcy. Narenów zginęło około pięćdziesięciu.

Miasto żebraków, Ackle-Nye, padło pod naporem przeważających sił, które wylały się z przesmyku. Najeźdźcy mordowali bezlitośnie, aż nikt nie został wśród żywych. Zwycięstwo było dla Narenów mało znaczące, ponieważ imperialni żołnierze nie spodziewali się trudności, ale echa rzezi, jakie rozeszły się po Lucel-Lorze, zelektryzowały wszystkich Triinów. Nikt się nie spodziewał, że cios spadnie tak szybko, ani że zostanie zadany z tak zimną i wyrachowaną zawziętością. Nikt nie umiał sobie wyobrazić, że miejskie mury runą tak szybko, ani że ktokolwiek może skierować wylot ogniomiotu na dziecko. Ci, którym zdarzyło się zbłądzić w spustoszone okolice Ackle-Nye, przysięgali że pióropusze duszącego dymu widać na kilkanaście mil wokoło i że tej nocy, kiedy gorejące Ackle-Nye rozświetliło całe niebo, miasto żebraków zasłużyło na inne miano – płonące miasto.

I tak oto Nar zaczęło wojnę terroru. W najlepszej tradycji Arkusa i jego przodków najeźdźcy zaczęli mordować desperatów i głodujących triińskich uchodźców, którzy pod koniec minionej wojny, kurczowo trzymając się życia, napelnili przedmieścia Ackle-Nye. Narenie nadciągnęli na opancerzonych koniach i najeżonych stalowymi kolcami machinach, a wpadłszy do miasta, ze świtem skierowali na nie gorejące wyloty ogniomiotów. Byli doskonale wyposażeni, zaopatrzeni w paliwo i gotowi na rzeź. Na przedzie jechały wozy bojowe, koszmarne żelazne pojazdy ciągnięte przez prymitywne, rogate stwory i uzbrojone w pojedynczy, dalekosiężny ogniomiot na dachu. Zdolne do wyrzucania ognistej strugi na odległość dwustu stóp i większą były chlubą imperialnych zbrojmistrzów. Były zwiastunami zniszczenia Ackle-Nye, a na bokach miały wymalowaną w języku i literach Triinów groźbę zagłady: „Po dniu dzisiejszym nikogo z was tu już nie będzie”.

I stało się zgodnie z tą ponurą przepowiednią. O zmierzchu leży trupem trzy tysiące Triinów, spalonych, powieszonych lub poćwiartowanych, a ich ciała zostawiono wśród dymiących zgłiszczy miasta w wielkich stosach na karmę dla szczurów i sępów. Nie oszczędzono ani jednego dziecka, ani jednej kobiety nie wzięto w niewolę. Wszyscy poszli pod miecz, jako ostrzeżenie Arkusa dla Triinów – tym razem nie będzie litości. Starożytna, złowroga chwała Nar płonęła tej nocy jasnym blaskiem. A na czele legionów jechał mąż o twarzy do połowy ukrytej za srebrną maską, olbrzym pod godłem

galopującego konia z głosem niby grom, którym zapowiadał swą zemstę nad Szakalem. Ci, którzy go widzieli, mówili później, że był to demon z piekła rodem w złotozielonej zbroi. Ci, którzy go rozpoznali, wiedzieli, że jest kimś znacznie gorszym od demona.

I tak oto upadło Ackle-Nye, a przynajmniej tak to opowiadano. Gdy opowieść dotarła do Falindaru, nikt w cytadeli nie umiał powiedzieć, jak dalece była prawdziwa. Dowiedziano cię tylko tego, co już wcześniej mówił Richius – że Narenom dokonanie takiej zbrodni przyszło bez trudu.

Samego Richiusa wieść o upadku Ackle-Nye wcale nie zdziwiła. Spodziewał się, że podbój będzie szybki i okrutny. Nie spodziewał się natomiast, że tak szybko dowie się czegoś o mordercy jego żony, Gayle'u. Talistański baron zabierał się do odszukania Richiusa, nie tracąc czasu. Znów był ulubieńcem Arkusa, miał na swe skinienie wszystkie środki i siły Narenów, których postanowił użyć do zniszczenia Lucel-Loru, by odnaleźć jednego człowieka. Richius nie miał złudzeń – Gayle z pewnością chciał dostać Tharna, ale jeszcze bardziej mu zależało na schwytaniu Szakala.

I może to właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, skłoniło w końcu Richiusa do opowiedzenia się za Tharnem. Wmawiał sobie, że pragnie bronić Dyany i dziecka, w głębi serca jednak żywił złowieszcze przeczucie, że pan z Czarnej Kniei chce przede wszystkim jego. Aby więc go odnaleźć, nie będzie musiał ukradkiem przeszukiwać Talistanu. Marzył tylko o przejechaniu zimnym ostrzem po krtani Gayle'a i nie dbał o to, czy sam wyjdzie z tego cało. Czuł się tak, jakby złożył jedną z przysiąg, które Triinowie traktowali ze śmiertelną powagą. Pragnął zemsty za wszelką cenę, choćby kosztem własnego życia, które – wbrew temu, o czym przekonywała go Dyana – nie miało już dla niego żadnego uroku i celu. Dyana i Shani mogły sobie jakoś bez niego poradzić, a śmierć Gayle'a kusila go nieodparcie. Gotów był dążyć do tego wszelkimi środkami.

Kiedy do Falindaru dotarła wieść o zagładzie Ackle-Nye, Tharn na znak żalu zamknął się w swoich komnatach. Opuścił je dopiero, kiedy zaczęli przybywać wodzowie. Pierwszy pojawił się Boawa z Sheaze, nazywany przez swoich ludzi Rzecznym Wężem, co zresztą bardzo mu się podobało. Przybył z drużyną odzianych w skóry wojowników, przywożąc cenny dar dla pana Falindaru – jiihtar wykuty ze stali przez mistrza sztuki płatnerskiej, nazwany Śmierć Nar, co głosiły wyryte w stali rany. Ponieważ pojawił się przed innymi, przydzielono mu jedną z największych zamkowych komnat, ale – jak przystało na wodza – odmówił jej zajęcia, twierdząc, że woli zostać przy swoich ludziach.

Wkrótce zaczęli przybywać i inni. Niemal codziennie pojawiała się w cytadeli karawana dumnych wojowników. Delgar z Miradonu pojawił się razem z Praxtin-Tarem z Reen, mimo niegdyś dzielącej ich wrogości. Z górskiej twierdzy Kes przybył lord Ishia,

a z wypalonych słońcem stepów nadciągnął Shohar, który w hołdzie dla Tharna przyniósł mu zbiór nareńskich czaszek, które zdobył podczas poprzedniej wojny. Ponurych trofeów było dobrze ponad sto, wszystkie starannie wypolerowane i wygładzone do białości.

Inni przybywali z mniej ostentacyjnymi darami, składając u stóp Tharna złoto, oręż i niewolnice, które Tharn przyjmował z wdzięcznością, natychmiast uwalniając kobiety i wzmacniając nimi szeregi pałacowej służby. Broń przekazywał wojownikom Kronina. Każdego wodza witał z takim samym szacunkiem, który nigdy jednak nie przekroczył pewnych granic – żadnego z wodzów Drol nie obdarzył na przykład ukłonem. Każdy z wodzów przyjmował to ze zrozumieniem, przyjmując to, że „dotknięty przez niebios” nie może się zniżyć do zwykłych śmiertelników.

Jako ostatni zjawił się Gavros z Garl, i zaraz potem Tharn ogłosił rozpoczęcie narady wojennej. Przygotowania do niej poczyniono w zieleńcu, a Richiusowi wyjaśniono, że naradę trzeba odbyć pod gołym niebem, gdzie mogą ją obserwować mieszkańcy niebios, którzy ochronią ich blaskiem księżyca. W zbrocza powbijano więc pochodnie oraz ustawiono stoły zastawione winem, jadłem i darami z kłów lamparta i wężowego jadu. Pomiedzy stołami umieszczono ozdobne kaganki, w których zapalono wonne żywice, tak by ich zapach wzbił się ku niebu, budząc drzemiące tam bóstwa powietrza. Wykopano też głębokie studnie, które napełniły się świętą morską wodą, tak by nieśmiertelni zamieszkujący morza mogli zająć miejsce pomiędzy wiernymi, aby wysłuchać ich modłów.

Na środkowym stole ułożono wieniec na cześć Lorrisa i Pris, którzy byli opiekunami Drolów. Spleciony z winorośli i dzikiego kwiecica, miał kształt okręgu i wielkość koła wozu, symbolizował zaś nie mające kresu uwielbienie dla bliźniaczych bóstw. Wokół niego ułożono złote świece, które jedną po drugiej zapalali zebrani wodzowie. Richius z rosnącą fascynacją obserwował cały ceremoniał i zadając naiwne pytania, czekał na pojawienie się Vorisa Wilka. Czekał aż do zmroku, kiedy zapalono pochodnie, a na twarze zebranych spłynęła księżycowa poświata. Wilk jednak się nie zjawiał.

– Przyjdzie, prawda? – spytał w końcu Lucylera.

Siedzieli obok siebie na kocu położonym w trawie obok jednego z niskich stołów. Inni wodzowie zaczęli zbierać się w gromady, czekając na pojawienie się Tharna. Naradę rozpoczęło zapalenie przez mędrca świecy pośrodku wieńca. Wcześniej zapłonęły kaganki, które posłały w górę swe mistyczne wieści. Lucyler nerwowo pieścił swój jiihtar, polerując jego bliźniacze ostrza skrawkiem szmatki. Jego odbicie w lśniącej stali tak mu się spodobało, że prawie nie zwracał uwagi na przyjaciela.

– Tak chyba uważa Tharn – odpowiedział, nie zmieniając pozycji.

Richius rozejrział się dookoła. Niedawno pojawił się Boawa, który wraz ze swoim

orszakiem klękał właśnie do modlitwy przed wieńcem na środkowym stole. Na miejscu byli już Shohar i Ishia, oraz większość pozostałych, Vorisa jednak nie było, co budziło w Richiusie podejrzenia. Nie było też Kronina, co odkrywszy, Richius poczuł ukłucie niepokoju.

– Powinien już być – stwierdził, zwracając się do Lucylera. – Dolina Dring nie jest w końcu tak daleko. I gdzie podziewa się Kronin? On też musi się tu chyba zjawić.

Wzmianka o wodzu Tatteraku obudziła czujność Lucylera. Zaniepokojony podniósł głowę i powiódł wzrokiem po zebranych. Nieobecność Kronina wyraźnie go zaskoczyła.

– Może jest przy Tharnie? – podsunął.

– Może – odpowiedział Richius. Jego zaniepokojenie rosło z minuty na minutę i w kręgu zbrojnych w lśniące ostrza wodków, obrzucających go zdumionymi spojrzeniami, czuł się coraz bardziej nieswojo. Widział, jak Boawa i jego ludzie, ukończywszy modły, całują klingi swoich jiiktarów, a potem sadowią się przy środkowym stole. Kiedy wódz ujrzał Richiusa, wytrzeszczył oczy w sposób niemal komiczny. Aramoorczyk odwiódł spojrzenie w bok.

– Chciałbym, żeby się pospieszył. Te draby patrzą na mnie, jak wilki na owcę.

– Uspokój się – poprosił Lucyler. – Nic ci się tu nie stanie.

– Sądzisz, że Tharn zechce, bym coś powiedział?

– Właśnie po to tu jesteś. Tharn chce, by wodzowie zrozumieli, z czym przyjdzie nam się mierzyć. A nikt tego lepiej nie wie od ciebie, Richiusie. Nie bój się. Mów mi tylko, co mam rzec, a ja wszystko przełożę. Jeżeli będą mieli jakieś pytania, odpowiadaj prosto i bez uników. Nie odwracaj spojrzenia, bo wezmą cię za słabeusza.

Richius jęknął. Zdążył już z siebie zrobić głupca w oczach Boawy. Spojrzał raz jeszcze na wodza, usiłując zewrzeć się z nim wzrokiem, ale wódz Sheaze świadomie go ignorował.

– Czy to wszyscy wodzowie z Lucel-Loru? – spytał.

– Prawie, oprócz Vorisa, Kronina i oczywiście Karlaza.

– Kim jest Karlaz?

– Wodzem lwich jeźdźców z Chandakkaru – odpowiedział Lucyler. – Właściwie nie jest wodzem, tylko głową klanu. Tharn posłał do niego gońca, zapraszając na spotkanie, ale Karlaz odesłał go bez odpowiedzi. – Lucyler prychnął pogardliwie. – Tharn nie powinien zwracać sobie nim głowy.

– Nie jestem taki pewien – rzekł Richius z namysłem. – Te lwy mogłyby sobie poradzić z jeźdźcami Gayle’a.

– Richiusie, tamci by nie przybyli, nawet gdyby Tharn przed nimi ukląkł i błagał o pomoc.



– Jak to?

– Bo chcą, by ich zostawiono w spokoju. Kiedy Daegog prosił ich o pomoc przeciwko Tharnowi, też go zignorowali. Teraz nie odpowiedzieli na wezwanie Tharna. To samolubne dranie, które dbają jedynie o własne sprawy.

Richius kiwnął głową, przypominając sobie ostre starcie z lwim jeźdźcem w Dandazarze. Był to człowiek gwałtowny i nastawiony wrogo niemal przeciwko wszystkim. Aramoorczyk pojął, dlaczego Lucyler tak nie lubi ludu z Chandakkaru.

– Jeżeli są tak wrogo nastawieni, dlaczego Tharn chciał, by się tu zjawili? – spytał.

– Bo chce zjednoczyć cały Lucel-Lor. Dlatego właśnie zwołał tę naradę – chce zapewnić sobie wierność wszystkich wodzów i zorganizować obronę.

– Tym razem, jeżeli chce zatrzymać Arkusa, będą mu potrzebni i tamci – stwierdził rzeczowo Richius. – Mówiłem wam, że imperator przysłał tu wszystko, co ma. Nawet wozy bojowe.

Lucyler westchnął.

– Wozy bojowe? Nawet nazwa brzmi groźnie. Jak nazywają te stwory, które je ciągną?

– Greegany – odpowiedział Richius. – Hoduje się je na północy Imperium, w pobliżu Gorkney. Od małego ćwiczy się je do ciągnięcia tych wozów.

– Mówią, że nie ma sposobu, by je zatrzymać. Czy to prawda?

Richius wzruszył ramionami. Pomimo tego, co o nim tu mówiono, nie był ekspertem od nareńskiego uzbrojenia.

– Tak słyszałem. Widziałem je tylko raz, kiedy byłem w Nar.

Rozejrzawszy się dookoła, powiódł wzrokiem po otaczającym go kręgu lśniących jiiktarów i pomyślał, że ciekawe byłoby się przekonać, ilu ciosów trzeba, by przebić się przez zbrojną pancerzem skórę greegana.

– Tak naprawdę one nie walczą, tylko ciągną te wozy. Naprawdę groźne są ogniomioty.

– Jeszcze jeden oręż nikczemników – stwierdził Lucyler, oglądając swój jiiktar. – Nie jest to broń dla prawdziwego męża.

– Nie? A mnie się wydawało, że w dolinie Dring ci się podobały.

– To co innego – odparł Lucyler nieco kpiącym tonem. – Wtedy byliśmy po właściwej stronie ich wylotów.

Obaj parsknęli śmiechem i szybko ucichli, gdy padł na nich cień nowego przybysza. Księżyc zasłaniał im rosły mąż o nagiej piersi. Szedł ku nim, przeciskając się wśród innych wodzów, a za nim podążali trzej wojownicy, jak i on do połowy obnażeni. Białą skórę każdego z nich zdobił podobny tatuaż, przedstawiający drapieżnego ptaka

z rozpostartymi skrzydłami. Wszyscy mieli golone głowy, z których zwisał tylko pojedynczy kosmyk włosów z tyłu. Każdy też miał skórzane rzemienie zawiązane wokół bicepsów, a najwyższy, ten, który rzucał najdłuższy cień, miał też szeroki, nabijany ćwiekami pas z kozłej skóry. W migotliwym, rudawym świetle pochodni ich umięśnione, żylaste ciała upodobały ich do widm.

– A ci tutaj, to kto? – spytał Richius. Nigdy wcześniej nie widział równie dziko i groźnie wyglądających Triinów.

– To Nang – odpowiedział szeptem Lucyler. – Wódz z Ognistych Stepów.

Nang był przybyszem z innego czasu, pierwotnym człowiekiem o grubej czaszce, kocich oczach i wężowych ostrych zębach. Ukłękł i uderzył czołem o ziemię przed wieńcem, a potem podniósł się i wydał przeszywający uszy okrzyk. Przerażliwe wycie trwało, aż wódz stracił dech, a kiedy skończył, odwiązał od pasa niewielki woreczek i położył go na stole.

– Kolejny dar? – spytał Richius. Lucyler potrząsnął głową.

– Nie dar. To worek na duszę. Lud Nanga wierzy, że do takiego woreczka można schwytać ducha nieprzyjaciela. W woreczku są zioła i kamienie, które mają uwięzić złą duszę. Nang daje to Tharnowi, by ten mógł schwytać duszę swojego wroga.

– A któż miałby nim być? – spytał Richius.

Lucyler uśmiechnął się szeroko.

– Więc i ty, mój przyjacielu, nie wierzysz, że wasz imperator ma duszę, którą można uwięzić?

– Nie wiem. Ale jeżeli ma, to woreczek jest odpowiednich rozmiarów.

Lekko wymieniali żarty, co obu przypomniało dawne czasy, Richius zaś rad był, mając Lucylera przy sobie. Może dlatego, że był to jedyny przyjaciel, jaki mu pozostał na całym świecie, może zaś chodziło o to, że znów byli na wojnie, a ta zbliża do siebie ludzi. Tak czy inaczej, Richius nie dbał o powód. Lucyler znów był z nim razem, otwarty i szczery. Teraz Richius mu wierzył.

Na oświetloną płomieniami pochodni trawę wyszła grupa mędrców, którzy pochylili głowy w milczącej modlitwie. Minęli zebranych wodzów, którzy ze skrzyżowanymi nogami siedzieli na kocach za środkowym stołem. Prawie wszystkie miejsca były już zajęte. Zostały tylko dwa. Jedno, oczywiście, miał zająć Tharn. Richius przypuszczał, że drugie przeznaczono dla Vorisa.

„Albo dla Kronina” – pomyślał ogarnięty nagłym niepokojem. Rozejrzał się dookoła, nigdzie jednak nie dostrzegł malowanej twarzy wodza. Lucyler gestem dłoni wskazał mu mędrców.

– Już prawie czas – stwierdził. – Zaraz powinien się zjawić Tharn.

Richius stłumił nerwowe drżenie, jakie go ogarnęło na myśl, że oto za chwilę przemówi wobec wszystkich wodzów. Mógł tylko żywić nadzieję, że wkrótce nadejdzie Kronin, i choć on jeden spojrzy na niego przyjaznym wzrokiem. Lucyler poszedł za przykładem pozostałych wojowników i położył jiihtar na ziemi przed sobą. Płomienie pochodni lekko się chygotały na wietrze, który marszczył też wodę w sadzawkach. Ucichły rozmowy prowadzone stłumionymi głosami. Nikt jeszcze nie tknął potraw ani wina. Richius pomyślał, że właściwie i tak żaden z wodzów nie przybył tu na ucztę.

– Spokojniej odetchnę dopiero wtedy, gdy będzie po wszystkim – wyznał Lucylerowi – i gdy ci wszyscy wodzowie wrócą do domów. – Westchnął i spróbował się odprężyć, splatając ramiona na piersi. Kątem oka dostrzegł, że zbliża się do niego coś białego. Podeszło i zatrzymało się obok. Richius odwrócił się, by spojrzeć.

Pies? Siedzące na ogonie zwierzę patrzyło uparcie, zwiesiwszy jęzor z paszczy. Przez ułamek sekundy Richius zastanawiał się, z kim ma honor, a potem nagle zrozumiał, że nie patrzy na psa, tylko na białego, uśmiechającego się złowrogo wilka.

– Boże – sapnął ze zgrozą, rzucając się w tył. – Lucylerze, popatrz na...

Gdzieś z tyłu wyłoniła się ogromna dłoń, która chwyciła go za kołnierz i uniosła nad ziemię. Richius zacharczał w żelaznym uścisku, udało mu się jednak odwrócić i spojrzeć w białą, wykrzywioną grymasem gniewu twarz napastnika, którego zresztą natychmiast poznał. Złowrogo szczyrzył do niego zęby Voris. Triin puścił kołnierz kurtki Richiusa i chwycił go za wyłogi, szarpiąc nim i potrząsając.

– *Kalak!*

Richius wpadł w panikę. Zdążył tylko kopnąć go i uderzyć potężnie w podbródek, po czym poleciał w tył. Wylądował ciężko na jednym ze stołów, roztrącając talerze i karafki. Poczul ostry ból w plecach i stracił oddech, pod wpływem uderzenia. Usiłując się otrząsnąć, usłyszał okrzyk Lucylera zmieszany z wściekłym warkotem, wydobywającym się z wilczej gardzieli. Aramoorczyk przewrócił się na brzuch, oblewając sobie przy okazji twarz winem, od czego boleśnie zapiekły go oczy. W tej samej chwili otrzymał od Vorisa kopniaka w zębra. Zaryczał z bólu i szukając instynktownie oręża, trafił dłonią na solidny, metalowy dzban leżący na stole. Porwał go, odwrócił się błyskawicznie i wziął zamach, wkładając w niego całe serce.

Ku własnemu zaskoczeniu trafił Vorisa prosto w głowę, zatrzymując go w połowie następnego uderzenia. Dzban uderzył, wydając osobliwy, dźwięczny jęk. Voris zaryczał z bólu i zatoczył się w tył. Richius chwiejnie podniósł się ze stołu i stanął na nogach. Wszyscy wodzowie zgromadzeni przy środkowym stole wpatrywali się w nich z otwartymi ze zdumienia ustami. Wilk również patrzył na przeciwników, wydając głuchy, złowrogi pomruk. Zamieszanie powiększył Lucyler, który z jiihtarem w ręku

rzucił się na Vorisa, ostrzegając Richiusa okrzykiem.

Voris błyskawicznie chwycił swój oręż i obezwładnił Lucylera, tnąc go długim ostrzem w nadgarstek. Lucyler zaklął paskudnie i wypuścił broń z ręki. Z rany buchnęła struga krwi. Voris natarł na Lucylera, zbijając go z nóg uderzeniem barku. Richius zebrał się w sobie i uniósł trzymany za szyjkę dzban do następnego ciosu.

I nagle Voris się zatrzymał. Wyciągnął jiiktar przed siebie, a potem położył go na ziemi przed sobą.

– *Jara min, Kalak* – powiedział z wyzywającym uśmiechem. Powoli przekroczył ponad jiiktarem.

– Chcesz się bić? – syknął Richius. Cisnął dzbanem w wodza, który bez wysiłku odbił go w bok jedną dłonią. – No to chodź, spróbuj!

– Stój, Richiusie! – zawołał Lucyler, podnosząc się z ziemi i lewą dłonią starając się zatrzymać upływ krwi z nadgarstka prawej.

Voris spojrział na niego tylko raz. Biały wilk odwrócił się do Lucylera, zatrzymując go gniewnym warknięciem.

– *Eesay, Voris!* – krzyknął Lucyler. – *Hara akka Tharn!*

Voris roześmiał się wyzywająco.

– *Tharn bena naka tor. Tassa Kalak!*

– Richiusie, on chce cię zabić – ostrzegł Lucyler przyjaciela. – Broń się!

Rada wydała się Richiusowi tyleż głupia, co oczywista. Sam wiedział, że nie da się uniknąć starcia. Spojrział na dwa jiiktary leżące na ziemi za Vorisem. Gdyby zdołał chwycić jeden z nich...

Ale nie, leżały zbyt daleko. Więc pochodnia. Podbiegł do najbliższej, wyrwał ją z ziemi i uniósł przed siebie. Vorisa tylko to rozbawiło. Wyciągnął rękę i zginając palec, wezwał Richiusa do natarcia.

– *Jara min, Kalak!*

Richius dał się ponieść wściekłości. Bolały go zebra w miejscu, gdzie je trafił kopniak Vorisa, i robiąc krok ku wrogowi, niemal się potknął. Pochodnia była ciężka, nieporęczna i niewiele dało się z nią zrobić. Cisnął ją na ziemię i rzucił się głową naprzód. Wokół zagrzemiał śmiech rozbawionych wodzów, Richius jednak, zupełnie na to niebaczny, przetoczył się po ziemi i chwycił rękojeść jednego z jiiktarów. Potem zerwał się na równe nogi, tryumfująco trzymając broń przed sobą. Tłumnie zebrani widzowie wydali radosny ryk.

– No chodź, draniu – syknął Aramoorczyk. – Jestem gotów.

Jiiktar błysnął i śmignął przez pierś Vorisa. Padł w tył. Na okrywającej go szacie otworzyła się nagle cienka szczelina, którą szybko wypełniła czerwień. Voris wrzasnął

ostrzegawczo i jego wilk zwrócił się ku swemu panu. Zwierzę było szybkie, ale ten moment wystarczył Lucylerowi, który chwycił własny oręż i ciał, oddzielając przednią wilczą łapę od tułowia. Drugie cięcie otworzyło wilkowi krtań. Voris wydał ryk pełen wściekłości i żądzy odwetu. Usiłował doczołgać się do zabitego wilka, Richius jednak powstrzymał go, przystawiając jiihtar do jego piersi.

– Tylko się rusz!

Voris spojrział z wściekłością. Podniósł pięść i potrząsnął nią wściekle, po czym splunął Richiusowi w twarz. W tej samej chwili obok Richiusa stanął Lucyler, kierując w pierś wodza własny jiihtar.

– Odejdź! – zwrócił się do przyjaciela. – Wracaj do cytadeli i znajdź Tharna.

– Pierwej piekło zamarznie – odpowiedział Richius, podnosząc swój jiihtar i szykując się do poderżnięcia krtani Vorisa.

– Wstrzymaj się! – Lucyler szarpnął rękaw kurtki Aramoorczyka.

Richius zatrzymał się.

– A niby dlaczego, do diabła, miałbym cię usłuchać?

– Odejdź! – Był to już rozkaz. – Natychmiast!

– Nie Lucylerze. Nie mogę, nie odejdę.

– Odejdź! – rozległ się za nimi ochryply głos.

Richius odwrócił się i zobaczył stojącego od nich w odległości zaledwie pięciu stóp Tharna. Wszedł pomiędzy uczestników utarczki i drżąc od z trudem powstrzymywanej furii, podał dłoń Vorisowi. Potem przemówił do wodza władczo i rozkazująco. Voris gwałtownie – i odmownie – potrząsnął głową.

– *Ahda!* – zaprotestował. Wskazał Richiusa, grożąc mu palcem. – *Pogoa isa Kalak.*

– Co on mówi? – spytał Richius.

– Richiusie, cofnij się – odezwał się Lucyler. Położył własną broń i otworzył obie dłonie, by Voris mógł zobaczyć, że niczego nie kryje. – Szybko!

– Nie! – sprzeciwił się Richius. – Powiedz mi przedtem, co rzekł.

Odpowiedział mu Tharn, który odwrócił się do niego twarzą.

– Powiedział, że jesteś śmieciem – stwierdził beznamiętnie. – I że obraża go sama twoja obecność. Odejdź teraz, kiedy już wiesz.

– Mędrze, on mnie napadł i zaatakował pierwszy – oświadczył Richius. – Niech on ustąpi.

– Ty już przelałeś jego krew – stwierdził Tharn. – Niech to wystarczy za odpłatę. On nie może ustąpić na oczach tylu świadków.

– Richiusie, już po wszystkim – odezwał się Lucyler błagalnym tonem. – Proszę...

Richius wbił wzrok w oczy broczącego krwią wodza, znajdując w nich tyle samo

nienawiści, ile płonęło w jego własnych źrenicach.

– Dobrze, cofnę się i odłożę broń, jeżeli on przyrzeknie, że znów się na mnie nie rzuci.

Tharn przełożył słowa Richiusa na triiński. Voris odpowiedział sardonycznym uśmiechem i kilkoma słowami, w oczywisty sposób nieszczerymi.

– To nie wystarczy. Richiusie, on powiedział, że się nie rzuci na ciebie w obecności Tharna. Mistrzu, zmusz go, by się w ogóle wyrzekł napaści na Richiusa. Niech przysięgnie.

Tharn i Voris wymienili kilka szybkich, pełnych gniewu zdań. W końcu wódz kiwnął głową i odstał o krok.

– Nie przysięgł – ostrzegł Richiusa Lucyler.

– I nie przysięgnie! – wychrypiął Tharn, zwracając się do Lucylera z niesmakiem i niezadowoleniem w głosie. – Jest jednym z wodzów Lucel-Loru. Zechciejcie o tym pamiętać. Richiusie, oddaj mu jego jiiktar. Nie zwlekaj, proszę.

Richius usłuchał, słysząc w głosie Tharna błagalną nutkę, której nie umiał się oprzeć. Nie podał jednak broni Vorisowi do rąk. Uśmiechnawszy się wzgardliwie, otworzył dłoń, i puścił jiiktar wroga na ziemię.

– Niech go sobie weźmie sam – odpowiedział, a potem odwrócił się i odszedł, słysząc tuż za sobą kroki Lucylera.

Stół, przy którym siedzieli przedtem, nie nadawał się do użytku, znaleźli więc inny, dość blisko głównego, i usiedli. Najbliżej siedzącym wodzem był Nang, który uśmiechnął się do nich przyjaźnie, co Richius przyjął jako aprobatę swej postawy w starciu z Vorisem. Lucyler otarł pot z twarzy, a potem sięgnął po dzban z winem i nalawszy pełen puchar, opróżnił go niemal jednym haustem. Następnie odstawił naczynie z westchnieniem ulgi.

– Na Lorrisa i Pris, przyjacielu, ciebie trzeba pilnować, żebyś sobie nie narobił kłopotów! Gdzie byś nie trafił, zawsze znajdzie się ktoś, kto chce cię zabić!

– Bezczelny drań – syknął Richius. Kilku wojowników uprzętnęło już martwego wilka. – Powinienem to zrobić – mruknął ponuro. – Powinienem go dobić, kiedy miałem okazję.

– Nie miałeś okazji – odpowiedział spokojnie Lucyler. – Voris by cię zabił bez trudności.

– Co takiego? Lucylerze, miałem broń. On był bezbronny!

– Łatwo mógłby ci tę broń odebrać, tak jak obezwładnił mnie – Lucyler podniósł zakrwawioną dłoń i pokazał ją Richiusowi. – Jest potężny, ale nadspodziewanie szybki.

– Och, Lucylerze! – jęknął Richius. – Przykro mi, zapomniałem.

Ostrożnie ujął w palce dłoń przyjaciela i zbadał ranę na nadgarstku. Za każdym razem, gdy Triin usiłował ruszyć palcami, cięcie nabiegało krwią.

– Musisz się tym zająć – stwierdził Richius. – Najlepiej owiń to bandażem.

– Nie teraz. Jestem ci tu potrzebny.

– Lucylerze, ty krwawisz. Wróć do cytadeli i każ opatrzyć ranę. Wróć, kiedy będziesz mógł.

– Nie zostawię cię tutaj samego, bo nie zrozumiesz słowa z tego, co mówią – zachnął się Lucyler. – I nie ufam Vorisowi. – Podał Richiusowi koniec rękawa. – Masz... odetnij to jiiktarem. Na razie musi wystarczyć.

Richius ujął rękajeść broni i zaczął odcinać rękaw, uważając, by przy okazji nie zaciąć przyjaciela. Materiał poddał się łatwo, bo jiiktary słynęły ze swej ostrości, i w dłoni Richiusa został długi skrawek tkaniny. Młodzieniec szybko podarł go na paski i zręcznie opatrzył dłoń Lucylera, tamując krew. Kiedy skończył, Lucyler sprawdził jakość opatrunku drugą dłonią.

– Dobrze. Dziękuję ci.

– Na długo to nie wystarczy – ostrzegł go Richius. – Rana jest dość głęboka. Trzeba założyć szwy.

– Po naradzie – stwierdził Lucyler.

– Lucylerze...

– Tak?

– Dziękuję.

Lucyler niedbale kiwnął głową.

– Po to właśnie są przyjaciele, Richiusie. A teraz siadaj. Tharn zaraz zacznie.

Święty mąż z wyraźnym wysiłkiem przeszedł po stoku w stronę głównego stołu. W miarę jak się do niego zbliżał, wodzowie milkli jeden po drugim, aż zapadła cisza. Voris szedł obok Tharna, dokładając starań, by go nie wyprzedzić. Nie zwracał uwagi na własną ranę, która zwilżyła jego szkarłatne szaty. W powietrzu wyczuwało się napięcie, podobne temu, jakie przesycza je przed burzą. Słodka woń kadzideł uderzała do głów. Z dala dobiegał szum fal oceanu. Tharn dobrnął wreszcie do stołu i podniósł swe powykręcane chorobą dłonie ku niebu. Przemówił głosem, który ciął powietrze niczym ostrze jiiktaru. Lucyler pochylił się do Richiusa i zaczął tłumaczyć.

– Wzywam was, Lorrise i Pris, wzywam was, moce ziemi i nieba. Ześlijcie nam swe siły, nam, którzy bronimy waszej wiary. Dajcie nam moc oczyszczenia naszego królestwa, tak byśmy mogli pozabijać tych, którzy przeczą waszej boskości.

Sięgnąwszy po środkową świecę, podniósł ją i zapalił od najbliższej pochodni. Na jego twarz padł rudawy odbłask ruchliwego płomienia. Powiedział jeszcze kilka słów

i podał świecę Vorisowi, który zapalił kolejną na wieńcu, wypowiadając jednocześnie słowa przysięgi.

– Śmierć Narenom.

Świeca przechodziła z rąk do rąk. Wszyscy wodzowie powtarzali ten prosty rytuał i składali tę samą zwięzłą przysięgę. Na koniec została tylko jedna, nie zapalona świeca.

– Kronin – oznajmił Lucyler szeptem.

Tharn polecił Vorisowi, by usiadł i sam zapalił świecę Tatteraku.

– Jednoczymy się, by ukorzyć i pokonać zło. – Największą świecę ustawił pośrodku kręgu. – Niech nas prowadzą duchy świata i niech spłynie na nas dar mądrości.

– Śmierć Narenom! – ryknęli zgodnym chórem wodzowie.

– Niech moc Lorrisa przyda naszym słabym ciałom twardości stali. Niech miłość jego siostry Pris doda nam ducha do walki.

– Śmierć Narenom!

Tharn uniósł twarz ku niebu i wymamrotał kilka niedosłyszalnych słów. Jego twarz nadal była szpetną twarzą trędowatego, ale oczy zapłonęły jasnym ogniem, nie tłumionym dłużej przez sieć czerwonych żyłek. Odetchnął głęboko, zmusił twarz do uśmiechu, a potem usiadł pomiędzy Shohorem z Jhool i Vorisem. Richius nie spodziewał się zobaczyć tak wiele mocy w tym kalece. Spojrzał pytająco na Lucylera, przyjaciel jednak skinął z przeczącym ruchem głowy.

– Richiusie – odezwał się Tharn w języku Narenów – rad cię tu widzę. Lucylerze, zechciej, proszę, tłumaczyć mu wszystko, o czym będzie mowa.

– Tak uczynię – obiecał Lucyler.

Tharn powiódł wzrokiem po zebranych. Gdy zaczął mówić, Richius usłyszał szept Lucylera:

– Wodzowie Lucel-Loru, uczyniliście mi zaszczyt, przyjmując moje zaproszenia. W zamian przyjmijcie moje podziękowanie.

Każdy z wodzów kiwnął głową, najslabszym choćby grymasem nie zdradzając satysfakcji czy wdzięczności.

– Oto obudził się smok zachodu. Czyż wam nie mówiłem, że tak się stanie? Czy jest wśród was choć jeden, który się nie spodziewał, że któregoś dnia ta wielogłowa hydra przyjdzie tu, by nas pożreć? Nie czas jednak na wzajemne obarczanie się winą. Teraz jesteśmy zjednoczeni. Jesteśmy silni jednością. Patrzą na nas Lorris i Pris. Dali nam swą moc i mądrość. Sprawili, że nawet ślepcy przejrzeni.

Oczy Tharna na moment zatrzymały się na Richiusie. Wodzowie ponownie kiwnęli głowami.

– On chyba nie ma na myśli mnie? – syknął Richius z niedowierzaniem w głosie.



– Ackle-Nye wpadło w ręce naszych nieprzyjaciół – ciągnął tymczasem Tharn. – Słyszeliście o gwałcie, jaki zadano naszym nieszczęsnym braciom. Miasto żebraków jest teraz stosem dymiących zgliszczy, a obok tych ruin swój obóz rozbili Narenie. I już zaczęli zapuszczać się w głąb kraju.

Skinieniem dłoni wezwał Vorisa, by ten poświadczył jego słowa.

– To prawda – oznajmił wódz. – Moi zwiadowcy widzieli ciągnące na nas oddziały Narenów. Idą na moją dolinę licznymi i dobrze uzbrojonymi oddziałami. Wkrótce w Dring na nowo rozgorzeje wojna.

– Ta sama wojna dotarła już i tu, do wybrzeży Tatteraku – dodał Tharn. – Czarna Flota Narenów wylądowała na wschód stąd, nieopodal Harady. Kiedy my tu się naradzamy, tam walczą i giną dzielni ludzie. – Skinieniem dłoni wskazał pojedynczą świecę, którą sam zapalił dla Tatteraku. – Zauważyliście pewnie brak pana tych ziem. Kronina nie ma na naszej naradzie, ponieważ w tej chwili broni nas i osłania ze swoimi wojownikami. Nie wiem, jak sobie radzą, ale robią, co mogą, by powstrzymać Narenów przed zajęciem Falindaru. Okręty Czarnej Floty nie zdołają bliżej przybić do naszych brzegów, bo te są zbyt strome. Aby się do nas dostać, muszą przejść przez cały Tatterak, a my musimy zadbać o to, by im się to nie udało. Musimy też chronić nasze brzegi, więc poprosiłem o pomoc sto wysp. Lisseńczycy wysłali już do nas emisariusza, który poprosił o wsparcie w ich walce z Imperium. Uważam, że tamta wojna dobiegła końca, i Nar postanowił obrócić wszelkie siły przeciwko nam. Lisseńczycy jednak się nie poddali i nadal walczą. Wysłałem do Liss swego posła na innym okręcie. Ma on powiedzieć ich królowi, że jesteśmy z nimi. Razem, wojownicy Lucel-Loru i Liss zniszczymy smoka z Nar. Jeżeli Lisseńczycy zdołają obronić nasze brzegi, jedyną drogą, jaką Narenie będą tu mogli dotrzeć, okaże się przesmyk Saccenne. I w tym może być nasz ratunek.

Richius słuchał z wielką uwagą. Tharn okazywał się nie lada strategiem!

– Wszyscy musicie żarliwie się modlić, by lisseński okręt wrócił do swego portu. Szkunerów ze stu wysp boją się nawet Narenie. Z tego, co mi mówił lisseński wysłannik, wysnułem wniosek, że ich flota nie za bardzo ucierpiała mimo blokady archipelagu. Twierdził, że od dawna mieli gotowe ponad pięćdziesiąt okrętów na dzień, w którym będą mogli wypłynąć z portów i uderzyć na brzegi samego Nar. Tak więc, moi sojusznicy, widzicie, że nasza moc jest większa, niż mogliby się tego spodziewać wrogowie. Arkus myśli, że jesteśmy słabi, ale naprawdę sprawy mają się zupełnie inaczej. Na rozlew krwi odpowiemy krwią!

Wodzowie wybuchli rykiem aprobaty, waląc w stoły klingami jiiiktarów i rozlewając wino. Na twarzy Tharna pojawił się zwycięski uśmiech.

– O tak, moi przyjaciele – zagrzemiał. – To największa z prób okazać się ludźmi

w obliczu demonów. Jesteśmy silni jednością, tę jednak zawsze musimy zachowywać i pielęgnować. Nasze spory i kłótnie obrócą się tylko przeciwko nam i zaowocują zagładą. Sami Narenie nigdy nas nie zwyciężą, nawet z pomocą ich wielkiej nauki. Ale my sami... tak, my możemy zadać sobie klęskę. Ta rada musi działać jak jeden mąż i mówić jednym głosem. – Przerwał i powiódł poważnym spojrzeniem po obecnych. – Moim głosem.

Nikt nie wyraził sprzeciwu. Łoskot jiihtarów o stoły stał się tylko głośniejszy, a Nang wydał mrozący krew w żyłach okrzyk. Voris wstał i uniósł jiihtar wysoko nad głowę, nie dbając przy tym o to, że jego skrwawiona szata rozchyliła się, odsłaniając świeżą ranę na piersi.

– Wszyscy staniemy przy Tharnie! – zagrział. – Drolowie czy nie, jesteście braćmi. – Spojrzał drwiąco na Richiusa. – Nawet teraz los wydaje nam w ręce naszych wrogów.

Richius poruszył się niespokojnie. Chciał wstać i odpowiedzieć, ale zaraz potem porzucił tę myśl. Usłyszał zresztą cichą prośbę Lucylera, by zachował spokój. Wszyscy obecni utkwili w nim złowrogie spojrzenia. Jeden Tharn uśmiechnął się, dodając mu otuchy.

– Owszem – podjął mędrzec i powiódł pytającym wzrokiem po zebranych. – Wiecie już, kto zechciał wziąć udział w naszej naradzie. Czy ktoś z was, oprócz Vorisa, poznał naszego największego po Arkusie wroga?

– Co on mówi? – Zdumiał się Richius, krzywiąc się jednocześnie.

– Spokojnie – ostrzegł go Lucyler. – Zaufaj mu, on wie, co robi.

Tharn tymczasem podniósł się nie bez trudu.

– To Kalak! – zawołał. – Znacie to imię, prawda? Kalak Z Aramooru. Jeśli nie wiecie, kto to, spytajcie wojowników Vorisa. Jedynie on, Kalak, powstrzymał Drolów z Dring od wyrznięcia w pień nędznych Narenów, którymi dowodził i których osłaniał. Byliście świadkami tego, że nadal z Vorisem się nienawidzą. – Spojrzał gniewnie na Vorisa, a potem na Richiusa. – Tej wrogości też trzeba położyć kres. Wszyscy macie darzyć Kalaka szacunkiem, a to dlatego, że jest królem, który zechciał nam pomóc, za co zapłacił utratą swego królestwa. Mam dla niego miejsce i rolę do odegrania w moich planach, nie mniej ważną od roli każdego z was.

– Co takiego? – zdumiał się Richius. – O jakich planach on mówi?

– Nie mam pojęcia. – Lucyler wzruszył ramionami.

– Jestem tu tylko po to, żeby odpowiadać na pytania. On o tym powinien wiedzieć najlepiej.

– Już mu to mówiłem – odpowiedział Lucyler, nie mniej zaskoczony od Richiusa.

– Dobrze zrobiliście, schodząc się tutaj – ciągnął Tharn. Uspokoił się już i położył

jedną dłoń na ramieniu Vorisa. – Ale nie ma tu wszystkich, którzy powinni zjechać. Nie zjawił się nikt z Chandakkaru.

Zebrani odpowiedzieli niskim, gniewnym pomrukiem. Tharn uciszył ich jednym skrzywieniem warg.

– Zachowajcie spokój. Możecie sobie darzyć niechęcią, kogo chcecie, ale to wojna wszystkich Triinów. Oni powinni być tu z nami.

Voris potrząsnął swoją ogoloną głową.

– Lwim jeźdźcom nie można ufać – odparł spokojnie. Po raz pierwszy od rozpoczęcia narady ktoś odważył się przerwać Tharnowi. Co dziwne, wyglądało na to, że mędrzec rad jest wyzwaniu.

– Mógłbym ci przypomnieć o braterstwie i jedności, przyjacielu – stwierdził nie bez szacunku w głosie – ale ty najlepiej ze wszystkich rozumiesz znaczenie lojalności i wierności, więc nie będę kwestionował twoich uczuć i instynktów. Nie wiem, czy tym nomadom można ufać, czy nie. Wiem jednak, że będziemy musieli to sprawdzić. Potrzebujemy ich i ich lwów.

– Poradzimy sobie bez nich – spierał się Voris. – Możemy ich błagać, by przybyli, oni jednak nas zignorują, jak ostatnim razem.

Podniósł się inny wódz, Shohar z Jhoolu. Kiwnął głową, na znak że się zgadza z przedmówcą.

– Znamy dobrze lwich jeźdźców – powiedział swoim ostrym głosem. – Nie wiedzą niczego o ofiarach i poświęceniu, i nie wielbią naszych bogów. Wolałbym z nimi walczyć, niż błagać o pomoc.

– To nie błaganie – poprawił go Tharn. – To prośba. Posłuchają nas, gdy pojną, jak wielkie jest zagrożenie ze strony Narenów.

– Tharnie – przerwał mu Voris. – Zawsze byłeś zbyt łaskawy. Czy jest coś, czego byś nie umiał przebaczyć? Inni mieli przynajmniej odwagę, by z tobą walczyć. Ci z Chandakkaru jednak po prostu cię zlekceważyli, odwrócili się również od Daegoga. To ludzie pozbawieni honoru.

– To tylko słowa – odpowiedział Tharn. – Nikt z nas nie zna ich na tyle dobrze, by głośić takie oceny. Spierasz się z Kroninem o skrawek ziemi i też głośisz, że on nie ma honoru, a jednak w tej chwili, gdy my tu się naradzamy, on może konać za naszą sprawę. Jeżeli ty i on możecie działać ramię w ramię, dlaczego odmawiasz tego prawa ludowi z Chandakkaru?

Voris odwrócił spojrzenie.

– Kronin nienawidzi mnie równie silnie, jak ja jego.

Tharn podszedł bliżej.

– Był czas, kiedy nawet byś nie pomyślał o tym, że kiedykolwiek zdołasz wciągnąć w płuca powietrze Tatteraku. A teraz siedzisz tu, przy jednym stole z innymi, jako gość tego, którego nazywałeś wcieleniem zła. Pomyśl o tym, mój przyjacielu.

– Nie, Voris ma rację – rozległ się znów ostry głos Shohar. – Sam mam tysiąc wojowników. Drużyny większości tu zebranych są nie mniej liczne. Nie potrzebujemy pomocy z Chandakkaru.

– Jesteś pewien, że nie? – spytał Tharn łagodnie. – A iluż to nas jest? Sam robiłem obliczenia. Jest nas wielu, to prawda. Ale nie dość, by powstrzymać Narenów. Nawet jeżeli Lisseńczycy zdołają ich zatrzymać z dala od naszych brzegów, to i tak wleją się niczym powódź przez przesmyk. Musimy ich tam zatrzymać. A do tego potrzebne nam lwy Chandakkaru.

Shohar namyślał się przez chwilę.

– Taki więc będzie nasz plan? Mamy zatrzymać Narenów w przesmyku?

– Nie ma innego sposobu, Shoharze. Jeżeli mamy zabezpieczyć przyszłość naszych dzieci, musimy przejść kontrolę nad przesmykiem. Ale nie da się tego zrobić szybko. Narenie już zajęli tamte tereny. Nie da się też tego zrobić samymi jiiiktarami i z koni. Musimy ich zaskoczyć wśród gór. A do tego potrzebne nam lwy.

– Tamci już idą na dolinę – odezwał się Voris z niecierpliwością w głosie. – Moją dolinę. Aby jej bronić, nie będę się zdawał na tych pustynnych włóczęgów.

– Będziesz jej bronił sam – odpowiedział Tharn i powiódł wzrokiem po zebranych. – Wszyscy będziecie. Jediną rolą, jaką w moim planie wyznaczyłem nomadom, jest obrona przy przesmyku. Skoro zamkniemy przesmyk, Narenie nie będą mogli przysyłać tu uzupełnień, ani nowych oddziałów. Wtedy powoli rozprawimy się z tymi, którzy tu zostaną.

– Najpierw musimy namówić tych nomadów, by nam pomogli – stwierdził Shohar. – A to nie będzie łatwe.

– Może nie wiedzą, co się stało w Ackle-Nye? – podsunął Tharn.

– A może nic ich to nie obchodzi – odparł Shohar.

Twarz Tharna okryła się chmurą.

– Kiedy się przekonają, że gra idzie również o ich karki, wtedy przyjdą nam z pomocą.

– Ale do tej pory będziemy musieli sobie radzić sami – wtrącił Voris tonem pełnym troski. – Nie możemy czekać, aż się zdecydują.

– I nie będziemy – uciął Tharn. – Jak powiedziałem, każdy z was ma swe miejsce w moich planach. Lucylerze?

– *Rayamo, Tharn?* – spytał Lucyler.

– Używaj języka Narenów – upomniął go mędrzec. – Chcę, by król Richius wszystko zrozumiał.

Usłyszawszy swoje imię, Richius wyprostował się oczekująco. Dźwięk własnego języka w ustach innych zabrzmiał dziwnie.

– Lucylerze, dobrze znasz Kronina. Znasz i Tatterak. Musisz pomóc Kroninowi. Narenie są zbyt blisko. Musimy się bronić i utrzymać ich z dala od Falindaru. Chcę, byś się tym zajął.

– Uczynię to z wielką chęcią – odpowiedział Lucyler. W jego oczach pojawił się błysk fanatyzmu, jaki Richius widywał już wcześniej u innych i którego bardzo nie lubił.

– Zbierz wojowników, którzy zostali jeszcze w cytadeli. Ruszaj z nimi tam, gdzie cię potrzebują. Walcz u boku Kronina, albo sam, tak jak uznasz za stosowne.

– Rozumiem – stwierdził Lucyler. – Ale co będzie z Richiusem? Czy mam go wziąć ze sobą?

– Nie. Dla niego mam inne zadanie.

Richius nie mógł już dłużej usiedzieć spokojnie. Odchrząknął i stanął obok przyjaciela.

– Mistrzu Tharnie – zaczął, ostrożnie dobierając słowa. – Wiesz, dlaczego tu jestem. Zgodziłem się was wspomóc swoją wiedzą. Jeżeli masz inne plany, chciałbym o tym wiedzieć wcześniej.

– Poczekaj – ostrzegł go Tharn. – Tak będzie lepiej.

– Nie. Chcę wiedzieć teraz. I tak pewnie odmówię, otrzymasz więc odpowiedź wcześniej. To wszystko.

– Niechże i tak będzie – odpowiedział Tharn. Odwrócił się do wodzów i poprosił, by zajęli się jadłem i trunkami, gdy on będzie rozmawiał z Richiusem. Wodzowie, nie zwlekając, sięgnęli po karafki z winem. Od picia wstrzymał się jedynie Voris. Tharn poprosił go, by wstał, i obaj podeszli do miejsca, gdzie tkwili Richius i Lucyler. Na widok zbliżającego się wodza doliny Dring Richius spał się, rozmyślając w duchu, co też Tharn znowu wymyślił.

– Będziemy mówili w języku Narenów – oznajmił Tharn. – Lucylerze, zechciej prosić przekładać wszystko na użytek Vorisa.

– Nie omieszka – obiecał Lucyler z pewnym niepokojem.

Tharn wbił spojrzenie w oczy Richiusa.

– Królu Richiusie, Voris nie ma pojęcia o tym, co chcę ci zaproponować. Nie dziw się więc jego reakcją.

Usłyszawszy przekład Lucylera, Voris zmarszczył brwi. A potem skinieniem dłoni poprosił Tharna, by mówił dalej.

– Nie wygląda na zadowolonego, a i mnie daleko do radości – stwierdził Richius. Czuł, że za chwilę usłyszy propozycję, której nie będzie mógł przyjąć, co bardzo go denerwowało. – Mistrzu Tharnie, co dla mnie zaplanowałeś? Jeżeli myślisz, że będę współpracował z tym maniakiem...

– Lucylerze... – rzekł Tharn i podniósł dłoń.

– Spokojnie, tego nie powtórzę – zapewnił go Lucyler.

Tharn lekko się uśmiechnął.

– Owszem. Uważaj na to, co przekładasz Vorisowi.

– Mój Boże! – zachnął się Richius. – Więc o to wam chodzi? Chcecie, bym pomógł Vorisowi?

Voris zaczął się niepokoić. Spojrzał gniewnie na Lucylera i Tharna, żądając wyjaśnień.

– Tharnie – poprosił Lucyler – powiedz nam wszystko.

– Królu Richiusie, słyszałeś, co mówiłem o oddziałach Imperium, prawda? Rozesłali zwiadowców po całym kraju i niedługo uderzą na dolinę Dring. Jeżeli ją zajmą, rozdziela nasze siły. Wiesz o tym.

Richius kiwnął głową. Doskonale znał strategiczne znaczenie doliny. Stracił dwa lata, chcąc osiągnąć ten cel. Bez powodzenia.

– Jesteś potrzebny w Dring. Mam na myśli dokładnie to samo, co mówiłem innym. Może uważasz, że jest inaczej, ale cudem jedynie uniosłeś z Dring głowę. Wiem, bo mówił mi to Voris. Jesteś bardzo przebiegły. Takiego właśnie człowieka trzeba nam w Dring. Razem z Vorisem...

– Voris wystarczy – zachnął się Richius. – Uwierz mi. Potrafi utrzymać dolinę bez moich porad.

– Nie chodzi o porady – stwierdził Tharn. – Chcę, byś tam objął dowodzenie.

– *Kalak?* – zagrzemiał Voris. Jego twarz poczerwieniała, gdy zalał Tharna słowami protestu.

Tharn westchnął ciężko i poczekał, aż wódz straci oddech. Voris szalał z wściekłości, Tharn zaś był spokojny, jak toń górskiego jeziora. Richius podniósł obie ręce na znak sprzeciwu.

– Lucylerze, to śmieszne. Powiedz mu, by o tym zapomniał. Może cię usłucha. Na mnie w ogóle nie zwraca uwagi.

– Richiusie, uspokój się – poprosił cicho Lucyler.

– Przestań mnie uciszać! – zawrzał gniewem Richius. Odwrócił się do Tharna. – Wracam do cytadeli. Powiedzcie temu szaleńcowi, że może przestać się z wami kłócić, bo w tym akurat się z nim zgadzam. On nie życzy sobie mojej pomocy, a ja nie

zamierzam mu pomagać. I niech tak zostanie. – Richius odwrócił się, by odejść, Tharn jednak chwycił go za ramię.

– Zostań – syknął. Drugim gniewnym słowem uciszył Vorisa. Potem puścił Richiusa i splunął mu pod nogi. – Kiedy na was patrzę, robi mi się niedobrze! – zagrzemiał. W jego głosie była zaskakująca żywotność. – Popatrzcie na innych! Obserwują was i uważają obu za durniów! Jesteście jak dzieci. Ale nic mnie nie obchodzi duma żadnego z was! Musicie zrobić to, czego od was żądam. Musicie!

Tyrada Drola odniosła skutek, bo w miarę jak ją Lucyler przekładał, Voris coraz bardziej kurczył się ze wstydu. Opuścił też głowę ku ziemi, unikając wzroku Tharna. Na Richiusie gniew mędrca nie zrobił jednak wrażenia. Przepchnął się obok Vorisa i wymierzył palec w twarz Tharna, podkreślając pchnięciem każde swoje słowo.

– Mistrzu Tharnie, wykorzystałeś mnie po raz ostatni. Zgodziłem się pomóc i co otrzymuję w zamian? Wiesz, co czuję do Vorisa. Jakże mógłbym mu darować? – Potrząsnął głową z niedowierzaniem. – Wszyscy myślą, jak bardzo jesteś mądry, ale to jedno z największych głupstw, o jakich słyszałem.

– Chodź ze mną – warknął gniewnie, a jego oczy zapłonęły niebezpiecznie. Potem odwrócił się od zaskoczonych trójki. Wszyscy wodzowie ze zdziwieniem patrzyli, jak powoli odchodzi, żaden jednak nie wyraził sprzeciwu. Cisza, jaka nagle zapadła sprawiła, że Richius się opamiętał. I spojrzał na Lucylera.

– Tylko ja?

– Tak myślę – padła odpowiedź.

Voris już odchodził, wracając na swe miejsce przy stole.

Richius zeszywniał.

– Jeżeli on uważa, że zmienię zdanie...

– Idź z nim i się dowiedz – podsunął Lucyler przyjacielowi. – Ja zostanę z innymi.

– Ale twoja dłoń...

– Daj spokój. Idź.

Richius zgodził się nie bez oporów i ruszył za Tharnem pod górę pogrążonego już z ciemnościami stoku. Mędrzec posuwał się bardzo powoli i Richius bez trudu go dogonił. Tharn dyszał ciężko – przede wszystkim z wyczerpania, ale i dlatego, że przez cały czas mruczał coś do siebie gniewnie pod nosem.

– Czego ode mnie chcesz? – spytał Richius lodowatym tonem. – Dałem ci już odpowiedź. I tak mnie nie przekonasz.

– Mógłbyś, na przykład, choć na chwilę zachować milczenie! – uciął Tharn. – Chodź za mną.

– Dlaczego miałbym to robić? I dokąd mnie wiedziesz?

– Tam, gdzie możemy porozmawiać tak, by inni nas nie słyszeli. A teraz już chodź.

Richius umilkł i pozwolił się Tharnowi poprowadzić ku cytadeli i pod wysoką bramą. Wędrówka ciągnęła się nieznośnie i dłużyła Richiusowi przez uporczywe milczenie Tharna. Za każdym razem, gdy tracił siły i Richius wyciągał dłoń, by mu pomóc, Tharn ze złością ją odpychał, nie otwierając nawet ust, by wyrazić sprzeciw. Kiedy weszli do cytadeli, okazało się, że są sami, Tharn jednak Szedł dalej, mijając wewnętrzne drzwi i przechodząc obok zatłoczonych komnat, gdzie rozmawiali ze sobą kalecy mężczyźni, a kobiety układały dzieci do snu. W końcu dotarli do głównych schodów, gdzie Richius się zatrzymał.

– Powiedz, dokąd idziemy – zażądał uprzejmie.

Tharn się nie odwrócił, ale postawił nogę na pierwszym stopniu.

– Do góry.

– Bez pomocy nie zdołasz wejść na te schody. Lepiej nawet nie próbuj.

W sekundę później Tharn się poślizgnął i padł w tył, prosto w ramiona Richiusa.

– A nie mówiłem, niemądry człowieku? – stwierdził Richius. Tharn uwolnił się nie bez trudu, czemu młodzieniec się nie sprzeciwił. – Zrozum, możemy iść na górę, ale wtedy musisz przyjąć moją pomoc, albo rozmówimy się tutaj.

– Na górę – zgodził się zasapany Tharn. – Proszę.

– Dobrze – stwierdził Richius, biorąc go za rękę i przekładając ją sobie przez barki. Drugim ramieniem objął Tharna w pasie, zwalczając nagłe obrzydzenie, które go ogarnęło, gdy dotknął luźnej skóry pod szafranową szatą. Tharn jęknął z bólu i Richius szybko rozluźnił chwyt. – Teraz lepiej?

– Tak.

– To dobrze – stwierdził Richius, pomagając Tharnowi wejść na schody. – Teraz ostrożnie. Pójdziemy powoli.

– Owszem, powoli.

Gdy tak cał po calu podchodzili po schodach, Richiusowi wydało się, że czas pełnie niczym ślimak. Po drodze mijali rozmaitych ludzi, schodzących wąskim przejściem. Niektórzy ofiarowali się z pomocą, inni ich ignorowali. Tharn witał ich niecierpliwym machnięciem dłoni. Zapach jego rozkładającej się z niektórych miejscach skóry był tak nieznośny, że Richius musiał zaciskać zęby. Nigdy przedtem nie znalazł się tak blisko przywódcy Drolów i zastanawiał się, jak też ów zapach wytrzymuje mędrzec. I nagle uderzyła go myśl, że Tharn jest tylko o pięć lat starszy od niego, który oto pomaga mu wejść na schody jak wiekowemu starcowi.

– Daleko jeszcze? – spytał Richius. Podchodzenie z uwieszonym u jego boku Tharnem było tak uciążliwe, że zaczynały go już boleć plecy.



- Do komnaty Dyany – padła odpowiedź.
- Do Dyany? A jak ona może wpłynąć na moją decyzję?
- Zaprowadź mnie do niej.

Na szczęście komnaty Dyany znajdowały się niżej od innych. Kiedy weszli na wiodący do nich korytarz, Tharn odepchnął obejmujące go ramię Richiusa. Ruszył korytarzem bez słowa, jak przedtem dumny i zachowujący rezerwę.

- Nie krępuj się – oznajmił Richius.
- Tharn i na to nie odpowiedział.
- Chodź.

Korytarz był pogrążony w półmroku i panowała tu cisza. Komnata Dyany znajdowała się na końcu. Tharn pokonał tę odległość dość szybko i natarczywie zastukał w drzwi. Przez dłuższą chwilę nie było żadnej odpowiedzi. Richius odgadł, że Dyana już się położyła. Zanim jednak Tharn zdążył zastukać po raz drugi, drzwi uchyliły się lekko, a w szczelinie pokazała się twarz Dyany. Zaskoczona spojrzała na Tharna, potem na Richiusa, aż wreszcie znów przeniosła wzrok na męża.

- Mężu?

Tharn pchnął drzwi swoim kosturem. Dyana cofnęła się i niemal potknęła. Miała na sobie prostą, długą koszulę. Richius, widząc to, uznał, że jego domysł był trafny – zdążyła się już położyć. Zaniepokojona spojrzała na męża i zmrużyła zaspane oczy.

- Co się stało? – spytała Tharna, który stał w progu, nie wchodząc do komnaty.

– Król Richius wybiera się do doliny Dring – odpowiedział Tharn formalnie. – Wyjeżdża za dwa dni. Czy pojedziesz z nim jako tłumaczka?

Dyana patrzyła na niego, jakby nie usłyszała pytania.

- Co mówisz, mężu?

- Co takiego? – wykrzyknął Richius.

– Naucz go naszego języka, tak by mógł uczyć innych – ciągnął Tharn. – To ważne, Dyano. Spraw się jak najlepiej.

- Nie rozumiem – wyjąkała Dyana. – Dlaczego mamy jechać do Dring?

– Richius jest tam potrzebny – wyjaśnił Tharn. – A ty jesteś jedyną osobą, która może go uczyć.

- Ale Shani...

- Weź dziecko ze sobą – powiedział Tharn. – Voris się o was i zatroszczy.

Spojrzenie Dyany okryło się mrokiem.

- Mężu...

– Nie spieraj się ze mną! – uciął Tharn. – A teraz się połóż. Musisz wypocząć. – Położywszy dłoń na klamce, pociągnął drzwi ku sobie, zostawiając Dyane za nimi.

Richius usłyszał jeszcze, jak zaskoczona rozwojem wydarzeń Dyana zakłęła.

– Zwariowałaś? – spytał. – Chcesz, by pojechała ze mną? Dlaczego?

– Potrzebny ci będzie tłumacz, królu – stwierdził Tharn.

Podszedł do drugich drzwi i zapukał. Zza drzwi wychyliła się niańka, którą Richius kilka dni temu widział w komnacie Dyany. Tharn powiedział coś rozkazującym tonem i kobieta podeszła do niego, a potem objęła tak samo, jak niedawno zrobił to Richius. I wszyscy troje powoli zawrócili ku schodom.

– Nie dam się zignorować! – syknął Richius, dotrzymując im kroku. – Chcę wiedzieć, ku czemu zmierzasz. Dlaczego ona ma jechać ze mną?

Tharn odwrócił spojrzenie.

– Nie mówisz naszym językiem, a Lucyler jest potrzebny gdzie indziej.

– Bzdura. Podaj prawdziwy powód, mistrzu Tharnie.

– Nie ma innego.

Richius chwycił służącą za ramię i szarpnął ją w bok. Położna krzyknęła i odskoczyła, co sprawiło, że Tharn upadł na kolana. Mędrzec zaklął i gniewnie spojrzał na Richiusa.

– Pomóż mi wstać – syknął, usiłując się podnieść.

Richius patrzył, ale nie podawał mu ręki.

– Powiedz prawdę!

– Już ci ją powiedziałem! Jesteś potrzebny w Dring. Nie możemy sobie pozwolić na utratę tej doliny.

– Nie o to mi chodzi! – warknął Richius. Ostrzegawczym gestem zatrzymał zbliżającą się kobietę. – Powiedz mi o Dyanie! Dlaczego ona musi jechać ze mną?

– Bo tu grozi jej niebezpieczeństwo!

Oszołomiony tym prostym wyznaniem Richius cofnął się. Patrzył w milczeniu, jak mędrzec wstaje. Twarz Tharna była straszna.

– Mistrzu Tharnie – wyjąkał Richius. – Niczego nie rozumiem. Zechciej mi wyjaśnić...

Tharn znużonym gestem potarł dłonią czoło.

– Bo tu jej grozi niebezpieczeństwo – powtórzył przez zaciśnięte zęby. – Muszę ją odesłać z tobą do Dring. Nie mam wyboru.

– Martwisz się o nią? Ależ tu z pewnością będzie bezpieczniejsza.

Tharn oparł się na swojej lasce.

– Nie – stwierdził krótko. – W Falindarze wielu jest takich, którzy wiedzą o tobie i o Dyanie. – Obdarzył Richiusa osobliwym spojrzeniem. – Czy to cię dziwi? Owszem, widzę, że tak. Ale ja nie jestem takim ślepcem, za jakiego mnie uważałeś. Od twego

przybycia ona zachowuje się inaczej, niż przedtem. Irytuje ją byle drobiazg. – Twarz Tharna wykrzywił grymas niechęci. – Wygląda na to, że ciąża z tobą zmieniła ją.

Zakłopotany Richius mógł tylko wzruszyć ramionami.

– Ale dlaczego ona nie jest tu bezpieczna? Przecież jesteś jej mężem.

– Jest wielu takich, którzy uważają, że ją zhańbiłeś. A dziecko jest skażone. Zabiją ją, gdy tylko nadarzy się okazja.

– Nie ośmielą się!

– Ośmielą się, a jakże – stwierdził Tharn. – Nie wszyscy Drolowie są tacy jak ja. Widzą w niej kobietę Narena. I wiedzą, że to ty jesteś ojcem jej dziecka.

– Ale nikt jej nie tknie, kiedy ty tu jesteś! – stwierdził Richius. – Możesz ją chronić znacznie lepiej, niż ja.

– Już wkrótce stąd wyjadę. Muszę się udać do Chandakkaru i nagiąć Karlaza do posłuchu. Jeżeli nie wrócę, Dyana i dziecko znajdą się w niebezpieczeństwie. Muszą więc udać się z tobą do Dring. Tam będą bezpieczne, zadba już o to Voris. Przysiągł mi wierność i posłuszeństwo.

– Pozostali też – stwierdził rzeczowo Richius. – A może nie?

– Voris jest inny. To mój przyjaciel, od wielu lat. Jest dla mnie jak brat. Obroni Dyanę. – Jego twarz spochmurniała. – Ty też jej będziesz bronił. Widziałem, jak na nią patrzyłeś. Nie jestem ślepy...

– Tharnie...

– Nie próbuj przeczyć. Nie winie cię zresztą za to. I nie winie Dyany. Ma potwora za męża. To oczywiste, że jej się spodobałeś.

Richius milczał oszołomiony szczerością kaleki. Co więcej, słowa Tharna obudziły w nim nadzieję. Czy jego przybycie w istocie zmieniło Dyanę? Czyżby go pokochała? Na myśl o tym poczuł, że serce wali mu jak szalone.

– Tharnie, ale ja nie mogę jechać do Dring. Dobrze wiesz, jak się układają sprawy pomiędzy mną i Vorisem.

Tharn parsknął śmiechem.

– O tak, wiem.

– Wiesz więc, że to niemożliwe. Voris nigdy nie zechce się ze mną zgodzić.

– Zgodzi się, ponieważ taka jest moja wola – stwierdził Tharn. – Zrobi, co mu każę. Wierz mi, lepszy z niego człowiek, niż myślisz. I jesteś mu potrzebny. Dolina Dring ma dla nas kluczowe znaczenie. Jeżeli ją utracimy, przegramy wojnę. Musisz nam pomóc, Richiusie, musisz... Wszyscy powinniśmy trzymać się razem.

– Spokojnie – poprosił Richius, biorąc rozmówcę pod ramię. Skinieniem dłoni wezwał służkę, która ostrożnie ujęła Tharna pod drugie ramię. – Wracajmy do rady.

Pomyślę o tym, co powiedziałaś.

– Nie. Najpierw musisz mi odpowiedzieć. Dyana uważa cię za człowieka silnego i stanowczego. Okaż nam tę swoją siłę. Jedź do Dring i przepędź najeźdźców. W ten sposób zemścisz się też na naszym imperatorze.

– To się nie uda...

– Uda się! – zapewnił go Tharn. – Musisz tylko odłożyć na bok osobiste sympatie i antypatie. Czy sądzisz, że ja chcę posyłać Dyanę z tobą? Nie, po stokroć nie! Ale ona jest ci tam potrzebna, a tu jej zostawić nie mogę. Nie ufam ci, ale jaki mam wybór? Widzisz? Sam się zaplątałem we własne sieci. Wiedz jednak, że jestem Drolem. Nie dopuszczę do tego, byś mnie zhańbił. A Voris będzie miał na ciebie oko.

– To już brzmi jak groźba! – zachnął się Richius. – Nie powinieneś grozić komuś, kogo chcesz prosić o przysługę.

– Będziesz bronił Dring, bo to słuszna i dobra sprawa, nie dlatego, że cię o to poprosiłem. Co do Dyany, nie sądzę by pobyt przy twoim boku naraził ją na hańbę. Ona wie, że ją kocham. Możesz to nazwać obsesją, królu Richiusie, ale nie potrafię się temu oprzeć. Nigdy nie mogłem o niej zapomnieć... choć próbowałem. Z tobą jest podobnie, prawda?

Richius ponuro kiwnął głową.

– Tak.

Tharn uśmiechnął się znacząco.

– Richiusie Vantranie, wiedz, że nie darzę cię nienawiścią. Myślę, że moja żona ma rację, uważając cię za dobrego człowieka. Nie próbuj jednak odebrać mi Dyany. Gdyby do tego doszło, nie umiałbym powstrzymać gniewu.

Było to dość ponure ostrzeżenie i Richius przyjął je z nieukrywaną niechęcią. Był już świadkiem tego, do czego zdolny jest Tharn, by odzyskać Dyanę, i nie chciał dopuścić, aby rzecz się powtórzyła. Nie wtedy, gdy mógł w ten sposób narazić Shani.

– Wracaj do innych, Tharnie – rzekł po prostu. – Daj mi choć jedną noc do namysłu.

Tharn pochylił głowę i pozwolił się służącej poprowadzić schodami w dół.

Richius na chwilę został sam. Wciąż czuł ból w boku, gdzie kopnął go Voris, ale nie dokuczało mu to już za bardzo. Zamierzał odwiedzić Dyanę pod nieobecność Tharna, powstrzymało go jednak przeświadczenie, że w jakiś sposób byłby to postępek niehonorowy. Tharn ją kochał. Było to jasne jak słońce. Spojrzał wzdłuż korytarza ku drzwiom, za którymi została Dyana. Wiedział, że jest – równie zakłopotana i zmieszana, jak on sam. Pomyślał, że byłoby dobrze, gdyby ktoś jej to wszystko wyjaśnił.

Postanowił, że sam to zrobi. Choć nie dzisiejszej nocy.

\* \* \*

Następnego ranka Dyana obudziła się z postanowieniem, że pomówi z Tharnem. Doszła do wniosku, że teraz, po zakończeniu narady wojennej, powinien znaleźć dla niej trochę czasu, a gdyby nawet było inaczej, zmusi go do tego, by się z nią zobaczył. Zaraz po świtaniu nakarmiła Shani, przewinęła ją, a teraz czekała na niańkę, by zostawić pod jej opieką córeczkę i ruszyć na poszukiwania Tharna.

Była podniecona i rozgoryczona. Nie tylko dlatego, że mężczyźni przekazywali ją sobie jak psa, ale dlatego, że obarczono ją zadaniem niemal niemożliwym do wykonania – miała nauczyć Richiusa języka Triinów. Na domiar złego wyprawiono ją do nienawistnej doliny Dring. Minął rok od dnia, w którym postanowiła uciec stamtąd z Falgerem i innymi zbiegami. Obiecała też sobie, że nigdy tam nie Zwróci – nie wtedy, gdy doliną rządzą Drołowie. A oto mąż kazał jej tam wrócić, a ona nie umiałaby powiedzieć, co napawa ją większą niechęcią i gniewem – bezsilność i konieczność posłuchania Tharna, czy też myśl o życiu u boku Vorisa.

„Oby szczęśli!” – pomyślała, układając Shani w kolebce.

Tharn pozostał dla niej zagadką. Właśnie wtedy, kiedy zaczynała myśleć o nim z sympatią, potrafił jej dopiec. A tym razem zrobił to bardzo boleśnie. Wiedziała, że nie zdoła go przekonać. Wczoraj wieczorem zobaczyła w jego oczach błysk szaleństwa i upor. Podjął decyzję, powodując się jakimiś niezgłębionymi dla niej powodami i ona, Dyana, będzie musiała jechać do Dring. Musiała przynajmniej zgłosić swój sprzeciw.

Po przybyciu niańki Dyana wyszła z komnaty i ruszyła korytarzem ku schodom, które miały ją zawieść do pracowni męża. Tharn zawsze wstawał przed świtem, poświęcał godzinę na modły, a potem na cały dzień zagłębiał się w księgach. Nie lubił, gdy mu wówczas przerywano, i kilka razy przepędził służących. Dyana wiedziała, że tę drażliwość należy przypisać jego dolegliwościom i nigdy nie przychodziła do niego, zanim sam nie wyszedł z pracowni.

Dziś jednak rzecz miała się inaczej. Dziś miała sprawę do pana Falindaru i nic jej nie obchodziły jego nastroje. Była prawie na dole, kiedy zatrzymał ją widok Vorisa. Wódz szedł na górę. Ujrzawszy ją, również przystanął.

– Kobieto – odezwał się szorstko. – Właśnie szedłem, by z tobą pomówić.

Dyana wyprostowała się dumnie.

– To zuchwałe i niegodne. Tam na górze są moje prywatne komnaty.

– To, co mam ci do powiedzenia, powinno zostać między nami. – Wódz skinieniem dłoni kazał się jej odwrócić. – Wracaj na górę. Tam porozmawiamy.

– Akurat! – wypaliła z gniewem. – Czego ode mnie chcesz, lordzie Vorisie? Masz

wiadomość od mojego męża?

Twarz Vorisa oblekła się purpurą.

– Nie, kobieto, to co ci chcę powiedzieć, jest przeznaczone tylko dla twoich uszu. A jeżeli wolisz słuchać obraźliwych słów na schodach, niech i tak będzie. – Wódz podszedł stopień wyżej, tak że jego oblicze zrównało się z twarzą Dyany. – Mam cię eskortować do mojego domu. Tam zaś mam cię otoczyć opieką. Czy ci to powiedziano?

– Owszem – odpowiedziała Dyana, nie ukrywając niezadowolenia i niechęci. – I cóż dalej?

– Przyszedłem, by cię ostrzec. Wiem, co czujesz do Szakala. Wiem, że on jest ojcem twojego dziecka. Ale pozwól, że coś ci powiem. Nie dopuszczę, byś zhańbiła męża z tym łajdakiem. Nie wtedy, gdy będę za ciebie odpowiedzialny. Tharn wysłał cię ze mną, bym mógł cię chronić, ale ja będę też chronił i jego dobre imię. Powierzył mi swój honor. Nie dopuszczę, byś go splamiła.

Dyana zgrzytnęła zębami.

– Jak śmiesz! – syknęła. – Nie mów mi, co mi wolno, a czego mi nie wolno. Jestem dorosłą kobietą.

Voris parsknął śmiechem.

– A oto temperament, przed którym mnie ostrzegano! Och, Tharn zawsze był w tobie tak zakochany, a ja nie mam pojęcia dlaczego. Dla mnie zawsze byłaś tylko zbuntowaną nierządnicą.

– Zejdź mi z drogi! – zawrzała gniewem Dyana i ruszyła, by przejść obok Vorisa.

Ten jednak chwycił ją za rękę i pchnął na ścianę.

– Jeszcze z tobą nie skończyłem!

– Ale ja skończyłam z tobą! – wykrzyknęła Dyana, wrywając rękę z uścisku. – A jeżeli cenisz swoje życie, to nigdy więcej mnie nie dotykaj!

– Bądź spokojna, ale pamiętaj, że nie pozwolę, by dotknął cię ten nareński knur, żono Tharna. Dowiem się, jeżeli choć spróbuje. W mojej dolinie dowiaduję się o wszystkim.

– To powinieneś się dowiedzieć i o tym, że wcale nie mam zamiaru zadawać się z tym Narenem – odparła Dyana. – Wiem, gdzie moje miejsce i kto jest moim mężem.

– Naprawdę? – warknął Voris. – Tharn za bardzo ci ufa. Ostrzegałem go od lat, on jednak nigdy mnie nie słuchał. Teraz znów mi opowiada, że cię wcale nie znam i że jesteś dobrą kobietą. Ale ja nie chcę cię znać, dziwko. Nie chcę też, by twój jad zatrul moją dolinę.

– To nie masz powodu do zmartwienia – odcięła Dyana. – Nie chcę mieć do czynienia z twoimi służalcami.

– I niech tak zostanie. Nie dostarczaj mi dowodów na to, że miałem rację, uważając

cię za dziwkę, bo przysięgam, że jeżeli zhańbisz Tharna, zabiję Szakala, za zgodą Tharna albo bez niej. – Voris wbił w Dyanę spojrzenie swych płonących nienawiścią oczu. – A może się zdarzyć, że zabiję i ciebie.

Zanim Dyana zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Voris Wilk odwrócił się i ruszył schodami w dół, zostawiając ją samą. Zrobiła krok, a potem nagle zamarła w bezruchu. Nie bardzo wiedziała, o czym miałyby pomówić z Tharnem. Czasami zapominała, że jest więźniem, ale zawsze zdarzało się coś takiego, jak teraz, co ukazywało jej kraty. Tharn nie zwróci nawet uwagi na jej protesty. Był dobrym człowiekiem, tak jak mówiła Richiusowi, łagodnym i miłym. Był też jednak jej właścicielem, ona zaś niczego nie mogła na to poradzić.

Odwróciła się i ruszyła do swojej obszernej, złoconej klatki.

## Trzydzieści trzy

Dni poprzedzające wyjazd z Falindaru wypełniło Richiusowi planowanie obrony doliny Dring. Przez długie godziny siedział w swojej komnacie, ślęcząc do późnej nocy nad mapami albo zapisując ostatnie wydarzenia w dzienniku.

Tharn postawił przed nim zadanie warte zachodu, ale ani Voris, ani on sam nie mieli ochoty na omawianie go z partnerem, wobec czego, rysując mapy, Richius musiał zdać się na swoją pamięć.

Metodę w najlepszym wypadku można było nazwać wątpliwą. Richius cały niemal czas tkwił w okopach nieopodał najbardziej żyznych, środkowych ziem doliny, i nigdy nie widział jej w całości. Było to złowrogie, gęsto porośnięte drzewami miejsce, niewiele więcej jednak mógł o nim powiedzieć. Pośrodku doliny tkwił zamek Dring, którego Richius nigdy nie widział, a na południe rozciągały się bagna i moczary – tych zaś Narenie z pewnością będą unikali. Centrum doliny było gęsto porośnięte, nie trzeba się więc było obawiać bojowych wozów Gayle'a i jego jeźdźców, którzy niewiele działają w chaszczach. Richius wiedział, że środek doliny będzie stosunkowo łatwy do obrony. Voris i jego wojownicy z pewnością zdobędą tam przewagę. Gorzej było z obrzeżami, gdzie teren był dostatecznie płaski, aby przepuścić jazdę i gregany. Na tym terytorium Drolowie niechybnie poniosą porażkę.

Tak czy inaczej, trzeba było spróbować, Richius zasiadł więc do planowania zmyślnego systemu okopów i pułapek na wozy oraz jazdę. Z jeźdźcami trzeba sobie będzie poradzić, stosując długie piki, a przed ogniomiotami można się było bronić, chroniąc się za tarczami. W każdym okopie trzeba też będzie umieścić łuczników, którzy zajmą się pieszymi, a bojowe wilki Vorisa będą musiały podjąć próbę spłoszenia greganów. Richius wszystko to starannie przeniósł na papier i przekazał Tharnowi, by ten dał to Vorisowi. Voris niechętnie polecił szkice swoim ludziom. Godzi się stwierdzić, że wódz Dring nie poddał planów Richiusa krytyce, tylko wydał wojownikom rozkazy, by zajęli się wcielaniem w życie jego pomysłów. Zgodę wyraził co prawda bez entuzjazmu i Richiusowi nie bardzo się to podobało. Uczucia Vorisa były zresztą podobne – i wódz dobitnie to okazał w przeddzień wyjazdu do doliny.

Tego ranka Richius pożegnał się z Lucylerem, który z polecenia Tharna zebrał wszystkich wojowników, którzy zostali w Falindarze, i ruszył z nimi, by przeszukać surowe bezdroża Tatteraku i unicestwić wszystkich Narenów, którzy wylądowali na ich brzegach. Niewesołe to było pożegnanie, co jeszcze bardziej popsuło nastrój Richiusa. Popołudnie spędził w swojej komnacie, uzupełniając notatki w dzienniku, tęskniąc za



ojczyznę i zastanawiając się, jak Dyana i Shani zniosą długą podróż do doliny. Dyana miała być jedyną kobietą w grupie, a musiała jeszcze karmić Shani. Richius rozmyślał nad jej odosobnieniem, kiedy do drzwi komnaty ktoś zapukał.

– Kto tam? – zapytał, odkładając pióro.

Odpowiedzi nie było. Zamiast niej znów rozległo się pukanie. Aramooreczyk wstał z krzesła z niechętnym stęknieniem, otworzył drzwi i spojrzał w ponure oczy mędrca, jednego z akolitów Tharna. Drol podał mu jakąś notatkę, po czym odwrócił się i odszedł. Treść notatki była prosta: „Proszę, przyjdź do mnie, nie zwlekając”. Pismo nie było podpisane, ale prawie nieczytelne litery wskazywały na Tharna.

– Gdzie mam pójść? – zapytał głośno Richius.

Wetknąwszy notatkę do kieszeni, wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi. Domyślił się, że Tharn będzie ślęczał nad własnymi mapami w swojej pracowni, ruszył więc spokojnie wąskim korytarzem, nieco zaskoczony wezwaniem, ale beztronski. Tharn też miał wyjechać rankiem i pewnie chciał się dowiedzieć, jakie postępy poczynił Richius w planowaniu obrony. Był pewien, że jego dokonania zadowolą Drola.

Przed pracownią Tharna zgromadzili się kapłani Drolów, którzy na widok Richiusa szybko się rozstąpili. Od czasu narady cytadela kipiała życiem i rzadko można było przejść którymkolwiek korytarzem, by się nie natknąć przynajmniej na jednego ze wszędobylskich świętych mężów. Otaczali teraz Tharna niczym żywa tarcza i nie pozwalali się do niego nikomu zbliżyć, chyba że ich uprzedzono, z jaką sprawą przybywa. Richius przeszedł obok nich, nie zaszczyciwszy żadnego spojrzeniem. Zza zamkniętych drzwi do pracowni Tharna, dobiegały odgłosy rozmowy. Richius nadstawił uszu. Tharn swoim świszczącym głosem mówił coś po triińsku. Aramooreczyk zawahał się, zastanawiając się, kim była druga obecna w komnacie osoba i licząc na to, że może to być Dyana. Mędrca patrzyli na niego jednak uważnie, zapukał więc lekko w drzwi. Rozmowa natychmiast ucichła.

– Tharnie, mogę wejść? – spytał uprzejmie. – To ja, Richius.

Za drzwiami przez chwilę słychać było jakieś szuranie, a potem padła odpowiedź:

– Wejdz.

Richius ostrożnie pchnął drzwi. Najpierw dostrzegł Tharna siedzącego za stołem pergaminów i ksiąg. Przywódca Drolów podniósł wzrok na przybysza i uśmiechnął się lekko. Na jego twarz padał cień osoby stojącej przy oknie. Gdy Richius otworzył drzwi nieco szerzej, zobaczył Vorisa. Wódz doliny Dring stał ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami i patrzył na przybysza z grymasem gniewu i niechęci na twarzy.

– Wejdz – ponaglił Tharn. – I zamknij drzwi, proszę.

Po zamknięciu drzwi w komnacie zapadła pełna napięcia cisza. Richius czekał na

słowa Tharna, od czasu do czasu rzucając Vorisowi niechętnie spojrzenie. Wódz odpowiadał dokładnie tym samym. W końcu Tharn westchnął i wskazał Richiusowi niewielkie krzesło przy swoim stole. Richius jednak nie skorzystał z zaproszenia.

– Dobrze – stwierdził Tharn z lekką irytacją w głosie. Odsunął dłonią pasmo zmierzwionych włosów, które spadło mu z czoła na twarz. – Richiusie, czy wiesz, dlaczego cię tu wezwałem?

– Nie – odparł gość. – Ale mam nadzieję, że mi powiesz. Spieszno mi, by wyjechać.

Tharn zachichotał pozbawionym wesołości śmiechem.

– Dzień po dniu brniesz coraz głębiej. Dlaczego nie chcesz usiąść? Mamy do omówienia kilka spraw.

– Dziękuję, postoję.

– A ja się rozsiądę – odpowiedział Tharn. – Ty i Voris możecie sobie stać i znosić wszelkie niewygody, jakie sobie zechcecie narzucić. Ale przestańcie ze sobą walczyć. Już mnie to męczy.

Na twarzy Richiusa pojawił się skąpy uśmiech. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził niedawno, że postępowanie Tharna zaczyna mu się podobać, co oczywiście mocno mu utrudniało okazywanie gniewu i niechęci.

– Tharnie, wszyscy już jesteśmy znużeni tą sytuacją – odezwał się pojednawczo. – Jeżeli twój przyjaciel nie zaatakuje mnie po raz drugi, obiecuję, że nie wyrzucę go przez okno.

– Jeżeli chcesz dać się zabić, niech przynajmniej będzie za co – odparł Tharn zgryźliwie. I ponownie wskazał dłonią krzesło. – A teraz, proszę...

Richius poddał się, przyciągnął krzesło i usiadł. Skrzyżowawszy nogi, odchylił się w tył i usiadł wygodniej, całym sobą dając do zrozumienia, że świetnie się bawi i jest mu wygodnie.

– No dobrze... – odezwał się i wskazał brodą Vorisa. – A on co tu porabia?

Voris, jakby zrozumiał o kim mowa, postąpił krok do przodu i wybuchnął potokiem słów, jednocześnie godząc niemal palcem w twarz Richiusa. Richius odtrącił dłoń wodza i zerwał się z krzesła, szykując do następnej bijatyki. I nagle jakby znikąd otrzymał cios laską w głowę. Zaraz potem posoch Tharna śmignął znowu, trafiając Vorisa pod kolano. Obaj przeciwnicy odskoczyli od siebie z jękiem bólu. Richius opadł na krzesło, syjąc przekleństwami i pocierając dłońmi zboląłą głowę. Rzucił Tharnowi wściekłe spojrzenie, na które mędrzec odpowiedział promiennym uśmiechem.

– No... teraz możemy porozmawiać – stwierdził Tharn. – Będziecie słuchali?

Richius kiwnął głową.

Kaleka dłoń Tharna wskazała Vorisa, wzywając i jego, by podszedł bliżej. Wódz

westchnął, ale usłuchał. Tharn podjął wątek dopiero wtedy, gdy się upewnił, że obaj słuchają go z należytą uwagą.

– Rozjeżdżamy się rano – zaczął z powagą. – I chcę, byśmy się wszyscy dobrze zrozumieli. Richiusie, Voris nieco inaczej patrzy na sprawy, niż ty.

– Tego akurat jestem pewien.

– Słuchaj i nie przerywaj. Nie jest zadowolony z twoich planów obrony Dring. Nie bardzo mu się podobają.

– Nie podobają mu się? – zachnął się Richius. – Miał cztery dni na to, żeby zgłosić sprzeciw. Dlaczego zgłasza go akurat teraz?

– Chce, by dokonano w nich pewnych zmian.

– Nie – odparł Richius. – Żadnych zmian. Miał wysłać gońców, by zaczęto robić to, co zaleciłem. Czy to zrobiono?

Tharn kiwnął głową.

– To już zostało zrobione. Zaczęto też wznosić umocnienia, o których mówią twoje plany.

– Dobrze. O co więc toczy się spór?

– Brak planu ataku – odpowiedział Tharn. – On chce zobaczyć plan ataku.

– Nie istnieje plan ataku. Miałem się zająć obroną doliny Dring i to właśnie zrobiłem. Jeżeli chce atakować, niech robi to na własną rękę.

– On już poczynił plany ataku i chcę, byś je ocenił. – Tharn przesunął się nieco i spod stosu pergaminów wyjął niewielką mapkę, którą podał Richiusowi. Był to szkic doliny Dring. Na zachodzie kilka czarnych plam przedstawiało siły Narenów. Na wschodzie widać było pionowe linie – Richius domyślił się, że są to jego okopy. Wzruszył ramionami i oddał mapkę Tharnowi.

– Więc?

Voris najpierw skierował słowa do Tharna. Słuchając przemowy wodza, mędrzec kiwał potakująco głową.

– Richiusie, Voris chce uderzyć na Narenów. Powiada, że zaskoczenie da nam przewagę, zwłaszcza jeżeli uderzymy dostatecznie mocno. Co ty na to?

Richius nie bez trudu zdusił rodzący mu się w krtani śmiech.

– Zaatakować? Czy on mówi poważnie? Jakimi siłami? Aby ich pokonać, potrzebna będzie silna armia.

– Proponuje uderzenie wszystkimi swoimi siłami, włącznie ze stadami wilków. Powiada, że zaskoczenie może wyrównać liczebną przewagę wroga.

– Tharnie, on się myli. Ci ludzie pójda na rzeź. Nawet jeżeli zdołają ich zaskoczyć – w co wątpię, bo Narenie mają się przeciw na baczności – atak będzie aktem

samobójczym.

Tharn przekazał słowa Richiusa. Voris zaczął mówić pośpiesznie i z zapalem.

– Voris chce ci powiedzieć, że zaczął gromadzić siły, gdy tylko ustąpiliście z Dring. Ma teraz pod bronią dwa tysiące ludzi. Dość, by zniszczyć najeźdźców.

Richius uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Nasze walki w Dring to już historia. Tym razem zresztą nie będzie stawał przeciwko Aramoorowi. Boże, czy mu tego nie wyjaśniłeś? Jeżeli zechce stawić im czoło na otwartym terenie, będzie musiał uporać się z bojowymi wozami i jazdą. – Skrzywił się drwiąco. – Gdybyśmy mieli jazdę, zgnetlibyśmy go jak orzech.

Spojrzenie nabiegłych krwią oczu Tharna wzniosło się ku niebu, jakby chciał bogów wezwać na świadków daremności swoich wysiłków.

– Dość już o tym, proszę. Odpowiedz mi tylko, czy popierasz ten plan.

– Nie – odpowiedział Richius. – Jest głupi i niebezpieczny. Idę o zakład, że nic dobrego z niego nie wyniknie.

– Richiusie – odezwał się Tharn z namysłem w głosie. – Zanim wypowiesz się ostatecznie, zechciej wszystko dobrze rozważyć. Ten dowódca jazdy, którego tak nienawidzisz, będzie na otwartym terenie. Gdzie indziej go nie dopadniesz.

– Wiem – odpowiedział Richius. Zastanawiał się już nad możliwością zwabienia Gayle'a do jakiejś ciasnej dolinki o stromych zboczach. Niczego to jednak nie zmieniało. – Obstawaj przy tym, co powiedziałem. Poprzesz mnie?

Tharn uśmiechnął się posępnie i powiedział coś do Vorisa, odwracając głowę ku stojącemu za nim wodzowi. Kiedy skończył, Voris wyrzucił z siebie kilka słów, wyprostował się dumnie i skrzyżował ramiona na piersiach. Tharn zmarszczył brwi i umilkł.

– I co? – spytał Richius. – Jaka jest jego odpowiedź?

– Mówi, że jesteś tchórzem i taki też jest twój plan. – Tharn z roztargnieniem potarł grzbiet swej bezwładnej dłoni. – Richiusie, czy ty się boisz śmierci? – spytał. – Voris uważa, że tak. Powinieneś wiedzieć, że on się jej nie boi.

– Nie jestem tchórzem – odparł Richius. – Ale jeżeli on jest taki mężny, powiedz mu, żeby się zabrał do realizacji tego szaleństwa. Ręczę i jemu, i tobie, że w godzinę po rozpoczęciu ataku będzie trupem. I kto wtedy obroni jego dolinę?

Tharn pochylił głowę.

– Przede wszystkim chcemy zapewnić dolinie bezpieczeństwo, prawda? Doskonale. Wiedz, że nie mam cię za tchórza, ale musisz jeszcze przekonać o tym Vorisa. Spróbuj zrozumieć, czego od niego żądam. Jest jednym z wodzów Lucel-Loru. To, czego obaw od niego chcemy jest w jego pojęciu hańbą. A jednak usłucha, bo przysiągł mi wierność.

– Posłucha, naprawę? – spytał Richius. – Tharnie, nie próbuj mi mydlić oczu. Nie każ mi jechać do Dring tylko po to, by się tam dać zarznąć.

– Będziesz bezpieczny. Nie posyłałbym z tobą Dyany, gdybym nie był o tym przekonany. Ostrzegam cię jedynie przed kolejnymi próbami rozwścieczenia Vorisa. Nie będziesz mnie miał w Dring do obrony i jeżeli Voris uzna, że nie jesteś tak godnym człowiekiem, jak mu to powiedziałem...

– Rozumiem – odpowiedział Richius. Ujrawszy, że Tharn na coś jeszcze czeka, dodał: – Obiecuję, że nie będę go złościł.

Voris słuchał przez chwilę ich rozmowy, ale w końcu nie wytrzymał i trącił niecierpliwie nogę fotela Tharna. Mędrzec wyjaśnił mu, o czym była mowa, i wódz nie bez zadowolenia kiwnął głową. A potem spojrział na Richiusa z wyraźną drwiną w oczach.

– A teraz mu powiedz – odezwał się Richius – by zapomniał o swoim pomysle. Wszystko ma być tak, jak zaplanowałem.

To już spodobało się Vorisowi znacznie mniej. Wydał dźwięk bardzo podobny do jęku, ale – ku zdziwieniu Richiusa – przestał się spierać. Skłonił się nisko Tharnowi i wyszedł. Ignorując Richiusa, zostawił drzwi komnaty otwarte. Richius wstał i je zamknął.

– Powiedziałeś mi, Tharnie? – spytał Aramoorczyk.

Tharn kiwnął głową.

– Richiusie, będziesz musiał się przed nim wykazać. Bądź ostrożny.

– Zrobię, co będę mógł – odpowiedział Richius. – Ale on musi mi dać posłuch. Jest w błędzie, jeżeli uważa, że pozbędzie się Narenów, uderzając na nich wprost. Mam nadzieję, że choć ty mi wierzysz...

– Wierzę – odparł Tharn. – Chciałem jedynie się upewnić. Voris jest uparty i ma silną wolę. Jest też człowiekiem czynu i na zagrożenie woli odpowiadać działaniem. A ty go prosisz, by siedział beczynnienie.

– Wcale nie – zachnął się Richius. – Chcę, by bronił swojej doliny i choć raz użył głowy, zamiast mięśni. Zresztą chyba nawet on sam zdaje sobie sprawę z tego, że to był głupi pomysł. Wydaje mi się, iż zależy mu tylko na utrzymaniu pozorów, że wszystkim kieruje i dowodzi osobiście. – Richius wzruszył ramionami. – Jeżeli tak jest, to ja nie będę się wtrącał.

– Nie – sprzeciwił się Tharn. – Komenda zostaje przy tobie. Jedynie ty wiesz, co ruszyło na dolinę.

– Tharnie, nie jestem strategiem. Wyrosłem w Aramoorze, czyżbyś o tym zapomniał? A co do obrony doliny Dring, to nikt jej nie zna lepiej od Vorisa. Może

powinieneś wszystko jeszcze raz przemyśleć?

– Nie ma potrzeby. Udowodniłeś mi właśnie to, co chciałem.

– Co takiego?

– Dorównujesz Vorisowi stanowczością, uporem i wewnętrzną siłą, ale jesteś od niego bardziej przebiegły. Trapiłem się myślą, że zechcesz uderzyć na Narenów, by dopaść barona Gayle’a. Zaskoczyłeś mnie i oświadczam, że jestem rad.

Richius ponuro spojrział w podłogę.

– Wcale cię to nie ucieszyło – stwierdził mędrzec. – Dlaczego?

– Chodzi o Sabrinę – odpowiedział Richius. – Ona zasłużyła przynajmniej na to, by ją pomścić. Może Voris miał rację. Może po prostu się boję.

– Richiusie, wszyscy znamy uczucie strachu. W przeciwnym wypadku nie bylibyśmy ludźmi.

– Voris niczego się nie boi. Sam to mówiłeś.

– Kłamałem. Oczywiście, że on się boi. Boi się o dolinę i los swojej rodziny. I boi się swojej dumy. Uważasz go za szaleńca, on nim jednak nie jest. Po prostu jeszcze go nie poznałeś.

– Jednak chce ruszać na Gayle’a. A Gayle nie zamordował jego żony.

Tharn zbył tę uwagę pogardliwym machnięciem dłoni.

– Twoje wątpliwości są głupie. Prawdziwy mężczyzna dba o słabszych, których powierzono jego opiece. To właśnie próbuje robić Voris, i tego samego chcesz ty. Poprosiłem cię o to, byś bronił doliny Dring. Czyniąc to, ochraniasz Dyanę i małą Shani. Słusznie postąpiłeś, wyrzekając się ataku na jazdę Gayle’a. On i jego banda rozgnietliby was podkownikami.

– Rozumiem – stwierdził Richius. – I pojąłem nauczkę.

– To dobrze – uśmiechnął się Tharn. – I przestań się gryźć. Dostaniesz barona. Wszystko w swoim czasie.

„Może – pomyślał Richius. – Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że będę na to gotów”.

Tharn znów zaczął grzebać w stosie pergaminów, zdrową ręką przenosząc sterty dokumentów.

– Chciałbym ci coś pokazać – stwierdził. – To bardzo ciekawe.

Znalazł potrzebny mu papier i podał go Richiusowi, który spojrział bez specjalnej ciekawości. Kartka nie była większa od tych, jakie mógłby wyrwać z własnego dziennika i pokrywały ją triińskie runy, nieco już przyblakłe. Papier był lekko chropowaty, jak to się dzieje z dokumentami, które zmkły.

– Co to takiego? – spytał Richius, przyglądając się obcym literom. Słów nie było

wiele, ale mimo to nie miał pojęcia, co oznaczają.

– Widzisz podpis? – spytał Tharn.

– Mistrzu Tharnie, nie znam żadnych triińskich run. Przykro mi. Co tu napisano?

Tharn pochylił się i powoli przesunął palcem po podpisie.

– *Cha Yulan* – powiedział powoli i wyraźnie.

– Cha Yulan? – spytał Richius. – Co to znaczy?

I nagle sobie przypomniał. Był to bojowy okrzyk szkarłatnych wojowników z doliny Dring. *Cha Yulan*. Wilk.

– To od Vorisa, prawda? – spytał.

Tharn nie odpowiedział. Richius położył kartkę na stole.

– Dlaczego mi to pokazujesz?

– Ten list przyszedł przed dwoma laty – stwierdził Tharn. – Trwała jeszcze tamta wojna. Ty byłeś wtedy w Dring.

Richius znów wziął kartkę do ręki, zastanawiając się, które ze słów znaczy Kalak.

– Co tu napisano?

– „Mój syn nie żyje. Zabiję tego człowieka z Nar”.

Richius zamknął oczy. List zadrżał lekko w jego palcach.

– Co to znaczy: „mój syn”? Czyj? Vorisa?

– Miał na imię Tal – odpowiedział mędrzec. – Kiedy zginął, miał czternaście lat. Niedawno został wojownikiem. To się stało w dolinie.

– Och nie! – jęknął Richius. – Proszę, tylko nie to! Jego syn zginął w dolinie? Nawet nie wiedziałem, że miał syna.

– Jednego. I trzy córki. Córki żyją, Tal zginął.

– Przekleństwo – syknął Richius, zgniatając list w pięści i uderzając nią o stół. – To dlatego on mnie tak nienawidzi? Bo obarcza mnie winą za śmierć syna? Wielki Boże! A skąd miałem wiedzieć? Zabiłem wielu ludzi, Tharnie. Zbyt wielu.

– Nie wiń siebie. Każdy mógł go zabić. Wątpię, czy padł z twojej ręki.

– Nie o tym mówię. Czy nikomu nie przyszło do głowy pomyśleć, jak ciężko mi było chronić mieszkańców doliny? Mogłem ich wyciąć w pień, jak Gayle, ale tego nie zrobiłem. A teraz to... Koszmar!

– A co ty sobie myślisz? – spytał Tharn. – Że na wojnie giną tylko starzy? Tal był wojownikiem. Zginął śmiercią bohatera.

– Nie tak to widzi Voris.

– Ten lis napisano przed dwoma laty. Voris był wtedy pogrążony w rozpacz. Nie pokazałem ci go zresztą po to, by cię zbić z tropu. Ani po to, by ci pomóc zrozumieć nastawienie Vorisa. Nie dostrzegasz czegoś oczywistego.

Richius cisnął list na stół.

– Czego mianowicie?

– Jak to, czego? Voris jest bardzo do ciebie podobny, przynajmniej z charakteru. Nienawidzi cię, ale zgodził się na współpracę z tobą. Wie, że tak jest najlepiej dla kraju.

– On nie jest taki jak ja – sprzeciwił się Richius. – To zwierzę!

– Ależ jest – upierał się Tharn. – On nienawidzi ciebie za r, śmierć swego syna. Ty tak samo nienawidzisz mnie za śmierć Edgarda.

W tych słowach była jakaś dziecięca szczerłość i prostota, które sprawiły, że Richius nagle się poddał. I zrozumiał, że cała jego nienawiść do Tharna gdzieś się ulotniła. Tharn uśmiechnął się ciepło zniekształconymi, popękkanymi ustami.

– Więc już rozumiesz – odpowiedział spokojnie. – Teraz możemy pracować razem. Ty i Voris także. Uczymy się życia.

– Tharnie, Voris nie ma się czego uczyć. Stracił syna. Ma powód do nienawiści.

– Ciągłe mówisz o nienawiści. Dość już o tym. Połóżmy jej kres!

– Zrobię, co się da – obiecał Richius.

– I bardzo dobrze, bo jak nie, to Voris ci nie będzie ufał. Musisz też się nauczyć naszej mowy. Słuchaj Dyany i ucz się. Ważne jest, byś rozumiał moich ziomków.

– Spróbuję – obiecał Richius. – Ale na naukę może nie być czasu. Mamy tam mnóstwo innej pracy.

– Dyana będzie cię uczyła, a ty dasz sobie radę. Powiedziałem jej, że należy to do jej powinności. Ona zrozumie. – Na jego twarzy pojawiła się melancholia. Tharn spojrzał w bok. – Tak... – mruknął na poły do siebie. – Zrozumie.

Niepewność wyczuwalna w jego głosie sprawiła, że Richius ośmielił się na zadanie pytania.

– Tharnie? O czym teraz myślisz?

– O Dyanie – wyznał Tharn. – Coś ją martwi. Ostatnio... – skrzywił twarz, poszukując właściwego słowa – ...jakby się oddaliła. Już ze mną nie rozmawia.

– Prawdopodobnie po prostu niepokoi się o ciebie, i to wszystko. Boi się, że nie wrócisz z Chandakkaru. Takie już są kobiety.

– Niepokoi się? – Tharn zrobił zdziwioną minę. – O mnie?

– A o kogóżby innego? – spytał Richius. – To cię dziwi?

Tharn znów uciekł ze spojrzeniem w bok.

– Kiepski ze mnie mąż.

– Ja wcale nie spisałem się lepiej – stwierdził Richius. – Ale to nie znaczy, że one o nas nie dbają.

Tharn podniósł zwiniętą w pięść dłoń i przez chwilę patrzył na nią, obracając ją



wolno i przyglądając się bliznom, strupom i szramom, pokrywającym nawet przedramię. Na jego twarzy widać było strach... i namysł.

– Kiedy ją zobaczę, powiem jej, by się tak o ciebie nie trapiła, Tharnie – pospiesznie zapewnił go Richius. – Powiem jej też, że będziesz miał ochronę wojowników. To powinno ją uspokoić.

– Nie – odpowiedział Tharn. – Nie będzie wojowników.

Richius przez dłuższą chwilę patrzył na Tharna w milczeniu.

– Jak to, nie będzie wojowników? – spytał w końcu. – Jedziesz do Chandakkaru sam?

– Nie, sam nie pojedę. Będzie ze mną trzech akolitów mędrców.

– Jedziesz do Chandakkaru tylko w towarzystwie tych kapłanów? Tharnie, nie rób tego. Potrzebni ci będą wojownicy. Wyjazd bez nich jest zbyt niebezpieczny.

– Wszyscy wojownicy będą potrzebni w Tatteraku – odpowiedział Tharn. – Poradzę sobie bez nich.

– Ale Chandakkar może już jest podbity przez Narenów. Nie możesz się tam zjawić ot tak, bez żadnego zwiadu. Zabiją cię!

Tharn podniósł dłoń.

– Przestań – odezwał się rozkazująco. – To już postanowione. Nie można zostawić Falindaru bez żadnych sił do obrony. Proszę, nie mówmy już o tym. Pojadę do Chandakkaru z moimi braćmi. Przekonamy Karlaza Lwa, by nam pomógł.

Richius postanowił zaryzykować jeszcze jedno szczere pytanie.

– A co, jeżeli nie zdołasz, Tharnie? Co będzie, jeżeli lwi jeźdźcy nie zechcą cię wysłuchać? Masz inny plan?

Blask w oczach Tharna przygasł na moment.

– Muszą nam pomóc. Są nam potrzebni. Bez nich nie utrzymamy przesmyku. Tylko lwy podołają temu zadaniu.

– Jest inny sposób – stwierdził Richius ostrożnie.

– Jaki?

– Ty sam – odpowiedział Aramooreczyk. – Potrafisz ich zatrzymać, w przesmyku i gdzie tylko zechcesz. Wiesz to. Musisz tylko spróbować.

Tharn z trudem podniósł się na nogi.

– Jak możesz tak mówić? Nie widzisz, jak wyglądam? Spójrz tylko na mnie!

– Wiem, jak wyglądasz – odpowiedział Richius, starając się zachować spokój. – Jesteś chory. To wszystko.

– Ja? Jestem przeklęty! Spójrz na mnie, człowieku! Widziałeś kiedyś taką szkaradę?

– To choroba skóry – odparł Richius. – Może trąd, a może coś innego. Nie wiem co,

ale to z pewnością nie kara, jaką zesłali bogowie. Nie mogli cię przekląć za to, że uratowałaś swój lud.

Twarz Tharna skamieniała w pełną gniewu maskę.

– Niczego nie rozumiesz – odparł. – Użyłem danej mi mocy do zabijania. I oto konsekwencje. – Wskazał na swoje ciało.

– To nie konsekwencje – upierał się Richius. – Przypadek. Twoja moc nie może być przekleństwem. Raz już uratowałaś dzięki niej cały Lucel-Lor. Możesz to zrobić po raz wtóry.

– Nie! – wykrzyknął Tharn, opadając na swoje krzesło. – Nigdy tak nie mów! Zostałem ukarany. Oto, jaka jest prawda. – Pochylił głowę, aż dotknął brodą piersi, a jego głos opadł do niesłyszalnego niemal szeptu. – Jestem szkaradny. Nie ma takiej kobiety, która mogłaby mnie pokochać.

Richius wstał, obszedł stół i ukląkł przed mędrcom.

– Tharnie, są lekarstwa, które mogłyby ci pomóc. Nie musisz wyglądać tak, jak teraz. I nie musisz cały czas zwijać się z bólu.

– Taka jest wola bogów – odpowiedział Drol. – Brak ci wiary? Jakiegoś jeszcze potrzebujesz dowodu, poza widokiem mojego wynędzniałego ciała?

– Ależ te leki...

– Te leki stworzyli Narenie. Nie ma sposobu, by je zdobyć. A ja wolę cierpieć, niż błagać o pomoc kogokolwiek z Imperium. Zasłużyłem zresztą na te cierpienia. Pozbawienie bogów możliwości kary byłoby kolejnym grzechem przeciwko nim.

Richius wstał.

– Mylisz się. Gdybyś odwołał się do swoich mocy, mógłbyś uratować Lucel-Lor.

– Nie – odpowiedział Tharn. – To ty się mylisz. Musisz jeszcze się wiele nauczyć o tym, co to znaczy być Triinem. Są nad nami bogowie, którzy obciążają ludzi różnym brzemieniem. Uważnie słuchaj tego, co ci będzie mówiła Dyana. Nigdy przedtem nie była osobą wierzącą, ale teraz się nawróciła. Objawi ci prawdę o sprawach naszej wiary.

Richius powoli kiwnął głową.

– Jak sobie życzysz. Ale abym uwierzył, trzeba czegoś więcej niż twoje słowo i choroba. Tharnie, niech ci los sprzyja w podróży. Powodzenia.

W oczach Tharna pojawił się smutek.

– Richiusie – powiedział łagodnie. – Pamiętaj, co ci mówiłem. Wykaż się przed Vorisem. I postępuj z nim ostrożnie. On jest dobrym człowiekiem. Spróbuj w to uwierzyć.

## Trzydzieści cztery

Kiedy Tharn ze świecą w dłoni wyszedł na wspaniałą korytarz, było już po północy, księżyc wisiał w zenicie, a w powietrzu unosił się jedynie szum odległego przyboju. Kamienne płyty posadzki wydawały głuchy stuk, kiedy kuszykał po nich powoli i z wysiłkiem, a z drżącej w jego dłoni świecy spływały mu na palce krople gorącego wosku. Sprawiało mu to dokuczliwy ból, on jednak prawie tego nie zauważał, miał bowiem zamęt w myślach. Na przemian ogarniały go żądze i wstręt do samego siebie, kiedy coraz szybciej na swoich kalekich nogach ciągnął ku komnatom Dyany.

Spodziewał się, że będzie śpiąca i może nawet się rozgniewa. Słowa Richiusa wciąż jednak tkwiły mu w pamięci niczym cierń i postanowił, że nie odjedzie o świcie, nie rozmówiwszy się najpierw z żoną. Bał się – zwyczajnie i po ludzku czuł strach przed śmiercią, jaka być może czekała na niego w Chandakkarze. Najbardziej jednak przeraziła go myśl, że być może nigdy już nie zobaczy kobiety, której oddał swe serce. Wiedział, że jest szkaradny, i myśl o tym, iż ktoś tak urodziwy jak Dyana boi się o niego, napelniała mu oczy łzami. Dziś w nocy nie mógł zasnąć. Tęsknił za ciepłem ludzkiego ciała.

Ciała Dyany. Ciała, którego los mu odmawiał od momentu, kiedy przestał być chłopcem. Spotkali się tak wiele lat temu, że prawie tego nie pamiętał, ale wtedy był jeszcze za młody, by zrozumieć targające nim uczucia. Pamiętał jednak, że były głębokie, nienasycone i już wtedy nie dawały mu zasnąć, gdy w nocy zostawał sam. Ku swojej ogromnej radości dowiedział się, że rodzice postanowili zaręczyć ich sobie i niecierpliwie czekał, aż Dyana dojrzeje do tego, by odpowiedzieć na jego męskie tęsknoty. Nie dotykał innych kobiet, by moment połączenia się z nią w jedność był czysty i niczym niezakłócony.

Często myślał o niej, czekając na jej rozkwit. Zabrał jej pamięć ze sobą do Nar, gdzie widywał imperialne damy, które upijały się do nieprzytomności i łajdaczyły się tak, aż im twarze czerwieniały z wysiłku. Po powrocie też o niej rozmyślał i swoim nauczycielom Drolom opowiadał o pięknej, czekającej na niego dziewczynie. Chętnie się nią nieznosnie, a kiedy złamała ojcowskie przyrzeczenie i uciekła, mógł zrobić tylko jedno: puścić się za nią w pogoń.

Dziś znów ją ścigał. Teraz jednak była jego żoną, a to oznaczało, że była jego własnością. Gdyby pozwoliła mu na to słabość jego ciała, mógłby ją brać, ile tylko razy by zechciał. Ale tego właśnie już nie chciał. Może dlatego, że ją pokochał.

Przypomniał sobie, że na tym samym korytarzu miały swe pokoiki jej służące i niańka Shani, ruszył więc ku jej drzwiom tak szybko, jak tylko mógł. Ostrożnie

wsunąwszy kostur pod pachę, sięgnął do rygla. Dyana nigdy nie korzystała z zasuw, ponieważ – w przeciwieństwie do wielu innych mężów – on nie żądał od niej spełnienia małżeńskich powinności. Był to drobny dowód zaufania, jakim ją darzył i który chyba sobie ceniła. Jego kaleka dłoń powoli przekręcała rygiel, aż w końcu poddał się z cichym zgrzytem. Potem równie cicho skrzypane zawiasy i drzwi uchyliły się lekko, a do środka komnaty wpadła smuga światła z jego świecy.

Niespokojny i niepewny siebie Tharn wszedł do komnaty i zamknął za sobą drzwi, napierając na nie ramieniem. Rygiel zaskoczył w lekkim trzaskiem. Tharn rozejrzał się po sypialni żony. Z okna sączyła się smuga księżycowego blasku oświetlająca kolebkę Shani. Zawinięte w koczek dziecko spało. Łóżko Dyany stało pod przeciwległą ścianą. Z miejsca pod drzwiami Tharn widział śpiącą żonę, która leżała nieświadoma jego wtargnięcia, podłożywszy pod głowę nagie ramiona. Na poduszce rozpościerała się korona pięknych włosów Dyany. Tharn poczuł, że serce bije mu niczym młot, a jego skóra zaczyna płonąć. Doskonałość urody żony uderzyła w niego niczym grom.

Przez chwilę stał nieruchomo w świetle księżyca. Czuł wstyd szczeniaka przyłapanego na niecnym uczynku, i gorycz młodzika, któremu już nigdy nie będzie dane zaznać męskich rozkoszy. Nie mógł jej jednak porzucić, ani odejść... i przypomniał sobie udrękę Richiusa Vantrana, który padł ofiarą tego samego niewieściego uroku. Dyana jednak wiedziała, że jest żoną Tharna i oddała mu prawa do siebie i do decydowania o jej przyszłości. On zaś wiedział, że nie zdoła się jej wyrzec mimo swego kalekiego ciała. Przez chwilę zastanawiał się posepnie, czy wszystko to jest nagrodą za to, że uwolnił kraj od najeźdźców, czy kolejnym ponurym żartem jego opiekuńczych bóstw.

Zachowując spokój, podszedł do jej łóża. Dyana poruszyła się lekko i zmrużyła powieki, na które padł blask świecy. Tharn szybko osłonił płomień ręką. Już myślał, że ponownie zapadnie w sen, kiedy nagle otworzyła oczy. Tharn szybko cofnął się o krok. Dyana wydała cichy okrzyk zaskoczenia i cofnęła się ku wezgielowi łóża.

– Nie... – szepnął Tharn. – Nie bój się. To ja.

Dziewczyna zmrużyła oczy.

– Mężu... – spytała niepewnym głosem. – To ty?

– Owszem – szepnął Tharn mocno zakłopotany. – Przykro mi, że cię obudziłem.

– Czy coś się stało? – spytała Dyana, usiłując się podnieść z pościeli. – Coś złego?

– Nie, nic – odpowiedział Tharn.

Widział, że Dyana jest zmieszana i zaskoczona, odstąpił więc jeszcze jeden krok do tyłu. Żona patrzyła na niego, mrużąc oczy, i Drol pojął, jak okropnie musi wyglądać jego oblicze w blasku jednej świecy. Nie spuszczać wzroku, Dyana sięgnęła ręką i podciągnęła koc, otulając się nim jak opończę.

– Mężu? O co chodzi?

Tharn nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Nagle opuściła go cała zebrana wcześniej odwaga, i zostały mu tylko te same chłopięce niepokoje, które zawsze odczuwał na widok żony. Zaczął już nawet mamrotać jakąś odpowiedź, ale przerwał.

– Nie, nic się nie stało – odezwał się po chwili milczenia. – Chciałem cię tylko zobaczyć przed wyjazdem. Zostawiam cię opiece bogów, Dyano.

Ruszył ku drzwiom, gdzie dopadły go słowa Dyany:

– Mężu... poczekaj. Powiedz mi, co cię trapi?

Tharn odwrócił się i spojrzał prosto w oczy żony. Odstawiwszy świecę na szafkę, znów zrobił krok ku jej łóżu. Z twarzy Dyany znikł przestrasz i teraz wyglądała jedynie na zaniepokojoną.

„Niepokoi się – pomyślał Tharn. – Dokładnie tak, jak mówił Richius”.

– Rano wyjeżdżam – stwierdził po prostu. – Jadę do Chandakkaru.

Dyana skinęła głową.

– Wiem.

– Jestem... twoim mężem – ciągnął Tharn. Jego wargi zaczęły drżeć. – Powiedz mi, Dyano, czy dobry ze mnie mąż?

– Owszem – odparła natychmiast dziewczyna. Skinęła dłonią, by podszedł bliżej i ujęła go za rękę. Tharn poczuł się jak człowiek, który wziął w dłoń pochodnię. – Jesteś bardziej niż dobrym mężem. Jesteś dobrym i łagodnym mężem.

Tharn zmarszczył brwi. Nie przyszedł tu po to, by słuchać o swej łagodności.

– Czy jesteś szczęśliwa? – spytał. – Dziecku niczego nie brakuje?

– Jestem szczęśliwa – odpowiedziała Dyana głosem, w którym było dość smutku, by Tharn natychmiast pojął, że jego żona nie mówi prawdy. – Shani jest zdrowa i pięknie rośnie. Tak, mężu. Obie mamy się dobrze i jesteśmy szczęśliwe.

– Rano wyjeżdżam... – zaczął znów desperacko. – Może na długo. Do Chandakkaru daleka droga.

Dyana spojrzała bystro, najwidoczniej mocno zaskoczona tym, co usłyszała.

– Musisz na siebie uważać. Nie daj się zwieść pozorom, słuchaj mędrców i nie dosiadaj konia zbyt często. Dużo odpoczywaj.

– Będzie mi cię brakowało – wykrztusił wreszcie. – Będzie mi brakowało twojego widoku. Jesteś... jesteś piękna, Dyano. Czy kiedykolwiek ci to powiedziałem?

Dyana uciekła ze spojrzeniem w bok.

– Nie – odparła po długiej chwili niezręcznego milczenia. – Ale cieszę się, że mój widok sprawia ci przyjemność.

Nagle spojrzała na niego wprost, a w jej oczach pojawił się błysk zrozumienia,

Przestraszony Tharn zebrał się do odejścia, ona jednak tylko patrzyła w milczeniu, jakby się zastanawiając, co ma począć z nagle objawionym, ukrywanym dotąd przez męża sekretem. W jej oczach nie było odrazy, tylko bezmiar kobiecego współczucia i zrozumienia.

– Jestem... twoim mężem. Dyano – wyjąkał. – Ja wciąż o tobie myślę. Ja...

Nie pozwoliła mu skończyć. Wstała z łóżka i podeszła bliżej. Położyła mu palec na wargach i Tharn umilkł. Poczł ogarniający go płomień, od którego przyspieszyło mu serce i zatętniło w skroniach. Patrzył, jak wargi żony rozchylają się w najpiękniejszym ze szczęśliwych uśmiechów.

– Jestem twoją żoną – szepnęła. W jej oczach nie było odrazy, ale łagodna przychylność i zaproszenie.

– Dyano – wyszeptał. – Ja... ja się boję.

– Nie bój się – rzekła i poczuł, że Dyana bierze go za rękę. – Nikt nie zrobi ci najmniejszej krzywdy.

Usiadł na łóżku i patrzył na oświetloną blaskiem świecy żonę, jak odstepuje o krok, uśmiecha się i zsuwa ramiączka swej nocnej koszuli. Na widok jej nagości Tharn poczuł, że oblewa go fala gorąca. Nagle wyszło mu w ustach, bo oto ujrzał jak w promieniach księżycy staje przed nim niemal święta, którą niebiosa zesłały na ziemię. Gdy jej koszula opadła na ziemię i stanęła przed nim naga, piękna i podniecająca, poczucie własnej brzydoty prawie go zmiażdżyło.

– Dzisiejszą noc spędzimy razem – szepnęła obiecująco. – A ja ci podziękuję za twoją dobroć i czułość.

Kiedy jednak podeszła i zaczęła zsuwać z niego szatę, Tharn wpadł w popłoch.

– Nie! – jęknął błagalnie, chwytając jej palce. – Dyano...boję się.

– Uspokój się – powiedziała cicho. – Nie zrobię ci krzywdy.

– Nie, nie! – powtarzał z rozpaczą. – Nie widziałas mojego ciała. Jestem szkaradny... okropny...

– Wcale nie – odpowiedziała i znów zaczęła zręcznie zsuwać z niego szatę.

Tharn zamknął oczy i już bez sprzeciwu pozwolił, by obnażyła mu pierś i ramiona. Zacisnął oczy, by nie ujrzeć w jej wzroku odrazy na widok okrywających go blizn, strupów i czyraków. Dyana jednak nie sapnęła ze zgrozy, nie słyszał też by – jak się tego spodziewał – odskoczyła w tył. Zamiast tego poczuł ciepło dotyku jej palców na swojej piersi. Kiedy rozchylił powieki, ujrzał ją tuż obok, a na jej twarzy igrał ciepły uśmiech, jak muskające mu skórę światło świecy.

– Mężu – powiedziała, ciągle się uśmiechając. – Byłeś dla mnie bardzo dobry. Dzieliłeś ze mną trudy, ból i rozkosz urodzin Shani. Nigdy tego nie zapomnę. Pozwól, że

zrobię to za ciebie.

Tharn odpowiedział jej podobnym uśmiechem.

– Niewiele zdołasz dla mnie zrobić, Dyano. Ja już prawie nie jestem mężczyzną.

– To chociaż połóż się obok mnie – odpowiedziała. – Podziel ze mną łóżko i pozwól, że cię przytulę. Jesteś tak bardzo samotny. Widzę to przecież.

Tharn z trudem stłumił szloch.

– Och tak, Dyano... Cierpię okropnie. Moje ciało...

– Cicho – szepnęła, obejmując go ramionami.

Delikatnie położyła mu głowę na ramieniu. Po twarzy mędrca spłynęły łzy, wywołane obrzydzeniem do samego siebie. Poczul, jak dłoń Dyany zsuwa się na jego plecy – i wreszcie żona jęknęła ze zgrozą.

– Torturowali mnie – wyjaśnił przez łzy. – Siekli mnie batami i pokruszyli mi kolana...

– Uspokój się – rzekła Dyana. – Nic ci nie grozi.

– A teraz spójrz tylko na mnie – łkał Tharn. – Tak mnie boli, Dyano. Dlaczego mi to zrobiono?

– Nie wiem – odpowiedziała Dyana. – Ale dziś w nocy jesteś mężczyzną. W pełni mężczyzną.

– Nie jestem – upierał się Tharn. – I nigdy już nie będę. Dokonywałem okropnych czynów, czynów których nie da się opowiedzieć. Cięży na mnie tak wiele krwi... Jestem przeklęty!

– Mój mężu, jesteś zbawcą swego ludu – odpowiedziała Dyana, gładząc jego tłuste, rzadkie włosy. – Zostałeś „dotknięty przez niebios”. Lorris wie o twojej misji. Ufaj mu i zachowaj wiarę.

Tharn miał ochotę zawyć. Kiedyś kochał swego opiekuna, tak bardzo, że użył jego darów do zadawania śmierci. A jednak „dotyk niebios” był dla niego przekleństwem – mrocznym, bezużytecznym darem, z którego nigdy już nie miał skorzystać. Richius miał rację. Mógł skończyć wojnę prostym aktem woli. Ale jakież jeszcze ból za to zesłał na niego nieba? Gdyby chciał, mógłby dzięki tym darom zawładnąć światem, mógłby zatrzymać czarne serce Arkusa tak samo łatwo, jak to zrobił z sercem Daegoga. Zrobił to raz, za cenę nie kończącej się udręki własnego ciała. Wiedział, że jeżeli zrobi to ponownie, zapłaci utratą duszy.

– Dyano – odezwał się ze smutkiem w głosie. – Kocham cię.

Po tych słowach w sypialni Dyany zapadła cisza, jakiej zresztą Tharn się spodziewał. Wiedział, że dziś w nocy Dyana darzy go uczuciem w jedyny, dostępny jej sposób.

## Trzydzieści pięć

Richius i Dyana wyjechali z Falindaru za Vorisem ponurego, szarego poranka. Zabrali ze sobą Shani. Jechało z nimi kilkunastu odzianych w szkarłat wojowników. Nie żegnał ich nikt ważny, nawet Tharn, gdyż ten już wyjechał do Chandakkaru.

Nic nie zapowiadało poprawy pogody. Przyjazne warunki pogodowe, jakie mieli jeszcze niedawno, przekształciły się w dokuczliwą, uporczywą mżawkę, która przemoczyła ich wszystkich, zanim jeszcze zjechali z góry. Kaprysy pogody nie dotykały jedynie Dyany i Shani, które jechały w niewielkim powozie, wykonanym kiedyś dla wygody żony Daegoga. Powozik był ciasny, ale Dyana i jej dziecko doskonale się w nim mieściły, zapewniał im też osłonę przed męskimi spojrzeniami, potrzebną przy karmieniu i przewijaniu dziecka. Obie miały ciepło, było im sucho, choć woźnica musiał znosić niewygody na zewnątrz.

Nad stokiem góry wisiała tego dnia gęsta mgła i Richius patrzył na jej pasma w prawdziwie posępnym nastroju. Zostawiał oto rozległe, otwarte połacie Tatteraku dla puszczy Dring, gdzie rozmaite rośliny rosły jedna na drugiej tak, że od samego widoku mogło się zrobić człowiekowi duszno, a wiodła go tam osoba, której kiedyś przysięgł, że ją zabije. Nie minął rok, odkąd zostawił tamte lasy za sobą, przysięgając, że nigdy do nich nie wróci. Wciąż jeszcze zdarzały mu się koszarne sny, w których przedzierał się przez ich gęstwiny. A teraz znów miał się tam znaleźć. Aby to znieść, nieustannie musiał sobie przypominać, o jaką stawkę toczy się gra.

Cały ten dzień Dyana ani razu nie uchyliła drzwi powozu. Została wewnątrz, nawet gdy deszcz ustąpił na tyle, że mogła odetchnąć świeżym powietrzem; wołała jednak zostać sama ze swoimi myślami, niż porozmawiać z towarzyszami podróży. Było tak, jak mówił Tharn – oddaliła się od nich. Wyszła z powozu dopiero wieczorem, gdy karawana się zatrzymała. Szybko uporała się wśród drzew ze swoimi potrzebami i wzięła trochę jadła od Vorisa. Krótka podziękowała wodzowi i wróciła do powozu. Nie poświęciła ani jednego spojrzenia Richiusowi, który jadł kolację tylko w towarzystwie swojego konia, a później położył się nieopodal Vorisa i jego wojowników, chroniąc się przed uporczywą mżawką pod mokrym pledem.

Tej nocy, pomimo terkotu świerszczy i monotonnego szumu deszczu, słyszał cichy płacz córeczki, dobiegający zza cienkich ścian powozu. Położywszy głowę na dłoni ręki wspartej łokciem w ziemi patrzył na odbicie smukłej sylwetki Dyany podnoszącej dziecko do piersi. Widok jej cienia trochę go pocieszył – samotność nie wydała mu się już tak rozpaczliwa.



Drugiego i trzeciego dnia podróży deszcz się nasilił, a czwartego dnia grząska, wąska droga przekształciła się w bagno. Znajdowali się już niedaleko granic doliny Dring w miejscu zwanym Lasem Agar. Richius wiedział, że o te właśnie tereny Kronin i Voris od lat wiedli zaciekły spór i wcale go nie zdziwił widok pochmurnej twarzy wodza, gdy wjeżdżali do lasu. Dla Richiusa było to jedynym źródłem radości od czasu wyjazdu z Falindaru. Z trudem wytrzymywał szorstkie pokrzykiwania Vorisa, by nie zostawał w tyle, i mocno go osłabił brak snu. Błyskawica, koń znacznie lepszej rasy niż inne, bez trudu dotrzymywał im kroku i nigdy się nie potykał, choć nawet wierzchowiec Vorisa grzązał niekiedy w błocie drogi.

Każdy wieczór i noc przebiegały według tego samego, monotonnego rytuału. Rozbijali obóz, gdzie rozpalano niewielkie ognisko, przy którym zbierali się wojownicy, by przygotować skromny posiłek. Dyana zostawała w swoim powozie, uchylając tylko od czasu do czasu drzwi, by wpuścić nieco świeżego powietrza, i nie rozmawiając z nikim oprócz Vorisa. Richius zabierał talerz z niezbyt apetycznie wyglądającym daniem i siadał samotnie obok Błyskawicy, podczas gdy wódz i jego ludzie zajmowali się swoimi sprawami, co chwilę wybuchając śmiechem i w zasadzie ignorując Aramoorczyka. Przez cały ten czas zerkał w stronę wozu, licząc na jakiś znak ze strony Dyany. Niestety nic takiego nie nastąpiło. Irytowało go to niezmiernie, a piątego dnia poczuł, że ma już tego dość.

Tego dnia nareszcie pokazało się słońce. Zostawili już za sobą Las Agar, co poprawiło wszystkim nastroje. Dyana w końcu otworzyła małe drzwiczki powozu, wpuszczając promienie słońca. Byli już w Dring i rozległe, najeżone skałami przestrzenie Tatteraku przeszły do wspomnień. Za dwa dni mieli się znaleźć w zamku Dring. Richius doszedł do wniosku, że powinien wykonać jakiś ruch.

Voris i jego wojownicy jechali z przodu. Wódz opowiadał coś, co dotyczyło okolicy, ponieważ często wskazywał ręką jakiś szczegół. Słuchaczom najwyraźniej podobała się opowieść, bo nawet woźnica nadstawił ucha. Richius pomyślał, że oto nadarza się okazja, jaka może się już nie powtórzyć, i podjechał do powozu. Patrząc prosto przed siebie, odchrząknął znacząco. Dyana, która właśnie trzymała Shani na rękę, pochyliła się lekko ku uchylonym drzwiom.

– Richiusie – szepnęła wystraszona. – Co ty wyprawiasz?

– Ja? – spytał przekornie, nie odwracając głowy. – O to samo mógłbym zapytać ciebie.

Usłyszał to woźnica, który odwrócił się i spojrzął na jeźdźca. Richius odpowiedział mu niewinnym uśmiechem. Woźnica wrócił do słuchania opowieści Vorisa.

– Nie powinieneś ze mną rozmawiać – ostrzegła Dyana. – Jeszcze cię Voris zobaczy.

– No i co z tego? Masz mnie uczyć języka Triinów, nie pamiętasz? On o tym wie.

Dyana przez chwilę namyślała się nad odpowiedzią.

– Nie teraz – odparła w końcu. – Może kiedy dotrzemy do Dring i będziemy sami.

– Dlaczego mnie ignorujesz? – spytał Richius, nie zmieniając tonacji głosu. Spodobała mu się chłodna precyzja pytania i fakt, że Dyana lekko się zarumieniła. Przez chwilę patrzyła na dziecko, udając zaskoczenie.

– Wcale nie – odpowiedziała wreszcie.

– Owszem, tak. Nie widziałem cię od kilku dni. Dlaczego?

Teraz usłyszał ich rozmowę Voris. Wilk obejrzał się przez ramię i posłał mu gniewny grymas, który Richius zupełnie zignorował.

– Gniewasz się na mnie?

– Nie – odpowiedziała szybko. – Nie gniewam się. Proszę, teraz nie mogę ci nic wyjaśnić.

– Chodzi o Tharna? Miałś z nim sprzeczkę?

Nie było odpowiedzi. Richius uśmiechnął się szeroko.

– Trafiłem, prawda? Martwisz się z jego powodu? Mówił mi, że nie chciałaś z nim rozmawiać.

Dyana obdarzyła go pogardliwym grymasem.

– Wy, mężczyźni, jesteście tacy domyślni! – odpowiedziała lodowatym głosem. Potem sięgnęła ku drzwiom i szybko je zamknęła.

Richius nie bardzo wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Pozwolił, by powóz przejechał obok niego.

Postanowił jednak uzyskać jakąś odpowiedź, tej samej więc nocy, gdy opadła mgła a na niebo wzbił się księżyc i wszyscy już zasnęli, po cichu wysunął się spod koca i ruszył w stronę powozu Dyany, starannie unikając miejsca oświetlonego przez przygasające już ognisko. Znużony woźnica, oparty o drzewo, spał z otwartymi ustami. Richius cicho przekradł się obok niego, potem przemknął obok śpiącego Vorisa, stąpając tylko w takt jego równomiernych chrapnięć. Dotarłszy do powozu, przekradł się do jego boku i ukryty przed czujnym wzrokiem wojowników Vorisa przytknął ucho do drzwi. Usłyszał cichy, regularny oddech dziecka, ale żadnego ruchu. Wyrzwał z powozu, by sprawdzić, czy Voris i jego ludzie śpią. Zadowolony cofnął się i przyłożył policzek do drzwi.

– Dyano – szepnął. – Dyano, obudź się.

Wstrzymał oddech i przez chwilę nasłuchiwał. Nic.

– Dyano, to ja, Richius. Jeżeli mnie słyszysz, otwórz drzwi.

Teraz obudził Shani. Dziewczynka zakwiliła z wyraźnym niezadowoleniem w głosie.

Richius uśmiechnął się w duchu. „Grzeczna dziewczynka, obudź mamę”. Musnął palcami drzwi w nadziei, że Dyana zobaczy wyrzucenie płótna. Kwilenie Shani przeszło w gniewny płacz. Richius usłyszał, że Dyana się budzi.

– Dyano...

Wewnątrz rozległ się cichy, pełen przestrochu okrzyk, po którym zapadła cisza. Po ruchu cienia głowy Dyany Richius poznał, że dziewczyna usiłuje coś dojrzeć przez pokryte płótnem drzwi. Zabębnił palcami po tkaninie.

– Dyano, to ja – szepnął. – Richius.

– Richius? – padła niepewna odpowiedź. – Czego chcesz?

– Wpuść mnie. Musimy porozmawiać.

Drzwi uchylły się nieco i na zewnątrz wyjrzała głowa dziewczyny. Spojrzała na Richiusa, a potem zerknęła ku obozowisku.

– Co się stało? – spytała z niepokojem w głosie. – Coś ci dolega?

Richius uniósł otwarte dłonie, by ją uspokoić.

– Nic mi nie jest. Nie dzieje się nic złego. Chciałem tylko z tobą porozmawiać.

– Teraz? – zdumiona Dyana zmrużyła powieki.

– Owszem – odpowiedział Richius, zaglądając do środka powozu. Rozejrzał się, szukając wolnej przestrzeni. Nie było jej za wiele, zdołał jednak posłać Dyanie uspokajający uśmiech. – Mogę wejść? – spytał.

Dyana otuliła się pledem.

– Richiusie, czego ode mnie chcesz? Jest bardzo późno.

– Musimy porozmawiać. Proszę. Nikt nas nie zobaczy.

– Wkrótce przybędziemy do zamku Dring – zapewniła go Dyana, wypychając go na zewnątrz. – Wtedy możemy porozmawiać.

Richius jednak dość natarczywie wepchnął się do środka, niemal nadeptując na Shani. Dyana chwyciła dziecko w ramiona i spojrzała z niedowierzaniem na nocnego gościa.

– Nie chcę czekać, aż będziemy w zamku – odparł z powagą w głosie. – Musimy rozmówić się teraz.

– Dlaczego?

– Dyano, niczego nie rozumiem. Co ci się stało? Od opuszczenia Falindaru nie odezwałaś się do mnie ani słowem. Dlaczego mnie unikasz?

Dyana odwróciła się do dziecka. Podniosła Shani i zaczęła ją kołysać, uspokajając jej płacz. Richius wyciągnął dłoń i lekko powiódł palcami po jej skórze. Dziewczyna uchylła się i odsunęła.

– Dyano, co się stało? Powiedz mi proszę. Zaczynam się bać.

– Czy to możliwe, że nie rozumiesz? – spytała Dyana. – Przecież to powinno być dla ciebie oczywiste. Jesteśmy razem. Bez Tharna.

Richius wzruszył ramionami.

– No i dobrze, jakoś sobie poradzimy.

– Nie. Nie rozumiesz? Spójrz, co on nam zrobił. Zostawił cię ze mną samego. Jesteś teraz wolny i możesz robić, co chcesz.

– I tego się boisz? – spytał Richius mocno dotknięty. – Ależ Dyano, jak mogłaś sobie coś takiego pomyśleć? Czy nie wiesz, że nigdy cię nie skrzywdzę.

Dyana obrzuciła go błagalnym spojrzeniem.

– Nie rozumiesz...

On zaś nagle zrozumiał. Zaniemówił. Mógł tylko wyciągnąć ku niej rękę, ona jednak teraz się nie odsunęła.

– Myślę o dziecku – powiedziała. – Voris cię zabije, jeżeli uzna, że mnie zhańbiłeś.

Richius zaśmiał się cichutko.

– Tego nie robi, Dyano. Jest przyjacielem Tharna, a Tharn mu polecił, by ze mną współpracował.

– Nadal niczego nie rozumiesz. W nocy, po naradzie, Voris przyszedł do mnie, by ostrzec mnie przed ściągnięciem hańby na Tharna. Powiedział, że jeżeli pozwolę, byś mnie dotknął, on cię zabije.

– I kiedy chciałaś mi to powiedzieć, Dyano? Powinienem się o tym dowiedzieć wcześniej.

– Unikałam cię – stwierdziła nie bez irytacji w głosie. – Ale jesteś taki uparty. Voris nie może powziąć nawet cienia podejrzeń. Zabije cię i może mnie też. On myśli, że źle traktuję Tharna. Odbierze mi dziecko...

– Nikt nie skrzywdzi Shani – obiecał Richius. – Ani też ciebie czy mnie.

– Tharn tak bardzo mnie kocha, Richiusie. I jest chorobliwie zazdrosny. Voris o tym wie. I jeszcze... – W oczach Dyany pojawiło się poczucie winy. – Spędziłam z Tharnem noc.

– Naprawdę? – Richius nie umiał ukryć zaskoczenia. – Jak do tego doszło?

– Przyszedł do mnie w nocy poprzedzającej jego wyjazd. Był taki smutny i bardzo mnie pragnął. Chciał, by go przytulić. Spał ze mną w tym samym łóżu. A ja czułam jedynie litość.

– Dyano, Tharna dzieli od nas wiele dziesiątków mil. On nie może nas skrzywdzić.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Nie... Voris wszystko mu opowie. Richiusie, nie możemy dopuścić do tego, by on kiedykolwiek zobaczył nas razem i samych. Nigdy. Obiecuj mi...

– Uspokój się – poprosił Richius łagodnie. – Pozbądź się obaw. Nie przyjdę już do ciebie podczas podróży. Ale kiedy dotrzemy do zamku...

– Nie, tam też nie. Nigdzie i nigdy, Richiusie.

Richius westchnął ciężko.

– Tharn polecił, byś mnie uczyła – stwierdził. – Więc ucz mnie. W ten sposób będziemy mogli się spotykać bez budzenia podejrzeń Vorisa.

– Nie wierzę...

– Potrafię być silny. Wciąż możemy ze sobą rozmawiać i się widywać. Możesz mnie uczyć twojego języka. Niech Voris węszy, jeżeli chce. Nie będzie miał dowodu, bo nie damy mu żadnego.

– Dziecko... – Dyana zagryzła wargę.

– Shani nic nie grozi. Nie zdradzimy zaufania Tharna. Daję ci na to słowo. Trudno mi z dala od ciebie...

– Mnie też...

Richius uśmiechnął się i rozpromienił. Ucałował swój palec, a potem lekko dotknął nim warg Dyany.

– Już niedługo będziemy w zamku – powiedział i nie czekając na odpowiedź, cicho otworzył drzwi powozu i wyskoczył na zewnątrz. Machnął jej na pożegnanie dłonią, na co Dyana odpowiedziała skinieniem głowy, a potem zamknął drzwi.

Okrążył wóz i uważnie omiół wzrokiem obozowisko. Pierwszą rzeczą, jaka zwróciła jego uwagę była cisza. Voris już nie chrapał. Richius spojrzał uważnie ku miejscu, w którym spał wódz, nie mógł jednak zobaczyć jego twarzy – widział jedynie miarowo unoszącą się i opadającą pierś. Minał go ostrożnie, nie odrywając od niego wzroku. Oddalwszy się na dziesięć stóp, zauważył błysk spojrzenia. Voris patrzył na niego i milczał. Richius znieruchomiał.

Nie bardzo wiedział, co zrobić, nadal tkwił więc w miejscu. Wreszcie twarz wodza wykrzywił grymas odrazy i niesmaku. Potem Voris dość ostentacyjnie zamknął oczy i przewrócił się na bok.

## Trzydzieści sześć

Czarny Gród, jak od dawna nazywano Nar, zawdzięczał swoje miano nieustannie unoszącym się nad nim chmurom popiołów i dymu. Było to odpowiednie miano, zwłaszcza podczas ciepłych dni wiosny, kiedy nawet wiatr nie potrafił się uporać z gęstymi chmurami wypluwanymi przez kominy palenisk. Podczas takich dni światło słoneczne z trudem przebijało się do ziemi, a w labiryncie pnących się ku niebu budowli zalegały głębokie cienie. W takie dni na miasto spadał nastrój przygnębienia i depresji, który dzielili wszyscy mieszkańcy wiekowej stolicy. Poddawali mu się w jednakowym stopniu bezdomni żebracy i rozpuszczeni młodzieńcy wylegujący się w swoich pysznych apartamentach, był bowiem skazą ducha, która kruszyła ludzkie charaktery. Ci, którzy mieli po temu sposobność i środki, wynosili się wtedy z miasta konno, powozem lub łodzią do miejsc, gdzie powietrze było bardziej czyste i przejrzyste. W Imperium było wiele okolic, gdzie można było znaleźć czyste niebo. Hrabia Renato Biagio znał je niemal wszystkie. Zawsze jednak wracał z ochotą do szalonego miasta, które uwielbiał. Nar było jego prawdziwą miłością, kochał ten gród bardziej niż rodzinną wyspę, i za każdym razem upajał się widokiem jego strzelistych wież.

Dziś jednak, gdy pospiesznie przemierzał pałacowe korytarze, nie zwracał uwagi na wspaniałości budowli. Do Nar wezwano go zupełnie niespodzianie. Stropiony Biagio poczuł strach. Jak daleko sięgał pamięcią, po raz pierwszy śmiertelnie zagrożone było coś, co uwielbiał bardziej od samego miasta.

– Przybyłem tak szybko, jak tylko się dało – oznajmił Bovadinowi, gdy obaj szybko pięli się po schodach.

Niezbyt rosy uczoney powitał jego powóz przy pałacowej bramie. Biagio nie czekał na wyjaśnienia. Rozmawiali w biegu – Bovadin, zostający w tyle, usiłował odpowiedzieć na nieustannie zadawane przez Biagia pytania. „Kiedy to się stało?” „Czy zostało mu dość siły, by mówić?” „Kiedy pytał o mnie po raz ostatni?” Biagio słuchał odpowiedzi jednym uchem. Jego myśli gorączkowo goniły jedna za drugą, a zaczęło się to przed trzema tygodniami, gdy tylko otrzymał od Bovadina pospieszne wezwanie do powrotu. List dotarł do niego w Talistanie. Przyplłynął stamtąd na jednym z okrętów Nicabara. Jednostka nosiła miano „Szybki”, Biagiowi wydawało się jednak przez cały czas, że okręt wlecze się śmiertelnie powoli.

– Ucieszy się na twój widok – stwierdził zasapany wspinaczką Bovadin. – To mu doda otuchy.

– Co się stało? – spytał Biagio, rzucając pytanie przez ramię. – Coś z eliksirem?

– Nie – odpowiedział uczony. – Arkus jest stary, to wszystko.

Była to odpowiedź, której Biagio bał się najbardziej.

Zatrzymali się dopiero w korytarzu przed sypialnią imperatora. Panowało tu nieznosne ciepło. W kominku na drugim końcu korytarza płonął ogień, wypuszczając dym pod okap. Nieustannie chłodne ciało Biagia piło ciepło, niczym kwiat wodę.

– Utrzymujemy tu najwyższe temperatury – wyjaśnił Bovadin – Choć prawdę mówiąc, niewielki z tego pożytek. Jego skóra jest zimna jak lód.

Biagio zrzucił opończę i spiesząc ku drzwiom, podał ją Bovadinowi. Uczony zatrzymał go nagle, chwytając za ramię.

– Czekaj – powiedział. – Chcę cię przygotować.

– Jest aż tak źle?

– Nie może już chodzić i niczego nie widzi. Mówi jeszcze wyraźnie, ale słabo słyszy. Będziesz musiał przemawiać głośno.

I nagle Biagio znieruchomiał. Tego już było za wiele. Na chwilę głos zamarł mu w krtani.

– Mój Boże – rzekł w końcu. – Nie możesz mu pomóc?

Bovadin zmarszczył swój ostry nos.

– Nie jestem czarodziejem. Elik sir już wyczerpał swoje możliwości.

– To daj mu silniejszą dawkę – podsunął Biagio. – Powinieneś ją podwoić, albo nawet potroić...

– Już próbowałem. To na nic. Przykro mi, ale jego organizm przestał reagować na eliksir. Być może kiedyś taki los czeka nas wszystkich.

– Nic mnie nie obchodzi twoje „kiedyś”! – odparł Biagio. – Musisz coś zrobić teraz! Znajdź inny eliksir. Zrób nowy. Choćbyś miał zabić sto dziewic, wszystko mi jedno, ale zrób coś!

Bovadin lekko się najeżył.

– Nie myśl, że nie próbuję. Ale to nie takie proste. I nie oczekuj, że ja go uratuję, przyjacielu. Teraz twoja kolej.

Biagio nie odpowiedział. Całe życie wiedział, że kiedyś nadejdzie ten moment, a teraz czuł się jak dziecko, które nie otwiera szafki, gdyż boi się, że wyskoczy z niej potwór. Stał przed drzwiami i odczuwał strach, by podejść do klamki. Arkus był dla niego kimś ważniejszym niż rodzony ojciec. Nie umiał stawić czoła myśli, że trzeba będzie jakoś żyć dalej bez tego okrutnego geniusza.

– Czy mu powiedziano, że już tu jestem?

W oczach Bovadina była sama powaga.

– Nie. On wie tylko, że po ciebie posłałem. Teraz jest przy nim Nicabar.

– Danar? A ten co tu robi?

– Załatwia sprawy związane z transportem wojsk do Lucel-Loru – westchnął naukowiec. – Jak sądzę, z twojego rozkazu.

Biagio kiwnął głową.

– To dobrze. Jeżeli tu jest, możemy razem coś omówić.

– Nie za wiele – ostrzegł go Bovadin. – Bacz, by Arkus za bardzo się nie ekscytował. Słyszałem już, jak idą sprawy w Lucel-Lorze. Jak do tej pory niczego jeszcze nie znalazłeś. Imperator jeszcze o tym nie wie. Wprawdzie Arkus nieustannie wypytuje Nicabara o przebieg wojny, ale jak do tej pory zdołaliśmy jakoś wszystko utrzymać w tajemnicy. Będzie też wypytywał ciebie, więc uważaj, by się z czymś nie zdradzić.

– Będę uważał – obiecał Biagio. Nie miał zresztą zbyt wielkiego wyboru – złe wieści mogły Arkusa zabić. Będzie musiał wprost zionąć optymizmem.

Wyciągnął dłoń ku ozdobnej klamce i nacisnął, a potem cicho otworzył drzwi. W jego nozdrza uderzyła woń palącego się drewna. W rogu urządzonej z przepychem komnaty otwierała się paszcza jeszcze jednego kominka, na którym płonął równie wielki ogień jak na korytarzu. Biagio słyszał trzask ognia, zagłuszający cichą rozmowę. Pod ścianą komnaty ustawiono szerokie, żelazne łoże zasłane kremową jedwabną pościelą i fiołkowej barwy poduszkami. Obok łóżka stała złota harfa, a za nią niewielkie krzesło. Na łożu zaś spoczywał Arkus. Ciało władcy było tak lekkie, że prawie nie wgniatało materaca. Kościstą dłoń imperatora obejmowały potężne, mięsiste palce admirała Danara Nicabara. Admirał nie dostrzegł jeszcze stojącego w drzwiach Biagia.

– Danarze... – odezwał się cicho Biagio, zmuszając się jednocześnie do przestąpienia progu.

Nicabar odwrócił się i niemal przewiercił intruza spojrzeniem, ale zaraz potem jego rysy złagodził uśmiech rozpoznania. Skinieniem dłoni zaprosił hrabiego do środka.

– Kto przyszedł? – spytał Arkus, unosząc głowę i patrząc ku drzwiom wzrokiem ślepego. Jego dźwięczny, złoty w brzmieniu głos zastąpił bezgłosny, chrapliwy szept. – Danarze, kto tu jest?

Danar delikatnie poklepał imperatora po dłoni.

– Zgadnij, panie.

– Danarze, nie igraj ze mną. Czy to on?

– To ja, o Wielki – oznajmił Biagio. Spojrzał na leżącego w łożu człowieka i omal się nie rozplakał. – Przybyłem, jak prosiłeś, panie.

– Och, Renato... – westchnął Arkus cicho. – Renato, wiedziałem, że przybędziesz, wiedziałem...

– Oczywiście, że przybyłem, panie – odpowiedział hrabia. – Spieszyłem, jak tylko



mogłem.

Skinieniem dłoni poprosił Nicabara, by się odsunął i szybko zajął jego miejsce, ujmując lekką i kruchą dłoń imperatora. Przez chwilę hrabia Biagio patrzył badawczo na wyniszczoną starością twarz władcy i patrzył w okryte zaćmą oczy. Znikło gdzieś lśniące błękitem przenikliwe spojrzenie, zastąpione bielą katarakty. Twarz Arkusa pokrywała sieć czerwonych żyłek, a z kącika jego ust sączyła się ślina, czego imperator chyba nawet nie był świadom. Biagio przełknął i zebrał się w garść.

– Panie, jak się czujesz?

– Jakbym tkwił w piekle – odpowiedział Arkus. – Ale teraz, gdy przybyłeś, już mi się poprawia. O, znacznie mi się poprawia.

– Bovadin powiadomił mnie o twojej chorobie, panie. Byłem w Talistanie. Zechciej mi wybaczyć, o Wielki, ale spieszyłem się jak mogłem.

Arkus zdołał się nawet uśmiechnąć.

– Jesteś i tylko to się liczy. Teraz możesz zostać przy mnie.

– Zostanę, o Wielki. Zrobię, cokolwiek zechcesz. Wiesz, że zrobię.

Arkus spróbował mocniej uścisnąć jego dłoń, ale osiągnął tylko tyle, że silniej zadrżały mu palce. Zirytowany własną niemocą jęknął, a Biagio pogłaskał go po włosach.

– Nie próbuj się ruszać, panie – powiedział. – Jesteś bardzo słaby. Bovadin mówi, że powinieneś odpocząć. Leż spokojnie, jestem przy tobie.

– Danarze... – odezwał się Arkus cicho. – Jesteś tu jeszcze?

– Jestem, panie – odpowiedział Nicabar, podchodząc do łoża władcy.

– Powiedz hrabiemu, o czym wcześniej rozmawialiśmy. Pewien jestem, że to go zacieka. Słuchaj, Renato.

Biagio spojrział na Nicabara, ten jednak tylko potrząsnął głową. Hrabia w lot pojął, o co chodzi.

– O Wielki, nie czas na takie rozmowy. Musisz odpocząć, Nicabar i ja porozmawiamy później.

– Nie jestem dzieckiem – rzekł Arkus. – Nadal władam tym krajem. Nie traktujcie mnie jeszcze jak trupa. Danarze, powiedz mu!

Admirał odchrząknął.

– To może drobiazg bez znaczenia. Wiesz, że przerwaliśmy oblężenie Liss?

– Owszem – stwierdził Biagio. – I cóż?

– Więc myślę, że jeszcze z nimi nie skończyliśmy. Kiedy ty podróżowałaś, Renato, otrzymałem nowe, ciekawe wieści. Szkunery Liss wyszły w morze.

– Co? – Biagio podskoczył jak spłoszony królik. – To niemożliwe! Mówiłeś mi, że

wszystkie zostały zniszczone!

– Widocznie jakieś ominęliśmy. Spozrzeżono je z pokładów moich okrętów. Wzięły kurs na Lucel-Lor.

Biagio poczuł rozpaczliwy skurcz w piersi. Spojrzał na Arkusa, który tępo kiwał głową. Nicabar wzruszył ramionami, pokazując, że nie ma pojęcia, co znaczy zachowanie władcy.

– Słyszałeś, Renato? – spytał Arkus. – Te lisseńskie łotry nie dają mi nawet spokojnie umrzeć!

– Ale po co płyną do Lucel-Loru? – dziwił się Biagio, patrząc na Nicabara. – Po co? To przecież nie ma sensu.

– Ma – odpowiedział Arkus. – Tharn znalazł sprzymierzeńców. Mógłbyś rzec, że połączyła ich nienawiść do nas. Sęk w tym, że nie jest dla nas ważny powód, dla którego zawarli przymierze. Pytanie brzmi: co z tym zrobimy? Danar twierdzi, że tych szkunerów było przynajmniej tuzin.

– Pewnie więcej – dodał Nicabar. – Tuzin dostrzeżono.

– I są szybsze od naszych okrętów – ciągnął Arkus. – Mogą przeszkodzić nam w wysadzeniu oddziałów na brzegach Lucel-Loru.

– Do tego nie wolno dopuścić – stwierdził Biagio. – Danarze, musisz ich jakoś zatrzymać.

– Będę próbował – obiecał Danar. – Ale sprawa nie należy do łatwych. Nasz pan ma rację. Ich szkunery są znacznie szybsze od naszych okrętów. Niełatwo je będzie schwytać w pułapkę.

Biagio chciał już podjąć spór, powstrzymał się jednak ze względu na imperatora. Jeżeli pozwolą Lisseńczykom na wsparcie Triinów, podbój Lucel-Loru będzie procesem długim, niełatwym i o niewiadomym wyniku. A to oznaczało, że najprawdopodobniej nie znajdą leku dla Arkusa.

– Danarze, musisz zrobić, co w twojej mocy – stwierdził spokojnie. Potem zaśmiał się krotko. – Ci Lisseńczycy są tylko niespodziewaną przeszkodą...

– Nie mówisz mi całej prawdy – rzekł Arkus posępnie. – Oni są czymś więcej, niż tylko przeszkodą. Mogą nas zniszczyć, do czego żadnemu z was nie wolno dopuścić. Musicie zrobić wszystko, by do tego nie doszło. Słyszycie?

– Nie zawiedzimy cię, panie – odparł Nicabar. Biagiowi wydało się, że admirał chętnie wyniósłby się z sypialni władcy. Nerwowo oblizywał wyschnięte wargi. – Jeżeli tych jednostek było tylko tuzin, to łatwo sobie z nimi poradzimy.

– Tuzin... – rzucił Biagio niedbale, jakby ta liczba była czymś zgoła nieistotnym. – A ty, Danarze, ile masz okrętów? Przynajmniej tyle samo, prawda? A fregaty? Ci

Lisseńczycy nie zdołają ci stawić oporu. Doprawdy, o Wielki, martwisz się bez powodu. Zdobyliśmy już przyczółek na Lucel-Lorze. Niech Triinowie wypatrują pomocy od Lisseńczyków. Wszystko to będzie tylko drobną przeszkodą.

Arkus uśmiechnął się, chętnie biorąc kłamstwo Biagia za dobrą monetę.

– Renato, trzymam cię za słowo – stwierdził. – I ciebie, admirale.

Nicabar zbladł.

– Panie, powinienem już iść – stwierdził, cofając się od łoża. – Musisz porozmawiać z hrabią. Wrócę wieczorem. Jeżeli ci trzeba czegośkolwiek...

– Poślę po ciebie – stwierdził po prostu Arkus. – A na razie dziękuję ci.

Nicabar skłonił się niewidomemu władcy, jednocześnie rzucając hrabiemu urażone spojrzenie. Arkus odczekał, aż admirał znajdzie się za drzwiami, i dopiero wtedy się położył, ujmując dłoń Biagia w słaby, drżący uścisk. I zamknął swoje niczego już nie widzące oczy.

– Och, Renato – westchnął, jakby wymawiał słowa modlitwy. – Twój przyjazd sprawił mi wiele radości. Inni tylko mnie okłamują. A więc, przyjacielu, powiedz mi prawdę. Jaka jest sytuacja w Lucel-Lorze?

Było to pytanie, którego Biagio obawiał się najbardziej. Zmusił się do optymizmu i zaczął kłamać, jak inni.

– Bardzo dobre, o Wielki. Triinowie poszli w rozsypkę.

Arkus przez chwilę czekał na ciąg dalszy, a potem zmarszczył brwi.

– I co dalej?

– Cóż, Gayle doskonale sobie tam radzi – stwierdził Biagio, unikając bezpośredniej odpowiedzi. – Jestem pewien, panie, że słyszałaś o Ackle-Nye. Wspaniały sukces, a ludzie Gayle’a prą już na dolinę Dring. – Poklepał władcę po dłoni. – Są z nimi twoje legiony, a okręty Nicabara zaczęły już wysadzać oddziały na brzegu. Jestem pewien, że do lata...

– Renato! – upomniał go imperator. – Czekam na nowiny!

Biagio skurczył się w sobie.

– Przykro mi, o Wielki. Niczego jeszcze nie znaleźliśmy.

Dłoń Arkusa znieruchomiała, a jego wargi drgnęły i skrzywiły się, wymawiając okropne słowo, które wyleciało z nich w postaci świszczącego szeptu.

– Nic... – jego palce znów zaczęły drżeć. Arkus wbił w hrabię spojrzenie swoich ociemniałych oczu. – Nic?

– Nie, Wielki. Na razie nic nie mamy. Ale dopiero zaczęliśmy poszukiwania. W dolinie Dring, albo w Chandakkarze z pewnością...

– Jest tam, Renato, z pewnością! Szukajcie!

– Szukamy, o Wielki. Robimy wszystko, co w naszej mocy. Gayle przewraca Lucel-Lor do góry nogami. Jeżeli tylko istnieje ten lek, to on go dostanie.

– Niech się spieszy! Nie mam czasu do stracenia. – Arkus zamknął oczy, a spod jednej powieki władcy wypłynęła łza. – Boże w niebiesiech, uratuj mnie! Renato, nie mogę chodzić! Jestem ślepy! A teraz kolej na moje serce, wiem to!

– Nie, o Wielki – odezwał się Biagio uspokajająco. – Będziesz jeszcze chodził i biegał. To pewnie tylko reumatyzm. I przejrzysz na oczy. Bovadin przygotowuje jeszcze lepszy eliksir. Już niedługo pójdziemy na spacer do ogrodów.

– Kocham twój optymizm – stwierdził Arkus. – Ale ja umieram. I przysięgam Bogu, że jestem przerażony. – Na perfumowane poduszki spływał strumień coraz obfitszych łez. – Renato, pomóż mi. Boję się.

– Pozbądź się obaw, o Wielki – rzekł Biagio spokojnie i silnym głosem. – Nie pozwolę ci umrzeć, przysięgam. Jeżeli w Lucel-Lorze jest magia, znajdę ją niechybnie, choćbym miał sam, własnymi dłońmi rozerwać Tharna na kawałki...

– O tak, znajdź ją – błagał imperator. – Ale pospiesz się. Boże, wszystko przez tego smarkacza z Aramooru! Nie pozwól, by mu to uszło na sucho, Renato.

Żrenice hrabiego zwęziła nienawiść.

– Nie pozwolę. Nieważne, co się stanie, obiecuję przynieść ci jego głowę!

– Ale dlaczego, Renato? Dlaczego on mnie tak zdradził? Dałem mu wszystko: żonę, królestwo. Pozwoliłem mu zagarnąć władzę w tym jego marnym państewku. Mogłem mu odebrać jego nędzne życie, ale tego nie zrobiłem. Dlaczego on mnie zdradził?

– To jest w jego krwi, panie. Skaza charakteru, jak najgorsza choroba. Nie obarczaj się winą. Obu nas wystrychnął na dudka. To prawda, co mówią o nim Triinowie. Jest niczym szakal.

– Chcę go mieć – oznajmił Arkus. – Masz go do mnie przyprowadzić, zanim umrę.

– Za ślepotę, którą na ciebie sprowadził, o Wielki, każemy greeganowi wyssać mu oczy. Ale dość rozmów o śmierci. Jesteś Arkusem z Nar. Nie możesz umrzeć.

– Ale ja już umieram...

– Uratuję cię, panie – obiecał Biagio. Poglaskał starego władcę po głowie i spojrzał na niego z góry, zaskoczony i przygnębiony widokiem zniszczeń, jakie starość poczyniła w twarzy Arkusa. – Wierzysz we mnie?

– Jak zawsze – odpowiedział Arkus. – Byłeś moim najbardziej godnym zaufania sługą. Wiem, że i tym razem mnie nie zawiedziesz.

– To dobrze. Teraz odpocznij. Zobaczymy się jutro wieczorem – powiedział Biagio, całując starego władcę w skroń. – Śnij o zwycięstwie, o Wielki. Niedługo odzyskasz siły.

\* \* \*

Pułkownik Ardoz Trosk był o głowę niższy od Dinadina, nawet kiedy wdziewał swoje buty z wężowej skóry. Dinadin nigdy jednak przedtem nie spotkał człowieka, który potrafiłby wzbudzić w nim większy strach. Był człowiekiem, który z nudów wrywał skrzydełka motylom i nigdy nie pozwolił Aramoorczykowi przejść obok, by go czymś nie dotknąć lub obrazić. Jako pułkownik zielonej brygady, Trosk był starszym wojskowym doradcą Gayle'a, miał więc rangę, którą wielce sobie cenił, i dlatego oczekiwał bezwzględności posłuszeństwa od wszystkich mieszkańców byłego Aramooru, którzy mieli nieszczęście służyć pod jego rozkazami. Nie miał ich zresztą zbyt wielu – całą grupkę stanowili Dinadin i około tuzina innych. Wszyscy jednak padali ofiarami nieustannych złościwości i szyderstw ze strony pułkownika, który zawsze dbał o to, by mieć pod ręką kilku z nich wyznaczonych do pomniejszych codziennych posług. Dinadina na przykład wyznaczono do dbania o konie. Wypełniał swoją służbę z nadzieją, że zadowolony z niej pułkownik ograniczy swoją uwagę do tego, iż nie będzie się nad nim znęcał.

„Nic ci nie grozi – mówił sobie Dinadin, podążając za Troskiem przez wąskie uliczki. – Rób, co ci każe, a wszystko będzie dobrze”.

Znajdowali się w miejscu odległym o piętnaście mil od doliny Dring, gdzie oddziały Narenów szykowały się do spustoszenia kolejnej bezimiennej miejsciny. Jak w przypadku wielu innych, na jakie natknęli się po drodze, i w tym miasteczku ich oczekiwano, a nawet wybrano jednego z członków społeczności, który miał rozmawiać z najeźdźcami. Biedak osiągnął tylko tyle, że Gayle poderżnął mu gardło osobiście. Już kilka tygodni temu oznajmił mieszkańcom Lucel-Loru, że nie przyjmuje do wiadomości żadnych warunków kapitulacji. Za każdym razem, gdy zbliżali się do jakiegoś osiedla, Dinadin kurczył się ze strachu, ponieważ wiedział, że wszystko zostanie dokładnie przeszukane, a potem – gdy Gayle zaspokoi swe żądze – osiedle spłonie jak te, na które trafiali wcześniej.

Kilka ostatnich tygodni było najgorszymi w życiu Dinadina. Dokonywał czynów, jakich nie wybaczyłby mu nawet kapłan, i za każdym razem, gdy zamykał oczy, modlił się o śmierć. Rozkazy wykonywał ze ślepym posłuszeństwem w nadziei, że kres jego rozterkom położy jiihtar jakiegoś Triina. Ale legiony Nar nieubłaganie parły naprzód, w głąb Lucel-Loru.

Dinadin szedł za pułkownikiem Troskiem. W powietrze wzbijały się już wrzaski pierwszych przerażonych mieszkańców. Legioniści w czarnych imperialnych uniformach otwierali drzwi domków kopniakami i wyciągali nieszczęśników na zewnątrz. Wszędzie

było słycać płacz dzieci i przeraźliwe szczekanie psów. Gdzieś przed nimi był Gayle, który dyrygował rzezią. Trosk jechał na czele swojej grupy i uśmiechał się z zadowoleniem.

– Magia – prychnął w pewnej chwili. – Pamiętajcie, chłopcy, że szukamy magii.

Wszyscy kiwnęli głowami. Było ich pięciu, łącznie z Dinadinem – każdy miał na sobie ten sam, jaskrawy uniform jeźdźców Talistanu, i wszyscy do tej misji zostali wybrani osobiście przez Troska. Dinadin był pomiędzy nimi jedynym Aramoorczykiem. Wątpliwości, jakie budził w nim ten zaszczyt, kazały mu zostać spory kawałek z tyłu za pozostałymi. Podczas ostatnich kilku tygodni, jakie upłynęły od przydzielenia go do brygady Troska, Dinadinowi jakoś udawało się unikać pułkownika. Wyglądało na to, że Trosk zadowolił się poniżeniem, jakim było odesłanie go do gnoju.

Tak było aż do dziś. Za każdym razem, kiedy wjeżdżali do jakiejś wioski, Trosk dobierał sobie do towarzystwa innego Aramoorczyka. Dinadin przypuszczał, że pułkownik chciał się z każdym kolejno zabawić. Dziś przyszedł czas na niego.

– Lotts! – zawołał Trosk przez ramię. – Nie zostawaj w tyle!

Legioniści i jeźdźcy zbierali mieszkańców pośrodku wioski; kobiety i dzieci ustawiono oddzielnie od mężczyzn. Wszystko przebiegało według powtarzającego się upiornego rytuału. Przesłuchiwano najpierw mężczyzn, potem kobiety, w każdym przypadku grożąc śmiercią w razie oporu. Dinadin starał się patrzeć w inną stronę, a gdyby mógł, to zatkałby dłońmi uszy. Kobiety szarpały się z żołnierzami, usiłując odebrać im dzieci. Mężczyźni stali z kamiennymi twarzami bez słowa.

„Uciekajcie! – ponaglał ich Dinadin w duchu. – Nie widzicie, co tu się zaraz będzie działo?”

Ofiary oczywiście wiedziały. Znały swój los tak samo, jak ich mordercy. Mieszkańcy Ackle-Nye usiłowali walczyć i w rezultacie padli ofiarami takiej samej rzezi. Później w oczach Triinów Dinadin widywał żalną, głupią nadzieję na ocalenie, jeżeli postarają się sprostać żądaniom oprawców. I może by tak było, gdyby oddziałami najeźdźców dowodził Richius, teraz jednak komendantem był Gayle. A ten, jak każdy Talistańczyk, był przewrotnym draniem.

Kiedy dotarli do środka wioski, zwolnili. Pomiedzy drewnianą łąwą a studnią grupa legionistów zgromadziła tu kilka triińskich dzieci. Rozmawiał z nimi inny Triin – taki, który poddał się podczas poprzedniego najazdu i którego ze względu na jego ograniczoną znajomość języka Narenów uznano za użytecznego. Tłumaczył mieli kilku – wszyscy byli ludźmi, którzy przedłożyli niewolę nad śmierć wraz ze swoimi ziomkami. W każdym miejscu, gdzie tylko najeźdźcy wkraczali do miasteczka albo wioski, tłumacze zabierali się do pracy i namawiali mieszkańców do wydania wszelkich

magicznych przedmiotów albo podzielenia się wiedzą o magii. Jak do tej pory ich wysiłki spełzały na niczym. Dla Dinadina było to wyraźnym znakiem, że cała operacja była chybiona. Teraz z jakąś niezdrową fascynacją patrzył, jak Triińscy tłumacze uśmiechają się do dzieci, usiłując je uspokoić. Treść ich przemówień znał już na pamięć.

– Waszym rodzicom nic nie grozi. Nie martwcie się o nich. Powiedzcie nam tylko, gdzie znajdziemy magię.

Magii jednak nigdzie nie było – zgodnie z tym, co kilka miesięcy temu mówił mu Lucyler. Mogli spalić setki wiósek i miasteczek, otworzyć piersi milionom Triinów, znajdują jednak jedynie krew i popioły. Magii nie ukrywano pod dziecięcymi łóżeczkami. Jeżeli w ogóle istniała, to wisiała w powietrzu i kryła się pod glebą – i może jeszcze w ludzkich umysłach. Gayle i inni nie dawali się jednak przekonać i gotowi byli na wszystko, by znaleźć cokolwiek, co mogłoby pomóc ich imperatorowi.

– Jest tu z pewnością – mówił im Gayle. – Musimy ją tylko znaleźć.

Dinadin jednak wiedział, że nie znajdą niczego. Zatrzymał swego konia w odległości około dziesięciu kroków od Troska i patrzył, jak pułkownik uśmiecha się złowrogo i coraz szerzej. Niekiedy jego miłość do wojny objawiała się w sposób brutalnie oczywisty. Trosk mógł tu dawać upust sadyzmowi i nigdy się nie narazić na oskarżenia – w końcu wykonywał tylko to, co do niego należało. Był doskonałym żołnierzem, twardym i niewypowiedzianie okrutnym. Dinadin darzył go nienawiścią. Nienawidził sposobu, w jaki tamten załamywał rondo swojego kapelusza z pióropuszem, nie cierpiał sposobu, w jaki Trosk się śmiał, kiedy inni cierpieli, i nie znosił zwyczaju nazywania dorosłych mężczyzn chłopcami. Gdyby tylko nadarzyła się okazja, z przyjemnością poderżnąłby mu gardło.

– Postrasz je trochę – polecił Trosk triińskiemu tłumaczowi. – Nie pozwól, by cokolwiek przed nami ukryły.

Tłumacz zaczął pospiesznie mówić do dzieci, błagając, by go wysłuchały, uspokoiły się i odpowiedziały na jego pytania. Dinadin błagał o to samo w duchu, obawiając się wybuchu wściekłości Troska. Z jego twarzy znikło zainteresowanie i pojawił się wyraz szczerzego znudzenia, co nie trwało nawet minuty. Potem kopnął tłumacza w plecy.

– I co? Powiedziały coś ciekawego?

Tłumacz przełknął ślinę.

– Myślę, że one niczego nie wiedzą, panie. Trudno cokolwiek rzec na pewno.

Trosk wzniosł spojrzenie do nieba.

– Głupie szczeniaki. – Dał znak jeźdźcom i niecierpliwie poruszył cugłami. – No dobrze, chłopcy, bierzmy się do roboty. Jest tu mnóstwo drzwi do wykopania...

Dinadin ruszył bez słowa, czując, że ma usta równie suche, jak kamienie bruku. Tym

razem nie zdoła uniknąć rzezi. Usiłując uciszyć coraz głośniejsze walące serce, jednocześnie walczył z ogarniającymi go mdłościami. Z jego warg spłynęła cicha modlitwa. Nie był mordercą, ale ten rzeźnik bacznie go dziś obserwował.

Szybko ruszyli ulicami, unikając miejsc, gdzie żołnierze już zdążyli się zabawić i w niebo strzelały płomienie. Minęli krzyczącą kobietę, której odzież i włosy gorzały już ogniem. Dinadin widział, jak rozpaczliwie uderza rękami, usiłując zgasić trawiący ją żar. Przerażliwe wrzaski goniły ich zajadle, a gdy wreszcie się uciszyła, byli już od niej dość daleko.

Koń Troska zatrzymał się nagle, gdy pułkownik szarpnął cugle. Tuż za nim przystanął jeden z jeźdźców. Trosk siedział sztywno i patrzył na coś w oddali. Dinadin spojrział w tę samą stronę i zobaczył grupkę niewielkich domków z drewna i papieru. W wąskim przejściu pomiędzy domkami stała mała, może trzynastoletnia dziewczynka trzymająca w dłoni niewielki, lśniący przedmiot. Twarz pułkownika rozjaśniła się obrzydliwą uciechą.

– Mmmm... witaj, maleńka – zamruczał niczym kot.

Ich wzrok zetknął się na chwilę. Dziewczynka przycisnęła swój skarb do piersi. Trosk oblizwał wargi językiem. Dziewczyna wzdrygnęła się rozpaczliwie i uciekła do jednego z domków, zatrzaskując za sobą drzwi. Trosk jęknął z przewrotną uciechą.

– No, no... I cóż to za piękność tu mamy. – Odwrócił się z drwiącym uśmiechem do swoich ludzi. – Co wy na to, chłopcy? Macie ochotę na odrobinę zabawy?

Dinadin zamknął oczy. To było wprost nie do zniesienia. Usiłował się odezwać, ale nie mógł wydusić z siebie ani słowa, a pozostali już pomrukiwali z aprobatą. Trosk roześmiał się serdecznie i spiął konia do galopu. Reszta orszaku ruszyła tuż za nim.

„Nie mogę do tego dopuścić – jęknął Aramooreczyk w duchu. – Boże, proszę, pomóż mi jakoś”.

Bóg milczał. Dinadin był sam na sam ze zgrają morderców i doskonale o tym wiedział. Pognał za Troskiem, licząc na to, że nagle w jego skołatanej głowie pojawi się jakiś pomysł. Musi przekonać pułkownika i namówić go, by porzucił swe okropne zamiary. Jeżeli nic z tego nie wyjdzie...

Trosk był już pod domkiem. Zeskoczył z siodła i ruszył ku drzwiom. Dinadin również zeskoczył z konia i ruszył za pułkownikiem. Ten rzucił mu na poły figlarne, na poły obraźliwe spojrzenie.

– Lotts, czas zrobić z ciebie mężczyznę – powiedział i poprawiając niesforny kapelusz, z całej siły kopnął drzwi. Wewnątrz rozległ się przeraźliwy krzyk. Trosk wetknął głowę do środka. – Witaj, słodziutka – zawołał dziarsko. – Jesteś gotowa na przyjęcie Ardoza?



Dinadin wyrzwał zza pułkownika i zobaczył, że dziewczynka kryje się w rogu, wciąż trzymając w dłoni niewielki przedmiot, którego nie mógł rozpoznać. Obok niej stał jakiś starzec o zgarbionych plecach i poranej zmarszczkami twarzy, który w wyciągniętej ręce trzymał tępy i pokryty rdzą jiihtar. Dziewczynka przywarła do boku starca, jakby szukała w nim obrońcy. Trosk zmarszczył brwi.

– Dajmy jej spokój – zaproponował Dinadin. – Ona nie jest warta zachodu. Chodźmy stąd.

Trosk gniewnie na niego spojrział.

– Mamy stąd odejść? A co wy tam chędożycie w Aramoorze? Owce? Nie dam się odpędzić od takiej pięknotki jakiemuś starcowi – rzekł i przestąpił próg. Pułkownik obronnym gestem wyciągnął przed siebie ręce. – Spokojnie – rzekł uspokajającym głosem. – Nie trzeba nam kłopotów.

Starzec uniósł jiihtar. Trosk zawahał się jakby, a potem wskazał na żołnierzy za swoimi plecami.

– Starcze, nas jest tu wielu, a ty jeden. Odłóż broń, a nikomu nic się nie stanie. Proste, prawda?

Stary Triin zawahał się na moment. Nie mógł liczyć na jakiegokolwiek powodzenie. Trosk zrobił jeszcze jeden krok do przodu.

– Pułkowniku, zostaw go – poprosił błagalnie Dinadin. – On i tak nic nam nie zrobi.

– Milcz, dupku! – syknął Trosk. – Nie widzisz, że on mnie słucha?

Dinadin oczywiście wszystko świetnie widział. Wstrzymał oddech, Trosk zrobił kolejny krok do przodu. Dziewczyna jęknęła cichutko, a trzymany przez nią przedmiot zadrżał w jej dłoni. Dopiero teraz Dinadin poznał jakąś odlaną ze złota i srebra figurkę. Trosk też ją zobaczył.

– Co ty tam masz? – spytał łagodnym głosem. – Coś cennego? Och tak, to bardzo piękne. Ty też jesteś piękna. Jak masz na imię, skarbie?

Cał po cał zbliżał się, aż znalazł się o dwie stopy od starca. Patrzył jeszcze na dziewczynkę, kiedy jego ramię wyskoczyło do przodu. Z nosa starca trysnęła strużka krwi i mężczyzna runął na ziemię, puszczając jiihtar. Trosk z życzliwym zainteresowaniem patrzył, jak jego ofiara usiłuje wstać, a potem nastąpił mu butem na dłoń. Triin jęknął z bólu. Trosk wbił piętę jeszcze mocniej.

– Tak lepiej – powiedział tonem uszczęśliwionego dzieciaka. – Jestem pułkownikiem wojsk Talistanu i w waszym parszywym kraju szukam czegoś, co może uratować naszego imperatora. Nigdy nie próbuj mi grozić, gogu. Nigdy!

Ostatnie słowo podkreślił zwiększeniem nacisku na dłoń starca. Kości Triina pękły z suchym trzaskiem.

Teraz w panikę wpadła dziewczynka. Jej pełen przerażenia wzrok przeszukiwał całe pomieszczenie, widziała jednak tylko zbliżających się do niej Narenów. Posązek trzymała przy sobie, i w chwili największego przerażenia wcisnęła się w lukę pomiędzy Troskiem i Dinadinem. Dinadin nawet usunął się na bok, ale pułkownik chwycił ją za sukienkę i szarpnął, rzucając ją ponownie w róg.

– A ty dokąd? – spytał gniewnie. – Aby cię dostać, musiałem dołożyć wielu starań, ty mała dziwko.

Dziewczyna, usiłując się uwolnić, sięgnęła ku jego twarzy paznokciami. Trosk chwycił ją z ręcznie za dłonie, szarpnął ku sobie, a potem chwycił drugą ręką za włosy i odciągnął głowę w tył. Dziewczynka wydała przeraźliwy krzyk, gdy pułkownik przywarł do jej ust lepkimi wargami. Leżący na podłodze staruszek z nosem i ustami we krwi zaczął błagać Troska o litość. Pułkownik rozdarł koszulkę dziewczyny i wbił zęby w jej odsłoniętą szyję. Przyparł ją do ściany, tak że ramiona dziewczyny dotykały cegieł. Stary Triin błagalnym gestem chwycił go za nogi.

– Do kata! – Trosk splunął i kopnięciem odrzucił starca w tył. – Lotts, nie stój jak baran! Wyrzuć stąd tego śmiecia!

Dinadin ani drgnął.

Trosk natychmiast przerwał molestowanie dziewczynki. Strzeżony przez nią posązek upadł do jej stóp. Pułkownik chwycił ją za gardło i przycisnąwszy ofiarę do ściany, obejrzał się przez ramię na Aramooczyka.

– Chłopcze, ogłuchłeś, czy co? Zabij go!

Dinadin odmownie potrząsnął głową. Ciemne oczy Troska zaiskrzyły gniewem i nagle pułkownik się roześmiał.

– Nie? – spytał łagodnie. – Ty aramoorski głupku, odmawiasz wykonania mojego rozkazu?

– Odmawiam – odparł Dinadin głosem pełnym buntu. – Przecież on nie jest niczemu winien! Chciał ją tylko obronić!

Trosk się uśmiechnął, zupełnie nie zwracając uwagi na wysiłki dziewczynki, która podjęła próbę rozluźnienia uścisku dławiącego jej krtań. Oddychała płytko i szybko, wciągając powietrze spazmatycznymi haustami. Pozostali piechurzy patrzyli, także zaskoczeni lub przestraszeni zuchwałością Dinadina. Uśmiech pułkownika nabrał odcienia szaleństwa.

– Nie zabijesz go? – spytał. – Niech i tak będzie. Zobaczmy, Lotts, jacy to mężczyźni rodzą się Aramoorze. – Szarpnął dziewczynkę za koszulkę i cisnął ją rozpaczliwie łkającą, pod nogi Dinadina. – Nie musisz zabijać goga, Lotts. Masz wychędożyć tę dziewczkę. Tutaj, teraz, przed nami wszystkimi.

Dziewczynka uniosła się lekko na kolanach i klęcząc pomiędzy Dinadinem a Troskiem, przerażonym wzrokiem spoglądała to na jednego to na drugiego. Dinadin zerknął na nią. Pułkownik wyjął z pochwy przy bucie wysadzany rubinami sztylet.

– Nie... – odpowiedział Dinadin rwącym się głosem. – Do tego mnie nie zmusisz.

– A to dlaczego? – zapytał Trosk. – Nie lubisz dam, Lotts? A może chcesz, byśmy ci znaleźli jakiegoś urodziwego chłopca? Tego pożądasz? Chłopca?

Pułkownik kopnął dziewczynkę ku Dinadinowi. Jęknęła i podczołgała się do Aramooczyka, a potem wczepiła się oburącz w jego spodnie i zaczęła błagać o zmiłowanie. Dinadin też jęknął, usiłując się jakoś uwolnić od jej błagań i płaczu. Chciał uciec i zostawiwszy za sobą tę mizerną chałupkę, ukryć się gdzieś tak, by Trosk nigdy go nie odnalazł. Na miejscu jednak trzymał go chwyt wczepionego w jego nogi dziecka.

– Zrób to! – ponaglił go Trosk. – Bierz ją, jeżeli jesteś mężczyzną.

– Nie, tego nie zrobię – odparł Dinadin. – Słyszysz? Nie, po stokroć nie!

Trosk wskazał wzrokiem trzymany przez siebie sztylet, który przyłożył do krtani starca.

– Lepiej zrób, co mówię, albo...

– Nie... – teraz błagał go i Dinadin. – Nie zmuszaj mnie!

– A niby dlaczego nie? – spytał Trosk z gniewem w głosie. – Jesteś mężczyzną, czy nie? To dziwka. Bierz ją!

– Pułkowniku...

– Bierz ją, ty szczurze, albo przysięgam Bogu, że ten gog za chwilę będzie trupem!

Starzec w ogóle się nie ruszał. Trzymany za kark przez Troska podniósł tylko nabiegłe krwią oczy i spojrzał na Dinadina. Dziewczyna nadal tuliła się do nóg Aramooczyka i z płaczem błagała o litość. Dinadin wyciągnął rękę, by jakoś ją uspokoić.

– Przestań – poprosił. – Przestań! Nie zrobię ci krzywdy. Nie!

– No, dalej! – ponaglił go Trosk. – Do roboty. Już!

– Nie!

– Dobry Boże! – westchnął pułkownik. – Ależ jesteś uparty. No, niech będzie po twojemu...

I pociągnął ostrzem sztyletu po gardle starego Triina. Ten, zaszokowany, otworzył szeroko oczy. Trosk puścił jego włosy i starzec upadł na ziemię, charcząc i wyciągając dłoń ku dziewczynce, która zaniósła się przeraźliwym płaczem. Dinadin znów poczuł, że ogarniają go mdłości. Zobaczył też, że Trosk patrzy na niego z niesmakiem. Przez ułamek sekundy Dinadin miał nawet zamiar rzucić się na nienawistnego oficera, ale znów unieruchomiło go dawne uczucie strachu. Trosk tymczasem spokojnie chwycił

dziewczynkę za włosy i podniósł, a potem pchnął na ścianę.

– Teraz lepiej? – spytał zimno pułkownik.

Dinadin nie odpowiedział. Dławiły go torsje, które powstrzymywał z najwyższym trudem, gryząc własną pięść.

– Wcale jej nie uratowałeś, bałwanie – stwierdził pułkownik. – Pomyślałem właśnie, że weźmiemy ją po kolei wszyscy. Oczywiście ty jesteś wyłączony. Możesz sobie poszukać tego chłopczyka, za którym tak bardzo się stęskniłeś.

Pułkownik odwrócił się i skierował ku ścianie. Obok dziewczynki leżał przedmiot, który tak bardzo starała się ocalić – niewielka rzeźba ze złota i srebra. Trosk podniósł ją, przez chwilę przyglądał się uważnie, a potem podał posążek Dinadinowi.

– Trzymaj. To może się nam jeszcze przydać. Wynieś figurkę na zewnątrz i daj legionistom. Jak sądzisz, możesz to zrobić?

Dinadin mógł tylko kiwnąć głową i wziąć posążek. Po raz ostatni spojrzał na kryjącą się w kącie dziewczynę i na myśl o czekającym ją losie znów ogarnęły go mdłości. Potem przeniósł wzrok na Triina z rozciętą krtanią leżącego u jego stóp. Starzec wreszcie znieruchomiał. Po nierównej podłodze płynął kręty strumień krwi. Aramoorczyk zebrał się wreszcie na odwagę.

– Pułkowniku...

– Precz mi z oczu! – syknął Trosk, odwracając się do niego plecami.

Dinadin przez chwilę stał bez ruchu, a potem ostrożnie się cofnął. Kiedy przekraczał próg, wychodząc na pełną dymu uliczkę, poczuł, że szumi mu w głowie. Dziewczynka znów zaczęła błagać o litość. Dinadin ruszył biegiem, zapominając o swoim koniu; chciał jak najszybciej oddalić się od tej chatki, biegł więc przed siebie, zakrywając usta dłonią. Kierował się na grupę legionistów, którzy otoczyli dzieci, ich łkające ze strachu matki i przejętych zgroszą mężczyzn. Gnał tak szybko, że nie spostrzegł konnego olbrzyma w zieleni i złocie, i w rezultacie niemal wpadł na jeźdźca. W ostatniej chwili zatrzymał się i podniósł wzrok.

– Baronie Gayle – wybełkotał. – Wybacz, ale nie dostrzegłem cię w porę, panie.

Gayle patrzył na niego z wyraźną niechęcią i pogardą.

– Ty jesteś ten... Lotts, prawda?

– Tak, panie – odpowiedział Dinadin. – Z zielonej brygady.

Baron skinieniem dłoni wskazał trzymany przez Aramoorczyka przedmiot.

– Co to takiego?

Dinadin zawahał się na moment. Sam nie bardzo wiedział, co trzyma w ręce. Aż do tej chwili nawet nie obejrzał posążku. Obrzuciwszy go teraz pospiesznym spojrzeniem, stwierdził, że w zasadzie są to dwie postaci – kobiety i mężczyzny, prawdopodobnie

jakichś bóstw.

– Podaj mi to – polecił zniecierpliwiony Gayle.

Dinadin nie bez uczucia żalu podał statuetkę baronowi. Gayle patrzył przez chwilę, podrapał nawet powierzchnię figurki paznokciem, a potem syknął gniewie:

– Znowu te triińskie śmiecie. Lotts, wiesz, co my tu robimy? Próbujemy uratować naszego imperatora. A to... – opuścił rzeźbę w piasek – nie ma żadnej wartości.

Odjechał, nie zaszczyciwszy Dinadina spojrzeniem. Dinadin poczekał, aż baron zniknie mu z oczu, i podniósł posążek. W świetle słonecznym zamigotały sylwetki ludzkie – jedna ze złota, druga ze srebra. Przedmiot, dla którego dziewczynka naraziła swe życie – kawałek metalu, w Imperium niemal bez wartości. Dla Dinadina jednak figurka miała swą wartość. Postanowił, że ją zatrzyma, by w razie możliwości pomścić dziewczynkę.

– Nie zapomnę, mała – wyszeptał, a potem powoli ruszył z powrotem, do swego wierzchowca.

## Trzydzieści siedem

Richius i Dyana dotarli do doliny dziesięć dni po wyjeździe z Falindaru. Po południu jedenastego dnia przecięli grzbiet łańcucha wzgórz i zobaczyli zamek Dring.

Właściwie nie zobaczyli samego zamku, ale jego stołb, który niczym gigantyczne kamienne ramię wznosił się ku niebu spośród otaczającej go zieleni. Był to miły widok dla obojga i zachwyciliby się nim niewątpliwie, gdyby nie byli tak wymęczeni. Długa droga z cytadeli wszystkim dała się we znaki i na widok zamku wędrowcy wydali westchnienie ulgi.

– Nareszcie – stęknął Richius, poklepując po karku swojego wierzchowca. – Jesteśmy na miejscu.

Otoczający ich wojownicy radośnie się uśmiechali. Dyana wychyliła się z powozu, by lepiej widzieć przedmiot ogólnego zachwyty. W oddali wznosiła się ku niebu cylindryczna budowla, której liczne fasety lśniły niczym powierzchnie klejnotu. Richius spiął konia i truchtem podjechał do powozu.

– Oświadczam, że jestem pod wrażeniem – oznajmił. – Na jakiś czas oboje tu zamieszkamy, a ten zamek stanie się naszym domem.

– Mam nadzieję, że nie potrwa to za długo. Ten zamek jest okropny.

– Och, nie. Nie zgadzam się – zaoponował Richius. Dla niego kamienna budowla miała swój urok. – Przypomina trochę mój rodzinny zamek w Aramoorze. Tak, sądzę, że mógłbym go polubić.

Voris tymczasem wydawał rozkazy. Jeden z jego ludzi wyrwał się z szeregu i spiesznie ruszył ze wzgórza w dół. Dyana zobaczyła, że na twarzy Richiusa pojawiło się zaskoczenie.

– Ma powiedzieć innym, że już tu jesteśmy – rzekła, choć Richius o nic nie spytał. – Przygotuj się, Richiusie. Będą na nas czekali.

– Czekali? Co to ma znaczyć?

– Nie wiem. Voris po prostu polecił mu poczynić przygotowania. – Uśmiechnęła się przekornie. – Może szykują powitanie dla ciebie.

– Pewnie masz rację – skrzywił się Richius. – W takim razie byłoby lepiej, gdybym nie opuszczał Falindaru.

Oboje parsknęli śmiechem, Richius poczuł jednak przeszywający go lekki dreszcz. Był oto w dolinie Dring i miał przekroczyć próg twierdzy Vorisa.

– Będę musiał sprawdzić linię frontu – stwierdził już poważnie. – Muszę się dowiedzieć, czy ludzie Vorisa wykonali moje polecenia.

– Zrobimy to jutro – odpowiedziała Dyana. – Będzie na to dość czasu. Dziś odpoczniemy. W prawdziwych łózkach.

– To brzmi zachęcająco. A więc jutro, chyba że Voris ma dla mnie inne plany.

– Richiusie... – Spojrzenie Dyany było nad wyraz poważne. – W tej chwili nie liczą się jego plany. Chodzi o to, czy ty tego chcesz. Pamiętaj, że teraz to twoja bitwa.

– Ale jego dolina. Nie zamierzam mu wchodzić w drogę. Tharn mnie ostrzegął, bym tego nie robił.

– Tharn zlecił ci też komendę nad całą doliną. Nie dopuść do tego, by Voris zaczął postępować po swojemu. A zrobi to, jeżeli tylko będzie mógł.

– Co ty powiesz? – zachichotał Richius. – A skąd tyle o nim wiesz?

– Jest mężczyzną – odpowiedziała Dyana. – I więcej mi wiedzieć nie trzeba.

Richius już miał coś odpowiedzieć, kiedy wódz wjechał pomiędzy nich. Wskazał palcem wieżę i zwrócił się do Dyany.

– *Eeasay. Nobata Kalak hoorensay.*

Dyana skinęła głową i Voris odjechał, kierując się w dół zbocza ku swojemu domowi.

– O co mu chodziło? – spytał Richius, kiedy tamten oddalił się tak, że nie mógł ich słyszeć.

– Powiedział, żebyś jechał za nim.

– Za nim? – najeżył się Richius. – A po co? – Tego nie powiedział. Przykro mi.

– Tajemniczy, prawda? No dobrze. Jeżeli tego akurat chce... – Richius ruszył w ślad za wodzem.

Voris jechał truchtem po wąskiej ścieżce w dół. Richius spojrzał ku płataninie gałęzi nad głową, usiłując przejrzeć przez nie i zerknąć na błękit nieba. Wieża była niemal niewidoczna, skryta za baldachimem liści. Szlak się zwężał do zwykłej, krętej dróżki, wyłożonej gładkimi, płaskimi kamieniami i obramowanej po obu stronach rabatkami kwieciami i gęstej trawy. Gdzieś nieopodal szumiał wesoło strumień. Po raz kolejny Richiusa uderzyło podobieństwo tej krainy do Aramooru. Nie była to złowroga, przerażająca dolina, jaką pamiętał, pogrążona w cieniu gęstwiny zawsze wrogich im drzew. Znalazł się jakby ponownie w domu, w tej części Aramooru, której po prostu nie zdążył poznać. Powietrze było tu gęste i przesycone rześkimi woniami, w których przeważały zapachy mchów. Tuż przed nosem przybysza zawisła w powietrzu wałka, widział też śmigające z gałęzi na gałąź wiewiórki, które igrały beztrąsko, nie zwracając uwagi na jeźdźców. Gdzieś w górze radośnie śpiewały drozdy; zobaczył też rój os, trudzących się nad odbudową gniazda, na które upadła odłamana od pnia gałąź.

Richius chłonał to wszystko całym sobą i delikatnie poklepywał kark Błyskawicy.

Pomyślał o powoli jadącym powozie Dyany i zastanawiał się, jak ona zareaguje na rozciągające się przed nimi piękno. Nazwała to miejsce okropnym. Richius uśmiechnął się, pewien że Dyana będzie żałowała przedwcześnie wydanego wyroku. Zaprzagnął też nagle, żeby jechała teraz obok niego, by mogli razem radować się nowo odkrywanym pięknem.

I nagle usłyszał pierwsze wilcze wycie.

Wzdrygnął się. Wilcze wycie zatrzymało mu oddech w piersiach, a twarz stała się blada. Gdzieś w głębi lasu odezwała się inna bestia, której niesamowity głos przeszył serce puszczy. Richius przechylił głowę i nadstawił ucha. Przez chwilę z wysiłkiem szarpał się z ogarniętym paniką, przeraźliwie rżącym koniem. Łącznie odezwało się przynajmniej tuzin bestii. Co gorsza, ich zew dochodził z leżącej przed nim ścieżki. Spojrzawszy przed siebie zobaczył szkarłatną tunikę Vorisa, który spokojnie jechał przed siebie, w ogóle nie przejmując się złowrogim wyciem.

Richius przeżył chwilę rozterki. Gdzieś tam przed nim tkwiły na ścieżce bojowe wilki, które być może już niecierpliwie przysiadły na ogonach, czekając na posiłek. Poczul, że czoło pokrywa mu pot, a usta wyschły nagle, jakby potarł je piaskiem. Zmierzający do zamku Voris zniknął już za gałęziami drzew. Wódz zatrzymał się i obejrzał przez ramię.

– *Kalak!* – zawołał, przywołując Richiusa gestem ręki. – *Eeasay!*

Richius zawrzał gniewem.

– Nie poganiaj mnie, draniu!

Voris nie odwracał wzroku.

– Już dobrze – odezwał się Richius sam do siebie. – Ale zapłacisz mi za to!

Podciął konia i ruszył ścieżką w dół. Tym razem Voris poczekał na niego. W miarę, jak Richius zjeżdżał w dolinę, wilczy zew potężniał i rozlewał się coraz szerzej. Voris uśmiechnął się jak jeden z jego wilczych wychowanków. Nagle zasłona puszczy rozchyliła się za nim, otwierając Richiusowi widok na zamek Dring.

Poczul się tak, jakby patrzył na jakąś starą warownię Narenów – umocniony zlepek prymitywnie obrobionych kamieni i ostrych skał, tak kiepsko zestawionych, że wyglądało iż wszystko runie, zawałając się pod własnym gigantycznym ciężarem. Szklane płyty w oknach były pokryte tysiącletnią siecią rys i pęknięć, a granitowe fundamenty wyraźnie chyliły się ku wschodowi, nadając miejscu zdecydowanie przewrotny wyraz, gdyż okna i balkony tworzyły wizerunek twarzy niedorozwiniętego dziecka. Z jednej strony strzelała w górę niebotyczna wieża wartownicza, wzniesiona z nadgryzionych zębem czasu kamieni, a piękne rzeźby na każdej kolumnie i wykuszu świadczyły wyraźnie, że miejsce to miało swoje lepsze czasy, w których dbano o wygodę



i poczucie piękna mieszkańców. Na stożkowych daszkach wieżyczek rozpięły się wyblakłe gargulce, wczepiające się w mury splekanymi szponami. U podstaw wieży umieszczono bezgłowy posąg, będący zwieńczeniem fontanny tryskającej mizernym strumyczkiem podejrzanie wyglądającej cieczy. Nagie stopy i łydki nimfy porastał mech. Wszędzie, gdzie Richius spojrział, widział powyrywane z zawiasów okiennice, pokryte gęstymi pnączami ogrodzenia, zapadnięte mostki między wieżyczkami i wiodące w pustkę schodki.

Richius roześmiałby się, gdyby nie poważna twarz gospodarza. Gdy podjeżdżał do wodza, ten wciąż na niego patrzył, a na jego twarzy pojawił się ukradkowy uśmiech. A potem Aramooczyk zobaczył, że Voris patrzy na otaczające zamek tereny. Zrobił dłonią szeroki gest w stronę swego domu i otaczających go wojowników.

– *Bonata, Kalak.*

Pod przeciwległym do wieży skrzydłem zamku stała armia odzianych w szkarłat wojowników o namaszczonych olejem włosach, które lśniły niemal tak samo, jak ostrza trzymanych przez nich jiiiktarów. Wszyscy mieli kamienne twarze i stali bez ruchu, ceremonialnie utkwivszy wzrok przed siebie. Były tam też bojowe wilki – bestie o czerwonych ślepiach, pożółkłych kłach i potężnych obrożach na karkach, spiętych łańcuchami. Wojowników było przynajmniej dwustu i kilkanaście wilków – wszyscy zebrali się, by powitać władcę podupadłej twierdzy. Przed nimi stała grupka znaczniejszych ludzi, których godność podkreślały złote godła wyszyte na ich szatach. Ci także trzymali jiiiktary, tyle że inkrustowane złotem i srebrem, z rękojeściami iskrzącymi się od klejnotów.

„W istocie, oto powrót do domu” – pomyślał Richius. Ci Drolowie z Dring przypominali mu upiorną przeszłość, byli dla niego stworami zamieszkującymi świat, o którym dawno sądził, że już go pogrzebał. Białe grzywy i szare oczy czyniły ich jednocześnie mniej i bardziej ludzkimi.

– To wszystko na moją cześć? – spytał wódz z przekąsem. – Doprawdy, wolałbym, żebyś nie zadawał sobie aż tyle trudu.

Voris nie zwrócił na niego uwagi, tylko ruszył w stronę zamku. Richius zmusił Błyskawicę, by nie zostawał w tyle. Mężczyźni ze złotymi godłami skłonili się nadjeżdżającemu wodzowi, a potem oddali mu honory, wyprężając się i unosząc w górę swoje jiiiktary.

– *Cha Yulan!* – zakrzyknęli, gdy jiiiktary były nad ich głowami. – *Cha Yulan! Cha Yulan!*

Voris zeskoczył z konia i podniósł ręce. Na jego twarzy pojawił się szeroki szczęśliwy uśmiech. Wiwaty natychmiast ucichły. Wódz opadł na kolana i pochyliwszy

się nisko, ucałował błotnistą ziemię swej ojczyzny. Wojownicy skwitowali to wybuchem entuzjazmu, krzycząc i wywijając jiktarami. Voris wstał, wysoko unosząc zaciśniętą pięść.

– *Jahani!* – ryknął dzikim głosem. – *Jahani Dring!*

Na otwartej przestrzeni pojawił się wreszcie powozik Dyany i pozostali jeźdźcy. Ujrawszy Richiusa, młoda kobieta kazała woźnicy zatrzymać się, a potem wyskoczyła z powozu, trzymając w ramionach zawiniętą w kocyk Shani. Richius uniósł brwi.

– Tego się nie spodziewałem – zawołał ku niej. – Co to wszystko ma znaczyć?

Dyana podeszła bliżej, zerknęła na warczące głucho wilki i podjęła próbę ukrycia dziecka, otulając je sukniem.

– To tylko radosne powitanie powracającego wodza – odpowiedziała. – Taki zwyczaj – dodała po chwili. – To jego wojownicy, wierni i odważni.

– Przypuszczam, że zarządził to przedstawienie na mój użytek. On naprawdę lubi się popisywać. Popatrz na niego. Co on wyrabia?

Voris stanął na potężnym pniu dawno powalonego przez burzę drzewa. Na dany przez niego znak wojownicy się uciszyli, on zaś powiódł wzrokiem po ich szeregach, na każdym zatrzymując na chwilę pełne aprobaty spojrzenie. W końcu nabrał tchu w płuca i odetchnął z głęboką satysfakcją.

– *Matusa ben Dring!* – zagrzemiał, zwracając się do zebranych.

Tym razem nie odpowiedziały mu wiwaty, ale pełna szacunku cisza. Umilkły nawet wilki. Wszystkie przysiadły na ogonach niczym udomowione psy. Żaden nie machnął ogonem. Tak jak wojownicy, wilki nie spuszczały wzroku z wodza. Richius, oczarowany niewiarygodnym widokiem, zsunął się z grzbietu Błyskawicy i stanął obok Dyany. Musiał ująć cugle Błyskawicy, koń bowiem na widok wilków stał się nerwowy.

– Co on mówi? – spytał Dyanę.

Dyana zajęła się przekładem.

– Wojownicy z doliny Dring! – grzmiał Voris. – Uczyniliście mi wielki zaszczyt. Wasz widok uradował moje serce, pojąłem bowiem, że oto znów jestem w domu. Patrząc na was, widzę naszą moc i potęgę!

Wojownicy jakby na dany znak zgodnie zakrzyknęli:

– *Cha Yulan!*

– Jestem Wilk! – Voris uniósł ku niebu zaciśniętą pięść. – A to moja dolina. I nikt nigdy mi jej nie odbierze! – Ostatnie zdanie wypowiedział już spokojniejszym tonem.

Wojowników przeszył dreszcz podniecenia. Znów zaczęli tupać i wywijać jiktarami, wydając jednocześnie pełne zapału okrzyki. Richius też poczuł ogarniający go żar. Dyana przekładała mu każde słowo, on zaś nie mógł oderwać wzroku od stojącego na pniu

wodza. Voris wyszczerzył swoje wilcze kły.

– Moi dzielni, idą na nas legiony Nar. Ci tchórze idą ze swoimi strasznymi machinami. A czy ja czuję strach? Nie! Kolos, który na nas ruszył, idzie na słomianych nogach! To bestia, która nie ma pojęcia o wierności i oddaniu, ani o potędze naszych bogów!

Trawy poruszyło tchnienie lekkiego wietrzyku, Voris zaś oblizwał wargi.

– Moi wojownicy, nasza dolina jest wolna i taka pozostanie! Powiedzmy to sobie raz i na zawsze. W obronie kraju staniemy niczym jeden mąż, silni wołą Lorrisa! Odeprzemy smoka z Nar! Słyszysz mnie, bestio? – Uniósł głowę i zadudnił prosto w chmury: – Stawimy ci czoła!

– Stawimy ci czoła! – ryknęli wojownicy. – Jesteśmy z Wilkiem!

– A teraz uspokójcie się i posłuchajcie! – zagrział ponownie wódz. – Stajemy przed wielką próbą. Mężowie z Dring, znów nadszedł czas, abyśmy stanęli w obronie swej ziemi. Znów gromadzą się najeźdźcy, którzy chcą ją nam odebrać. Smok ponownie przychodzi, by sycić się naszymi żywotami i by odebrać nam honor. Jest silniejszy niż przedtem. Idą na nas w wielkiej liczbie i mają ze sobą te ohydne maszyny z Czarnego Imperium, ale ja stawilibym im czoło, choćby ich tu przyszły miliony! Mają ognisty oręż, powstały za sprawą nauki, ale ja walczylibym przeciwko nim, nawet gdyby zostały mi tylko zęby i pazury! Za tę wielką dolinę, dom wasz i mój, by uchronić od hańby nasze żony, córki i siostry, będę z nimi walczył póki stanie mi tchu w piersiach!

Richius poczuł, że przeszywa go dreszcz nie znanego mu przedtem zapału. Nie wiedział, że Voris jest świetnym mówcą, teraz zaś dał się porwać jego słowom. Tłum w milczeniu patrzył, jak Voris z wdziękiem tancerza przeszedł na koniec pnia i wznosił ręce ku niebu. On również dał się ponieść emocjom. I nagle spojrzał na Richiusa. Uśmiechnął i wskazał go palcem. Aramoorczyk natychmiast sprężył się wewnątrz.

– Nie jesteśmy sami, przyjaciele – podjął wątek Voris. – Wspierają nas niebiosy. Nasze ręce prowadzą Lorriss i Pris. Oddali w nie naszego największego wroga – Szakala.

Wszyscy zwrócili wzrok na Richiusa, który poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. Setki szarych oczu wierciły go niczym świdry, wydzierając mu odwagę i powodując skurcz w krtani. Dyana niewidocznie dla innych ujęła go z tyłu za ramię i ścisnęła lekko, dodając mu otuchy.

– O nic się nie martw – szepnęła.

Richius odchrząknął nie bez trudu i powiódł wzrokiem po szeregach Drolów. Voris odetchnął i zagrział ponownie.

– Został wybrany, przyjaciele, wskazany dłonią samego Lorrissa. Zaprzeczycie? Powiecie, że jest niewiernym? To prawda, jest niewiernym, ale jakiegoż jeszcze trzeba

wam dowodu na potęgę niebios, które upokorzyły i wydały nam naszego śmiertelnego, niegdyś znieawidzonego wroga? Powiadam wam, że zesłał go sam Lorris i nasz Tharn.

Na wzmiankę o Tharnie jego przybocznicy zaczęli kiwać potakująco głowami. Ten sam ruch wszczął się w tłumie. Voris natychmiast wykorzystał okazję.

– Będę wierny rozkazom mistrza Tharna – oznajmił głośno i z dumą. – Nie mam w sobie dość mocy, by sprzeciwić się jego woli. Tharn znany z mądrości i roztropności oddał Szakalowi komendę nade mną i nad wami, ale czy mu się sprzeciwimy? Ja nie.

– No, no... – stwierdził Richius. – Dobry jesteś, mój panie.

– On kłamie – stwierdziła Dyana.

Richius potrząsnął głową.

– Nie. Nie pojmujesz? Ułatwia mi pracę.

– Co masz na myśli?

– Teraz ci ludzie pójną pod moją komendę. Jeżeli uznają mnie za nawróconego łotra, którego wybrał Tharn, będą mi posłusznymi.

– Tharn obarczył Szakala zadaniem ratowania naszego kraju, ale wszyscy musimy mu w tym pomóc. Mężowie z Dring, oczekuję, że okażecie się godni. Godni miłości waszych kobiet i szacunku, jakim was darzą dzieci. Okażcie się godni zaufania, jakim was darzę. Jestem posłuszny słowom Tharna, a wy okażcie posłuch temu, co mówię ja, który nakazuje wam posłuch Szakalowi. Razem zdołamy obronić naszą dolinę. Siła, męstwo i posłuch – oto czego od was oczekuję. Nie zawiedźcie mnie.

Zapadła pełna powagi cisza. Voris odczekał chwilę, potem spojrział dumnie na pochylone w pokłonie głowy wojowników i zstąpił z pnia. Nikt się nie odezwał, nikt też nie ośmielił się podnieść głowy. Wódz podszedł do miejsca, gdzie stali Dyana i Richius. Na jego twarzy malowały się gniew i niesmak.

– *Utumbo toobay isa, Kalak* – powiedział. – *Do toobay bis.* – Potem odwrócił się i ruszył w stronę zamku.

Richius spojrzeniem zapytał Dyana o wypowiedź wodza.

– Voris powiedział, że on już zrobił swoje – wyjaśniła Dyana. – Teraz ty zajmij się tym, co należy do ciebie.

Gdy zgromadzeni wojownicy zaczęli się rozchodzić, do Richiusa i Dyany podszedł jakiś niewysoki człowieczek. Jego ubiór i poważny wyraz twarzy podpowiedziały Richiusowi, że stoi przed nim jeden z oficerów Vorisa. Znacznie starszy od wodza, natychmiast swoim wyglądem przywołał wizerunek Jojustina. Nieznajomy skłonił się uprzejmie przed gościem, a potem przed Dyana, unikając jednak spojrzenia im w twarz. Następnie przemówił szorstkim, lecz uprzejmym głosem.

– To Jarra – wyjaśniła Dyana. – Dumaka Vorisa.

– Dumaka? – spytał Richius. – To znaczy kto?

Dyana przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Nie jestem pewna, czy w twoim języku jest odpowiednie słowo, Richiusie. On jest... nauczycielem. Szkoli innych wojowników. Mógłbyś go nazwać mistrzem sztuk wojennych.

– Mistrz sztuk wojennych? – Richius nie krył zaskoczenia i szacunku. – Powinienem to zapamiętać. Czegóż więc chce?

– Mówi, że dostał rozkaz, by o nas zadbać.

Richius parsknął śmiechem.

– Cały Jojustin! A więc dobrze. Zechciej mu powiedzieć, że jestem bardzo zmęczony. Chciałbym znaleźć jakieś łóżko.

Dyana przekazała prośbę i dumaka kiwnął głową, a potem ruszył do zamku, skinieniem dłoni wzywając gości, by poszli za nim. Kiedy jednak zobaczył, że Aramooczyk wiedzie konia za sobą, zatrzymał się, powiedział coś i wskazał wierzchowca dłonią.

– On chce, byś zostawił tu konia – wyjaśniła Dyana.

– Zostawić? Gdzie?

Jarra odparł kilkoma zdaniem.

– Dumaka mówi, że o twojego konia zatroszczą się stajenni, ci sami, którzy zajmują się rumakami innych wojowników. Richiusie, proszę, nie sprzeciwiaj się.

Richius zmarszczył brwi.

– To sprawa wzajemnego zaufania, Richiusie – wyjaśniła Dyana. – Jeżeli ty nie powierzysz im swego konia, jak możesz się spodziewać, że oni powierzą ci obronę swoich domów?

Jarra patrzył badawczo na Richiusa, ale cierpliwie czekał na odpowiedź. W końcu Richius podjął decyzję.

– Dobrze – odpowiedział, wzruszając ramionami. – Ale powiedz mu, żeby uważali. Błyskawica to wierzchowiec z rodowodem, nie taki, jak ich konie...

– Nie omieszka – odpowiedziała Dyana.

Wyjaśniła obiekcje Richiusa dumace, który wysłuchał uwag z niezbyt zadowoloną miną, nie sprzeciwił się jednak, tylko wezwał jednego z wojowników i dał mu dokładne polecenia.

– Jesteś zadowolony? – spytała Dyana Richiusa.

– Chyba tak – odpowiedział. – Teraz zobaczmy nasze łóżka.

Ruszyli za Jarrą do zamku, starając się trzymać jak najdalej od wilków na smyczach. Shani zakwiliła, gdy podeszli do budowli wiszącej nad nimi jak skała. Dyana lekkim

ruchem ramion uspokoiła dziecko. Zbliżyli się do potężnej bramy z kutego żelaza. Pograżeni w milczeniu przeszli przez próg i weszli do zamku. W środku natknęli się na tę samą niedbałość w utrzymaniu, jaką mieli okazję podziwiać na zewnątrz. Ze ścian straszyły popękane tynki, ze sklepienia zaś na łańcuchach z matowego złota krzywo zwisały pokruszone kandelabry. Na wszystkie, niezbyt zresztą liczne meble składały się głównie drewniane stoły i krzesła, proste i funkcjonalne, rozstawione w przedsionku bez żadnego ładu. Nierówną posadzkę tworzyły popękane niebieskie płytki, a przez brudne szyby osobliwie rozmieszczonych ośmiokątnych okien sączyły się strumienie słonecznego światła.

Mimo że zaniedbane, miejsce wcale nie wyglądało odpychająco. Korytarze pełne były ruchu, a żebrowane sklepienie drżało od łoskotu stóp na wyższych piętrach. Atmosferę twierdzy przenikało podniecenie w takim samym stopniu, jak czyste powietrze wpadające przez otwarte okna. Mijali ich uśmiechający się wojownicy i kobiety z dziećmi trzymającymi się ich spódnic. Zewsząd słychać było szczekanie psów i zawodzenie wilków, a wszystko razem przywiodło Richiusowi na myśl karnawałowe zabawy. Nigdy by nie podejrzewał tych ludzi o uleganie takim emocjom.

Jarra poprowadził ich po schodach do słonecznego skrzydła zamku, gdzie ściany poprzecinano wysokimi oknami o mozaikowych szybach, przez które widać było mocno zapuszczony ogród. Na końcu tego korytarza zauważyli nieco wypaczone drzwi, wiodące do słonecznej komnaty. Przewodnik wyjaśnił Richiusowi, że jest u siebie. Komnatka była niezbyt obszerna, ale dobrze umeblowana – na środku umieszczono stół i kilka krzeseł, a pod ścianą stało łóżko z dobrze wypchanym siennikiem. Na stole Richius zobaczył stojak ze zwojami papieru do pisania, kilka map, obok nich zaś ktoś położył kosz z chlebem i owocami oraz karafkę pełną wody. Richius wybrał z kosza jabłko i podał je Dyanie, która przyjęła je z wdzięcznym uśmiechem.

– Doskonale – oznajmił Richius. – Nie da się tego inaczej określić. Ale co z tobą, Dyano? Gdzie ty się podziejesz?

– Dumaka powiada, że mam się rozgościć w komnatach małżonki Vorisa. – odpowiedziała Dyana z gniewem w głosie. – Wódz mi chyba nie ufa.

– Ależ ufa – zapewnił ją Richius. – To na mnie chce mieć oko. Nie martw się. Zawsze możesz tu zajść, by udzielić mi lekcji.

– Nie mogę – odpowiedziała Dyana, potrząsając głową. – Richiusie, przecież już o tym rozmawialiśmy. Nie możemy budzić żadnych podejrzeń. – Lekkim ruchem podbródka wskazała uważnie słuchającego Jarre. – Na udzielanie ci lekcji musimy znaleźć miejsce, gdzie każdy będzie mógł nas zobaczyć.

– Oczywiście – uśmiechnął się Richius. – Zobaczymy się więc później?

– Wieczorem przy kolacji. Dumaka mówi, że z woli Vorisa oboje mamy wziąć w niej udział. Zacznie się o zmierzchu.

– Będę pewnie chrapał – odparł. – Przyjdiesz po mnie?

– Nie. Spotkamy się w korytarzu przed salą biesiadną. – Odwróciwszy twarz tak, by Jarra nie mógł niczego zobaczyć, uśmiechnęła się do Richiusa. – Śpij dobrze. Zobaczymy się wieczorem.

Richius przez chwilę patrzył, jak Dyana oddała się w głąb korytarza, a potem zamknął za sobą drzwi swojej komnaty. Podszedł do koszyka z owocami i wybrał jeden wielkości pięści, podobny do pomarańczy z cętkowaną skórką i zapachem dojrzałego melona. Kiedy oddzierał mięsistą skórkę, w twarz trysnęła mu strużka soku. Podczas długiej podróży z Falindaru nie mogli się uskarżać na nadmiar pożywienia, a tym bardziej na luksus odosobnienia. Teraz Richius sycił się i jednym, i drugim. Usiadł na łóżku, oparł się plecami o ścianę i patrząc przez okno na kołyszące się za nim wierzchołki drzew, zatopił zęby w miąższu owocu.

Nie upłynęła minuta jak zasnął.

Ocknął się kilka godzin później, kiedy słońce przestało już wlewać do komnaty promienie. Podniósł się z łóżka i wstał chwiejnie, dziwiąc się, jak też mu cięży głowa. Przetarł oczy i spojrzał w głąb komnaty, przypomniawszy sobie nagle, że miał wziąć udział w kolacji na dole. Poczł wilczy apetyt i poklepał się po brzuchu, rad że będzie okazja, by go napelnić. Stopniowo przywykał do osobliwej kuchni Lucel-Loru i jedząc przygotowane przez tutejszych kucharzy potrawy, nie odczuwał już mdłości. Na przeciwległej ścianie zobaczył zwierciadło. Podszedł, przyczesał dłonią włosy i zauważył odciski od nierówności siennika na swej twarzy.

Podczas gdy on spał, ktoś przygotował mu nową odzież. Była to biała koszula i spodnie z jeleniej skóry, proste, takie jakie nosili tu wieśniacy. Podniósł koszulę i przez chwilę podziwiał jej krój oraz niezwykłą czystość – jego własna koszula była już tak brudna, że nie widział sposobu na jej dopranie. Spodnie też były czyste, wygodne, sznurowane z przodu, co pozwalało na obywanie się bez pasa. Pospiesznie zrzucił własne ubranie i włożył spodnie, wciągając brzuch przed zaciągnięciem rzemieni. Pasowały, jakby uszyto je specjalnie dla niego, a miękkość materiału była wprost cudowna. Potem wdział koszulę, powoli zapinając wszystkie guziki i obserwując swoje odbicie w małym zwierciadle, uśmiechał się zadowolony z wrażenia. W tym ubraniu nie był podobny ani do Narena, ani do Triina. Był jakby połączeniem jednego i drugiego. Doszedł też do wniosku, że mu z tym do twarzy.

Główny korytarz na dole był pusty. Przeszedł nim szybko, licząc na spotkanie z Dyaną bez nadzoru Vorisa. Przez ośmiokątne okna widział, że niebo zaciąga się już

zmierzchem. Dyana powinna zatem na niego czekać. Skręcił za róg i ruszył korytarzem, zupełnie pustym, jeżeli nie liczyć nie znanych Richiusowi mężczyzny i kobiety, zwartych w namiętym pocałunku. Na jego widok oboje odskoczyli od siebie jak oparzeni, a mężczyzna wyprostował się zakłopotany, gdy rozpoznał Richiusa. Nie wiedząc, jak się zachować, Richius skwitował wszystko uśmiechem.

– Przepraszam – zaczął. – Szukam kogoś...

Wojownik zrobił niezbyt określony gest ramionami.

– *Ja coca vin?*

– Hmm... Przyjacielu, nie rozumiem, co mówisz, a ty nie rozumiesz tego, co mówię ja, prawda? Nieważne. Sam ją znajdę.

Szybko się cofnął tą samą drogą, którą tu przyszedł, a potem zaczął sobie przypominać, którędy przywiódł go tu dumaka. Spróbował odszukać znane już sobie schody i tam postanowił poczekać na Dyanę. Zatrzymał się, przechodząc obok niewielkich drzwi. Dobiegł go zza nich głos dziecka, które mówiło coś samo do siebie. Zaciekawiony uchylił ostrożnie drzwi i wetknął głowę do środka komnaty. Na podłodze ze skrzyżowanymi nogami siedziała dziewczynka, która przy świecy czytała leżącą na jej kolanach książkę. Ku ogromnemu zdziwieniu Richiusa książka okazała się napisaną w języku Narenów! Dziewczynka ujrzała go i przerwała czytanie, po czym spojrzała na niego, on zaś natychmiast zrozumiał, że dziecko wcale się go nie boi.

– Kim jesteś? – zapytał wprost.

Pytanie chyba dziewczynkę rozbawiło. Miała nie więcej niż dziesięć lat, ale zrobiła bardzo poważną, dorosłą minę.

– Ja tu mieszkam – odpowiedziała. Potem spojrzała na niego ponownie. – A ty nie. Ty musisz być tym człowiekiem z Imperium.

Richius uśmiechnął się szeroko. Usłyszeć rodzinny język z ust dziecka... Różnych rzeczy się tu spodziewał, ale przecież nie tego.

– Tak – odparł, wsuwając się do pokoju. – Jestem człowiekiem z Imperium. Nazywają mnie Richius.

– Jesteś Kalak – poprawiła go. – Ojciec mi powiedział, coś ty za jeden.

Richius potrząsnął głową, usiłując zachować uprzejmość.

– Mam na imię Richius – powtórzył z naciskiem. – Nie Kalak. A kim jest twój ojciec?

– Ojciec jest tu wodzem.

– Więc możesz mnie nazywać Richiusem – stwierdził, nie mając pojęcia, czy przypadkiem nie przekracza jakiegoś zakazu. Dziewczynka jednak ogromnie go zafascynowała. – A ty, jak masz na imię?



– Jestem Pris. – Mała wyprostowała się z dumą.

– Pris? Jak bogini?

– Tak. Tatuś powiedział, że jestem piękna, jak ona. I mocna. Ona jest moją patronką. Richius kucnął obok dziewczynki i wskazał palcem na trzymaną przez nią książkę.

– Doskonale czytasz – stwierdził. – Co to za książka?

– Od *bhapo* – powiedziała Pris. – Teraz się z niej uczę.

Richius zdążył się już dowiedzieć, że „*bhapo*” było pieśczętliwym słowem, jakim Triinowie nazywali kogoś z męskich krewnych. Zerknął na książkę, usiłując odczytać druk, na który patrzył z odwrotnej strony.

– Kim jest ów *bhapo*?

– *Bhapo* Tharn – odpowiedziało dziecko. Dziewczynka podniosła na Richiusa zaciekawione spojrzenie. – Znasz go?

– A, tak – odpowiedział Aramooczyk. – Nie jest moim *bhapo*, ale owszem, znam go. Czy to on dał ci tę książkę?

Pris kiwnęła główką.

– Tak, do nauki.

– Bardzo ładna książka. Mogę ją obejrzeć?

Dziewczynka podała mu książkę bez najmniejszych obaw.

– Ty też umiesz czytać w języku Imperium?

– Owszem – odparł Richius, kartkując książkę. Był to zbiór nareńskich poematów, niewątpliwie stary i prawdopodobnie bardzo cenny. Młodzieniec natychmiast zrozumiał, dlaczego dziewczynka tak lubiła tę księgę.

– Poczytasz mi? – spytała teraz. – Dobrze czytasz?

– Och, nie sądzę, bym mógł czytać te poematy równie pięknie, jak ty, Pris – odpowiedział z uśmiechem. – Masz bardzo miły głos. Skąd znasz język Narenów? Nauczył cię Tharn?

– Tak, *bhapo* uczył mnie jeszcze przed wybuchem wojny – odpowiedziała dziewczynka. – Przed wyjazdem dał mi tę książkę. Powiedział, że ja dobrze się uczę. Szybko.

„Miał niewątpliwie rację” – pomyślał Richius. Szybko przebiegł wzrokiem jakiś poemat, zdumiewając się jednocześnie, że ta mała potrafiła sobie radzić ze zdaniem o tak skomplikowanej składni. Nie mogli jej w tym sprostać nawet nareńscy rówieśnicy. Najwyraźniej Tharn dostrzegł w niej iskierkę geniuszu i postanowił ją wesprzeć. Vorisowi zaś chyba się to niezbyt podobało.

– Twój ojciec nie gani cię za czytanie o Nar?

– Ojciec chciał, żebym była mądra i silna, jak moja patronka. – Potem twarzyczka

dziewczynki okryła się chmurą. – Ale później kazał mi przestać ze względu na Tala.

Richius zamarł w bezruchu.

– Tal, twój brat – wyszeptał wreszcie.

Z oczu Pris znikł figlarny błysk.

– Ojciec mówił, że to ty zabiłeś Tala. Wini za to wszystkich mieszkańców Imperium. I kazał mi przestać zajmować się tą książką. Ale ja ją zatrzymałam. Wciąż czytam i się uczę.

– I dlatego się tu ukrywasz? – spytał Richius. – Żeby ojciec cię nie zobaczył?

– Ojciec byłby bardzo niezadowolony – stwierdziła Pris. – A ja już nie mam więcej książek od *bhapo*. – Uśmiechnęła się ukradkowo. – Ale i tak będę się uczyła. Możesz mi pomóc. Będziesz mi czytał, dobrze?

Richius wstał i zamknął drzwi, ogarnięty nagłą obawą, że ktoś ich znajdzie.

– Przykro mi, Pris – odezwał się łagodnie. – Myślę, że nie powinienem tego robić. Twój ojciec bardzo by się na nas rozgniewał, gdyby rzecz się wydała.

– Tylko jedną stronę – poprosiła dziewczynka. – Pokażę ci, którą.

Chwyciła książkę i zaczęła ją szybko kartkować. Znalazszy poemat, o który jej chodziło, uśmiechnęła się i pokazała paluszkami. Richius wziął książkę, żałując, że tu zajrzał. Potem zerknął na poemat. Jak przewidywał, był to stary romans, z tych, jakie ostatnio stały się bardzo rzadkie w wojowniczo nastawionym Nar. Pris odsunęła się i usiadła wygodniej, czekając na lekturę.

– Pris, nie mogę ci tego czytać. Nie chcę, by twój ojciec się wściekł.

– Ale ja się ojca nie boję – odparła dziewczynka. – A ty?

– Nie chodzi o to, czy się go boję. Po prostu chcę uszanować jego wolę.

Pris najwyraźniej mu nie uwierzyła.

– Poczytaj mi – powiedziała słodkim głosem. – Proszę...

Już miał ustąpić, kiedy usłyszał swoje imię. W głosie Dyany było sporo zaniepokojenia. Rozczarowana Pris zmarszczyła nos. Richius podszedł do drzwi i otworzył je. Ujrzał idącą korytarzem Dyane. Machnął dłonią, dając jej znać, gdzie jest.

– Dyano, tutaj!

Na twarzy Dyany odmalowała się kolejno ulga i zdziwienie.

– Richiusie, dlaczego się tu kryjesz? Szukałam cię. Czas na kolację z Vorisem.

– Wcale się nie ukrywam – oznajmił Richius. – Wejdz. Chciałbym ci kogoś przedstawić.

Dyana weszła i natychmiast zauważyła siedzącą na posadzce małą Pris.

– Hej! – rzekła dziewczynka i uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Hej! – odpowiedziała Dyana. – Kto to jest? – spytała Richiusa.

– Córeczka Vorisa – oznajmił. – Ma na imię Pris. Powiedz do niej coś w moim języku.

– Co takiego?

– No, dalej... – ponaglił ją Richius. – Powiedz cokolwiek.

Dyana spojrzała na niego podejrzliwie, a potem zwróciła się do dziewczynki.

– Witaj, Pris. Jestem Dyana. Ile masz lat?

– Prawie dziesięć – odpowiedziała dziewczynka. – Jesteś bardzo piękna.

Richius parsknął śmiechem.

– Czy to nie zdumiewające? Ona mówi lepiej, niż wielu znanych mi Talistańczyków.

Dyana przyklękła obok dziecka i dotknęła włosów dziewczynki, jakby chciała sprawdzić, czy naprawdę patrzy na dziecko Triinów.

– Zdumiewające – szepnęła.

Usłyszawszy komplement Pris dumnie uniosła głowę.

– Czy ty jesteś kobietą Kalaka?

– Nie – odpowiedziała Dyana. W jej głosie zabrzmiała nutka smutku, która bardzo się spodobała Richiusowi. – Nie jestem.

– To żona twojego *bhapo* – oznajmił Richius. – Jest tu po to, by nam pomagać. Dyano, czy ona nie jest nadzwyczajna? Uczyła się języka Narenów od Tharna, a także z książki, którą Tharn jej zostawił. To zbiór poematów, ona jednak świetnie sobie z nimi radzi.

– Siądź tutaj – Pris poprosiła Dyane, poklepując podłogę obok siebie. – Kalak nam poczyta.

– Tak? – spytała Dyana. – Cudownie!

Richius zaczerwienił się.

– To poemat, który się jej spodobał. Chce, żebym go jej przeczytał. – Spojrzał na Pris. – Ale niczego ci nie obiecywałem.

– Proszę... – odpowiedziała dziewczynka błagalnie.

– O tak... – Dyana przyłączyła się do prośby małej. – Prosimy, Richiusie, poczytaj nam.

Richius spojrzał na książkę. Dla jakiegoś powodu chciał odczytać poemat dla Pris, a teraz, gdy dołączyła do nich Dyana, pomysł odczytania poematu pociągał go jeszcze bardziej. Obie patrzyły prosząco, on zaś nie umiał oprzeć się pokusie.

– Poemat nie ma chyba tytułu – zaczął z wahaniem. – Może po prostu zacznę czytać.

– Odchrząknąwszy lekko, odczekał jeszcze chwilę, aż Dyana i Pris usadowią się wygodniej. – Gotowe?

– Tak! – stwierdziła uszczęśliwiona Pris.

Zanim jednak zdążył otworzyć usta, w komnacie rozległ się przeraźliwy krzyk. Do środka wpadła jakaś kobieta. Pris zerwała się na nogi. Kobieta krzyczała ogarnięta przerażeniem. Podbiegła do Pris, chwyciła ją i przytuliła do siebie, kryjąc twarz dziecka w fałdach sukni. Potem cofnęła się z dziewczynką do rogu komnaty, gdzie wybuchła gniewną tyradą, którą niełatwo było zrozumieć. Richius na wszelki wypadek cofnął się w przeciwległy róg komnaty.

– Dyano, co, u diabła, się dzieje? Kim ona jest?

– Cicho – poleciła Dyana. – To Najjir, żona Vorisa.

Pris usiłowała zgłosić protest zza matczynej spódnicy, ale matka w ogóle jej nie słuchała. Wymierzywszy oskarżycielsko palec w Richiusa, nadal zasypywała go gradem oskarżeń. Dyana stanęła pomiędzy nimi i zaczęła uspokajać rozjuszoną niczym lwica kobietę. Richius wciąż trzymał w dłoni nieszczęsną książkę. Stał w milczeniu, nie bardzo wiedząc, czy powinien zostać czy odejść. Chciał pomóc, ale nie wiedział, jak.

– *Kalak!* – W ustach Najjir brzmiało to jak przekleństwo.

– Ależ ja nie zrobiłem niczego złego! – nie wytrzymał wreszcie Richius, cofając się jednak ku drzwiom. – Powiedz jej to wreszcie, Dyano!

– Myślę, że powinieneś odejść – stwierdziła ostrożnie Dyana. – Idź już.

– Dyano, tu naprawdę nie stało się nic, czego by nie mogła zaaprobować. Wytlumacz jej to.

– Odejdź, Richiusie – odezwała się Dyana ostrym głosem. – Wszystko jej wyjaśnię, kiedy się trochę uspokoi.

– Niech to licho! – Richius odwrócił się, by odejść i wtedy zobaczył, że w drzwiach stoi Voris. Czerwona twarz wodza świadczyła o jego wściekłości.

– *Nogiya asa?* – spytał ostro, patrząc na swoją rozhisteryzowaną żonę. Kobieta wskazała na Richiusa i znów wypluła z siebie nienawistne słowo:

– *Kalak!*

Richiusowi przez chwilę wydawało się, że oczy Vorisa wyskoczą z orbit. Wódz odstąpił w bok i gniewnym gestem wskazał drzwi. Kobieta natychmiast wyszła, ciągnąc za sobą Pris, która po drodze rzuciła Richiusowi przeproszające spojrzenie. Dyana natychmiast pospieszyła z wyjaśnieniami, zasypując wodza gradem słów. Voris jednak nie chciał tego słuchać.

– *Kalak!* – zagrzmiał, z trudem utrzymując się w ryzach.

Richius łatwo się domyślił, co było powodem wściekłości Drola.

– Powiedz mu, że niczego jej nie zrobiłem – odezwał się spokojnie do Dyany. – Powiedz mu, że zajrzałem tu tylko po to, by z nią porozmawiać.

Dyana usiłowała wytłumaczyć Vorisowi, ale jej słów niemal nie było słychać przez

ryki wodza.

W końcu Richius uniósł dłoń i też dał upust wściekłości:

– Dość!

Voris natychmiast umilkł i tylko łypał na Richiusa wściekłym spojrzeniem.

– Dość! – powtórzył Richius. – Vorisie, posłuchaj. Nie zrobiłem niczego złego twojej córce. I nigdy nie zrobię. – Podniósł książkę Pris. – Oto, co robiliśmy. Czytaliśmy poezje.

Voris wyrwał mu książkę z dłoni i zwrócił się po wyjaśnienia do Dyany. Słuchał przez chwilę, potem kiwnął głową i spojrzawszy Richiusowi w oczy, powiedział kilka słów.

– On mówi, że zabronił Pris czytać w tym języku – przełożyła Dyana. – Chce wiedzieć, czy ona ci to powiedziała.

– Powiedziała – przyznał Richius. – Powiedz mu, że bardzo żałuję. Nie powinienem sprzeciwiać się jego woli.

Przeprosiny Voris przyjął nie najlepiej.

– To mi nie wystarczy – stwierdziła Dyana, przekładając gniewną przemowę wodza. – Jesteś teraz w moim domu i masz się stosować do moich zwyczajów.

Richius kiwnął głową.

– Owszem, to słuszne.

Voris mówił dalej drżącym z gniewu głosem. Przerwał i poczekał, aż Dyana przełoży jego słowa. Dziewczyna milczała.

– Co się stało? – spytał Richius. – Co powiedział?

– Przykro mi Richiusie, ale go nie rozumiem. Powiedział, że masz się trzymać z dala od jego dziewczynek. Jeżeli jeszcze raz zobaczy cię w pobliżu którejś z nich, to cię zabije. Powiada, że nie odbierzesz mu kolejnego dziecka. – Dyana spojrzała na Richiusa pytająco. – Wiesz, o czym on mówi?

Richius poważnie skinął głową.

– Wiem. Powiedz Vorisowi, że niepotrzebnie się martwi. Będę unikał jego rodziny. Powiedz mu też, że ogromnie mi przykro z powodu Tala.

– Tala? Jakiego Tala?

– Po prostu mu powiedz...

Dyana spełniła jego prośbę, przekazując tajemniczą dla niej wiadomość Vorisowi. Wódz spojrział z widocznym bólem na twarzy. Kiedy przemówił ponownie, w jego głosie słychać było drżenie.

– Voris mówi, że cię nienawidzi – przełożyła Dyana, którą ta wymiana zdań zupełnie zbiła z tropu. – Powiada, że nie wie, czy zdoła zrobić to, czego żąda od niego Tharn.

– Powiedz mu, że rozumiem. Obaj musimy zrobić to, co w naszej mocy. Powiedz

też, że udowodnię mu, że można mi ufać. Daję na to moje słowo.

Dyana przełożyła obietnicę, którą wódz skwitował skinieniem dłoni.

– I powiedz mu jeszcze jedno – dodał Richius. – Ale mówiąc to, bądź ostrożna. Nie mam pojęcia, czy miałem cokolwiek wspólnego ze śmiercią Tala, ale gdyby można go było wskrzesić, zrobiłbym wszystko. Powiedz mu to, proszę.

– Richiusie, niczego nie rozumiem. Kim jest ten Tal?

– Był synem Vorisa. Wyjaśnię wszystko później. Teraz przełóż mu tylko moje słowa.

Dyana zgodziła się spełnić prośbę Richiusa, choć nie uczyniła tego bez oporów. Oboje patrzyli uważnie na twarz Vorisa, ta jednak nie zmieniła wyrazu. W końcu wódz spojrział na trzymaną w dłoni książkę z poezjami i smutno potrząsnął głową.

– Powiedziałaś mu? – spytał Richius szeptem.

– Co do słowa, jak chciałeś – skinęła głową Dyana.

Voris stracił zapał. Westchnął ponuro i wetknął książkę do sakwy. Nie patrząc na Richiusa, powiedział coś krótko do Dyany i wyszedł. Dyana podniosła brwi ze zdziwienia.

– Nadal oczekuje nas na kolacji – stwierdziła. – Chce, byśmy się pospieszyli.

Richius nie odpowiedział. Dyana lekko musnęła palcami jego dłoń.

– Richiusie... – spytała ostrożnie, by go nie urazić. – Czy zabiłeś syna Vorisa?

Richius wzruszył ramionami.

– Prawdę mówiąc, to nie wiem.

– Więc o co poszło?

– On chce, bym się trzymał z dala od jego dzieci i nie mogę go za to winić. Idź na tę kolację beze mnie. Naprawdę nie jestem już głodny. Zobaczymy się rano. Może wtedy zaczniemy naukę.

W półmroku korytarza głos Dyany zabrzmiał niespodziewanie miękko.

– Każę służbie zanieść trochę jedzenia do twojej komnaty. Śpij dobrze. Rano będziemy mieli mnóstwo pracy.

– Dobrej nocy, Dyano – powiedział, wychodząc z komnatki.

Gdzieś niedaleko, w głębi korytarza, zahuczał głos Vorisa i Richius postanowił udać się w przeciwną stronę, ku bramie. Wkrótce wyszedł na otwartą przestrzeń i przez chwilę napawał się czystym, wonnym powietrzem, pachnącym świeżo przekopaną ziemią. Młoda jeszcze noc rozpostarła nad nim baldachim nieba z tysiącem gwiazd. W opuszczonym ogrodzie promienie księżyca ślizgały się po posągach zapomnianych bohaterów. W gałęziach drzew szykowali się do lotu nocni łowcy, którzy trzepocząc skrzydłami, pokrzykiwali przed rozpoczęciem polowania. Zwodniczy spokój okrył dolinę niezmaconą ciszą, niczym koc.

Richius podniósł wzrok i przez chwilę patrzył na wznoszącą się nad nim ku niebu krzywą wieżę. Przyszło mu do głowy, że oto znalazł miejsce tchnące niekłamanym spokojem. Budowla przylegała do reszty zamku, miała jednak własne wejście – wąski, kamienny portal. Stał tam oczywiście jakiś wartownik – młody wojownik odziany jak każdy Triin. Kiedy Richius podszedł, wojownik oddał mu honory.

– Wejdę na górę – oznajmił Richius, pokazując palcem kierunek. – Na górę. Dobrze? Strażnik kiwnął głową.

– *Doa trenum.*

– Dobrze – rzekł, mijając wartownika – Cokolwiek to znaczy.

Wewnątrz było znacznie mniej miejsca, niż się Richius spodziewał. W każdym rogu czaił się mrok, któremu przeciwstawiono światło jednego tylko kaganka zwisającego ze ściany. W wieży nie było nic – poza kagankiem i wspaniałymi kamiennymi schodami wznoszącymi się wzdłuż ścian ku górze. Richius chwycił leżące pod ścianą łuczywo, zapalił je od kaganka i ruszył. Kamienne stopnie pokryte były żwirem, a podeszwy butów Richiusa zostawiały wyraźne ślady w grubych pokładach kurzu, Aramoorczyk jednak uparcie pisał się coraz wyżej, wyciągając przed siebie ramię, by zabezpieczyć się przed niespodziankami. Zewnętrzny świat przestał dla niego istnieć – słyszał jedynie własny wysilony oddech i zgrzyt żwiru pod stopami. Unoszący się w powietrzu kurz drapał go w krtań, tak że w końcu Richius się rozkaszał. Przed sobą widział jedynie schody wznoszące się ku nieskończoności. Przez chwilę rozważał myśl, czy nie zapomnieć o spokoju, jaki spodziewał się znaleźć na szczycie i nie zawrócić, doszedł jednak do wniosku, że bliżej mu teraz do wierzchołka, niż do podstawy wieży, wspinał się więc dalej. I wreszcie ujrzał ostatnie stopnie, skąpane w blasku księżyca.

– Dzięki ci, Boże – powiedział i zdumiał się dźwiękiem własnego głosu.

Zaraz potem usłyszał inne głosy, a potem wszedł do komnaty na szczycie wieży, otoczonej szkłem i skąpanej w nikłym blasku gwiazd. W salce było jeszcze dwóch odzianych w szkarłat wojowników, którzy znudzeni patrzyli w szkła i od czasu do czasu przerzucali się jakimiś uwagami. Spostrzegli Richiusa i spojrzeli na niego nie bez zdziwienia.

– Przepraszam – odezwał się zakłopotany Richius. – Nie wiedziałem, że ktoś tu jest. Zaraz sobie pójdę.

Odwrócił się ku schodom i już miał postawić nogę na pierwszym stopniu, kiedy jeden z wojowników zapytał:

– *Kalak?*

– Owszem – odpowiedział Aramoorczyk. – Nie będę się wypierał. Jestem Kalak.

Dwaj wojownicy zmierzli go wzrokiem, kiwając głowami i marszcząc brwi. Potem

wymienili kilka pospiesznych uwag i parsknęli porozumiewawczym śmiechem. Jeden z nich podszedł bliżej i szerokim gestem zaprosił Richiusa do okna.

– *Dring* – powiedział, uśmiechając się znacząco. – *Dring*.

Zaintrygowany Richius podszedł do szyby. Ze szczytu wieży miał doskonały widok na Dolinę Dring, pogrążoną w mroku, cichą i uśpioną. Była jak pradawny Aramoor, dzika, kipiąca życiem i poddana wyłącznie siłom natury. Przystawił nos do szyby, starając się zapomnieć o grobach pogrzebanych tu przyjaciół.

– Owszem... – stwierdził po chwili milczenia. – *Dring*.

I wtedy w głębi doliny pojawił się jakiś blask. Richius spojrzał uważniej, usiłując domyślić się, co też było przyczyną poświaty. Wojownicy również ją zauważyli. Była to niewielka, rudawa plamka, migocząca nierównomiernie i rozlewająca się coraz szerzej, zmieniając jednocześnie barwę na ciemny szkarłat. Obok niej zapłonęła kolejna iskierka, a potem jeszcze jedna i wkrótce ich nieć ogarnęła całą zachodnią połąć horyzontu. Pożary.

Richius zacisnął zęby. Niczym uderzenie młota spadło na niego nagle wspomnienie zapalarek ogniomiotów, płonących w nocy szkarłatem. Powoli cofnął się od okna.

– Zaczęło się – wyszeptał. – Boże, miej nas w swej opiece.



## Trzydzieści osiem

Wysoko na wieży zamku Dring, ukryty pod kopułą jej sklepienia wisiał ogromny, starożytny dzwon. W lepszych czasach grzmiał na rozkaz władców zamku z okazji świąt. Czasami też jego głos był zwiastunem niebezpieczeństwa. Swoim śpiewem od ponad dwóch stuleci przypominał mieszkańcom doliny o czasie modłów, a niekiedy powiadał im o tym, że nadciągają najeźdźcy. Jego głos, czysty i jasny, płynął w dolinę równie gładko, jak wycie wilków.

Ale, podobnie jak cały zamek Dring, dzwon był bardziej kruchy, niż się wydawało. W dniu, w którym Voris odbił dolinę z rąk jej poprzedniego władcy i osobiście uderzył w dzwon, by wszystkim oznajmić swoje zwycięstwo, dzwon pękł, a jego anielski niegdyś głos przemienił się w głuche, rozdzierające uszy słuchaczy dudnienie. I nigdy już nie zadźwięczał, jak przedtem.

Przez dwadzieścia trzy lata milczał w swojej samotni, gromadząc kurz i osnuwając się pajęczynami, wzgardzony przez władcę doliny, wychowującego dzieci, które wzrastały bez pieśni dzwonu. Voris od I czasu do czasu tylko wojował z innym wodzem żyjącym na północy. Mimo to były to dobre czasy dla doliny. Pobożni, zamieszkujący ją ludzie i bez dzwonu wiedzieli, kiedy należy ugiąć kolana do modłów, a w święta też obywali się bez jego głosu. Coraz bardziej zadowoleni z życia wieśniacy uprawiali ziemię zgodnie ze zmianą pór roku, jak i dawniej pojawiała się nowe ptactwo, a wiosną łąki okrywały się kwieciami. Wszystko było tak, jak to obiecywali bogowie ziemi.

O dzwonie jednak tak zupełnie nie zapomniano. Wielki dzwon zamku Dring pamiętało wielu, a wśród nich był i sam Voris, który kiedyś oznajmił dumace, że sam w niego uderzy, jeżeli nad jego ukochaną dolinę znów zawiśnie jakaś groźba.

Kiedy więc Richius i dwaj wojownicy wpadli do sali biesiadnej z wieściami o inwazji Narenów, nocną ciszę rozdarł przeraźliwy jęk dzwonu. Przybyli jeźdźcy, którzy potwierdzili wieści o marszu na dolinę. Rozległo się wezwanie do broni, którego wszyscy się spodziewali. Dzwon zahuczał zaraz po zmierzchu. Dla uszu Richiusa była to iście piekielna muzyka i podążając przy świetle pochodni śladami Vorisa i dumaki Jarry na front, rad był z tego, że oddala się od źródła okropnego hałasu. Zbliżała się północ, a jednak każde stworzenie w dolinie było na nogach, obudzone hukem dzwonu i łoskotem setek końskich kopyt. Gdy jeźdźcy gnali przez las z jiiiktarami w dłoniach, trzymane przez nich pochodnie rzucały niesamowite, rudawe, roztańczone światło na leśne ostępy. Wszyscy gnali na spotkanie najeźdźców nadciągających ze swoimi machinami.

Dwie setki wojowników ruszyło konno, by wesprzeć swoich braci na froncie. Obrońcy doliny Dring śpiewali dzikie pieśni wojenne, którymi błagali niebo o zwycięstwo. Śpiewem kwitowali też rozkazy Vorisa, głosząc chwałę swoich bogów silnymi, niskimi głosami, a przeraźliwy jęk dzwonu nakładał się na ich pieśń niczym mizerne beczenie jagnięcia.

Richius mocno trzymał w dłoni cugle Błyskawicy i gnał za Vorisem przez kręty, wąski korytarz wycięty w lesie. Ogarnął go strach i podniecenie. Nie ulegało wątpliwości, że widział – choć z daleka – ogniomioty. Podgrzewano ich zapalarki przed nieuniknioną bitwą. Atak miał prawdopodobnie nastąpić o świcie. Spojrzał na księżyc. Północ. Mieli więc jeszcze około sześciu godzin.

– Jak daleko do frontu? – spytał, odwracając głowę.

Dyana mocniej uściśniła go w pasie.

– Już blisko! – zawołała mu prosto w ucho. – Voris mówi, że mniej niż godzina jazdy.

Richius skrzywił się na wspomnienie ich ostatniej wspólnej konnej przejażdżki – uciekali wtedy przed rozpętaną przez Tharna burzą. Teraz zaś pełnym galopem gnali prosto w paszczę niebezpieczeństwa. Czuł ciepło jej oddechu na swoim karku, radował się jej bliskością, a jednocześnie przeklinał się za to, że zgodził się, by przyjechała tu razem z nim. Ani on, ani Voris nie chcieli, by Dyana im towarzyszyła, ale jej argumenty miały swoją wagę. Twierdziła – nie bez racji – że bez niej Richius i Voris nie zdołają się porozumieć. Zostawili więc Shani pod opieką żony Vorisa, Najjir, i pojechali za Vorisem oraz wojownikami Dring. Mogli tylko żywić nadzieję, że dziewczynka nie zostanie sierotą.

– Pamiętaj, co mi obiecałaś – poradził Richius. – Jak tylko powiem, masz odjechać. Nie mam pojęcia, jak długo zdołamy utrzymać obronę.

– Ty masz odjechać razem ze mną – odpowiedziała. – Tharn z pewnością by sobie tego życzył.

Richius kiwnął głową. Tak naprawdę był to gest zwodniczy – nie powiedział przecież, że odjedzie z nią dopiero wtedy, gdy linie obronne załamią się pod nawałą napastników, ale jego zgoda ją uspokoiła. Tharn nie spodziewał się, że oboje będą musieli udać się na pierwszą linię, ale choć był mędrce, nie mógł przewidzieć wszystkiego. Richius sam musiał pokierować bitwą, a do tego potrzebna mu była Dyana.

Przed nimi w świetle pochodni lśniła ogolona głowa Vorisa. Jego gnający przed siebie rumak wyrzucał kopytami fontanny ziemi w powietrze. Wódz był jedynym, który siedział na koniu samotnie – nawet dumaka Jarra dzielił koński grzbiet, podobnie jak setki konnych gnających za nimi. Wielki, najeżony ostrzami jiihtarów wąż ludzi i koni

szybko sunął przez noc, niosąc ich ku bitwie. Brak odpowiedniej liczby wierzchowców wcale ich nie zatrzymał.

Voris ostrzegał wszystkich, by trzymali się jego śladu. Cały las jeżył się teraz wymyślnymi triińskim pułapkami. W ziemię powtykano tysiące zaostrzonych palików, których końce nasyciono wężowym jadem – było to dzieło niezmordowanych kobiet z doliny Dring. Wzmocnione ostrzami nagięte gałęzie drzew czyhały na nieostrożnych, by gładko pozbawić ich ręki, nogi czy głowy; z gałęzi zwisały sieci wypełnione kamieniami, gotowe w jednej chwili obruszyć komuś na głowę swoje śmiertelne brzemie. Wszystko miało na celu skłonienie najeźdźców, by trzymali się tej jednej, wąskiej i krętej ścieżki – jedynej drogi łączącej dolinę ze światem zewnętrznym. Był to pomysł Richiusa – część planu, nad którym ślęczał po nocach, aż do zupełnego otępienia umysłu. Wkrótce miał się przekonać, czy było warto.

Gnali przez las, aż w końcu głos dzwonu zamarł zupełnie, a podniecone głosy wojowników zaczęły się uciszać, w przewidywaniu bliskiego starcia z wrogiem. Richius wiedział, że zbliżali się do łąk, na których Narenie rozłożyli się obozem. W powietrzu zjawiał się początkowo nikły, a potem coraz silniejszy zapach kerosyny. Narenie powinni mieć gotowych przynajmniej kilkanaście ogniomiotów i wozów bojowych. Mrok ukrył je przez wzrokiem obserwatorów z wieży, ale Richius wiedział, że są gdzieś przed nim, osłonięte ciemnościami i czekające na świt, by ożyć, rzygając śmiercią.

„No to przychodźcie o świcie – pomyślał Richius, zaciskając zęby. – My też będziemy gotowi”.

Jechali jeszcze około godziny, ale wreszcie dostrzegli linie obronne. Wzniesiono je w miejscu, gdzie las się przerzedzał, ustępując rozległej, wypłowiej równinie porośniętej trawą i chwastami. Pomędzy potężnymi pniami dębów i polankami zbudowano umocnienia wymyślone przez Richiusa. Na jego twarzy pojawił się skąpy uśmiech, kiedy patrzył na dzieło swojego umysłu i triińskich rąk, skąpane w świetle pochodni i obsadzone wojownikami w szkarłacie. Wszyscy mieścili się na platformach wspartych o potężne pnie i łączących je kładkach, wzmocnionych linami i rozpinających się na wysokości przynajmniej stu stóp nad ziemią. Wszędzie wokół widział patrzące na niego z góry jasne twarze i grzywy białych włosów, niczym miliony nocnych ptaków. Cała knieja zamarła w oczekiwaniu na bój.

– *Cha Yulan!* – zagrzmiało. – *Cha Yulan ta!*

*Cha Yulan ta.* Wilk powrócił.

Voris uniósł w powietrze zaciśniętą pięść i dając koniowi ostrogę, spiał go do galopu. Unosząc się w strzemionach, odpowiedział na powitanie wojowników dzikim okrzykiem wojennym, który niemal rozdarł niebiosa. Jiiktary zadzwoniły o konary, a stojący na

ziemi Drolowie ze wszystkich stron zbiegli się do wodza, witając go rozpostartymi ramionami. Jarra ruszył za Vorisem, Richius podjechał ku przodowi tuż za Jarrą, a potem obaj zatrzymali konie.

– Spójrz, Dyano – odezwał się Richius, badając drzewa i widoczny już za nimi okop, z ogromnymi tarczami osłonowymi i śmiercionośnymi zaporami przed nimi. – Doskonała robota, dokładnie tak, jak to zaplanowałem.

Wykonanie znacznie przewyższało to, co Richius naszkicował podczas drugich, bezsennych nocy w Falindarze. Zapory były czymś, co mógł zaplanować tylko Naren – przemyślnie połączenie ziemi, pni i lin. Wokół drzew pobudowano pomosty, na których czaili się łucznicy, a pomiędzy drzewami wykopano okop obsadzony przez kolejny tysiąc wojowników. Sam okop też był chroniony ostrymi, powtykanymi w ziemię palikami, nachylonymi tak, by zatrzymać atakujących od czoła. Tuż za palami wzniesiono wysoką palisadę z surowych pni drzewa okrytych skórą zwierząt, które w razie konieczności można było oblać wodą, co miało osłaniać obrońców przed śmiercionośnymi jezorami ogniomiotów. Tuż przed palami trzymano zgraję bojowych wilków na łańcuchach, które lada moment można było puścić na wroga. Rozciągająca się przed ścianą drzew równina również była najeżona kołkami, pomiędzy którymi wykopano przykryte teraz zmyślnie doły, dość duże, by pochłonać gregana.

Richius zeskoczył z grzbietu Błyskawicy i pomógł zsiąść Dyanie. Wokół nich rozbrzmiewała powitalna wrzawa, kiedy ludzie z zamku ustawiali się pomiędzy swoimi towarzyszami broni. Jarra wykrzykiwał jakieś rozkazy, usiłując przebić głosem wrzawę. Richius ujął Dyanę za rękę i lekko ją ścisnął.

– Świetnie się spisali – stwierdził. – Zrobili wszystko, o co prosiłem i jeszcze więcej. Ta wojna nie jest jeszcze rozstrzygnięta!

– Ale czy to wystarczy? Możemy zwyciężyć?

Było to to samo pytanie, które zadawali mu wszyscy, a na które nie dało się odpowiedzieć.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem – odparł Richius. – Jeszcze nie wiem, z czym przyjdzie nam się zmierzyć. Zobaczmy dopiero rankiem, jak się rozwidni.

Spojrząwszy w górę ku najbliższemu drzewu, zobaczył na nim platformę obserwacyjną, dokładnie taką, jak chciał – zawieszoną wysoko pomiędzy dwoma potężnymi dębami. Stało na niej kilku ludzi patrzących uważnie na pole przyszłej bitwy. Z platformy zwisała lekka drabinka sznurowa, która prawie nie dotykała ziemi.

– Tam – wskazał Dyanie kierunek. – Z góry będziemy mieli lepszy widok.

Dyana skinęła głową i wyjaśniła sprawę Vorisowi, który bez słowa sprzeciwu razem z Jarrą ruszył za nimi ku drabinie. Richius pociągnął sznury, by sprawdzić wytrzymałość

drabinki, a potem poprosił Dyane, by wspięła się pierwsza.

– Pójdę tuż za tobą – oznajmił. – Wspinaj się powoli, by za bardzo się nie rozbijała.

Kilka pierwszych szczebli Dyana pokonała z lekkością wiewiórki i spojrzała przekornie z góry na Richiusa.

– Wszystko w porządku.

Richius zaczął wspinaczkę. Za nim ruszył Voris i Jarra. Mocno obciążona drabinka zatrzeszczała. Wytrzymała jednak, a kiedy Dyana dotarła na górę, czekał już tam jeden z wojowników, który podał jej pomocną dłoń. Zaraz po niej na platformę wszedł Richius i nie zwlekając, podszedł do barierki, by spojrzeć na okryte ciemnościami przedpole. Z góry mógł dostrzec płomyki lontów w zapalarkach ogniomyśli i nieco dalej obozowe ogniska. Z odległości dzielących poszczególne ogniska mógł osądzić, że u wejścia do doliny rozłożyło się obozem przynajmniej kilkanaście setek wojaków. Westchnął z troską, gdy podeszła do niego Dyana.

– O co chodzi? – spytała z niepokojem.

Richius wyciągnął rękę ku odległym ogniskom.

– Z tej odległości nie mam dość dobrego widoku, by wszystko ocenić jak należy, ale ruch jest znacznie większy, niż obserwowany przeze mnie z wieży. Te ogniska są oddalone tak, że mam prawo przypuszczać, że jest tam co najmniej dywizja.

– Ilu ludzi liczy sobie dywizja?

Richius odwrócił się i spojrzał na nią, wyrzucając sobie w duchu zgodę na jej przyjazd.

– Bardzo wielu – odpowiedział uczciwie.

– Nas też jest niemało – odpowiedziała Dyana, która nie straciła ducha.

I miała rację. W okopach i na pomostach było co najmniej tysiąc ludzi gotowych do obrony swojej doliny. Jedni mieli jikiety, inni tylko zastrzone łopaty. Obok siebie niczym niewzruszony biały mur, stali wojownicy i zwykli ludzie zdecydowani dać odpór najeźdźcom. I oczywiście bojowe wilki, których ponad setka wyla i darła ziemię pazurami, by jak najszybciej rzucić się wrogom do gardeł. Wszystko urządzono tak, jak sobie tego życzył, dokładnie i bez błędów, co sprawiło, że poczuł dumę. Przypomniawszy sobie to, co powiedział mu kiedyś ojciec, że bywają w życiu żołnierza chwile, kiedy wie, że postępuje słusznie, i wtedy nawet śmierć mu niestraszna.

– Myślę, że gdyby teraz widział mnie ojciec, byłby ze mnie dumny – stwierdził spokojnie.

Dyana skwitowała to uśmiechem.

– I ja jestem z ciebie dumna, Richiusie. Gdyby była tu Sabrina, i ona patrzyłaby na ciebie z dumą.

– Sabrina... – szepnął Richius. – Chciałbym zmienić jej los. Wszystko, co mogę zrobić, to wyrzucić za nią zemstę. – Spojrzał z powagą na Dyana. – On tam gdzieś jest, Dyano. Czuję to przez skórę. Gdzieś tam, przy jednym z tych ognisk, siedzi Gayle i czeka na mnie.

– Nie daj się ponieść emocjom – ostrzegła go Dyana. – Musisz zachować zimną krew. Jeżeli ten bydlak nawet tam jest, nie będzie mógł cię dostać.

„A czy ja zdołam dostać jego?” – spytał sam siebie w duchu Richius. Nie umiał się uwolnić od tej myśli. Odwrócił się, by spojrzeć na pole przyszłej bitwy, i zaczął się zastanawiać nad tym, jakie są szanse zatrzymania Gayle’a i Narenów. Ilu ich kryło się w mrokach nocy? Wszystko miały rozstrzygnąć liczby. Jeżeli jest tam tylko kilka brygad, może zwycięstwo zostanie przy Drolach. Jeżeli wrogów jest więcej, szansę na wygraną znacznie się zmniejszyła. A cała dywizja przełamie umocnienia – nie od razu, ale nie można było liczyć na inny wynik. Pod wpływem tej myśli Richius poczuł przeszywający go dreszcz. W tej dolinie żyli ludzie, których zdążył już poznać. I jego córeczka.

Dość nieoczekiwanie podszedł do niego Voris, który szerokim gestem wskazał linie obronne, potem coś powiedział i poczekał, aż Dyana wszystko przełoży.

– On chce wiedzieć, co o tym myślisz.

– Jego ludzie świetnie się spisali – przyznał Richius. – Jestem pod wrażeniem. Powinien o tym wiedzieć. Powiedz mu.

Dyana szybko przełożyła słowa Richiusa i twarz wodza rozjaśniła się dumą. Zaczął pokazywać Richiusowi szczegóły linii obronnych, równie jak on przejęty ich widokiem. Znajdowali się na wysokości przynajmniej stu stóp i mieli doskonały widok na całe pole.

– Stąd będziemy dowodzić bitwą – objaśnił Richius. – Dyano, upewnij się, że on rozumie, iż nie powinien wydawać rozkazów bez mojej wiedzy. Nie mamy zbyt wielu ludzi i musimy dbać o wszystko.

Voris chrząknął, niezbyt zadowolony, ale ograniczył swój protest tylko do tego dźwięku. Przekazał polecenie swojemu przybocznemu, a Jarra przesłał je ludziom na dole. Richius zobaczył jednak, że twarze obu mężczyzn okryły się chmurą. Mieli oto przejść pod komendę Szakala. Szybko zrozumiał, że powinien uważać, by nie postawić Vorisa w niezręcznej sytuacji.

Następną godzinę spędzili, przemierzając platformę tam i z powrotem. Spoglądali na księżyc i czekali na nadejście świtu. Obrońcy w okopach uciszyli się znacznie – jedni zasnęli, inni pograżyli się w niewesołych myślach. Wiatr unosił w dal woń potu i strachu, w odległości zaś mili migały ogniki zapalarek ogniomyśli. Noc była ciepła, wilgotna, i w pewnym momencie Richius, patrzący na wędrówkę księżyca przez chmury, poczuł, że powieki ciężą mu jak ołów. Aby się pozbyć senności, wydobył Jessicane i zaczął

ćwiczyć wypady i zastawy, jakby tocząc walkę z czarem doliny Dring.

W końcu usiadł i oparł plecy o jeden z potężnych pni wspierających pomost. Obok niego spokojnie spała Dyana. Naprzeciwko, pod drugim drzewem siedział Voris, splótszy potężne ramiona wokół kolan. Wódz mierzył Richiusa obojętnym spojrzeniem. Aramoorczyk zaryzykował uśmiech, co Drol skwitował skinieniem głowy, po czym zamknął oczy.

„To już postęp” – pomyślał Richius. Zamknął powieki. Nie bardzo chciało mu się spać, ale i nie potrafił zachować czujności.

Obudził się po kilku godzinach i pierwszą istotą, którą zobaczył, była stojąca obok Dyana.

– Richiusie... – stwierdziła nieco nerwowym głosem. – Właśnie miałam cię obudzić.

Przez chwilę mrugał z wysiłkiem, a potem przetarł oczy.

– Dlaczego? Co się dzieje?

– Świta – stwierdziła, wskazując dłonią na wschodnią połąć horyzontu.

Za jej plecami niebo rzeczywiście się rozjaśniało. Na zachodzie wciąż jeszcze panoszył się mrok, Richius jednak mógł już rozróżnić niewyraźne jeszcze zarysy poruszających się ludzi, koni i pojazdów. W dole, w okopach, stali uszeregowani razem wojownicy i kmiecie o ponurych, zdeterminowanych twarzach. Voris i Jarra stali przy barierce i mówili o czymś szybko i z niepokojem w głosach. Kiedy spostrzegli Richiusa, uciszyli się nagle.

– Widzisz cokolwiek? – spytała Dyana.

– Nie za wiele – Aramoorczyk potrząsnął głową. – Jeszcze nie.

Czekali, dopóki na wschodzie nie wyjrzało zza horyzontu słońce, które rozjaśniło wszystko swoimi promieniami. W końcu i na zachodzie zrobiło się widno. Wtedy Richius zobaczył zgrupowane siły nieprzyjaciół. Aby lepiej widzieć, przechylił się przez barierkę. Jak okiem sięgnąć, dostrzegał błyski na czarnosrebrnych pancerzach. W powietrze wzbijały się też nikłe smużki dymu. Richius wstrzymał oddech. Voris tknął go z tyłu palcem, ale Richius ostrzegawczo podniósł dłoń.

– Czekaj.

Wszystko zależało od stosunku sił, przypomniał sobie. Co też Arkus wysłał przeciwko nim? Dywizję? Może więcej? Na pomoście zapanowała cisza, jak przed ogłoszeniem wyroku. Zastłona mgieł rozwiewała się coraz szybciej i wyłoniły się z niej pierwsze greegany.

– Tam – szepnęła Dyana, wskazując pierwszego potwora. – Widzisz?

– Widzę – ponuro odpowiedział Richius.

Zaraz po pierwszej bestii z mgły wychynęła druga, potem trzecia... aż wreszcie

w polu widzenia pojawiło się mniej więcej pół setki rogatych stworów, z których każdy ciągnął ciężki opancerzony pojazd. Na szczycie każdego pojazdu tkwiły wąskie, długie i ruchome rury – niektóre wyrastające z krętych zaworów, inne zaopatrzone w osobliwie wyglądające miechy. Były to miotacze kwasu, które pod ciśnieniem sprężonego powietrza potrafiły rzygnąć zawartością zbiornika na odległość niemal tysiąca stóp. Za wozami szli szeregiem legionistów – piesi zbrojni w szable i najeżone kolcami maczugi. Wyłaniali się z mgły rozkołysanymi rzędami. Nowe rzędy wychylały się kolejno, aż Richiusowi się wydało, że nie będzie temu końca, a na horyzoncie majaczyły jeszcze sylwetki ciężkozbrojnych jeźdźców Talistanu, naciągających pod proporcem Gayle'ów. Na dole w okopach wszczął się pełen niepokoju ruch.

– Boże Wszzechmogący – wyszeptał Richius. Spojrzał na Vorisa. – Mamy kłopoty.

– Ilu ich jest? – spytała Dyana, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Za wielu – stwierdził krótko Richius. – Będziemy potrzebowali wsparcia.

– Wsparcia? A skąd go weźmiemy?

– Skądkolwiek. Potrzebny będzie każdy, kto może udźwignąć broń. Dyano, spójrz ilu ich jest! Nie utrzymamy linii przeciwko tym drabom. W najlepszym wypadku możemy stawiać opór do wieczora. Potrzebne nam posiłki. I to szybko.

Dyana przez chwilę patrzyła na Richiusa, jakby niepewna, czy dobrze zrozumiała.

– Richiusie, tu są wszyscy mężczyźni z Dring. W zamku zostali starcy, kobiety i dzieci.

– W takim razie trzeba ściągnąć ludzi spoza doliny. Może z Tatteraku, albo z Sheaze. Skądkolwiek! Ale musimy wysłać gońców już teraz, zanim tamci nie przejdą po nas, jak po trawie.

Pomiędzy nich wstąpił Voris, który słuchał wszystkiego z napięciem. Wódz spojrzał pytająco na Richiusa.

– Powiedz mu, Dyano – ponaglił Richius. – Nie mamy tu dość ludzi, by ich zatrzymać. Zresztą sam już pewnie się tego domyślił. Powiedz mu, że potrzebne nam jest wsparcie.

Dyana ostrożnie wyjaśniła wszystko Vorisowi i dumace, a potem umilkła, czekając na odpowiedź. Voris zamyślił się i przetarł dłonią ogoloną głowę. Potem zwrócił się do Jarry z jakimś pytaniem, wysłuchał odpowiedzi doradcy i potrząsnął głową.

– Voris twierdzi, że to niemożliwe. Jedyni wojownicy znajdujący się na tyle blisko, by zdążyć z pomocą, są w Tatteraku, a oni też zostali zaatakowani.

– Posłuchaj, Dyano. Idzie na nas główna grupa uderzeniowa armii Narenów. Skoro są tutaj, nie mogą jednocześnie nacierać na Tatterak. Nie wiem, ilu żołnierzy Arkusa ląduje na brzegach Tatteraku, ale dam głowę, że tamte oddziały to jedynie cień tego,



z czym mamy do czynienia tutaj.

– On tego nie robi. Nigdy nie poprosi Kronina o pomoc.

– Ale bez niej się nie obejdziemy. Dyano, do licha, powiedz mu, że nie czas na ich idiotyczne spory. Powiedz mu, że potrzebne nam jest wsparcie z Tatteraku, albo dolina padnie najdalej w ciągu tygodnia. Powtórz mu to, Dyana. Powtórz mu każde słowo.

Dyana spełniła polecenie Richiusa. Usłyszawszy jego żądanie, wódz skrzyżował ramiona na piersiach i znów potrząsnął głową. Dyana przez chwilę słuchała uważnie, ale gdy zaczęła przekładać, Richius przerwał jej w pół słowa.

– Dość. Nie chcę już słuchać jego wymówek – Skrzywił się na Vorisa, stanął przed nim i powiedział z naciskiem: – Wodzu, w imieniu Tharna rozkazuję ci natychmiast wysłać gońca do Tatteraku. Potrzebujemy pomocy i nic mnie nie obchodzi, kto jej nam udzieli. Mam bronić waszej doliny. Nie prosiłem o to, ale los zdecydował inaczej. Zechciej więc zrozumieć, że jeżeli natychmiast mnie nie posłuchasz, postąpisz wbrew woli Tharna i wszystko, co się zdarzy, spadnie na twoją łysą głowę!

Voris przez chwilę stał jak ogłuszony. Zażądał od Dyany tłumaczenia, a gdy je usłyszał, gwałtownie poczerwieniał na twarzy. I w tej chwili odezwał się stojący u jego boku Jarra, który zaczął coś mówić spokojnym, łagodnym głosem. Przez chwilę dyskutowali, potem Voris chrząknął gniewnie i podszedł na krawędź pomostu.

– *Ki easay* – mruknął niechętnie.

Dyana westchnęła z ulgą.

– Zrobi to, co chciałeś, Richiusie. Dumaka zgodził się z twoją oceną sytuacji.

– Dzięki Bogu – rzekł Richius. – I tobie, Jarro – dodał, zwracając się do dumaki.

Jarra skłonił się bez słowa, ale nie wyglądał na usatysfakcjonowanego zwycięstwem. Wezwał jednego z obecnych na pomoście wojowników i wydał mu rozkaz natychmiastowego wyruszenia do Tatteraku. Wojownik wysłuchał bez sprzeciwu, po czym zaczął schodzić po linowej drabince. Jarra podszedł do barierki i stanął obok pochmurnego wodza.

– W ogóle go nie rozumiem – stwierdził Richius. – Nie obejdziemy się bez pomocy. Czy on tego nie widzi?

– Widzi – odpowiedziała Dyana spokojnie. – Ale to, o co go poprosiłeś, oznacza dla niego wielką hańbę. A teraz chodźmy. Musisz się rozejrzeć.

Stanąwszy obok wodza, popatrzyli na przedpole. Greegany były jeszcze zbyt daleko, by je dokładnie policzyć, ale łatwo było ocenić, że jest ich przynajmniej pół setki. Oni zaś mieli tylko niewiele ponad sto wilków, których zadaniem było zatrzymać rogate bestie. Jeżeli się uda, będzie to wyczyn godny pieśni. Liczył, że aby mieć nadzieję na sukces, przynajmniej trzy wilki muszą się zająć jednym greeganem, stworem

porównywanym do góry przez nareńskich poetów. Opancerzone kostnymi płytami, greegany były niemal zupełnie nie wrażliwe na strzały z łuków. Jedynie potężne szczęki wilków mogły się przedrzeć przez ich skórę.

Na dole, przed okopem, wilki wyczuły już łup i zawyły dziko, szarpiąc swoje łańcuchy. Zwierzęta potrafiły przemknąć pod linami zwalniającymi pułapki na polu, greegany zaś, zbyt powolne na uniki, musiały sprawić się i z jednym i z drugim zagrożeniem. Piesi legioniści też. Richius był zresztą pewien, że nigdy przedtem żaden z nich nie słyszał nawet o takim wrogu, jak bojowe wilki. Poczł swego rodzaju przewrotną satysfakcję. Przynajmniej raz był po właściwej stronie tych strasznych kłów.

– Kiedy wozy wejdą w zasięg strzału, spuścimy wilki – powiedział Vorisowi. – Wydaj rozkaz łucznikom na pomostach, niech się przygotowują. Jak się zbliżą, trzeba będzie wypuścić kilka razy strzały.

Dyana przetłumaczyła i Voris natychmiast wydał rozkazy setkom łuczników ukrytych na pomostach i kładkach pomiędzy konarami drzew. Sam zresztą też podniósł leżący na deskach pomostu łuk i podał go Richiusowi, który podziękował uśmiechem. Obaj wybrali po strzale z kołczanu, których wiele leżało dookoła i osadzili je na cięciwach. Richius napiął lekko cięciwę, by sprawdzić siłę naciągu.

– Puszcząć, kiedy dam sygnał – powiedział.

Twarz Vorisa rozjaśnił niespodziewany uśmiech.

– *Kirh ata Narr* – powiedział.

Richius spojrzał na Dyane.

– Co to znaczy?

– Powinieneś już wiedzieć – odparła Dyana. – Powiedział: „Śmierć Narenom”.

Richius skinął głową ze śmiertelną powagą.

– Dokładnie: *Kirh ata Narr*.

Długo czekali, aż greegany podciągną wozy bliżej, ale wreszcie można było wyraźnie rozróżnić oręż umieszczony na ich dachach. Większość miała ogniomioty, ale około dziesięciu wyposażono w miotacze kwasu. Te ostatnie były najgroźniejsze. Wszystkim ludziom w okopach dano tarcze i pouczono ich, że kiedy usłyszą osobliwy świst powietrza opuszczającego razem z kwasem zbiornik kwasomiotu, powinni natychmiast skryć się za tarczę, albo inny przedmiot na tyle duży, który by ich ochronił. Richius przypomniał sobie, jak Edgard opowiadał mu, że przy strzale z kwasomiotu słyhać było tępe łupnięcie. Aramoorczyk miał nadzieję, że usłyszawszy to łupnięcie i świst ludzie będą mieli dość czasu, by się skryć za osłonami.

– Gotuj się! – ostrzegł Richius.

Greegany były już prawie w zasięgu. Lufy kwasomiotów i ogniomiotów zaczęły

unosić się w górę. Siedzący na drzewach i w okopach Triinowie z Dring zebrali się w sobie, by stawić czoło niesamowitym, toczącym się ku nim, siejącym śmierć machinom – jak zwykle twardzi i nieustępliwi, co Richius podziwiał u nich i wcześniej. W oddali trzepotał na wietrze sztandar Gayle'a, a jego dumni jeźdźcy unieśli nad głowami lśniące w świetle poranka szable. Obleczeni w czarne pancerze piesi sięgnęły po miecze i maczugi i w równych szeregach ruszyli za greeganami.

Gdy Narenie doszli na odległość strzału, Richius uniósł łuk.

– Gotów? – zawołał do Vorisa. – Zaczekajcie na moją komendę!

Wódz przekazał rozkaz wzdłuż linii i wśród drzew rozległ się jęk setek jednocześnie naciąganych cięciw. Z wylotów luf nad bojowymi wozami uniosły się smużki dymu, a greegany opuściły swe rogate łby, szykując się do szarży. Richius zmrużył jedno oko i przymierzył się do najbliższego wozu. Wiedział, że w jego środku spocony ogniomistrz wybiera moment ataku. Było to jak wybieranie momentu śmierci.

– Gotuj się...

Lufa ogniomiotu z dachu wozu przesunęła się w stronę okopu. Richius wstrzymał oddech. Najpierw strzał, potem szarża – tak przynajmniej zrobiłby on sam na miejscu Narena. Teraz trzeba spuścić ze smyczy wilki.

– *Yulans!* – zawołał.

Tuż za okopem wilczarze wyszarpnęli sworznie z kołnierzy swoich podopiecznych, posyłając wilki naprzód, niczym sto palców jednej dłoni.

– W cel!

Każdy łucznik puścił świszczącą strzałę w powietrze, ponad głowami atakujących wilków, prosto w ciżbę pieszych. Legioniści przystanęli, każdy opadł na jedno kolano i uniósł nad głowę tarczę, chroniąc się przed ulewą strzał. Wilki gnały przed siebie, przemykając bez wysiłku pod rozciągniętymi nad ziemią linkami. Wyjąc, trójkami spadły na greegany. Wewnątrz pierwszego, okutego żelazem wozu, ogniomistrz nacisnął spust. Rozległo się gulgotanie, potem syk i nad polem walki śmignęła struga płynnego ognia. Tkwiący w okopach, obrońcy błyskawicznie skryli się za dziesięciostopowymi drewnianymi, obciążniętymi skórą ściankami osłonowymi. Tymczasem piechurów smagnał deszcz grotów. Naprzeciwko strzałom sunęła struga płomienia, uderzając o drewnianą osłonę. U podstawy ścianki wykwitł rudy kwiat wybuchu, który osmalił i zniszczył skóry, napełniając powietrze nieznośnym smrodem.

Oslona jednak wytrzymała.

Richius skwitował to radosnym rykiem, na który odpowiedziały pełne entuzjazmu wrzaski obrońców. Ci, którzy skryli się za tą osłoną, zachowali jednak dość rozsądku, by się nie wychylać, gdyż ogniomiot mógł lada moment powtórzyć strzał.

Piesi tymczasem wstali – co prawda w mniejszej nieco liczbie, ale wciąż było ich zbyt wielu. Richius polecił skrócić odległość i obniżyć łuki. Trzeba było zobaczyć, jak sprawiły się wilki. Bestie uwijały się już po całym polu, rzucając się na ogromne greegany. Podniósł się okropny ryk i wycie, gdy rogate bestie, usiłując ruszyć do natarcia, zostały zatrzymane przez liny pułapek i kłapiące złowrogo kły. Wilki wczepiały się bezlitośnie w grube nogi greeganów, rozdzierając szarą skórę tam, gdzie była najcieńsza. Zaatakowane bestie wierzgały rozpaczliwie i uderzały rogami, nadziejąc nawet na nie kilka wilków, większość jednak była dla nich nieuchwytna. Gdzieś z głębi rozległ się zew kawaleryjskiej trąbki i do ataku przystąpiła piechota.

Nagle rozległ się ostry trzask i powietrze zabarwiło się czerwienią. Richius okrzykiem wezwał swoich, by poszukali ukrycia. Uniósł własną tarczę w samą porę, bo w następnej sekundzie tuż obok błysnęła struga ognia, ogarniając kilka gałęzi. Aramoorczyk chwycił Dyanę, powalił ją na deski pomostu i przykrył własnym ciałem w tej samej chwili, kiedy nad ich głowami śmignął ognisty jęzor. Ale ogniomistrze nie mogli starannie mierzyć, bo wilki akurat zaczęły się wdzierać na karki greeganów, zatapiając kły w warstwach okrywających je mięśni. Jeden greegan zwał się na ziemię, zaraz potem upadł drugi i Richius zobaczył z góry piechurów, którzy rzucili się na pomoc załogom wozów bojowych, niemal całkowicie unieruchomionych w labiryncie lin na przedpolu. Zanim zwierzęta zdążyły się zorientować w sytuacji, kilka wilków zostało zmiecionych na ziemię potężnymi uderzeniami maczug. Wilki jednak błyskawicznie pojęły, że na polu bitwy zjawili się nowi wrogowie i z zapalem rzuciły się na piechurów. Zwalały ich na plecy i zajadle wczepiały się kłami w ich hełmy.

Richius wstał i pomógł Dyanie dźwignąć się na nogi. Nieopodal wychylali się za barierkę Voris i Jarra. Obaj wykrzykiwali rozkazy, ignorując deszcz spadających iskier. W koronach drzew zaszumiało – Triinowie znów osadzali strzały na majdanach łuków. Richius uniósł swój łuk i dał rozkaz do kolejnej salwy. Strzały leciały łukiem ponad głowami wilków i greeganów ku piechocie, która teraz wdzierała się już na przedpole. Żołnierze, jak poprzednio greegany, też utknęli w płataninie lin. Wszędzie słychać było syk strzał i straszliwe, nieludzkie wrzaski.

I nagle na pomoście usłyszano inny dźwięk. Richius nachylił głowę, by lepiej go słyszeć. Do akcji wkroczyły kwasomioty, których miechy pęczniały na krótko, a potem flaczały, czemu towarzyszył charakterystyczny dźwięk. Ku obrońcom leciał metalowy pojemnik, który obracał się dookoła własnej osi i świszcząc, polewał wszystko drobnym, żółtawym deszczem. Richius podniósł tarczę nad głowę i ryknął między drzewa:

– Kryć się!

– *Basa!* – powtórzył Voris, który natychmiast pojął o co chodzi. – *Basa!*

W następnym ułamku sekundy wszyscy chowali się za swoje tarcze. Pojemnik nad ich głowami eksplodował nagle i z nieba lunął przeraźliwe syczący kwaśny deszcz.

– Wstrzymaj oddech! – rozkazał Richius Dyanie. – Nie waż się nawet westchnąć, dopóki ci nie powiem!

Inni jednak nie zrozumieli ostrzeżenia. Pomosty i kładki zachwiały się nagle, gdy kilkunastu obrońców padło na kolana i chwyciło się za krtanie, kaszląc i plując śliną zmieszaną z krwią. Richius poczuł, że łydkę liznął mu ogień i z najwyższym trudem zdusił w sobie przekleństwo. Spojrzawszy w dół, zobaczył, że żółta kropla płynu przeżarła skórę buta i wgryza mu się już w mięśnie. Wokół niego dymiły deski pomostu. Dyana leżała w absolutnym bezruchu, zbyt przerażona, by choćby drgnąć czy odetchnąć. Z niektórych pomostów spadali w dół obrońcy, którzy krzycząc i szarpiąc poparzone gardła, znajdowali szybkie ukojenie w zderzeniu z ziemią.

W końcu żółty deszcz ustał. Richius zerwał się na nogi i spojrzał na Dyanę.

– Nic ci nie jest? – spytał resztką tchu.

– Nic – odpowiedziała wstrząśnięta.

Naprzeciwko nich, po drugiej stronie pomostu podnosili się Voris i Jarra. Wódz podbiegł do Dyany, która gestem pokazała, że nic jej nie jest. I nagle Voris z tą samą troską w oczach spojrzał na Richiusa. Aramoorczyk potrząsnął głową.

– To drobiazg – powiedział. – Ucięło mnie tylko w nogę.

Sprawa bynajmniej nie należała do drobnych, ale brak było czasu na opatrzenie rany. Kwas przestał już wdzierać się głębiej i teraz Richius cierpiał jedynie z powodu bólu. Nie zwracając uwagi na obrażenia, Richius podszedł do barierki. Na przedpolu wilki wciąż jeszcze napastowały greegany. Kilkanaście ogromnych bestii wpadło do wykopanych w ziemi jam, pociągając za sobą wozy. Na całym polu nareńscy żołnierze zajadłe rąbali liny w rozpaczliwej nadziei, że dopadną barykady, zanim sami nie zginą od wilczych kłów lub długiej triińskiej strzały. Najbardziej pechowi dostali się w strugi płomieni ogniomiotów, które nieustannie ostrzeliwały palisadę i pomosty na drzewach. Ogniste kule odbijały się od tarcz i staczały się ponownie na przedpole, rażąc ludzi i zwierzęta. Zamęt zwiększały groty triińskich łuczników, którzy szyli z koron drzew z nadludzką wprost szybkością i celnością.

Wszystko to nie zmieniało faktu, że nieustępliwie napierający Narenie zbliżali się coraz bardziej do przedpiersia okopów. Cięte zwawo liny padały na ziemię, a i wilków było coraz mniej. Richius przetaił oczy, usiłując dojrzeć coś przez zasnuwające pole dymy. Zostało może ze dwadzieścia wilków, a Narenie nadciągali w coraz liczniejszych grupach. W palisadę właśnie uderzyła kolejna ognista kula, a gdzieś nieopodal słyszał miarowe łupanie kwasomiotów. Zaraz potem w niebo wzbily się trzy kolejne pojemniki

z kwasem, skraplając płynną trucizną okopy i pomosty na drzewach. Deszcz mknących ku Narenom strzał natychmiast ustał, Triinowie bowiem rzucili się za osłony, wstrzymując oddechy. Tu i ówdzie rozległ się rozpaczliwy kaszel, gdy ludzie zaczęli rzygać krwią. Nad głową obrońców syczały przeżerane kwasem liście. Richius poczuł, że pieką go oczy i podniósł dłonie do twarzy, by ją choć trochę osłonić. Usłyszał wściekły ryk Vorisa i rozchyliwszy lekko powieki, zobaczył, że wódz jak szalony szyje z łuku, wstrzymując oddech.

– Vorisie, padnij! – wrzasnął Richius, ryzykując, że się zachłyśnie kwasem. Poczul na języku smak kwaśnych wyziewów. I wtedy zobaczył lecący prosto na ich pomost kolejny pojemnik.

Poderwawszy się na nogi, skoczył do wodza i powalił go na pomost, uderzając barkiem. Upadli w tej samej chwili, kiedy pojemnik rozbił się o deski. Rozległ się syk i łoskot wybuchu. Dyana zawołała rozpaczliwie, ale Richius przyciskał do desek Vorisa. I nagle poczuł okropny ból w plecach, gdy tysiące ognistych igieł przedarło się przez jego koszulę i wbiło mu się w plecy.

Wrzasnął rozpaczliwie i odczołgał się na przeciwległą stronę pomostu. Ból był nie do zniesienia. Poczul, że ktoś zdiera z niego koszulę. Otworzył oczy i zobaczył pochylone nad sobą ogromne barki Vorisa, który zdierał jego ubranie, przetaczając go z boku na bok. Na przeciwległej stronie pomostu Dyana przepychała się z Jarra, który nie pozwalał jej podbiec do niego. A pośrodku chaosu kwas z sykiem przeżerał deski, niczym gromada wściekłych termitów.

– Richiusie! – wołała Dyana, szarpiąc się w silnym uchwycie rąk Jarry.

Voris odwrócił się, warknął coś do dziewczyny, po czym szybkim ruchem i bez trudu zarzucił sobie Richiusa na ramię. Richius doznał wrażenia, że wokół niego cały świat wywraca się do góry nogami. Zobaczył, że ich platformę bierze na cel kolejny ogniomiot. Voris przymierzył się do skoku na przeciwległy brzeg platformy, która boleśnie jęczała. Jarra pchał Dyanę ku drabince. Ogniomiot rzygnął płomieniem i w tej samej chwili Voris skoczył.

Wylądował na drugiej stronie, ale nadwątlone deski nie wytrzymały podwójnego ciężaru i pękły z trzaskiem, więząc jedną stopę wodza. Richius spadł z pleców Vorisa, ale błyskawicznie przetoczył się na brzuch i wstał. Równie szybko się odwrócił i, mimo okropnego bólu w plecach, podał dłoń Vorisowi, pomagając mu wyrwać się z pułapki. Za ich plecami Jarra błagał Dyanę, by zeszła na dół.

– Ruszaj! – krzyknął jej Richius. – Pójdziemy za tobą!

Dyana posłusznie śmignęła w dół, a tuż za nią zjechał Jarra. Następny był Richius. Niełatwo mu było przemóc ból, ale z pomocą Vorisa zdołał jakoś wejść na drabinkę.

Kiedy dotarł do połowy jej długości, ruszył i Voris – i tak kolejno wszyscy zdołali jakoś dotrzeć do ziemi. Zaraz potem pomost runął z trzaskiem na ziemię.

Richius ukląkł i, ogarnięty bólem, zgiął się w pół, nie zwracając uwagi na opadające wokół nadpalone deski pomostu. Podbiegła Dyana, która natychmiast zaczęła badać jego plecy.

– Jak to wygląda? – spytał przez zaciśnięte zęby.

Dyana milczała przez dłuższą chwilę. Aramoorczyk widział odbicie jej troski w oczach Vorisa.

– Richiusie, musimy cię natychmiast zabrać do zamku – powiedziała ostrożnie. – Twoje plecy są w złym stanie.

– Dyano, nie mogę odejść. Nie teraz. Ale chcę, żebyś ty się wycofała. Niech jeden z wojowników odprowadzi cię w bezpieczne miejsce, zanim puszczą tarcze.

– Nigdzie nie pójde bez ciebie – stwierdziła. – A i ty nie masz już tu nic do roboty. Trzeba opatrzyć ci plecy.

– Nie, jestem potrzebny tutaj! – zachnął się Richius, przeszukując wzrokiem najbliższe drzewa, by znaleźć nowe stanowisko dowodzenia. – Muszę widzieć, co się tu będzie działo.

Voris powiedział coś ochryłym głosem, machając jednocześnie ręką, jakby chciał go przegonić.

– On też mówi, że powinieneś się wycofać, Richiusie – przetłumaczyła Dyana. – Jesteś ranny. Musisz się stąd wynieść.

– Nie. Musimy jakoś zatrzymać te kwasomioty. Jeżeli tego nie zrobimy, nie utrzymamy okopów. Muszę zejść do rowu.

Był już w połowie drogi, gdy Dyana chwyciła go za ramię.

– Richiusie, wysłuchaj mnie, proszę. To koniec. Okop jest stracony. Nic już nie zdołasz zdziałać. Musimy się cofnąć w głąb lasu i walczyć spomiędzy drzew, tak jak to zaplanowałeś.

Voris jednak zsuwał się do okopu, a Jarra poszedł w jego ślady. Richiusowi nie pozostało nic innego, jak udać się za nimi.

– Dyano – powiedział – wracaj do zamku. Przyłączę się do was, gdy tylko będę mógł.

– Richiusie, obiecałeś. Tu już nic nie można zrobić. Zostaniesz zabity jak pozostali.

– Dyano, nie mogę się wycofać. Nie mogę. Oni mi zaufali. Jestem im potrzebny. Proszę. Wróć do zamku i czekaj na mnie. Niech pojedzie z tobą któryś z wojowników. Muszę znaleźć jakiś sposób na zatrzymanie tych kwasomiotów.

– A jak nic nie wymyślisz?

– To oddamy okopy i spotkam się z tobą w zamku. A teraz już jedź, Dyano. Nie zwlekaj.

Wydało mu się, że od jego ostatnich słów mijają wieki, aż wreszcie dziewczyna ustąpiła i niespodziewanie pocałowała go w policzek.

– Uważaj na siebie – powiedziała.

Delikatnie uwolnił jej rękę.

– Będę uważał.

Gdy patrzył, jak odchodzi, usłyszał za sobą jakąś wrzawę. To obrońcy okopów wykrzykiwali ku Narenom obelgi, zagrzewając ich do ataku. Richius, wracając do okopu, powoli wysunął Jessicane z pochwy. Gdzieś przed nim rzygnął płomieniami ogniomiot. Richius ujrzał ogień, dym i poczuł woń palonego ciała.

Voris pomógł mu zsunąć się do okopu. Przed nimi zadrżała uderzona ognistą kulą drewniana osłona. Wódz zbył to pogardliwym milczeniem.

– *Nobata acana toss, Kalak* – powiedział dumnie.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – stwierdził Richius – ale jeżeli chcesz, bym się bił u twego boku, to chętnie ci pomogę.

Voris parsknął śmiechem.

– *Kalak es Cha Yulan* – oznajmił wskazując palcem ich obu. Potem roześmiał się jeszcze raz. – *Kalak es Cha Yulan!*

Richius zrozumiał i też się uśmiechnął.

– Szakal i Wilk! – wykrzyknął. – Owszem, rozumiem.

Nigdy wcześniej Wilk z Dring nie uśmiechnął się do Richiusa. Nie był to złośliwy, groźny uśmiech, ale prawdziwy i pełen ciepła. Razem wspięli się na jedną z wąskich desek łączących belki palisady od wewnętrznej strony i tworzących tam coś w rodzaju pomostu, a potem spojrzeli na przedpole. Richius czuł, że boli go każdy mięsień, zignorował to jednak i trzymając miecz w dłoniach, patrzył, jak płomienie z sykiem uderzają w tarcze. Naprzeciwko ich stanowiska parła ku nim piechota, która uporała się już z wilkami, a choć z całego oddziału wozów bojowych zostało tylko kilka, daleko za nimi widać było szykujących się do szarży jeźdźców Talistanu, straszących świat swoimi lśniącymi w słońcu groteskowymi maskami.

Voris okrzykami ponaglał swoich łuczników, którzy wciąż ostrzeliwali wrogów – piechota była już blisko i groty Triinów bez trudu przebijały skórzane pancerze. A jednak żołnierze parli przed siebie, fala za falą, z dzikim wrzaskiem wywijając orężem. Nieco dalej wciąż jeszcze działały dwa kwasomioty, posyłając swe pojemniki śmierci pomiędzy drzewa, z koron których nieustępliwi łucznicy razili napastników.

Richius wiedział, że mimo ich ogromnego wysiłku wkrótce będzie po wszystkim.



Bez wilków nie mieli sposobu na zatrzymanie pancernych wozów, a tarcze, które wiele już wytrzymały, zaczynały powoli ustępować pod naporem ognistych ciosów. Wkrótce padną, pozbawiając obrońców osłony. Co prawda, z okopów mogli skutecznie opierać się piechocie choćby i miesiąc, ale ogniomioty i pojemniki z kwasem szybko położą kres bohaterskiej obronie. Richius gorączkowo szukał jakiegoś pomysłu: muszą za wszelką ceną zatrzymać gregany, które powoli, ale nieustępliwie, ciągnęły ku nim wozy. Strzałami z pewnością nie dał się tego dokonać – większość potworów i tak wyglądała już jak poduszki na szpilki. Trzeba było wymyślić coś innego, a nic mu nie przychodziło do głowy.

– Przekleństwo! – splunął z goryczą. – To już koniec.

Voris go chyba zrozumiał. Zawołał coś przez ramię do Jarry, który natychmiast przekazał innym rozkaz odwrotu. Wojownicy zaczęli opuszczać okop, a ich towarzysze spomiędzy drzew, osłaniając ich ucieczkę, obsypali strzałami najbliższych legionistów, którzy byli już tylko kilka kroków od zapory z zastrzonych palików. Jarra skierował ludzi do wąskiego rowu, który wiódł w głąb lasu. Cofający się Triinowie odkładali łuki i sięgali po jiiktary. Przyszedł czas na walkę pomiędzy drzewami i w lesie.

– No chodź, Vorisie – ponaglił wodza Richius. – Czas stąd uciekać.

Voris potrząsnął przecząco głową i skinieniem dłoni wskazał swoich ludzi. Najwyraźniej miał zamiar wycofać się na końcu. Tarcze przedpiersia zaczęły wyginać się do środka, bo napór na nie był coraz silniejszy. Zaraz potem w najbliższej ukazała się szczelina, przez którą buchnęły płomienie. Potem puściła następna, ogarnięta ogniem. Równomierny łoskot miechów kwasomiotów był coraz głośniejszy. Richius zerknął na pole, osłaniając oczy przed płomieniami kerosyny. Przez barykadę przedzierali się już pierwsi żołnierze wroga, ostrożnie wybierając drogę wśród palików, nieustannie nękani deszczem strzał, które ślali łucznicy spomiędzy drzew. Całe przedpole zalegały trupy wrogów, najeżone strzałami i okropnie poszarpane wilczymi kłami. Ranne gregany zawodziły ponuro, ale nieustępliwie parły naprzód poprzez płataninę lin na pogryzionych przez wilki nogach. Wilki, wszystkie co do jednego, leżały bezwładnie na przedpolu. Był to obraz rzezi, jakiej świat jeszcze nie widział. Richius zebrał się już do odwrotu, kiedy zobaczył pośród dymów i mgieł złotozielony sztandar Talistanu.

Pod sztandarem rozpiął się na swoim czarnym wierzchowcu Gayle z Czarnej Kniei. Z jednej strony miał obok siebie swego chorążego, z drugiej człowieka w kapeluszu z pióropuszem. Gayle'a nie sposób było pomylić z kimś innym – wyróżniała go jego srebrna maska i długie włosy, związane nad karkiem w koński ogon. Za nim czekali jeźdźcy i piesi. Baron spokojnie mierzył wzrokiem pole, czekając z wydaniem rozkazu do szarży na chwilę, w której padną zapory. Mimo sporej dzielącej ich odległości Richius

widział arogancki uśmieszek, przecinający okaleczoną twarz Talistańczyka.

– Gayle – szepnął sam do siebie, wspinając się ponownie na wąski pomost.

Poruszał się jak we śnie. Obok niego strzeliły płomienie, on jednak prawie nie zwrócił na to uwagi; przepelniająca go nienawiść kazała mu zapomnieć o bólu spalonej skóry. Voris wrzeszczał coś w dole, najwyraźniej wzywając go do odwrotu, on jednak zignorował rozkazy wodza. Niczym ruszający do walki z nagą piersią barbarzyńca uniósł nad głowę Jessicane i wydał dziki okrzyk wyzwania.

– Gayle, sukinsynu! Chodź, jestem tutaj!

Niżej, przez zapory, brnęli ku niemu legionieści. Nad jego głową zawył pojemnik kwasomiotu, skrapiając wszystko trucizną. Richius zrobił unik. Za nim na dole ryczał coś gniewnie Voris.

– To ja! – ponownie zagrzemiał. – Kalak!

Gayle przechylił głowę. Srebrna maska odwróciła się w stronę okopu. Richius podniósł Jessicane jeszcze wyżej.

– Kalak! – powtórzył okrzyk. – Spójrz tu, sukinsynu! To ja!

Gayle zachnął się nagle. Wyprostował się w siodle i gwałtownie podniósł pięść, potrząsając nią w geście wyzwania.

– Tak jest! – wołał Richius dzikim głosem. – Rad jestem, że mnie widzisz! – Machnął wyzywająco mieczem, nieustannie powtarzając miano, jakie nadali mu Triinowie.

Gayle szarpnął cugle i ruszył do ataku. Richius wydał zwycięski ryk.

Nie myśląc o tym, co robi, wyczołgał się na przedpole, lądując pomiędzy barykadą a okopem. Gayle na swoim rumaku parł przed siebie z niewiarygodną szybkością. Richius chwiejnie wstał na nogi. W odległości dziesięciu kroków od siebie zobaczył wściekle wykrzywione twarze legionistów, którzy rąbiąc zaciekle paliki usiłowali dostać się do miejsca, gdzie stał. Któryś z ogniomiotów wypalił nisko nad ziemią i jednym strzałem zniszczył tarczę nad Richiusem. Ogarnięty bojową furią Aramooreczyk uniósł miecz i zaklął.

– No chodź, ty podły rzeźniku!

– *Kalak!* – rozległ się nagły okrzyk gdzieś za nim.

Richius odwrócił się i ujrzał pnącego się ku niemu Vorisa. Dotarłszy do niego, wódz wyciągnął obie ręce i ujął go za ramię.

– Nie! – warknął Richius, wrywając się zaciekle. – Zostaw mnie! To Gayle!

Voris ryknął gniewnie i bez trudu wydarł Richiusowi miecz z dłoni. Gdy Richius spróbował odzyskać oręż, Voris po prostu dał mu w pysk. Cały świat nagle się rozmazał, wódz zaś objął Aramooreczyka jednym ramieniem i odciągnął go w tył. Ból, jaki odczuł

przy tym Richius, był nieznośny.

– Nie – jęknął błagalnie. – Niczego nie rozumiesz. To Gayle.

W gęstym dymie zamajaczył mu jeszcze obraz Gayle'a atakującego barykadę. Żołnierze zdążyli się przedrzeć sekundę wcześniej. Usłyszał dzikie wrzaski. I nagle znów znalazł się w okopie, ciągnięty przez Vorisa. Wódz gromkim okrzykiem wzywał pomocy. Richius słyszał jego ciężki oddech. Po chwili porwało go kilka rąk i ściągnęło w dół.

– Nie – jęknął ponownie. – Co wy robicie...

I wtedy skóra na plecach pękła mu nagle, poczuł ogarniający go płomień bólu, i w mgnieniu oka cały świat powlókł się czernią. Przez chwilę jeszcze słyszał wściekłe przekleństwa Vorisa, a potem wszystko odpłynęło w dal.

## Trzydzieści dziewięć

O tym, że zbliżają się do Chandakkaru, powiedział Tharnowi widok znikających w zasnuwającej horyzont mgiełce ponurych gór Tatteraku i rozciągających się przed nimi coraz bardziej spłowiiałych stepów.

Podróż okazała się nużąca, monotonna, niemal pozbawiła go sił i rad był, że ma się ku końcowi. Wyczuwał to węchem. Jak myśliwy, rozpoznawał zmiany w zapachu powietrza. Chandakkar nie był posępny i surowy jak Tatterak, ani żyzny i kipiący życiem jak Dring. Nie był gorący jak Ogniste Stepy, ani zimny jak góra Ishia. Był po prostu Chandakkarem, ziemią niezależnego i upartego Karlaza. W porastających tę ziemię trawach Tharn nie znajdował niczego znajomego, co mogłoby przynieść ulgę w jego cierpieniach. Przez dwa dni jechali przez teren, który równomiernie się obniżał. Trafili do doliny porośniętej wysokimi, podobnymi do trzcin żółtawymi trawami, kołyszącymi się na wietrze. Wszyscy jego towarzysze, nie wiadomo dlaczego, popadli w kontemplacyjne milczenie.

Łyknął odrobinę wody z bukłaka i usiadł wygodniej. Podróżował w prostym powozie, a ponieważ nie potrafił sam powozić, zawsze jechał z tyłu, a mędrcy zmieniali się na koźle. Dzień był ciepły, w powietrzu wisiała wilgoć, Tharna zaś piekielnie piekły czyraki. Jak do tej pory znajdowali wodę w dostatecznej ilości, starali się jednak ją oszczędzać. Nie mając map, nie bardzo wiedzieli, co wyłoni się zza linii horyzontu i jechali, zdając się na szczęście. Być może przed nimi była pustynia, co oznaczało brak wody. Tharn więc łyknął tylko odrobinę, potem starannie zakorkował bukłak i wsunął go pod siedzenie, gdzie było chłodniej. Pojazd miał płócienny daszek, który chronił pasażera przed promieniami słońca, Tharn jednak nie lubił zamykać się bez konieczności. Chciał dokładnie zobaczyć Chandakkar i doświadczyć go własnymi zmysłami – jak Nar.

Tak się zresztą składało, że obserwacja otoczenia była wszystkim, co mogli robić podróżni. Tharn zabrał ze sobą trzech młodych ludzi, pełnych młodzieńczego zapału i wszystkich oddanych sprawie Drolów. Byli jednak w takim samym stopniu oddani Tharnowi i wiedzieli, że ich mistrz woli milczenie. Rozmawiali więc rzadko i pozwalali swemu przywódcy rozmyślać w powozie.

Tharn zresztą rad był milczeniu i otaczającej ich ciszy. Nareszcie był nikim i nie musiał się troszczyć o wojnę, ani Falindar. Dzień łatwo przekształcał się w noc i wydawało mu się, że jego udręce nadszedł kres a Nar było tylko nocnym koszmarem. Niewiele myśli poświęcał swojej misji, co zaskoczyło i jego samego. Karlaz im pomoże, albo nie. Logika tego rozumowania ułatwiała wszystko. Czuł się bezsilny, zdany na łaskę

losu i prostota tej sytuacji była wprost cudowna. Napawał się czymś, czego mu odmawiano od chłopięcych czasów – spokojem i ciszą.

Niepokoili go tylko wspomnienia o Dyanie. Tęsknił za nią bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Część jego jaźni pragnęła powrotu nocy, którą z nią spędził. Wszystko, co przeżył, było tak delikatne, ulotne... Był pewien, że nawet w raju mężczyzna nie mógłby doznać większej rozkoszy. Nie zważając na jego szkaradny wygląd, potraktowała go jak mężczyznę i na wspomnienie jej dotyku wciąż ogarniały go płomienie. Rozstanie się z nią niemal złamało mu serce.

I oczywiście był jeszcze Richius.

Na jego widok oczy Dyany się rozjaśniały, o czym Tharn nie umiał zapomnieć. Kiedy nosiła pod sercem Shani, płakała z tęsknoty za ojcem istotki, która rozwijała się w jej łonie. Myślał, że jej to przejdzie, a jej udrękę przypisywał naturalnej tęsknocie kobiety za mężczyzną, z którym poczęła dziecko. Miał nadzieję, że w swoim czasie Dyana o nim zapomni i w nim, Tharnie, zacznie widzieć ojca swego dziecka. I oto Richius pojawił się w Lucel-Lorze. Nie było sposobu na ugaszenie ognia, jaki ponownie rozgorzał pomiędzy nimi. Myśląc o tym wszystkim, Tharn zaszył się głębiej w powozie. Wiedział, że tylko litość sprawiła, iż Dyana owej nocy wzięła go do swego łóża. Odślonił swe ciało na promienie słońca i spojrzał z nienawiścią na deformacje i zniekształcenia poczynione przez chorobę. Richius wyglądał zupełnie inaczej. Był wcieleniem doskonałości – poza tym że należał do narodu Narenów – co jednak Dyanie zupełnie nie przeszkadzało. Nadal była heretyczką, jak zawsze zresztą, zakochaną w Imperium i jego barbarzyńskich mieszkańcach. Richius zaś był młodym mężczyzną z naturalnymi potrzebami właściwymi temu wiekowi. Mógłby dawać jej rozkosz. Pod wpływem tej myśli Tharn zacisnął szczęki. Nie darzył Richiusa nienawiścią, przynajmniej nie czynił tego świadomie, a jednak wykorzystał go podle i teraz, patrząc na przepływające mu nad głową chmury, zastanawiał się, czy nie zrobił tego z podświadomej chęci zemsty.

„Nie jestem złym człowiekiem – myślał. – Ale popełniałem złe uczynki. Pomóż mi, Lorrise. Pomóż mi opanować i pokonać mój gniew”.

Ale, jak to się działo już od miesiący, boski patron Tharna zachował milczenie. Drol zamknął oczy i zaczął się zastanawiać nad całą sytuacją. Jeżeli Richius w jakikolwiek sposób skrzywdzi Dyane, Voris go zabije. Nie stanie się to z jego, Tharna, rozkazu, ale wcale nie musiał dawać wodzowi poleceń. Była to po prostu część układu, jaki zawarli mistrz i wódz doliny Dring. Czy było to złe? Czy złem było zabicie Edgarda? Krew przelano dla sprawy, ale bywało, że taka odpowiedź wcale Tharna nie zadowalała. Teraz Lorris stał się dla niego tajemnicą. Niegdyś nie miał wątpliwości co do boskich życzeń, i był tak pewien swego, że z pomocą daru zabił setki ludzi. Akt ten zaowocował chorobą,

jaką bogowie zesłali na jego ciało. Niekiedy, gdy ból szczególnie mu doskwierał, i gdy był sam, zarzucał Lorrisowi nie tylko to, że cierpiał, ale i to, że był samotny. Gdyby był w pełni mężczyzną, takim jak Richius, mógłby zatrzymać Dyanę dla siebie.

Było to jednak niemożliwe. Żona nigdy go nie pokocha, i ta świadomość kruszyła mu serce. Odetchnął głęboko czystym powietrzem i wydał z siebie długie westchnienie. Podróżujący z nim kapłan, Nagrah, ocknął się z drzemki i spojrzał pytająco na mistrza.

– Panie? – spytał. – Nic ci nie jest?

Nagrah był dwudziestoletnim młodzieńcem pochodzącym z dobrej, drolijskiej rodziny. Tharn nawet go lubił. Zwykle zresztą rad był trosce, jaką mu okazywał młody człowiek. Ale nie teraz.

– Nic! – uciął, pewien, że nie zabrzmiało to przekonująco.

Nagrah zmarszczył brwi. Tharn nigdy nie odzywał się szorstko do żadnego z nich.

– Zechciej wybaczyć, mistrzu, ale nie wyglądasz najlepiej. Milczałeś przez cały dzień. Co ci jest? Czyżbyś był chory?

– A to mi nowina – obruszył się Tharn. – Chyba widać, że jestem chory. – Szybko jednak dotarło do niego, że to niesprawiedliwe. – Naprawdę, nic mi nie jest. Po prostu... – wzruszył ramionami – myślałem o rozmaitych sprawach, to wszystko.

– Myślałeś, mistrzu, o Chandakkarze? – spytał Nagrah z ożywieniem w głosie.

Jak pozostali członkowie wyprawy, z radością powitał propozycję towarzyszenia Tharnowi do Chandakkaru. Był oczywiście kapłanem, zachował jednak chłopięce zamiłowanie do przygód. Tharn uśmiechnął się lekko.

– Nie, nie myślałem o Chandakkarze. To coś znacznie mniej ważnego. Nie zawracaj sobie mną głowy.

Nagrah szerokim gestem wskazał otaczające ich pustkowia.

– Mistrzu, przed nami cały dzień. Może wiele dni. Dlaczego nie porozmawiać?

– Ponieważ nie jestem w nastroju. A teraz bądź cicho i daj mi odpocząć.

Nagrah zrobił urażoną minę, ale rzeczywiście dał Tharnowi spokój. Po prostu odwrócił spojrzenie i powiódł nim po okolicznych trawach, udając, że nie przejmuje się naganą. Tharn natychmiast pożałował swej surowości. Wszyscy było dobrymi, młodymi ludźmi – on zaś miał im za złe tylko to, że byli zdrowi. A przecież wybrał ich sam z powodu ich zapału i oddania sprawie. Byli wszystkiego ciekawi, ale dość wcześnie odkrył, że nie należy tłumić naturalnej ludzkiej ciekawości. Ten błąd popełnił już jego ojciec.

– No dobrze – odezwał się, prostując plecy, co sprawiło mu niemały ból. – Porozmawiajmy. – Postukał laską w siedzenie przed sobą. Raig i Vorn, drolijscy bracia w wierze, odwrócili się i spojrzeli na swego mistrza. Raig trzymał w dłoniach lejce. –

Posłuchajcie mnie obaj – zaczął Tharn. – Młody Nagrah chce porozmawiać, a i ja mam kilka spraw, o których chciałbym podyskutować. Poćwiczmy trochę nasze umysły.

– Mistrzu... – odezwał się Vorn z niedowierzaniem w głosie.

Tharn nigdy nie zwracał się do nich w taki sposób. Młodzieniec był uradowany i zaskoczony.

– Rozmowa – stwierdził Tharn. – Wiecie, co to jest, czy nie? Nie można się tylko modlić.

– Wiem – odpowiedział Vorn. – Modlę się i rozmawiam.

– Doskonale. No to porozmawiajmy. Mam pytanie. Nagrah, słuchaj uważnie.

Oparł się o niskie deski i wygodnie usadowił. Nagrah i Vorn przysunęli się bliżej, ciekawiło ich bowiem pytanie mistrza. Raig śledził wzrokiem drogę przed nimi, ale też nadstawił ucha.

– Wiecie... – zaczął Tharn – ...zastanawiałem się nad okrucieństwem i nad tym, skąd się ono bierze?

Wszyscy trzej zaczęli się zastanawiać nad pytaniem, nie bardzo pewni, czy właściwie je zrozumieli. Tharn nie bez rozbawienia patrzył, jak Nagrah usiłuje wymyślić coś sensownego. Pobił go jednak zamyślony Raig.

– Zło – powiedział z wielką pewnością siebie. – Źródłem okrucieństwa jest zło.

– Zło... – powtórzył Tharn z namysłem. – Hmm... Może i tak. Jak u Narenów, Raig?

– Owszem. Narenie są dziećmi zła. To czyni z nich okrutników. Tylko źli ludzie mogli zrobić to, co oni uczynili w Ackle-Nye.

– Czy to jakaś zabawa, mistrzu? – zapytał Vorn. Młodzik miał skłonność do podejrzliwości, która przypominała Tharnowi jego samego.

– Nie, to nie zabawa – odpowiedział Tharn. – Wam trzem oczywiście wydaje się, że posiadam całą mądrość świata i znam odpowiedzi na wszystkie pytania, ale to nieprawda. Ja też często zastanawiam się nad różnymi sprawami. Niekiedy dobrze jest pofilozofować. – Dźgnął Nagraha końcem swej laski. – No, a cóż ty powiesz?

– Myślę, że Raig ma rację, mistrzu. Zło czyni z ludzi okrutników. Ale dlaczego się nad tym zastanawiasz?

– Zadaję tylko pytania. A co z wodzami? Są okrutni?

– Nie – odpowiedział Raig przez ramię. – To wojownicy.

Tharn uśmiechnął się nieco złośliwie.

– Kiedy Delgar walczył z Praxtin-Tarem pod Reen kazał zakopać na plaży po szyje w piasku pięćdziesięciu wojowników, a potem usiadł ze swoimi i patrzyli razem, jak nadciąga przyływ. Jego wrogowie nie potopili się od razu. Kraby i mewy wyzarły im najpierw oczy. Raig, rzeknij mi, czy według ciebie to okrucieństwo czy nie?

Raig długo myślał nad odpowiedzią. Tharn bacznie patrzył, jak jego uczeń mozoli się nad zadany mu pytaniem.

– Tak, myślę, że tak – odparł na koniec. – Może Delgar jest zły...

– Ale on wszedł z nami w sojusz. Pomaga nam walczyć z Narenami. Czy to oznacza, że i my jesteśmy źli?

– Mistrzu, jaki cel mają twoje pytania? – spytał Nagrah. – Nie rozumiem. My nie jesteśmy źli.

– Cicho, chłopcze. Wcale tego nie powiedziałem. Raig, odpowiedz. Zły jest Delgar, czy może niesłuszne są twoje sądy o źródłach okrucieństwa?

Raig wzruszył ramionami.

– Sam już nie wiem.

– Ja myślę, że Raig się myli – wtrącił się Vorn. – Delgar jest okrutnikiem. Shohar też. Ale nie są źli.

– Nie – przyznał mu rację Tharn. – Zgadzam się z tobą. Obaj są ludźmi honoru. Być może są brutalni, ale nie sposób im odmówić prawa do szacunku innych. Wszyscy jesteśmy godni szacunku. – Spojrzał prosto w oczy Nagraha. Młodzieniec odpowiedział mu wzrokiem pełnym strapienia i zwątpienia. – Dobrze mówię, mój uczniu?

Nagrah mógł jedynie wzruszyć ramionami. Przez chwilę myśleli o tym samym. Nagrah wiedział, że Tharn odczuwał niepokój. Dlatego właśnie wymusił na wszystkich rozmowę, podczas gdy sam wolałby milczenie. Mistrz Drolów myślał o jego pytaniu i o tym, jak bardzo był okrutny wobec Richiusa i Edgarda, i jak kopnął Daegoga w zęby, ciskając nim niemal na drugą stronę komnaty. Nawet Dyana padła ofiarą jego okrucieństwa. Nigdy jednak nie pomyślał o sobie jak o złym człowieku. Popelnione przez niego okrucieństwa wynikały z przyczyn zewnętrznych. Patrząc nadal w oczy Nagrahowi, zapytał cicho:

– Co sprawia, że ludzie popełniają okrucieństwa?

Wyraz twarzy Nagraha zmiękczyłby najtwardszy gład.

– Mistrzu, myślę, że ludzie bywają okrutni w chwilach słabości. Są okrutni, kiedy czegoś pożądamy i nie widzimy sposobu na zaspokojenie pożądanego.

Nie powiedział już niczego więcej. Odwrócił wzrok od twarzy mistrza i ponownie spojrzał na otaczające ich równiny. Żaden z nich nie widział powodu do kontynuacji rozmowy.

\* \* \*

Nieco później tego samego dnia, kiedy słońce było w zenicie, Tharn ocknął się



z niespokojnej drzemki. Wyrzawszy ponad boczną krawędzią rozkołysanego powozu, zobaczył otaczające ich morze wyschniętych traw sięgających człowiekowi do pasa, gdzieśgdzie ozdobione potężnymi, przysadzistymi drzewami o grubych konarach i rozłożystych koronach. Spojrzawszy na słońce, doszedł do wniosku, że czas na postój. Zastukał kosturem w ławkę, by zwrócić uwagę woźnicy.

– Zatrzymaj wóz – polecił Raigowi. – Czas na odpoczynek i modlitwę.

Raig natychmiast usłuchał. Pociągnął za lejce i uwiązał je do kozła. Potem razem z Vornem wspiął się na tył pojazdu, gdzie ukryli zapasy żywności i baryłki z wodą. Nagrah zaczął myszkować wśród węzełków i zawiniątek, zaś Tharn postanowił rozprostować plecy na małej przechadzce.

– Zjedzcie coś i odpocznijcie – polecił, wstając chwiejnie z ławki. – Ja niedługo wrócę.

– Dokąd idziesz, mistrzu? – spytał Nagrah.

– Chcę się pomodlić – odpowiedział Tharn i wskazał kosturem kierunek. – Gdzieś tam.

– Nie, mistrzu, to zbyt niebezpieczne. – Z tymi słowami Nagrah wstał i ujął Tharna pod ramię.

– Chłopcze, porzuć obawy – odpowiedział Tharn. – Pomóż mi tylko zejść na ziemię.

– Trawy są zbyt wysokie – zaprotestował Nagrah. – Nie będziemy mogli cię zobaczyć.

– Chłopcze... – westchnął Tharn. – Może cię to zdziwi, ale od dawna już przywykłem obywać się bez niańki. Zjedzcie coś i odpocznijcie. Niedługo wrócę.

Ignorując protesty Nagraha, ruszył pomiędzy trawy, odgarniając najwyższe z nich laską na bok. Suche źdźbła ustępowały z szelestem. Wkrótce niemal zupełnie stracił z oczu powóz, który stał się niewidoczny, gdy ukląkł. Kiedy opuścił się na ziemię, odkładając laskę na bok, jego kolana strzeliły okropnie. Aby oczyścić umysł, zaczerpnął głęboko tchu. Nad nim rozciągało się bezkresne, nieskazitelnie czyste niebo. Z oddali dolatywały do niego głosy jego mędrców, pogrążonych w zaciekłym sporze. I te dźwięki przegonił, a potem zamknął oczy i wsłuchał się śpiew wiatru.

Rozpoczął modły.

Wzywał Lorrisa i Pris, prosząc o siłę i wskazanie mu drogi, i o inne rzeczy, o jakie ludzie zwykle proszą w modlitwie, prosił też jednak o wybaczenie za popełnione przez siebie okrucieństwa i dziękował bogom, że otwarli mu oczy na to, kim się stał. Obiecał, że z ich pomocą się zmieni. Skończył już prawie swoje modły, kiedy w jego myśli wdarł się jakiś dźwięk z tyłu.

Tharn zaklął w duchu.

– Nagrah, proszę...

Kiedy otworzył oczy i się odwrócił, zobaczył coś, co zmroziło mu krew w żyłach i zatrzymało oddech w piersi. W odległości sześciu stóp od niego czaił się największy zwierz, jakiego zdarzyło mu się widzieć, który, opuściwszy swój koci łeb ku ziemi, przyglądał mu się żółtymi ślepiami z niemałym zainteresowaniem. Gdy kot położył po sobie uszy, znikł niemal zupełnie w wysokiej trawie. Tharn bardzo powoli odwrócił się, by sięgnąć po swój kostur. Ogromne ślepia patrzyły na niego bez jednego mrugnienia.

Tharn chciał się rzucić do ucieczki, ale nie miał dokąd uciekać. Bieganie zresztą nie było jego mocną stroną. Ostrożnie i z niemałym bólem oderwał od ziemi jedno kolano, potem drugie, aż w końcu stanął wyprostowany.

– Spokojnie... – wyszeptał. – Spokojnie...

Bestia zmrużyła ślepia i wydała z siebie niski, gardłowy pomruk. Tharn uniósł obie dłonie.

– Nie, nie. Spokój. Nie jestem twoim wrogiem. Nie warto się mną przejmować.

Cofnął się o krok. Kot został na miejscu.

– Dobrze... – mruczał Tharn. – Dobrze...

– Mistrzu!

Lew w ułamku sekundy odwrócił się w stronę źródła głosu. Od powozu biegł Nagrah, z twarzą pełną niepokoju. Za nim długimi susami pędzili Vorn i Raig. Lew ryknął krótko i przygotował się do skoku.

– Nie! – wrzasnął Tharn, uderzając zwierzę swoim kosturem.

Lew zwrócił się przeciwko niemu. Otworzywszy pysk, wyszczerzył kły i niedbale machnął łapą.

Świat Tharna zasnuł się mrokiem.

## Czterdzieści

Arkus z Nar żeglował na pokładzie okrętu.

Jego włosy były czarne, ręce i nogi silne i sprężyste – znów był młodym człowiekiem. Miał chyba nieco ponad dwadzieścia lat. Stojąc na dziobie okrętu wojennego, widział przed sobą rozległy ocean, nad którym wisiało niespotykane błękitne niebo – takie, jakie widuje się tylko w snach. Okręt wiozący Arkusa był ogromny, a jednak pasażer był na jego pokładzie sam. Samotność jednak w ogóle mu nie doskwierała. Jako że był młody, miał tylko jedno imię – Arkus. Nie przyszedł jeszcze czas jego Czarnego Odrodzenia i jeszcze nie zarobił sobie na miano zguby świata.

Z oddali wzywały go brzegi Lucel-Loru, niczym lśniąca kreska na horyzoncie. Podróżował długo, daleko i musiał znosić zazdrosne spojrzenia marynarzy, którzy go tu przywieźli. Arkus nie był władcą i nie miał nim zostać jeszcze przez wiele lat. Był tylko myśliwym, posłanym po głowę mitycznej bestii z Lucel-Loru. Postanowił pokazać lwia czaszkę ojcu i udowodnić swoją wartość. Ojciec będzie zadowolony, kiedy się przekona, że spłodził dzielnego, nieustraszonego dziedzica.

I nagle, jak to się zdarza w snach, niebo zaczęło zasnuwać się mrokiem. Arkus zerknął za burtę. Woda przed dziobem zaczęła się burzyć i kipieć, a z jej głębin uniósł się gadzi łeb, potem drugi i dwa kolejne, wszystkie na gładkich, wężowych szyjach. Zawisły nad okrętem i jego jedynym pasażerem, patrząc na niego gniewnymi ślepiami. I nagle okręt znieruchomiał. Arkus z Nar spojrzał na zagradzającą mu drogę wielogłową bestię i rozkazał jej się usunąć.

– Potrzebny mi jest Lucel-Lor, potworze! – zawołał. – Nie próbuj mi się przeciwstawiać.

Wszystkie paszcze wykrzywiły się pogardliwie.

– Kim jesteś? – pytały. – I czego ci trzeba? – wszystkie przemówiły jak jedna, choć Arkus usłyszał chóralny syk.

– Jam jest Arkus z Nar – odpowiedział wyzywająco. – Któregoś dnia zostanę panem całego kontynentu. A wy? Jesteście strażnikami Lucel-Loru?

– Mamy wiele imion – odezwały się głowy chórem. Jedna z nich uśmiechnęła się jadowniczo. – Ja, na przykład, jestem Tharn.

Do chóru dołączyły się pozostałe.

– Ja jestem Liss.

– A ja jestem Magią Lucel-Loru.

– A ty? – spytał Arkus głowę, która zachowała milczenie. – Jak ciebie nazywają?

Ta głowa wznosiła się wyżej niż pozostałe.

– Jestem Richius Vantran – zadudniła. – Szakał. Zdrajca.

– Walczymy z tobą wszyscy – głowy zanosły się piekielnym chichotem. Na oceanie rozpętał się sztorm i Arkus z trudem utrzymał się na nogach. – Nie pozwolimy ci żyć dłużej!

– Nie! – zaryczał Arkus, podchodząc do relingu i wygrażając potworowi pięścią. – Jestem nieśmiertelny. Nie boję się was.

– Byłeś nieśmiertelny w młodości – syknęła głowa, która nazwała siebie Magią. – Wtedy rzeczywiście niczego się nie bałeś.

– Ale teraz jesteś stary – stwierdziła głowa, każąca się nazywać Vantranem. – Stary i słaby. Umierasz!

– Nie! – zawył Arkus. – Nie boję się nikogo! Przebywam tu z woli ojca, by schwytać i zabić lwa, a potem zawieźć jego głowę do Nar.

– To nas zabijałeś! – syknęła głowa Liss. – A teraz my zabijemy ciebie!

– Nie! – zaprotestował Arkus. – Muszę dotrzeć do Lucel-Loru! Powinniście mnie przepuścić. Zawrzyjmy pokój, Liss! Obiecuję ci pokój...

Teraz syczały już wszystkie głowy i Arkus poczuł, że ich oskarżenia godzą w niego niczym groty oszczepów i spychają ku okropnej rzeczywistości. Poczul tchnienie mrozu i niewypowiedziane brzemień wieku. Aby utrzymać się na nogach, wczepił się dłońmi w reling.

– Przestańcie! – zawył. – Żądam, byście natychmiast przestały!

I oto głowa każąca się nazywać Vantranem opuściła się niżej na swej giętkiej szyi i ugodziła go spojrzeniem, w którym zawarły się cały jad i trucizna świata.

– Nie masz prawa do żadnych żądań, starcze! – syknęła. – Rzucamy ci wyzwanie, ale ty jesteś słaby! Nie potrafisz nawet spojrzeć nam w twarz. Jesteś ślepy!

Arkus podniósł dłonie do oczu. Wiedział, że smok mówi prawdę, i to stwierdzenie rozbiło jego pewność siebie... I imperator nagle się obudził. Usłyszał huk płomieni kominka, nie widział jednak ich samych, nie widział ognia! Otaczała go jednolita czerń, jak to się działo już od kilku tygodni. Arkus z Nar przeklął swoją ślepotę, wydając przeraźliwy, ohydny wrzask.

\* \* \*

Uspokojenie imperatora zajęło Biagiowi niemal godzinę. Od powrotu do Nar hrabia wyrzekł się swoich pysznych apartamentów i zajął niewielki pokoik obok komnaty Arkusa, tak by w razie potrzeby szybko znaleźć się na miejscu. Jęki imperatora usłyszał

nawet przed służącymi i wpadłszy do jego sypialni, znalazł władcę ogarniętego przerażeniem i przecierającego sobie oczy. Choć znacznie silniejszy od wyniszczonego chorobą Arkusa, hrabia musiał uciec się do całej swej siły, tak wielkie było szaleństwo imperatora.

Teraz Arkus spał, oszołomiony silnym eliksirem, który na takie okazje zawczasu przygotował Bovadin. Biagio usiadł na krześle obok łoża i patrzył na twarz władcy. Był mocno zmęczony. Północ dawno minęła, a we wnętrzu wysokiej wieży niosły się jakieś jęki i zgrzyty. Na kominku huczał potężny ogień. Biagio nie bez trudu walczył z sennością. Obiecał Arkusowi, że przy nim zostanie.

Doszedł do wniosku, że patrzenie na odejście ukochanej osoby jest doświadczeniem pełnym goryczy. Nawet on musiał przyznać przed samym sobą, że Arkusowi niewiele już zostało czasu. Bovadin nie umiał powiedzieć, jak długo utrzymają władcę przy życiu jego eliksiry, widać było jednak, że Arkus z każdym dniem jest coraz słabszy. Nie potrafił już utrzymać w żołądku jedzenia, które w siebie wmuszał i – wyjąwszy jego coraz rzadsze ataki szału – był słaby jak kocię. Nawet jeżeli w Lucel-Lorze była wielka magia, Biagio wątpił, czy Gayle zdąży ją w porę sprowadzić do Nar.

Była w tym jakaś straszliwa, przewrotna ironia. Dla ludzi z Żelaznego Kręgu czas był zawsze sprzymierzeńcem, siłą, którą umieli zatrzymać, podczas gdy inni starzeli się i umierali. Sam Biagio dawno już minął pięćdziesiątkę, ale miał wygląd i żywotność dwudziestolatka. Miał piękną opaleniznę i był bardzo urodziwym człowiekiem nawet według miar crotkańskich. Jako człowiek próżny, lubił przeglądać się w zwierciadłach i teraz czuł przerażenie na widok zniszczeń, jakie wiek poczynił w obliczu Arkusa. Nie godziło się, by tak wielki człowiek umierał tak nędzną śmiercią.

Zamknął i bez tego opadające powieki. Arkus opowiedział mu o swoim okropnym śnie i teraz Biagio widział białego smoka, którego cztery głowy bezlitośnie drwiły z imperatora. „Liss” – pomyślał ogarnięty nienawiścią. To oni byli przyczyną wszystkiego, oni i ten łotr Vantran. Upór Liss zniszczył Arkusa, ponieważ niemal za każdym razem, gdy Nicabar usiłował wysadzić desant na brzegach Lucel-Loru, natykał się na wszechobecne szkunery. Musieli zdać się wyłącznie na ofensywę Gayle’a z Czarnej Kniei, ale choć baron doskonale się sprawdzał jako zabójca Triinów, Lucel-Lor był po prostu zbyt rozległy. Choć Narenie mocno trzymali się w przesmyku Saccenne, od ostatecznego zwycięstwa nad Triinami dzieliło Gayle’a jeszcze kilka miesięcy, których Arkus już nie miał.

– Boże, potrzeba mi więcej czasu – wyszeptał Biagio. – Więcej czasu, to wszystko...

Gdyby Gayle się pospieszył, rzecz mogłaby się udać. Gdyby schwytał Tharna, może sam święty mąż zdołałby uratować Arkusa. Przez chwilę Biagio rozmyślał, jak by się do

tego zabrał. W razie konieczności sam mógłby się zająć torturami Drola, a po uzdrowieniu Arkusa, wydarłby Tharnowi oczy.

– Wiele bym za to dał, święty człowieku. Patrzeć jak umierasz...

Arkus poruszył się niespokojnie. Biagio zerwał się z krzesła i podbiegł do łóżka władcy.

– Renato? – westchnął Arkus.

Hrabia musiał dobrze wytężyć słuch, by zrozumieć ciche, niewyraźne słowa.

– Jestem tu, o Wielki – odpowiedział. – Jestem przy tobie. Dobrze się czujesz?

Wyniszczona chorobą głowa lekko się poruszyła.

– Owszem. Czy to już ranek?

– Jeszcze nie. Do rana mamy kilka godzin. – Biagio spojrzął ku oknu. Za gęstymi firanami rozpościerał się mrok, rozdzierany gdzieniegdzie nagłymi rozbłyskami płomieni dalekich palenisk. – Nie możesz zasnąć? Powinieneś spróbować. Bovadin utrzymuje, że potrzebny ci spokój i wypoczynek.

– Bovadin troszczy się o mnie niczym kokoszka o kurczęta – wychrypiał Arkus. – Podobnie jak ty.

Biagio uśmiechnął się smutno i schwycił dłoń imperatora. Wydało mu się, że ręka Arkusa z każdym dniem jest coraz mniejsza.

– Martwimy się o ciebie, o Wielki, to wszystko. I nie możemy się doczekać twojego powrotu do zdrowia.

– Tak, tak – zgodził się Arkus. – Muszę wyzdrowieć. Tyle jeszcze jest do zrobienia.

– Nie inaczej, panie. Wciąż jeszcze jesteś potrzebny światu. I mnie.

Słabe palce imperatora zacisnęły się lekko na dłoni hrabiego. Na popękanych wargach starca pojawił się nikły uśmiech.

– Dziękuję za to, że jesteś przy mnie i podtrzymujesz mnie na duchu. Jesteś moim najwierniejszym sługą, Renato.

– Nigdy nie będzie inaczej, o Wielki.

– Nigdy nie było inaczej. Zawsze byłeś u mego boku.

Biagio z pokorą ukląkł przy łóżku i położywszy podbródek na materacu, przez długą chwilę uważnie przyglądał się władcy, błagając wzrokiem o jeszcze jedną pochwałę. Istotnie, Arkus nie miał wierniejszego od niego sługi. Nie mogli się z nim równać biskup, Bovadin, Nicabar, ani żaden inny z członków Żelaznego Kręgu. Tylko on był tak bezwzględnie lojalny. Tylko on uwielbiał i cenił Arkusa jak ojca.

Ale wszyscy ojcowie kiedyś umierają, pomyślał nie bez pewnego zdziwienia. Zostawiają synów na pastwę świata, przez który ci ostatni muszą iść dalej sami. Biagio miał żonę, wielu bliższych i dalszych krewniaków, wszyscy oni jednak nie byli mu bliżsi,

niż rodzony ojciec, którego zabił. Wezwanie Arkusa stało się dla niego czymś w rodzaju powołania. Nadało jego życiu nowy wymiar. Teraz zaś, kiedy patrzył, jak Wielki z każdym dniem marnieje, pomyślał, że jego życie ponownie staje się puste.

– O Wielki... – odezwał się cicho.

– Tak?

– Staram się dla ciebie, jak mogę. Wiesz o tym, prawda?

Nastąpiła chwila długiego, ciężkiego milczenia. W końcu imperator niemal niedostrzegalnie skinął głową.

– Starasz się – stwierdził nikłym głosem. – Wiem.

– Panie, ci Lisseńczycy to diabły wcielone. Gdyby nie oni, dawno bym już wziął Lucel-Lor. I nie cierpiałbyś tak, jak cierpisz. Ale położę temu kres, o Wielki. Przysięgam. Zdobędziemy Lucel-Lor i odzyskasz zdrowie.

Wymawiając te słowa, Biagio był świadom tego, że kłamie. Było to jednak potrzebne Arkusowi i obu rozmówcom przyniosło ulgę.

– Wiesz, przyjacielu... – odezwał się Arkus. Mówienie przychodziło mu z trudem i często musiał przełykać ślinę. – Zastanawiałem się, od czego zacznę, kiedy odzyskam zdrowie. Na kim najpierw wyrzucić zemstę? Na Lisseńczykach?

– Nicabarowi ten pomysł bardzo by przypadł do gustu – stwierdził Biagio. – On się wprost nie może doczekać pozwolenia, by znów się zabrać za te wysepki.

– Zrobimy to, o tak, zrobimy. Kiedy wyzdrowieję i zdobędziemy Lucel-Lor, sam popłynę na Liss i osobiście zabiję ich króla. Ty, Renato, popłyniesz ze mną. To będzie wspaniały dzień.

– Wspaniały, panie.

Arkus westchnął z zadowoleniem, a Biagio zobaczył, że ociemniałe oczy władcy znów zasnuwają wspomnienia. „Gdzie jesteś, o Wielki?” – pomyślał.

– I ten szczeniak Vantranów – ciągnął imperator. – Chcę by go do mnie przyprowadzono. Natychmiast. Chcę zobaczyć, jak zawisnie. Urządzimy publiczną egzekucję.

– Sam tego dopilnuję.

– Obiecuję, że o to zadbasz. Przyprowadzisz go do mnie?

Biagio zawahał się na moment.

– Staramy się, o Wielki. Jak powiedziałem...

– Nie zwlekaj, Renato. Nie możesz tego dla mnie zrobić? Czy proszę o wiele? To tylko jeden człowiek.

– Dobrze więc, niech tak będzie. Jeżeli taka jest twoja wola, panie, zrobimy wszystko, by go tu sprowadzić.

Arkus wyciągnął rękę i lekko musnął palcem dłoń hrabiego.

– Renato, ja umieram.

– Nie, o Wielki. Ty nigdy nie umrzesz.

– Może. Ale równie dobrze może się zdarzyć tak, że nic się na to nie poradzi. Ale chciałbym, żebyś zrobił dla mnie choć jedno, Renato. Znajdź Richiusa Vantrana i przyprowadź go do mnie. Zanim odejdę, muszę go zobaczyć. Obiecuj mi to.

– Obiecuję – rzekł Biagio zdławionym głosem. – Klnę się na mą duszę, że przyprowadzę ci Richiusa Vantrana.

– Dobrze – powiedział Arkus i odprężył się. – Dobrze.

– O Wielki... – odezwał się Biagio. – Czy mogę cię o coś zapytać?

– Pytaj o co chcesz, przyjacielu.

Zdenerwowany ponad miarę Biagio obliznął wargi.

– Gdybyś umarł... zważ, że powiedziałem „gdybyś umarł”...to co z nami będzie?

Twarz Arkusa stężała.

– Co to ma znaczyć?

– Nic, absolutnie nic – odpowiedział Biagio, wycofując się natychmiast.

– Czyżbyś sądził, że umieram? – spytał imperator ostrym głosem.

– Sam powiedziałeś, o Wielki...

– Nie spodziewałem się, że to potwierdzisz. Masz mnie ratować! – Arkus aż się zatrząsł. – Na Boga, jak śmiałeś pomyśleć coś takiego? Cierpię jak potępieniec, a ty myślisz tylko o swoich ambicjach?

– Nie, panie! Myślę o Nar, o twoim Czarnym Odrodzeniu. Jeżeli umrzesz, Herrith zacznie ze mną walkę o tron. Chyba, że...

– Że co?

– Chyba, że sam wybierzesz swego następcę.

Nareszcie. Powiedział to. Imperator zaczerpnął tchu.

– Renato... – zaczął Arkus łagodnym tonem. – Jesteś moim najwierniejszym sługą. Czy to ci nie wystarczy?

– Wystarczy, panie, całkowicie mi to wystarczy. Nie chce niczego więcej, poza możliwością służenia ci, o Wielki.

– To dlaczego mówisz o śmierci?

– Z powodu Nar. Pragnę tylko...

– Nie umrę! – zagrział Arkus. – Ani teraz, ani nigdy!

Przejęty zgrozą Biagio patrzył, jak imperator zalewa się łzami. Arkus zacisnął powieki swoich ociemniałych oczu i odwrócił się od hrabiego. Dygocząc z nienawiści, sypnął przekleństwami miastu i światu. Biagio ujął władcę za rękę i poczekał, aż



przestanie wygrażać światu. W pewnej chwili zrozumiał, że nigdy się nie doczeka odpowiedzi po swojej myśli. Arkus bał się śmierci tak bardzo, że nigdy nikomu nie przekazał swego tronu.

– Teraz zasną – szepnął imperator. – Zostań przy mnie, Renato. Boję się swoich snów. Obudź mnie, jeżeli znów zacznę krzyczeć.

– Zostanę, o Wielki – obiecał Biagio. Nachyliwszy się lekko, pocałował pomarszczone czoło władcy. – Odpocznij.

Po kilku chwilach Arkus już spał. Upewniwszy się, że imperator zasnął głęboko, hrabia Biagio wstał i ruszył do drzwi. Tam przystanął na chwilę, obejrzał się na Arkusa, by mieć pewność, że nie zbudzi się za wcześnie, a potem wyszedł, by wezwać Aniołów Cienia.

## Czterdzieści jeden

– Tutaj Dyano – odezwała się Najjir. – To są te liście, których potrzebujesz.

Dyana zajrzała Najjir przez ramię. Liście były małe, grube, by nie rzec mięsiste, i pokryte krótkimi włoskami. Najjir zerwała jeden z krzaku, podniosła w górę i rozdarła na dwie części. Z liścia zaczął kapać gęsty, lepki sok.

– Widzisz? Tak jak ci mówiłam. To mu pomoże.

Dyana dotknęła palcem lepkich nitek, które szybko tężały w delikatną niczym pajęczyna sieć. Były chłodne w dotyku, tak jak to powiedziała Najjir. Jej nastrój znacznie się poprawił, kiedy stwierdziła, że może coś zrobić dla cierpiącego Richiusa. Przez cztery dni leżał w agonii, niemal sparaliżowany bólem ze strasznej rany. Teraz mogła mu nieco ulżyć.

Od powrotu z frontu Richius cierpiał tak, że nie sposób było dotknąć jego skóry bez zadania mu dalszych okropnych męczarni. Trochę jednak odpoczął i teraz pewnie wytrzyma okład z maścią. Czekał, aż Dyana wróci z lekarstwem. Podobnie jak ona, nie mógł się oprzeć chęci ulżenia swej doli i sprawdzenia, czy lek działa.

– Ile tego potrzebujemy? – spytała, sięgając ku krzakowi i zaczynając odrywać liście.

– Ostrożnie – ostrzegła ją Najjir. – Nie uszkodź liścia, bo inaczej wycieknie z niego sok. I nie obskubuj całego krzaka. Działanie leku nie trwa zbyt długo, a przecież będziemy go potrzebowały dla innych.

„Oczywiście – napomniała Dyana samą siebie. – Są jeszcze inni”. Było ich kilkunastu, niektórzy mieli oparzenia równie paskudne, jak Richius. Najjir jej powiedziała, że są jeszcze inne rośliny. Pięknie. Z tego będą liście dla Richiusa. Pod baczynym okiem Najjir skubała liście i kładła je do koszyka. Na szczęście krzak rósł niedaleko zamku. Liście z pewnością nie obeschną, zanim ich użyje. Obok niej do pracy zabrała się Najjir, delikatnie zbierając liście i kładąc je do kosza Dyany.

– Bardzo ci dziękuję, Najjir. Nie pożałujesz, że mi wskazałaś ów lek.

Najjir skinęła głową z pewnym zakłopotaniem.

– Robię tylko to, co każe mój mąż – odpowiedziała. – On zaś mi powiedział, bym ci pomogła w doglądaniu Kalaka. Dlatego tu jestem.

Dyana zmeła w zębach gniewną odpowiedź. Nie minął tydzień i żona Vorisa z zupełnie jej obcej osoby stała się niemal przyjaciółką. Dzielily ze sobą komnaty, a pomiędzy kobietami oznacza to wspólne sekrety. Choć Dyana nie mówiła o swojej przeszłości, pewna była, że Najjir i tak bardzo wielu spraw się domyśla. Była niezwykle przenikliwą kobietą. Dyana nie bardzo wiedziała, czy ją lubi czy nie, zbierając jednak

lecnicze liście jednego była pewna – czuła wdzięczność dla Najjir za to, że jej pomogła, choćby i niechętnie.

– Po powrocie Vorisa podziękuję mu za twą pomoc, Najjir. Powinien wiedzieć, jak wiele to dla mnie znaczy.

Komplement wyraźnie sprawił Najjir przyjemność. Jak wszystkie kobiety Drolów była niewolniczo oddana mężowi. Voris był ośrodkiem jej świata i Dyana wiedziała, że Najjir zrobi wszystko, by go zadowolić. Była bardzo religijna i każdego dnia – razem z innymi kobietami mieszkającymi w twierdzy – wstawiała o świcie, by godzinę poświęcić na modły i przygotować się do codziennych zajęć. Było to niemal klasztorne życie, Najjir jednak je uwielbiała, ponieważ kochała Vorisa i istniała chyba wyłącznie dzięki jego miłości. Urodziła wodzowi trzy córki i syna, i wciąż gotowa była rodzić dzieci swemu panu i władcy. Była zresztą dobrą matką i chętnie pomagała Dyanie przy Shani – obie kobiety były jednak swoimi przeciwieństwami, o czym dobrze wiedziały. Najjir była wcieleniem cnot drolijskiej kobiety, a według pojęć Drolów Dyana była dziwką.

– Mój mąż już niedługo wróci do domu – odezwała się Najjir. – Może po powrocie zechce zobaczyć się z Kalakiem. Jeżeli chcesz, możesz mu wtedy powiedzieć, jak ci pomagałam.

– Jeżeli wróci dziś wieczorem, powiem mu z przyjemnością – odpowiedziała Dyana, która wcale nie zamierzała rozwiewać nadziei żony wodza. Voris przepadł na trzy długie dni, zaraz potem, jak przywiózł do zamku rannego Richiusa, a przez cały ten czas trwały walki w obronie doliny i Najjir ogromnie się martwiła o nieobecnego męża.

– Dziś wróci z pewnością – szepnęła Najjir konfidencjonalnie. – Czuję to. Dyano, on znów chce być przy mnie.

– Jestem o tym przekonana – odpowiedziała Dyana. – Wróci, jak tylko będzie mógł, jeżeli nie dziś, to jutro.

Najjir nieco się zachmurzyła.

– Lepiej niech to będzie dziś. Nie mogę znieść jego nieobecności. Pris mi świadkiem, że za nim tęsknię. I martwię się o niego.

Dyana przerwała zrywanie liści i spojrzała na towarzyszkę ze współczuciem w oczach.

– Nie martw się. Wróci na pewno.

– Och, Dyano, pewnie uważasz, że zachowuję się jak zakochany podlotek. Nie ma go tydzień, nawet mniej, a ja już tęsknię za nim jak zakochana smarkula. A ty przecież jesteś z dala od męża znacznie dłużej. Jak ty to wytrzymujesz?

Była to pułapka, której się zresztą Dyana spodziewała. Poradziła sobie niełatwo.

– Najjir... – powiedziała, wzduszając ramionami. – Ja się nie zamartwiam tak jak ty. Tharn jest bardzo mądry. Wiem, że do mnie wróci.

– Ale już tak długo jesteście rozdzieleni, a on jest sam w tym Chandakkarze. Obym się myliła, za łaską Pris, ale... on już może nie żyje. Czy to cię nie przeraża?

Nad tą odpowiedzią Dyana musiała się zastanowić. Wiedziała, że Najjir usiłuje ją zwabić na niebezpieczny grunt.

– Oczywiście, że się o niego boję. Ale on jest silniejszy, niż myślisz. Może sam o siebie zadbać.

– Ty jesteś taka silna – zauważyła Najjir. – Łatwo odgadnąć, dlaczego on cię wybrał. Silna żona jest ważna dla mężczyzny.

– On mnie nie wybierał – odparła Dyana może nieco ostrzej, niż zamierzała. – To małżeństwo uzgodnili pomiędzy sobą nasi rodzice, kiedy byliśmy zbyt młodzi, by zrozumieć, co to oznacza.

– Mimo wszystko szczęściarz z niego, że trafił na ciebie – stwierdziła Najjir. Przysiadła na piętach i z uwagą obserwowała twarz Dyany. – Jesteś bardzo piękna. Z pewnością mogłabyś mieć każdego mężczyznę, którego tylko byś zapragnęła.

– Może.

– Ale i ty masz szczęście, że trafiłaś na Tharna – ciągnęła Najjir. – Zastanawiałaś się nad tym kiedyś?

– Jest dla mnie bardzo dobry i łagodny, jeżeli to właśnie masz na myśli. Rodzice mogli wybrać gorzej.

– Dyano! – zdumiała się Najjir. – Jak możesz mówić tak źle o swoim mężu? Jest przywódcą Drolów, dawcą darów, wybrańcem niebios, a ty mówisz o nim jak o jakimś wieśniaku!

– Dobry z niego człowiek i łagodny. Niewiele więcej mogłabym się spodziewać od męża. Co do Drolów, ja do nich nie należę, on zaś o tym wie i szanuje moje przekonania, za co jestem mu wdzięczna. Czy to, co powiedziałam, brzmi dla ciebie tak okropnie, Najjir?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała zapytana. – Ale czy ty nie wiesz, że on cię kocha, Dyano? Podczas minionych lat nieustannie mówił o tobie, za każdym razem, gdy tylko odwiedzał dolinę. Jest wiele kobiet, które nigdy nie zaznają miłości od męża. Czy ty nie widzisz, jakie masz szczęście?

Rozmowa była bezsensowna. Dyana wykorzystwała chwilę i przeciągnęła się, by rozprostować zbolące plecy.

– Wiem, że mogłoby mi pozazdrościć wiele kobiet – odpowiedziała w końcu – choć nie było mi dane wybrać męża po mojej woli. Ale gdybym mogła tego uniknąć, nigdy

bym nie poślubiła Tharna, o czym zresztą dobrze wiesz.

Starsza kobieta uśmiechnęła się lekko.

– Dyano, obie jesteśmy kobietami. Nie do nas należy podejmowanie takich decyzji. Kiedy byłam młoda, myślałam o moim mężu, że jest najdzikszym i najgorszym z wszystkich ludzi. Słyszałam, że podbił dolinę i dopuszczał się wielu okrucieństw. Kiedy rozeszły się wieści, że szuka żony, wszystkie dziewczyny w naszej wiosce wpadły w popłoch. Powiedziano nam, że przejedzie przez naszą wieś, rozglądając się za żoną, więc nasi rodzice pięknie nas wszystkie poubierali i wystawili jak na pokaz. Wszystkie się modliłyśmy, by nie wybrał żadnej z nas. I wiesz, co się stało?

– Mam zgadywać?

Najjir parsknęła śmiechem.

– Kiedy się pobraliśmy, byłam młodsza od ciebie i bardzo się bałam. Ale później zrozumiałam, że on jest dla mnie najlepszy i że wybrał mnie nie bez powodu. Tak jak Tharn wybrał ciebie, choć ty możesz w to nie wierzyć.

– Najjir – odezwała się Dyana łagodnym głosem. – Nie jestem taka, jak ty. Cieszę się z twojego szczęścia, które dzielisz z Vorisem, ale uważam, że kobietom powinno się dać możliwość wyboru. Dlaczego miałabym się poddawać decyzji, jaką podjął za mnie ojciec, kiedy byłam jeszcze dzieckiem?

– Cicho! Dyano, nie mów takich strasznych rzeczy. Zbyt długo przebywałaś w towarzystwie tego Narena. On zatruł ci umysł.

– Nie! – wykrzyknęła się Dyana. – Zawsze byłam inna. Nie zrzucaj winy na Richiusa za to, czego we mnie nie lubisz.

Najjir posmutniała i położyła dłoń na ramieniu Dyany.

– Czyżbym była aż tak niesprawiedliwa? Jeżeli tak, to zechciej mi wybaczyć. Nie zamierzałam cię urazić. I nie myśl, Dyano, że cię nie lubię. Prawdę mówiąc, z radością dzielę z tobą komnaty, Dyano. Czuję się znów jak dziewczyna, która może porozmawiać z siostrą.

Dyana odstawiła koszyk i westchnęła.

– Więc dlaczego zadajesz tak wiele pytań? Dlaczego traktujesz mnie tak, jakbym była słaba na umyśle?

– Bo martwię się o ciebie i boję się, że możesz popełnić jakiś błąd. Wybory są dla kobiety niebezpieczne, Dyano.

– Co masz na myśli?

Najjir pochyliła się.

– Tharn nie jest ojcem twojej córeczki – szepnęła.

Dyana spojrzała na nią ze zdumieniem i urazą.

– Voris ci powiedział?

– Aby stwierdzić rzecz tak oczywistą, nie muszę się uciekać do opinii męża. Shani ma oczy swojego ojca. Oczy Kalaka.

Było to oskarżenie, którego Dyana się nie spodziewała. Najjir nigdy przedtem nie pozwalała sobie na taką śmiałość. Zaskoczona tym wszystkim Dyana, podniosła kosz i pokazała jego zawartość żonie wodza.

– Wystarczy? – spytała oschle.

Najjir kiwnęła głową.

– Powinno wystarczyć.

– I co mam z tym zrobić? Wetrzeć mu w plecy?

– Owszem, bardzo łagodnie. Ale, Dyano, posłuchaj mnie... – Najjir wyciągnęła dłoń i chwyciła rozmówczynię za nadgarstek.

– Nie, Najjir – przerwała jej Dyana, cofając rękę. – Proszę. Już tego wysłuchiwałam. Wytykał mi to Tharn, kobiety w Falindarze... wszyscy, których poznałam. I mam już dość! Nie chcę z nikim o tym rozmawiać.

Odwróciwszy się, ruszyła w stronę zamku.

– Dyano, zatrzymaj się! – Najjir chwyciła kosz, z którego wypadła garść liści. Dyana opadła na kolana i zaczęła je zbierać. Najjir stała nad nią i czekała, aż się podniesie.

– Daj mi kosz! – rozkazała Dyana. – Muszę mu je szybko zanieść.

– Mamy czas – odparła Najjir. – Najpierw porozmawiamy.

– Później! – Dyana sięgnęła po kosz, żona wodza jednak go odsunęła.

– Zanim tu przyjechałaś, wszyscy zdążyli już poznać historię o tym, jak to żona Tharna urodziła nie jego dziecko. Każdy myślał, że padłaś ofiarą gwałtu, ale było inaczej, prawda? To był Kalak?

Dyana podniosła dłonie do uszu.

– Przestań...

– Widzę, jak na niego patrzysz. Nawet Voris się domyśla. Kochasz tamtego!

– Muszę już iść – błagała Dyana. – Puść mnie...

Najjir jednak ciągle trzymała kosz poza jej zasięgiem.

– Dyano, on jest Narenem. Mordercą. Kalak zabił mojego syna.

– To nieprawda! – zachnęła się Dyana. – Richius nigdy by nie zabił chłopca. Nie mógł wiedzieć...

Twarz Najjir pokryła się mrokiem. Powoli oddała kosz Dyanie.

– A więc to prawda – powiedziała. – Jeszcze go bronisz. Kochasz Kalaka.

Dyana nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wzięła kosz i włożyła do niego kilka podniesionych wcześniej liści. Najjir tym razem nie próbowała go jej odebrać.

– Byłaś z nim? – spytała Dyane.

– Nie!

– To dobrze. I niech tak zostanie. Gdyby się Voris dowiedział...

– Voris wie wszystko, co powinien, a reszta to nie jego sprawa – odpowiedziała Dyana chłodno. – Nic zresztą się nie stanie. Musisz mi zaufać, Najjir.

– Ufam. Ale wasza miłość nie ma żadnej przyszłości. Kalak jest Narenem, a ciebie poślubiono Drolowi. Za to uczucie możesz zapłacić głową.

Dyana zaśmiała się z goryczą.

– Zabiją mnie za to, co czuję? I ty chcesz, by twoje córki żyły takim życiem? Najjir, nie stworzono mnie po to, bym służyła mężczyźnie, nawet tak wielkiemu, jak Tharn.

– Ale przecież możesz być szczęśliwa. Jak ja.

Dyana usiadła w trawie, objęła kolana ramionami i spojrzała na stojącą nad nią kobietę.

– Szczęśliwa? Dawno już zapomniałam, jak to jest, gdy człowiek odczuwa szczęście. Byłam szczęśliwa, jako mała dziewczynka. Ale gdy stałam się kobietą...

Najjir opadła na kolana obok Dyany.

– Czy być kobietą, to takie straszne? Ja nie jestem nieszczęśliwa. Godzę się ze swoim losem.

– I to nas właśnie różni, Najjir. Ty możesz znaleźć szczęście w niewoli. Ja nie. Nawet z mężem, który jest dobry i łagodny. A Richius... – Uśmiechnęła się do swoich myśli. – Nie znasz go. Nikt go nie zna. To ktoś szczególny. Zrozumiałam to, gdy go spotkałam. Kiedy jestem przy nim, nie czuję się kimś gorszym. Wiem, gdzie jest moje miejsce.

– To tylko mrzonki – ofuknęła ją Najjir. – Jesteś młoda i uczuciowa. Pewna jestem, że nie znacysz dla niego więcej, niż jakakolwiek inna kobieta.

– Mylisz się – odpowiedziała Dyana ostrym głosem. – Poświęcił dla mnie wszystko, co miał. W Nar jest dość kobiet, które chętnie dzieliłyby z nim łożę, on jednak wrócił do mnie.

– Nie znaczy to nic ponad to, że i on jest sentymentalny. Nie jest zresztą wiele starszy od ciebie. Okazaliście się dostatecznie wielkimi dziećmi, by dać się porwać pierwszym zapałom. Dyano, nie pozwól, by on zniszczył wszystko, co masz. Nie zostanie tu na zawsze. Pomyśl i o dziewczynce. Jakie ona będzie miała życie, kiedy zostanie uznana za dziecko Narena? Nigdy jej nie...

– Najjir, nawet mi przez myśl nie przyszło, żeby oszukiwać Tharna. On chce jedynie mojej wierności i tej nie zaprzepaszczę. Wiem, że nigdy nie będę mogła żyć z Richiusem.

Najjir spuściła wzrok.

– Nienawidzę go – powiedziała. – Ale to nie dotyczy ciebie. Żal mi cię.

– Nie żałuj mnie. – Dyana wstała. – I pozwól sobie powiedzieć, że źle go oceniasz, Najjir. Chciałabym, żebyś wreszcie przejrzała i sama się o tym przekonała. To dobry człowiek i zasłużył na coś więcej, niż wasza nienawiść.

– Nienawiść to wszystko, co mi pozostało po śmierci Tala – odpowiedziała po prostu Najjir. – Nie zabieraj mi i tego.

Na to już Dyana niczego nie mogła odpowiedzieć, podziękowała więc Najjir skinieniem głowy i odwróciła się ku zamkowi. Ruszyła w drogę powrotną, zostawiając przyjaciółkę, która chciała jeszcze poszukać innych leczniczych roślin. Krocząc ostrożnie wąską ścieżką między drzewami, po kilku chwilach dotarła do zamku, który zawisł nad nią niby skała. Dyana weszła na zamkowy dziedziniec. Znajdujące się tam kobiety obrzucały ją osobliwymi spojrzeniami i szeptały coś do siebie, gdy je mijała. Dyana nie zwracała na nie uwagi. Ze wszystkich kobiet mieszkających w zamku jedynie Najjir zadała sobie trud zbliżenia się do żony powszechnie uwielbianego Tharna. Podczas gdy tamte zajmowały się rannymi wojownikami wspólnie, Richiusa pielęgnowała jedynie ona, i wiedziała, że troska, jaką mu okazuje, stała się przyczyną wielu podejrzliwych i pytających spojrzeń. Mimo wszystko chciała jakoś im pomóc. Kiedy z frontu przyniesiono pierwszego z rannych, ofiarowała się z pomocą, ale jej starania skwitowano szorstką odmową. Teraz, po czterech dniach, nie zamierzała już niczego wyjaśniać rozchichotanym plotkarkom, które wołały oddać swoich mężczyzn śmierci, niż przyjąć pomoc ze strony dziwki.

Na szczęście w korytarzu wiodącym do komnaty, gdzie leżał Richius, nie natknęła się na nikogo. Poczowała lekki dreszcz podniecenia i radości. Richius ogromnie się ucieszy ze znalezionych przez nią liści. Teraz, kiedy jego rany zaczęły się zablizniać i można ich już było dotykać, maść znacznie mu ulży w cierpieniach. Zapukała delikatnie w drzwi.

– Richiusie? – spytała cicho.

– Wejdz – padła odpowiedź, wypowiedziana niezbyt wyraźnym, zaspanym głosem.

Otworzywszy drzwi zobaczyła, że Richius ułożył się na boku i podparłszy głowę łokciem, pisał coś gęsim piórem w niewielkiej książce. Miał tłuste, zlepione włosy i natychmiast wyczuła silny zapach potu, ale jego oczy rozświectliły się na jej widok.

– Dyano... – wychrypiał. – Znalazłaś je?

Zamiast odpowiedzi dziewczyna pokazała mu kosz pełen liści.

– Bogu dzięki! – westchnął.

– Pokazała mi je Najjir – powiedziała Dyana, podchodząc do łóżka. – Ona jest pewna, że to ci pomoże. Mam nadzieję, że się nie myli.



– Ja też, ale uważaj, dobrze? Czuję się tak, jakby na plecach rozpalono mi ognisko.

– Będę ostrożna – obiecała.

Usiadła przy łóżku i zbadła wzrokiem jego pokryte strupami plecy. Rany wciąż jeszcze wyglądały okropnie. Nigdy jeszcze nie widziała takich oparzeń – lepiej wyglądały nawet blizny Tharna po bacie, jakim sieczono go w lochach Falindaru. Krwawienie już ustało, ale skóra Richiusa nabrała koloru jabłka – była czerwona i pokrywały ją łuski zaschniętego, przezroczystego śluzu. Od ramion po pas ciągnęła się sieć oparzelin, wyżłobionych przez straszny kwas.

– Uważaj – ostrzegła cierpiącego. – Zaraz cię dotknę.

Ostrożnie wysunęła palec i dotknęła go. Richius natychmiast zeszywniał. Pierwszej nocy, kiedy się ocknął w zamku, płakał bezradnie jak dziecko. Usiłowała go uspić dymem, zapalając odpowiednie zioła, ale za bardzo cierpiał. Nie mógł znieść nawet opatrunków, dlatego zostawili mu rany otwarte, licząc na to, że zaczną wysychać, a nie zaciągną się ropą i opuchlizną. Niestety, obu tych rzeczy nie dało się uniknąć, podobnie jak bólu, i teraz plecy Richiusa wyglądały jak płat nabrzmiałego od gotowania mięsa, tak że ciężko mu było nawet oddychać. Tym, że walczył, nawet gdy dosięgła go struga kwasu, zaskarbił sobie szacunek Vorisa i innych wojowników, ale – jak wiele piekielnych nareńskich wynalazków – kwas był orężem o opóźnionym działaniu i najgorsze przychodziło dopiero po kilku godzinach. Tamtej nocy Dyana w ogóle nie zmrużyła oka.

– I jak? – spytała, naciskając lekko palcem jego skórę.

Richius skrzywił się w odpowiedzi.

– Boli.

– Nie martw się – w głosie Dyany pojawiły się nutki nieco wymuszonej beztronski. – Najjir obiecała, że ten lek z pewnością przyniesie ci ulgę. – Wzięła z kosza jeden z liści, rozdarła go na połowy i pozwoliła kroplom soku kapać na rany. Płynu było bardzo mało. Dyana wzięła kolejny liść i powtórzyła całą czynność.

– Czuję chłód – skomentował Richius. – O tak, dobrze...

– Powinno być jeszcze lepiej, kiedy to wetrę. – Dyana, pracując uważnie, wskazała podbródkiem leżącą obok Richiusa książkę. Była otwarta na stronie wypełnionej linijkami nierównego pisma i niezbyt precyzyjnych notatek. Większą część strony zajmowało coś, co przypominało mapę. – Co robisz? – spytała.

– To mój dziennik – powiedział. – Pracuję nad czymś. Dobrze, że tu jesteś. Chciałbym z tobą o tym porozmawiać.

Dyana ostrożnie wycisnęła na jego plecy następną porcję lepkiego soku.

– Czy to mapa?

– Owszem, to mapa Dring. Posłuchaj, Dyano, ostatnio dużo myślałem. Przyszło mi do głowy kilka pomysłów, jak pobić Narenów.

Dyana rozerwała ostatni liść, smarując lepkiem sokiem dłonie.

– Jesteś gotów?

Richius wziął się w garść.

– Tak – odpowiedział, opuszczając głowę i kładąc dziennik na podłodze.

– Będę uważała – obiecała mu ponownie.

Richius odpowiedział uśmiechem skazańca.

Dyana, najdelikatniej jak mogła, przyłożyła pokryte lepkiem sokiem dłonie do jego pleców. Richius natychmiast zeszytniał, a Dyana instynktownie cofnęła dłonie.

– Przykro mi, Richiusie. Nie chciałam...

Potrząsnęła głową.

– Nie przerywaj. Rób swoje.

Ponownie przyłożyła dłonie do jego pleców. Tym razem lepka substancja była znacznie zimniejsza. Dyana czuła chłód sączący się w opuszki jej palców. Stopniowo przesunęła dłonie w dół i ostrożnie rozprowadziła resztę maści, smarując wszystkie pęknięcia i oparzeliny. A Richius, ku jej zaskoczeniu, wydał westchnienie ulgi.

– Działa! – stwierdził z zachwytem. – Słodki Boże, to działa!

Zamknął oczy i pozwolił jej na rozmasowanie popękanej skóry i wtarcie maści w każdą ranę. Dyana pracowała bardzo ostrożnie i delikatnie, przemawiając do niego jak do dziecka. Lepki sok chłodził jej palce chłodem jesieni. Bardzo jej się spodobało to uczucie – chłód spełzający z jej palców na udręczoną skórę Richiusa. Podobało się jej jego ciało. Okaleczone w bitwie, ale nadal pełne piękna.

Jej dłonie znieruchomiały.

Richius otworzył oczy.

– Dlaczego przestałaś?

– Bo już skończyłam – skłamała. – Lepiej ci?

Mężczyzna podniósł się i przeciągnął, rozkładając ramiona.

– O tak – oznajmił. – Znacznie lepiej. Dziękuję, Dyano. To było nie do zniesienia...

Chciała pogłaskać go po policzku, ale się powstrzymała.

– Co się stało, Dyano? Zrobiłem coś złego?

Dyana potrząsnęła głową.

– Nie, przeciwnie. Powiem Najjir, że jej liście przyniosły ci ulgę. Będzie jej miło.

– Wątpię – odparł Richius. – Ale podziękuj jej i tak.

– Możesz się odwrócić?

Ranny przewrócił się na bok i oparł na łokciu. Dyana spojrzała w jego twarz

i stwierdziła, że rany okropnie go wyniszczyły. Wyjąwszy plecy, skórę na twarzy i piersi miał chorobliwie białą, nienaturalnie też sterczały mu kości obojczyków i ramion. Od powrotu z frontu niczego nie jadł, nie mogąc utrzymać posiłków w żołądku. Teraz trzeba go było karmić.

– Musisz coś zjeść – stwierdziła, podchodząc do niewielkiego stolika stojącego przy łóżku pod ścianą. Znalazła na nim miskę z wodą i ręcznikiem. Zmyła z dłoni resztki lepkiego soku i wytarła ręce. – Zaraz ci coś przyniosę.

– Poczekaj – zatrzymał ją Richius. – Chciałbym przedtem porozmawiać.

Wyciągnąwszy się na łóżku, spróbował podnieść książkę, którą wcześniej położył na posadzce. Dyana podbiegła i podniosła ją pierwsza.

– Nie wykonuj gwałtownych ruchów – upomniała rannego. – Może i czujesz się lepiej, ale twoja skóra musi mieć czas, by się zagoić. To trochę potrwa.

– Nie mamy go za wiele, Dyano – odpowiedział, biorąc dziennik z jej ręki i szybko kartkując strony. – Dlatego właśnie pracowałem nad tym planem. O, czekaj, pokażę ci.

Dyana uklękła przy łóżku, dostatecznie blisko, by czuć ciepło jego oddechu.

– Miałeś odpoczywać – ofuknęła go. – Ale teraz, gdy widzę, że masz dość siły na pisanie, możemy zacząć lekcje.

– Jutro – rzucił Richius niecierpliwie. – Albo dziś, ale później. Muszę ci najpierw coś pokazać.

Znalazł potrzebną mu stronę i wskazał palcem, o co chodzi. Była to mapa doliny Dring, nakreślona niezbyt precyzyjnie, ale czytelna. Małe czarne plamki pokazywały położenie otaczających dolinę oddziałów nareńskich. Pośrodku doliny wznosił się zamek Dring, a na dole strony była płatanina kresiek, które Dyanie niczego nie przypominały. Wskazała je podbródkiem.

– A to co?

– No właśnie o tym chciałem z tobą pomówić. Na południu doliny rozciągają się bagna i mokradła, prawda?

– To mają być bagna?

Richius spojrzał na nią karcąco.

– Byłem chory, gdy to rysowałem. Ale mam rację z tymi bagnami, prawda? Słyszałem, że rozciągają się aż do ujścia Sheaze.

– Najjir powinna wiedzieć lepiej, ale chyba masz rację. Dlaczego pytasz?

– Usiłowałem znaleźć sposób na pobicie legionistów teraz, kiedy wdarli się do lasu. – Spojrzał na nią bystro, przypominając sobie to, o co pytał codziennie. – Nic nowego się nie wydarzyło, prawda?

– Prawda – zapewniła go. Kierowany pragnieniem okazania pomocy nawet na poły

przytomny wypytywał ją o to, jak stoją sprawy na froncie. – Voris jeszcze nie wrócił. Ani dumaka Jarra. Ranni opowiadają jednak, że nasi jakoś się trzymają. Miałaś rację z tymi pułapkami. Znacznie zwolniły tempo natarcia Narenów. Wojownicy mówią, że jak do tej pory nie poczynili prawie żadnych postępów.

– A co z Kroninem? Czy są jakieś wieści z Tatteraku?

– Richiusie, jeszcze nie minął tydzień...

Aramoorczyk kiwnął słabo głową.

– Voris i jego ludzie nie utrzymają się. Gayle pośle legionistów, którzy oczyszczą mu drogę. Kiedy znajdzie sposób na przeprowadzenie jazdy przez las, nie zdołamy go zatrzymać... Dotrze do zamku. Wiem, jaką zastosuje taktykę. Zabezpieczy tereny przyległe do leśnego traktu, a potem ruszy do natarcia. Musimy wymyślić jakiś sposób, by ich pobić, zanim do tego dojdzie.

– To nad tym pracowałeś? – spytała. – Myślałeś, jak ich pokonać?

– Owszem, i odkryłem, że wszystko sprowadza się do tych bagien. Pomyśl sama. Nie możemy zatrzymać jazdy na otwartym terenie. Trzeba ich jakoś zepchnąć w las, zanim zdołają się rozwinąć do natarcia. Albo... – wskazał płataninę kresek na dole mapy – ...wywieść ich na te bagna. Tam możemy urządzić zasadzkę. Konie utkną w błocie, a i legionieści niewiele wskórają. Tam ich pobijemy, walcząc na naszych warunkach, w wybranym przez nas miejscu i czasie.

Z uśmiechu na jego twarzy wywnioskowała, że czeka na jej aprobatę. Dręczyło ją jednak dość oczywiste pytanie, którym mogła ugasić jego entuzjazm.

– Owszem, to bardzo dobry plan – odezwała się z rezerwą w głosie. – Ale jak zapędzimy ich na te bagna?

– Nie my – odpowiedział, uśmiechając się jak głodny wąż. – To sprawa dla Kronina.

– Kronina? Och, Richiusie, może powinieneś to przemyśleć. To chyba nie jest dobry pomysł.

– Już to przemyślałem – odpowiedział Richius. Odepchnął się od siennika i usiadł obok Dyany. – Wszystko sobie ułożyłem. Musi się udać. Gayle nie spodziewa się żadnych nowych przeciwników. Jeżeli uda nam się go zaskoczyć, zepchniemy go na południe, zanim zdąży się zorientować, w czym rzecz. A jak trafi na bagna... My już będziemy tam czekali, siedząc w koronach drzew, jak niedawno na brzegu lasu. Tym razem jednak oni tam utkną i zostaną. Nie damy im się wycofać. Zostaną tam na zawsze, Dyano.

– Zaczekaj – powstrzymała go Dyana. – Ja tylko mówię, że nie powinieneś za bardzo liczyć na Kronina i jego ludzi. On nienawidzi Vorisa nie mniej niż Voris jego. A jeżeli dojdzie do wniosku...

Urwała nagle, ukłuta brzydką myślą.

– Do jakiego wniosku? – spytał Richius.

– Nieważne – odpowiedział spieszenie Dyana. – Przepraszam, to nieważne.

– Zawsze wiem, kiedy kłamiesz – stwierdził Richius z uśmiechem. – Więc mów. Co ci przyszło do głowy?

Dyana przez chwilę myślała nad odpowiedzią.

– Kronin może nie zechce przyjść nam z pomocą, kiedy dojdzie do wniosku, że nie ma takiej potrzeby.

– Nie ma potrzeby? A niby dlaczego miałby tak pomyśleć? Jeżeli posłaniec Vorisa powie mu, ilu to mamy Narenów na karku, zrozumie, że bez jego pomocy sobie nie poradzimy.

– Nie to chciałam powiedzieć – poprawiła się Dyana. I wbiła wzrok w ziemię. – Kronin i Voris odłożyli tylko swój spór na lepsze czasy. Taka była wola Tharna. Ale Tharn przepadł i nie przysłał wieści od kilku tygodni. – Zamknęła oczy. – Jeżeli Kronin dojdzie do wniosku, że Tharn zginął, może nie zechce przyjść nam z pomocą.

Nareszcie to powiedziała. Zebrała się w sobie, czekając aż komnata rozbłyśnie ogniem Tharnowych błyskawic. Najjir powiedziała, że sama je na siebie ściągnęła. Przeszyło ją poczucie nieczystego wstydu. Może i tak było w istocie. I wtedy usłyszała obok siebie spokojny, dodający jej otuchy głos Richiusa.

– Dyano, spójrz na mnie.

Otworzyła oczy. Uśmiechał się do niej, jak zawsze, kiedy go potrzebowała.

– Nie odprawiaj żałoby po człowieku, o którym nie wiesz, że umarł – powiedział łagodnie. – Tharn żyje, Dyano. Jestem tego pewien.

– Naprawdę? – spytała. Niekiedy w najtrudniejszych sprawach miewał rację.

– Tak. Czuję to przez skórę. Jest uparty i nie pogodzi się ze śmiercią, dopóki w Lucel-Lorze są Narenie. Możesz mi wierzyć.

– Och, wierzę ci – odparła. – Wierzę. Tak, masz rację. Oczywiście masz rację. Wybacz mi, jestem głupia.

– Nie, po prostu martwisz się o niego, to wszystko. Prawdę rzekłszy, ja też. Ale już niedługo prześle nam wiadomości, jak tylko będzie mógł. Zapomnij o swoich obawach.

Dyana spróbowała się uśmiechnąć.

– Zapomnę. Ale to nie oznacza, że nie mam racji, Richiusie. Najjir mi powiedziała, że brak wiadomości od Tharna zaczyna niepokoić innych. Jeżeli Kronin uzna Tharna za zaginionego, może nie zechce udzielić nam pomocy.

– Zechce i udzieli – zapewnił ją Richius. – Oczywiście, jeżeli będzie mógł. Jest człowiekiem honoru. I myślę, że on czuje, iż jest mi to winien. Ale wszystko zależy od

sytuacji u brzegów. Jeżeli flota Narenów wciąż będzie wysadzać na ląd nowe oddziały, może nie zdoła udzielić nam pomocy. Dyano, tkwimy tu jak ślepcy. Nie mamy pojęcia o tym, co się dzieje poza doliną. Tharn mógł już przesłać wiadomości do Falindaru, a i Lisseńcy może już się uporali z Czarną Flotą.

– Przestań – odezwała się Dyana stanowczym tonem. – Musisz odpocząć. Może czujesz się dobrze, ale z pewnością nie jesteś zdrow. Ból może wrócić.

– Ale masz jeszcze ten lek, prawda? Po prostu nałożysz mi kolejną porcję.

– Owszem, ale to tylko uśmierzy ból, a nie uzdrowi. Do tego potrzebny ci odpoczynek, a przynajmniej jeszcze jeden dzień w łóżku. Wrócę dziś wieczorem. Jeżeli ból pojawi się znowu, zastosujemy maść. Ale nie wolno ci się przemęczać. I odłóż tę książkę. Spróbuj zasnąć.

– O tak, zasnąć... – odpowiedział rozmarzonym głosem.

Od kilku dni nie udało mu się przespać dłużej niż godzinę w ciągu doby. Wypowiedziane przez Dyane słowo podziałało jak zakłęcie i powieki Richiusa zaczęły się zamykać.

I nagle Dyana ujrzała w drzwiach sylwetkę wodza. Zachnęła się, co obudziło Richiusa, który natychmiast usiadł.

– Voris – wymamrotał niezbyt wyraźnym głosem.

Dyana poczuła, że się rumieni. Pochyliła głowę i powitała wodza.

– Witaj w domu, lordzie Vorisie.

Voris kiwnął jej niedbale głową. W dłoni trzymał jiihtar, pokryty błotem i zbryzgany plamami krwi na okrytej skórzaną plecionką rękojeści. W znużonych oczach wodza płonęły iskierki szaleństwa, a mokra opończa zwisała z niego jak żebracze szmaty. Jedno przedramię miał przewiązane brudnym bandażem, a na drugim widać było rany, bardzo podobne do tych, które szpeciły plecy Richiusa. Stąpając ciężko, wódz wszedł do komnaty i Dyanie wydało się, że jest tak zmęczony, iż lada moment wypadnie. Voris zebrał jednak dość sił, by obdarzyć Richiusa krzywym uśmiechem.

– Co z nim? – spytał Dyane.

– Wraca do sił. Twoja żona pomaga mi go pielęgnować.

Voris podszedł bliżej i spojrzał na rany Richiusa.

– A gdzie jest moja żona?

Richius lekko zeszywniał.

– Dyano, co on powiedział?

– Jest w lasach pod twierdzą – odparła. – Zbiera leki dla rannych. Nie może się doczekać chwili, w której znów cię zobaczy.

– Ja też – stwierdził wódz, nie odrywając spojrzenia od twarzy Richiusa. – A teraz,

skoro się ocknął, powiedz mu, że postąpił bardzo głupio. Powinienem go zabić za to, że chciał mi ocalić życie.

Mimo groźby w słowach, wódz powiedział to niemal dobrodusznie. Dyana uśmiechnęła się do Richiusa.

– Wódz ci dziękuje – powiedziała. Nie była to cała prawda, Dyana jednak podejrzewała, że żadnemu z nich na całej prawdzie nie zależy. – Powiedział, że postąpiłeś dzielnie i honorowo.

– Widzę w jego oczach, że niezupełnie to właśnie powiedział. Ale możesz mu rzec, że się cieszę. Jeżeli zresztą dobrze pamiętam, zrobił dla mnie to samo.

– On źle wygląda – stwierdził Voris. – I dlaczego jest taki chudy?

– Z powodu bólu nie mógł jeść. Nie martw się. Zadbam, żeby zjadł dziś kolację.

– Owszem, dbaj o niego – stwierdził Voris, patrząc na Richiusa zmęczonymi, ale wesołymi oczami. – Jak tylko wstanie, znów będzie nam potrzebny. Ale bacz, by nie wstał za wcześnie. Niech przyjdzie, kiedy będzie mógł.

– Dyano – rzucił szybko Richius – spytaj go, jak stoją sprawy. Co na froncie? Dlaczego wrócił?

Dyana uśmiechnęła się do Vorisa.

– Panie, on ma wiele pytań.

– Odpowiem na nie później – odparł Voris. – Wróciłem przed chwilą, jestem zmęczony, głodny i chcę jak najszybciej zobaczyć się z żoną. – Wódz odwrócił się i ruszył ku drzwiom. – Zadbaj o to, by zjadł jak najwięcej. Musi się wzmocnić.

– Dyano, co on powiedział?

– Później – odparła. – Teraz odpocznij.

– Ale ja chcę opowiedzieć mu o moim planie!

– Richiusie, on niedawno wrócił z frontu. I jemu potrzebny jest odpoczynek.

Ale Voris, jakby w lot zrozumiał przyczynę niepokoju Richiusa, zatrzymał się i odwrócił do leżącego.

– Kalaku, jakoś sobie radzimy. A wróciłem tu nie tylko po to, by ci o tym powiedzieć. Rodzina, Kalaku. *Kafife*.

– *Kafife*, Richiusie. Pamiętasz? On chce się zobaczyć z rodziną.

Richius kiwnął głową.

– Teraz niech Kalak odpocznie – Voris zwrócił się do Dyany. Na jego twarzy pojawił się osobliwy wyraz i wódz wskazał spojrzeniem drzwi. – Wyjdź na zewnątrz. Musimy się rozmówić.

Dyana zmartwiała. „Najjir – pomyślała ponuro. – Zdążyłaś mnie zdradzić”.

Ale nie... Voris jeszcze się z nią nie widział. Czego więc chciał? Kiwnęła głową

i ruszyła ku drzwiom, rzucając jednocześnie Richiusowi uśmiech pełen otuchy.

– Wieczorem przyniosę ci kolację – obiecała. – A teraz śpij.

Richius przez chwilę patrzył za nimi, zamknęła więc drzwi, a znalazłszy się na korytarzu, zebrała się na odwagę i spojrzała w twarz wodza. Voris patrzył na nią badawczym wzrokiem. Potem skinął dłonią, wzywając, by ruszyła korytarzem obok niego. Dyana posłuchała, robiąc małe kroki, by przedłużyć czas na odgadnięcie tego, czego też wódz mógł od niej chcieć. Kiedy dotarli do końca korytarza, Voris się zatrzymał.

– Jak widzę, dobrze się opiekujesz Kalakiem.

– Staram się jak mogę.

– To dobrze. Tego życzyłby sobie Tharn. Naszą powinnością, twoją i moją, jest zadbanie, by nic złego mu się nie przytrafiło. Wiesz o tym, prawda?

Dyana lekko zeszywniała.

– Oczywiście.

Oczy wodza przeszywały ją przebiegłym, badawczym spojrzeniem.

– Śmiała z ciebie osóbką. Odpowiedz mi zatem na jedno pytanie. Widziałem ciebie i Kalaka, i widziałem, jak na siebie patrzycie. Kobieto, czy sądzisz, że twój mąż nie żyje?

Oto była zgroza w najczystszej postaci. Dyana z najwyższym trudem opanowała cisnący się na jej twarz grymas przerażenia.

– Jak to nie żyje, panie? Dlaczego zadajesz mi takie pytanie?

– Kobieto, jestem bardzo zmęczony i nie mam nastroju do tego, by uprawiać szermierkę na słowa. Czy sądzisz, że Tharn nie żyje? Powiedz prawdę. Poznam, jeżeli skłamiesz.

– Panie, o co mnie oskarżasz?

– Nie kłam, by uratować Kalaka – odparł spokojnie Voris. – Nie jest to groźba, jak sądzisz. Chcę wiedzieć tylko, czy pożądasz Narena. Oskarżałem cię już o to wcześniej. Chcę wiedzieć, czy tak właśnie jest.

Dyana uciekła ze spojrzeniem w bok, udając niesmak i oburzenie.

– Doprawdy, panie. Powinieneś uważać na to, co do mnie mówisz. Czy odważyłbyś się na coś takiego w obecności Tharna?

Voris spojrzał tak, że zmartwiała.

– Kobieto, znam Tharna niemal tak samo długo, jak ciebie. Nie myśl, że mnie przestraszysz jego imieniem.

Dyana jednak nie ustąpiła.

– To dlaczego oskarżasz mnie o takie zbrodnie? Jeżeli znasz nas oboje, dlaczego nie zostawisz nas swemu losowi?



Voris nie odpowiedział, ale w jego oku pojawił się zagadkowy błysk. W innych okolicznościach Dyana przysięgłaby, że wódz obdarzył ją porozumiewawczym uśmiechem. Patrzył na nią przez chwilę, potem mrugnął, odwrócił się i zostawiając ją samą, ruszył ku zamkowej bramie, kierując się do lasu na spotkanie żony.

Dyana poczuła się dość głupio i skłęła samą siebie za to, że okazała brak ostrożności. Oparłszy się o zimne kamienie muru, wbiła posępne spojrzenie w pokryty siecią pęknięć sufit. Zaczęła rozmyślać, jaki będzie następny krok Vorisa.

## Czterdzieści dwa

Tharn ocknął się, usłyszawszy własny, nieprzyjemnie świszczący oddech. Był w jakimś pokoju, albo w czymś, co bardzo dobrze udawało pokój o ścianach pokrytych tkaniną. Kręciło mu się w głowie. Gdy otworzył powieki, przeszyły mu je igły bólu. Wszystko zawirowało, gdy Drol usiłował opanować zawrót głowy, otwierając oczy.

„Nie – dotarło do niego nagle. – Nie oczy. Oko”. Przyłożywszy drżącą dłoń do twarzy, wymacał zakrywające lewą jej część bandażę, które odbierały mu połowę pola widzenia. Kiedy dotknął skóry, poczuł znów straszliwy ból.

Był sam w dość mrocznej komnacie. Leżał na miękkim pledzie utkany z traw. Okryto go delikatnym kocem, a obok ustawiono płytkie naczynie z wodą i zmoczoną szmatką. Było pełne krwi. Poczuł ukłucie niepokoju. Jak długo leżał nieprzytomny?

– Co...

Usiłował coś powiedzieć, ale z jego warg wydobył się tylko niewyraźny charkot. Spróbował jeszcze raz. Zabolało. Szybko zrobił rachunek zbolałych miejsc. Nie tylko głowa płonęła mu bólem. Podobnie było z ramieniem i piersią. I nie były to zwykłe dolegliwości, do których zdążył już przywyknąć. Czuł zupełnie nowy rodzaj bólu, który przeszywał mu ciało tysiącem żadeł. Co to za miejsce? Gdzie podzieli się inni? Miał powóz, a teraz leżał w namiocie?

Nagle przypomniał mu się lew. Czyżby zaatakował go lew?

– Och, Lorrise – jęknął. – Pomóż mi...

Spróbował się podnieść, ale zdołał jedynie przewrócić się na bok. Jego uschnięte ramię też spowijały bandażę. Zsuwając z siebie koc, zorientował się, że jest nagi. Oprócz kilku nowych pasm płótna wokół piersi i ramienia był całkowicie obnażony – a widok jego ciała nie był przyjemny. Przeszukał szybko otoczenie wzrokiem i odnalazł swoje szaty. Ktoś je wyprał i starannie złożył na krześle. Nieopodal ustawiono jego buty, te specjalnie przystosowane do jego zniekształconych stóp. Buty też wyczyszczono i odrapano z błota, tak że czystością lśniła nawet skóra podeszew. Poirytowany Tharn podczołgał się ku nim, usiłując pełznąć po kamiennej posadzce, ale po przebyciu jednej stopy musiał się poddać.

– Niech to lichy – zaklął, ciężko dysząc. Niewielki w końcu wysiłek zmusił jego serce do wściekłego galopu. Osunął się na posadzkę i poczuł, że za chwilę ogarnie go mrok nieświadomości. – Pomocy! – jęknął. – Raig, Nagrah, pomóżcie mi!

Na wezwanie odpowiedział Nagrah, który natychmiast wpadł do komnaty. Ujrawszy leżącego na posadzce Tharna, młodzieniec sapnął ze zgrozy.

– Mistrzu! – zawołał, podbiegając. – Przestań! Co ty wyprawiasz?

– Nagrahu... – wycharczał z trudem Tharn. – Gdzie...

– Nic nie mów, mistrzu – poprosił kapłan.

Objąwszy Tharna ramieniem, przeniósł go łagodnie na posłanie, a potem ułożył na nim pokaleczone członki. Ogromnie osłabiony Tharn zamknął oczy, by się nie zdradzić z bólem, jaki sprawił mu ten ruch. W końcu Nagrah położył mu dłoń na czole.

– Gorączka nie ustępuje – stwierdził raczej na własny użytek, niż mówiąc do Tharna. Ukląkł przy posłaniu i spojrzał w twarz leżącego, pilnie wpatrując się w odsłonięte oko. – Mistrzu, czy mnie słyszysz?

– Owszem – odpowiedział Tharn słabym głosem. – Co to za miejsce?

– Cicho – rzekł Nagrah. Delikatnym gestem pogładził Tharna po policzku, jak matka uspokajające dziecko. – Nie mów, proszę. Jesteś bardzo chory. – Potem na jego twarzy pojawił się uśmiech. – Ale już niedługo staniesz na nogi.

– A teraz, co mi jest? – wychrypiał Tharn. Miał wiele pytań i nie wiedział, od czego zacząć. – Co się stało?

– Później – odparł Nagrah.

– Teraz! – uciął Tharn. – Odpowiedz mi, co to za miejsce?

Młodzieniec spojrzał na mistrza z dezaprobatą w oczach.

– Panie, zechciej odpocząć. Porozmawiać możemy później.

Udrękę Tharna powodował nie tylko ból, ale i świadomość tego, że traktują go jak dziecko. Zacisnął więc zęby i chwycił skraj szaty Nagraha.

– Odpowiedz! – syknął z uporem.

– No dobrze – zgodził się młodzieniec. Delikatnie rozplatał wczepione w jego rękaw palce mistrza. – Jesteśmy w Chandakkarze.

– Wszyscy? Co z innymi?

– Żadnemu nic nie grozi, jesteśmy bezpieczni. Wszystko dzięki Karłazowi. To jego wioska.

– Lew... – przypomniał sobie Tharn. – Co się stało?

Twarz Nagrana oblekła się chmurą.

– Przykro mi, mistrzu. To moja wina. Przestraszyłem zwierzę. Uderzyłeś je kosturem i lew rzucił się na ciebie. Pamiętasz coś?

Tharn sięgnął w głąb pamięci, przywołując mgliste wspomnienia. Pamiętał, że się modlił i zobaczył lwa. A potem już nic. Potrząsnął głową.

– Nie... – powiedział. – Właściwie to nic. Jest ze mną źle?

– Było bardzo źle. Teraz jest już lepiej. Niedługo będziesz mógł wstać.

– Karłaz? Czy on jest tutaj?

– Jesteśmy w jego wiosce – powtórzył Nagrah wolniej, tak jakby chciał, żeby Tharn wszystko zrozumiał. – Myślę, że ten lew należał do niego. Był niedaleko. Kiedy zwierzę zaatakowało, powstrzymał je i odwołał.

– Trochę się spóźnił – wycharczał Tharn. – Co ze mną? Jak moja twarz?

– Lew uderzył cię łapą, mistrzu. Sięgnął, kiedy go uderzyłeś. Paskudnie krwawiłeś z rany na piersi. Ale twoja twarz nie jest w najgorszym stanie.

– Nie – odparł Tharn z goryczą. – Mogło być gorzej, prawda? Ale gdzie Karlaz jest teraz? Gdzie są pozostali? Sprowadź ich, Nagrahu. Musimy porozmawiać.

– Odpocznij, mistrzu. Zdarzyło się wiele, o czym jeszcze nie wiesz. Wszystko ci opowiem, ale nie teraz. Musisz odzyskać siły.

– Nie mamy czasu – przerwał mu Tharn. – Sprowadź Karlaza. Musimy się spieszyć. Przesmyk...

– Mistrzu, już mu mówiłem o przesmyku. On wie, po co tu przybyliśmy. Cekał z rozmową, aż się ockniesz.

– Pomoże nam?

– Mistrzu, ze mną nie chciał o tym mówić. Rzekł, że będzie rozmawiał tylko z tobą.

– To sprowadź go do mnie – zażądał Tharn, ponownie podejmując próbę podniesienia się z posłania. – Chłopcze, niech to licho, nie zwlekaj. Jak długo leżałem bez ducha?

Nagrah skrzywił się ponuro.

– Trzy dni.

Jedyne oko Tharna rozświetliło zdumienie.

– Spałem trzy dni?

– Prawie cały czas. Niekiedy bredziłeś. Nie jesteś głodny?

Tharn nagle poczuł istic wilczy głód.

– Owszem, jestem. I chce mi się pić.

– Zaraz ci coś przyniosę – obiecał Nagrah, wstając, by wyjść.

– Sprowadź Karlaza!

– Powiem innym, że się obudziłeś, mistrzu. Jeżeli Karlaz będzie mógł, zaraz przyjdzie.

Nagrah wyszedł przez drzwi, za którymi widać było otwartą przestrzeń. Nie on jednak przyniósł posiłek. Po kilku chwilach do pokoju weszła jakaś kobieta niosąca dwa naczynia, z których unosiła się para. Była starsza od Tharna, niewysoka i żywotna. Szybko przeszukała izbę wzrokiem, unikając spojrzeń mędrca. Miała na sobie skromną, ciasną i funkcjonalną szatę uszytą z jagnięcych skór. Tharn pomyślał, że w tym skromnym domu była jak najbardziej na miejscu. Kobieta podeszła bliżej i ustawiła obie

miski obok jego posłania. W jednej był gorący rosół, w drugiej grubo zmielony zbożowy grysik. Kiedy postawiła naczynia, Tharn uśmiechnął się do niej.

– Dziękuję – powiedział. – Ale sam sobie nie poradzę...

Jak się okazało, kobieta była na to przygotowana, bo podała mu łyżkę pełną rosółu. Tharn przełknął ją łapczywie, ciesząc się ciepłem spływającego mu w przełyk płynu. Kobieta karmiła go bez słowa, a kiedy miska się opróżniła, Tharn podziękował jej skinieniem głowy i uniósł dłoń.

– Jesteś uprzejma i łagodna – powiedział. – Jak ci na imię?

Kobieta nie odpowiedziała. Tharn zmarszczył brwi.

– Mówisz moim językiem? – zapytał. – Jestem Tharn. – Wskazał palcem na swoją pierś. – Tharn.

Kobieta skinęła głową, nie patrząc mu w twarz. Tharn wywnioskował, że został zrozumiany. Zaraz potem kobieta sięgnęła po owsiankę i podała mu kolejną łyżkę. Owsianka była równie smakowita, jak rosół, i Tharn pochłonął wszystko z przyjemnością. Po kilku jednak łykach odmówił przyjęcia kolejnej porcji.

– Powiedz mi coś – poprosił. – Kim jesteś?

– Jestem nikim – odpowiedziała. – Więcej?

Tharn potrząsnął głową.

– Nie, już wystarczy. Należysz do ludzi Karlaza?

Nie odpowiedziała. Kiedy odmówił zjedzenia kolejnej łyżki, wstała i wyszła z pokoju, zostawiając go samemu sobie i rozmyślaniom dotyczącym jej tożsamości. Tharn opadł na posłanie – z pełnym brzuchem, ale zraniony w swoich uczuciach. Najwyraźniej tajemnicza kobieta znała jego język. Oczywiście mówiła z obcym akcentem, ale to wszystko. Westchnął z irytacją. Gdzie, u licha, podziewał się Nagrah?

Po upływie pół godziny w drzwiach pojawiła się postać mężczyzny. Tharn niemal już zasypiał, ale ujrawszy nieznanego, natychmiast się ocknął. Był to ogromny człowiek o beczkowatej piersi. Jego głowę zwieńczała grzywa włosów białych jak u Triina, ale z odcieniem złota. Z prawego ramienia zwieszał mu się ukośnie przez pierś szeroki pas tkany ze złotego i czerwonego jedwabiu, poprzątkany lwimi kłami. Na grubych palcach miał srebrne pierścienie, a z jego uszu zwieszały się ozdobione klejnotami kolczyki. Tharn natychmiast poznał Karlaza, wodza Chandakkaru. Mędrzec usiadł nie bez trudu, usiłując zachować się godnie, co nie było łatwe w przypadku nagiego, poranionego człowieka. Pan lwów wszedł, stanął nad Tharnem niczym wieża i przeszył go wzrokiem.

– Ty jesteś Tharn – zadudnił. – A jam jest Karlaz.

Tharn szybko skinął głową.

– Tak, Karlazie, jestem Tharn. Ja... hm... dziękuję ci za przybycie. I za uratowanie mi życia. Jeden z moich uczniów, Nagrah, powiedział mi, co dla mnie zrobiłeś. – Spojrzał na swoje nagie ciało, zarumienił się nagle i przyciągnął koc, by się okryć. – Jestem ci wdzięczny.

Karlaz nie przejawiał przesadnego entuzjazmu.

– Nagrah mi powiedział, że czujesz się lepiej. Masz dość sił na rozmowę?

– Teraz czuję się lepiej i mogę porozmawiać. Muszę cię poprosić o pomoc, Karlazie...

Karlaz uciszył go gestem dłoni.

– Wiem, o co chcesz prosić. Wyjaśnili mi to twoi ludzie.

– Więc mi pomożesz? – spytał Tharn z nadzieją w głosie. – Wielki Karlazie, potrzebujemy ciebie i twoich ludzi. Potrzebuje was cały Lucel-Lor. Jeżeli...

Karlaz odwrócił się i podszedł do drzwi. Były otwarte i na twarz wodza padła smuga słonecznych promieni. Przez długą chwilę patrzył przed siebie, potem przeniósł wzrok na Tharna i znów wyjrzał na zewnątrz. Zaintrygowany tym wszystkim Tharn wykręcił głowę, by zobaczyć, co tamten widzi, wszystko mu jednak zasłaniała ogromna sylwetka wodza.

– Co ty wiesz? – spytał w końcu władca lwów.

– Co wiem? Przykro mi, ale nie rozumiem. Niezbyt wiele pamiętam, jeżeli o to pytasz...

Z twarzy olbrzyma niczego się nie dało wyczytać. Stał i patrzył na zewnątrz, a jego milczenie potęgowało niepokój Tharna.

– Gdzie są moi mędrzy? – spytał wreszcie Tharn. – Sądziłem, że ich tu zobaczę...

– Mają się dobrze – odparł Karlaz. – Niech cię to nie trapi.

Tharn jednak się trapił. Niepokoilo go coś w zachowaniu wodza. Karlaz stał spokojnie, ale wyraz jego twarzy świadczył o tym, że jest myślami daleko od tego miejsca. Drol odchrząknął, by zwrócić na siebie uwagę wodza.

– Chciałbym się z nimi zobaczyć – poprosił uprzejmie.

– Nie. Nie ma ich tutaj, bo nie chciałem, by nam przeszkadzali. Porozmawiamy sami, bez świadków.

– Dobrze – zgodził się Tharn. – Ale zechciej podejść bliżej. – Podniósł dłoń do twarzy. – Niezbyt dobrze widzę...

Karlaz spojrział na niego podejrzliwie, ale zrobił to, o co go poproszono. Tharn poczuł, że niemal tonie w cieniu olbrzymiej postaci wodza.

– Jesteś Tharn – stwierdził wódz po raz drugi. – Nawet tutaj w Chandakkarze, słyszeliśmy o Siewcy Burz. Ale coś mnie zastanawia. Dlaczego ktoś, obdarzony

„dotykam niebios”, przychodzi prosić mnie o pomoc?

– Karlazie, nie jestem tym, za kogo mnie uważasz. Jestem tylko człowiekiem...

Karlaz zaśmiał się z niedowierzaniem.

– Nie jesteś zwykłym człowiekiem. Jesteś mędrcom. Wiem o tym, że możesz wezwać na pomoc chmury, Drolu. Wiem, czego potrafisz dokonać. Dlaczego więc tego nie robisz?

– Karlazie, nie taka jest wola nieba. Nie pójdę już nigdy tamtą drogą. Nigdy więcej. Owszem, mam dar. Ale nie mogę go używać do zadawania śmierci. Nawet Narenom. Zrobiłem to raz jeden... – Tharn zsunął koc, odsłaniając swe okaleczone strasznymi ranami ciało. – Oto, jak się to zakończyło.

W oczach olbrzyma mignęła odraza.

– I ty w to wierzysz?

– To nie sprawa wiary, lecz wiedzy – odparł Tharn. – Wiem, że taką karę nałożyli na mnie bogowie. Zniszczyłbym Narenów, gdybym mógł, ale nie mogę. Potrzebny mi jesteś ty i twój lud. – Tharn wyciągnął dłoń ku wodzowi. – Karlazie, proszę... Przebyłem długą drogę. Nie odsyłaj mnie bez obietnicy pomocy.

Karlaz nie przyjął podanej mu ręki.

– Jeszcze tydzień temu nie chcielibyśmy cię tu oglądać, Siewco Burz. Nie jesteśmy Drolami i nie mamy zamiaru się do was przyłączać. Zastanawiam się, co ty o nas wiesz? Co pozwoliło ci liczyć na to, że nie odrzucimy tak zuchwałej propozycji?

– Karlazie – odpowiedział Tharn z powagą w głosie. – Nie proszę o łaskę. To nie moje życie jest w niebezpieczeństwie... Lorris świadkiem, że się nie lękam śmierci. Zagrożone są i wasze żywoty. Żaden Triin nie może się czuć bezpieczny wobec najazdu Narenów, nawet tu, w Chandakkarze. Jeżeli nie zamkniemy przesmyku Saccenne, jeżeli nie zatrzymamy napływu Narenów, wszyscy zginiemy. A jeżeli mi nie wierzysz, to znaczy, że jesteś głupcem.

Oczy Karlaza rozjaśnił błysk gniewu.

– Możesz chodzić?

– Nie – odpowiedział Drol.

Karlaz podszedł do miejsca, na którym złożono odzież Tharna. Podniósł opończę i podał ją gościowi.

– Wdziej to – rozkazał.

Tharn skrzywił się niechętnie.

– Nie mogę... nie bez pomocy.

– Daj rękę – polecił gospodarz.

Pochyliwszy się nisko, podał Tharnowi swoje sękaty palce. Tharn ujął je bojaźliwie,

a Karlaz bez wysiłku dźwignął go na nogi. Mędrzec jęknął boleśnie, usiłując się wyrwać, olbrzym jednak nawet nie zwrócił na to uwagi. Tharn stał nagi, podtrzymywany przez Karlaza i bezwładny niczym marionetka. Karlaz owinał go opończą jak szalem.

– Co ty wyprawiasz? – wycharczał Tharn. – Karlazie, przestań!

Karlaz nie słuchał. Ignorując błagania Drola, podniósł go z ziemi i podszedł z nim do drzwi. Kiedy przeszli przez próg, wódz opuścił Tharna na ziemię, podtrzymując go jednym ramieniem.

– Patrz! – zagrzemiał wódz. – Patrz i przestań mnie pouczać!

Tharn zobaczył skąpaną w świetle słońca wioskę. Podniósłszy dłoń do czoła, by osłonić oczy, popatrzył... i ujrzał ogrom zniszczeń. Większość domów była spalona, a ziemię pokrywały drzazgi i niedopalone szczapy, kawałki oręża, połamane deski i ruiny zawalonych domów, których dachy okrutnie nadgryzł ogień. Pośród tych zgliszczy brodzili Triinowie podobni do Karlaza o białych i złotych włosach i ponurych twarzach. Przejęty zgrozą Tharn wytrzeszczył oczy. Pod stopami zobaczył kawałki osmalonej przez ogień włóczni.

– Na Lorrisa! – jęknął. – Co tu się stało?

– Widzisz, Drolu? – warknął wściekle Karlaz. – I ja poznałem Narenów.

Tharn stał jak ogłuszony. W jednej chwili zapomniał o swoich dolegliwościach i bólach.

– Karlazie, powiedz mi, co tu się stało?

– Przybyli po nas ze swoją ognistą bronią na pokładach czarnych okrętów. I znaleźli nas tutaj zupełnie nie przygotowanych. Oni... – Na chwilę głos zawiódł wodza. – To była rzeź... wszystko stało się zbyt szybko. – Zamknął oczy i jęknął. – I nie mogłem nic na to poradzić. Nie miałem czasu, by wezwać lwy!

– Kiedy to było? – spytał Tharn. – Gdzie oni są teraz?

– Pojawili się przed pięcioma dniami. Przyszli od morza, nocą. My wtedy spaliliśmy!

– Ale co się stało? – pytał Tharn. – Opowiedz wszystko po kolei.

– Wiesz co ci powiem, Drolu? Masz jeszcze jedno oko. No to patrz! – Wódz szerokim gestem wskazał otaczające ich ruiny wioski. – Oto ich dzieło. Walczyliśmy, ale byli zbyt liczni, i zaskoczyli nas nie przygotowanych. A oni szaleli, jak burza, której nic się nie oprze. Szukali czegoś, ale nie mam pojęcia, co by to mogło być.

– Ale w końcu ich pobiliście. Jak?

– Uciekliśmy do doliny lwów – odpowiedział Karlaz. – To tam, gdzie cię znalazłem. Wezwałem lwy, ale kiedy tu dotarliśmy, Narenie już się wynieśli.

– Wynieśli się? Co chcesz przez to powiedzieć? Oni wrócą, Karlazie. Musicie...

– Nie wrócą – odpowiedział Karlaz. – Ich okrętów nie ma już na naszych wodach.



Tharn potrząsnął głową. Znow go rozboleła.

– Karlazie, niczego nie pojmuję. Dlaczego Narenie się wynieśli? Co się z nimi stało?

– Wróćmy do izby – zaproponował wódz. – Wszystko ci opowiem.

Ponownie wprowadził Tharna do domu, jednego z niewielu nietkniętych przez ogień. Posadziwszy Drola na posłaniu, odczekał, aż gość się uspokoi i odzyska dech. Tharn czuł mdłości i zbliżające się omdlenie, ale zdołał się opanować.

– Dobrze – odezwał się wreszcie. – Co się stało z Narenami i ich okrętami?

Na twarzy Karlaza po raz pierwszy zagościł uśmiech.

– Kiedy wróciłem do wioski z lwami, zastałem w niej jakiegoś człowieka. Dziwnie wyglądał. Był chudy... niepodobny do ciebie, ani do mnie. Nigdy takiego nie widziałem. Mówił chyba językiem Narenów. Byli z nim inni. Ludzie morza. Nie mogliśmy się z nimi rozmówić, ale sądzę, że chyba zrozumieliśmy, o co mu chodziło.

Tharn słuchał zdumiony opowieścią.

– Kim on był?

– Prakna – stwierdził Karlaz. – Mówił, że nazywa się Prakna. Wziął mnie nad wodę, gdzie były okręty. Pokazał miejsce, w którym uderzyli na Czarną Flotę. Jego okręty wyglądały inaczej. – Wódz niemal się rozpromienił. – Były jak złote smoki. Morskie demony, ale pełne piękna. I wielkie. Prakna był ich wodzem.

– Prakna – zastanowił się Tharn. Gdzieś słyszał to miano. Od lisseńskiego wysłannika. Dowódca floty stu wysp. – Bogowie! To byli Lisseńczycy, Karlazie! Tak się przedstawili?

– Nie rozumiałem, co mówili – odparł Karlaz. – Ale przybyli od morza. Zaatakowali okręty Narenów i odpędzili je. Potem Prakna pognął za nimi.

– Skąd wiesz?

– Bo zrobił tak – powiedział Karlaz i otworzywszy dłoń, odtworzył ruch okrętu na falach. Kiedy pochylił palce i opuścił dłoń ku ziemi, Tharn zrozumiał, co wódz ma na myśli. – Zatopi je, jak obiecał – ciągnął Karlaz. – Miał ze sobą wiele okrętów. Narenie się wystraszyli i odpłynęli.

Tharn poddał się uczuciu radości. W najśmielszych snach nie przypuszczał, że Lisseńczycy tak szybko przyjdą im z pomocą. Chciałby odszukać tego Praknę, ucałować go i paść mu do kolan z wdzięczności. Mieli sojusznika i to takiego, który potrafi odwrócić losy wojny.

– Karlazie, posłuchaj uważnie. Jeżeli Lisseńczycy będą strzegli naszych brzegów, Narenie nie zdołają wysadzać na nich żadnych oddziałów. Będą musieli się zdać na przesmyk. Oznacza to, że każdy rzeźnik, którego nam tu przyślą, będzie musiał przejść tym wąwozem. Na razie zajęli przełęcz i Ackle-Nye. Nie zdołamy ich odbić bez waszej

pomocy. – Jedyne oko Tharna płonęło ogniem zapалу. – Karlazie, potrzebne nam są wasze lwy.

Twarz Karlaza była chłodna, niczym zimowa noc.

– Siewco Burz, przed tygodniem odesłałbym cię. Wiedliśmy tu spokojne życie, bez tej waszej rewolucji. Ale wszystko się zmienia. Moje serce przepęlnia żądza zemsty.

– Więc nam pomożecie? – spytał Tharn.

– Wezwiemy lwy i wojowników z innych wiosek – stwierdził wódz. – Wyjaśnijmy sobie jedno, Drolu. Kiedy będzie po wszystkim, opuście Chandakkar. Nie będzie tu waszej władzy, nigdy!

Tharn ponuro skinął głową.

– Zgoda.

– Teraz odpocznij. Dopiero za kilka dni będziesz mógł wstać i wyjechać z naszej doliny. Na pozostałych wojowników też trzeba będzie poczekać. Odpoczywaj, a ja wszystko przygotuję.

– Wezwij więc swoje lwy, wodzu – polecił Tharn. – Będziesz miał swoją zemstę.

## Czterdzieści trzy

Przez całą noc padał gęsty i uporczywy deszcz. Voris Wilk, skulił się w błocie, kryjąc swą białą skórę i dziko płonące oczy za zasłoną gałęzi. Za nim, otuleni w mrok, czaili się dumaka Jarra i trzech inni wojownicy. Voris poruszał się powoli i ostrożnie, odchylając tylko najbardziej giętkie końce gałęzi. Na drodze przed nimi tkwił nareński wóz bojowy. Jedno koło pojazdu było złamane i sterczało krzywo na osi, pozostałe ugrzęzły w głębokim błocie. Wokół wozu nieustannie krążyło pięciu legionistów, którzy usiłowali uspokoić wciąż wprzęgniętego gregana. Wszyscy pilnie patrzyli w las, szukając wzrokiem nieprzyjaciół. Jeden trzymał uchwyty ogniomiotu i bez przerwy omiatał skraj lasu wylotem lufy. Voris widział, że Narenie są przestraszeni. Wódz uśmiechnął się i skinieniem palca wezwał do siebie Jarre. Stary wojownik przemknął niczym duch i ukląkł w błocie obok swego wodza.

– Pięciu – policzył szeptem. – Może jeszcze któryś siedzi wewnątrz.

Voris potrząsnął głową.

– Nie. Widzisz? Wóz jest otwarty. – Wskazał na żołnierza odzianego nieco inaczej, niż pozostali, trzymającego ogniomiot. – To ogniomistrz. Wóz jest pusty.

Jarra skinął głową i wyteżył wzrok. Pokrywa na szczycie wozu rzeczywiście była uchylona.

– Ich pięciu i nas jest pięciu – stwierdził rzeczowo. – Co teraz?

– Teraz zapłacą za swe zbrodnie...

Voris opuścił dłoń i gałązki zamknęły się nad jego głową. Pięciu na pięciu. Równe szanse. Byli czającymi się w mroku Triinami, co dawało im przewagę, bo przeciwnicy niewiele zdążą zobaczyć. Przykucnął i zaczął zastanawiać się nad kolejnością ataku. Na początek musi pójść ten z ogniomiotem, a reszta poczeka. Ogromne rogate bydlę też trzeba będzie zabić, choć Lorris jeden wie, czy to akurat się uda. Wódz wytarł czoło z pokrywającego je blocka i potu. Był mocno wyczerpany. Utarczki były zajadłe i każdego dnia tracili niewielki kawałek doliny na rzecz tych dzikusów. On i jego wojownicy potrafili się bić, ale tamci mieli przygniatającą przewagę liczebną. Nawet pułapki nie powstrzymywały tempa natarcia Narenów. Wódz wiedział, że zbliża się chwila, w której najeźdźcy oczyszczą cały trakt i wtedy uderzy jazda. Ostatni bój Triinowie stoczą pod murami zamku Dring, gdzie wszyscy zginą.

Przedtem jednak Wilk upuści wrogom krwi. Bestie, które napadły dolinę Dring, były złośliwe i podstępne, a Voris miał im do przekazania pewną wiadomość. Spokojnie cofnął się do miejsca, gdzie czekali jego wojownicy. Wszyscy byli młodzi i pełni zapału,

tacy, którzy nie brzydzili się rozlewem krwi. Voris zebrał ich w grupkę i spytał, czy są gotowi.

Każdy odpowiedział milczącym skinieniem głowy.

– Ja pierwszy zaatakuję tego z ogniomiotem. Nie wypali, bo mnie nie zobaczy. Kiedy zobaczycie, że już po nim, przybywajcie. Jarra, miej baczenie na ten kwasomiot. Wewnątrz może ktoś siedzieć.

– Przypilnuję go – obiecał stary wojownik.

– Działaj szybko. Przede wszystkim przetnij miechy. Jeżeli mamy zginąć, zniszczmy przynajmniej ten przeciwny naturze oręż.

Wódz zacisnął szczęki i odwrócił się w stronę traktu. Trzeba będzie zakraść się bliżej. Pod jego butami szeleściło i trzeszczało poszycie, ale dźwięki te tłumiał nieustanny szum deszczu. Voris wstrzymał oddech, pilnie bacząc na każdy szmer. Narenie w ogóle go nie zauważyli. Jarrę i wojowników pochłonał już mrok. Noc była bezgwiezdna i bezksiężycowa. Voris jednak widział całkiem nieźle, co zawdzięczał swojej triińskiej krwi.

Upewniwszy się, że dotarł dostatecznie daleko, odwrócił się i ruszył ku traktowi. I natychmiast usłyszał Narenów. Skupił wzrok na tym, by przeniknąć ciemności i przejrzeć przez gałęzie drzew. Brudni barbarzyńcy rozmawiali ze sobą, rozglądając się niepewnie i zerkając niespokojnie ku mrocznym leśnym głębinom. Voris pochylił się, jak podchodzący zwierzynę myśliwy, i poczuł przeszywający go dreszcz emocji. W uszach mu tętniło i czuł, że jego serce uderza szybciej. Jego jiihtar jakby sam wysunął się z pochwy, dwa ostrza zakrzywione niczym sierpy. Cał po calu wódz niczym nieskończenie cierpliwy wąż przekradał się pod gałązkami i pnączami. Narenowie, oddaleni już tylko o kilka kroków niespokojnie krążyli obok wozu, klnąc greegana i własnego pecha. Ogniomistrz niespokojnie wodził po lesie lufą swej broni, obok której pełgał nikły płomyk zapalarki. Voris Wilk oblizwał wargi.

Dopał ich w tej samej chwili, w której wyłonił się spomiędzy gałęzi. Wywijając ostrzami, runął z wrzaskiem na tego, który trzymał ogniomiot. Żołnierz odwrócił się, nacisnął spust i smagnał pobocze traktu ognistą strugą, oświetlając na ułamek sekundy przebiegającego obok Vorisa. Wilk zawył i opuścił ostrza, tnąc najpierw w ramię, potem w kark legionisty. Głowa żołnierza spadła w błoto. Pozostali legioniści wybuchli okrzykami zgrozy i strachu. Spomiędzy drzew wypadli dumaka i trzech inni wojownicy, wrzeszcząc dziko i wywijając niewidocznymi niemal w mroku jiihtarami. Narenie cofnęły się w popłochu. Greegan zaczął wierzgać i wywijać na oslep rogami.

W tej walce legioniści z Nar nie mieli prawie żadnych szans, gdyż oslepiały ich ciemności. Voris niczym burza spadł na jednego i skierował oba ostrza w jego pancerz,

zanim żołnierz go zobaczył. Naren machnął na oślepa mieczem. Jiiktar zderzył się z głownią miecza i ześlizgnął po niej w dół, odcinając trzymające rękojeść palce. Legionista zawył z bólu, podczas gdy Voris porwał go za głowę i szarpnąwszy hełm, zwałił Narena na ziemię, a potem zatopił zęby w jego nosie i odgryzł spory kawałek ciała. Przerażony i oślepiiony krwią tryskającą mu z twarzy legionista wydał błagalny wrzask, którego wódz słuchał przez moment, napawając się przerażeniem wroga. Potem zwinął dłoń w pięść i kilkakrotnie uderzył w odsłoniętą głowę, aż poczuł chrupnięcie pękających kości.

– *Cha Yulan!* – zawył. – *Cha Yulan ta!*

Wilk żyje.

Jarra wskoczył na wóz bojowy. Przerażony greegan szarpnął się w tył. Rzucili się na niego dwaj wojownicy, którzy skierowali swe ostrza na krtań bydłęcia, rąbiąc go w szyję, jakby to był pień drzewa. Greegan runął na ziemię z łoskotem, wyjąc i rycząc niczym wiosenna burza. Zostali jeszcze czterej żołnierze, oślepieni ciemnościami i przerażeni widokiem uwijających się wokół nich białych upiórów. Voris usłyszał świst stali lecącej ku jego głowie. Pochylił się, przepuścił ostrze nad głową, przeturlał po ziemi i zerwawszy się z niej, runął na napastnika. Jego jiiktar błysnął dwukrotnie i wytoczył dwa łuki krwi. Wykuta w Dring stał przecięła gładko kolczugę legionisty, bez trudu też sprawiła się ze skórą, którą była podszyta. Naren padł przerażony widokiem krwi tryskającej z jego przeciętych tętnic na szyi. Podniósł dłonie i padł na kolana, charcząc okropnie i brocząc spływającą mu po piersiach krwią. Voris kopnął go w opuszczoną przyłbicę hełmu i odrzucił wroga w tył.

Na dachu wozu Jarra wydał tryumfalny ryk, tnąc jiiktarem w miechy kwasomiotu. Kwasomiot stęknął jak żywa istota. Miechy napęczniały, ale Jarra miał dość przytomności umysłu, by zeskoczyć z wozu w tej samej chwili, w której miechy pękły z trzaskiem, wyrzucając w górę chmurę żółtawego kwasu. Wojownicy natychmiast skoczyli w błoto. Voris chciał zrobić to samo, odkrył jednak, że jeden z Narenów wczepił mu się w kostkę. Tymczasem deszcz kwasu opadał już w dół. Voris kopnął trzymającego go żołnierza, uwolnił się, ale było już za późno. Spadła na niego struga kwasu. Jadowite krople wżarły mu się w ramię, przegryzając się przez materiał opończy, choć szybko splukiwał je deszcz. Voris szarpnął się, zaryczał z bólu, chwycił Narena, który go zatrzymał, uniósł w powietrze i rzucił go na sterczący w górę róg powalonego przed chwilą greegana.

– Zabić wszystkich! – zawołał wódz.

Jego rozkaz rzucił wojowników przeciwko Narenom. Do walki włączył się Jarra, który skoczył na jednego z wrogów od tyłu i zwałił go w błoto. Pomógł mu Voris, który

kilkakrotnie kopnął powalonego w głowę, aż ze szczelin w przyłbicy wyrzuciły się fragmenty mózgu. Wszyscy Triinowie darli się jak opętani, upojeni krwią. Voris usłyszał błagania dwóch ostatnich Narenów. Dopadli ich jego wojownicy i szybkimi cięciami jiiktarów rzucili na ziemię. Wilk oparł się o wóz. Ramię szarpały mu kły bólu. Wódz zdarł z siebie koszulę i ryknął tak, żeby usłyszeli go wszyscy Narenie na świecie.

– Jestem Wilkiem! – zagrzmiął w niebo. – Dolina należy do mnie!

\* \* \*

Deszcz w końcu ustał i chmury się rozsunęły, ukazując księżyc. Szmer kropel zastąpiło monotonne bzyczenie owadów. Ich muzyka niosła się nad całym obozem. Wysoko pośród gałęzi brzoź śmigali nocni drapieżcy, poruszając w przelocie liśćmi. Voris usiadł pod pniem, oparł się wygodniej plecami i spojrzał na księżyc widoczny poprzez białe gałęzie. Wszyscy w obozie byli ogromnie znużeni i wyczerpani. Było już bardzo późno i czuwali jedynie wartownicy na posterunkach. Wódz pracowicie czyścił swój jiiktar zmoczoną w oliwie szmatką, starając się dotrzeć do każdej szczyrby. Niewypowiedzianie zmęczony nie mógł zasnąć. Patrzył więc w księżyc, oddając się, posepnym rozmyślaniom.

Ogarnęły go mroczne myśli. W tej części lasu było spokojnie, ale niedaleko zbierały się legiony i wkrótce znów trzeba będzie stanąć do bitwy. Wódz jęknął boleśnie, przypominając sobie ranek. Starli się z Narenami w kilkunastu potyczkach i stracił parę dziesiątków ludzi. Każdy z Triinów zabijał kilku przeciwników, ale potok Narenów nie miał końca. Już niedługo najeźdźcy zaleją ich niczym fala powodzi. Dolina Dring była rozległa, ale przeciwko siłom Imperium mogła wystawić określoną liczbę wojowników, która z każdym dniem ubożała. Legioniści oczyszczający trakt z pułapek parli naprzód niepowstrzymanym strumieniem. Już niedługo staną u bram zamku Dring. Voris ogromnym wysiłkiem woli odegnał te myśli. W domu czekała na niego Najjir. W domu...

– Nie śpisz? – spytał go Jarra, opadając na ziemię obok wodza. Nie zwracał uwagi na wilgoć trawy. – Dlaczego?

Voris wzruszył ramionami. Nie miał ochoty na towarzyskie pogawędki.

– Niepokoję się. Myślę o różnych sprawach.

Jarra oparł się plecami o pień tuż obok przyjaciela. Przez chwilę razem patrzyli na księżyc i wymieniali westchnienia. Mistrz sztuk wojennych był człowiekiem, który nigdy nie mówił wprost, o co mu chodzi. Voris wiedział, że musi cierpliwie poczekać. Po niebie przemykały upiorne chmury, niczym widmowe ptaszyska o skrzydłach z mgły. Voris zawsze myślał, że to ogromne gołębie. Na ich widok Jarra lekko się uśmiechnął.

W Dring nie widywano innych chmur. Czuło się tu obecność bogów.

– Myślę, że powinieneś się trochę przespać – odezwał się Jarra. Nie patrzył na Vorisa, nie spuszczać wzroku z księżycy. – Jutro będzie ci znów potrzebna cała siła. Pójdziemy się bić.

– Jutro, pojutrze i popojutrze – mruknął Voris. – Oni nie ustąpią. Są niezmordowani, jak ten księżyc.

– Jak do tej pory wygrywaliśmy – odpowiedział dumaka. – Sytuacja nie jest beznadziejna.

– A ile bitew musimy jeszcze wygrać? – skrzywił się Voris. – Codziennie musimy odstępować.

– Tych kwasomiotów nie zostało im już zbyt wiele.

– I dlatego właśnie Narenie trzymają pozostałe na otwartej przestrzeni – przypomniał mu Voris. – Czekają aż inni oczyszczą linię pułapek. A potem zaatakują jazdą. I zmuszą nas, byśmy się cofnęli do zamku.

– Wciąż jest nas wielu.

– Ale nie tylu, by ich stąd przepędzić.

– Jesteśmy silni – sprzeciwił się Jarra. – Mamy serce do walki. Narenie nie.

– Chętnie wymienię to serce na setkę zbrojnych – stwierdził Voris. – Dałbym wszystko, by uratować dolinę. To mój kraj. Stracić go na rzecz tych barbarzyńców... – Była to tak okropna myśl, że wódz nie odważył się jej dokończyć. Odłożył na bok czyszczony przez siebie jiktar i przyciągnął kolana do piersi, obejmując je ramionami. – Wolałbym już oddać dolinę Kroninowi!

Jarra parsknął śmiechem.

– No, to w rzeczy samej wielka ofiara.

– Ale to prawda. Nie umiałbym znieść tej straty, przyjacielu. I nie mogę do niej dopuścić. Zbyt wielu ludzi złożyło swoje losy w moje ręce. – Znów pomyślał o swej pięknej żonie Najjir. Narenie z pewnością zgwałciliby ją. Tak samo jak żonę Kalaka. Nieszczęście dotknęłoby nawet żonę Tharna, i ta myśl go smuciła. Nigdy nie lubił tej niewiernej, ale czas i wspólnie przeżyta bitwa sprawiły, że nie myślał już o niej tak wrogo, jak przedtem. Powinien zresztą ją chronić. Tego przynajmniej spodziewał się po nim Tharn.

„Tharn”.

Kolejna strata. Mędrzec prawdopodobnie zginął i ta myśl była nieznośna. Wódz poczuł ogromne brzemię, jakby zrzucono mu na ramiona cały świat, i czuł, że lada moment załamie się pod tym ciężarem.

– Jestem zmęczony – stwierdził cicho. – Ogromnie zmęczony.

– Prześpij się – podsunął mu Jarra. – Ustawiłem wartowników na drzewach i wzdłuż traktu. Ostrzegą nas w razie jakichkolwiek kłopotów.

Voris nie odpowiedział. Wcale nie chciał zasypiać, nie ze świadomością, że po obudzeniu znów będzie musiał stawiać czoło tym samym myślom i problemom. W dzieciństwie wiele razy śnił o wojnie. Były to godne sny, pełne zwycięstw. Nie ginął w nich nikt z jego bliskich. Nikt nie gwałcił i nie mordował w nich kobiet. Ani córek. Gdyby w Narenach były jakieś ludzkie uczucia, oszczędzaliby przynajmniej dzieci. Przypomniała mu się roześmiana Pris i myśl ta wywołała uśmiech i na jego twarzy.

– Kiedy zobaczą, co im zostawiłem, poczują strach – stwierdził.

Zabitych przeciwników obdzierali ze skóry, a związane resztki zostawiali wiszące na drzewach. Voris liczył na to, że Narenie zobaczą, do jakiej desperacji go doprowadzili.

– Nazwą cię dzikusiem i szaleńcem – odpowiedział Jarra. – Niewiele wskórasz. Narenie też potrafią robić takie rzeczy. Nie zniechęcisz ich takimi widokami.

– Więc zrobię to samo z ich generałami – oznajmił zapalczywie wódz. – Zwłaszcza temu wielkiemu, z Czarnej Kniei. Chętnie osobiście zedrę z niego skórę i dam ją Kalakowi.

– Jego akurat Kalak sam chętnie sprawi – zaśmiał się Jarra i spojrzał na Vorisa z zaciekawieniem w oczach. – Ostatnio często myślisz o Vantranie. Dlaczego?

– Naprawdę?

– Wiem, że o nim myślisz. Jak tylko wspomnę jego imię, zmienia ci się twarz.

– Kalak oddał mi przysługę – odparł wódz. – Jestem mu za to wdzięczny, to wszystko. Masz za bujną wyobraźnię, staruszku.

– Kalak zachował się szlachetnie, a ty go źle oceniłeś. Widzisz, że nie byłeś wobec niego sprawiedliwy, i to cię irytuje.

– Na razie to ty mnie irytujesz – uciął Voris. – Wszystko było dobrze, dopóki się nie przysiadłeś. Odejdź. Chcę pomyśleć.

Jarra znów spojrzał na księżyc. Voris odetchnął. Nie spodziewał się zresztą, że Jarra odejdzie. Dumaka był uparty i nie popuszczał, dopóki mu nie odpowiedziano.

– Chcesz, bym ci przyznał rację? – Voris zwrócił się do Jarry. – Przyznaję. Kalak w istocie jest lepszym człowiekiem, niż myślałem. I owszem, często przychodzi mi na myśl. Dodam jeszcze, że to mnie irytuje. A nie powinno?

– Myślę, że nie. Wciąż jeszcze czujesz żal po stracie Tala. Ale Tal zginął w obronie Dring. Ten sam los może spotkać teraz Kalaka. Może więc tak naprawdę nie za bardzo różnili się od siebie?

Voris wzruszył ramionami.

– Może.



Nie chciał, by Kalak zginął za Dring. Dla jakiegoś nieznanego mu powodu los uwziął się na Richiusa. Był bezdomnym włóczęgą, pozbawionym niemal przyjaciół. Nie miał nawet kobiety – rzecz niesłychana wśród Triinów, którzy brali kobiety, nie pytając o ich zgodę. Gdyby Kalak zginął, Voris z pewnością by go żałował.

– Nie możemy ich odpierać w nieskończoność – orzekł teraz. – Wytrzymamy jeszcze tydzień. Może krócej. Musimy poczynić plany, jak bronić twierdzy. Przyda się nam pomysłowość Kalaka. Jest ranny, ale umysł ma sprawny.

– Doskonale zna tych Narenów – przyznał Jarra. – Tharn miał rację, gdy uznał, że będzie nam pomocny.

– Owszem, miał rację.

– A ta kobieta Tharna? Co z nią?

– Zginie, jak my wszyscy – powiedział Voris i zamknął oczy. – Wybacz mi, Tharnie.

– Nie mów tak przy innych – zganiał go dumaka. – Większość naszych ludzi uważa, że Tharn żyje. Jeżeli ty okażesz brak wiary, oni też ją stracą, i wtedy nie będą się bili tak zaciekle.

– Jarro, zaczynasz mnie irytować – uciął Voris. – Zostaw mnie samego.

Aby skłonić Jarrę do odejścia, trzeba było go zawsze urazić. Jarra oddalił się, unosząc ze sobą zranione uczucia. Voris odprowadzi go wzrokiem. Kochał staruszka, który w wielu sprawach zastępował mu ojca. Był mistrzem sztuki wojennej w dolinie Dring od czasu, kiedy ją Voris zdobył. Wilk po prostu nie umiał sobie wyobrazić życia bez niego. Dla Vorisa Jarra był uosobieniem doliny, starej i wiecznotrwalej. Myślał, że taki będzie też Tharn, bogowie jednak odmienili swoje wyroki i go okaleczyli. I tak jak nie umiał sobie wyobrazić Dring bez Jarry, nie potrafił też pomyśleć o Lucel-Lorze bez Tharna.

Pomyślał o Dyanie i o tym, jak zawsze ostrzegał Tharna przed tą kobietą. Ale była zbyt piękna, by przyjaciel mógł się jej oprzeć. Wódz zmarszczył czoło. Była piękna, ale nie sposób było ją sobie wyobrazić jako strażniczkę ogniska domowego. Z drugiej strony Voris podejrzewał, że mógłby zrozumieć Tharna. W ostatnich zaś dniach sprawiła, że mędrzec był szczęśliwy. I za to wódz chciałby jej podziękować. Nigdy wcześniej nie podejrzewał ją o zdolność do takiej łagodności i delikatności.

Nie była to zresztą jedyna sprawa, w której się mylił.

## Czterdzieści cztery

W ciągu kilku najbliższych dni Richius szybko wracał do zdrowia, nie mogąc się doczekać wieści od Vorisa. Całymi godzinami siedział sztywno w łóżku, czekając na Dyane, która o wyznaczonych godzinach przynosiła mu posiłki i chłodzącą maść przywracającą zdrowie jego plecom. Po kilku dniach nacierania mógł już włożyć koszulę i wychodzić na krótkie przechadzki na zewnątrz. Jadł z apetytem, pochłaniając wszystko, co przynosiła mu Dyana, i zaciekle zapisywał w dzienniku to, co wiedział o obłączniczych metodach Narenów. Zabijał też czas, wyobrażając sobie rozmaite męki, jakimi przy najbliższej okazji udreży Gayle'a. Nieustannie też ślęczał nad kreśleniem map, rysując południowe bagna, planując rozstawienie sił na wypadek przybycia Kronina i jego wojowników. Według tych planów Narenów czekał niewesoły los.

Często jednak irytował się i wpadał w gniew. Nie tęsknił za wojną, ale nie cierpiał nieświadomości. Jak pozostali mieszkańcy zamku Dring nie wiedział, jak blisko są Narenie i ilu obrońców doliny zostało przy życiu. Voris i jego ludzie mogli już odeprzeć nieprzyjaciół, albo tkwić pod ścianami z ostrzami na gardłach. On zaś siedział tu niczym więzień, nieświadomy niczego, otoczony wygodami, podczas gdy obroną Dyany i ich dziecka zajmowali się inni.

O swej niedoli zapominał tylko podczas chwil spędzanych z Dyaną. Potrafiła sprawić, że zapominał o upływie czasu. Przychodziła codziennie, przynosząc posiłki i drobne ploteczki o tym, co kto powiedział, jakie historyjki wygadywali ranni o swoich zwycięstwach, chępiąc się tym, że Narenie nigdy nie zetknęli się z tak zajadłymi przeciwnikami. Były to oczywiście przechwałki umierających. Przyciszonym głosem opowiadała mu o Najjir i innych kobietach z twierdzy, a czasami nawet wspominała o Tharnie. Kiedy przychodziła, nie zamykała nigdy drzwi do komnaty.

Bardzo poważnie podeszła do swego zadania nauki języka Triinów i energicznie zabrała się do dzieła. Przez godzinę każdego dnia uczyła go podstawowych zwrotów w języku Lucel-Loru i wyjaśniała zalety ich alfabetu. Wkrótce odkrył, że jest bardzo przeciętnym uczniem. Triiński różnił się od innych języków Imperium, które były, według niego, bardziej melodyjne. Wszystkie wymawiane przez niego zdania brzmiały w jego uszach jak gaworzenie niemowlęcia. Dyana jednak okazywała wielką cierpliwość i bardzo stanowczo wbijała mu do głowy kolejne słowa i reguły. Pod koniec pierwszego tygodnia mówił już niemal jak Triin, a nie jak zaniepokojony dzieciak.

Najlepsze ze wszystkiego było to, że Dyana często przynosiła ze sobą Shani – nie wiadomo dlaczego przestała się sprzeciwiać jego zabawom z dzieckiem. Gdy zapytał

o przyczynę, wzruszyła ramionami i odpowiedziała, że Najjir była zbyt zajęta, by mieć czas dla dziecka, ale przekonawszy się, że Dyana chętnie widzi dziecko w jego ramionach, Richius doszedł do wniosku, że chodzi o coś innego.

Minęło kilka tygodni, podczas których nie mieli żadnych wieści o Tharnie. Podczas majaczeń wywołanych bólem mąż Dyany zwidział mu się jeden raz. Mówił coś do niego, ale kiedy Richius się ocknął, zjawa znikła. Vantran przypomniał sobie, jak dawno mędrzec wyjechał do Chandakkaru. Tej nocy zrobiło mu się bardzo żal Tharna, pewien był bowiem, że umarł. Rano te obawy się rozwiały, jak wszystkich jednak dręczyło go pytanie, gdzie przepadł władca Lucel-Loru. Chandakkar był daleki, pełen niebezpieczeństw i mogło się okazać, że Tharn akurat jest przyczyną niestrawności jakiegoś lwa.

Nigdy jednak nie powiedział o swoich obawach Dyanie. Z Tharnem, choć nie byli kochankami, łączyły ją więzy małżeństwa i Richius odgadywał, że większa część trosk Dyany wiązała się z brakiem wieści od męża. Unikali więc tego tematu i oboje cieszyli się czasem, jaki mogli spędzać razem, podczas gdy za murami zamku szalała wojna i coraz więcej ludzi umierało, opowiadając głupie historie o swoim męstwie.

Aż wreszcie do zamku Dring wrócił Voris. Było to w nocy, kiedy potężna ulewa z towarzyszeniem grzmotów uwalniała nagromadzoną podczas dnia wilgoć. Richius leżał w swojej komnacie, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Za nimi stał dumaka. Richius kończył właśnie wieczorny posiłek i otworzył drzwi, obgryzając kość. Jarra zrobił minę pełną dezaprobaty.

– Jarra... – stwierdził Richius. Odłożył kość, zakłopotany tym, że je w obecności chudego mistrza sztuki wojennej. – Co się stało? – Wskazał w głąb korytarza. – Voris?

– *Voris* – odpowiedział, kiwając głową. Potem się odwrócił i skinieniem dłoni wezwał Richiusa, by ten poszedł za nim. – *Gomin easa ar, Kalak*.

– Chce się ze mną widzieć? Poczekaj chwilę – odpowiedział Richius. Podbiegł do miejsca, gdzie stały jego buty, wsunął jeden na nogę i w podskokach podbiegł do drzwi, wzuwając drugi. Surowy mistrz kazał mu iść za sobą. Wyprowadził go na korytarz, gdzie stała grupka ludzi, którzy z niepokojem czekali na wieści o swoim wodzu. Dumaka warknął gniewnie i wyciągając dłoń przed siebie, kazał im się rozstąpić.

Richius podążył za dumaką korytarzem na tyły twierdzy. Było tu ciszej i bardziej mroczno – drogę rozświetlało im kilka pochodni i okna. Vantran nigdy wcześniej nie był w tej części zamku. Podejrzywał, że tu właśnie były komnaty Vorisa i jego rodziny, wolał zaś nie ryzykować, że któregoś dnia znów wpadnie na śliczną małą Pris. W zachodniej ścianie widać było kilka wypaczonych drewnianych drzwi, sklepienie korytarza było zaś wysokie i osmalone sadzą, którą nanosił tu przez lata dym pochodni. W odległym rogu

widać było wielką pajęczynę. Jarra podszedł do jednych drzwi, zapukał dwa razy i pchnął, by je otworzyć. Richius zerknął starem przez ramię. Wewnątrz komnaty był niski, okrągły stolik, wokół którego ułożono kilka zielonych poduszek. Ściany wyłożono miękkimi tkaninami. Środek stołu zajmował wieloramienny świecznik, którego blask ukazywał dwie, milczące ludzkie sylwetki. Naprzeciwko wejścia siedział na skrzyżowanych nogach Voris, obok którego klęczała Dyana z pokornie pochyloną głową. Gdy Richius wszedł, prawie się nie poruszyła.

– Vorisie? – Richius postanowił odezwać się pierwszy.

Wódz zmusił się do kwaśnego uśmiechu. Tymczasem do komnaty wkroczył Jarra i usiadł na posadzce obok Vorisa. Obaj wbili ponure spojrzenia w Richiusa. Ten, nie bardzo wiedząc, czy ma stać czy usiąść, czekał, aż wódz przemówi. Kiedy Voris wreszcie się odezwał, zaczął dość ostrym i przenikliwym głosem.

– Wódz prosi, byś usiadł – odezwała się Dyana, nie podnosząc głowy.

Richius poczuł przeszywający go dreszcz niepokoju.

– Co się stało? – spytał. – Złe nowiny?

– Nie wiem – odpowiedziała Dyana. – Usiądź, proszę.

I Richius usiadł, opadając na posadzkę pomiędzy Dyaną a Vorisem. Usiłował ściągnąć na siebie jej wzrok, Dyana jednak pilnie uważała, by na niego nie spojrzeć. Voris miał enigmatyczny wyraz twarzy, a oblicze dumaki było równie wyraziste, jak powierzchnia kamienia.

– Słucham, Vorisie – odezwał się Richius. – Powiedz mi, czy stało się coś złego?

Dyana przełożyła i Voris parsknął krótkim, pełnym ironii śmiechem. Wódz podciągnął rękaw i pokazał Richiusowi ramię i przedramię. Cała skóra pokryta była jaskrawo czerwonymi oparzelinami.

– Kwasomiot – stwierdził rzeczowo Vantran. – Owszem, rozumiem. Czy wreszcie ich zatrzymaliście?

Odpowiedź wodza była krótka. Richius spróbował złożyć w całość znane mu frazy. To, co mu wyszło, pozbawione było sensu.

– Nie – odpowiedziała Dyana. – Wódz chce wiedzieć, czy wracasz do zdrowia?

– Ja? A cóż go to obchodzi? Dyano, spytaj go, co się dzieje.

– Wódz życzy ci zdrowia – upomniała go łagodnie Dyana.

– Czuję się znacznie lepiej – odpowiedział. – *Easa*, Voris. Dobrze. Dziękuję. *Shay sar*.

Wyglądało na to, że odpowiedź ucieszyła Vorisa. Jego spojrzenie złagodniało. Zakrył rany, zaciągając rękaw. Westchnął przy tym tak, że zakołysał płomieniami świec. A potem przemówił, zwracając się wprost do Richiusa.

– Voris chce, byś wiedział, że niewiele nam zostało czasu – przełożyła Dyana. – Mówi, że Narenie są już bardzo blisko. Wkrótce nadciągnie ich jazda, której nie zdoła zatrzymać. – Głos Dyany załamał się na chwilę. – Mówi, że zostało nam zaledwie kilka dni.

Wieści te niemal Richiusa ogłuszyły. Widział masy nieprzyjaciół, jakich przeciwko nim wysłał Arkus, patrzył na rzezie, do jakich zdolni byli Gayle i jego jeźdźcy, nigdy jednak nie przypuszczał, że Voris tak otwarcie przyzna się do klęski. Poczł skurcz w krtani. Jeżeli będzie miał szczęście, zginie jako bezimienny z innymi. Przy jego braku powloką go do Nar w łańcuchach. Pomyślał o Shani, Dyanie i mękach, jakie im mogą zgotować Talistańczycy.

– Dni... – wyszeptał bez tchu. Nie pozwoli Gayle'owi, by ten położył swe mordercze łapy na jego rodzinie. Najpierw ich sam otruje.

– Richiusie? – odezwała się Dyana. – Dobrze się czujesz?

– Dobrze... – odpowiedział. – Zupełnie dobrze.

– Wódz chce, żebyś wiedział, iż uznał cię za człowieka honoru. Prosi, byś mu wybaczył to, że cię zawiódł.

– Nie! – zachnął się Richius. – Jeszcze nas nie pobito! Może doczekamy się pomocy od Kronina. Dalej, Dyano, opowiedz mu o moim planie.

Dyana podniosła głowę.

– Richiusie...

– Powiedz mu!

I Dyana, choć nie bez oporów, wyłożyła Vorisowi plan Richiusa. Wódz wysłuchał z uwagą, potem uśmiechnął się do Aramoorczyka i potrząsnął głową. Jarra skwitował plan chichotem.

– Voris mówi, że nie ma co liczyć na pomoc Kronina – wyjaśniła Dyana. – Wiadomość o naszej klęsce tylko go ucieszy.

– Nie – odparł Richius z uporem. – W to nie uwierzę. Vorisie, posłuchaj. Kronin przyjdzie! Przyjdzie z pewnością! – Zirytowany brakiem umiejętności wyłożenia swoich racji, Richius spróbował wyjaśnić rzecz Vorisowi za pomocą szybkich gestów i szeregu urywanych zdań. W końcu się poddał i wrócił do języka Narenów. – Znam Kronina lepiej od ciebie, wodzu. Nie jest taki, jak myślisz. Tak jak ty, jest człowiekiem honoru. Honor. *Yaaso*, Vorisie. Kronin *yaaso*. Przybędzie nam z pomocą. Kiedy się zjawi, zepchniemy Narenów na bagna. Musimy tylko się utrzymać, zanim on tu przybędzie.

Voris podniósł ręce, nie czekając na przekład Dyany, i szybko powiedział kilka zdań. Dyana słuchała przez chwilę, a potem zwróciła się do Richiusa:

– Wódz chce, byś przestał wierzyć w mrzonki. Powiada, że jesteś jeszcze młody, ale

na każdego wojownika przychodzi jego czas. Musisz się z tym pogodzić.

– Może i tak – odpowiedział Richius. – Ale nie pogodzę się z tym, jeżeli okoliczności nie przekonają mnie, że nie ma innego wyjścia. Jeżeli poddamy się teraz, nigdy się nie dowiemy, ile jeszcze dni moglibyśmy wytrzymać. Może dość długo, by Kronin zdążył przyjść nam z pomocą. Może.

Voris zrobił ponurą miną. Popatrzył na dumakę, jakby szukając u niego pomocy, Jarra jednak wzruszył tylko filozoficznie ramionami.

– *Kalak oahnal benagray* – powiedział.

– Dumaka uważa, że jesteś dzielny, ale głupi – powiedziała Dyana. Potem rzuciła Richiusowi ukradkowe spojrzenie. – Ale ja cię popieram.

– Więc przekonaj go, Dyano, proszę. Mnie brak słów. Jak mam ich przekonać, że to tylko sprawa czasu? Kronin przybędzie, gotów jestem poręczyć za to głową. Przybędzie, bo jest posłuszny woli Tharna, tak samo jak Voris i oni wszyscy.

– Richiusie... – odezwała się Dyana ostrożnie. – Może się okazać, że Tharn już nie żyje.

– I co z tego? Czy oznacza to, że Kronin ot tak, ma pozwolić na wyrżnięcie wszystkich mieszkańców doliny Dring? Nie wierzę! On się poświęcił ideałom Tharna, nie jemu samemu. Jest jak Voris – lojalny i wierny.

W tym momencie wtrącił się wódz, żądając, by mu wszystko wytłumaczyć. Dyana usłuchała, ale twarz wodza nadal okrywała chmura wątplenia. Tym razem, kiedy przemówił, był bardzo spokojny i stanowczy.

– Nie znasz go tak dobrze, jak myślisz – przemówiła Dyana, przekładając słowa Vorisa. – To waż. Jeżeli dojdzie do wniosku, że Tharn nie żyje, z radością pozwoli na to, by nas tu pomordowano.

Richius wstał i stanął przed Vorisem.

– Nie! Nie wierzę. Tak samo, jak nie uwierzyłbym w to, że ty pozwoliłbyś Narenom na rzeź Tatteraku. Nienawiść, która cię zaślepia, nie pozwala ci na jasną ocenę sytuacji. Czy ty pozwoliłbyś na zabicie Kronina i wszystkich jego ludzi? Stałbyś bezczynnie i nie ruszyłbyś im z pomocą?

Voris milczał przez dłuższą chwilę, a potem wydał z siebie kilka niechętnych pomruków.

– Wódz mówi, że do tego by nie dopuścił – odparła Dyana. – Uratowałby ich ze względu na Tharna i dobro wszystkich Triinów.

– Oczywiście – odpowiedział Richius. – Innej odpowiedzi nie dałby żaden prawdziwy wojownik Lucel-Loru. Więc dlaczego sądzisz, że Kronin postąpi inaczej? Uwierz mi, Vorisie, błagam. Walcz. Nie dopuść do tego, by Arkus i jego banda

rzeźników odebrała ci twoją dolinę. To jeszcze nie koniec, przysięgam!

Voris przez chwilę słuchał z uwagą, a potem na jego twarzy pojawił się nikły uśmiezek.

– Wódz chce, żebyś wiedział, że nie złoży broni. Obiecuje, że będzie walczył, dopóki zdoła zaciskać dłoń na rękojeści jiiktaru, i modli się, by twój sąd o wężu Kroninie okazał się trafny.

Richius kiwnął głową.

– Z pewnością jest trafny. Przekonasz się, Vorisie. Musimy po prostu się trzymać, dopóki nie nadciągną ludzie Kronina.

Voris dźwignął się na nogi.

– *Coala con, Kalak* – powiedział spokojnie.

– Skończyliśmy – stwierdziła Dyana. Wstała i spojrzała Richiusowi w twarz. – Wódz chciałby teraz odpocząć, Richiusie. Jest już późno. Powinniśmy się rozejść do swoich komnat.

– Czy on zostanie w zamku? – spytał Richius. – Vorisie, zobaczymy się rano?

Dyana zadała pytanie i Voris kiwnął głową, popychając jednocześnie wszystkich ku drzwiom.

– Owszem – odpowiedziała Dyana. – Zostanie. Narenie zbliżają się do zamku. Mówi, że zrobi z zamku naszą fortecę.

– Rozumiem – odpowiedział Richius. Chciał wrócić do swojej komnaty, by przemyśleć wszystko, o czym tu mówiono.

O tej porze korytarze zamku były już puste, ale zza mijanych drzwi dobiegały go przyciszone głosy dzieci i kobiet. Wiedział, że rozmawiają o oblężeniu i rozpaczliwej sytuacji, w jakiej się znaleźli.

Dotarłszy do swej komnaty, zastał drzwi mocno zamknięte. Czyżby to on je zamknął? Nie mógł sobie przypomnieć. Ostrożnie pchnął, by je otworzyć, zastanawiając się, czy znajdzie kogoś wewnątrz. Komnatka była pusta. Świeca, przy której czytał, wypaliła się niemal zupełnie, zostawiając tylko niekształtny ogarek. Przy łóżku wciąż jeszcze leżały resztki jedzenia. Obok talerza, na widoku, ktoś położył książkę. Leżała otwarta, grzbietem do góry, jakby ktoś ją czytał i nie chciał zgubić czytanego miejsca. Richius niejasno sobie przypominał, że gdzieś już widział tę książkę. Podszedł i podniósł ją ostrożnie, przytrzymując kciukiem otwarte miejsce. Była to księga nareńskich poematów, którą kiedyś widział w dłoniach Pris. Co ciekawe, była otwarta na tym samym poemacie, który kiedyś jej czytał. Uśmiechnął się na wspomnienie tej osobliwej przygody i zaczął czytać.

*Radośni kochankowie, choć rozdziela ich ocean,  
Niestrudzenie patrzą ku jego horyzontom.  
Gołębica przenosi nad morzem miłosne listy,  
Na przekór zsyłanym przez nieba szkwałom.  
Wieczność drwi z ich miłości,  
I wznosi dla nich więzienia.  
Nadchodzi mrok, pośród którego aniołowie  
będą błagać noc o litość.*

Zaskoczony i zdumiony zamknął książkę. Zrozumiał, że nie był to zwykły przypadek, a wiadomość przeznaczona była dla niego. Ktoś mu zostawił tę książkę, a jeżeli była to Pris, zrobiła to poproszona przez kogoś innego. A mogła ją do tego namówić tylko jedna osoba w całym zamku.

Ostrożnie wyszedł z komnaty i niczym duch ruszył przez zamkowe korytarze. Wiedział, że Voris będzie na niego czekał. Zebrał się w garść i przeszedł przez mroczny korytarz do niewielkiego, pozbawionego okien pokoiku, zatrzymując się w progu przed wejściem. Zamiast Jarry zastał przy wodzu siedzącą mu na kolanach Pris, która chichotała, gdy Voris delikatnie odsuwał jej włosy z czoła. Voris podniósł wzrok na wchodzącego Aramoorczyka, który rzucił książkę na stolik.

– Co to ma znaczyć? – zapytał ostro.

Pris zrobiła zdziwioną, a nawet lekko urażoną minę. Z jej twarzyczki znikł radosny uśmiech. Voris natomiast prawie nie zmienił wyrazu twarzy. Sięgnął książkę ze stołu i podał ją córce.

– O co chodzi, Vorisie? – spytał Richius już spokojniejszym tonem. – Jeżeli coś chcesz mi powiedzieć, to powiedz, i skończmy z tym raz na zawsze.

Na pomoc ojcu pospieszyła Pris.

– Kalak się gniewa na tatę? – spytała. – Dlaczego?

– Pris, czy powiesz coś ode mnie twojemu ojcu?

– Po to tu jestem – odpowiedziała dziewczynka.

– Jak to?

– Jestem tu, by mówić za ciebie i ojca. Mów. Ojciec czeka.

– Czy to ty zostawiłaś tę książkę w moim pokoju? – spytał Richius łagodniejszym tonem.

Pris kiwnęła głową.

– Ojciec mi kazał. Mój poemat. Pamiętasz, Kalaku? Pokazałam go ojcu, kiedy się rozzłościł na mnie, jak zobaczył nas razem. Wiesz, spodobał mu się. Poprosił, bym ci go



zaniósła. – Zmrużyła powieki. – A co, źle zrobiłam?

– Czy wiesz, dlaczego chciał, byś mi to pokazała? – spytał Richius.

Pris zmarszczyła brwi. Młodziutki umysł dziewczynki potrafił wymyślić tylko jedną odpowiedź.

– Spodobał mu się?

– Spytaj go. Powiedz mu, że chcę znać przyczynę, dla której polecił, byś mi pokazała ten poemat.

Pris otworzyła usta, Voris jednak wyciągnął palec i uciszył ją, kładąc go jej na wargach. Przemówił wyraźnie i łagodnie, patrząc jej głęboko w oczy i nie podnosząc głosu nad poziom pełnego miłości szeptu. Pris chłonęła jego słowa ze zdziwieniem, najwyraźniej nie bardzo wiedząc, co ojciec ma na myśli. Była geniuszem, gdy przychodziło do nauki obcego języka, ale emocje targające dorosłymi pozostawały dla niej niezrozumiałe. Kiedy wódz skończył, Pris obdarzyła Richiusa osobliwym spojrzeniem.

– Kalak zna piękną kobietę? – spytała.

– Dyanę? – Domyślił się Richius. – Owszem. I co z tego?

– Kochasz ją.

Richius nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Przeniósł wzrok na wodza, potem znów spojrzał na dziewczynkę.

– Tak.

Pris uśmiechnęła się promiennie.

– A ona kocha ciebie.

„O Boże!” – pomyślał Richius. Przez chwilę walczył z ogarniającą go paniką, starając się, by nie odmalowała się na jego twarzy. Voris zaś tylko patrzył.

– Tato mówi, że pragniecie siebie oboje – ciągnęła dziewczynka. Wskazała trzymaną przez siebie książkę. – Jak w poemacie. Miłość. Dobra jak jego i mamy.

Voris przerwał córeczce i znów zaczął jej coś wyjaśniać. Pris niecierpliwie kiwała głową. Potem jej twarz spochmurniała, Voris położył dłoń na jej główce i pieszczotliwie zmierzwił jej włosy.

– Pris, co się stało? – spytał Richius z niepokojem w głosie. – Co mówi twój tato?

– *Bhapo* – odpowiedziała dziewczynka. – Tato się martwi.

– Masz na myśli Tharna?

Voris trącił dziewczynkę dłonią i Pris przełknęła łzę.

– Tak. Kalaku, rozumiesz?

– Przykro mi, Pris, ale nie – odpowiedział Richius. Podszedł do rozmówców i ukląkł obok nich na miękkim dywanie. – Pomóż mi, proszę. Nie wiem, o czym mówicie. Co

usiłuje mi powiedzieć twój ojciec?

– Chce, byś był z piękną kobietą – wyjaśniła Pris słabym głosem. – Zanim umrzesz. Nie ma już czasu. *Bhapo* gdzieś przepadł...

– Spokojnie – rzekł Richius łagodnym głosem. – Wszystko w porządku. Myślę że wiem, o co chodzi twojemu tacie. – Odchyliwszy się w tył, spojrział na Vorisa z niedowierzaniem w oczach. – On powiada, że powinniśmy być razem.

– Tak, tak – chlipnęła Pris. – Razem.

Voris otarł kciukiem łzę z jej policzka. Wódz popatrzył na Richiusa, usiłując mu przekazać wiadomość samym wyrazem twarzy, bez słów. Aramooreczyk potrząsnął głową z niedowierzaniem. Pochylił się do przodu, by uspokoić dziewczynkę, która teraz już nie kryła łez wylewanych z obawy o Tharna, ojca, matkę i wszystkich, których kochała, a którzy wkrótce mogli zginąć lub zostać zamordowani. Richius położył dłoń na jej kolanie i dziewczynka wybuchła płaczem. Voris nie odsunął córki od gościa.

– Wiesz, co mi proponujesz? – spytał Richius Vorisa. – Miej litość! Kocham ją bardzo, to prawda. Ona jednak należy teraz do Tharna, a on wcale nie musi być martwy. Wiesz przecież, że są szansę, iż jeszcze żyje.

– *Tharn kyata fa* – stwierdził Voris ze smutkiem. Wykonał dłonią kolisty ruch w powietrzu, jakby chciał podkreślić upływ czasu, lub zilustrować wielką odległość. – *Tharn kiv Lorris*.

– Myślisz, że Lorris wezwał go do siebie? – spytał Richius, który zrozumiał znaczenie słów wypowiedzianych przez wodza. Wzruszył ramionami. – Nie wiem, może i tak jest w istocie. Ty w to nie wierzysz, ja jednak nie chcę się pogodzić z myślą, że on nie żyje. Jest moim przyjacielem tak samo, jak dla ciebie. Nie zamierzam spisać go już na straty. – Wstał i uśmiechnął się lekko do Vorisa i jego płaczącej córki. – Dziękuję ci – dodał. – Dziękuję za to, że przyznałeś nam prawo do miłości. Powiem Dyanie o tym, co mi tu powiedziałaś. Ale decyzję podejmiemy razem.

Wódz skinął głową, a potem się pochylił, by ucałować główkę córki.

– *Sala sar, Kalak* – powiedział spokojnie.

Richius odpowiedział wodzowi życzeniem dobrej nocy w jego własnym języku.

– *Sala sar, Voris*.

\* \* \*

Następnego ranka Richius wstał wcześniej i ruszył poszukać Pris. Znalazł ją tam, gdzie się spodziewał, w niewielkim pokoiku, w którym spotkał ją pierwszy raz, łapczywie pochłaniającą jedną z książek zamkowej biblioteki – stary triiński manuskrypt

o wypłowiałych kartkach. I tak jak na to liczył, wciąż miała przy sobie zbiór nareńskich poematów, i kiedy poprosił dziewczynkę, by mu pożyczyła tę książkę, uczyniła to z ochotą. Podziękował jej, obiecując, że zwróci książkę najdalej następnego dnia, a potem włożył ją za pas, przykrywając poematy koszulą, tak by książka była niewidoczna. Opuściwszy maleńki pokoik, skierował się do komnat żony Vorisa, Najjir, gdzie spodziewał się znaleźć Dyana. Kiedy zapukał do drzwi, Dyana kołysała córeczkę. Na całe szczęście, Najjir nigdzie nie było widać.

Ujrzawszy go tak wcześnie, mocno się zdziwiła. Nie zdążyła jeszcze zjeść codziennej porannej porcji ryżowego grysiku. Włożyła Shani do kolebki, zapięła koszulę i powitała Richiusa grymasem.

– Nie powinieneś tu przychodzić – powiedziała. – Ktoś mógłby cię zobaczyć.

Chciał jej powiedzieć, że to już nieistotne, ale powstrzymał się i zamiast tego uśmiechnął się do niej figlarnie.

– Możemy wyjść? – zapytał.

– Voris jest z Najjir – wyszeptła Dyana. – Jeżeli chcesz z nim porozmawiać, będziesz musiał poczekać.

– Nie chcę rozmawiać z Vorisem, chcę porozmawiać się z tobą. Możesz na chwilę zostawić Shani?

Dyana spojrzała na nie zjedzone śniadanie.

– Nie możesz poczekać? Jeszcze nie jadłam.

– Mam dla ciebie coś lepszego niż grysik. Znajdź kogoś, kto zajmie się Shani. Spotkamy się na dziedzińcu.

– Na dziedzińcu? Dlaczego akurat tam?

– Po prostu przyjdź do mnie tak szybko, jak potrafisz. Zajdź na tyły, tam gdzie jest posąg.

– Dobrze – zgodziła się.

Zamknawszy drzwi, rozejrzał się przed wyjściem na zewnątrz. Dziedziniec był pusty, poza parą małymównych strażników. Richius minął obu i okrążywszy zamek, przeszedł na tyły, gdzie mógł się ukryć w dziko rosnącej, wybujałej trawie za porośniętym mchami marmurowym posągiem.

Minuty wlokły się nieznośnie, ale w końcu pokazała się Dyana. Na nogach miała wysokie buty z jeleniej skóry, doskonałe na bujne trawy.

„Mądra dziewczyna” – pomyślał Richius z zadowoleniem.

Podeszła bliżej, obejrzała się przez ramię, a potem zapytała:

– Richiusie, coś ty znowu wymyślił? Stało się coś złego?

– Ależ nic – zapewnił ją. – Chodź ze mną.

– Dokąd mam iść?

– W pewne miłe miejsce.

Wziął ją za rękę i poprowadził na tyły twierdzy, gdzie trawa była jeszcze wyższa. Przed dwoma dniami odkrył tu wąską ścieżkę, która wiła się wśród drzew. Podążając nią, odkrył niewielki, krystalicznie czysty strumień o dnie pełnym niewielkich kamyków, nad którymi śmigły lśniące rybki o oczach jak klejnoty. Spędził tu kilka godzin, ślęcząc nad mapami, pisząc w swoim dzienniku i pragnąc podzielić się z Dyaną urokiem tego miejsca. Teraz, kiedy Voris pośrednio wyraził na to zgodę, był tak podniecony, że z trudem powstrzymywał się od biegu. Dyana jednak nie była pewna, czy może iść za Richiusem i ujrawszy ścieżkę, zatrzymała się.

– Och nie! – zachnęła się. – Nie, Richiusie, nie możemy...

– Owszem, możemy – odparł spokojnie. – Znalazłem pewne miejsce i chcę, byś je zobaczyła. No chodź, to niedaleko.

– Ale ktoś może nas zobaczyć i donieść Vorisowi, że jesteśmy razem. Nie, Richiusie, musimy wracać.

– Dyano, zaufaj mi. Mam ci coś do powiedzenia. Kiedy to zrobię, wszystko zrozumiesz. Chodź ze mną, proszę.

Zgodziła się nie bez wahania. Richius ujął jej rękę i poprowadził ścieżką, tak wąską, że iść nią mogła tylko jedna osoba. Nad głowami mieli sklepienie gałęzi, wśród których śmigły ptaki, a przed nimi zmykały ze ścieżki jakieś małe, kosmate stworzonka. Richius przechylił głowę w bok i nadstawił ucha.

– Słyszysz? – spytał radośnie.

Dyana przystanąła.

– Woda?

– Strumień. Znalazłem go przedwczoraj, kiedy myszkowałem po tym lesie. Jest piękny. Chciałem, żebyś go zobaczyła.

Zaskoczona dziewczyna zmrużyła oczy.

– I dlatego mnie tu przyprowadziłeś? Żeby pokazać mi strumień? Richiusie, jeżeli ktoś nas zobaczy...

– Dyano, chodzi nie tylko o strumień. To już niedaleko. Wyjaśnię ci na miejscu.

Po przejściu jeszcze kilku kroków Dyana przekonała się, że ścieżka istotnie zawiodła ich nad strumień. Na widok odbitej od wody smugi słonecznych promieni Dyana przystanąła i westchnęła z zachwytu. Richius uśmiechnął się dumny, jakby to wszystko było jego dziełem. Strumień był jeszcze piękniejszy, niż go zapamiętał. Przemknęli wzdłuż brzegu, przeskakując po kamieniach jak po moście, i zatrzymali się na niewielkiej polance. Uszy wypełniał im szum wody ślizgającej się po kamieniach. Nieopodal brzegu

leżał spory głaz, idealnie nadający się do tego, by na nim spocząć. Dawno temu ktoś wyrzył na nim jakieś słowo – Richius przypuszczał, że było to imię. Pokazał je Dyanie, która przeczytała i głośno parsknęła śmiechem.

– Co tu napisano? – spytał młodzieniec.

– Najjir – odpowiedziała Dyana, serdecznie się zaśmiewając. Przesunęła palcem po literach. – To stary napis.

– Nie może być inaczej – zgodził się Richius. – Ale jakoś nie umiem sobie jej wyobrazić z dłutem, kującej kamień. Ona jest taka... – przez chwilę szukał odpowiedniego i nie obraźliwego słowa – ...prostolinijna.

– Wcale jej nie znasz, Richiusie. Nie jest taka, jak myślisz. Ona jest tylko inna. Ty przywykłeś do kobiet z Nar, a Najjir jest żoną Drola. I racz pamiętać, że pomogła mi cię wyleczyć.

– Pamiętam – przyznał Richius. – I jestem jej wdzięczny. – Oczyszczył kamień z piasku i gestem poprosił Dyane, by na nim usiadła. – A teraz pokażę ci coś jeszcze.

Dyana usiadła i spojrzała pytająco.

– Co mi pokażesz?

– To – odparł młodzieniec, sięgając za pazuchę i wyjmując książkę. Podał ją Dyanie. – Poznajesz? To książka Pris.

– Poematy – odpowiedziała dziewczyna. – Tak, przypominam sobie. Skąd ją masz?

Richius przez chwilę przewracał kartki palcem, aż znalazł wiersz, który chciał jej pokazać.

– O, tutaj – powiedział. – Przeczytaj.

Dyana wzięła książkę i przeczytała wskazane jej strofy. Potem przez chwilę jeszcze nie odrywała wzroku od strony.

– Skąd to masz?

– Wczoraj, kiedy poszedłem na rozmowę z Vorisem, Pris zostawiła to w mojej izbie. Kiedy wróciłem, ta książka leżała na stole. Voris chciał, bym to zobaczył.

– Bogowie... – westchnęła Dyana. – Więc on wie?

– Dyano, pozbądź się obaw. – Richius ujął ją za rękę. – Mówiłem z nim o tym. Wszystko jest w porządku. Nie uwierzysz, co mi powiedział!

– Jesteś pewien, że chcę tego wysłuchać?

– Owszem, tak. Voris wie, że się kochamy. – Spojrzał jej w oczy, które teraz wypełnione były oczekiwaniem. – Chce, byśmy byli ze sobą.

– Co takiego? – zdziwiła się Dyana.

– Czy to nie zdumiewające? – Radość kipiała w nim i bulgotała, niczym woda w strumieniu, nad którym siedzieli. – To prawda, Dyano, przysięgam. Sam mi to

powiedział, wczoraj w nocy. Chce, byśmy byli razem!

– Ale dlaczego? – spytała Dyana, która wciąż jeszcze nie otrząsnęła się ze zdumienia.

– Dlaczego miałby ci coś takiego powiedzieć? Jestem zamężna.

– Owszem, poślubiono cię Tharnowi – wyjaśnił Richius. – Ale wódz uznał, że Tharn nie żyje, nam zaś zostało bardzo niewiele czasu. Wie, że się kochamy i że chcielibyśmy być razem. Nazwij to podarunkiem, sposobem odwdzięczenia się za pomoc, jakiej mu udzieliłem. Nie mam pojęcia, co nim kieruje. Ale on życzy nam szczęścia na te kilka ostatnich dni. – Ukłąkł przed nią, nie zwracając uwagi na wilgotny piasek. – Możemy być razem, Dyano.

Dyana potrząsnęła głową.

– Nie, nic z tego.

– Dlaczego, Dyano? Od paru tygodni Tharn nie dał znaku życia. Nie ma sposobu, żeby kiedykolwiek się dowiedział, co zaszło między nami. Nawet, jeżeli żyje, Voris niczego mu nie powie.

– Czyżbyś o wszystkim zapomniał, Richiusie? To nie ma znaczenia. Kiedyś mi powiedziałeś, że Tharn cię ostrzegł, byś mnie zostawił w spokoju. Pozwolenie Vorisa nie wystarczy. Jeżeli Tharn żyje, znajdzie sposób na to, by się dowiedzieć o tym, co zrobiliśmy. Dowie się, bo jest Drolem i mnie kocha. Cieszę się, że nie będziemy już musieli ukrywać naszej miłości przed Vorisem, ale to niczego nie zmienia. Przykro mi, ale nie możemy być razem, nie tak, jak byś tego pragnął.

Richius pojrzał na nią, a potem rzekł, starannie dobierając słowa:

– Dyano, niełatwo mi przychodzi powiedzenie tego, co zaraz usłyszysz, ale myślę, że wódz ma rację. Naprawdę może być tak, że Tharn już nie żyje. – Odsunął się nieco i westchnął. – Może niewiele nam już zostało czasu. Chcę cię kochać, bo może już wkrótce oboje zginiemy i wiem, że ty też tego pragniesz.

– Kiedyś dałeś mi pewną obietnicę. Powiedziałeś, że nigdy nie narazisz Shani na niebezpieczeństwo. Pamiętasz?

– Dyano...

– Pamiętasz?

Dyana dotknęła jego policzka, on zaś kiwnął głową. Owszem, pamiętał tę przekłątą obietnicę. Dyana uśmiechnęła się ze smutkiem w oczach.

– Richiusie, nie ma znaczenia, kto wie o naszej miłości. Niech się o niej dowie cały świat. Tharn wie. Posłał mnie z tobą, byś mógł mnie bronić. Zaufał ci i zaufał mnie samej. Ale nie możemy dopuścić do tego, by pomyślał, że zostaliśmy kochankami. Zgubią nas czyny, nie to, co kryją nasze serca.

– Dyano, ale Tharn prawdopodobnie już nie żyje...

– Prawdopodobnie? – spytała Dyana. – To mi nie wystarczy, Richiusie. Nie znasz Tharna. Tkwi w nim ogromna wola życia. Potrafi przetrwać niemal w każdych warunkach. Zanim ci się oddam, muszę wiedzieć na pewno, że on umarł. Ryzyko jest zbyt wielkie.

– Dyano, ciężko mi to znieść. Czy muszę znaleźć dowód, potwierdzający jego śmierć? A jeżeli go nie znajdę, to nigdy nie będziemy razem?

– Nie, dopóki Tharn żyje. Nie, jeżeli ryzykujemy życiem małej. Możemy...

Nagle umilkła i wstrzymała oddech. Jej oczy znieruchomiały, wpatrzone w coś za jego plecami. Richius natychmiast się odwrócił i idąc za jej przykładem, zaczął przeszukiwać wzrokiem las na drugim brzegu strumienia.

– Dyano? – spytał. – Co tam widzisz?

– Pośród tamtych drzew... – szepnęła. – Widziałam jakiś ruch.

Richius natychmiast sięgnął za plecy i nie znalazł tam rękojeści miecza. Wbił wzrok w las, usiłując dostrzec to, co zobaczyła Dyana. Nie zobaczył jednak niczego.

– Jesteś pewna, że coś widziałaś? – spytał. – Ja nie dostrzegam niczego.

– Ktoś tam jest – upierała się Dyana. Nadal nie odrywała spojrzenia od lasu. – Pod tymi drzewami. Jakiś mężczyzna. Patrzy w naszą stronę.

Teraz zobaczył i Richius – drgnienie liści odsłaniających na moment białą skórę. Człowiek. Triin. Richius dostrzegł błysk szarych oczu.

– Hej, ty tam! – zagrzemiał, zrywając się na nogi. – Coś ty za jeden? Wyłaż natychmiast i pokaż się!

Gałęzie nawet nie drgnęły.

– No, dalej! – ponaglił Richius. – A może mam pójść po ciebie?

Nie bardzo miał ochotę iść między drzewa, ale stanowczy ton jego głosu skłonił natręta do wyjścia na otwartą przestrzeń. Powoli spomiędzy gęstwiny wyłoniła się biała twarz, na poły pomalowana na zielono. Włosy nieznanego też płonęły jadowitą zielenią. Wokół piersi miał obszerny błękitny tartan przepasany złotą szarfą. Nieznajomy miał też na plecach jiktar, ale wychodząc spomiędzy gałęzi, uniósł obie ręce wysoko nad głowę, pokazując, że ma pokojowe zamiary.

– *Vantran* – powiedział. – *Min voco Vantran*.

– Richiusie! – zdumiała się Dyana. – On szuka ciebie!

Był to ten sam człowiek, którego Richius poznał, kiedy z Lucylerem przybyli do Falindaru. Przyjaciel nazwał go heroldem Kronina. Richius poszukał w pamięci jego imienia. Czy to był Hakan?

– Hakan? – zawołał. – To ty?

Malowana twarz rozjaśniła się, jakby padły na nią naraz wszystkie promienie słońca.

– Vantran! – wypalił i rzucił się w strumień, brnąc przez wodę, rozbryzgując ją na wszystkie strony i mówiąc coś podnieconym głosem. Dotarłszy do nich, skłonił się nisko Richiusowi i sypnął kolejnymi zupełnie dla niego niezrozumiałymi słowami.

– Dyano? – ponaglił Richius dziewczynę.

– On rzeczywiście ma na imię Hakan – stwierdziła Dyana. – Skąd go znasz, Richiusie?

– Widziałem go tylko raz. Powitał mnie w imieniu Kronina, kiedy przybyłem do Falindaru z Lucylerem. To jeden z ludzi Kronina. Dyano, co on mówi? Czy jest tu Kronin?

– Tak! – zawołała Dyana. – Jest! Przybył nam z pomocą. I jest z nim Lucyler...



## Czterdzieści pięć

„Wzywać lwy znaczy rozmawiać z bogami”.

Tak przynajmniej powiedział Karlaz. Był to dar, podobny temu, jakim bogowie obarczyli Tharna, i wódz nie potrafił wyjaśnić niczego więcej. Albo nie chciał.

Podczas wielu dni, kiedy wracał do zdrowia, Tharn miał mnóstwo czasu na rozmyślanie. W odosobnieniu, pod dachem mizernej chaty, pozbawiony towarzystwa swoich mędrców, nie mógł się też cieszyć widokiem drzew i zwierząt. W pewnym sensie był więźniem własnego umęczonego ciała, a z powodu jego słabości powrót do zdrowia był procesem długim i uciążliwym. Po tygodniu zaczął odczuwać ciężar samotności. Dla ludu Karlaza wciąż był Siewcą Burz, Drolem, i nawet obsługująca go kobieta zwracała się do niego chłodno i bezosobowo. Dowiedział się tylko, że ma na imię Kreena. Karmiła go, myła w razie potrzeby i zawsze była na odległość głosu. W końcu udało jej się, dzięki usilnej pielęgnacji, przywrócić mu odrobinę zdrowia, cały czas jednak pozostawał samotny i pozbawiony towarzystwa ludzi.

Karlaz też nie odwiedzał go często. Lwi mistrz zajęty był sprawami wielkiej wagi i rzadko przychodził, by z nim porozmawiać. Zalecał Tharnowi odpoczynek, czego Kreena pilnie przestrzegała, bacząc, by podopieczny nigdy nie odchodził za daleko od posłania. Tharn wraz z Karlazem planowali kampanię przeciwko Narenom. Powstał między nimi związek, który najlepiej można byłoby określić mianem niechętnej przyjaźni. Tharn polubił Karlaza. Uznał wodza za człowieka honoru, jakim byli Kronin i Voris. Ale w miarę jak mijały kolejne dni i noce, trapił go coraz silniejszy niepokój. Chciał wiedzieć, co się dzieje poza czterema ścianami oddanej na jego użytek chaty. Błagał niewzruszonego Karlaza o wieści, jakkolwiek strzęp nowin, ale wódz był tak samo nieustępliwy jak Kreena. Żadne z nich nigdy nie powiedziało Tharnowi niczego ponad to, co było konieczne dla jego powrotu do zdrowia.

Aż do dzisiaj. Tharn podniósł twarz ku niebu, radując się słońcem i jego ciepłem. Był na skalnej półce, z której mógł zobaczyć całą dolinę lwów. Wydało mu się nagle, że u stóp ma cały świat. Tu w górze, ogarnięty podmuchami coraz silniejszego wiatru, pomyślał o tym, co mówił mu Karlaz. Z tego miejsca człowiek rzeczywiście mógł przemawiać do bogów.

Spojrzał w dolinę. Był to suchy, pozbawiony wody teren, porośnięty wysokimi krzakami o pajęczych gałęziach, które nadawały całej okolicy barwę bursztynu. Równinę gdzieś ocieniały drzewa o szarzielonych rozłożystych koronach, których gałęzie pełne były dojrzałych owoców i ptactwa, a w ich cieniu wylegiwały się zmęczone

łowami i upałem lwy. Podchodząc zwierzynę, kryły się w wysokich trawach, z których wystawały tylko ciemne pędzle zdobiące ich ogony. Pruły step niczym płetwy rekinów i płoszyły brodzące w trawach ptactwo i drobniejsze zwierzęta, padające ich ofiarami. Przez południowe rubieże doliny przepływała mętna rzeka, która leniwie toczyła swe wody, co należało przypisać długotrwałej suszy. W rzece tej, pełnej żarłocznych krokodyli, gasiły pragnienie lwy. Nad wodami rzeczki dał równie leniwy jak ona wiatr, budząc lekkie, migoczące w słońcu fale. Po wodzie spływały opadłe z drzew liście. Tharn śledził wszystko z zachwytem, porażony urokiem doliny. Może z powodu nastroju, lub entuzjazmu wywołanego wyjściem spod dachu, poczuł jednak skurcz w gardle. Czuł się znów zdrowy, jak każdy inny mężczyzna. Przepęlniały go moc i siła.

Nieco niżej zebrali się Karlaz i jego wojownicy. Wódz wezwał ich z pobliskich wiosek, oni zaś przybyli z naostrzonymi jiiiktarami i zaplecionymi na wojenny sposób włosami. Ich twarze stężały w maski zemsty – każdy miał to samo ponure wejrzenie, jakim Karlaz darzył Tharna. Zebrali się na rozkaz wodza, żądni krwi i zemsty za swoich braci. Mieli pokazać barbarzyńcom z Nar chwałę i potęgę Chandakkaru. Kiedy Tharn ujrzał ich po raz pierwszy, wzdrygnął się. Przypominali mu wilki Vorisa – byli jak one żyłaści, nieustępliwi i mieli ten sam dziki błysk w oczach. Choć można byłoby ich uznać za urodziwych, tak jak ich dolina mieli w sobie pierwotny żywiołowy urok. Choć nie był piękny, on sam był jednym z nich, i myśl ta napełniła go dumą. Wkrótce niczym huragan zemsty uderzą na przesmyk Saccenne. Czaszki Narenów będą pękać w potężnych lwich paszczekach, a imperator zadrży przed mocą Lucel-Loru.

Myśl ta napełniła Tharna satysfakcją. Jak Karlaz, był zajęty, nawet podczas rekonwalescencji. Rozesłał po kontynencie swoich mędrców, z których każdy miał zanieść posłanie innemu z wodzów. Karlaz też wysłał gońców. Kronin, Shohar, Praxtin-Tar – wszyscy dowiedzą się o tym, że Liss wsparło ich walkę, jeżeli już tego nie wiedzieli. Dostali polecenia, by ze swoimi ludźmi ściągnąć pod Ackle-Nye, gdzie mieli czekać na przybycie lwów. Główne uderzenie miał poprowadzić Kronin. Będzie to potężny cios, natarcie tak straszne, że nie zdołają mu się oprzeć nawet Narenie i ich bojowe maszyny. Dla Tharna plan ten miał tylko jedną wadę. Dla niego samego zabrakło w nim miejsca.

Zbyt słaby na długą podróż do Ackle-Nye, Tharn myślał o tym, by ściągnąć Karlaza do doliny Dring. Tam on sam poczeka, aż wojna wypali się do końca. Odpocznie i odzyska siły. I będzie z Dyana. Na twarzy mędrca pojawił się uśmiech. Żona będzie z niego dumna. Wiedział, że będzie.

– I co teraz? – zawołał do Karlaza.

Wódz stał w towarzystwie dwóch bliźniaczo podobnych wojowników ze swojej

wioski. Usłyszawszy pytanie Tharna, zmarszczył brwi.

– Nie odzywaj się – polecił.

Jego wojownicy cofnęli się, on sam zaś podszedł do krawędzi występu. Do pleców wódz przytroczył jiiktar, ukryty w pochwie podtrzymywanej przez szeroki, skórzany pas. Tharn poczuł podmuchy wzmagającego się wiatru, ale posłuszny poleceniu wodza zachował milczenie. Patrzył, jak Karlaz ostrożnie podchodzi do krawędzi skalistej półki, posyłając w dół zbocza lawinę drobnego żwiru. Jeden po drugim lwi jeźdźcy zdejmowali z pleców jiiktary i wyciągali je przed siebie, kierując lśniąca stal ku ziemi. I oto wiatr nagle zaczął się uśmierzać. Lwy w dolinie zajmowały się nadal swoimi sprawami, nie zwracając uwagi na odbywającą się wyżej ceremonię. Tharn spuścił wzrok, by przyjrzeć się zwierzętom. Piły, spały i kopulowały – nic ich nie obchodziło zebranie ich panów na górze.

I oto Karlaz wyciągnął z pochwy własny jiiktar. Bliźniacze ostrza błysnęły niczym podwójna błyskawica. Uniósł rękojeść nad głową i skierował ostrza ku niebu, po czym spojrzał w górę. Zamknawszy oczy, stał nieruchomo przez dłuższą chwilę. Tharn dałby wiele, by się dowiedzieć, co robi milczący wódz.

I wtedy Karlaz wydał okrzyk.

Był to dziki, ogłuszający krzyk, który wstrząsnął doliną, wezwanie bogów wydzierające się niczym grzmot z gardła wodza. Jego głos wystrzelił w niebo, niczym płomień ogniomiotu, rozrywając ciszę i pokój doliny, budząc wiatr i rozpędzając ciszę, aż wszystko skupiło się w krzyku Karlaza. Okrzyk wodza trwał bez końca – Karlaz nie nabierał tchu i grzmiał dłużej, niż Tharn uznałby to za możliwe. Drol spojrzał w dół, na dolinę. Trawy znieruchomiały. Wśród lwów zapadła cisza. Każdy podniósł swój ogromny łeb i spojrzał w górę, patrząc na zawodzącego pana Chandakkaru. Krzyk Karlaza trwał, twarz wodza zapłonęła czerwienią, a na jego czole wystąpiły krople potu.

Teraz przyłączyli się wojownicy, dołączając swe głosy do ryku wodza. Tak jak Karlaz, podnieśli broń i posłali w górę swój nieludzki zew, jakby dudniącymi głosami chcieli wstrząsnąć posadami nieba. Zaskoczony Tharn patrzył na wszystko, jak na niezwykle widowisko. Widział jak lwy w dolinie wstają i wbijają wzrok w sylwetkę Karlaza. W żółtych ślepiach bestii świeciła pierwotna inteligencja. Przywódca stada dźwignął się z traw, wygiął muskularny kark i ryknął.

Teraz już wszyscy ryczeli, chór potworów dołączył do chóru wojowników, ożywiając starą pieśń bojową. Wszyscy ryczeli i było to piękne. Powoli, ostrożnie, Tharn podszedł do krawędzi półki i stanął obok Karlaza.

A potem podniósł kostur i unosząc głowę, zagrzmiął, jak stojący obok wojownicy.

## Czterdzieści sześć

Lucyler z Falindaru wytknął twarz spomiędzy gałęzi i uśmiechnął się szeroko. Dawno nie polował, a odległość do Dring była zbyt wielka. Na trawiastej równinie w dole kłębiły się jego ofiary w swoich charakterystycznych, złotych zbrojach. Dziś jednak nie byli dumnymi jeźdźcami Talistanu. Byli ofiarami.

– Oto są – wyszeptał. – Jak świnie w zagrodzie.

Odstąpił na bok i pozwolił popatrzeć Kroninowi, ostrzegając go tylko gestem, by nie zdradził się przed czasem. Co prawda, tkwili wysoko na zboczu wzgórze i pomalowali twarze na zielono, zawsze jednak istniała możliwość, że zobaczy ich jakiś szperacz o bystrym oku. Kronin przemknął obok Lucylera i zręcznie odsunął kilka gałęzi. Spojrzawszy w dół zbocza, sapnął wielce zadowolony. Jeźdźcy, zmęczeni i otępiali, usiedli w krąg i wyjąwszy kilku stajennych, którzy zajmowali się końmi i czyścili miecze, oddawali się lenistwu, czekając na rozkaz, który pośle ich pod mury zamku Dring.

Na dole były też trzy kwasomioty. Richius zapewniał, że początkowo było ich tuzin. Hakan wrócił z opowieściami od Richiusa. Na samą myśl o przyjacielu twarz Lucylera rozjaśniła się. Chciał zobaczyć Richiusa, ale jeszcze nie nadeszła pora. Mieli akurat tyle czasu, by zrobić to, co Richius zaplanował.

– Kwasomioty – powiedział, zwracając się do Kronina. – Widzisz? To te wozy z miechami na szczycie.

Kronin niecierpliwie kiwnął głową.

– Pokaż mi Gayle'a. Nie widzę go. A to co za jeden? Ten w kapeluszu z pióropuszem?

Lucyler powiódł wzrokiem po obozie, usiłując wyłowić z zamglonej pamięci wizerunek rosnącego barona. Widział Gayle'a tylko raz, ale było to ponad rok temu. Zapamiętał jedynie wzrost i potężny, władczy głos. W milczeniu przeszukał wzrokiem obóz w nadziei, że gdzieś go zobaczy. Gayle był tym, którego chcieli dopaść. Nawet Kronin płonął chęcią zabicia starego sojusznika. Żaden z nich nie zapomniał o strasznym darze, jaki baron posłał Richiusowi. Ale nawet jeżeli Gayle był gdzieś tam w dole, nie można go było dostrzec w ciżbie zielonozłoty uniformów. Być może siedział w jednym z namiotów. Lucyler w końcu wzruszył ramionami.

– Może tam jest, a może go nie ma. Pewnie rozsiadł się w jakimś namiocie. Ale to nieważne. Tam są te wozy bojowe.

Cofnął się i pozwolił spojrzeć Hakanowi. Wojownik spieszenie zajął jego miejsce

i ujrzawszy wozy, świsnął cicho przez zęby. Nigdy nie widział ich wcześniej i mógł je porównać jedynie z pełnymi grozy opowieściami Drolów z doliny Dring. Teraz, patrząc na te maszyny, doszedł do wniosku, że opowieści nie były wcale przesadzone.

– Są wielkie – mruknął.

– Ale nie obsadzone załogą – dodał szybko Lucyler. – Tak przynajmniej to wygląda. Jeżeli się pospieszymy, możemy je zniszczyć i uciec, zanim tamci się zorientują, co ich uderzyło.

– Owszem, pośpiech to sprawa kluczowa – zgodził się Kronin. Wystąpił już spomiędzy krzaków. – Kwasomioty trzeba zniszczyć przede wszystkim, bo zatrzymają nasz atak. Nie ma nas aż tak wielu, by wystarczyło samo zaskoczenie. – Odwrócił się do Hakana. – Ludzie są gotowi?

Hakan kiwnął głową.

– Wszystkie skóry są napełnione. Czekamy tylko na twój rozkaz, wodzu.

– Nie trzeba nam żadnych bohaterskich wyczynów – upomniał Lucyler Hakana. – Oblejcie je tylko olejem i bierzcie nogi za pas.

– Dam łucznikom sygnał dopiero wtedy, gdy wszyscy będziemy mieli czyste pole – wtrącił Kronin. – Lucylerze, pojedziesz ze mną. Uderzymy na ten środkowy wóz, przy którym siedzi mężczyzna w kapeluszu. Jeśli to ktoś ważny, może nas doprowadzi do Gayle'a.

Głos wodza był tak spokojny i stanowczy, że Lucyler poczuł, iż pierś wzbiera mu dumą. Gnali ku dolinie, gdy tylko dotarło do nich wezwanie Vorisa, i nikt z nich nie wiedział, co zastaną na miejscu. Ruiny zamku? Zwisające z gałęzi drzew trupy Richiusa i Vorisa? Teraz szykowała się sroga rzeź, której ofiarami mieli paść Narenie wraz z Triinami. Richius i Lucyler zapewnili jednak Hakana, że szansę są równe. Historia doliny Dring zbliżała się do przełomu, a fakt, że Kronin i Lucyler będą mieli w tym swój udział wydał się temu ostatniemu dziwnym kaprysem losu. Wszyscy byli jednak teraz członkami jednego bractwa i nie dzieliły ich już dawne urazy. Tego przynajmniej spodziewał się po nich Tharn.

Mieli też dług wdzięczności wobec Lisseńczyków, wspaniałych, dzielnych żeglarzy, których nienawiść do Narenów zaćmiewała wszystko inne w ich życiu, włącznie ze zdrowym rozsądkiem. Szkunery wyspiarzy trzymały okręty Czarnej Floty z dala od wybrzeży Lucel-Loru, tak że Triinowie musieli się jedynie uporać z tymi Narenami, którzy zdążyli dotrzeć tu wcześniej. A tych było już tak niewiele, że do trzymania ich w szachu wystarczyła tylko część ludzi Kronina. Jechali więc ku dolinie pewni, że ich własny kraj jest bezpieczny, i spokojni, że gdy wrócą, zastaną wszystko, jak było. Na razie przynajmniej Tatterakowi nic nie groziło. W Dring sytuacja była zgoła inna.

– Wracaj, Hakanie – powiedział Kronin. – Powiedz wszystkim, niech się przygotowują. Wróćcie po nas za godzinę. Wtedy zaatakujemy.

– A ty, wodzu? – spytał Hakan. – Zostaniesz tutaj?

– Owszem, z Lucylerem – odpowiedział Kronin. – Będę wypatrywał tego rzeźnika Gayle’a.

Hakan skłonił się bez entuzjazmu i zostawił obu, a potem w milczeniu przekradł się na szczyt wzgórza i znikł za jego grzbietem. Lucyler i Kronin zostali sami. Kiedy wokół zapadła cisza, zakłócana jedynie szumem wiatru wśród liści, Kronin spojrzał na Lucylera.

– Tak czy inaczej, mają przewagę liczebną – powiedział bez ogródek. – Plan Vantrana jest dobry, ale ryzykowny, i może nam się w ogóle nie powieść. Wiesz o tym, prawda?

– Wiem – odparł Lucyler. – Ale znam też Richiusa. Jest bardzo przebiegły. Jestem pewien, że wziął pod uwagę wszystkie okoliczności.

Kronin przykucnął i uśmiechnął się do Lucylera.

– Zrobisz to dla niego, prawda? Nie masz innych powodów?

– Zrobię to dla Lucel-Loru – odpowiedział Triin. Pomyślawszy jeszcze przez chwilę, dodał: – I owszem, dla mojego przyjaciela. Mam wobec niego dług za starą krzywdę. A co z tobą, Kroninie? By rzec prawdę, mocno mnie zaskoczyłeś. Vorisa nienawidzisz bardziej niż Gayle’a. Aż tak bardzo ufasz Tharnowi?

– Bardziej, niż myślałem – zaśmiał się wódz. – Mam też i dług wobec Aramoorczyka – wyznał i przestał się śmiać. Jego twarz okryła się chmurą i przybrała ponury wyraz. – A bywają długi trudne do spłacenia.

\* \* \*

Richius i Voris wyjechali z zamku pod osłoną ciemności. Ciągnęło za nimi dwustu wojowników. Wszyscy szli pieszo i bez zapasów. Przedzierali się przez największą gęstwinę na południu doliny ku bagnom. Mieli tam dotrzeć za pół dnia. Ich marsz zwalniały tylko jiiiktary i ogromny miecz Richiusa, które co chwila zaczepiały o gałęzie.

Richius przytrzymał pochwę miecza, przekraczając powalone drzewa i nurkując pod iglastymi gałązkami. Był bliski wyczerpania, kiedy poczuł, że grunt pod jego stopami zaczyna mięknąć. Dotarli w pobliże mokradeł.

Aramoorczyk był piekielnie zmęczony. Poruszał się tylko dzięki sile woli. Z czoła lał mu się pot gryzący go w oczy, a kłębiące się nad nim ogromne, czarne komary ciężły jego ciało ostrymi jak noże żądłami. Dzień był gorący, taki, jakiego jeszcze tu nie pamiętał. Przez gałęzie przedzierały się promienie słońca, piekąc ich niemiłosiernie. Richius

widział przed sobą przepoconą opończę Vorisa. Kark wodza znaczyły ślady ukąszeń komarów. Nieopodal przemykał wśród gałęzi wąż dusiciel, patrzący na wojowników zimnymi gadzimi oczami, a spod na poły przegniłego pnia wylewała się falanga białych termitów. W powietrzu wisiał silny, słodkawy zapach zgnilizny i rozkładu. Gdzieś przed nimi chlupnęło w sadzawce jakieś spore zwierzę – małpa lub wielka ryba – Richius jednak zignorował ten dźwięk, głuchy na podszepty wyobraźni. Wystarczyło, że lękał się tego, co mógł zobaczyć. Znów znalazł się w dolinie Dring ze swoich koszmarów – w obrzydliwym, zatęchłym jej podbrzuszu.

„Wkrótce będzie po wszystkim” – zapewniał sam siebie. Nadciągali Lucyler i Kronin. Przy odrobinie szczęścia wieczorem dotrą na mokradła. Ta myśl dodała wigoru krokom Aramoorczyka. Wkrótce dolina zostanie oczyszczona z Narenów, on sam zaś wróci do Dyany i będzie mógł jej opowiedzieć, jak patrzył na rozpaczliwie błagającego o zmiłowanie, pogrążonego w bagnie po kolana i zapadającego się coraz głębiej Gayle’a – którego i tak potem ściął swoim wielkim mieczem. Dyana i jej córeczka już nigdy nie będą musiały się bać ludzi z Talistanu, on sam zaś pomści Sabrinę. Nareszcie i ostatecznie.

Szli przed siebie, milcząco i niestrudzenie, oszczędzając siły i brnąc coraz głębiej w grzęzawiska. W końcu Voris wreszcie się zatrzymał i podniesieniem dłoni dał znak pozostałym, by zrobili to samo. Dumaka Jarra przekazał rozkaz okrzykiem przez ramię na tyły i długa kolumna wyczerpanych wojowników znieruchomiała. Richius zatrzymał się obok Vorisa. Przed nimi parowały bagniska, tak przesiąknięte wodą i nietrwałe, że na ich powierzchni mogły utrzymać się tylko żaby i owady. Pomędzy kępami mchu rosły wysokie drzewa, których szerokie i gęsto rosnące liście odbierały niższym partiom bagien słoneczne światło. W powietrzu wisiał znacznie bardziej gęsty niż przedtem zapach zgnilizny. Voris zmacał ziemię butem, który zapadł się bez najmniejszego trudu. Wódz podniósł stopę, odsłaniając paskudny, szarozielony muł. Potem spojrzął na drzewa, wskazując wzrokiem grube gałęzie okryte gęstwiną liści.

– *Do o dae* – powiedział. – *Ta, Kalak?*

Richius spojrzął na drzewa i uśmiechnął się szeroko.

– Doskonale...

\* \* \*

– Lotts! Przestań się kryć i natychmiast tu przyłaż. Chcemy jeszcze z tobą pogadać!

Gdy Dinadin wyszedł z za swego konia ze zgrzeblem w dłoni, rozległ się chóralny śmiech. Aramoorczyk spojrzął obojętnie na pułkownika, usiłując stłumić w sobie falę

strachu, którą zawsze w nim budził Trosk.

– Słucham, pułkowniku?

– Usiądź, baranie – rozkazał Trosk. – Tracisz możliwość wysłuchania kilku zabawnych historyjek o swoim królu. – Pułkownik poklepał kępę trawy obok siebie. – Tutaj.

Dinadin podszedł do miejsca, gdzie Trosk i jego kompani rozsiedli się na ziemi wokół wypalonego ogniska. Kiedy usiadł obok pułkownika, wszyscy obdarzyli go tymi samymi krytycznymi spojrzeniami. Trosk zdjął swój kapelusz i otarł dłonią pot z czoła.

– Do kata! Tu jest cieplej niż w sypialni dziwki! – Przesunął palcem po żółtym piórze, a potem ponownie włożył kapelusz i nasunął go na prawe oko. – Zgrzałeś się, Lotts?

Dinadin skinął głową.

– Wciąż nie chcesz do mnie mówić, mały gnojku? Cholera, nie gniewam się. Mam innych przyjaciół.

Jego siedzący w krąg kompani błysnęli zębami. Dinadin spochmurniał. Nie bardzo mógł znieść ich widok nawet przed gwałtem, jaki popełnili na wiejskiej dziewczynce. Teraz, kiedy na nich patrzył, rwały go torsje. Zgwałcona dziewczynka wciąż jeszcze prześladowała go w snach. Skąd te czorty biorą odwagę, by obrzucać go takimi oskarżycielskimi spojrzeniami?

– Dobrze dbasz o konia, Lotts – stwierdził Trosk. – To pięknie. Ale mógłbyś zadbać i o siebie. Chcę, byś naprawdę nieźle wyglądał, kiedy wyjedziemy z tych lasów, by roznieść twego mizernego króla i ten nędzny zameczek, który ochrania. Życzę sobie, by widział, jak nadciągamy. – Trosk spojrział w dal ku ogromnej wieży, która znacznie wyrastała ponad linię koron drzew. – Jak myślisz, Lotts, czy on nas teraz widzi?

Dinadin nie odpowiedział.

– Nie? No to spróbujmy. Dalej, Lotts, pomachaj dłonią swojemu królowi. – Pułkownik sam zaczął machać ku odległej wieży, a potem szybko wystawił jeden palec, zmieniając pozdrowienie w obsceniczną drwinę. Jego żołnierze ryknęli pogardliwym śmiechem. – Szakalu! – wrzasnął Trosk. – Idziemy po ciebie!

Dinadin poczuł, że popada w coraz głębsze przygnębienie. Już wkrótce rzeczywiście pójdą na Richiusa. Piechurzy donosili, że opór Vorisa słabnie. Dziś albo jutro Gayle wyda jeździe rozkaz ataku na zamek. Co dziwne, Dinadin poczuł ukłucie wstydu. Nie takiego spotkania z Richiusem pragnął. Tkwiące w nim gdzieś głęboko resztki lojalności domagały się, by wykradł się z obozu i ostrzegł starego przyjaciela, a potem, dosiadłszy konia, u jego boku stawiał czoła tym okrutnikom. Był to jednak głos z innego żywota, pragnienie dawnego człowieka. Jego wzrok spoczął na chwilę na odległej wieży.



„Jesteś tam, Richiusie? Czy odepchnąłbyś mnie?”

Trosk tymczasem zwrócił swoją uwagę na jeden z niewielkich namiotów, jakie wzniesiono dla dowództwa. Były zresztą tylko dwa. W jednym rezydował sam pułkownik i dziesięciu jego ludzi. W drugim samotnie rozpierał się Gayle. Trosk popatrzył z pogardą na jego namiot i przemówił konspiracyjnym szeptem.

– Myślę, że baron łagodnie nam wariuje. Od kiedy zobaczył Vantrana na tamtej barykadzie, nie może mówić o niczym innym. – Odwróciwszy się do Dinadina, zachichotał znacząco. – Mógłbyś przekazać wiadomość swojemu dawnemu królowi, Lotts. Powiedz mu, że Gayle z Czarnej Kniei ostrzy już nóż do kastrowania!

– Przedtem musimy go złapać – stwierdził jeden z siedzących w kręgu, porucznik o przetłuszczonych włosach. – Zamek może i jest zaniedbany, ale bez wątpienia dobrze obsadzony. Vantran pewnie przygotował tam mnóstwo pułapek.

– Gayle uważa, że zamek padnie w ciągu jednego dnia – powiedział Trosk. Jego oczy rozbłysły szaleństwem, takim samym, jakie Dinadin zobaczył w jego oczach, kiedy gwałcono dziewczynkę. – Przy odrobinie szczęścia pozwoli nam się zabawić. Vantrana jednak trzeba wziąć żywcem. Możesz nam się przy tym przydać, Lotts. Może tamten ci zaufa?

– Co takiego? – spytał Dinadin, nie wierząc własnym uszom.

– Jak sądzisz, czy mógłbyś to zrobić? Potrafiłbyś go namówić, by się poddał? Byłoby dobrze dla nas wszystkich, gdyby to uczynił.

Wszyscy siedzący utkwili w nim swe spojrzenia.

– Nie wiem... – wymamrotał Dinadin. – Może...

– Tak właśnie się to robi – uciał Trosk. – Potrafiłbyś, gdybyś był mężczyzną. – Znów parsknął śmiechem. – Ale, ale... zapomniałem się. Nie jesteś mężczyzną, prawda?

Dinadin wstał, robiąc urażoną minę.

– Jeśli pozwolisz, panie, to wrócę do oporządzenia konia.

– Ooo, nareszcie powiedziałem coś, co uraziło naszego chłoptasia. Naprawdę, Lotts? Obraziłeś się na mnie? Nie rób tego, bo złamiesz mi serce.

Jego kompani znów ryknęli śmiechem szaleńców. Upał i obraza spowodowały, że Dinadin poczuł, że lada moment krew się w nim zagotuje. Na ułamek sekundy mignęła mu myśl, by kopnąć Troska w roześmianą gębę. Byłoby to prawie warte wszystkiego, co mogliby mu potem zrobić. Ale tylko prawie.

– Jak sobie życzysz, panie – stwierdził Dinadin z nikłym śladem ironii w głosie. – Jak zwykle masz rację.

– Owszem. – Trosk uznał jego słowa za dobrą monetę. – Nigdy o tym nie zapominaj.

Dinadin odwrócił się i już miał odejść, kiedy dostrzegł coś na zboczu wzgórze.

Popatrzył w dal, osłaniając oczy dłonią. Coś tam się ruszało, coś bardzo kolorowego.

Trosk też spojrział i to samo uczynili wszyscy siedzący w kręgu Talistańczycy. Gdzieś z tyłu rozległ się wrzask wartownika. W obozie wybuchło zamieszanie – wszyscy zerwali się na nogi i pognali ku koniom. Trosk zatrzymał się u boku Dinadina i koniuszkiem palca wodził po krawędzi swego kapelusza.

Wojownicy. Dziesiątki wojowników runęły ze wzgórza w dół, oślepiając wrogów błyskami jiiiktarów i wyjąc nieludzkimi głosami. Wrzeszcząc dziko, wylewali się spomiędzy drzew. Ich konie wyrzucały kopytami kępy murawy i blocka, oni zaś rwali ku równinie niczym stado demonów o zielonych twarzach i szmaragdowych włosach.

– Pułkowniku? – wyjąkał porucznik o tłustych włosach. Miał taką minę, jakby nagle zobaczył koniec świata. – Co... co to jest?

Trosk tymczasem zaniemówił. Otaczający ich jeźdźcy ruszyli do koni, albo zaczęli gorączkowo rozglądać się za odłożoną bronią. Dinadin wziął się w garść i rozejrzał za jakimś miejscem, gdzie będzie mógł się schronić. Koń. Musi się dostać do konia. Ale Trosk nawet nie drgnął.

– Pułkowniku... – odważył się wreszcie. – Co robimy?

Zanim Trosk zdążył odpowiedzieć, ze swego namiotu wypadł Gayle. Choć zatrzymał się w odległości przynajmniej dziesięciu kroków od Dinadina, Aramoorczyk słyszał jego grzmiący ryk, jakby baron stał tuż obok niego.

– Niebiańskie ognie! – dudnił Gayle. – To Kronin!

Zaraz potem zaczął wydawać rozkazy jeźdźcom, którzy biegli do koni. Sam skoczył do swojego czarnego rumaka i wspiął się na jego grzbiet. Przeszukawszy wzrokiem obóz, zaklął ordynarnie, kiedy ujrzał oszołomionego Troska.

– Trosk! – zaryczał jak szalenciec. – Na koń! Ochraniaj kwasomioty!

Rozkaz przywrócił Troska życiu.

– Kwasomioty – mruknął. Potem odwrócił się do Dinadina i odezwał się z dawną złośliwością: – Gotów jesteś na to, by zostać bohaterem, Lotts?

\* \* \*

W uszach Lucylera, gnającego konno w dół po zboczu wzgórza, huczał ryk żądnych krwi wojowników. Ogarnął go niemal ślepy szał. Talistańczycy w obozie już ich zobaczyli. W dole wykrzykiwano rozkazy. Ludzie dosiadali koni. W obozie rozpętał się cudowny chaos, Lucyler zaś, szczerząc zęby jak jego towarzysze i wyjąc jak wilk, rwał niemal na oślep ku bitwie. Obok niego, niczym anioł zemsty, gnał Kronin. Wódz wyglądał jak uosobienie długowłosej furii – poruszał się z szybkością atakującego węża

i myśl o tym, że da się go zatrzymać, wydała się Lucylerowi równie bezsensowna, jak próba powstrzymania huraganu.

Pochylił głowę i mocniej ujął rękojeść jiiktaru. Jego rumak parskał rażno, gnając po zboczku ku niewielkiemu zgromadzeniu wozów bojowych i zaprzężonych do nich bestii. Miechy kwasomiotów na dachach pojazdów były puste i nieruchome. Lucyler poczuł, że pierś wzbiera mu przecuciem zwycięstwa. Jeżeli tych strasznych machin nie obsadzono...

Ktoś tam jednak nie stracił głowy – osobiwy jegomość w kapeluszu. Wrzeszczał coś do swoich i pokazywał na wozy. Lucyler zaklął szpetnie.

– Kroninie! – wrzasnął, usiłując przekrzyczeć grzmot końskich kopyt. Ostrzem jiiktaru wskazał na trzy wozy. Kronin spojrział i zmarszczył brwi.

– Szybciej! – zagrzmiał wódz.

I rzeczywiście ruszyli szybciej. Kronin i Lucyler rzucili się na środkowy wóz, a Hakan i pozostali, łamiąc szereg, runęli na boczne pojazdy. Za nimi, wciąż ukryci w gęstwinie liści, na wynik szarzy czekali łucznicy. Lucyler opuścił dłoń ku workowi z kozłej skóry, który obijał się o koński bok przy siodle. Hakan i jego ludzie wieźli podobne wory. Nawet koń Kronina dźwigał skórzane brzemię. Lucylerowi zrobiło się zimno na myśl, że worki mogą popękać...

„Nie...” – poprawił się w duchu. Skóra była mocna. Wszystko się uda, jeżeli dopadną wozów dostatecznie szybko.

Byli już na równinie i doskonale widzieli cel ataku – wozy. Talistańczycy właśnie ze zgrzytem wyciągali miecze. I w tej samej chwili Lucyler zobaczył groteskowo wielką sylwetkę Gayle’a na hebanowo czarnym rumaku. Ściskający rękojeść miecza baron wyglądał niczym mroczne słońce. Długi warkocz niedbale zaplecionych włosów zwisał mu aż na plecy, a spod srebrnej maski błyskało dziko czerwienią jego jedyne oko. Otaczali go konni, miotający obelgi na gnających ku nim jeźdźców Tatteraku.

Jeźdźcy zbierali się. Będzie więc bitwa. Lucyler był pewien, że zwyciężą Triinowie. Mieli nad Talistańczykami przewagę liczebną, a piechurzy, osłaniający dotąd wroga, o mile stąd odpierali ataki fanatyków Vorisa. Bez nareńskiej piechoty, która wspierała działania konnych, oddział jazdy był zbyt nieliczny, by powstrzymać choćby na krótko gnających na nich jeźdźców. Będą musieli odstąpić.

Wóz był już tylko o kilka końskich skoków. Człowiek w kapeluszu dał się jednak zaskoczyć. Wyciągnął szablę i skoczył ku wozom, głośnymi okrzykami wzywając innych, by poszli za nim. Lucyler uśmiechnął się złowrogo. Wiedział już, że tamci nie zdążą.

– Dalejże! – ponaglił wódz, szykując się do skoku z siodła.

Hakan i pozostali byli tuż tuż, a za nimi nadciągali inni jeźdźcy Tatteraku. Śpiący obok wozu greegan otworzył leniwie jedno ślepie, szukając źródła hałasu. I nagle obudził się kolejny greegan – wciąż zaprzęgnięty do środkowego wozu. Zobaczywszy nadciągających nieprzyjaciół, zawył z niepokojem i niezdarnie zaczął wstawać.

Kronin był jednak już zbyt blisko. Osadził konia tuż obok potwora i ciął jiiiktarem w jego gardziel. Ostrze tylko lekko zadrapało grubą skórę, a zwierzę prawie nie dostrzegło, że ktoś zamierza się na jego życie. Kronin ryknął z furią i pchnął okropnie, wkładając w to całą siłę. I ze zdumieniem ujrzał, jak ostrze wygina się i pęka. Towarzyszył temu wytrysk strumienia ciemnej krwi i ryk zranionej bestii, która zarzuciła łbem i uniosła swój róg w górę. Tylne nogi potwora ugięły się, a zaraz potem potężny łeb uderzył o ziemię, ale znów się poderwał, miotany śmiertelnymi drgawkami. Kronin w samą porę zdążył zeskoczyć z konia, unikając o włos uderzenia rogiem. Wódz zerwał jeszcze worek z olejem i odskoczył w tył. Róg greegana wbił się w koński brzuch. Wierzchowiec wodza zarżał rozpaczliwie i wierzgnął kopytami.

Przejęty zgrozą Kronin odchylił się do tyłu. Na twarz trysnęła mu fontanna krwi. Lucyler osadził swego konia tuż obok wodza. Gdy greegan cofnął róg, wierzchowiec Kronina zarżał przeraźliwie, bo bestia wyszarpnęła mu kłęb wnętrzności. Koń zwałił się na ziemię miotany drgawkami. Oślepiiony zalewającą mu oczy krwią, greegan obrócił się dookoła osi. Lucyler usłyszał jakieś wrzaski. Chwyciwszy Kronina za ramię, podsadził go na dach wozu, który mocno się przechylił, gdy ranny greegan złamał dyszel.

– Ruszaj! – zawołał Lucyler.

Kronin stracił oparcie, poślizgnął się, a potem szybko wyprostował, wciąż trzymając bukłak pełen palnej cieczy. Wspiąwszy się na dach, rozwiązał zębami rzemienie i odwrócił worek, oblewając kwasomiot jego zawartością.

– Podaj swój! – ryknął wódz, wyciągając rękę do Lucylera. Jak przedtem, oblał zawartością bukłaka dach wozu, dbając o to, by przede wszystkim dobrze nasączyć olejem drewniane części. Nachylenie, jakie nadał wozowi szarpiący się greegan, pomogło tylko rozlać płyn. Uporawszy się z zadaniem, Kronin oblał resztkami oleju dziko miotającą się bestię. Lucyler zaryzykował spojrzenie wstecz. Łucznicy na wzgórzach wychylali się już z kryjówek ze strzałami na cięciwach, gotowi dokończyć dzieło zniszczenia, zapoczątkowane przez rozlewających olej.

– Wystarczy! – wrzasnął Lucyler. – Nadciągają żołnierze! Wracajmy!

Kronin zeskoczył z wozu, Lucyler pognął konia ku niemu i wódz wskoczył na grzbiet zwierzęcia, wspinając się za Lucylera. Człowiek w kapeluszu szarżował na nich z szablą w dłoni, obsypując ich przekleństwami. Jadący obok niego mężczyzna zachowywał się tak, jakby był oszołomiony rozwojem wydarzeń. Miał opuszczoną

przyłbicę hełmu i jechał ostrożnie za ryzykantem, trzymając się dobre dziesięć kroków z tyłu. Lucyler uśmiechnął się w duchu. Wiedział, że tamci niewiele już wskórają, nie zdążą bowiem dopaść wozu na czas. Spokojnie wyciągnął dłoń do wodza i pomógł mu wspiąć się na koński grzbiet. Kronin rzucił swój złamany jiiktar na ziemię i teraz patrzył z odrazą na szamoczącego się w kurzu gregana.

– Inni też zrobili swoje – stwierdził Lucyler, widząc Hakana i jego drużynę cofającą się od obozu. Zawrócił konia w miejscu i ruszył ku wzgórzom. Teraz wystarczyło już tylko, że dadzą sygnał.

Gdy ruszyli pod górę, Kronin osłonił dłońmi usta i wydał ogłuszający okrzyk. Łucznicy na wzgórzach opuścili nasączone olejem groty strzał w płonące kaganki. Lucyler zaniósł się szalonym śmiechem. Zaraz znajdą innego konia dla Kronina i wrócą na pole bitwy. Znajdą Gayle'a i zaszlachtują go, powoli i starannie. Zaśmiał się jeszcze głośniejszym głosem, widząc, że łucznicy unoszą ogniste groty w górę.

Potem zobaczył coś jeszcze – kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Odwróciwszy głowę, zobaczył młodzika w uniformie jeźdźców Talistanu. Zsunąwszy się z konia opadł na jedno kolano i patrzył na nich, trzymając na ramieniu metalicznie połyskującą rurę. Wymierzywszy wprost na nich, sięgał właśnie palcami do spustu zapalarki. Za plecami miał pojemnik, z którego pajęczą sieć rurek zbiegała się na przeciwległym do wylotu końcu rury.

Lucyler zaklął szpetnie. Łucznicy na wzgórzach napinali właśnie cięciwy. Młodzik z ogniometem zadygotał jak w ataku febry, usłyszawszy grzmot kopyt nadciągającej jazdy Tatteraku. I nacisnął spust.

Rozległ się ryk płomieni i cały świat ogarnął ogień.

\* \* \*

Trosk patrzył, jak ogniste strzały pną się w niebo. Szum w jego głowie ucichł prawie zupełnie, wciąż jednak nie bardzo wiedział, co się, do cholery, dzieje. Gdzieś z tyłu grzmiały niezrozumiałe ryki Gayle'a, obok niego zaś bełkotał coś do siebie ten cymbał Lotts. Pułkownik śledził wzrokiem lot strzał, nie bardzo wiedząc, co począć. Był obok wozu bojowego i wiedział, że nadlatujące pociski wymierzono w pojazd. Triińskie gnojki oblały czymś kwasmiot. Trosk nie wątpił, że to jakaś palna ciecz.

– Lotts! – wrzasnął, odwracając głowę przez ramię. – Pospiesz się, bałwanie! Musimy zabrać wozy w bezpieczne miejsce!

Aramoorczyk podszedł bliżej, zatrzymując się o kilka kroków od rannego gregana. Trosk podniósł ręce, by uspokoić zwierzę.

– Spokojnie, wielki idioto. Chcę ci tylko pomóc.

Nawet jeżeli zwierzę go usłyszało, nie reagowało. Ryczało głucho i miotając się, w agonii wdeptywało w trawę koński korpus. Trosk zerknął ku niebu. Zostały im już tylko sekundy.

– Ruszaj, do cholery! – ryknął, a potem odskoczył spieszenie od zwierzęcia, domyśliwszy się, że i ono będzie celem strzału.

Dinadin zatrzymał się obok pułkownika w tej samej chwili, w której deszcz ognistych grotów dotarł do celu. Wóz natychmiast utonął w ogniu, a jego wielkie miechy nadęły się niebezpiecznie. Któryś z ognistych języków liznął zad greegana i podpalił rozlaną tam przez Triina oliwę. Greegan zawył i runął przed siebie – prosto na Troska, który akurat się potknął. W ułamku sekundy wzrok pułkownika zasnuł się czernią, gdy greegan uderzył go piersią. Zaraz potem dwie przednie nogi bestii załamały się pod jej gigantycznym ciężarem i bydlę runęło na Troska. Ten skoczył w tył, usiłując się odsunąć, ale upadł piersią w piach i mógł tylko sypnąć przekleństwami. Zobaczył jeszcze opadający na niego cień, przerażoną twarz Lotts'a, potem mrok się pogłębił i poczuł okropny ból, który zupełnie wyparł mu dech z piersi.

Greegan zwałił się na niego całym ciężarem. Zwierzę rzucało się jeszcze na połamanych nogach, brocząc krwią, wciskając Troska w ziemię i łamiąc mu kości.

– Lotts! – zakwiczął pułkownik. Z ust chlusnął mu strumień krwi. – Lotts, pomóż mi!

Aramoorczyk nawet nie drgnął. Stał spokojnie niczym posąg o twarzy ukrytej za demoniczną przyłbicą i patrzył, jak Trosk wyciąga do niego ręce. Pułkownik poczuł, że mięśnie skuwa mu lodowate przerażenie. Nie mógł się ruszyć.

– Lotts, ty bałwanie! Pomóż mi, niech cię szlag! Nie mogę się ruszyć!

Lotts nadal nawet nie drgnął. Trosk obrócił głowę i zobaczył, że wóz ogarnęła chmura dymu i ognia. Greegan znieruchomiał, ale za to zaczęły się nadymać miechy kwasomiotu.

– Lotts, błagam! – zakwilił Trosk, wybuchając histerycznym płaczem. Miechy wydały z siebie niesamowity, zgrzytliwy jęk. – Dam ci wszystko, co zechcesz! Wszystko!

Aramoorczyk postąpił krok do przodu i serce Troska nappełniło się nadzieją.

– Pamiętasz tę dziewczynkę? – zadudnił nieludzki głos spod hełmu. – Pragnąłem tylko jednej rzeczy, pułkowniku. Pragnąłem, byś dostał za swoje.

I nie dodając już ani jednego słowa, Lotts odwrócił się i odszedł. Trosk spojrział przez ramię i zobaczył, że miechy kwasomiotu nabrzmiały już do nieprawdopodobnych rozmiarów. Na ich powierzchni pojawiła się szczelina, z której zaczęła się wydobywać żółta para. I nagle miechy pękły, rzygając na wszystkie strony jadowitą chmurą.

Był to ostatni widok, jaki ujrzał Trosk, zanim żółta mgła wyżarła mu oczy.

\* \* \*

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył Lucyler, gdy otworzył oczy, było niebo. W skroniach łupało mu nieznośnie, niebo było jasne i słońce niemiłosiernie paliło mu skórę. Bolała go cała twarz, bolały go też ramiona. Wołali go jacyś ludzie. Słyszał swoje imię wykrzykiwane z wielkiej odległości. I słyszał też imię Kronina.

Kronin. Gdzie był wódz?

Z trudem odwrócił się na bok. Nieopodal w trawie leżał jakiś człowiek, którego ręce i nogi były nieprawdopodobnie powykręcane. Lucyler przyłożył dłonie do twarzy – przypomniał sobie grzmot, błysk i wybuch, które wyrzuciły go z siodła. W całej twarzy czuł tępy, pulsujący ból. Lewy rękaw niebieskiej kurtki zwisał u jego boku w strzępach, a biała skóra pod nim płonęła czerwienią. Ramię przeszywał mu nieznośny ból. Odpychając się od ziemi sprawnym ramieniem, podczołgał się do miejsca, gdzie leżał obalony mężczyzna. Uniósłszy się nieco wyżej, zobaczył, że leżącym twarzą w dół jest Kronin. Włosy wodza niemal zupełnie spopielił ogień. Miał okropnie rozerwane plecy, tak że spod czerwonych, obnażonych mięśni widać było kości kręgosłupa. Kronin leżał całkowicie nieruchomo; nawet najłżejszy oddech nie unosił jego piersi.

– Nie! Och, nie! – jęknął Lucyler, pochylając się nad ciałem wodza.

Zaraz potem podjechał Hakan w towarzystwie innego wojownika. Nastąpiła długa, dramatyczna chwila milczenia.

– Kronin nie żyje! – powiedział wreszcie z niedowierzaniem w głosie. – Został zabity...

Wokół nich z grzmiotem końskich kopyt przetaczali się wojownicy Tatteraku, aby zewrzeć się z wrogiem, ale Lucyler nawet nie podniósł głowy. Przytuliwszy martwego wodza do piersi, poczuł ciepło jego krwi i pozwolił, by zboczyła mu szata. Płakał i nawet nie wiedział, dlaczego płacze. Czy Kronin był mu aż tak bliskim przyjacielem? W końcu wstał z trudem, układając ciało wodza na trawie. Hakan patrzył na niego oczami pełnymi rozpacz.

– Pomścimy go! – syknął Lucyler. – Pobijemy ich i zepchniemy na bagna. I będziemy stali i patrzyli, jak się tam topią.

\* \* \*

– Puszczaj, do cholery! – syknął Richius, wsuwając ostrze sztyletu pod przyssawkę

pijawki. Była ostatnia – taką miał przynajmniej nadzieję. W jakiś sposób umknęła jego uwadze wcześniej. Voris zapomniał go ostrzec, że bagna pełne były tych obrzydliwych, śliskich pasożytów, i w ciągu paru minionych godzin zaciekle zrywał je ostrzem ze skóry. Zdjął wszystkie z wyjątkiem tej jednej, której nie dostrzegł, bo wspięła mu się po skórzanych spodniach aż na plecy. Jej ukąszenie poczuł dopiero przed chwilą.

Przebrnęli przez najbardziej stabilną okolicę bagien i zanurzając się po pas w grząskim błocie, dotarli w końcu do wąskiego cypla twardszego gruntu, który potrafił utrzymać ciężar człowieka. Ukryli się wśród liści i zajęli się oczyszczaniem skóry z pasożytów. Była to uciążliwa, monotonna praca, którą Richius wykonywał bardzo starannie – choć liczne, broczące krwią ślady ukąszeń świadczyły o tym, że nie był dość szybki. Zdołał jednak zdjąć z siebie niemal wszystkie pijawki.

Zagryzł wargi, balansując ostrożnie na gałęzi i trzymając się jej jedną ręką, podczas gdy drugą gmerał po plecach, szukając pijawki. Wymacał oślizgłe ciało, podsunął pod nie ostrze sztyletu i usunął natręta, zacinając się lekko – czego niestety nie dało się uniknąć.

– Skurczy...

Pijawka odpadła. Richius zacisnął na niej palce i zgniół ją, a potem rzucił do wody pod sobą. I usłyszał za sobą wybuch śmiechu. Voris, który znalazł kryjówkę na sąsiednim drzewie, obserwował jego wygibasy nie bez życzliwego zainteresowania. Richius wetknął sztylet do pochwy i uśmiechnął się kwaśno do woda.

– Dzięki za to, że w porę powiedziałeś mi o tych pijawkach – mruknął, zapinając guziki koszuli.

Na sąsiedniej gałęzi, oddalonej na długość ramienia, wisiał miecz, skryty bezpiecznie w nasączonym tłuszczem pochwie. Był już prawie zmierzch. Na bagnach zapanowała niesamowita cisza. Richius musiał dobrze nadstawić ucha, by usłyszeć rozmowy Triinów ukrytych wśród drzew wyżej od niego. Upał, który panował nad bagnami wcześniej, zelżał, a potem ustąpił całkowicie, wszystkim jednak dawała się we znaki wszechobecna woń zgnilizny. Nad wodami snuły się pasma żółtawych oparów, wykwitających z bulgoczących sadzawek, a pomiędzy drzewami unosił się monotony rechot żab. Gdzieś w oddali rozdarł się rozpaczliwie jakiś wodny ptak, którego wciągało pod wodę coś drapieżnego i głodnego. Powietrze było gęste, wilgotne, i Richius czuł, że jego przemoczone ubranie wisi na nim, jak szmata. Zaprzagnął wrócić do domu.

Gdziekolwiek ten dom był.

Do Dyany i Shani. Tam gdzie były one, chciał być i on. Chciał znaleźć się tam, gdzie mógłby znów być mężczyzną i człowiekiem, zamiast udawać czepiającego się gałęzi drapieżnika. Nie był już Szakalem. Teraz czaił się na gałęzi niczym jaguar czyhający na



ofiare, aż przejdzie pod gałęzią, aby mógł skoczyć i skruszyć jej kark. Przez chwilę zastanawiał się, czy jaguary pożerały ludzkie mięso.

Nad bagnami rozległ się donośny okrzyk. Poprzez wodę brnął ku nim jakiś wojownik, który wskazywał ręką za siebie. Richius znieruchomiał. Tego okrzyku nie można było pomylić z innym. Spojrzał na Vorisa.

– Nadchodzą?

Voris kiwnął głową z irytującym spokojem, a potem bezszelestnie znikł wśród gałęzi.

\* \* \*

Dinadin ponaglił gnającego przez błoto konia i wpędził wierzchowca głębiej w mokradła. Zbroja grzała go niczym żeliwny piecyk. Przed nim, niemal całkowicie niewidoczny z powodu potu zalewającego mu oczy, jechał Gayle, wiodący swoich ludzi w mrok. Baron klął niczym potępieniec i naglił wszystkich do pośpiechu. Z tyłu dobiegały ich okrzyki idących w pościgu wojowników Kronina. Odpierali ataki rozjuszonych Triinów, aż w końcu okazało się, że nie zdołają dotrzymać pola tym malowanym diabłom. I wtedy Gayle rozkazał trąbić na odwrót. Ale – jak się o tym rychło przekonali – wpadli z deszczu pod rynnę.

– Dalejże, przeklęta bestio! – ryknął Dinadin, zwracając się do swego wierzchowca. Koń parsknął i ruszył przed siebie, ale ponieważ i tak już brnął po kolana w mule, szybko zapadł się jeszcze głębiej. Na jego nogach i podbrzuszu mrowiły się czarne przecinki pijawek. Dinadin uderzył konia piętami. Nie chciał ginąć w tych błotach...

Za sobą usłyszał trzask i szelest rozsuwanych gałęzi. Wojownicy Triinów byli już blisko. Szli pieszo. Gayle, świadomie czy nie, wiódł Narenów w pułapkę. Dinadin przeklął siebie, Troska, i Gayle'a. Wyciągnął miecz i obejrzał się za siebie. Woda zadrżała, a korony drzew lekko się poruszyły. Nadchodzili.

– Dobrze, cholerni gogowie! – warknął. – Nie będziemy już uciekali.

Nie zdążył unieść miecza, gdy usłyszał jakiś wrzask przed sobą. Odwróciwszy się w siodle zobaczył, że na jeźdźca tuż przed nim zwałił się z drzewa jakiś ogromny czerwony stwór. Zaraz potem w dół sfrunął drugi i trzeci, wszystkie zaś zrzuciły jeźdźców w śmierdząca wodę. Dinadin zamarł z przerażenia. Podniósł wzrok ku koronom drzew w tej samej chwili, kiedy runął na niego odziany w czerwone szaty diabeł. Świat zapadł mu się w czarną jamę i Dinadin poczuł uderzenie, które pozbawiło go tchu. Wodze wyslizgnęły się z jego zmartwiałych palców. Otworzył usta do krzyku, natychmiast jednak wypełniło je coś ciepłego i gęstego. Poczul, że się dusi.

Był pod wodą.

Ogarnięty paniką, zdołał się wykręcić, strącić z siebie napastnika i wyrwać się z wody. W szamotaninie zgubił gdzieś miecz, co spostrzegł natychmiast, gdy rzucił się na niego inny człowiek w czerwieni.

– Nie! – zawołał, zrywając z głowy hełm i machając nim na oślep. Szczęśliwym trafem hełm uderzył Drola w głowę i odrzucił go w tył. Dinadin rzucił się do ucieczki, co nie było łatwe w głębokiej po pas warstwie obrzydliwie brudnej wody. Błoto wsysało go w głąb i ciągnęło w dół, nawet gdy parł przed siebie. Oddychał z trudem, łapiąc powietrze gorączkowymi haustami. Ogarnęła go panika. Nie miał bronii, a wokół niego wrzała bezładna walka. Z drzew opadali wciąż nowi wojownicy Drolów. Jeźdźcy darli się jak opętani i machając mieczami na oślep, starali się razić czerwone upiory. Wtedy właśnie Dinadin zobaczył Gayle'a, którego potężny, czarny rumak brnął przez bagno, zanurzony po brzuch w zielonkawej mazi. Baron zniknął już w mroku, Aramoorczyk jednak dość dobrze widział jego srebrną maskę.

– Gayle! – zawołał Dinadin. – Widzę cię, draniu! Nie ujdiesz mi!

Ruszył za uciekającym Talistańczykiem, zapomniawszy nagle o spadających z drzew Drolach i podążających za nimi jeźdźcach Tatteraku. Pewien był, że na tych bagnach znajdzie śmierć, przedtem jednak miał do wyrównania jeszcze jeden rachunek krwi.

– Wracaj, tchórze! – zagrzmiął w ślad za uciekającym.

Gayle miał jednak sporą przewagę. Dinadin brnął za nim, chwiejąc się z boku na bok i odgarniając rękami brud oraz porastające bagna zielsko.

Z nieba spadł kolejny przeciwnik w czerwieni, uderzając Dinadina w ramię. Aramoorczyk okręcił się na pięcie, poślizgnął i padł na kolana. Obrzydliwa woda znowu zalała mu usta. Usiłował zerwać się i wstać, ale tym razem przeciwnik był potężnym mężczyzną, który trzymając Dinadina za kark, wciskał go w wodę. Pod powierzchnią wszystko było zielone, brudne i rozmazane. Spojrzawszy w górę, zobaczył tylko promienie słońca i pęcherze własnego, uciekającego ku powierzchni oddechu.

\* \* \*

Walka nie trwała nawet godziny.

Kiedy już było po wszystkim, Richius oparł się o pień drzewa i opadł po kolana w wodę. Z ramion spływały mu strugi cieczy zabarwionej czerwienią. Znów czuł ukąszenia pijawek. Pływające wokół niego w wodzie trupy też były upstrzone przecinkami pasożytów. Nieopodal przez błoto brnął Voris, który dźwigał jakiegoś wojownika, niosąc go ku błotnistemu brzegowi. Richius widział skrajnie wyczerpanych

jeźdźców Tatteraku, padających w ramiona Drolów, którzy ochoczo im pomagali. Zapadał zmierzch, niosący ze sobą specyficzną duchotę, smród i zapach zgnilizny. Tuż obok Richiusa wodny wąż wżerał się w otwartą ranę jakiegoś martwego Talistańczyka. W usta ściętej głowy jakiegoś Triina wpelzał właśnie ogromny robal. Obok taplali się w wodzie ludzie, którzy brnęli ku brzegom pogrążeni w milczeniu, przytłoczeni rozmiarami rzezi, wyczerpani i ciągnący za sobą trupy przyjaciół.

Richius był tak odrętwiały, że poruszał się z najwyższym trudem. Bolały go okropnie niedawno wyżarte przez kwas rany na plecach. Talistański miecz liznął go w czoło i teraz po twarzy spływała mu strużka krwi. Niezmordowanie wgryzały się w niego setki pijawek. Zachwiał się nagle i niewiele brakło, a padłby na twarz w wodę. Wyprostował się i targany torsjami zwymiotował prosto w błocko obok. Zwaliłby się w wodę, gdyby nie dźwięk znajomego głosu.

– Richiusie! – zagrzemiał nad bagnami radosny okrzyk.

Richius zdołał podnieść głowę dostatecznie wysoko, by zobaczyć brnącego ku niemu Lucylera. Jego twarz była pokryta sadzą, odzież zwisała w strzępach, ramię i bark miał zbroczone krwią z otwartych ran i poruszając się z gracją pijanego, ciężko dyszał, brodząc w grząskim mule.

– Lucylerze... – wychrypiał Richius, ruszając na spotkanie towarzysza. Spotkali się w połowie drogi, zanurzeni po kolana w błocie. Gdy Richius padł w ramiona przyjaciela, poczuł, że opuszczają go resztki sił.

– Udało się! – wycharczał Lucyler. – Richiusie, pobiliśmy ich.

– Pobiliśmy – zawtórował Richius. Był tak słaby, że ledwo miał siły, by mówić, ale moc tych słów dodała mu skrzydeł. – Nie mogę w to niemal uwierzyć!

– Uwierz, przyjacielu – odpowiedział Lucyler. – Ale jak widzę, jesteś ranny. Musimy cię stąd zabrać.

– Nie – sprzeciwił się Richius. – Najpierw muszę zobaczyć, jak Voris i Kronin podają sobie ręce. Gdzie jest wódz Tatteraku?

Twarz Lucylera nagle się zachmurzyła. Richius zamknął oczy.

– Och, nie! – zawołał. – Zginął?

– Na równinach. Dostał z ogniomiotu.

Richius wyciągnął rękę, dotykając oparzelin na ramieniu Lucylera.

– Tobie też się dostało?

– Siedzieliśmy obaj na moim koniu. Kiedy zobaczyłem ten ogniomiot, było już za późno. Przykro mi, Richiusie. Musisz jednak wiedzieć, że zrobił to ze względu na was. Sam mi tak powiedział.

– Powinien to usłyszeć Voris – stwierdził Richius. – Chcę, by się dowiedział, że

Kronin zginął, ratując i jego.

Lucyler uśmiechnął się ponuro.

– Na to będzie czas później. Teraz musimy cię zabrać z tego bagna.

– Nie mogę jeszcze odejść. Muszę znaleźć Gayle’a. Zginął? Widziałeś go gdzieś?

Lucyler rozejrzył się dookoła i powiódł wzrokiem po zbiorowisku trupów.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział po chwili. – W ogóle sobie nie przypominam, bym go widział... nie na tych mokradłach.

Richius zacisnął pięści.

– Nie mów tak! On musi tu gdzieś być! Musi...

– Jeżeli tu jest, to go znajdziemy – Lucyler zapewnił przyjaciela. – Nie mógł nam uciec. Ale te pijawki...

– Zapomnij o pijawkach! – uciął Richius. – Chcę znaleźć Gayle’a!

Zabrał się do sprawdzania zwłok, dźgając ostrzem miecza każdego Talistańczyka. Trupy pozwalały na to, patrząc na niego martwymi oczami. Hełmy, które trzymały się jeszcze na niektórych głowach, spadały w błocko, gdy Richius bezceremonialnie przewracał nieboszczyków.

– Uspokój się – upomniał go Lucyler. – On nie nosił hełmu. Miał tylko tę swoją maskę.

– Nie ma go tutaj! – warknął Aramoorczyk. – Oby szczeł! Uciekł nam!

Pozostało jeszcze wiele trupów do sprawdzenia. Richius zostawił Lucylera za sobą i cofnął się na głębszą wodę. Zobaczył tam rosłe ciało, dostatecznie wielkie, by mogło należeć do Gayle’a, ukryte na poły w mechatych trzcinach. Rozbryzgując wodę, pobiegł ku niemu, nie dbając już o Lucylera. Dotarłszy do ciała, złapał je za buty i pociągnął ku sobie.

– Gayle, ty skurwysynu! – zagrzmiał. – Powiedz, że to ty!

Ale to nie był Gayle. Mężczyzna był znacznie młodszy od barona – właściwie należałoby go nazwać młodzieńcem – i miał umazane błotem włosy oraz okropnie pogryzioną przez owady twarz. Pancierz na brzuchu miał rozcięty potężnym uderzeniem i widać było opuchnięte wnętrzności, odsłonięte na żrące działanie cuchnącej wody. Gdy Richius szarpnął go ku sobie, ranny jęknął i otworzył oczy i spojrzał na Aramoorczyka nieprzytomnym, szklistym wzrokiem. W tym spojrzeniu tliła się nikła iskierka życia – i równie nikły, ale wyraźny błysk rozpoznania. Richius puścił kostki rannego jak oparzony.

– Boże wszechmogący! – szepnął. Ogarnięty zgrozą i współczuciem sam chwycił się za brzuch. – Lucylerze! – zawołał. – Chodź tu natychmiast! To Dinadin!

Dinadin otwarł oczy, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Richius?

Aramoorczyk patrzył oszołomiony, jakby nie umiał się pogodzić z koszmarnym widokiem. W Dinadinie życie ledwo się tliło; z rany na brzuchu wciąż sączyła się krew. Richius ruszył do towarzysza, ciskając Jessicane w błoto. Przyłożywszy dłonie do rany, zaczął wkładać wnętrzności Dinadina do środka. Potem wsunął ramię pod głowę przyjaciela i znów spojrzął w jego zasnutę szaleństwem oczy.

– To ja, Dinadinie! – wyrzucił z siebie. – To ja. Jestem przy tobie. – Odwrócił się i zawołał: – Lucylerze, chodź tu, do cholery!

Lucyler przyspieszył kroku. Uśmiech Dinadina jakby się pogłębił.

– Lucyler też tu jest? – spytał słabym głosem. – On przecież nie żyje...

– Nie, Dinadinie. Żyje. Wszyscy trzej żyjemy. Jesteśmy razem.

– Jak za starych, dobrych czasów...

– Trzymaj się, stary. Proszę. Tylko nie umieraj. Zaraz cię stąd zabiorę.

– Jesteśmy w Dring...

– Owszem – odparł Richius, delikatnie macając brzuch Dinadina. Przyjaciel majaczył, mówił bez sensu, a jedyne, co można było zrobić, to mu się nie sprzeciwić. Gdy dotarł do nich ciężko sapiący Lucyler, spojrzął na rannego i ze zdumienia szeroko otworzył oczy.

– Bogowie! – sapnął. – Co się stało!

Dinadin błysnął zębami w swoim krzywym uśmiešku.

– I ty żyjesz – wycharczał. – Żyjesz, Lucylerze...

– Majaczy – rzekł szybko Richius. – Musimy go stąd zabrać. Pomóż mi.

Lucyler spojrzął na ranę Dinadina i zbladł.

– Richiusie... – odezwał się cicho. – Nie zdołamy...

– Pomóż mi, psiakrew! Zdechnie w tej dziurze, jeżeli go stąd nie zabierzemy!

– Richiusie, on już jest martwy! Spójrz tylko na jego ranę...

– Na Boga, Lucylerze! – jęknął błagalnie Richius. – Pomóż mi tylko go stąd zabrać.

O nic więcej nie proszę!

– Poszukam Vorisa – postanowił Lucyler. – Tylko on ma dość sił, by go stąd dźwignąć.

Lucyler pospieszył szukać Wilka, a Richius został przy Dinadinie, tuląc w ramionach jego głowę i usiłując zatrzymać na miejscu wylewające się na zewnątrz wnętrzności przyjaciela. Gdy Dinadin zobaczył, że Lucyler odchodzi, na jego twarzy pojawiło się pytanie.

– Dokąd... – wychrypiał. – Lucyler?

– Poszedł znaleźć konia, na którym cię stąd wywieziemy – powiedział Richius. – Nie

martw się, Dinadinie. Wytrzymaj jeszcze trochę, dobrze? Zabierzemy cię w bezpieczne miejsce.

– A co? Jestem chory?

Pytanie było tak dziwne, że Richius na chwilę zamilkł.

– Nic ci nie będzie – odpowiedział desperacko.

Usiłował ukryć drżenie głosu, ale Dinadin i tak chyba nie zwrócił na to uwagi. W jego oczach było roztargnienie i zagubienie – jakby zablądził w mrocznej komnacie i nie umiał znaleźć drogi wyjścia. Z każdym uderzeniem serca jego wnętrznościami wstrząsały drgawki, przypominając Richiusowi, jak nikłe były szanse przyjaciela na przeżycie. Musiał go stąd zabrać i to niezwłocznie.

– Vorisie! – zawołał przez ramię. Zobaczył, że wódz odwraca głowę w jego kierunku. – Pomóż mi!

Wódz spiesznie ruszył ku nim. Dinadin zeszywniał nagle.

– Voris? – syknął.

– Spokojnie – łagodził Richius. – Zaraz cię stąd zabierzemy.

W jakieś bezpieczne miejsce.

Voris dotarł do nich zdyszany. Spojrzał na Richiusa, na rannego Dinadina i na jego twarzy pojawiło się zdumienie.

– *Kalak?*

– Nie mnie – odpowiedział Richius szybko. Wskazał brodą na Dinadina. – Jego. Trzeba go stąd zabrać. Potrzebna mi twoja pomoc. On jest ciężki i dla mnie za duży. Za duży.

Wódz chyba zrozumiał. Pochyliwszy się, obejrzał rany Dinadina, a potem popatrzył na Richiusa i ponuro potrzęsął głową.

– Źle z nim, sam to widzę – stwierdził. – Ale musimy spróbować. Pomożesz mi, prawda? Pomożesz?

Voris przytaknął i już sięgał, by podnieść Dinadina, ale Richius go zatrzymał.

– Nie – powiedział, podnosząc ręce. – Potrzebny nam koń. Koń. Lucyler zaraz jakiegoś sprowadzi. Poczekamy. Czekałmy na Lucylera.

Mówił tak szybko, że był pewien, iż wódz niewiele z tego zrozumie. Voris jednak się cofnął, posłusznie czekając, podczas gdy Richius zamykał dłońią ranę na brzuchu Dinadina. Uspokajał przyjaciela, przemawiając do niego łagodnym szeptem. Ranny oddychał coraz szybciej. Patrzył na Vorisa ze zdumieniem i zgrozą w oczach.

– Voris... – bełkotał niezbyt wyraźnie. – Wilk...

– Cicho, Dinadinie! Nic nie mów. Uspokój się. Wkrótce cię stąd zabierzemy w miejsce, gdzie będziesz bezpieczny. Bezpieczny, rozumiesz. Wytrzymaj jeszcze

trochę!

Usłyszał jakiś ruch z tyłu i odwrócił się. Zobaczył Lucylera ciągnącego zdrową ręką konia oblepionego pijawkami. Zwierzę rżało przeraźliwie, Triin trzymał je jednak pewną ręką i podprowadzał coraz bliżej. Był to jeden z talistańskich koni, które słuchały rozkazów tylko wtedy, gdy jeździec miał w dłoni bat. Szarpał się i wierzgał, zmuszając Lucylera do podniesienia obu ramion dla osłony.

– Richiusie! – zawołał Triin. – Pomóż mi przy tym potworze!

Koń zdołał się uwolnić i Richius zaklął. Położył delikatnie głowę Dinadina na kępie trzciny i rozbryzgując wodę, skoczył ku Lucylerowi, który ścigał przerażonego konia. Triin ruszył przed siebie, chwycił wodze i szarpnął za nie. Kiedy Richius podbiegł do Lucylera, koń stał już spokojnie, ale łypał oczami, szukając dróg ucieczki.

– Ten koń nie zamierza się ruszyć! – zaklął Triin. Stał zgarbiony i krzywiąc się okropnie, osłaniał zbolące ramię.

– Jest przerażony – zawyrokował Richius. – Przestań wrzeszczeć i daj mi wodze.

Lucyler podał mu wodze – i nagle zamarł w połowie ruchu, patrząc na coś, co się działo za plecami Aramoorczyka. Richius odwrócił się w samą porę, by zobaczyć stojącego w wodzie Vorisa, obserwującego ich szamotaninę z koniem i idącego – idącego! – ku niemu Dinadina. Dinadin chwiał się i potykał, ale szedł, trzymając uniesiony oburącz nad głową straszny miecz Richiusa. Cień głowni opadł na ramię Vorisa. Zanim Richius zdążył ryknąć:

– Nie!

Ostrze ugodziło wodza w ramię.

Na twarzy Wilka odmalowało się bezbrzeżne zdumienie. Z jego ramienia trysnęła krew, a u nasady szyi natychmiast otworzyła się rana. Dinadin padł na twarz, przygniatając sobą Vorisa. Obaj znikli w wodzie. Richius i Lucyler na poły płynąc, na poły biegnąc, zapominając o koniu, rzucili się ku pogrążonym w grząskiej mazi przeciwnikom.

– Voris! – zawołał Richius.

Chwyciwszy Dinadina, odciągnął go od zanurzonego głębiej wodza. Lucyler schylił się ku wodzie i wydobył Vorisa na powierzchnię. Wilk broczył krwią ze strasznej rany na szyi i charczał, wypluwając wodę. Dławił się przy tym i walczył o oddech, sięgając dłońmi do krtani i drgając spazmatycznie w ramionach Lucylera. Dinadin stał prawie bez ruchu. Richius odciągnął go w bok i skoczył do wodza.

– Vorisie! – jęknął z rozpaczą. – Słyszysz mnie? To ja, Kalak.

Wódz otworzył oczy i wbił w niego uporczywe spojrzenie.

– *Kalak?*

– Jestem przy tobie – powiedział Aramooreczyk.

Lucyler trzymał głowę Vorisa na kolanach i usiłował jakoś zamknąć dłonią ranę w jego szyi. Niewiele z tego wychodziło, bo krew buchała mu pomiędzy palców. Każde uderzenie serca Wilka wyrzucało nową fontannę czerwieni. Twarz wodza szybko zasnuwała się cieniem.

– *Kafife, Kalak* – szeptał bezgłose. – *Kafife, kafife...*

– Co? – spytał Richius. – Nie rozumiem. Co mówisz?

I nagle Voris skonał. Po prostu zamknął oczy i zwiotczał w ramionach Lucylera. Richius poczuł, że wstrząsają nim dreszcze.

– Boże, Dinadinie! – jęknął. – Coś ty uczynił?

Dinadin zaniósł się histerycznym śmiechem.

– Tak, zrobiłem to, Richiusie – oznajmił, wypluwając skrzep krwi z ust. – Zabiłem Wilka. Nic już nam nie grozi. Możemy wracać do domu...



# **Objawienie**

## Z dziennika Richiusa Vantrana

Konia Dinadina znaleźliśmy z innymi talistańskim zwierzętami. W jukach przy siodle był list, pisany przez niego do ojca. Nie mogłem się zdobyć na to, by go przeczytać, Lucyler zrobił to więc za mnie. Gdybym tylko wiedział, w jakie nieszczęście wpędził się mój biedny przyjaciel, zrobiłbym coś z tym. On jednak już nie żyje i mogę tylko mieć nadzieję, że któregoś dnia będę mógł zwrócić list jego ojcu i wytłumaczyć się z mojej strasznej zdrady. Wiem, że Dinadin się nie spodziewał, że list dotrze do ojca w inny sposób. Pisał w nim o Gayle’u w najgorszych słowach. Błagał ojca, by ten mu pomógł, a potem wetknął list do juków, żeby nikt go nigdy nie zobaczył.

List jednak wpadł w moje ręce, przyjacielu. Nigdy o tobie nie zapomnę. Przed śmiercią przynajmniej udało ci się zobaczyć z Lucylerem.

Ogromny smutek wzbudził we mnie znaleziony przy liście posążek dwojga bogów, pamiątka po triińskiej dziewczynce, którą Dinadin próbował uratować. Trzymanie takich błyskotek leżało w jego charakterze. Jaką też zgrozą musiała go napęlić własna niemoc, kiedy się przekonał, że nie zdoła jej uratować. Jego list przepełniają rozpacz i smutek. Zatrzymam ten posążek w mojej komnacie, aż do dnia, kiedy będę mógł ją opuścić. Po Dinadinie nie została mi żadna pamiątka. Konie zatrzymaliśmy dla wszystkich. Zostało nas bardzo niewiele – koni pod wierzch jeszcze mniej. A będą nam potrzebne, gdy Narenie ponowią uderzenie.

Nie powiedziałem Najjir, jak zginął Voris. Gdyby wiedziała, nigdy by mi nie pozwoliła pogrzebać Dinadina pod zamkiem. Prawdy o śmierci wodza nie zna nawet Dyana – i zamierzam zachować ten sekret, jak długo się uda. Moja ukochana w ogóle nie mogła sobie przypomnieć Dinadina, nawet po tym, jak jej wyjaśniłem, że spotkała go w Ackle-Nye. Ta luka w jej pamięci wydaje mi się ogromną niesprawiedliwością losu. Z drugiej strony ani ona, ani Najjir nie wiedzą, do kogo należy świeży grób w ogrodzie. Wkrótce zresztą porosną go paprocie i grób mojego przyjaciela stanie się bezimiennym kopczykiem ziemi. Tu w Lucel-Lorze wszyscy o nim zapomną, a w dalekim Aramoorze stary ojciec będzie się zastanawiał, dlaczego z wojny nie wraca jego syn. Napisze do Gayle’ów, żądając wyjaśnień, i będzie czekał, aż te dranie i sprzedawczyki o czarnych sercach, wzruszywszy ramionami, odpowiedzą mu, że Dinadin nie był jedynym, który tu zginął.

Jak Voris. I Kronin, oraz – być może – Tharn. Ale nie ja i nie Gayle. Obaj wciąż żyjemy, choć Bóg nie raczył mi rzec, dlaczego zostawił nas przy życiu. Jeżeli osnuto mnie jakimś czarem, to jest to po stokroć przeklęta magia, bo wiem, że powinienem być

martwy jak inni – a jeśli w niebie jest choć iskierka sprawiedliwości, to Gayle powinien leżeć obok mnie z moimi zmartwiałymi palcami na jego krtani. Niezły z niego czarodziej, trzeba to przyznać. Za każdym razem, gdy przychodzi po niego śmierć, potrafi się jakoś wywinąć. Nie wiem, jak zdołał nam ująć, ponieważ szukając go, przelaliśmy niemal bagna przez sita, a drań jest zbyt wielki, by nie udławił się nim pyton czy krokodyl. Gayle zwodzi śmierć tak samo, jak ja.

Inni zbierają strzały, które los przeznaczył dla mnie. Niełatwo będzie tu żyć bez Vorisa. Wciąż prześladują mnie pełne goryczy i niemych oskarżeń oczy Najjir. „Gdyby nie ty – mówi jej wzrok – mój mąż żyłby, a moje dzieci nie zostałyby sierotami. Chciałabym, żebyś nigdy tu nie przyjeżdżał”. Voris mi polecił, abym się o nich zatroszczył. To właśnie znaczyły jego słowa, skierowane do mnie tuż przed śmiercią. *Kafife* znaczy rodzina. Wyjaśnił mi to Lucyler. Może Voris skierował te słowa do mnie, bo w pobliżu nie było Jarry, albo po prostu w ostatniej chwili życia nabrał do mnie zaufania. Tak czy inaczej, zostawił wielkie brzemię. Nie wiem prawie niczego o tej dolinie, ale teraz jestem jej obrońcą. Lucyler utrzymuje, że to wielki zaszczyt. Nie wiem, czy mówi prawdę, ale zrobię wszystko, by sprostać temu zadaniu. Co prawda, niczego ani nikomu nie będę obiecywał. Najjir wciąż darzy mnie nienawiścią, a została przy mnie tylko garstka wojowników. Nie jest to też królestwo, w którym się urodziłem do władania.

Potrzebujemy Tharna. Nasze powodzenie w najlepszym wypadku jest chwilowe. Dolina jest bezpieczna, ale nie mam pojęcia, jak długo to potrwa. Nadszedł czas, by uderzyć na przesmyk, my jednak nie mamy ani ludzi, ani wodza, który by tego dokonał. Wkrótce z przesmyku wyleją się nowe oddziały Narenów i ruszą przez Ackle-Nye. Sądziłem, że zwycięstwo jest w zasięgu ręki, ale bez Tharna nie możemy o nim marzyć. Ten lud przelewa krew tylko dla niego. Teraz jest jak ciało bez duszy, niezdolne do sprostania próbie. Zostawił nam to beznadziejne zadanie i dał się zabić, my zaś bez niego jesteśmy bezradni jak dzieci. Nigdy nie powiedziałem Dyanie o swoich uczuciach, ona jednak chyba dobrze wie, co mi chodzi po głowie i sercu. Gdyby Tharn żył, zdołałby znaleźć jakiś sposób, by nas o tym powiadomić. Wysłałby jakieś widmo, by nas ostrzec, albo jakiegoś niesamowitego demona. Jesteśmy bez niego samotni i podzieleni, jak podczas rewolucji.

Siedzę więc samotnie, pogrążony w ponurych myślach, sącząc kwaśne wino, którego butelkę znalazł gdzieś Jarra. Są to, jak przypuszczam, przywileje pana zamku. Wszystkie je oddałbym jednak za ciepło dotyku dłoni Dyany. Gdybym tylko potrafił podzielić z nią jej wiarę w Tharna. Chciałbym, jak ona, uwierzyć, że mędrzec żyje, ale dobrze pamiętam, jaki był słaby, kiedy wyjeżdżał z Falindaru. Nawet jeśli dotarł do

Chandakkaru, to lwi jeźdźcy albo trudy podróży zabiły go. Co więcej, żałuję, że zginął tak bez wieści. Potrzebuję dowodu, by przekonać Dyanę. Bez tego na zawsze zostaniemy rozdzieleni, a ja osiadę tu w tym zamku, aż umrę, albo zabiją mnie Narenie.

Czy wolno mi przyznać się do czegoś okropnego? Nie jestem człowiekiem, jakim byłem kiedyś. Ta wojna wysysa ze mnie wszystkie siły. Płonę z miłości do Dyany. Ona podgrzewa to uczucie, mówiąc mi o swojej miłości, pokazuje mi nasze dziecko, które rozplomienia we mnie miłość do obojga, i jednocześnie trzyma mnie na dystans. Zaczynam ją za to nienawidzić. Nienawidzę jej, za jej siłę, bo we mnie już prawie nic nie zostało. Nienawidzę jej oddania wobec Tharna. Niczym wierny pies czeka na śmierć u drzwi martwego pana. I wciąż zżera mnie zazdrość o tego pokraccznego świętego męża, ponieważ nawet po śmierci potrafił mi ją odebrać. Niech mnie grom spali. Jestem taki samotny!

## Czterdzieści siedem

Pukanie do drzwi zabrzmiało niemal w tej samej chwili, w której Richius napisał ostatnie słowo w swoim dzienniku. Było późno, dobrze po godzinach przeznaczonych na towarzyskie wizyty, pukanie więc zaskoczyło go tak bardzo, że niemal przewrócił stojącą na stole butelkę wina. Odepchnąwszy ją na bok, jęknął boleśnie. Był pijany i nie bardzo nadawał się na prowadzenie uprzejmych rozmów. Pukanie się powtórzyło, tylko teraz było bardziej natarczywe.

– Już późno – wybełkotał niewyraźnie. – Kto tam?

– Richiusie, otwórz. To ja, Dyana.

Richius poderwał się i ruszył do drzwi, zerknąwszy przelotnie w zwierciadło. Był nie ogolony, miał też zmierzwiłone włosy. I oczywiście z ust śmierdziało mu na miłą kiepskim winem. *TatyX* tylko przygładzić włosy i stanął przed drzwiami.

– Dyano?

Powitała go skąpym uśmiechem. Nie była ubrana do snu, jak to miała w zwyczaju o tej porze, ale wciąż jeszcze nosiła poplamioną od zajęć w kuchni zwykłą suknię. Obok niej stała Najjir ze skromnie opuszczonym wzrokiem. W przeciwieństwie do Dyany miała na sobie miękką szatę z zielonkawego jedwabiu, spiętą w pasie piękną szarfą haftowaną w kwiaty.

– O co chodzi? – spytał Richius.

– Możemy wejść? – spytała Dyana. – Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

Richius odstąpił na bok i gestem zaprosił obie kobiety do izby. Najjir wciąż patrzyła na swoje pantofle. Dyana miała zdeterminowany i mocno poirytowany wyraz twarzy. Spojrzała na stojącą na stole butelkę, otwarty dziennik i przeniosła ponownie wzrok na Richiusa.

– Jesteś zajęty? – spytała.

– Szykuję się do snu – odpowiedział Richius. – Dyano, jest już późno. Stało się coś, o czym powinienem wiedzieć?

Gdy Dyana lekko się nachmurzyła, zrozumiał że zamierza skłamać.

– Nie – odpowiedziała, – Po prostu przyprowadziłam ci Najjir.

– Po co?

Dyana przestąpiła z nogi na nogę.

– Miałam nadzieję, że Lucyler wszystko ci wyjaśni. Pewnie tego nie zrobił?

– A co miał zrobić?

– Miał opowiedzieć ci o twoich prawach i obowiązkach, które przejąłeś wraz

z władzą nad doliną.

Richius poczuł, że jego cierpliwość zaczyna się wyczerpywać.

– Dyano, co ty, u licha, wyprawiasz? Dlaczego przyprowadziłaś Najjir do mnie?

– Bo ona teraz należy do ciebie – odparła Dyana, nie bez napięcia w głosie. Mówiła tak, jakby z trudem przychodziło jej szukanie słów. – Z woli Vorisa zostałeś panem tego zamku. Poprosił cię o to, byś się zajął jego rodziną.

– I cóż z tego?

– Więc jego rodzina należy teraz do ciebie i możesz z nią zrobić, co zechcesz.

Richiusie, czy ty mnie rozumiesz?

W miarę, jak Richiusowi rozjaśniało się w głowie, czuł coraz większe przerażenie.

– Co ty chcesz mi powiedzieć? Najjir ma być teraz moją żoną?

– Nie żoną – odpowiedziała Dyana. – Własnością. Tak jak ten zamek i każdy, kto się w nim znajduje. Wojownicy, córki Vorisa, wszystko. Zostali ci przekazani, o czym dobrze wiesz. – Dyana miała łzy w oczach, ale dzielnie ciągnęła dalej. – Czy Lucyler niczego ci o tym nie mówił?

– Powiedział mi tylko, że mam się zająć rodziną Vorisa.

– A jak myślisz, co to oznacza?

– Nie mam pojęcia. Zechciej pamiętać, że nie jestem Triinem – odpowiedział

Richius.

Dyane udało się jakoś zachować spokój.

– To znaczy, że jesteś tu panem. Władcą doliny.

– Nie! – przerwał Richius. – Nie przyjąłem tego brzemienia. To, że Voris zginął przy mnie, było przypadkiem i niczym więcej.

– Richiusie, nie rozumiesz. Przekazał ci swoją rodzinę. To czyni cię wodzem doliny Dring.

– Ależ ja wcale tego nie chcę! – wybuchnął Richius. – Nie rozumiesz? Będę o nich dbał, tak długo, jak się da, ale nie jestem Triinem! – Spojrzał na Najjir, która wciąż nie odrywała wzroku od ziemi. – Dyano, nie mogę jej tak po prostu wziąć! To niemoralne!

– Takie są tu obyczaje – odpowiedziała Dyana. – Nie da się tego zmienić.

– Ależ da się! Jeszcze zobaczysz, jak się da! Najjir mnie nienawidzi. Ja to wiem, i ty też. Jak mogłaś mi ją przyprowadzić?

Z twarzy Dyany nie dało się niczego wyczytać.

– Zrobiłam to tylko ze względu na nią. Ona urodziła się i wychowała wśród Drolów. Musisz zrozumieć, co to znaczy.

Richius ujął jej rękę, ściskając palce.

– Ale nie rozumiem i nie chcę rozumieć. Przecież ona to robi wbrew sobie samej! Ja

jej nie pragnę. Chcę ciebie.

– Richiusie, Drolowie mają swoje zwyczaje. Ona została bez męża i pana, któremu mogłaby służyć. Ty musisz zostać tym panem, bo Najjir nie potrafi bez tego żyć. Stanie się niczym... jak pył.

– Dyano...

– Posłuchaj mnie – odparła łagodnym głosem. – Weź ją albo nie, ale jej nie odtrącaj. To będzie oznaczało dla niej śmierć, bo poza tobą ona już nie ma nikogo.

– Nie! – Richius ujął Dyaną za ramiona i lekko nią potrząsnął. – Ja już mam rodzinę. Ciebie i Shani.

– Wiem – odpowiedziała Dyana. – Ale ja wciąż jestem żoną Tharna...

– Dyano, on nie żyje. Nikomu już nie będzie mógł zagrozić, nawet nasi wrogowie nie muszą już się go bać.

– Richiusie, ty piłeś – rzekła Dyana drżącym głosem. Usiłowała się do niego uśmiechnąć. – Pozwól mi odejść, proszę.

Pozwolił. Podeszedł do stołu i opadł na krzesło, po czym ukrył twarz w dłoniach. Po chwili poczuł na ramieniu dotyk dłoni Dyany.

– Dlaczego mnie tak źle osądzasz? To nie tak, jak myślisz. Nie robię ci prezentu. Najjir cię potrzebuje. Jeżeli inni mężczyźni w dolinie dowiedzą się, że ją przepędziłeś, przyjdą i zabiorą ją dla siebie, a ona będzie musiała opuścić zamek. Zostałeś jej tylko ty, Richiusie.

Nie mógł się zdobyć na odpowiedź. Dyana nacisnęła mocniej, a jej dotyk sprawił mu ból jak liźnięcie strumienia cieczy z kwasomiotu.

– Richiusie? – nie rezygnowała. – Proszę, nie odsyłaj jej. Możesz ją zignorować, ale nie każ jej odchodzić. Musisz spojrzeć na sprawy tak, jak to widzą kobiety Drolów. Jesteś jej potrzebny.

– Tak, tak! – warknął Richius. – Jestem jej potrzebny. Potrzebny jestem Tharnowi. Potrzebował mnie Voris. Bardzo dobrze, oto jestem. Twój przekłeci bogowie uczynili ze mnie niewolnika cudzych potrzeb. Więc odejdz i zostaw mnie samego z moimi nowymi powinnościami. Powiem ci jutro, jak dobrze mi poszło.

– Richiusie...

– Odejdz!

Minęła dłuższa chwila. Richius powoli odjął dłonie od twarzy. Dyana znikła, w komnacie zaś została tylko Najjir, której twarz przybrała barwę lodowego sopła. Aramooreczyk odchylił się i spojrział na nią, taksując wzrokiem niczym konia na sprzedaż. Zaskoczyła go jej uroda. Choć była od niego starsza przynajmniej o dziesięć lat, miała rysy twarzy zupełnie różne od rysów Dyany. Nawet w swoim strachu wyglądała pięknie,

jak jeden z tych posągów na dziedzińcu, będących wzgardzonymi dziełami sztuki. Mógłby ją sobie wyobrazić jako królową – portret z galerii Arkusa. Wrażliwa. Piękna i posłuszna.

– Jestem pijany – wybełkotał.

Najjir kiwnęła głową, jakby to, co powiedział, nie miało najmniejszego znaczenia.

– Nie pojmujesz ani słowa z tego, co mówię, prawda? – spytał. – Nie wiesz nawet, dlaczego tu jesteś. Może trafiłaś tu dlatego, że wasi złośliwi bogowie odebrali ci męża i oddali cię brudnemu barbarzyńcy. – Zaśmiał się, co zdumiało jego samego. – Czy wolno mi będzie coś ci powiedzieć? Masz rację. Jestem barbarzyńcą. Bestią. To właśnie dzieje się z mężczyzną, kiedy odbierze mu się wszystko, co niegdyś ceniał.

Powoli wstał z krzesła, nie odrywając od niej zagadkowego spojrzenia.

– Boisz się mnie? – spytał. – Niepotrzebnie. – Podszedł nieco bliżej. – Nie zawsze byłem bydlęciem, Najjir. Kiedyś byłem królem. Możesz w to uwierzyć? Byłem człowiekiem cywilizowanym i kulturalnym.

Podniósł nieco głos. Najjir zamknęła oczy, on zaś podszedł jeszcze bliżej.

– Przybyłem tu z kraju, gdzie mężczyźni nie traktują kobiet jak niewolnice. Miałem godną szacunku żonę, ale pozwoliłem, by ją zabito.

I wtedy Najjir się załamała. Nie mogła na niego patrzeć, nie potrafiła też znieść uczucia, że on patrzy na nią. Opadła na podłogę i zaczęła płakać, kołysząc się i obejmując ramionami.

– *Voris...* – jęczała. – *Voris.*

Richius cofnął się od zrozpaczonej kobiety i opadł na krzesło, przewracając przy okazji butelkę z winem. Szkło potoczyło się po posadzce. Uszy miał pełne rozpaczliwych jęków Najjir. Patrzył na nią, niezdolny do pocieszania jej w jakikolwiek sposób, uznał więc, że najlepsze, co może zrobić, to pozwolić, by się wyplakała.

\* \* \*

W jednym z zaułków Ackle-Nye, pod częściowo zawalonym dachem nędznej oberży, baron Gayle z Czarnej Kniei siedział i gapił się na odbicie swej okaleczonej twarzy w szklanicy wina. Pił właśnie szóstą szklankę i napawał się ogarniającym go coraz silniejszym otępieniem. Noc była gorąca, wręcz upalna. Po wrażliwej skórze pod jego srebrną maską sączyły się strumyki potu, wywołując okropne swędzenie. Ponieważ siedział samotnie, wsunął pod maskę palec, by się podrapać.

Sam. Był czas, kiedy nawet lubił samotność, ostatnio jednak miał jej zbyt wiele. Wszyscy jego jeźdźcy zginęli, wymordowani na bagnach przez tego piekielnego



Aramoorczyka, i musiał się zadowalać towarzystwem legionistów, którzy wciąż patrzyli na niego, jakby to on był wszystkiemu winien. Słyszał jak go nazywali, wymawiając przewisko przytłumionymi szeptami, gdy ich mijał. Gayle tchórz. Gayle głupiec, który nie potrafił schwytać Vantrana nawet z pomocą całej armii. Wrócił do Ackle-Nye bez swoich dziarskich jeźdźców, a członkowie miejskiego nareńskiego garnizonu łypali na niego podejrzliwymi spojrzzeniami – nie mogli uwierzyć w jego opowieść. Powinien zginąć razem ze swoimi ludźmi. Tak postąpiłby prawdziwy wódz. Nawet Cassis, głupi dowódca garnizonu ośmielał się patrzeć na niego koso i podejrzliwie.

– A bodaj byś pękł, Cassisie – wymamrotał.

Dwaj legioniści, siedzący pod przeciwległą ścianą odwrócili się, by na niego spojrzeć, a potem nagle wbili wzrok w dna własnych kuflów. Gayle zastanawiał się przez chwilę, czy nie wstać i im nie przyłożyć, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Niewiele mógł wskórać, oprócz znoszenia ich niechęci. Był talistańskim baronem, tytuł ten jednak obecnie nie miał już żadnego znaczenia. Kiedy do Nar dotrą wieści o tym, jak haniebnie zawiódł imperatora, kaci zaczną oliwić sznury szubienic.

I to było z tego wszystkiego najgorsze. Przecież naprawdę się starał. Zarzucił pętlę na szyję Vantrana, ale przebiegły Szakał zdołał się z niej jakoś wywinąć. Wszyscy to zresztą wiedzieli. Byli nawet tacy, którzy nazywali Vantrana genialnym strategiem i taktykiem. Pokonał legionistów w Tatterak, zniszczył talistańską jazdę w Dring i dzięki jakimś czarom zdołał nawet przekonać do swojej sprawy tych pirackich synów z Liss. Niechybnie został uczniem tego diabelskiego Tharna. Niektórzy nawet mówili, że stał się niepokonany.

Gayle wiedział, że to nieprawda. Pokonać można było każdego, również takiego chłoptasia, jak Vantran. Szakał miał po prostu szczęście, ale to szczęście kiedyś musiało się wyczerpać. Kiedy do tego dojdzie, Gayle będzie czekał. Zaciekle zapisywał rozmaite notatki na swojej mapie doliny Dring. Potrzebował tylko szansy i ludzi, których mógłby poprowadzić. Jeżeli Vantran wciąż siedział w tym mizernym zamczku, to można mu było dobrać się do skóry. Drolowie z doliny pobili jego jeźdźców, ale za cenę ciężkich strat. Niewielu ich zostało i nie mogli osłonić Vantrana przed kolejnym natarciem. Trzeba się było tylko jakoś tam dostać.

Jakoś.

– Naprawdę myślisz, że już się mnie pozbyłeś? – warknął. Żołnierze znów obrzucili go nieprzychylnymi spojrzzeniami. Gayle podniósł głos. – Na co się, do cholery, gapiecie? – Wstał i położył dłoń na rękojeści miecza. – Nie jestem aż tak pijany, by sobie nie dać rady z takimi dwoma chłystkami jak wy! A jeżeli uważacie, że się przechwalam, to proszę bardzo, spróbujcie. Nie mogę się doczekać!

Legioniści odstawili kufle, wstali powoli i odwróciwszy się, ostrożnie wyszli z tawerny. Gayle wybuchnął ochryplym śmiechem.

– Tak, tak... – zawołał za nimi. – I kto się okazał tchórzem? Jesteście zbyt dobrzy, by ze mną siedzieć, ale nie staje wam ikry, by ze mną walczyć? Wyoście się, pieprzone gnojki! Idźcie lizać buty Cassisowi!

Opadłszy na krzesło, roześmiał się tryumfująco i nalał sobie kolejną szklanicę wina. Dobrze było się przekonać, że wciąż jeszcze potrafi wzbudzać w ludziach strach. Przynajmniej to mu zostało. Rankiem będzie musiał napisać do ojca i poprosić go o przysłanie kolejnego kontyngentu jeźdźców. Nienawidził tego płaszczenia się przed nim, ale nic innego mu nie pozostało. Prawdopodobnie zawiódł Nar, za co groził mu stryczek. Przedtem jednak musiał wyrzucić zemstę. A do tego potrzebni mu byli zbrojni jego ojca.

Po powrocie do Ackle-Nye przekonał się, że nie potrafi wymusić posłuchu na legionistach. Generał Cassis zaczął kwestionować każdy wydany przez niego rozkaz. Teraz każdy członek garnizonu czekał na sygnał z Nar, a wszyscy byli jak sfora psów czekających na gwizdek oznajmujący rozpoczęcie łowów.

Drzwi do tawerny skrzypiały monotonnie i Gayle poczuł przyływ senności. Był bardzo, ale to bardzo znużony. Sen ostatnio jednak go unikał, baron postanowił więc na razie zostać w oberży i przynajmniej dokończyć butelkę. Nieświadomie opuścił głowę na stół i położył ją na mokrej jeszcze mapie, rozmazując inkaust. Po kilku chwilach zamknął oczy i zaczął chrapać.

Sen nie należał do przyjemnych, a przebudzenie było jeszcze mniej miłe. Gayle ocknął się, by zobaczyć, że stoi nad nim jakiś osobnik w czerni, który dźga go palcem obleczonym w czarną skórę rękawicy.

– Co, u... – wybełkotał Gayle, prostując się nie bez wysiłku. I spojrzał w lśniącą metalicznie trupa czaszkę. Poczuł nagły chód w żołądku.

– Baron Gayle z Czarnej Kniei w Talistanie? – rozległ się głos spod przyłbicy.

– To ja.

Anioł Cienia sięgnął do sakwy przy pasie i wyjął z niej niewielki list. Podając go Gayle'owi, powiedział:

– Jestem posłańcem hrabiego Renato Biagio.

Gayle przez krótką chwilę usiłował opanować drżenie dłoni. Choć wszystko wokół wirowało mu przed oczami, natychmiast poznał pieczęć hrabiego – godło jego rodzinnej wyspy Crote. Złamał pieczęć i zawahał się. Zebrawszy jednak odwagę, przeczytał:

Mój drogi baronie,

nasz imperator bliski jest śmierci, z twojego zaś milczenia wnoszę, że nie udało ci się odnaleźć źródła magii, która mogłaby go uratować. Jeżeli to przedwczesny wniosek, każ swoim ludziom kontynuować poszukiwania. Tobie, baronie, powierzam inne zadanie.

Posłaniec, który wręczy ci pismo, jest jednym z moich osobistych strażników. Należy do oddziału, który wkrótce pojawi się w Ackle-Nye. Masz wziąć tych ludzi i schwytać Richiusa Vantrana, a potem przywieść do miasta Nar, zanim nasz wielki imperator wyzionie ducha. Ostatnim jego przedśmiertnym życzeniem jest, by Szakal z Nar stanął przed sądem, a ja dałem mu słowo, że dokonamy choć tego. Imperatorowi zostało już niewiele dni. Nie zawieźdź mojego zaufania.

Szczerze oddany,  
hrabia Renato Biagio

Gayle przez chwilę gapił się na list, usiłując opanować ogarniający go zawrót głowy.

– Kiedy wysłano ten list?

– Jechałem z Nar cztery tygodnie – odparł Anioł Cienia.

– Cztery tygodnie? – Gayle z namysłem podrapał się po masce. – A jakie wieści słyszeliście po przybyciu na miejsce?

– Nie interesuję się plotkami. Wykonuję rozkazy mojego pana. Miałem cię odszukać i wręczyć ten list. Z tym się już uporałem. – Żołnierz pochylił głowę. – A teraz czekam na rozkazy.

– Rozkazy? Jakie rozkazy?

– Baronie – odpowiedział żołnierz z pewną irytacją w głosie. – Za trzy dni do miasta przybędą moi bracia. Ty masz nas zaprowadzić do Richiusa Vantrana. My go schwytemy i dostarczymy do Nar. Aby tego dokonać, będziemy wykonywać twoje rozkazy.

– Jak wielu was jest?

– Setka – odpowiedział żołnierz. – Wystarczająco.

„O, tak – pomyślał Gayle. – To prawda”.

– Czy ci ludzie znają cel swojej misji? – zapytał Gayle.

– Wiedzą tylko, że po przybyciu tutaj mają się z tobą spotkać i wykonywać twoje rozkazy. Ja zostanę, by wyjaśnić im resztę.

Gayle uśmiechnął się pod maską, czego Anioł Cienia nie dostrzegł właśnie z jej powodu.

– Aniele Cienia, jak cię nazywają? Oznaki wskazują, że jesteś kapitanem.

– Odamo, kapitan gwardii przybocznej hrabiego Biagio.

– Sądząc z akcentu, pochodzisz z Crote. Czy tak jest w istocie?

– Mam ten zaszczyt.

Gayle odchylił się i unosząc nogi, położył je na stole.

– Cóż, kapitanie, mam dla ciebie zadanie. Chcę, byś rano wyruszył ponownie do Nar. Dostarczysz hrabiemu pismo, które zaraz mu sporządzę.

Anioł Cienia patrzył, jak Gayle łyknął nieco wina i chwyciwszy pióro, zaczął pisać na odwrocie listu Biagia, zasłaniając treść pisma ramieniem. A oto, co napisał:

Drogi hrabio,

dziękuję za przysłanie mi oddziału żołnierzy. Kiedy ten list do ciebie dotrze, zrozumiesz, jak bardzo mi byli potrzebni. Możecie powiedzieć imperatorowi, że przewidziałem to, iż zechcecie mnie powiesić. Jeżeli nie będzie jeszcze wtedy martwy, rzeknijcie mu też, że może sam się tym zająć i że nie mam zamiaru wykonać jego ostatniego życzenia. Vantran należy do mnie.

Podpis był uprzejmy: „Wasz wierny sługa, Gayle z Czarnej Kniei”.

– Proszę – powiedział radośnie, składając list i oddając go Aniołowi Cienia. – A teraz nie zwlekaj, kapitanie. I nie czytaj listu, bo się o tym dowiem. Pismo jest przeznaczone wyłącznie do rąk własnych hrabiego. Możesz odpocząć przez noc, ale chcę, byś rankiem ruszył w drogę. List musisz doręczyć osobiście. Zadbaj o to, by hrabia go otrzymał. Rozumiesz, kapitanie?

Okryta hełmem głowa przez chwilę pozostawała w bezruchu. Potem spod przyłbicy wydobył się głos:

– Baronie, ci ludzie, którzy tu zjadają, będą pod moją komendą.

– Już nie – uciął Gayle. – Teraz są pod moją komendą. Czy hrabia nie kazał ci wykonywać moich rozkazów, kapitanie?

– Owszem.

– Ty zaś przysiągłeś postępować zgodnie z jego wolą, choćby ci przyszło zapłacić za to życiem, prawda?

– Tak, ale...

– Kapitanie! – warknął Gayle. – Jesteś Aniołem Cienia. Zrobisz dokładnie to, co ci kazałem. Te sprawy nie są dla umysłu tak miałkiego, jak twój. Zaufaj swemu panu i zaufaj mnie. Słyszysz?

– Tak, baronie. Słyszę i jestem posłuszny.

– To dobrze. A teraz już idź. I nie martw się o swoich ludzi. Poczekam tu na nich i wszystko im wyjaśnię.

\* \* \*

O świcie Dyana wciąż jeszcze nie mogła zasnąć. Najjir nie wróciła.

Tego się po Richiusie nie spodziewała. Z drugiej strony winę mogła przypisać tylko samej sobie. Najpierw go odrzuciła, a potem podsunęła mu inną kobietę. Czy mogła mieć do niego pretensje o to, że jest mężczyzną?

– Straciłam go – mówiła sobie cicho, patrząc na puste posłanie Najjir.

Zastanawiała się, jak tamta to znosi – jak leży obok Aramoorczyka i wytrzymuje jego pocałunki. Będzie dla niej łagodny. Zawsze by łagodny. Wkrótce zacznie jej pożądać co noc. Następnym razem Najjir wejdzie do jego łóżka bez oporów, razem poczną dziecko i Richius zapomni o Shani...

Zatrzymała ją świadomość, że takie myśli mogą sprowadzić na nią szaleństwo. Doszła jednak do wniosku, że nie może tu być, kiedy Najjir wróci – tego po prostu nie zniesie.

Chłód podłogi zmusił ją do pośpiechu, kiedy się ubierała i wzuwała wysokie buty z miękkiej skóry, sięgające ud i dobre do brodzenia w wysokiej trawie. Chciała zajrzeć w jedno miejsce, o którym wiedziała, że ma dla Richiusa szczególne znaczenie. Musiała je zobaczyć, zanim podzieli się nim z Najjir.

Wyszła z komnaty i znalazła się na korytarzu, pustym i cichym. Shani spała w sąsiednim pokoju, dogładana przez niańkę, która zajmowała się dziećmi wodza. Zza drzwi nie dobiegał nawet najcichszy dźwięk. Dyana delikatnie zamknęła drzwi własnej komnaty i na palcach ruszyła korytarzem. Słońce dopiero wstawało i w powietrzu wyczuwało się jeszcze chłód nocy. Na całe szczęście na dziedzińcu również nie było nikogo.

Pospiesznie zbiegła po schodach, przemknęła mrocznym jeszcze korytarzem i nie natknąwszy się na nikogo, wyszła za żelazne wrota. Od bitwy o dolinę w zamku została tylko garść wojowników, głównie rannych, którymi zajmowały się pozostałe w zamku wdowy. Ten niedostatek ludzi sprzyjał poruszaniu się po zamku. Wyszła za bramę i skierowała się na tyły, mijając grupkę zaniedbanych posągów. Niebo wciąż jeszcze było szare i Dyana musiała wyteżać wzrok, by odnaleźć krętą ścieżkę, szybko ją jednak ujrzała w cieniu wiązków. Zadowolona, że nikt jej nie widzi, znikła wśród drzew.

W półmroku trudno jej było trzymać się dróżki. Patrzyła pod nogi i na wszelki wypadek wyciągnęła przed siebie jedną rękę. Grube, rozłożyste gałęzie drzew nad jej głową zasłaniały większą część nieba, ona jednak wciąż powtarzała sobie, że to już niedaleko i rzeczywiście wkrótce usłyszała wesołe bulgotanie strumyka. Dość szybko dotarła do miejsca, z którego mogła zobaczyć polankę, na której wśród kamieni wesoło szemrała woda. Ruszyła tam żwawo, ale nagle zatrzymał ją widok jakiejś kobiety,

usadowionej na znanym jej już kamieniu. To była Najjir. Siedziała z pochyloną głową i przesuwała palcem po wyrytych na głazie literach. Dyana ukryła się wśród drzew i patrzyła przez chwilę na płaczącą kobietę. Wiatr rozwiewał jej rozpuszczone włosy. Najjir wciąż jeszcze miała na sobie jedwabną szatę, w której weszła do sypialni Richiusa. Suknia przylegała do jej ciała, co w chłodzie poranka musiało być dość dokuczliwe, Najjir jednak w ogóle nie zwracała na to uwagi. Patrzyła pustym wzrokiem przed siebie i wodziła palcem po literach swego imienia. Dyana czekała dość długo, aż wreszcie postanowiła się pokazać.

– Najjir? – spytała niespokojnie. Kiedy podeszła bliżej, wdowa powoli podniosła głowę. Dyana, kierowana impulsem współczucia, podbiegła i położyła jej dłoń na ramieniu. Jedwab i skóra Najjir miały temperaturę lodu. – Co ty tu robisz?

– Widzisz moje imię? – spytała Najjir pozbawionym emocji głosem, wskazując na wyryte w kamieniu litery. – Ten napis jest dziełem Vorisa.

– Najjir, zamarzniesz tu i zachorujesz. Pozwól, że cię zabiorę do zamku.

– Ale tu jest bardzo ładnie. Voris mnie tu przyprowadzał, kiedy oboje byliśmy młodzi. Dobrze mi tutaj.

Dyana sięgnęła i ujęła dłoń wdowy.

– Nie jesteś ubrana dość ciepło, by tu siedzieć. Chodź ze mną. Wrócimy do zamku i włożysz coś cieplejszego.

Najjir odsunęła rękę.

– Chcę tu zostać.

– Najjir, co ci jest? Siedziałaś tu całą noc?

– Tak, całą noc. Chciałam być sama. Chciałam uciec od Kalaka. I od ciebie.

Dyana opadła na mech obok kamienia i objęła Najjir ramionami.

– Co się stało? – spytała ostrożnie. – Czy on...

Nie dokończyła pytania, ale Najjir zrozumiała.

– Nie – odpowiedziała. – Nie wziął mnie. Mógł, ale ja zaczęłam płakać, a on się przestraszył. I wtedy odeszłam. Myślę, że on chciał, bym sobie poszła. – Odwróciła się i spojrzała na Dyane. – On jest szalony, Dyano. Szalony...

Dyana lekko zeszywniała.

– Ma... kłopoty...

– Nie byłaś tam i nie widziałaś jego oczu. A ja widziałam.

– Ale nie zrobił ci krzywdy?

Najjir spojrzała w bok.

– Nie. Po prostu siedział i patrzył. Nie sądzę, by mógł mi zrobić krzywdę, jest taki...

– Łagodny? – podsunęła Dyana.

– Samotny – odpowiedziała Najjir.

Opuściwszy głowę, zaczęła płakać, zanosząc się łkaniem. Dyana przytuliła ją mocniej, kołysząc i uspokajając, aż Najjir mogła ponownie przemówić.

– Nie mogę tak dalej – powiedziała drżącym jeszcze głosem. – Kalak nie jest moim panem. I nigdy nie będzie. Ja... – Jej głos się załamał. – Ja chcę mojego męża!

Dyana pozwoliła się Najjir wypłakać, ciesząc się w głębi serca usłyszaną nowiną – tą, że Richius nie zechciał wziąć przyjaciółki. Nie kierowało nim szaleństwo. Widziała brutalni, których radowały kobiece protesty. Richius do nich nie należał. Był najbardziej godnym miana człowieka ze wszystkich znanych jej ludzi.

– Pozwolisz, że cię zabiorę do zamku? – spytała wdowę.

Najjir nie odpowiedziała.

– Najjir, jeżeli się zaraz nie rozgrzejesz, niechybnie zachorujesz. Proszę, chodźmy pod dach. Pozwól, że położę cię do łóżka. Wyglądasz na bardzo zmęczoną.

– Nie chcę go widzieć – odezwała się Najjir. – Dyano, nie mogę z nim być. Nie mogę.

– Uspokój się. Wiesz o tym, że nie powinnaś się bać Richiusa. Nikt oprócz naszej dwójki nie wie, że odwiedziłyśmy go w nocy.

– Myliłam się – stwierdziła Najjir. – Wolę nie mieć pana, niż żeby on nim został. Dyano, proszę, powiedz mu to ode mnie.

– Tak? I co się stanie z tobą i twoją rodziną? Nie, Najjir. Potrzebujesz Richiusa. On teraz jest panem doliny.

Twarz Najjir okryła się mrokiem.

– Powinien nim zostać Jarra – rzekła z goryczą w głosie.

– Ale Voris wybrał Richiusa. Jeżeli nie chcesz, by cię dotykał, to tego nie zrobi, mogę ci to obiecać. Wiesz jednak, co z tobą będzie, jeżeli zostaniesz bez pana. Możesz paść ofiarą każdego, kto zechce cię wziąć, a Richius nie zdoła cię obronić, ponieważ wyrzekł się lojalności wobec niego.

– Dyano... nie wiem, co robić – jęknęła Najjir. – Ja... ja się go boję!

– Najjir, to ty chciałaś, bym cię do niego zaprowadziła. Zrobiłam to ze względu na ciebie i dziewczynki. On nie mógłby cię skrzywdzić, ale ty nie chcesz w to uwierzyć. Musisz zrozumieć, że on wcale nie pragnie władzy nad tobą, nie ma jednak wyboru.

– Mógłby stąd wyjechać – rzekła Najjir ostro.

– Mógłby – zgodziła się Dyana. – Wystarczyłoby tylko, że zapomni o tym, iż Voris powierzył mu ciebie i twoją rodzinę, zostawiając cię samą... po to, by wziął cię jakiś okrutny właściciel ziemski, a dolinę znów rozedrą zacięte boje. On tego nie zrobi, bo jest człowiekiem honoru. – Dyana wstała i spojrzała na Najjir zimnym wzrokiem. – Może

któregoś dnia to zrozumiesz.

Dyana odwróciła się, by odejść, kiedy usłyszała zrozpaczony głos wdowy.

– Dyano, zaczekaj, proszę...

– Nie, Najjir – odpowiedziała ostro młodsza kobieta. – Jak myślisz, co ja zrobiłam dla ciebie wczoraj wieczorem? Kocham Richiusa. Wiesz o tym. Ale ty mnie skłoniłaś, bym cię do niego zaprowadziła, tak by mógł cię chronić. I teraz się spodziewasz, że on o tobie zapomni? Po tym, jak mu powiedziałam, co z tobą będzie? Nie, tego nie zrobię.

– Dyano, ale ja nie będę jego kobietą. Nie zniosę nawet myśli o tym.

– To powiedz mu o tym sama – odpowiedziała Dyana chłodno. – Nie wezmę w tym udziału.

Odwróciła się i odeszła, ale nie zdążyła zrobić nawet trzech kroków, kiedy jej skronie przeszył gwałtowny ból. Zwiotczały jej kolana i podniósłszy obie dłonie do głowy, wydała okrzyk udręki. Usłyszała za sobą Najjir, poczuła, że obejmują ją ramiona wdowy, nie mogła jednak utrzymać się na nogach i opadła na wilgotny piasek, oślepiona bólem, gdy w jej głowę wdarł się bezcielesny głos. Przed jej oczami pojawił się rozmazany wizerunek twarzy Tharna, jednocześnie widmowej i pełnej życia. Jego usta się poruszały, a z połamanych zębów wydobywały się jakieś słowa, zagłuszane gardłowymi porykiwaniami i mlaszczącymi dźwiękami obcego języka. Dyana usiłowała wstać, jęcząc, gdy tajemnicze wizje przeszywały jej umysł. Najjir stała obok, próbując jej pomóc.

– Dyano, co ci jest? – pytała wdowa przerażonym głosem.

– To Tharn – wychrypiała Dyana. Otworzywszy oczy, wciąż widziała przed sobą widmową twarz męża. – Tharn. On żyje!



## Czterdzieści osiem

Jarra obudził Richiusa jednym słowem. Dyana.

Było to wszystko, czego Richius potrzebował, by się wyrwać z objęć snu. Pospieszył za dumaką przez korytarze, pospiesznie zapinając guziki koszuli, i nie bacząc na to, że zalegające korytarze ziarenka żwiru boleśnie kłują go w bose stopy. Wydostawszy się za bramę, natychmiast ujrzał Dyane, leżącą na ziemi z głową na kolanach Najjir. Wokół obu kobiet zdążyła się już zebrać gromadka innych, które podejrzliwie patrzyły na nocną odzież Najjir. Dyana miała zamknięte oczy, a wdowa delikatnie ocierała dłonią jej czoło.

– Mój Boże, co tu się stało? – spytał Richius, przeciskając się przez tłum. Ukłąkł przy Dyanie. – Co ci jest? Źle się czujesz?

Dyana dygotała jak w gorączce. W końcu otworzyła oczy.

– To Tharn – wyszeptała. – On wraca.

Richius spojrział na Najjir, wdowa jednak tylko wzruszyła ramionami. W tłumie kobiet podniosły się jakieś pomruki. Richius odwrócił się i zmierzył wszystkie gniewnym spojrzeniem.

– Wynoście się, nic tu po was. Jarro. – Skinął na staruszka. – Zabierz je stąd.

Jarra zaczął odsuwać podniecone i zaciekawione kobiety, Richius zaś ponownie nachylił się nad Dyaną. Młoda kobieta miała gorącą skórę, zwilżoną obficie kroplami potu. Z jej oczu wyzierało przerażenie.

– Dyano – powiedział Richius łagodnie. – Jestem przy tobie. Chcę, żebyś powiedziała, co się stało. Mówiłaś o Tharnie. Przekazał ci coś?

– Tak – odpowiedziała. – I nie. Widziałam go, ale niczego nie zrozumiałam. On... tkwi w mojej głowie, Richiusie. To boli...tak boli...

– Co boli?

– On wraca – rzekła Dyana. – Jest już bardzo blisko. I są z nim inni. Wielkie zwierzęta. Mówi coś do mnie, krzyczy...

– Uspokój się – łagodził Richius. – Nic nie mów, Dyano. Zabierzemy cię pod dach. – Wsunąwszy dłonie pod jej kark i kolana, podniósł ją z ziemi. Dyana kurczowo oplotła ramionami jego szyję.

– On nie może mówić – jęknęła. – Próbuje, ale nic z tego nie wychodzi. Jest chory, ja to czuję...

– Zaniosę cię do zamku, tam się poczujesz lepiej. A teraz zachowaj spokój...

– Jest... bardzo blisko – stwierdziła urywanym głosem. – Muszę na niego poczekać...

– Zaczekasz w łóżku – zawyrokował Richius, niosąc ją przez dziedziniec ku

zamkowym wrotom. Tuż za nim jak dwa cienie szli Jarra i zbita z tropu Najjir. W końcu dotarli do komnat, które Dyana dzieliła z wdową po Vorisie, gdzie dumaka czekał na progu. Richius delikatnie złożył Dyane na pościeli. Zsuł jej buty, okrył kocem i przez chwilę wpatrywał się w jej oczy.

– Tharn mnie szuka – westchnęła – ale nie może mnie znaleźć.

– Jeżeli nadciąga, to wkrótce powinien tu być – stwierdził rzeczowo Richius. – Spróbuj odpocząć. Złe samopoczucie minie. Zaczekam tu z tobą. Nic złego cię nie spotka, masz na to moje słowo.

– Moja głowa... on siedzi wewnątrz niej. On nie wie...

– Dyano, proszę. Zachowaj spokój. – Ujął młodą kobietę za dłoń i lekko poklepał ją po palcach. – Zamknij umysł przed wizjami. Zostanę z tobą.

Obejrzał się przez ramię na Najjir, która obserwowała to wszystko ze smutkiem w oczach. Gdy ich spojrzenia zetknęły się ze sobą, wdowa po Vorisie uciekła wzrokiem w bok. Richius powoli i ostrożnie odjął palce od dłoni Dyany.

– Nigdzie nie odejdę – zapewnił ją, ale jednocześnie odsunął się od jej pościeli i podszedł do Najjir. Dopiero teraz zauważył, że wdowa miała na sobie tę samą szatę, w której Dyana przyprowadziła ją wczoraj do jego sypialni. Teraz robiła wrażenie zagubionej i nie wyglądała na dojrzałą kobietę – siedziała jak wystraszony podłotek. Jej twarz znaczyły cienie żalu i znużenia. Richius stanął przed nią i otworzył ramiona.

– Przykro mi z powodu twojego męża – powiedział.

Najjir zaczerpnęła tchu, poczerwieniła i powiedziała coś, czego nie zrozumiał.

– Prosi, byś zechciał jej wybaczyć – wyjaśniła Dyana.

Richius potrząsnął głową.

– Powiedz jej, że nie mam czego wybaczać.

Twarz Najjir złagodniała. Pochyliła głowę w ukłonie, a potem podeszła do leżącej na łóżku Dyany. Obie rozmawiały przez chwilę, po czym Najjir pocałowała Dyane w czoło. Gdy Najjir wychodziła z komnaty, Dyana roześmiała się cichutko. Richius odprowadził wdowę spojrzeniem aż do drzwi, a następnie wrócił do Dyany.

– Co ona ci powiedziała? – spytał.

– Powiedziała, że dobrze cię oceniłam – usłyszał. Szare oczy Dyany otworzyły się i spojrzały na nią z uwagą. – Wiem, Richiusie, że jej nie tknąłeś. Powiedziała mi, jak oboje spędziliście noc.

Richius delikatnie odsunął pasmo włosów z twarzy Dyany.

– A ty? Jak się teraz czujesz?

– Myślę, że już mi lepiej. Tharn odszedł. Nie widzę go. Ale on mnie wzywa, Richiusie, wzywa i nawołuje. Coś jest nie tak, jak powinno. Jest chory i osłabiony. Nie

może skupić na mnie swoich myśli. Czuję jego ból i strach. Och, Richiusie, co to może być?

– Nie wiem – odpowiedział. – Ale jeżeli jest gdzieś niedaleko, wkrótce wszystko się wyjaśni. A teraz zamknij oczy i spróbuj się przespać.

Posłusznie zamknęła powieki i przyłożyła policzek do poduszki. Wkrótce zapadła w niespokojny sen. Richius został u jej boku, patrząc na nią łagodnym wzrokiem. Tharn był blisko. By dostać się w myśli Dyany, użył tej samej magii, której nauczył Lucylera, ale jakoś nie potrafił zogniskować woli. Być może domysły Dyany były słuszne. Może był chory i wzywał pomocy. Ale cóż to za bestie go ścigały? Lwy? Czyżby dostał się w ich pazury, a do Dyany dotarło tylko jego ostatnie wezwanie o ratunek?

Minuty przeciągnęły się w godzinę, podczas której Dyana leżała prawie nieruchomo. Rozrzucone wokół jej twarzy włosy lśniły srebrem, a oddech się pogłębił. Richius został przy niej, odszedł tylko od łóżka i usiadł na niezbyt wygodnym krześle w rogu komnaty, rozdarty pomiędzy pragnieniem, by się obudziła i by dobrze wypoczęła. Miniona noc bez wątpienia dobrze jej się dała we znaki. Powodem byli on sam i oczywiście Najjir. Wdowa po Vorisie wetknęła głowę do izdebki po dwu godzinach snu Dyany, pragnąc widocznie przekonać się, jakie też jest samopoczucie przyjaciółki. Ujrzawszy, że Dyana śpi, uśmiechnęła się z zadowoleniem, skinęła uprzejmie głową Richiusowi i znikła. Wkrótce po niej zjawił się Jarra.

Staruszek zapukał do drzwi i wszedł do komnaty, nie czekając na zaproszenie Richiusa. Podeszedł bliżej i spojrzał na śpiącą Dyane. Następnie szepnął, nachylając się do ucha nowego pana:

– *Tharn.*

Na dźwięk imienia męża Dyana poruszyła się niespokojnie. Richius spojrzał na Jarre z niedowierzaniem.

– Tharn? Wraca tutaj?

Jarra skinął głową i wskazał palcem pułap.

– *Uasit toa.*

– Wieża? – spytał Richius.

– Owszem – usłyszał senny głos Dyany. Młoda kobieta otworzyła oczy. – Dostrzegli go z wieży. Nadchodzi.

Jarra zaczął mówić coś szybko, zwracając się na poły do Richiusa, a na poły do Dyany, podkreślając słowa gestami rąk. Zaskoczona Dyana usiadła na posłaniu i o coś spytała. Wymiana zdań była zbyt szybka, by Richius coś z niej zrozumiał.

– Co on mówi? – spytał w końcu, mocno zniecierpliwiony.

– Nadchodzi z lwami – odpowiedziała Dyana. – Ciągną za nim całe dziesiątki lwów.

Teraz są w lesie, ale już niedługo ich zobaczymy.

– A skąd wiadomo, że to Tharn? Wyczuwasz coś, Dyano?

– Nie. Już do mnie nie mów. Ale tamci ciągną pod sztandarami Falindaru. Richiusie, to niechybnie Tharn.

Richius wstał.

– Muszę wyjść mu na spotkanie. Powinien się dowiedzieć, co się stało z Vorisem i Kroninem. Jarro, pójdiesz ze mną. Dyano, powiedz mu, że chcę, by poszedł ze mną.

– I ja pójde – odpowiedziała Dyana. Odrzuciła koc na bok i zwiesiła stopy z łóżka. – Tharn będzie chciał mnie zobaczyć.

– Nie, Dyano. Musisz odpocząć. Zresztą nie wiemy, w jakim on jest stanie. Jeżeli zechce cię zobaczyć, to go tu sprowadzimy.

– Pójde – odpowiedziała Dyana stanowczo. – Jestem jego żoną i muszę go powitać.

Wstała z łóżka i wzięła ustawione w rogu komnaty buty. Wciągała je, objaśniając jednocześnie dumace żądanie Richiusa. Dumaka kiwnął głową na znak, że słyszy i jest posłuszny, a potem pospiesznie zaczął wygładzać ubranie, by godnie powitać przywódcę Drolów. Richius ujął Dyane za rękę i pomógł jej wyjść z komnaty. Wszyscy troje dość szybko znaleźli się na zalanym słońcem dziedzińcu. Zebrał się tu już tłum kobiet, wśród których prym wiodła Najjir i jej córeczki. Kilku pozostałych w zamku wojowników ustawiło się w równym szeregu. Na plecach mieli jiktary i stali dumnie, gotując się na powitanie władcy Falindaru. Kogoś tu jednak brakowało i Richius kurczył się na samą myśl o tym, że będzie musiał powiedzieć o tym Tharnowi.

Po chwili tłum zaczął okazywać oznaki zniecierpliwienia. Richius spojrzał na Jarę.

– Jak daleko ich widziano? – spytał. Pytanie sformułował w języku Triinów. Dumaka wzruszył ramionami i powiedział kilka słów, których Richius nie zrozumiał.

– Strażnik z wieży stwierdził, że się zbliżają – przetłumaczyła Dyana. – Dumaka mówi, że są blisko i tyle.

Wszyscy wbili spojrzenia w szlak wiodący od lasu ku zamkowi. Wojownicy stali pogrążeni w kamiennym milczeniu, podczas gdy skromnie odziane kobiety szeptem wymieniały jakieś uwagi. Dyana poruszyła się niespokojnie, a jej szczupłą twarz okryła chmura. Ujrawszy to Richius pochylił się ku niej i szepnął:

– Nie martw się. Nie masz powodów. On niczego nie wie.

Tymczasem w lesie coś zahuczało i wierzchołki drzew zaczęły się chwiać. Dźwięk i ruch zelektryzowały czekających, którzy wbili wzrok w ciemność zalegającą pustkę pod konarami. W lesie grzmiała jakaś niesamowita wrzawa. I nagle spomiędzy drzew wyłonił się łeb ogromnego zwierzęcia o żółtawych, kocich ślepiach i złowieszczej paszczy. Za łbem spod gałęzi wyłoniło się muskularne, płowe cielsko bestii, która smagała się po

bokach ogonem ozdobionym wplecionymi w pędzel futra wstążkami. Wokół torsu lwa przeciągnięto rzemieńne popręgi, do których przymocowano solidne siodło. W siodle rozpiął się dumnie wsparty pod bok mężczyzna o smagłej skórze i grzywie złotych włosów. A za nim siedział Tharn.

Tharn, którego nie sposób było pomylić z kimś innym. Miał na sobie czerwone, przesiąknięte potem szaty, kalekim ramieniem otoczył siedzącego przed nim jeźdźca w pasie, podczas gdy drugie ramię zwisało bezwładnie. Jego pokryta bliznami skóra lśniła jak powierzchnia skwaszonego mleka. Ogromny kot wniósł obu jeźdźców na dziedziniec, wiodąc za sobą orszak innych bestii, na grzbiecie których tkwili odziani w skóry jeźdźcy o włosach zaplecionych w długie warkocze. U boku muskularnego kota wiozącego Tharna powiewał sztandar Falindaru. Ujrzawszy zebranych na dziedzińcu ludzi, mędrzec uniósł swą pokaleczoną głowę, powiódł wzrokiem po twarzach i zatrzymał spojrzenie na twarzy Dyany.

A jednak było coś nienaturalnego w sposobie pochylenia jego głowy i spojrzeniu, jakie utkwił w oczach Dyany. Drol chwiał się w siodle, tak jakby nie panował nad swoim ciałem. Jego barki były pochylone, a na twarzy miał blizny, których wcześniej tam nie było. Brązowoskóry jeździec zatrzymał lwa przed Richiusem.

– Tharnie! – zawołał Richius. Drol przeniósł wzrok na twarz Aramoorczyka i na jego wargach wykwitł skąpy uśmiech.

– Richiusie... – powiedział słabym głosem. – Zechciej mi pomóc zejść na ziemię.

Na te słowa Richius i Jarra skoczyli do lwa i podsunęli Tharnowi ramiona. Mędrzec jak zwykle zaciążył im mniej więcej tak, jak średniej wielkości piórko. Tharn osunął się w ramiona Richiusa.

– Mistrzu Tharnie, co się stało? – spytał Richius. – Jesteś ranny? Chory?

– Miałeś rację – wychrypiał Drol z najwyższym wysiłkiem. – Ta podróż prawie mnie zabiła. – Skinieniem dłoni wskazał na wciąż jeszcze siedzącego na lwie nieznajomego. – A otóż i Karlaz powiedział z szacunkiem w głosie.

\* \* \*

Pan lwów Karlaz usiadł na podłodze przy okrągłym stole i nie czekając na innych, zaczął się opychać potrawami i napitkami, które przygotowała Najjir. Richius szybko odkrył, że wódz był człowiekiem małomównym, który najchętniej się wypowiadał chrząknięciami i skinieniami głowy, a zamiast językiem, wołał wywijać rękoma. Usta i język wołał zachować na jedzenie.

– Czy teraz czujesz się lepiej? – Richius spytał Tharna.

Mędrzec skinął głową. Odzyskanie tchu i sił zajęło mu mniej więcej godzinę, podczas której Richius zorganizował spotkanie. Teraz zaś on sam, Tharn, Jarra i Karlaz siedzieli wokół stołu w niegdysiejszej komnacie narad Vorisa, popijali mocne trunki i patrzyli, jak Karlaz mocnymi zębami wgrzyza się w dziczyznę. Dyana usadowiła się na uboczu – klęczała za Tharnem, jak przystało posłusznej żonie Drola. Na jej twarzy malowało się niezadowolenie, gdyż Tharn zażądał od niej, by wzięła udział w naradzie, ona zaś go usłuchała, choć nie sprawiło jej to przyjemności. Richius starał się w ogóle na nią nie spoglądać.

– Czy możesz nam rzec, co się stało? – spytał.

– Jak już mówiłem – zaczął Tharn – Lucyler powiedział mi o śmierci Vorisa. Spotkaliśmy go niezbyt daleko stąd. Dał mi nasz sztandar, by go wywiesić u boku lwa.

– Nie o to pytałem – stwierdził Richius. – Chcemy wiedzieć, co przytrafiło się tobie. Kiedy opuszczałeś Falindar, nie było z tobą aż tak źle, Tharnie.

– Nie czułem się najlepiej – stwierdził Tharn – ale podróż jeszcze pogorszyła mój stan. – Wskazał blizny na policzku. – To sprawka jednego z lwów. W Chandakkarze padłem ofiarą napaści. To było wtedy, kiedy znaleźli mnie Karlaz i jego ludzie. Moi mędrscy wyjaśnili mi, kim jestem i po co tam przybyliśmy, ale on nie chciał z nimi rozmawiać. Uparł się, by poczekać, aż wyzdrowieję. Ale owszem, dbano o mnie i odpocząłem. – Spojrzał na Karlaza, który, usłyszawszy swoje imię, mimo pełnych jedzenia ust, uśmiechnął się. – On mnie uratował. Był w tej samej dolinie, w której zostałem zaatakowany. Schronili się tam jego ludzie. – Tharn spoważniał. – Napadli ich Narenie, Richiusie.

– Jak to się stało?

– Uderzyli, zanim się u nich pokazałem. Jak powiedziałem, Karlaz i jego poddani uciekli do lwiej doliny, ale poniszczono ich domostwa i wielu zabito. To była nareńska Czarna Flota. Zabili dziesiątki ludzi, zanim Karlaz wrócił z lwami, by stawić im czoło.

Tharn odwrócił się i uśmiechnął do Karlaza.

– To wielki człowiek, Richiusie. Odmawiał mi, dopóki się nie przekonał, do czego są zdolni Narenie. Sami mu pokazali, że są dziećmi zła.

– A co z tamtymi Narenami? – spytał Richius.

Tharn uśmiechnął się lekko.

– Czy Lucyler powiedział ci o Liss?

– Powiedział mi, że Lisseńczycy pomagają nam utrzymać Czarną Flotę z dala od naszych brzegów.

– I tak jest w istocie. Kiedy Karlaz wrócił do jego wioski, okazało się, że Narenów już nie ma. Ich okręty zaatakowali Lisseńczycy i posłali je na dno. Lisseński kapitan

rozmawiał z Karlazem. Pan lwów powiada, że tamten mówił o sobie Prakna.

– Prakna? A kim on, u diabła, jest?

– Komandor Prakna jest dowódcą floty Liss. Był wtedy w wiosce. Powiedział Karlazowi, że zatopią wszystkie nareńskie okręty. – Tharn uśmiechnął się promiennie. – Richiusie, mamy sprzymierzeńca.

– Ale co z tobą? Dlaczego tak długo nie dawałeś znaku życia?

– To przez lwa. Wiesz, nie mam już takiego zdrowia, jak niegdyś. Lew mnie poturbował. Wyruszyliśmy do Dring dopiero wtedy, gdy mogłem podjąć podróż. Wciąż byłem słaby. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, że Voris został zabity i chciałem się dowiedzieć, co tu się stało. Po drodze natknąłem się na Lucylera. Opowiedział mi o wszystkim. – Twarz Tharna okryła się chmurą. – Czy miał dobrą śmierć?

Richius zmarszczył brwi. Co właściwie powiedział Tharnowi Lucyler?

– Zginął z honorem, walcząc w obronie swojej ziemi.

Tharn skinął głową.

– To dobrze. Zasłużył sobie przynajmniej na to. – Rozejrzył się ukradkowo, a potem szepnął: – Wiem o tym, że objąłeś tu władzę. Pomówimy o tym później.

– Tharnie, czy możesz mnie jakoś od tego uwolnić?

– Później. Teraz musimy porozmawiać o ważniejszych sprawach. Dokończę moją opowieść. Wiesz już, że zaniemogłem. Powrót do zdrowia zajął mi sporo czasu, ale kiedy odzyskałem siły, wyruszyliśmy z Chandakkaru. Nie wyzdrowiałem całkowicie, jak zresztą sam się możesz o tym przekonać. Większość moich sił przepadła. – Odwrócił się i spojrzał na Dyanę. – To dlatego tak cierpiałaś, żono. Wybacz mi, bo zrobiłem to mimo woli. Chciałem tylko przemówić do ciebie i się przekonać, czy masz się dobrze. Ale zawiodły mnie siły. Sądziłem, że jestem już dostatecznie blisko, a jednak nie mogłem do ciebie dotrzeć. Źle wykonana projekcja może zaszkodzić. Może to, że próbowałem cię odnaleźć, było głupie z mojej strony.

Dyana zbyła przeprosiny machnięciem dłoni.

– Mój mężu, nic mi już nie jest. Nie rób sobie wyrzutów.

– Rad jestem, że dobrze się czujesz – uśmiechnął się Tharn. – Do tej próby pchnęła mnie moja niecierpliwość. Tęskniłem do ciebie.

Richius poczuł się bardzo niezręcznie.

– Powiedziałeś, że spotkałeś Lucylera. Kiedy to było?

– Przed pięcioma dniami – odparł Tharn.

– Powiedział ci o Kroninie?

– Tak – przyznał Tharn ze smutkiem w głosie. – Kolejna ogromna strata. Ciężko mi będzie bez niego. Staliśmy się sobie bliscy jak bracia. – Westchnął. – Ale tracę czas,

a mam dla ciebie nowiny, Richiusie. Ci lwi jeźdźcy przybyli tu, by uderzyć na przesmyk. Wypoczną tylko i za dzień lub dwa ruszą na Ackle-Nye. Wszystko już jest, jak trzeba. Wojna dobiega końca.

– Jak to, dobiega końca? W Ackle-Nye są jeszcze liczące sobie setki ludzi oddziały Narenów, i należy się spodziewać, że przybędą następne. Zgoda, lwy nam bardzo pomogą, ale...

– Zanim wyruszyłem z Chandakkaru – przerwał mu Tharn – rozesłałem gońców do wszystkich wodzów z całego Lucel-Loru. Niektórzy byli mędrkami – wyjechali ze mną z Falindaru – innych znalazł Karlaz. Wszyscy rozwieźli listy, nakazujące wodzom stawienie się pod Ackle-Nye z tyłoma wojownikami, ilu zdołają zebrać. Nie wiem, co tu się działo, w Dring, ale trzy tygodnie temu Lisseńczycy kończyli już swoje bitwy na morzu, a ludzie Kronina wypierali Narenów z Tatteraku.

– A więc kiedy my tu rozmawiamy, tamci może uderzają już na Ackle-Nye? – zachnął się Richius.

– Nie można wykluczyć, że tak właśnie jest. Kiedy Karlaz i jego lwy dotrą do gór, na rubieżach miasta zbiorą się tysiące wojowników. Lwy zdobędą przesmyk i pozbawią Narenów możliwości ucieczki. Pozostali zajmą Ackle-Nye. – Oczy Droła rozbłyły. – To dla nich koniec, Richiusie. Nie będą mieli żadnej szansy.

Richius odchylił się w tył. „Otóż i Tharn mściciel” – pomyślał nagle. Dawno temu słyszał już to miano. Oto znów miał przed sobą czarnoksiężnika z Lucel-Loru, człowieka, dla którego życie każdego z Narenów znaczyło mniej niż ziarnko piasku. Znów przechytrył nareńskich mistrzów logiki i znów szykował zagładę jego rodakom. Osobliwe było to, że do tej ponurej krucjaty przyłączył się Richius, w którym myśl o wyrznięciu w pień setek jego rodaków wcale nie budziła sprzeciwu. Gdzieś tam w głębi duszy było mu trochę przykro w powodu własnej bezwzględności, ale to wszystko.

– Kiedy wyruszamy? – zapytał. – Wojowników Vorisa nie zostało wielu, ale możemy dotrzeć do Ackle-Nye za dwa dni.

Tharn potrząsnął głową.

– Ty nie pójdziesz, Richiusie. Ani ja. Ja dlatego, że jestem zbyt słaby, by wytrzymać trudy dalszej podróży, ty zaś z powodu swej rany, o której opowiedziała mi Dyana. Zostaniesz tu z nami. Jarra i pozostali też.

– Zostać tutaj? Ale... dlaczego? Mogę się bić. A Jarra...

– Jarra jest stary i zasłużył na odrobinę odpoczynku. Ty sam mówisz o sobie, że możesz walczyć, ale to nieprawda. Widziałem, że ledwo stoisz na nogach...

– Tharnie...

– Dość! Podjąłem już decyzję.



– Ale decyzja nie należy do ciebie. Nie trzeba mi twego pozwolenia, by ruszyć na Ackle-Nye.

Tharn wzruszył ramionami.

– Owszem, masz rację. Możesz wsiąść na konia i ruszyć, ale najpewniej spadniesz z siodła w połowie drogi. A gdyby nawet jakoś udało ci się tam dojechać, i tak nikt nie zechce cię słuchać. Kiedy wysyłałem listy do wodzów, napisałem w nich, że zdaję dowództwo Kroninowi i dodałem, że gdybyś ty się zjawił, mają cię zatrzymać i nie puszczać do walki. Pojmają cię, Richiusie, i odesłają tutaj. Po śmierci Kronina dowództwo przejmie Lucyler. Powiadomiłem go o tym i odesłałem do Tatteraku. Jemu też powiedziałem, nie pozwolił ci walczyć.

– Dlaczego mi to robisz? – spytał Richius, zaciskając zęby. – Nie zrobiłem nic, co by ci pozwoliło zwątpić w moje oddanie. Wszystko, co miałem, oddałem...

– Dość! – uciął Tharn. – Pojutrze rankiem Karlaz ruszy ze swoimi ludźmi na przesmyk. Zaatakują wąż i zajmą go, a pozostali wodzowie uderzą na Ackle-Nye. Ty i ja, Richiusie, nie weźmiemy w tym udziału.

Odwróciwszy się do Jarry, zaczął coś mówić po triińsku, najwyraźniej wyjaśniając mu cały plan. Dumace też się to wszystko nie spodobało, ale nie protestował. Kiedy Tharn skończył, Jarra powiedział coś, patrząc na Richiusa.

– On chce wiedzieć, czy może odejść – wyjaśnił Tharn. – Powiedziałem mu wszystko, co powinien wiedzieć. Prosi, byś mu pozwolił odejść i zająć się jego sprawami.

– Owszem – odpowiedział Richius, skinąwszy dłonią. – Możesz odejść, Jarro.

Jarra wstał, skłonił się głęboko Richiusowi i wyszedł z sali. Potem Tharn zwrócił się do Karlaza, którego również odprawił, uśmiechając się do niego tak samo ciepło, jak przed chwilą do Jarry. Pan lwów nie przejął się pożegnaniem, ale bez słowa wstał, wziął talerz z pieczystym i wyszedł. Na koniec Tharn zwrócił się do Dyany.

– Czy i ty mogłabyś odejść, żono? Chciałbym porozmawiać z Richiusem w cztery oczy.

Dyana rzuciła Richiusowi szybkie spojrzenie z ukosa, westchnęła i opuściła komnatę. Richius odchylił się i spojrzał na Tharna nieprzychylnie i wrogo.

– Żądam wyjaśnień – zaczął. – Dlaczego nie pozwalasz mi na wzięcie udziału w wyzwoleniu Lucel-Loru? Mam do tego takie same prawa, jak inni, a nawet większe.

– Cóż, zasłużyłeś na to, bym ci podał powody, które skłoniły mnie do podjęcia takiej decyzji – przyznał Tharn. – Ja zostaję, bo jestem chory i słaby. Ty zostaniesz, ponieważ nie jesteś chory i słaby.

– Znowu zagadki? Tharnie, proszę o choć jedną, szczerą i prostą odpowiedź.

Dlaczego nie chcesz, bym ruszył do walki?

– Bo nie jesteś Triinem, a przed tobą jeszcze całe życie. Richiusie, zechciej mnie zrozumieć. Poprosiłem cię, byś zajął się obroną doliny Dring, a ty to dla mnie zrobiłeś. Twoja tutejsza misja dobiegła końca. Nie ma powodu, dla którego znów musiałbyś się bić po naszej stronie, a ja nie pozwolę ci zginąć bez pożytku, sensu i potrzeby. Teraz mogę cię oszczędzić i nic mnie od tego nie odwiedzie. Zostaniesz tu i będziesz żył.

Sposób, w jaki mędrzec zabrał się do ratowania Richiusowi życia, tylko go rozjuszył. Pojął jednak nagle, jak podobne kierowały nimi pobudki. On kiedyś chciał uratować Dyanę.

– Tharnie, nie próbuj mnie oszczędzać. Chcę bronić Lucel-Loru. Czym się to różni od tego, co zleciłeś Lucylerowi i innym?

– Są Triinami, a ty nie. Muszą pójść choćby na śmierć, kiedy ich bogowie wzywają do obrony kraju. Ale nasi bogowie nie żądają od ciebie takiego poświęcenia, Richiusie. Może cię wykorzystali, przywieźli tutaj, byś nam pomógł, ale już z tobą skończyli, ty zaś zachowałeś życie. Ja mam tylko zadbać, by tak zostało.

– Ala ja straciłem wszystko! Dlaczego miałbym czepiać się życia?

Tharn lekko się uśmiechnął.

– Spotykałem już wcześniej takich Narenów jak ty. Wszyscy mówili o tym, że niczego nie mają. Ale twoje serce wciąż jeszcze bije, prawda? Wciąż jeszcze oddychasz. Żyjesz, Richiusie. Gdybyś był słaby i okaleczony, jak ja, nie odmówiłbym ci łaski śmierci. Ale jesteś młody i zdrowy. Nie mogę ci pozwolić na ryzyko. Potrzebny mi byłeś do obrony Dring, ale teraz to się skończyło.

– To znaczy, że nie jestem potrzebny nigdzie i nikomu – odparł Richius z goryczą. – Aramoor został zniszczony, a Dring może się już obejść beze mnie. Moja władza tutaj to żart.

– Nie, wcale nie – rzekł Tharn. – Tak się tu działo od niepamiętnych czasów. Voris przekazał ci opiekę nad swoją rodziną. Oni cię potrzebują. – Jego twarz złagodniała. – Ale jeżeli nie chcesz zostać tu panem, to nie musisz. Mocą danej mi władzy mogę to zmienić. Jeżeli chcesz, możesz przelać prawa lenne na Jarrę.

– Tego właśnie pragnę – odpowiedział Richius. – Niech to się stanie jak najszybciej.

Tharn skinął głową.

– A więc niech tak będzie. Najpierw jednak poproszę, byś zechciał to przemyśleć, Richiusie. Ten zamek może się stać twoim nowym domem, kolebką nowego życia. Jeżeli stąd odejdziesz, wszędzie gdzie się udasz, będziesz obcy. Oczywiście, możesz wrócić z nami do Falindaru. Możesz tam żyć, jak długo zechcesz, nie związany żadnym z naszych praw. Ja proszę tylko, byś nie kwestionował naszych zwyczajów... W końcu

jesteśmy Drolami.

Richius zagryzł wargi. Wszystko usuwało mu się spod nóg, on zaś niczego nie mógł wskórać. Tharn wrócił do świata żywych, Dyana zaś na zawsze zostanie jego żoną.

– Masz rację – stwierdził. – Muszę to przemyśleć. Nie wspominaj nic o tym Najjir i nie mów z Jarrą, dopóki nie podejmę decyzji. Potrzebuję trochę czasu, by się z tym wszystkim oswoić.

– Będziesz miał tyle czasu, ile zechcesz – odpowiedział Tharn. – Weź wszystko pod uwagę. Wiedz, że dla nas, mieszkańców Tatteraku, jesteś bohaterem.

Richius skrzyżował nogi i wstał.

– Cudownie, wprost nie może być lepiej – mruknął głosem pozbawionym krzty emocji. – Ale gdybyś zapytał mieszkańców Aramooru, pewien jestem, że oceniliby mnie zupełnie inaczej.

– Richiusie – odezwał się Tharn. – Jest coś jeszcze. – Mędrzec poruszył się niespokojnie i wbił wzrok w posadzkę. – Niełatwo mi to z siebie wydusić. Ty i Dyana... – Westchnął z bólem. – Dochowała mi wierności. Wiem o tym i sadzę, że powinienem ci podziękować.

– Tharnie... – przerwał mu Richius. – O tym mówić nie będziemy! Wróciłeś, a ja ją straciłem. To wszystko.

Tharn uśmiechnął się lekko.

– Kiedy ruszałem do Chandakkaru, nie bardzo ci ufałem. Rad jestem, że okazałeś się lepszym człowiekiem, niż myślałem...

## Czterdzieści dziewięć

Hrabia Renato Biagio siedział samotnie wśród kwiatów, wysoko na balkonie, górującym nad całym niemal Czarnym Grodem, i chłodził w podmuchach wiatru zaczerwienione po nocnych modłach powieki. Słońce, żółte i jaskrawe, świeciło zuchwale, przebijając promieniami chmury dymów z palenisk warsztatów wojennych. Obok hrabiego leżała święta księga, którą Biagio odziedziczył po swoim ojcu. Dzięki dwustuletnim staraniom dewotek z rodu Biagiów opasły tom miał strony mocno już wystrzępione na brzegach. Hrabia tkwił tu przez całą noc, poszcząc i modląc się gorąco, przyłożywszy księgę do czoła, podczas gdy niedaleko konał jego imperator.

Biagio nigdy nie był człowiekiem religijnym, czy pobożnym. Choć Arkus polecił, by wszyscy członkowie Żelaznego Kręgu zostali wyznawcami jedynego Boga, którego biskupem był Herrith, Biagio zawsze pozostał sceptykiem. Był zuchwalcem, gotowym jak słońce, na które teraz spoglądał, rozświetlać mroki niewiedzy jedynie blaskiem swego umysłu. Ale w chwilach zagubienia, rozpacz i desperacji, kiedy upadał na duchu, zwracał się niekiedy ku niebiosom. Tej nocy modlił się żarliwie, teraz zaś w jakiś niepojęty sposób zrozumiał, że jego modlitwy zawiodły. Bovadin nie przyszedł powiadomić go o żadnym cudownym uzdrowieniu, i w głębi swego udręczonego serca Biagio zrozumiał, że ten, którego najbardziej ukochał, przepadnie wkrótce w mrokach ludzkiej niepamięci.

Bovadin powiedział, że Arkus nie dożyje do wieczora. Umysł starca już odszedł – Arkus nie poznawał nawet przyjaznego głosu Biagia. Hrabia zamknął oczy. Zatrzymał przynajmniej upływ łez. Pozbył się już żalu i rozpacz, czuł tylko złość. I opuszczenie – a to nowe, nie znane mu dotąd uczucie mocno go zaskoczyło. Znienawidził starca za to, że go opuścił. Czymże on w końcu był bez Arkusa? Owszem, pełnił funkcję głowy Roshannów, miał sprzymierzeńców i sojuszników, ale poświęcił żywot na wcielanie w życie ideałów Nar, które teraz pluły krwią i wydawały ostatnie tchnienie. Za kilka godzin świat stanie się zupełnie innym miejscem.

Winę za to, przynajmniej po części, należało przypisać Arkusowi. Uparty starzec do ostatniej chwili nie chciał się pogodzić z myślą o swoim nieuniknionym końcu. Wokół łoża umierającego imperatora, niczym sępy, zbierali się już członkowie Żelaznego Kręgu. Herrith był przy Arkusie i wyśpiewywał te swoje idiotyczne psalmy. Będą walki wokół tronu, może poleje się krew, a człowiek przewidujący, jak Arkus, nie powinien do tego dopuścić. Biagio wzdygnął się nagle, pomyślawszy o modłach Herritha. Biskup odwoływał się do Boga, który nie istniał.

– Bądź przeklęty! – zawrzał gniewem Biagio.

Wstał z krzesła, porwał swoją książkę i cisnął ją za poręcz balkonu. Księga znikła mu z oczu, czemu towarzyszył łopot otwartych stron. Potem Biagio chwycił krzesło i wyrzucił nim w posąg kobiety. Krzesło rozpadło się z trzaskiem. Rozjuszony arystokrata opadł na kolana, uniósł twarz w górę i splunął, marząc o tym, by osiągnąć boskiego oblicza.

– Obyś szczeł! – krzyknął. – Ty głuchy potworze, nienawidzę cię!

Bóg go zawiódł, tak samo jak on zawiódł Arkusa. Nie było magii w Lucel-Lorze. Były tam śmierć, samotność i odwet. Obiecał Arkusowi życie, a dał mu tylko zniszczenie i pustkę. Nie potrafił nawet schwytać Vantrana. Na myśl o tym piekielnym młodziku w sercu Biagia rozpętał się pożar. Ten szczeniak tysiącnymi mękami zapłaci za to, co uczynił.

– Słyszysz mnie, Boże? – zaryczał hrabia. – Możesz zabrać Arkusa, ale nie zdołasz uratować Vantrana. Żeby go dopaść, spalę każdy kościół i uduszę każdego kapłana. Wiem, że go osłaniasz. Ale nie zdołasz go uratować!

– Renato!

Biagio obejrzał się i ujrzał stojącego przy wiodących na balkon drzwiach Bovadina. Uczony karzeł miał na twarzy wyraz zgrozy i przerażenia.

– Co ty wyprawiasz? – spytał. Podbiegł do Biagia i podał mu dłoń. Biagio warknął gniewnie, odepchnął podaną mu rękę i wstał sam, bez niczyjej pomocy.

– Zostaw mnie! – zagrzemiał. – Już mówiłem, że chcę zostać sam!

– Posłuchaj, głupcze! Arkus pyta o ciebie. Powinieneś tam wejść i zostać przy nim do końca.

– Bovadinie, on wzywa jakieś widma i upiory. Nawet mnie nie poznał!

– On już kona! – przerwał mu Bovadin. Chwyciwszy opończę Biagia, odwrócił go ku balkonowym drzwiom. – Czy ty mnie słuchasz? Arkus kona!

– Wiem! – wrzasnął Biagio. Niewiele brakowało, a znów wybuchnąłby płaczem. – No to niech umiera! A my weźmy się za łby! – rozgoryczony hrabia podszedł do balustrady balkonu. – Jeżeli istnieje piekło, to gotów jestem przysiąc, że on do niego trafi, a my wszyscy niedługo po nim. Wszyscy, oprócz Herritha.

– Renato... – Bovadin podbiegł do hrabiego i położył mu na plecach małą dłoń w geście pocieszenia. – Potem tego pożałujesz. Proszę, chodź ze mną. Zanim nie będzie za późno...

– Już jest za późno. Arkus umiera.

– Ale jest przy nim Herrith. Może Arkus coś powie i Herrith to usłyszy...

Biagio roześmiał się bez cienia wesołości w głosie.

– Arkus nic nie powie. Nawet, gdyby potrafił się przyznać do tego, że umiera. Nigdy mi nie przekaze tronu.

– To musisz go do tego skłonić – stwierdził Bovadin z naciskiem. – Jeżeli zażadasz stanowczo, może cię posłucha. Renato, proszę, ze względu na dobro nas wszystkich. Nawet nie spróbujesz?

– Nic z tego nie będzie. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. On nigdy nie zrezygnuje z tronu. Będziemy musieli walczyć. – Hrabia opadł na jedno kolano i podniósłszy ręce, położył je na ramionach Bovadina i spojrzał w owadzie oczy karła. – Potrzebuję cię u mego boku – szepnął. – Rozmawiałem już z Nicabarem i kilkoma innymi. Zgodzili się mnie poprzeć. A ty?

– Nie zmuszaj mnie do wyboru. Nie, kiedy jest możliwość załatwienia wszystkiego bez walk.

– Bovadinie, kto nie jest ze mną, opowiada się przeciwko mnie. Co wybierasz?

Karzeł przez chwilę patrzył hrabiemu prosto w oczy.

– Pójdę za tobą. Jeżeli najpierw spróbujesz rozmówić się z Arkusem...

– Bovadinie, to bezcelowe...

– Spróbuj – upierał się mały uczonec – albo opowiem się za Herrithem.

Biagio wstał i zmierzył karła groźnym spojrzeniem.

– Stań przy Herrithcie, a każę cię zabić. Wiesz, że mogę to zrobić.

– Pomów z Arkusem, bo jeśli nie, skończą się eliksiry – nalegał uczonec.

Biagio był zbyt doświadczonym dyplomata, by nie spojrzeć w twarz Bovadina. Karzeł nie kłamał i traktował swoją groźbę śmiertelnie poważnie. Bez jego eliksirów wszyscy wkrótce zaczną, się starzeć i umierać.

– Niech ci będzie – ustąpił. – Spróbuję.

Pozwolił Bovadinowi zaprowadzić się do pałacu. Po obu stronach korytarza wiodącego do komnat Arkusa stali odziani w czerń słudzy o posępnych twarzach. Na ścianach płonęły świece i kadzidła – kolejna z bzdur Herritha – a pod nimi klęczeli akolici biskupa, którzy, zawodząc głośno, modlili się o zdrowie imperatora. Biagio mijał ich pogardliwie, bez najmniejszego szacunku deptając po połach ich szat. W otwartych drzwiach sypialni Arkusa stali dwaj Aniołowie Cienia. Ujrawszy zbliżających się Biagia i Bovadina, szybko usunęli się na bok. Biagio zatrzymał się w progu, by odzyskać oddech i się uspokoić. Był niemal pewien, że jego żądanie tylko rozwścieczy imperatora. Bardzo powoli i ostrożnie wszedł do komnaty. Przy posłaniu Arkusa siedział biskup Herrith, który trzymał w dłoniach rękę Arkusa. Sam imperator leżał w pościeli zupełnie nieruchomo. Na widok Biagia biskup błysnął zębami w pełnym nienawiści uśmiešku.

– Przykro mi – odezwał się, cedząc słowa przez zęby. – Spóźniłeś się, hrabio.

Imperator nas opuścił.

Biagio poczuł się tak, jakby nagle cały świat zwałił mu się na ramiona. Niewiele brakło, a padłby na kolana. Sięgnął na oślep ku Bovadinowi i ten jakoś zdołał go podeprzeć. Herrith podbiegł do nich obu i chwycił Biagia z drugiej strony, zanim ten zdążył zemdleć. Ciągnąc i popychając, biskup dotaszczył jakoś hrabiego do posłania Arkusa. Imperator leżał, ogarnięty spokojem śmierci, bez ruchu i nie oddychając. Biagio zamknął oczy, nie mogąc znieść tego widoku.

Arkus z Nar był martwy.

## Pięćdziesiąt

Drużyny Lucel-Loru zebrały się na wzgórzach otaczających kręgiem umocnienia Ackle-Nye. Ranek był jasny i rześki, a promienie słońca tak ożywiły wygląd miasta żebraków, że nie zdołały go oszpecić nawet budowle Narenów. Wojownicy w sile dwóch tysięcy ludzi czekali niecierpliwie, aż wodzowie dadzą sygnał do ataku. Przybyli z najrozmaitszych zakątków rozległych ziem Triinów, wszyscy żądni krwi śmiertelnych nieprzyjaciół. Konie, gotowe do szarży ze wzgórz, parskwały niecierpliwie i grzebały kopytami, a wojownicy rozmawiali nieco nerwowo i przeglądali strzały w kołczanach. Nad miastem rozciągnęła swój całun cisza, a brak jakiegokolwiek ruchu świadczył o tym, że Narenie mieli się na baczności. Ackle-Nye wstrzymało oddech. Wojowników dostrzeżono, oni zaś o tym wiedzieli – i żaden nie narzekał na to, iż pozbawili się przewagi wynikającej z zaskoczenia. Wodzowie powiedzieli im o tym, że na wieżach rozmieszczono stanowiska ogniowe, a miasto obsadzono dobrze uzbrojonym garnizonem. Triinowie jednak byli żądni krwi i nic ich nie mogło powstrzymać.

Nieopodal szczytu jednego ze wzgórz zatrzymali się trzej mężczyźni. Oddaleni od pozostałych, pilnie przyglądali się leżącemu u ich stóp miastu. Siedzieli na ciężkich, grubokościstych koniach, pozwalając, by wiatr rozwiewał białe grzywy ich włosów, patrzyli, jak wznoszące się coraz wyżej słońce skraca cienie wzgórz i oblewa świat blaskiem. Jednym z nich był Lucyler z Falindaru, który niespokojnie wiercił się w swoim siodle. W odróżnieniu od pozostałych nie cieszyła go perspektywa bitwy, nie był też rad brzemieniu, jakie Tharn złożył na jego barkach. Z dwóch tysięcy zebranych tu ludzi siedem setek było pod jego komendą: obleczeni w błękit wojownicy Tatteraku, których śmierć Kronina pozbawiła przywódcy. Tharn obiecał Lucylerowi, że pójdą za nim – i rzeczywiście okazali mu bezdyskusyjny posłuch. Lucyler jednak wciąż czuł się niepewnie. Nie był wodzem, nie był też strategiem.

Zrobił jednak wszystko, co było w jego mocy, o czym świadczyła dzisiejsza narada wojenna. Praxtin-Tar i Shohar lojalnie wypełniali jego polecenia, podobnie jak Karlaz i Nang. Lucyler przeniósł spojrzenie z miasta na widniejący za nim wylot przesmyku. Z jego rozkazu zaczęli się tam Karlaz i lwi jeźdźcy, niewidoczni teraz wśród skał. Za nim, nieopodal końca przesmyku, skrył się Nang. Dzikus z Ognistych Stepów też zjawiał się pod Ackle-Nye o wyznaczonej porze, równie jak pozostali pragnący wdrzeć się do miasta. Przywiódł ze sobą dwie setki wojowników, bo w jego niewielkim i jałowym kraju nie dało się zebrać większej drużyny. Idąc forsownymi marszami przez góry, zajęły pozycję w głębi przesmyku. Cokolwiek ujdzie lwom Karlaza, wpadnie w ręce



koczowników Nanga.

Lucyler czekał w siodle na swoim wierzchowcu. Był pewien, że Narenie się nie zgodzą na jego warunki i treść niewielkiej notatki, którą trzymał w dłoni, wydawała mu się śmieszna. Musiał jednak spróbować. Podejrzał, że w mieście zgromadzono około tysiąca żołnierzy i choć przewaga była po stronie Triinów, miał nadzieję, że da się uniknąć krwawej rzezi. Chciał, żeby tamci się wycofali, zostawili oręż i poszli sobie. Po zapieczętowaniu przesmyku wojownicy mogliby wrócić do domów. Lucyler spojrzął na trzymany w dłoni pergamin. Sam własnoręcznie wypisał na nim żądanie.

Do dowódcy garnizonu:

Poddajcie się. Złóżcie broń i odejdźcie. W przeciwnym razie zginiecie.

Podpisu nie zamieścił, bo wiedział, że jego imię niczego dowódcy garnizonu nie powie, jako że Naren najpewniej nigdy o nim nie słyszał. Aby zaś zobaczyć, z czym będzie miał do czynienia, wystarczy, że otworzy okno. Żądanie złożenia broni było najprawdopodobniej gestem nie mającym szans na powodzenie. Zgromadzeni na pobliskim wzgórzu wojownicy Kronina obserwowali go nie bez zainteresowania, żywiąc serdeczną nadzieję, że z jego planów nic nie wyjdzie. Poszli za jego przewodem bez szemrania, bo taka była wola Tharna, wszyscy jednak mieli nadzieję, że nadarzy się okazja do wywarcie zemsty za zabitego wodza. Podobnie myśleli Nang i Praxtin-Tar. Shohar, zawsze żądny krwi i chętny do walki, usłyszawszy o planie Lucylera, wzruszył po prostu ramionami. Najwyraźniej uważał, że wcześniej rzeki popłyną pod górę, niż Narenie zgodzą się na kapitulację. Aby tu dotrzeć, musiał ze swymi ludźmi pokonać większą odległość, niż inni wodzowie, i jego szczupła twarz wyglądała na bardziej bladą, niż zwykle. W całym Lucel-Lorze nazywano Shohara Łowcą Czaszek i powiadano, że jego tron wzniesiono na podstawie z czerepów pobitych wrogów. O Praxtin-Tarze z Reen sam Tharn powiedział, że jest człowiekiem godnym zaufania, ale zapalczywym. Dobrym sojusznikiem na czas wojny, znacznie gorszym podczas pokoju.

Ze wszystkich wodzów, którzy ściągnęli pod Ackle-Nye, Lucylerowi najbardziej rozsądnym wydał się Karlaz. Pan Chandakkaru też doznał krzywd z rąk Narenów, wydał się jednak Lucylerowi mniej żądnym krwi od innych i bardziej ludzkim. Powiedział Lucylerowi, że chce uporać się z zadaniem i wrócić do domu, co bardzo mu się spodobało.

– Już się dostatecznie rozwidniło – oznajmił Lucyler. – Teraz już powinni nas widzieć.

– Lepiej byłoby uderzyć znienacka – mruknął Praxtin-Tar. – Pozbawiłeś nas tej

przewagi.

Wódz z Reen był wysokim człowiekiem o imponującej postawie i siedząc na koniu, wydał się Lucylerowi centaurem. Miał magnetyczne, przeszywające rozmówcę spojrzenie, a gdy mówił, jego palce wykonywały pajęcze ruchy. Jego godłem był kruk, którego wszyscy ludzie z Reen wytatuowali sobie na policzkach. Praxtin-Tar był czarny i osobliwie ożywiony.

– Tego właśnie życzył sobie Tharn – wyjaśnił Lucyler. – Chodzi o nas wszystkich. Jeżeli odejdą spokojnie, wynik będzie taki sam.

– Wynik może i będzie taki sam, ale co z wojenną chwałą? – spytał Praxtin-Tar. – Moi ludzie przyszedli się tu bić, podobnie jak ludzie Shohara. – Spojrzał na wymienionego przez siebie wodza, jakby szukając u niego wsparcia.

– Zrobimy to po mojemu – zawyrokował Lucyler stanowczo. – Jeżeli mój plan zawiedzie, wtedy uderzycie całą mocą. Ale baczcie, że ten garnizon jest doskonale obsadzony i uzbrojony. Po co niepotrzebnie ryzykować?

Praxtin-Tar pochylił się ku Lucylerowi.

– Bo oni nie są warci niczego lepszego. – skrzywił się pogardliwie. – Gdybyś był Kroninem...

– Nie jestem Kroninem – uciął Lucyler. – A ty nie jesteś moim wodzem. Teraz to moja armia, a wy się do niej przyłączyliście. Zrobisz to, co ci każę.

Gniew Lucylera uciszył wodza. Praxtin-Tar kiwnął głową i umilkł. Lucyler wyprostował się w siodle.

– Sam dostarczę ten list – oznajmił. – Moi ludzie pojedą za mną. Wy macie zostać na wzgórzu i patrzeć. Uderzajcie, jeżeli zacznie się zawierucha, ale nie wcześniej. Zrozumieliście?

Praxtin-Tar kiwnął głową.

– Zrozumiałem.

– A ja się nie zgadzam – odezwał się Shohar. Wódz miał ostry, dźwięczny niczym dzwon głos. – Lucylerze, powinieneś zostać tutaj. Jesteś wodzem. Jeżeli cię zaatakują, możesz zostać zabity. Pozwól, że ja zawiozę im list. I tak zresztą na nic się to nie przyda.

Lucyler przez chwilę rozważał ten pomysł. Prawdą było, że z góry mógł dostrzec znacznie więcej. Czy nie na tym polegała rola wodza? Pomyślał o Richiusie i o tym, jak postąpiłby w tej sytuacji jego przyjaciel. I natychmiast otrzymał odpowiedź.

– Nie. Sam zawiozę ten list. Wódz rozmawia z wodzem. To może zrobić na nich wrażenie.

Praxtin-Tar parsknął śmiechem.

– Jeżeli nie załamał ich widok zgromadzonych na tych wzgórzach naszych

wojowników, to myślisz, że się poddadzą, ujrzawszy twoje oblicze? Nie bądź głupcem. Shohar ma rację. Niech on zawiezie list. Jesteś nam bardziej potrzebny. – Uśmiechnął się do Shohara nieco złośliwie. – Bez urazy, wodzu.

Shohar się uśmiechnął. Miał na sobie złote szaty i mógłby zostać uznany za urodziwego, gdyby nie błysk szaleństwa w jego oczach.

– Praxtinie, muszę się z tobą zgodzić, choć wywołuje to we mnie torsje. Cofnij się trochę, bo mogę cię oszpecić. – Podjechał do Lucylera i wyciągnął rękę. – Daj mi ten twój list. Zabiorę go i dostarczę tamtym. Armia bez wodza niewiele znaczy.

Lucyler dość niechętnie podał mu list.

– No dobrze – zgodził się. – Ale ogranicz się do oddania listu. Nie rób ani nie mów niczego więcej.

– Oczywiście – zgodził się Shohar z nieco kpiącym uśmiechem. – Nie jestem taki tępy, jak niektórzy z obecnych. – Wziął list i wetknął go sobie za pazuchę. – Praxtin-Tarze, jeżeli zobaczysz, że wpadliśmy w opałę, to zechciej nie zwlekać.

– Ruszę tak szybko, jak się tylko da... w przeciwną stronę – zakpił Praxtin-Tar.

Shohar zaśmiał się i skierował konia w dół, ku grupie czekających już na niego ludzi. Zaczął ich zbierać w orszak, a potem powoli ruszyli ku miejskim bramom. Lucyler patrzył, świadom ciężkiej na nim odpowiedzialności, domyślał się bowiem, jaką otrzymają odpowiedź.

\* \* \*

Generał Cassis, dowódca garnizonu w Ackle-Nye stał na balkonie swego domu i kręcąc głową, rozglądał się po okolicy. Zajęty przez niego na kwaterę główną dom stał na zboczu wzgórza, generał widział jednak dość, by zrozumieć, że tkwi po uszy w kłopotach. Okiem doświadczonego żołnierza zobaczył pięciuset Triinów – może zresztą było ich nieco więcej – konnych i pieszych. Ustawili się, według swego zwyczaju, w barwne oddziały, każdy niewątpliwie pod komendą innego wodza. Za nimi właśnie wstawało słońce i stojący na szczycie wzgórza wojownicy rzucali złowrogie cienie na dolinę. Zwiadowcy spostrzegli już ich kilka dni temu, ocenili jednak ich liczebność znacznie niżej. Zebrani wszyscy razem wyglądali jak pełen legion.

Cassis mocniej uścisnął poręcz balkonu i wychylił się nieco dalej. W wąskich miejskich uliczkach zapadła cisza. Na najwyższych budynkach poustawiano dalekosiężne ogniomioty, zaś na rubieżach zgromadzono drużynę miotaczy ręcznych – Cassis wiedział, że przełamanie pierwszej linii obrony zajmie Triinom nieco czasu. Pod swoją komendą miał sześciuset pięćdziesięciu trzech ludzi – nie liczył oddziałku Gayle’a, który

opuścił ich kilka dni wcześniej. Wiedział jednak, że wrogowie są przynajmniej kilkakrotnie liczniejsi. Nawet z ogniomiotami i skryci za miejskimi murami Narenie mieli niewielkie szansę.

– Przekłęci gogowie! – syknął przez zęby. – Powinniśmy ich wyrżnąć od razu!

Cassis w czasie pierwszej wojny był w Nar. Poświęcił się karierze wojskowej – czego żałował teraz z każdą chwilą coraz bardziej – i całe swoje życie spędził, dowodząc garnizonami w takich samych zapyziałych dziurach jak Ackle-Nye. Kiedy był młodzieńcem, ojciec mu powiedział, że żołnierka jest jedynym zajęciem godnym prawdziwego mężczyzny. Znienawidził za to ojca i znienawidził siebie za to, że posłuchał tych bzdur. Nie cierpiał dowodzenia garnizonami. Wszystkie piastowane dotąd stanowiska obarczały go uciążliwymi obowiązkami, nie dając w zamian żadnych korzyści. Podczas gdy inni nareńscy panowie wylegiwali się w przebogatych apartamentach, on spał w brudzie, przekształcając w kwatery budynki, które w najlepszym razie można byłoby uznać za mało zniszczone. Nareńscy panicze byli rozpieszczonymi smarkaczami. Cassis splunął przez poręcz balkonu, wyobrażając sobie, że niżej stoi któryś z nich. Teraz otaczał go pierścień Triinów, gotowych powyrywać mu paznokcie, a wszystko to zawdzięczał Arkusowi. Zaciśnął zęby. Nie da się zabić za starego drania. Nie tutaj!

Odwrócił się do swego adiutanta stojącego o kilka kroków za nim w głębi balkonu. Twarz pułkownika Marlyle'a przybrała kolor bieli.

– Pułkowniku, chcę, żebyście przekazali ogniomistrzom na wieżach, by nie otwierali ognia, dopóki tamci nie podejną bliżej. Każdy strzał musi ugodzić w cel. Macie tam dobrych ludzi?

Marlyle skinął głową.

– Nie inaczej.

– A jak z paliwem?

– Powinno wystarczyć, generale. Tak myślę.

– Marlyle, nic mi z waszego myślenia. Chcę wiedzieć na pewno. Wszystkie trzy mają mieć dość paliwa, by zmieść całe to miasto. Nie życzę sobie, by którykolwiek z nich zawiódł.

Marlyle się skrzywił, jakby nagle rozboleł go ząb.

– Dwa, generale.

– Co takiego?

– Generale, mamy tylko dwa ogniomioty dalekiego zasięgu. Trzeciego nie dało się uruchomić. Przerwany przewód paliwowy. Brak części wymiennych.

Cassis przyłożył dłoń do czoła.

– Pułkowniku, zróbcie coś, by to cholera zaczęła działać. Nic mnie nie obchodzi, jak tego dokonacie, ale nie przyjmę żadnych tłumaczeń i w razie czego sam własnoręcznie zrzucę was z murów tym dzikusom.

– Spróbuję, generale – powiedział nagle poblady Marlyle.

Rozkaz był oczywiście niewykonalny i Cassis dobrze o tym wiedział. Pomimo posiłków i uzupełnień, jakie mu zapowiedziano z Czarnego Grodu, droga przez przesmyk Saccenne była długa i wyboista. Części zapasowe, podobnie jak leki i żywność, dawno już się skończyły. Nikt zaś nie przewidział, że sprawa może przyjąć taki obrót, jak teraz. Cassis wysłał gońców do Talistanu, ale wiedział, że nie dostanie posiłków na czas. Kiedy tamci tu dotrą, oni już będą dyndali na drzewach, naszpikowani strzałami.

– Pułkowniku, nie oddalajcie się zbyt daleko. Jeżeli nie utrzymamy łączności, sprawy mogą przybrać zły obrót. I sami nie wdawajcie się w bijatykę. Zatrzymajcie jakąś drużynę jeźdźców, by nas ochraniali. Niech się przygotowują w centrum miasta. Ja tam zaraz zejść.

Marlyle ponownie kiwnął głową, patrząc na coś ponad ramieniem generała.

– Nadjeżdżają – powiedział. – Spójrz, generale.

– Widzę – odpowiedział spokojnie Cassis.

Od zwartej masy oderwała się grupka wojowników, którzy konno ruszyli ku miastu. Wszyscy odziani w złote szaty. Cassis patrzył na nich jak na dzieci świtu. Nie jechali szybko i nie w szyku. Na czoło orszaku wysunął się jeden jeździec, unoszący dumnie głowę.

– Może zaproponują nam kapitulację? – spytał Marlyle z nadzieją w głosie.

Cassis zmarszczył brwi. Nigdy przedtem nie zdarzyło się, by wodzowie Lucel-Loru komukolwiek proponowali kapitulację. Nawet gdyby tamci na to przystali, on nie mógł się zgodzić. Kolejny idiotyzm Narenów. Generał postarał się przybrać minę człowieka stanowczego i pewnego siebie.

– Pułkowniku, zechce pan przekazać moje rozkazy. Proszę jakoś usprawnić trzeci ogniomiot. I zebrać grupkę jeźdźców w centrum miasta. Tam się spotkamy.

– Ilu ma być tych jeźdźców, tuzin?

– Pięćdziesięciu – odpowiedział Cassis.

– Pięćdziesięciu? Jeżeli odwołam tyłu z...

– Nie dyskutujcie! – zawrzał gniewem Cassis. – I przygotujcie mi konia.

Marlyle pobiegł wykonać rozkazy, zostawiając Cassisa samego na balkonie. Generał znów obejrzał się na nadjeżdżających Triinów. Mężczyzna na czele chyba się uśmiechał. Nawet z tej odległości Cassis mógł dostrzec biel jego zębów. Generał wiedział, że wiadomość przeznaczona jest dla niego, wygładził więc mundur, wyszeptał cichą

modlitwę i w ślad za Marlyle'em opuścił balkon.

\* \* \*

Shohar Łowca Czaszek jechał wolno w stronę miasta żebraków. Za nim podążali wojownicy – czterystu ludzi o napiętych twarzach. Wódz nie należał do ludzi o imponującym wzroście i teraz unosił się w siodle sztywno, pragnąc wydać się wyższym, niż był w istocie. Jego szaty ze złotogłowiu trzepotały luźno, a długie włosy przewiązane błękitną wstążką powiewały na wietrze. Wódz nie był przesadnie silny ani umięśniony, wiadomo jednak było powszechnie, że jest zręcznym i przebiegłym w walce przeciwnikiem, co napawało go niemałą dumą. Był tak szczupły i lekki, że niektórzy twierdzili, iż wygląda jak kobieta. Większość z tych ludzi była już martwa.

Shohar myślał intensywnie, trzymając wodze konia tak, by wierzchowiec szedł prawie stępą. Ackle-Nye rosło mu w oczach. Widział już biegających po uliczkach żołnierzy, nie większych od czarnych kropek. Dostrzegł lśnienie na jednej z wież i zrozumiał, że widzi odbicie promieni słońca na lufie ogniomiotu. Była to broń dalekonośna, taka z jakiej Narenie mogli go ugodzić i w miejscu, w którym się znajdował. Wytężył słuch i mógł wyłowić uchem poszczególne, wykrzykiwane pośród domów rozkazy.

Zawsze lubił Lucylera i nigdy nie sprzeciwił się rozkazom Tharna. Żaden z nich jednak nie był wodzem. Po prostu nie rozumieli pewnych spraw. On i Praxtin-Tar byli ludźmi innego pokroju, zrodzonymi i wychowanymi przez wojny. Żądanie od nich odmiennego podejścia do sprawy było tym samym, czym byłoby żądanie od rzeki, by zmieniła koryto.

Zatrzymał swego konia i odwrócił go ku nadciągającym za nim wojownikom. Natychmiast się zatrzymali. Shohar spojrział w górę zbocza i ujrzał, że Lucyler pilnie go obserwuje. Obok niego był Praxtin-Tar i pozostali wojownicy czekający na wynik misji. Shohar poczuł przeszywający go dreszcz emocji. Sięgnął za pazuchę i wyjął pismo, które wręczył mu Lucyler. Wódz nie umiał czytać w języku Narenów, wiedział jednak, jaka jest treść dokumentu i poczuł obrzydzenie. Uśmiechając się niczym szalenienc, podniósł papier i pokazał go swoim. Potem, upewniwszy się, że Falindarczyk dobrze wszystko widzi, zgniótł papier w palcach i rzucił na ziemię.

– Bierzmy głowy! – zawył. – Dziś jest dzień zemsty!

\* \* \*

Lucyler obserwował wszystko z góry i na chwilę znieruchomiał, porażony niedowierzaniem. Shohar powiedział coś, czego Lucyler nie zdołał odczytać z ruchu warg, a potem szalony wódz cisnął pismo na ziemię. Papier powoli potoczył się, gnany podmuchami wiatru. Wojownicy Shohara wybuchli dziką wrzawą, z entuzjazmem witając perspektywę krwawej rozprawy z wrogiem. Lucyler jęknął, przejęty zgrozą. Obok niego zanosił się śmiechem Praxtin-Tar. Lucyler potrząsnął ku niemu pięścią.

– To ty! – zawrzał gniewem. – Ty to wszystko zaplanowałeś.

– Nie – chichotał Praxtin. – Przysięgam na Tharna!

– Co on wyprawia? Gadaj natychmiast!

– Nie mam pojęcia – odpowiedział wódz. – Jeszcze raz mogę przysiąc!

Lucyler nie wiedział, w co uwierzyć. Czekający na rozwój wypadków wojownicy już drżeli, targani ochotą na bitwę. Wszyscy patrzyli na niego, czekając na rozkazy. Nawet Praxtin-Tar spoglądał z niecierpliwością w oczach. Na dole ludzie Shohara spięli już konie i rwali ku miastu, wydając dzikie okrzyki bojowe. Shohar pędził na ich czele, wywijając za wielkim jak na jego wzrost jiktarem. Za murami Ackle-Nye zabrzmiał dźwięk bojowej trąbki. Na dwóch wieżach rozbłysło coś złowrogo. Ludzie Shohara złamali szyk i gnali ku miastu bezładną grupą. Konni bodli wierzchowce ostrogami, a piesi usiłowali dotrzymać im tempa.

– Niech cię cholera weźmie, Shoharze! – syknął Lucyler.

– Rozkazy! – ponagli Praxtin-Tar. – Czy przyłączamy się do ataku?

Z wieży wyleciał ognisty jęzor, wybuchając pomiędzy jeźdźcami i rozbryzgując się w setki drobniejszych ognisk. W kilka sekund później wypalił drugi z ogniomiotów. Trzej jeźdźcy podążający za Shoharem runęli w szczelinę, która otwarła się pod kopytami ich wierzchowców. Shohar jednak rwał przed siebie, jakby na świecie nie było siły zdolnej go zatrzymać.

– Lucylerze? – zagrzemiał Praxtin-Tar. – Musimy ich wesprzeć! Natychmiast!

Lucyler zamknął oczy, usiłując stłumić ogarniającą go furie.

– Słyszę, Praxtin-Tarze, słyszę!

Miał ochotę pozwolić, by tamtych wybito do nogi, chciał, by jakiś Naren zdjął buntownicemu Shoharowi głowę z ramion, wciąż jednak jeszcze miał zadanie do wykonania. Wydał więc rozkaz.

\* \* \*

Karlaz, pan lwów, siedział na grzbiecie swego ogromnego bojowego kota. Płowa sierść zwierzęcia maskowała je równie dobrze, jak barwa skóry jego pana. Wódz

spoglądał z wysoka na wijący się w dole szlak przesmyku i cieszył się ciepłem grzejących mu plecy promieni słońca. Obok niego czaili się inni lwi jeźdźcy – pięćdziesiąt ludzi i zwierząt, wszyscy gotujący się do bitwy. Po przeciwległej stronie szlaku ulokowała się druga, pięćdziesięcioosobowa grupa, równie dobrze ukryta, jak jego własny oddział. Wódz nie bardzo mógł nawet dostrzec swoich ludzi. Na zachodzie, jeszcze głębiej w gardzieli przesmyku, czekali podwładni Nanga – osobnika, który wydał się Karlazowi bliższym zwierząt, niż jego własny lew. Podobnie jak jemu samemu, Nangowi powierzono funkcję zamknięcia przesmyku – co odpowiadało zapalczywym, półnagim dzikusom z Ognistych Stepów. Lwy Karlaza przeniosły wojowników Nanga przez najcięższe do przebycia partie gór, ale resztę drogi przeszli sami – bez obuwia.

Karlaz patrzył na miasto ze swej skalistej półki. Było to szpetne miejsce, nadgryzione przez ogień i dziwacznie zabudowane. Wódz nigdy nie widział tak wysokich budynków. Słyszał o Falindarze, nigdy go jednak nie zobaczył, teraz zaś zastanawiał się, czy pałac Daegoga wyglądał równie obco i złowrogo, jak to dzieło Narenów. Jego lew, Anaka, zagrzemiał niskim głosem. Zwierzę wyczuwało, że zbliża się bitwa i rozlew krwi, co budziło w nim niepokój. Karlaz pochylił się i zanurzył palce w grzywie lwa, uspokajając go szorstką pieścizną. Anaka był samcem, większym od innych, ale pomimo swoich rozmiarów przepadał za pieściznami. Teraz się uspokoił i opuściwszy łeb, też zaczął się przyglądać miastu.

I nagle nadstawił uszu, usłyszawszy obcy sobie dźwięk. Wszyscy jeźdźcy i lwy podnieśli głowy. Karlaz wsłuchał się w dalekie wrzaski. Zaciśnął zęby, żałując, że nie powiodł się plan Lucylera. Nad horyzontem mignęła ruda błyskawica, potem druga... i wszyscy usłyszeli odległe, ale wyraźne grzmoty. Lwy, uradowane hałasem, ryknęło ochoczo. Karlaz spiął się w sobie i mocniej ujął w palce grzywę Anaki. Nadszedł czas na sygnał, którego wołałby nie dawać. Ruszył Anakę pomiędzy skał, tak by mogli go zobaczyć wszyscy jego towarzysze i wbrew samemu sobie dał rozkaz do ataku.

\* \* \*

Generał Cassis znalazł swego konia na miejskim rynku. Zgodnie z jego rozkazem Marlyle zebrał pięćdziesięciu jeźdźców do jego ochrony. Mógł stąd obserwować bitwę i bezpiecznie nią dowodzić, będąc jednocześnie widzianym przez ludzi, których wysyłał na śmierć. Na wieżach grzmiały już ogniomioty, ale były tylko dwa. Cassis rozejrzał się dookoła, szukając wzrokiem adiutanta. Zauważył go na jednej w uliczek nieopodal pierwszej linii obrony, wykrzykującego rozkazy do grupki jeźdźców strzegących drogi. Mieli jedynie dwa ręczne ogniomioty i Marlyle najwidoczniej dawał im wskazówki



dotyczące użycia broni. Cassis niemal czytał w myślach pułkownika. „Krótkie serie – mówił żołnierzom. – Oszczędzajcie paliwo i skupcie się na ogniu”. Generał zobaczył, że dwaj ogniomistrze zajmują pozycje po przeciwnych stronach ulicy. Cassis ruszył truchtem ku pułkownikowi.

– Marlyle! Mówiłem wam, byście się nie oddalali! Natychmiast wracajcie!

Adiutant skierował konia do generała, z trudem przebijając się przez ciżbę legionistów prących ku przedmieściom. Miał czerwoną z wysiłku twarz i rzucał niespokojne spojrzenia na boki.

– Meldujcie – polecił mu Cassis.

– Pierwsza fala napastników wdiera się już do miasta – wycharczał adiutant. – Posłałem przeciwko nim szwadron jazdy. Artyleria...

Z najbliższej wieży zagrzmiał ogniomiot i pułkownik odruchowo się pochylił. Cassis spojrzał na niego niecierpliwie.

– Co z artylerią?

– Ogniomioty trochę przerzedziły napastników.

– A co z tym trzecim?

– Nadal nie działa. Posłałem mechaników, którzy mieli sprawdzić, czy nie nada się jakiś przewód paliwowy z któregoś uszkodzonego ręcznego miotacza. Ale to może potrwać.

– Nie mamy czasu! – ryknął Cassis. – Ustawcie na dachu tamtej wieży łuczników! Natychmiast! A drugą drużynę łuczników zgrupujcie przy zachodniej ulicy. Sprawdźcie, czy zdołają ją zablokować. Chcę ją mieć zabarykadowaną, tak by gogowie nie mogli się tam przedrzeć! Jeżeli im się to uda, będziemy tu mieli masakrę. Do dzieła!

Marlyle chrząknął tylko i odjechał. Cassis skierował swego wierzchowca ku zebranej przez pułkownika grupie. Spojrzawszy wzdłuż ulicy, zobaczył już zawieruchę – wrogowie wdierali się do Ackle-Nye. Za pierwszą falą ze wzgórza gnali już następni wojownicy. W głębi ich szeregów uderzył piorun kolejnego strzału ogniomiotu. Jazda rozdzieliła się na dwa strumienie oskrzydlające miasto. Z zachodnich barykad sypał się ku napastnikom deszcz strzał z łuków, na który z dobrym skutkiem odpowiadali strzelcy Triinów – ich groty coraz częściej ze świstem przelatowały wzdłuż ulic. Wkrótce miały się odezwać ręczne ogniomioty. Cassis podjechał na rynek, gdzie zgrupowali się jeźdźcy, których zadaniem było zapewnienie mu ochrony.

\* \* \*

Koń Lucylera rwał się do bitwy. Triin ścigał Shohara, ale rozszalały wódz wpadł już

na ulice i siekł jiiktarem, nie bacząc na wybuchające wokół niego ognie. W kilka minut po pierwszych utarczkach fanatycy Shohara poczynili zdumiewające postępy, niemal roznosząc pierwszą linię obrony i niewielki szwadron jazdy, który posłano przeciwko nim. Tymczasem do walki przyłączyli się wojownicy z Reen i Tatteraku, niepowstrzymaną falą prac z przedmieść ku środkowi miasta. Lucyler rozkazał łucznikom skupić się na ostrzale barykad, by osłabić obronę i ułatwić natarcie pieszym i jeździe, ale doświadczeni ogniomistrzowie z wież skupili swą uwagę na łucznikach, dziesiątkując ich. Lucyler zrozumiał, że bitwa wymknęła się spod wszelkiej kontroli, przekształcając się w ponurą rzeź w kamiennej dżungli.

Hakan i inni wojownicy Tatteraku zajęli pozycje nieopodal zachodnich umocnień i bijąc się zaciekle, wdzierali się w głąb miasta. Lucyler wyrwał się z szyku, by dogonić Shohara, którego zobaczył z daleka gnającego wzdłuż wąskiej uliczki. Małego wodza wzięli na cel jednocześnie operatorzy dwóch ręcznych ogniomiotów. Shohar zignorował ogień, tak jakby to był deszcz. Tuż za nim pędziło dwudziestu jeźdźców z uniesionymi w górę krwawymi ostrzami jiiktarów.

– Głowy! – ryczał mały wódz. – Głowy dla Lucel-Loru!

Lucyler skoczył za nim, oślepiony wściekłością. Tymczasem na ulicy rozpętało się ogniste piekło. Wielki rumak Shohara uskoczył w bok, ale płomienie ugodziły w trzech wojowników tuż za wodzem. Legioniści u wylotu uliczki zwarli szyk, unieśli miecze i ponownie nacisnęli spusty. I znów chybili małego furiata, który leciał ku nim środkiem ulicy z uniesionym jiiktarem. Zaraz potem fala jego wojowników uderzyła w legionistów, których zmiotły w niebyt błyskawice jiiktarów. Z poprzecinanych przewodów trysnęły strumienie kerosyny, a stalowe ostrza nareńskich mieczów zadzwoniły o bruk. Shohar zaniósł się chichotem.

– Shohar! – zawołał Lucyler. – Zaraza na ciebie!

Pognał konia, dopadł wodza i chwycił go za rękaw szafranowej szaty, a potem jednym szarpnięciem zwałił zapaleńca z siodła. Shohar wstał z trudem, lekko oszołomiony przez upadek, i spojrzał na Lucylera oczami maniaka.

– Jak śmiesz! – Lucyler spoglądał na niego z góry.

Shohar spokojnie wyjął swój jiiktar, nie zwracając uwagi na toczące się wokół nich utarczki. Mały wódz skłonił się głęboko.

– Tak musiało się stać, Lucylerze z Falindaru – oznajmił z uporem fanatyka. – Tak się to robi w Lucel-Lorze.

– Ale ja tego nie chciałem! – zagrzmiał Lucyler. – Tharn też nie życzył sobie rzezi. Jak śmiałeś okazać mi nieposłuszeństwo?

Shohar uśmiechnął się.

– Wieczorem możesz mi kazać zdjąć głowę z karku. Ale do wieczora daleko, a mnie trzeba jeszcze dodać kilka głów do kolekcji. – Wódz odwrócił się i wskoczył na konia. – Któregoś dnia podziękujecie mi obaj, ty i Tharn.

Shohar odwrócił konia i zostawiając Lucylera samego, pognął ku miejskiemu ryneczkowi. Lucyler przez chwilę patrzył za znikającym pośród innych wojowników maniakiem. Nad jego głową zahuczało powietrze rozdarte wybuchem ogniomiotu. Zaraz potem zaczęły nad nim świstać strzały. Nie zwrócił na to uwagi. Dziś nadszedł dzień pomsty za rzeź Ackle-Nye i nie potrafił temu zapobiec. Wkrótce do bitwy włączą się Karlaz i jego lwy – a tych niepokornionych bestii nikt i nic nie zdoła powstrzymać. Będą pożerały wszystko. A Narenie, którzy zechcą się schronić w przesmyku, będą musieli się przebijać przez zastępy dzikich wojowników Nanga.

Lucyler poczuł się samotny i zagubiony. Powoli zawrócił konia i ruszył ku swoim ludziom.

\* \* \*

– Zdobyli zachodnie umocnienia! – wrzeszczał bez tchu przerażony Marlyle. – Gogowie przebili się przez obwodnicę i wdarli na ulicę czwartą i piątą. Pierwsza i druga jeszcze się trzymają, ale długo to już nie potrwa!

Generał Cassis zdołał jakoś zapanować nad ogarniającą go paniką. Odstąpili już tak daleko, jak tylko się dało – jeszcze trochę i zostaną zepchnięci do przesmyku. W odległości mniejszej niż pół mili obrońcy walczyli z Triinami, którzy wdarli się do miasta. Wokół rozpętał się chaos. Całe przedmieścia stanęły w ogniu i pod niebo wzbijały się obszerne pióropusze dymu. Jazda, którą Cassis wysłał przeciwko gogom, została niemal wycięta w pień, a po ulicach galopowały rozszalałe konie bez jeźdźców, wpędzane w jeszcze większą panikę przez ogień i wrzaski atakujących. Marlyle oceniał, że zostało im już tylko trzy setki ludzi – w ciągu pół godziny stracili połowę stanu liczebnego.

– Musimy schronić się w budynkach – poradził pułkownik. – Na otwartej przestrzeni nie mamy szans.

Cassis potrząsnął głową.

– Weź połowę mojej gwardii i zamknij tę ulicę. Musimy się jakoś utrzymać. W razie potrzeby cofniemy się do przesmyku. Wezwijcie ogniomistrzów. Będą nam potrzebni do obrony tej pozycji.

– Generale, jeżeli cofniemy ogniomioty, gogowie bez trudu zajmą miasto. Ręczne ogniomioty mogą tylko zwolnić tempo ich natarcia.

Cassis chyba nawet tego nie usłyszał.

– Przekażcie rozkazy na wieże, by skoncentrowały ogień na ulicach pierwszej i drugiej. Nie dobiorą się do nas, jeżeli nie zdołają się przedrzeć tymi uliczkami.

Generał zawrócił konia i wydał rozkaz, by dwudziestu jeźdźców wysunęło się na czoło. Legioniści posłuchali bez dyskusji i szybko znikli za rogiem. Marlyle nawet nie drgnął.

– Pułkowniku, nie udawaj głuchego. Wykonaj rozkazy.

– Generale, jeżeli się gdzieś nie skryjemy, to już po nas. Nie słyszałeś, co mówiłem? Gogowie już tu pędzą. Co nam przyjdzie z...

I w tej chwili pułkownik zaniemówił. Wytrzeszczył oczy i wbił wzrok w dal, patrząc ponad ramieniem Cassis. Generał odwrócił się, by zobaczyć, co tak przeraziło jego odważnego skądinąd adiutanta i też zmartwił ze zgrozy. Przez resztki murów zachodniej części miasta przedzierały się ku nim najbardziej niezwykle stwory, jakie Cassisowi zdarzyło się kiedykolwiek zobaczyć. Wielkie jak gregany, ale stokroć szybsze, wyglądały jak prehistoryczne jaskiniowe lwy. Parły ku nim, położywszy po sobie uszy, a kiedy zobaczyły żołnierzy, wydały dziki ryk.

– O mój Boże! – jęknął Cassis. – Co to jest?

– To Chandakkar! – wychrypiał Marlyle. – Lwy Chandakkaru!

I oto generał wpadł w panikę. Gnały na niego tysiące wyjących Triinów, z których każdy gotów był mu wydrzeć żywcem serce z piersi. Przed chwilą jeszcze sądził, że może uda mu się uciec przesmykiem, ale teraz pozbawiono go i tej możliwości. Otoczono go i ta myśl sprawiła, że zadygotały pod nim kolana.

– Marlyle... – pisnął. – Zajmij się nimi.

– Co takiego?

– Zajmij się nimi! – warknął Cassis. Wyciągnął miecz i skierował go ku nadciągającym kotom. – Do ataku! Naprzód!

– Generale... – zakwilił Marlyle. – Ale... jak z nimi walczyć?

Cassis podszedł bliżej i spojrzał adiutantowi w oczy. W tym jednym spojrzeniu zawarł całą swoją nienawiść do świata, armii, imperatora i Czarnego Grodu.

– Pułkowniku, nie rozkazuję wam walczyć – powiedział. – Rozkazuję wam zginąć!

\* \* \*

Lucyler cofnął się na wzgórze, gdzie mógł samotnie przemyśleć sprawę bitwy o Ackle-Nye. Usiadł w trawie jak widz, patrzył na płonące miasto po raz drugi i słuchał ochrypłych wrzasków konających. Niektórzy z nich mogli być ludźmi Kronina, ale wcale

się tym nie przejmował. Ci ludzie tego chcieli, tak samo jak wojownicy Shohara i Praxtin-Tara. Byli wojownikami ulepionymi z innej, niż on sam, gliny. Lucyler spędził całe swoje życie, broniąc Daegoga, ale miał nadzieję, że dzisiejszego dnia odkupi część starych błędów. Byłoby mu łatwiej żyć ze świadomością, że tak się stało.

– Och, Richiusie – westchnął, przypomniawszy sobie o przyjacielu. – Dobrze, że cię tu nie ma.

Richius byłby tym wstrząśnięty. Pomimo częstych uwag o zemście, był człowiekiem odpowiedzialnym i mającym sumienie. Czyniło go to osobliwością w oczach Tharna i Lucylera. Moralny Naren był dla nich kimś niezwykłym. Lucyler roześmiał się i oparł na łokciu. Tu na górze było chłodniej, co sprawiało mu wyraźną przyjemność. Bitwa może przeciągnie się jeszcze do zmierzchu, ale rankiem wszyscy ruszą do swoich domów. Shohar doda kolejną setkę czaszek do swoich zbiorów, a Praxtin-Tar będzie się mógł chęlnie udzielać w kolejnej rzezi. Karlaz ukoi swe serce świadomością, że pomścił zniszczenie wioski. A Nang? Lucyler wzruszył ramionami. Ten potwór będzie niepokieszony faktem, że ominęła go okazja utoczenia wrogom krwi.

Jedyną myślą, jaka radowała Lucylera, była świadomość, że gdzieś tam w dole gorzał Gayle z Czarnej Kniei. Nawet, jeżeli nie posmakuje ostrza. Miał nadzieję, że Shohar znajdzie barona. Łowca Czaszek odrąbie draniowi łeb, a resztę będzie można pokazać Richiusowi. Tharna też pewnie ucieszy ten widok.

Leżący na ziemi Lucyler podniósł źdźbło trawy i wsunął je w zęby, a potem, ułożywszy się wygodnie, spojrział w niebo, jak dziecko szukając rozmaitych kształtów wśród chmur.

\* \* \*

W końcu wszystko ogarnął spokój. Cały świat został gdzieś z tyłu.

Cassis zaryzykował spojrzenie przez ramię. Miasto żebraków znikło, pochłonięte przez wznoszące się po obu stronach przesmyku góry. Widział wznoszące się za nim smugi dymu, ale nie czuł już zapachu spalenizny. W wąwozie ucichły też wrzaski mordowanych. Generał zaryzykował zwolnienie tempa ucieczki, ściągając wodze wierzchowca. Koń był spieniony i wyczerpany. Cassis podniósł dłoń do ust i nie bez zdziwienia stwierdził, że drżą mu wargi.

Udało mu się. Na Boga, naprawdę mu się udało! Marlyle widział jego ucieczkę, ale pułkownik był już trupem – tkwił w żołądku jednej z tych gigantycznych bestii. Cassis wymknął się z miasta, gdy Marlyle i jego gwardziści uderzyli na lwich jeźdźców. Jeżeli ktokolwiek nawet widział jego zdradę, był już martwy. Trupem postanowił zostać

i Cassis. Pojedzie do Talistanu, przekupi jakiegoś kmiotka ukrytym za pazuchą złotem i generał Barlo Cassis zniknie na zawsze. Stanie się jednym z bohaterów Ackle-Nye i wkrótce z pozostałymi członkami garnizonu wszyscy o nim zapomną.

– Niech cię piekło pochłonie, Arkusie! – przeklął.

Przekleństwo echem odbiło się od ścian wąwozu. W wąskim przesmyku każdy dźwięk powtarzał się licznymi odbiciami. Cassis słyszał wytężone chrapanie i łoskot kopyt jego konia, ale żaden inny dźwięk nie mącił cudownej ciszy. Zadrzał z radości. Przeżył i wyniósł głowę całą z tego piekła.

– Obyś szczeł w piekle, Arkusie! – zagrział jeszcze raz, podnosząc głos i wybuchając śmiechem.

Może wróci do Nar i splunie staremu na nagrobek. Nie, jednak nie. Arkus nie umrze nigdy. Zawsze wykręcał się śmierci, podsuwając jej innych, jak przystało królom. Cassis wiedział, że nigdy nie zachowa się po królewsku, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Zostanie wieśniakiem, może kowalem. Wyjedzie z Talistanu, by zamieszkać w Criisii, lub w Gorkney. Tam, gdzie nikt nie rozpozna jego twarzy. Miecz też trzeba będzie schować, albo sprzedać. Generał miał już dość zabijania. Wydał właśnie ostatni rozkaz i zabił nim człowieka, którego kiedyś uważał za przyjaciela – jeżeli legionieści mogli mieć przyjaciół. Podejrzewał, że nie, i to sprawiło, iż jeszcze bardziej znenawidził poprzednie życie.

Jadąc w głąb przesmyku, wyobrażał sobie swoje przyszłe życie, i dlatego może pierwszy dźwięk usłyszał jego koń – jakiś zgrzyt, gdzieś wysoko nad nimi. Koń zastrzygł uszami i zaniepokojony Cassis spojrział ku miejscu, skąd dochodził dźwięk. Tam, czy gdzie indziej? Generał zmełł w ustach przekleństwo. W tych górach musiały żyć jakieś zwierzęta. Kiedyś widział niedźwiedzia. Położywszy dłoń na rękojeści miecza, nastawił ucha.

Strzała uderzyła, zanim usłyszał jej świst. Zaraz potem koński kark ugodziła druga. Jego wierzchowiec zarżał boleśnie i zwałił się na ziemię z dwiema strzałami sterczącymi z karku. Cassis przez chwilę potrząsał głową, bo uderzenie o ziemię wybiło mu dech z płuc. Przerażony spróbował wstać, gdy z góry, tuż przed nim, wylądowało na ziemi coś dużego i białego. Generał podniósł oczy i zobaczył stojącego przed nim stwora, który z wyglądu przypominał i nie przypominał człowieka. Był nagi, wytatuowany, i miał łysą głowę z długim, zwisającym z tyłu kosmykiem włosów. Generał na czworakach podpełzał do zdychającego konia, usiłując się za nim ukryć. Nagi mężczyzna ruszył za nim. Obok niego ze ścian wąwozu zsunęli się inni, podobni do pierwszego. Cassis sięgnął po miecz, ale rosły dzikus przygniótł mu dłoń stopą. Cassis znieruchomiał.

– No, dobrze – odezwał się drżącym głosem. – Spokojnie. Triin, tak? Jesteś Triinem?

Wytatuowany mężczyzna uśmiechnął się, odsłaniając zęby spiłowane niczym kły. Stanąwszy nad Cassisem, patrzył na niego ciekawie i badawczo oczami, w których niewiele było inteligencji. Przesunął palcem po twarzy generała, badając jego rysy. Cassis nie protestował. Dzikus wybuchnął śmiechem i wskazał na siebie, dotykając palcem piersi.

– *Nang!* – wykrzyknął. – *Nang!*

Cassis usiłował zapanować nad własnym przerażeniem.

– Uspokój się – łagodził, licząc na to, że uprzejmy głos podziała na dzikusów. – Jestem nikim. Jadę po prostu do domu. Rozumiesz? Mam już dość.

Stwór pochylił się nad Cassisem, a potem dotknął obiema dłońmi jego czaszki, jakby badał jej kształt.

– *Mmm, Shohar* – zamruczał. – *Shohar min taka.*

Cassis wytrzeszczył oczy, ujrzawszy, że dzikus wyciąga zza pasa nóż. Usiłował zerwać się na nogi, przytrzymały go jednak liczne dłonie. Szarpał się i wierzgał, oni jednak nie zwracali na niego uwagi – ten z nożem nachylił się niżej i wysunąwszy język, zaczął odcinać generałowi głowę.

## Pięćdziesiąt jeden

Podjęcie decyzji zajęło Richiusowi niemal tydzień, w końcu jednak dokonał wyboru, który od początku wydał mu się oczywisty. Chciał walczyć z Nar, na to mu jednak Tharn nie pozwolił. Było jednak miejsce, dokąd mógł się udać, w którym Tharn miał niewielkie wpływy, a człowiek z reputacją banity byłby mile powitany. Dolina Dring takim miejscem nie była, on zaś o tym dobrze wiedział. Pomijając wszystko inne, od powrotu Tharna widywał Dyane jedynie na krótko, podczas posiłków. Dyane wrócił smutny nastrój, który trzeba było uszanować, a Richius doskonale wiedział, że próbując go poprawić, niczego nie wskóra. Jej mąż wrócił do życia – i może nawet zdobył nieśmiertelność. Czas było spojrzeć prawdzie w oczy i zrezygnować.

Kiedy nadszedł dzień, w którym musiał podjąć decyzję, obudził się z ponurym uśmiechem. Trzeba było poczynić pewne przygotowania. Będzie musiał powiedzieć Tharnowi, by mianował Jarrę wodzem. Co gorsza, przyjdzie mu pożegnać się z Dyana i Shani. Tego ranka zjadł samotnie śniadanie, powtarzając sobie podczas jedzenia mowę pożegnalną. Zastanawiał się, czy w jadalni dostrzegą jego nieobecność. Podejrzewał, że tak – były to jedyne chwile, podczas których mógł zamienić kilka zdań z Dyana, która od czasu do czasu mrugała do niego porozumiewawczo, gdy Tharn odwracał się plecami. Dyana z pewnością będzie rozczarowana jego wyborem, może nawet zacznie go prosić, by pojechał z nimi do Falindaru. Richius jednak wiedział, że w Falindarze nie znajdzie domu. Dla Vantranów domem był wyłącznie Aramoor.

Skończył jeść, zostawił talerz na łóżku, a potem włożył czystą koszulę i spodnie, które uszyły dla niego kobiety z zamku, traktujące go z niezwykłym szacunkiem od chwili, kiedy stało się wiadome, że rezygnuje z władzy nad Dring. Postanowił, że przed wizytą u Dyany zobaczy się z Tharnem i poprosi go o możliwość porozmawiania z jego żoną na osobności. Miał nadzieję, że Dyana zabierze dziecko i będzie mógł się pożegnać również z Shani. Przedtem jednak zapragnął zobaczyć się z jeszcze jedną osobą, o której niemal zapomniał po powrocie Tharna.

Znalazł ją jak zwykle nad książką, tym razem w ogrodzie. Ujrzawszy go, uśmiechnęła się promiennie.

– Kalak! – zawołała, zeskakując z potrzaskanej fontanny, na której się usadowiła. Zamknęła książkę i pomachała mu rączką, nagłąc do pośpiechu.

Richius też się uśmiechnął i rzeczywiście przyspieszył kroku. Uwielbiał Pris. Była takim dzieckiem, jakim – żywił taką nadzieję – stanie się kiedyś Shani. Kiedy się zbliżał, dziewczynka z podnieceniem kiwała głową.



– Nie było cię na śniadaniu – wytknęła mu surowo. – Dlaczego?

– Czy mam ci teraz wszystko wyjaśniać? – roześmiał się. – Ojca też pytałaś tak bezceremonialnie?

Zmarszczyła brwi i Richius zrozumiał, że usiłuje zrozumieć, co powiedział.

– Bezceremonialnie – wyjaśnił. – Znaczy, niegrzecznie.

– Ojciec nigdy mi nie pozwalał na zadawanie pytań – przyznała. – Ale ty jesteś inny.

– To prawda – stwierdził. Usiadł delikatnie na brzegu fontanny, próbując jej wytrzymałość. – Pris, byłem rano trochę zajęty. Mam ci coś do powiedzenia i nie wiem, czy ci się to spodoba.

Pris też usiadła na krawędzi marmuru i podniosła na niego zaciekawione spojrzenie.

– Coś niedobrego? – spytała.

– Nie, właściwie to nie – pospieszył z uspokojeniem. – Po prostu postanowiłem, że wyjadę. Nie zamierzam tu zostać wodzem.

Dziewczynka spojrzała ze zdumieniem.

– Wyjeżdżasz? Dokąd?

– Słyszałaś kiedyś o Liss?

– Owszem – odpowiedziała. – Tato mi kiedyś powiedział. Daleko i na wyspie. To tam wyjeżdżasz?

Richius kiwnął głową.

– Tak jakby. Ich okręty pływają wokół Lucel-Loru, pomagając nam w walce z Nar. Chce się do nich przyłączyć.

– Ależ nie – sprzeciwiła się dziewczynka. – Nie możesz. Tato zrobił cię wodzem. Wybrał ciebie, Kalaku. Spodobałeś mu się.

– Ja też go polubiłem – odparł Richius ze smutkiem w głosie. – Ale to był przypadek, Pris. Zdarzyło mi się po prostu być przy nim, kiedy umierał, on zaś chciał, żeby ktoś się zaopiekował tobą i waszą rodziną. Wiem, że gdyby miał czas, wybrałby Jarę, ale stało się inaczej. Zrobię więc tylko to, co on sam by zrobił. Tharn wrócił i może wszystko naprawić. Mianuje wodzem Jarę.

– A Jara się o nas zatroszczy? – spytała Pris.

– Wiesz, że tak – odpowiedział Richius. – Jest dobrym człowiekiem, któremu twój ojciec ufał bez zastrzeżeń. Jestem pewien, że on o was zadba. I wiem na pewno, że chciałaby tego twoja matka. Pomijając wszystko inne, ja nawet nie jestem Triinem. Powinniście mieć wodza, który się urodził na tej ziemi.

Pris opuściła głowę.

– Boję się o ciebie – przyznała. – *Bhapo* mi powiedział, że teraz będziesz bezpieczny, bo walki już się skończyły. Jeżeli ruszysz na morze, możesz zginąć, jak tato.

– Posłuchaj, Pris – odezwał się Richius łagodnie, obejmując ramieniem jej drobne plecy. – To coś, co muszę zrobić. Twój ojciec zginął, broniąc swego domu. Zamierzam go bronić, jak on. Jeżeli nawet zostaną zabity, to przynajmniej nie zginę nadaremno. Ale jeżeli tu zostaną, to moje życie straci jakiegokolwiek znaczenie. Muszę przynajmniej spróbować. Możesz to zrozumieć?

– Nie. – Podniosła wzrok i spojrzała mu prosto w oczy. – Nie rozumiem. Nie rozumiem, dlaczego musiał zginąć mój ojciec i inni. Wszystkie kobiety płaczą i rozpaczają. Matka też płacze. Dlaczego tak jest, Kalaku?

Richius milczał przez chwilę, a potem westchnął.

– Bo tęsknią za ludźmi, których im brakuje. Ale tak myślę, że ci, którzy zginęli, gdziekolwiek są, widzą nasze łzy i wiedzą, że za nimi tęsknimy.

Wyglądało na to, że jego odpowiedź lekko zaskoczyła Pris.

– Tęsknię za tatą – powiedziała po chwili namysłu. – I będę tęskniła za tobą.

– Och, Pris – westchnął Richius. – Mnie też będzie ciebie brakowało. – Pochyliwszy się, złożył na jej czole delikatny pocałunek. – Nie odjadę dzisiaj ani jutro. Zobaczymy się jeszcze. Powiedz twojej matce, co się stało. Powiedz jej, że żałuję wszystkiego, co było. Ona zrozumie.

– Powiem jej.

– To dobrze – stwierdził Richius, wstając. – Zobaczymy się później, przy kolacji.

Pris już się nie odezwała, on zaś odszedł i idąc ku zamkowi, zbierał siły. Teraz musi pomówić z Tharnem. Przypuszczał, że znajdzie mędrca w komnatach, które sam sobie wybrał, zgarbionego jak zwykle nad pergaminami. Po odejściu Karlaza i jego lwich jeźdźców Tharn nie miał już właściwie niczego do roboty, oprócz czytania tych nielicznych ksiąg, które zdołał uchronić przed Pris. Oboje byli do siebie bardzo podobni, myślał Richius, idąc ku bramie. Dziewczynka była bardziej córką Tharna niż Vorisa. Przyjęła wieść o jego wyjeździe zaskakująco spokojnie. Spodziewał się, że Tharn będzie stawiał większy opór. Co prawda, nie miało to większego znaczenia. Tharn łatwo mógł go powstrzymać od walki za Lucel-Lor, ale nikt nie mógł rościć sobie praw do władzy nad oblewającymi kontynent morzami. Richius zaś postanowił, że będzie równie uparty, jak Tharn.

Wszedł do zamku, minął żelazne wrota i usłyszał krzyk. Rozpaczliwy krzyk, jak błaganie jagnięcia. Krzyk wzmógł się i Richius zrozumiał, że to krzyczała Pris.

Pobiegł, mijając dziedziniec i wrota tak szybko, że nawet się nie spostrzegł, gdy już wypadał na zewnątrz. Przed bramą zobaczył Pris trzymaną wysoko ręką odzianą w zbrojną rękawicę. Ręka należała do potężnego, barczystego mężczyzny obleczonego w czarną opończę i zwieńczonego zamaskowaną twarzą szaleńca.

Gayle z Czarnej Kniei, zanosząc się niesamowitym chichotem szaleńca, trzymał Pris za włosy i podnosił ją w górę jak zdobycznego indyka. Za nim, nieruchomi jak posągi na swoich ogromnych koniach, ustawili się w szeregu jeźdźcy w hełmach z przyłbicami ukształtowanymi w ludzkie czaszki. W jedynym oku barona załśnił niesamowity błysk, kiedy Gayle zobaczył wypadającego przez zamek Richiusa.

– Witaj, Vantranie – zadudnił baron. – Stęskniłeś się za mną, prawda?

Richius stanął jak rażony gromem i z niedowierzaniem patrzył na nienawistnego wroga.

– Dlaczego się tak dziwisz? – spytał Gayle. – Powinieneś wiedzieć, że ci nie popuszczę. A może myślałeś, że mnie zabito?

Richius zaryzykował mały krok w stronę wroga. Dzieliło ich jedynie kilka jardów. Aniołowie Cienia siedzieli na swoich koniach bez ruchu, czekając na znak swego dowódcy. Richius ukradkowo spojrzął na wieżę.

– Wartownik nie żyje – stwierdził Gayle, jakby czytając w myślach Aramooczyka. – Zapomniałeś, co potrafią Aniołowie Cienia? Powinieneś się lepiej strzec. – Gayle uniósł Pris jeszcze wyżej. – Nie stać was było na lepszych obserwatorów?

– Puść ją! – warknął Richius. – Ale już!

– Zawsze się tak troszczyłeś o tych gogów – zachichotał Gayle. – Puszczę ją, owszem, jeżeli przystaniesz na moje warunki.

– Jesteś śmierzącym tchórzem, Gayle, który potrafi się tylko chować za dzieckiem. Jak twój ojciec!

Twarz Gayle'a wykrzywił okropny grymas i baron otworzył dłoń. Pris spadła na ziemię i podpełzła do Richiusa.

– Nie jestem tchórzem! – syknął Gayle. Złożywszy ramiona na piersi, patrzył pogardliwie, jak dziewczynka obejmuje ramionami nogę Richiusa. – To twoje szczenię? – zadrwił.

Richius ostrożnie rozplótł ramiona Pris, potem ujął ją za ręce i ukląkł, patrząc jej prosto w oczy.

– Biegnij do zamku! – rozkazał i pchnął ją ku bramie. – Już!

Dziewczynka znikła, z płaczem wzywając pomocy. Richius usłyszał wszczynający się w głębi zamku ruch.

„Nie wychodź tu, Tharnie – pomyślał. – Bardzo cię proszę”.

– A teraz pogadamy – odezwał się Gayle. Wskazał kciukiem tkwiących za nim nieruchomo w siodłach żołnierzy. – Poznajesz?

Richius skinął głową.

– Aniołowie Cienia.

– Z pozdrowieniami od naszego wspólnego przyjaciela Biagia – powiedział Gayle, uśmiechając się z przekąsem. – Wiesz, co oni potrafią. Wiesz też, że nie ma sposobu, by ich zatrzymać. Uważnie więc wysłuchaj tego, co mam ci do powiedzenia.

– Słucham – odpowiedział Richius. W zamku została tylko garść wojowników; Aniołowie Cienia bez trudu dobiorą się do Dyany i Shani. To nie będzie walka, ale rzeź.  
– Co proponujesz?

Gayle uśmiechnął się przewrotnie.

– Idę o zakład, że są tam ludzie, na których ci bardzo zależy. Nie chciałbyś chyba, by stała im się jakaś krzywda.

Richius nie odpowiedział.

– Gdzie jest Voris? Spodziewałem się, że go tu znajdę, że będzie cię bronił.

– Nie żyje – odparł Richius. – Jak wszyscy twoi jeźdźcy. Jak brzmi twoja propozycja?

Wspomnienie o kłęsce starło uśmiech z twarzy barona.

– Jest prosta. Ty i ja. Teraz i tutaj.

Richius zaśmiał się niewesoło.

– O tak, cudowny pomysł. Bardzo to uprzejme z twojej strony, baronie. Jestem pewien, że twoi przyjaciele, ci za twoimi plecami, nawet się nie ruszą.

Gayle już otworzył usta, by coś powiedzieć, ale w tej właśnie chwili z zamku wypadła nieliczna grupka wojowników.

– Otóż i twoi przyjaciele. Co prawda, mógłbym rzec, że niezbyt ich wielu...

Wojownicy zbiegali się coraz gęściej, wszyscy z uniesionymi jiiiktarami. Richius zatrzymał ich gestem dłoni, oni zaś usłuchali, stając niedaleko od Gayle'a.

– Odeślij ich – zażądał Gayle. Nawet nie sięgnął po własny miecz. – Pożałujesz, jeżeli tego nie zrobisz.

– Nie rozumiem rozkazu – zełgał z rozmysłem Richius. – Wiesz, mogą ci poderznąć gardło zupełnie przypadkowo.

Twarz Gayle'a była jak maska wykuta w kamieniu.

– Jeżeli to zrobią, Aniołowie Cienia uderzą na twój zameczek. Takie wydałem im rozkazy. Zabij mnie, a wyrzną was w pień. – Zaśmiał się szkaradnie. – Sam wiesz, jakimi fanatykami są ci ludzie.

Richius rozkazał swoim, by się cofnęli. I wtedy z zamkowej bramy wybiegła Dyana.

– Richiusie! – zawołała, podbiegając bliżej. Spojrzała na Gayle'a. – Co tu się dzieje? Kim jest ten człowiek?

„Rad jestem, że nie pamiętasz” – pomyślał Richius, odciągając ją. Gayle spojrzał na nią pożądlawie.

– Baron Gayle z Talistanu. A ty kim jesteś, kobieto? Czyżbyś była tą dziwką, której Vantran chciał przyjść z pomocą i dlatego porzucił swoje królestwo?

Richius spojrział gniewnie.

– Ależ tak... – ciągnął baron. – Znam tę historyjkę. Opowiedział mi ją sam Biagio. A zgadnij, kto jemu ją przekazał? Jak sądzisz, kto cię zdradził, Vantranie?

– Bydlaku...

– Nie wiedziałeś, prawda? – ryknął śmiechem Gayle. – Ten stary sługa! Twój drogi Jojustin! Ot, przykrość, prawda? Nikomu dziś nie można zaufać.

Tego się Richius nie spodziewał i wieść uderzyła go niczym obuch. Zrozumiał jednak, że tego właśnie chciał Gayle.

– Dyano, wejdź do środka – powiedział.

– Nie! – sprzeciwiła się Dyana. – Nie zostawię cię tu samego.

– Idź! – zagrmiał Richius, chwytając ją za ramię i popychając ku wejściu do zamku.

– I powiedz swojemu mężowi, by się tu nie pokazywał!

– Niech ci przyniesie broń – zadudnił Gayle. – Ty i ja musimy się porachować.

Dyana zatrzymała się w bramie, czekając na słowa Richiusa. Vantran podniósł dłoń i odwrócił się do Gayle'a.

– Pojedynek? – spytał. – A dlaczego miałbym się z tobą bić?

– Zaczynam się niecierpliwić – warknął Gayle. – Czas ucieka... tik tak, tik tak...

– Dyano, przynieś mój miecz! – zawołał Richius przez ramię. – I powiedz wszystkim, by nikt nie wychodził! Nikt, rozumiesz?

Nie odpowiedziała, tylko wbiegła pod łuk bramy. Wojownicy nie spuszczały wzroku z Gayle'a.

– A teraz – odezwał się Richius – zechciej odpowiedzieć na moje pytanie. Dlaczego miałbym ci uczynić ten zaszczyt i z tobą walczyć?

– Bo daję ci wybór, Vantranie. Stań do walki, albo wszyscy w tym zamku zginą, łącznie z tą piękną bestyjką, która tam wbiegła. – Gayle oblizał wargi. – A jest piękna, jak twoja żona.

Skoczył przed siebie, zwinawszy dłoń w pięść, i uderzył Gayle'a prosto w twarz. Gayle odchylił się, ale zbyt wolno i pięść Richiusa wbiła mu metal maski w twarz. Maskę ugięła się pod uderzeniem i Gayle runął na ziemię. Aniołowie Cienia ruszyli do przodu, baron jednak zatrzymał ich krótkim warknięciem.

– Precz! – Przyłożywszy dłoń do zakrwawionej twarzy, wstał nie bez wysiłku, sycząc z bólu. – Nikt cię nie ruszy, Szakalu, prócz mnie! Jesteś mój!

– No to chodź, rzeźniku! Czekam!

Gayle zaśmiał się złowrogo i zdarł maskę z twarzy, a potem odrzucił ją przez ramię

za siebie. Z rany na czole kapłała mu krew, zalewając zasnute bielmem oko.

– Za chwilę – powiedział. – Chcę to zrobić, jak należy. Jeden na jednego, Aramoor przeciwko Talistanowi... Rozstrzygnijmy to raz na zawsze!

– A jakie mi dasz gwarancje, bydlaku? Będę walczył o życie wszystkich mieszkańców zamku. Skąd mam wiedzieć, że mnie nie oszukasz?

Gayle podniósł rękę, nie patrząc nawet na zgromadzonych za nim Aniołów Cienia.

– Poruczniku! – zawołał. Przed szeregiem wysunął się jeden jeździec. – Ten szczeniak i ja staniemy do pojedynku. Jeżeli zostaną zabity, zawróćcie i odjedźcie do Imperium, nie czyniąc krzywdy nikomu z mieszkańców. Czy wyraziłem się jasno?

– Tak jest, baronie – odpowiedział żołnierz.

– Powtórz.

– Jeżeli zostaniesz zabity, mamy wrócić do Imperium. Nie skrzywdzimy nikogo wewnątrz zamku.

– To Aniołowie Cienia, Vantranie – stwierdził Gayle. – Wykonują rozkazy co do joty, o czym dobrze wiesz.

– Po co to wszystko? – spytał zdumiony i zaskoczony Richius. – Masz dość ludzi, by zdobyć ten zamek. Dlaczego tego po prostu nie zrobisz? Jesteś żądnym krwi draniem i wiem, że niewiele rzeczy sprawiłoby ci większą przyjemność.

– Owszem. Ale mógłbym stracić szansę zabicia cię osobiście, na czym mi bardzo zależy. Widzisz, to część mojej udręki. Wszyscy jeźdźcy Talistanu już nie żyją. Zginęli przez ciebie. Teraz Narenie zarzucają mi tchórzostwo. Myślą, że mnie pokonałeś, Vantranie. Ale nigdy do tego nie dojdzie! Zawsze byłem lepszy od ciebie i zamierzam to udowodnić.

– Przechwalasz się, jak zwykle. A jeżeli przegram?

– Postaraj się – poradził mu Gayle. – Twój przyjaciele muszą ci zaufać. Jeżeli przegrasz, wszyscy zginą straszną śmiercią. Zapewniam cię. A dla tej ładniutkiej przygotuję coś naprawdę ciekawego.

Richius odetchnął głęboko i stłumił trawiącą go furję.

– Stanę do walki. Ale tylko wtedy, gdy w razie mojej przegranej zostawisz zamek w spokoju.

– Nic z tego – odpowiedział Gayle. – Chce, byś się postarał. Stawka musi być większa, niż twoje nędzne życie. Oto moje warunki – życie wszystkich ludzi w zamku za wszystko, na co cię stać w walce. Rozważ swoją sytuację. Uważam, że moja propozycja jest bardzo szlachetna.

Przez bramę zamku przeszła Dyana, dźwigająca Jessicane. Wyjęła miecz z pochwy, tak że ostrze zaślniło w blasku słońca. Podała go Richiusowi.

– Poradzisz sobie? – spytała.

– Stanę do walki – odpowiedział łagodnie.

– Nie – szepnęła, chwytając go za dłoń. – Richiusie, wciąż jeszcze nie odzyskałeś sił. On jest za wielki i za ciężki. Zabije cię.

– Pozabija nas z pewnością, jeżeli nie będę z nim walczył – odparł Richius.

Gayle czekał i niecierpliwie tupał butem o ziemię. Richius, nie zwracając na niego uwagi, odprowadził Dyana do drzwi.

– Wejź do środka – polecił. – Zabierz ze sobą wojowników. Zamknijcie się i przygotujcie do walki. Cokolwiek się stanie, nie pozwól, by Gayle dopadł Tharna.

– Nie! – błagała Dyana, nie puszczając jego dłoni. – Nie rób tego. Schroń się ze mną. Możemy się bić.

– Nie wygramy, jest ich zbyt wielu. Zrób, co powiedziałem. Weź Shani i ukryj ją gdzieś w głębi zamku. – Objął ją delikatnie. – Kocham cię.

– I ja ciebie. Nie daj się zabić.

– Pospiesz się, Vantranie – ponaglił Gayle. – Czekam.

– Wejź do środka, Dyano. Przekaż to samo innym. Powiedz im, że tego właśnie sobie życzę.

Dyana pospiesznie poleciła wojownikom, by weszli za nią za bramę. Każdy z nich spojrział błagalnie na wodza, Richius jednak tylko ponaglił ich skinieniem dłoni. Otoczyli więc Dyana i przeprowadzili ją przez próg. Richius odczekał, dopóki nie usłyszał zgrzytu zakładanych żelaznych rygli i dopiero potem odwrócił się do Gayle'a, wyciągając przed siebie swój obosieczny miecz.

– Wiesz, co to za ostrze? Nie? A powinieneś. Zbryzgała je już krew twego stryja. A teraz posmakuje twojej.

W jedynym oku Gayle'a zapłonął ogień szaleństwa i nienawiści.

– Mam nadzieję, szczeniaku, że twój ojciec czegoś cię nauczył – warknął i wyciągnął własny miecz o długiej, wąskiej głowni, ząbkowanym ostrzu i rękojeści wykładanej skórą jaszczura. Drugą ręką odpiął zapinkę opończy, pozwalając jej opaść na ziemię. – Zawsze byłem lepszy od ciebie, Vantranie. Zawsze.

Richius ujął Jessicane oburącz i podniósł miecz w górę.

– Udowodnij to, rzeźniku!

Obaj ruszyli w krąg. Gayle radośnie stąpał po szerokim łuku, podczas gdy Richius robił niewielkie, lekkie kroki. Wiedział, że baron, jako znacznie od niego cięższy, łatwiej się znuży, a ponieważ Talistańczyk miał na sobie jedynie lekki pancerz z tłoczonych skóry, walkę mogło rozstrzygnąć jedno uderzenie ostrza Jessicane.

Bacząc na przeciwnika, Richius rzucał od czasu do czasu szybkie spojrzenie ku

zamkowi. Bramę zawarto, a przez mętne okna spoglądały na walczących przestraszone twarze kobiet i dzieci. Szybkie natarcie Gayle'a zmusiło go jednak do skupienia całej uwagi na przeciwniku.

– Twoja żoneczka była łakomym kąskiem – zadrwił baron. – Zanim ją zabiłem, darła się jak szalona i wzywała twej pomocy.

Richius poczuł, że krew mu się gotuje w żyłach. „To podstęp – powiedział sobie. – Nie słuchaj go”. Ale przed jego oczami zjawiała się nagle twarz Sabriny, zaćmiewając mu umysł. Usiłował przegnać wizję i nie słuchać jej stłumionych krzyków. I wtedy ujrzał w jednym z okien twarz Dyany. Zrozumiał, że jeśli da się zabić, ona będzie następną.

Gayle wrzasnął, rzucił się do przodu i pchnął mieczem. Richius uskoczył i odbił pchnięcie w bok. Jessicane zaśpiewał dźwięcznie, gdy ostrza uderzyły o siebie, rzucając Richiusa na kolano. Gayle zawył tryumfalnie i raz po razie ciął zza pleców, podczas gdy Aramooreczyk trzymał ostrze nad głową.

„O tak – pomyślał. – Zmęcz się, draniu”.

Gayle w końcu się cofnął, co Richius natychmiast wykorzystał, wymierzając oburącz pchnięcie w brzuch przeciwnika. Baron nie dał się zaskoczyć – zrobił unik i puścił Richiusa bokiem, a potem uderzył płazem. Głownia uderzyła Richiusa w plecy, rozplamienając bólem jego jeszcze nie zagojone rany. Richius jęknął i cofnął się chwiejnie, a baron parsknął śmiechem.

– Słabeusz z ciebie – zadrwił. – Nie podołasz. Tak jak myślałem.

Richius poczuł tchnienie grozy. Tracił opanowanie. Nieznośny ból wyciskał mu dech z płuc. Na jego czole pojawiło się kilka kropel potu. W jednym z okien dostrzegł Dyane, która poruszała ustami, jakby chciała mu dodać odwagi. Obok niej stała Najjir z szeroko otwartymi oczami. Na całe szczęście Tharn nigdzie się nie pokazywał. Gdyby Gayle wiedział, że on tu jest...

– No, dalej, chłopcze – drwił baron. – To jeszcze nie koniec lekcji.

Richius uniósł miecz, szykując się do odparcia kolejnego ataku. Musiał jakoś zyskać przewagę nad Gayle'm, ale nie miał pojęcia, jak to zrobić. Miecz zaczynał mu ciążyć, jakby ostrze odlano z ołowiu. Gayle był tylko lekko zdyszany.

Niespodziewanie Talistańczyk znów skoczył przed siebie i ciął w głowę Richiusa. Ten zdołał jakoś odbić uderzenie i kolanem uderzył barona w biodro. Pod Gayle'm ugięły się nogi i runął na ziemię, zdołał się jednak szybko odtoczyć w bok. Cisnął garść piachu w oczy Richiusa i zerwał się ponownie na nogi. Obaj przeciwnicy odskoczyli od siebie i przez chwilę zbierali siły. W końcu Gayle zaczął charczeć, otumaniony upadkiem, a Richius gorączkowo oczyszczał powieki z piasku. Mięśnie na plecach wciąż okropnie go piekły. Postanowił szybko skończyć i zaatakował Gayle'a serią



błyskawicznych ciosów, baron jednak zręcznie parował bądź robił uniki. Ścierające się ostrza sypały skrami. Wyczerpany ostatnim atakiem Richius cofnął się, przygotowany na gwałtowną odpowiedź Talistańczyka. Baron jednak też był zmęczony, wsparł się więc na mieczu i przez chwilę tylko ciężko dyszał.

– Męczysz się, baronie – syknął Aramoorczyk. – Poruszasz się za wolno.

Gayle splunął na Richiusa i otarł dłonią spoconą twarz. W jego jedyne oko zaczęła spływać krew, niemal go oślepiając. Richius dostrzegł w tym swoją szansę, warknął i rzucił się na barona. Talistańczyk zasłonił się może o pół uderzenia serca za późno. Jessicane gładko przecięła grubą, skórzaną kurtę, białą skórę pod nią i wypuściła spod żeber strugę krwi. Gayle zaklął szpetnie i potężnym pchnięciem odrzucił Richiusa w tył. Bok barona spływał czerwienią. Talistańczyk zgiął się na chwilę, zmierzył przeciwnika nienawistnym spojrzeniem, a potem wydał dziki wrzask i runął przed siebie, ogarnięty dzikim, ślepym szałem bojowym.

Jessicane parował ciosy, te jednak spadały coraz szybciej. Richius poczuł, że ramiona zaczynają mu drętwieć ze zmęczenia. Ciężko dyszał, przeciwstawiając gradowi żelaza już tylko siłę woli. Kątem oka dostrzegł, że zamkowe wrota otwierają się ze zgrzytem i poczuł niemal zwierzęcy strach.

– Nie! – wrzasnął. Przeniósł wzrok na bramę i zobaczył wyłaniającą się z cienia mroczną sylwetkę człowieka w opończy z kapturem.

Gayle nie potrzebował niczego więcej.

Richius zgiął się niemal w pół od potwornego bólu, jaki go ogarnął, gdy Gayle wbił mu z rozmachem kolano w krocze. Zaraz potem baron trzasnął go potężnie guzem miecza w skroń. Na ułamek sekundy cały świat rozmazał się Richiusowi w mętną mgłę. Poczuł mdłości, a gdy otworzył oczy, okazało się, że patrzy w niebo. Słońce zasłaniała mu potężna sylwetka Gayle'a. Rzucił się w bok, by chwycić rękojeść swego miecza, baron jednak zręcznie nadepnął mu na dłoń. Richius wrzasnął bezsilnie i nagle przed jego oczami zjawiała się twarzyczka Dyany.

„Już po nas” – pomyślał.

– Przegrałeś! – zawtórował Gayle. Postawił but na piersi przeciwnika i przyłożył mu sztych miecza do gardła. Charczał potężnie, zaśmiewał się jak szaleniec i hołubiąc zraniony bok, wyciskał Richiusowi resztki tchu z piersi. – Jestem najlepszy! – oznajmił zwycięsko. – Najlepszy!

Richius usiłował zachować ostatki świadomości. I wtedy zobaczył, że spod łuku bramy wychodzi Tharn w towarzystwie trzech wojowników, z których każdy miał w dłoniach napięty łuk ze strzałą na majdanie i jiihtar na plecach. Aramoorczyk zaklął. Jakież to teraz miało znaczenie? Gayle go pokonał. Zamek zostanie zniszczony, a jego

mieszkańcy pójda pod miecz. Zacisnąwszy zęby, czekał na ostatnie pchnięcie.

– No, dalej – splunął. – Zabij mnie!

– O, nie... – Gayle rozkoszował się każdym słowem. Pochylił się nad leżącym. – Jeszcze nie. Chcę, byś zobaczył, co z wami zrobię.

– Rzeźnik!

Wyglądało na to, że obrazy sprawiają Gayle'owi wyraźną przyjemność.

– Nie, nie – zaprzeczył, radośnie kiwając głową. – Rzeźnik to przy mnie poczciwe chłopisko, zaraz się o tym przekonasz. No, Szakalu, od kogo mam zacząć? Od tej twojej małej dziewczki?

– Nikogo już nie zabijesz, potworze! – głos, który zadźwięczał niczym dzwon zupełnie nie przypominał słabego, ochryplego głosu mędrca. Tharn szedł na czele łuczników bez laski, prosty i śmigły jak każdy z jego ludzi. Nad jego szerokimi ramionami piętrzyła się grzywa gęstych, jasnych włosów, a gdy mówił, spod warg błyskały zęby przypominające wilcze kły. Jego głos, silny, stanowczy, dźwięczny, niósł się nad dziedzińcem niczym hejnał trąbki, lub wyzywające trzepotanie proporca. Zdumiony Gayle odwrócił się, by spojrzeć, kto się do niego zbliża.

– Kim jesteś? – zapytał niepewnym głosem.

– Jestem Tharn – oznajmił mędrzec. – Siewca Burz.

Miecz zadrżał w dłoni rzeźnika.

– Ty? – zaryczał. – Ty tutaj?

– Precz, dzikusie! – rozkazał Tharn władcym tonem. Na jego twarzy pojawiły się węzły żył. Podniósł otoczoną ognistą aurą pięść, a jego ciało jakby urosło, karmiąc się lśnieniem, jakie spływało z nieba. Chmury nad zamkiem zaczęły zaciągać się ołowiem. – Precz! – powtórzył Tharn. – Dotarłeś już do końca swej drogi!

– Nie pokonasz mnie, czarowniku! – ryknął wyzywająco Gayle. Nad zamkiem unosiła się już korona błyskawic. Gayle znów naparł butem na pierś Richiusa. – Najpierw zabiję jego!

Tharn strzelił palcami i trzech łucznicy zwolnili cięciwy. Wszystkie trzy strzały ugodziły barona w krtań. Richius wyrwał się spod stopy Talistańczyka, skoczył na nogi i chwycił własny miecz. Aniołowie Cienia poruszyli nerwowo cugłami. Gayle wycharczał jakiś rozkaz i wytrzeszczywszy ze zgrozy oczy, zdążył jeszcze zobaczyć opadającą w dół głownię Jessicane. W następnej chwili talistański baron Gayle z Czarnej Kniei był już tylko leżącym na ziemi korpusem z rozpołowioną na dwoje głową.

– Do środka! – rozkazał Tharn. Richius odwrócił się i ujrzał mędrca, stojącego z szeroko rozłożonymi ramionami, otoczonego mroczną, przesywaną iskrami błyskawic aurą. Jego szkarłatne oczy pulsowały ogniem. Mędrzec przekształcił się oto w jakąś istotę

z piekła rodem, diabła i człowieka jednocześnie, opętanego jakąś przeciwną naturze mocą. Z bramy wybiegli z wrzaskiem triińscy wojownicy, którzy jak burza runęli na Aniołów Cienia. Richius pochylił się ku przodowi, opuścił Jessicane i poczłapał w stronę łuku sklepienia bramy. Zgnieciona w nadgarstku ręka zwisała bezwładnie u jego boku, napelniając jego każdy krok bólem agonii. Za plecami usłyszał syk mieczów – to Aniołowie Cienia szykowali się do odparcia uderzenia garstki Triinów. Z bramy zamku wypadła Dyana, która podbiegła, by mu pomóc.

– Nie! – jęknął. – Cofnij się!

Dyana jednak podbiegła szybko, zarzuciła sobie jego ramię na szyję i z zaskakującą u tak drobnej kobiety siłą przeniosła go niemal pod łukiem bramy. Tymczasem niebo nad zamkiem zasnuło się czernią. Richius odwrócił się w samą porę, by zobaczyć niesamowitą sylwetkę Tharna unoszącego ręce ku niebu i zdumione twarze Aniołów Cienia, którzy wpatrywali się w koronę błyskawic, coraz ciaśniej oplatających zamek. Szaty Tharna trzepotały dziko, targane podmuchami wiatru. Nad zamkiem przetoczył się huk gromu, który wstrząsnął starymi murami i zrzucił na dół kaskady kamieni i dachówek. Dyana upadła na ziemię i podniosła dłonie, zatykając nimi uszy. Richius przygniótł ją sobą, osłaniając przed spadającym deszczem odłamków. Dziewczyna spróbowała się podnieść, on jednak nie puszczał.

– Leż! – zawołał, nadal chroniąc ją przed kamiennym deszczem.

Na dziedzicu Aniołowie Cienia usiłowali przeciwstawić się jakoś coraz silniej dmącej wichurze, która wzmogła się tak, że rwała już gałęzie drzew. Konie zaczęły się cofać, choć jeźdźcy niemiłosiernie cięli je ostrogami. Wokół końskich kopyt wykwitły kłęby purpurowej mgły. Pośrodku tego całego chaosu stał Tharn, spokojny i niewzruszony jak góra.

– Gińcie! – zawołał.

Niebem wstrząsnęła kolejna detonacja, której echo na ziemi przewróciło kilka koni. Richius poczuł, że skronie zgniata mu przemożne ciśnienie. Usłyszał krzyk Dyany. Na dziedzińcu kolejne konie padały z kwikiem, przewracane ręką niewidzialnego olbrzyma. Ich jeźdźcy leżeli na ziemi, bluzgając krwią z nosów i otwartych ust oraz wrzeszcząc z bólu. Richius też nie mógł opanować krzyku. Pod naporem okropnego ciśnienia trzaskało mu w uszach. Poczołgał się ku bramie, potrząsając głową, jęcząc i wyciągając przed siebie złamaną rękę.

– Tharnie! – zawołał. – Dość!

Tharn nie zwrócił na niego uwagi. Był teraz już prawie niewidzialny, otaczał go bowiem fioletowy nimb. Richius jak przez mgłę widział miotających się w panice Aniołów Cienia, którzy, ściskając skronie rękoma, usiłowali utrzymać w całości swoje

pękające czaszki. Ciśnienie powietrza narastało z okropnym hukiem. Wokół udręczonych najeźdźców gęstniała fioletowa poświata. Richius czuł, że lada moment straci przytomność i resztkami sił czołgał się ku Tharnowi.

– Przestań! – jęczał błagalnie.

Zgnieciony okropnym hałasem miażdżył w dłoniach garści ziemi. Tharn znikł zupełnie, pochłonięty przez krwawy szkwał. Richius wtulił twarz w ziemię i nakrył głowę rękami. Ciśnienie gniotło go i czuł, że dłużej tego nie zniesie. Wiedział, że za chwilę skona. Dyana też. Ale nie Shani. Shani przeżyje. Zamknął oczy i poddał się bólowi, ukojony wreszcie cudowną wizją uśmiechu córeczki...

I nagle wszystko ucichło. Oszołomiony Aramooreczyk podniósł głowę. Lekki wietrzyk rozpędzał resztki różowej mgły. Świat znieruchomiał. Usłyszał jakąś wrzawę za sobą, przy zamkowej bramie. Wstał z trudem i zobaczył wzywającą go Dyanę.

– Richiusie! – krzyczała rozpaczliwie. – Gdzie jesteś?

Wstał oszołomiony, ogłuszony i ocierając spływające mu po policzkach łzy, ruszył do zamku. Tam właśnie zobaczył wzywającą go przez mgłę Dyanę. Ujrzawszy go, wstała i pobięła ku niemu. Objęła go z pasją i kilkakrotnie powtórzyła jego imię. Aramooreczyk zanurzył twarz w jej włosach.

– Żyję – zapewnił ją. – Żyję.

Mgła wokół nich powoli się rozwiewała. Richius objął Dyanę. I nagle oboje jednocześnie pomyśleli to samo. Dyana wyrwała się z jego ramion z okrzykiem:

– Tharn!

Zasłona purpurowej mgły cofnęła się z dziedzina, odsłaniając zmiążdżone ciało mędrca. Leżał na plecach i wstrząsany kurczowymi drgawkami, usiłował jeszcze oddychać i podnieść się, wbijając palce w ziemię. Richius i Dyana podbiegli i uklękli tuż obok. Otulający go urok rozwiął się wraz z wywołaną przez niego burzą. Przed Dyaną i Richiusem leżał kaleki, zdeformowany i zalany krwią człowiek.

– Żono? – wyszeptał drżącym, cichym głosem. – Czy Narenie...

Dyana podniosła jego drżącą dłoń i przytuliła ją do piersi.

– Wszyscy nie żyją, mężu – odpowiedziała. – Ocaliłeś nas...ocaliłeś...

Z ust Tharna wylała się strużka krwi. A jednak Siewca Burz zdołał się uśmiechnąć, krzywo i przewrotnie.

– Ocaliłem... – wychrypiał. – Ocaliłem...

– Tharnie – odezwał się Richius z rozpaczą w głosie. – Nie ruszaj się. Zaraz sprowadzę pomoc.

– Umieram – wycharczał Drol. Gdy mówił, jego ciałem szarpały drgawki, widać było, że cierpi wprost nieznośnie. – Lorriss mnie wzywa. Richiusie, daj mi rękę... daj

rękę...

Richius podał Tharnowi zdrową dłoń, ujmując razem z Dyaną połamane, zniekształcone palce mędrca. Tharn podniósł na nich spojrzenie swoich purpurowych oczu i pojawiła się w nich zwyczajna, prosta radość, a potem zgasł w nich blask życia. Ciało drgnęło jeszcze raz czy dwa, palce zmartwiały i Siewca Burz z Lucel-Loru odszedł w niebyt.

## Pięćdziesiąt dwa

Jak większość wydarzeń w Nar, pogrzeb imperatora Arkusa był wydarzeniem na wielką skalę. Przed zapiecztowaniem ogromnego mauzoleum, w którym na wieki miały spocząć kości Wielkiego, odziany w czerwień hrabia Renato Biagio wygłosił żałobną mowę do ponad dziesięciu tysięcy żałobników. Całą noc i cały poprzedni dzień dał okropny wiatr i lał deszcz, hrabia jednak dzielnie zniósł niewygody. Sam już wcześniej odprawił żałobę i teraz knuł przebiegłe plany.

Na pogrzeb zjechali się przedstawiciele narodów najbliższych Czarnemu Grodowi, którzy teraz byli świadkami wniebowstąpienia imperatora. Legioniści stawili się pod wodzą swego najwyższego dowódcy, generała Vorto, który stał na trybunie dla znaczniejszych żałobników obok swego przyjaciela, biskupa Herritha, wpatrując się pilnie w Biagia swoimi niebieskimi oczami i bardzo głupio zdradzając każdą swą myśl. Obok Biagia zaś stanął jego najbliższy przyjaciel, admirał Nicabar. Ten wprowadził do portu swój flagowy okręt, „Nieustraszony”, i ściągnął z mórz całą Czarną Flotę. Tłum zachwycał się widokiem wspaniałych okrętów, zebranych aż po linię horyzontu. Kiedy Biagio skończył przemowę, spojrział szybko na Herritha. W tłumie były tysiące żołnierzy Vorto, jak i on sam fanatyków religijnych. Na morzu czekała niewzruszenie flota. Biagio uśmiechnął się szeroko do biskupa i ustąpił mu miejsca przy mównicy.

Stanąwszy w cieniu jednego ze skrzydeł Katedry Męczenników, biskup szeroko rozłożył ramiona, uciszając wiernych powagą swego urzędu. Przemawiając do tłumów przerażonych Narenów, wyjaśnił im, że Bóg jest pełen miłości i swoją potężną dłońią wskaże im boskiego następcę, godnego żelaznego tronu. Wszyscy oni, wyjaśnił im biskup, byli ludźmi o nieposzlakowanej moralności, niezłomnej wierze i potrzebowali przywódcy, od którego Bóg nie odwróci swego oblicza. Biagio uśmiechnął się lekko, bo znał już plany mściwego, żądnego władzy starca. On sam miał za sobą Roshannów, ci zaś byli wszędzie. Herrith nie potrafił go niczym zaskoczyć.

Kiedy skończono już przemowy i złożono kwiaty, Biagio i Nicabar szybko zeszli z podwyższenia i znikli w tłumie. Ogarnięty ciżbą Herrith i jego oddany Vorto nie mogli ich śledzić. Przeciskający się przez ulice hrabia czuł przeszywający go dreszcz podniecenia. Tak jak przewidział, widok floty na horyzoncie w znacznej mierze ułagodził biskupa. Nawet Vorto z armią czekającą na jego skinienie nie chciał ryzykować mierzenia się z lufami okrętów.

Biagio stał wyprostowany w szalupie, którą wiosłarze kierowali ku flocie, ale nie patrzył na okręty. Odwróciwszy spojrzenie, przyglądał się Czarnemu Grodowi, gdzie

stały szeregi żołnierzy, którym wydano rozkazy, by go zarąbali na stopniach katedry, a także na samą katedrę – wspaniałą pomnik wzniesiony bezlitosnemu Bogu Herritha. Biagio teatralnie pomachał miastu, żegnając się z grodem. Ponad nim, ku miastu unosiły się długie lufy dalekosiężnych dział „Nieustraszonego”. Hrabia roześmiał się z satysfakcją. „Nieustraszonego” zabierze go do Crote. Na razie Czarny Gród pozostawał w rękach Herritha i Vorto. Ale władza to rzecz ulotna.

– Jeszcze tu wróć! – zawołał pewien, że nie usłyszy go już nikt na brzegu. Zaśmiał się, przepelniony przewrotną uciechą. Herrith był przebiegłym człowiekiem, przeoczył jednak kilka spraw o ogromnym znaczeniu – jedną z nich był karzeł o dużej głowie.

Rozmawiający dotąd ze sternikiem Nicabar podszedł i położył swą dłoń na ramieniu hrabiego.

– Zrobione – stwierdził. – Właśnie mi powiedziano, że Bovadin jest już na pokładzie.

Uśmiech Biagia zrobił się wprost przerażający. W całym Nar był tylko jeden człowiek, który potrafił wytwarzać podtrzymujący ich przy życiu eliksir. Teraz, kiedy członkowie Żelaznego Kręgu zwrócili się przeciwko sobie, hrabia cieszył się z tego, że uczony niziołek był po ich stronie.

– Masz pecha, Herrithcie – wyszeptał Biagio.

Nawet Bovadin nie był tego pewien, ale przypuszczano, że przerwanie podawania środka musiało mieć fatalne skutki.

\* \* \*

Kiedy Lucyler wrócił do Dring, natychmiast udał się do chylącej się ku upadkowi siedzibie dawnego władcy doliny. Mieszkańcy zamku czekali już na niego, ponieważ widziano, jak nadciąga w towarzystwie potężnie zbudowanego Karlaza i z wieży szybko przekazano na dół, że dwaj bohaterowie bitwy o Ackle-Nye już się zbliżają.

O ich powrocie Richius dowiedział się w kuźni, gdzie dopasowywał podkowy swemu koniowi. Powiedział Dyanie, że przyjmie Lucylera przy grobowcu Tharna. Skakał po kamieniach w strumieniu za twierdzą, kiedy zobaczył wyłaniających się z gęstwiny Lucylera i Dyanę. Lucyler wyglądał na załamanego. Na jego twarzy pojawiły się bruzdy, jakich Richius nigdy wcześniej u przyjaciela nie widział. Triin zrobił trzy kroki, zanim spostrzegł głaz za Richiusem. Był to kamień nagrobny, mogący pokryć człowieka, dość prymitywnie obrobiony przez jednego ze starszyzny doliny, który odkrył w sobie talent kamieniarski. Podchodząc do nagrobka, Lucyler zwolnił kroku. Richius poprosił, by podszedł bliżej.

– Chodź, przyjacielu – zachęcił Triina.

Podszedł do Lucylera, ujął go za rękę i powiódł w stronę grobu obok strumienia. Lucyler przez dłuższą chwilę patrzył na nagrobny napis, a potem wbił wzrok w ziemię.

– Wiedziałem to od chwili, w której ujrzałem Dyanę. Jak to się stało, Richiusie? Gayle? Wiem, że ten drań umknął z Ackle-Nye.

– Zginął, ratując mi życie – stwierdził Richius. Przypomniawszy sobie upór, z jakim mędrzec go przekonywał, że powinien żyć. W końcu się okazało, że obaj są do siebie podobni. Tharn chciał uratować obcego. Richius chciał uratować Dyanę.

Lucyler padł na kolana i ucałował głaz obok imienia Tharna. Po drugiej stronie strumienia, w miejscu skromnym i niczym nie wyróżniającym się od innych był jeszcze jeden grób, który Triin sam pomagał wykopać. W miejscu ostatniego spoczynku Dinadina nie było nagrobka – w cieniu drzewa rosło tylko kilka tulipanów, które zasadził tam Richius, gdy nikt go nie widział. Kiedy patrzył na załamanego wieściarni przyjaciela, rozumiał, że to jasne, niewielkie sanktuarium wkrótce stanie się bardzo smutne.

– Wybór należał do niego – powiedział Lucylerowi. – Przysięgam, że tego nie chciałem.

– Był dobrym człowiekiem – oznajmił Lucyler, podnosząc wzrok na Aramoorczyka.  
– W końcu i ty się o tym przekonałeś, prawda?

– Byli dobrymi ludźmi – stwierdził Richius – którzy zasłużyli na lepsze życie i koniec, niż te, jakie przypadły im w udziale.

Lucyler znów spojrzał na nagrobek z ponurą miną.

– Więc to już wszystko? Taki ma być jego koniec?

– W zamku mówiono już o właściwym pochówku na stosie. Teraz, kiedy już wszyscy wrócili, możemy pomyśleć o odpowiedniej ceremonii. Co wy, Triinowie, robicie ze zwłokami?

– Nie wiem, czego Tharn pragnął – odpowiedział Lucyler. – W wielu sprawach był prostym człowiekiem. Może nawet byłby z tego zadowolony. – Wstał. – Muszę o jego śmierci powiedzieć Karlazowi. Czeka na mnie w zamku. Chciał opowiedzieć Tharnowi o naszym zwycięstwie.

– Opowiedz mi – podsunął Richius. – Powiadomiono już nas, że wygraliśmy. Czy to prawda? Odparliście ich wszystkich?

Lucyler skinął głową jak człowiek, który myślami błądzi po miejscach odległych o tysiące mil.

– Lwy były nieodparte – powiedział. – Tak jak przewidział to Tharn. Karlaz stracił tylko trzech ludzi.

– A miasto? Jak sobie poradzili wodzowie?

Lucyler się skrzywił.



– Richiusie, jestem teraz zabójcą i rzeźnikiem. Były tam tysiące naszych i wszyscy potraciliśmy głowy. Przebywający w mieście Narenie nie mieli szans... Shohar kazał swoim ludziom brać głowy. Rąbano Narenów na kawałki, zmuszano jednych, by pożerali serca drugich... – Westchnął i zagryzł drżącą wargę. – Nigdy nie zdołam się oczyścić. Tharn rzekłby, że okryliśmy się hańbą.

– Więc zwyciężyliśmy. Nic już nam nie grozi.

– Tak, jesteśmy bezpieczni – stwierdził Lucyler. – Mam dla ciebie wieści, przyjacielu. Twój imperator nie żyje.

– Arkus? – spytał zdumiony. – Kiedy to się stało?

– Jeszcze przed naszym atakiem na Ackle-Nye. Nang schwytał w przesmyku posłańca, który wiozł pisma do Ackle-Nye. Posłańca wzięto na tortury. Nang chciał wiedzieć, czy Narenie posyłają tu nowe oddziały. Ale w Czarnym Grodzie ogłoszono żałobę po władcy.

Richius cofnął się i oparł o drzewo.

– Nie żyje – wyszeptał.

Była to wieść niewiarygodna i Richius poczuł się jak w nierzeczywistym śnie. Jeżeli ten stary upiór odszedł, w Lucel-Lorze w istocie może wrócić pokój. Nowe oddziały wyślą tu nie wcześniej, niż za kilka miesięcy, a może i nigdy. Spełniło się marzenie Tharna. Lucel-Lor był wolny.

– Powinien umrzeć w Falindarze – stwierdził Lucyler z goryczą, przesuwając dłonią po szorstkim nagrobku. – Tam też powinien spocząć.

– Odpocznie dobrze i tutaj, obok Vorisa i innych. Spokojnie tu i cicho. Myślę, że powinno mu się tu podobać. Ludzie mogą tu przyjść i powspominać. Nie przeszkadzają i Dinadinowi. Nawet nie wiedzą, że tu leży.

Wspomnienie towarzysza wywołało na ustach Lucylera nikły uśmiezek.

– A ty, co teraz ze sobą zrobisz, Richiusie? Zostaniesz tutaj?

– Sam się nad tym zastanawiam. Nie jestem tu już wodzem. Teraz władą tu Jarra. Przed śmiercią Tharn obiecał, że uwolni mnie od tego brzemienia. Nikt się nie sprzeciwił. Jarra stwierdził, że możemy tu zostać, ale wydaje mi się to niewłaściwe, a wiem, że w Nar zostali ludzie, którzy będą mnie szukać.

– To wróć ze mną do Falindaru. Teraz, kiedy nie żyją Tharn i Kronin, będzie tam mnóstwo pracy. Mógłbyś mi pomóc.

Richius parsknął śmiechem.

– Nie mam pojęcia o tym, co powinien robić wódz i jakie są jego obowiązki. Gdybym to wiedział, poradziłbym sobie i tutaj. A zresztą, jeszcze nie skończyłem z Narenami.

– Tak?

– Aramoor, Lucylerze. Wciąż mam jeszcze królestwo, któremu trzeba zwrócić wolność. Jeżeli Lisseńczycy dalej będą się bili, może pozwolą mi sobie pomóc.

– Richiusie – stwierdził Lucyler z naciskiem w głosie. – Uwolnienie Aramooru jest twoim marzeniem, które może się nigdy nie ziścić. Wyzwoliliśmy Lucel-Lor. Dość tego, by każdy prawdziwy mężczyzna mógł się szczycić. Nie niszcysz szans na spokojną przyszłość, podążając za nierealnym celem. Teraz twoim domem jest ta ziemia. Musisz zapomnieć o Aramoorze.

Richius uśmiechnął się z melancholią.

– Wiesz, że to niemożliwe.

Lucyler kiwnął głową.

– Zawsze będziesz mile widziany w Falindarze – stwierdził po prostu. Kiedy odwrócił się, by ruszyć do zamku, ujrzał krążącą wśród drzew Dyane. Uśmiechnął się do Richiusa.

– Jest teraz twoja.

– Pobierzemy się. I będziemy nareszcie razem – rzekł.

Lucyler mrugnął porozumiewawczo do Richiusa, a potem odwrócił się ku Dyanie. Richius obserwował, jak kłania się dwornie, a potem znika między drzewami. Podchodząc do Richiusa, Dyana obejrzała się przez ramię za Lucylerem.

– Powiedziałeś mi? – spytała. Richius kiwnął głową.

– Przyjął to tak spokojnie, jak się spodziewałem. Rzekł mi, że pojął wszystko, kiedy zobaczył twoją twarz.

Lekko zaskoczona Dyana zmarszczyła brwi.

– Nie wyglądał na bardzo zmartwionego. Richius ujął jej dłonie i podniósł do ust.

– Cieszy się naszym szczęściem. Powiedziałem mu, że zamierzamy się pobrać.

– Owszem – stwierdziła. – Wkrótce. Jak szybko się da.

– Będzie nam potrzebny jakiś kapłan, albo któryś z mędrców. Jeżeli pojedziemy z Lucylerem do Falindaru, to z pewnością kogoś znajdziemy.

– Owszem – Dyana kiwnęła głową. – Falindar. Zostaniemy z Lucylerem i pozwolimy Shani uczyć się od tamtejszych mędrców.

Richius uwolnił się z objęć Dyany.

– Wiesz, to może nie trwać tak długo, jak się spodziewasz – ostrzegł ją. – Już ci to mówiłem.

– Wiem – odpowiedziała ze smutkiem w głosie. – Ale trochę czasu dla siebie znajdziemy. Przecież chcemy być razem.

– Tak – rzekł Aramoorczyk. – Razem.

Znów ją przytulił i pocałował. Będą razem, dopóki nie rozdzieli ich burze i dopóki zew jego krwi nie odwoła go znów na wojnę. Ale na razie Aramoor był bardzo daleko, i jej pocałunek wypełnił mu wieczność.

**Pokój**

## Z dziennika Richiusa Vantrana

Wciąż mnie prześladowuje myśl o śmierci Arkusa. To tak, jakbym usłyszał o tym, że umarł bóg. Któregoś dnia ludzie zaczną układać pieśni o starożytnym imperatorze, który szukał w świecie magii, by ukraść śmierci kilka kolejnych lat.

Ale prawdziwa magia Lucel-Loru należy już do przeszłości. A mnie bardzo będzie brakować Tharna. On i ja nie różniliśmy się aż tak bardzo od siebie. Obaj kochaliśmy Dyanę. Obaj próbowaliśmy ją uratować. Na koniec myślę, że on kochał również mnie. Nie tak jak Dyanę, oczywiście, ale tak jak Vorisa i Kronina. Kochał w nich ogień zapału i ich szlachetność. Jeżeli dostrzegł tę szlachetność i we mnie, to był prawdziwie czarodziejem. Mam jednak do oddania tylko jedno życie i nie mogę zacząć od spląty strumienia krwi, jaki popłynął z mojego powodu. Tharn oddał życie, by mnie ratować, wyczerpał swe siły i skonał. Sabrina zginęła z powodu mojej głupoty, Dinadin umarł przez moją krótkowzroczność. Nawet Voris i Kronin zginęli, dlatego że splątali swoje losy z moim. Jeżeli są jacyś bogowie, którzy mi się przyglądają, mam nadzieję, że cofną ciężącą na mnie klątwę.

Na razie jednak mamy pokój. Bez władzy Narenów nad przesmykiem Lucel-Lor będzie dla nich zamknięty. Lisseńczycy myszkują u naszych wybrzeży, gotowi zatopić każdy okręt pod nareńską banderą, a przesmyku, niczym troskliwi ojcowie, strzegą lwy Karlaza. Lucyler powiada, że dzielnie walczyły, w co nie wątpię, bo nigdy przedtem nie widziałem tak wspaniałych zwierząt, jak te złote bestie z Chandakkaru. Na miejscu Arkusa i ja prawdopodobnie pomyślałbym, że są magicznymi stworzeniami. Ale, jak wszystko inne w Lucel-Lorze, i one składają się jedynie z mięśni i kości. Nic nie jest tu takie, jak sądził imperator. Owszem, choć widziałem magię, o której źródłach i przejawach niczego nie wiem, przecież mogę stwierdzić z całą pewnością, że nie jest to zjawisko podlegające prawom kupna i sprzedaży – jak sądził Arkus. Był tu tylko jeden mag – człowiek przeklęty albo błogosławiony, a teraz, kiedy odszedł, może Nar zostawi tę krainę w spokoju.

Ja jednak wiem, że dla mnie spokoju nie będzie. Biagio nigdy nie uwierzy w wieści o mojej śmierci. Stoi na czele Roshannów, a ci są wszędzie. Naśle na mnie morderców i w żadnej z dolin nie znajdziemy bezpiecznego schronienia. Nawet jeżeli wodzem zostanie Jarra, Biagio nie ustanie w poszukiwaniach. Znajdzie mnie i w Falindarze. Tak więc ja i moja mała rodzina będziemy bezdomnymi włóczęgami, ale jakoś przetrwamy. Gdzieś w tym rozległym kraju znajdziemy swoje miejsce. Gdzieś znajdziemy dom, w których Shani będzie mogła dorastać, nie widząc wokół siebie złowrogięgo cienia Nar.

To są jednak troski odległej przyszłości, którymi zajmę się, gdy przyjdzie pora. Na razie przed nami całe tygodnie spokoju. Ja i moja piękna *kafife* zostawimy Lisseńczykom troskę o Nar. Liss zresztą wzywa mnie coraz silniej, ale... pragnę zażyć przynajmniej trochę spokoju. Biagio będzie musiał mnie najpierw znaleźć, a ja mu tego nie ułatwię. Triinowie nauczyli mnie przebiegłości. Jestem Kalak. Szakal z Nar.